



— FIODOR —

**DOSTOJEWSKI**

Bracia Karamazow

— 50 III 50 —

**FIODOR DOSTOJEWSKI**

# BRACIA KARAMAZOW

(Tłumaczył Aleksander Wat)

*Annie Grigoriewnie Dostojewskiej*

Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: Jeśli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię nie obumrze, samo zostawa; lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi.

*Ewang. św. Jana, XII, 24*

## OD AUTORA

*Przystępując do życiorysu mojego bohatera, Aleksego Fiodorowicza Karamazowa, odczuwam niejaki zakłopotanie. Bo i w rzeczy samej: chociaż Aleksego Fiodorowicza nazywam moim bohaterem, wiem przecież sam, że Aleksy Fiodorowicz nie jest wcale człowiekiem wybitnym, toteż przewiduję nieuniknione pytania w rodzaju: czymże wyróżnia się ów Aleksy Fiodorowicz, żeś go pan sobie pasował na bohatera? Co właściwie działał? Kto o nim wie i co? Czemuż to ja, czytelnik, mam tracić czas na poznawanie faktów z jego życia?*

*Ostatnie pytanie jest najfatalniejsze, ponieważ mam na nie tylko jedną odpowiedź: „Może sami dowiedziecie się z powieści.” No, a jeśli ludzie przeczytają powieść i nie zobaczą tego, nie zgodzą się z tym, że mój Aleksy Fiodorowicz jest godny uwagi? Mówię o tym, ponieważ z żalem przewiduję ten wypadek. Według mnie Aleksy Fiodorowicz zasługuje na uwagę, ale bardzo wątpię, czy potrafię tego dowieść czytelnikowi. Chodzi o to, że Aleksy Fiodorowicz jest co prawda działaczem, ale nieokreślonym i niewyklarowanym. Zresztą trudno w takich czasach jak nasze wymagać od ludzi jasności. Jedno chyba jest niewątpliwe: mój bohater jest człowiekiem dziwnym, a nawet dziwacznym. Dziwność zaś czyjaś i dziwaczność raczej przeszkadzają, niż pomagają w skupieniu na tym kimś uwagi, zwłaszcza gdy wszyscy dążą do łączenia szczegółów i starają się znaleźć bodaj jakikolwiek wspólny sens w powszechnym bezsensie. A dziwak to w większości wypadków szczegół, i raczej odosobniony. Prawda?*

*Otóż jeśli nie zgadzacie się z tą ostatnią tezą i odpowiecie: „nieprawda” albo: „to nie zawsze prawda”, wówczas nabiorę może większego przekonania o doniosłości mojego bohatera Aleksego Fiodorowicza. Bo nie tylko dziwak „nie zawsze” jest odosobnionym szczegółem, ale przeciwnie, nieraz ma w sobie rdzeń jakiejś całości, pozostałych zaś ludzi jego epoki - wszystkich innych - jakiś przygodny wiatr nie wiadomo dlaczego oderwał od niego na krótką chwilę...*

*Zresztą nie wdawałbym się w te bardzo nieciekawe i mętne wyjaśnienia, zacząłbym zwyczajnie i po prostu bez wstępu: spodoba się, to i tak przeczytają, lecz w tym bieda, że mam jeden życiorys, a powieści dwie. Zasadnicza jest druga powieść - działalność mojego bohatera w naszych czasach, w obecnej, bieżącej chwili. Pierwsza zaś powieść dotyczy zdarzeń, które rozegrały się trzynaście lat temu, i właściwie nie jest nawet powieścią, lecz epizodem z wczesnej młodości mojego bohatera. Nie mogę jednak tej powieści pominąć, bez niej bowiem druga powieść byłaby w wielu miejscach niezrozumiała. Ale wskutek tego pierwotne moje kłopoty jeszcze się zwiększają: jeżeli nawet ja sam, autor życiorysu, uważam, że tak skromny i nieznaczący bohater może nie zasługuje nawet na jedną powieść, czemu więc przynoszę dwie powieści? I jak sobie wytłumaczyć takie zuchwalstwo z mojej strony?*

*Nie mogąc sobie poradzić z rozwiązaniem tych kwestii, zostawiam je bez odpowiedzi. Oczywiście wnikliwy czytelnik już dawno się domyślił, że do tego właśnie od samego początku zmierzałem, i tylko dąsał się na mnie, że marnotrawię słowa i drogi czas. Na ten zarzut odpowiem szczegółowo: marnotrawiłem słowa i drogi czas po pierwsze, przez grzeczność, a po drugie, z przebiegłości: „Bądź co bądź, jakoś tam z góry o czymś uprzedzałem.” Co więcej, po namyśle zaczynam się nawet cieszyć, że moja powieść rozpadła się sama przez się na dwie powieści, złączone „zasadą jedności”; poznawszy bowiem pierwszą, czytelnik sam będzie mógł ocenić, czy warto zasiadać do drugiej. Ma się rozumieć, czytelnik nie ma względem autora żadnych zobowiązań, może rzucić książkę nawet po dwóch stronicach i nigdy już jej nie otwierać. Ale istnieją przecież i tacy delikatni czytelnicy, którzy zechcą na pewno przeczytać ją do końca, aby ustrzec się omyłek przy wydawaniu bezstronnej oceny; do nich autor zalicza na przykład wszystkich rosyjskich krytyków. Względem tych właśnie czytelników uspokoiłem swoje sumienie: pozwalam im bez ujmy dla ich dokładności i lojalności odrzucić tę książkę po przeczytaniu pierwszego epizodu. Otóż i cała przedmowa. Chętnie przyznaję, że jest zbędna, ale skoro ją napisałem, to niech już sobie zostanie. A teraz do rzeczy.*



# CZEŚĆ PIERWSZA

# KSIĘGA PIERWSZA

## DZIEJE PEWNEJ RODZINKI

### I

#### FIODOR PAWŁOWICZ KARAMAZOW

Aleksy Fiodorowicz Karamazow był trzecim z kolei synem ziemianina z naszego powiatu, Fiodora Pawłowicza Karamazowa, którego tragiczny i niewyjaśniony zgon był w swoim czasie, czyli dokładnie trzynaście lat temu, szeroko omawiany (i dziś jeszcze wspomina się u nas o tym); do tej sprawy wrócę jeszcze w stosownym miejscu, a teraz powiem o tym „ziemianinie” (jak go u nas nazywano, mimo że większą część życia spędził poza swym majątkiem) tylko tyle, że był to dziwny typ, dosyć zresztą rozpowszechniony, typ człowieka nie tylko wyuzdanego i nikczemnego, ale w dodatku zbikowanego. Należał jednak do tego rodzaju zbikowanych półgłówków, którzy doskonale umieją obrabiać swoje interesiki majątkowe i nic ponadto ich nie zajmuje. Fiodor Pawłowicz zaczął na przykład od niczego, mająteczek miał maleńki, jadał po cudzych domach, kroił na rezydenta, a tymczasem zaraz po jego śmierci okazało się, że posiadał w gotówce około stu tysięcy rubli. Był przy tym w ciągu całego swego życia jednym z najbardziej postrzelonych wartogłówów w całym naszym powiecie. Powtarzam: to nie była bynajmniej głupota: większość tych półgłówków jest dość rozumna i chytra; to był brak rozsądku, i to jakiś osobliwy, narodowy.

Fiodor Pawłowicz był dwukrotnie żonaty i miał trzech synów - najstarszego, Dymitra Fiodorowicza, z pierwszej żony, i dwóch młodszych, Iwana i Aleksego, z drugiej. Pierwsza małżonka Fiodora Pawłowicza pochodziła z dość znanego i bogatego szlacheckiego rodu Miusowów, również obywateli naszego powiatu. Nie będę się zbytnio rozwodził, jak to się stało, że posażna panna, w dodatku rozumna i dzielna, jak to często się u nas trafia w obecnym pokoleniu, ale co pojawiło się już w pokoleniu poprzednim, mogła wyjść za takiego „hetkę-pętelkę”, jak wówczas powszechnie nazywano u nas Fiodora Pawłowicza. Znałem przecież taką pannę z wcześniejszego, „romantycznego” pokolenia, która przez kilka lat żywiła zagadkową miłość do pewnego pana i choć mogła go najspokojniej w świecie poślubić, ubrdała sobie przeróżne urojone przeszkody, aż wreszcie pewnej burzliwej nocy skoczyła do głębokiej i bystrej rzeki z wysokiego brzegu, przypominającego urwisko, i zginęła jedynie z własnego kaprysu, tylko po to, by stać się podobną do Szekspirowskiej Ofelii; można by nawet powiedzieć, że gdyby urwisko, które od dawna sobie upatrzyła i polubiła, nie było tak malownicze albo gdyby zamiast urwiska był na tym miejscu płaski i prozaiczny brzeg, nie byłoby zapewne doszło do samobójstwa. Jest to fakt autentyczny, co więcej, tego rodzaju fakty nie były odosobnione w życiu dwóch czy trzech ostatnich pokoleń rosyjskiego społeczeństwa. Podobnie zamążpójście Adelaidy Iwanowny Miusow było niewątpliwie echem obcych wpływów i wynikiem rozdrażnienia zmęczonej myśli. Może Adelaida Iwanowna chciała okazać samodzielność kobiety, iść na przekór przesądom społecznym, stawić harde czoło tyranii bliskich i rodziny; i wówczas usłużna wyobraźnia podsunęła jej - na chwilę bodaj - przekonanie, że Fiodor Pawłowicz mimo swej rangi pieczeniara jest może jednym z najśmielszych i najbardziej

sztyderczych duchów owej przejściowej, zmierzającej ku wszelkim doskonałościom epoki; w istocie był to przecież tylko kiepski błazen, i nic ponadto. Pikanteria tego małżeństwa polegała w dodatku na tym, że Fiodor Pawłowicz wykradł ją z domu. Był wówczas jak nikt inny do tego rodzaju wybryków najzupełniej gotów, chociażby ze względu na swoją pozycję społeczną; pragnął bowiem namiętnie za wszelką cenę zrobić karierę; przyczepić się do jakiejś dobrej rodziny i wziąć posag - to była wcale ponętna perspektywa. Co się zaś tyczy wzajemnej miłości, to, zdaje się, nie było jej wcale ani ze strony narzeczonej, ani z jego strony, mimo całą piękność Adelaidy Iwanowny. Kto wie, czy nie był to jedyny taki wypadek w życiu Fiodora Pawłowicza, człowieka przez całe swoje życie rozpustnego, gotowego na dany znak biec za każdą bez wyjątku spódnicą. I tylko ta jedna kobieta nie wywarła na jego zmysłach żadnego wrażenia.

Rychło po porwaniu Adelaida Iwanowna zmiarkowała, że ma dla męża jedynie uczucie pogardy, nic więcej. I oto skutki tego związku ujawniły się z niezwykłą szybkością. Chociaż rodzina dość prędko pogodziła się z faktem i wyposażyła należycie zbiegłą córkę, pożycie obojga małżonków stało się niezwykle burzliwe i wyładowywało się w nieustannych kłótniach domowych. Powiadano, że młoda małżonka wykazała bez porównania więcej szlachetności i wyższości od swego męża, który, jak to obecnie wiadomo, od razu wyłudził od niej całą gotowiznę - około dwudziestu pięciu tysięcy, które dostała w posagu; oczywiście wszystkie te tysiącki przepadły dla niej jak rzucone do wody. Wioskę zaś i wcale niezgorszy dom w mieście, również w posagu otrzymane, przez długi czas usiłował wszelkimi sposobami przepisać na swoje imię, skłaniając żonę do sporządzenia odpowiedniego aktu, i Adelaida Iwanowna byłaby w końcu na to przystała, choćby z pogardy i odrazy, jaką ją przejmowała ta bezwstydną żebranina i wymuszenia, choćby ze zmęczenia, byleby go się prędzej pozbyć. Lecz na szczęście wdała się w to rodzina i poskromiła wydrwigrosza. Wiadomo z całą pewnością, że nieraz dochodziło do bijatyk, przy czym, jak głosi wieść, bił nie Fiodor Pawłowicz, lecz Adelaida Iwanowna, kobieta gorącego temperamentu, śmiała, zręczna, niecierpliwa, obdarzona niezwykłą siłą fizyczną. Koniec końców rzuciła męża i uciekła z jakimś ginącym z nędzy nauczycielem seminarzystą, zostawiwszy Fiodorowi Pawłowiczowi trzyletniego Mitię. Fiodor Pawłowicz natychmiast założył w domu cały harem, urządzał desperackie pijatyki, w przerwach zaś rozjeżdżał po całej niemal guberni i płaczkliwie skarżył się wszem wobec i każdemu z osobna na wiarołomną żonę, Adelaidę Iwanownę. Na dobitkę opowiadał takie szczegóły małżeńskiego pożycia, o jakich wstydlivość nie pozwala mówić. A co najciekawsze, z przyjemnością, a nawet z pewną dumą odgrywał śmieszny rolę skrzywdzonego męża i popisывał się nawet, opowiadając z przesadą o szczegółach swojej krzywdy. „Myślałby kto, żeś pan, Fiodorze Pawłowiczu, rangę otrzymał, takie z pana zadowolenie bije mimo całego frasunku” - powiadali szydercy. Inni dodawali nawet, że Fiodor Pawłowicz chętnie się ukazuje w odnowionej postaci błazna i że specjalnie, gwoli większego efektu, udaje, że nie dostrzega śmieszności swego położenia. Kto go tam zresztą wie, może naprawdę była to szczerza naiwność. Wreszcie udało mu się wytropić zbiegłą. Nieboraczka mieszkała w Petersburgu, dokąd zawędrowała ze swoim seminarzystą. Tam też z zapalem oddała się najskrajniejszej emancypacji. Fiodor Pawłowicz natychmiast zakrzętnął się niespokojnie i zaczął wybierać się do Petersburga. W jakim celu - sam tego oczywiście nie wiedział. I może naprawdę byłby wtedy pojechał, lecz powziąwszy takie postanowienie, od razu uznał za stosowne dodać sobie animuszu huczną wypitką. W trakcie tego rodzina jego żony otrzymała z Petersburga wiadomość o jej śmierci. Adelaida Iwanowna umarła jakoś nagle, gdzieś na poddaszu: jedni twierdzili, że na tyfus, inni, że pono z głodu. Fiodor Pawłowicz miał mocno w czubie, gdy dowiedział się o śmierci żony. Powiadają, że wybiegł na ulicę i krzyczał podnosząc z radości ręce do góry: „Nareszcie wolny!”, ale



według innej wersji, płakał jak małe dziecko, i to tak, aż litość brała mimo całej odrazy, jaką budził. Możliwe, że jedno i drugie jest prawdą, to znaczy: że cieszył się z wolności i że płakał po tej, która go uwolniła - wszystko naraz. Na ogół przecież ludzie, nawet najbardziej niegodziwi, są naiwniejsi i lepsi, niżbyśmy w ogóle mogli przypuszczać. Zresztą i my również.

## II POZBYCIE SIĘ PIERWSZEGO SYNA

Oczywiście nietrudno sobie wyobrazić, jakim wychowawcą i ojcem mógł być taki człowiek. Jako ojciec, postąpił tak, jak można było przewidzieć, a więc całkowicie zaniedbał dziecko, które miał z Adelaidą Iwanowną, bynajmniej nie ze złości do niego i nie dla pomsty znieważonych uczuć małżeńskich, lecz po prostu dlatego, że całkiem o nim zapomniał. Więc gdy Fiodor Pawłowicz zanudzał łzami i skargami wszystkich znajomych, a dom swój obrócił w jaskinię rozpusty, syna, trzyletniego Mitię, wziął w opiekę wierny sługa tego domu, Grzegorz. Gdyby nie on, nie byłoby komu dziecku koszuliny zmienić. Na domiar złego tak się jakoś złożyło, że krewni dziecka ze strony matki też o nim z początku jakby zapomnieli. Dziad jego, to znaczy sam pan Miusow, ojciec Adelaidy Iwanowny, nie żył już podówczas; wdowa po nim, a babka Miti, przeniosła się do Moskwy i tam rozchorowała się; siostry jej były wszystkie zamężne, wskutek czego wypadło Miti cały rok mieszkać u Grzegorza w czeladnej izbie. Zresztą gdyby nawet ojczulek przypomniał sobie o nim (nie mógł przecież, w rzeczy samej, nie wiedzieć o jego istnieniu), byłby go sam znowu odesłał do czeladnej, żeby dzieciak nie przeszkadzał mu w hulankach. Tymczasem wrócił właśnie z Paryża kuzyn nieboszczki Adelaidy Iwanowny, Piotr Aleksandrowicz Miusow, który przez wiele lat mieszkał za granicą, człowiek wówczas bardzo jeszcze młody, wyróżniający się spośród Miusowów, wykształcony, gładki, w całym tego słowa znaczeniu Europejczyk, który, zwiedziwszy kawał świata, u schyłku życia miał się stać liberałem w stylu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Piotr Aleksandrowicz utrzymywał stosunki z wielu najbardziej liberalnymi ludźmi swojej epoki, w Rosji i za granicą, znał osobiście i Proudhona, i Bakunina, i ze szczególną przyjemnością w ostatnim okresie swoich podróży wspominał i opowiadał o trzech dniach paryskiej rewolucji lutowej 1848 roku, przy czym dawał do zrozumienia, że prawie brał sam w niej udział i walczył na barykadach. Było to jedno z najmilszych wspomnień jego młodości. Był niezależny, posiadał własny majątek ziemski, wedle dawnej rachuby coś około tysiąca dusz. Wspaniała jego posiadłość zaczynała się tuż prawie za rogatkami naszego miasta i przylegała do majątku naszego znakomitego monasteru, z którym Piotr Aleksandrowicz we wczesnej młodości procesował się o jakieś prawo do rybołówstwa czy do wyrębu lasu, nie wiem dokładnie. Natychmiast po objęciu ojcowizny wszczął nie kończący się proces, snadź poczytując walkę z „klerykałami” za święty obowiązek oświeconego obywatela. Dowiedziawszy się o całej historii Adelajdy Iwanowny, którą naturalnie pamiętał i na którą zwrócił swego czasu uwagę, i dowiedziawszy się o istnieniu Miti, postanowił się nim zająć mimo całego młodzieńczego oburzenia i pogardy dla Fiodora Pawłowicza. Wówczas to zawarł po raz pierwszy znajomość z Fiodorem Pawłowiczem, któremu oświadczył wprost, że chciałby się zająć wychowaniem dziecka. Później rozповідаł często, jako charakterystyczny szczegół, że gdy zaczął mówić z Fiodorem Pawłowiczem, ów w pierwszej chwili jak gdyby nie rozumiał, o jakim to dziecku mowa, i nawet jak gdyby ze zdziwieniem dowiadywał się, że ma tu gdzieś w swym domu małego

synka. Jeśli nawet uznać opowiadanie Piotra Aleksandrowicza za przesadne, to jednak przyznać trzeba, że chyba nie całkiem mijało się z prawdą. Fiodor Pawłowicz przez całe życie lubił udawać, lubił nieraz, całkiem zresztą niepotrzebnie, zagrać zniecka jakąś niespodziewaną rolę, choćby z ujmą dla siebie, jak w danym wypadku. Cechę tę, mówiąc nawiasem, posiada bardzo wiele osób, nawet bardzo mądrych, nie tylko Fiodor Pawłowicz. Piotr Aleksandrowicz zabrał się zatem z zapałem do rzeczy i nawet mianowano go (pospołu z Fiodorem Pawłowiczem) opiekunem dziecka, po matce bowiem został mająteczek, dom i posesja w mieście. Mitia istotnie zamieszkał u tego swojego wujaszka. Nie trwało to długo, gdyż Piotr Aleksandrowicz, uporządkowawszy swoje sprawy majątkowe i zapewniwszy sobie regularne otrzymywanie dochodów, bezzwłocznie wyjechał znowu na dłuższy czas do Paryża, a że nie miał własnej rodziny, więc zlecił opiekę nad chłopcem jednej ze swych ciotek, mieszkającej w Moskwie. Zadomowiwszy się w Paryżu, z kolei i on zapomniał o dziecku, zwłaszcza że tymczasem wybuchła owa rewolucja lutowa, która wycisnęła tak trwałe piętno na jego wyobraźni i o której nie mógł zapomnieć do końca życia. A tymczasem ciotka w Moskwie umarła i Mitia przeprowadził się do jednej z jej zamężnych córek. Zdaje się, że i później, po raz czwarty, zmienił gniazdo rodzinne. Nie będę się teraz nad tym rozwodził, tym bardziej że nieraz jeszcze wypadnie mi powrócić do tego pierwotnego syna Fiodora Pawłowicza, ograniczę się teraz do najniezbędniejszych o nim wiadomości, bez których nie mógłbym zacząć powieści.

Po pierwsze, z trzech synów Fiodora Pawłowicza, Dymitr Fiodorowicz był jedynym, który wiedział, że posiada jakiś osobisty majątek i że z dojściem do pełnoletności stanie się niezależnym. Dzieciństwo jego i młodość były bezładne: nie wysiedział do końca w gimnazjum, wstąpił do jakiejś szkoły wojskowej, później znalazł się na Kaukazie, dosłużył się awansu, pojedynkował się, stracił swój stopień, znowu się dosłużył, hulał wiele i strwonił stosunkowo wiele pieniędzy. Od Fiodora Pawłowicza zaczął otrzymywać pewne kwoty dopiero po dojściu do pełnoletności, przedtem zaś zaciągał długi. Fiodora Pawłowicza, swego ojca, ujrzał i poznał po raz pierwszy już po dojściu do pełnoletności, kiedy przyjechał do naszego powiatu specjalnie w tym celu, aby się porozumieć z ojcem w sprawach majątkowych. Zdaje się, że rodzic nie bardzo mu i wówczas przypadł do gustu; bawił u niego krótko i od razu wyjechał, gdy tylko otrzymał jakąś kwotę gotówką i gdy ułożył się względem otrzymywania na przyszłość dochodów z majątku, co do którego (rzecz godna uwagi) dochodowości, ani też wartości, żadnych informacji tym razem od Fiodora Pawłowicza nie mógł uzyskać. Fiodor Pawłowicz zauważył wówczas od razu (i to należy zapamiętać), że Mitia ma o swojej schedzie wygórowane i fałszywe wyobrażenie. Fiodorowi Pawłowiczowi było to bardzo na rękę, gdyż miał na względzie swoje szczególne rachuby. Stwierdził poza tym, że młodzieniec jest lekkomyślny, gwałtowny, niecierpliwy, pełen namiętności, hulaszczy, że łatwo go można zaspokoić, co prawda nie na długo, doraźnymi małymi datkami. Wówczas zaczął to wykorzystywać, czyli zbywał syna, co pewien czas wysyłając mu drobne sumy, aż wreszcie, gdy po czterech latach Mitia, straciwszy cierpliwość, przyjechał do naszego miasteczka po raz drugi, żeby już ostatecznie rozliczyć się z ojcem, wówczas, ku jego najwyższemu zdumieniu, okazało się, że nie ma ani grosza, że nawet trudno się rozliczyć, że wybrał już gotówką całą wartość spuścizny po matce, że może nawet nieco przebrał; że wreszcie, skutkiem takich to a takich finansowych operacji, w których sam chciał w takim to a takim czasie uczestniczyć, nie ma żadnego prawa nic więcej żądać nad to, co był otrzymał, itd., itd. Dymitr był zaskoczony, posądzał ojca o kłamstwo i szacherkę i wpadł w stan ostatecznego rozdrażnienia, graniczącego z szałem. Te właśnie okoliczności doprowadziły do katastrofy, której przebieg stanowi właśnie treść mojej pierwszej, wstępnej powieści, a raczej jej stronę zewnętrzną. Lecz zanim przejdę do owej powieści, muszę zaprezentować dwóch młodszych synów Fiodora

Pawłowicza, braci Miti, oraz wyjaśnić, skąd się oni wzięli.

### III

## NASTĘPNE MAŁŻEŃSTWO I NASTĘPNE DZIECI

Fiodor Pawłowicz, pozbywszy się czteroletniego Miti, niebawem ożenił się po raz drugi. Drugie małżeństwo trwało lat osiem. Tę drugą żonę, również bardzo młodziutką, Zofię Iwanownę, sprowadził sobie z innej guberni, do której pojechał w sprawie pewnej drobnej dostawy, podjętej do spółki z jakimś Żydkiem. Fiodor Pawłowicz, jakkolwiek hulał, pił i łajdaczył się, nigdy nie zapominał o lokacie swego kapitału i zawsze jakoś przysparzał sobie majątku, co prawda przeważnie za pomocą dosyć nikczemnych kombinacji. Zofia Iwanowna należała do typu tak zwanych „sierotek”, rodziców straciła w dzieciństwie; była córką ciemnego diakona, wychowywała się w bogatym domu swej opiekunki, wychowawczyni i dręczycielki zarazem, starej damy szlacheckiego rodu, wdowy po generale Worochowie. Nie znam bliższych szczegółów, słyszałem tylko, że pewnego razu odcięto tę cichą, łagodną i bezbronną istotę od stryczka, na którym chciała się powiesić w swej komórce; zapewne dobrze musiały dać się jej we znaki kaprysy, fanaberie i wieczne wymówki tej może i niezłej staruchy, którą jednak ustawiczna bezczynność czyniła nieznośną sekutnicą. Fiodor Pawłowicz oświadczył się o rękę Zofii, zasięgnięto o nim informacji, po czym przepędzono go z domu, a wówczas Fiodor Pawłowicz - jak przy pierwszym małżeństwie - znowu zaproponował sierocie porwanie. Bardzo możliwe, że Zofia Iwanowna nie zgodziłaby się za nic w świecie wyjść za niego, gdyby wiedziała dokładnie, z kim ma do czynienia. Mieszkała jednak w innej guberni; i cóż zresztą mogła rozumieć szesnastoletnia dziewczyna, która wiedziała tylko, że lepiej się utopić niż zostać nadal w domu swojej opiekunki. Zamieniła tedy, nieboraczka, opiekunkę na opiekuna. Fiodor Pawłowicz nie dostał tym razem złamanego szeląga, gdyż generałowa rozgniewała się srodze, wydziedziczyła wychowanicę i przeklęła oboje; tym razem jednak Fiodor Pawłowicz nie liczył na pieniądze; zlakomił się na niezwykłą urodę niewinnej dziewczyny, a zwłaszcza na jej niewinny wygląd, który oczarował tego rozpustnika, dotychczas rozmiłowanego jedynie w wulgarnej urodzie kobiecej. „Te oczęta niewinne drasnęły mi duszę jak brzytwą” - mawiał później z plugawym chichotem. Zresztą i tego rodzaju uczucie w duszy rozpustnego człowieka może być uważane za rodzaj popędu zmysłowego. Nie otrzymawszy żadnego wiana, Fiodor Pawłowicz obchodził się z żoną bez żadnej ceremonii i korzystając z tego, że była względem niego jak gdyby „winna”, że ją jakoby „uratował od stryczka”, nadużywając poza tym jej nieprawdopodobnej pokory i powolności, podeptał najzwyczajsze zalecenia przyzwoitości małżeńskiej. Sprowadzał sobie do domu kobiety złego prowadzenia się i urządzał orgie. Podkreślam jako rzecz charakterystyczną, że służący Grzegorz, ponury, głupi i uparty rezoner, który nienawidził dawnej pani, Adelaidy Iwanowny, tym razem stanowczo stanął po stronie nowej pani, bronił jej i wymyślał Fiodorowi Pawłowiczowi w sposób jak na służącego co najmniej zuchwały, a nawet pewnego razu przerwał rozpasaną zabawę i przemocą wypędził z domu przybyłe bezwstydnice. Jednak nieszczęsna, od dzieciństwa zahukana kobieta wpadła w chorobę nerwową, przeważnie rozpowszechnioną wśród ludu, wśród bab wiejskich zwanych z tego powodu „opętanymi”. Z tej choroby, połączonej z okropnymi atakami hysterii, chora okresami traciła nawet rozum. Urodziła jednak Fiodorowi Pawłowiczowi dwóch synów, Iwana i Aleksego, pierwszego w rok po ślubie, a drugiego w trzy lata potem. Kiedy umarła,

Aleksy miał cztery lata, ale chociaż to wydaje się dziwne, wiem, że zapamiętał matkę na całe życie, oczywiście jakby przez sen. Po jej śmierci los obu chłopców był mniej więcej taki sam jak los pierwszego, Miti: całkiem zaniedbani i zapomniani przez ojca, dostali się również pod opiekę Grzegorza i zamieszkali w jego izbie. Tam właśnie znalazła ich stara despotyczna generałowa, opiekunka i wychowawczyni ich nieboszczki matki. Żyła jeszcze i przez cały czas, przez te osiem lat, nie mogła zapomnieć zniewagi. Miała przez te osiem lat najdokładniejsze wiadomości o doli i niedoli swojej „Zofii”, a dowiedziawszy się o jej chorobie i otaczającej ją rozpuście, dwa albo trzy razy powiedziała do swych rezydentek: „Dobrze jej tak, Bóg ją skarał za niewdzięczność.”

Dokładnie w trzy miesiące po śmierci Zofii Iwanowny generałowa naraz zjawiała się osobiście w naszym mieście i zajęła wprost do Fiodora Pawłowicza; bawiła w miasteczku zaledwie pół godziny, ale zdążyła wiele zdziałać. Było to wieczorem. Fiodor Pawłowicz, którego od ośmiu lat ani razu nie widziała, przyjął ją pijaniuteńki. Powiadają, że generałowa w mgnieniu oka, bez żadnych wyjaśnień, jak tylko go zobaczyła, wycięła mu dwa głośnie i siarczyste policzki, trzykrotnie szarpnęła go porządnie za czub, a następnie nie mówiąc ani słowa, ruszyła wprost do czeladnej, do obu chłopców. Stwierdziwszy od pierwszego wejrzenia, że są nie umyjni i w brudnej bieliźnie, wycięła policzek Grzegorzowi, oznajmiła mu, że zabiera dzieci do siebie, po czym wyprowadziła obu chłopców, tak jak ich zastała, zawinęła w pled, posadziła do karety i zawiozła do siebie. Grzegorz zniósł ten policzek jak oddany niewolnik, nie odezwał się jednym grubiańskim słowem, a kiedy odprowadzał starą do karety, uklonił się w pas i rzekł z przekonaniem, że jej „Bóg zapłaci za sierotki”. „A ty gapa jesteś!” - zawołała generałowa na pożegnanie. Fiodor Pawłowicz zrozumiałszy rzecz całą doszedł do wniosku, że dobrze się stało, i po pewnym czasie bez zastrzeżeń dał generałowej formalne upoważnienie na wychowanie jego dzieci. O otrzymanych zaś policzkach sam opowiadał po całym mieście.

Zdarzyło się, że i generałowa rychło potem umarła, zapisawszy jednak każdemu z malców po tysiąc rubli „na naukę i aby całe te pieniądze poszły koniecznie na malców, ale tak, aby starczyło aż do samej ich pełnoletności, bo to i tak za dużo dla takich dzieci, a jeżeli to się komuś nie podoba, niech sam da więcej” itd., itd. Nie czytałem testamentu, ale mówiono mi, że był spisany w takim właśnie dziwnym i oryginalnym stylu. Głównym spadkobiercą starej był jednak uczciwy człowiek, miejscowy marszałek szlachty, Jefim Pietrowicz Polenow. Z początku korespondował z Fiodorem Pawłowiczem, ale wnet zmiarkował, że na wychowanie dzieci nie wyciągnie od niego złamanego grosza (choć Karamazow właściwie nigdy wprost nie odmawiał, tylko zazwyczaj w takich wypadkach grał na zwłokę, czasem w dodatku rozpluwając się w czułościach). Wobec czego sam zajął się dziećmi i szczególnie polubił młodsze z nich, Aleksego, który potem przez długi czas wychowywał się w jego rodzinie. Proszę czytelnika, aby od razu to sobie zapamiętał. I jeśli komu zawdzięczali obaj młodzieńcy swoją edukację i wykształcenie, to chyba tylko Jefimowi Pietrowiczowi, najzaczniejszemu i najbardziej humanitarnemu człowiekowi, jakiego rzadko można spotkać. Nie tknął tysięcy wyznaczonych dzieciom przez generałową, toteż do czasu ich pełnoletności podwoiły się z procentów; z własnych funduszy łożył na ich wychowanie i oczywiście wydał na każdego z nich o wiele więcej niż tysiąc rubli. Nie będę się długo zatrzymywał nad ich dzieciństwem i młodością, wspomnę tylko najważniejsze okoliczności. O starszym, Iwanie, powiem tyle, że rósł na ponurego i milczącego chłopca. Nie był bynajmniej nieśmiały, ale chyba już od dziesiątego roku życia rozumiał, że wraz z bratem wychowuje się w obcej bądź co bądź rodzinie, że obydwoj są na czyjejs łasce, że mają ojca, o którym nawet wstyd wspominać, itd., itd. Ten chłopak bardzo

wcześnie, od niemowlęstwa niemal (tak przynajmniej utrzymywano), okazywał niezwykle i zdumiewające zdolności do nauki. Nie znam dobrze tej sprawy, ale tak się jakoś złożyło, że Iwan rozstał się z rodziną Jefima Pietrowicza nieledwie w trzynastym roku życia, wstąpił do gimnazjum w Moskwie i zamieszkał u doświadczonego i podówczas bardzo słynnego pedagoga, przyjaciela Jefima Pietrowicza z lat dziecińczych. Sam Iwan opowiadał następnie, że wszystko to stało się na skutek „pochopności Jefima Pietrowicza do dobrych uczynków”; Jefim Pietrowicz uważał bowiem, że genialnie uzdolniony chłopiec powinien mieć genialnego wychowawcę. Zresztą ani Jefim Pietrowicz, ani genialny pedagog już nie żyli, kiedy młodzieniec po ukończeniu gimnazjum wstąpił na uniwersytet. Ponieważ Jefim Pietrowicz wydał nie takie, jak trzeba było, polecenia i podjęcie zapisanych dzieciom przez despotyczną generałową pieniędzy, które tymczasem podwoiły się, przeciągało się ze względu na różne nieuniknione u nas formalności i zwłoki, z młodzieńcem przez pierwsze dwa lata studiów uniwersyteckich było bardzo krucho, musiał bowiem zarabiać na utrzymanie i jednocześnie się uczyć. Trzeba stwierdzić, że nie próbował nawet napisać do ojca - może z dumy, z pogardy do niego, a może po prostu zdrowy rozsądek podszeptał mu, że od papy nie można się spodziewać choćby jako tako poważnego wsparcia. Jakkolwiek tam było, młodzieniec nie stracił bynajmniej głowy i wystarał się o zajęcie, zrazu udzielając lekcji po dwadzieścia kopiejek za godzinę, a potem biegając po redakcjach i umieszczając drobne dziesięciowierszowe notatki z kroniki ulicznej, które podpisywał „Naoczny Świadek”. Notatki owe, jak powiadają, były tak ciekawie i pikantnie redagowane, że rychło zyskały rozgłos i tym już choćby młodzieniec wykazał umysłową i praktyczną przewagę nad ową liczną, wiecznie biedującą i nieszczęsną częścią naszej uczącej się młodzieży obojga płci, która w obu stolicach od rana do nocy obija z przyzwyczajenia progi w redakcjach przeróżnych gazet i czasopism, nie mogąc nic lepszego wymyślić poza wiecznie powtarzającymi się prośbami o przekłady z francuskiego lub przepisywanie. Nawiązawszy kontakty z redakcjami, Iwan Fiodorowicz starał się je wciąż podtrzymywać i w ostatnich latach studiów zaczął drukować bardzo ciekawe recenzje książek z różnych dziedzin specjalnych, czym wyrobił sobie pozycję w kółkach literackich. Lecz właściwie dopiero w ostatnich czasach udało mu się przypadkowo zwrócić na siebie szczególną uwagę o wiele szerszego grona czytelników, którzy go wówczas dostrzegli i zapamiętali. Był to bardzo ciekawy wypadek. Przygotowując się po skończeniu uniwersytetu do wyjazdu za granicę za swoje dwa tysiące rubli, Iwan Fiodorowicz nagle wydrukował w jednej z większych gazet bardzo dziwny artykuł, który zwrócił uwagę nie tylko specjalistów, a którego temat w dodatku był mu na pozór obcy, Iwan Fiodorowicz bowiem ukończył wydział przyrodniczy, ów zaś artykuł dotyczył szeroko wówczas komentowanej kwestii sądów duchownych. Analizując niektóre ogłoszone już opinie, Iwan Fiodorowicz wypowiadał również i własny na tę sprawę pogląd. Najistotniejszy był ton artykułu i zupełnie niespodziewane wnioski. Tymczasem wielu spośród kół klerykalnych uznało stanowczo autora za swego poplecznika. I jednocześnie nie tylko postępowcy, ale nawet ateści przywitali go oklaskami. Koniec końców niektórzy domyślni ludzie zdecydowali, że cały artykuł jest tylko zuchwałym pamfletem i szyderstwem. Napomykam o tym wypadku szczególnie dlatego, że omawiany artykuł dotarł w swoim czasie i do naszego słynnego podmiejskiego monasteru, którego mieszkańcy w ogóle interesowali się sprawą sądów cerkiewnych - dotarł i wywołał prawdziwe zdumienie. A gdy przeczytali nazwisko autora, zainteresowali się i tym, że pochodzi on z naszego miasta, i że jest synem „tego właśnie Fiodora Pawłowicza, co to...” Aż tu nagle w tym samym czasie zjawił się u nas i sam autor.

W jakim celu przyjechał wtedy do nas Iwan Fiodorowicz? - przypominam sobie, że już wówczas zadawałem sobie to pytanie z pewnym jak gdyby niepokojem. Ów tak fatalny przyjazd,

który stał się zaczątkiem tyłu wydarzeń, przez długi czas potem, a nawet do dziś dnia pozostał dla mnie niewyjaśnioną zagadką. Biorąc rzecz ogólnie, już to choćby było dziwne, że taki uczony, taki dumny i na pozór rozważny młodzieniec nagle przybył do takiego plugawego domu, do takiego ojca, który zaniedbywał go od wczesnego dzieciństwa, nie znał go i nie pamiętał, który ciągle żył w strachu, że i młodszy synowie, Iwan i Aleksy, zgłoszą się kiedyś po pieniądze, dodajmy, że w strachu bezprzedmiotowym, albowiem Fiodor Pawłowicz byłby i tak pozostał głuchy na wszelkie błagania. I oto młodzieniec ów zajeżdża do domu takiego ojca, mieszka z nim miesiąc i drugi, jakoś żyje z nim w najlepszej zgodzie. Harmonia ta dziwiła nie tylko mnie, ale i wiele innych ludzi. Piotr Aleksandrowicz Miusow, o którym wspomniałem powyżej, daleki powinowaty Fiodora Pawłowicza ze strony jego pierwszej żony, bawił wówczas w swoim podmiejskim majątku, przyjechawszy na krótko z Paryża, gdzie osiedlił się był na stałe. Pamiętam, że on właśnie był bodaj najbardziej zdziwiony, zawarłszy znajomość z Iwanem Fiodorowiczem, którym bardzo się zainteresował i z którym nie bez ukrytego bólu licytował się pod względem czytania. „Dumny jest - mówił o nim w rozmowie z nami - zawsze sobie poradzi, zresztą ma już i teraz gotówkę na wyjazd za granicę, czegoż więc tutaj szuka? Nie ulega wątpliwości, że przyjechał do ojca nie po pieniądze, bo ojczulek w żadnym wypadku grosza mu nie da. Nie lubi ani pić, ani bawić się, a tymczasem stary nie może się już bez niego obejść, taka to gorąca przyjaźń!” Tak było istotnie, młodzieniec miał widoczny wpływ na starego, który chwilami jak gdyby zaczął go słuchać, chociaż był niesłychanie, po prostu złośliwie uparty; co więcej, Fiodor Pawłowicz zaczął zachowywać się przyzwoiciej...

Dopiero później wyjaśniło się, że Iwan Fiodorowicz przyjechał po części na prośbę i w sprawie swego starszego brata, Dymitra Fiodorowicza, którego właśnie wtedy poznał dopiero i po raz pierwszy zobaczył, ale z którym już przed przyjazdem do naszego miasta porozumiewał się listownie w pewnej bardzo ważnej sprawie, dotyczącej przede wszystkim Dymitra Fiodorowicza. Co to była za sprawa - o tym czytelnik dowie się szczegółowo w odpowiedniej chwili. Niemniej i wtedy, kiedy już wiedziałem o tej szczególnej okoliczności, Iwan Fiodorowicz nadal wydawał mi się zagadkowy, a jego przyjazd do naszego miasta wciąż był dla mnie niezrozumiały.

Dodam jeszcze, że Iwan Fiodorowicz sprawiał wówczas wrażenie pośrednika i rozjemcy między ojcem i starszym swoim bratem, Dymitrem Fiodorowiczem, który wtedy zaczął strasznie awanturować się o schedę po matce i nawet złożył przeciw ojcu formalną skargę do sądu.

I ta oto rodzinka, powtarzam, zebrała się wówczas w komplecie po raz pierwszy i po raz pierwszy ujrzeli się i poznali niektórzy jej członkowie. Jedynie najmłodszy syn, Aleksy Fiodorowicz, mieszkał już od roku w naszym mieście i w ten sposób był u nas wcześniej od swoich braci. O nim to właśnie, o Aleksym, najtrudniej mi mówić w niniejszym wstępnym opowiadaniu, zanim go nie ukażę we właściwej powieści. Ale trudna rada, i o nim wypadnie napisać przedmowę, żeby z góry przynajmniej wyjaśnić pewien nader dziwny szczegół, a mianowicie: mego przyszłego bohatera już od pierwszej sceny muszę przedstawić: w riasie nowicjusza. Tak, już od roku przebywał wtedy w naszym monasterze i jak gdyby zamierzał zamknąć się w nim na całe życie.

#### IV

### TRZECI SYN, ALOSZA

Miał lat zaledwie dwadzieścia (brat jego Iwan miał dwadzieścia trzy, a starszy, Dymitr, dwadzieścia siedem). Przede wszystkim stwierdzam, że Alosza nie był żadnym fanatykiem ani, przynajmniej według mego zdania, nie był nawet mistykiem. Od razu wygłoszę swoje o nim mniemanie: był po prostu młodym altruistą, a wstąpił na drogę mniszą tylko dlatego, że w owym czasie ona jedna go olśniła, ona jedna objawiła mu się, rzecz można, jako ideał wyzwolenia duszy, rwącej się z mroków doczesnego zła ku światłu miłości. Olśniła go zaś owa droga tylko dlatego, że spotkał na niej wówczas niezwykłą, jego zdaniem, istotę - naszego słynnego „starca” z monasteru, Zosimę, do którego przywiązał się i którego pokochał gorącą pierwszą miłością swego nieukojonego serca. Zresztą nie przeczę, że Alosza już wówczas, a nawet wcześniej, już w kołysce, był dosyć dziwny. Mówiłem, że choć stracił matkę, gdy miał cztery lata, zapamiętał ją na całe życie, zapamiętał jej twarz, jej pieszczoty - „jak gdyby stała przede mną żywa”. Wspomnienia tego rodzaju (jak powszechnie wiadomo) sięgają czasem wcześniejszego dzieciństwa, czasem nawet drugiego roku życia, ale występują potem tylko jak gdyby jaśniejsze punkty z mroku, niby skrawek wydarty z ogromnego obrazu, który zgasł już i znikł na zawsze. To samo było i z Aloszą; pamiętał pewien letni, cichy wieczór, otwarte okno, skośne promienie zachodzącego słońca (te właśnie skośne promienie najżywiej występowały w pamięci), w rogu ikona, przed nią paląca się lampka, a pod ikoną na klęczkach łkająca histerycznie, z jękiem i krzykiem, matka, która trzyma go na ręku, ścisła mocno, boleśnie, modli się za niego do Matki Boskiej i odrywając go od siebie, podnosi ku obrazowi, powierza opiece Bogurodzicy... i naraz wpada niańka, z przerażeniem wrywa go z rąk matki. Widok niezwykły! Alosza zapamiętał z owej chwili także i twarz matki: mówił, że, o ile mógł spamiętać, była nieprzytomna, lecz piękna. Ale mało komu zwierzał się z tego wspomnienia. W dzieciństwie i w młodości był nie bardzo wylewny, był nawet małomówny, ale nie skutkiem nieufności, nieśmiałości czy ponurej mizantropii, wprost przeciwnie, było w tym coś innego, jakiś szczególny rodzaj jak gdyby wewnętrznej zadumy, wyłącznie osobistej, nikogo innego nie dotyczącej, ale dla niego tak istotnej, że zapominał przez nią o otoczeniu. Kochał jednak ludzi: przez całe życie żył jak gdyby z bezgraniczną wiarą w ludzi, a jednak nikt nigdy nie uważał go za naiwnego czy prostaczka. Miał w sobie coś, co mówiło i przekonywało wówczas (zresztą i później, przez całe życie), że nie chce nikogo sądzić, że nie zechce brać na siebie oceny cudzych postępków i że za nic w świecie nie będzie nikogo potępiał. Zdawać by się nawet mogło, że godził się z istnieniem wszystkiego i niczego nie potępiał, choć często go nawiedzał gorzki smutek. Co więcej, osiągnął pod tym względem, i to już we wczesnej młodości, taką równowagę, że nikt nie mógłby go zdziwić czy przestraszyć. Kiedy w dwudziestym roku życia, czysty i niewinny, przybył do ojca, do istnej jaskini wyuzdanej rozpusty, odchodził tylko w milczeniu, gdy naprawdę niepodobna już było patrzeć, ale nie znać było po nim ani pogardy, ani potępienia. Ojciec zaś, który, jako dawny pieczeniarsz, był nader wrażliwy i czuły na obrazę, zrazu przywitał go nieufnie i niechętnie („milczy, bo milczy, ale wszystko widzi”). W końcu jednak nie dalej niż po jakichś dwóch tygodniach począł go niezwykle często ścisnąć i obcałowywać. Co prawda były to łzy pijaka i wylewność człowieka podchmielonego, ale widać było, że pokochał syna szczerze i głęboko, jak jeszcze nigdy taki człowiek jak on nikogo nie kochał...

Zresztą kochał go każdy, kto się z nim zetknął, i to już kiedy był dzieckiem. Znalazłszy się w domu Jefima Pietrowicza Polenowa, swego opiekuna i wychowawcy, tak zjednął sobie względy całej rodziny, że uważano go tam za rodzone dziecko. A przecież wszedł do tego domu w takim wieku, że niepodobna go było posądzać o wyrachowaną przebiegłość, o intryganctwo, o sztukę

pochlebiania, o umiejętność zaskarbienia sobie względów. Zatem ów dar zdobywania miłości ludzkiej Alosza miał jak gdyby w sobie, w swojej naturze. Podobnie rzecz miała się w szkole, chociaż na pozór należał do tej kategorii dzieci, które wzbudzają nieufność, czasem drwiny albo i nienawiść kolegów. Na przykład wpadał nieraz w zadumę i jak gdyby się odosabniał. Lubił od najwcześniejszego dzieciństwa zaszywać się w kącie i siedzieć nad książką, a jednak koledzy tak go lubili, że z całą stanowczością można go było nazwać ulubieńcem całej szkoły przez cały czas jego w niej przebywania. Rzadko bywał swawolny, rzadko nawet wesoły, ale wystarczyło spojrzeć nań, aby stwierdzić, że to nie wynikało z posępnoci, lecz przeciwnie, z pogodnego i równego usposobienia.

Nigdy nie chciał się wyróżniać spośród rówieśników. Może dlatego nigdy się nikogo nie bał, ale koledzy od razu zrozumieli, że nie pyszni się wcale swoją odwagą, że jak gdyby sobie nie uświadamiał, iż jest śmiały i odważny. Nie pamiętał nigdy urazy. Zdarzało się, że w godzinę po jakimś zatargu pierwszy odpowiadał lub sam zwracał się do swego krzywdziciela z tak ufną i pogodną twarzą, jak gdyby w ogóle nic między nimi nie zaszło. I nie było w tym żadnej afektacji, zapomnienia obrazy czy umyślnego przebaczenia, po prostu nie uważał tego, co się stało, za obrazę i to właśnie oczarowywało i zniewalało chłopców. Miał tylko jeden rys charakteru, który przez wszystkie klasy, poczynając od niższych, prowokował kolegów do kpin; ale kpili nie ze złośliwego szyderstwa, lecz dlatego tylko, że było to dla nich zabawne. Rysem owym była dzika, wprost nieprzytomna wstydlivość i cnotliwość. Nie mógł słuchać niektórych słów i niektórych pogawędek o kobietach. Owe „niektóre” słówka i rozmowy na nieszczęście nie dadzą się wytepić w szkołach. Chłopcy czystej duszy i niewinnego serca, dzieci prawie, bardzo często lubią w klasie mówić między sobą nawet na głos o takich rzeczach, scenach i obrazach, o jakich nie zawsze mówią nawet żołnierze; co więcej, żołnierze często nie rozumieją i nie znają wielu takich rzeczy, które już przestały być sekretem dla dzieci z naszej inteligencji i warstw wyższych. Nie można tego chyba nazwać rozwiązłością moralną i nie jest to również cynizm prawdziwy, rozpustny, wewnętrzny - w najgorszym wypadku może zewnętrzny, powierzchowny, uchodzący niestety w tym środowisku za cechę delikatną, subtelną, junacką, godną naśladowania. Ponieważ „Aloszka Karamazow”, gdy rozmawiano „o tym”, szybko zatykał sobie uszy palcami, więc czasem koledzy umyślnie otaczali go gromadką i przemocą odrywając mu ręce, krzyczeli mu do uszu bezeceństwa, a on wrywał się, rzucał na podłogę, zasłaniał twarz i bez słowa gniewu milcząco znosił obrazę. W końcu dano mu spokój, przestano go przezywać „panienką”, a nawet spoglądano na niego z pewnym politowaniem. Nawiasem mówiąc, zaliczał się zawsze do lepszych uczniów, ale nigdy nie był prymusem.

Po śmierci Jefima Pietrowicza Alosza jeszcze dwa lata spędził w gimnazjum gubernialnym. Niepoczieszona wdowa po Jefimie Pietrowiczu nieomal od razu po jego zgonie wyjechała na dłuższy pobyt do Włoch wraz z całą rodziną, składającą się wyłącznie z kobiet, Alosza zaś został u jakichś dwóch pań, których dotąd na oczy nie widział, dalekich krewnych Jefima Pietrowicza, ale sam nie wiedział, na jakich warunkach. Charakterystyczne zresztą, że nigdy nie interesował się, na czyj koszt żyje. Pod tym względem był absolutnym przeciwieństwem swego starszego brata, Iwana Fiodorowicza, który przez pierwsze dwa lata studiów znosił niedostatek, utrzymując się z własnej pracy i od wczesnego dzieciństwa mocno nad tym bolał, że jest na łasce opiekuna. Nie można było jednak zbyt surowo osądzać tej dziwnej cechy charakteru Aleksego, bo każdy, kto stykał się z nim choćby powierzchownie, dochodził do przekonania, że Aleksy jest na tym punkcie jakby upośledzony duchowo, że gdyby naraz otrzymał wielki majątek, nie wahałby się natychmiast rozdać go na pierwsze wezwanie, albo na dobre uczynki, albo może i zgoła pierwszemu lepszemu zręcznemu



oszustowi, który by go o to poprosił. Zdawał się bowiem jak gdyby nie rozumieć wartości pieniędzy; oczywiście nie w znaczeniu dosłownym. Gdy mu dawano pieniądze na drobne wydatki, o które nigdy sam nie prosił - to albo przez długie tygodnie nie wiedział, co z nimi zrobić, albo pozbywał się ich od razu. Piotr Aleksandrowicz Miusow, bardzo drażliwy w kwestiach pieniężnych, przestrzegający ściśle zasad mieszczańskiej uczciwości, przypatrzwszy się uważnie Aleksemu, wypowiedział o nim następujący aforyzm: „Oto jedyny chyba na świecie człowiek, którego można by zostawić bez grosza przy duszy, samego, na placu w obcym milionowym mieście, a on nie zginąłby, nie umarł z głodu ani z chłodu, bo znaleźliby się dobrzy ludzie, którzy by się od razu nim zajęli, od razu nakarmiliby go i urządzili, a gdyby nawet nie urządzili, to on sam byłby się od razu urządził bez żadnych wysiłków i upokorzeń, nie sprawiając żadnej trudności przygodnemu opiekunowi, wręcz przeciwnie, robiąc mu nawet nie byle jaką przyjemność.”

Alosza nie skończył gimnazjum. Miał jeszcze rok do ukończenia, gdy naraz oświadczył swym opiekunom, że musi pojechać do ojca w pewnej sprawie; strzeliło mu to nagle do głowy. Obie panie bardzo się zmartwiły i nie chciały go puścić. Przejazd kosztował niewiele i Alosza zamierzał zastawić w lombardzie zegarek, który otrzymał był w podarunku od rodziny nieboszczyka opiekuna przed jej wyjazdem za granicę; obie panie jednak nie dopuściły do tego i zaopatrzyły go hojnie w pieniądze, a nawet w nowe ubranie i bieliznę. Lecz Aleksy zwrócił im połowę otrzymanej kwoty, bo, jak twierdził stanowczo, chciał jechać trzecią klasą. Przyjechawszy do naszej miejsciny, na pierwsze badania ojcowskie, „po co właściwie przybył, nie skończywszy szkoły”, nic nie odpowiedział, a był, jak mówiono, pogrążony w zwykłej zadumie. Niebawem wyszło na jaw, że szuka grobu swej matki. Zresztą sam przyznał się wówczas, że tylko to było celem jego przybycia. Ale wątpić należy, czy ten nagły przyjazd nie miał innych przyczyn. Najprawdopodobniej sam Alosza nie wiedział wówczas i nie mógłby w żaden sposób wyjaśnić, co właściwie jakby powstało naraz w jego duszy i z nieprzepartą siłą pociągnęło na jakąś nową, nie znaną jeszcze drogę, z której już nie mógł zawrócić. Fiodor Pawłowicz nie potrafił mu wskazać grobu swej drugiej żony, ponieważ od czasu pogrzebu nie był ani razu na cmentarzu i zupełnie zapomniał, gdzie ją wówczas pochowano...

Korzystając ze sposobności, dodamy coś więcej na temat Fiodora Pawłowicza. Dłuższy czas nie mieszkał w naszym mieście. W trzy, cztery lata po śmierci drugiej żony wyjechał do południowej Rosji i w końcu trafił do Odessy, gdzie przebywał kilka lat z rzędu. Z początku zawarł tam ściślejszą znajomość, jak to sam mówił, „z wieloma Żydami, Żydkami, Żydłakami i Żydziętami”, a w końcu zaczęto go przyjmować nie tylko u Żydów, „lecz i u Izraelitów”. Przypuszczalnie w tym to okresie swego życia rozwinął w sobie ową szczególną umiejętność zbijania i ciułania grosza. Wrócił zaś ostatecznie do naszego miasteczka na jakie trzy lata przed przyjazdem Aloszy. Dawni jego znajomi utrzymywali, że strasznie się zestarzał, aczkolwiek nie był wcale taki stary. Jego sposób bycia, zamiast wyszlachetnieć, stał się jakiś nachalniejszy. W tym dawnym błaznie zrodziła się na przykład zuchwała potrzeba wystrychania ludzi na błaznów. Lubił pławic się w rozpuście nie tylko nie mniej niż dawniej, lecz nawet jak gdyby szkaradniej. Niebawem założył w naszym powiecie mnóstwo nowych szynków. Twierdzono, że posiada w majątku może ze sto tysięcy lub niewiele mniej. Stał się od razu wierzycielem wielu miejskich i wiejskich obywateli, oczywiście udzielał lichwiarskich pożyczek pod najpewniejsze zastawy. Dopiero w ostatnich czasach opuścił się jakoś, roztył, zaczął tracić równowagę, kontrolę nad sobą, wpadł nawet w jakąś szczególnego rodzaju lekkomyślność, zaczynał jedno i kończył drugim, rzucał się jakoś niespokojnie, upijał się coraz częściej do nieprzytomności i byłby się naraził na wiele kłopotów, gdyby nie znany nam już sługa Grzegorz, który

się również bardzo zestarzał i coraz częściej doglądał swego pana niczym guwerner. Przyjazd Aloszy wpłynął na ojca nawet, rzecz można, od strony moralnej; można by pomyśleć, że w tym przedwczesnym starcu zaczęły się budzić jakieś dawno przygasłe uczucia. „Czy wiesz - mawiał często do Aloszy, przyglądając mu się uważnie - czy wiesz, że jesteś do niej podobny, do «opętanej»?” Tak bowiem nazywał nieboszczkę żonę, matkę Aloszy. Grób „opętanej” wskazał wreszcie Aloszy lokaj Grzegorz. Zaprowadził go na nasz cmentarz miejski i tam w odległym kącie wskazał mu żelazną, tanią, lecz schludnie utrzymaną płytę, na której znaczył się nawet napis - imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci nieboszczki; na dole był nawet wyryty czterowiersz w stylu staromodnych, często spotykanych na grobach uboższego mieszczaństwa epitafiów. Okazało się, ku zdumieniu wszystkich, że Grzegorz był fundatorem tej płyty. Sam położył ją na grobie nieszczęsnej „opętanej”, z własnych funduszków, ponieważ Fiodor Pawłowicz był głuchy na wielokrotne nagabywania starego sługi i wreszcie wyjechał do Odessy, machnąwszy ręką nie tylko na groby, ale i na wszystkie swoje wspomnienia. Alosza nie okazał nad grobem matki żadnego szczególniejszego wzruszenia; wysłuchał tylko poważnej i reżolutnej relacji Grzegorza o postawieniu nagrobka, postął jakiś czas ze spuszczoną głową i odszedł nie przemówiwszy ani słowa. Od tej pory, a może nawet przez cały ten rok, ani razu nie zajrzał na cmentarz. Jednakże ten błahy epizod podziałał na Fiodora Pawłowicza, i to w sposób bardzo oryginalny. Wziął nagle tysiąc rubli i pojechał do naszego monasteru ofiarując je na nabożeństwo żałobne za duszę zmarłej żony, ale nie drugiej, nie „opętanej” - matki Aloszy, lecz pierwszej, Adelaidy Iwanowny, która go za życia tłukła. Tegoż wieczoru upił się jak bela i wobec Aloszy wymyślał na mnichów. Nie był wcale nabożny; nigdy może nawet świeczki za pięć kopiejek nie postawił przed obrazem. Dziwne uniesienia nagłych uczuć i nagłych myśli nawiedzają tego rodzaju osobników.

Wspomniałem już, że bardzo się roztył. Twarz jego w owym czasie poczęła niezwykle wyraźnie świadczyć o charakterze i istocie całego jego życia. Pod niezmiennie zuchwałymi, podejrzliwymi i szyderczymi oczkami zwisały mięsiste woreczki, sieć głębokich zmarszczek pokryła jego drobną, ale tłusciutką twarzyczkę, a pod spiczastą brodą utworzył się jeszcze obfity podbródek, mięsisty, podłużny jak trzos, co nadawało twarzy jakiś obrzydliwie lubieżny wyraz. Dodajcie do tego zmysłowe duże usta z obrzękłymi wargami, odsłaniającymi mizerne resztki czarnych, prawie już przegniłych zębów. Ilekroć zaczynał mówić, bryzgał śliną na wszystkie strony. Zresztą sam lubił kpić z własnej twarzy, chociaż na ogół zdawał się być z niej zadowolony. Pysznił się zwłaszcza swoim nosem, niezbyt dużym, ale bardzo cienkim, z wydatnym garbem: „Prawdziwie rzymski - powiadał - w połączeniu z podbródkiem istna fizys starożytnego rzymskiego patrycjusza czasu upadku.” Zdaje się, że był z tego dumny.

I oto niedługo po odnalezieniu grobu matki Alosza nagle oświadczył ojcu, że pragnie wstąpić do monasteru i że mnisi godzą się dopuścić go do nowicjatu. Wyjaśnił nadto, że jest to jego najgłębsze życzenie i że prosi Fiodora Pawłowicza, jako ojca, o solenne zezwolenie. Fiodor Pawłowicz wiedział już, że starzec Zosima, pokutujący w pustelni monasteru, wywarł na jego „miłym chłopcu” szczególnie głębokie wrażenie. Milcząco i w zamyśleniu wysłuchał jego prośby i nie okazał prawie żadnego zdziwienia.

- Starzec Zosima jest, ma się rozumieć, najrzetelniejszy z tych mnichów - rzekł. - Hm... więc tego ci się zachciewa, mój miły chłopcze! - Był półpijany i naraz uśmiechnął się swym przeciągłym półpijackim uśmiechem, nie pozbawionym przebiegłości i pijackiego sprytu. - Hm... jednak

przeczuwałem, że tak skończysz, czy dasz wiarę? Kroileś mi zawsze na coś takiego. No cóż, masz przecie te swoje dwa tysiączki, to i wiano gotowe, a ja cię, mój aniele, nigdy nie opuszczę; zażądamy, to dołożę, ile tam trzeba będzie, a jakże. A jeżeli nie zażądamy, to po co się pchać? Wszak, synku drogi, z pieniżkami jak kanarek się obchodzisz, ociupinkę, po dwa ziarenka na tydzień... Hm... Wiesz, bracie, w jednym monasterze mnisi mają futor za miastem, wszyscy już wiedzą, że na tym futorze tylko „mnisze żonki”, jak je tam zowią, mieszkają, myślę, że ze trzydzieści sztuk ich będzie... Sam tam byłem i wiesz, kochasiu, ciekawe to w swoim rodzaju, naturalnie w sensie urozmaicenia. Szkoda tylko, że szowinizm narodowy okropny, Francuzek jeszcze całkiem nie ma, a mogłyby być, bo fundusze nie byle jakie. Jak zwąchają, to przyjadą. No, a tu co? Nie ma „mniszonych żon”, a samych mnichów chyba ze dwustu będzie. Rzetelni. Postów przestrzegają. Przyznaję... Hm... Więc mnichem chcesz zostać? A wiesz, że mi szkoda ciebie, Alosza, naprawdę, czy dasz wiarę, polubiłem cię... Zresztą i sposobność niegorsza: będzie komu pomodlić się za nas, grzeszników. Za wieleśmy, siedząc tutaj, grzeszków napłodzili. Wciąż myślałem o tym: czy znajdzie się kto, co się za mnie do Boga pomodli? Czy jest na świecie taki człowiek? Drogi chłopaku, pod tym względem jestem naprawdę ciemny jak tabaka w rogu. Może nie wierzysz? Aż strach, jaki ciemny. Ale widzisz, synku: jakkolwiek ciemny jestem, myślę sobie wciąż, wciąż myślę, pewnie że nie cięgiem, ale od czasu do czasu. „To chyba niemożliwe, myślę ja sobie, żeby diabli zapomnieli mnie na widły wsadzić, kiedy wyciągnę kopyta. Dobrze, myślę sobie, widły. A skądże te widły? A z czego te widły? Z żelaza może? A gdzież kują te widły? Fabrykę tam mają czy jak? Przecież tam w monasterze mnichy pewnikiem myślą, że w piekle jest na przykład sufit. A ja, kochasiu, gotów jestem w piekło uwierzyć, ale w każdym razie bez sufitu; wygląda to jakoś delikatniej, inteligentniej, po luterańsku mianowicie. A właściwie, między nami mówiąc, nie wszystko jedno, z sufitem czy bez sufitu? Masz tobie, diabelne zagadnienie! No, a jeśli nie ma sufitu, to znaczy nie ma też i wideł. A jeżeli nie ma wideł i innych rzeczy, w takim razie wszystko to duby smalone; kto mnie wówczas na widły chwyci, bo jak nie pochwyci, to i cóż wówczas będzie, gdzież prawda na świecie? *Il faudrait les inventer*, [1] te widły, specjalnie dla mnie, dla mnie samego, bo gdybyś ty wiedział, Alosza, jaki ze mnie grzesznik bezecny!

- Ależ tam nie ma wideł - odrzekł Alosza cicho i poważnie, patrząc na ojca.

- Tak, tak jest, tam są tylko cienie wideł. Wiem, wiem. To pewien Francuz tak opisywał piekło: *J'ai vu l'ombre d'une cocher, qui avec l'ombre d'une brosse frottait l'ombre d'une carrosse*. [2] Skąd wiesz, kochasiu, że nie ma wideł? Inaczej mi zaśpiewasz, gdy pobędziesz wśród mnichów. A zresztą idź sobie, dobierz się tam do prawdy i przyjdź do mnie z relacją: zawsze to lżej będzie pójść na tamten świat, gdy człek na pewniaka wie, co go tam czeka. I czy nie przyzwoiciej będzie dla ciebie pomieszkać z mnichami niż ze mną, starym pijanicą, no i z dziewczynkami?... Chociaż, co prawda, do ciebie jak do anioła nic nie przylgnie. Ba, a nuż i tam nic do ciebie nie przylgnie, więc daję ci swoje przyzwolenie, gdyż się tego spodziewam. Głowę masz nie byle jaką. Popalisz się i zgaśniesz, wyleczysz się i wrócisz. A ja będę na ciebie czekać: czuję, żeś ty jedyny na świecie, jedyny, który mnie nie potępił, chłopcze mój drogi, czuję to, nie mogę tego nie czuć!...

I nawet zaszlochał. Był sentymentalny. Był zły i sentymentalny.

## V STARCY

Może któryś z czytelników pomyśli sobie, że bohater mój był chorobliwą, egzaltowaną, nierozgarniętą istotą, bladym marzycielem, wątłym, nerwowym człowieczkiem. Nic podobnego. Alosza w owym czasie był roslym, rumianolicym, tchnącym zdrowiem i pogodą dziewiętnastoletnim wyrostkiem. Był nawet bardzo piękny i zgrabny, wzrostu nieco więcej niż średniego, miał ciemnoblonde włosy, regularny, chociaż nieco wydłużony owal twarzy i błyszczące, ciemnoszare, szeroko rozstawione oczy, był przeważnie zamyślony, z wyglądu bardzo spokojny. Mogą mi czytelnicy powiedzieć, że rumiane policzki nie wyłączają bynajmniej fanatycznego usposobienia ani skłonności do mistycyzmu; lecz mnie się zdaje, że Alosza był nawet większym niż ktokolwiek realistą. O, rozumie się, przebywając w monasterze, wierzył święcie w cuda, ale, moim zdaniem, cuda nigdy nie wprawiają realisty w zakłopotanie. Nie cuda bowiem skłaniają realistę do wiary. Prawdziwy realista, który nie wierzy, zawsze znajdzie w sobie moc i zdolność przeczenia cudom i choćby nawet stanął przed niewątpliwym faktem, raczej nie dałby wiary własnym zmysłom, niżby miał uznać możliwość cudu. A gdyby nawet uznał, to jako fakt naturalny, który mu dotychczas był nie znany. W rzeczywistości wiara rodzi się nie od cudu, lecz cud od wiary. Jeżeli realista raz uwierzy, to właśnie ze względu na swój realizm powinien bezwarunkowo dopuścić istnienie cudu. Święty Tomasz apostoł mówił, że nie uwierzy, aż zobaczy, ujrzawszy zaś rzekł: „Pan mój i Bóg mój!” Czy to cud tchnął w niego wiarę? Chyba przeciwnie: uwierzył, ponieważ pragnął wierzyć, a może nawet wierzył już skrycie w głębi duszy, gdy mówił: „Nie uwierzę, aż zobaczę.”

Powiedzą mi może, że Alosza był tępym, nierozgarniętym, nie skończył szkoły i tak dalej. To prawda, nie skończył szkoły, ale byłoby wielką niesprawiedliwością nazwać go tępym albo głupim. Powtórzę, co już raz rzekłem, wkroczył na nową drogę tylko dlatego, gdyż w owym czasie tylko ona go olśniła; objawiła mu się jako ideał wyzwolenia duszy, wyrwującej się z mroku ku światłu. Dodajcie do tego, że należał do młodzieży ostatniego naszego pokolenia, która, uczciwa z natury, domaga się prawdy, poszukuje jej i wierzy w nią. Uwierzywszy zaś, domaga się z całej duszy natychmiastowego w niej udziału, domaga się natychmiastowego czynu, pragnie poświęcić dla niej wszystko, bodaj własne życie. Nie pojmują niestety ci młodzi, że ofiara z własnego życia jest, być może, w wielu wypadkach najłatwiejszym poświęceniem; że znacznie trudniej na przykład, a dla niektórych prawie zupełnie niemożliwe, poświęcić pięć czy sześć lat kipiącego młodością życia na ciężką, trudną naukę, na studia, chociażby tylko w tym celu, aby udziesięciokrotnie w sobie siły, potrzebne do służenia tejże prawdzie i dokonania umiłowanej i zamierzonej ofiary. Alosza obrał sobie tylko całkiem inną niż wszyscy drogę, ale wstąpił na nią z takim samym niecierpliwym pragnieniem natychmiastowego czynu. Skoro tylko po surowym namyśle doszedł do przekonania, że jest Bóg i nieśmiertelność duszy, natychmiast zupełnie naturalnie powiedział sobie: „Chcę żyć dla nieśmiertelności i nie przyjmuję połowicznego kompromisu.” Wiadomo również, że gdyby zdecydował, że nie ma Boga i nieśmiertelności, to niechybnie zostałby od razu ateistą i socjalistą (albowiem socjalizm jest nie tylko kwestią proletariatu, czyli tak zwanego czwartego stanu, lecz w najistotniejszej swej treści zagadnieniem ateizmu, zagadnieniem współczesnego ateizmu, zagadnieniem wieży Babel, Wznoszonej właśnie bez Boga, nie gwoli osiągnięcia nieba na ziemi, lecz dla ściągnięcia nieba ku ziemi). Aloszy wydało się dziwne i niemożliwe, by żył dawnym życiem. Powiedziane jest: „Rozdaj wszystko, co masz, i pójdz za mną, jeśli chcesz być doskonałym.” Alosza

więc powiedział sobie: „Nie mogę zamiast «wszystkiego» dać dwa ruble, a zamiast iść za Nim chodzić tylko na nabożeństwa.” Może z wczesnego dzieciństwa zachował wspomnienie naszego podmiejskiego monasteru, do którego mogła go przywozić matka na nabożeństwa. Może wpłynęły na to również skośne promienie zachodzącego słońca przed obrazem, pod którego opiekę oddała go „opętana” matka. Przyjechał do nas wówczas, zamyślony, po to tylko, aby się przekonać: czy tu jest „wszystko”, czy też tylko dwa ruble, i wówczas to w monasterze spotkał owego starca...

Wiadomo już czytelnikowi, że był to starzec Zosima; lecz w tym miejscu wypada powiedzieć kilka słów o „starcach” w ogóle, o ich stanowisku w naszych monasterach, i szkoda wielka, że w tej kwestii czuję się niezbyt kompetentnym i pewnym siebie. Spróbuję jednak poinformować czytelników w krótkich słowach i dosyć powierzchownie. Więc po pierwsze, znawcy twierdzą, że „starcy” pojawili się w rosyjskich monasterach stosunkowo niedawno, może nawet mniej niż sto lat temu, że natomiast na całym prawosławnym Wschodzie, zwłaszcza na Synaju i na górze Athos, są już od przeszło tysiąca lat. Utrzymują, że i na Rusi bywali niegdyś starcy, ale w zamierzchłych czasach, że to rzecz pewna, ale że w następstwie klęsk, najazdu Tatarów, zamętu, przzerwania dawnych stosunków ze Wschodem po zdobyciu przez Turków Konstantynopola instytucja ta poszła u nas w zapomnienie i starcy zanikli. Powołał ją znowu do życia z końcem zeszłego stulecia pewien wielce świątobliwy mnich (jak go nazywano) Paisij Wielickowski i jego uczniowie. Mimo to dziś jeszcze, po upływie niespełna stu lat, instytucja ta przyjęła się bynajmniej nie we wszystkich naszych monasterach. Zwalczana namiętnie, jako nie znane u nas nowinkarstwo, jest wciąż przedmiotem ostrych ataków. Rozkwitła zaś szczególnie w słynnej Pustelni Kozielskiej. Kto i kiedy zaszczerpił ją w naszym podmiejskim monasterze - nie wiem; wiem tylko, że ojciec Zosima był trzecim z rzędu starcem i że chociaż był wycieńczony słabością i chorobami i jedną nogą stał już w grobie, nie wiadano, kto będzie jego następcą. Była to sprawa nader ważna dla naszego monasteru, który dotąd niczym się nie wyróżnił: nie miał bowiem ani relikwii świętych, ani cudownych obrazów, ani nawet legend, powiązanych z dziejami naszego kraju, i nie mógł się powołać na żadne zdarzenie historyczne, na żadne zasługi względem ojczyzny. Zasłynął zaś na całą Rosję i rozkwitł pysznie tylko dzięki obecności starców, do których ściągwały pielgrzymki z całego kraju, z najdalszych jego rubieży. Ale czym jest właściwie taki „starzec”? „Starzec” to świątobliwy człowiek, który przejmuje waszą duszę i waszą wolę w swoją duszę i w swoją wolę. Obierając sobie starca, wyrzekacie się całkowicie własnej woli i zdajecie się raz na zawsze na wolę starca. Zaś poddajecie się tej próbie i skazujecie na tę straszliwą szkołę życia dobrowolnie, ufając, że po długim wysiłku przewycięzycie siebie, zapanujecie nad sobą do takiego stopnia, iż w końcu po wieloletnim posłuszeństwie dostąpicie doskonałej wolności, to znaczy, wyzwolicie się od siebie i unikniecie losu ludzi, którzy przeżyli całe swe życie, a siebie nie znaleźli. Praktyki te na Wschodzie nie opierają się zresztą na przesłankach teoretycznych, mają bowiem za sobą tysiącletnie doświadczenie. Powinności względem starców nie ograniczają się do zwykłego posłuszeństwa, odwiecznie stosowanego i w naszych rosyjskich monasterach. Dochodzi tu nadto nieustanna spowiedź i nierozzerwalny związek między związanym a tym, który wiąże. Opowiadają na przykład, że kiedyś w zaraniu chrześcijaństwa pewien nowicjusz, nie wykonawszy zlecenia swego starca, opuścił monaster i wywędrował do innego kraju, mianowicie z Syrii do Egiptu, i tam, po życiu pełnym wielkich i zbożnych trudów, poniósł śmierć męczeńską za wiarę. Ale gdy leżał w cerkwi, czczony jako święty, nagle po wezwaniu diakona: „Ustąpcie stąd, wykleci!” - trumna z ciałem męczennika zerwała się z katafalku i została wyrzucona ze świątyni; powtórzyło się to trzykrotnie. I wówczas stało się wiadome, że świątobliwy męczennik naruszył był śluby posłuszeństwa i opuścił swego starca, a przeto mimo swe wielkie czyny nie

dostanie rozgrzeszenia, dopóki mu starzec jego nie odpuści. I dopiero gdy zawezwany starzec uwolnił go od uczynionego ślubu, można było zwłoki męczennika pogrzebać. Oczywiście jest to zamierzchła legenda, ale są i niedawne. Oto jedna z nich: pewien współcześnie żyjący mnich szukał zbawienia na górze Athos. Umiłował tę pustelnię jako cichą przystań dla swej duszy, gdy nagle starzec tamtejszy kazał mu opuścić górę i iść z początku do Jerozolimy, do miejsc świętych, a potem wrócić do Rosji, na północ, na Syberię. „Tam twoje miejsce, a nie tutaj.” Osłupiały i do głębi strapiony mnich wyruszył do Konstantynopola, do patriarchy, i błagał go o zwolnienie od ślubu posłuszeństwa. Ale władca odparł, że nie tylko sam nie może uwolnić go od posłuszeństwa, ale że nie ma i być nie może na ziemi takiej władzy, która by mogła go zwolnić od posłuszeństwa nałożonego nań przez starca, z wyjątkiem tego starca, który ją na niego nałożył.

Starcy zatem w pewnych wypadkach posiadają nieograniczoną i niepojętą władzę. Oto czemu w wielu monasterach zwalczano i niemal prześladowano tę instytucję. Lud natomiast garnął się od razu do starców i okazywał im najwyższą cześć. Do naszych zaś starców pielgrzymował na przykład nie tylko gmin, ale i najznamienitsi ludzie, by poddając się całkowicie ich władzy, spowiadać się ze swych wątpliwości, z grzechów, cierpień i zgryzot, i szukać rady oraz pociechy. Widząc to przeciwnicy starców podnieśli krzyk, zarzucając im między innymi, że samowolnie i lekkomyślnie bezczeszczą sakrament spowiedzi, choć nieustanne spowiadanie duszy przed starcem lub osobą świecką nie jest spowiedzią w znaczeniu sakramentu. Mimo wszystkie oskarżenia stanowisko starców w Rosji utrzymywało się, a nawet zaczynało się pomału wszędzie przyjmować. Trzeba jednak przyznać, że to od tysiąca lat wypróbowane narzędzie moralnego odradzania się człowieka, dążenia od niewoli ku wolności, może się stać bronią obosieczną i niejednego doprowadzić, zamiast do pokory i moralnej doskonałości, do najbardziej satanicznej pychy, zatem do łańcuchów, a nie do wolności.

Starzec Zosima miał sześćdziesiąt pięć lat, pochodził z ziemiańskiej rodziny, we wczesnej młodości służył w wojsku na Kaukazie jako oficer wyższej rangi. Niezawodnie ogromne wrażenie, jakie wywarł na Aloszy, było skutkiem jakiejś szczególnej zalety jego duszy. Alosza zamieszkał w celi starca, który go bardzo polubił i trzymał przy sobie. Zwracam uwagę czytelnika, że Alosza, chociaż mieszkał w monasterze, nie był niczym skrępowany, mógł wychodzić dokądkolwiek i na jak długo chciał, a jeżeli nosił riasę, to dobrowolnie, aby nie odróżniać się od mnichów. Zresztą odpowiadało to w zupełności jego życzeniom. Bardzo być może, iż na młodzieńczą wyobraźnię Aloszy żywo podziałała również popularność i rozgłos jego starca. Wielu opowiadało o ojcu Zosimie, że dopuszczając do siebie od tylu lat wszystkich pragnących ulżyć swemu sercu, wszystkich łaknących jego wskazówek i uzdrawiającego słowa, tyle przyjął do swej duszy wyznań, skruchy i zwierzeń, że wystarczyło mu raz rzucić okiem na pielgrzyma, aby domyślić się: z czym przyszedł, czego pragnie, a nawet co ma na sumieniu. Zdumiewał więc, niepokoił i przerażał, odgadując sekrety, o których nikt mu nic nie mówił. Alosza rychło przekonał się, że prawie wszyscy, którzy po raz pierwszy przybywali do starca na rozmowę w cztery oczy, wchodzili zakłopotani, niespokojni i strwożeni, wychodzili zaś pogodni i rozpromienieni, najbardziej zasepione oblicza tchnęły szczęściem. Alosza z niezwykłym zdumieniem spostrzegł od razu, że w tym potężnym starcu nie ma cienia surowości; wręcz przeciwnie, był zawsze pogodnego, prawie wesołego usposobienia. Mnisi opowiadali, że starzec do tych najbardziej się przywiązuje, którzy grzeszą najwięcej, i najsilniejszą miłością darzy najgorszego grzesznika. Było jednak w monasterze, nawet u schyłku życia starca, kilku mnichów, którzy go nienawidzili i zazdrościli mu, ale była ich coraz mniejsza garstka, a poza tym nie

okazywali tych uczuć. Co prawda niektórzy z nich byli bardzo znani i odgrywali wybitną rolę w życiu naszego monasteru. Był wśród nich na przykład jeden z najstarszych mnichów, wielki asceta, przestrzegający najsurowszych postów i milczenia. Jednakże ogromna większość mnichów stała niewątpliwie po stronie Zosimy, wielu miłowało go całym sercem, szczerze i żarliwie, a niejeden darzył go fanatycznym przywiązaniem. Mówili wręcz, choć niezupełnie na głos, że starzec Zosima jest świętym, że jest to fakt niewątpliwy; przewidując zatem rychły jego zgon, spodziewali się nawet natychmiastowych cudów i co za tym idzie, wielkiego dla monasteru rozgłosu. Podobnie Alosza wierzył bez zastrzeżeń w cudowną moc starca, tak samo jak wierzył ślepo w historię o wyrzuconej ze świątyni trumnie. Widział zresztą na własne oczy sceny potwierdzające tę wiarę: pielgrzymi, co przyprawiali do starca chore dzieci czy dorosłych krewnych, błagając go, by zechciał położyć rękę na zbolących głowach i odczytać nad nimi modlitwę, przeważnie wracali potem, niektórzy nawet przybiegali nazajutrz, rzucali się starcowi do nóg i ze łzami dziękowali za uzdrowienie chorych. Czy naprawdę były to wypadki uzdrowienia, czy tylko naturalnego polepszenia? - Alosza nie zadawał sobie zgoła takich pytań, albowiem wierzył już najgłębiej w duchową moc swego mistrza, którego sławę utożsamiał niemal z własnym triumfem. Serce drżało mu z zachwytu, rozpromieniał się cały, gdy starzec wychodził do tłumu czekających u wrót pałniców, którzy zbiegali się z najodleglejszych stron kraju po to tylko, aby ujrzeć świątobliwego starca i otrzymać jego błogosławieństwo. Padali przed nim na twarz, płakali, całowali ziemię, na której stał, szlochali, kobiety podnosiły ku niemu trzymane na rękach dzieci, przyprowadzały „opętane”. Starzec wdawał się z nimi w pogawędkę, odmawiał nad nimi krótką modlitwę i błogosławił. W ostatnich czasach coraz częstsze ataki choroby tak go osłabiły, że nie miał siły wyjść ze swej celi; toteż pielgrzymi nieraz po kilka dni czekali w monasterze na jego błogosławieństwo. Alosza doskonale sobie uświadamiał, dlaczego go kochają, dlaczego padają mu do nóg i dlaczego płaczą ze wzruszenia na widok jego twarzy. O tak, doskonale rozumiał, że dla pokornej duszy rosyjskiego chłopca, strudzonej ciężką pracą i niedolą, a nade wszystko steranej nieustanną niesprawiedliwością i nieustannym grzechem, własnym i powszechnym, nie masz silniejszej potrzeby i większej pociechy nad świętą lub świętego, przed którym można paść i pokłonić się: „Chociaż żyjemy w grzechu, kłamstwie i pokusie, przecież gdzieś na ziemi istnieje człek święty, najlepszy; ten za nas ma prawdę, ten zna za nas prawdę: więc nie umiera ona na ziemi, więc i nam kiedyś zaświta i zapanuje na całym świecie, jako nam przyrzeczono.” Alosza wiedział, że w ten właśnie sposób czuje i nawet myśli lud rosyjski, rozumiał to doskonale. Nie wątpił zarazem ani chwili, że nie kto inny, tylko starzec Zosima jest tym świętym, tym stróżem prawdy Bożej w oczach ludu. Podzielał uczucia i przekonania tych płaczących chłopów i chorych chłopek, podnoszących do starca swoje dzieci. I nikt chyba w całym monasterze nie wierzył równie głęboko jak Alosza, że po śmierci starca spłynie na monaster nadzwyczajna chwała. Szczęściem najwyższym przepełniało go to przeświadczenie. I nie tylko ono. Przez cały czas pobytu w monasterze jakiś głęboki, płomienny zachwyt wewnętrzny coraz silniej rozpałał się w sercu Aloszy. Nic go nie mogło zmieszać, nawet to, że święty starzec jest w swej doskonałości odosobniony i jedyny. „Cóż z tego? Starzec Zosima jest świętym, serce jego kryje tajemnicę powszechnego odrodzenia, ową moc, która nareszcie urzeczywistni prawdę na ziemi, i wówczas wszyscy będą święci i będą kochać się wzajem i nie będzie ani bogatych, ani biednych, ani pysznych, ani poniżonych, i będą wszyscy równi jako dzieci Boże i nastąpi prawdziwe królestwo Chrystusa na ziemi.” Takie oto było serdeczne marzenie Aloszy.

Zdaje się, że Alosza bardzo się przejął przyjazdem obu braci, których dotychczas wcale nie znał. A chociaż brat przyrodni, Dymitr Fiodorowicz, przyjechał później, Alosza rychlej i łatwiej zbliżył się z nim niż z drugim, rodzonym bratem, Iwanem Fiodorowiczem. Jednak Iwan interesował

go ogromnie; niestety już dwa miesiące upłynęły, obaj bracia widywali się dosyć często, a przecież coś przeszkadzało im zbliżyć się do siebie. Alosza sam był milczący, wciąż jakby czekał na coś, jakby się czegoś wstydził: Iwan zaś rzucał nań wprawdzie z początku - jak to Alosza spostrzegł - przeciągłe i badawcze spojrzenia, ale wkrótce jak gdyby przestał o nim myśleć. Alosza zauważył to od razu z uczuciem niejakego zakłopotania. Obojętność brata kładł na karb różnicy wieku, a zwłaszcza wykształcenia. Jednocześnie snuł inne domysły: brak zaciekawienia względem młodszego brata wpływał zapewne z innych, nieznanych przyczyn. Aloszy wciąż się zdawało nie wiadomo czemu, że Iwan jest stale czymś zajęty, jakąś istotną i wewnętrzną sprawą, że dąży do jakiegoś celu, być może bardzo trudnego, który całkowicie pochłania jego uwagę, i tym zapewne należy sobie wytłumaczyć roztargnione spojrzenie, jakim mierzy brata. Zastanawiał się Alosza czasem i nad tym: czy nie jest to aby pogarda, pogarda wykształconego ateisty względem młodego, głupiutkiego kleryka. Wiedział bowiem doskonale, że brat jego jest ateistą. Tego zaś rodzaju pogarda, gdyby nawet nie była urojona, nie mogła go obrazić. Bądź co bądź, sam tego nie rozumiejąc, oczekiwał z trwożnym zakłopotaniem chwili, kiedy brat zechce się do niego zbliżyć. Dymitr Fiodorowicz odzywał się o Iwanie z najwyższym szacunkiem i podziwem, mówił o nim nawet z jakimś szczególnym przejęciem. To Dymitr właśnie wtajemniczył Aloszę w szczegóły owej poważnej sprawy, która w ostatnich czasach złączyła obu starszych braci mocnym i ścisłym węzłem. Entuzjastyczne opinie Dymitra o Iwanie były w pojęciu Aloszy tym bardziej znamienne, że Dymitr był w zestawieniu z Iwanem kompletnym nieukiem i że obaj bracia, postawieni obok siebie, stanowili pod każdym względem jako jednostki i charaktery tak jaskrawe przeciwieństwo, że chyba trudno o jaskrawsze.

Wtedy to właśnie odbyło się spotkanie, albo dokładniej mówiąc, jak gdyby zjazd wszystkich członków tej niezgranej rodziny w celi starca. Zdarzenie to wywarło ogromny wpływ na Aloszę. Pretekst do zjazdu był, właściwie mówiąc, fałszywy. Zatarg o dziedzictwo i majątkowe porachunki między Dymitrem Fiodorowiczem i ojcem jego Fiodorem Pawłowiczem przekroczył wszelkie granice względnej nawet przyzwoitości. Stosunki ojca z synem pogorszyły się niesłychanie i stały się nie do zniesienia. Zdaje się, że to Fiodor Pawłowicz w żartobliwej formie poddał myśl zwołania rady rodzinnej w celi starca Zosimy. Liczył nie tyle na pośrednictwo starca, ile na to, że jego godność i osoba podziela ugodo i ustrzeże przeciwników od nieprzyzwoitych wyskoków. Dymitr Fiodorowicz nie był nigdy u starca i nie znał go, w propozycji ojca dopatrywał się chęci zastraszenia, lecz że w skrytości serca poczuwał się wobec ojca do winy z powodu niektórych, szczególnie drażliwych wystąpień, więc przyjął wezwanie. Przy sposobności dodam, że nie mieszkał w domu ojca jak Iwan, lecz ulokował się osobno, na przeciwnym krańcu miasta. Traf zrządził, że Piotr Aleksandrowicz Miusow, bawiący podówczas w naszym mieście, bardzo się zapalił do pomysłu Fiodora Pawłowicza. Liberał typu lat 1840-50, wolnomyśliciel i ateista, może raczej z nudów, a może i dla lekkomyślnej rozrywki, zajął się niezmiernie żywo całą tą sprawą. Zachciało mu się naraz obejrzeć monaster i „świętego”. A że wciąż jeszcze trwał dawny jego zatarg z monasterem i wciąż jeszcze ciągnęła się sprawa o miedzę, o jakieś tam prawa do wyrębu, do rybołówstwa i tak dalej, więc miał już gotowy pretekst, że niby chce się rozmówić z ojcem ihumenem, czyby nie można było raz na zawsze zakończyć sporu polubownie. Spodziewał się, że petenta z tak szlachetnymi zamiarami przyjmą w monasterze o wiele lepiej i grzeczniej niż zwykłego ciekawca. Względy te mogły również skłonić mnichów do wywarcia nacisku na chorego starca, który ostatnimi czasy nie opuszczał prawie swej celi i wskutek ogromnego osłabienia nie przyjmował nawet stałych pątników. Piotr Aleksandrowicz nie przeliczył się: starzec Zosima istotnie wyraził swą zgodę i ustalił dzień. „Kto mnie uczynił ich rozjemcą?” - odezwał się do Aloszy z uśmiechem.



Alosza zaś bardzo się zaniepokoił na wiadomość o zamierzonej naradzie. Rozumiał, że tylko Dymitr przyjdzie z poważnymi zamiarami, natomiast wszyscy inni bez wątpienia przybędą tu w celach błahych, a bodaj czy nie obraźliwych dla starca. Iwan i Piotr Aleksandrowicz Miusow przyjadą z ciekawości, oczywiście najordynarniejszego gatunku, a ojciec zapewne dla błazeństwa i odegrania komedii. O tak. Alosza milczał, lecz głęboko i prawdziwie znał już swego ojca. Powtarzam znów, że bohater mój nie był bynajmniej tak prostoduszny, jakim się wydawał. Z ciężkim sercem oczekiwał wyznaczonego dnia. Rzecz jasna, bardzo mu na tym zależało, aby wszystkie te niesnaski rodzinne wreszcie się skończyły. Jednak w pierwszym rzędzie dbał o spokój starca; drżał o niego, o jego sławę, lękał się obraźliwych wyskoków, zwłaszcza subtelnych, uprzejmych szyderstw Miusowa i lekceważących niedomówień wykształconego Iwana - przynajmniej tak sobie to wszystko z góry wyobrażał. Chciał nawet odważyć się i ostrzec starca, wyjaśnić mu, co za ludzie mają tu przybyć, ale po namyśle odstąpił od tego zamiaru. W przeddzień zebrania napisał tylko do Dymitra, że go bardzo kocha i przypomina mu daną obietnicę. Dymitr na próżno głowił się - nie mógł w żaden sposób sobie przypomnieć, jaką obietnicę mógł dać młodszemu bratu. Odpisał jednak, że będzie się starał powstrzymać od „podłości” i że, mimo szacunku dla starca i Iwana, wietrzy w tym spotkaniu jakiś podstęp czy też nikczemną komedię. „Jednak raczej połknę język, niżbym miał uchybić w szacunku świątobliwemu mężowi, którego ty cenisz tak bardzo” - tymi słowy zakończył swój list. Wlały one nieco otuchy w serce Aloszy.

# KSIĘGA DRUGA

## NIEPRYZWOITE ZEBRANIE

### I PRZYJECHALI DO MONASTERU

Był piękny, ciepły i pogodny dzień w końcu sierpnia. Spotkanie w celi starca miało się odbyć po późnym nabożeństwie, gdzieś koło godziny wpół do dwunastej. Zaproszeni goście nie raczyli jednak przybyć na nabożeństwo, a zjawili się akurat, gdy gaszono świece. Zajechali dwoma pojazdami: w eleganckim powozie, zaprzężonym w parę wspaniałych koni, siedział Piotr Aleksandrowicz Miusow i jego daleki krewny, dwudziestoletni młodzieniec Piotr Fomicz Kałganow, przygotowujący się w owym czasie do wstąpienia na uniwersytet. Miusow, u którego Kałganow nie wiadomo czemu chwilowo mieszkał, zachęcał go do wspólnego wyjazdu za granicę, do odbycia studiów w Zurychu lub w Jenie. Lecz młodzieniec jeszcze się nie zdecydował. Był zamyślony i jakby roztargniony. Miał twarz sympatyczną, budowę krzepką, wzrost dosyć słuszny. Spojrzenie jego chwilami w dziwny sposób zastygało: jak wszyscy bardzo roztargnieni ludzie mógł na kogoś spoglądać długo i uporczywie, a jednak wcale go nie widzieć. Na ogół był milczący i nieco niezgrabny, jednak zdarzało się - zresztą wyłącznie w cztery oczy - że naraz stawał się wyjątkowo rozmowny, porywczy, skory do śmiechu i śmiał się czasem Bóg wie z czego. Ale to ożywienie równie prędko i nieoczekiwanie stygło, jak wybuchało. Ubierał się zawsze bardzo elegancko, a nawet wykwintnie; posiadał już osobisty majątek i spodziewał się w najbliższej przyszłości odziedziczyć znacznie większy. Z Aloszą łączyła go przyjaźń.

Fiodor Pawłowicz z synalkiem swoim Iwanem Fiodorowiczem przyjechał w bardzo starym, rozklekotanym, lecz pakownym, zwyczajnym powozie, zaprzężonym w parę wysłużonych dereszy, bardzo odcinającym się od szykownego zaprzęgu Miusowa. Dymitr Fiodorowicz spóźniał się, mimo że jeszcze poprzedniego dnia oznajmiono mu termin i godzinę spotkania. Goście wysiedli z powozów przed obrębem murów monasteru koło zajazdu i weszli pieszo przez wrota. Z wyjątkiem Fiodora Pawłowicza nikt z nich, zdaje się, nie był jeszcze nigdy w żadnym monasterze, a Miusow pewnie od trzydziestu lat nie przekroczył progu świątyni. Toteż rozglądał się wokoło z niejakim zaciekawieniem i z ostentacyjną, mocno nadrabianą swobodą. Lecz spostrzegawczy jego umysł i uważne oko nie dojrzały w monasterze nic godnego uwagi poza gospodarskimi i cerkiewnymi budynkami, nawiasem mówiąc, bardzo pospolitymi. Ostatni wierni wychodzili z cerkwi, trzymając czapki w rękach i żegnając się nabożnie. Byli między nimi i przyjezdni, przeważnie ludzie z wyższych sfer, dwie lub trzy panie, jakiś bardzo sędziwy generał; wszyscy oni stanęli w zajeździe. Żebracy obścibali naszych przybyszów, ale żaden z nich nie kwapił się z datkiem. Jedynie Pietrusza Kałganow wyjął z portmonetki dziesięć kopiejek i, Bóg wie dlaczego ożywiony i zmieszany, czym prędeziej wsunął pieniądze do ręki jakiejś starowinie, szepcząc: „Podzielić równo.” Nikt z gości nie zwrócił na to uwagi, nie miał więc powodu do mieszania. Kałganow uprzytomnił to sobie i zmieszał się jeszcze bardziej.

Jedna rzecz zdziwiła wszystkich; należało się spodziewać, że ktoś będzie ich oczekiwał, może nawet powita z honorami: jeden z nich stosunkowo niedawno ofiarował na monaster tysiąc rubli, a drugi był najbogatszym obywatelem ziemskim i, rzecz można, najbardziej wykształconym w powiecie człowiekiem; monaster był nawet po części od niego zależny, gdy chodziło o rybołówstwo, zważywszy, że sprawa sądowa mogła przyjąć niepomysłny dla monasteru obrót. A jednak nie witała ich żadna oficjalna osobistość. Miusow z roztargnieniem spoglądał na nagrobki koło cerkwi i zamierzał zrobić uwagę, że chyba rodziny nieboszczyków słono opłaciły prawo grzebania swoich zmarłych w tym świętym miejscu, lecz powściągnął się: właściwa mu liberalna ironia przerodziła się nieledwie w gniew.

- Do kogo, u licha, zwrócić się w tym galimatiasie... Trzeba się w końcu zdecydować, bo czas upływa - odezwał się nagle jakby do siebie.

W tej chwili podszedł do nich starszy, łysawy jegomość w szerokim letnim paltocie, ze słodkimi oczkami. Z lekka uniósłszy kapelusza, ze słodką unізonością przedstawił się wszystkim, nie podając ręki, jako obywatel spod Tuły, Maksymow. W lot zorientował się w sytuacji naszych pątników.

- Starzec Zosima mieszka w pustelni, której nie opuszcza, będzie ze czterysta kroków od monasteru, na przełaj przez lasek, przez lasek...

- To i ja wiem, że przez lasek - odezwał się Fiodor Pawłowicz - aleśmy drogę zapomnieli, dawnośmy tu byli.

- A właśnie przez tę bramę i prosto przez lasek... przez lasek. Chodźmy. Może panowie pozwolą... mnie samemu... ja sam. Tędy proszę, tędy...

Wyszli z bramy i skierowali się przez las. Pan Maksymow, człowiek lat około sześćdziesięciu, mówiąc właściwie, nie szedł, lecz biegł truchcikiem z boku, przypatrując się przybyszom z gorączkową, prawie że nieznośną ciekawością. Spoglądając na nich, miał oczy z lekka wybałuszone.

- Uważa pan, przyjechaliśmy do tego starca w pewnej sprawie - zauważył oschle Miusow. - Uzyskaliśmy, że tak powiem, audiencję u „świętobliwej osoby”, a przeto, chociaż wdzięczni panu jesteśmy za wskazanie drogi, prosimy nie wchodzić razem z nami.

- Byłem już, a jakże, byłem... *Un chevalier parfait!*[3] - co mówiąc Maksymow przytknął palcami w powietrzu.

- Któż to jest *chevalier*? - zapytał Miusow.

- Starzec, bajeczny starzec, starzec... Honor i chluba monasteru. Zosima. To taki starzec...

W tej chwili dogonił ich niski, wychudły i bardzo blady mnich w kłobuku i przerwał bezładną gadaninę Maksymowa. Fiodor Pawłowicz i Miusow stanęli. Mnich przywitał gości niezwykle grzecznie, prawie w pas się pokłonił i rzekł:

- Ojciec ihumen pokornie prosi wielmożnych panów po wyjściu z pustelni do siebie na obiad. O godzinie pierwszej, nie później. I pana także - dodał zwracając się do Maksymowa.

- Stanowczo skorzystam z tego zaproszenia! - zawołał Fiodor Pawłowicz, niezmiernie uradowany - stanowczo. I pamiętajcie, panowie, przyrzekliśmy sobie zachowywać się tutaj przyzwoicie... A pan, Piotrze Aleksandrowiczu, czy pójdzie pan z nami?

- Naturalnie. Przyjechałem właśnie w tym celu, aby się przyjrzeć tutejszym zwyczajom. Jedno mnie tylko krępuje: że jestem tu z panem, Fiodorze Pawłowiczu...

- Tak, Dymitra Fiodorowicza jeszcze nie ma.

- Ależ byłoby świetnie, żeby wcale nie przyszedł; czy pan sądzi, że przyjemność sprawiają mi te wasze swary, jeszcze z waćpanem na dokładkę? Zatem przyjdziemy na obiad, proszę podziękować w naszym imieniu ojcu ihumenowi - zwrócił się do mniszka.

- Mam polecenie zaprowadzić wielmożnych panów do samego starca - odrzekł mnich.

- A ja w takim razie do ojca ihumena, ja tymczasem wprost do ojca ihumena - zaszczębiotał Maksymow.

- Ojciec ihumen w obecnej chwili jest zajęty, ale jak pan uważa... - niezdecydowanie odezwał się mnich.

- Niezwykle natrętny staruszek - orzekł na głos Miusow, skoro Maksymow pobiegł z powrotem do monasteru.

- Podobny do von Zonna - wtrącił nagle Fiodor Pawłowicz.

- Pan wciąż tylko to masz na myśli... Z jakiej racji podobny do von Zonna? A czy pan widział kiedy von Zonna?

- Widziałem fotografię. Chociaż rysy twarzy odmienne, ale jest jakieś podobieństwo trudne do określenia. Kubek w kubek sobowtór von Zonna. Zawsze miarkuję tylko z fizjonomii.

- Niech i tak będzie; pan się na tym wyznaje. Tylko jedno panu chcę powiedzieć, Fiodorze Pawłowiczu, sam pan mi raczył przypomnieć, że daliśmy sobie słowo zachowywać się przyzwoicie. Proszę o tym pamiętać. Powiadam panu, musi się pan bezwzględnie hamować. Jeżeli zacznie pan błaznować, to proszę mi wierzyć, iż nie będę pana krył swoim nazwiskiem... Taki to już człowiek - odezwał się do mnicha. - Obawiam się wchodzić z nim do przyzwoitych ludzi.

Na bladych, bezkrwistych wargach mniszka pojawił się subtelny, milczący uśmiezek, nie pozbawiony pewnego sprytu. Ale nic nie odpowiedział; widać było, że milczy z poczucia własnej godności. Miusow nachmurzył się jeszcze bardziej.

„A niech ich diabli porwą, urobiona od wieków powierzchowność, a wewnątrz szarlataństwo i bzdura” - przemknęło mu przez głowę.

- Ot i pustelnia, jesteśmy na miejscu! - zawołał Fiodor Pawłowicz. - Wrota zamknięte.

I począł żegnać się zamasyście przed świętymi obrazami, namalowanymi na tympanie i po obu stronach wrót.

- Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i ony - rzekł po chwili. - W tej to pustelni dwudziestu pięciu mnichów dusze ratuje, wzajem na się spoziera i kapustą się żywi. I co najciekawsze, że ani jednej kobiety do celi nie puszczają. A tak jest naprawdę. Tylko że, jak powiadają przecie ludziska, świątobliwy starzec przyjmuje panie? - zapytał nagle mnicha.

- Wiejskie baby to i teraz są tam, leżą sobie koło ganeczku i czekają. A dla pań, to znaczy dla niewiast z wyższej sfery, urządzone są na galeryjce, ale poza celą, dwa pokoiki - o, tam właśnie, tamte okna. Starzec wychodzi do nich, naturalnie, kiedy zdrów, przez wewnętrzny korytarz, nie opuszczając domu. Czeką tam już jedna pani, obywatelka ziemską spod Charkowa, pani Chochłakow ze swoją chorą córką. Pewnie starzec przyrzekł, że ją przyjmie, chociaż ostatnimi czasy tak jest wyczerpany, że i do pielgrzymów rzadko kiedy wychodzi.

- To znaczy, że jest jakaś ścieżyna prowadząca z pustelni do niewiast. Nie myśl, ojczy wielebny, że ja coś tego, ja tylko tak. Wiecie, panowie, na górze Athos, chybaście słyszeli, nie tylko kobiet nie puszczają wcale, ale w ogóle nie mogą tam być żadne kobiety ani inne istoty płci żeńskiej, kurki, indyczki, jałówki...

- Fiodorze Pawłowiczu, wróć i zostawię tu pana samego, a beze mnie to pana wnet stąd wyproszą, prorokuję to panu.

- A czymże to panu przeszkadzam, Piotrze Aleksandrowiczu? Patrzajcie - zawołał nagle Fiodor Pawłowicz, znalazłszy się za murem - patrzajcie, w jakiej dolinie róż oni mieszkają!

Nie było tu co prawda obecnie róż, lecz były inne kwiaty, rzadkie i piękne kwiaty jesienne. Jaskrawiły się wszędy, gdzie tylko można je było zasadzić. Widocznie opiekowała się nimi czyjaś doświadczona ręka. Roilo się od klombów między budynkami i mogiłami. Domek, w którym znajdowała się cela starca, drewniany, parterowy, z gankiem, był również ze wszystkich stron obsadzony kwiatami.

- Czy było tu coś takiego za poprzedniego starca Warsonofia? Tamten, powiadają, nie cierpiał żadnego upiększenia, o byle co zrywał się i okładał kosturem gości, nie oszczędzając nawet płci pięknej - odezwał się Fiodor Pawłowicz wchodząc na ganeczek.

- Starzec Warsonofij po prawdzie czasem wydawał się jakby nawiedzony, ale ludzie zmyślają wiele nieprawdziwych rzeczy. A kosturem nigdy nikogo nie okładał - odparł mniszek. - Teraz panowie zechcą poczekać chwilę, pójdę zawiadomić starca.

- Fiodorze Pawłowiczu, po raz ostatni powtarzam panu warunek. Niech się pan zachowuje przyzwoicie, inaczej gorzko pan pożałuje - zdążył jeszcze wyszeptać Miusow.

- Nie pojmuję, czego pan tak bardzo wzburzony - odpowiedział szyderczo Fiodor Pawłowicz. - Zląkł się pan swoich grzeszków, co? Powiadają przecie, że on z oczu od razu miarkuje, kto z czym przyszedł. A cóż to pan tak wysoko ceni jego zdanie, i kto? - pan - taki paryżanin i postępowiec.

Nawet się panu dziwię, doprawdy!

Miusow nie zdążył odpowiedzieć na sarkastyczną uwagę, gdyż w tej chwili poproszono ich do celi. Czuł się nieco podrażniony...

„No, znam siebie, jestem rozdrażniony, zacznę się sprzeczać, uniosę się i skompromituję siebie i swoje przekonania” - przemknęło mu przez myśl.

## II STARY BŁAZEN

Weszli do celi niemal równocześnie ze starcem, który na ich widok wyszedł ze swej alkowy. W celi oczekiwali już starca dwaj ojcowie: jeden był bibliotekarzem, drugi, ojciec Paisij, był to chorowity mnich, dosyć jeszcze młody i, jak powiadano, wybitnie uczony. Prócz nich był tu jeszcze młody, dwudziestokilkoletni młodzieniec w surducie, seminarzysta, przyszły teolog, którym nie wiadomo dlaczego monaster nasz i mnisi szczególnie się jakoś opiekowali. Stał w kącie i przez cały czas ani się poruszył. Dosyć wysoki, miał twarz świeżą, o wydatnych kościach policzkowych, o (bardzo) wąskich piwnych oczach, małych i bystrych. W postawie jego był wyraz głębokiego uszanowania, ale godnego, bez cienia uniżoności. Nie pozdrowił wchodzących, jako osoba im nierówna, niższa od nich i poniekąd zależna.

Starzec Zosima wyszedł w asyście nowicjusza i Aloszy. Obaj ojcowie wstali na powitanie, pokłonili się bardzo nisko, palcami dotykając ziemi, po czym, pobłogosławieni, ucałowali rękę starca. Następnie starzec odpowiedział każdemu z nich również głębokim pokłonem i każdego poprosił o błogosławieństwo. Cała ceremonia odbyła się w zupełnej powadze, nie jako powszedni obrządek, lecz z jakimś szczególnym namaszczeniem. Mimo to Miusow dopatrzył się w niej świadomej tendencji. Z całego grona on stał najbliżej starca. Powinien był - i nawet zastanawiał się nad tym poprzedniego wieczoru - pomimo takich czy innych przekonań, choćby z przyzwyczajenia (skoro już takie są tu obyczaje) podejść i poprosić o błogosławieństwo, przynajmniej poprosić o błogosławieństwo, jeśli już żadną miarą nie chciał ucałować ręki starca. Atoli na widok tych pokłonów i cmokania zmienił momentalnie zamiar: złożył dosyć głęboki, jak na świeckie zwyczaje, ukłon i podszedł do krzesła. Tak samo zachował się Fiodor Pawłowicz, tym razem wyraźnie jak małpa przedrzeźniając Miusowa. Iwan Fiodorowicz ukłonił się bardzo uprzejmie i godnie, młody zaś Kałganow zmieszał się tak, że zapomniał się ukłonić. Starzec opuścił wzniesioną już do błogosławieństwa rękę i pokłoniwszy się po raz drugi poprosił, aby wszyscy raczyli zająć miejsca. Krew zalała policzki Aloszy; poczuł palący wstyd. Jego złe przeczucia zaczynały się sprawdzać.

Starzec usiadł na obitej skórą mahoniowej kanapie, bardzo starej roboty, gości zaś - z wyjątkiem obu mnichów - usadowił na stojących rzędem pod przeciwległą ścianą czterech krzesłach z takiegoż drzewa, obitych czarną, mocno przetartą skórą. Ojcowie usiedli po bokach, jeden koło drzwi, drugi przy oknie. Seminarzysta, Alosza i nowicjusz stali. Cella była niewielka i miała jakiś zaniedbany wygląd. Umeblowanie składało się wyłącznie z najniezbędniejszych sprzętów, grubo ciosanych, ubogich. Na oknie stały dwie doniczki z kwiatami; w kącie wisiało wiele ikon - między

nimi obraz Matki Boskiej, ogromny, ręcznie malowany, pochodzący zapewne jeszcze z czasów znacznie poprzedzających odszczepieństwo starowierców. Przed nim tliła się lampka; obok niego wisiały dwie inne ikony z wizerunkiem w świecących ryzach, a dalej figurki cherubinów, porcelanowe jajeczka, katolicki krzyż z kości słoniowej z obejmującą go *Mater dolorosa* i kilka zagranicznych sztychów z obrazów wielkich, włoskich, starych mistrzów. Obok tych wysoce artystycznych i cennych rycin wisiało kilka odpustowych rosyjskich litografii, wyobrażających świętych, męczenników, jakie za grosze sprzedawano na każdym jarmarku. Poza tym było tu jeszcze kilka litograficznych portretów współczesnych i dawnych rosyjskich archijerejów, ale te wisiały na innych ścianach. Miusow obejrzał powierzchownie cały ten „odpustowy kram” i zatrzymał badawcze spojrzenie na starcu. Szanował bowiem swój wzrok; słabostki tej nie możemy mu brać za złe, ponieważ miał już lat pięćdziesiąt, osiągnął zatem ów krytyczny wiek, kiedy każdy mądry, elegancki, zabezpieczony na starość człowiek, czasem nawet mimo woli, zawsze zaczyna odnosić się do siebie z większym szacunkiem.

Starzec nie spodobał mu się z pierwszego wejrzenia. Istotnie, było coś w wyrazie jego twarzy, co mogło się nie spodobać nie tylko Miusowowi. Był to niewysoki, zgarbiony mnich ledwo trzymający się na nogach; miał zaledwie sześćdziesiąt pięć lat, lecz wycieńczony chorobą, wyglądał przynajmniej o dziesięć lat starzej. Całe jego oblicze, bardzo wysuszone, było usiane drobnymi zmarszczkami, które skupiły się szczególnie koło oczu. Oczy zaś były nieduże, jasne, bystre i błyszczące, jakby dwa skrzące punkty. Siwiuteńkie włoski zachowały się jedynie na skroniach, bródka była mała i rzadka, w szpic, a wargi, składające się często do uśmiechu, wąziutkie jak dwa sznureczki. Nos nie tyle długi, ile ostry jak u ptaszka.

„Sądząc z powierzchowności, złośliwa, małostkowa, nadęta duszyczka” - pomyślał Miusow, bardzo z siebie niezadowolony.

Uderzenia zegara ułatwiły nawiązanie rozmowy. To tani, mały zegar ścienny z ciężarkami wydzwonił spiesźnie godzinę dwunastą.

- Akurat w sam czas! - zawołał Fiodor Pawłowicz. - A syna mego Dymitra Fiodorowicza wciąż jeszcze nie ma. Przepraszam za niego, święty starcze! (Alosza aż wzdrygnął się, usłyszawszy zwrot: „święty starcze”). Ja natomiast jestem zawsze punktualny, co do minutki, pamiętając, że punktualność jest grzecnością królów...

- Ale pan przecie nie jest królem - nie mogąc się powstrzymać mruknął Miusow.

- Tak, to prawda, nie jestem królem. I wyobraź pan sobie, Piotrze Aleksandrowiczu, że sam o tym wiedziałem, jak Bożę kocham! Zawsze jakoś wyrwie mi się niestosowne słówko! Wasza wielebność! - zawołał nagle z jakimś niespodzianym patosem - widzisz przed sobą figlarza, wierutnego błazna! Przedstawiam się. Stare przyzwyczajenie, niestety! A że czasem niestosownie zełgam, to nawet umyślnie, umyślnie, aby rozśmieszyć i być miłym. Trzeba przecie, na Boga, być miłym, prawda? Przyjechałem, już temu ze siedem lat będzie, do pewnej miejsciny, za interesem, ma się rozumieć, i z jakimiś kupczykami wszedłem w spółkę. Idziemy razem do sprawnika, bo trzeba było i zapytać go o coś tam, i na obiad zaprosić. Wychodzi do nas sprawnik - wysoki, tęgi, ponury blondyn - tacy są najniebezpieczniejsi w tego rodzaju okolicznościach: wątroba im dolega, wątroba. Ja do niego bez ogródek i, rozumiecie, panowie, z całą swobodą światowca: „Panie sprawniku,

zechciej pan być, powiadam, naszym, że tak powiem, Naprawnikiem!” „Jakim Naprawnikiem?” - powiada. A ja już miarkuję, że mu się koncept mój nie podoba, stoi zasepiony i uparcie czeka. „Chciałem, powiadam, pożartować sobie tylko, tak, dla humoru niby, gdyż pan Naprawnik to nasz słynny rosyjski dyrygent, a my właśnie gwoli harmonii naszego przedsiębiorstwa potrzebujemy też jakby dyrygenta...” Przecie rozumnie wytłumaczyłem i porównałem, nieprawdaż? A on: „Przepraszam, powiada, jestem sprawnikiem i nie pozwolę stroić żartów z mego tytułu.” Odwrócił się i wychodzi. Ja za nim w te pędy i wołam: „Tak, tak, pan jesteś sprawnik, a nie Naprawnik.” „Nie, powiada, jeśli się raz rzekło, to znaczy Naprawnik.” I wyobraźcie sobie, panowie, cały nasz interes spalił na panewce! I wciąż ja tak jakoś, i zawsze to samo. Swoją grzecznością sam sobie szkodę wyrządzam. Pewnego razu znowu, wiele lat temu, powiadam do pewnej, nawet wpływowej osobistości: „Małżonka pana to łechczywa niewiasta.” Oczywiście miałem na myśli jej drażliwość moralną na punkcie honoru. A on mi na to ni mniej, ni więcej: „A czy pan ją łechtał?” Nie wytrzymałem, naraz myślę sobie, niechże mu się przypodobam: „Pewno, powiadam, łechtałem.” To on mnie wówczas, dalibóg, połechtał... Tylko że to już dawno było, więc i nie wstyd opowiadać; zawsze jakoś muszę sobie zaszkodzić.

- I teraz nic pan innego nie robi - odezwał się z obrzydzeniem Miusow.

Starzec w milczeniu spoglądał na nich obu.

- Czyżby? Niechże pan sobie wyobrazi, że ja i o tym wiedziałem, a nawet powiem panu coś więcej: przeczuwałem, na co się zanoszą od pierwszego swego słówka, i nawet, wie pan, przeczułem i to, że od pana pierwszego usłyszę reprimendę. Gdy uświadamiam sobie, że żart mi się nie udał, oba policzki poczynają mi przysychać do dolnych dziąseł i łapie mnie coś jakby skurcz; to mi jeszcze z młodości zostało, z tych czasów, gdy rezydowałem po dworach szlacheckich i z tego rezydowania chleb jadłem. Pajac jestem kompletny, urodzony pajac, wasza wielebność, prawie że opętany; owszem, nie przeczę, może i siedzi we mnie jaka nieczysta siła, ma się rozumieć, podlejszego gatunku bies, ważniejszy inną by sobie kwaterę obrał, tylko że i nie w panu, Piotrze Aleksandrowiczu, i pan także nieosobliwa kwatery. Ale przynajmniej wierzę, w Boga wierzę. Dopiero od niedawna zwątpiłem, lecz za to teraz siedzę tu i czekam wielkich słów. Ja, wasza wielebność, to jak nie przymierzając filozof Diderot. Czy wiadomo ci, ojczyste wielebny, jak to ów Diderot filozof zjawił się u metropolity Platona za cesarzowej Katarzyny. Wchodzi i powiada prosto z mostu: „Nie ma Boga.” Co usłyszawszy, świątobliwy mąż podnosi palec i powiada: „Rzekł głupi w sercu swoim: «Nie masz Boga!»”, A tamten, tak jak był, od razu dał drapak. „Wierzę! - zawołał gromkim głosem - i chrzest święty przyjmuję.” Z miejsca go ochrzczili. Księżna Daszkow była matką chrzestną, a Potemkin ojcem!...

- Fiodorze Pawłowiczu, to już zaczyna być nie do zniesienia! Pan przecież wie, że kłamie jak najęty, że w tej niedorzecznej anegdocie nie ma słowa prawdy, więc po co się pan zgrywa? - rzekł Miusow drżącym głosem, tracąc panowanie nad sobą.

- Całe życie przeczuwałem, że to kłamstwo! - zawołał z przejęciem Fiodor Pawłowicz. - Ja wam, panowie, za to całą prawdę jak na spowiedzi wyłożę. Wielki starcze! Przebac mi, proszę, ale dodatek o chrzcie Diderota ja sam w ostatniej chwili dorobiłem, dopiero przed chwilą wymyśliłem, jakem zaczął opowiadać, przedtem zaś nigdy mi coś takiego do głowy nie przychodziło. Gwoli



pikanterii dodałem o tym chrzcie. A po to zgrywam się, Piotrze Aleksandrowiczu, aby się miłszym wydać. Zresztą, między nami mówiąc, nie zawsze wiem dlaczego. A co się tyczy Diderota, to całą tę historię z „rzekł głupi” ze dwadzieścia razy słyszałem na własne uszy od tutejszych obywateli jeszcze będąc młodzieńcem, jakem u nich rezydował; ciotunia pańska, Piotrze Aleksandrowiczu, nieboszczka Mawra Fominiszna, też mi między innymi to opowiadała. Wszyscy oni do dziś są święcie przekonani, że ateusz Diderot przychodził do metropolity Platona dyskutować o Bogu...

Miusow wstał; nie tylko stracił cierpliwość, ale jakby się zapomniał. Był wściekły i czuł, że gniew czyni go śmiesznym. Istotnie to, co się działo w celi, było nie lada skandalem. W tej samej celi od lat może czterdziestu czy pięćdziesięciu, jeszcze za dawnych starców, zbierali się goście, ale zawsze z najgłębszą pokorą i czcią, nigdy inaczej. Wszyscy, którzy wchodzili do tej izby, zdawali się rozumieć, że wyświadczano im wielką łaskę. Niektórzy padali na kolana i nie podnosili się aż do samego wyjścia. Wiele osób, nawet z wyższej sfery i nawet bardzo wykształconych, co więcej, nawet niektórzy wolnomyśliciele, którzy przyszli z ciekawości czy innego powodu, słowem, wszyscy bez wyjątku, wchodząc do celi z innymi czy też uzyskując widzenie na osobności, poczytywali sobie za pierwszy obowiązek zachowywać się przez cały czas z najgłębszym szacunkiem i delikatnością. Tym bardziej że nie brano tu żadnej zapłaty, że z jednej strony była tylko miłość i łaska, a z drugiej - skrucha i gorące pragnienie rozstrzygnięcia jakiejś zawilości duchowej, jakiegoś trudnego momentu we własnym sercu. Toteż nagle błazeństwa Fiodora Pawłowicza, tak nie licujące z powagą miejsca, wywarły na świadkach, przynajmniej na niektórych, przykre wrażenie, przejęły zdziwieniem i zakłopotaniem. Ojcowie, którzy zresztą zachowali niewzruszony wyraz twarzy, z poważnym skupieniem spoglądali na starca, ale widać było, że zamierzają wstać za przykładem Miusowa. Alosza był bliski płaczu; stał ze spuszczoną głową. Najdziwniejsze było to, że brat jego Iwan Fiodorowicz, na którego tak liczył i który miał taki wpływ na ojca, że mógłby go łatwo osadzić, siedział teraz nieruchomo na krześle, spuścił oczy i widocznie z jakimś nawet zaciekawieniem oczekiwał końca, jak gdyby był zgoła postronnym widzem. Na przyjaciela swego Rakitina (seminarzystę) Alosza nie śmiał nawet spojrzeć: znał dobrze jego myśli (co prawda on jeden znał je w całym monasterze).

- Proszę mi wybaczyć... - zaczął Miusow zwracając się do starca - może i ja wydaję się uczestnikiem tego nikczemnego błazeństwa. Błąd mój chyba polega na tym, że wierzyłem, iż nawet taki Fiodor Pawłowicz w obecności tak czcigodnej osoby zechce sobie uprzytomnić swoje obowiązki... Nie zdawałem sobie sprawy, że wypadnie mi prosić o wybaczenie, iż się tu z nim wybrałem...

Piotr Aleksandrowicz nie dokończył; zmieszany do ostateczności, zbierał się do wyjścia.

- Niech się pan nie przejmuję, proszę pana - odpowiedział starzec; nagle stanął na swoich słabych nogach i ująwszy Piotra Aleksandrowicza za obie ręce, posadził go z powrotem w fotelu. - Niechże pan raczy się uspokoić. Bardzo pana proszę, abys zechciał być moim gościem - co rzekłszy pokłonił się i obróciwszy się usiadł na poprzednim miejscu.

- Orzeknij, wielki starcze, czy obrażam waszą wielebność swoim ożywieniem, czy nie - zawołał nagle Fiodor Pawłowicz uchwyciwszy się oburącz poręczy fotela, jak gdyby chciał zależnie od odpowiedzi skoczyć na równe nogi.

- Proszę bardzo, by i pan się uspokoił i nie krępował - z powagą odpowiedział starzec. - Proszę się nie krępować i czuć się zupełnie jak u siebie w domu. A nade wszystko nie wstydzić się tak siebie, bo z tego tylko wszystko zło wynika.

- Zupełnie jak u siebie w domu? To znaczy w stanie naturalnym? O, to za wiele, grubo za wiele, ale godzę się z rozkoszą! Ojciec błogosławiony, nie wywołuj naturalnego mego stanu, nie ryzykuj... do naturalnego stanu ja sam nie dojdę. Mówię to, aby uchronić, ostrzec. Tak, łaskawco, a wszystko inne pogrążone jest jeszcze w mroku niewiedzy, jakkolwiek niektórzy z obecnych chcieliby mnie obmalować. Mówię to pod pana adresem, Piotrze Aleksandrowiczu, tobie zaś, istoto najświętsza, zachwyt swój wyrażam, ot co! - Wstał i podniósł ręce do góry. - „Błogosławione łono, które cię nosiło, i sutki, które cię karmiły”, zwłaszcza sutki! Powiedziawszy: „nie wstydź się siebie, bo z tego tylko wszystko zło wynika”, przejrzałeś mnie, ojciec wielebny, na wylot. Właśnie w tym rzecz, że gdy wchodzę między ludzi, wydaje mi się, że jestem najpodlejszy z nich wszystkich i że wszyscy mają mnie za błazna, tak że „i owszem, będę robił z siebie błazna, nie obchodzi mnie nic a nic wasza opinia, ponieważ wszyscy bez wyjątku jesteście po stokroć podlejsi ode mnie!” Ot, czemu jestem błaznem, ze wstydu błaznuję, wielki starcze, ze wstydu. Z podejrzliwości, tylko z podejrzliwości figle płatam. A przecież gdybym tylko był przekonany, że jak wejdem, wszyscy mnie będą uważać za najsympatyczniejszego na świecie i najmądrzejszego człowieka - Boże wielki, jaki byłbym wtedy dobry! Nauczycielu! - padł nagle na kolana - co mam czynić, aby dostąpić życia wiecznego?

I teraz trudno było poznać, czy kpi znowu, czy naprawdę jest taki wzruszony. Starzec spojrział na niego i rzekł z uśmiechem:

- Sam pan już dawno wie, co czynić wypada, rozumu ci przecie nie brak: nie oddawaj się pijaństwu, nie oddawaj się rozpuście, a zwłaszcza ubóstwianiu mamony, a szynki swoje zamknij. Jeśli nie można wszystkich, to przynajmniej dwa lub trzy. A najważniejsze - nie kłam.

- To względem Diderota, czy tak?

- Nie, niezupełnie względem Diderota. Najważniejsza rzecz, niech pan sam przed sobą nie kłamie. Ten, kto sam przed sobą kłamie i własnego kłamstwa słucha, prawdy żadnej już nie widzi ani w sobie, ani dokoła siebie, a przeto szacunek traci dla siebie i dla innych. Zasię nie szanując nikogo, kochać przestaje, a chcąc z braku miłości zagłuszyć sumienie i rozerwać, oddaje się namiętnościom i ordynarnym rozkoszom i dochodzi do zupełnego zezwierzczenia w nieprawości swojej. A to wszystko z nieustannego okłamywania siebie i innych. Ten, kto sam siebie okłamuje, łatwo sam siebie obrazić może. Wszak bardzo przyjemnie jest czasem obrazić się, prawda? I sam człowiek wie przecie, że nikt go nie obraził, że sam wymyślił sobie obrazę i nakłamał dla upiększenia, że przesadził, żeby obraz był lepszy, że do słów się czepia i z muchy wołu robi. Sam o tym wie, a jednak pierwszy się obraża, obraża się, aby odczuć przyjemność, aby odczuć wielką przyjemność, i przez to dochodzi do prawdziwej wrogości... Wstańże pan, siadajże, proszę pana bardzo - przecie to są również kłamliwe gesty...

- Święty człowieku! Pozwól mi rączkę twą ucałować - Fiodor Pawłowicz skoczył i szybko cmoknął starca w chudziutką rękę. - Otóż to właśnie, właśnie przyjemnie się obrazić. Takeś to, ojciec, dobrze powiedział, że jeszcze w życiu czegoś podobnego nie słyszał. Właśnie, ja właśnie całe życie obrażałem się dla przyjemności, dla estetyki obrażałem się, albowiem nie tylko przyjemnie, ale

i pięknie jest czasem być obrażonym - o tym zapomniałeś, ojciec wielce, że pięknie! Ja to sobie zapiszę! A kłamałem ci ja, kłamałem przez całe swoje życie, o każdej godzinie i każdego dnia. Zaprawdę, kłamstwem jestem i ojcem kłamstwa! Zresztą, zdaje się, nie ojcem kłamstwa, gdyż stale się płaczę w tekstach, lecz choćby synem kłamstwa, i to wystarczy. Tylko... aniele ty mój... o Diderocie czasem to i wolno! Diderot nie zaszkodzi, ale za to inne słowo zaszkodzi. Wielki starzec, przy sposobności, omal nie zapomniałem, a przecież postanowiłem sobie ze trzy lata temu wypytać się tu, specjalnie tu przyjechać, dowiedzieć się i zapytać - nakaż tylko Piotrowi Aleksandrowiczowi, aby nie przerywał - właśnie się zapytać: czy to prawda, ojciec wielce, że w żywotach świętych jest opowieść o świętym cudotwórcy, którego zamęczono za wiarę, a gdy odrąbano mu głowę, wstał, podniósł swoją głowę i „ucałował oną z lubością” i długo szedł niosąc ją w rękę, i „całował z lubością”. Prawda to czy nie, ojcowie czcigodni?

- Nie, nieprawda - odrzekł starzec.

- Nic podobnego nie ma w żywotach świętych. Któregoż to świętego ma pan na myśli? - zapytał ojciec bibliotekarz.

- Nie wiem który i nie mam zielonego pojęcia. Wprowadzono mnie w błąd, oszukano. Słyszałem, a w istocie kto mi to mówił. A oto ten pan, Piotr Aleksandrowicz Miusow, ten, co za Diderota tak się rozsierdził, sam właśnie opowiadał.

- Nigdy panu tego nie opowiadałem, ja z panem w ogóle nigdy nie rozmawiam.

- Prawda, pan mi nie opowiadał, ale pan opowiadał w towarzystwie, w którym i ja byłem, ze cztery lata temu. Ja dlatego tylko wspominałem, że tą opowieścią pocieszną zachwiał pan moją wiarę, Piotrze Aleksandrowiczu. A jakże, nie wiedział pan, nie zdawał pan sobie sprawy, a ja wróciłem do domu z zachwianą wiarą i od tego właśnie czasu wiara moja jest coraz chwiejniejsza. Tak jest, Piotrze Aleksandrowiczu, to jest pierwsza wielkiego upadku przyczyna. To już nie Diderot, łaskawco!

Fiodor Pawłowicz gorączkował się patetycznie, chociaż widać było, że i tym razem udaje. Lecz Miusow był dotknięty do żywego.

- Co za androny, wszystko to brednie i androny - mruzczał gniewnie. - Ja, być może, istotnie mówiłem kiedyś... ale nie panu. Ja to sam słyszałem od kogoś. Mnie pewien Francuz w Paryżu opowiadał, że u nas podczas nabożeństw w żywotach świętych to czytają... To bardzo wykształcony człowiek, studiował szczegółowo rosyjską statystykę... i w Rosji długo bawił... Sam nie czytałem żywotów świętych... i czytać nie będę. I o czym się zresztą nie gwarzy przy stole! Siedzieliśmy wówczas przy obiedzie...

- Pan dobrodzieju wtedy jadł obiad, a ja wtedy wiarę straciłem - przedrzeźniał Fiodor Pawłowicz.

- Co mnie obchodzi pańska wiara! - krzyknął zrazu Miusow, ale pohamował się wnet i dodał pogardliwie: - Pan bruka literalnie wszystko, czego tylko pan dotknie.

W tej chwili starzec wstał raptownie.

- Darujcie mi, panowie, że opuszczę was na kilka chwil - rzekł zwracając się do wszystkich - ale czekają mnie pątnicy, którzy wcześniej przybyli. A pan niechaj jednak nie kłamie - dodał zwracając wesołe oblicze w stronę Fiodora Pawłowicza.

Wyszedł z celi. Alosza i młody kleryk podbiegli, aby go sprowadzić ze schodów. Alosza dusił się ze wstydu, chętnie by poszedł, gdzie oczy poniosą, lecz pocieszał się myślą, że świątobliwy starzec nie jest obrażony, że wręcz przeciwnie, jest wesół. Starzec skierował się ku galerii, aby błogosławić zebranych pielgrzymów. Lecz zanim wyszedł. Fiodor Pawłowicz zatrzymał go w drzwiach celi.

- Błogosławiony po trzykroć mężu! - zawołał z przejęciem. - Zezwól mi raz jeszcze ucałować twoją rączkę! Nie, z tobą to i rozmówić się jeszcze można i żyć można! Myślisz, ojcze wielebny, że ja ciągle tak łzę i błazgonię? Teraz mogę powiedzieć wszem wobec, że zbłądziłem się tylko po to, aby cię, ojcze, wypróbować. Cały czas macałem cię, czy można z tobą żyć, czy znajdzie się zakąt jakowyś i dla mnie obok twej dostojności. Wydaję tobie list pochwalny - można z tobą żyć! A teraz milczę i słówka już nie pisnę. Siądę w fotelu i będę milczał. Teraz pana kolej. Piotrze Aleksandrowiczu, pana kolej mówić, teraz pan jest pierwszą osobą... na dziesięć minut.

### III WIERZĄCE BABY

U podnóża drewnianego ganku, dobudowanego do ściany domu, oczekiwały tym razem same kobiety, koło dwudziestu bab wiejskich. Powiadomione wreszcie o rychłym wyjściu starca, zeszły się tu i czekały. Z pokoi przeznaczonych dla pań szlacheckiego rodu wyszły również na ganek obie panie Chochłakow, matka i córka. Pani Chochłakow, bogata i zawsze ze smakiem ubrana dama, była jeszcze dosyć młoda i bardzo przystojna, twarz miała nieco bladą, o bardzo żywych i niemal czarnych oczach. Mogła mieć najwyżej lat trzydzieści trzy, od pięciu zaś lat była wdową. Czternastoletnia jej córka miała sparaliżowane nogi. Biedna dziewczynka od sześciu miesięcy nie mogła chodzić; wożono ją w długim, wygodnym fotelu na kółkach. Prześliczna jej twarzyczka, wychudzona skutkiem choroby, była mimo to wesoła. W jej ciemnych, dużych oczach ocienionych długimi rzęsami tliły się filuterne iskierki. Matka zamierzała już na wiosnę wywieźć ją za granicę, lecz sprawy majątkowe zatrzymały ją przez lato. Od tygodnia bawiły w naszym mieście, przyjechały co prawda głównie dla załatwienia pewnych spraw, ale zdążyły już trzy dni temu odwiedzić świątobliwego starca. Teraz znowu nagle przybyły i chociaż wiedziały, że starzec prawie już nikogo nie może przyjmować, błagały uporczywie, aby pozwolono im raz jeszcze „ujrzeć oblicze wielkiego uzdrowiciela”. Czekając więc na wyjście starca pani Chochłakow siedziała na krześle obok fotela córki, a o dwa kroki od nich stał stary mnich, przybyły z daleka, z mało znanej, położonej gdzieś na północy pustelni, aby uzyskać błogosławieństwo wielkiego starca. Ale starzec, wyszedłszy na ganek, skierował się naprzód ku wieśniaczkom, które stłoczyły się koło ganku o trzech schodkach, wychodzącego na pole. Starzec stał na górnym schodku; włożył na siebie epitrachil i począł

błogosławić cisnące się do niego baby. Przyciągnięto przed niego za obie ręce „opętana”. Na widok starca poczęła nagle czkać, piszczala przy tym jakoś nedorzecznie i trzęsła się cała jak w konwulsji. Starzec przykrył jej głowę epitrachilem i odmówił nad nią krótką modlitwę, po czym natychmiast uspokoila się i ucichła. Nie wiem, jak to się teraz dzieje z tą chorobą, ale w latach dzieciennych zdarzało mi się często widzieć po wsiach i monasterach takie „opętane”. Gdy przyprawiano je na nabożeństwa, zrazu piszczaly lub ujadaly po psiemu na całą świątynię, lecz ledwo wnoszono święty sakrament, ledwie zbliżały się doń, „diabelstwo” natychmiast ustępowało i chore zawsze, przynajmniej na jakiś czas, odzyskiwały spokój. Dzieckiem będąc, nie mogłem się temu nadziwić. Ale niektórzy sąsiedzi, a zwłaszcza moi nauczyciele z miasta, zapewniali mnie skwapliwie, że to tylko udawanie, że babom z lenistwa nie chce się pracować i że można wypłenić tę urojoną chorobę odpowiednią srogością, w dowód czego przytaczali różne anegdoty. Znacznie później dopiero dowiedziałem się ze zdumieniem od lekarzy specjalistów, że nie ma w tym żadnego udawania, że to straszliwa choroba kobieca, rozpowszechniona, zdaje się, szczególnie u nas, w Rosji, świadcząca o ciężkiej doli naszych bab wiejskich. Niemoc ta bowiem przeważnie powstaje wówczas, kiedy kobieta zbyt wcześnie po ciężkim połogu, odbyłym bez wszelkiej pomocy lekarskiej, wraca, do wyczerpującej pracy; czasem też powstaje ona z ciężkiego, beznadziejnego strapienia, z bicia i wszelkich tego rodzaju przeciwieństw, które nie każda natura kobieca potrafi znieść. Zastanawiające zaś, natychmiastowe uzdrowienie opętanej w bliskości sakramentu świętego nie jest bynajmniej, jak mi to tłumaczono, komedią ani sztuczką, ukartowaną rzekomo przez „klerykałów”, lecz zjawiskiem najzupełniej naturalnym, kobiety bowiem, które prowadzą chorą przed ołtarz, i, co najważniejsze, ona sama, wierzą najmocniej, jako w prawdę ustaloną, że zły duch, co ją był opętał, nie wytrzyma, kiedy chora pokłoni się przed świętym sakramentem. Zawsze więc następował (i musiał nastąpić) w takiej chwili gwałtowny jakby wstrząs całego organizmu nerwowo i psychicznie chorej kobiety, wstrząs powodowany pełnym ufności oczekiwaniem cudu, niezachwianą wiarą w to, że cud stać się musi. I staje się cud, choćby na chwilę. Stał się i teraz, gdy starzec przykrył chorą epitrachilem.

Efekt chwili wycisnął łzy zachwyty i wzruszenia z oczu kobiet otaczających starca; niektóre szukały ustami skraju jego sukni, inne szlochały głośno. On zaś błogosławił wszystkie i z niektórymi wszczął rozmowę. Opętana znał już poprzednio, przyprawiano ją już nieraz z wioski, odległej o sześć wiorst od monasteru.

- Ta jest z daleka - rzekł wskazując wcale jeszcze nie starą, ale wyjątkowo chudą i wyniszczoną babę, której twarz nie była zwyczajnie opalona, ale wprost czarna. Klęczała wlepiając w starca osłupiałe wejrzenie. We wzroku jej było jak gdyby coś nieuchwytnego.

- Z daleka, ojczy, z daleka, ze trzysta wiorst będzie. Z daleka, ojczy, z daleka - rzekła śpiewnym tonem, kiwając głową miarowo z boku na bok i podpierając policzek dłonią. Mówiła zaś jakby zawodząc.

Zgryzota ludu jest milcząca i cierpliwa: zasklepia się w sobie i milczy. Ale bywa też innego rodzaju zgryzota, wylewna: znalazłszy sobie upust w łzach, przechodzi w nie milknący lament. Zwłaszcza u kobiet. Ale i taki frasunek nie jest lżejszy od niemego strapienia. Skargi przynoszą przez to ulgę, że jątrzą i podsycają boleść, która nie szuka pociechy i żywi się poczuciem, że nie da się utulić. Zawodzenie więc odpowiada potrzebie ciągłego drażnienia rany.

- Z miasta jesteście? - zapytał starzec patrząc na nią ciekawie.

- Miastowa jestem, ojciec, miastowa, choć i z chłopów pochodzę, ale miastowa, w mieście mieszkająca. Ciebie obaczyć, ojciec, przyszłam. Słyszeliśmy o tobie, ojciec, słyszeli. Syneczka, dzieciątko, pochowałam i teraz chodzę i do Boga się modlę. W trzech monasterach byłam i wszędzie mi mówili: „Idź, Nastasjo, i tam, idź i tam”, do ciebie, znaczy, ojciec. To i przyszłam, wczoraj do cerkwi, a dziś tu.

- Czego płaczesz?

- Syneczka płaczę, ojciec, trzy latka miał, za trzy miesiące tylko trzy latka by miał. O syneczka się smucę, ojciec, o syneczka. Ostatni syneczek się ostał, czworo ich miałam z moim Nikituszką, ale nijak się nie chowają nam dzieciaki, nie chowają. Trzech pierwszych pogrzebałam, ale nie bardzo ich żałowałam. A tego ostatniego pochowałam i zapomnieć go nie mogę. Ciężkim jakby przede mną stoi, nie odchodzi. Duszę mi wysuszył. Popatrzę na jego bielizenkę, na koszulinę albo na trzewiczki, i w ryk. Rozłożę, co się po nim ostało, patrzę i płaczę. Powiadam do Nikituszki, do męża mojego: „Puść mnie z domu, pójdę do miejsc świętych.” Mój jest dorożkarzem, niebiedniemy, ojciec, niebiedni, sami sobie gospodarze, i koniki własne, i dorożka własna. Ale co nam teraz z naszego dobra? Opuścił się tam beze mnie Nikituszką mój, pewnikiem się opuścił, ano i dawniej tak bywało: niech no się obróć, a chłop już o nic nie dba. A tera to i ja o niego nie dbam. Ot, już trzeci miesiąc, jakem z domu precz poszła. Zapomniałam, zapomniałam o wszystkim i pamiętać nie chcę; i co ja z nim pocznę, ojciec mój? Skończyłam z nim, skończyłam, ze wszystkim skończyłam. I już mi się patrzeć nie chce na mój dom, i na dobytek, i nie chcę niczego na oczy widzieć!

- Słuchajcie, matko, co wam powiem - odezwał się starzec - za dawnych czasów był pewien wielki święty, który zobaczył w świątyni kobietę, tak jak wy płaczącą syna swojego jedyne, którego także Bóg powołał do siebie. „Czy ty nie wiesz, kobieto - przemówił do niej święty - jak dzieci one zuchwałe są w obliczu Boga? Zuchwalszych istot nad dzieci nie ma w całym królestwie Bożym. «Tyś, Panie Boże, życie nam dał, powiadają do Boga, a ledwośmy przejrżeli, jużes nas zabrał z powrotem.» i tak zuchwale proszą i błagają, aż Pan Bóg niezwłocznie czyni ich aniołami. A przeto - mówił święty - i ty się raduj, niewiasto, i nie płacz, i twój synek teraz aniołem jest u Boga.” Oto co mówił święty płaczącej kobiecie w dawnych czasach. A przeto i ty wiedz, matko, że i twój synek na pewno stoi przed obliczem Pana, i cieszy się, i raduje, i do Boga modli się za ciebie. A dlatego nie płacz, lecz raduj się, matko.

Kobieta słuchała go, podpierając ręką policzek i spuszczać oczy ku ziemi. Westchnęła głęboko.

- Tak samo pocieszał mnie i mój Nikituszka, te same słowa gadał: „Głupiaś ty - mówi - czego płaczesz, synek nasz na pewno teraz z aniołami Bożymi śpiewa.” Tak do mnie mówi, a sam płacze, widzę, że sam jak i ja płacze. „Wiem o tym, Nikituszką, gdzie by miał być, jak nie u Pana Boga, ino go teraz między nami, Nikituszką, nie ma, tu wedle nas, gdzie dawniej siedział!” I gdybym ja tylko raz jeden na niego popatrzała, gdybym raz jeden jemu się znów przyjrzała, nie podeszłabym, nie przemówiłabym, tylko bym się w kącie zaciąła; tylko przez chwilę jedną spojrzeć, posłuchać, jak ugania po dworze, jak przyjdzie i krzyknie swoim głosiem: „Mamo, a gdzieś ty?” Tylko raz go posłuchać, jak nóżkami swoimi po izbie tupocze, tylko raz jeden, nóżkami swoimi, tup-tup, tak drobniutko, drobniutko; pamiętam, jak podbiega do mnie, krzyczy i śmieje się, tylko bym kroczyki jego posłyszała, posłyszałabym, poznała! Ale nie ma go, ojciec, nie ma i nie usłyszę go nigdy! Oto jego

paseczek, a jego nie ma i nigdy już, nigdy nie zobaczę, nie posłyszę go nigdy!...

Wyjęła zza stanika mały ozdobny paseczek swego synka i ledwo nań spojrzała, wybuchnęła łkaniem, zasłaniając oczy rękami, przez które wnet pociekły tryskające strumieniem łzy.

- Oto „Rachel płacze synów swoich, a nie chce przyjąć pocieszenia nad nimi, że ich nie masz” - rzekł starzec - i taka już dola wasza matczyzna na tej ziemi. I nie pocieszaj się, i nie trzeba ci się pocieszać, nie pocieszaj się i płacz, tylko ilekroć popłaczesz, wspomnij, że syn twój jest jednym z aniołków w niebie, z nieba na ciebie spogląda i widzi ciebie, i z łez twoich się cieszy, i Panu Bogu na łzy twe pokazuje. I na długo jeszcze starczy ci tego wielkiego płaczu macierzyńskiego, ale w końcu płacz ten w cichą radość się przemieni i będą łzy twoje gorzkie łzami cichego roztkliwienia i serdecznego oczyszczenia, które grzechy twe wygładzi. A za spokój duszy synka twego modlić się będę. Jak mu było na imię?

- Aleksy, ojcze.

- Miłe imię. Od Aleksego sługi Bożego?

- Bożego, ojcze, Bożego, Aleksego sługi Bożego!

- Wielkiż to był święty! Modlić się do niego będę, matko, i o smutku twoim wspomnę, i o zdrowie męża twego będę się modlił. Ale grzech opuszczać męża. Wracaj do domu, matko, i miej o nim staranie. Zobaczy stamtąd chłopczyk twój, żeś rzuciła ojca jego, i rozplacze się: po cóż jego spokój zakłócać? Wszak żywię on, żywię, bo żywa jest dusza na wieki i nie masz go w domu, a jest niewidocznie przy was. Jakże będzie mógł do domu przyjść, jeżeli mówisz, żeś dom swój znienawidziła? Do kogóż przyjdzie, jeżeli was razem nie znajdzie, ojca i matki? Teraz śni ci się i jeno się męczysz, a w domu ześle ci dobre sny. Wracaj do męża, matko, dzisiaj jeszcze wracaj.

- Pójdę, ojcze, pójdę, jakeś rzekł. Serce moje poruszyłeś. Nikituszka ty mój, Nikituszka, czekasz ty mnie, mój drogi, czekasz! - zaczęła znów zawodzić baba, ale starzec już odwrócił się ku innej bardzo starej kobiecie, ubranej z miejska. Z oczu jej patrzyło, że przyszła tu w określonej sprawie, że chciała się o coś zapytać. Podała się za wdowę po podoficerze z naszego miasteczka. Synek jej, Wasieńka, w jakimś urzędzie pracował i wyjechał na Syberię, do Irkucka. Dwa razy pisał, a teraz już przeszło rok ni widu, ni słyhu. Chciała się o niego dowiedzieć, ale nie wiedziała, dokąd się zwrócić.

- Więc powiada mi przedwczoraj Stiepanida Iliniszna Biedriagina, kupcowa, bogata bardzo: „Idź, powiada, Prochorowna, do cerkwi i daj na nabożeństwo za swego syneczka. Zackni się jego duszy, to i napisze do ciebie list. Wiadoma rzecz, powiada Stiepanida Iliniszna, już to niejedna matka wypróbowała.” Tylko mnie się jakoś widzi, że to nie tak!... Światłości ty nasza, powiedz, prawda to czy nieprawda i czy tak dobrze będzie?

- Nie myśl nawet o tym. Wstyd się nawet pytać o coś takiego. Jakże można, aby własna matka zamawiała nabożeństwo żałobne za żywą duszę! To wielki grzech, czarodziejstwem trąci, jeno żeś ciemna, to ci Bóg tego nie policzy. Lepiej byś, matko, pomodliła się do Królowej Niebios, orędowniczki naszej w nagłych potrzebach, aby zdrów był twój synek i aby ci darowała twoje

zdrożne myśli. I jeszcze to ci powiem, Prochorowo: albo on sam do ciebie rychło powróci, synek twój, albo na pewno list przyśle. Spodziewaj się tego. A teraz idź z Bogiem i bądź nadal spokojna. Żyje twój synek, ja ci to mówię.

- Ojcie kochany, niech cię Bóg wynagrodzi, dobroczyńco nasz, orędowniku wstawiający się za nas wszystkich i za grzechy nasze...

Tymczasem starzec zwrócił uwagę na gorejące spojrzenie, które utkwiła w nim młoda jeszcze wieśniaczka, bardzo wymizerowana, robiąca wrażenie suchotnicy. Spoglądała nań w milczeniu, oczy jej o coś błagały, lecz bała się widocznie podejść bliżej.

- Z czym przyszłaś, córko moja?

- Rozgrzeszenia dla duszy proszę, ojcie - rzekła cicho i powoli, upadła na kolana i pokłoniła mu się do nóg. - Zgrzeszyłam, ojcie, i grzechu swojego się boję.

Starzec usiadł na najniższym schodku, wieśniaczka zaś zbliżyła się do niego, nie podnosząc się z klęczek.

- Już trzeci rok, jakem owdowiała - zaczęła półgłosem z dreszczem wewnętrznym. - Źle mi było z mężem, stary był, katował mnie. Leżał chory; ano myślę patrząc na niego: „Jak wyzdrowieje, znowu wstanie, i co wtedy?” I weszła wtedy we mnie ta myśl!...

- Poczekaj - przerwał jej starzec i przybliżył ucho swe do warg, które szeptały tak cicho, że nic nie można było zrozumieć. Szeptała niedługo.

- Trzeci już rok? - zapytał starzec.

- Trzeci rok. Z początku nicem nie myślała, ino tera ciągiem choruję. Zgryzota mnie toczy.

- Z daleka?

- Pięćset wiorst stąd.

- Mówiłaś na spowiedzi?

- Mówiłam, dwa razy mówiłam.

- I dostałaś rozgrzeszenie?

- Dostałam. Stracham się; umierać się boję.

- Niczego się nie bój i nigdy się nie bój, i nie gryź się niepotrzebnie. Byleby tylko nie uschła skrucza twoja - to i Bóg ci wszystko przebaczy. Nie ma takiego grzechu i być nie może, aby go Bóg Miłosierny nie przebaczył sercu pokutę szczerze czyniącemu. I nie mógłby nawet człek popełnić grzechu tak wielkiego, iżby wyczerpał nieskończoną miłość Bożą. Zaliż może być grzech taki, który by przerastał miłość Bożą? O skrusze tylko pamiętaj, o ciągłej skrusze, a strach wszelki odpędź od



siebie. Wierzaj, że Bóg kocha cię tak, jak się nawet tego nie możesz spodziewać, kocha cię mimo twego grzechu, kocha cię z grzechem twoim. Więcej przecie w niebie radości z jednego nawróconego grzesznika niż ze sprawiedliwych dziesięciu. Idź i nie bój się. Na ludzi się nie gniewaj, krzywdy przebaczej. Nieboszczykowi w sercu wszystko daruj, pogódź się z nim naprawdę. Kto żałuje za grzechy, ten już kocha. A jak będziesz kochać, to już będziesz człowiekiem Bożym... Miłość wszystko okupuje i wszystko zbawia. Jeżeli ja, taki sam jak ty grzeszny człek, ulitowałem się nad tobą, to cóż dopiero Bóg! Miłość jest skarbem tak bezcennym, że możesz świat cały kupić, i nie tylko swoje, ale i cudze grzechy odkupić. Idź, córko, w pokoju i nie bój się niczego.

Przeżegnał ją trzykrotnie, zdjął swój medalik i zawiesił jej na szyi. Nic nie mówiąc pokłoniła mu się do samej ziemi. Następnie wstał i z wesołym uśmiechem spojrzął na zdrową babę z niemowlęciem na ręku.

- Z Wyszehory, ojczy drogi.

- To jednak sześć wiorst, ciężko ci było z dzieckiem na ręku. Czegóż ci trzeba?

- Przyszłam na ciebie popatrzeć, ojczy. Bywałam już tu, zapomniałeś widać, ojczy! Krótką masz pamięć, kiedyś mnie zapomniał. Powiadali nasi, żeś chory, więc myślę sobie, pójdę, sama popatrzę; ano przyszłam i widzę ciebie - jakiś ty tam chory! Jeszcze ze dwadzieścia lat pożyjesz z Bożą pomocą! Toć siła ludzi modli się za ciebie! Jakże miałbyś chorować?

- Bóg ci zapłać, córko.

- A mam tu ja prośbę do ciebie, ojczy, prośba moja maleńka: naści sześćdziesiąt kopiejek, oddaj ty je, ojczy, której biedniejszej ode mnie. Przyszłam tu i myślę sobie: „Lepiej już jemu oddam, on wie najlepiej, która więcej potrzebuje.”

- Dziękuję ci, córko, dobra jesteś, miłuję cię. Zrobię, o co prosiłaś. To dziewczynka?

- Dziewczynka, ojczy wielebny, Lizawieta.

- Niech was Bóg błogosławi, i ciebie, i maleńką Lizawietę. Rozradowałaś moje serce, matko. Zostańcie z Bogiem, moje drogie, bądźcie zdrowe, moje miłe, dobre owieczki!

Pobłogosławił wszystkich zebranych i głęboko się wszystkim pokłonił.

#### IV NIEWIASTA MAŁEJ WIARY

Obywatelka ziemska Chochłaków, przyglądając się przez cały czas rozmowie starca z babami i błogosławieństwu, płakała po cichu i ocierała łzy chusteczką. Była to uczuciowa wytworna dama z wieloma szczerze zacynymi skłonnościami. Skoro starzec doszedł wreszcie i do niej, przywitała go

entuzjastycznie:

- Ja tyle, tyle się nauczyłam patrząc na tę rozczulającą scenę... - nie mogła dokończyć ze wzruszenia. - O, teraz pojmuję, że lud kocha cię, ojczyźnie, bo i ja bardzo kocham lud, pragnę go kochać, bo jakże można nie kochać tego naszego wspaniałego, prostodusznego w swej wielkości ludu rosyjskiego!

- Jak zdrowie pani córki? Chciała pani znowu ze mną pomówić?

- O, ja usilnie prosiłam, błagałam, gotowa byłam na klęczkach stać bodaj trzy dni pod oknem ojca, byleby mnie tylko wpuszczono. Przyjechałyśmy do ciebie, wielki uzdrowicielu, aby wypowiedzieć naszą pełną zachwyty wdzięczność. Przecież, ojczyźnie, uzdrowiłeś moją Lizę, uzdrowiłeś ją zupełnie. I czymże? Modlitwą i przyłożeniem ręki. Przyszłyśmy pocałunkami okryć twoje ręce, wyrazić nasze uczucia i nasz najgłębszy pietyzm!

- Jak to uzdrowiłem? Przecież nie chodzi jeszcze o własnych siłach?

- Ale nocna gorączka zupełnie przeszła, już od dwóch dni, od owego czwartku, kiedyśmy tu były po raz pierwszy - zawołała dama nerwowo. - Co więcej, nogi jej wzmocniły się znakomicie. A dzisiaj rano obudziła się zdrowa, całą noc spała, spójrz, ojczyźnie, na jej rumieniec, na jej błyszczące oczki. Dawniej wciąż płakała, a teraz śmieje się, wesółka, rozradowana. Dziś koniecznie domagała się, aby ją na nogi postawiono, i całą minutę stała o własnych siłach, bez żadnej podpory. Ojczyźnie, ona idzie ze mną o zakład, że za dwa tygodnie będzie tańczyła kadryla. Przywołałam tutejszego lekarza Herzenstube - wzrusza ramionami, powiada: „Podziwiam, nie pojmuję.” I chciałbyś, ojczyźnie, abyśmy cię zostawiły w spokoju, abyśmy nie przybiegły tu, nie dziękowały! Lise, dziękujże, dziękuj!

Milutka, roześmiana twarzyczka Lise nagle spoważniała: dziewczynka uniosła się, o ile to było w jej mocy, i patrząc na starca, złożyła dziękczynnie rączki. Nie wytrzymała jednak długo i nagle wybuchała śmiechem...

- To z niego, z niego! - zawołała wskazując na Aloszę, w naiwnie dziecięcy sposób czyniąc sobie wyrzut, że nie potrafiła zachować powagi. Kto by spojrział w tej chwili na twarz Aloszy, stojącego o krok za starcem, zauważyłby nagły rumieniec na jego policzkach i przelotny błysk w oczach, które wnet spuścił.

- Ona ma dla pana zlecenie, Aleksy Fiodorowiczu... Jak się pan czuje? - odezwała się mama zwracając się nagle do Aloszy i podając mu rękę w eleganckiej rękawiczce. Starzec obrócił się i wtem uważnie przyjrzał się Aloszy. Ów zaś podszedł do Lizy i, uśmiechając się jakoś dziwnie i nieswojo, wyciągnął do niej rękę. Lise zrobiła poważną minę.

- Katarzyna Iwanowna przesyła to panu przeze mnie - rzekła i podała mu liścik. - Poza tym prosi pana bardzo, aby pan przyszedł do niej jak najprędzej i bez żadnych wykrętów, aby pan koniecznie przyszedł.

- Prosi, abym przyszedł? Do niej, ja... Po cóż to? - mruzczał Alosza z głębokim zdziwieniem. Zatraskanie odmalowało się nagle na jego twarzy.

- A to z powodu Dymitra Fiodorowicza i... wszystkich ostatnich wydarzeń - wyjaśniła natychmiast mama. - Katarzyna Iwanowna powzięła teraz pewne postanowienie... ale właśnie dlatego musi się koniecznie z panem zobaczyć... W jakim celu? Oczywiście ja tego nie wiem, ale prosiła, by jak najprędzej. Zrobi to pan, na pewno pan to zrobi, nakazuje to nawet zwykły obowiązek chrześcijanina.

- Widziałem ją tylko raz w życiu - tłumaczył się Alosza, ciągle pełen zdumienia.

- O, to taka wzniosła, niedościgła natura!... Chociażby przez wzgląd na jej cierpienia... Niech pan pomyśli, co ona przeżyła, co ona teraz przeżywa, niech się pan zastanowi tylko, co ją czeka... to straszne, okropne!

- Dobrze więc, pójdę - zdecydował Alosza przejrząwszy króciutki i zagadkowy liścik, który zresztą nic nie zawierał poza stanowczą prośbą o przybycie.

- Ach, jak to ładnie i wspaniale z pana strony! - zawołała nagle Liza z przejęciem. - Mówiłam przecież mamie: „On za nic w świecie nie pójdzie, myśli tylko o własnym zbawieniu.” Jaki pan wspaniały! Zawsze myślałam, że pan jest wspaniały, cieszę się, że mogę to panu teraz powiedzieć!

- Lise! - strofowała ją mama, ale nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Zapomniał pan i o nas, Aleksy Fiodorowiczu, wcale pan nie chce u nas bywać; a tymczasem Lise dwukrotnie mi powiedziała, że tylko z panem czuje się dobrze.

Alosza podniósł oczy, znowu się zarumienił i znowu, nie wiedząc czemu, uśmiechnął się niespodziewanie. Zresztą starzec przestał już zważać na niego. Nawiązał rozmowę z przyjezdnym mnichem, który, jak już rzekliśmy, stał koło fotela Lizy. Był to według wszelkiego prawdopodobieństwa zgoła ciemny mnich, to znaczy zwyczajnego pochodzenia, z ciasnym, niezachwianym światopoglądem, ale za to mocnej i uporczywej wiary. Wyjaśnił, że przybywa z dalekiej Północy, z Obdorska, z bardzo ubogiego monasteru pod wezwaniem Św. Sylwestra, w którym mieszka zaledwie dziesięciu mnichów. Starzec udzielił mu błogosławieństwa i prosił, by wstąpił do jego celi w dogodnym dla niego czasie.

- Jakożeś się ważył, ojcze, czynić takie rzeczy? - zapytał nagle mnich z przejęciem uroczyście wskazując na Lizę. Miał na myśli jej „uzdrowienie”.

- O tym jeszcze mówić za wcześnie. Polepszenie nie jest jeszcze uzdrowieniem, a i przyczyny mogły być inne. Wszakże, jeżeli nawet coś było, to tylko z woli Bożej. Wszystko jest od Boga. Odwiedź mnie, bracie - dodał po chwili - bo teraz lepiej mi nieco; wciąż choruję i wiem, że dni moje są policzone.

- O nie, nie, Bóg nie odbierze cię, ojcze, pożyczysz jeszcze długo - zawołała pani Chochłakow. - A co ci, ojcze, dolega? Wyglądasz tak zdrowo, wesoło, szczęśliwie.

- Dzisiaj czuję się o wiele lepiej, ale wiem, że to tylko chwilka. Teraz doskonale znam moją chorobę. Jeżeli zaś wydaję się pani naprawdę taki wesoły, to chyba niczym nie mogła mnie pani tak

uradować, jak tym spostrzeżeniem. Albowiem Bóg stworzył ludzi do szczęścia i kto jest zupełnie szczęśliwy, ten jest godzien powiedzieć: „Wypełniłem przykazania Boże na tej ziemi.” Wszyscy sprawiedliwi, wszyscy święci, wszyscy męczennicy byli zaiste szczęśliwi.

- O, jak pięknie mówisz, ojcze, jakie śmiałe i podniosłe słowa! - zawołała pani Chochłakow. - Mówisz i jak gdyby przebijasz duszę na wylot. A jednak w czym jest szczęście, w czym ono? Któż może powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwy? O, skoro już jesteś, wielebny ojcze, tak dobry, żeś nas dopuścił jeszcze raz przed siebie, to wysłuchaj już wszystkiego, czego we czwartek nie dopowiedziałam, czego nie śmiała powiedzieć, co mnie nęka, co mnie tak nęka od dawna! Cierpię, ojcze, daruj mi, cierpię... - I z jakimś namiętym uniesieniem splotła przed nim ręce.

- O cóż chodzi właściwie?

- Cierpię... z powodu niewiary...

- Niewiary w Boga?

- O nie, nie śmiem nawet o tym pomyśleć, ale życie przyszłe - to taka zagadka! A przecież nikt jej nie rozwiązał! Słuchaj, ojcze wielebny, uzdrowicielu, znawco duszy ludzkiej, naturalnie nie śmiem wymagać, ojcze, abyś mi zupełnie zawierzył, ale zapewniam cię słowem najświętszym, że nie mówię tego teraz przez lekkomyślność, że myśl ta o życiu pozagrobowym przyprawia mnie o straszne cierpienie, rodzi strach i zgrozę... I nie wiem, do kogo się zwrócić, całe życie nie miałam odwagi... I oto teraz ośmielam się zwrócić do ciebie, ojcze. O Boże, cóż sobie ojciec o mnie pomyśli! - Co rzekłszy załamała ręce.

- Niech pani nie myśli o moim zdaniu - odpowiedział starzec. - Wierzę zupełnie w szczerść pani strapienia.

- O, jakże ojcu jestem wdzięczna! Widzisz, ojcze, przymykam oczy i myślę: „Skoro wszyscy wierzą, to skądże się to u mnie bierze?” A tu mnie zapewniają, że to wszystko ze strachu wobec groźnych zjawisk przyrody i że tego wszystkiego wcale nie ma. No cóż, myślę, całe życie wierzyłam - umrę i naraz nie ma nic, i tylko „łopian wyrośnie na mogile”, jak mówi pewien pisarz. To przerażające! Jak, jak odzyskać wiarę? Zresztą wierzyłam tylko będąc małym dzieckiem, wierzyłam mechanicznie, o niczym nie myśląc... Więc jak, jak tego dowieść? - przyszłam teraz, ojcze, ukorzyć się przed tobą i prosić o pomoc. Bo jeżeli i teraz to zaniedbam, nigdy już nikt mi na to nie odpowie. Jak dowieść, w jaki sposób się przekonać? O, cóż za nieszczęście! Stoję i widzę dookoła, że wszyscy są na to obojętni, prawie wszyscy, nikt się teraz o to nie frasuje, tylko ja jedna nie potrafię tego znieść. To mnie dobija, ojcze, dobija!

- Bez wątpienia dobija! Ale dowieść tu nic nie można, można się tylko przekonać.

- Jak? W jaki sposób?

- Doświadczeniem czynnej miłości. Niech się pani stara kochać bliźnich czynnie i bez ustanku. W miarę jak będzie pani czyniła na tej drodze postępy, będzie się pani równocześnie utwierdzać w wierze w Boga i w nieśmiertelność pani duszy. Skoro zaś dojdzie pani do zupełnego poświęcenia się

w miłości do bliźnich, wtedy uwierzy pani na pewno i już żadne zwątpienie nie będzie miało dostępu do jej duszy. Wypróbowany to sposób i pewny.

- Czynnej miłości? Oto znowu pytanie, i to jakie pytanie! Widzi ojciec, ja tak kocham ludzkość, że, wierzy ojciec, marzę czasem o tym, aby porzucić wszystko, wszystko, co posiadam, zostawić Lizę i zostać siostrą miłosierdzia. Przymykam oczy, myślę i marzę, i w takich chwilach czuję w sobie nieodpartą siłę. Żadne rany, żadne wrzody ropiejące nie mogłyby mnie odstraszyć. Obmywałabym je i opatrywała własnymi rękoma, byłabym sługą tych nieszczęśliwych, gotowam całować te wrzody...

- A to już bardzo wiele i bardzo dobrze, że umysł pani marzy o tym właśnie, a nie o czym innym. Niby nic, a ni stąd, ni zowąd zrobi pani w istocie jakiś dobry uczynek.

- Tak, ale czy długo mogłabym pędzić takie życie? - z zapalem i prawie w ekstazie ciągnęła pani Chochłakow. - To najważniejsze pytanie! To ze wszystkich pytań najbardziej męczące. Przymykam oczy i zapytuję sama siebie: „Czy długo wytrzymałabym na tej drodze?” A jeżeli chory, którego rany przemywasz, nie odpowie ci od razu wdzięcznością, lecz owszem, pocnie cię dręczyć kaprysmi, nie doceniając i nie rozumiejąc twego altruistycznego wysiłku, jeśli zacnie krzyczeć na ciebie, wymyślać, bodaj nawet użalać się na ciebie jakiejś władzy (bo i tak nieraz bywa z ciężko chorymi) - to co wówczas? Czy miłość twoja nadal będzie trwała? I oto - wyobraź sobie, ojczy - rozstrzygnęłam to już ku wielkiemu memu przerażeniu: jeżeli istnieje coś, co mogłoby od razu oziębic moją „czynną” miłość do ludzi, to chyba tylko niewdzięczność. Słowem, jestem płatną pracownicą, wymagam od razu zapłaty, to znaczy pochwały dla siebie i zapłaty miłością za miłość. Inaczej nikogo nie potrafię kochać!

Ogarnęła ją pasja samobiczowania. Skończywszy swoją spowiedź, z wyzywającą stanowczością spojrziała na starca.

- Coś zupełnie podobnego mówił mi, dawno już zresztą, pewien lekarz - zauważył starzec. - Był to człowiek starszy i bezsprzecznie mądry. Mówił równie szczerze, jak i pani, chociaż niby żartem, ale to był gorzki żart: „Kocham ludzkość - mówił - ale dziwię się sobie: im bardziej kocham ludzkość, tym mniej kocham ludzi, to znaczy każdego człowieka z osobna. W marzeniach - powiadał - dochodziłem nieraz do dziwnych pomysłów; chciałem służyć ludzkości i może istotnie dałbym się ukrzyżować za ludzi, gdyby zaszła potrzeba, a mimo to dwóch dni nie potrafię przeżyć z kimkolwiek w jednym pokoju, wiem o tym z doświadczenia. Niech się kto zbliży do mnie, a już osobowość jego przygnębia moją ambicję i krępuje moją swobodę. Przez jedną dobę mogę znienawidzić najzaciejszego na świecie człowieka: tego za to, że za długo trawi czas przy obiedzie, drugiego za to, że ma katar i ciągle wyciera nos. Staję się - mówił - wrogiem ludzi, ledwo się do mnie zbliżają. I zawsze tak się jakoś zdarzało, że im bardziej nienawidziłem poszczególnych ludzi, tym goręcej kochałem całą ludzkość.

- Ale co robić? Cóż w takim razie robić? To przecież może doprowadzić do rozpacz?

- Nie, dosyć bowiem, że pani nad tym ubolewa. Niech pani robi to, na co panią stać, i to będzie pani policzone. A wiele już pani zrobiła, skoro tak głęboko i szczerze zdała sobie sprawę ze swojej natury! Ale jeżeli mówiła pani ze mną tak szczerze po to tylko, aby uzyskać pochwałę za swoją szczerłość, to oczywiście nie doprowadzi to pani do doskonalenia się w miłości czynnej, wszystkie

dobre uczynki pozostaną w marzeniach i całe życie przeminie jak sen. Zapomni pani naturalnie i o życiu przyszłym i w końcu uspokoi się pani jakoś.

- Zmiażdżyłeś mnie, wielebny ojcie! Dopiero teraz, w tej właśnie chwili, kiedy ojciec to mówił, zrozumiałam, że w istocie spodziewałam się tylko pochwały za szczerość, kiedy opowiadałam, iż nie zniosę niewdzięczności. Odpowiedział mi ojciec moje własne intencje, odgadł mnie ojciec i nauczył rozumieć siebie!

- Czy naprawdę? Ano teraz, po takim wyznaniu, wierzę, że pani jest szczerą i że ma dobre serce. Jeśli nawet nie osiągnie pani szczęścia, to proszę jednak pamiętać zawsze, że jest pani na dobrej drodze, i proszę dołożyć starań, by z niej nie schodzić. Przede wszystkim trzeba unikać kłamstwa, wszelkiego kłamstwa, zwłaszcza okłamywania siebie. Trzeba uważać na swoje kłamstwa i przyglądać im się o każdej godzinie, w każdej chwili. Unikaj pani również odrazy wobec siebie i innych: to, co pani wydaje się ohydą własnego serca, oczyszcza się już przez to, że zdaje pani sobie z tego sprawę. Wystrzegaj się też strachu, aczkolwiek strach jest tylko następstwem wszelkiego kłamstwa. Nie lękaj się nigdy swojej małoduszności w osiąganiu miłości czynnej, nie trzeba się bardzo lękać nawet własnych brzydkich postępów. Żałuję, że nie mogę pani powiedzieć nic bardziej pocieszającego, albowiem miłość czynna w porównaniu z marzycielską jest okrutna i przerażająca. Miłość w marzeniu domaga się doraźnych i prędkich czynów poświęcenia, szybko wykonalnych i jawnych. Zdarza się niekiedy rzeczywiście, że i życie się chętnie poświęca, byleby nie trwało to długo, a nastąpiło szybko jak na scenie, i byle wszyscy widzieli i chwalili. Miłość zaś czynna - to praca i wytrwałość, a dla niektórych to i cała pewnie nauka. Ale zapowiadam pani, że w chwili gdy pani z przerażeniem stwierdzi, iż mimo wszelkie wysiłki nie tylko nie zbliżyła się pani do celu, ale bodaj się od niego oddaliła - w tej samej chwili, zapowiadam to pani, nagle osiągniesz ów cel i ujrzysz wyraźnie przed sobą cudowną moc Pana, który nie przestał cię przez cały czas kochać i nieustannie tobą kierować. Wybacz mi, ale dłużej nie mogę rozmawiać, czekają mnie w celi. Bądźcie zdrowe!

Pani Chochłakow płakała.

- A Lise, Lise, pobłogosław ją, ojcie, pobłogosław! - ocknęła się nagle.

- Jej to i kochać nie warto. Widziałem, jak przez cały czas dokazywała - odezwał się żartobliwie starzec. - Dlaczego panienka wyśmiewała się z Aleksego?

Istotnie Lise przez cały czas zachowywała się niesfornie. Przedtem już, za pierwszym razem, spostrzegła, że Alosza miesza się na jej widok i stara się na nią nie patrzeć. Bawiło ją to bardzo i wyzywało jej przekorę. Wypatrywała więc uporczywie i chwytając jego spojrzenie. Alosza bowiem od czasu do czasu, wbrew woli, zmuszony jakąś nieodpartą siłą, rzucał na nią przelotne spojrzenia; mała wietrzniczka chwytając je w lot i odpowiadała triumfującym uśmiechem. Naturalnie wzmagało to zakłopotanie nieśmiałego chłopca. W końcu odwrócił się zupełnie i schował za plecami starca. Jednakże po kilku minutach, ulegając znowu tej samej nieodpartej sile, odwrócił się na chwilę, aby sprawdzić, czy Lise wciąż na niego patrzy. Istotnie Lise, wychyliwszy się z fotela, mało sobie oczu nie wypatrzyła, usiłując ściągnąć na siebie uwagę; postawiwszy zaś na swoim, roześmiała się tak głośno, że nawet starzec nie wytrzymał:

- Czemuż to, swawolnico, starsz się go zawstydzić?

Lise nagle, zupełnie niespodzianie, oblała się rumieńcem, oczy jej zabłyśły, spoważniała okropnie i z żalem, z oburzeniem zaczęła mówić pospiesznie i nerwowo:

- A dlaczego on o wszystkim zapomniał? Gdy byłam mała, na rękę mnie nosił, bawiliśmy się razem. Przecież to on mnie uczył czytać, wie ojciec? Dwa lata temu, żegnając się ze mną, przyrzekł nigdy nie zapomnieć, że jesteśmy na wieki przyjaciółmi, na wieki, na wieki! I czego się teraz nagle mnie boi, czy ja go zjem, czy co? Dlaczego nie chce podejść, dlaczego nie pomówi ze mną? Dlaczego nie chce do nas przyjść? Czy to ojciec go nie puszcza: wszak wiemy, że on wszędzie bywa. Nie wypada mi go wzywać, on pierwszy powinien był sobie przypomnieć, jeśli nie zapomniał. Nie, on teraz zbawienia szuka! I po coście kazali mu tę długopołą riasę włożyć... Pobiegnie i przewróci się...

I nagle, nie panując już nad sobą, zakryła twarz rękoma i przerażająco zaśmiała się niepowstrzymanym, nerwowym, wstrząsającym i bezgłośnym śmiechem. Starzec słuchał jej, uśmiechnięty, i z tkliwością pobłogosławił; ona zaś poczęła całować jego rękę, lecz naraz przycisnęła ją do oczu i rozplakała się:

- Niech się ojciec na mnie nie gniewa, głupia jestem, niegodna, i Alosza ma może słusność, wielką nawet słusność, że nie chce do takiej głupiej przychodzić.

- Na pewno ci go przyślę - postanowił starzec.

## V

### SPEŁNI SIĘ, SPEŁNI!

Nieobecność starca w celi trwała jakie dwadzieścia pięć minut. Było już po wpół do pierwszej, kiedy wrócił, lecz Dymitra Fiodorowicza, w którego sprawie wszyscy się tu zebrali, wciąż jeszcze nie było. Zdawało się jednak, że zupełnie o nim zapomniano, i gdy starzec wszedł do celi, zastał swoich gości zajętych ożywioną rozmową. Prowadzili ją przede wszystkim Iwan Fiodorowicz i obydwaj ojcowie. Wtrącał się czasem, i na pewno bardzo zapalczywie, Piotr Aleksandrowicz Miusow, ale jakoś mu się tego dnia nie szczęściło, był w sposób widoczny zepchnięty na drugi plan, nie zawsze nawet mógł się doczekać odpowiedzi, co, ma się rozumieć, ogromnie potęgowało jego wciąż wzbierającą irytację. Trzeba wiedzieć, że już od dłuższego czasu rywalizował do pewnego stopnia z Iwanem Fiodorowiczem pod względem wykształcenia i nie mógł obojętnie znieść pewnego lekceważenia, jakie ten mu okazywał. „Dotychczas przynajmniej stałem na poziomie wszystkiego, co postępowe w Europie, a to nowe pokolenie stanowczo nas ignoruje” - myślał w duchu. Fiodor Pawłowicz, który przyrzekł był usiąść na krześle i milczeć, istotnie jakiś czas nie odzywał się wcale, tylko szydzącym uśmiechem sekundował niepowodzeniom najbliższego swego sąsiada, Piotra Aleksandrowicza, i jawnie cieszył się z jego rozdrażnienia. Dawno już zamierzał uregulować z nim jakieś tam porachunki i nie chciał teraz stracić stosownej okazji. W końcu nie wytrzymał, pochylił się ku sąsiadowi i znowu zaczął go drażnić półgłosem:

- A dlaczego to pan nie wyszedł onegdaj po: „całował oną z lubością” i zgodził się pozostać w tak nieprzyzwoitej kompanii? A dlatego, że czuł się pan skrzywdzonym i poniżonym; dlatego został pan, żeby dla rewanżu olśnić ich swoim rozumem. Teraz pan już nie ruszy się stąd, póki nie popiszę się swoim rozumem.

- Pan znowu? Właśnie że zaraz wyjdę.

- Ostatni, ostatni pan odjedzie! - ukłął go raz jeszcze Fiodor Pawłowicz. Było to w momencie, gdy starzec wszedł do celi.

Spór ucichł na chwilę, ale starzec, usiadłszy na poprzednim swym miejscu, spojrział uprzejmie po gościach, jakby zapraszając do podjęcia rozmowy. Alosza, który doskonale znał każdy wyraz jego twarzy, widział wyraźnie, że starzec jest ogromnie zmęczony i że goni resztkami sił. W ostatnich czasach skutkiem wycieńczenia ulegał często omdleniom. Bładość, poprzedzająca zazwyczaj omdlenie, i teraz oblekła jego twarz, wargi zbielewały. Widocznie jednak nie chciał jeszcze przerwać zebrania; zdawało się, że miał w tym jakiś cel - ale jaki? Alosza przyglądał mu się badawczo.

- O nader ciekawym artykule tego pana dyskutujemy - odezwał się ojciec Józef, bibliotekarz, zwracając się do starca i wskazując Iwana Fiodorowicza. - Rzecz bardzo ciekawa i wiele nowego przynosi, ale, zdaje się, że idea obosieczna. Pan napisał właśnie artykuł w kwestii sądów cerkiewnych i ich prerogatyw jako odpowiedź na książkę traktującą o owym przedmiocie, a napisaną przez osobę stanu duchownego...

- Żałuję bardzo, że nie czytałem pańskiego artykułu, ale o nim słyszałem - odpowiedział starzec patrząc uporczywie i badawczo na Iwana Fiodorowicza.

- Pan zajmuje nader ciekawe stanowisko w kwestii sądów kościelnych - kontynuował ojciec bibliotekarz - jak gdyby nie uznaje pan rozdziału Kościoła od państwa.

- To ciekawe, ale w jakim sensie? - zapytał starzec Iwana Fiodorowicza.

Ów odpowiedział mu wreszcie, ale wbrew wczorajszym obawom Aloszy, nie z góry, nie z chłodnym bynajmniej ugrzecznieniem, lecz skromnie i powściągliwie, z uprzedzającą grzecznością i zapewne bez myśli ubocznych.

- Wychodzę z założenia, że pomieszanie tych dwóch elementów, to znaczy istoty Kościoła i istoty państwa wziętych oddzielnie, będzie trwało, rzecz jasna, wiecznie, mimo że elementy owe nie dadzą się doprowadzić do normalnej względem siebie równowagi i żadną miarą uzgodnić, bo fałszywa jest podstawa ich wzajemnego stosunku. Kompromis między państwem a Kościołem w takich sprawach jak na przykład sąd, moim zdaniem, jest z natury swej absolutnie niemożliwy. Autor dzieła w tej sprawie, z którym polemizowałem, twierdził, że Kościół zajmuje określone i dokładnie dające się ustalić miejsce w państwie. Ja mu na to odpowiedziałem, że wręcz przeciwnie. Kościół powinien zawierać w sobie całe państwo, a nie zajmować w nim jakiś kącik: że jeżeli to teraz jest z tych czy innych powodów niemożliwe, to z natury rzeczy powinno przecież stanowić główny i bezpośredni cel dalszego rozwoju chrześcijańskiego społeczeństwa.



- Święta prawda - twardo i nerwowo potwierdził ojciec Paisij, wykształcony, lecz milkiwy mnich.

- Ultramontanizm najczystszej wody! - zawołał nagle Miusow. niecierpliwie przekładając nogę na nogę.

- Przecie gór to u nas wcale nie ma! - zawołał ojciec Józef i dodał zwracając się do starca: - Pan odpowiada między innymi na następujące „podstawowe i istotne” twierdzenia swego przeciwnika, osoby duchownej, proszę to mieć na uwadze. Po pierwsze: że „żadna społeczna organizacja nie może i nie powinna rościć pretensji, by rozporządzać obywatelskimi i politycznymi prawami swoich członków”. Po drugie: że „sprawy karne i cywilne nie powinny podlegać kompetencji Kościoła, nie godzą się one zresztą z istotą Kościoła, jako instytucji ustanowionej przez Boga i jako zrzeszenia o celach religijnych”. I wreszcie po trzecie: że „Kościół jest królestwem nie z tego świata”...

- Niegodna gra słów w ustach kapłana! - nie wytrzymał i znowu przerwał ojciec Paisij. - Czytałem ową książkę, na którą pan odpowiedział - dodał zwracając się do Iwana Fiodorowicza - i zdumiony byłem słowami owego kapłana, iż „Kościół jest królestwem nie z tego świata”. Jeżeli nie z tego świata, to wcale nie może istnieć na ziemi. W świętej Ewangelii słowa: „nie z tego świata” mają zupełnie inne znaczenie. Nie godzi się przekręcać znaczenia takich słów. Pan nasz Jezus Chrystus przyszedł przecie, by ustanowić Kościół na ziemi. Królestwo niebieskie jest, rzecz pewna, nie z tego świata, lecz w niebiesiech, jakże go przeto dostąpić, jeżeli nie jedynie przez Kościół ustanowiony i założony na ziemi? A przeto świeckie kalambury w tym przedmiocie są nieprzystojne i niedorzeczne. Kościół zaś jest zaprawdę królestwem i przeznaczony jest królować, i koniec końców winien panować wiekuiście na całej ziemi, jak to nam zostało przyrzeczone...

Nagle umilkł, jakby hamując się z trudem, Iwan Fiodorowicz, wysłuchawszy go z szacunkiem i uwagą, zwrócił się znów do starca i z niezwykłym spokojem, prostodusznie i chętnie jak poprzednio podjął:

- W artykule moim przeprowadzam tę myśl, że w pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwa objawiało się ono na ziemi jedynie przez Kościół i było tylko Kościołem. Następnie pogańskie państwo rzymskie, chcąc stać się chrześcijańskim, zagarnęło tylko Kościół, lecz samo zostało nadal pogańskie w rozlicznych swoich funkcjach. Tak się zresztą w zasadzie powinno było i musiało stać. Atoli w Rzymie, jako w państwie, tkwi jeszcze zbyt wiele z cywilizacji i mądrości pogańskiej, choćby na przykład same podstawy i cele państwa. Kościół zaś Chrystusowy, wcielony do państwa, rzecz jasna, nie mógł wyrzec się swoich zasad i podstaw, zejść z owej opoki, na której był zbudowany, bo Kościół może zdążyć tylko do swoich celów jasno i stanowczo wytkniętych i wskazanych przez Pana, a więc i do tego, aby obrócić cały świat, a przeto i całe dawne pogańskie państwo, w Kościół. W ten sposób (to znaczy w zamiarach przyszłości) nie Kościół ma szukać sobie określonego miejsca w państwie, jak każde „zrzeszenie społeczne” lub jak „zrzeszenie ludzi dla celów religijnych” (jak wyraża się o Kościele autor, z którym polemizuję), lecz wręcz przeciwnie, wszelkie państwo na ziemi powinno w przyszłości przeistoczyć się całkowicie w Kościół i stać się jedynie i wyłącznie Kościołem, oczywiście wyparłszy się wszelkich obcych Kościołowi celów. Twierdzę, że nie poniży to bynajmniej państwa, nie pozbawi go ani honorów, ani chwały, jako wielkiego mocarstwa, ani sławy jego panujących, a tylko z fałszywej, pogańskiej jeszcze i błędnej

drogi przerwuci go na drogę słuszną i prawdziwą, jedynie wiodącą ku wiecznym celom. Oto dlaczego autor pracy *O podstawach sądów cerkiewnych* miałby tylko w tym wypadku słusność, gdyby, analizując i podając w swej książce owe podstawy, uważał je wyłącznie za tymczasowy kompromis, nieunikniony w naszych grzesznych i dalekich od doskonałości czasach, i za nic więcej. Wszakże gdy autor ośmiela się twierdzić, że te właśnie założenia, które on wysnuwa, a których część zaledwie przytoczył nam ojciec Józef, są niezachwiane, przyrodzone i wieczne, to stanowczo postępuje wbrew Kościołowi i świętym, wiecznym a niezachwianym jego przeznaczeniom. Oto cały mój artykuł, przynajmniej jego dokładny zarys.

- To znaczy w dwóch słowach - akcentując każdy wyraz, znowu odezwał się milkliwy ojciec Paisij - wedle innych teorii, zbytnio rozplenionych w naszym dziewiętnastym stuleciu, Kościół winien przeobrazić się w państwo jako forma niższa w wyższą, iżby następnie zniknął w nim doszczętnie, wyparty przez naukę, ducha czasu i cywilizację. Jeżeli tego sobie nie życzy i temu się przeciwstawia, to mu się za to wyznacza w państwie jakiś kącik, i to pod ścisłym nadzorem - jak to się dziś dzieje wszędy po współczesnych państwach europejskich. Wedle zaś rosyjskiego naszego rozumienia i pragnienia, nie Kościół ma się przemienić w państwo, jako w wyższą formę swego istnienia, lecz przeciwnie, państwo ma przysposobić się tak, aby się stało jedynie Kościołem, i niczym innym. Co też się spełni, spełni!

- No, przyznaję, panowie, żeście mnie trochę uspokoili - uśmiechnął się Miusow, znowu przekładając nogę na nogę. - O ile zrozumiałem, ma to być urzeczywistnieniem jakiegoś nieskończenie odległego ideału, które nastąpi po sądzie ostatecznym. Jak kto uważa. Przepiękna marzycielska utopia o zniknięciu wojen, dylematów, banków itd. Coś, co przypomina nawet socjalizm. A ja już myślałem, że to wszystko było mówione na serio i że Kościół już teraz na przykład będzie sądził sprawy karne i skazywał na różgi i katorgę, a może nawet i na karę śmierci.

- Gdyby nawet już teraz istniały tylko sądy kościelne, to i teraz Kościół by nie wysyłał nikogo na katorgę ani nie skazywał na śmierć. Przystępstwo i osąd przestępstwa musiałyby się bezwarunkowo odmienić, oczywiście pomału, stopniowo, nie od razu i nie na poczekaniu, ale przecież dosyć prędko... - spokojnie, nie mrugnawszy nawet okiem odparł Iwan Fiodorowicz.

- Pan na serio? - przyjrzał mu się bacznie Miusow.

- Gdyby wszystko stało się Kościołem, to Kościół po prostu wyrugowałby przestępcę i nieposłusznego wyznawcę, ale nie odrąbywałby głów - ciągnął dalej Iwan Fiodorowicz. - Niechże mi pan powie, gdzie by się podział ekskomunikowany? Musiałby przecież oddalić się nie tylko od ludzi, jak obecnie, ale i od Chrystusa. Wszak występkiem swoim targnąłby się nie tylko na ludzi, lecz i na Kościół Chrystusowy. Naturalnie, ściśle rzecz biorąc, i teraz jest to samo, ale nie dość wyraźnie określone, toteż dzisiejszy przestępca bardzo często wchodzi w ugodę ze swoim sumieniem: „Ukradłem, a jakże, ale z Kościołem nie zadarłem i nie jestem wrogiem Chrystusa” - tak sobie perswaduje często dzisiejszy przestępca. No, a kiedy Kościół stanie na miejscu państwa, trudno mu będzie powiedzieć, chyba że nie zechce uznać powszechnego na całej ziemi Kościoła: „Wszyscy się mylą, wszyscy zeszli z właściwej drogi, to fałszywy Kościół, tylko ja, morderca i złodziej, jestem sprawiedliwym Kościołem chrześcijańskim.” To jednak bardzo trudno sobie powiedzieć, wymaga to szczególnych, niezwykłych warunków, okoliczności nader rzadkich. Z drugiej strony, proszę teraz przyrzeć się stosunkowi Kościoła do przestępstwa: czy może on zostać taki sam, jak dziś, gdy jest

niemal pogański; czy mechaniczne odrąbywanie zakażonego członka, jak to się obecnie praktykuje gwoli bezpieczeństwa powszechnego, nie zmieni się, całkowicie i prawdziwie, w ideę ponownego odrodzenia człowieka, wskrzeszenia go i uratowania...

- Cóż to ma znaczyć? Znowu przestaję rozumieć - przerwał Miusow - znowu jakieś mrzonki. Coś bezkształtnego i zresztą nie można tego zrozumieć. Jak to ekskomunika, cóż to za ekskomunika? Podejrzewam, że pan z nas po prostu kpi, Iwanie Fiodorowiczu.

- Przecież w rzeczywistości i teraz nie jest inaczej - odezwał się nagle starzec, przy czym wszyscy się ku niemu zwrócili - przecież gdyby nie było teraz Kościoła Chrystusowego, to przestępca nie miałby żadnych hamulców i bodaj żadnej nawet kary, bo chyba nie można uważać za prawdziwą karę owej kary mechanicznej, jak to Iwan Fiodorowicz objaśnił, która w większości wypadków jątrzy tylko serce. Prawdziwą bowiem karą, jedynie rzeczywistą, jedynie zastraszającą i skuteczną jest ta, która istnieje w świadomości własnego sumienia.

- Pozwól, pozwól, ojcze, jakże to tak? - z najwyższym zaciekawieniem zapytał Miusow.

- Zgodzi się pan przecież - zaczął starzec - iż wszystkie one katorgi, no i dawniejsza chłosta, nikogo nie poprawiają, a rzecz najważniejsza, prawie nikogo nie potrafią zastraszyć; ilość zbrodni nie tylko się wcale nie zmniejsza, ale owszem, z biegiem czasu coraz bardziej wzrasta. Wszak musi pan to przyznać. Z tego wynika, że społeczeństwo nie ma żadnej ochrony, bo na miejsce jednego mechanicznie odrąbanego lub zesłanego na kraj świata szkodliwego członka natychmiast pojawia się drugi przestępca, a może nawet i dwóch na raz. Jeżeli jest nawet jakaś ochrona społeczeństwa w naszych czasach, jeżeli nawet samego przestępcę zmienia, nawraca i odradza, to czymże ona jest, jak nie prawem Chrystusowym, objawiającym się w głosie własnego sumienia? Dopiero gdy przestępca uświadamia sobie swoją winę jako syn społeczności Chrystusowej, czyli Kościoła, dopiero wtedy rozumie również swoją winę wobec społeczności, czyli wobec Kościoła. W ten sposób współczesny zbrodniarz może uświadomić sobie swoją winę jedynie wobec Kościoła, a nie wobec państwa. I gdyby społeczność w postaci Kościoła miała prawo sądu, to przecież wiedziałaby najlepiej, komu przebaczyć, kogo na nowo przyjąć do siebie. Obecnie zaś Kościół nie rozporządzając, żadnym sądem, mając tylko możność moralnego potępienia, sam uchyla się od czynnego karania złoczyńcy. Nie ekskomunikuje go, a tylko daje mu ojcowskie napomnienia. Co mówię, szczególnie nawet zabiega o to, ażeby zachować z przestępcą wszelką chrześcijańską, kościelną spójnię: dopuszcza go do nabożeństw, do sakramentów świętych, jałmużną go wspiera i obchodzi się z nim raczej jak ze zbłąkanym niż ze złoczyńcą. I cóż by się stało z przestępcą, o Panie! gdyby i społeczność chrześcijańska, czyli Kościół, odtrąciła go od siebie, podobnie jak odtrąca go i odkrawa prawo świeckie? Cóż by się z nim stało, gdyby i Kościół karał go ekskomuniką wraz ze skazującym wyrokiem państwowym? Niepodobna wymyślić gorszej rozpacz, przynajmniej dla rosyjskiego przestępcy, albowiem rosyjscy przestępcy zachowali jeszcze wiarę. A zresztą kto wie, może stałaby się wówczas rzecz straszna: zropaczone serce zbrodniarza straciłoby wiarę, a wtedy co? Wszelako Kościół, jako matka czuła i miłująca, sam się od kary czynnej uchyla, albowiem i bez tego złoczyńca jest srogo karany wyrokiem sądów państwowych, a trzeba przecie, by ktoś okazał mu współczucie. I nade wszystko dlatego się uchyla, że sąd kościelny jest jedynym sądem posiadającym prawdę, a więc z żadnym innym sądem wskutek tego ani formalnie, ani moralnie nie może wchodzić w tymczasową choćby ugodę. Tu są niemożliwe jakiegokolwiek układy i frymarki. W innych krajach przestępca, jak

powiadają, rzadko odczuwa skruchę, albowiem najnowsze nawet teorie utwierdzają go w przekonaniu, iż występki jego wcale nie jest występkiem, lecz słusznym protestem przeciwko ciemnącej go niesprawiedliwie przemocy. Społeczeństwo odcina go od siebie całkiem mechanicznie mając nad nim przemożną siłę, a czyni to w dodatku z nienawiścią (tak przynajmniej oni tam o sobie w Europie rozpowiadają) - z nienawiścią, najzupełniej obojętnie i nie troszcząc się całkiem o dalsze losy swego nieszczęsnego brata. W ten sposób wszystko to odbywa się bez najmniejszego politowania ze strony Kościoła, bo w wielu wypadkach nie ma tam wcale Kościoła, a ostali się tylko urzędnicy kościelni i wspaniałe przybytki, bo Kościół tamtejszy dąży do przejścia z niższego stopnia w wyższy - a mianowicie w państwo, aby w nim z czasem całkiem zaniknąć. Tak, zdaje się, rzecz się ma w krajach luterańskich. W Rzymie zaś już od lat tysiąca zamiast Kościoła ustanowione jest państwo. A więc i sam złoczyńca nie uznaje się za członka Kościoła, a odepchnięty, w rozpacz żyje. Jeśli zaś wraca do społeczeństwa, to niekiedy z taką nienawiścią, że społeczeństwo go od siebie odtrąca. Jak to się skończy, sami możecie przewidzieć. W wielu wypadkach wydaje się, że i u nas zdarza się to samo; ale właśnie o to chodzi, że u nas oprócz ustanowionych sądów istnieje jeszcze Cerkiew, która nigdy nie traci łączności z przestępcą, jako z miłym sobie i wciąż drogim synem swoim; poza tym uchował się i istnieje chociażby tylko w myślach sąd duchowny, lubo teraz nieczynny, przecież trwający gwoli przyszłości, choćby nawet w marzeniu, i niezawodnie wyczuty i uznany przez złoczyńcę instynktem jego duszy. Słuszne jest również i to, co tu teraz powiedziano, że gdyby w rzeczywistości powstał sąd duchowny w całej swej pełni, czyli gdyby wszystka społeczność ludzka stała się żywym Kościołem, to niechybnie nie tylko sąd duchowny oddziaływałby umoralniająco na złoczyńcę w takim stopniu, w jakim dziś w żadnym razie oddziaływać nie może, ale może naprawdę liczba przestępstw ogromnie by się zmniejszyła, zresztą Kościół rozumiałby z pewnością przyszłego przestępcę i przyszły występki w wielu wypadkach zupełnie inaczej niż dzisiaj i potrafiłby przywrócić społeczności zbłąkanego, zawczasu odwrócić nieszczęście i odrodzić upadłego. Prawda - uśmiechnął się starzec - teraz społeczność chrześcijańska nie jest jeszcze doskonała i siedmiu sprawiedliwymi stoi; ale że oni trwają, więc i ona się nie uszczupła, trwa niezachwiana w oczekiwaniu swojej pełnej przemiany ze społeczeństwa, jako związku nieledwie pogańskiego, w jedyny, ekumeniczny i panujący Kościół. I to się spełni, spełni, choćby u kresu wieków, albowiem to jedno spełnić się może! I nie masz się frasować o dzień i godzinę, albowiem tajemnica dnia i godziny w mądrości Bożej, w Jego przewidywaniu i miłości. I to, co na rozum ludzki bardzo jest może dalekie, z wyroku Bożego może stać już za drzwiami. I to się spełni, spełni!

- Spełni się, spełni! - surowo, z nabożną pokorą potwierdził ojciec Paisij.

- Dziwne, nad wyraz dziwne! - odezwał się Miusow, nie tyle zapalczywie, co z jakimś skrytym oburzeniem.

- Co się panu wydaje tak dziwnym? - zapytał ostrożnie ojciec Józef.

- Cóż to takiego, doprawdy? - zawołał Miusow, jakby sobie folgując - usuwa się na ziemi państwa, a Kościół podnosi się do godności państwa! To już nie ultramontanism, to jakiś arcyultramontanism! Coś takiego nie śniło się nawet papieżowi Grzegorzowi VII!

- Raczyl pan zrozumieć na opak - odrzekł surowo ojciec Paisij. - Nie Kościół przemienia się w państwo, niechże pan to wreszcie pojmie. To właśnie jest Rzym i jego marzenie. To właśnie trzecie kuszenie diabelskie! Przeciwnie, państwo przeobraża się w Kościół, wznosi się ku Kościołowi i

staje się na całej ziemi powszechnym Kościołem - chybaż to jest zupełnym przeciwieństwem i ultramontanizmu, i Rzymu, i rozumienia pańskiego. Jest to wielkie przeznaczenie prawosławia na ziemi. Od Wschodu owa gwiazda zajaśnieje.

Miusow znacząco milczał. Cała jego postać wyrażała niezwykle poczucie własnej godności. Uśmiech pełen wyniosłości i pobłażania ukazał się na jego ustach. Alosza przysłuchiwał się rozmowie z bijącym sercem. Był do głębi wzruszony. Przypadkowo spojrzął na Rakitina; ów stał nieruchomo, wciąż na tym samym miejscu, pode drzwiami i uważnie słuchał, i przyglądał się wszystkiemu, choć oczy miał spuszczone. Lecz z żywych rumieńców na policzkach Alosza zmiarkował, że przyjaciel jest wzburzony nie mniej od niego. Alosza domyślał się powodu.

- Pozwólcie mi opowiedzieć małą anegdotkę, moi panowie - odezwał się nagle Miusow z miną szczególnie jakoś ważną i pewną siebie. - W Paryżu, kilka lat temu, wkrótce po przewrocie grudniowym, wypadło mi któregoś razu na wizycie u pewnego bardzo a bardzo wysoko postawionego wówczas dygnitarza, a mojego dobrego znajomego, spotkać niezmiernie ciekawego jegomościa. Był to, nie powiem, agent tajny, ale coś w rodzaju szefa całego oddziału szpiegów politycznych - a więc w swoim rodzaju osobistość wpływowa. Korzystając z okazji, pociągnąłem go z wielkiej ciekawości za język, a że znalazł się tu nie jako znajomy pana domu, lecz jako podwładny urzędnik, który przyszedł był z wiadomego rodzaju raportem, więc widząc, w jakiej jestem zażyłości z jego zwierzchnikiem, uraczył mnie szczerością - no, oczywiście do pewnego stopnia, to znaczy, był raczej uprzejmy niż szczerzy, a trzeba znać tę uprzejmość francuską zwłaszcza w stosunkach z cudzoziemcami. Ale ja go od razu przejrzałem. Mówiliśmy o socjalistach, rewolucjonistach, których wówczas policja prześladowała. Pomijając główny temat naszej rozmowy, przytoczę tylko nader ciekawą uwagę, która się naraz wyrwała temu jegomościowi: „Właściwie mówiąc - rzekł - nie bardzo się lękamy tych wszystkich socjalistów-anarchistów, bezbożników i rewolucjonistów; mamy ich na oku i znamy wszystkie ich fortele. Ale jest wśród nich niewielka co prawda garstka ludzi osobliwych: to są ci, którzy w Boga wierzą, chrześcijanie, a jednocześnie socjaliści. Tych to właśnie najbardziej się lękamy, to straszni ludzie! Socjalista-chrześcijanin jest groźniejszy od socjalisty-bezbożnika.” Słowa te już mnie wówczas zastanowiły, ale teraz u was, panowie, jakoś mi się nagle przypomniały...

- Czyli stosuje je pan do nas i nas uważa za socjalistów? - zapytał bez ogródek ojciec Paisij.

Lecz, zanim Piotr Aleksandrowicz zdążył sobie ułożyć odpowiedź, drzwi otworzyły się i wszedł tak bardzo spóźniony Dymitr Fiodorowicz. Istotnie, całkiem o nim zapomniano, toteż w pierwszej chwili nagle jego przyjście wywołało nawet powszechne zdziwienie.

## VI I PO CÓŻ ŻYJE TAKI CZŁOWIEK!

Dymitr Fiodorowicz, dwudziestośmioletni młodzieniec, średniego wzrostu, o sympatycznej twarzy, wydawał się znacznie starszy. Muskularna jego budowa zdawała się znamionować wielką siłę fizyczną, ale twarz miała jakiś wyraz chorobliwy. Szczupła, o wpadniętych policzkach, mieniła

się niezdrową żółcią. Dosyć duże, ciemne i cokolwiek wypukłe oczy, choć spoglądały twardo, ale przy tym jakoś niepewnie. Nawet w chwilach gdy najbardziej się gorączkował i perorował z alteracją, spojrzenie jego nie harmonizowało bynajmniej z zewnętrznym nastrojem i wyrażało coś zgoła innego, czasem nawet jakieś uczucie rażąco nie licujące z daną chwilą. „Trudno poznać, o czym on myśli” - mawiali nieraz jego rozmówcy. Inni znowu, dostrzegając w jego oczach posępną zadumę, byli zaskoczeni jego nagłym śmiechem, który świadczył, że wesołe i frywolne myśli zaprzętały jego umysł właśnie w chwili, kiedy patrzył tak ponuro. Zresztą pewien niezdrowy wyraz jego twarzy był teraz całkowicie usprawiedliwiony: wszyscy wiedzieli albo słyszeli o niezwykle burzliwym i „hulaszczym” życiu, jakie ostatnio wiodł w naszym miasteczku; również wiadomo było, że zatarg z ojcem o pieniądze rozdrażnił go niezwykle. Krążyły nawet na ten temat przeróżne anegdotki. Co prawda od dziecka był już popędliwy, „umysłu porywczego i nieprawidłowego”, jak określił go nasz sędzia pokoju Siemion Iwanowicz Kaczalnikow na pewnym zebraniu towarzyskim. Dymitr Fiodorowicz wszedł do celi ubrany bardzo elegancko i bez zarzutu, w zapiętym tużurku, w czarnych rękawiczkach i z cylindrem w rękę. Jako były oficer, od niedawna dymisjonowany, nosił wąsy i golił na razie brodę. Jego ciemnoblond włosy były krótko ostrzyżone i zaczesane na skroniach do przodu. Krok miał pewny, szeroki, żołnierski. Przez chwilę stał w progu, po czym, obrzuciwszy obecnych przelotnym spojrzeniem, podszedł ku starcowi, w którym domyślił się gospodarza. Ukłonił mu się głęboko i poprosił o błogosławieństwo. Starzec wstał i pobłogosławił go. Dymitr Fiodorowicz, z czcią ucałowawszy jego rękę, odezwał się z niezwykle wzburzeniem, nieledwie z gniewem:

- Racz mi, ojcze, wybaczyć, że tak długo dałem na siebie czekać. Ale służący Smierdiakow. wysłany przez tatkę, na moje energiczne zapytanie odpowiedział dwukrotnie najbardziej stanowczym tonem, że spotkanie wyznaczono na godzinę pierwszą. Teraz nagle dowiaduję się, że...

- Niech się pan nie przejmuję - przerwał mu starzec - nie szkodzi, trochę się pan spóźnił, to drobnostka...

- Jestem wdzięczny nad wyraz za pobłażliwość, której zresztą, znając dobroć ojca, mogłem się spodziewać.

Co rzekłszy dobitnym głosem. Dymitr Fiodorowicz jeszcze raz się ukłonił, następnie odwrócił się nagle ku swemu „tatce”, złożył mu równie głęboki i pełen uszanowania ukłon. Widać było, że zawczasu obmyślił ten ukłon z całą szczerością, mając sobie za powinność okazać ojcu szacunek i swoją dobrą wolę. Fiodor Pawłowicz zrazu stropił się zaskoczony, ale wnet znalazł się po swojemu. W odpowiedzi na gest Dymitra Fiodorowicza skoczył na równe nogi i równie głęboko pokłonił się synowi. Nagle spoważniał i nastroszył się, co nadało jego twarzy zdecydowanie zły wyraz. Dymitr Fiodorowicz, nic nie mówiąc, ogólnym ukłonem przywitał obecnych, dużym, energicznym krokiem podszedł do okna, usiadł na jedynym wolnym krześle, obok ojca Paisija, i podając się do przodu, sposobił się do słuchania dalszego ciągu chwilowo przerwanej rozmowy.

Incydent ten trwał nie dłużej jak dwie minuty, toteż rozmowa nie mogła się urwać ostatecznie. Ale tym razem na stanowcze i prawie gniewne pytanie ojca Paisija Piotr Aleksandrowicz nie uważał za stosowne odpowiedzieć.

- Pozwólcie państwo, że pomnę ten temat - rzekł z jakąś światową niedbałością. - Temat jest zresztą za mądry. Oto Iwan Fiodorowicz uśmiecha się, widać, że ma znowu coś ciekawego do

powiedzenia. Jego więc spytajcie.

- Nic szczególnego nie mam do powiedzenia, chciałem tylko zrobić drobną uwagę - odrzekł natychmiast Iwan Fiodorowicz - iż liberalizm europejski w ogóle, i nawet nasz rosyjski liberalny dyletantyzm często i od dawna już miesza ostateczne rezultaty socjalizmu z chrześcijaństwem. Niezwykły ten wywód jest oczywiście bardzo charakterystyczny. Zresztą okazuje się teraz, że nie tylko liberałowie i dyletanci mieszają socjalizm z chrześcijaństwem, ale w wielu wypadkach i żandarmi, nie nasi, rozumie się, zagraniczni. Ta pana paryska anegdotka, Piotrze Aleksandrowiczu, jest bardzo znamienna.

- Pozwólcie, panowie, że znowu pominę milczeniem ten temat - powtórzył Piotr Aleksandrowicz - a zamiast tego opowiem drugą anegdotkę o samym Iwanie Fiodorowiczu, ogromnie ciekawą i znamienną. Dopiero jakie pięć dni temu w pewnym tutejszym towarzystwie, składającym się przeważnie z pań, Iwan Fiodorowicz w toku dyskusji oznajmił uroczyście, że nie ma stanowczo na całym świecie nic takiego, co by zniewalało ludzi do kochania bliźnich, że w ogóle nie ma takiego prawa natury, żeby człowiek kochał ludzkość, i że jeżeli jest i była dotychczas jaka miłość na ziemi, to nie wskutek prawa natury, lecz jedynie dzięki temu, że ludzie wierzyli w nieśmiertelność duszy. Iwan Fiodorowicz dodał przy tym, że na tym właśnie polega całe prawo natury, dość więc pozbawić ludzkość wiary w nieśmiertelność duszy, aby natychmiast wygasła miłość, a nawet więcej - wszelka siła żywotna, przedłużająca życie na świecie. To nie wszystko: wówczas nic już nie będzie niemoralne, wszystko będzie dozwolone, nawet ludożerstwo. I nie poprzestając na tym, Iwan Fiodorowicz orzekł na zakończenie, że dla wszystkich poszczególnych ludzi, takich jak my na przykład, którzy nie wierzą ani w Boga, ani w nieśmiertelność duszy, prawo moralne przyrody powinno się natychmiast stać przeciwieństwem poprzedniego prawa religijnego, że zatem egoizm posunięty do zbrodni powinien być nie tylko dozwolony człowiekowi, ale i uznany za niezbędne, najrozsądniejsze i omal nie najszlachetniejsze wyjście w jego sytuacji. Z takiego paradoksu możecie panowie wnosić o wszystkim, co raczył i co zamierza jeszcze głosić nasz sympatyczny ekscentryk i paradoksalista, Iwan Fiodorowicz.

- Pozwoli pan - zawołał nagle Dymitr Fiodorowicz - jeżeli dobrze słyszałem, to „zbrodnia powinna być nie tylko dozwolona, ale i uznana za najbardziej konieczne i najrozsądniejsze wyjście z sytuacji każdego niewierzącego”! Tak czy nie?

- Tak jest - odpowiedział ojciec Paisij. - Zapamiętam to sobie.

Co rzekłszy. Dymitr Fiodorowicz umilkł równie gwałtownie, jak się był wyrwał. Wszyscy spojrzeli nań z zaciekawieniem.

- Czy w istocie wierzy pan, że wygaśnięcie wiary w nieśmiertelność duszy pociąga za sobą takie skutki? - zapytał nagle starzec Iwana Fiodorowicza.

- Tak, rzeczywiście to mówiłem. Nie ma cnoty, gdy nie ma nieśmiertelności.

- Błogosławiony jesteś, kiedy tak wierzysz, albo już bardzo nieszczęśliwy!

- Dlaczego nieszczęśliwy? - uśmiechnął się Iwan Fiodorowicz.

- Albowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wierzy pan ani w nieśmiertelność swej duszy, ani nawet w to, coś napisał o Kościele i o sprawie kościelnej.

- Może nie mylisz się, ojcze!... Jednakże niezupełnie żartowałem... - przyznał się naraz Iwan Fiodorowicz, dziwnie czerwieniąc się przy tym.

- Niezupełnie pan żartował, to prawda. Idea ta nie jest jeszcze rozstrzygnięta w pańskim sercu i dręczy je. Ale czasem nawet męczennik lubi poigrać swoją rozpaczą, też jak gdyby z rozpaczą. Chwilowo zabawia się pan z rozpaczą artykułami dziennikarskimi i dyskusjami w salonach, sam nie wierząc w swoje wywody, śmiejąc się z nich z goryczą... W panu kwestia ta nie jest rozstrzygnięta, i to właśnie jest pana wielką udręką, albowiem usilnie domaga się pan rozstrzygnięcia...

- A czy może być we mnie rozstrzygnięta? Rozstrzygnięta twierdząco? - znowu dziwnie zapytał Iwan Fiodorowicz, patrząc na starca z jakimś zagadkowym uśmiechem.

- Jeżeli nie może rozstrzygnąć się w sensie twierdzącym, to nigdy też nie rozstrzygnie się w przeczącym; sam pan zna właściwość swego serca; i to pana najbardziej dręczy. Wszakże niech pan dziękuje Stwórcy, że dał panu serce wzniosłe, zdolne do takich cierpień, że pozwolił „wzniosłe rozumować i szukać wzniosłości, nasze bo siedlisko na niebiesiech jest”. Oby Bóg dał, by rozstrzygnięcie serca twego zastało cię jeszcze na ziemi, oby Bóg błogosławił drogi twoje!

Starzec podniósł rękę i zamierzał ze swego miejsca przeżegnać Iwana Fiodorowicza. Lecz ów porwał się nagle, podszedł do starca, przyjął błogosławieństwo i ucałowawszy jego rękę wrócił w milczeniu na swoje miejsce. Był poważny i stanowczy. Ten jego postępek, jak zresztą i poprzednia jego rozmowa ze starcem, był dla obecnych taką niespodzianką i tak działał swoją zagadkowością i nawet niejaką solennością, że wszyscy na chwilę umilkli, a na twarzy Aloszy odmalował się nieledwie przestach. Lecz naraz Miusow wzruszył ramionami i w tejże chwili Fiodor Pawłowicz zerwał się na równe nogi.

- Boski i najświętszy starcze! - zawołał wskazując na Iwana Fiodorowicza. - Mój to syn, kość z kości mojej, najukochańsza latorośl moja! To mój najzaciejszy, że tak powiem, Karol Moor, tamten zaś, co usiadł przed chwilą, Dymitr Fiodorowicz, przeciw któremu szukam waszego wstawiennictwa - to najnieposłuszniejszy Franc Moor - obaj ze *Zbójców* Schillera. Ja zaś, ja sam wobec tego jestem *Regierender Graf von Moor*! Osądź nas i ratuj! Łakniemy nie tylko modlitwy twojej, ale i prorocstwa twego.

- Proszę, zechciej pan mówić bez błazeństw i nie zaczynaj od obrażania swoich synów - odrzekł starzec słabym, zmęczonym głosem. Widocznie coraz bardziej słabł i tracił siły.

- Niegodziwa komedia, przeczuwałem to idąc tutaj! - zawołał Dymitr Fiodorowicz z oburzeniem, również zerwawszy się z krzesła. - Wybacz, przewielebny ojcze - zwrócił się do starca - jestem człowiekiem niewykształconym i nie wiem nawet, jak się do ciebie zwracać, ale oszukano cię, ojcze, byłeś zbyt dobry, przystając na ten zjazd. Tatko umie tylko wyprawiać skandale, ma w tym swoje wyrachowanie. Zawsze ma swoje wyrachowanie. Ale zdaje się, że teraz wiem już, po co...

- Wszyscy mnie oskarżają, wszyscy! - wołał z kolei Fiodor Pawłowicz - nawet Piotr



Aleksandrowicz oskarża mnie. Oskarżał pan, Piotrze Aleksandrowiczu, oskarżał! - zwrócił się naraz do Miusowa, chociaż ten ani myślał zaprzeczać. - Oskarżają mnie o to, że pieniądze dzieci za cholewę schował i *basz na basz* sobie przywłaszczył; ale pozwólcie, moi państwo, od tego są przecież sądy! Tam ci wyliczę, Dymitrze Fiodorowiczu, co do grosza, na podstawie twoich pokwitowań, listów i umów, ile miałeś, ile roztrwonileś, ileście posiadali, ile roztrwonili, a ile zostało! Czemu to Piotr Aleksandrowicz uchyla się od orzeczenia? Dymitr Fiodorowicz jest jego krewniakiem. I czemuż to wszyscy są przeciwko mnie, skoro Dymitr Fiodorowicz jest mi jeszcze winien, a jakże, i to nie drobiazg jaki, lecz kilka tysięcy, co mogę dokumentami zaświadczyć! Wszak całe miasto trzęsie się i grzmi od jego hulanki! A tam gdzie dawniej kwaterował, tam to nawet po tysiączku i po dwa tysiączki płacił jako odszkodowanie za uwodzenie cnotliwych dziewczyc; wiemy o tym, Dymitrze Fiodorowiczu, wiemy o tym z najbardziej sekretnymi szczegółami i dowiodę tego łącno... Najświętszy ojciec, czy da ojciec wiarę: rozkochał w sobie najszlachetniejszą z dziewczyc, pannę z dobrego domu, posażną córkę dawnego swego zwierzchnika, męznego pułkownika, wielce zasłużonego z Anną z mieczami na szyi, skompromitował pannę, bo był z nią po słowie; teraz ona tu przyjechała, sierotka, jego narzeczona, a on pod jej nosem rozjurzył się do pewnej tutejszej kusicielki. I chociaż kusicielka ta żyła, że tak powiem, w cywilnym małżeństwie z pewnym zacnym urzędnikiem, ale charakter ma niezależny, twierdza, że tak rzekę, nieprzystępna, to samo co ślubna żona, bo cnotliwa - tak jest, ojcowie święci - cnotliwa! Zaś Dymitr Fiodorowicz chce tę fortecę złotym kluczem otworzyć i dlatego właśnie dziś wobec ojca tak się buńczuczy, chce ode mnie pieniądze wyciągnąć, a tymczasem ileż to ciężkich tysiączków na kusicielkę przepuścił; toteż i długi robi, i powiedzcie, panowie, kogo na pożyczki naciąga, jak wam się zdaje? Mitia, mam powiedzieć?

- Milczeć! - krzyknął Dymitr Fiodorowicz - poczekaj, aż wyjdę, lecz w mojej obecności nie waż mi się kłaść najszlachetniejszego dziewczęcia... Niemała dla niej hańba, żeś imię jej wymienił... Nie pozwolę!

Zabrakło mu tchu.

- Mitia! Mitia! - wyciskając z siebie łzy, zawołał Fiodor Pawłowicz osłabłym z histerii głosem - to już za nic masz błogosławieństwo ojcowskie<sup>7</sup> A jak przeklnę, to co?

- Bezwstydnny komediantcie - warknął wściekle Dymitr Fiodorowicz.

- To on na własnego ojca, na ojca! To jakże z obcymi? Panowie, wyobraźcie sobie: mieszka tu biedny, lecz zacny człeczyzna, były kapitan, noga mu się powinęła, dostał dymisję, ale nie jawnie, nie sądownie: wyszedł z honorem nieszczęsny człowiek, obarczony rodziną liczną. A trzy tygodnie temu nasz Dymitr Fiodorowicz w traktierni chwycił go za brodę, wyciągnął za tę jego brodę na środek ulicy i tam mu wobec wszystkich skórę wyłoił. A za co, moi panowie? Za to, że ów kapitan pośredniczył w pewnej mojej sprawie.

- Kłamstwo! Pozornie prawda, ale w istocie kłamstwo! - drżąc z gniewu, zawołał Dymitr Fiodorowicz. - Ojciec! Ja swego postępowania nie wybielam; tak, wyznaję to wobec wszystkich: postąpiłem z tym kapitanem jak istny zwierz i teraz żałuję, i brzydzę się sobą za swą zwierzęcą wściekłość, ale ten twój kapitan, twój faktor, poszedł właśnie do owej pani, którą przezwaleś kusicielka, i w twoim imieniu dał jej moje weksle, które były w twoim posiadaniu, aby mnie zaskarżyła do sądu, gdy będę się upominał o spadek po matce! Teraz zarzucasz mi, ojciec, że podoba

mi się ta pani, a tyżeś sam ją namawiał, aby mniezwabiła! Przecież ona to sama opowiadała, mnie opowiadała, śmiejąc się z ciebie! I chciałeś wsadzić mnie do więzienia, ponieważ jesteś o nią zazdrosny, ponieważ sam się do niej paliłeś, nie dawałeś jej spokoju, a ja wiem o tym dobrze, bo ona śmiejąc się z ciebie, ojczy, sama mi to opowiadała. Macie więc, ojcowie świętobliwi, tego człowieka, tego ojca, który zawstydzia rozpustnego syna! Panowie świadkowie, wybaczcie mi moje uniesienie, ale przeczuwałem, że ten przewrotny staruch zwołał nas tu wszystkich, aby urządzić skandal. Przyszedłem, żeby przebaczyć, o ile by wyciągnął rękę do zgody, przebaczyć i o przebaczenie prosić! Ale że obraził w tej chwili nie tylko mnie, lecz i najszlachetniejszą pannę, której imienia nie śmiem wymówić nadaremnie, taką czcią ją otaczam, więc postanowiłem publicznie odsłonić całą jego grę, pomimo że jest moim ojcem...

Nie mógł dłużej mówić. Oczy mu błyszczały, oddychał z trudem. Wszyscy zresztą byli wzburzeni. Nikt już prócz starca nie siedział. Obaj ojcowie nasrożyli się, wszakże czekali, jak starzec się zachowa. Ten zaś siedział wyjątkowo blady, ale nie ze wzruszenia, lecz z ostatecznego osłabienia. Błagalny uśmiech pojawił się na jego ustach; chwilami podnosił rękę, jakby chciał pohamować opętanych, i oczywiście jeden jego gest byłby niezawodnie przerwał tę burzliwą scenę. Lecz starzec sam jak gdyby na coś jeszcze czekał, bacznie się przyglądał, chcąc coś jeszcze zrozumieć, jak gdyby jeszcze sobie czegoś nie wyklarował. Wreszcie Piotr Aleksandrowicz, który poczuł się ostatecznie poniżony i zhańbiony, rzekł zapalczywie:

- Wszyscyśmy winni, że doszło do takiego skandalu! Lecz nie mogłem tego przeczuć idąc tu, chociaż wiedziałem dobrze, z kim mam do czynienia... Trzeba temu natychmiast położyć kres! Wielebny ojczy, zechciej mi wierzyć, że nie znałem dokładnie wszystkich ujawnionych tu szczegółów, nie chciałem im dawać wiary, i dopiero teraz po raz pierwszy się dowiaduję... Ojczy rywalizuje z synem o względy kobiety lekkich obyczajów i knuje z tą kreaturą intrygi, aby syna do więzienia wsadzić... I w takiej to kompanii zmuszono mnie tu przyjść... Jestem oszukany, oświadczam wobec wszystkich, że jestem oszukany nie mniej od innych...

- Dymitrze Fiodorowiczu! - wrzasnął nagle jakimś nieswoim głosem Fiodor Pawłowicz - gdybyś nie był moim synem, w jednej sekundzie wyzwałbym cię na pojedynek... na pistolety, odległość trzy kroki... przez chusteczkę, przez chusteczkę! - zakończył tupiąc nogami.

Są chwile w życiu starych łgarzy, którzy całe życie grali komedię, kiedy tak się zaczynają zgrywać, iż w istocie drżą i płaczą ze wzruszenia, jakkolwiek jednocześnie (albo w sekundę później) mogliby szepnąć do siebie: „Przecie łżesz, stary bezwstydniku, komediantem jesteś nawet i teraz, pomimo swego «świętego» gniewu i «świętej» chwili oburzenia.”

Dymitr Fiodorowicz okropnie się nasępił i z niezmierną pogardą spojrzął na ojca.

- Myślałem... myślałem - rzekł jakoś cicho i powściągliwie - że przyjadę do rodzinnych miejsc z aniołem swej duszy, ze swą narzeczoną, aby pielęgnować i osładzać jego starość... I cóżem zastał? Wyuzdanego rozpustnika i najpodlejszego komedianta!

- Na pojedynek! - wrzasnął ponownie starowina dusząc się i bryzgając śliną przy każdym słowie. - A pan, Piotrze Aleksandrowiczu Miusow, wiedz, że pewno w całej twojej rodzinie nie ma i nie było godniejszej i uczciwszej - słyszy pan, uczciwszej - kobiety od tej, jak ją ośmieliłeś się

nazwać przed chwilą, kreatury! A ty, Dymitrze Fiodorowiczu, na tę „kreaturę” swoją narzeczoną zamieniłeś, a zatem sameś uznał, że twoja narzeczoną podeszwy tamtej niewarta, taka to kreatura!

- Wstyd, doprawdy! - nie wytrzymał ojciec Józef.

- Wstyd i hańba! - zawołał nagle milczący dotychczas Kałganow młodzieńczym i drżącym ze wzruszenia głosem, czerwieniejąc przy tym po uszy.

- I po cóż żyje taki człowiek! - głucho ryknął Dymitr Fiodorowicz, prawie nieprzytomny z gniewu, w szczególny jakiś sposób unosząc ramiona i garbiąc się. - Nie, powiedzcie mi, czy można jeszcze pozwolić, by bezcześcił ziemię swoją osobą - dodał powolnym i miarowym głosem, tocząc wokoło spojrzeniem i wskazując ręką ojca.

- Słyszycie, słyszycie wy, mnichy, ojcobójce! - Fiodor Pawłowicz podbiegł do ojca Józefa. - Oto odpowiedź na wasze „wstyd”! Czego wstyd? Ta „kreatura”, ta „kobieta lekkich obyczajów” jest może świętsza od was, panowie pokutnicy! Ona może w młodości upadła, osaczona przez środowisko, ale „miłowała wiele”, a takiej sam Chrystus przebaczył!

- Chrystus nie za taką miłość przebaczył... - odparł zniecierpliwiony poczciwy ojciec Józef.

- Nie, za taką, za taką samą, mnichy, za taką właśnie! Wy tu kapustą duszę zbawiacie i kroicie od razu na sprawiedliwych! A jakże, kielbikami się żywicie, po kielbiku dziennie, i myślicie, że Boga kielbikami przekupicie!

- To nie do zniesienia, nie do zniesienia! - rozległo się ze wszystkich stron.

Lecz cała ta ohydnie nieprzyzwoita scena zakończyła się w zgoła nieoczekiwany sposób. Naraz bowiem wstał ze swego miejsca starzec. Alosza, na pół przytomny ze strachu o niego i o wszystkich, zdążył jednak podtrzymać go w porę. Starzec skierował się ku Dymitrowi Fiodorowiczowi, a podszedłszy doń zupełnie blisko, osunął się przed nim na kolana. Alosza pomyślał zrazu, że starzec upadł z osłabienia, ale to było zgoła co innego. Klęcząc, starzec pokłonił się Dymitrowi Fiodorowiczowi do nóg pełnym, wyraźnym, świadomym pokłonem i nawet czołem dotknął ziemi. Alosza był tak bardzo zdumiony, że nie zdążył go wesprzeć, gdy ów zaczął się podnosić. Słaby uśmiech ledwo błąkał się na jego wargach.

- Darujcie! Darujcie wszyscy! - rzekł kłaniając się na wszystkie strony obecnym.

Dymitr Fiodorowicz stał jeszcze kilka chwil jak rażony piorunem - jemu starzec pokłonił się do nóg, cóż to znaczy? Wreszcie zawołał: „O Boże!” i zasłoniwszy twarz rękoma, wybiegł z celi. Za nim wybiegli hurmem wszyscy goście, z pomieszania nie żegnając się nawet i nie odpowiadając na pokłon gospodarzowi. Tylko obaj starsi panowie podeszli prosić go o błogosławieństwo.

- Cóż to za padanie do nóg, znak to jakiś? - spróbował niby nawiązać rozmowę Fiodor Pawłowicz, który nie wiadomo czemu nagle spokorniał. Nie śmiał jednak zwrócić się do nikogo bezpośrednio. W tej chwili właśnie wszyscy wychodzili za mur pustelni.

- Ja za dom obłąkanych i za wariatów nie odpowiadam - warknął ze złością Miusow - ale za to

uwolnię się od pańskiego towarzystwa, Fiodorze Pawłowiczu, i proszę mi wierzyć, że na zawsze. Gdzie się podział ten mnich?...

„Ten mnich”, który zaprosił ich poprzednio na obiad w imieniu ojca ihumena, czekał na nich tuż przy ganeczku, jak gdyby stał tu cały czas i nigdzie się nie oddalał.

- Bądźcie łaskawi, czcigodny bracie, wyrazić ojcu ihumenowi mój najgłębszy szacunek. I proszę wytłumaczyć mnie osobiście, Miusowa, przed wielebnym ojcem, że wskutek nieprzewidzianych okoliczności nie mogę w żaden sposób skorzystać z zaszczytnego zaproszenia na obiad pomimo najgorętszych chęci - z rozdrażnieniem odezwał się Piotr Aleksandrowicz do mnicha.

- Wszak nieprzewidziana okoliczność to przecież ja jestem! - natychmiast podchwycił Fiodor Pawłowicz. - Słyszysz, ojcze, Piotr Aleksandrowicz nie życzy sobie ze mną zostać, inaczej by na pewno zaraz poszedł na obiad. I pójdzie pan, Piotrze Aleksandrowiczu, proszę łaskawie pofatygować się do ojca ihumena i - życzę dobrego apetytu! Niech pan wie, że to ja się uchylam, a nie pan. W domu, w domu, w domu sobie zjem, bo tu czuję się nieswojo, Piotrze Aleksandrowiczu, mój najmilszy krewniak.

- Nie jestem pańskim krewniakiem i nigdy nim nie byłem, podły człowieku!

- Specjalnie to powiedziałem, aby pana podbechtać, ponieważ wyrzeka się pan pokrewieństwa, ale jakkolwiek pan nosem kręci, jest pan bądź co bądź moim krewnym, mogę to panu dowieść w każdej chwili; po ciebie, Iwanie Fiodorowiczu, w odpowiednim czasie przyślę konie, zostań i ty, jeśli chcesz. Panu zaś, Piotrze Aleksandrowiczu, chociażby zwykła przyzwoitość nakazuje teraz być u ojca ihumena; trzeba przecież przeprosić za to, cośmy tam z panem nabroili...

- Czy to aby prawda, że pan odjeżdża? Czy to nie podstęp znowu?

- Piotrze Aleksandrowiczu, jakże bym śmiał po tym wszystkim, co zaszło!... Uniósłem się, darujcie, panowie, uniósłem się. A prócz tego jestem głęboko wstrząśnięty! No i wstyd. Panowie, jedni mają serce jak Aleksander Macedoński, inni jak piesek Fidelek. Ja mam jak piesek Fidelek. Tchórz mię obleciał! No bo i jakże po takiej eskapadzie jeszcze na obiad, sosy monasterskie pałaszować? Wstyd, nie mogę, przepraszam bardzo!

„Diabli go wiedzą, a nuż oszuka i przyjdzie!” - rozważał w myśli Piotr Aleksandrowicz: przystanął śledząc podejrzliwym wzrokiem oddalającego się komedianta. Ów zaś obejrzał się i, widząc wlepione w siebie spojrzenie Piotra Aleksandrowicza, posłał mu ręką całusa.

- A pan idzie do ihumena? - zapytał porywczo Miusow Iwana Fiodorowicza.

- Czemu nie? Tym bardziej że ojciec ihumen specjalnie zaprosił mnie już wczoraj.

- Na nieszczęście istotnie czuję się prawie w obowiązku pójść na ten przeklęty obiad - podjął wciąż z tym samym gorzkim rozdrażnieniem Miusow nie zważając na to, że mnich go słyszy. - Tam przynajmniej trzeba będzie przeprosić za to, cośmy tu narobili, i wyjaśnić, że to nie my właściwie... Jak pan sądzi?

- Tak, trzeba wyjaśnić, że to nie my. A poza tym tatki nie będzie - odpowiedział Iwan Fiodorowicz.

- Jeszcze by tego brakowało! Przeklęty obiad!

Mimo to szli wszyscy dalej. Mniszek słuchał i milczał. Przez drogę tylko raz wspomniał, że ojciec ihumen dawno już czeka i że spóźnili się więcej niż pół godziny. Nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi. Miusow z nienawiścią spojrział na Iwana Fiodorowicza.

„A ten idzie na obiad jakby nigdy nic! - pomyślał. - Miedziane czoło i karamazowowskie sumienie.”

## VII SEMINARZYSTA KARIEROWICZ

Alosza doprowadził swego starca do alkowy i posadził na łóżku. Był to bardzo mały pokój, a w nim najniezbędniejsze tylko sprzęty: łóżko było wąskie, żelazne, przykryte wojłokiem zamiast materaca. W kącie pod świętymi obrazami stał pulpit, na którym leżał krzyż i Nowy Testament. Starzec osunął się bezsilnie na łóżko; oczy mu błyszczały, oddech był ciężki, urywany. Usiadłszy, badawczo wpatrywał się w Aloszę, jak gdyby coś obmyślał.

- Idź, mój drogi, idź, Porfiry mi tu wystarczy, a ty się pośpiesz. Jesteś tam potrzebny, idź do ojca ihumena i usługuj przy obiedzie.

- Zezwól mi tu zostać, ojcie - odparł błagalnym głosem Alosza.

- Tam jesteś potrzebniejszy. Tam pokoju nie ma. Usłużysz, inaczej się przydasz. Gdy rozpętają się biesy, odmawiaj modlitwę. I wiedz, synku (starzec lubił go tak nazywać), że nie tutaj jest twoje miejsce w przyszłości. Zapamiętaj to sobie, chłopcze. Skoro tylko spodoba się Bogu powołać mnie do siebie, opuść klasztor. Opuść całkowicie.

Alosza drgnął.

- Czego drzysz? Nie tutaj jest twoje miejsce, do czasu przynajmniej. Błogosławię cię na służbę Bożą w życiu świeckim. Czeką cię jeszcze długa tułaczka. I ożenić się trzeba będzie, trzeba. Wszystko będziesz musiał znieść, pokąd nie wrócisz. Pracy zaś będzie pod dostatkiem. Ufam tobie i dlatego cię posyłam. Chrystus jest z tobą. Zachowaj Go i On ciebie zachowa. Cierpienie wielkie zobaczysz i w cierpieniu tym będziesz szczęśliwy. Oto mój testament: w cierpieniu szczęścia szukaj. Zapamiętaj sobie moje słowa, albowiem chociaż będę jeszcze z tobą rozmawiał, przecież nie tylko dni, ale i godziny moje są policzone.

Twarz Aloszy drgnęła gwałtownie, kąciki ust drżały.

- Dlaczego znowu drżysz? - uśmiechnął się łagodnie starzec. - Niechaj ludzie świeccy we łzach odprowadzają swych zmarłych, my tu cieszymy się, kiedy który z ojców odchodzi. Cieszymy się i modlimy za niego. Zostaw mnie więc samego. Trzeba się modlić. Idź do nich, spiesz się. Bądź przy braciach swoich. I nie przy jednym, ale przy obydwóch.

Starzec wznosił rękę do błogosławieństwa. Niepodobna było się sprzeciwić, choć Alosza z całej duszy pragnął zostać. Miał poza tym ochotę zapytać - pytanie to po prostu wyrwało mu się z ust - co oznaczał ów czołobitny pokłon przed bratem Dymitrem. Lecz nie ośmielił się zapytać. Wiedział nadto, że starzec sam by mu to powiedział bez zapytania, gdyby uważał za stosowne. Milczy, to znaczy, nie chce mówić. W każdym razie pokłon ów ogromnie zdumiał Aloszę; wierzył ślepo, że ma on jakiś tajemniczy sens. Tajemniczy, a może nawet przerażający. Gdy wyszedł z pustelni, aby zdążyć na obiad u ihumena (oczywiście, aby tylko usługiwać przy stole), naraz serce jego ścisnęło się boleśnie, przystanął: w uszach znów zabrzmiały mu słowa starca, zapowiadające rychły zgon. Musiało się bezwzględnie spełnić, co starzec zapowiedział, w dodatku tak wyraźnie. Alosza wierzył w to święcie. Ale co się z nim stanie, jak będzie żyć, nie widząc świątobliwego starca, nie słysząc głosu jego? I dokąd pójdzie? Płakać zabrania i każe iść z monasteru, o Boże! Dawno już Alosza nie przeżywał takiego smutku. Prędkim krokiem pospieszył przez las, oddzielający pustelnię od monasteru, i nie mogąc dłużej znieść swych myśli - tak bardzo go nękały - począł rozglądać się po stuletnich sosnach, wznoszących się po obu stronach leśnej ścieżki. Droga była niedługa, zaledwie pięćset kroków, nie więcej; o tej godzinie nikogo zazwyczaj nie można tu było spotkać, a tymczasem przy pierwszym zakręcie Alosza ujrzał Rakitina, który zdawał się kogoś oczekiwać.

- Czy na mnie czekasz? - zapytał Alosza podchodząc ku niemu.

- Właśnie na ciebie - uśmiechnął się Rakitin. - Pędzisz tak do ojca ihumena. Wiem, obiad wydaje. Od tamtego czasu, jak przyjmował archijereja i generała Pachatowa, pamiętasz chyba, nie było jeszcze tak zastawionego stołu. Ja tam, ma się rozumieć, nie będę, ale ty idź, sosy gościom będziesz podawać. Powiedz mi tylko jedno, Aleksy: co ten sen oznacza? O to cię chciałem spytać.

- Jaki sen?

- No niby ten niski pokłon przed twoim braciszkiem Dymitrem Fiodorowiczem. I jak jeszcze czołem stuknął!

- Mówisz o ojcu Zosimie?

- Tak, o ojcu Zosimie.

- Stuknął?

- A, wyraziłem się bez uszanowania! Niech i tak będzie. Więc co ów sen oznacza?

- Nie wiem, Misza, co to oznacza.

- Z góry wiedziałem, że on ci nic nie wyjaśni. Mądrego, ma się rozumieć, nic w tym nie ma,

same, widzi mi się, zwykle brednie pobożne. Ale sztuczka była umyślnie zrobiona. No, będą teraz trąbić wszystkie świętoszki w mieście i po guberni rozniosą: „Co to niby ów sen oznacza?” Po mojemu, stary jest naprawdę przezorny: kryminał zwąchał. Bo i cuchnie u was naprawdę.

- Jaki kryminał?

Rakitin chciał widocznie coś więcej powiedzieć.

- W waszej rodzinie będzie ten kryminał. Zdarzy się to między twoimi braćmi a twoim tatusiem bogatym. Dlatego ojciec Zosima stuknął czołem na wszelki wypadek. Potem, jak się co zdarzy, będą wołali: „Ach, wszak to święty starzec przewidział, wyprorokował” - chociaż jakie to proroctwo, że czołem stuknął? Nie, ale to niby znak był, alegoria i diabli wiedzą co! Rozsławiają, zapamiętują sobie: że niby przestępstwo przeczuł, zbrodniarza nazaczył. Prostaczkowie boży zawsze tak: na szynk się przeżegna, a w cerkiew kamieniem ciśnie. Tak ci i twój stary: sprawiedliwego pałą w łeb, a mordercy - pokłon czołobitny.

- Jaka zbrodnia? Jakiemu mordercy? O czym ty gadasz? - Alosza stał jak skamieniały. Rakitin zatrzymał się również

- Jaki? Niby to nie wiesz? Idę o zakład, żeś ty sam już o tym myślał. Zresztą to ciekawe: słuchaj, Alosza, ty zawsze szczerą prawdę mówisz, chociaż przeważnie na dwóch stołkach siedzisz: myślałeś o tym, czyś nie myślał, odpowiadaj!

- Myślałem - odrzekł cicho Alosza. Nawet Rakitin zmieszał się po trosze.

- Co mówisz? Więc i tyś to pomyślał<sup>7</sup> - zawołał.

- Ja... ja nie to, że myślałem - mruknął Alosza - ale gdyś zaczął o tym przed chwilą tak dziwnie mówić, zdawało mi się, że i ja to samo myślałem.

- Widzisz i jakżeś ty to jasno wyraził - widzisz? Dzisiaj patrząc na tatusia i na braciszka Mitie pomyślałeś o zbrodni? To znaczy, że się nie myłę?

- Ale poczekaj, poczekaj - przerwał mu trwożnie Alosza - z czegoż ty to wnioskujeś?... I przede wszystkim cóż to ciebie tak bardzo obchodzi?

- To dwie różne kwestie, ale bardzo istotne. Odpowiem na każdą z osobna. Z czego wnioskujeś? Nic bym nie dostrzegł, gdybym dziś Dymitra Fiodorowicza, twego brata, nie przejrzał nagle całego na wylot, od razu i nagle całego. Poznałem go, mogę powiedzieć, z jednego tylko rysu i w jednej chwili ujrzałem jak na dłoni. Takie bardzo uczciwe, lecz zmysłowe natury mają jakby linię, której nie wolno im przejść. Bo wówczas to i własnego ojca nożem dźgnie. A ojczulek, łyktus i rozpustnik okropny, nigdy żadnej miary nie znał - nie utrzymają się obydwaj i buch do rynsztoka...

- Nie, Misza, nie, jeżeli tylko to, toś mi dodał otuchy. Do tego nie dojdzie.

- A czegoż ty się trzęsiesz cały? Wiesz, co będzie? Co z tego, że on uczciwy, twój brat Mitia (głupi, ale uczciwy), kiedy lubieżnik. Masz oto jego określenie i całą wewnętrzną istotę. Po ojcu

odziedziczył jego podłą lubieżność. To mnie tylko dziwi, Alosza: jakżeś ty się jeszcze uchował niewinny? Przecie i tyś Karamazow! Przecie w waszej rodzinie lubieżność doszła do stanu zapalnego. Tamci trzej lubieżnicy śledzą się teraz nawzajem... z majchrami za cholewą. Stuknęli się trzej łbami, a ty jesteś chyba czwarty.

- Mylisz się co do tej kobiety. Dymitr nią... gardzi - drżąc jakoś rzekł Alosza.

- Gruszą? Nie, bracie, nie gardzi. Skoro narzeczoną swą porzucił dla niej jawnie, to chyba nie gardzi. Tu... tu, bracie, jest coś, czego ty teraz nie pojdziesz. Bywa, że człek zakocha się w jakiejś krasie, w ciele kobiecym, albo nawet tylko w jakiejś części ciała kobiecego (to lubieżnik może tylko zrozumieć), wówczas odda za nią własne dzieci, ojca sprzeda i matkę, Rosję i ojczyznę; będąc uczciwym, pójdzie i ukradnie; będąc łagodnym - zarżnie; wiernym będąc - zdradzi. Piewca nóżek kobiecych, Puszkina, nóżki w wierszach opiewał; inni nie opiewają, lecz bez dreszczu nie potrafią patrzeć na nóżki. Ale nie tylko na nóżki... Tu, bracie, pogarda nie wystarczy, choćby nawet pogardzał Gruszeńką. Pogardza, a oderwać się nie może.

- Ja to rozumiem - szepnął nagle Alosza.

- Czyżby? Zapewne musisz to rozumieć, skoroś od pierwszego słowa bąknął, że rozumiesz - odezwał się Rakitin ze złośliwą radością. - Tyś to przypadkowo bąknął, tobie się to wyrwało. Tym cenniejsze wyznanie: a więc znasz już ten temat, myślałeś już o tym, o lubieżności! Ach, ty niewiniątko! Trusia z ciebie, święty, zgoda, ale choć trusią jesteś, lecz diabli wiedzą, o czymżeś już nie myślał, diabli wiedzą, czegoś już nie zgłębił! Niewiniątko, a przez taką głębinę przeszedł, ja się tobie od dawna już przyglądam. Tyś Karamazow, prawdziwy Karamazow - coś chyba znaczy rasa i dobór! Po ojcu - lubieżnik, po matce - prostaczek boży. Czego drżysz? Zali prawdę mówię? Wiesz co? Gruszeńką prosiła mnie: „Przyprowadź ty mi jego (to znaczy ciebie), ja z niego kapicę zedrę.” I jak jeszcze mnie prosiła: przyprowadź i przyprowadź! Pomyślałem tylko: co ona w tobie widzi ciekawego? Wiesz, to także niezwykła kobieta, doprawdy!

- Kłaniaj się i powiedz, że nie przyjdę - z kwaśnym uśmiechem odparł Alosza. - Dokończ, Michale, coś zaczął, a ja ci swoją myśl wyłożę.

- Co tu jeszcze mówić, wszystko jasne jak na dłoni. Wszystko to, bracie, stara śpiewka. Jeśli ty już masz w sobie lubieżnika, to cóż dopiero Iwan, brat twój rodzony! Przecie i on Karamazow. Na tym cały wasz karamazowowski problem polega: lubieżniki, dusigrosze i prostaczkowie! Brat twój Iwan teologiczne artykułiki teraz płodzi, na razie niby to dla żartu, z jakiegoś nieznanego a najgłępszego wyrachowania, chociaż jest ateistą i w podłości swojej do tego się przyznaje, ten twój brat Iwan. Prócz tego odbija braciszкови Dymitrowi narzeczoną, i zdaje się, że cel ten osiągnie. Jakżeż nie ma osiągnąć: ma zgodę samego Dymitra, bo ten chce się jej pozbyć i czym prędzej związać się z Gruszeńką. A przecież, zwróć na to uwagę, jest szlachetny i bezinteresowny, a jakże! Tacy to ludzie są właśnie najpodlejsi! Sam diabeł was teraz nie pojmie: znacie swą podłość i sami w nią brniecie! Posłuchaj dalej: stary włazi teraz Dymitrowi w drogę. Zadurzył się nagle w Gruszeńce do szaleństwa, ślina mu z ust cieknie, gdy tylko na nią spogląda. Przecież to tylko o nią zrobił tam w celi taki skandal, za to tylko, że ją Miusow ośmielił się nazwać wszeteczną kreaturą. Zakochany jak kot. Z początku wyręczał się nią za wynagrodzeniem w jakichś tam podejrzanych, karczemnych interesach, ale nagle przejrzał, spostrzegł się i wściekł, wciąż się jej propozycjami naprzykrza, oczywiście, nie



bardzo czystymi. No i wezmą się oni za łby, ojczulek z synalkiem, na tej drożynie. A Gruszeńka ani w tę, ani w drugą stronę, jeszcze wciąż kręci, rozgląda się, gdzie wygodniej będzie. Bo stary, choć można z niego sporo pieniążków wyciągnąć, nie ożeni się, w końcu skąpstwo go obleci i kabzę zamknie. W takim razie Dymitr więcej wart, bo choć i goły, ale do ołtarza może poprowadzić. Jeszcze jak, dobrodzieju! Porzuci narzeczoną bajecznej urody, Katarzynę Iwanownę, bogatą szlachciankę, córkę pułkownika, i ożeni się z Gruszeńką, była utrzymanką starego kupczyka i wyuzdanego chama burmistrza Samsonowa. W takich warunkach w rzeczy samej nietrudno o kryminał. A tego braciszek twój Iwan właśnie wypatruje, na to on łasy: i Katarzynę Iwanownę dostanie, za którą usycha z miłości, i sześćdziesiąt tysięcy posagu capnie. Ładny początek dla takiego jak on golca. I pomyśl sobie: nie tylko Miti nie skrzywdzi, ale owszem, zasłuży sobie na jego dozgonną wdzięczność. Sam słyszałem w zeszłym tygodniu, jak Mitieńka na głos krzyczał w szynku, upiwszy się z Cygankami, że niegodzien jest swojej narzeczonej Katieńki, że jeśli kto jest jej wart, to brat Iwan. A Katarzyna Iwanowna oczywiście nie oprze się w końcu takiemu uwodzicielowi jak Iwan Fiodorowicz; przecie już i teraz waha się, którego wybrać. I czymże to ten Iwan oczarował, że wszyscyście do niego z takim uszanowaniem? On przecież się z was śmieje: „Używam sobie, ile wlezie, i na dobitkę na wasz rachunek.”

- Skąd ty to wszystko wiesz? Jak możesz mówić o tym z taką pewnością? - zapytał ostro Alosza i zachmurzył się.

- A czemu ty się teraz o to pytasz i oczekujesz z lękiem mojej odpowiedzi? Widać sam uważasz, że prawdę mówię.

- Ty nie lubisz Iwana. Iwan nie zląkomi się na pieniądze.

- Tak myślisz? A uroda Katarzyny Iwanowny? Nie o same pieniądze chodzi, lecz sześćdziesiąt tysięcy to też nie bagatelka!

- Iwan wyżej patrzy. Iwan nie zląkomi się na tysiące. Iwan nie goni za pieniędzmi, ani spokoju nie szuka. On może męki poszukuje!

- Cóż to znowu za sen? Ach, wy... szlachta!

- Ach, Misza, dusza jego pełna wigoru. Umysł w niewoli. Nurtuje go wielka i nierozstrzygnięta myśl. Iwan jest jednym z tych, którym nie trzeba milionów, którzy muszą rozstrzygnąć ideę.

- Literacka kradzież, Aloszka. Parafrazujesz swego starca. A to wam dopiero Iwan zagadkę dał! - zawołał z jawną złością Rakitin. Twarz jego nawet zmieniła wyraz i wargi mu się wykrzywiły. - Ale zagadka głupia, nie ma co rozwiązywać. Rusz głowę, a pojdziesz. Artykuł jego jest śmieszny i nedorzeczny. Słyszałeś jego idiotyczną teorię: „Jeżeli nie ma nieśmiertelności duszy, to i cnoty nie ma, a zatem wszystko jest dozwolone.” (A braciszek Mitia, nawiasem mówiąc, pamiętasz, jak krzyknął: „Zapamiętam to sobie!”) Kusząca teoria dla łajdaków... niepotrzebnie wymyślam, to głupio... nie dla łajdaków, ale dla fanfaronów niedowarzonych z „nierozwikłaną głębią myśli”. Samochwał, a sęk w tym, że: „z jednej strony nie można się nie przyznać, a z drugiej nie można nie wyznać!” Cała ta jego teoria to podłość! Ludzkość znajduje sama w sobie dość mocy, aby żyć w cnotie, nawet bez wiary w nieśmiertelność duszy! W ukochaniu wolności, równości i

powszechnego braterstwa znajdzie...

Rakitin ledwo nad sobą panował. Ale nagle pohamował się, jak gdyby coś sobie przypominał.

- No, dosyć już - uśmiech bardziej jeszcze niż poprzednio wykrzywił jego wargi. - Czego ty się śmiejesz? Myślisz, że jestem wulgarny i bezczelny.

- Nie, ani mi to w głowie nie powstało. Jesteś mądry, lecz... dajmy temu pokój. Uśmiechnąłem się ot tak, po prostu. Rozumiem, że możesz być wzburzony. Z twego uniesienia widać, że i sam nie jesteś obojętny względem Katarzyny Iwanowny, ja, bracie, już dawno cię o to podejrzewałem, dlatego tak nie lubisz Iwana. Jesteś o niego zazdrosny?

- I o pieniądze jej też jestem zazdrosny? Dlaczego i tego nie dodasz?

- Nie, o pieniądzach nic nie dodam, nie będę cię obrażać.

- Wierzę, skoro tak twierdzisz, ale niech was diabli wezmą razem z twoim bratem Iwanem! Nikt z was nie zrozumie, że i bez Katarzyny Iwanowny można go bardzo nie lubić. I za cóż miałbym go lubić, do licha ciężkiego! Przecie i on mnie oczernia, czemuż bym ja nie miał go oczerniać?

- Nigdy nie słyszałem, aby cokolwiek o tobie mówił, dobrze czy źle: on wcale o tobie nie mówi.

- A ja słyszałem, że onegdaj u Katarzyny Iwanowny wygadywał na mnie, ile się zmieściło - do takiego stopnia interesował się twoim pokornym sługą. Kto zatem o kogo jest zazdrosny - nie wiem! Raczył wyrazić się, że jeśli ja niby nie zgodzę się na karierę archimandryty w bardzo bliskiej przyszłości i nie przyjmę święceń, to bezwarunkowo wyjadę do Petersburga i wstąpię do redakcji dużego pisma, obejmę niezawodnie dział krytyki, będę pisał lat dziesięć i koniec końców zostanę właścicielem tego pisma. Wówczas będę go redagował na pewno w duchu liberalnie ateistycznym, z nastawieniem na socjalizm, a nawet z małym zabarwieniem socjalistycznym, ale oczywiście ostrożniutko, to znaczy i Bogu stawiając świeczkę, i diabłu ogarek, tudzież tumaniąc głupców. Koniec mojej kariery, w komentarzu twojego brata, wygląda tak, że nastawienie na socjalizm nie przeszkodzi mi odkładać pieniążków na bieżący rachunek w banku i puszczać je przy okazji w obrót pod firmą jakiegoś Żydowina tak długo, aż wybuduję sobie wspaniałą kamienicę w Petersburgu, przeniosę do niej natychmiast redakcję i wpuszczę dobrze płacących lokatorów. Wybrał nawet miejsce pod tę kamienicę: koło Nowo-Kamiennego Mostu, który ma być przerzucony przez Nową pomiędzy Litiejną a Wyborską...

- Ach, Misza, przecież to się spełni co do joty! - zawołał naraz Alosza, nie mogąc się powstrzymać od wesołego uśmiechu.

- I pan sarkazmem się zabawia, Aleksy Fiodorowiczu.

- Nie, nie, ja żartuję, wybacz. Zupełnie co innego mam na myśli. Pozwól jednakże: kto wtajemniczył cię w te szczegóły, od kogo mogłeś się dowiedzieć? Nie byłeś chyba u Katarzyny Iwanowny, kiedy Iwan mówił o tobie?

- Ja osobiście nie byłem, ale był Dymitr Fiodorowicz i właśnie od niego się dowiedziałem, to

znaczy, on mi sam tego nie opowiadał, lecz podsłuchałem, rozumie się mimo woli, bo byłem akurat u Gruszeńki w sypialni i nie mogłem wyjść, póki Dymitr Fiodorowicz znajdował się w drugim pokoju.

- Ach tak, zapomniałem, ona jest twoją krewną...

- Krewną? Gruszeńka jest moją krewną? - zawołał nagle Rakitin oblewając się rumieńcem. - Czyś ty zgłupiał, czy co? Na głowę chyba upadłeś.

- Bo i co? Czy nie krewna? A ja słyszałem...

- Gdzieś ty to mógł słyszeć? Nie, wy, panowie Karamazowowie, udajecie znakomitą i starą szlachtę, a tymczasem ojciec twój patrzył, gdzie z komina kurzy, i dzwonkiem potrzasał po cudzych domach. Owszem, jestem tylko biedny popowicz i hołota wobec was, szlachciców, lecz nie obrażajcie mnie tak beztrosko i nikczemnie. Ja też mam swój honor, Aleksy Fiodorowiczu. Nie mogę być krewnym Gruszeńki, dziewczki publicznej, proszę to sobie zapamiętać, łaskawco!

Rakitin był niezmiernie rozdrażniony.

- Wybacz mi, na miłość boską, nie mogłem nawet przypuszczać, i jakaż ona tam publiczna? Czy rzeczywiście jest... taka? - zarumienił się nagle Alosza. - Powtarzam ci, że słyszałem, iż jest twoją krewną. Często u niej bywasz i sam mi mówiłeś, że nie łączy was stosunek miłosny... Ale nigdy nie myślałem, że masz ją aż w takiej pogardzie! Czy naprawdę zasługuje na to?

- Że ją często odwiedzam, to chyba mam po temu powody, powinno ci to wystarczyć. A co się tyczy pokrewieństwa, to prędzej twój braciszek, a może nawet i ojczulek nawiąże ci tę parantelę. Doszliśmy nareszcie. Idź no lepiej od kuchni. A to co znowu, co się stało? Czyśmy się spóźnili? Ale chyba obiad nie mógł się tak wcześnie skończyć? Czyżby tu Karamazowowie znowu coś nawarzyli? Z całą pewnością. Oto i ojczulek twój, a Iwan Fiodorowicz za nim. Wybiegli spieszenie i ojciec Izydor coś za nimi z ganku woła. Ojczulek twój również drze się, rękoma wymachuje, na pewno psioczy. Ba, widzisz, i Miusow już siedzi w swoim powozie, i konie ruszają. Patrz, Maksymow leci - ależ to skandal; więc obiad się nie odbył! Kto wie, czy nie pobili ojca ihumena? A może to ich pobito? A warto by było!...

Rakitin nie dziwił się na próżno. W istocie zaszedł skandal niesłychany i nieoczekiwany. Wszystko to stało się „z natchnienia”.

## VIII SKANDAL

Gdy Miusow i Iwan Fiodorowicz wchodzili do ojca ihumena, w Piotrze Aleksandrowiczu - jako że był naprawdę przyzwoitym i delikatnym człowiekiem - dokonał się swego rodzaju delikatny proces: zawstydził się własnego gniewu. Uprzytomnił sobie, że tak podłego człowieka jak Fiodor Pawłowicz nie należało traktować na serio, a w każdym razie nie trzeba było tracić z powodu niego

zimnej krwi i zapomnieć się do takiego stopnia. „Trzeba przyznać, że mnisi nic tu nie zawinili - zakonkludował nagle, wchodząc na ganek - a jeżeli to są przyzwoici ludzie (ten ojciec Mikołaj, ihumen, także jest, zdaje się, szlachcicem), czemuż nie być dla nich miłym, uprzejmym i grzecznym?...” „Nie będę dyskutował, będę nawet potakiwał, oczaruję ich uprzejmością i... i... wreszcie dowiodę im, że nic mnie nie łączy z tym Ezopem, tym błaznem, tym pierrotem, że sam spadłem niewinnie, tak samo jak oni...”

Postanowił w końcu wielkodusznie raz na zawsze ustąpić im sporne prawo do wyrębu i rybołówstwa (nie wiedział nawet gdzie) właśnie dzisiaj, zwłaszcza iż gest ten niewiele go w istocie kosztował.

Utwierdził się jeszcze bardziej w tych szlachetnych zamiarach, skoro weszli do jadalni ojca ihumena. Nie była to jadalnia we właściwym tego słowa znaczeniu, gdyż ojciec ihumen miał tylko dwa pokoje, znacznie jednak większe i wygodniejsze od celi starca Zosimy. Urządzenie jednak również nie odznaczało się szczególnym komfortem: meble były mahoniowe, starodawne, w stylu lat dwudziestych, obite skórą; nawet podłoga była ze zwykłych desek, ale wszystko pachniało czystością, a na oknach stało mnóstwo drogich roślin i kwiatów. Wszakże głównym zbytkiem był w owej chwili wspaniale jak na te stosunki zastawiony stół: obrus był czysty, naczynia lśniące; znakomicie wypieczony chleb w trzech gatunkach, dwie butelki wina, dwie butle cudownego miodu monasterskiego i wielki szklany dzban z monasterskim kwasem, słynącym w okolicy z wybornego smaku. Wódki nie było wcale. Rakitin opowiadał później, że obiad miał się składać z pięciu dań: miała więc być zupa ze sterleta z pierożkami nadzianymi rybą; następnie gotowana ryba, przyrządzona w jakiś specjalny sposób; potem kotlety z łososia, lody i kompot, a na zakończenie kisielek w rodzaju blamanżu. Wszystko to przewąchał Rakitin, który nie omieszkął zajrzeć do kuchni ihumena, gdzie również miał znajomości. Wszędzie bowiem miał znajomości i wszędzie mógł zasięgnąć języka. Był to młodzieniec niespokojnego i zawistnego serca. Zdawał sobie sprawę z wielkich swych zdolności, ale znacznie je przeceniał. Z całą pewnością wiedział, że zostanie w przyszłości znanym działaczem: Alosza, który szczerze się doń przywiązał, martwił się bardzo, że Rakitin nie jest uczciwy i w dodatku nie zdaje sobie z tego sprawy, wręcz przeciwnie, uważa się za wyjątkowo rzetelnego człowieka, jako że nie ukradłby pieniędzy zostawionych przez kogoś na stole. I nie tylko Alosza, ale nikt na świecie nie zdołałby go zachwiać w tym przeświadczeniu.

Rakitin, jako osoba nieznaczna, nie mógł być dopuszczony do tego obiadu: byli natomiast zaproszeni ojciec Józef i ojciec Paisij oraz jeszcze jeden mnich. Czekali już w jadalni, gdy weszli Piotr Aleksandrowicz, Kałganow i Iwan Fiodorowicz. Czekał również stojący na uboczu ziemianin Maksymow. Ojciec ihumen wyszedł do gości na środek pokoju. Był to wysoki, szczupły, ale dosyć jeszcze krzepki starzec o czarnych włosach, mocno poprządkanych siwizną, o długiej ascetycznej i poważnej twarzy. Milcząc ukłonił się gościom, którzy tym razem zdecydowali się prosić o błogosławieństwo. Miusow zamierzał nawet pocałować go w rękę, lecz ojciec ihumen na czas cofnął ją i pocałunek nie doszedł do skutku. Za to Iwan Fiodorowicz i Kałganow dopełnili całej ceremonii, prostodusznie i po chłopsku cmokając ihumena w rękę.

- Musimy prosić o wybaczenie, przewielebny ojczy - zaczął Piotr Aleksandrowicz uprzejmie, ale poważnym i uroczystym tonem - prosić o przebaczenie, że przychodzimy sami, bez zaproszonego wraz z nami Fiodora Pawłowicza; niestety nie mógł on skorzystać z zaszczytnego zaproszenia, a to z

pożałowania godnych powodów. W celi wielebno ojca Zosimy, ulegając nieszczęsnej swej porywczosci, zapomniał się do takiego stopnia, że wypowiedział kilka słów nader niewłaściwych, krótko mówiąc, całkiem nieprzyzwoitych... których echo, zdaje się (zerknął na obu ojców), doszło do waszej przewiełbności. Zdając sobie sprawę ze swej winy i szczerze żałując swego postępku, Fiodor Pawłowicz poczuł się zawstydzony i prosił nas, mnie i syna swego Iwana Fiodorowicza, abyśmy wyrazili jego najszczerze ubolewanie i skrucę... Słowem, spodziewa się winę swą zmasać później, a tymczasem prosi o błogosławieństwo i o zapomnienie ubolewania godnych faktów...

Miusow skończył. Wygłaszając ostatnie słowa swej tyrady był tak z siebie zadowolony, że zapomniał całkowicie o niedawnym rozdrażnieniu. Znowu szczerze i bez reszty kochał całą ludzkość, Ihumen, wysłuchawszy go z powagą, z lekka pochylił głowę i rzekł w odpowiedzi:

- Żałuję szczerze, że nasz drogi gość nie przyjdzie. Może, obcując z nami, pokochałby nas, tak jak i my jego. Proszę panów do stołu.

Staął przed świętym obrazem i na głos odmówił modlitwę. Wszyscy z uszanowaniem spuścili głowy, ziemianin Maksymow zaś wysunął się do przodu i pobożnie złożył ręce.

I oto Fiodor Pawłowicz wypłatał ostatnią owego dnia psotę. Trzeba wiedzieć, że po wyjściu z celi starca miał naprawdę szczerzy zamiar powrócić do domu, czuł bowiem istotnie, że po haniebnych wybrykach u starca Zosimy nie może pójść jakby nigdy nic do ojca ihumena na obiad. Nie dlatego, żeby się tak bardzo wstydził lub poczuwał do winy; może nawet było odwrotnie; ale bądź co bądź zdawał sobie doskonale sprawę, że pójść na obiad byłoby naprawdę nieprzyzwoicie. Atoli gramoląc się już do swej rozklekotanej kolasy, nagle się zawahał. Stały mu w pamięci własne jego słowa, wypowiedziane w celi starca: „Zawsze mi się zdaje, gdy wchodzę do kogoś, że jestem podlejszy od wszystkich i że wszyscy mają mnie za błazna - niechże więc w istocie błazeństwo uprawiam, ponieważ wszyscy bez wyjątku są głupszy i podlejszy ode mnie.” I oto zapragnął zemścić się na wszystkich za swoje własne bezeceństwa. Przypomniawszy sobie naraz, że kiedyś, dawno już temu, zapytano go: „Za co pan tego a tego nienawidzi?”, na co odpowiedział z całym bezwstydnym cynizmem: „Ot za co: on co prawda nic mi złego nie zrobił, ale ja dopuściłem się względem niego wielkiego świństwa, ledwo zaś to zrobiłem, od razu zapalałem do niego nienawiścią.” Przypomniawszy to sobie, uśmiechnął się złośliwie w chwilowym zamyśleniu. Oczy mu błysnęły i nawet drgnęły wargi. „Jakem już zaczął, tak skończę” - postanowił nagle. Najtajniejsze zaś jego odczucie w tej chwili można by scharakteryzować w ten sposób: „Przecie już i tak się nie oczyszczę, niechaj więc napluję im bezwstydnie w twarz: nie boję się was i basta!” Stangretowi polecił czekać, sam zaś szybkim krokiem wrócił do monasteru i podążył wprost do ihumena. Nie wiedział jeszcze dobrze, co robi, ale czuł, że nie panuje już nad sobą, że dość będzie najmniejszego bodźca, aby pchnąć go do ostatecznego świństwa - zresztą tylko świństwa, a nie żadnego występku lub wybryku karalnego przez sądy. Zawsze bowiem umiał się pohamować w czas przed tego rodzaju wyskokami i nawet czasem podziwiał się pod tym względem. W jadalni ojca ihumena stanął akurat w chwili, kiedy przestano się modlić i zasiadano do stołu. Zatrzymawszy się na progu, spojrzął po zebranych i zaśmiał się długim, beczelnym, złym chichotem patrząc beczelnie wszystkim w oczy.

- Oni myśleli, że wyjechał, a ja tu! - zawołał na cały głos.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na niego, nie mówiąc ani słowa; lecz nagle poczuli, że zanosi się

na coś ohydneho, niedorzecznego, na nieunikniomy skandal. Piotr Aleksandrowicz z błogiego dotychczas stanu wpadł natychmiast w ostateczną wściekłość. Wszystkie stłumione niedawno gniewne uczucia obudziły się naraz ze zdwojoną gwałtownością.

- Nie, tego nie mogę już ścierpieć! - zawołał - nie mogę żadną miarą... w żaden sposób nie mogę!

Krew uderzyła mu do głowy. Słowa plątały mu się, ale nie dbał tym razem o piękną wymowę i sięgnął natychmiast po kapelusz.

- Czego on nie może? - zapytał Fiodor Pawłowicz. - „Żadną miarą nie może i w żaden sposób nie może?” Wasza przewielebność, mam wejść czy nie? Przyjmiecie współbiedniaka?

- Ależ prosimy z całego serca - odrzekł ojciec ihumen. - Panowie! Pozwolę sobie - dodał nagle - prosić was z całej duszy, abyście zaniechali swoich sporów i zasiedli tu przy tym skromnym stole w miłości i rodzinnej zgodzie, z modlitwą do Boga...

- Nie, nie, to niemożliwe! - wykrzyknął jakby nieprzytomnie Piotr Aleksandrowicz.

- Jeśli to dla Piotra Aleksandrowicza niemożliwe, to i dla mnie niemożliwe, to i ja nie zostanę. Po tym właśnie przyszedł. Będę teraz wszędzie towarzyszył Piotrowi Aleksandrowiczowi: odejdzie pan, Piotrze Aleksandrowiczu, to i ja pójdę; zostanie pan, to i ja zostanę. Rodzinną zgodą najbardziej go ojciec przewielebny dotknął: on nie uznaje mnie za swego familianta. Prawda, von Zonn? Oto i von Zonn tu stoi. Jak się masz, von Zonn?

- Pan... to do mnie? - wykrztusił zdumiony obywatel spod Tuły, Maksymow.

- Oczywiście że do ciebie - wykrzyknął Fiodor Pawłowicz. - A do kogóż by innego? Chybaż nie ojciec ihumen jest tym von Zonnem?

- Wszak nie nazywam się von Zonn. Maksymow jestem.

- A właśnie że nie, jesteś von Zonn. Czy wasza przewielebność wie, kto to jest von Zonn? Była swego czasu taka sprawa kryminalna: zakatrupiono go w jaskini rozpusty - tak, zdaje się, zowią się u was takie miejsca - zabito i ograbiono, bez szacunku dla jego czcigodnego wieku, wpakowano do skrzyni, przybito pokrywą i z Petersburga do Moskwy wysłano za numerkiem w wagonie bagażowym. A gdy przybijano pokrywą, ładacznicze w owym zamtuzie śpiewały piosenki i grały na gęślach, czyli na fortopłasiu. Tego to właśnie von Zonna mamy tu przed sobą. Powstał-ci z martwych, prawda, von Zonn?

- Co to takiego? Co to? - zaczęli szeptać mnisi.

- Chodźmy! - krzyknął Piotr Aleksandrowicz zwracając się do Kałganowa.

- Nie, panowie, chwileczkę! - przerwał piskliwym głosem Fiodor Pawłowicz zrobiwszy krok do przodu - pozwólcie i mnie dokończyć. Tam w celi wymawiano mi, że zachowywałem się nieprzyzwoicie, jako że mówiłem o kielbikach. Piotr Aleksandrowicz Miusow, mój krewniak, lubi,

aby w mowie było *plus de noblesse que de sincérité*, ja zaś, na odwrót, wolę, aby w moich słowach było *plus de sincérité que de noblesse*[4] i kicham na *noblesse*! Nieprawdaż, von Zonn? Chwileczkę, ojczyźnie, choć i błazen jestem, i błazna z siebie robię, lecz jestem rycerzem honoru i pragnę się wypowiedzieć. Tak jest, jestem rycerzem honoru, zaś Piotr Aleksandrowicz cierpi, bo zdrażnięta jego ambicja, i tyle. Przyjechałem tu do was może właśnie po to, aby się wszystkiemu przyjrzeć i wypowiedzieć. Tutaj mój syn Aleksy szuka zbawienia; jestem ojcem, o los jego dbam i dbać powinienem. Nadstawiałem ucha i udawałem, i rozglądałem się ukradkiem, a teraz chcę przed wami odegrać ostatni akt komedii. Jak to u nas bywa? U nas, co upadnie, to już leży. U nas, co raz upadło, to już na wieki musi leżeć. Jakże by inaczej! A ja chcę wstać. Ojcowie wielce, jestem na was oburzony. Spowiedź jest wielkim sakramentem, przed którym i ja się korzę, i gotów jestem upaść na twarz, a tu raptem w celi starca wszyscy na klęczki i na głos się spowiadają. Co to jest, czy wolno na głos się spowiadać? Święci ojcowie ustanowili, aby spowiedź odbywała się po cichu, i tylko taka spowiedź jest sakramentem od najdawniejszych czasów po dziś dzień. Bo i jakże mam przy wszystkich powiedzieć, że ja na ten przykład to a to... to znaczy niby ten tego, rozumiecie, ojcowie? Czasem to nawet i powiedzieć nieprzyzwyczajcie. Przecież to skandal! Nie, ojcowie, wy tu potraficie w herezję wciągnąć człowieka... Przy najbliższej okazji doniosę o tym Synodowi, a teraz syna swego Aloszę zabieram do domu...

Notabene Fiodor Pawłowicz słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział gdzie. Krążyły dawniej nieszczelne gadki, które nawet dotarły do uszu archijereja (nie tylko w naszym monasterze, ale wszędzie, gdzie byli starcy), że honoruje się starców z ujmą dla przełożonych i że między innymi nadużywają oni sakramentu spowiedzi itd., itd. Niedorzeczne te oskarżenia upadły w swoim czasie same przez się, i u nas, i wszędzie. Jednak głupi bies, co pochwycił Fiodora Pawłowicza i niósł go pod wpływem jego własnych nerwów coraz dalej w haniebną otchłań, podszeptnął mu tę przebrzmiałą potwarz, którą zresztą Fiodor Pawłowicz nie bardzo w istocie rozumiał. Nie potrafił nawet wypowiedzieć jej jako tako rozumnie, tym bardziej że w celi starca tym razem nikt nie klęczał ani się spowiadał na głos. Fiodor Pawłowicz oczywiście nic podobnego nie mógł widzieć, powtarzał tylko stare plotki, które dość młgłście pamiętał. Ale wypowiedziawszy te głupstwa, uprzytomnił sobie, że wypalił bezsensowną brednię, i przez przekorę zapragnął nagle dowieść wszystkim obecnym, a przede wszystkim sobie, że jest przeciwnie, że nie są to znowu takie brednie. I chociaż doskonale wiedział, że każde dalsze jego słowo będzie coraz niedorzeczniejsze i bezsensowniejsze, nie mógł się już pohamować i słowa potoczyły się niepowstrzymanie.

- Co za podłość! - wykrzyknął Piotr Aleksandrowicz.

- Pan daruje, że przerwę - odezwał się nagle ihumen. - Dawno już powiedziano: „I spadną na ciebie zniewagi i krzywdy wszelakie. Lecz ja wszystko usłyszę i rzeknę sobie: to lekarstwo Chrystusa, owe, które zesłał, iżby wyleczyło pyszną duszę moją.” A przeto i my dziękujemy ci w pokorze, gościu najdroższy!

Co mówiąc pokłonił się w pas Fiodorowi Pawłowiczowi.

- Ta-ta-ta! Obłuda i oklepane frazesy! Oklepane frazesy i oklepane gesty! Stara blaga i udana czołobitność! znamy te pokłony. „Pocałunek w usta i sztylet w serce”, jak w *Zbójcach* Schillera. Nie lubię, ojczyźnie, fałszu, łaknę prawdy! Ale prawdy nie znajdzie się w kiełbikach, jak już oświadczyłem! Ojcowie mnisi, czemu pościcie? Dlaczego spodziewacie się za to zapłaty w niebiesiech? Przecie za

taką zapłatę i jam gotów pościć! Nie, mnichu świętobliwy, bądź no cnotliwy w życiu, bądź pożyteczny dla społeczeństwa nie zamykając się w monasterze na gotowy chleb, nie licząc na nagrodę tam w górze - z tym to trudniej będzie. I ja też potrafię, ojciec wielebny, ładnie mówić. Czego oni tu nie naszykowali - mówiąc to podszedł do stołu. - Portwejn stary, miodek braci Jelisiejewów, ach, ci ojcowie! Nie przypomina to kielbików. Patrzajcie, co butelczyn ojcowie nastavili, he, he, he! A kto tego wszystkiego dostarczył? Chłop rosyjski, a jakże, grosze swoje tu znosi, zaharowane strudzonymi rękoma, ostatni kawałek chleba wydziera rodzinie swej i państwu! Wszak wy, ojcowie święci, z ludu naszego ostatnie soki wysysacie!

- To już całkiem nieprzyzwoicie z pańskiej strony - powiedział ojciec Józef. Ojciec Paisij milczał uporczywie. Miusow wybiegł z pokoju, a za nim Kałganow.

- No, ojcowie, i ja za Piotrem Aleksandrowiczem! Więcej już do was nie wrócę, choćbyście mnie błagali na klęczkach, nie wrócę. Tysiąc rubelków wam przesłałem, toście nowego datku zaczęli wypatrywać, he, he, he! Nie, więcej już nie dam. Mszczę się za moją młodość, za całe moje poniżenie! - W przystępie udanej afektacji wyrzwał pięścią w stół. - Dał mi się we znaki ten wasz miły monasterek. Wiele łez gorzkich wylałem przez niego! To wyście moją żonę opętaną przeciw mnie podjudzali. Wyście mnie wyklinali na siedmiu soborach, wyście mnie oczernili po całej okolicy! Dość tego, ojcowie, dziś jest wiek liberalny, wiek parostatków i kolei żelaznych. Ani tysiąca, ani stu rubli, ani stu kopiejek, grosza złamanego ode mnie nie dostaniecie!

Notabene monaster nigdy nie odgrywał żadnej roli w życiu Fiodora Pawłowicza, który nigdy żadnych gorzkich łez z jego powodu nie wylewał. Ale tak się przejął udanymi łzami, że na ułamek sekundy omal nie uwierzył sam sobie; nawet rozplakał się z rozrzewnienia; w tej chwili poczuł jednak, że czas już odwrócić dyszle. Ojciec ihumen na złośliwe oszczerstwo opuścił głowę i odparł z godnością :

-- Powiedziano również: „Miłujcie nieprzyjacioly wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladowających was i potwarz czyniących.” Tak też postąpimy.

- Ta-ta-ta, potwarz czyniących! Zawracanie głowy! Medytujcie, ojcowie, a ja pójdę. A syna mego Aleksego władzą swą ojcowską odbieram stąd na zawsze. Iwanie Fiodorowiczu, najprzykładniejszy mój synu, pozwolisz, że rozkażę ci, żebyś poszedł za mną! Von Zonn, po co masz tu zostać? Przenoś się zaraz do mnie, do miasta. U mnie wesoło. Wszystkiego wiorsta; zamiast postnego oleju dam ci prosiaka z kaszą; podjemy sobie; i koniaczku nie pożałuję, i likierek będzie; jeżynówkę mam... Ejże, von Zonn, nie przepuszczaj okazji!

Wyszedł krzycząc i gestykulując. W tej właśnie chwili Rakitin ujrzał go i wskazał Aloszy.

- Aleksy! - zawołał z dala Fiodor Pawłowicz na widok syna - żebyś mi dziś jeszcze przeprowadził się do domu, siennik i poduszkę zabieraj, i żeby mi tu twoja noga więcej nie powstała!

Alosza stanął jak wryty; nic nie mówiąc przyglądał się uważnie wszystkiemu. Fiodor Pawłowicz tymczasem wgramolił się do kolasy, za nim zaś wsiadł milczący i ponury Iwan Fiodorowicz; nawet się nie obejrzał, aby pożegnać Aloszę. W tej chwili rozegrała się jeszcze jedna błazeńska i prawie że niewiarogodna scena, będąca godnym zakończeniem epizodu. Naraz przy



stopniach pojazdu ukazał się obywatel spod Tuły Maksymow. Przybiegł co tchu, bojąc się spóźnić. Rakitin i Alosza widzieli, jak biegł. Tak mu było pilno i tak się rozpędził, że postawił nogę na stopniu, choć Iwan Fiodorowicz stał jeszcze na nim lewą nogą. I oto, uczepiwszy się brzegu kolasy, Maksymow zaczął podskakiwać chcąc ulokować się na siedzeniu.

- I ja, i ja z wami! - wykrzykiwał z rozpromienioną twarzą, prychając urywanym, wesołym śmiechem - zabierzcie i mnie!

- A co, czy nie mówiłem - zawołał zachwycony Fiodor Pawłowicz - że to von Zonn! Że to prawdziwy, zmartwychpowstały von Zonn! Ale jakżeś ty się stamtąd wyrwał? Coś ty tam nafonzonił takiego i jakżeś potrafił odejść od obiadu? Trzeba dopiero mieć czoło wytarte! Mam ja czoło miedziane, ale twoje, bracie, podziwiam! Skacz, skacz prędzej! Puść go, Wania, wesoło będzie. On tu jakoś w nogach się położy. Położysz się, von Zonn? A może na kozle siądziesz przy woźnicy?... No, wal na kozioł, von Zonn!

Ale Iwan Fiodorowicz, który już zajął był miejsce, nic nie mówiąc, zniecka pchnął Maksymowa w pierś z taką siłą, że odrzuciło go na sążęń. Cud był doprawdy, że się nie nakrył nogami.

- Jazda! - zawołał ze złością Iwan Fiodorowicz do stangreta.

- A to co znaczy? Co cię ugryzło? Czemuż ty go tak? - obruszył się Fiodor Pawłowicz, lecz kolasa ruszyła już z miejsca. Iwan Fiodorowicz nic nie odpowiedział.

- Toś ty taki! - po krótkiej pauzie odezwał się Fiodor Pawłowicz patrząc spode łba na syna. - Sam przecież wymyśliłeś cały ten monaster, sam mnie podbechtałeś, sam się zgodziłeś, czegoż się teraz złościysz?

- Dosyć już ojciec głupstw narobił, niechże ojciec teraz trochę odsapnie - rzekł surowo Iwan Fiodorowicz.

Fiodor Pawłowicz znowu milczał ze dwie minuty.

- Koniaczkę by teraz golnąć - zauważył sentencjonalnie. Lecz Iwan Fiodorowicz nic nie odrzekł.

- Przyjedziemy, to i ty wypijesz.

Iwan Fiodorowicz wciąż milczał.

Fiodor Pawłowicz poczekał jeszcze ze dwie minuty.

- Lecz Aloszkę w każdym razie z monasteru odbiorę, chociaż nie bardzo to się panu uśmiecha, mój najzacniejszy Karolu von Moor.

Iwan Fiodorowicz pogardliwie wzruszył ramionami i odwróciwszy się spoglądał na uciekającą spod kół drogę i do samego domu nie przemówił ani słowa.

# KSIĘGA TRZECIA LUBIEŻNICY

## I W CZELADNEJ

Dom Fiodora Pawłowicza Karamazowa stał dość daleko od centrum miasta, ale też niezupełnie na krańcu. Był dosyć stary, lecz na zewnątrz wyglądał wcale przyjemnie: parterowy z facjatą, powleczone szarawą farbą i kryty czerwoną blachą. Zresztą mimo starości miał jeszcze przed sobą długie lata życia. Wewnątrz był przestronny i wygodny, obfitował w mnóstwo schowków, zakamarków i ukrytych schodów. Po pokojach i spiżarniach harcowały szczury, lecz Fiodor Pawłowicz nic sobie z tego nie robił: „Zawszeć to człękowi weselej, kiedy wieczorem zostaje sam w domu.” Miał bowiem zwyczaj odsyłać służbę na odwieczerz do oficyny i zamykać się na całą noc w domu. Oficyna ta stała na podwórzu i była również obszerna i mocna. Z rozkazu Fiodora Pawłowicza mieściła się w niej kuchnia, chociaż i w domu była odpowiednio do tych celów urządzona izba; Fiodor Pawłowicz nie znosił bowiem zapachów kuchennych, toteż obiad noszono mu zimą i latem przez podwórze. Właściwie oba budynki były przeznaczone dla dużej rodziny i mogły pomieścić pięć razy tyle osób co obecnie. W czasie naszego opowiadania w domu mieszkał tylko Fiodor Pawłowicz z Iwanem Fiodorowiczem, w czeladnej zaś, w oficynie, troje służby: stary Grzegorz, stara Marfa, jego żona, i młody służący Smierdiakow. Wypada teraz zająć się trochę tą nieliczną służbą. O starym Grzegorzu Wasiliewiczu Kutuzowie wspominaliśmy już zresztą w swoim czasie. Był to człek twardy i nieugięty, uporczywie zmierzający prostą drogą do celu, jaki sobie wytknął, o ile z tych czy innych powodów (nieraz zdumiewająco nielogicznych) cel ów wydawał mu się niewzruszoną prawdą. Biorąc rzecz ogólnie, był uczciwy i nieprzekupny. Żona jego, Marfa Ignatiewna, chociaż całe życie ulegała bez sprzeciwu woli męża, wkrótce po uwolnieniu chłopów z poddaństwa namawiała go uparcie, aby porzucił Fiodora Pawłowicza, przeniósł się do Moskwy i tam założył jakiś handelek (a mieli trochę grosza); Grzegorz jednak zdecydował wówczas raz na zawsze, że baba plecie, „ponieważ każda baba jest nieuczciwa”, i że nie należy odchodzić od dawnego pana, jaki by tam nie był, „bo to tera ich obowiązek”.

- Czy ty rozumiesz, co to obowiązek? - zwrócił się do Marfy Ignatiewny.

- Względem obowiązku, to rozumiem, Grzegorzu Wasiliewiczu, ale jakież tam obowiązek tu zostać, tego za nic nie rozumiem - odparła stanowczo Marfa Ignatiewna.

- To sobie nie rozumiej, a tak ma być, i basta. I więcej o tym nic nie gadaj.

Tak się też stało: zostali, a Fiodor Pawłowicz wyznaczył im pensję, niewielką co prawda, ale wypłacał ją dość regularnie. Grzegorz wiedział nadto, że ma bezsprzeczny wpływ na pana. Wyczuwał to i tak było istotnie: chytry i uparty błazen Fiodor Pawłowicz, nader twardy „w niektórych sprawach życiowych”, jak się sam wyrażał, miewał nieraz ku własnemu zdumieniu chwile

wielkiej słabości w poniekórych innych „sprawach życiowych”. Wiedział zresztą w jakich, wiedział i lękał się ich okropnie. W poniekórych „sprawach życiowych” trzeba się było mieć na baczności i trudno było się obejść bez oddanego człowieka. Grzegorz zaś był wyjątkowo oddany. Zdarzało się nawet, że Fiodor Pawłowicz w ciągu swej kariery wiele razy mógł oberwać, i to bardzo dotkliwie; wówczas przychodził mu zawsze z pomocą Grzegorz, nie szczędząc zresztą przy okazji wymówek i pouczeń. Ale samo bicie nie przeraziłoby Fiodora Pawłowicza: zdarzały się gorsze opresje, czasem nawet wyjątkowo zagmatwane i subtelne; Fiodor Pawłowicz i sam by pewnie nie mógł niekiedy określić tej niezwyklej potrzeby oparcia się na bliskiej i oddanej istocie, potrzeby, którą zaczynał nieraz odczuwać tak nagle i tajemniczo. Były to wypadki nieledwie chorobliwe: wyjątkowo rozpasany i w swej lubieżności nieraz okrutny jak kąśliwy owad, Fiodor Pawłowicz naraz poczynał odczuwać, będąc w stanie podchmielonym, jakieś nieokreślone trwogi i moralne wstrząsy, które budziły niemal fizyczny oddźwięk w jego duszy. „Dusza jak gdyby w gardle się trzepoce w takich chwilach” - mawiał czasami. I wówczas sprawiała mu ulgę świadomość, że obok, w pobliżu, choć nawet nie w tym samym pokoju, lecz w oficynie, jest taki człowiek, oddany, niezłomny, nie taki jak on, nie rozpustny, który mimo iż jest nawet świadkiem całego wyuzdania i zna wszystkie tajemnice, jednak przez wierność przyzwala na nie, nie sprzeciwia się, a co najważniejsze - nie sarka i niczym nie grozi, ani w tym życiu, ani w przyszłym; który, co więcej, w razie potrzeby gotów go bronić - przed kim? Przed kimś nieznanym, ale straszliwym i niebezpiecznym. Chodziło właściwie o to, żeby istniał taki drugi człowiek znany od dawna i sprzyjający, żeby można go było w ciężkiej chwili zawezwać po to tylko, aby spojrzeć mu w oczy, zamienić nieraz parę słów o rzeczach obojętnych; a jeżeli on nic, nie złości się, to na sercu lżej, a jeżeli się złości, to i sercu smutniej. Bywało i tak (zresztą bardzo rzadko), że Fiodor Pawłowicz szedł nawet w nocy do oficyny po Grzegorza, aby go mieć przy sobie choćby przez małą chwilkę. Grzegorz zrywał się ze snu i przychodził; Fiodor Pawłowicz wszczynał rozmowę o najgłupszych sprawach, prędko go odprawiał, czasem nawet z żarcikiem i szyderstwem, po czym, splunąwszy soczyście, kładł się i zasypiał snem sprawiedliwego. Coś podobnego odczuł Fiodor Pawłowicz i po przyjeździe Aloszy. Alosza „ujął jego serce” tym, „że pomieszkał, wszystko widział i nic nie potępił”. Nie dość tego, wniósł ze sobą rzecz zupełnie niebywałą: absolutny brak pogardy dla starego ojca, owszem, nieustanną tkliwość i zupełnie naturalne szczerze przywiązanie, tak niezasłużone przez Fiodora Pawłowicza. Było to dla starego wszetecznika, żyjącego bez rodziny i dotychczas rozmiłowanego wyłącznie w rozpuście, zupełną niespodzianką, całkowicie nieoczekiwaną. Po odejściu Aloszy Fiodor Pawłowicz przyznał się sobie, że rozumiał pewne rzeczy, których dotychczas nie chciał rozumieć.

Wspomniałem już na początku opowiadania, jak Grzegorz nienawidził Adelaidy Iwanowny, pierwszej żony Fiodora Pawłowicza i matki jego pierwszego syna, Dymitra, i jak natomiast bronił drugiej jego małżonki, „opętanej” Zofii Iwanowny, nawet przeciw samemu panu i przeciw wszystkim, którzy odzywali się o niej źle lub lekceważąco. Sympatia do nieboraczki stała się dla niego czymś świętym, tak że nawet w dwadzieścia lat po jej śmierci Grzegorz nie pozwoliłby nikomu wspominać jej złym słówkiem. Grzegorz był w obejściu chłodny i poważny, stateczny, powściągliwy w mowie, wazący każde słowo. Nie można było na przykład na pierwszy rzut oka określić, czy kocha swoją potulną, posłuszną żonę; a jednak kochał ją w istocie, i ona to doskonale rozumiała. Marfa Ignatiewna była wcale niegłupia, może nawet mądrzejsza od swego małżonka, a w każdym razie rozważniejsza w kwestiach życiowych, a przecież od pierwszych dni małżeństwa bez sprzeciwu ulegała we wszystkim woli męża i uważała go bezsprzecznie za istotę duchowo wyższą. Rzecz godna uwagi: małżonkowie bardzo mało ze sobą rozmawiali, i to tylko o rzeczach najniezbędniejszych i

bieżących. Namaszczony, pełen godności, Grzegorz sam rozważał wszystkie swoje sprawy i troski, a Marfa Ignatiewna od dawna już raz na zawsze zrozumiała, że rady jej nie mogą mu się przydać. Czuli, że mąż wielce sobie ceni jej milczenie i dopatruje się w tym dowodu jej mądrości. Co się tyczy bicia, to tylko raz jeden ją potarł, i to ledwo, ledwo. Było to w pierwszym roku pożycia Adelaidy Iwanowny z Fiodorem Pawłowiczem, jeszcze za czasów poddaństwa. Zwołano wówczas do dworu baby i dziewczęta wiejskie na płasy i śpiewy. Zaczęły od pieśni „Hej, na łąkach, na zielonych...” Naraz Marfa Ignatiewna, wówczas jeszcze młoda kobieta, wyskoczyła przed śpiewaczki i odtańczyła „rosyjskiego” w specjalny sposób, nie po wiejsku jak baby, ale inaczej, tak jak swego czasu tańczyła w domowym teatrze bogaczy Miusowów, u których poprzednio służyła, jak ją nauczył baletmistrz, specjalnie sprowadzony z Moskwy. Grzegorz był świadkiem tego popisu żony i po godzinie, u siebie w izbie, oduczył ją tego na wszystkie czasy, potargawszy troszkę za włosy. Ale był to jedyny wypadek w ciągu całego ich pożycia, i zresztą sama Marfa Ignatiewna wyrzekła się wówczas na zawsze wszelkich tańców.

Dzieci im Bóg nie dał; urodziło się jedno dzieciątko, ale rychło umarło. Grzegorz zaś kochał dzieci i nawet nie krył się z tym, to znaczy nie wstydził się mówić o tym nieraz. Zaopiekował się trzyletnim Dymitrem Fiodorowiczem natychmiast po ucieczce Adelaidy Iwanowny, piastował go rok cały, sam go cesał, sam nawet kąpał w niecce. Następnie zajmował się Iwanem Fiodorowiczem i Aloszą, w nagrodę zaś oberwał po twarzy; ale o tym wszystkim już pisałem. Własnym dzieckiem cieszył się jedynie wtedy, gdy wraz z brzemienną Marfą Ignatiewną oczekiwał jego narodzin. Lecz skoro dziecko urodziło się, serce Grzegorza ścisnęło się żalostí i grozą - malec bowiem miał sześć palców u ręki. Grzegorz był tak tym przejęty i zmartwiony, że nie tylko milczał do samych chrzcín, ale całymi dniami przepadał z domu. Była wiosna, przez całe trzy dni kopał grządki w sadzie, w ogrodzie. Na trzeci dzień zaś trzeba było chrzcíc noworodka. Grzegorz tymczasem już coś zmiarkował. Wszedł do izby, gdzie przyszli już goście, pop i na koniec sam Fiodor Pawłowicz, który miał być ojcem chrzestnym, i naraz oświadczył, że „dzieciaka wcale nie trza chrzcíc” - powiedział to niegłośnie, ledwo odcedził słowa, nic nadto nie dodał i tylko tępo i uporczywie wpatrywał się w popa.

- A to dlaczego? - zapytał z wesołym zdziwieniem kapłan.

- Dlatego że to... smok... - mruknął Grzegorz.

- Jaki smok, co za smok?

Grzegorz milczał chwilę.

- Stało się niby pomieszanie przyrody... - wybąkał bardzo niewyraźnie, ale nader stanowczo, widocznie nie chcąc się nad tym dłużej rozwodzić.

Pośmiano się i, rzecz jasna, ochrzczono biedne niemowlę. Grzegorz modlił się gorliwie, ale mniemania swego o dziecku nie zmienił. Zresztą nie czynił żadnych trudności i dopóki niebożatko żyło, nie patrzył nań prawie, nie chciał go nawet zauważyć i przeważnie wychodził z izby. Kiedy zaś chłopczyk po dwóch tygodniach zmarł na pleśniawkę, Grzegorz własnymi rękami ułożył go w trumience, spoglądał nań z głębokim smutkiem i po zasypaniu płytkiej niewielkiej mogiłki klęknął i pokłonił się mogiłce do ziemi. Od tego czasu przez wiele lat ani razu nie wspominał o swoim

dziecku, a nawet Marfa Ignatiówna, gdy zdarzało się jej mówić z kimś o „dziecinie”, mówiła szeptem, choćby nawet Grzegorza Wasiliewicza przy tym nie było. Jak twierdziła Marfa Ignatiówna, Grzegorz właśnie od czasu owej „mogiłki” począł się szczególnie zajmować sprawami „boskimi”; czytał żywoty świętych, przeważnie po cichu, wkładające za każdym razem swoje wielkie, w srebro oprawne, okrągłe okulary. Rzadko czytał na głos, chyba tylko w wielkim poście. Lubił księgę Hioba, wygrzebał skądś zbiór kazań „błogosławionego ojca naszego Izaaka Sirina”, czytał go uporczywie przez wiele lat, nic zapewne nie rozumiejąc, ale pewnie dlatego cenił tę książkę i lubił najbardziej. W ostatnich czasach począł się przysłuchiwać i wnikać w zasady chłystów, do czego przyczyniło się ich sąsiedztwo; bardzo się tym przejął, ale przejść na nową wiarę nie uważał za rzecz stosowną. Odczytanie w świętych księgach nadało jego fizjonomii, ma się rozumieć, więcej powagi.

Z natury był może skłonny do mistycyzmu. I jak gdyby umyślnym zrządzeniem losu jednocześnie niemal z narodzinami dziecka o sześciu palcach i jego śmiercią, wydarzył się inny, bardzo dziwny, nieoczekiwany i oryginalny wypadek, który wycisnął na duszy Grzegorza trwałą, jak sam się kiedyś wyraził, „pieczęć”. Otóż w nocy po pogrzebaniu dziecka Marfę Ignatiównę zbudził jak gdyby płacz noworodka. Przerazona, obudziła męża. Ów nastawił ucha i orzekł, że to raczej wedle jego rozumienia stękanie kobiety. Wstał, ubrał się; była dość ciepła noc majowa. Wyszedł na ganek i tym razem wyraźnie usłyszał, że jęki dochodzą z ogrodu. Wszakże jedyne wejście do ogrodu, otoczonego mocnym i wysokim parkanem, było na noc zamknięte. Grzegorz wrócił do domu, zapalił latarkę, wziął klucz od furtki i nie zważając na histeryczne przerażenie żony, która wciąż jeszcze zapewniała, że słyszy płacz noworodka, że to ani chybi płacze i woła jej własne dziecko, wyszedł do ogrodu. Tu dopiero stwierdził z całą pewnością, że to istotnie kobieta i że jęczy w łaźni stojącej w ogrodzie, w pobliżu furtki. Otworzywszy łaźnię, zdębiał na niezwykle widok, który się przedstawił jego oczom: oto znana wszystkim, wałęsająca się po mieście obłąkana Lizawieta Smierdiaszcza, nie wiadomo jakim sposobem przedostawszy się do ich łaźni, przed chwilą właśnie urodziła. Niemowlę leżało koło niej, ona zaś konała leżąc przy nim. Nie można się było od tej kobiety niczego dowiedzieć, bo była niemową. Ale wszystko to trzeba opisać dokładnie...

## II LIZAWIETA SMIERDIASZCZA

Jedną szczególnie okoliczność wywarła głębokie wrażenie na Grzegorzu i ostatecznie utwierdziła go w wielce przykrym i obrzydliwym, uprzednio powziętym podejrzeniu. Lizawieta Smierdiaszcza była to dziewczyna bardzo małego wzrostu, ze „dwa arszyny z ogonkiem”, jak z rozczuleniem opowiadało sobie po jej śmierci wiele pobożnych staruszek w naszym mieście. Twarz jej dwudziestoletnia, zdrowa, szeroka i rumiana, nosiła piętno zupełnego zidiocenia; wyraz oczu był zastygły i nieprzyjemny, chociaż bardzo pokorny. Przez całe życie, i latem, i zimą, wałęsała się boso w koszuli ze zgrzebnego płótna. Włosy jej niemal krucze, wyjątkowo gęste, pokręcone jak wełna, tworzyły nad głową jak gdyby ogromną czapę. Zawsze były zmierzwiowane, powalane błotem, pełne przylepionych liści, różnego śmiecia, trocin. Lizawieta bowiem sypiała zawsze na ziemi i w błocie. Ojcem jej był bezdomny, zrujnowany i chory mieszczanin Ilja, który od wielu lat pracował u jednego z zamożniejszych naszych mieszczan i stale zapijał się bez pamięci. Matka Lizawiety dawno już nie

żyła. Zawsze chory i zgryźliwy, Ilja znęcał się nieludzko nad córką, gdy zaglądała do domu. Lecz zdarzało się to rzadko, gdyż zwykle wałęsała się po całym mieście, uchodząc powszechnie za „pomyleńca bożego”. Gospodarz Ilji, i nawet on sam, jako też wielu litościwych obywateli naszego miasta, zwłaszcza kupców i kupcowych, próbowali już nieraz ubrać przyzwoicie Lizawietę; każdej zimy dawano jej długi kozuch i wysokie buty. Spokojnie i potulnie pozwalała się odziać i obuć, ale zaraz potem, zazwyczaj na stopniach jakiejś cerkwi, zawsze pozbywała się ofiarowanego przyodziewku - czy to była chustka lub spódnica, kozuch czy też buty - zostawiała wszystko i odchodziła boso i w jednej koszuli, jak przedtem. Zdarzyło się pewnego razu, że ujrzał ją nowy gubernator, który przyjechał był na inspekcję do naszego miasteczka. I chociaż wyjaśniono mu, że to pomyłona, poczuł się tak dotknięty w najlepszych swych uczuciach, że kazał położyć kres temu „zgorzeniu publicznemu”, jakim niezawodnie jest widok młodej dziewczyny wałęsającej się w jednej koszuli. Ale gubernator wyjechał, Lizawietą zaś przestano się zajmować. W końcu ojciec jej umarł, wskutek czego zyskała większą sympatię u dewotek, jako sierota bez ojca i matki. Można prawie powiedzieć, że Lizawieta była ulubienicą naszego miasta; nawet chłopcy nie drażnili jej i nie krzywdzili, jakkolwiek nasi chłopcy, zwłaszcza sztabacy, to ludek złośliwy. Wchodziła do obcych domów, lecz nikt jej nie wypędzał, przeciwnie, opiekowano się nią i obdarzano jałmużną. Pieniądze owszem przyjmowała, lecz każdy grosik wrzucała zaraz do garnuszka na ofiary w cerkwi albo w więzieniu. Obdarowywano ją na targu obwarzankiem lub bułką: brała i zawsze oddawała pierwszemu napotkanemu małemu dziecku, a czasem nawet jakiej z naszych najbogatszych pań, które zwykle przyjmowały ten podarunek nawet z radością. Żywiła się bowiem wyłącznie razowym chlebem i wodą. Przychodziła nieraz do jakiego bogato zaopatrzonego sklepu, siadała sobie gdziekolwiek i chociaż pod ręką były sterty towarów i nawet pieniądze, nikt się jej nie wystrzeżał, bo wiadano, że i brylantów nie tknie. W cerkwi bywała rzadko; sypiała zaś albo pod cerkiewnymi drzwiami, albo też, przelazwszy przez płot (a płotów w miejsce porządných ogrodzeń jest jeszcze w naszym mieście wiele) w czyimkolwiek ogrodzie. Do domu, to znaczy do domu chlebobawców swego nieboszczyka ojca, przychodziła zwykle raz na tydzień, a zimą to nawet codziennie, lecz tylko na noc, którą spędzała zresztą albo w jakiejś sionce, albo w oborze. Dziwiono się, że potrafi znieść takie życie, ale widocznie przywykła do niego; chociaż drobnego wzrostu, budowy była niezwykle mocnej. Powiadali niektórzy, że Lizawieta prowadzi taki tryb życia z dumy, ale jak można było posądzić o dumę istotę, która nawet mówić nie umiała i tylko niekiedy poruszała językiem, dobywając głos podobny do myczenia! Otóż pewnego razu (a było to już dawno), pewnej ciepłej i jasnej nocy wrześnieowej, przy pełni księżyca, podchmielona gromadka naszych lampartów, składająca się z pięciu czy sześciu zuchów, o późnej jak na nasze stosunki godzinie wracała z klubu „bocznymi ulicami”. Po obu stronach zaułka ciągnęły się płoty, ogradzające sady przyległych domów; zaułek kończył się mostkiem, przerzuconym przez naszą długą i cuchnącą kałużę, którą się nazywało czasem rzeczką. Pod płotem, wśród pokrzyw i łopianów, zauważono śpiącą Lizawietę. Podochoceni jegomoście stanęli nad nią i śmiejąc się zaczęli sypać niezupełnie cenzuralnymi dowcipami. Jednemu z paniczów strzeliło do głowy ekscentryczne i nieprawdopodobne pytanie: „Czy mógłby ktokolwiek tak czy inaczej uznać takie zwierzątko za kobietę, choćby na przykład w obecnej chwili” itd. Wszyscy z dumną odrazą stanowczo zaprzeczyli. Tylko Fiodor Pawłowicz, który brał udział w tej eskapadzie, wyskoczył momentalnie i orzekł, że i owszem, można ją uznać za kobietę, i to nawet bardzo, że jest w tym coś szczególnie pikantnego itd., itd. Co prawda od dawna już starał się wówczas grać upatrzoną rolę błazna, ze szczególnym upodobaniem rozśmieszał młodych paniczyków, będąc na pozór z nimi poufale, ale w istocie traktowany przez nich jak prosty cham. A zdarzyło się to właśnie w tym okresie, kiedy dostał z Petersburga wiadomość o śmierci swej pierwszej żony, Adelaidy Iwanowny, i

gdy z krepą na kapeluszu pił i łajdaczył się na całego, budząc nawet w niejednym rozpustniku prawdziwą odrazę. Banda hulaków, rzecz prosta, przyjęła to nieoczekiwane oświadczenie hucznym śmiechem; któryś z birbantów zaczął nawet podbechtywać Fiodora Pawłowicza, ale pozostali jeszcze gwałtowniej dawali wyraz swojemu obrzydzeniu, po czym w najlepszych humorach odeszli sobie dalej. Później Fiodor Pawłowicz przysięgał, że i on wtenczas odszedł był wraz ze wszystkimi; może tak było naprawdę, nikt jednak nie wie na pewno i nikt nigdy nie wiedział, wszelako po pięciu czy sześciu miesiącach zaczęto w mieście mówić ze szczerym i ogromnym oburzeniem, że Lizawietą chodzi w ciąży, poczęto się dopytywać i badać: kto winien, kto ją skrzywdził? I wtedy rozniosła się po całym mieście okropna pogłoska, że winowajcą jest właśnie Fiodor Pawłowicz. Kto puścił tę pogłoskę? Z owej wesołej kompanii został do tego czasu w naszym mieście tylko jeden uczestnik, i to starszy, powszechnie szanowany radca stanu, mający dom, rodzinę i dorosłe córki; on by chyba o niczym nie opowiadał, gdyby nawet wiedział; pozostali birbanci rozjechali się tymczasem w różne strony. A jednak fama wciąż wskazywała wyraźnie Fiodora Pawłowicza jako sprawcę występku. Zresztą Fiodor Pawłowicz nie odpierał oskarżenia zbyt energicznie: nie uważał za stosowne odpowiadać jakimś tam kramarzom czy mieszczanom. Dumny był wówczas, a jakże, i zadawał się wyłącznie z ludźmi swojej sfery, z urzędnikami i szlachcicami, których tak rozśmieszał. Natomiast Grzegorz energicznie i stanowczo wystąpił w obronie swego pana przeciw wszystkim jego potwarzom, sprzeczał się i kłócił, i wielu przekonał: „Ona sama, gałganica, jest winna” - powtarzał z powagą - winowajcą zaś jest nikt inny, tylko Karp Bagnet (tak przezwano groźnego aresztanta, który zbiegł wówczas z gubernialnego więzienia i ukrywał się w naszym mieście). Domysł ten wydawał się prawdopodobny, Karpa pamiętano; właśnie, że w owe widne noce na schyłku lata grasował po mieście i ograbił trzech przechodniów. Wypadek ów i wszystkie komentarze nie tylko nie odwróciły powszechnej sympatii od biednej pomyłonej, ale owszem, bardzo ją spotęgowały. Kupcowa Kondratiewa, bardzo bogata wdowa, wzięła ją nawet pod koniec kwietnia do siebie do domu i zamierzała zatrzymać przez czas porodu. Strzeżono jej pilnie; ale mimo całą uwagę Lizawietą ostatniego właśnie dnia wieczorem wykradła się nagle od Kondratiewej i przedostała do ogrodu Fiodora Pawłowicza. W jaki sposób w tym stanie przelazła przez wysoki i mocny parkan, to pozostało zagadką. Jedni twierdzili, że ją „przeniesiono”, inni, że ją „przeniosło”. Najprawdopodobniej wszystko to odbyło się zupełnie naturalnie: Lizawietą miała w tym wielką wprawę, nocując bowiem zwykle po cudzych ogrodach, wciąż łaziła przez płoty. I tym razem udało się jej wgramolić na parkan Fiodora Pawłowicza, wlaższy zaś zeskoczyła do ogrodu, naturalnie ze szkodą dla zdrowia. Grzegorz, ujrawszy ją w łaźni, pobiegł czym prędzej do Marfy Ignatiewny, która natychmiast pospieszyła z pomocą, a następnie sprowadził starą babkę, mieszczankę, mieszkającą właśnie w pobliżu. Dziecko odratowano, lecz Lizawietą skonała nad ranem. Grzegorz wziął noworodka, zaniósł do domu, następnie położył żonie na kolanach: „Boża sierota to dziecko wszystkich ludzi, a nasze przede wszystkim. Nieboszczyk nasz zesłał go, a zrodzon on z syna czarciego i ze sprawiedliwej. Karm go i łyż swoje otrzyj.” Tak więc Marfa Ignatiewna wychowała dzieciaka. Na chrzcie świętym dano mu imię Paweł, zaś z ojca wszyscy poczęli go nazywać Fiodorowiczem. Fiodor Pawłowicz nie przeciwstawił się temu i nawet uznał to za niezły żart, chociaż stanowczo wypierał się ojcostwa. W mieście chwalono go, że przyjął podrzutka do domu. Później Fiodor Pawłowicz wymyślił dla chłopca nazwisko: nazwał go Smierdiakowem z powodu przezwiska, które nosiła matka chłopca Lizawietą Smierdiaszcza. Ów właśnie Smierdiakow wyrósł na drugiego służącego Fiodora Pawłowicza i mieszkał na początku naszego opowiadania w oficynie, razem ze starym Grzegorzem i Marią. Pełnił przecież obowiązki kucharza. Warto by i o nim szczegółowo pomówić, ale przykro mi tak długo zaprzętać uwagę czytelnika zwykłymi lokajami,

wracam więc do rzeczy tusząc, iż rzecz o Smierdiakowie sama wyjdzie w dalszym toku powieści.

### III SPOWIEDŹ GORAĄCEGO SERCA. WIERSZEM

Alosza, wysłuchawszy rozkazu ojca, rzuconego z kolasy opuszczającej monaster, przez kilka chwil stał na miejscu jak wryty. Nie można powiedzieć, że osłupiał, bo nic takiego nigdy mu się nie zdarzało. Wręcz przeciwnie, mimo niepokoju, zdążył pójść do kuchni ihumena i tam dowiedział się szczegółowo, jakie to brewerie wyprawiał na górze jego ojczulek. Następnie jednak udał się do miasta, myśląc, że po drodze zdąży jakoś rozwiązać nękające go zadanie. Powiem od razu: Alosza nie zląkł się bynajmniej krzyków ojca, jego pogroźek i nakazu przeprowadzenia się do domu wraz z „poduszkami i siennikiem”. Zbyt dobrze zrozumiał, że ojciec w „uniesieniu” rozporządził się na głos, nadrabiając krzykiem nawet, że tak powiem, gwoli zwiększenia efektu - podobnie jak jeden z mieszczan, który na swoich własnych imieninach, ze złości, że nie dają mu więcej wódki, urządził wobec gości burdę, rozbił własne statki i naczynia, podarł odzież własną i żony, połamał meble i wytlukł szyby w oknach, i to wszystko też gwoli efektu. Coś podobnego zdarzyło się teraz i ojcu. Nazajutrz, rzecz jasna, wytrzeźwiawszy, awanturniczy mieszczanin ubolewał nad potłuczonymi filiżankami i talerzami. Alosza wiedział, że i ojciec jutro pozwoli mu na pewno wrócić do monasteru, a może nawet od razu dzisiaj. Zresztą był całkowicie przeświadczony, że kogo jak kogo, ale ojciec na pewno nie zechce jego skrzywdzić. Alosza był przekonany, że nikt go w ogóle na świecie nigdy nie zechce skrzywdzić, co więcej, nie tylko nie zechce, ale i nie potrafi. Wierzył w to jak w aksjomat, raz na zawsze, bez medytacji, i z tą wiarą szedł przez życie, nie znając żadnych wahań i niepewności.

Ale w tej chwili dręczył go inny jeszcze lęk, zupełnie innego rodzaju, tym bardziej męczący, że nie mógłby go określić. Był to lęk przed kobietą, właśnie przed Katarzyną Iwanowną, która tak natarczywie błagała go w kartce wręczonej niedawno przez panią Chochłakow, aby ją w pewnej sprawie odwiedził. Żądanie to i konieczność nieodzownego pójścia napawała serce Aloszy nieznanym męczącym uczuciem. Od samego rana uczucie owo stawało się z każdą chwilą boleśniesz, pomimo wszystkich scen i przygód, które się rozegrały następnie u starca, a w końcu u ojca ihumena itd., itd. A lękał się nie tego, że nie wiedział, o czym Katarzyna Iwanowną z nim będzie mówiła i co on jej odpowie. Nie lękał się jej jako kobiety w ogóle: niewiele znał kobiet, ale spoufalił się z nimi od powijkaków i tylko z nimi obcował aż do samego wstąpienia do monasteru. Bał się tej, a nie innej kobiety, właśnie Katarzyny Iwanowny. Obawiał się jej od czasu, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy. Widział ją tylko raz albo dwa razy, a dokładnie mówiąc, nawet trzy razy, co więcej, zamienił z nią kiedyś kilka słów. Stawała mu w pamięci jako piękna, dumna i ambitna dziewczyna. Ale nie piękność jej dręczyła Aloszę, lecz co innego. I właśnie to, że nie mógł uświadomić sobie swej trwogi, potęgowało ją znacznie. Wiedział, że pobudki działania Katarzyny Iwanowny są na wskroś szlachetne: usiłowała ratować jego brata Dymitra Fiodorowicza, który przecież ciężko względem niej zawinił, a czyniła to z wielkoduszności. I oto, mimo że musiał ocenić i uznać wszystkie owe piękne i wspaniałomyślne uczucia, ciarki przebiegały mu po plecach, gdy zbliżał się do jej domu.



Zmiarkował, że teraz nie zastanie u niej brata - Iwana Fiodorowicza, który był z nią w zażyłych stosunkach: Iwan na pewno siedzi teraz u ojca. Tym bardziej nie spodziewał się zastać Dymitra, przeczuwał, co go gdzie indziej zatrzymywało. A zatem rozmowa ich odbędzie się sam na sam. Przed tą fatalną rozmową chętnie by zobaczył się z Dymitrem i wstąpił do niego po drodze. Nie pokazałby mu listu, ale pomówiłby o tym i owym. Lecz Dymitr mieszkał daleko i na pewno nie było go teraz w domu. Alosza namyślał się przez chwilę, w końcu zaś zdecydował się ostatecznie. Przeżegnawszy się spiesznie i uśmiechnąwszy do czegoś, stanowczym krokiem skierował się ku swojej strasznej pani.

Znał jej dom. Jeśli pójść przez Wielką, potem przez plac itd., to odległość jest wcale niemała. Nasza niewielka miejscina jest wyjątkowo rozrzucana i dystanse od jednego jej krańca do drugiego są dosyć znaczne. W dodatku Alosza wiedział, że ojciec na niego czeka, że może jeszcze nie zapomniał swego rozkazu, może złości się i kaprysi; spieszył się więc bardzo, chcąc po wizycie u Katarzyny Iwanowny zdążyć jeszcze do ojca. Wziąwszy więc wszystko pod uwagę postanowił skrócić sobie drogę, iść zaułkami. Znał wszystkie te nasze dróżki jak własną kieszeń. Zresztą nie były to nawet dróżki, trzeba było iść wzdłuż parkanów, przełazić przez cudze płoty, przechodzić przez cudze podwórka, gdzie wszyscy go znali i witali. W ten sposób mógł sobie skrócić drogę o połowę. Wypadło mu przechodzić w pobliżu ojcowskiego domu, mianowicie mimo sąsiedniego ogródka, który wraz z małym, starym i pochylonym domkiem o czterech oknach był własnością, jak słyszał, pewnej mieszcanki, beznogiej staruszki. Mieszkała w tym domku z córką, która niedawno jeszcze służyła jako pokojówka w stolicy u rozmaitych generałów, lecz przed rokiem wróciła do chorej matki i zadawała szyku eleganckimi strojami. Ostatnio stara i jej córka wpadły w straszną nędzę i nawet kołatały do sąsiada, Fiodora Pawłowicza, o wsparcie. Marfa Ignatiewna chętnie odlewała im zupy i odkrawała chleba. A przecież mimo tej nędzy strojnisia ze stolicy nie chciała sprzedać żadnej ze swych sukien, z których jedna miała nawet bardzo długi tren. O tym wszystkim Alosza dowiedział się oczywiście zupełnie przypadkowo od swego przyjaciela Rakitina, przed którym nic, co się działo w miasteczku, nie mogło się ukryć. Alosza wysłuchał tego jednym tchem i zaraz zapomniał. Dopiero teraz, przechodząc koło ogródka sąsiadki, przypomniał sobie ów tren, gwałtownie podniósł spuszczone w zadumie głowę i... ujrzał zniecka najmniej oczekiwaną osobę.

W ogródku sąsiadki, za płotem, stał na jakimś podniesieniu Dymitr Fiodorowicz, tak że widać go było po pierś, i energicznie machał ręką, przywołując go jakimiś znakami i kiwając głową - widocznie bał się krzyknąć, a nawet odezwać się głośno. Alosza natychmiast podbiegł do płotu.

- Dobrze, żeś się sam obejrzał, bobym w końcu musiał zawołać - szepnął Dymitr Fiodorowicz prędko i radośnie. - Właż tu! Jak to pysznie, żeś przyszedł. Dopiero co o tobie myślałem...

Alosza był również uradowany i zastanawiał się właśnie, jak by tu przeleźć przez płot. Tymczasem Mitia silną ręką chwycił go za łokieć i ułatwił mu skok. Zakasawszy riasę, Alosza przesadził płot ze zręcznością bosonogiego urwisa.

- No to lećmy, bracie, jazda! - zachwyconym szeptem rzucił Dymitr.

- Dokąd? - szepnął Alosza oglądając się na wszystkie strony i widząc dookoła zupełnie pusty ogród, w którym nikogo poza nimi nie było. Ogród był niewielki, ale od domku dzieliło ich przynajmniej pięćdziesiąt kroków. - Przecież tu nie ma nikogo, czemu szepcesz?

- Czemu szepczę? Ach, do diabła! - zawołał nagle Dymitr Fiodorowicz na cały głos. - I czemuż to ja szeptałem? Ano sam widzisz, jak łatwo o galimatias w naturze. Stoję tu, bo to sekret, i strzegę sekretu. Później ci wyjaśnię, ale, uważasz, wiedząc, że strzegę sekretu, tak się tym przejąłem, że i mówić zacząłem sekretnie, szeptem, jak bałwan, kiedy mogę przecie mówić na głos. Chodźmy! o tam! Milcz tymczasem. Chciałbym cię ucałować!

*Chwała Panu na świecie,*

*Chwała Panu i we mnie!...*

Dopiero co, tuż przed twoim przyjściem, siedząc tu powtarzałem ten wiersz...

Ogród zajmował około dziesięciny i był zadrzewiony tylko wokoło, wzdłuż otaczającego go z czterech stron płotu. Stały tu jabłonki, klony, lipy i brzozy. Pośrodku ogrodu ciągnął się trawnik, który latem dawał kilka pudów siana. Za kilka rubli staruszka właścicielka oddawała go na wiosnę w dzierżawę. Ciągnęły się tu również wzdłuż płotu grządki malin, agrestu i porzeczek; około domu zaś - grzędy warzywne, niedawno zresztą zasadzone. Dymitr Fiodorowicz zaprowadził gościa do najdalej od domu położonego kąta ogrodu. Tam pośród stłoczonych lip i starych krzaków czarnych porzeczek, dzikiego bzu, kaliny i czeremchy ukazały się nagle jakby szczątki bardzo starej zielonej altany, szerniałej i pochylonej, o ścianach z drewnianej kraty, z daszkiem, pod który można się było jeszcze schronić w czasie deszczu. Zbudowano tę altanę Bóg wie kiedy, jak głosiła legenda, pięćdziesiąt lat temu na rozkaz ówczesnego właściciela tej posesji, Aleksandra Karłowicza von Schmidta, dymisjonowanego podpułkownika. Ale wszystko już spróchniało, podłoga przegniła, wszystkie deski ruszały się, od drzewa załatywało wilgocią. W środku stał drewniany zielony stół, wkopany w ziemię, a dookoła ławy, również zielone, na których można było jeszcze siedzieć. Alosza od razu spostrzegł nienaturalny zachwyt brata; w altanie na stole zobaczył pół butelki koniaku i kieliszek.

- To koniak! - roześmiał się Mitia - a ty już patrzysz: „Znowu pije?” Nie wierz pozorom.

*Nie wierz gawiedzi pustej i kłamliwej,*

*Zaniechaj zwątpień...*

Nie piję, tylko ..smakuję”, jak się wyraża ta świnka Rakitin, który jeszcze będzie radcą stanu i będzie stale mówił „smakuję”. Siadajże. Wziąłbym cię, Aloszka, i przycisnął do serca, ale tak, aby cię zadusić, bo na całym świecie... naprawdę... naprawdę... (pomyśl! pomyśl!) kocham tylko ciebie!

Ostatnie zdanie wypowiedział w jakimś ostatecznym zapamiętaniu.

- Tylko ciebie i jeszcze jedną gałganicę, w której zakochałem się na własną zgubę. Ale zakochać się to nie znaczy kochać. Zakochać się można nienawidząc. Zapamiętaj! Teraz, póki gadam na wesoło! Siadaj, o tu, przy stole, a ja usiądę z boku i będę patrzył na ciebie i mówił. Ty będziesz

wciąż milczał, a ja będę wciąż mówił, ponieważ wybiła godzina. A zresztą wiesz, pomyślałem sobie, że istotnie należy mówić cicho, bo tu... tu... tu mogą nadśłuchiwać uszy, których się najmniej spodziewam. Wszystko wytłumaczę, powiedziałem ci już, że wszystko wyjaśnię potem. Czemu wyrwałem się ku tobie, czemu pragnąłem cię teraz, przez wszystkie te dni i teraz? (Od pięciu dni stoję tu na kotwicy.) Przez wszystkie te dni? Ponieważ tobie jednemu opowiem, ponieważ tak trzeba, ponieważ jesteś potrzebny, ponieważ jutro spadnę z obłoków, ponieważ jutro życie skończy się i rozpocznie. Czy czułeś, czy widziałeś we śnie, jak z góry leci się w przepaść? Otóż ja tak lecę na jawie. I nie boję się, i ty się nie bój. Właściwie boję się, ale jest mi słodko. Właściwie nie słodko, lecz zachwyty... Ale, do licha, przecie wszystko jedno co. Mocny duch, słaby duch, niewieści duch - wszystko jedno! Chwalmy przyrodę: widzisz, ile słońca, jakie czyste niebo, liście wszystkie zielone, jeszcze lato, czwarta po południu, cisza! Dokąd szedłeś?

- Szedłem do ojca, ale przedtem chciałem wpaść do Katarzyny Iwanowny.

- Do niej i do ojca! Och! Co za zbieg okoliczności! I po cóż cię wzywałem, dlaczego pragnąłem, dlaczego łaknąłem każdym drgnieniem, każdym zakątkiem duszy, a nawet żeber? Żeby właśnie wysłać cię do ojca i do niej, do Katarzyny Iwanowny, i skończyć już raz z nią i z ojcem. Posłać anioła. Mógłbym posłać każdego, ale musiałem posłać anioła. I właśnie ty sam idziesz, do niej i do ojca.

- Czy naprawdę chciałeś mnie posłać? - wyrwało się z ust Aloszy. Młodzieniec miał przy tym bolesny wyraz twarzy.

- Czekaj, tyś to już wiedział. Widzę, żeś wszystko od razu zrozumiał. Ale milcz, na razie milcz. Nie żałuj mnie i nie płacz!

Dymitr Fiodorowicz wstał, zamyślił się i przyłożył palec do czoła:

- Sama cię wezwała, napisała do ciebie albo coś w tym rodzaju, bo czyżbyś inaczej poszedł?

- Oto list - rzekł Alosza wyjmując go z kieszeni.

Mitia szybko przebiegł kartkę wzrokiem.

- I tyś poszedł krótszą drogą! O bogowie! Dziękuję wam, żeście go skierowali przez parkany, abym go mógł złapać, jak stary dureń rybak z bajki złotą rybkę. Posłuchaj. Alosza, posłuchaj, bracie, uważnie. Teraz mam zamiar powiedzieć ci wszystko. Trzeba przecież komuś wszystko powiedzieć. Aniołowi z nieba jużem powiedział, ale teraz muszę powiedzieć aniołowi na ziemi. Ty jesteś aniołem na ziemi. Wysłuchasz, zastanowisz się i potem przebaczysz... A właśnie tego potrzebuję, aby mi ktoś godniejszy ode mnie przebaczył. Słuchaj: jeżeli dwie istoty nagle odrywają się od wszystkiego, co ziemskie, i szybują ku niezwykłym łądom albo przynajmniej jedna z nich przed odlotem, i może zatraceniem, przychodzi do drugiej i mówi: zrób dla mnie to a to, coś, o co nigdy nikogo się nie prosi, chyba na łożu śmierci - to czy tamta istota nie spełni tego, jeśli to przyjaciel, jeśli brat?!...

- Spełnię, ale powiedz co, i mów prędzej - rzekł Alosza.

- Prędeej... Hm. Nie spiesz się, Alosza: spieszysz się i niepokoisz. Teraz nie ma się czego spieszyć. Teraz świat wyszedł na nową ulicę. Ach, Alosza, szkoda wielka, żeś się do zachwyty nie zapamiętał! A zresztą, co ja ci mówię! Tyś się niby nie zapamiętał! Co ja, stary dureń, wygaduję:

*Człowieku, bądź szlachetny!*

Czyj to wiersz?

Alosza postanowił czekać. Zrozumiał, że wszystkie jego sprawy istotnie skupiły się teraz tylko w tym miejscu. Mitya zamyślił się na chwilę, podparłszy dłonią czoło. Obaj milczeli chwilę.

- Losza, ty jeden nie będziesz się śmiał! Chciałbym zacząć... swoją spowiedź... od *Hymnu do radości* Schillera: *An die Freude!* Ale ja niemieckiego nie znam, znam tylko te dwa słowa: *an die Freude!* Nie myśl, że po pijanemu gadam. Bynajmniej. Koniak jest koniakiem, ale upijam się dopiero po dwu butelkach.

*I Sylen rumianogęby*

*Na niepewnie krocącym ośle*

a ja ani ćwiartki nie wypilem, ani nie jestem Sylen. Nie jestem Sylen, ale jestem silny, bo powziąłem postanowienie na wieki. Nie bierz mi za złe kalamburu, musisz mi dziś wiele wybaczyć, nie tylko ten kalambur. Nie bój się, nie będę rozwlekły. Mówię do rzeczy i zaraz przystąpię do właściwej sprawy. Nie będę cię bałamucił. Poczekaj, jakże to...

Podniósł głowę, zamyślił się i nagle zaczął zachwyconym głosem:

*Grozą i lękiem zewsząd gnany,*

*Kryjąc się w grotach górskich skał,*

*Człowiek pierwotny, troglodyta,*

*Pustkę i wkoło zniszczenie siał...*

*Łowom oddany, zbrojny, dziki,*

*Przebiegał leśnych puszczy głąb...*

*O, biada wyrzuconym falom*

*Na niegościnnych brzegów zrab!...*

*Z Olimpu, za porwaną córką,  
Ceres bogini spieszy w ślad:  
Aż przed nią w całej swej ohydzie  
Ściele się pusty, dziki świat.  
Nigdzie schronienia ni gościny,  
Żaden tu czci nie bierze bóg,  
Wonnych kadzidel dym ofiarny  
Nie płynie znikąd w niebios próg.*

*Nikt na biesiadny stół nie stawia  
Soczystych gron i złotych zbóż;  
Wszędy pobitych trupów szczątki  
I ofiar krwią dymiący nóż...  
Gdzie rzuci okiem niebios córa -  
Niosąca zbożny, święty trud,  
Wszędy w najgłębszym poniżeniu  
Nurza się biedny ludzki ród!*

Nagle gwałtowne łkanie wyrwało mu się z piersi. Chwycił brata za rękę.

- Przyjacielu, przyjacielu, w poniżeniu, w poniżeniu i teraz. Strasznie dużo musi człowiek cierpieć na ziemi, strasznie dużo znieść! Nie myśl, że jestem tylko chamem w oficerskim mundurze, co to sączy koniak i łajdaczy się. Ja, bracie, prawie o tym tylko myślę, o tym poniżonym człowieku, kiedy tylko nie kłamię. Daj Boże, abym i teraz nie kłamał i nie przechwalał się. Dlatego myślę o tym człowieku, że ja sam jestem takim człowiekiem:

*Człowiek, by wznieść się z poniżenia*

*I hartem wzmocnić duszę,*

*Musi z prastarą matką ziemią*

*W wieczyste wejść sojusze.*

Tylko widzisz, o to mi właśnie chodzi: jakże wejść w sojusz z ziemią na wieki? Ja nie całuję ziemi, nie wdieram się do jej piersi: cóż, czy chłopem mam zostać albo świniopasem? Idę i nie wiem: w smród wpadłem i hańbę czy w światło i radość. W tym cała bieda że wszystko na świecie jest zagadką! A kiedy zdarzało mi się pogrążyć w najgłębszą otchłań rozpusty (a właściwie to jedno tylko zdarzało mi się w życiu), zawsze deklamowałem ów wiersz o Cererze i o człowieku. Czy przez to byłem lepszy? Nigdy! A to dlatego, że jestem Karamazow, że jeżeli lecę w otchłań, to już prościuteńko, piętami do góry, głową na dół, i bodaj rad jestem, że właśnie w tak poniżający sposób, bodaj czy nie dopatruję się w tym dla siebie pewnego rodzaju piękna. I tu właśnie, w tej najgłębszej hańbie, nagle intonuję hymn. Jestem może przeklęty, jestem może nikczemny i podły, ale niech mi wolno będzie przycisnąć usta do skraju szaty, w którą przyobleczon jest mój Bóg; może w tej samej chwili idę za diabłem, przecież jestem synem Twoim, Panie, i kocham Ciebie, i czuję radość, bez której świat by nie istniał.

*Radość poi świat żywiłem.*

*Leje czysty zdrój istnienia,*

*Radość z piersi przyrodzenia*

*Zły i dobry piją społem!*

*Nam śle lubość, nektar w gronie,*

*Przyjaźń, której śmierć jest niczem!*

*Dla robaka w chuci płonie;*

*Cherub Boskim rad obliczem.*

*Radość twórczą mocą wrząca*

*Leje wieczność z chwil kropelki!*

*Radość, radość w ruch potrąca*

*Zegar światów, zegar wielki!*

*Ona z ziarna kwiatem tryska,*

*Z firmamentu zorzą jasną!*

*W krężny obieg sfery ciska,*

*Które w głębiach oka gasną!*

Ale dosyć wierszy! Płakałem, pozwól mi popłakać. Może to i głupstwo, z którego wszyscy się będą wyśmiewać, niech tam, ale przecież nie ty. Otóż i twoje oczy płoną. Dosyć wierszy. Chcę ci teraz opowiedzieć o „robakach”, o tych właśnie, których Bóg obdarzył lubieżnością.

*Dla robaka w chuci płonie.*

Ja bracie, jestem takim właśnie robakiem i to o mnie specjalnie napisane. I my wszyscy Karamazowowie jesteśmy tacy, i w tobie, aniele, żyje ten robak, i we krwi twojej rodzi burze! Tak, burze, bo lubieżność to burza, więcej niż burza! Piękno to straszliwa i przerażająca rzecz! Straszliwa, bo nieokreślona, a określić się nie da, gdyż Bóg zadał nam tylko same zagadki. Tu brzegi się schodzą, tu jest harmonia wszystkich przeciwieństw, ich współzycie. Ja, bracie, jestem nieukiem, ale wiele o tym myślałem. Straszliwie dużo tajemnic! Zbyt wiele tajemnic gnębi człowieka na ziemi. Rozwiążuj, jak potrafisz, i wygmeraj się suchy z wody. Piękno! Nie mogę tego ścierpieć, że czasem człowiek, podniosłego nawet serca i wielkiego umysłu, zaczyna od ideału Madonny i kończy ideałem Sodomy. Okropniej jest, gdy już z ideałem Sodomy w duszy nie odtrąca ideału Madonny, który serce jego rozpala, że płonie ono, zaiste, zaiste płonie jak za młodych niewinnych lat. Nie, szeroki jest człowiek, zbyt nawet szeroki, ja bym go zwęził. Licho wie, co to jest naprawdę! Co rozumowi wydaje się hańbą, to sercu czystym pięknem. Czy jest piękno w Sodomie? Wierzaj mi, że dla większości ludzi jest ono w Sodomie - znałeś ty tę tajemnicę czy nie? Przerażające, że piękno jest nie tylko straszną, ale i tajemniczą rzeczą. Tu diabeł z Bogiem się zмага, a polem bitwy jest serce człowiecze. A zresztą każdy mówi o tym, co go boli. Słuchaj, teraz do rzeczy.

#### IV

### SPOWIEDŹ GORAĄCEGO SERCA. W ANEGDOTACH

- Ja tam hulałem. Ojciec mówił niedawno, że po kilka tysięcy płaciłem za uwodzenie dziewcz. Świński to wymysł, i nic podobnego nigdy się nie zdarzyło, a co było, to na „to” pieniądze nie były potrzebne. Dla mnie pieniądze to akcesorium, istota - żar duszy, nastrój. Dziś ta jest panią mego serca, jutro zamiast niej uliczna dziewczka. I tę, i tamtą bawię, jak mogę, rzucam pieniądze garściami, muzyka, harmider. Cyganki. Jeśli trzeba, to i jej daję, a biorą, biorą, szelmy, zachłannie, to trzeba przyznać, są i zadowolone, i wdzięczne. Panny z dobrych domów mnie lubiły, nie wszystkie, ale zdarzało się, zdarzało; ale ja zawsze wołałem głuche zaułki i ciemne zakamarki za głównym placem - tam miałem przygody, tam były niespodzianki, tam się trafiało czyste złoto wśród błota. Ja, bracie, wyrażam się alegorycznie, bo i w naszej mieścinie takich zaułków naprawdę nie było, ale za to były zaułki moralne. Gdybyś ty był taki jak ja, zrozumiałbyś, co to znaczy. Lubiłem rozpustę, lubiłem też hańbę rozpusty. Lubiłem okrucieństwo: czyż nie jestem pluskwą, złym robakiem? Mówiłem -

Karamazow! Pewnego razu tośmy urządzili piknik, pojechaliśmy siedmioma trójkami: w mroku, zimą, w saniach, zacząłem miętosić leżącą tak blisko rączkę dziewczęcia, zmusiłem do pocałunków biedną, miłą, łagodną i lekkomyślną dziewczynę, córkę urzędnika. Pozwoliła, na wiele rzeczy pozwoliła w ciemnościach. Myślała, niebożę, że nazajutrz przyjdę do niej i oświadczę się (przecie uchodziłem, wyobraź sobie, za dobrą partię), a ja z nią po tym ani słowa, przez pięć miesięcy ani pół słowa. Widziałem, jak z kąta sali na tańcach (a u nas przecie stałe tańce) ścigały mnie jej oczęta, widziałem, jak płonęły ogniem - ogniem nieśmiałego oburzenia. Ta gra bawiła moją robaczą lubieżność, którą w sobie podsycalem. Po pięciu miesiącach wyszła za urzędnika i wyjechała z miasta... oburzona i może jeszcze zakochana. Teraz są szczęśliwi oboje. Wiedz, że nic o tym nikomu nie mówiłem, nie znieślawiłem jej; chociaż mam podłe żądze i lubuję się w podłości, nie jestem wyzbyty czci. Rumienisz się, oczy twoje błysnęły. Dostyc masz tych brudów. Ale to wszystko jeszcze nic, to drobiazgi, kwiatuszki pol-de-ko-kowe, chociaż okrutny robak żył już i rósł w mojej duszy. Tu, bracie miły, cały album wspomnień. Niech Bóg im, najmilszym, da wiele zdrowia. Nie lubiłem się kłócić przy zerwaniu. I nigdy nie obgadywałem, nigdy nie znieślawiałem. Ale dość tego. Cóż ty myślisz, że ja cię tu dla słuchania tych świństw wezwałem? Nie, opowiem ci ciekawszą historię; ale nie dziw się, że nie wstydzę się ciebie, że owszem, jak gdyby rad jestem.

- Mówisz to dlatego, że się zarumieniłem - odezwał się nagle Alosza. - Nie rumieniłem się z powodu twoich słów, ale dlatego, że jestem taki sam jak ty.

- Ty niby? No, toś się trochę zapędził.

- Nie, nie bardzo - odparł z zapalem Alosza (widocznie ta myśl już dawno w nim kiełkowała). - To są te same stopnie. Ja stoję na najniższym, a ty na wyższym, może gdzieś na trzydziestym. Tak to widzę, ale na jedno wychodzi. Kto wszedł na pierwszy szczebel, musi dojść do najwyższego.

- To lepiej wcale nie wchodzić!

- Jeżeli można, to lepiej wcale nie wchodzić.

- A ty możesz?

- Zdaje się, że nie.

- Milcz, Alosza, milcz, najdroższy. Chciałbym rękę twoją pocałować, tak sobie, z rozrzewnienia. Ta szelma Gruszeńka zna się na ludziach, mówiła mi kiedyś, że ciebie kiedykolwiek zje... Milczę już, milczę! Z paskudztwa, z pola zaśmieconego muchami, przejdziemy do mojej tragedii, więc też na pole zaśmiecone muchami, to znaczy wszelką podłością. Chodzi o to, że nasz stary, chociaż mówiąc o uwodzeniu dziewic zmyślał, przecie trafił w sedno. Istotnie w mojej tragedii było coś takiego, chociaż raz tylko było, i też nie doszło do skutku. Stary nie zna tej historii: nigdy jej nikomu nie opowiadałem, teraz ty pierwszy się dowiesz, nikt o tym nie wie z wyjątkiem Iwana. Iwan wie wszystko. Dawniej niż ty. Ale Iwan będzie milczał jak grób.

- Iwan - jak grób?

- Tak.



Alosza słuchał w niezwykłym napięciu.

- Służyłem przecież w tym batalionie pogranicznym w randze chorążego, ale byłem jakby pod nadzorem, jakby jaki zesłaniec. A przecież mieścina okazywała mi niezwykłą serdeczność. Pieniądze rzucałem na prawo i lewo, myślano, że jestem bogaczem, i ja sam w to wierzyłem. Ale co innego musiało im tam we mnie przypaść do gustu. Głowami kiwali, ale dalibóg lubili. Tymczasem mój podpułkownik, stary już, nagle mnie zniechęcił. Przyczepiał się do mnie o byle co; plecy miałem, prócz tego całe miasto za mną stało, więc nie mógł mi zbytnio dokuczać. Co prawda sam byłem winien, umyślnie nie okazywałem mu należnego szacunku. Zadzierałem nosa. Stary ten uparciuch, niezły człowiek i ogromnie dobroduszny i gościnnie gospodarz, miał w swoim czasie dwie żony i obie przeżył. Pierwsza była podobno z prostej rodziny i zostawiła mu córkę, również prostą. Miała ona za moich czasów dwadzieścia cztery lata, mieszkała z ojcem i ciotką, siostrą nieboszczki matki. Ciotka - pokorna prostota, zaś jej siostrzenica, starsza córka pułkownika - wojownicza prostota. Lubię wspominając chwalić: nigdy, bracie miły, nie znalazłem cudniejszego charakteru niewieściego. Nazywała się Agafia, wyobraź sobie, Agafia Iwanowna. I niebrzydka była, wcale niebrzydka, w rosyjskim guście - wysoka, dorodna, pełna, o pięknych oczach, rysach, powiedzmy jednak, grubych. Nie chciała wyjść za mąż, choć dwaj się oświadczyli; dała im kosza i nie traciła humoru. Zbliżyliśmy się - nie tak, jak myślisz, nie, to było czyste - ale tak, po przyjacielsku. Często mi się zdarzało zbliżyć z kobietą bezgrzesznie, po przyjacielsku. Gawędziliśmy wiele, mówili o pewnych rzeczach tak otwarcie, że inne panny gdzieś tam! a ona tylko się śmiała. Wiele niewiast lubi szczerłość, weź to pod uwagę, ale ona była nadto panienką, co mnie niezwykle bawiło. I co w dodatku: żadną miarą nie można jej było nazwać panienką. Mieszkała z ciotką u ojca, ale jakoś poniżały się obie dobrowolnie, pomniejszały się przed towarzystwem. Wszyscy ją lubili i korzystali z jej usług, bo była znakomitą krawczynią: miała duży talent, pieniędzy oczywiście nie brała, ale podarunki - owszem. Podpułkownik zaś - ho, ho! Podpułkownik był jedną z pierwszych osobistości w naszym miasteczku. Prowadził dom otwarty, przyjmował całe miasto, wydawał kolacje, urządzał tańce. Kiedy przyjechałem i wstąpiłem do batalionu, całe miasteczko tylko o tym mówiło, że niebawem ma przyjechać ze stolicy druga córka podpułkownika, niezwykła piękność, najpiękniejsza z pięknych. Dopiero co ukończyła jakiś arystokratyczny instytut w stolicy. Ta druga córka - to właśnie Katarzyna Iwanowna we własnej osobie, córka podpułkownika z drugiej żony, która wywodziła się z dobrej generalskiej rodziny, chociaż także nie wniosła mężowi żadnego posagu. Były co prawda jakieś tam koligacje znakomite, jakieś nadzieje, ale gotówki - ani śladu. A jednak, gdy przyjechała „panna z instytutu” (przy tym nie na stałe), całe miasteczko jakby odżyło, najznakomitsze nasze damy - dwie jaśnie oświecone, jedna pułkownikowa, no i wszystkie, wszystkie natychmiast zajęły się nią, zaczęły ją sobie wrywać, bawić, obwoływać królową balów i pikników, urządzać żywe obrazy na wsparcie jakichś guwernantek. Ja milczę, hulam, wyczyniłem właśnie jedną taką sztuczkę, że w całym miasteczku zahuczało. Patrząc, zmierzyła mnie wówczas okiem u dowódcy baterii na przyjęciu, ale nie podszedłem: niepilno mi było poznać. Podszedłem zaś do niej później, też na wieczorku, zagadnąłem, lecz ona ledwo spojrzała, pogardliwie wydeła usteczka; wówczas pomyślałem sobie: „Poczekaj, zemścę się!” Byłem w owym czasie straszliwym chamem, sam to czułem. Rzecz najważniejsza, czułem, iż Katia to nie jest taka niewinna „panna z instytutu”, ale osoba z charakterem, harda i bardzo w istocie cnotliwa, a przede wszystkim mądra i wykształcona, ja zaś szwankuję i pod tym względem, i pod tamtym. Myślisz może, że zamierzałem jej się oświadczyć? Nic podobnego, po prostu chciałem się zemścić - że taki ze mnie zuch, a ona tego nie widzi. Tymczasem hulanki i awantury. W końcu zasadził mnie podpułkownik na trzy dni do paki. W tym czasie ojciec przysłał mi sześć tysięcy,

oczywiście przedtem posłałem mu formalne zrzeczenie się wszelkich dalszych pretensji. Nic nie rozumiałem wówczas; do przyjazdu i nawet do ostatniego czasu, co więcej, może do dnia dzisiejszego absolutnie nie rozumiem tych wszystkich z ojcem rozrachunków. Ale pał licho, do tego jeszcze wrócimy. Lecz wówczas, kiedy otrzymałem te sześć tysięcy, dowiedziałem się z listu przyjaciela o pewnej wielce ciekawej dla mnie rzeczy, mianowicie, że wyższe władze nie są zadowolone z naszego podpułkownika, że posądzają go o jakieś niedokładności, słowem, że jego wrogowie szykują mu pasztet. I w rzeczy samej zwałił się mu na głowę szef dywizji i dopiekl do żywego. Nieco później kazano podpułkownikowi podać się do dymisji. Nie będę ci opowiadał szczegółów, miał on wielu, jak się okazało, wrogów; miłośnica w mig ochłonęła z sympatii dla podpułkownika i jego rodziny, wszyscy znajomi odstrychnęli się ostentacyjnie. Wówczas właśnie wypłatałem pierwszego figla: spotykam Agafię Iwanownę, z którą przyjaźniłem się po dawnemu, i powiadam bez ceregieli: „Ojcu brakuje do rozrachunku czterech tysięcy pięciuset rubli.” „Co też pan mówi, jakim sposobem? Niedawno był tu generał, znalazł wszystko w porządku...” „Wówczas było w porządku, a teraz nie.” Strasznie się przelękała: „Niech mnie pan nie przeraża, kto panu to mówi?” „Niech się pani nie lęka - powiadam - ode mnie nikt się niczego nie dowie, pani wie, że ja pod tym względem jestem jak grób, ale coś chciałem powiedzieć, jak to się mówi, «na wszelki wypadek»: jeżeli zażądają brakującej kwoty, a ojciec nie będzie mógł wpłacić, co pociągnąć może za sobą sąd i degradację na stare lata, to niech mi pani przyśle waszą «pannę z instytutu», potajemnie, ja akurat mam pieniędzy jak lodu, dam jej ile trzeba i sekretu święcie dochowam.” „Ach, jaki pan, powiada, podły! (tak powiedziała), jaki pan zły, powiada, i podły! I jak pan śmie!” Odeszła, straszliwie oburzona, a ja jeszcze zawołałem za nią, że święcie dochowam sekretu. Obie kobiety, czyli Agafia i jej ciotka, muszą ci z góry powiedzieć, w całej tej sprawie zachowały się jak najczystsze anioły, dumną Katię po prostu ubóstwiały, poniżały się przed nią i wysługiwały się jej niczym pokojówki. Jednak Agafia powtórzyła siostrze naszą rozmowę. Ustaliłem to później z całą pewnością. Sekretu nie dotrzymała, a mnie o to tylko, ma się rozumieć, chodziło.

Naraz przyjechał nowy major, aby przejąć batalion. Zaczął sprawować swe funkcje. Stary podpułkownik nagle się rozchorował, ruszyć się nie może, przez dwie doby nie wysunął nosa z domu i kasy nie zdaje swemu następcy. Doktor nasz, Krawczenko, zapewniał, że stary istotnie zaniemógł. Ale ja już od dawna miałem w sekrecie wiadomość, że kwota owa od czterech już lat po każdorazowej rewizji znikła na dłuższy okres. Podpułkownik pożyczał ją bowiem na procent zaufanemu człowiekowi, staremu Trifonowowi. Wiesz, to ten kupiec, wdowiec, brodacz w złotych okularach. Ów zaś z kasą pułkową wyjeżdżał na targi, robił dobre obroty i zwracał pożyczkę wraz z podarunkami i procentami. Lecz tym razem (dowiedziałem się tego przypadkowo od synalka Trifonowa, zaślinionego wyrostka, tak straszliwie rozpustnego, że trudno sobie wyobrazić), tym razem, powiadam, Trifonow wróciwszy z targów nie zwrócił podpułkownikowi ani grosza. Stary popędził do kupca. „Nic od pana pułkownika nigdy nie brałem, i gdzieżbym ta mógł co brać od pana pułkownika” - masz odpowiedź. Więc siedzi nasz podpułkownik w domu, głowę rącznikiem owinał, wszystkie trzy kobiety lód mu co chwila do głowy przykładają, nagle wpada goniec z książką i rozkazem: „Zdać natychmiast pieniądze skarbowe, za dwie godziny.” Podpułkownik podpisał - sam oglądałem później ten podpis w książce - wstał, powiedział, że idzie się przebrać, wbiegł do swojej sypialni, wziął dubeltówkę, nabił, zdjął z prawej nogi but, oparł wylot lufy o pierś i nogą począł szukać kurka. A tymczasem Agafia Iwanowna coś przeczuwała, pamiętała moje słowa, podkradła się i w porę podpatrzyła ojca: wdarła się do pokoju, dopadła ojca z tyłu, objęła, dubeltówka wystrzeliła w sufit nikogo nie raniąc. Ani się obejrzał, jak go już wszystkie trzy niewiasty trzymają, odebrały

dubeltówkę, ręce mu skrępowały... Dowiedziałem się później o wszystkim bardzo szczegółowo. Siedziałem wówczas w domu, był już zmierzch, zbierałem się właśnie do wyjścia, ubrałem się, uczesałem, wziąłem czapkę, naperfumowałem chusteczkę, nagle drzwi się otwierają - i przede mną, u mnie w mieszkaniu, stoi Katarzyna Iwanowna.

Zdarzają się dziwne wypadki: nikt jej nie zauważył na ulicy, jak szła do mnie, toteż w mieście dotychczas nikt nic o tym nie wie. Dwie staruszki, u których mieszkałem, wdowy po urzędnikach, usługiwały mi, pocziwiny, i słuchały ślepo we wszystkim, więc na mój rozkaz milczały potem jak zakłète. Oczywiście od razu zmiarkowałem wszystko. Weszła i spojrzała na mnie poważnie swymi ciemnymi oczami, więcej niż poważnie, bo nawet zuchwale. Jednak na ustach i koło ust zauważyłem zmarszczki.

- Siostra mówiła mi, że pan da cztery tysiące pięćset rubli, jeśli... sama przyjdę po nie do pana. Przyszłam... niech pan da pieniądze! - nie wytrzymała, zabrakło jej tchu, złękła się, głos się jej załamał, a kąciki warg i linie koło ust drgnęły. Aloszka, słuchasz mnie czy śpisz?

- Mitia, wiem, że powiesz mi całą prawdę - rzekł ze wzruszeniem Alosza.

- Ależ naturalnie. Chcesz całej prawdy, to słuchaj, nie będę siebie oszczędzał. Pierwsza moja myśl - była karamazowska. Pewnego razu, bracie, ukąsiła mnie tarantula, dwa tygodnie przeleżałem potem w gorączce, i oto w owej chwili czuję nagle, jak tarantula, zły owad, kąsa mi serce, rozumiesz? Zmierzyłem ją wzrokiem. Czyś ty ją widział? Piękna jest przecie. Piękna była w owej chwili, innym pięknem, bo ona była szlachetna, a ja nikczemnik, bo ona była w majestacie swego poświęcenia i ofiary dla ojca, ja zaś pluskwa. I oto ode mnie, człowieka nikczemnego i pluskwy, ona cała zależy, cała, z duszą i ciałem. Cała, jak jest. Ja ci po prostu powiem: ta myśl, myśl tarantuli, tak owładnęła moim sercem, że omal nie wyciekło mi ono z samej tylko męki. Zdawałoby się, że tu nawet żadnej walki być nie może: muszę przecie postąpić jak tarantula, jak pluskwa, bez żadnej litości... Tchu mi nawet zabrakło. Posłuchaj, przecie ja bym, rzecz prosta, pojechał nazajutrz i oświadczył się, żeby to wszystko załatwić, że tak powiem, szlachetnie i żeby nikt się o niczym nie dowiedział i nie mógł dowiedzieć. Bo jestem bądź co bądź człowiekiem, choć podłych namiętności, ale i honoru. I oto nagle ktoś mi jak gdyby szepnął do ucha w tejże sekundzie: „Przecie jutro, jak przyjedziesz, aby się oświadczyć, ona nie tylko nie wyjdzie do ciebie, ale każe stangretowi wyrzucić cię za bramę. Zniesławiaj mnie potem po całym mieście, nie boję się ciebie ani trochę!” Spojrzałem na nią: ów głos nie kłamał, tak na pewno się stanie. Wyrzucą mnie na zbity łeb, czytam to z jej twarzy. Złość mnie porwała, kipi we mnie i oto strzelił mi do głowy najordynarniejszy, świński kramarski figiel: „A co będzie, jeśli tak popatrzę na nią z szyderczym uśmiechem i tonem, jakim tylko subiekci potrafią mówić, powiem: «Cztery tysiączki! Ależ ja żartowałem, cóż pani sobie myśli? Zbyt łatwowiernie, moja panno, obliczyła to sobie pani. Za dwie setki, to i owszem, z największą nawet przyjemnością i ochotą, ale cztery tysiące to nie bagatelka, moja panno, nie można lekkomyślnie szastać takimi pieniędzmi. Daremnie się pani trudziła.»”

Widzisz, ja bym, ma się rozumieć, w ten sposób wszystko stracił: uciekłaby niechybnie, ale wyszłoby to piekielnie mściwie i warto by było znieść wszystkie następstwa tego kroku. Wyłbym potem przez całe życie ze skruchy, tak jest, ale cóż to za rozkosz wypłatać takiego figla! Dasz wiarę, nigdy mi się to nie zdarzało, z żadną kobietą, abym w takiej chwili patrzył na nią z nienawiścią - ale przysięgam: na tę kobietę patrzyłem wówczas przez trzy czy pięć sekund ze straszną nienawiścią - z

taką nienawiścią, którą od miłości, od najbardziej szaleńczej miłości dzieli tylko jeden krok! Podszedłem do okna, przyłożyłem czoło do zamrożonej szyby i pamiętam, że lód palił mi czoło niczym płomień. Nie zatrzymałem jej długo, nie bój się, odwróciłem się, podszedłem do stołu, otworzyłem szufladę, wydobyłem pięcioprocentowy list zastawny na pięć tysięcy rubli, wystawiony na okaziciela (leżał między kartkami francuskiego dykcjonarza). Pokazałem jej w milczeniu, wręczyłem, sam otworzyłem drzwi do sieni i, cofnąwszy się o krok, złożyłem jej bardzo głęboki ukłon, pełen szacunku, doprawdy, wierzaj mi! Ona drgnęła, patrzyła na mnie badawczo przez sekundę, straszliwie zbladła, jak płótno, i naraz, nie mówiąc ani słowa, nie w uniesieniu, lecz tak jakoś miękko, głęboko, spokojnie pochyliła się nisko i padła mi prosto do nóg, dotknęła czołem ziemi, nie jak panna z instytutu, ale po rosyjsku! Zerwała się natychmiast i uciekła. Miałem przy sobie szpadę, wyciągnąłem ją, chciałem się natychmiast przebić; dlaczego, nie wiem - byłoby to strasznym głupstwem, rzecz prosta - ale zapewne z zachwytu. Czy ty pojmujesz, że z podobnego zachwytu można się zabić? Jednak nie zabiłem się, ucałowałem szpadę, włożyłem na powrót do pochwy - czego zresztą nie muszę chyba dodawać. A wiesz, że opowiadając ci wszystko, o tych rozmaitych walkach, rozwodziłem się zanadto, aby siebie pochwalić. Ale niech i tak będzie, i niech diabli porwą wszystkich szpiegów serca ludzkiego! Oto i cała moja stara „historia” z Katarzyną Iwanowną. Teraz więc tylko Iwan wie o tym, no i ty.

Dymitr Fiodorowicz wstał, zrobił kilka kroków: ogromnie wzburzony, wyjął chustkę, otarł pot z czoła, potem usiadł znowu, ale nie tam, gdzie poprzednio siedział, lecz naprzeciw, pod drugą ścianą, wskutek czego Alosza musiał się zupełnie odwrócić.

## V

### **SPOWIEDŹ GORĄCEGO SERCA. «PIĘTAMI DO GÓRY»**

- Teraz - rzekł Alosza - znam już połowę twojej historii.
- Połowę, rozumiem: był to dramat i rozegrał się tam. Połowa zaś to tragedia i zakończy się tutaj.
- Tej połowy zupełnie dotąd nie rozumiem - rzekł Alosza.
- A ja? Czy myślisz, że ja rozumiem?
- Czekaj, Dymitrze, tu jest jedno najważniejsze słowo. Powiedz mi: jesteś przecie narzeczonym, jesteś nim dotychczas?

- Narzeczonym zostałem nie od razu, ale w trzy miesiące po tamtych wypadkach. Nazajutrz po tym wszystkim powiedziałem sobie, że historia jest skończona i skończona naprawdę, że dalszego ciągu nie będzie. Przyjść i oświadczyć się o rękę - to byłaby zbytnia nikczemność. Poza tym i ona przez sześć tygodni, póki nie wyjechała z naszego miasteczka, nie dała o sobie znaku życia. Prawda, było tam jeszcze coś. Nazajutrz po jej wizycie przyszła- cichaczem ich pokojówka i nic nie mówiąc wręczyła mi pakiet. Na pakiecie był adres: do tego a tego. Otwieram - reszta z pięciu tysięcy. Trzeba

było mieć cztery tysiące pięćset, zaś przy wymianie zastawnego listu straciło się przeszło dwieście rubli. Odesłała mi więc, zdaje się, dwieście sześćdziesiąt rubelków, nie pamiętam dokładnie, i nic ponadto, ani słówka, żadnego wyjaśnienia. Szukałem na paczce jakiego bądź znaku ołówkiem - nic absolutnie! Cóż, przepuściłem te ostatki tak hucznie, że nawet nowy major musiał mi wyróżnić reprimendę. A tymczasem podpułkownik przekazał skarbowe pieniądze, wszystko odbyło się w największym porządku ku ogólnemu zdziwieniu, ponieważ wszyscy posądzali go o sprzeniewierzenie. Zaraz potem zaniemógł, leżał trzy tygodnie, przyłączyły się komplikacje, rozmiękczenie mózgu i po pięciu dniach wyzionął ducha. Pochowano go z wojskowymi honorami, pewnie nie zdążył otrzymać dymisji. Katarzyna Iwanowna, siostra jej i ciotka tejże w dziesięć dni po pogrzebie ojca wyruszyły do Moskwy. I oto przed samym wyjazdem, w dniu wyjazdu (nie widziałem się z nimi i nie odprowadzałem) dostałem malutki liścik, błękitny papierek, a na nim tylko jedno zdanie, skreślone ołówkiem: „Napiszę do pana, proszę czekać. K.” I tyle.

Wyjaśnię ci to teraz w dwóch słowach. W Moskwie sprawy ich wzięły nowy obrót z błyskawiczną wprost szybkością i z niespodziankami w stylu bajek arabskich. Generałowa, najbliższa krewna Katarzyny Iwanowny, naraz straciła dwie swoje właściwe spadkobierczynie, najbliższe dwie siostrzenice - obie bowiem w jednym tygodniu umarły na ospę. Zrozpaczona i zmiażdżona tym ciosem, staruszka przyjęła Katię jak rodzoną córkę, jak gwiazdę nadziei, uczepliła się jej, natychmiast zmieniła testament na jej korzyść - to na przyszłość, tymczasem zaś doraźnie, wprost do ręki, dała jej osiemdziesiąt tysięcy - „masz niby posag, rób sobie z nim, co tylko zechcesz”. Histeryczna kobieta, później ją w Moskwie obserwowałem. No i nagle dostaję pocztą cztery tysiące pięćset rubli; rzecz prosta, jestem zdumiony i po prostu osłupiałym ze zdziwienia. W trzy dni potem nadszedł przyrzeczony list. Mam go jeszcze teraz przy sobie, zawsze go noszę i umrę z nim - chcesz, to ci pokażę. Koniecznie przeczytaj: proponuje mi swoją rękę, sama proponuje, „kocham pana bez pamięci, i choćbyś mnie nie kochał - wszystko jedno, bądź tylko moim mężem. Niech się pan nie obawia - nie będę pana krępowała, będę sprzętem pana, będę dywanem, po którym będziesz stąpać... Chcę kochać pana wiecznie, chcę wybawić pana od niego samego...” Alosza, niegodzien jestem nawet powtarzać ci tego listu swymi nikczemnymi ustami i swoim podłym tonem, którego nigdy nie mogłem się pozbyć! Zranił mnie śmiertelnie ów list i czuję jego ostrze do dnia dzisiejszego. I czyż mi teraz lepiej, czy mi lżej? Natychmiast jej wówczas odpisałem (nie mogłem w żaden sposób pojechać do Moskwy). Pisałem łzami i jednej tylko rzeczy wstydzić się będę do końca życia: napomknąłem, że ona jest teraz bogatą, posażną, ja zaś jestem tylko ubogim chamem - o pieniądzech wspomniałem! Nie powinienem był tego pisać, ale wyrwało mi się to spod pióra. Wówczas napisałem bezzwłocznie do Moskwy, do Iwana, wszystko mu wytłumaczyłem, jak umiałem, na sześciu arkuszach i posłałem do niej Iwana. Co tak patrzysz, cóż tak na mnie oczy wytrzeszczasz? No tak, Iwan zakochał się w niej i teraz ją kocha, wiem o tym; palnąłem głupstwo, po waszemu, w opinii świata, ale może to moje głupstwo wszystkich nas teraz uratuje! Och! Czy ty nie widzisz, jak ona go szanuje, jak poważa? Czy ona może, mając nas obu przed sobą, kochać takiego jak ja, i to po tym wszystkim, co tu zaszło!

- Jestem przekonany, że ona kocha takiego jak ty, a nie takiego jak on.

- Ona kocha swoją szlachetność, a nie mnie - mimo woli, ale prawie ze złością rzucił nagle Dymitr Fiodorowicz. Zaśmiał się, lecz po chwili oczy mu błysnęły, zarumienił się po białka i huknął pięścią w stół.

- Przysięgam ci, Alosza - krzyknął ze straszliwym i szczerym przeciw sobie gniewem - wierz albo nie wierz, ale jak Bóg Bogiem, jak Chrystus zbawicielem naszym, przysięgam ci, że ja, choć lekceważąco drwiłem przed chwilą z jej wzniosłych uczuć, wiem jednak, że jestem milion razy mniej wart od niej, że te jej szlachetne uczucia są szczerze jak u anioła z nieba! Na tym polega cała tragedia, że wiem o tym na pewno. Cóż z tego, że człek troszkę deklamuje? Czyż nie deklamuję i teraz? A przecież jestem szczerzy, naprawdę szczerzy. Co się tyczy Iwana, to przecież rozumiem, że on, który ma taką tęgą głowę, musi teraz kląć i pomstować na naturę. Komuż to dano pierwszeństwo przed nim? Potworowi, który już tutaj, będąc oficjalnym narzeczonym, i gdy na niego wszyscy patrzyli, nie mógł się pohamować w uprawianiu rozpusty - i to przy narzeczonej, przy swojej narzeczonej! I oto taki jak ja jest wybrany, a on odpalony. Ale dlaczego? Dlatego że panna przez nadmiar szlachetności chce zadać gwałt swemu życiu i przeznaczeniu! Niedorzeczność! Ja z Iwanem nigdy w tym sensie nie mówiłem. Iwan też, rzecz prosta, ani słówkiem nie wspominał, ale los musi się spełnić, godny stanie u celu, zaś niegodny zaszyje się na wieki w zaułku - w swoim brudnym zaułku, w ulubionym i pasującym do niego zaułku, tam, w bagnie i smrodzie, zginie dobrowolnie i z rozkoszą. Zagalopowałem się cokolwiek, wszystkie moje słowa są wyświechtane, jakbym gadał bez zastanowienia, ale tak się stanie, jak mówiłem. Zaszyję się w zaułku, a ona wyjdzie za Iwana.

- Poczekaj, bracie - przerwał znowu Alosza z niezwykle niepokojem - aleś ty mi jednej rzeczy dotychczas nie wyjaśnił: wszak jesteś narzeczonym, jesteś bądź co bądź narzeczonym? Jakże ty chcesz zerwać, skoro ona, narzeczona, nie chce?

- Jestem narzeczonym, formalnym i pobłogosławionym, zaręczyny odbyły się w Moskwie, po moim przyjeździe, z wielką paradą, z obrazami, jak się patrzy. Generałowa pobłogosławiła i - dasz wiarę? - nawet wieszowała Kati: „Wybrałaś, rzekła, trafnie, widzę go na wylot.” I dasz wiarę, Iwan nie spodobał się jej i nie powieszowała mu. W Moskwie wiele z Katią rozmawiałem, odmalowałem siebie uczciwie, z całą dokładnością i szczerością. Wszystkiego wysłuchała:

*Było miłe zawstydzenie,*

*były także słówka tkliwe...*

Ano, były też i dumne słowa. Musiałem jej przyrzec święcie, że się poprawię. Przyrzekłem. I oto...

- Cóż takiego?

- I oto zawołałem cię i ściągnąłem tu dzisiaj, dzisiejszego dnia - zapamiętaj sobie datę! - żeby cię posłać, i to właśnie dziś jeszcze, do Katarzyny Iwanowny i...

- I co?

- Żebyś jej powiedział, że ja już nigdy do niej nie przyjadę i że kazałem kłaniać się unizenie.

- Ale czyż to możliwe?

- Dlatego właśnie ciebie posyłam, a nie idę sam, bo to niemożliwe. Jakże bym mógł jej to sam powiedzieć?

- A dokąd ty pójdziesz?

- Do zaułka.

- A więc do Gruszeńki! - zawołał z rozpaczą Alosza załamawszy ręce. - Czyżby Rakitin miał naprawdę słusność? A ja myślałem, że ty do niej tak tylko chodziłeś i że już przestałeś.

- Czyż może człowiek zaręczony do niej chodzić? Czy to możliwe, zwłaszcza kiedy się ma taką narzeczoną, i to na oczach wszystkich? Ale ja mam swój honor, bądź spokojny. Skoro zacząłem chodzić do Gruszeńki, od razu przestałem być narzeczonym i człowiekiem honoru, rozumiem to przecież doskonale. Czego się patrzysz? Ja, widzisz, z początku poszedłem do niej, aby ją wytłuc. Wiedziałem i wiem teraz na pewno, że ojciec za pośrednictwem tego sztabskapitana dał Gruszeńce moje weksle, aby podała mnie do sądu. Myślał, że powściągnę galopy i zerwę z nią. Chcieli mnie zastraszyć. Poszedłem tedy wytłuc Gruszeńkę. Widziałem ją już przedtem, przelotnie. Na pierwszy rzut oka nie wywiera piorunującego wrażenia. Wiedziałem również coś niecoś o starym kupcu, który na dobitkę jest teraz obłożnie chory, zostawi jej jednak przed śmiercią ładną sumkę. Wiedziałem także, że ona lubi pieniądze, że pożyczka na straszliwe procenty, spryciara, szelma, bez skrupułów. Poszedłem ją wytłuc, no i zostałem u niej. Rozszalała burza, padł mór, zaraziłem się i dotychczas jestem zarażony, i wiem, że już wszystko skończone, że nic innego już nigdy nie będzie. Dopełniła się miara czasu. Otóż i koniec mojej historii. A wtedy, jakby umyślnie, ja, nędzarz, miałem w kieszeni trzy tysiące. Od razu żeśmy kropnęli się do Mokrego, dwadzieścia pięć wiorst stąd, cygańską kapele sprowadziłem, Cyganki, szampana, wszystkich tamtejszych chłopów poilem szampanem, wszystkie baby i dziewczęta, wydałem huk pieniędzy. Po trzech dniach byłem znowu goły, choć wesoły. Myślisz, że coś uzyskałem? Nawet z daleka nie pokazała. Powiadam ci - jeden ruch. Ma ona, ta Gruszeńka, szelma, taki jeden ruch ciała, nawet w nóżce go widać, nawet w małym paluszku lewej nóżki. Widziałem i całowałem - ale nic więcej, przysięgam! „Chcesz - powiada - to za ciebie wyjdę, choć goły jesteś jak bizun. Powiedz, że bić nie będziesz i że pozwolisz robić, co mi się będzie żywnie podobało, to może i wyjdę” - śmieje się, szelma. I do tej pory się śmieje!

Dymitr Fiodorowicz zerwał się z miejsca z jakąś ledwie hamowaną wściekłością, lecz nagle zatoczył się jak pijany. Oczy zaszyły mu krwią.

- I ty naprawdę chcesz się z nią żenić?

- Jak ona zechce, to natychmiast, a jeżeli nie zechce, to i tak zostanę; będę u niej w domu stróżem. Ty... ty, Alosza - stanął naraz przed nim i ująwszy go za ramiona zaczął trząść z całej siły - czy ty wiesz, mój niewinny chłopcze, że to wszystko majaczenie, nieprawdopodobne majaczenie, bo to tragedia! Dowiedz się, Aleksy, że mogę być nikczemnym człowiekiem, z nikczemnymi i niskimi żądzami, ale złodziejem, złodziejaszkiem kieszonkowym, włamywaczem Dymitr Karamazow nigdy być nie może. Ano dowiedźże się teraz, że właśnie jestem złodziejaszkiem, złodziejem kieszonkowym, włamywaczem! Zanim poszedłem wybić Gruszeńkę, rano tegoż dnia wezwała mnie do siebie Katarzyna Iwanowna i w najgłębszej tajemnicy, aby na razie nikt się nie dowiedział (nie wiem dlaczego, widocznie to było jej potrzebne), prosiła, bym pojechał do sąsiedniego

gubernialnego miasta i stamtąd wysłał pocztą te trzy tysiące Agafii Iwanownie do Moskwy. Dlatego miałem jechać do sąsiedniego miasta, aby w naszym mieście nikt się nie dowiedział. I właśnie z tymi trzema tysiącami znalazłem się u Gruszeńki i z nimi pojechałem wówczas do Mokrego. Potem udawałem przed nią, że wykonałem jej zlecenie, ale pokwitowania z poczty nie dałem jej naturalnie, powiedziałem, że przyniosę, i do tej chwili nie przyniosłem, niby zapomniałem. Teraz, jak myślisz, jeżeli pójdziesz jej powiedzieć: „Kazał kłaniać się”, to ona ciebie zagadnie: „A pieniądze?” Mógłbyś jej jeszcze powiedzieć: „To nikczemny rozpustnik, podła kreatura nie panująca nad swymi popędami. Nie wysłał wówczas pani pieniędzy, sprzeniewierzył je, ponieważ nie mógł się pohamować jak nikczemne bydlę.” Lecz mógłbyś dodać: „Ale jednak złodziejem nie jest, oto owe trzy tysiące, przysyła je z powrotem, niech pani sama prześle je Agafii Iwanownie, i kazał pani się kłaniać.” A wtem ona: „A gdzie pieniądze?” - Mitia, jesteś nieszczęśliwy, tak! Ale nie do takiego stopnia, jak myślisz - nie zadręczaj się rozpaczą, nie zadręczaj!

- A cóż ty sądzisz, że zastrzelę się, jeśli skądś nie wytrzasnę tych trzech tysięcy, żeby jej zwrócić? Właśnie o to chodzi, że się nie zastrzelę. Nie mógłbym teraz, potem - może, ale teraz pójdę do Gruszeńki... Nic mi już nie pomoże.

- A u niej?

- Będę jej mężem, jeśli raczy mnie nim uczynić, a gdy przyjdzie kochanek, wyjdę do drugiego pokoju. Będę czyścił zabłocone kalosze jej przyjaciół, nastawiał samowar, będę u niej na posyłki...

- Katarzyna Iwanowna wszystko zrozumie - rzekł nagle uroczyście Alosza. - Zrozumie całą głębię tej niedoli i pogodzi się z nią. Ona ma wyższy umysł; nie można być bardziej nieszczęśliwym od ciebie, ona to zrozumie.

- Wcale się nie pogodzi - warknął Mitia. - Tu, bracie, jest coś, z czym żadna kobieta się nie pogodzi. A wiesz, co najlepiej zrobić?

- No co?

- Zwrócić jej trzy tysiące.

- Skądże je wziąć? Posłuchaj, ja mam dwa tysiące. Iwan da ci też tysiąc, weź i zwróć jej.

- A kiedyż to one nadejdą, te twoje trzy tysiące? Jesteś jeszcze w dodatku niepełnoletni, a musisz koniecznie, koniecznie jeszcze dziś pożegnać ją ode mnie, z pieniędzmi czy bez pieniędzy, bo ja już dłużej odwlekać tego nie mogę, tak daleko sprawy zaszły. Jutro już będzie za późno. Ja cię poślę do ojca.

- Do ojca?

- Tak, przedtem do ojca. Jego poproś o te trzy tysiące.

- Ależ, Mitia, on nie da.

- Gdzież tam da, wiem, że nie da. Czy wiesz, Aleksy, co to znaczy rozpacz?



- Wiem.

- Posłuchaj: prawnie nic mi nie jest winien. Wszystko już wziąłem, wszystko, wiem sam. Ale moralnie jest mi przecież winien, tak czy nie? Zaczął przecie od dwudziestu ośmiu tysięcy, które odebrał matce, i dorobił się stu tysięcy. Niech mi da tylko trzy tysiące z tych dwudziestu ośmiu, tylko trzy, a moją duszę z piekła wyciągnie i odkupi tym wiele swoich grzechów! Ja zaś na tych trzech tysiącach, daję ci najświętsze słowo, skończę ostatecznie, i nigdy już o mnie więcej nie usłyszysz. Po raz ostatni daję mu możliwość być ojcem. Powiedz mu, że sam Pan Bóg zsyła mu tę sposobność.

- Mitia, on ci za nic nie da.

- Wiem, że nie da, wiem doskonale. A zwłaszcza teraz. Co więcej, wiem jeszcze i to: teraz, w tych dniach, może dopiero wczoraj, dowiedział się po raz pierwszy na serio (możesz podkreślić to słówko), że Gruszeńka może wcale nie żartuje i naprawdę zechce się wydać za mnie. Zna jej charakter, zna tę kotkę. Czyżby więc w dodatku mógł dać pieniądze, aby mi ten krok ułatwić, on, który sam kocha ją bezprzytomnie? Ale i to jeszcze nie wszystko, mogę ci jeszcze więcej powiedzieć: wiem, że już od pięciu dni leżą u niego przygotowane trzy tysiące rubli w banknotach sturublowych, pod pięcioma pieczęciami, w paczce przewiązanej na krzyż czerwoną tasiemeczką. Widzisz, jakie znam szczegóły! Na paczce napis: „Dla mego anioła, Gruszeńki, jeśli zechce przyjść.” Sam nabazgrał, w cichości i tajemnicy, i nikt nie wie, że leżą u niego te pieniądze, nikt prócz lokaja Smierdiakowa, któremu ufa bezgranicznie. Oto już trzeci czy czwarty dzień wypatruje u siebie Gruszeńki, myśli, że ona przyjdzie po paczkę, zawiadomił ją, ona zaś odpowiedziała: „Może i przyjdę.” Otóż jeśli ona przyjdzie do starego, to czy będę się z nią mógł ożenić? Rozumiesz teraz, dlaczego tu siedzę ukryty i czatuję?

- Na nią czatujesz?

- Na nią. Foma wynajmuje komórkę u tych fląder, tutejszych gospodyń. Foma to chłop z naszych stron, były mój żołnierz. Służy tu, po nocach stróżuje, a w dzień poluje na cietrzewie, i z tego tylko żyje. Zaczaiłem się tu u niego; gospodynie nie znają sekretu, to znaczy, nie wiedzą, że ja tu na czatach siedzę.

- Tylko Smierdiaków wie?

- Tylko on. Zawiadomi mnie, kiedy ona przyjdzie do starego.

- To on ci opowiadał o paczce?

- On. W największym sekrecie. Nawet Iwan nic nie wie o niczym. Stary zaś wysłał Iwana na dwa lub trzy dni do Czermaszni: trafił się tam kupiec na las, osiem tysięcy daje, ojciec więc prosił Iwana: „Pomóż mi, proszę cię, jedź sam na dwa, trzy dni.” Nie chce, aby Gruszeńka zastała Iwana.

- A więc i dzisiaj spodziewa się Gruszeńki?

- Nie, dzisiaj ona nie przyjdzie, są znaki. Na pewno nie przyjdzie! - zawołał nagle Mitia. - Smierdiakow też jest tego zdania. Ojciec teraz pije, siedzi przy stole z Iwanem, Idźże, Aleksy, poproś

go o te trzy tysiące...

- Mitia, drogi, co się z tobą dzieje! - zawołał Alosza zrywając się i wpatrując w nieprzytomną twarz Dymitra. Zdawało mu się, że Dymitr postradał zmysły.

- Co ty wygadujesz? Nie jestem obłąkany - odezwał się Dymitr Fiodorowicz patrząc jakoś uważnie, a nawet uroczyście. - Posyłam cię do ojca i wiem, co mówię: wierzę w cud.

- Cud?

- Cud Opatrzności. Bóg czyta w moim sercu. Widzi całą mą rozpacz. On widzi dobrze, co się dzieje. Czy dopuści do tak straszliwej rzeczy? Alosza, ja wierzę w cud, idź!

- Pójdę. Powiedz, czy będziesz tu czekał?

- Będę, rozumiem, że nieprędko przyjdiesz, że nie można tak przyjść i od razu buch! On teraz jest pijany. Będę czekał i trzy godziny, i cztery, i pięć, i sześć, i siedem, ale wiedz, że dziś, choćby nawet o północy, pójdiesz do Katarzyny Iwanowny z pieniędzmi lub bez pieniędzy i powiesz: „Kazał się kłaniać.” Tak właśnie masz powiedzieć: „Kazał się kłaniać.”

- Mitia! A jeżeli raptem Gruszeńka przyjdzie dziś... powiedzmy, nie dziś, jutro albo pojutrze?

- Gruszeńka? Jak zobaczę, wpadnę tam i przeszkodzę...

- A jeżeli...

- A jeżeli, to zabiję. Żywcem nie ujdzie.

- Kogo zabijesz?

- Starego. Jej nie zabiję.

- Bracie, co ty mówisz!

- Nie wiem przecie, nie wiem... Może i nie zabiję, a może zabiję. Boję się, że znienawidzę go nagle w tej chwili, znienawidzę jego twarz. Nienawidzę jego podbródka, jego nosa, jego oczu, jego bezwstydnego szyderstwa. Wstrętem mnie przejmuję. Tego właśnie się boję. A nuż nie pohamuję się.

- Idę już, Mitia. Wierzę, że Bóg obróci wszystko na dobre i uchroni od złego.

- A ja będę siedział i czekał cudu. Ale jeśli się nie spełni, to...

Alosza, głęboko zamyślony, udał się do ojca.

# SMIERDIAKOW

Rzeczywiście zastał jeszcze ojca przy stole. Fiodor Pawłowicz jadł obiad jak zwykle w salonie, chociaż w domu była osobna jadalnia. Salonem zaś był największy pokój, umeblowany ze staroświecką pretensjonalnością. Sprzęty były bardzo stare, białe, z czerwonym półjedwabnym, bardzo zniszczonym obiciem. Między oknami wisały długie zwierciadła, w kunsztownie rzeźbionych staromodnych ramach, również białych ze złoceniami. Na ścianach, pokrytych białą, w wielu już miejscach popękaną tapetą, wisały dwa wielkie portrety: konterfekt jakiegoś księcia, który trzydzieści lat temu był tutejszym generał-gubernatorem, i archijereja, dawno już także spoczywającego w grobie. W poczesnym rogu salonu mieściło się kilka ikon, przed którymi na noc zapalano lampkę... nie tyle z pobożności, ile dla oświetlenia pokoju w nocy. Fiodor Pawłowicz kładł się do łóżka zazwyczaj bardzo późno, o trzeciej, a nawet czwartej nad ranem; przedtem przechadzał się zwykle po pokoju lub siedział w fotelu, pogrążony w zadumie. Taki już miał zwyczaj. Noce spędzał nieraz sam jeden w domu, przeważnie jednak zatrzymywał służącego Smierdiakowa, który w takich razach sypiał w przedpokoju na długiej, niskiej skrzyni.

Kiedy Alosza wszedł, obiad miał się już ku końcowi. Podano właśnie kawę i konfitury. Fiodor Pawłowicz lubił po obiedzie słodczy z koniaczkiem, Iwan Fiodorowicz siedział właśnie przy stole i pił kawę. Obaj służący, Grzegorz i Smierdiakow, stali przy stole. Widać było, że i pan, i lokaje byli w niezwykle wesołych humorach. Fiodor Pawłowicz zanosił się głośnym śmiechem; Alosza już w przedpokoju usłyszał piskliwy, tak dobrze znany śmiech ojca, i z tonu jego zmiarkował, że ojciec nie jest jeszcze pijany, że na razie jest tylko podochocony.

- Otóż i on, otóż i on! - wrzasnął Fiodor Pawłowicz ciesząc się raptem niezmiernie z przyjścia Aloszy. - Przyłącz się do naszego towarzystwa, siadaj, kawy się napijesz - postna, bracie, postna, ale gorąca, wyborna! Koniaczkę nie proponuję, przecie postnik z ciebie, a może chcesz, a może? Nie, ja ci lepiej likierku dam, paluszki lizać! Smierdiakow, skocz no do kredensu, na drugiej półce na prawo, masz klucze, tylko żywo.

Alosza zaczął wymawiać się od likieru.

- Wszystko jedno, niech poda, nie dla ciebie, to dla nas - odrzekł Fiodor Pawłowicz, wciąż rozpromieniony. - Ale poczekaj, czyś ty jadł obiad?

- Jadłem - odpowiedział Alosza, mimo że całym jego dzisiejszym posiłkiem była kromka chleba i szklanka kwasu, którymi uraczono go w kuchni ihumena. - Ale gorącej kawy napiję się z przyjemnością.

- Mój ty najmilejszy! Zuch z ciebie! Kawy się chce napić? Czy nie odgrzać? Chociaż nie, widzę, że kipi. Pyszna kawka, smierdiakowska. Kawa i kulebiak to specjalność Smierdiakowa, a i polewka rybna także, prawdziwy artysta. Przyjdź kiedy na polewkę, ale uprzedź zawczasu... Ale czekaj, czekaj, przecież kazałem ci dziś przeprowadzić się z siennikiem i poduchami? Przyniosłeś siennik? He, he, he!

- Nie, nie przyniosłem - odrzekł z uśmiechem Aleksy.

- Ale zląkłeś się, zląkłeś się przecież, co, zląkłeś się? Ach, mój ty skarbie, czy mógłbym ciebie skrzywdzić? Słuchaj, Iwanie, nie mogę patrzeć, jak on tak w oczy zagłąda i śmieje się, doprawdy nie mogę. Wszystkie bebechy skręcają się ze śmiechu, kocham go jednak! Aloszka, chodź, dam ci błogosławieństwo ojcowskie.

Alosza wstał, lecz Fiodor Iwanowicz zdążył zmienić zamiar.

- Nie, nie, ja cię tylko przeżegnam, o tak, siadaj. Będiesz miał przednią przyjemność, i to na swój temat. Uśmiejesz się. Wyobraź sobie, że oślica Balaama przemówiła, i to jak przemówiła, jest co posłuchać!

Oślicą Balaama okazał się lokaj Smierdiakow. Miał lat dwadzieścia cztery, ale był straszliwym mrukiem i odludkiem. A przecież nie był dziki czy nieśmiały, wręcz przeciwnie, charakter miał pyszałkowaty i mogło się wydawać, że wszystkich ma w pogardzie. Widzę, że muszę właśnie tym razem przemycić o nim słów kilka. Wychowywali go Marfa Ignatiewna i Grzegorz Wasiliewicz, ale chłopak rósł „bez nijakiej wdzięczności”, jak mawiał Grzegorz. Był dzikim chłopcem, spoglądał na wszystkich spode łba. W dzieciństwie ulubionym jego zajęciem było wieszanie kotów, które następnie grzebał z ceremonią. W takich razach owijał się prześcieradłem, które miało zastępować rżę, i nucił machając byle czym nad martwym kotem, naśladując ruchy popa. Czynił to, rzecz prosta, w największej tajemnicy, po kryjomu. Grzegorz nakrył go pewnego razu i boleśnie ukarał różgami. Dzieciak zaszył się w kącie i przez cały tydzień boczył się na wszystkich. „Nie lubi on nas, potwór zatracony, i nikogo nie lubi” - mawiał Grzegorz do Marfy Ignatiewny. „Coś ty za człek? - zwracał się nagle wprost do Smierdiakowa - żaden z ciebie człek, z mokrości powstałeś w łaźni, takiś ty...” Smierdiakow, jak się później okazało, nigdy mu nie mógł tych słów darować. Grzegorz nauczył go czytać i pisać, a kiedy malec miał lat dwanaście, począł go uczyć historii świętej. Ale nie na wiele się to zdało. Któregoś razu, zdaje się, że bodaj na drugiej czy trzeciej lekcji, chłopak uśmiechnął się nagle nad książką.

- Czego się śmiejesz? - zapytał Grzegorz, groźnie patrząc spoza okularów.

- A tak. Światło Pan Bóg stworzył pierwszego dnia, a słońce, księżyc i gwiazdy czwartego. Skądże więc światło świeciło pierwszego dnia?

Grzegorz osłupiał. Chłopak szyderczo spoglądał na nauczyciela. W oczach jego malował się wyraz pewnej wyniosłości. Grzegorz nie wytrzymał. „Ot skąd!” - zawołał i wściekle trzepnął chłopca po twarzy, ów nic nie odrzekł, lecz ponownie zaszył się w kącie na kilka dni. Po tygodniu uległ po raz pierwszy atakowi padaczki, która męczyła go odtąd do końca życia. Dowiedziawszy się o tym, Fiodor Pawłowicz zmienił swój stosunek do podrzutka. Dotychczas odnosił się doń obojętnie, chociaż nigdy go nie beształ i przy spotkaniu dawał mu nawet po kopiejce. Niekiedy zaś, będąc w szczególnie dobrym nastroju, posyłał mu od stołu jaki smakołyk. Ale teraz, dowiedziawszy się o chorobie, zaopiekował się chłopcem, zawezwał lekarza, kazał go nawet kurować, lecz niestety okazało się, że choroba jest nieuleczalna. Przeciętnie ataki zdarzały się raz na miesiąc, ale bardzo nieregularnie. Czasem były lekkie, a czasem wyjątkowo ciężkie. Fiodor Pawłowicz zabronił surowo Grzegorzowi stosowania kary fizycznej, kres położył wszelkiej nauce i kazał wpuszczać malca do pokojów. Pewnego razu zauważył, że chłopak, który już miał podówczas lat piętnaście, kręci się koło szafy z książkami i przez szyby odczytuje tytuły. Książek Fiodor Pawłowicz miał sporo, przeszło

setkę tomów, ale nikt nigdy nie widział go przy lekturze. Widząc zaciekawienie chłopca, wręczył mu zaraz klucz od szafy. „No, czytaj sobie, będziesz bibliotekarzem; jak masz po dworze się włóczyć, to lepiej siadaj i czytaj. Na początek bierz tę książkę” - to mówiąc wyjął z szafy *Wieczory na futorze opodal Dikanki*.

Mały przeczytał, ale snadź nie bardzo mu się podobało, bo ani razu się nie uśmiechnął, owszem, zasepił się nawet kończąc książkę.

- Co? Nie? Nie śmiesz cię? - zapytał Fiodor Pawłowicz.

Smierdiakow milczał.

- Gadaj że, durniu jeden.

- To wszystko nieprawda - wybąkał Smierdiakow z głupim uśmiechem.

- To się wypchaj, lokajska duszo. Poczekaj, masz *Historię powszechną Smaragdowa*, tu już wszystko jest prawdą, czytaj.

Lecz Smierdiakow nie dojechał do dziesiątej stronicy, widocznie nudziła go historia. Dość, że zamknęły się drzwiczki szafy. Niebawem Marfa i Grzegorz donieśli Fiodorowi Pawłowiczowi, że chłopak ni stąd, ni zowąd zrobił się jakiś okropnie wybredny: je zupe, bierze łyżkę, bełta, szuka, przygląda się uważnie, nachyla się, podnosi i bada.

- Pająk czy co? - pyta czasem Grzegorz.

- Chyba mucha - odzywa się Marfa.

Czyścioch nigdy nic nie odpowiadał, ale powtarzał to samo z chlebem, z mięsem, z każdą potrawą: podnosi nieraz kąsek na widelcu, patrzy pod światło, ogląda jakby przez mikroskop i długo medytuje, zanim weźmie do ust. „Widzicie go, jaki paniczyk” - burczał patrząc nań Grzegorz. Fiodor Pawłowicz inaczej zareagował na tę wiadomość, postanowił wykształcić chłopca na kucharza i wysłał go na naukę do Moskwy. Nauka trwała kilka lat. Smierdiakow wrócił ze stolicy bardzo zmieniony na twarzy. Zestarzał się jakoś niezwykle, nieodpowiednio do swych lat, zmarszczył się, żółkł, sprawiał wrażenie trzebieńca. Moralnie zaś nie odmienił się zupełnie: był wciąż tym samym odludkiem i milczkiem i obywał się doskonale bez wszelkiego towarzystwa. Jak się dowiedziano później, nie inaczej zachowywał się w Moskwie; stolica wywarła na nim jakoś wyjątkowo słabe wrażenie, coś tam widział i na tym poprzestał. Był nawet raz jeden w teatrze, lecz wyszedł milcząc, wielce niezadowolony. Ale za to wrócił z Moskwy w przyzwoitym ubraniu, w czystym tużurku i porządnej bieliźnie. Bardzo starannie, zazwyczaj dwa razy w ciągu dnia, czyścił szcztoką ubranie i z niezmiernym upodobaniem smarował swe eleganckie buty specjalną angielską pastą, glansując do lustrzanego połysku. Kucharzem był znakomitym. Fiodor Pawłowicz wyznaczył mu pensję, którą Smierdiakow prawie w całości wydawał na ubranie, pomady, perfumy itd. A jednak płcią piękną zdawał się równie pogardzać jak brzydką, w towarzystwie kobiet zachowywał się niezależnie, statecznie i nawet niedostępnie. Fiodor Pawłowicz interesował się nim z innego jeszcze względu. Chodziło o to, że ataki padaczki zaczęły się coraz częściej powtarzać. W takich razach obiad

przysłała Marfa Ignatiewna ku wielkiemu niezadowoleniu Fiodora Pawłowicza.

- Dlaczego masz teraz częściej ataki? - zapytywał czasem Fiodor Pawłowicz patrząc z ukosa na nowego kucharza. - A może byś się ożenił, co? Chcesz, to cię wyswatam?...

Smierdiakow bladł tylko ze złości i nic nie odpowiadał, Fiodor Pawłowicz odchodził machnąwszy nań ręką. W jego stosunku do Smierdiakowa jedna okoliczność wysuwała się na pierwszy plan: ufał mu bezgranicznie, wierzył, że Smierdiakow cudzego nie weźmie i nie ukradnie. Zdarzyło się bowiem, że raz pewnego Fiodor Pawłowicz, będąc pod dobrą datą, zgubił na własnym podwórzu w błocie trzy sturublowe banknoty, które niedawno przedtem był otrzymał. Stwierdził zaś zgubę dopiero nazajutrz po wytrzeźwieniu i począł nerwowo szperać po kieszeniach; aż tu patrzy, wszystkie trzy banknoty leżą na stole. Skąd? Smierdiakow podniósł je i jeszcze wczoraj przyniósł. „No, bracie, takiego jak ty w życiu jeszcze nie widziałem” - zaopiniował Fiodor Pawłowicz i podarował mu dziesięć rubli. Trzeba dodać, że nie tylko wierzył w uczciwość Smierdiakowa, ale nawet lubił go poniekąd, mimo że ów przeważnie milczał i patrzył na swego dobroczyńcę równie niechętnie jak i na innych ludzi. Rzadko kiedy odzywał się pierwszy. Gdyby komu w takiej chwili przyszło na myśl zapytać patrząc na niego: czym się też ten chłopak interesuje i o czym najczęściej myśli, to naprawdę trudno byłoby orzec z jego wyglądu. A przy tym wszystkim zdarzyło się niekiedy, że w domu, na ulicy czy na podwórzu, zatrzymywał się, zapadał w zadumę i stał tak nieruchomo czasem nawet przez dziesięć minut. Fizjonomista orzekłby, że nie ma w tej twarzy żadnej myśli ani zadumy, że jest tylko jakieś zapatrzenie się. Malarz Kramskoj wymalował wspaniały obraz pod nazwą *Zapatrzony*. Krajobraz zimowy, las, w lesie zaś na ścieżce zabłąkany chłopiec, w podartej odzieży i łapciach, sam jak kołek, stoi jakby zadumany, ale nie myśli o niczym, tylko „zapatrzył się”. Gdyby go trącić, drgnąłby, popatrzał, jakby ze snu zbudzony, nieprzytomnie. Oczmuchnąłby się rychło, to prawda, lecz gdyby go zapytać, o czym myśli, nie umiałby sobie nic przypomnieć, na pewno by jednak zataił owo głębokie wrażenie, które odczuwał przez czas „zapatrzenia się”. Wrażenia owe są mu bardzo drogie, zbiera je z pewnością, nie zdając sobie z tego sprawy, nie wiedząc czemu i po co. Może znienacka, zebrawszy przez wiele lat sporo takich wrażeń, rzuci wszystko i pójdzie jako pątnik do Jerozolimy szukać zbawienia, a może rodzinną wieś puści z dymem, a może zrobi jedno i drugie. Wiele jest takich „zapatrzonych” wśród ludu. Jednym z nich był na pewno Smierdiakow. Zapewne i on gromadził chciwie owe wrażenia, sam jeszcze prawie nie wiedząc, w jakim celu.

## VII KONTROWERSJA

Lecz oślica Balaama nagle przemówiła. Temat był dziwny: Grzegorz, będąc rano za sprawunkami u kupca Łukianowa, dowiedział się od niego ciekawej historii o pewnym żołnierzu rosyjskim, którą podały tego dnia pisma. Żołnierz ów, wzięty gdzieś daleko nad granicą do niewoli przez Azjatów, mimo najstraszliwszych gróźb, nie chciał się wyrzec wiary i poniósł okropną śmierć męczeńską. Sławił i chwalił Chrystusa nawet wtedy, gdy wrogowie darli zeń pasy. Grzegorz powtórzył tę wiadomość obu panom przy stole. Fiodor Pawłowicz lubił i dawniej każdego dnia po

obiedzie przy deserze pośmiać się nieco i pogwarzyć, choćby nawet z Grzegorzem. Dziś zaś był w szczególnie lekkim i przyjemnie wylewnym nastroju. Sącząc koniaczek wysłuchał opowieści Grzegorza i orzekł, że takiego żołnierza należałoby natychmiast ogłosić świętym, zdartą zaś z niego skórę umieścić w jakimś monasterze: „Toż to dopiero nabierałoby się ludzi i grosza.” Grzegorz zjeżył się miarkując, że Fiodor Pawłowicz wcale nie jest rozrzewniony i że jak zwykle zaczyna bluźnić. I oto naraz Smierdiakow, który stał pode drzwiami, uśmiechnął się. Smierdiakow i dawniej bardzo często asystował przy stole, to znaczy pod koniec obiadu. Ale od dnia przyjazdu Iwana Fiodorowicza zjawiał się podczas obiadu prawie codziennie.

- Czego ty się uśmiechasz? - zapytał Fiodor Pawłowicz, od razu zauważywszy uśmiech; zrozumiał, ma się wiedzieć, że ów uśmiech dotyczy Grzegorza.

- A ja właśnie wedle tego - przemówił nagle głośno i niespodziewanie Smierdiakow - że choć bohaterstwo tego chwalonego żołnierza było faktycznie wielkie, to przecież, moim zdaniem, nie byłoby całkiem grzechu, gdyby się wyrzekł imienia na ten przykład Chrystusowego i własnego niby chrztu, a przez to uratowałby swoje życie, aby dobrymi uczynkami okupić chwilową małoduszność.

- Jak to nie byłoby grzechu? - podchwycił Fiodor Pawłowicz. - Łzesz, za takie gadanie będą cię w piekle smażyć jak baraninę.

W tej właśnie chwili wszedł Alosza. Fiodor Pawłowicz, jak już wiemy, niezwykle ucieszył się z jego przyjścia.

- Na twój temat, na twój temat! - chichotał radośnie, sadowiąc Aloszę przy stole.

- Wedle baraniny, to jeszcze wielkie zapytanie, proszę pana, nic mi się stać za to nie może i nie powinno się stać, jeśli faktycznie mówić po sprawiedliwości - odparł statecznie Smierdiakow.

- Jak to po sprawiedliwości? - zawołał jeszcze weselej Fiodor Pawłowicz trącając Aloszę kolanem.

- Podły on jest, ot co! - odezwał się naraz Grzegorz i z gniewem spojrzął wychowankowi prosto w oczy.

- Wedle podłości, to poczekajcie, Grzegorzu Wasiliewiczu - odciął się spokojnie i powściągliwie Smierdiakow - a lepiej weźcie to na rozum i zastanówcie się, Grzegorzu Wasiliewiczu, że jeżeli trafiłem do niewoli katów ludu chrześcijańskiego i jeżeli żądają oni, ażebym przeklął imię Boże i wyparł się chrztu świętego, to jestem do tego odstępstwa upoważniony przez własny rozum, bo i faktycznie żadnego grzechu w tym nie ma.

- Mówiłeś już to, nie rozwlekaj, a daj dowód! - wołał Fiodor Pawłowicz.

- Parzygnat! - szepnął Grzegorz pogardliwie.

- Wedle parzygnata, to też poczekajcie i nie wymyślając zastanówcie się sami, Grzegorzu Wasiliewiczu. No bo, jak tylko powiem do oprawców ludu chrześcijańskiego: „Nie, nie jestem, chrześcijaninem i Boga swego prawdziwego przeklinam”, to od razu najwyższy sąd Boży wyklina

mnie natychmiastowo i specjalnie, i ze świętej Cerkwi wyklina, i staje się jako poganin urodzony. A dzieje się to faktycznie od razu, w oka mgnieniu, prędzej, niż zdążę powiedzieć, niż zdążę pomyśleć, i nie upłynie nawet ćwierć sekundy, jak już jestem wyklęty. Czyż nie tak, Grzegorzu Wasiliewiczu?

Z widocznym zadowoleniem zwracał się do Grzegorza, chociaż odpowiadał jedynie na pytania Fiodora Pawłowicza. Zdawał sobie z tego sprawę; umyślnie się tak zachowywał, jakby to Grzegorz zadawał mu owe pytania.

- Iwan! - zawołał nagle Fiodor Pawłowicz - nachyl się do mego ucha. To on przed tobą tak się popisuje, chce, abys go pochwalił. Pochwal go.

Iwan Fiodorowicz wysłuchał z zupełną powagą wypowiedzianej z zachwytem rady ojca.

- Poczekaj, Smierdiakow, zamilcz na chwilę - zawołał znowu Fiodor Pawłowicz - Iwanie, nachyl się jeszcze raz, bliżej.

Iwan Fiodorowicz znowu się nachylił z najpoważniejszą w świecie miną.

- Kocham cię tak samo jak Aloszkę. Nie myśl, że cię nie kocham. Może koniaczku?

- Proszę.

„A jednak porządnie się wstawił” - pomyślał Iwan Fiodorowicz przyglądając się bacznie ojcu. Smierdiakowa zaś obserwował z niezwykłym zainteresowaniem.

- Jużes i tak przeklęty - zagrzemiał nagle Grzegorz - i jak ty śmiesz potem, nikczemniku, roztrząsać, jeżeli...

- Nie łaj go, Grzegorzu, nie łaj! - przerwał mu Fiodor Pawłowicz.

- Poczekajcie, proszę, Grzegorzu Wasiliewiczu, poczekajcie chwilę i posłuchajcie, bo ja nie skończyłem. Owóż w tej samej chwili, jak Bóg mnie przeklnie, w tej samej chwileczce staje się natychmiast jakby poganinem, a chrzest mój i tak ze mnie spada. Tak przecież jest, nieprawdaż?

- Kończ, bratku, kończ prędzej - nagiął go Fiodor Pawłowicz, smakowicie łyknąwszy z kieliszka.

- A jeśli już nie jestem chrześcijaninem, to pewnikiem nie skłamałem oprawcom, kiedy pytali: „Chrześcijanin jesteś czy nie?”, boć przecie sam Pan Bóg pozbawił mnie wszelkiego chrześcijaństwa z powodu myśli mojej, zanim zdążyłem coś odpowiedzieć oprawcom. A jeżeli już zdegradowany, to w jaki sposób i jakim prawem będą mnie sądzić, na tamtym niby świecie, jako chrześcijanina za to, że wyrzekłem się Chrystusa, skoro za myśl samą, zanim wyrzekłem się Chrystusa, byłem już faktycznie pozbawiony chrztu? Jeśli już nie jestem chrześcijaninem, to nie mogę Pana Jezusa się wyrzec, bo w takim wypadku nie mam się czego wyrzekać. Kto by tam miał złość do Tatarzyna, Grzegorzu Wasiliewiczu, nawet w niebie, że nie urodził się jako chrześcijanin, i kto by go tam za coś takiego karał? A i sam Bóg Wszechmogący, jak się nawet pogniewa na Tatarzyna po jego śmierci, to tak sobie, nie bardzo, i karę mu wymierza najmniejszą (jako że nie można całkiem bez kary), bo nie



Tatarzyn jest winien faktycznie, że urodził się poganinem z pogańskich rodziców. Nie może przecie Pan Bóg wziąć Tatarzyna i mówić o nim, że także był chrześcijaninem. Bo mówiłby kłamstwa wierutne. Ano czy może Bóg Wszechmogący, pan nieba i ziemi, kłamać bodajby jednym najmniejszym słoweczkiem?

Grzegorz w osłupieniu patrzył na mówiącego wytrzeszczonymi oczyma. Chociaż niezupełnie rozumiał, o co chodzi, coś tam nagle z tego gadania zmiarkował; miał minę człowieka, który naraz stuknął łbem o ścianę. Fiodor Pawłowicz wychylił kieliszek do dna i wybuchnął piskliwym chichotem.

- Aloszka, Aloszka, słyszysz? Ach, ty kazuisto! Patrzcie go, u jezuitów był czy co? Ach, ty jezuito śmierdzący, któż to cię tego nauczył? Ale bredzisz, kazuisto, bredzisz i bredzisz. Nie płacz, Grzegorzu, my go w mig zetrzemy na miazgę. Powiedz ty mi, oślico: przypuśćmy, że wobec oprawców masz słuszość, ale przecież ty sam w swoim sercu sprzeniewierzyłeś się swojej wierze, zresztą i sam przecie mówiłeś, że w owej chwili wyklęto cię, a skoro wyklęto, to za to cię w piekło po główce nie pogładzą. A co ty o tym myślisz, nadobny jezuito?

- Nie ma wątpliwości, proszę pana, że sam w sobie wyrzekłem się, ale faktycznie żadnego specjalnego grzechu i tu nie było, a jeżeli był jaki grzeszek, proszę pana, to nader pospolity.

- Jakże to nader pospolity?

- Łzesz, poganinie - syknął Grzegorz.

- Osądźcie sami, Grzegorzu Wasiliewiczu - rezolutnie i spokojnie ciągnął dalej Smierdiakow zdając sobie sprawę ze swego zwycięstwa i szlachetnie oszczędzając pokonanego przeciwnika. - Osądźcie sami, Grzegorzu Wasiliewiczu, przecież napisane jest w samej historii świętej, że jeżeli macie wiarę choćby na tycie ziarenko i mówicie do góry, żeby zeszła do morza, to zejdzie ona, nie zwlekając, na pierwsze wasze wezwanie. Cóż, Grzegorzu Wasiliewiczu, jeżeli ja jestem niewierzący, a wy jesteście faktycznie tak wierzący, że nawet stale mnie besztacie, to spróbujcież sami powiedzieć owej górze, aby (nie powiem, do morza, bo do morza jest stąd daleko), aby, no, do rzeczki naszej cuchnącej zeszła, do tej, co to za ogrodem naszym płynie, a wówczas zobaczycie w tej samej chwili, że ona nie tylko nie zejdzie, lecz będzie stała na dawnym miejscu jak przedtem, nieporuszona, choćbyście nie wiem jak krzyczeli. A to znaczy, że i wy także nie wierzycie, Grzegorzu Wasiliewiczu, jak należy, ale na innych za to pomstujecie. Jeśli zaś zważyć, że nikt, nie tylko wy, Grzegorzu Wasiliewiczu, ale nikt a nikt, od najwyższych osób aż do ostatniego chama, nie potrafi zepchnąć góry do morza, z wyjątkiem chyba jednego człowieka na całej ziemi - jednego albo najwyżej dwóch, którzy w sekrecie wyprasają zbawienia na pustyni egipskiej, i dlatego nikt o nich nie wie - jeżeli tak jest, jeżeli wszyscy inni okazują się niedowiarkami, to czyż tych wszystkich, to znaczy ludność całej ziemi, oprócz tamtych dwóch pustelników, przeklnie Pan Bóg i mimo miłosierdzia swojego, tak znanego i rozślawionego, żadnemu z nich nie odpuści? A przeto i ja tuszę, że choćem wątpił, nie będą jednak policzone mi grzechy moje, jeżeli wyleję łzy skruchy.

- Czekaj! - pisał Fiodor Pawłowicz w najwyższym zachwycie - przyznajesz jednak, że istnieją tacy dwaj, którzy mogą góry przenosić? Iwan, zakarbuuj to sobie w pamięci, zapisz: w tym wyraził się cały rosyjski człowiek!

- Słusznie ojciec zauważył, że to charakterystyczna cecha wiary ludu - zgodził się Iwan Fiodorowicz z pobłażliwym uśmiechem.

- Godzisz się! Jeśli ty się godzisz, to znaczy, że tak jest na pewno. Prawda, Aloszka? Przecie rosyjska wiara jest akurat taka?

- Nie, wiara Smierdiakowa wcale nie jest rosyjska - poważnie i stanowczo odrzekł Alosza.

- Ja nie o wierze jego mówię, ale o tym rysie, o tych dwóch pustelnikach, o tym jednym charakterystycznym rysie: przecie to rys rosyjski, prawdziwie rosyjski?

- Tak, ten rys jest prawdziwie rosyjski - uśmiechnął się Alosza.

- Dukata warte jest twoje słowo, oślisko, i przyślę ci go dzisiaj niechybnie, ale co do reszty, to łżesz, łżesz i basta; wiedz, durniu jeden, że my tu wszyscy przez lekkomyślność tylko nie wierzymy, gdyż nie mamy nawet kiedy: po pierwsze, głowa jest wciąż zaprzątnięta interesami, a po drugie, Bóg nam mało czasu odmierzył, dał nam dzień, który liczy wszystkiego dwadzieścia cztery godziny, nie ma się nawet kiedy wyspać, cóż dopiero kajać! A tyś się wiary swojej wyparł, kiedy nie mogłeś o czymś innym myśleć i kiedy właśnie trzeba było wiarę swoją okazać! A to, bratku, chyba liczy się, tak ja myślę?

- Liczy się, to prawda, ale zastanówcie się sami, Grzegorz Wasiliewiczu, chyba tym lepiej, jeśli się liczy. Przecie gdybym wówczas wierzył w samą prawdę, jak wierzyć należy, to bym istotnie ciężki grzech popełnił, jeślibym się wówczas swojej wiary wyrzekł i na pogańską wiarę Mahometa przeszedł, ażeby się od śmierci męczeńskiej wykręcić. Ale przecież w takim razie nie byłoby faktycznie mowy o mękach, proszę pana, bo wystarczyłoby mi powiedzieć natychmiast owej górze: „Ruszaj i zgnieć oprawcę”, ta ruszyłaby i w jednej chwili zgmiotła go jak pająka, a ja bym sobie poszedł jakby nigdy nic, chwalać Pana. A gdybym to wszystko w tej samej chwili wypróbował i umyślnie krzychał do onej góry: „Zgnieć tych oprawców”, a góra by faktycznie nie zgmiotła, to jakże bym mógł w tej chwili nie zwątpić, zwłaszcza w takiej strasznej godzinie śmiertelnego, wielkiego strachu! I bez tego już wiem, że nie dostąpię królestwa Bożego (bo przecież góra nie ruszyła na mój rozkaz, a więc nie bardzo tam wierzą w moją wiarę i niewielka tam oczekuje mnie nagroda), po cóż, bez wszelkiej dla siebie korzyści, pozwolić z siebie pasy zdzierać? Bo gdyby nawet połowę skóry zdążyli ze mnie zedrzeć, to i wówczas na moje słowo lub krzyk nie ruszy owa góra. W takiej ci to chwili nie tylko zwątpić można, ale nawet ze strachu i rozum postradać, a przeto zastanowienie wszelkie stracić. Więc czy faktycznie zawinię, jeśli, nie widząc ani tu, ani tam dla siebie korzyści czy nagrody, przynajmniej skórę swoją zachowam? Dlatego, ufając miłosierdziu Bożemu, mam nadzieję, że mi wszystkie grzechy moje będą odpuszczone...

## VIII PRZY KONIACZKU

Spór dobiegał końca, ale rzecz dziwna, Fiodor Pawłowicz, tak dotychczas wesoły, pod koniec

raptem się zasepił. Zasepił się i gołnął sobie jeszcze, a było to już o kieliszek za dużo.

- A wynoście mi się, jezuici! - wrzasnął na służących. - Zabieraj się stąd, Smierdiakow. Dziś dam ci obiecane czerwono, ale idź sobie. Nie płacz, Grzegorz, idź do Marfy, ułoży cię, pocieszy. Nie dają mi, kanalie, po obiedzie posiedzieć spokojnie - rzekł opryskliwie, gdy obaj służący wyszli z pokoju. - Smierdiakow tu codziennie przy obiedzie sterczy. To tyś go tak zaciekawił, powiedz mi, czym go tak obłaskawiłeś? - dodał zwracając się do Iwana Fiodorowicza.

- Niczym absolutnie - odparł Iwan. - Nie wiem, co mu strzeliło do głowy otaczać mnie takim respektem. To fagas i cham. Postępowe mięso zresztą, gdy czas nastąpi.

- Postępowe?

- Będą inni, lepsi, ale będą i tacy. Z początku będą tacy, a potem, po nich, lepsi.

- A kiedy czas nastąpi?

- Zapłonie rakietą i nie dopali się może. Na razie nasz lud nie bardzo lubi słuchać takich parzygnatów.

- Właśnie, właśnie, bracie, taka oślica Balaama myśli, myśli i diabli wiedzą, co wymyśli.

- Naciula myśli - rzekł z uśmiechem Iwan.

- Uważasz, wiem doskonale, że on i mnie nie znosi, zresztą tak samo nie znosi innych, i ciebie również, tak, chociaż ci się wydaje, że począł cię „otaczać respektem”. A szczególnie nie cierpi Aloszki. Gardzi nim. Ale nie kradnie, plotek nie roznosi, milczy, kulebiaka znakomicie robi, no i w dodatku jest do wszystkiego, pał go lichem. Ale, doprawdy, czy warto o nim mówić?

- Naturalnie, że nie warto.

- A co się tyczy tego, co on wymyśli, to w ogóle uważam, że rosyjskiego chłopca trzeba bić. Zawsze to twierdziłem. Nasz chłop to krętacz, nie warto go żałować, i całe szczęście, że jeszcze mu się od czasu do czasu i teraz plagi daje. Rosyjska ziemia stoi brzezina, wytną las, to i ziemia przepadnie. Jestem bezwarunkowo za mądrymi ludźmi. Chłopów przestaliśmy bić z wielkiej mądrości, ale oni się sami bić nie przestali. I dobrze robią. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzone będzie, czy jak się tam mówi... Słowem odmierzone będzie. A Rosja - to świństwo. Przyjacielu drogi, gdybyś ty wiedział, jak ja nienawidzę Rosji... to znaczy nie Rosji, ale wszystkich tych świństw... a zresztą może i Rosji. *Tout cela c'est de la cochonnerie.* [5] Wiesz, co ja lubię? Lubię dowcip.

- Znowu ojciec wypił. Już dosyć tego.

- Poczekaj, ja jeszcze jeden kieliszek, i jeszcze jeden, i na tym koniec. Czekał, znowuś mi przerwał. W Mokrem byłem przejazdem, nagabuję starego chłopca, a on mi powiada: „U nas, powiada, z wielką przyjemnością o byle co grzmoci się dziewczuchy; a biją zwykle parobczaki. Przeważnie którą dzisiaj ćwiczy, jutro do ołtarza prowadzi, toteż, powiada, dziewczyniskom to i

poręcznie.” Markizowie de Sade, co? Jak sobie chcesz, ale to wcale dowcipne. A może byśmy tam pojechali i popatrzyli, co? Aloszka, raka spiekłeś? Nie wstydz się, dziecko. Szkoda, że nie zostałem u ihumena na obiedzie, opowiedziałbym katabasom o dziewczkach z Mokrego. Aloszka, nie gniewaj się, mój drogi, zem tego ihumena obraził. Ale mnie, braciszku, złość bierze. Bo jeżeli jest Bóg, jeżeli jest naprawdę, no to faktycznie, jestem winien i za grzechy będę odpowiadał, ale jeżeli wcale Go nie ma, to na cóż nam ci twoi ojcowie? W takim razie głowy im poodrąbywać, a i tego za mało, bo rozwój wszelki hamują. Dasz wiarę, Iwan, że mnie to dotyka do żywego. Nie, nie wierzysz, poznaję to po twoich oczach. Ty tylko wierzysz ludziom, kiedy mówią, że twój ojciec jest błaznem, i nic więcej. Aloszka, czy wierzysz, że jestem nie tylko błaznem?

- Wierzę, że ojciec jest nie tylko błaznem.

- Wierzę ci, że wierzysz naprawdę i że mówisz szczerze. Szczerze ci z oczu patrzy i co masz w sercu, to i na języku. Iwan - nie. Iwan jest zarozumiały... A jednak rozprawiłbym się z twoim monasterkiem. Wziąłbym całą tę mistykę i od razu wyrzuciłbym ją z ziemi rosyjskiej, aby za jednym zamachem wszystkim durniom gęby pozamykać. A ileż by to srebra, ile złota wpłynęło do mennicy!

- A po cóż wyrzucać? - odezwał się Iwan.

- Aby prawda rychlej zapanowała.

- Ale skoro ta prawda zapanuje, to przede wszystkim ojca ograbią, a potem... wyrzucą.

- Otóż to! Właściwie bodaj że masz rację. Ach, co za osioł ze mnie! - zawołał nagle Fiodor Pawłowicz uderzając się z lekka w czoło. - No, to niech sobie tam stoi twój monasterek, Aloszka, jeżeli już tak ma być. A my, mądry ludzie, będziemy siedzieć w ciepłe i koniaczek smakować. Wiesz co, Iwan, prawdopodobnie sam Pan Bóg tak to urządził. Powiedz no: jest Bóg czy Go nie ma? Poczekaj, mów z całą stanowczością, poważnie! Czego się znowu śmiejesz?

- Śmieję się, bo ojciec sam poprzednio zrobił bardzo dowcipną uwagę na temat wiary Smierdiakowa i dwóch starców, którzy potrafią góry przenosić.

- Czy to podobne?

- Bardzo.

- Ano, to ja jestem rdzennie rosyjskim typem i mam cechy rosyjskie, a ciebie, mój filozofie, też można przyłapać na podobnych rzeczach. Chcesz, to złapię. Idźmy o zakład, że jutro złapię. A teraz odpowiedz: jest Bóg czy Go nie ma? Tylko poważnie. Teraz wymagam odpowiedzi!

- Nie, nie ma Boga.

- Aloszka, jest Bóg?

- Jest Bóg.

- Iwan, a nieśmiertelność, powiedzmy, malutka, no, najmniejsza?

- Nie ma nieśmiertelności.

- Żadnej?

- Żadnej.

- To znaczy absolutne zero albo nicość. A może jest jakaś ociupinka? Przecież chyba nie nicość!

- Kompletne zero.

- Aloszka, jest nieśmiertelność?

- Jest.

- I Bóg, i nieśmiertelność?

- I Bóg, i nieśmiertelność. W Bogu właśnie nieśmiertelność.

- Hm! Prawdopodobnie Iwan ma słuszość. Boże, pomyśleć tylko, ile to wiary, ile wszystkich sił potracił człowiek nadaremnie na to marzenie, i to od tylu tysięcy lat! Kto sobie tak pokpiwa z człowieka? Iwan! Po raz ostatni i stanowczo: jest Bóg czy nie ma? Po raz ostatni!

- I po raz ostatni odpowiadam: nie ma.

- Któż sobie pokpiwa z ludzi, Iwanie?

- Diabeł zapewne - uśmiechnął się Iwan Fiodorowicz.

- A diabeł jest?

- Nie, diabła też nie ma.

- Szkoda. Do licha, cóż bym zrobił z tym, który pierwszy Boga wymyślił! Powiesiłbym go na suchej gałęzi, a i tego za mało.

- Gdyby nie wymyślono Boga, nie byłoby w ogóle cywilizacji.

- Nie byłoby? Bez Boga nie byłoby?

- Tak. I koniaczku też by nie było. A koniak trzeba będzie, chcąc nie chcąc, sprzątnąć ze stołu.

- Poczekaj, poczekaj, poczekaj, mój drogi, jeszcze jeden kieliszeczek. Obraziłem Aloszkę. Nie gniewasz się na mnie?... Mój ty kochany Aloszka, mój ty najdroższy!

- Nie, nie gniewam się. Znam myśli ojca. Serce ojca jest lepsze od głowy.

- Moje serce jest lepsze od głowy? Boże, i któż to mówi? Iwan, czy kochasz Aloszkę?

- Kocham.

- Kochaj go - (Fiodor Pawłowicz był już mocno podchmielony). - Słuchaj, Aloszka, postąpiłem po grubiańsku z twoim starcem. Ale byłem wzburzony. A wiesz, że twój starzec ma dowcip, cóż ty o tym myślisz, Iwanie?

- Może i ma.

- Tak, tak, *il y a du Piron l'ŕ-dedans*. [6] To jezuita - rosyjski, rozumie się. Jako szlachetna jednostka, dręczy się i gniewa zapewne, że musi udawać... robić z siebie świątko.

- Przecież wierzy w Boga.

- Nic podobnego. Nie wiedziałeś o tym? Przecie on to sam wszystkim mówi bez ogródek, nie wszystkim, rzecz prosta, ale wszystkim mądrym ludziom, którzy go odwiedzają. Gubernatorowi Szulcowi powiedział wręcz: „*Credo*, ale nie wiem w co.”

- Czyżby?

- Ależ tak. Lecz ja go szanuję. Ma w sobie coś z Mefistofelesa albo raczej z *Bohatera naszych czasów*... Arsenin, czy jak go tam... to znaczy, uważasz, lubieżnik z niego. Taki z niego lubieżnik, że nie byłbym i teraz pewny córki swojej ani żony, gdyby poszła do niego do spowiedzi. Wiesz, jak ci zacnie opowiadać... Trzy lata temu zaprosił nas do siebie na herbatkę, z likierkiem naturalnie (paniusie mu likierku dostarczają), jak zaczął nas zabawiać, tośmy się śmieli do rozpuku... Trzeba ci było słyszeć, jak pewną chorą niewiastę uzdrowił: „Gdyby mnie nogi nie bolały - rzekł - to bym wam tu wywinął taki jeden taniec.” Co, jak ci się podoba? „W życiu swoim nabroiłem niemało.” A Demidowowi, wiesz, temu kupcowi, ściągnął sześćdziesiąt tysięcy.

- Jak to - ukradł?!

- Ten przywiózł, jako do poczciwego człeka: „Schowaj, bratku - rzekł - jutro jest u mnie rewizja.” A tamten schował. „Tyś przecież - powiada - na cerkiew ofiarował.” Ja mu na to: „Łajdak jesteś” - powiadam. „Nie - powiada - nie łajdak, lecz szeroka natura...” A zresztą, to nie on... To kto inny. Poplątało mi się... nie zauważyłem nawet. No, jeszcze kieliszeczek, i dosyć będzie. Zabierz butelczynę, Iwan. Zmyślałem, czemuś mnie nie powstrzymał, Iwan... i nie powiedział, że zmyślam?

- Wiedziałem, że ojciec sam się powstrzyma.

- Zawracanie głowy, ty tak mówisz ze złości, tak, jesteś na mnie cięty. Gardzisz mną. Przyjechałeś do mnie i w moim domu mną pogardzasz.

- Toteż wyjadę; na ojca koniak podziałał.

- Prosiłem cię, na miłość Boga, abys do Czermaszni pojechał... na dzień, na dwa, a ty nie jedziesz.

- Jutro pojedę, skoro ojciec tak nalega.

- Nie pojedziesz. Chciałbyś mnie podglądać, o to ci chodzi, zła duszo, ty dlatego nie jedziesz!

Nie chciał się uspokoić. Doszedł do takiego stanu podchmienienia, kiedy nawet najłagodniejszy człowiek musi zrobić awanturę i postawić na swoim.

- Co tak patrzysz? Jakie ty oczy robisz? Oczy twoje patrzą na mnie i powiadają: „Pijana mordą.” Podejrzliwe są twoje oczy, pogardliwe... Tyś, bracie, tu przyjechał nie bez kozery, szpakami jesteś karmiony. Patrzy Aloszka i oczy mu błyszczą. Alosza mną nie gardzi. Aleksy, nie kochaj Iwana...

- Nie gniewaj się, ojcze, na niego! Przestań go obrażać - rzekł Alosza stanowczym głosem.

- No cóż, ja nic. Ach, głowa mnie boli! Sprzątnij koniak, Iwan, po raz trzeci to mówię. - Zamyślił się i naraz uśmiechnął się długim, przebiegłym uśmiechem. - Nie gniewaj się, Iwan, na starego mazgaja. Wiem, że mnie nie kochasz, ale nie gniewaj się. Nie ma mnie za co kochać. Pojedziesz do Czermaszni, a ja do ciebie przyjadę i podarunek przywiozę. Pokażę ci tam jedną dziewczynkę, dawno już zwróciłem na nią uwagę. Jeszcze z niej kopciuszek. Ale nie bój się kopciuszków, nie gardź nimi - to perełki!

Cmoknął własną rękę.

- Dla mnie - ożywił się nagle, jak gdyby otrzeźwiał na chwilę, wpadłszy na swój ulubiony temat - dla mnie... Ach, chłopcy! Dzieciaki, prosiaki wy malutkie, dla mnie... przez całe moje życie nie było brzydkiej niewiasty, oto moja zasada! Czy potrafcie to zrozumieć? Gdzież tam: w waszych żyłach jeszcze mleczko zamiast krwi krąży, nie wykluliście się jeszcze! Wedle mojej zasady, w każdej niewieście można znaleźć coś niezwykłego, niech to diabli, coś ciekawego, czego może żadna inna nie ma - ale trzeba umieć to znajdować, w tym cała sztuka! To talent! Dla mnie nie było brzydkich: już to samo, że jest kobietą, już to połowa wszystkiego... ale co wy tam rozumiecie! Nawet stare panny, nawet w starych pannach znaleźć można czasem coś takiego, że z podziwu wyjść nie można, jakie to durnie ci samcy, że pozwolili jej się zestarzeć i dotychczas nie zauważyli! Kopciuszka i brzydką trzeba najsampierw zadziwić - ot jak, bracie, trzeba się do nich zabierać. A tyś nie wiedział? Trzeba ją zadziwić, do zachwytu, do zawstydenia, że w takim kopciuszku jak ona zakochał się taki pan. Najlepsze to, że zawsze są i będą chamy i panowie, że wtedy zawsze będzie taki kopciuszek i jej pan; a nic innego przecież do szczęścia nie trzeba! Poczekaj... słuchaj, Aloszka, ja twoją matkę nieboszczkę tak zadziwiałem zawsze, ale w innym sensie. Zdarzało się, że nic, tygodniami jej nie popieszczę, a tu naraz taka chwila nadejdzie - naraz cały się przed nią rozpląwam, buch do nóg, u stóp jej się tarzam, nóżki całuję i doprowadzam ją zawsze - pamiętam jakby to dziś było - do takiego maleńkiego śmieszku, dźwięcznego, niegłośnego, nerwowego, do takiego osobliwego śmieszku. Nigdy inaczej się nie śmiała. Wiem, że tak się u niej zaczyna atak, że jutro będzie się miotać i wić, i pisać, i że ten spazm obecny, słabiutki, nie wyraża żadnego zachwytu, no tak, ale chociaż to złudzenie, to jednak zawsze - zachwyty. Ot, co znaczy umieć znajdować we wszystkim właściwy rys! Pewnego razu Bielawski - był tu taki gładzysz i bogacz - zaczął się za nią włóczyć i do domu nawet zaglądać. Nagle u mnie w domu wyciął mi policzek siarczysty, i to w jej obecności. I wyobraźcie sobie, taka niby trusia - myślałem, że mnie zabije za ten policzek; wpada ci na mnie: „Ty - powiada - teraz jesteś spoliczkowany, spoliczkowany, on cię spoliczkował! Czy wiesz - powiada - że mnie jemu chcieli sprzedać... I jak on śmiał cię uderzyć w mojej obecności! Nie waż się do mnie przychodzić, nigdy, nigdy! Natychmiast biegnij i wyzwij go na pojedynek...” Ja ją

wtenczas zawiozłem do monasteru, żeby się uspokoiła; ojcowie nad nią odmawiali modlitwy. Ale Bogiem się świadczę, Alosza, że nigdy nie krzywdziłem mojej „opętanej”! Jeden raz tylko, może raz jeden, pierwszego roku: modliła się już wtedy bardzo wiele... przestrzegąca świąt, zwłaszcza Matki Boskiej, i odpędzała mnie stale od siebie wypychając do gabinetu. Myślę sobie: „Wypłoszę z niej tę całą mistykę!” „Widzisz, powiadam, widzisz, biorę twój obraz, o, zdejmuję go ze ściany: patrzajże, ty go masz za cudowny, a ja zaraz w twojej obecności plunę na niego i nic mi się za to nie stanie!...” Jak zobaczyła: Mój Boże, myślę sobie, zabije mnie teraz, ani chybi zabije, lecz ona tylko zerwała się z miejsca, załamała ręce, zakryła nagle twarz rękoma, zatrzęsała się cała i rymnęła na podłogę jak długa... Alosza, Alosza! Co ci jest?

Stary skoczył przerażony. Od chwili gdy zaczął mówić o nieboszczce żonie, Alosza coraz bardziej zmieniał się na twarzy. Spasował, oczy mu pałały, wargi zatrzęśły się... Pijany starzec bryzgał śliną i nic nie widział, dopóki z Aloszą nie zaczęło się raptem dziać coś bardzo dziwnego, właśnie jota w jotę to samo, co wtedy z nieszczęsną „opętaną”. Chłopak nagle zerwał się z miejsca, zupełnie tak samo jak ongi, według słów ojca, jego matka, załamała ręce, potem zakrył nimi twarz, opadł jak podcięty na krzesło i zatrzęsał się od histerycznego bezgłośnego łkania. Fiodora Pawłowicza uderzyło przede wszystkim jego niezwykle podobieństwo do matki.

- Iwan! Iwan! Prędeż, wody mu daj. Zupełnie jak ona, kubek w kubek jak ona, jak wówczas jego matka! Nabierz wody do ust i pryśnij na niego, ja tak ją trzeźwiłem. On za matkę swoją, za matkę... - mamrotał do Iwana.

- Przecież jego matka to i moja, sądzę, jak ojciec myśli? - krzyknął z niepohamowanym gniewem i pogardą Iwan. Stary dostrzegł nagły błysk w jego oczach i zadrżał. I oto wyszła na jaw rzecz bardzo dziwna, chociaż co prawda chwilowa: stary istotnie utracił na chwilę świadomość, że matka Aloszy była również matką Iwana...

- Jak to twoja matka? - wybąkał, niewiele rozumiejąc. - Co mówisz? Za jaką matkę?... Czyżby ona... Ach, do kaduka! No, braciszku, to zaćmienie, nigdy mi się nie zdarzało, wybaczone, a ja myślałem... He, he, he!

Urwał. Przeciąwszy, pijacki, na pół bezmyślny uśmiech rozsiadł się na jego twarzy. I oto naraz, w tej chwili z przedpokoju doszedł straszliwy zgiełk, dobiegły dzikie krzyki, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Dymitr Fiodorowicz. Stary przypadł do Iwana, straszliwie przerażony:

- Zabije, zabije! Broń mnie, broń mnie! - krzyczał wpijając się palcami w połą jego surduta.

## IX LUBIEŹNICY

Za Dymitrem Fiodorowiczem wdarli się do pokoju Grzegorz i Smierdiakow. Oni to przed chwilą szamotali się z nim w przedpokoju, nie chcąc go wpuścić na skutek wyraźnego zakazu Fiodora



Pawłowicza, wydanego kilka dni przedtem. Dymitr zatrzymał się na chwilę, aby rozejrzeć się wokoło. Grzegorz wyzyskał tę krótką chwilę, okrążył stół, zamknął oba skrzydła przeciwległych drzwi, prowadzących do dalszych pokojów, i stanął przed nimi ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, gotowy bronić wejścia do ostatniej, jak to się mówi, kropli krwi. Na ten widok Dymitr wrzasnął, a raczej jakoś pisnął i wpadł na Grzegorza.

- A więc ona jest tam. Tam ją schowali! Precz, łajdaku!

Szarpnął starego, ale ów odepchnął go od siebie. Nie posiadając się z wściekłości, Dymitr zamierzył się i z całej siły uderzył Grzegorza. Starzec runął jak podcięty, Dymitr zaś skoczył przez niego do drzwi. Smierdiakow stał na drugim końcu pokoju; blady i drżący, przywarł do Fiodora Pawłowicza.

- Ona tu jest! - krzyczał Dymitr Fiodorowicz. - Widziałem na własne oczy, jak skręciła ku domowi, lecz nie mogłem jej dogonić. Gdzie ona jest? Gdzie?

Okrzyk ów „ona tu jest” wywarł niezwykle wrażenie na Fiodorze Pawłowiczu. Cały jego przestach jak gdyby momentalnie wywietrzał.

- Trzymaj go, trzymaj go! - wrzasnął i skoczył za Dymitrem Fiodorowiczem.

Grzegorz tymczasem podniósł się z podłogi, ale był jeszcze mocno oszołomiony. Iwan Fiodorowicz i Alosza pobiegli za ojcem. W trzecim pokoju rozległ się brzęk tłuczonego szkła: to Dymitr strącił w biegu szklaną wazę, niezbyt kosztowną, stojącą na marmurowej podstawie.

- Łapaj go! - ryczał starzec. - Policja!

Iwan Fiodorowicz i Alosza dopadli wreszcie starego i przemocą wciągnęli z powrotem do pokoju.

- Czego ojciec pędzi za nim! Jeszcze gotów ojca naprawdę zabić! - ofuknął go gniewnie Iwan Fiodorowicz.

- Wanieczka, Loszczeczka, więc ona jest tutaj, Gruszeńka jest tutaj: na własne oczy, powiada, widział, jak przemknęła...

Zachłysnął się. Nie oczekiwał teraz Gruszeńki, i naraz ta wiadomość, że ona jest tu, w domu, pozbawiła go nieledwie przytomności. Drżał od stóp do głów, robił wrażenie obłąkanego.

- Ale ojciec sam widział, że nie weszła! - wołał Iwan.

- A może tamtym wejściem?

- Zamknięte jest tamto wejście i ojciec sam ma klucz...

W tej chwili wrócił Dymitr. Istotnie stwierdził, że drugie wejście jest zamknięte na klucz, który leżał w kieszeni Fiodora Pawłowicza. Wszystkie okna domu były również szczelnie zamknięte: zatem

Gruszeńka nie mogła tu wejść żadną miarą ani też z powrotem wyskoczyć.

- Trzymaj go! - pisnął Fiodor Pawłowicz na widok Dymitra. - On mi z sypialni pieniądze ukradł!

Wyrwał się z rąk Iwana i rzucił się na Dymitra. Ów zaś podniósł obie ręce i nagle pochwycił starego za dwa ostatnie kosmyki, ocalałe na skroniach, szarpnął go za nie do góry i z całych sił grzmotnął o podłogę. Zdążył jeszcze ze dwa czy trzy razy kopnąć leżącego w twarz. Fiodor Pawłowicz przeraźliwie stęknął. Iwan Fiodorowicz, chociaż słabszy od brata, objął go wpół i z całej siły oderwał od ojca. Alosza pomógł mu, chwyciwszy Dymitra z tyłu.

- Szaleńcze, zabiłeś go! - krzyknął Iwan.

- Dobrze mu tak! - zawołał bez tchu Dymitr. - Jak teraz nie zabiłem, to jeszcze wrócę, aby zabić. Nie upilnujecie!

- Dymitr! Precz stąd w tej chwili! - krzyknął rozkazującym tonem Alosza.

- Aleksy! Powiedz mi ty, tobie tylko uwierzę: była tu czy nie? Widziałem ją na własne oczy, jak czmychnęła koło płotu w tę stronę. Wołałem, lecz uciekła...

- Przysięgam ci, że jej tu nie było i że nikt się jej tu nie spodziewał!

- Ale ja ją widziałem... To znaczy, że ona... Zaraz się dowiem, gdzie jest... Żegnaj, Aleksy! O pieniądzach teraz już nie mów z tym diabłem, tylko biegnij do Katarzyny Iwanowny natychmiast i koniecznie: „kłaniać się kazał, kłaniać”. Właśnie kłaniać, kłaniać jak najniżej! Opisz jej tę scenę!

Tymczasem Iwan i Grzegorz podnieśli starego i usadowili go w fotelu. Twarz miał zakrwawioną, ale był przytomny i chciwie słuchał krzyków Dymitra. Zdawało mu się wciąż, że Gruszeńka rzeczywiście jest tu gdzieś w domu. Dymitr Fiodorowicz odchodząc zmierzył go nienawistnym spojrzeniem:

- Nie żałuję, zem krew twoją przelał! - zawołał - strzeż się, stary, pilnuj swego marzenia, bo i ja mam marzenie! Przeklinam cię i wyrzekam się ciebie na zawsze. .

Wybiegł z pokoju.

- Ona jest tutaj, na pewno jest tutaj! Smierdiakow, Smierdiakow - rzeźił ledwo słyszalnym głosem Fiodor Pawłowicz, przyzywając Smierdiakowa palcem.

- Nie ma jej tu, nie ma, szalony starcze! - krzyknął ze złością Iwan. - Zemdlął! Wody, ręcznik! Ruszaj się, Smierdiakow!

Smierdiakow wybiegł po wodę. Starego wreszcie rozebrano, zaniesiono do sypialni i ułożono na łóżku. Głowę obwiązano mu mokrym ręcznikiem. Zmęczony koniakiem, silnymi wrażeniami, osłabiony pobiciem, oparłszy głowę na poduszce, zamknął oczy i od razu zasnął. Iwan Fiodorowicz i Alosza wrócili do pokoju. Smierdiakow wynosił szczątki stłuczonej wazy, Grzegorz zaś stał przy

stole, posępnie zapatrzony.

- Przydałoby się i tobie zrobić zimne okłady i położyć się do łóżka - zwrócił się Alosza do Grzegorza. - My tu będziemy czuwać; brat mój bardzo mocno cię uderzył... w głowę.
- Ośmielił się na mnie rękę podnieść! - ponuro i dobitnie odezwał się Grzegorz.
- On i na ojca ośmielił się, nie tylko na ciebie! - odrzekł z grymasem Iwan Fiodorowicz.
- Ja go w niecce kąpałem... a on ośmielił się na mnie rękę podnieść! - powtarzał Grzegorz.
- Do diaska, gdybym go nie był oderwał, zabiłby go może. Niewiele trzeba temu staremu diabłu - szepnął Iwan Fiodorowicz do Aloszy.
- Uchowaj Boże! - zawołał Alosza.
- Dlaczego uchowaj? - ciągnął dalej szeptem Iwan, złośliwie wykrzywiając twarz. - Jeden gad pożre drugiego, dobrze im tak.

Alosza wzdrygnął się.

- Ja, rozumie się, nie dopuszczę do morderstwa, tak jak i teraz nie dopuściłem. Zostań tu, Alosza, wyjdę trochę na podwórze, głowa mnie boli.

Alosza wrócił do sypialni i przesiedział koło wezgłowia za zasłoną blisko godzinę. Wtem Fiodor Pawłowicz otworzył oczy i długo patrzył na Aloszę, snadź przypominając sobie coś i skupiając myśli. W pewnej chwili niezwykle wzburzenie odbiło się na jego twarzy.

- Alosza - szepnął niespokojnie - gdzie Iwan?
- Na dworze, głowa go boli. On nas pilnuje.
- Podaj mi lusterko, tam stoi, podaj!

Alosza podał mu małe, okrągłe, składane lusterko, które stało na komodzie. Starzec przyjrzał się sobie: nos mocno spuchnięty, a na czole nad lewą brwią duży brązowy siniak.

- Co mówi Iwan? Alosza, drogi, jedyny mój synu, boję się Iwana, boję się bardziej niż tamtego. Tylko ciebie jednego się nie boję.
- Niech się ojciec nie boi Iwana. Iwan gniewa się, ale obroni ojca.
- Alosza, a tamten? Do Gruszeńki pobiegł! Drogi aniele mój, powiedz prawdę: była Gruszeńka czy nie?
- Nikt jej nie widział. To nieprawda, nie była!

- Mitka chce się z nią ożenić, ożenić!

- Ona za niego nie pójdzie.

- Nie pójdzie, nie pójdzie, nie pójdzie, nie pójdzie, za nic nie pójdzie!... - radośnie zatrząsł się starzec, jak gdyby nic nad to przyjemniejszego nie mógł w tej chwili usłyszeć. W zachwycie złapał rękę Aloszy i mocno przycisnął ją do serca. Nawet łzy zakręciły mu się w oczach. - A ten obrazek Bogarodzicy, ten, o którym mówiłem poprzednio, możesz sobie wziąć i zabrać. I do monasteru pozwalam ci wrócić... to były tylko żarty, nie gniewaj się. Głowa mnie boli, Alosza... Losza, ukój me serce, bądź aniołem, powiedz prawdę!

- Ojciec znowu o tym; była czy nie była? - zapytał z goryczą Alosza.

- Nie, nie, nie, wierzę ci, ale widzisz: idź sam do Gruszeńki albo zobacz się z nią w inny sposób: wypytaj co rychlej, czym prędzej, domyśl się sam, staraj się rozpoznać: kogo ona chce, mnie czy jego? Co? Jak? Możesz czy nie?

- Jak ją zobaczę, to zapytam - wyjąkał Alosza, wielce zakłopotany.

- Nie, ona ci nie powie - przerwał starzec. - To bałamutka. Ona cię zacznie całować i powie, że za ciebie chce się wydać. To kłamczucha, bezwstydnica, nie, ty nie możesz iść do niej, nie możesz!

- Niedobrze byłoby, ojcze, niedobrze, bardzo niedobrze.

- Dokądże on cię posyłał wczoraj, krzyczał „idź”, jak stąd uciekał?

- Do Katarzyny Iwanowny.

- Po pieniądze? Prosić o pieniądze?

- Nie, nie po pieniądze.

- On pieniędzy nie ma, ani grosza. Słuchaj, Aleksy, poleżę sobie przez noc i wszystko to obmyślę, a ty tymczasem idź. Może i ją spotkasz... Ale przyjdź do mnie jutro rano, koniecznie. Jutro ci jedno słówko powiem, przyjdziesz?

- Przyjdę.

- Jak przyjdiesz, to udawaj, że z własnej woli, żeś przyszedł mnie odwiedzić. Nie mów nikomu, że cię wzywałem. Iwanowi ani słówka.

- Dobrze.

- Żegnaj, aniele, ująłeś się za mną, do grobu ci tego nie zapomnę. Jutro ci jedno słówko powiem... tylko muszę jeszcze przemyśleć...

- A jak się ojciec teraz czuje?

- Jutro już, jutro wstanę i pójdę, będę zdrow, zupełnie zdrow, zupełnie zdrow!...

Przechodząc przez podwórze, Alosza natknął się na Iwana. Siedział na ławce przy bramie i zapisywał coś ołówkiem w notatniku. Alosza oznajmił mu, że stary obudził się zupełnie przytomny i pozwolił mu wrócić na noc do monasteru.

- Alosza, bardzo chętnie spotkałbym się z tobą jutro rano - rzekł Iwan, podnosząc się, z serdecznością, która zaskoczyła Aloszę.

- Jutro będę u pani Chochłakow - odpowiedział Alosza. - Będę może też jutro u Katarzyny Iwanowny, o ile jej dziś nie zastanę...

- A teraz idziesz jednak do Katarzyny Iwanowny? A więc „kłaniać się, kłaniać się kazał”? - rzekł z nagłym uśmiechem Iwan.

Alosza zmieszał się.

- Zdaje się, że zrozumiałem te okrzyki Dymitra, no i chyba coś jeszcze. Dymitr zapewne prosił cię, abys poszedł do niej i powiedział, że on... no... no... słowem, że się „kłania”?

- Bracie! Czymże się skończy ta straszna zwada ojca z Dymitrem? - zawołał Alosza.

- Nie można orzec na pewno. Może na niczym, może się rozplynie. Ta kobieta to zwierz. W każdym razie trzeba trzymać starego w domu. Dymitra zaś nie wpuszczać.

- Bracie, pozwól, że cię jeszcze o coś zapytam: czy istotnie każdy człowiek ma prawo zapytać patrząc na innych ludzi: który z nich godzien jest żyć, a który niegodzien?

- Po cóż wtrącać do tego zagadnienia kwestię godności? W sercach ludzkich pytania tego rodzaju rozstrzygają się nie na podstawie godności, lecz na innych podstawach, o wiele naturalniejszych. Co się zaś tyczy prawa, to któż nie ma prawa pragnąć czegokolwiek?

- Ale przecież nie czyjej śmierci?

- A choćby nawet śmierci? Po co się okłamywać, kiedy wszyscy ludzie tak żyją, a nawet nie mogą żyć inaczej. Pijesz do mego powiedzenia „o gadach, które się nawzajem pożrą”? Pozwól wobec tego, że cię zapytam: czy sądzisz, że i ja jestem zdolny, podobnie jak Dymitr, przelać krew tego starego diabła, powiedzmy, zabić go, co?

- Co mówisz, Iwan! Nigdy mi to przez myśl nie przeszło! Nie uważam też, aby Dymitr...

- Dziękuję ci za to - uśmiechnął się Iwan. - Wiedz, że zawsze będę go bronił. Ale pragnieniom swoim zostawiam w danym wypadku zupełną swobodę. Do widzenia! Do jutra! Nie potępiaj mnie i nie patrz na mnie jak na złoczyńcę - dodał z uśmiechem.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, jak nigdy jeszcze dotychczas. Alosza poczuł, że brat jego uczynił pierwszy krok ku zbliżeniu i że zrobił to nie bez kozery, mając jakiś określony zamiar.

## X OBIE RAZEM

Alosza wyszedł jednak od ojca przygnębiony bardziej niż wtedy, kiedy wchodził do ojcowskiego domu. Myśli jego także były jak gdyby rozproszone, jednocześnie zaś czuł, że lęka się je skupić i boi się wyciągnąć ogólny wniosek ze wszystkich dręczących go sprzeczności, jakich doświadczył w ciągu dnia. Ten stan graniczył prawie z desperacją, której serce jego nigdy jeszcze dotąd nie zaznało. Nad wszystkim górowało główne, fatalne i nie rozstrzygnięte pytanie: czym skończy się kłótnia ojca i Dymitra o tę straszną kobietę? Teraz Alosza już sam był świadkiem. Sam był przy tym obecny i widział ich, jak stali naprzeciw siebie oko w oko. Zresztą nieszczęśliwym, ostatecznie i straszliwie nieszczęśliwym mógł tu być tylko Dymitr: to na niego czyhało niechybne nieszczęście. Wyłoniły się przy tym inne osoby, których wszystko to dotyczyło, może nawet o wiele bardziej, niż to się mogło przedtem Aloszy wydawać. Wyłaniała się nawet jakaś zagadka. Iwan uczynił pierwszy krok ku zbliżeniu. Alosza pragnął tego od tak dawna, a jednak przejęło go to jakimś lękiem. Poza tym te kobiety? Rzecz dziwna: przedtem szedł do Katarzyny Iwanowny z niezwykłym zakłopotaniem, teraz zaś zakłopotanie minęło; owszem spieszył do niej, jak gdyby spodziewał się znaleźć u niej rozwiązanie zagadki. A przecież miał teraz znacznie trudniejsze zlecenie: sprawa trzech tysięcy była ostatecznie rozstrzygnięta, toteż Dymitr, czując się teraz odarty z wszelkiej nadziei, oczywiście nie cofnie się już przed żadnym upadkiem. Na domiar kazał jeszcze powtórzyć Katarzynie Iwanownie scenę, która się rozegrała w domu ojca.

Była już siódma i zmierzch zapadał, kiedy Alosza wszedł do Katarzyny Iwanowny. Katarzyna Iwanowna zajmowała w naszym mieście przestronny i bardzo wygodny dom przy ulicy Wielkiej. Alosza wiedział, że Katarzyna Iwanowna mieszka z dwiema ciotkami. Jedna z nich była zresztą tylko ciotką siostry Katarzyny Iwanowny, Agafii; była to potulna, zahukana istota, która, wraz z siostrą doglądała ją po przyjeździe z instytutu w domu podpułkownika. Druga zaś ciotka była to dystygowana i dostojna, choć zubożała moskiewska pani. Powiadane, że obie kobiety ulegały we wszystkim woli Katarzyny Iwanowny i bawiły przy niej jedynie dla zachowania etykiety. Katarzyna Iwanowna zaś zdawała sprawę ze swych czynności wyłącznie swojej dobrodziejce, generałowej, która z powodu choroby została w Moskwie i do której pisywała dwa razy w tygodniu obszernie listy z najdrobniejszymi szczegółami o sobie.

Kiedy Alosza wszedł do przedpokoju i kazał się zaanonsować pokojówce, która otworzyła mu drzwi, w salonie wiedziano już o jego przyjeździe (może zauważono go przez okno). W tej chwili usłyszał jakiś szmer, szelest spódnic, odgłos szybkich kroków, jak gdyby dwie lub trzy kobiety wybiegły z pokoju. Zdziwiło go bardzo, że jego przybycie może wywołać takie zamieszanie. Wprowadzono go jednak niezwłocznie do salonu. Był to obszerny pokój, zastawiony eleganckimi, ozdobnymi meblami bynajmniej nie w stylu prowincjonalnym. Było tu mnóstwo kanap i sof, kanapek, małych i większych stolików; na ścianach wisały obrazy, na stołach stały wazy i lampy, wszędzie pełno było kwiatów, a pod oknem nawet akwarium. O tej godzinie było tu trochę ciemno. Alosza zauważył na kanapie, na której zapewne przed chwilą ktoś siedział, porzuconą jedwabną mantylę, a

na stole przed kanapą dwie nie dopite filiżanki czekolady, biszkopty, czarne rodzyunki na kryształowym talerzyku i cukierki na drugim. Ktoś widać był z wizytą. Alosza domyślił się, że trafił na gości, i skrzywił się. Lecz w tejże chwili uniosła się portiera i do pokoju szybkim krokiem weszła Katarzyna Iwanowna, z zachwyconym i radosnym uśmiechem wyciągając do Aloszy obie ręce. Jednocześnie służąca postawiła na stole dwie zapalone świece.

- Dzięki Bogu, nareszcie pan przyszedł! Cały dzień modliłam się do Boga, aby mi zesłał pana! Niechże pan siada.

Uroda Katarzyny Iwanowny uderzyła już Aloszę, gdy był tu po raz pierwszy, trzy tygodnie temu, kiedy przybył z Dymitrem, który chciał go przedstawić narzeczonej. Podobno sama Katarzyna Iwanowna bardzo tego pragnęła. Rozmowa wówczas zresztą niezbyt się kleiła. Katarzyna Iwanowna myślała, że Alosza jest bardzo skonfundowany, chcąc zatem go jak gdyby oszczędzić, zwracała się prawie wyłącznie do Dymitra Fiodorowicza. Alosza milczał, ale wiele zauważył. Uderzyła go zwłaszcza władczość, dumna swoboda, pewność siebie wyniosłej dziewczyny. Nie było to złudzenie. Alosza zdawał sobie sprawę, że nie przesadza. Stwierdził, że ogromne, czarne, płomienne jej oczy są piękne i wspaniale harmonizują z bladą, jak gdyby nawet nieco śniadą, pociągłą twarzą. Ale w tych oczach, a także w rysunku cudownych ust było coś, w czym brat jego mógł się naturalnie zakochać do szaleństwa, czego jednak chyba nie można było długo kochać. Alosza wypowiedział tę myśl swoją szczerze, skoro Dymitr po wizycie zaczął się natarczywie wypytywać o jego wrażenie.

- Będiesz z nią szczęśliwy, ale może... to będzie niespokojne szczęście.

- Tak, tak, bracie, takie kobiety nie zmieniają się. One się przed losem nie ukorzą. A więc myślisz, że nie będę jej kochał wiecznie?

- Nie, może ją będziesz wiecznie kochał, ale może nie będziesz z nią zawsze szczęśliwy...

Alosza powiedział to i poczerwieniał i w ogóle wyrzucał sobie z gniewem, że uległ prośbom brata i wypowiedział takie „głupie” myśli. Albowiem mniemanie jego, ledwo je wyrzekł, wydawało mu się wyjątkowo głupie. Zresztą wstyd mu było tak arbitralnie odzywać się o kobietach. Jakże się zdziwił teraz i zawstydził, gdy od pierwszego wejrzenia stwierdził, że twarz Katarzyny Iwanowny zadaje kłam jego ówczesnej ocenie. Tym razem promieniała niekłamaną, prostoduszną dobrocią, prostą i żarliwą szczerością. Z dawnej „dumy i wyniosłości”, która wówczas tak silne wrażenie wywarła na Aloszy, została teraz tylko śmiała, szlachetna energia i jakaś jasna, potężna wiara we własne siły. Alosza zrozumiał od pierwszego wejrzenia, z pierwszych jej słów, że cały tragizm jej sytuacji w stosunku do tak ukochanego człowieka nie jest dla niej tajemnicą, że może wie już ona o wszystkim, o wszystkim bez wyjątku. A jednak biła od niej taka jasność, taka wiara w przyszłość! Alosza poczuł, że wobec niej poważnie i świadomie zawinił. Zdobyła go i przejednała od razu. Zauważył też po pierwszych jej słowach, że jest niezwykle podniecona, bliska niemal jakiegoś jak gdyby zachwytu.

- Dlatego tak na pana czekałam, że tylko od pana mogę teraz dowiedzieć się całej prawdy - od nikogo innego!

- Przyszedłem... - wybąkał zmieszany Alosza - ja... on mnie tu wysłał...

- Ach, to on pana przysłał, o tak, przeczuwałam to. Teraz wszystko wiem, wszystko! - zawołała Katarzyna Iwanowna i oczy jej nagle zabłysły. - Chwileczkę, Aleksy Fiodorowiczu, powiem panu przedtem, dlaczego tak pana wypatrywałam. Widzi pan, wiem może o wiele więcej niż pan; nie chodzi mi o wiadomości. Chodzi mi o to: muszę wiedzieć, jakie jest pana własne, osobiste, ostatnie wrażenie co do niego; chodzi mi o to, aby pan mi powiedział najbardziej bezpośrednio, bez upiększeń, nawet brutalnie (o, nawet najbrutalniej!), co pan myśli o nim i o jego sytuacji po dzisiejszym z nim spotkaniu. Będzie to może lepiej, niż gdybym rozmówiła się z nim osobiście, tym bardziej że on nie chce mnie już widzieć. Rozumie pan, czego od pana chcę? Teraz niech mi pan powie, co on panu kazał powiedzieć (wiedziałam, że pana przyśle), proszę, niech pan mówi, bez ogródek, niech pan powie ostatnie słowo!...

- Kazał pani... kłaniać się i powiedział, że już nigdy nie przyjdzie... i pani nisko się kłaniać.

- Kłaniać się? Tak właśnie powiedział, tak się właśnie wyraził ?

- Tak.

- A może przypadkiem, mimo woli, omylił się, użył tego słowa nierozmyślnie, bez zastanowienia?

- Nie, kazał mi właśnie powtórzyć słowo „kłaniać się”. Prosił ze trzy razy, abym nie zapomniał powtórzyć dokładnie.

Katarzyna Iwanowna oblała się rumieńcem.

- Niech mi pan teraz pomoże, Aleksy Fiodorowiczu, teraz właśnie potrzeba mi pańskiej pomocy: powiem panu, co myślę, a pan tylko odpowie, czy słusznie. Niech pan posłucha. Gdyby mi się kazał kłaniać mimochodem, nie przywiązując do tego wagi, żeby pan powtórzył to słowo, nie podkreślając tego słowa, wówczas byłoby wszystko... Wszystko byłoby skończone! Ale jeżeli specjalnie kładł nacisk na to słowo, jeżeli szczególnie polecił panu oddać mi ten ukłon - to znaczy, że był wzburzony, może nie panował nad sobą. Zdecydował się i zląkł się swojej decyzji! Nie odszedł ode mnie twardym krokiem, lecz zleciał z góry. Podkreślenie tego słowa świadczy tylko o brawurze...

- Tak, tak! - potwierdził z zapalem Alosza - i mnie się to samo wydaje.

- A jeżeli tak jest w istocie, to znaczy, że on jeszcze nie jest zgubiony! Jest w rozpacz, ale ja mogę go jeszcze uratować. Niech pan poczeka: czy nie mówił panu o pieniądzach, o trzech tysiącach?

- Nie tylko mówił, ale to chyba najbardziej go gnębi. Powiedział, że teraz stracił honor i że mu już wszystko jedno - odpowiedział z zapalem Alosza czując, jak nadzieja zaczyna wstępować w jego serce. Może istotnie znajdzie się jakieś wyjście i ratunek dla brata? - Ale czy podobna, aby pani wiedziała... o tych pieniądzach? - dodał i raptownie urwał.

- Wiem od dawna i wiem dokładnie. Wysłałam do Moskwy telegram z zapytaniem i wiem od dawna, że nie przekazał pieniędzy. Nie posłał, lecz ja milczałam. W zeszłym tygodniu dowiedziałam



się, jak były mu i są jeszcze potrzebne pieniądze... Wytknęłam sobie jedyny cel: chcę, żeby wiedział, do kogo ma wrócić i kto jest jego najwierniejszym przyjacielem. Nie, on nie chce wierzyć, że jestem jego najwierniejszym przyjacielem, nie chciał mnie zrozumieć, patrzy na mnie wyłącznie jak na kobietę. Przez cały tydzień gnębiła mnie straszliwa troska: jak by to zrobić, aby nie musiał się mnie wstydić z powodu sprzeniewierzenia tych trzech tysięcy? A raczej niechaj się wstydzi wszystkich i siebie, tylko nie mnie. Przecież Bogu wszystko wyznaje, bynajmniej się nie wstydząc. Dlaczego jeszcze dotąd nie wie, ile jestem gotowa znieść dla niego? Dlaczego, dlaczego nie chce mnie znać i jak śmie nie znać mnie po tym wszystkim, co między nami zaszło? Chcę go uratować na wieki. Niech zapomni o mnie jako o swojej narzeczonej! Boi się zobaczyć ze mną, dlatego że stracił honor! Ale panu, Aleksy Fiodorowiczu, nie bał się zwierzyć! Czemuż to ja dotąd nie zasłużyłam na to?

Ostatnie słowa powiedziała przez łzy, które nagle trysnęły jej z oczu.

- Muszę pani opowiedzieć - odezwał się również drżącym głosem Alosza - o tym, co zaszło między nim a ojcem.

Opowiedział całą scenę. Dodał, że Dymitr posłał go do ojca po pieniądze, ale że następnie sam wtargnął do domu, pobił ojca, po czym jeszcze raz z naciskiem kazał mu iść do niej i „kłaniać się”... - Poszedł do tej kobiety... - zakończył cicho Alosza.

- A pan myśli, że ja tej kobiety nie zniosę? On myśli, że ja jej nie zniosę? Ale on się z nią nie ożeni - roześmiała się naraz nerwowo. - Czy Karamazow może pałać taką namiętnością wiecznie? To namiętność, a nie miłość. On się nie ożeni, ponieważ ona wcale za niego nie wyjdzie... - uśmiechnęła się znowu dziwnie Katarzyna Iwanowna.

- A może się ożeni - odrzekł smutnie Alosza spuszczać oczy.

- Nie ożeni się, powiadam panu! Ta dziewczyna - to anioł, czy pan wie? Czy pan wie? - zawołała nagle z niezwykłą żarliwością Katarzyna Iwanowna. - To najfantastyczniejsza z fantastycznych istot! Wiem, jaka jest czarująca, ale wiem też, jaka dobra, stanowcza i szlachetna. Co pan tak na mnie patrzy, Aleksy Fiodorowiczu? Może to pana dziwi, może pan nie wierzy? Agrafieno Aleksandrowno, aniele mój! - zawołała naraz do kogoś, patrząc w stronę przyległego pokoju - niech pani do nas przyjdzie, to kochany człowiek, to Alosza, on wie o wszystkich naszych sprawach, niechże mu się pani pokaże!

- A ja właśnie czekałam za portierą, że mnie pani zawoła - rozległ się miękki, nawet trochę ckliwy głos kobiecy.

Portiera uniosła się i... sama Gruszeńka, roześmiana i uradowana, podeszła do stołu. Alosza poczuł, że coś go targnęło za serce. Wlepił w nią oczy i nie mógł ich oderwać. To była ta okropna kobieta, „zwierz”, jak pół godziny temu wyrwało się Iwanowi. A jednak przed nim stała, zdawałoby się, najzwyklejsza na pozór i najprostsza istota - dobra, miła kobieta, powiedzmy, piękna, ale tak podobna do wszystkich innych pięknych, lecz „zwyczajnych” kobiet! To prawda, że była bardzo piękna, bardzo nawet - rosyjska piękność, dla której tak wielu traci głowę. Dość wysoka, trochę jednak niższa od Katarzyny Iwanowny (ta była zdecydowanie wysoka), pełna, dorodna, o ruchach miękkich, jakby bezszelestnych, jakby tak samo rozleniwionych aż do jakiejś sztucznej słodyczy jak

jej głos. Podeszła - nie jak Katarzyna Iwanowna, mocnym, rześkim krokiem - lecz przeciwnie, całkiem bezszelestnie. Kroków jej wcale nie było słychać. Miętko osunęła się na krzesło, miętko zaszeleściła swą wspaniałą, czarną, jedwabną suknią, pieśczośliwym ruchem otulając białą, pełną szyję i szerokie ramiona kosztownym, ciemnym wełnianym szalem. Miała dwadzieścia dwa lata i właśnie na tyle wyglądała. Cera jej była biała, z delikatnym bladoróżowym rumieńcem. Owal twarzy był jak gdyby za szeroki, a dolna szczęka nieco wystająca. Górna warga była cienka, dolna zaś nieco wysunięta, dwakroć pełniejsza, i jakby lekko nabrzmiała. Ale piękne, bujne ciemnoblonde włosy, ciemne sobolowe brwi i prześliczne szarobłękitne oczy o długich rzęsach zmusiłyby na pewno nawet najobojętniejszego i najbardziej roztargnionego człowieka, przeciskającego się wśród zbitej ciżby, by się nagle zatrzymał, zdumiony, i zachował je na długo w pamięci. Aloszę najbardziej zdumiał dziecięcy, szczery wyraz jej twarzy. Patrzyła jak dziecko, cieszyła się wszystkim jak dziecko, podeszła właśnie do stołu „ciesząc się” i jakby spodziewając się czegoś niezwykłego z dziecięcym, niecierpliwym i ufnyim zaciekawieniem. Spojrzenie jej radowało serce - Alosza doświadczył tego po sobie. Było w niej coś jeszcze, z czego nie mógł i nie umiałby sobie zdać sprawy, ale co podziało nieświadomie i na niego, mianowicie owa miękkość, delikatność ruchów, ich kocia niedosłyszalność. A przecież było to ciało jędrne i obfite. Pod szalem odznaczały się szerokie, pełne ramiona, wysoka, jeszcze bardzo dziewczęca pierś. To ciało zapowiadało może kształty Wenus Milońskiej, zarysowujące się nawet już teraz w nieco przesadzonej proporcji. Znawcy niewieściej urody Rosjanek mogliby nieomylnie przepowiedzieć, patrząc na Gruszeńkę, że ta świeża, jeszcze dziewczęca piękność straci koło trzydziestki harmonię, rozleje się i że rysy jej twarzy zgrubieją, że bardzo prędko pojawią się zmarszczki dokoła oczu i na czole, że cera zbrzydnie, że wystąpią może plamy - słowem, że to piękność chwilowa, piękność przelotna, która jest tak częstym zjawiskiem u Rosjanek. Alosza oczywiście nie myślał o tym; i chociaż był oczarowany, jak gdyby z jakimś żalem, z przykrością zadawał sobie pytanie: „Dlaczego ona tak przeciąga słowa i nie potrafi mówić naturalnie?” Zapewne dopatrywała się osobliwego wdzięku w takim przeciąganiu zgłosek i dźwięków i w tej słodkiej intonacji. Było to naturalnie złe przyzwyczajenie, w jak najgorszym tonie, świadczące o złym wychowaniu, o wulgarnie od dzieciństwa pojętej dystynkcji. Jednak ta wymowa i intonacja słów wydawały się Aloszy jakimś jak gdyby niemożliwym przeciwieństwem dziecięco szczerego i radosnego wyrazu twarzy, tego szczęśliwego jak u dziecka, spokojnego, promiennego spojrzenia. Katarzyna Iwanowna szybko posadziła Gruszeńkę w fotelu naprzeciw Aloszy i z zachwytem pocałowała ją kilkakrotnie w roześmiane wargi. Była jak gdyby w niej zakochana.

- Widzimy się po raz pierwszy, Aleksy Fiodorowiczu - odezwała się z upojeniem. - Chciałam ją poznać, zobaczyć, chciałam pójść do niej, ale ona na pierwsze moje życzenie przyszła sama. Wiedziałam, że we dwie rozstrzygniemy wszystko, wszystko! Tak moje serce przeczuwało... Proszono mnie, abym zaniechała tego zamiaru, ale ja przeczuwałam, że to się na dobre obróci, i nie zawiodłam się. Gruszeńka wszystko mi wyjaśniła, wszystkie swoje zamiary: niby anioł dobry sfrunęła do mnie i przyniosła pokój i radość...

- Nie pogardziła mną kochana, dobra pani - śpiewnie rzekła Gruszeńka wciąż z miłym, radosnym uśmiechem.

- Zabraniam używać takich słów, uroczą czarodziejko! Gardzić panią? Jeszcze raz pocałuję panią w dolną wargę. Wygląda, jakby była lekko spuchnięta, a będzie jeszcze bardziej spuchnięta, jeszcze, jeszcze... Niech pan popatrzy, Aleksy Fiodorowiczu, jak ona się śmieje, serce się raduje, gdy

spojrzeć na tego anioła...

Alosza rumienił się i drżał niedostrzegalnie.

- Pieścisz mnie, miła panienko, a może wcale nie jestem warta twoich pieścizot.

- Niewarta! Ona niewarta! - wołała wciąż z tym samym zapalem Katarzyna Iwanowna. - Niech pan wie, Aleksy Fiodorowiczu, że mamy fantastyczną główkę, że mamy swawolne, kapryśne, ale dumne, wyniosłe serduszko! To wdzięczna, Aleksy Fiodorowiczu, wspaniałomyślna natura, czy wie pan o tym? Była tylko nieszczęśliwą dziewczynką. Zbyt pochopnie zdecydowała się na każdą ofiarę dla niegodziwego czy może lekkomyślnego człowieka. Był jeden jedyny, także oficer, pokochała go, wszystko poświęciła, dawno już temu, pięć lat będzie, a on o niej zapomniał i z inną się ożenił. Teraz owdowiał, napisał list, przyjeżdża tu - i proszę sobie zapamiętać, że tylko jego, jego jedynego kocha dotąd i kochała całe życie! Przyjedzie i Gruszeńka znowu będzie szczęśliwa, a przez te pięć lat była bardzo nieszczęśliwa. Ale któż ją potępi, kto może przechwalać się, że zdobył jej względy! Jeden tylko starzec bez nogi, kupiec - ale on był raczej ojcem, przyjacielem, opiekunem. On zastał ją wtedy w rozpacz, w cierpieniach, porzuconą przez tego, którego tak kochała... przecie wtedy chciała się utopić, przecie ów starzec ją uratował, uratował!

- Nazbyt mnie pani broni, miła panienko, nazbyt mnie pani rozpieszcza - śpiewnie rzekła znowu Gruszeńka.

- Bronię? Czyż ja mogę bronić, czy śmiałabym bronić? Gruszeńka, mój aniele, niech mi pani da swoją rączkę: proszę popatrzeć na tę pulchniutką, drobnusią, śliczną rączkę, Aleksy Fiodorowiczu; widzi ją pan? ona mi szczęście przyniosła i wskrzesiła mnie, będę ją zaraz całować, i z góry, i w dłoń, tak, tak i tak.

Trzykrotnie jakby w upojeniu pocałowała istotnie śliczną, zbyt może pulchną rączkę. Gruszeńka z nerwowym, dźwięcznym, ślicznym śmieszkiem przypatrywała się, jak „miła panienska” całuje jej rękę. Prawdopodobnie sprawiało jej to wielką przyjemność. „Może to zbyt przesadna egzaltacja” - przemknęło przez myśl Aloszy. Zarumienił się. Przez cały ten czas czuł w sercu jakiś szczególny niepokój.

- Niech mnie pani nie zawstydz, miła panienko, całując moją rączkę wobec Aleksego Fiodorowicza.

- Czy chciałam panią tym zawstydzić? - zapytała, nieco zdziwiona, Katarzyna Iwanowna - ach, moja miła, jak mnie pani źle rozumie!

- Pani mnie może wcale nie rozumie jak trzeba, miła panienko, ja może jestem o wiele gorsza, niż to się pani zdaje. Serce mam złe, jestem samowolna. Ja biednego Dymitra Fiodorowicza wówczas dla śmiechu zbałamuciłam.

- Ale za to teraz go pani uratuje. Dała pani słowo. Pani mu otworzy oczy, pani mu wyzna, że kocha innego, od dawna, człowieka, który teraz chce panią poślubić...

- Ach, nie dawałam pani na to słowa. To pani sama wciąż mi mówiła, lecz ja nie dawałam słowa.

- A więc źle panią rozumiałam - cicho powiedziała Katarzyna Iwanowna, jak gdyby blednąc z lekka. - Pani przyrzekła...

- Ach nie, anielska panienko, nic pani nie przyrzekałam - spokojnie i miarowo, wciąż z tym samym niewinnym wyrazem, przerwała jej Gruszeńka. - Teraz widać, wielmożna panienko, jaka ja wobec pani jestem zła i kapryśna. Co zechcę, to i robię. Może nawet i przyrzekłam co pierwej, ale teraz myślę sobie znowu: a nuż on mi się znowu spodoba, ten Mitia - już raz mi się przecie podobał, z godzinę mi się podobał. Może ja teraz pójdę i powiem mu zaraz, żeby już u mnie od dzisiaj został... Taka jestem niestała.

- Przedtem, mówiła pani... zupełnie co innego... - ledwo szepnęła Katarzyna Iwanowna.

- Ach, przedtem! Serce mam delikatne, głupie. Bo pomyśleć tylko, ile on przeze mnie wycierpiał! I nagle do domu wrócę i żal mi go będzie - to co wtedy?

- Nie spodziewałam się...

- Ach, panienko, jaka pani dobra, szlachetna w porównaniu ze mną. Teraz może przestanie pani mnie kochać, taką głupią, za mój charakter. Niech mi pani poda swoją rączkę, panienko anielska - prosiła tkliwie i jak gdyby z nabożeństwem ujęła dłoń Katarzyny Iwanowny. - Wezmę ja, panienko miła, twoją rączkę i pocałuję tak, jak pani pocałowała moją. Pani ją trzy razy pocałowała, a ja, żeby się skwitować, musiałabym ze trzysta razy pocałować. Niech już tak będzie, a potem, co Bóg da, może będę niewolnicą pani i będę słuchać jak niewolnica. Jak Bóg zechce, tak niech będzie, bez żadnych między nami umów i obietnic. Jaka ta rączka, jaka milusia rączka! Panienko moja miła, śliczności moje najpiękniejsze!

Wolno podniosła tę rączkę do ust, co prawda z dziwnym zamiarem: aby „skwitować” pocałunki. Katarzyna Iwanowna nie cofnęła ręki: z nieśmiałą nadzieją słuchała ostatniego, chociaż też dość dziwnie wyrażonego przyrzeczenia Gruszeńki: że może będzie jej słuchać „jak niewolnica”; z natężeniem zaglądała jej w oczy: widziała w nich wciąż ten sam szczerzy, ufny wyraz, tę samą pogodną wesołość... „Ona może jest tylko bardzo naiwna” - myślała z otuchą w sercu Katarzyna Iwanowna. Tymczasem Gruszeńka, jak gdyby zachwycając się „miłą rączką”, powoli podnosiła ją do ust, lecz tuż przy ustach nagle zatrzymała się na dwie czy trzy sekundy, jak gdyby się nad czymś zastanawiając.

- A wie pani co, mój aniele - rzekła naraz śpiewnie najczulszym, najśłodszy głośnikiem. - Wie pani co: wzięłam pani rączkę, ale jej nie pocałuję.

I roześmiała się cichym, wesołym śmieszkiem.

- Jak pani chce... Co się pani stało? - wzdrygnęła się nagle Katarzyna Iwanowna.

- Niechże to pani zachowa sobie na pamiątkę, że pani moją rączkę całowała, a ja pani nie. -

Oczy jej zabłyśły nagle. Ze straszną uwagą spoglądała na Katarzynę Iwanownę.

- Bezczelna! - rzekła nagle Katarzyna Iwanowna, jakby dopiero teraz zrozumiała. Zarumieniła się i zerwała z miejsca. Gruszeńka nie spiesząc się wstała również.

- A ja zaraz opowiem Miti, jak to pani całowała moją rączkę, a ja pani wcale nie pocałowałam. To się dopiero uśmieje!

- Łajdaczko, wynoś się!

- Ach, jak brzydko mówić takie słowa, ach, jaki wstyd, nie przystoi panience tak mówić, panienko moja miła.

- Wynoś się stąd, dziewczko przedajna! - zawołała Katarzyna Iwanowna. Każdy rys jej twarzy drżał z oburzenia.

- Zaraz przedajna. Sama panienka biegała o zmroku do kawalerów urodę swoją sprzedawać za pieniądze, czy ja nie wiem.

Katarzyna Iwanowna krzyknęła: chciała przyskoczyć do Gruszeńki, lecz Alosza z całych sił ją powstrzymał.

- Ani słowa, ani kroku! Niech pani nic nie mówi, niech pani nie odpowiada, ona odejdzie, zaraz odejdzie!

W tej chwili, na krzyk Katarzyny Iwanowny, wbiegły do pokoju obie jej krewne i służąca. Wszystkie podbiegły ku Katarzynie Iwanownie.

- Odejdę, a jakże - odrzekła Gruszeńka chwytając mantylę z kanapy - Alosza, kochany, odprowadźże mnie!

- Niech pani idzie, prędzej, prędzej! - błagał ją.

- Kochany Aloszeńka, odprowadź mnie! Ja ci po drodze jedno dobre słóweczko powiem! To ja dla ciebie, Aloszeńka, tę scenę urządziłam. Odprowadź, kochasiu, będziesz później rad.

Alosza odwrócił się załamując ręce. Gruszeńka z dźwięcznym śmiechem wybiegła z domu.

Katarzyna Iwanowna dostała ataku histerycznego. Łkała, spazmy ją dusiły. Wszyscy się koło niej krzatali.

- Uprzedzałam cię - mówiła starsza ciotka - powstrzymywałam cię od tego kroku... jesteś zbyt porywcza... jak można było coś podobnego zrobić! Nie znasz takich kreatur, a ta podobno jest gorsza od innych... Tak, zbyt jesteś uparta!

- To tygrysica! - krzyknęła Katarzyna Iwanowna. - Dlaczego mnie pan zatrzymał, Aleksy Fiodorowiczu, byłabym ją zbiła, zbiłabym ją.

Nie mogła zapanować nad sobą mimo obecności Aloszy. A może nawet nie chciała już panować nad sobą.

- Taką to trzeba pod pręgierz, różgami, publicznie, wobec wszystkich...

Alosza skierował się ku drzwiom.

- Boże! - zawołała naraz Katarzyna Iwanowna załamując ręce - czyżby on! Czyżby on mógł być tak nikczemny, tak nieludzki! Więc opowiedział tej dziewczce, co zaszło między nami owej fatalnej, przeklętej, na wieki przeklętej godziny! „Biegałaś urodę swoją sprzedawać, miła panienko!” Ona wie o tym! Brat pana to nikczemnik, Aleksy Fiodorowiczu!

Alosza chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Serce ścisnęło mu się z bólu.

- Niech pan idzie, Aleksy Fiodorowiczu! Wstydzę się, to straszne! Jutro... błagam pana na klęczkach, niech pan jutro przyjdzie. Niech pan mnie nie potępia, proszę mi wybaczyć, nie wiem, co ze sobą zrobię!

Alosza wyszedł na ulicę chwiejąc się na nogach. Chciało mu się płakać, podobnie jak Katarzynie Iwanownie. Nagle dogoniła go służąca.

- Panienska zapomniała wręczyć panu list od pani Chochłakow. Leży już od obiadu.

Alosza machinalnie wziął małą różową kopertę i nie zdając sobie z tego sprawy wsunął ją do kieszeni.

## XI

### JESZCZE JEDNA STRACONA REPUTACJA

Od miasta do monasteru było nie więcej niż wiorsta z okładem. Alosza szybkim krokiem szedł po bezludnej o tej porze drodze. Była już prawie noc, z odległości trzydziestu kroków trudno było cokolwiek odróżnić. W połowie drogi, na rozstaju, pod samotnym drzewem majaczyła jakaś postać. Ledwo Alosza podszedł, postać owa zerwała się z miejsca, podbiegła ku niemu i dzikim głosem zawołała :

- Pieniądze albo życie!

- To ty, Mitia - zdziwił się Alosza, wzdrygnąwszy się mimo woli.

- Cha, cha, cha! A tyś się mnie nie spodziewał? Myślę sobie: gdzie by tu na ciebie zaczekać? Koło jej domu? Stamtąd rozchodzą się trzy drogi, mógłbym cię przegapić. W końcu postanowiłem cię tu wypatrywać, bo przecież tędy musiałeś iść, innej drogi do monasteru nie ma. No, mów prawdę, zadcpcz mnie jak karalucha... Ale co ci jest?

- Nic, bracie... ja tak z przestachu. Ach, Dymitrze! Przedtem ta krew ojcovska (zapłakał, dawno mu się już zbierało na płacz, ale teraz dopiero jakby coś w nim pękło)... o mało go nie zabiłeś... przekląłeś go... a teraz... tutaj... żarty sobie stroisz... „Pieniądze albo życie!”

- Albo co! Nieprzyzwoicie czy jak? Nie licuje z sytuacją?

- Ależ nie... ja tak...

- Czekaj. Popatrz, co za noc: widzisz jak ciemno, jakie obłoki, jaki wiatr się zerwał? Schroniłem się tu, pod drzewem, czekam na ciebie i nagle pomyślałem sobie (Bóg mi świadkiem!): „I po cóż będę się tłukł po świecie, po co czekać? Oto drzewo, chustkę mam przy sobie, koszulę też, powróż zaraz skręcę, szelki na dokładkę - i uwolnię ziemię od takiego brzemienia, nie będę jej bezcześcił swoją niegodną istotą!” Aż tu słyszę: idziesz - Panie Boże, jak gdyby coś mnie nagle nawiedziło: jest przecież taki człowiek, którego i ja kocham, przecież to on, ten człowiek, braciszek mój drogi, którego, najbardziej na świecie kocham, jego jednego prawdziwie kocham! I tak cię pokochałem, tak cię w tej chwili kochałem, żem sobie pomyślał: „Rzucę mu się od razu na szyję!” No i głupia myśl strzeliła mi do głowy: „Ubawię go, przerażę.” I wrzasnąłem jak głupi: „Pieniądze!” Wybacz mojej głupocie - to tylko tak, na pozór, lecz w mojej duszy... też przyzwoicie... Ano, pal sześć, mówże; co tam słyszeć? Co ci powiedziała? Depcz mnie, uderzaj, nie oszczędzaj! W złość wpadła?

- Nie, nie to... Tam było zupełnie co innego, Mitia. Tam... Zastałem je tam obie razem.

- Jak to obie?

- Gruszeńkę i Katarzynę Iwanownę.

Dymitr Fiodorowicz zdrętwiał.

- To niemożliwe! - zawołał. - Bredzisz chyba! Gruszeńka u niej?

Alosza opowiedział mu wszystko, co się działo, od momentu kiedy wszedł do Katarzyny Iwanowny. Opowiadał z dziesięć minut, niezbyt co prawda płynnie i składnie, lecz powtórzył dokładnie, wyławiając ze zdarzenia same istotne słowa i ruchy i dobitnie wyrażając nieraz jednym słowem swoje własne uczucia. Dymitr słuchał w milczeniu, wpatrywał się w niego strasznie znieruchomiałymi oczyma, ale pomimo to Alosza wiedział, że brat wszystko rozumie i uprzytomnia sobie całą scenę. Twarz jego nabierała coraz mroczniejszego wyrazu, a raczej coraz groźniejszego. Nachmurzył brwi, zaciął zęby, nieruchomy jego wzrok stawał się coraz bardziej nieruchomy, coraz bardziej przenikliwy i straszny... Tym bardziej było nieoczekiwane, gdy nagle wyraz jego twarzy, dotychczas gniewny i wściekły, zmienił się nagle z niepojętą wprost szybkością: zaciśnięte szczęki rozluźniły się i Dymitr naraz wybuchnął niepohamowanym, szczerym śmiechem. Literalnie zanosił się od śmiechu i ze śmiechu przez długi czas nie mógł przemówić słowa.

- I w końcu nie pocałowała rączki! Nie pocałowała i uciekła! - wykrzykiwał z chorobliwym jakby zachwytem; można by powiedzieć, z jakimś bezczelnym zachwytem, gdyby ten zachwyt nie był tak szczery i naturalny. - Więc tamta krzyczała, że to tygrysica! Więc trzeba by ją pod pręgierz,

różgami smagać! Tak, tak, trzeba by, trzeba, sam jestem tego zdania, że trzeba, i to już dawno! Widzisz, bracie, niech będzie pręgieryz, ale przedtem trzeba jeszcze wyzdrowieć. Rozumiem królową bezczelności, całą ją tu masz, cała w tej rączce się wyraziła, piekielnica! Królowa wszystkich piekielnic, jakie tylko istnieć mogą na świecie! To w swoim rodzaju zachwycające! Więc uciekła do domu? Zaraz ja... ach... Biegnę do niej! Aloszka, nie potępiaj mnie, zgadzam się przecież, że zadusić ją to za mało...

- A Katarzyna Iwanowna! - zawołał ze smutkiem Alosza.

- I tę widzę, widzę jak na dłoni i tak, jak nigdy jeszcze dotąd! Tu nastąpiło odkrycie wszystkich czterech, czy tam pięciu części świata! Ważyć się na taki krok! To ta sama Katieńka, panienska z instytutu, która przybiegła do głupiego, gburowatego oficera, nie zawahała się narazić na straszną zniewagę, gdy trzeba było uratować ojca! Ale co za hardość, jakie pragnienie ryzyka, jakie wyzwanie rzucone losowi, wyzwanie bezgraniczne! Powiadasz, że ta ciotka powstrzymała ją? Ta ciotka, widzisz, sama jest despotka, to przecież rodzona siostra owej moskiewskiej generałowej, swego czasu jeszcze bardziej od tamtej zadzieriała nosa, ale męża przyłapano na kradzieży grosza skarbowego, zabrano im wszystko, majątek i cały dobytek, więc dumna małżonka od tego czasu spuściła nos na kwintę i do tej pory już nie podniosła. Więc ona powstrzymywała Katię, ale ta nie usłuchała. „Wszystko, niby, mogę pokonać, wszystko mi ulega, zechcę, to i Gruszeńkę oczaruję.” Przecież sama w to wierzyła, sama przeciągnęła strunę, któż więc temu winien? Myślisz może, że ona specjalnie, nieszczerze, pierwsza pocałowała rączkę Gruszeńki, z chytrego wyrachowania? Nie, ona naprawdę zakochała się w Gruszeńce, to znaczy nie w Gruszeńce, ale w swoim marzeniu, w swoim majaczeniu - jako że to moje marzenie, moje majaczenie! Drogi mój Alosza, jakżeś się od nich, od tych tam, uwolnił? Wzięłeś nogi za pas, podkasawszy riasę, co? cha, cha, cha!

- Bracie, tyś, zdaje się, na to nie zwrócił uwagi, jaką krzywdę wyrządziłeś Katarzynie Iwanownie, żeś Gruszeńce opowiedział o tamtym dniu. Gruszeńka rzuciła jej teraz w oczy, że ona sama „do kawalerów po kryjomu chodziła sprzedawać swoją urodę”! Bracie, czy można gorzej znieważać?

Aloszę niezmiernie dręczyła myśl, że Dymitr zdaje się jak gdyby cieszyć z poniżenia Katarzyny Iwanowny, chociaż to oczywiście było niemożliwe.

- Ba! - Dymitr Fiodorowicz nachmurzył się naraz straszliwie i uderzył dłonią w czoło. Teraz dopiero zwrócił na to uwagę, chociaż Alosza wszystko mu już opowiedział, i o zniewadze, i o okrzyku Katarzyny Iwanowny: „Brat pana to nikczemnik!” - Tak, istotnie, może opowiedziałem Gruszeńce o owym „fatalnym dniu”, jak mówi Katia. Tak, tak jest, opowiadałem, przypominam sobie! To było wówczas w Mokrem, byłem pijany, Cyganki śpiewały... Ale przecież płakałem, płakałem wówczas sam, klęczałem, modliłem się do obrazu Kati, i Gruszeńka doskonale to rozumiała. Wtedy wszystko zrozumiała, przypominam sobie, sama płakała... A, do licha! Czy mogło więc teraz być inaczej? Wówczas płakała, a teraz, teraz „sztyletem w serce”! Baby tak zawsze.

Wbił oczy w ziemię i zamyślił się.

- Tak, nikczemnik jestem! Niewątpliwie, nikczemnik - rzekł nagle ponurym głosem. - Czy płakałem, czy nie, jestem jednak nikczemnik! Powiedz tam, że przyjmuję to określenie, jeśli to może



ją pocieszyć. No i na tym koniec, bądź zdrow, nie warto mówić! Nic wesołego. Ty w swoją drogę, a ja w swoją. I już nie chcę cię więcej widzieć aż do jakiejś tam ostatniej minuty. Żegnaj, Aleksy!

Mocno uściśnął rękę Aloszy i z wbitym w ziemię wzrokiem i opuszczoną głową ruszył nagle i szybko podążył w kierunku miasta. Alosza patrzył za nim spodziewając się, że brat jeszcze zawróci.

- Czekaj, Aleksy, jeszcze jedno wyznanie, tylko dla ciebie! - zawrócił naraz Dymitr Fiodorowicz. - Popatrz na mnie, popatrz uważnie: widzisz, o tu, o tu, szykuje się straszliwa nikiemność. (Mówiąc „o tu” Dymitr Fiodorowicz uderzał się pięścią w pierś, jakimś dziwnym gestem, jak gdyby nikiemność w istocie leżała tu właśnie, na piersi, w jakimś miejscu, w kieszeni albo na szyi, zaszyta w woreczku.) Znasz mnie już: łajdak, łajdak zawołany! Ale wiedz, że nic z tego, co zrobiłem dotychczas, co robię teraz i co może zrobię w przyszłości - nie może się równać z tą nikiemnością, którą w tej właśnie chwili noszę tu na swej piersi, o tu, tu - która działa i urzeczywistnia się, i którą mogę bezwzględnie powstrzymać lub wykonać! Ale wiedz, zapamiętaj to sobie, że wykonam i nie powstrzymam. Wszystko ci już dziś opowiedziałem, tylko tego nie, bo i moje czoło nie było dość wytarte! Mogę się jeszcze zatrzymać; jeśli bym się zatrzymał, to bym jutro mógł odzyskać połowę utraconego honoru, ale ja się nie zatrzymam, urzeczywistnię podły zamysł, i ty bądź świadkiem, że ja to z góry i przytomnie wszystkim oświadczam! Zatrącenie i mrok! Nie ma co wyjaśniać, dowiesz się w swoim czasie. Smrodliwy zaułek i piekielnica! Żegnaj. Nie módl się za mną, niewart jestem, nie trzeba zresztą, nie potrzebuję zupełnie... to zbyteczne! Precz!...

I nagle odszedł, tym razem ostatecznie. Alosza udał się w stronę monasteru. „Jak to, jak to: nigdy go nie zobaczę, co on mówi? - myślał - jutro go na pewno zobaczę i odszukam, specjalnie odszukam, co on mówi...”

\* \* \*

Okrzyżował monaster i przez sosnowy laszek poszedł wprost do pustelni. Otworzono mu furtkę, chociaż o tej godzinie nie wpuszczano już nikogo. Drżało mu serce, gdy wszedł do celi starca: Czemu, czemu starzec go wysłał w świat? Tu cisza, tu świątynia, a tam - zamęt, tam mrok, w którym od razu gubisz się i błądzisz...

Zastał w celi brata Porfirego i ojca Paisija, który tego dnia co godzinę przychodził się dowiadywać o zdrowie ojca Zosimy, jak Alosza z przerażeniem się dowiedział, coraz bardziej się pogarszające. Nawet zwykła wieczorna rozmowa z braćmi nie mogła się dzisiaj odbyć. Zazwyczaj wieczorem, po nabożeństwie, a przed snem, zbierała się co dnia monasterska brać w celi starca i każdy z mnichów na głos wyznawał swe przewinienia z całego dnia, grzeszne marzenia, myśli, pokusy, nawet kłótnie, o ile się one zdarzały. Niektórzy spowiadali się na klęczkach... Starzec odpuszczał grzechy, godził, pouczał, wymierzał pokutę, błogosławił, rozgrzeszał. Przeciw takim to właśnie „spowiedziom” występował swego czasu przeciwnicy starców, twierdząc, że to profanacja spowiedzi jako sakramentu, że to nieledwie bluźnierstwo, chociaż, rzecz jasna, było to zupełnie co innego. Dowodzili nawet władzom eparchialnym, że takie spowiedzi nie tylko nie osiągają dobrego celu, ale co więcej, istotnie i świadomie przywodzą do grzechu i pokusy. Niektórzy pono braciszkowie chętnie by nie szli do starca, ale że wszyscy to czynią, więc i oni idą wbrew woli, aby

nie uchodzić za dumnych i zbuntowanych. Opowiadano przy tym, że niektórzy braciszczkowie przed spowiedzią wieczorną umawiają się ze sobą: „Powień niby, że gniewałem się na ciebie dzisiaj, a ty to potwierdzisz” - byleby coś powiedzieć, byleby się tego pozbyć. Alosza wiedział, że tak się istotnie czasem zdarzało. Wiedział również, że niektórzy mnisi są wielce oburzeni, iż nawet listy od krewnych, wedle panującego tu zwyczaju, otwiera i czyta najpierw starzec, a później dopiero adresat. W zasadzie oczywiście wszystko to miało się odbywać swobodnie i szczerze, z głębi duszy, w imię dobrowolnej pokory i zbawiennego pouczenia, lecz w praktyce wychodziło nieraz bardzo nawet nieszczerze, fałszywie i wykrętnie. Wszakże starsi i bardziej doświadczeni ojcowie upierali się przy swoim, uważając, że „kto prawdziwie przyszedł do tej pustelni szukać zbawienia, ten będzie miał wielką korzyść z tego posłuszeństwa i z tych zbawiennych czynów; kto zaś na odwrót, narzeka i buntuje się, ten i tak nie jest prawdziwie mnichem i niepotrzebnie siedzi w monasterze zamiast żyć w świecie tuczy. Od grzechu zaś i diabła nigdzie, nawet w świątyni, ustrzec się nie można, a zatem nie ma co pobłażać grzechowi.”

- Osłabł, senność go opadła - rzekł szeptem ojciec Paisij pobłogosławiwszy Aloszę. - Trudno go nawet obudzić. Ale nie trzeba. Obudził się sam na pięć minut, prosił, aby przekazać błogosławieństwo braciom, a dla siebie prosił o modlitwy nocne. Jutro zamierza jeszcze raz przyjąć komunię świętą. Wspominał o tobie, Aleksy, pytał, czyś odszedł, odpowiedziano, że do miasta. „Błogosławiłem go na to: tam miejsce jego tymczasem, a nie tu” - tak wyraził się o tobie. Z miłością o tobie wspominał, z troską - czy pojmujesz, czegoś dostąpił? Ale jak to określił, że masz być tymczasem w świecie? To znaczy, że przewidział on twój los! Zrozum, Alosza, że jeśli nawet wrócisz do świata, to jak gdyby z posłuszeństwa dla twego starca, a nie dla częściej lekkomyślności, nie dla świeckiej uciechy...

Ojciec Paisij wyszedł. Alosza nie miał już żadnych wątpliwości, że starzec dogorywa, choć może jeszcze przeżyć dzień czy dwa. Postanowił więc sobie w duchu stanowczo i żarliwie, że chociaż przyrzekł był zobaczyć się z ojcem i z paniami Chochłakow, z bratem i Katarzyną Iwanowną - jutro nie wyjdzie z monasteru i zostanie przy starcu aż do jego śmierci. Serce jego zapalało miłością; wymawiał sobie z goryczą, że mógł w mieście zapomnieć na chwilę o tym, kogo zostawił w monasterze na łożu śmierci i kogo czci najbardziej na świecie. Wszedł do alkowy starca, ukląkł przy jego łóżku i pokłonił się śpiącemu do ziemi. Starzec spał spokojnie, bez ruchu; oddech jego był miarowy i słaby, prawie nieuchwytny. Twarz miał spokojną.

Wróciwszy do drugiego pokoju - do tego, w którym rano starzec przyjmował gości, Alosza, nie rozbierając się, lecz tylko zdjawszy obuwie, położył się na skórzanej, twardej i wąskiej kanapce, na której sypiał już od dawna, każdej nocy przynosząc tylko poduszkę. Siennika, o którym wspominał ojciec, od dawna już zapomniawszy podkładać. Zdejmował tylko riasę i okrywał się nią zamiast kołdry. Ale przed zaśnięciem padł na kolana i długo się modlił. W gorącej modlitwie nie prosił Boga o rozproszenie trosk, łaknął tylko radosnego roztkliwienia, dawnego roztkliwienia, które zawsze nawiedzało jego duszę po odbytej modlitwie wieczornej. Owa radość, która go nawiedzała, sprowadzała zawsze lekki i spokojny sen. Modląc się i teraz, nagle natrafił przypadkowo na różową małą kopertę, którą mu wręczyła wieczorem służąca Katarzyny Iwanowny dopędziwszy go na drodze. Zmieszał się, lecz dokończył modlitwy. Następnie po krótkim wahaniu otworzył kopertę. Leżał w niej liścik noszący podpis Lise - imię młodziutkiej córki pani Chochłakow, która rano tak sobie z niego drwiła w obecności starca.

„Aleksy Fiodorowiczu - pisała - piszę do pana w tajemnicy przed wszystkimi i przed mamą, i wiem, że to brzydko. Ale nie mogę dłużej żyć, jeśli nie powiem panu tego, co zrodziło się w moim sercu, ale o tym nikt oprócz nas dwojga nie może się do czasu dowiedzieć. Ale jakże ja panu powiem to, co chcę panu powiedzieć? Papier, jak powiadają, nie rumieni się, zapewniam pana, że to nieprawda i że rumieni się równie dobrze, jak ja. Drogi Alosza, kocham pana, kocham od dzieciństwa, od pobytu w Moskwie, kiedy pan był zupełnie nie taki jak teraz, i kocham na całe życie. Wybrałam pana w swoim sercu, aby się z panem połączyć i w starości pospołu życia dokonać. Oczywiście pod tym warunkiem, że pan opuści monaster. Co się tyczy naszych lat, to poczekamy, ile tam prawo wymaga. Do tego czasu na pewno wyzdrowieję, będę chodziła o własnych siłach i tańczyła. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości.

Widzi pan, jakem to wszystko obmyśliła, jednego tylko nie mogę sobie wyobrazić: co pan pomyśli o mnie, kiedy pan to przeczyta? Śmieję się wciąż i dokazuję, rozgniewałam pana poprzednio, ale zapewniam, że przed chwilą, zanim wzięłam pióro do ręki, modliłam się do Matki Boskiej, i teraz jeszcze modlę się i jestem bliska płaczu.

Moja tajemnica jest w pana ręku, jutro, jak pan przyjdzie, nie wiem, jak na pana spojrzę. Ach, Aleksy Fiodorowiczu, co będzie, jeśli się znowu nie powstrzymam, jak głupia, i roześmieję się patrząc na pana? Przecie będzie mnie pan uważał za obrzydliwą śmieszkę i nie zaufa moim słowom. A więc błagam pana, mój drogi, jeśli ma pan litość nade mną, proszę jutro nie zaglądać mi zbyt w oczy, ponieważ będę musiała się roześmiać, tym bardziej że będzie pan w tej długiej sukience... Nawet teraz aż mi się zimno robi, kiedy o tym myślę, więc dlatego, jak pan wejdzie, niech pan wcale z początku nie patrzy, tylko na mamę albo przez okno...

Oto napisałam do pana list miłosny. Mój Boże, co ja zrobiłam! Alosza, niech pan mną nie pogardza, a jeżeli zrobiłam coś bardzo złego i zmartwiłam pana, to niech mi pan wybaczy. Teraz tajemnica mojej, może na wieki straconej, reputacji jest w pana ręku.

Dzisiaj będę na pewno płakać. Do zobaczenia, do straszliwego zobaczenia. Lise”

„P. S. Alosza, tylko niech pan koniecznie, koniecznie, koniecznie przyjdzie! Lise”

Alosza przeczytał list ze zdziwieniem, przeczytał dwa razy, zastanowił się i naraz cicho i słodko roześmiał się. Drgnął jednak, bo śmiech ów wydał mu się grzeszny. Ale po chwili znowu się roześmiał, równie cicho i błogo. Powoli wsunął list do koperty, przeżegnał się i położył. Zamęt, odczuwany przed chwilą, znikł zupełnie.

„Boże, zmiłuj się nad nimi wszystkimi, chroń cierpiących i błądzących i wskaż im drogi, którymi kroczyć mają. Ty, który jesteś miłością, ześlij im wszystkim radość!” - szeptał żegnając się i zasypiając spokojnym snem.



# CZEŚĆ DRUGA

# KSIĘGA CZWARTA

## SZARPANINA

### I

#### OJCIEC FERAPONT

Nazajutrz bardzo wcześnie, bo jeszcze przed świtem, obudzono Aloszę.

Starzec już nie spał i chociaż czuł się bardzo słaby, chciał przenieść się z łóżka na fotel. Był zupełnie przytomny. Twarz jego mimo wielkiego wycieńczenia była pogodna, prawie radosna, a spojrzenie wesołe, pełne dobroci, pociągające. „Może nie przeżyję nadchodzącego dnia” - rzekł do Aloszy. Później zapragnął natychmiast się wypowiedzieć i komunikować. Spowiednikiem jego był jak zawsze ojciec Paisij. Po przyjęciu przez starca sakramentów świętych zaczęli się schodzić do jego celi ojcowie i braciszkanie z pustelni. Cela powoli się zapełniała. Tymczasem nastał dzień. Przyszli również mnisi z monasteru. Po nabożeństwie starzec chciał się ze wszystkimi pożegnać i wszystkich całował. Ze względu na ciasnotę ci, którzy przyszli wcześniej, musieli wyjść i ustąpić miejsca następnym. Alosza stał przy starcu, który siedział w fotelu. Starzec mówił i pouczał, na ile mu siły pozwalały. Głos jego, choć słaby, był jeszcze dość pewny.

- Tyle lat was uczyłem i przez tyle lat wobec tego mówiłem głośno, że jakbym przywyknął mówić, a mówiąc - uczyć was, i to tak, że trudniej mi milczeć niż mówić, ojcowie i bracia moi mili, nawet teraz, pomimo słabości mojej - odezwał się żartobliwie, spoglądając z rozczeniem na otaczających go mnichów. Alosza zapamiętał pewne rzeczy z jego ówczesnego przemówienia. Mówił co prawda wyraźnie i dosyć pewnym głosem, ale skądinąd nieskładnie. Wspominał o wielu rzeczach, zdawało się, że chciałby wszystko wypowiedzieć, wypowiedzieć jeszcze raz, w chwili przedzgonnej nie zostawić żadnych niedomówień, i to nie tylko gwoli pouczenia, ale jak gdyby dlatego, że pragnął podzielić się swoją radością i zachwytem z wszystkimi, połączyć się jeszcze raz sercem ze wszystkimi...

- Kochajcie się wzajem, ojcowie - pouczał starzec (jak to zapamiętał Alosza). - Kochajcie lud Boży. Nie jest bardziej święty ten, który tu przyszedł, od tego, który został w życiu świeckim, iż przyszedłszy tu, zamknął się w tych murach, ale owszem każdy, który tu przyszedł, poznał w sobie, że gorszy jest od wszystkich, którzy żyją w świecie, i od wszystkiego, co jest na ziemi... I im dłużej żyje tu, w tych murach, tym bardziej powinien czuć to i pojmować. Bo inaczej po cóż by tu przychodził? Kiedy zaś pozna, że nie tylko gorszy jest od wszystkich i wszystkiego, ale że jest winien wobec wszystkich ludzi, za wszystkie grzechy ludzkie, powszechne i osobiste, wówczas tylko zostanie osiągnięty cel naszego zespolenia. Albowiem wiedzcie, mili moi, że każdy z nas bez wątplenia ponosi winę za wszystkich i za wszystko na ziemi, nie tylko z winy powszechnej, ale osobiście każdy za wszystkich ludzi i za każdego człowieka na ziemi. Świadomość owa jest koroną drogi mniszej i wszelkiego na ziemi człowieka. Albowiem mnisi nie różnią się od innych ludzi i są tacy, jakimi wszyscy być powinni. Dopiero wtedy byśmy serca nasze skąпали w miłości nieskończonej,

powszechnej, nie znającej granic. Wtenczas każdy z was potrafi cały świat zdobyć miłością i swoimi łzami zmyć grzechy świata... Niechaj każdy strzeże serca swojego, niechaj się nieustannie przed sobą spowiada. Grzechów się swoich nie bójcie, nawet poznawszy je, iżbyście tylko za nie szczerze żalowali, a w układy z Bogiem nie wchodzili. A przeto powiadam wam, nie bądźcie pyszni. Nie pysznijcie się wobec małych, nie pysznijcie się i wobec wielkich. Nie miejcie w sercach waszych nienawiści względem tych, którzy wami pogardzają, którzy was hańbią i spotwarzają. Nie miejcie nienawiści względem ateistów, fałszywych proroków, materialistów, nawet złych, a nie tylko dobrych, bo i między nimi jest wielu dobrych, zwłaszcza w obecnych czasach. Módlcie się tylko za nich, mówiąc: „Boże, zmiłuj się nad tymi, za których się nikt nie modli, i wybaw tych, którzy do Ciebie modlić się nie chcą.” A dodajcie też: „Nie w pysze serca modłę się do Ciebie, Panie, boć sam najlichszym i najgrzeszniejszym się czuję...” Kochajcie lud Boży, nie pozwalajcie obcym rozszarpywać trzody waszej, jako że jeśli zgnuśniejecie w lenistwie i pełnej obrzydzenia pysze, a co gorsza w chciwości, przyjdą one zewsząd i zabiorą wam owieczki wasze. Objasniajcie ludowi Ewangelię nieustannie... Odsuwajcie pokusę. Nie kochajcie się w złocie i srebrze i nie posiadajcie go... Wierzcie i mocno trzymajcie sztandar wiary. Noście go wysoko...

Starzec mówił jednak chaotyczniej, niż to później zapisał Alosza. Chwilami brakło mu tchu, wówczas przerywał, jakby skupiając siły, lecz uniesienie go nie opuszczało. Mnisi słuchali go uważnie, wielce rozrzewnieni, chociaż niektórzy dziwili się jego słowom i niezupełnie je rozumieli... Później dopiero przypomniano sobie szczegółowo te wszystkie słowa. Alosza, który musiał wyjść na chwilę z celi, zdumiał się na widok powszechnego wzruszenia, jakie ogarnęło tłoczących się w celi i na zewnątrz mnichów. Jakiś uroczysty, ale trwożny nastrój oczekiwania udzielił się obecnym. Wszyscy oczekiwali czegoś wielkiego, co miało nastąpić natychmiast po zgonie starca. Pod pewnym względem nastrój ten był nieco lekkomyślny, lecz nawet najpoważniejsi i najsurowsi ojcowie nie mogli mu się oprzeć. Najbardziej surowy i uroczysty wyraz malował się na twarzy ojca Paisija.

Alosza wyszedł z celi dlatego jedynie, że wywołał go potajemnie przez mnicha Rakitin, który wrócił z miasta z dziwnym listem pani Chochłakow. Donosiła ona Aloszy o bardzo ciekawej, zwłaszcza w tej chwili, rzeczy. Między babami, które poprzedniego dnia przyszły do pustelni, aby pokłonić się starcowi i poprosić go o błogosławieństwo, była niejaka Prochorowna, staruszka z naszego miasta, wdowa po podoficerze. Pytała się starca, czy może dać na nabożeństwo żałobne za syna Wasię, który wyjechał był na Syberię, do Irkucka, i od roku nie dał o sobie znaku życia. Starzec, jak pamiętam, zgromił ją za to ostro i przyrównał takie praktyki do czarów. Ale potem przebaczył jej tę nieświadomość i dodał na pociechę, „jakby zajrzawszy do księgi przyszłości” (jak pisała pani Chochłakow), że syn jej Wasia żyje na pewno i albo sam rychło przyjedzie, albo list napisze. Kazał jej nawet wrócić do domu i oczekiwać syna. „I cóż - dodawała z zachwytem pani Chochłakow - proroctwo spełniło się dokładnie, a nawet jeszcze lepiej.” Wróciwszy bowiem do domu, staruszka zastała list z Syberii. Nadto w liście tym, wysłanym z Jekaterynburga, z drogi, syn zawiadamiał ją, że wraca do Rosji z jakimś urzędnikiem i że w trzy tygodnie od doręczenia tego listu „spodziewa się uściskać matkę”. Pani Chochłakow błagała gorąco Aloszę, aby natychmiast zawiadomił ihumena i braci o tym „cudzie proroczym”. „Wszyscy, wszyscy powinni o tym wiedzieć!” - wołała w zakończeniu. Widać było, że list napisała naprędce, pod silnym wrażeniem nowiny. Lecz Alosza nie potrzebował opowiadać, bo wszyscy już o tym wiedzieli. Rakitin bowiem, posyłając po Aloszę mnicha, prosił jednocześnie, by ów mnich sprowadził ojca Paisija, do którego, jak powiadał, ma sprawę tak pilną, że ani na chwilę nie śmie jej odłożyć, i „prosi o wybaczenie mu tego

zuchwalstwa”. Ponieważ mnich ów pierwiej zawiadomił ojca Paisija, więc Aloszy pozostało tylko odczytać ojcu list pani Chochłakow. I oto nawet ten surowy i nieufny człowiek, wysłuchawszy z zasępionym czołem wiadomości o „cudzie”, nie mógł się powstrzymać od okazania nurtujących go uczuć. Oczy jego zabłyły i uśmiechnął się poważnie i ze wzruszeniem.

- Nie takie rzeczy jeszcze ujrzymy - wyrwało mu się naraz.

- Nie takie rzeczy jeszcze ujrzymy, nie takie - powtórzyli dookoła mnisi, lecz ojciec Paisij, znowu zasępiony, prosił wszystkich, aby przynajmniej do czasu nikomu o tym nie opowiadali, „póki się to nie potwierdzi, albowiem w życiu świeckim jest wielu lekkomyślnych, a zresztą mogło się to zdarzyć całkiem naturalnie” - dodał ostrożnie, jakby dla spokoju sumienia, ale jak gdyby sam nie wierząc w to zastrzeżenie, co zresztą nie uszło uwagi słuchaczy. W mgnieniu oka wieść o „cudzie” obiegła cały monaster i trafiła nawet do parafian, którzy przyszli na nabożeństwo. Największe, zdawało się, wrażenie wywarła na mnichu „od Św. Sylwestra”, który przybył niedawno z dalekiej Północy, z pewnej małej pustelni obdorskiej; był to ten, który wczoraj, stojąc przy pani Chochłakow i wskazując na jej „uzdrowioną” córkę, odezwał się do starca z przejęciem: „Jak ważysz się, ojcze, robić coś takiego?”

Chodzi o to, że czuł się teraz jakby na rozdrożu i nie wiedział właściwie, w co wierzyć. Wczoraj bowiem wieczorem odwiedził ojca Feraponta, który mieszkał w osobnej celi za pasieką, i dotychczas jeszcze był pod straszliwym i wprost piorunującym wrażeniem tego spotkania. Ojciec Ferapont był to ów bardzo stary mnich, wielki postnik, o którym już w swoim czasie wspominaliśmy jako przeciwniku starca Zosimy i w ogóle instytucji starców, którą uważał za szkodliwe i lekkomyślne nowinkatorstwo. Był to przeciwnik groźny, mimo że złożył był śluby milczenia, a więc z nikim prawie nie zamieniał słowa. Groźny zaś był przede wszystkim dlatego, że miał wśród braci wielu zwolenników; i nie tylko wśród braci, bo i wielu obcych czciło go nieledwie jako świętego i surowego ascetę, mimo iż bez wątpienia dostrzegali, że ojciec Ferapont jest pomieszany. Ale właśnie pomieszanie dodawało mu uroku. Do starca Zosimy ojciec Ferapont nigdy nie przychodził. Chociaż mieszkał w pustelni, nie wymagano odeń stosowania się do wszystkich reguł, właśnie ze względu na jego pomieszanie. Miał lat siedemdziesiąt pięć, jeśli nie więcej, mieszkał za pasieką, w załomie muru, w starej, na pół rozwalonej drewnianej celi, którą postawiono tu bardzo dawno, jeszcze w zeszłym wieku, dla równie ongi słynącego z umartwień ojca Jony, który dożył do stu pięciu lat i o którym jeszcze dziś opowiadano sobie w monasterze i w okolicy wielce ciekawe historie. Ojciec Ferapont wywalczył sobie przed siedmiu laty prawo zamieszkania w tej samotnej celi, właściwie mówiąc chałupie, która sprawiała wrażenie kapliczki z powodu ogromnej ilości ofiarowanych obrazów z palącymi się nieustannie lampkami. Było tych lampek tyle, że mogło się zdawać, iż ojciec Ferapont specjalnie tu mieszka po to, aby je zapalać i podtrzymywać płomyki. Pożywienie jego stanowiły, jak powiadano (i tak było w istocie), tylko dwa funty chleba na trzy dni, nic więcej; przynosił mu bochenek regularnie co trzy dni bartnik, mieszkający obok przy pobliskiej pasiece, ale i z nim ojciec Ferapont rzadko zamieniał słówko. A zatem całotygodniowy jego wikt składał się z czterech funtów chleba i proskury, którą przysyłał mu w niedzielę po ostatnim nabożeństwie ojciec ihumen. Poza tym codziennie zmieniano mu wodę w kubku. Rzadko bywał na nabożeństwie. Za to czasami klęczał po całych dniach w swej celi i modlił się żarliwie, bez wytchnienia. Jeśli nawet przemawiał kiedy do odwiedzających go pątników, wyrażał się zwięźle, oderwanymi słowami, bardzo dziwnie i prawie zawsze szorstko. Zdarzały się jednak nader rzadkie wypadki, że rozmawiał



z pątnikami, ale i wówczas przeważnie powtarzał jakieś jedno dziwaczne słowo, bardzo zagadkowe, którego mimo wszelkich próśb nie chciał przybytemu wyjaśnić. Nie miał wyższych święceń kapłańskich, był tylko prostym mnichem. Ludzie najbardziej zresztą ciemni powiadali, że ojciec Ferapont widuje duchy niebiańskie, że tylko z nimi rozmawia i dlatego wobec ludzi milczy. Mniszek z Obdorska dostawszy się na pasiekę, idąc za wskazaniem pasiecznika, również wielce ponurego i małowórnego mnicha, skierował się w stronę, gdzie była celka ojca Feraponta. „Może i powie co, jako że z daleka przychodzisz, a może i nic od niego nie wydobędziesz” - uprzedził go pasiecznik. Podszedł więc do celi z najwyższym, jak sam później wyznał, strachem. Godzina była już dosyć późna. Ojciec Ferapont siedział tym razem u drzwi celi na niziutkiej ławeczce. Nad nim szumiał z lekka stary, ogromny wiał. Ciągnął wieczorny chłód. Obdorski mniszek padł na twarz przed pustelnikiem i poprosił go o błogosławieństwo.

- Chcesz, mnichu, abym i ja przed tobą na twarz upadł? - odezwał się ojciec Ferapont. - Wstań!

Braciszek wstał.

- Błogosławiąc bądź błogosławion, siadaj przy mnie. Skąd cię przyniosło?

Najbardziej zastanowiło biednego mnicha, że ojciec Ferapont, mimo wszelkich umartwień i podeszłego wieku, był jeszcze krzepki, wysoki, trzymał się prosto, nie garbił się i choć chudy na twarzy, cerę miał świeżą i zdrową. Niezawodnie był jeszcze bardzo silny, tak przynajmniej świadczyła jego atletyczna budowa. Co najdziwniejsza, włosy i broda jego były jeszcze czarne, gęste, zaledwie posrebrzone siwizną. Oczy miał duże, szare, błyszczące i rażąco wypukłe. Mówiąc kładł szczególny nacisk na literę „o”. Odzież jego stanowił długi kaftan z grubego aresztanckiego sukna, rudawego koloru, przepasany grubym sznurem. Szyja i piersi były obnażone. Spod kaftana wyłaziła szerniała z brudu, gruba płócienna koszula, której całymi miesiącami nie zdejmował; na nogach miał stare, prawie rozpadające się chodaki. Powiadano, że na nagim ciele nosi trzydziestofuntowe kajdany.

- Z małej obdorskiej pustelni, od Świętego Sylwestra - odpowiedział pokornie przybyły mniszek, spoglądając na pustelnika małymi, nieco wylęknionymi, ale wielce zaciekawionymi oczkami.

- Bywałem u twego Sylwestra. Bywałem. Zdrów ten twój Sylwester? - pytał ojciec Ferapont.

Braciszek zmieształ się.

- Głupie ludziska! Postów przestrzegacie?

Braciszek zaczął szczegółowo wykladać:

- W wielki post, według starych zwyczajów, tak pościmy: post ścisły w poniedziałki, piątki i środy; we wtorki i czwartki dostajemy białego chleba, klusek z miodem lub kapusty kwaszonej i tołokna; w sobotę - białego barszczu, kaszy i grochu z olejem; a w niedzielę do zupy - ryby suszonej i kaszy. Zasię w Wielki Tydzień, od poniedziałku aż do sobotniego wieczora, przez sześć dni, pożywamy jeno chleb i wodę, a także surową trawę, i to nie do syta; pożywamy w ilości małej i nie

każdego dnia, wedle tego, co napisane w księgach świętych o Wielkim Tygodniu. Od Wielkiego Piątku powstrzymujemy się od jadła wszelakiego, aż do godziny trzeciej po południu w sobotę, a i wtedy dostajemy po niewielkim tylko glonie chleba i po czarce wina. Nawet i w Wielki Czwartek nie pożywamy nic gotowanego, bo powiedziano na laodycejskim soborze, że „nie przystoi bezcześcić całego czterdziestodniowego postu, łamiąc go ostatniego tygodnia we czwartek”. Tak u nas poszczą. Ale cóż to wszystko znaczy w porównaniu z tobą, świątobliwy ojcze? - dodał mnich nieco śmielej. - Ty przecie cały boży rok, a nawet i w święto Zmartwychwstania, żywisz się tylko chlebem i wodą, a i tego chleba, co my we dwa dni pożywamy, tobie starczy przez tydzień - dodał z podziwem obdorski braciszek. - Zaprawdę, wielka i zadziwiająca jest twoja wstrzemięźliwość.

- A jagody? - zawołał nagle ojciec Ferapont kładąc osobliwy nacisk na „g”.

- Jagody? - zapytał zdziwiony mniszek.

- A właśnie. Od chleba ich to odejść mogę, niepotrzebny mi ich chleb. Pójdę w las, to i jagodami się przeżywię, oni zaś od chleba swojego nie odejdą, czart ich tak wiąże. Powiadają, bałwochwalce, że post to tyle co i nic. Pycha i pogaństwo - mowy ich.

- Och! to prawda - westchnął braciszek.

- A czartów widziałeś u tych? - spytał ojciec Ferapont.

- U kogo? - pyta trwożliwie braciszek.

- Do ihumena zeszłego roku na Świętą Trójcę zaszedłem, a od tego czasu nie byłem. Widziałem, jak u jednego diabeł na piersiach siedzi, u drugiego pod riasą się chowa i tylko mu różki sterczą; a innemu to znów z kieszeni wygląda: oczy ma bystre, a mnie to się boi. Jednemu do kałduna zalazł, w wańtuchu paskudnym przycupnął, a niejeden to i na szyi diabła nosi, a sam tego nie widzi.

- A wy... widzicie? - dopytywał się braciszek.

- Mówię, że widzę, wskroś widzę. Jakem wychodził od ihumena, to jeden za drzwiami się przede mną chował, wielki taki, z półtora arszyna wysoki, a może i więcej; a ogon długi, gruby, bury, koniec ogona wsunął w szparę. Ja, nie w ciemną bity, zatrzasnąłem drzwi zniecka i ogon przygniotłem. Jak nie zapiszczy, jak się nie szarpnie, a jam go krzyżem przeżegnał, trzykrotniem go przeżegnał. I zdechło lichu jak pająk zgnieciony. Teraz to chyba i zgnił w kącie, śmierdzi, a oni nie widzą, nie czują. Rok już nie chodzę. Tobie tylko mówię, boś obcy.

- Straszne słowa twoje - mówił braciszek ośmielając się coraz bardziej. A powiedz, wielki i błogosławiony ojcze, czy prawda, co o tobie sława daleko niesie, że Duch Święty bez przerwy cię nawiedza?

- Bywa, że zlatuje.

- A w jakiej postaci zlatuje?

- W postaci ptaka.

- Duch Święty w postaci gołębiczy?

- Raz Duch Święty, raz Świętoduch. Świętoduch to inszy, pojawić się może w postaci każdego ptaka: raz jaskółka, to znowu szczygieł albo i zimorodek.

- A jakże poznajesz, ojcze, że to na przykład nie zimorodek?

- Bo mówi.

- Jakże on mówi, jakim językiem?

- Ludzkim.

- A cóż on takiego mówi? - wypytywał braciszek.

- Ot dziś mówił, że przyjdzie dureń i dopytywać się będzie nie wiadomo o co. Znadtoś, bracie, ciekawy.

- Straszne słowa twoje, świątobliwy ojcze - odrzekł, kiwając głową, braciszek. W jego wylęknionych oczkach pojawił się wyraz niedowierzania.

- A widzisz ono drzewo? - spytał po krótkim milczeniu ojciec Ferapont.

- Widzę, ojcze wielebny.

- Dla ciebie to wiąz, a dla mnie całkiem co innego.

- Co takiego? - szepnął zaciekawiony braciszek.

- Bywa w nocy... Widzisz te dwa sęki? To nieraz w nocy Pan Jezus ręce do mnie wyciąga i szuka mnie tymi rękami, ja widzę to i drżę. Strasznie wtedy, och, strasznie!

- Czegóż strasznie, jeżeli to Pan Jezus?

- A jak porwie i uniesie?

- Żywego?

- A bo to nie słyszałeś o proroku Eliaszu? Tak i ze mną zrobić może, obejmie i poniesie...

Chociaż obdorski braciszek powrócił do wskazanej mu małej celi, do jednego z braci, z zamętem w głowie, serce jego niewątpliwie lgnęło bardziej do ojca Feraponta niż do starca Zosimy. Przede wszystkim braciszek ów miał w wielkim nabożeństwie posty, wskutek czego wierzył, że taki wielki postnik może przecie w istocie „widywać cudy niewidziane”. Słowa ojca Feraponta były wprawdzie chwilami dziwnie niedorzeczne, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy nie kryło się w nich głębsze znaczenie; wszyscy zresztą prostaczkowie Boży mówią i działają dziwnie. W przyciśnięty ogon czarci wierzył chętnie, i nie tylko w przenośni. Poza tym jeszcze przed przybyciem do

monasteru usposobiony był bardzo nieprzychylnie względem instytucji starców, którą znał tylko z opowiadań i uważał za szkodliwe nowinkarstwo. Dodajmy do tego, że w samym monasterze zauważył niezgodę i tłumioną niechęć niektórych lekkomyślnych mnichów. Był bowiem z natury chytry, podstępny i ogromnie ciekawy. Oto czemu wiadomość o nowym „cudzie”, sprawionym przez ojca Zosimę, wywarła i na nim ogromne wrażenie i wtrąciła go znowu w niepewność. Alosza przypomniał sobie później, jak wśród tłumu mnichów, oblegających celę starca, nurkowała wciąż postać ciekawego gościa z Obdorska, który nastawiał wszędzie uszu i wszystkich nagabywał. Ale Alosza nie zwracał nań wówczas uwagi i dopiero potem przypomniał go sobie... Co innego zaprzątnęło jego myśli: starzec Zosima, który wskutek zmęczenia położył się znowu do łóżka, zamykając oczy, przypomniał sobie o nim i wezwał do siebie. Alosza przybiegł natychmiast. W celi był tylko ojciec Paisij, ojciec Józef i brat Porfiry.

Starzec podniósł znużone powieki i wpatrywał się uważnie w twarz Aloszy.

- Twoi czekają tam pewnie na ciebie, synu? - spytał nagle.

Alosza zmieszał się.

- Czy nie potrzebują tam ciebie? A może wczoraj przyrzekłeś komu ze swoich, że dzisiaj będziesz?

- W istocie... przyrzekłem... ojcu... braciom... innym też...

- A widzisz. W takim razie idź koniecznie. Nie martw się. Wiedz, że nie umrę, dopóki nie przekażę ci ostatnich słów, które wypowiem tu na ziemi. Tobie powiem, synku, tobie przekażę. Tobie, synku miły, bo wiem, że mnie miłujesz. A tymczasem idź do tych, którym obiecałeś.

Alosza natychmiast usłuchał starca, chociaż trudno mu było odejść. Ale obietnica starca, że powie mu ostatnie swoje słowa na ziemi, jakby specjalnie dla niego przeznaczone, napawała jego duszę zachwytem. Pospieszył więc, aby czym prędzej być z powrotem. W dodatku ojciec Paisij wyszedł z nim z celi starca i udzielił mu na drogę rad i napomnień, które wywarły na nim głębokie wrażenie.

- Pamiętaj, młodzieńcze, nieustannie - rzekł nagle bez żadnego wstępu - że świecka nauka, urósłszy w wielką potęgę, przewertowała, zwłaszcza w ostatnim stuleciu, wszystko, co przekazały nam księgi święte, i po okrutnej analizie nie zostawiła nic zgoła z całej dotychczasowej ich świętości. Ale rozkładając na cząstki, przesłепili całość; zaiste podziwu godna jest ich ślepotą. Przecież owa całość stoi przed ich oczyma, niewzruszona i niezmienna, i nie zmożą jej wrota piekielne. Azaliż nie żyła ona wieków dziewiętnaście, azaliż nie żyje w duchowych porywach i jednostek, i tłumu! Nawet w duszach tych wszystko wyniszczających ateistów żyje ona, niewzruszona! Albowiem i ci, którzy wyrzekli się chrześcijaństwa i zbuntowali się przeciw niemu, w istocie swojej są w duszy z Chrystusa poczęci, w Chrystusie zostali, albowiem dotąd ani ich mądrość, ani żarliwość serca nie zdołała nic lepszego ani wyższego stworzyć nad obraz, który Chrystus ongi ukazał ludziom. A każda inna próba była jedynie potwornością. Zapamiętaj sobie, młodzieńcze, te moje słowa, bo z woli konającego starca masz iść w świat. Może, wspominając ów wielki dzień, nieprzypomnisz i słów moich, danych ci na odchodnym, albowiem młody jesteś, a

pokusy w świecie są ciężkie i ponad twoje siły. A teraz idź, sieroto.

Z tymi słowy błogosławił go ojciec Paisij. Alosza, wyszedłszy z monasteru, rozpamiętywał je długo, czując, że w surowym dotychczas i skrytym mnichu znalazł nagle nowego przyjaciela i żarliwie miłującego przewodnika. Mogłoby się wydawać, że starzec Zosima, umierając, zlecił mu specjalnie Aloszę. „A może tak było w istocie” - pomyślał Alosza. Owe niespodziewane słowa, poważne i rozumne, właśnie one, świadczyły o gorącym sercu ojca Paisija, który spieszył już, by jak najprędzej uzbroić młody umysł do walki z pokusą i obwarować powierzona sobie młodą duszę murem najmocniejszym, jaki sobie mógł wyobrazić.

## II U OJCA

Alosza udał się najpierw do ojca. W pobliżu domu przypomniał sobie wczorajszą natarczywą prośbę ojca, aby się do niego zgłosił dziś w sekrecie przed Iwanem. „Czemuż to? - pytał siebie Alosza. - Jeśli ojciec chce mi coś zawierzyć w sekrecie, to dlaczego mam wejść po kryjomu? Zapewne chciał mi wczoraj powiedzieć co innego, ale w podnieceniu nie zdążył!” - zdecydował Alosza. Mimo to był zadowolony, gdy Marfa Ignatiewna, która otworzyła mu furtkę (Grzegorz podobno rozchorował się obłożnie), powiedziała mu, że Iwan Fiodorowicz wyszedł już przed dwiema godzinami.

- A ojciec?

- Wstał, kawę pije - odpowiedziała jakoś oschle Marfa Ignatiewna.

Alosza wszedł. Stary siedział sam przy stole w pantoflach i w starym palcie i przeglądał rachunki, ale dość niedbale, raczej gwoli rozrywki. Był teraz sam w domu (Smierdiakow wyszedł po zakupy do obiadu). Chociaż wstał rano z łóżka i nic sobie z wczorajszego wypadku nie robił, wyglądał marnie. Czoło jego, mocno posiniaczone, było przewiązane czerwoną chustką. Nos również spuchł przez noc, a sine plamy, choć nieliczne, nadawały mu dziwnie przykry i złośliwy wygląd. Stary zdawał sobie z tego sprawę i spojrzał niechętnie na wchodzącego Aloszę.

- Kawa zimna! - zawołał ostro. - Nie poczęstuję cię, sam dziś poprzestaję na prostej polewce i nikogo nie zapraszam. Po coś przylazł?

- Chciałem się dowiedzieć o zdrowie ojca - odrzekł Alosza.

- Tak, a prócz tego sam ci kazałem wczoraj przyjść. Wszystko to duby smalone. Na próżność się raczył fatygować. Wiedziałem zresztą, że się od razu przywleciesz...

Mówił to wszystko z bardzo złą miną, jednocześnie wstał i zatroskany spojrzał w lustro (może już po raz czterdziesty od rana) na swój nos. Poprawił czerwoną chustkę na czole.

- Czerwona zawsze lepsza niż biała, nie wygląda się przynajmniej tak szpitalnie - zauważył sentencjonalnie. - No, co tam u ciebie? Jakże twój starzec?

- Bardzo źle, może dzisiaj umrze - odrzekł Alosza, ale ojciec już go nie słuchał, może nawet zapomniał swego pytania.

- Iwana nie ma - rzekł nagle. - Poleciał odbijać narzeczoną Dymitrowi. Po to przyjechał - dodał złośliwie i wykrzywiwszy usta spojrzał na Aloszę.

- Czyżby on sam to ojcu mówił? - spytał Alosza

- Dawno już mówił. A co myślisz, że trzy tygodnie temu mówił. Przecież nie po to on tu przyjechał, żeby mnie potajemnie zarżnąć? Nie przyjechał chyba całkiem bez celu?

- Ależ, ojcze! Dlaczego ojciec to mówi? - pytał zmieszany ogromnie Alosza.

- O pieniądze nie proszę, prawda, ale ode mnie i tak nie dostanie nawet złamanego grosza. Tak, tak, najmilszy Aleksy Fiodorowiczu, mam zamiar długo jeszcze na świecie pożyć, zakarbuje to sobie w pamięci, i dlatego każda kopiejeczka jest mi potrzebna, a im dłużej żyć będę, tym potrzebniejsza - dodał, chodząc z kąta w kąt i trzymając ręce w kieszeniach swojego szerokiego, zatłuszczonego palta z żółtego lekkiego materiału. - Teraz, póki co, jestem jeszcze mężczyzną, a jakże, mam dopiero pięćdziesiąt siedem lat, ale chciałbym przynajmniej jeszcze ze dwadzieścia lat utrzymać się na froncie męskości, bo jak się zestarzeję - zbrzydnę i one nie będą przychodzić z własnej woli; wtedy właśnie przydadzą mi się pieniądze. Dlatego ciułam teraz sam dla siebie, zapamiętaj to sobie, bo do końca chcę żyć w porubstwie, a jakże, zapamiętaj to sobie. Słodsze jest życie w porubstwie: wszyscy pioruny niby ciskają, a sami nic innego nie robią, tylko skrycie, a ja otwarcie. Za tę moją szczerą wszystkich rozpustnicy tak się na mnie rzucają. A twojego raję, Aleksy Fiodorowiczu, wcale nie pragnę, nie przystoi nawet porządnej osobie do raję się pchać, jeśli ów raj nawet istnieje. Według mnie, zasnę snem nieprzespanym i nie obudzę się więcej, bo nic tam nie ma. Módlcie się za mną, jak chcecie, a jak nie chcecie, to pal was diabli. Taka jest moja filozofia. Dobrze mówił wczoraj Iwan, chociaż obaj mieliśmy w czubach. Iwan to samochwał, żadnej on tam mądrości nie ma... ani wykształcenia specjalnego też. Milczy i uśmiecha się tylko, a ludzie myślą, że wszystkie rozumy pozjadał. Alosza słuchał w milczeniu.

- Czemu to nie raczy rozmawiać ze mną? Gdy mówi, to zawsze jakoś nieszczerze, podły ten twój Iwan! A z Gruszą rychło się ożenię, jeśli zechcę. Kto ma pieniądze, ten może wszystko mieć, Aleksy Fiodorowiczu. Iwan boi się tego i pilnuje, żebym się z Gruszą nie ożenił, i dlatego namawia Mitię, żeby się z Gruszeńką ożenił. W ten niby sposób mnie od Gruszy ustrzeże. (Jemu się zdaje, że mu pieniądze zostawię, jeżeli się z Gruszą nie ożenię!) A z drugiej strony, jeżeli Mitia ożeni się z Gruszeńką, to Iwan weźmie jego bogatą narzeczoną. Takie ma wyrachowanie. Podły ten twój Iwan!

- Jakiż ojciec rozdrażniony! To po wczorajszym dniu. Może by się ojciec położył? - rzekł Alosza.

- Weźmy ciebie na przykład, mówisz mi takie rzeczy - nagle zauważył stary, jakby to po raz pierwszy wpadło mu do głowy - a ja się na ciebie nie gniewam. Żeby tak Iwan zrobił, to bym się

gniewał. Przy tobie tylko mam dobre chwile, bo ja przecie jestem zły człowiek.

- Ojciec nie jest zły, tylko zepsuty - uśmiechnął się Alosza.

- Słuchaj, ja tego Mitkę, rozbójnika, chciałem do więzienia wsadzić, i dziś jeszcze nie wiem, co postanowię. Pewno, wedle dzisiejszych modnych nauk, ojciec i matka to przesąd, ale wedle prawa to i dziś nie wolno kopać starego ojca butem w mordę, za włosy targać, i to w jego własnym domu, a na dobitkę krzyczeć przy świadkach, że się go zabije. Gdybym chciał, mógłbym natychmiast twego Mitę do więzienia wpakować.

- Ale ojciec nie chce, prawda?

- Iwan odradza. Ja bym na rady Iwana kichał, ale sam coś wymyśliłem..

Tu pochylił się ku Aloszy i rzekł mu konfidencyjnym szeptem:

- Gdybym tego hycła wsadził do więzienia, ona by się wnet dowiedziała i poleciała zaraz do niego. Przeciwnie, gdy się dowie, jak on mnie, słabego starca, skatował, ukrzywdził, to gotowa go rzucić i przyjść do mnie, dowiedzieć się o moje zdrowie... Już ja ją znam, taki ma charakter, wszystko na przekór. Znam ją na wylot! Chcesz koniaczku? Wiesz, kawa zimna, ale dolać ćwierć kieliszka, to wcale dobra będzie.

- Nie, nie trzeba, dziękuję. Bułeczkę wezmę ze sobą, jeśli ojciec pozwoli - rzekł Alosza, po czym wziął francuską bułkę za trzy kopiejki i włożył ją do kieszeni. - A koniaku niech ojciec nie pije - dodał troskliwie, patrząc mu w oczy.

- Racja, drażni i spokoju nie daje. Ale jeden kieliszeczek przecież można... Ja tylko z szafeczki...

To mówiąc otworzył „szafeczkę”, nalał sobie kieliszek koniaku, wypił, potem zamknął szafkę i klucz schował do kieszeni.

- Od jednego kieliszka nic się nie stanie.

- Od razu ojciec lepszy się zrobił - uśmiechnął się Alosza.

- Hm! Ja ciebie i bez koniaczku kocham, a z podłymi tom zawsze podły. Wańka nie jedzie do Czermaszni, a dlaczego? Szpieguje mnie, chce wiedzieć, ile dam Gruszy, gdy do mnie przyjdzie. Wszyscy podli! Ja do Iwana wcale się nie przyznaję, wcale go nie znam. Nie wiem nawet, skąd się taki wziął! On nie ma wcale takiej duszy jak my. I czy ja mu co zostawię? Nawet testamentu nie zrobię, zapamiętaj to sobie. A twego Mitkę zgniotę jak karalucha. Ja karaluchy po nocach depczę pantoflami. Jak przyduszę nogą, to trzaska. Tak samo trzaśnie ten twój Mitka. Twój Mitka, bo go kochasz. O, ty go kochasz, ale ja się nie boję, że go kochasz. A gdyby go tak Iwan kochał, to bym się bał o siebie. Tylko że Iwan nikogo nie kocha. Iwan to nie nasz człowiek, tacy ludzie, jak on, to nie nasi ludzie, ot, kurz przydrożny... Powieje wiatr, to i zmiecie... Wczoraj, kiedy ci kazał przyjść, miałem na myśli jedno głupstwo. Chciałem się dowiedzieć przez ciebie od Mitki: gdybym mu tak jaki tyśdziesiąt lub dwa teraz odpalił, to czyby się zgodził, golec jeden i huncwot, zmiatać stąd na pięć albo lepiej na trzydzieści pięć lat, bez Gruszeńki, że to się niby jej wyrzekł, co?

- Ja... ja go spytam - wybąkał Alosza. - Gdyby tak trzy tysiące, to on by może...

- Gadanie! Nie trzeba pytać, nic nie trzeba! Rozmyśliłem się. Wczoraj mi to z głupoty do głowy strzeliło. Nic nie dam, ani grosza, sam potrzebuję moich pieniędzy - gestykułował żywo stary. - Ja go i bez tego jak karalucha zgmiotę. Nic mu nie mów, bo jeszcze będzie na to liczył. A i ty nie masz co tu robić, wynoś się. A narzeczona jego, Katarzyna Iwanowna, którą przede mną tak starannie przez cały czas ukrywał, wychodzi za niego czy nie? Tyś do niej wczoraj chodził, zdaje się?

- Ona się go żadną miarą nie wyrzeknie.

- O, w takich durzą się delikatne panienczki, w hulakach i szubrawcach! Podłe, powiadam ci, są te blade panienczki... Ach, żebym ja miał jego lata i taką twarz, jaką wtedy miałem (bo byłem od niego przystojniejszy w dwudziestym ósmym roku życia), to bym także podbijał. Kanalia! Ale Gruszeńki i tak nie dostanie... Na proch go zetrę!

Słowa te znowu go rozjątrzyły.

- I ty także ruszaj stąd, nie masz tu dziś co robić - rzekł szorstko.

Alosza podszedł, aby się pożegnać, i pocałował go w ramię.

- A to co? - zdziwił się nieco stary. - Zobaczymy się jeszcze. A może myślisz, że się już nie zobaczymy?

- Ależ nie, ja tylko tak sobie, bezmyślnie.

- I ja tylko tak sobie... - spojrzał na niego stary. - Słuchaj! - krzyknął jeszcze za nim - przychodź, kiedy zechcesz, a nie zwlekaj, będzie zupa, ucha, znakomita, nie taka jak dziś, specjalna, przyjdź koniecznie! Jutro, słyszysz, przyjdź jutro!

Ledwo Alosza zniknął za drzwiami, Fiodor Pawłowicz podszedł do szafki i golnął jeszcze pół kieliszka.

- Więcej nie będę! - mruknął chrząkając, zamknął znowu szafkę, wsadził klucz do kieszeni, poszedł do sypialnego pokoju, położył się i z osłabienia natychmiast zasnął.

### III

## SPOTKANIE Z UCZNIAKAMI

„Bogu dzięki, że ojciec nie pytał mnie o Gruszeńkę - pomyślał Alosza wyszedłszy od ojca i kierując się ku domowi pani Chochłakow - jeszcze bym musiał opowiedzieć wczorajsze spotkanie.” Alosza z bólem wyczuwał, że zapaśnicy przez noc zebrali nowe siły i że serca ich znowu obróciły się w kamień. „Ojciec, rozdrażniony i zły, powziął widać jakieś postanowienie. A Dymitr? Pewno także



przez noc okrzepł w swej nienawiści, też pewnie rozjątrzony i zły, też chyba coś wymyślił... O tak, trzeba go koniecznie odszukać, i to dzisiaj, za wszelką cenę...”

Ale niedługo mógł rozmyślać: przytrafiła mu się bowiem przygoda na pozór błaha, która jednak wywarła na nim głębokie wrażenie. Przeszedł właśnie przez plac i skręcił w zaułek, aby wyjść na Michajłowską, która biegła równolegle do Wielkiej i była oddzielona od niej zaledwie małym rynsztokiem (w naszym mieście roilo się od rynsztoków), gdy zobaczył za mostem gromadkę chłopców w wieku od lat dziewięciu do dwunastu. Szli gwarnie ze szkoły, niosąc książki w tornistrach, zawieszonych na plecach, lub w torbach skórzanych, przerzuconych przez ramię. Jedni byli w kurtkach, inni w paletkach, a niektórzy w butach z miękkimi cholewami, w których lubią paradować chłopcy rozpieszczani przez zamożnych ojców. Cała gromadka rozmawiała z ożywieniem, widocznie nad czymś się naradzali. Alosza nigdy nie przechodził obojętnie mimo dzieci, nawet w Moskwie. Najbardziej lubił zupełnie małe dzieci, trzyletnie, chociaż i dziesięcioletnie bardzo mu się podobały. Toteż, chociaż był bardzo zatroskany, miał ochotę podejść do nich i wszcząć rozmowę. Podchodząc wpatrywał się w ich rumiane, ożywione twarzyczki i naraz zauważył, że każdy z nich trzyma po parę kamieni. Rozejrzał się wokoło i zobaczył po drugiej stronie rynsztoka, o trzydzieści może kroków od nich, chłopca, także uczniaka z torbą, stojącego pod płotem. Był bladziutki, wąty, o czarnych płonących oczach i wyglądał najwyżej na lat dziesięć, a może i na mniej. Przyglądał się bacznie tamtej gromadce, składającej się z sześciu chłopców, zapewne jego kolegów, z którymi widocznie się poróżnił. Alosza, podszedłszy do chłopców, zwrócił się do jednego z nich, rumianego, kędzierzawego blondynka w czarnej kurtce, i patrząc na niego, rzekł:

- Kiedy chodziłem do szkoły, to nosiliśmy zwykle torbę na lewym boku, aby łatwiej było sięgnąć prawą ręką, a kawaler ma na prawym, to o wiele niewygodniej.

Alosza zaczął bez żadnego wyrachowania od praktycznej uwagi. Jest to zresztą jedyny sposób zdobycia zaufania dziecka, a zwłaszcza całej gromadki dzieci. Trzeba właśnie zaczynać tak poważnie i praktycznie i jakby do równego sobie. Alosza wyczuł to instynktem.

- To mańkut - odpowiedział natychmiast jeden z malców, zdrowy, zuchowaty, może jedenastoletni uczniak.

Pozostałych pięciu chłopców wlepiło oczy w Aloszę.

- On i kamienie potrafi ciskać lewą ręką - dodał trzeci malec.

W tej chwili kamyk, ciśnięty zręczną i pewną ręką, trafił w gromadkę i z lekka otarł się o małego mańkuta, ale przeleciał mimo. Cisnął go chłopak zza rynsztoka.

- Ciśnij w niego, Smurow, oddaj mu! - wołali chłopcy. Lecz Smurow (mańkut) nie czekał na zachętę, aby odwzajemnić się przeciwnikowi. Cisnął kamieniem w chłopca za rynsztokiem, lecz chybił. Chłopiec zza rynsztoka natychmiast rzucił kamieniem w gromadkę, tym razem w Aloszę, i dosyć mocno uderzył go w ramię. Chłopiec za rynsztokiem miał kieszenie wypchane kamieniami. Widać to było z odległości trzydziestu kroków po odstających kieszeniach jego palta.

- On umyślnie pana uderzył, właśnie pana. Przecie pan jest Karamazow, Karamazow? -

zawołali chłopcy ze śmiechem. - No, teraz my wszyscy na niego, ognia!

I sześć kamieni jednocześnie poleciało przez rynsztok. Jeden uderzył chłopca w głowę tak mocno, że mały upadł, ale zerwał się natychmiast i zaczął wściekle ciskać kamieniami w gromadkę. Przez chwilę trwała zażarta kanonada. Okazało się, że niektórzy chłopcy też mieli w kieszeniach przygotowane wcześniej kamienie.

- Jak wy możecie! Jak wam nie wstyd, panowie! Sześciu na jednego! Zabijecie go przecież! - zawołał Alosza.

Wybiegł do przodu i stanął, chcąc zasłonić sobą chłopca za rynsztokiem przed lecącymi kamieniami. Trzech czy czterech na chwilę przestało rzucać.

- On pierwszy zaczął! - krzyknął chłopczyk w czerwonej koszuli zirytowanym dziecięcym głosem. - To podlec, Krasotkina w klasie dźgnął scyzorykiem, aż się krew połała. Krasotkin nie chciał się skarżyć, ale tego trzeba sprać...

- Za cóż to? Sami go pewnie drażnicie?

- A on przecie znowu kamieniem pana w plecy uderzył. On pana zna - zawołali chłopcy - i ciska teraz nie w nas, lecz w pana. No, dalej! Wszyscy razem. Celuj lepiej, Smurow!

I zaczęła się znów wymiana pocisków, tym razem zawzięta. W pewnej chwili kamień uderzył chłopca zza rynsztoka tak mocno w piersi, że ten krzyknął, zapłakał z bólu i zaczął uciekać pod górę w kierunku Michajłowskiej.

- Aha! stchórzył, zmyka! Wiecheć! - wołali chłopcy.

- Pan jeszcze nie wie, panie Karamazow, jaki on podły, takiego nie dość zabić - zawołał z zapalem chłopak w kurtce, widocznie najstarszy ze wszystkich.

- Cóż on takiego zrobił? - zapytał Alosza. - Skarżył się na was, tak?

Malcy spojrzeli po sobie jak gdyby z uśmiechem.

- Pan idzie tą samą drogą co on? - podjął ów chłopak. - Dogoni go pan... O tam, zatrzymał się znowu, czeka i patrzy na pana.

- Na pana patrzy, na pana patrzy! - podchwycili chłopcy.

- Niech go pan zapyta, czy lubi wiecheć kąpielowy, rozwichrzony wiecheć. Niech go pan zapyta!

Wszyscy się roześmieli. Alosza patrzył na nich, a oni na niego.

- Niech pan nie idzie, on pana uderzy - ostrzegał Smurow.

- Panowie, ja go pytać o wiecheć nie będę, bo wy go pewnie tym w jakiś sposób drażnicie, ale się dowiem od niego, za co go tak nienawidzicie...

- Niech pan się dowie, niech pan się dowie - zaśmiali się chłopcy.

Alosza przeszedł przez mostek i skierował się pod górę. Szedł pod płotem wprost ku samotnemu chłopcu.

- Niech pan uważa - wołały za nim dzieci ostrzegawczo - on się pana nie przestraszy, walnie znieńcka... jak Krasotkina...

Chłopczyk czekał na niego, nie ruszając się z miejsca. Zbliżywszy się, Alosza ujrzał przed sobą chłopca może dziesięcioletniego, wątłego, niskiego wzrostu, o szczupłutkiej, bladziutkiej, pociągłej twarzyczce, o dużych, ciemnych, nienawistnie pałających oczach. Ubrany był w dość stary, wyszarzały paltocik, z którego dawno wyrósł, w połatane na prawym kolanie spodenki i stare buciki, z których prawy był podarty, dziury zaś zasmarowane atramentem. Z bardzo krótkich rękawów paletka sterczały gołe ręce. Obie kieszenie palta były wypchane kamieniami. Alosza zatrzymał się przed nim na dwa kroki i spojrzał pytająco. Malec domyśliwszy się od razu ze spojrzenia Aloszy, że nic mu nie grozi, spuścił nieco z tonu i nawet sam zaczął rozmowę.

- Ja jeden, a ich sześciu... A przecież wszystkich pokonam - odezwał się nagle i oczy mu zabłyśły.

- Jeden kamień musiał cię boleśnie uderzyć - zauważył Alosza.

- Za to ja trafiłem Smurowa w głowę! - zawołał malec.

- Oni mi tam powiedzieli, że ty mnie znasz i umyślnie za coś we mnie kamieniem cisnąłeś.

Malec spojrzał na niego chmurnie.

- Ja cię nie znam, a czy ty mnie znasz? - dopytywał się Alosza.

- Niech się pan odczepi! - zawołał naraz z wściekłością chłopiec, chociaż sam nie ruszał się z miejsca, jakby wciąż na coś czekał, i znowu oczy mu gniewnie zabłyśły.

- Dobrze, pójdę - rzekł Alosza - tylko ja cię nie znam i nie drażnię się z tobą. Tamci powiedzieli mi, czym można cię podrażnić, ale ja nie chcę się z tobą drażnić, do widzenia!

- Mnich w portkach! - krzyknął chłopiec ścigając Aloszę wyzywającym i złym wzrokiem i stając w pozycji obronnej jakby się spodziewał, że teraz Alosza na pewno się na niego rzuci; lecz Alosza odwrócił się tylko, zmierzył go wzrokiem i poszedł dalej. Nie zdążył ująć trzech kroków, gdy ugodził go dotkliwie w plecy największy brukowiec, jaki chłopak miał w kieszeni.

- To ty z tyłu napadasz? Widać tamci prawdę mówili, że napadasz z tyłu - rzekł Alosza i znowu się odwrócił. Tym razem malec z wściekłością cisnął kamieniem, mierząc już prosto w twarz. Na szczęście Alosza zasłonił się w porę i kamień trafił go w łokieć.

- Jak ci nie wstyd! Co ja ci zrobiłem? - zawołał.

Chłopak nie odpowiadał i wyzywająco czekał tylko na to, że teraz już Alosza na pewno rzuci się na niego; widząc, że ów nawet i teraz nie rzuca się na niego, wpadł we wściekłość niczym zwierzątko; zerwał się i sam rzucił się na Aloszę, który nie zdążył się ruszyć, gdy ów pochyliwszy głowę pochwycił obydwoma rękami jego lewą rękę, wpił się w serdeczny palec zębami i przez jakie dziesięć sekund nie puszczał. Alosza krzyknął z bólu, wydzierając z całej siły rękę. Chłopak puścił ją wreszcie i odskoczył na poprzednią odległość. Palec był przegryziony do samej kości tuż przy paznokciu i broczył krwią. Alosza wyjął chusteczkę i mocno obwiązał zranioną rękę. Wszystko to trwało prawie minutę. Chłopiec wciąż stał i czekał. Wreszcie Alosza spojrzał na niego swoim łagodnym wzrokiem.

- Widzisz, jakieś mnie mocno ugryzł - rzekł owijając palec chustką. - No, to już chyba dosyć, prawda? Teraz powiedz, co ja ci złego zrobiłem.

Chłopiec spojrzał ze zdziwieniem.

- Chociaż ja cię nie znam i widzę po raz pierwszy - spokojnie ciągnął Alosza - ale chyba niemożliwe, bym ci nic złego nie wyrządził, bo nie skaleczyłbyś mnie tak, bez powodu. Więc co ci zrobiłem i czym sobie zasłużyłem na to?

Zamiast odpowiedzieć chłopiec rozplakał się głośno i nagle zaczął uciekać. Alosza z wolna poszedł za nim na Michajłowską i długo śledził wzrokiem, jak malec biegł przed siebie, nie zwalniając kroku, nie oglądając się i wciąż zapewne głośno płacząc. Alosza postanowił, że musi go odszukać, jak tylko będzie miał trochę czasu, i wyjaśnić tę zagadkę, która go zastanowiła. Teraz jednak spieszył się.

## IV U PANI CHOCHŁAKOW

Szybko doszedł do domu pani Chochłakow, piętrowej, pięknej kamienicy, jednej z najokazalszych w naszym miasteczku. Chociaż pani Chochłakow przebywała najczęściej albo w innej guberni, w której miała majątek, albo w Moskwie, gdzie miała dom, ale i w naszym miasteczku posiadała własny dom, odziedziczony po ojcu i dziadku. Zresztą majątek, który miała w naszym powiecie, był największy ze wszystkich trzech jej posiadłości ziemskich, lecz mimo to dotychczas przyjeżdżała do naszej guberni bardzo rzadko.

- Czy dostał pan list o nowym cudzie? - zawołała z nerwowym pośpiechem, wybiegłszy na spotkanie Aloszy do przedpokoju.

- Tak, dostałem.

- Czy pan go wszystkim pokazał? Przecież on matce powrócił syna!

- Dziś umrze - odparł Alosza.

- Słyszałam, wiem, o, jak bardzo pragnę z panem pomówić! Z panem lub z kimś innym, o tym wszystkim. Nie, z panem, z panem! Jaka szkoda, że nie mogę go raz jeszcze zobaczyć! Całe miasto jest przejęte, wszyscy czekają. Ale teraz... Wie pan, że Katarzyna Iwanowna jest w tej chwili u mnie?

- Ach, co za szczęście! - zawołał Alosza. - Zobaczę ją więc tutaj, bo wczoraj kazała mi, żebym koniecznie do niej przyszedł.

- Wiem, wiem o wszystkim. Słyszałam z najdrobniejszymi szczegółami o tym, co było wczoraj... i tych wszystkich okropnościach... z tą... kreaturą. *C'est tragique*, [7] i ja bym na jej miejscu... doprawdy nie wiem, nie wiem, co bym zrobiła. Ale i ten pana brat, Dymitr Fiodorowicz, cóż to za gagatek! O Boże, mąci mi się w głowie: proszę sobie wyobrazić - tam w salonie siedzi teraz brat pana, ale nie tamten, straszny, wczorajszy, ale ten drugi, Iwan Fiodorowicz, siedzi tam i rozmawia z nią: rozmowa uroczysta. I żeby pan wiedział, o czym! To straszne, to, powiadam panu, szarpanina, koszmar, doprawdy, trudno uwierzyć: gubią siebie nawzajem nie wiadomo po co, wiedzą o tym, delektują się swoją udręką. Jak ja czekałam na pana! Jak łaknęłam pana obecności! Nie potrafię tego znieść. Zaraz panu wszystko opowiem, ale teraz o czym innym, najważniejszym - o małym nie zapomniałam, że to najważniejsze: niech mi pan powie, dlaczego moja Lise dostała histerycznego ataku. Jak tylko usłyszała, że pan się zbliża, dostała histerii!

- Maman, to mama teraz histeryzuje, a nie ja - rozległ się przez szparę ledwo uchylonych drzwi sąsiedniego pokoju przenikliwy głosik Lizy. Drgał w nim jakby z trudem powstrzymywany śmiech. Alosza od razu zauważył tę szparę i domyślił się, że Liza ze swojego fotela patrzy na niego, ale nie mógł jej oczywiście dostrzec.

- Nic dziwnego, Lise, nic dziwnego... Od twoich kaprysów to i ja dostanę histerii, a zresztą ona jest taka chora, Aleksy Fiodorowiczu, całą noc gorączkowała, jęczała. Ledwom się doczekała doktora Herzenstube, który powiedział, że nic nie rozumie, że trzeba poczekać. Ten Herzenstube zawsze przychodzi i mówi, że nic nie rozumie. Jak tylko pan podszedł do domu, Lise krzyknęła, dostała ataku nerwowego i kazała się zawieźć do swego pokoju...

- Mamo, wcale nie wiedziałam, że on idzie, i bynajmniej nie dlatego kazałam się przenieść do tego pokoju.

- A to już nieprawda, Lise, doskonale wiedziałas, że Aleksy Fiodorowicz idzie, bo Julia ci powiedziała, kazałaś jej stać na czatach.

- Mamo kochana, doprawdy, że to bardzo niemądrze wygadywać takie rzeczy. Jeżeli chcesz się poprawić i powiedzieć coś mądrego, to zechciej, droga mamo, oświadczyć wielmożnemu panu Aleksemu Fiodorowiczowi, że to bardzo niemądrze z jego strony przychodzić tu po tym wszystkim, co wczoraj zaszło, nie zważając, że wszyscy się z niego śmieją.

- Lise, zanadto już sobie pozwalasz, wiedz, że cię w końcu za to skarczę. Któż się tu z niego śmieje? Cieszę się, że chciał przyjść - tak mi jest potrzebny, tak niezbędny. Och, Aleksy Fiodorowiczu, jestem wyjątkowo nieszczęśliwa!

- Cóż się kochanej mamie stało?

- Ach, te twoje ciągłe kaprysy, to roztrzepanie, twoja choroba, ta straszna noc i ten wieczny Herzenstube, przede wszystkim wieczny, wieczny, wieczny! I wreszcie, wszystko, wszystko... I wreszcie nawet ten cud! Jak mnie to wzruszyło, jak mną do głębi wstrząsnęło, Aleksy Fiodorowiczu! A jeszcze tam, ta tragedia w salonie, której znieść nie mogę, nie mogę, powiadam panu, że nie mogę. Zresztą to nie tragedia, to raczej komedia. Niech pan powie, Aleksy Fiodorowiczu, czy starzec Zosima dożyje jutra, dożyje? Boże mój, co się ze mną dzieje, zamykam wciąż oczy i myślę sobie: „Wszystko to głupstwo, głupstwo.”

- Przepraszam bardzo - przerwał raptem Alosza - czy mógłbym prosić panią o kawałek jakiejś czystej szmatki do przewiązania palca? Skaleczyłem się i bardzo mnie teraz boli.

Alosza pokazał ugryziony palec. Chusteczka nasiąkła krwią. Pani Chochłakow krzyknęła i zmrużyła oczy.

- Boże, jaka rana, to straszne!

Liza zaś, ujrawszy przez szparę palec Aloszy, z rozmachem otworzyła drzwi.

- Niech pan tu wejdzie, niech pan wejdzie - zawołała rozkazująco. - Teraz już bez głupstw! Mój Boże, jak pan mógł stać tyle czasu i nic nie mówić! Mamo, on mógł przecie zemdleć z upływu krwi! Jak to się stało, gdzie? Przede wszystkim wody, wody! Ranę trzeba przemyć, po prostu zanurzyć palec w zimnej wodzie, aby ból minął, i trzymać, trzymać... Prędkiej, prędkiej, wody, mamó, do płukalniczki. Prędkiej! - zawołała nerwowo. Była kompletnie przerażona, rana Aloszy bardzo ją przestraszyła.

- Może posłać po Herzenstubego? - zawołała pani Chochłakow.

- Mamo, ty mnie zabijesz. Twój Herzenstube przyjdzie i powie, że nic nie rozumie! Wody, wody! Mamo, na miłość boską, niech mama idzie sama, niech mama przynagli Julię, ona zawsze gdzieś się zawieruszy i nie można się jej doczekać! Prędkiej, mamó, bo umrę...

- Ależ to drobnostka! - zawołał Alosza, przestraszony ich przestraczem.

Przybiegła w końcu Julia z wodą. Alosza zanurzył palec.

- Mamo, na miłość boską, proszę przynieść bandaż, bandaż i tę gryzącą mętłą wodę do ran, no jakże się ona nazywa! Jest, jest... Mama sama wie, gdzie jest butelka, w mamy pokoju sypialnym, w szafce na prawo. Duża butelka i bandaż.

- Zaraz wszystko przyniosę, Lise, tylko nie krzycz tak i nie lękaj się. Widzisz, jak Aleksy Fiodorowicz znosi swoje nieszczęście. I gdzież to pan się tak okropnie zranił, Aleksy Fiodorowiczu?

Pani Chochłakow spiesznie wyszła. Lise tylko na to czekała.

- Przede wszystkim niech pan odpowie na pytanie - szybko zaczęła mówić Liza - gdzie się pan

raczył tak skaleczyć. A potem będziemy mówić o całkiem innych rzeczach. No!

Alosza wyczuł instynktem, że czas nieobecności matki jest dla Lizy bardzo drogi. Opowiedział więc naprędce, wiele skracając i opuszczając, ale niemniej jasno i dokładnie, całe zagadkowe zajście z chłopcami. Lise, wysłuchawszy opowiadania, załamała ręce.

- Jak można, jak można, i jeszcze w tej riasie, zadawać się ze smarkaczami! - zawołała z gniewem, jak gdyby miała na to jakieś prawo. - Ależ po tym wszystkim sam pan jest małym chłopcem, malutkim chłopczykiem! Niech się pan postara dowiedzieć o tym obrzydliwym chłopcu, a potem opowie mi pan wszystko, bo musi w tym tkwić jakaś tajemnica. Teraz druga sprawa, ale przedtem pytanie: czy może pan mimo bólu mówić ze mną o głupstwach co prawda, ale rozsądnie?

- Naturalnie, że mogę, a zresztą już mnie teraz tak nie boli.

- To dlatego, że trzyma pan palec w wodzie. Ale trzeba ją zmienić, bo się prędko ogrzewa. Julio! biegnij prędko do piwnicy, przynieś kawałek lodu i świeżej wody. No, poszła sobie, możemy teraz mówić o sprawie: prędko, drogi Aleksy Fiodorowiczu, niech pan zechce mi oddać ten list, który wczoraj do pana napisałam, prędziutko, bo mama może zaraz wrócić, a nie chcę...

- Nie mam przy sobie tego listu.

- To nieprawda, ma go pan przy sobie! Byłam pewna, że pan tak mi odpowie. Jest w tej kieszeni. Przez całą noc nie mogłam sobie darować tego głupiego żartu. Proszę mi zwrócić list, natychmiast, w tej chwili.

- Zostawiłem go.

- Ależ nie może mnie pan uważać za dziewczynkę, za małą, malutką dziewczynkę, po tym liście, z takim głupim żartem! Proszę mi darować ten głupi żart, ale list musi mi pan koniecznie odnieść, jeśli go pan naprawdę nie ma przy sobie, i to dziś jeszcze, koniecznie, koniecznie!

- Dziś to niemożliwe, bo gdy wrócę do monasteru, to nie wyjdę przez jakie dwa, trzy, może cztery dni, bo starzec Zosima...

- Cztery dni, co za głupstwo! Niech mi pan powie, czy pan się bardzo śmiał ze mnie?

- Wcale się nie śmiałem.

- Dlaczego?

- Bo uwierzyłem we wszystko.

- Pan mnie obraża!

- Ani trochę. Przeczytawszy list, pomyślałem sobie od razu, że wszystko się tak naprawdę stanie, ponieważ po śmierci starca Zosimy będę musiał zaraz opuścić monaster. Potem będę się uczył i zdam egzamin, a jak przyjdzie właściwy czas, pobierzemy się. Będę panią kochał. Nie miałem

jeszcze wprawdzie czasu myśleć, ale pomyślałem sobie, że lepszej żony nie znajdę, a starzec kazał mi się ożenić...

- Ja przecież jestem kaleką, w wózku mnie wożą! - zaśmiała się Liza z wypiekami na twarzy.

- Sam będę panią woził, chociaż jestem pewien, że do tego czasu pani wyzdrowieje.

- Pan oszalał - mówiła nerwowo Liza - jak można brać na serio głupie żarty!... Ale otóż i mama, w samą porę. Czyż można tak długo siedzieć, zawsze się mama musi spóźnić! O, jest i Julia z lodem!

- Ach, Lise, nie krzycz tak, przede wszystkim nie krzycz. Od tego twojego krzyku ja... Cóż miałam robić, tak schowałam bandaże, że znaleźć ich nie mogłam. Szukałam, szukałam... Podejrzewam, że umyślnie to zrobiłaś.

- Nie mogłam przecież wiedzieć, że przyjdzie z pogryzionym palcem; gdybym wiedziała, może bym naprawdę to zrobiła. Mamo, aniele mój, zaczynasz naprawdę mówić bardzo dowcipnie.

- Niech i tak będzie, Lise, ale jak się wyrażasz, choćby teraz, o skaleczonym palcu Aleksego Fiodorowicza, i w ogóle! Och, drogi Aleksy Fiodorowiczu, zabija mnie nie jakaś drobnostka, nie ten Herzenstube, ale wszystko razem, w całości, tego właśnie znieść nie mogę.

- Dosyć, mamo, dosyć już o tym Herzenstube - roześmiała się wesoło Lise - niech mama prędeż da bandaże i wody. To po prostu woda gulardowa, Aleksy Fiodorowiczu, teraz dopiero przypomniałam sobie nazwę, ale to wspaniałe lekarstwo. Niech mama sobie wyobrazi, że Aleksy Fiodorowicz pobił się z chłopakami na ulicy i jeden z tych smarkaczy ugryzł go w palec. Sam taki dzieciak, więc czyż po tym wszystkim może się żenić, bo niech mama sobie wyobrazi, że chce się żenić. Niech mama wyobrazi go sobie jako męża, czy to nie jest śmieszne, czy to nie jest przerażające?

I Lise figlarnie patrząc na Aloszę zaśmiała się swoim nerwowym śmieszkiem.

- Jak to męża? A cóż to ciebie obchodzi? To wcale nie o ciebie chodzi... a ten chłopiec może był wściekły.

- Ach, mamo! Czyż bywają wściekli chłopcy?

- Pewnie, że bywają, Lise! przecież nie opowiadam bajek. Może tego chłopca ugryzł wściekły pies, i dlatego chłopiec się wściekł i rzuca się z kolei na ludzi. Jak ona panu doskonale obandażowała rękę, Aleksy Fiodorowiczu, ja bym tak nigdy nie potrafiła. Czuje pan jeszcze ból?

- O wiele mniejszy.

- A nie ma pan wodowstrętu? - pytała Liza.

- Dosyć już tego, Lise. Wymknęło mi się o tym wściekłym chłopcu, a ty już chwytasz za słowa. Aleksy Fiodorowiczu, jak tylko Katarzyna Iwanowna dowiedziała się, że pan jest tutaj, rzuciła się do mnie, ona pragnie pana widzieć, pragnie.



- Ach, mammo! Niech mama sama idzie do niej, on jeszcze nie może, zanadto go boli.

- Ależ nie boli, mogę tam pójść zaraz... - rzekł Alosza.

- Jak to! Pan odchodzi?! To pan taki? To pan taki?

- Cóż takiego? Jak tam skończę, wrócę do pani i będziemy mogli znowu rozmawiać. A chciałbym bardzo zobaczyć jak najprędzej Katarzynę Iwanownę, bo chcę dziś jak najprędzej wrócić do monasteru.

- Zabierz go, mammo, stąd i jak najprędzej wyprowadź. Aleksy Fiodorowiczu, niech się pan nie fatyguje do mnie po rozmowie z Katarzyną Iwanowną, proszę wrócić prosto do swojego monasteru, tam pana miejsce. A ja chcę spać, nie spałam całą noc.

- Ach, Lise, ty tylko żarty sobie stroisz, ale gdybyś tak naprawdę zasnęła! - zawołała pani Chochłakow.

- Nie wiem, czym panią... Jeżeli pani chce, to zostanę tu trzy minuty jeszcze, nawet pięć - bąkał Alosza.

- Nawet pięć! Zabierz go, mammo, zabierz stąd czym prędzej tego potwora!

- Oszalałaś, Lise. Chodźmy, Aleksy Fiodorowiczu, ona dziś zbyt kapryśna, boję się ją drażnić. Nerwowa kobieta to nieszczęście, Aleksy Fiodorowiczu! Chociaż kto wie, może naprawdę spać jej się zachciało przy panu. Jak pan prędko przyprawił ją o sen, jak to cudownie!

- O, jak mama przyjemnie zaczęła mówić, niech cię uściskam za to, mammo.

- I ja ciebie nawzajem, Lise. Niech pan posłucha, Aleksy Fiodorowiczu - szepnęła tajemniczo i z przejściem pani Chochłakow wyszedłszy z Aloszą. - Nie chcę panu nic mówić naprzód, nie chcę uchylać tej zasłony, niech pan wejdzie i sam zobaczy, co się dzieje w salonie. To straszne, to najdziwniejsza w świecie komedia: ona kocha pańskiego brata Iwana Fiodorowicza, a wmawia w siebie, że kocha Dymitra Fiodorowicza. To straszne! Wejdę do nich razem z panem i jeżeli mnie nie przepędzą, doczekam się końca.

## V

### SZARPANINA W SALONIE

Ale w salonie rozmowa dobiegała już końca. Katarzyna Iwanowna była ogromnie wzburzona, choć wyraz miała stanowczy. W chwili wejścia Aloszy i pani Chochłakow Iwan Fiodorowicz wstał właśnie zbierając się do wyjścia. Twarz miał nieco przybladłą i Alosza patrzył na niego z niepokojem. Chodziło o to, że Alosza w tej chwili spodziewał się tu rozstrzygnąć jedną z wątpliwości, jedną z niepokojących zagadek, które ostatnimi czasy bardzo go trapiły. Jeszcze miesiąc

temu z rozmaitych stron słyszał wielokrotnie powtarzane domysły, że brat Iwan kocha Katarzynę Iwanownę i, co najważniejsza, że zamierza istotnie „odbić” ją Miti. Domysły owe wydawały się Aloszy potworne, choć nie dawały mu chwili spokoju. Kochał obu braci i wzdygał się na myśl o takiej między nimi rywalizacji. A tymczasem Dymitr Fiodorowicz wczoraj nagle bez ogródek sam oświadczył mu, że owszem, cieszy się z rywalizacji Iwana i że jemu, Dymitrowi, ona nawet bardzo pomoże. W czym mu pomoże? W poślubieniu Gruszeńki? Lecz to właśnie uważał Alosza za czyn ostateczny i desperacki. W dodatku wierzył święcie do wczorajszego wieczora, że Katarzyna Iwanowna kocha wielką, namiętą miłością brata jego Dymitra - ale tylko do wczorajszego wieczora. Prócz tego uroił sobie nie wiadomo czemu, że ona nie może kochać takiego człowieka jak Iwan, że kocha tylko takiego człowieka jak Dymitr, i właśnie takiego, jakim jest, mimo całą potworność takiej miłości. Jednak wczoraj, w czasie sceny z Gruszeńką, zamajaczyło mu nagle całkiem coś innego. Słowo „szarpanina”, wypowiedziane przed chwilą przez panią Chochłakow, przyprawiło go o dreszcz, bo właśnie tej nocy, gdy ocknął się przed świtem, szepnął do siebie, zapewne w związku ze snem, to samo słowo: „Szarpanina, szarpanina!” Śniła mu się zaś przez całą noc wczorajsza scena u Katarzyny Iwanowny. Toteż ogromnie go zastanowiło uporczywe twierdzenie pani Chochłakow, że Katarzyna Iwanowna kocha Iwana i że tylko gwoli „szarpaniny” umyślnie oszukuje siebie i sama się zamecza rzekomą miłością do Dymitra przez wzgląd na jakąś wdzięczność. „Tak, może istotnie powiedziała prawdę! Ale w takim razie, jaka jest sytuacja Iwana? Alosza wyczuwał jakimś instynktem, że taki człowiek, jak Katarzyna Iwanowna, musi rządzić, rządzić zaś mogła tylko Dymitrem, nie Iwanem. Albowiem tylko Dymitr (choćby po dłuższym czasie) mógł ukorzyć się przed nią w końcu „dla swego szczęścia” (czego mu zresztą Alosza gorąco życzył), natomiast Iwan - nie, Iwan nie mógłby się przed nią ukorzyć, a zresztą nie dałoby mu to szczęścia. Takie o nim mniemanie nie wiadomo dlaczego urobił sobie Alosza. I oto w chwili gdy wchodził do salonu, wszystkie te wątpliwości i myśli przemknęły mu przez głowę. Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy, niespodziewana i natrętna : „A jeżeli ona w ogóle nikogo nie kocha, ani tego, ani tamtego?” Muszę zwrócić uwagę czytelnika, że Alosza sam jak gdyby wstydył się takich myśli i robił sobie wyrzuty, gdy mu się narzucały, co się zdarzało szczególnie często w ostatnim miesiącu: „Bo i cóż ja mogę wiedzieć o miłości i kobietach, i jak mogę rozstrzygać o takich rzeczach” - beształ siebie po każdej tego rodzaju myśli, po każdym przypuszczeniu. A przy tym wszystkim nie można było nie myśleć. Rozumiał instynktownie, że na przykład teraz rywalizacja obu braci jest niezmiernie ważną sprawą dla obu i że wiele od niej zależy. „Jeden gad pożre drugą gadzinę” - wyraził się wczoraj w podnieceniu Iwan o Dymitrze Fiodorowiczu i ojcu. A zatem Iwan uważa Dymitra za gada i to może od dawna? Czy aby nie od czasu, jak poznał Katarzynę Iwanownę? Słowa te oczywiście wymknęły się wczoraj z ust Iwana mimo woli, lecz tym ważniejsze, że mimo woli. A jeżeli tak, to czy można mówić o zgodzie? Czy, przeciwnie, nie są to nowe ogniska nienawiści i niesnasek w rodzinie? A przede wszystkim nad kim się on, Alosza, ma litować? I czego każdemu z nich życzyć? Kocha jednego i drugiego, ale pośród tych wszystkich straszliwych sprzeczności nie wie, czego każdemu z nich życzyć. W tej gmatwaninie można się było zupełnie zgubić, serce Aloszy zaś nie znosiło rzeczy niewiadomych, bo charakter jego miłości był zawsze czynny. Nie mógł kochać biernie; kochając musiał od razu przychodzić z pomocą. Aby pomagać, trzeba wytknąć sobie cel, trzeba wiedzieć na pewno, co dla osoby, której się chce pomóc, jest dobre i pożyteczne; dopiero gdy się uzyska pewność, pomóc każdemu z nich naprawdę. Tu zaś zamiast konkretnych celów była tylko niejasność i zamęt. „Szarpanina” - powiedziano przed chwilą! Ale cóż on może zrozumieć nawet z tej szarpaniny? Nie pojmował nawet jednego słowa w tym chaosie!

Na widok Aloszy Katarzyna Iwanowna porywco i z pewną nawet radością odezwała się do Iwana Fiodorowicza, który zbierał się już do wyjścia:

- Jeszcze chwileczkę! Niech pan zostanie jeszcze chwileczkę. Chciałabym wysłuchać opinii tego człowieka, któremu ufam z całej duszy. Katarzyno Osipowno, niechże i pani nie wychodzi - dodała zwracając się do pani Chochłakow.

Posadziła Aloszę obok siebie, a pani Chochłakow usiadła naprzeciw, obok Iwana Fiodorowicza.

- Oto są wszyscy moi przyjaciele, jedyni, których mam na świecie, najdrożsi moi przyjaciele - zaczęła żarliwym głosem, w którym brzmiały szczere łyzy cierpienia, czym od razu zdobyła sobie serce Aloszy. - Aleksy Fiodorowiczu, pan był wczoraj świadkiem tej ohydy i widział pan, w jakim byłem stanie. Pan tego nie widział, Iwanie Fiodorowiczu, lecz on widział. Co on o mnie wczoraj pomyślał - nie wiem, wiem tylko, że gdyby to powtórzyło się dzisiaj, okazałabym te same uczucia, wypowiedziałabym te same słowa i wykonała te same ruchy. Pan pamięta moje ruchy, Aleksy Fiodorowiczu, pan sam mnie powstrzymał od jednego... (To mówiąc, zarumieniła się i oczy jej zabłyśły.) Oświadczam panu, Aleksy Fiodorowiczu, że nie mogę się z niczym pogodzić. Ja nawet nie wiem, czy kocham go teraz. Wydaje mi się, że jest godny politowania, to kiepskie świadectwo miłości. Gdybym go kochała, gdybym go nadal kochała, to zapewne nie litowałabym się teraz nad nim, lecz przeciwnie, nienawidziłabym go...

Głos jej zadrżał i łyzy zawisły na rzęsach. Aloszę przeszedł dreszcz wewnętrzny. „Szczera jest i prawdomówna - pomyślał - i... nie kocha już Dymitra!”

- Tak jest, tak - zawołała pani Chochłakow.

- Niech pani poczeka, droga Katarzyno Osipowno, nie powiedziałam rzeczy najważniejszej, nie powiedziałam ostatecznie, co postanowiłam dzisiejszej nocy. Czuję, że to jest może okropne postanowienie, okropne dla mnie, ale przeczuwam, że już za nic w świecie go nie zmienię, że tak już będzie do końca mego życia. Mój drogi, mój dobry, mój stały i wielkoduszny doradca i głęboki znawca serc, i jedyny przyjaciel, którego mam na świecie, Iwan Fiodorowicz, pochwała mnie we wszystkim i aprobejuje moje postanowienie... Iwan Fiodorowicz je zna.

- Tak, pochwalam - odezwał się Iwan cichym, lecz stanowczym głosem.

- Ale pragnę, aby i Alosza (ach, Aleksy Fiodorowiczu, niech mi pan wybaczy, że tak poufale nazywam pana Aloszą), pragnę, aby i Aleksy Fiodorowicz powiedział mi teraz - wobec obu moich przyjaciół - czy mam słuszość, czy nie. Czuję instynktownie, że pan, Alosza, bracie mój drogi (bo jest pan moim drogim bratem) - wołała w uniesieniu, chwytając swoją rozpaloną ręką jego chłodną dłoń - przeczuwam, że pańska opinia, że pańska aprobata, mimo wszystkich moich cierpień, da mi spokój, ponieważ po pańskich słowach uspokoję się i pogodzę z losem, tak, czuję to!

- Nie wiem, o co mnie pani zapyta - odezwał się Alosza z zaczerwienioną twarzą - wiem tylko, że jest mi pani droga i że życzę pani w tej chwili więcej szczęścia niż sobie... Ale ja przecież zupełnie się nie znam na tych sprawach... - dodał nagle z pośpiechem.

- W tych sprawach, Aleksy Fiodorowiczu, w tych sprawach najważniejszą rzeczą teraz jest honor i obowiązek, i coś jeszcze, nie wiem co, ale coś wznioślejszego nawet od obowiązku. Serce mi mówi o tym niepohamowanym uczuciu i ono niepohamowanie mnie pociąga. Wszystko zresztą powiem w dwóch słowach... zdecydowałam się już. Jeśli nawet on ożeni się z tą... bestią (zaczęła uroczyście), której nigdy, nigdy nie przebaczę, to mimo wszystko ja go nie porzucę! Od tej chwili nigdy już, nigdy go nie porzucę! - zawołała w jakiejś bez wyrazu, sztucznej i wymęczonej egzaltacji. - To nie znaczy, że będę się za nim wlokła, że będę mu się wciąż kręciła przed oczami, dokuczała, o nie, wyjadę do innego miasta, wszystko jedno gdzie, lecz całe życie, całe życie będę śledziła nieustannie każdy jego krok. A kiedy będzie z tamtą nieszczęśliwy, a to stać się musi, i to prędko, wówczas niech przyjdzie do mnie, a znajdzie we mnie przyjaciela, siostrę... Tylko siostrę, rozumie się, i to na wieki, ale przekona się wreszcie, że ta siostra jest istotnie prawdziwą jego siostrą, kochającą go, poświęcającą mu całe swe życie. Dopnę tego, doprowadzę do tego, że wreszcie pozna mnie i wszystko mi wyzna, niczego się nie wstydząc - zawołała jakby w szale. - Będę mu Bogiem, do którego będzie się modlił, winien mi to jest choćby za swoją zdradę, za to, co wczoraj przez niego wycierpiałam. I niech widzi przez całe swe życie, że zawsze będę mu wierna, będę wierna danemu słowu, któremu on się sprzeniewierzył. Będę... Stanę się jedynie środkiem jego szczęścia (albo, jak to się mówi, instrumentem, motorem jego szczęścia), i to na zawsze, na zawsze, i żeby on to wiedział przez całe swoje życie! Oto moje postanowienie! Iwan Fiodorowicz całkowicie je aprobuje.

Zabrakło jej tchu. Zapewne o wiele godniej, lepiej i naturalniej zamierzała wypowiedzieć swoją myśl, jednak wypadło to zbyt porywczo i zbyt szczerze. Wiele było w tych słowach młodego nieopanowania, wiele akcentów wczorajszego uniesienia i obrażonej dumy. Czuła to sama. Twarz jej nagle zasepiła się, oczy nabrały złego wyrazu. Nie uszło to uwagi Aloszy. Poczul dla niej głębokie współczucie. I wówczas Iwan dolał oliwy do ognia.

- Ja tylko wypowiedziałem swe zdanie - rzekł. - U każdej innej kobiety mogłoby się to wydawać nieszczerze, nadrabiane, a u pani - bynajmniej. Każda inna nie miałaby słuszności, lecz pani ma słusność! Nie wiem, jak to umotywować, ale widzę, że pani jest w najwyższym stopniu szczerą, dlatego też ma pani słusność...

- Ale przecież to tylko w tej chwili... A czymże jest ta chwila? To tylko wczorajsza zniewaga - oto i macie państwo całą tę chwilę! - zawołała pani Chochłakow; jakkolwiek nie miała wcale zamiaru się wtrącać, tym razem nie mogła się pohamować i wypowiedziała nagle tę bardzo trafną uwagę.

- Tak, tak - podjął Iwan z jakąś nagłą zapalczywością, niezadowolony snadź, że mu przerwano - tak, ale dla innej kobiety ta chwila jest tylko wczorajszym wrażeniem, i tylko chwilą, natomiast dla takiego człowieka jak Katarzyna Iwanowna chwila owa ciągnąć się będzie całe życie. Co dla innych jest obietnicą, to dla niej - wiecznym, ciężkim, może ponurym, ale nieustannym obowiązkiem. I będzie odtąd napawać się poczuciem spełnionego obowiązku! Życie pani, Katarzyno Iwanowno, upłynie w cierpiętniczej kontemplacji własnych uczuć, własnego bohaterstwa i własnej niedoli; ale w końcu cierpienia pani złagodnieją i życie pani obróci się w słodkie rozpamiętywanie urzeczywistnionego raz na zawsze, niezłomnego i dumnego zamiaru, istotnie w swoim rodzaju dumnego, i chociaż pełnego determinacji, lecz zakończonego zwycięstwem; ta właśnie świadomość da pani w końcu najpełniejsze zadowolenie i pogodzi ją ze wszystkim...

Wypowiedział to głosem pewnym, z jakąś złośliwością widać naumyślnie, a może nawet nie usiłując ukryć swojego zamiaru, że mówi to naumyślnie i drwiąco.

- O Boże, wszystko to nie tak, jak być powinno! - znowu wykrzyknęła pani Chochłakow.

- Aleksy Fiodorowiczu, niech mi pan powie swoje zdanie! Muszę wiedzieć koniecznie, co pan o tym sądzi! - zawołała Katarzyna Iwanowna i nagle załżała się łzami.

Alosza wstał z kanapy.

- To nic, nic! - mówiła z płaczem. - To nerwy, to po dzisiejszej nocy, ale u boku takich przyjaciół, jak pan i brat pański, czuję się jeszcze dosyć silną... ponieważ wiem... wy nigdy mnie nie opuścicie.

- Niestety, jutro już będę może musiał wyjechać do Moskwy i na długo rozstać się z panią... I na to niestety nie ma rady... - odezwał się nagle Iwan Fiodorowicz.

- Jutro, do Moskwy! - Twarz Katarzyny Iwanowny skrzywiła się raptownie. - Ależ... ależ, mój Boże, jak to dobrze! - zawołała zmienionym naraz głosem, natychmiast przestając płakać, że nawet śladu nie zostało po łzach. Zdumiewająca ta zmiana odbyła się w mgnieniu oka i ogromnie zdziwiła Aloszę: z biednej, znieważonej dziewczyny, płaczącej żałośnie, Katarzyna Iwanowna przedzierzgnęła się w kobietę doskonale panującą nad sobą i nawet jak gdyby nadzwyczaj z czegoś zadowoloną, jakby uradowaną.

- O, nie to jest dobre, że pan wyjeżdża, oczywiście że nie to - poprawiła się naraz z miłym, wytwornym uśmiechem - taki przyjaciel jak pan nie może mnie o to posądzać; przeciwnie, jestem zbyt nieszczęśliwa, że pana tracę (podbiegła nagle do Iwana Fiodorowicza i, chwyciwszy go za rękę, uściśnęła je serdecznie). Lecz dobrze, że pan będzie mógł osobiście opowiedzieć w Moskwie mojej ciotce i Agaszy o mojej sytuacji, o całej jej obecnej okropności, oczywiście oszczędzając moją miłą cioteczkę, jak to pan zresztą sam potrafi najlepiej zrobić, i nic nie ukrywając przed Agaszą. Nie może pan sobie wyobrazić, jaka byłam wczoraj i dzisiaj rano nieszczęśliwa, nie wiedziałam bowiem, jak napisać ten okropny list... przecież w liście nie sposób opisać to wszystko... Natomiast teraz przyjdzie mi to z łatwością, skoro wiem, że pan je odwiedzi i wszystko wyjaśni osobiście i uzupełni. O, jakże się cieszę! Ale tylko z tego się cieszę, niech mi pan wierzy. Sam pan oczywiście jest niezastąpiony... Biegnę prędko napisać list - dodała nagle i zrobiła krok ku wyjściu.

- A Alosza? A zdanie Aleksego Fiodorowicza, które pani tak pragnęła wysłuchać? - zawołała pani Chochłakow.

W jej słowach zabrzmiała nutka gniewu i zjadliwości.

- Nie zapomniałam o tym - zatrzymała się Katarzyna Iwanowna. - A czemuż to pani jest tak niechętnie do mnie usposobiona w takiej chwili, Katarzyno Osipowno? - zapytała z gorzkim i namiętym wyrzutem. - Potwierdzam to, co powiedziałam. Muszę koniecznie znać jego zdanie. Ale to nie wszystko: potrzebna mi jego decyzja! Będzie tak, jak on powie - oto jak bardzo pragnę usłyszeć pańskie słowa, Aleksy Fiodorowiczu... Ale co się panu stało?

- Nigdy nie myślałem, nie mogę sobie tego wyobrazić! - zawołał nagle Alosza, ogromnie rozgoryczony.

- Czego, czego?

- On wyjeżdża do Moskwy, a pani zawołała, że się bardzo cieszy - pani to umyślnie zrobiła! A potem od razu zaczęła się pani tłumaczyć, że panią nic z tego nie cieszy, że owszem, żałuje pani, że... traci przyjaciela - ale i to pani umyślnie powiedziała, zagrała pani jak w komedii, jak na scenie...

- Na scenie? Jak to?... Cóż to jest? - zawołała Katarzyna Iwanowna, niezwykle zdumiona, rumieniąc się gwałtownie i marszcząc brwi.

- Mimo tych zapewnień, że szkoda pani tracić przyjaciela, powtarza mu pani kilkakrotnie, że bardzo dobrze się stało, iż on wyjeżdża... - wypalił bez tchu Alosza. Stał przy stole i nie siadał.

- O czym pan mówi, nie rozumiem...

- Sam nie wiem... Nagle olśniło mnie jak objawienie... Wiem, że źle to określam, ale mimo to powiem wszystko - ciągnął dalej Alosza drżącym wciąż i załamującym się głosem - olśniło mnie, że pani wcale może nie kocha Dymitra... od samego początku... I Dymitr może też pani wcale nie kocha... od samego początku... tylko szanuje... Doprawdy nie wiem, jak się zdobyłem na tę odwagę, ale ktoś musi przecież powiedzieć prawdę... bo tu nikt nie chce mówić prawdy...

- Jakiej prawdy? - zawołała Katarzyna Iwanowna i w głosie jej zabrzmiała nutka hysterii.

- A takiej - wyszeptał Alosza brnąc coraz dalej - niech pani zaraz wezwie Dymitra, ja go odnajdę, i niech on przyjdzie tu i weźmie panią za rękę, potem weźmie za rękę Iwana i połączy wasze ręce. Pani dręczy Iwana tylko dlatego, że pani go kocha... a dręczy pani dlatego, że w Dymitrze kocha pani własną szarpaninę, kocha pani nieprawdziwie... bo pani sobie to wmówiła...

Alosza urwał nagle i umilkł.

- Ty... ty... prostaczku Boży! - rzuciła naraz Katarzyna Iwanowna z pobladłą twarzą i wykrzywionymi wargami. Iwan Fiodorowicz zaśmiał się i wstał. W rękę trzymał kapelusz.

- Omyliłeś się, mój poczciwy chłopcze - odezwał się nagle. Twarz jego miała wyraz, jakiego Alosza nigdy u niego nie widział; była z niej jakaś młodzieńcza prostota i silny, niepowstrzymanie szczerzy zapał. - Katarzyna Iwanowna nigdy mnie nie kochała! Wiedziała przez cały czas, że ją kocham, mimo że nigdy jej o tym słowa nie powiedziałem, wiedziała, lecz nie kochała mnie. Przyjacielem jej również nigdy nie byłem, nigdy, ani jednego dnia: dumna kobieta nie potrzebowała mojej przyjaźni. Trzymała mnie przy sobie, aby się nieustannie mścić. Mściła się na mnie za wszystkie zniewagi, które stale, co chwila wyrządzał jej Dymitr od czasu ich pierwszego spotkania... Bo i to spotkanie wryło się w jej sercu jako zniewaga. Oto jakie ma serce! Przez cały czas byłem tylko powiernikiem, słuchałem tylko jej wynurzeń na temat miłości do Dymitra. Teraz wyjeżdżam, ale niech się pani dowie, Katarzyno Iwanowno, że pani naprawdę kocha tylko jego. I im bardziej panią obraża, tym mocniej go pani kocha. Oto i cała pani szarpanina. Kocha go pani właśnie takiego, jakim

jest, kocha go pani jako swojego krzywdziciela. Gdyby się poprawił, od razu przestałaby go pani kochać. Ale on jest pani potrzebny, aby pani mogła nieustannie rozpamiętywać heroizm swej wierności i aby mu wyrzucać jego wiarołomstwo. Wszystko to płynie z pychy. O, nie brak tu licznych poniżeń i upokorzeń, ale to wszystko z pychy... Jestem zbyt młody i zbyt mocno panią kochałem. Wiem, że nie powinienem pani tego mówić, że godniej byłoby odejść bez słowa, nie dotknąłbym pani tak boleśnie. Ale przecież jadę daleko i nigdy nie wrócę. Przecież to na zawsze... Nie chcę być obok tej szarpaniny... Zresztą, nie potrafię już nic powiedzieć, wszystko już powiedziałem... Żegnam panią, Katarzyno Iwanowno, nie wolno pani gniewać się na mnie, bo jestem stokroć bardziej od pani ukarany: ukarany tym choćby, że nigdy już pani nie zobaczę. Żegnam. Nie trzeba mi pani ręki. Zbyt świadomie dręczyła mnie pani, abym mógł w tej chwili pani przebaczyć. Później przebaczę, ale teraz nie trzeba ręki.

*Dein Dank, Dame, begehre ich nicht[8]*

- dodał z gorzkim uśmiechem, nawiasem mówiąc, dowodząc Aloszy, że i on potrafi czytać Schillera, a nawet cytować go z pamięci, o co by go Alosza nigdy dotychczas nie posądził. Wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy się nawet z panią domu.

Alosza załamał rękę.

- Iwan! - zawołał za nim z żalosną bezradnością - wróć, Iwan! Nie, nie, on teraz za nic w świecie nie wróci! - zawołał znowu w przystępie rozpaczliwej świadomości - ależ to ja jestem winien, to ja zacząłem. Iwan mówił to w złości. niesprawiedliwie i w złości... - wołał Alosza jak nieprzytomny.

Katarzyna Iwanowna wyszła raptem do drugiego pokoju.

- Nic pan złego nie zrobił, pan mówił zachwycająco, jak anioł - rzekła szybko i z zachwytem pani Chochłakow do zrozpaczonego Aloszy. - Dołożę wszelkich starań, aby Iwan Fiodorowicz nie wyjechał...

Twarz jej, ku najwyższej rozpacz Aloszy, promieniała radością. W tej chwili wróciła Katarzyna Iwanowna. W ręku trzymała dwa tęczowe banknoty.

- Mam do pana wielką prośbę, Aleksy Fiodorowiczu - rzekła, zwracając się do Aloszy, głosem na pozór spokojnym i opanowanym, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło. - Tydzień temu, tak, zdaje się, że tydzień temu Dymitr Fiodorowicz popełnił w zapalczywości niesprawiedliwy czyn, o tak, bardzo szkaradny. Jest tu taki podejrzany lokal, podrzędna restauracyjka. Dymitr Fiodorowicz spotkał się w niej z dymisjonowanym oficerem, sztabskapitanem, zausznikiem pańskiego ojca. Rozgniewany na tego sztabskapitana, Dymitr Fiodorowicz chwycił go za bródkę i wobec wszystkich wyciągnął na ulicę, no i na ulicy długo w ten sposób ciągnął. Powiadają, że synek tego sztabskapitana, który uczy się w tutejszej szkole, dziecko jeszcze, wyszedłszy ze szkoły przypadkowo natknął się na tą scenę. Biegł za nimi i głośno płakał, i prosił o litość, zwracał się do przechodniów o pomoc, ale wszyscy się tylko zaśmiewali. Wybacz pan, Aleksy Fiodorowiczu, ale nie mogę mówić bez najgłębszego oburzenia o tym jego haniebnym postępku... o tym postępku... na jaki Dymitr może

się zdobyć w gniewie... kiedy nie hamuje swoich namiętności! Nie mogę o tym mówić, nie jestem w stanie... Płaczą mi się słowa. Dowiadywałam się i powiedziano mi, że to bardzo biedny człowiek. Nazywa się Sniegirów. Za jakieś nadużycia usunięto go z wojska, nie znam bliższych szczegółów. Teraz, obarczony rodziną, nieszczęsną rodziną, chorymi dziećmi i obłąkaną żoną, wpadł w ostateczną nędzę. Dawno już mieszka w tym mieście, coś tam robił, był pisarzem, ale naraz przestano mu płacić. Spojrzałam na pana... myślałam - nie wiem, język mi się płacze - widzi pan, chciałam pana prosić, Aleksy Fiodorowiczu, najlepszy mój Aleksy Fiodorowiczu, aby pan go odwiedził, wyszukał jakiś pretekst, poszedł do niego, do tego sztabkapitana - o Boże, jak mi trudno mówić, i delikatnie, ostrożnie, tak właśnie, jak tylko pan potrafi to zrobić (Alosza zarumienił się) - wręczył mu to wsparcie, dwieście rubli. Na pewno przyjmie... to znaczy, trzeba go namówić, żeby przyjął... Ale nie, jak by się tu wyrazić? Widzi pan, to nie jest odczepne, aby nie zaskarżył Dymitra do sądu (zdaje się, że zamierzał to zrobić), tylko współczucie, litość; ja mu to daję, ja, narzeczona Dymitra Fiodorowicza, a nie on sam... Słowem, pan już to potrafi... Sama bym pojechała, ale pan to robi znacznie lepiej ode mnie. Mieszka na ulicy Jeziornej, w domu niejakiej Kałmykowej... Na miłość boską, Aleksy Fiodorowiczu, niech pan to robi dla mnie, a teraz... teraz jestem trochę... zmęczona. Do widzenia...

Tak porywczo odwróciła się i znikła znowu za portierą, że Alosza nie zdążył nawet słowa powiedzieć, chociaż pragnął coś powiedzieć. Chciał mianowicie prosić o wybaczenie, obwinić siebie - w każdym razie coś powiedzieć, albowiem na sercu miał wielki ciężar i nie mógł wyjść z pokoju, nie zdjęwszy z siebie tego ciężaru. Ale pani Chochłakow chwyciła go za rękę i sama wyprowadziła do przedpokoju. Tam stanęła przed nim, podobnie jak przy powitaniu.

- Dumna jest, walczy ze sobą, ale dobra, zachwycająca, wspaniałomyślna! - wołała półgłosem pani Chochłakow. - Jak ją kocham, zwłaszcza chwilami, i jak się teraz znowu, znowu ze wszystkiego cieszę! Drogi Aleksy Fiodorowiczu, pan przecie nic o tym nie wiedział: niech pan wie, że my wszystkie - ja i obie jej ciotki - no wszystkie, nawet Lise, już od miesiąca pragniemy tylko tego i modlimy się, aby rzuciła ulubieńca pańskiego, Dymitra Fiodorowicza, który nie chce jej znać i wcale jej nie kocha, i wyszła za mąż za Iwana Fiodorowicza, wykształconego i wspaniałego młodzieńca, który ją kocha nad życie. Uknułyśmy nawet cały spisek, i właściwie może dlatego tylko nie wyjeżdżam...

- Ale przecież ona płakała, znowu ją obraziłem - zawołał Alosza.

- Niech pan nie wierzy łzom kobiecym, Aleksy Fiodorowiczu - zawsze jestem przeciwko kobietom, zawsze w takich razach jestem po stronie mężczyzn.

- Mamo, mama go psuje i gubi - rozległ się spoza drzwi cieniutki głosik Lizy.

- Nie, to ja jestem winien wszystkiemu, strasznie zawiniłem! - powtarzał niepokieszony Alosza, wstydząc się okropnie swego wybuchu i nawet ze wstydu zakrywając rękoma twarz.

- Przeciwnie, postąpił pan jak anioł, jak anioł, gotowa jestem powtarzać to po tysiąc razy.

- Mamo, dlaczego on postąpił jak anioł? - rozległ się znowu głosik Lizy.



- Nie wiem, ale kiedy patrzyłem na to wszystko - ciągnął dalej Alosza, jak gdyby nie słysząc Lizy - wydało mi się, że ona kocha Iwana, i wówczas palnąłem to głupstwo... co to teraz będzie!

- Ale z kim, z kim? - krzyknęła Liza. - Mama chce mnie chyba do grobu wpędzić. Pytam się wciąż, a mama nic nie odpowiada.

W tej chwili wbiegła pokojowa.

- Katarzyna Iwanowna zasłabła... Płacze... spazmuje, rzuca się.

- Co się stało! - zawołała Liza przestraszonym głosem. - Mamo, to ja dostanę ataku histerycznego; a nie ona!

- Lise, na miłość boską, nie krzycz, nie zabijaj mnie. Jeszcze jesteś w tym wieku, że nie możesz wiedzieć tego, co wiedzą starsi; jak wrócę, wszystko ci opowiem, wszystko, co można ci będzie opowiedzieć. O mój Boże! Biegnę już, biegnę... Atak hysterii to dobra wróżba, to wspaniale, Aleksy Fiodorowiczu, że dostała ataku. Tak właśnie być powinno. Ja w takich razach zawsze jestem przeciw kobietom, przeciw wszystkim tym atakom hysterii i kobiecym łzom. Julio, biegnij i powiedz, że ja już lecę. A że Iwan Fiodorowicz tak wyszedł, to ona sama temu winna. Ale on nie wyjedzie. Lise, na miłość boską, nie krzycz tak! Ach, to nie ty krzyczysz, to ja krzyczę, daruj swojej mamie, ale jestem zachwycona, zachwycona, zachwycona! A czy pan zauważył, Aleksy Fiodorowiczu, jak młodzieńczo wyglądał Iwan Fiodorowicz, gdy to mówił i gdy wychodził! Myślałam sobie, taki uczony, profesor, a tu naraz tak gorąco, tak szczerze i młodzieńczo, popędliwie i młodzieńczo, i tak jakoś bardzo pięknie, jakby to pan... I ten wierszyk niemiecki powiedział, tak jakby pan! Ale pędzę już, pędzę, Aleksy Fiodorowiczu, niechże pan idzie, niech pan to załatwi i wraca tu czym prędzej. Lise, czy nie potrzebujesz czego? Na miłość boską, nie zatrzymuj Aleksego Fiodorowicza, zaraz do ciebie przyjdzie.

Pani Chochłakow wreszcie wybiegła. Alosza przed odejściem chciał otworzyć drzwi do pokoju. Lizy.

- Za nic w świecie! - zawołała Liza - teraz już za nic w świecie! Niech pan tak mówi, przez drzwi. Za co pana mianowano aniołem! Tylko to chciałam wiedzieć.

- Za okropne głupstwo, Lise! Do widzenia!

- Niech się pan nie waży tak odejść! - krzyknęła Liza.

- Lise, mam poważne zmartwienie! Wrócę zaraz, ale mam naprawdę wielkie zmartwienie!

I wybiegł z pokoju.

## VI SZARPANINA W IZBIE

Istotnie miał poważne zmartwienie, takie, jakie miewał dotychczas bardzo rzadko. Niepotrzebnie się wyrwał i palnął głupstwo, i o czym - o miłości! „Ale co ja o tym wiem, co ja mogę o tym wiedzieć? - powtarzał po raz setny, oblewając się rumieńcem - och, wstyd to jeszcze nic, wstyd to słuszna dla mnie kara, ale jest o wiele gorzej, bo teraz będę powodem wielu nowych nieszczęść... A przecież starzec wysłał mnie, abym godził i jednoczył. Czy tak trzeba jednoczyć?” Tu znowu przypomniał sobie, jak „złączył ich ręce”, i znowu się okropnie zawstydził. „Chociaż działałem zupełnie szczerze, na przyszłość jednak trzeba być mądrzejszym” - postanowił sobie wreszcie i nawet nie uśmiechnął się z tego postanowienia.

Z polecenia Katarzyny Iwanowny miał iść na ulicę Jeziorną, Dymitr zaś mieszkał po drodze, w zaułku nie opodal Jeziornej. Alosza postanowił odwiedzić go przed wizytą u sztabskapitana, chociaż przeczuwał, że nie zostanie go w domu. Przypuszczał nawet, że Dymitr rozmyślnie będzie go unikał, będzie chował się przed nim. Jednak za wszelką cenę musiał go odszukać. Czas upływał; myśl o dogorywającym starcu nie opuszczała go ani na chwilę, ani na sekundę od czasu, gdy wyszedł z monasteru.

W poleceniu Katarzyny Iwanowny jedna okoliczność zajęła go najbardziej: kiedy Katarzyna Iwanowna napomknęła o małym chłopcu, synku sztabskapitana, jak biegł obok ojca, płacząc na głos, Aloszy nagle wydało się, że to na pewno ten uczeń, który go ugryzł w palec, kiedy Alosza wypytywał go, czym go skrzywdził. Teraz już Alosza był tego pewien, nie wiedząc dlaczego. I tak, zaprzątawszy sobie głowę tymi dystrakcjami, Alosza postanowił nie myśleć teraz o tej „bidzie”, której narobił, nie dręczyć się skruchą, lecz działać, a co ma być, to będzie. Ta myśl natchnęła go w końcu otuchą. Skręciwszy w zaułek, gdzie mieszkał Dymitr, poczuł głód, wyjął z kieszeni bułkę, którą dał mu ojciec, i zjadł ją po drodze. Pokrzepiło to jego siły. Dymitra nie było w domu. Gospodarze - stary stolarz, jego syn i staruszka żona - jakoś podejrzliwie obejrzeli Aloszę. „Trzeci dzień, jak nie nocuje, może gdzie wyjechał” - odparł stary na natarczywe pytania Aloszy. Alosza zrozumiał, że odpowiada tak, jak mu kazano. Na pytanie: „Czy nie poszedł do Gruszeńki, a może znowu chowa się u Fomy?” (Alosza specjalnie puścił w ruch te sekrety) gospodarze spojrzeli na niego z wyraźnym lękiem. „Lubią go, nie chcą go zdradzić - pomyślał Alosza - to dobrze.” Wreszcie odszukał na Jeziornej dom Kałmykowej. Był to stary, zapadający się domek o trzech tylko oknach, wychodzących na ulicę, i z brudnym podwórzem, pośród którego stała samotnie krowa. Z podwórza wchodziło się do sieni; na lewo z sieni mieszkała stara gospodyni ze starą córką, obie, zdaje się, były głuche. Na pytanie Aloszy o sztabskapitana, kilkakroć powtórzone, jedna z nich, zrozumiawszy wreszcie, że pytają się o lokatorów, wskazała palcem drzwi sąsiedniej izby. Mieszkanie sztabskapitana było w istocie prostą izbą. Alosza ujął już za żelazny skobel, żeby otworzyć drzwi, lecz niezwykła cisza za drzwiami zdziwiła go nagle. Wiedział przecież ze słów Katarzyny Iwanowny, że dymisjonowany sztabskapitan ma rodzinę. „Albo wszyscy śpią, albo usłyszeli, że przyszedłem, i czekają, aż wejdem. Lepiej najpierw zastukam.” I zastukał. Odpowiedź rozległa się, lecz nie od razu, dopiero może po dziesięciu sekundach.

- Kto tam? - odezwał się ktoś donośnym i gniewnym głosem.

Alosza otworzył drzwi i przeszedł przez próg. Znalazł się w izbie, dosyć co prawda przestronnej, ale pozornie ciasnej, tyle tu było ludzi i wszelkiego sprzętu. Na lewo stał wielki

rosyjski piec. Od pieca do lewego okna przez całą długość pokoju przeciągnięty był sznur, na którym wisiały rozmaite szmaty. Wzdłuż obu ścian, na lewo i na prawo, stały dwa łóżka, pokryte robionymi na drutach kapami. Na jednym, z lewej strony, wznosiła się sterta z czterech poduszek, rozmaitych rozmiarów, większych na dole i mniejszych ku górze. Na drugim łóżku, z prawej strony, leżał tylko jasiek. Dalej, w pokuciu, niewielkie miejsce było odgrodzone zasłoną czy prześcieradłem, również przerzuconym przez sznur. Za zasłoną zaś na ławce i na przystawionym krześle leżała pościel. Zwykły drewniany, chłopski stół był wysunięty w kierunku środkowego okienka. Wszystkie trzy okna, z których każde miało po cztery małe, zielone i zapleśniałe szybki, przepuszczały niewiele światła i były szczelnie zamknięte, wskutek czego w pokoju było bardzo duszno i dosyć ciemno. Na stole stała patelnia z resztkami jajecznicy, przy niej nadgryziona kromka chleba i butelka piwa, z nie dopitymi resztkami na samym dnie. Koło lewego łóżka siedziała na krześle kobieta w perkalikowej sukni. Była bardzo chuda i cerę miała żółtą; niezwykle wpadnięte policzki świadczyły o chorobie. Ale najbardziej uderzył Aloszę wzrok ubogiej damy - wzrok niezwykle pytający i zarazem straszliwie wyniosły. I zanim sama przemówiła, przez cały czas, póki Alosza rozmawiał z gospodarzem, wyniosłe i pytająco przenosiła z jednego na drugiego swoje duże, piwne oczy. Obok niej, pod lewym okienkiem, stała młoda dziewczyna, o dość nieładnej twarzy, o rzadkich, rudawych włosach, ubrana ubogo, ale bardzo schludnie. Niechętnie patrzyła na wchodzącego Aloszę. Na prawo, także przy łóżku, siedziała jeszcze jedna postać kobieca. Było to biedne stworzenie, młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna, garbata i beznoga, a raczej o uschniętych nogach, jak dowiedział się później Alosza. Kule jej stały obok, w kącie między łóżkiem a ścianą. Przedziwnie piękne i dobre oczy biednej dziewczyny z jakimś łagodnym spokojem spjrzały na Aloszę. Wreszcie przy stole, kończąc jeść jajecznicę, siedział może czterdziestopięcioletni mężczyzna, niewysoki, szczupły, wątłej budowy, rudawy, o rudej rzadkiej bródce, bardzo podobnej do rozcapierzonego wiechcia kąpielowego (porównanie to i słowo „wiecheć” narzuciły się Aloszy od pierwszego wejrzenia - jak sobie później przypomniał). On to zapewne odezwał się zza drzwi: „Kto tam?”, ponieważ w pokoju nie było innego mężczyzny. Ale gdy Alosza wszedł, zerwał się z ławki, na której siedział przy stole, i podbiegł do niego, naprędce ocierając usta dziurawą serwetką.

- Mnich po kweście, wiedział, do kogo się wybrać! - rzekła głośno dziewczyna, stojąca w lewym kącie.

Mężczyzna, który podbiegł do Aloszy, natychmiast odwrócił się na pięcie i jakimś wzburzonym, łamiącym się głosem odpowiedział:

- Nie, łaskawa Barbaro Nikoławno, to nie to, nie domyśliłaś się! Pozwoli pan zapytać z kolei - nagle obrócił się znów ku Aloszy - co łaskawego pana skłoniło, żeby odwiedzić... tę pieczarę?

Alosza przyjrzał mu się badawczo. Widział tego człowieka po raz pierwszy. Było w nim coś kanciastego, jakiś pośpiech, irytacja. Chociaż zapewne dopiero co wypił, nie był bynajmniej pijany. Twarz jego wyrażała jakieś skrajne zuchwalstwo i jednocześnie - było to dziwne - jawną tchórzliwość. Wyglądał jak człowiek, który przez długi czas ulegał i znosił wszelkie zniewagi, lecz naraz zbuntował się i pragnie okazać swoją niezależność, albo raczej człowiek, który ma ogromną ochotę kogoś uderzyć, ale boi się okropnie, że jego uderzą.

W mowie jego i w intonacji dość piskliwego głosu brzmiała nutka jakiejś głupawej wesołości, to złośliwej, to znów nieśmiałej, ale ów ton wciąż się urywał. Mówiąc o „pieczarze” zadrzał jak

gdyby, wybałuszył oczy i przyskoczył do Aloszy tak blisko, że ów cofnął się machinalnie o krok. Mężczyzna ów miał na sobie ciemne, bardzo liche, nankinowe palto, całe w łatach i plamach. Spodnie miał jakieś wyjątkowo jasne, jakich nikt już od dawna nie nosił, w kratkę, z bardzo cienkiego materiału, zmiętoszone u dołu i wskutek tego buchaste u góry, jak gdyby z nich wyrósł niczym mały chłopiec.

- Jestem Aleksy Karamazow... - zaczął w odpowiedzi Alosza.

- Doskonale potrafię to zrozumieć, łaskawy panie - odparł od razu gospodarz, dając do zrozumienia, że i tak wie, kogo ma przed sobą. - Sztabskapitan Sniegiriow, łaskawy panie, chciałbym jednakowoż wiedzieć, co skłoniło pana...

- Ja tylko tak wstąpiłem. Właściwie chciałem powiedzieć panu słówko od siebie... Jeśli tylko pan pozwoli...

- W takim razie proszę krzeselko, łaskawy panie, zechciej pan zająć miejsce. To w starych komediach mówiono: „Zechciej pan zająć miejsce...”

To mówiąc sztabskapitan porywczym gestem chwycił nie zajęte krzesło (zwyczajne, chłopskie, bez obicia) i postawił je prawie pośrodku pokoju; następnie, przysunawszy drugie krzesło dla siebie, usiadł na wprost Aloszy, patrząc mu prosto w oczy i tak blisko, że kolana ich niemal się stykały.

- Mikołaj Ilicz Sniegiriow, łaskawy panie, były sztabskapitan rosyjskiej piechoty, jakkolwiek zhańbiony skutkiem swoich ułomności, jednakowoż, bądź co bądź, sztabskapitan, łaskawy panie. Należałoby raczej powiedzieć: sztabskapitan Łaskawopanow, zamiast Sniegiriow, bo w drugiej połowie życia zacząłem wszystkim czapkować i mówić: łaskawy panie. To bierze się z poniżenia.

- To prawda - uśmiechnął się Alosza - tylko czy to bierze się wbrew woli, czy naumyślnie?

- Bóg widzi, że wbrew woli. Nigdy nikomu nie mówiłem: łaskawy panie, przez całe życie, nagle upadłem i zacząłem powtarzać: łaskawy panie. To wpływ siły wyższej. Widzę, że pan interesuje się współczesnymi zagadnieniami. Czymże jednak zasłużyłem sobie na ciekawość łaskawego pana, albowiem mieszkam w warunkach, które uniemożliwiają przyjmowanie gości.

- Przyszedłem... w tej samej sprawie...

- W tej samej sprawie? - przerwał niecierpliwie sztabskapitan.

- Z powodu owego spotkania pana z moim bratem Dymitrem Fiodorowiczem - niezręcznie odparł Alosza.

- Jakiegoż to spotkania, łaskawy panie? Czy aby nie tamtego, łaskawy panie? To znaczy w sprawie wiechcia, kąpielowego wiechcia?

Wysunął się tak bardzo do przodu, że stuknął kolanami o kolana Aloszy. Wargi jego zacisnęły się jakoś osobliwie w wąziutką kreseczkę.

- O jakim wiechciu pan mówi? - wybąkał Alosza.

- To on na mnie, tato, przyszedł się skarżyć! - zawołał znany Aloszy głosik spoza zasłony. - To ja go w palec ugryzłem!

Zasłona rozsunęła się i Alosza ujrzał swego niedawnego wroga. Leżał w kącie pod obrazami na posłaniu, rozłożonym na ławie i na krześle. Był przykryty swoim paltocikiem i starą watową kołderką. Widać było, że jest niezdrów, a błyszczące oczy świadczyły o gorączce. Odważnie, inaczej niż poprzednio, patrzył teraz na Aloszę: „Jestem w domu, nic mi teraz nie zrobisz.”

- Jaki palec, co za palec? - zerwał się z krzesła sztabskapitan. - To on pana w palec ugryzł, łaskawy panie?

- Tak, mnie. Spotkałem go na ulicy, rzucał kamieniami w kolegów, a oni w niego: ich było sześciu, a on sam jeden. Podszedłem do niego, a on i we mnie rzucił, a potem drugi w głowę. Zapytałem go: co ja ci zrobiłem? Wówczas rzucił się na mnie i dotkliwie ugryzł mnie w palec, nie wiem za co.

- Zaraz mu dam baty, łaskawy panie! W tej chwili dam mu baty, łaskawy panie! - zerwał się z krzesła sztabskapitan.

- Ale ja się wcale nie skarżę, ja tylko tak opowiedziałem... Wcale nie chcę, żeby go pan bił. Zresztą zdaje się, że on jest chory...

- A pan myślał, że ja go będę bił, łaskawy panie? Że ja Iliuszeczkę wezmę i zaraz go zacznę bić w obecności pana, dla pańskiej niby to satysfakcji? Czy łaskawemu panu bardzo pilno? - powiedział sztabskapitan zwracając się nagle do Aloszy z takim gestem, jak gdyby zamierzał się na niego rzucić. - Bardzo żałuję, łaskawco, że pana paluszek bolał, ale czy nie chciałby pan, żebym, zanim zbiję Iliuszeczkę, ciachnął sobie przy panu, dla pańskiej słusznej satysfakcji, tym nożem, cztery własne palce! Cztery palce to będzie chyba dość dla łaskawego pana, żeby nasycić żądzę zemsty łaskawego pana, piątego chyba pan nie wymaga?

Nagle urwał, jak gdyby dech mu zaparło. Cała jego twarz, każdy mięsień twarzy trząsł się i drgał, oczy zaś rzucały zuchwałe wyzwanie. Był w stanie jakiegoś nieprzytomnego podniecenia.

- Zdaje się, że teraz wszystko zrozumiałem - odrzekł cicho i smutnie Alosza nie ruszając się z miejsca. - A więc synek pana to dobry chłopiec, kocha ojca i rzucił się na mnie jako na brata pańskiego krzywdziela... Teraz rozumiem - mówił, zamyślony. - Ale mój brat Dymitr Fiodorowicz żałuje tego, co zrobił, wiem o tym, i gdy tylko będzie mógł przyjść do pana, albo najlepiej spotkać się z panem znów w tym samym miejscu, to poprosi pana wobec wszystkich o przebaczenie... o ile pan się zgodzi.

- To znaczy wyrwał bródkę i przeprosił... Niby skwitował, dał satysfakcję, tak, łaskawy panie?

- O nie, zrobi wszystko, czego pan sobie będzie życzył i jak pan zechce!

- Więc, jeżeli, łaskawy panie, poproszę jego ekscelencję, aby ukląkł przede mną w tej samej

traktierni - to było w „Stołecznym Grodzie” - albo na placu, to uklęknij?

- Tak, uklęknij.

- Przeszył pan moje serce na wylot, łaskawy panie. Rozczulił do łez i przeszył, łaskawy panie. Zbyt głęboko odczuwam wspaniałomyślność pańskiego brata. Pozwoli łaskawy pan, że przedstawię resztę: moja rodzina, moje dwie córki i mój syn - mój pomiot. Jak umrę, kto ich pokocha? A póki żyję, kto mnie, prócz nich, kto mnie niegodnego kocha? Cudownie to Pan Bóg urządził dla każdego człowieka mego pokroju, łaskawy panie. Trzeba bowiem, łaskawy panie, aby ktoś mógł kochać nawet takiego człowieka jak ja...

- Ach, to święta prawda! - zawołał Alosza.

- Dostyc już tych błazeństw, byle dureń przyjdzie, to ojciec zaraz przed nim się wygłupia! - zawołała naraz dziewczyna stojąca pod oknem zwracając się do ojca z niechętną i pogardliwą miną.

- Zmityguj się nieco, Barbaro Nikoławno, pozwól podtrzymać honor domu - zawołał ojciec tonem rozkazującym, chociaż patrzył na nią z uznaniem. - Taki to już ma charakter, łaskawy panie! - zwrócił się znów do Aloszy.

*I w przyrodzie całej*

*Nicemu nie chciał błogosławić.*

Trzeba by w rodzaju żeńskim: „nie chciała błogosławić”. A teraz pozwoli pan, że przedstawię go mojej małżonce: oto Arina Pietrowna, beznoga pani, czterdzieści trzy lata, włada nogami, ale słabo. Z prostej rodziny pochodzi, łaskawy panie. Arino Pietrowno, wypogódź oblicze: oto Aleksy Fiodorowicz Karamazow. Niech pan wstanie, Aleksy Fiodorowiczu.

Porwał go za rękę i z siłą, której nie można było się po nim spodziewać, podniósł go nagle.

- Damie pana przedstawiam, trzeba wstać, łaskawy panie. Nie ów Karamazow, mamu, który... hm! i tam dalej, ale jego brat, pełen cnót i pokory. Pozwól przede wszystkim, Arino Pietrowno, pozwól, mamusiu, rączkę twoją ucałować.

I z szacunkiem, nawet z tkliwością pocałował żonę w rękę. Córka stojąca przy oknie z oburzeniem odwróciła się do nich plecami, pytająco-wyniosłe oblicze żony naraz wyraziło niezmierną łagodność.

- Witam pana, niech pan siada, panie Czernomazow - rzekła.

- Karamazow, mamusiu, Karamazow. Ona z prostej rodziny, łaskawy panie - szepnął znowu.

- Ano Karamazow czy jak tam, a ja zawsze Czernomazow... Niech no pan siada, po cóż on panu kazał wstać? Beznoga dama, powiada, nogi są, ale spuchły jak kłody, a ja wyschłam. Dawniej byłam

oj taka tęga, a teraz jak tyczka...

- Z prostej rodziny, z prostej pochodzi, łaskawy panie - powtórzył sztabskapitan.

- Papo, ach, papo! - odezwała się naraz garbata córka, która dotychczas milczała, i nagle zasłoniła oczy chustką.

- Błazen! - burknęła druga córka.

- Widzi pan, co u nas słysząc - rozcapierzyła palce matka wskazując córkę - jakby chmury szły; przeszły chmury i znowu to samo. Dawniej, jakeśmy w wojsku służyli, odwiedzało nas dużo takich gości. Ja, ojciec drogi, nie porównuję. Kto kogo kocha, niech sobie kocha. Żona diaka wtedy przychodzi i mówi: „Aleksander Aleksandrowicz najzaciejszy człek, a Nastasja Pietrowna, powiada, z piekła rodem.” „No, odpowiadam, niech się ubóstwiają, a z ciebie małe gówno i śmierdzisz.” „A ciebie, powiada, trzeba w ryzach trzymać.” „Ach, ty czarna, powiadam, wrono, kogo ty uczyć chcesz?” „Ja, powiada ona, czyste powietrze wpuszczam, a ty nieczyste.” „A zapytaj ty, powiadam, wszystkich panów oficerów, czy nieczyste we mnie powietrze, czy insze jakie?” I tak mi to od tego czasu na sercu leży, że niedawno siedzę tu jak teraz i widzę, ten-ci sam generał idzie, co tu na święta przyjechał. „Ano, powiadam mu, panie generale, czy szlachetnej damie wolno wpuszczać świeże powietrze?” „Tak, odpowiada, trzeba by lufcik albo drzwi otworzyć, bo u was powietrze nieświeże.” No i wszyscy tak samo! I co im moje powietrze szkodzi? Umarli gorzej pachną. „Ja, powiadam, powietrza waszego nie psuję, a pantofle zamówię i pójdę sobie.” Drodzy moi, najmilsi, nie przygadujcie matce rodzonej! Mikołaju Iliczu, ojciec drogi, czy ci nie dogadzam? Tyle tylko pociechy mam, że Iliusza ze szkoły wraca i kocha. Wczoraj jabłuszko przyniósł. Wybacz, ojciec, wybaczcie, drodzy moi, matce rodzonej, przebaczcie matce, samotna jestem i dlaczegóż to moje powietrze tak wam obrzydło?

I biedaczka nagle zaszlochała. Łzy popłynęły strumieniem. Sztabskapitan podbiegł do niej:

- Mamusiu, mamusiu kochana, no dosyć, dosyć! Nie jesteś samotna. Wszyscy cię kochają, wszyscy ubóstwiają!

Począł całować ją po rękach, z czułością głaskać po twarzy, po czym chwycił serwetkę i otarł jej łzy z twarzy. Aloszy wydało się, że i jemu w oczach zakręciły się łzy.

- Ano, widział pan, łaskawy panie? Słyszał pan, łaskawy panie? - z jakąś nagłą wściekłością zwrócił się sztabskapitan do Aloszy, wskazując palcem obłąkaną.

- Widzę i słyszę - wybąkał Alosza.

- Tatusiu, tatusiu! Czy ty naprawdę z nim... Zostaw go, tatusiu! - zawołał naraz chłopczyk, podnosząc się z posłania i patrząc na ojca błyszczącymi oczyma.

- Dosyć już wreszcie tych błazeństw, niechże się ojciec przestanie krygować, przestanie wyprawiać te głupie błazeństwa, które zdadzą się psu na budę!... - tym razem już z prawdziwą złością krzyknęła ze swego kąta Barbara Nikołajewna, i nawet tupnęła nogą.

- Zupełnie słusznie tym razem tracisz cierpliwość, Barbaro Nikoławno, i natychmiast uczynię ci zadość. Proszę włożyć swoją czapeczkę, Aleksy Fiodorowiczu, a ja swoją wezmę do ręki - i chodźmy. Muszę z panem przecie poważnie porozmawiać, ale nie tu, łaskawy panie. Ta panienska, co tu siedzi, to moja córka. Nina Nikołajewna, łaskawy panie, zapomniałem panu przedstawić - wcielony anioł... do śmiertelników zesłany... o ile pan potrafi to zrozumieć, łaskawy panie...

- Cały aż dygocze, jak w konwulsjach - dodała z oburzeniem Barbara Nikołajewna.

- A ta, która teraz na mnie nóżką tupie, łaskawy panie, i pajacem przeżywa, to również wcielony anioł i słusznie mnie potępia, łaskawy panie. Chodźmy, Aleksy Fiodorowiczu, trzeba to skończyć...

I uchwyciwszy Aloszę za rękę, wyprowadził go z pokoju prosto na ulicę.

## VII I NA ŚWIEŻYM POWIETRZU

- Świeże powietrze, łaskawy panie, a tam w moich apartamentach istotnie nieświeże, i to pod każdym względem. Przejdźmy się, łaskawy panie, powolnym krokiem. Bardzo bym chciał zainteresować łaskawego pana.

- Ja również mam do pana pewną sprawę, tylko nie wiem, jak zacząć - zauważył Alosza.

- Ma się rozumieć, że ma łaskawy pan do mnie jakąś sprawę, inaczej nie byłby łaskawy pan do nas zajrzał. Chyba nie przyszedł łaskawy pan tylko skarżyć się na malca? Chyba nie. A właśnie, o malcu, łaskawy panie. Tam nie mogłem łaskawemu panu wszystkiego opowiedzieć, ale teraz opiszę dokładnie całą scenę. Widzi łaskawy pan, mój wiecheć był gęstszy jeszcze tydzień temu - mówię o swojej bródce, tak przezwano moją bródkę, zwłaszcza uczniacy. No i wywłókł mnie wtedy pański brat, łaskawy panie, Dymitr Fiodorowicz, za tę bródkę z restauracji na plac. A właśnie ze szkoły wychodzili uczniowie, a z nimi mój Iliusza. Jak mnie zobaczył w takim stanie, podbiegł ku mnie. „Papo, woła, papo!” i chwyta mnie, obejmuje rączkami, chce wyrwać z rąk mego prześladowcy, woła do niego: „Puść go pan, daruj, to mój tatuś, to mój tatuś!” Tak właśnie wołał: „Daruj”, i za rękę go chwycił, i rękę, tę rękę ucałował... Pamiętam, o, pamiętam, łaskawy panie, jaką miał wtedy twarzyczkę, nie zapomniałem i nie zapomnę, póki żyć będę!...

- Przysięgam panu - zawołał Alosza - że brat mój przeprosi pana najszczerzej w świecie i da panu najzupełniejsze zadośćuczynienie, bodaj publicznie, na klęczkach, na tym samym placu... Zmuszę go do tego, inaczej znać go nie chcę!

- Ach, więc to dopiero w projekcie! Nie wprost od niego, a tak, ze szlachetności pańskiego gorącego serduszka, łaskawy panie. Trzeba było od razu powiedzieć. Nie, wobec tego i ja opowiem łaskawemu panu o wysoce rycerskiej i oficerskiej wspaniałomyślności, jaką brat pański wówczas okazał. Gdy przestał mnie targać za wiecheć i puścił, powiada: „Tyś oficer i ja oficer, jeśli znajdziesz sekundanta, porządnego człowieka, to przysyłaj, dam ci satysfakcję, chociażbyś był



szubrawcem.” Tak powiedział, łaskawy panie. Naprawdę, rycerski gest! Odeszliśmy wtedy z Iliuszką, a scena ta z historii rodzinnej pozostanie już na zawsze wyryta w jego duszy. Nie, gdzież tam nam do szlachty! Niech łaskawy pan sam powie, raczył pan odwiedzić moje apartamenty - i cóż pan zobaczył? Trzy panie siedzące, jedna beznoga i garbata, druga beznoga i obłąkana, a trzecia, no, ta ma nogi, ale zbyt mądra, studentka, do Petersburga się rwie, aby tam nad brzegami Newy wywalczać prawa dla rosyjskiej kobiety. Nie mówię o Iliuszy, chłopiec ma dziewięć lat, sam jak palec. Jeżeli umrę, co się stanie z tymi biedakami? Pytam łaskawego pana - co? Jeśli go wyzwę na pojedynek, a on mnie zabije - co wtedy? Co z nimi będzie? A jeśli nawet nie zabije, tylko przyprawi o kalectwo, to co: do pracy niezdatny, a gęba została; któż tę gębę nakarmi? Kto wszystkich wyżywi, łaskawy panie? Czy Iliusza, zamiast chodzić do szkoły, ma iść co dzień na żebrzy? Oto czym, łaskawy panie, byłby dla mnie ten pojedynek, głupie gadanie i nic więcej.

- On pana będzie prosił o przebaczenie, na placu do ziemi się panu pokłoni! - zawołał Alosza z rozplómiennym wejrzeniem.

- Chciałem go pozwać do sądu za obrazę - opowiadał dalej sztabskapitan - ale niech łaskawy pan przejrzy nasz kodeks, a sam się łaskawy pan przekona, że niewiele bym wskórał za moją krzywdę. A potem Agrafiena Aleksandrowna zawołała mnie i mówi: „Ani myśl o tym! Jeśli go pozwiesz do sądu, to tak ci pokieruje sprawę, że na jaw wyjdzie, iż Mitia bił ciebie za twoje łajdactwo, i sam pójdziesz do więzienia.” Bóg jeden wie tylko, czyje to było łajdactwo i z czyjego polecenia ja, robak mizerny, działałem - czy nie z polecenia Agrafieny Aleksandrowny i Fiodora Pawłowicza, łaskawy panie? „Nadto przepędzę cię na zawsze i grosza u mnie nie zarobisz - powiada. - No i mojego kupca (tak go nazywa, tego starego: «mój kupiec») zawiadomię, to i on ciebie przepędzi.” Ot, myślę sobie, jeżeli i kupiec mnie przepędzi, to u kogo zarobię? Przecież teraz tylko ich dwoje mi zostało, ona i ten kupiec, bo ojczulek pański, łaskawy panie, Fiodor Pawłowicz, nie tylko przestał mi ufać z pewnych ubocznych przyczyn, ale tak się na mnie zawziął, że jeszcze, mając w ręku moje pokwitowanie, chce mnie do sądu podać. Wskutek tego milczę i łaskawy pan widział moją pieczarę. A teraz łaskawy pan pozwoli, że zapytam, czy mój Iliuszka mocno pana ugryzł w palec? W domu nie śmiałem przy nim mówić na ten temat.

- Bardzo mocno. Nic dziwnego, mścił się na mnie jako na Karamazowie, za ojca. Był bardzo rozdrażniony, ale gdyby pan widział jego bójki z kolegami! To bardzo niebezpieczne, oni go jeszcze kiedy zabijają, dzieciaki, głupie dzieciaki, nie rozumieją, a kamień leci, głowę mu jeszcze, nie daj Boże, rozbije.

- Już trafił - nie w głowę, w piersi, łaskawy panie. Duży siniak nad sercem, wrócił ze szkoły, łaskawy panie, z płaczem, a teraz stęka i choruje.

- A wie pan, że pierwszy napada na wszystkich, mści się za pana, powiadają, że jednego chłopca, Krasotkina, dźgnął scyzorykiem w bok...

- Słyszałem i o tym, to niebezpieczne, łaskawy panie. Stary Krasotkin to tutejszy urzędnik, mogą być jeszcze kłopoty.

- Ja bym też radził panu - rzekł z przejściem Alosza - aby go przez jakiś czas do szkoły nie posyłać, dopóki się nie uspokoi... i z gniewu nie ochłonie...

- Gniew, łaskawy panie - podchwycił sztabkapitan - tak, właśnie gniew. W takim małym stworzeniu taki wielki gniew. Łaskawy pan wszystkiego nie wie. Niech mi łaskawy pan pozwoli opowiedzieć dokładnie tę historię. Chodzi o to, że dzieci po tym wszystkim zaczęły go drażnić wiechciem. Dzieci, łaskawy panie, bywają często okrutne. Każde z osobna aniołek z nieba, ale w gromadzie, zwłaszcza w szkole, bezlitosne. Zaczęli go drażnić, aż w Iliuszy obudził się szlachetny gniew. Inny chłopak, gorszy syn, pogodziłby się z tym, wstydziłby się ojca, zapierał; on przeciwnie, ujął się za mną. Za ojcem i za prawdą, za słusnością, łaskawy panie. Co on wycierpiał wtedy na ulicy, gdy całował brata łaskawego pana po rękach i wołał: „Daruj pan tatusiowi, daruj”, to już tylko Bóg wie i ja. I oto w ten sposób nasze dzieci, to znaczy nie wasze, ale nasze, dzieci biednej szlachty, poznają wcześniej prawdę, w dziewiątym roku życia. Bogaci, gdzie tam, łaskawy panie, przez całe życie takiej głębi nie ujrzą, lecz mój Iliusza w jednej chwili, na placu, gdy całował brata pańskiego po rękach, łaskawy panie, całą prawdę zgłębił. Weszła w niego ta prawda i przybiła go na wieki - zawołał w nieprzytomnym uniesieniu, uderzając prawą pięścią po lewej dłoni, jak gdyby chcąc tym gestem pokazać, jak to prawda przybiła Iliuszę. - Mój Iliuszka gorączkował, w nocy majaczył. Cały ten dzień, łaskawy panie, niewiele ze mną mówił, tylko w kącie siedział, niby lekcji się uczył, a wciąż raz po raz z kąta ku mnie zerkał. Nazajutrz upiłem się - zwyczajnie, grzeszny człowiek, z frasunku. Mamusia płakać zaczęła - kocham mamusię bardzo - ano i z frasunku gołnałem sobie. Niech pan mną nie gardzi, łaskawy panie. W Rosji najwięksi pijacy i najlepsi ludzie. Leżałem i nie bardzo tego dnia myślałem o Iliuszy, a w szkole chłopcy już mu zaczęli dokuczać. „Wiecheć, wiecheć! - wołali - twego ojca za wiecheć wyciągnął z knajpy, a tyś biegł za nim i prosił o przebaczenie!” Na trzeci dzień chłopiec, znowu przyszedł ze szkoły, łaskawy panie, bardzo blady, pytam, co mu jest - on nic. W moich apartamentach i mówić nie można: baby od razu, łaskawy panie, wtrącają swoje trzy grosze, a wiedziały już o tym od razu, pierwszego dnia. Barbara Nikołajewna już zaczęła warczeć. „Błazny, mówi, pajace, czy stać was na coś rozsądnego!” „Tak jest, powiadam, Barbaro Nikoławno, czy stać nas na coś rozsądnego?” Takem się jej pozbył. Wieczorem, łaskawy panie, wyszedłem z Iliuszą na przechadzkę tą samą drogą, którą teraz idziemy - od naszej furtki ciągnie się ona do tego wielkiego głazu, co tam na drodze jeden leży pod płotem i gdzie się wygon zaczyna: miejsce odludne i piękne. Idziemy z Iliuszą. Jego rączka w mojej ręce, malutka rączka, palce zimne, bo ma chore piersi. „Papo, mówi, papo!” „A co, synku?” - widzę, że oczki mu błyszczą. „Jak on tam ciebie wtedy!...” „Cóż robić, synku” - mówię. „Ty się z nim, papo, nie gódź. Chłopcy mówią, że on ci dał za to dziesięć rubli.” „Nie, Iliuszka, mówię, nigdy nie wezmę od niego pieniędzy.” Chłopiec zatrzęsł się cały, chwycił moją rękę i zaczął całować. „Papo, mówi, wyzwij go na pojedynek, oni mówią, żeś tchórz, że na pojedynek nie wyzwiesz, a dziesięć rubli weźmiesz.” „Nie, Iliusza, na pojedynek wyzwąć go nie mogę”, mówię, i powiadam mu pokrótce mniej więcej to samo, co panu przed chwilą powiedziałem. „Papo, mówi, ty się jednak z nim nie gódź, jak wyrosnę, wyzwę go i zabiję.” Oczki mu błyszczą, płoną. W dodatku ojcem jestem, trzeba mu słowo prawdy powiedzieć: mówię więc, że zabijać to grzech, nawet w pojedynku. „Papo, mówi, jak wyrosnę, to go powalę, szablę mu swoją szablą z ręki wytrącę, rzucę się na niego, zamierzę się szablą i powiem: «Mogę cię teraz zabić, ale daruję ci, widzisz.»”, Widzi łaskawy pan, co się działo w jego główce przez te dwa dni, o zemście marzył dzień i noc, właśnie o zemście, z szablą w rękę, i w nocy o tym zapewne bredził. Tymczasem co dzień przychodził ze szkoły bardzo zbity, dowiedziałem się o tym na trzeci dzień, i łaskawy pan ma słusność: nie poślę go więcej do tej szkoły. Domyśliłem się, że on jest sam przeciw całej klasie, że wszystkich sam wyzywa, ogarnęła go wściekłość, serce zawrzało gniewem - zląkłem się o niego. Idziemy dalej, spacerujemy. „Papo, pyta mnie, przecie bogaty zawsze jest najsilniejszy na świecie?” „Tak, synku, mówię, na świecie nikt nie jest silniejszy od bogatego.” „To ja się zbogacę, mówi,

zostanę oficerem i wszystkich pokonam, cesarz mnie nagrodzi, wrócę tu, a wtedy nikt już nie będzie śmiał...” Milczy, a potem znowu mówi, a usteczka wciąż mu się trzęsą: „Papo! jakie to nasze miasto brzydkie!” „Tak, synku, odpowiadam, nie bardzo piękne jest nasze miasto.” „To jedźmy do innego miasta, do ładnego miasta, gdzie nas nie znają, gdzie nic o nas nie wiedzą.” „Pojedziemy, powiadam, pojedziemy, Iliusza, niech tylko trochę grosza zbieram.” Ucieszyłem się bardzo, że go od czarnych myśli odciągam, i zaczęliśmy obaj marzyć, jak to pojedziemy sobie do innego miasta, kupimy na własność konika i wóz. Mamę i siostry wsadzimy na wóz, okryjemy je, a sami będziemy iść obok, czasem i ciebie na wóz wsadzę, a sam będę szedł obok, bo konika trzeba będzie oszczędzać, wszyscy nie będziemy mogli siedzieć, w ten sposób wywędrujemy do innego miasta. Był zachwycony, zwłaszcza że konik będzie nasz i że on na nim będzie jeździł. Wiadomo, rosyjski chłopak z konikiem się rodzi. Gawędziliśmy długo. „Dzięki Bogu, myślę sobie, rozerwałem go cokolwiek, pocieszyłem.” To było dwa dni temu, wieczorem, lecz wczoraj wieczór wszystko się odmieniło. Znowu rano poszedł do tej szkoły, wrócił zaszępiony, strasznie zaszępiony. Wieczorem wziąłem go za rączkę, wyprowadziłem na spacer, milczy, nic nie mówi. Zerwał się lekki wiaterek, słońce się schowało, powiało jesienią, mrok już zapadał - idziemy, smutno nam obu. „No, chłopcze, powiadam, kiedy zaczniemy wybierać się w drogę?” Myślę sobie: „Trzeba nawiązać do wczorajszej rozmowy.” Malec milczy. Tylko czuję, jak palce jego drgnęły. „E-e, myślę sobie, źle, znowu coś.” Doszliśmy jak teraz do tego kamienia, usiadłem na tym kamieniu, a na niebie latawce furkoczą, fruują, ze trzydzieści sztuk pewnie. Bo to teraz sezon na latawce. „O, powiadam, czas by puścić zeszłorocznego latawca. Trzeba będzie naprawić, gdzieś ty go schował?” Milczy mój chłopak, patrzy gdzieś w bok, odwrócił się ode mnie. A tu wiaterek znowu się zerwał, piaskiem miecie... Rzuca mi się nagle malec na szyję, oburącz mnie za szyję ściska. Wie pan, dzieci, jeżeli są milczące i ambitne, to długo łyzy hamują, ale kiedy ból wielki serduszko ściśnie i łyzy się przerwą, to nie ciurkiem płyną, lecz jak fontanna z oczu tryskają. Gorącymi łzami oblał mi całą twarz. Zaszłochał, zatrząsł się konwulsyjnie, przycisnął mnie do siebie, siedziałem właśnie na kamieniu. „Tatusiu, woła, tatusiu, drogi tatusiu, jak on ciebie poniżył!” Rozpłakałem się i ja, siedzimy i szlochamy obaj. „Tatusiu, wołał, tatusiu!” „Iliusza, wołam, Iliuszeczka!” Nikt nas wtedy nie widział, tylko Bóg jeden - może mi to do stanu służby wpisze. Niech pan podziękuje bratu, Aleksy Fiodorowiczu. Nie, dla pańskiej przyjemności nie będę bił mego chłopca, łaskawy panie!

Zakończył znowu poprzednim, złym i głupawym conceptem. Alosza wyczuł jednak, że miał już jego zaufanie i że gdyby kto inny był zamiast niego, ów człowiek nie „rozmawiałby” tak z kim innym i nie opowiedziałby tego wszystkiego komu innemu. Alosza nabrał otuchy, choć serce drżało mu od hamowanych łez.

- Ach, jak ja bym chciał pogodzić się z pana synkiem! - zawołał. - Gdyby pan to jakoś załatwił...

- Tak jest, łaskawy panie - bąknął sztabskapitan.

- Ale teraz nie o to chodzi, nie o to, niech pan mnie wysłucha - wołał Alosza - niech mnie pan wysłucha! Mam do pana zlecenie: ten mój brat, ten Dymitr, znieważył również swoją narzeczoną, najszlachetniejszą na świecie pannę, o której pan zapewne słyszał. Mam prawo powiedzieć panu o tej zniewadze, i powinienem to uczynić, bo ona, dowiedziawszy się o pana krzywdzie i o pana ciężkiej sytuacji, poleciała mi teraz... onegdaj... wręczyć panu to wsparcie od niej... tylko od niej, nie od Dymitra, który ją porzucił, bynajmniej, i nie ode mnie, od jego brata, ani od nikogo innego, tylko

od niej, tylko od niej jednej! Błagam pana, aby pan zechciał przyjąć jej pomoc... Was oboje skrzywdził ten sam człowiek... Przypomniała sobie dopiero o panu, gdy Dymitr ją znieważył równie ciężko jak pana! To jest jakby siostrzana pomoc... Prosiła mnie właśnie, abym przekonał pana, że należy przyjąć te dwieście rubli jak od siostry. Bo ona wie, że się panu źle powodzi. Nikt się o tym nie dowie, żadnych brzydkich plotek nie będzie... oto dwie setki i błagam, niech pan je przyjmie, w przeciwnym razie... w przeciwnym razie będzie tak, jakbyśmy wszyscy byli sobie wrogami! Ale przecież na świecie są bracia... Pan ma szlachetne serce... pan powinien to zrozumieć... powinien!

Alosza wyciągnął rękę z dwoma nowiutkimi sturublowymi banknotami. Stali obaj koło wielkiego kamienia przy płocie. Dokoła nie było żywej duszy. Banknoty wywarły jak gdyby na sztabkapitanie straszliwe wrażenie: drgnął, ale zrazu jak gdyby ze zdziwienia - nic podobnego nie śniło mu się nawet, nie mógł się spodziewać takiego rozwiązania. Nie marzył nawet we śnie o jakiegokolwiek pomocy, a tym bardziej o tak znacznej. Wziął banknoty i przez chwilę nie mógł wydobyć głosu, jakiś zupełnie nowy wyraz zjawił się na jego twarzy.

- To dla mnie, dla mnie, tyle pieniędzy, dwieście rubli! Boże wielki! Już cztery lata nie widziałem na oczy takich pieniędzy. Panie Boże! I to prawda, że jako siostra... naprawdę, naprawdę?

- Przysięgam, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą! - zawołał Alosza.

Sztabskapitan zaczerwienił się i rzekł:

- Niechże łaskawy pan posłucha, niech łaskawy pan powie: jeżeli przyjmę, nie będę łajdakiem w pańskich oczach, Aleksy Fiodorowiczu? Aleksy Fiodorowiczu, niech mnie pan wysłucha, niech mnie pan wysłucha - mówił szybko, dotykając co chwila Aloszy - namawia mnie pan, że niby to od „siostry”, a w sobie, w skrytości serca, nie poczuje pan do mnie pogardy, jeśli przyjmę, co?

- Ależ nie, nigdy w życiu! Przysięgam na moje zbawienie, że nie! I nikt nigdy nie będzie wiedział prócz nas: ja, pan i ona, i jeszcze jedna pani, jej wielka przyjaciółka...

- Co mi tam pani! Niech mnie pan wysłucha, Aleksy Fiodorowiczu, niech mnie pan wysłucha, bo już taka chwila nadeszła, że trzeba wysłuchać, bo nie może pan nawet zrozumieć, jaką wartość mają dla mnie obecnie te dwieście rubli! - wykrzykiwał nieborak, wpadając stopniowo w jakąś niesłychaną, niezwykłą egzaltację. Był zupełnie zbity z tropu, mówił bardzo prędko, jak gdyby się obawiał, że nie zdąży całkowicie się wypowiedzieć. - Oprócz tego, że dostaję to uczciwie, od tak szanownej i świętej „siostry”, czy wiadomo panu, że ja mamusię i Ninę, mojego garbatego anioła, moją córeczkę, będę mógł leczyć? Był u mnie doktor Herzenstube, z dobrego serca badał obydwie całą godzinę. „Nie rozumiem, powiada, nic, a jednakowoż woda mineralna, którą można dostać w tutejszej aptece (zapisał ją), na pewno bardzo by jej ulżyła.” A potem kazał jej brać wanny na nogi z lekarstw. Woda mineralna kosztuje trzydzieści kopiejek, a trzeba tego wypić może ze czterdzieści dzbanów. Wziąłem więc receptę i położyłem na półce pod obrazem, dotąd tam leży. A Nineczkę kazał kąpać w jakimś roztworze, w jakichś gorących wannach, dwa razy dziennie, rano i wieczorem, ale jak zmajstrować takie leczenie u nas, w naszych apartamentach, bez służby, bez żadnej pomocy, bez naczyń, bez wody, łaskawy panie? Nineczce reumatyzm dokucza, nie mówiłem łaskawemu panu tego, po nocach cały prawy bok ją boli, męczy się, i czy da pan wiarę, ten anioleczek milczy, żeby nas nie niepokoić, nie jęczy, żeby nas nie obudzić. Jemy, co popadnie, co się trafi, a ona najgorszy

kąsek sobie wybiera, pies by nie wziął: „Niewarta jestem, niby to, tego kęska, wam odbieram, jestem ciężarem, dla was.” Tak mówią jej anielskie oczy. Dajemy jej, a to ją tylko dręczy. „Niewarta jestem, niewarta, niegodna kaleka, nieużyteczna” - gdzież tu niewarta, kiedy swoją anielską łagodnością wszystkich nas zbawia, bez niej, bez jej łagodnego słowa byłoby u nas piekło. Nawet siostrę ugłaskała. Barbary Nikoławny niech łaskawy pan też nie potępia, też anioł i też pokrzywdzona... Przyjechała do nas latem, miała przy sobie szesnaście rubli, zarobiła lekcjami, żeby mieć na wyjazd, żeby teraz, to znaczy w sierpniu, wrócić do Petersburga. Zabraliśmy jej te pieniądze i przejedli, nie ma teraz za co wrócić. I nie bardzo może wracać, bo haruje u nas ciężko, wszakżeśmy ją do roboty zaprzęgli, objuczyli jak konia, wszystkich oporządza, pierze, reperuje, sprząta, mamusię do łóżka kładzie, a mamusia kaprysi, płacze, a mamusia jest obłąkana!... Przecież teraz za te dwieście rubli to i służącą będę mógł nająć, rozumie pan, Aleksy Fiodorowiczu, i będę mógł leczyć moje najdroższe, i studentkę do Petersburga wysłać, mięsa kupić na obiad, nową dietę wprowadzić. Boże wielki, nawet nie marzyłem!

Alosza cieszył się niezmiernie, że przyniósł tyle szczęścia i że biedak zgodził się, by go uszczęśliwiono.

- Niech pan poczeka, Aleksy Fiodorowiczu. niech pan poczeka - uchwycił się nowego marzenia i dalej mówił z gorączkowym pośpiechem - czy pan wie, że z Iliuszką będziemy mogli urzeczywistnić nasze marzenie: kupimy konika i kibitkę, karego konika, Iliuszką prosił koniecznie, żeby karego, i wyjedziemy, jakeśmy to sobie uplanowali. W k-skiej guberni mam znajomego adwokata, kolega z lat dziecinnych, zawiadomił mnie przez zaufanego, że jeżeli przyjadę, to mi da posadę w swojej kancelarii, kto go tam wie, może i da... Posadzę mamusię, posadzę Nineczkę, Iliuszką na koźle, a ja pieszo, pieszo, obok... Boże wielki, gdyby tak odebrać jeden przepadły dług, może by i na to starczyło!

- Starczy, starczy! - zawołał Alosza - Katarzyna Iwanowna przyśle panu, ile trzeba będzie, i wie pan co, ja też mam fundusz, weźmie pan, ile trzeba, jak od brata, jak od przyjaciela, później mi pan zwróci. (Dorobi się pan, na pewno!) Wie pan, że nic lepszego nie mógł pan wymyślić, jak ten wyjazd do innej guberni! To zbawienie dla pana, a najważniejsza rzecz, dla pańskiego chłopczyka, i wie pan co, przeprowadzi się pan jak najprędzej, przed zimą, przed mrozami, i stamtąd napisze pan do nas, i będziemy nadal braćmi... Nie, to wcale nie marzenie!

Alosza chciał go uścisnąć, tak bardzo był uszczęśliwiony. Ale spojrzawszy nań, powstrzymał się: sztabskapitan z nieprzytomną i pobladłą twarzą, z wyciągniętą szyją poruszał dziwnie wargami, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł dobyć żadnego głosu, tylko wciąż poruszał wargami.

- Co panu jest? - zawołał Alosza, zadrżawszy nagle.

- Aleksy Fiodorowiczu... ja... pan... - bełkotał sztabskapitan patrząc nań dziko i dziwacznie, niezwykle uporczywie, z desperacką miną, lecz z wargami złożonymi jakby do uśmiechu - ja... pan... Chce pan, to panu pokażę zaraz małą sztukę! - szepnął w końcu prędko mocnym głosem.

- Jaką sztukę?

- Sztuczkę, hokus-pokus - szepnął sztabskapitan, usta jego wykrzywiły się ku lewej stronie, lewe

oko zwięzło się. Wlepił wzrok w Aloszę.

- Ale co panu jest, jaką sztukę? - zawołał Alosza z przerażeniem.

- A taką, niech pan patrzy! - pisnął naraz sztabskapitan.

I pokazawszy mu oba banknoty, które przez cały ten czas trzymał dwoma palcami prawej ręki, z jakąś niespodziewaną wściekłością zgniótł je, zmiął i mocno zacisnął w garści.

- Widział pan, widział pan! - pisał blady i rozwścieczony i podniósłszy rękę, z całej siły cisnął oba zgniecione banknoty na ziemię - widział pan? - pisał wciąż, wskazując na nie palcem - no to proszę!...

I naraz, podniósłszy prawą nogę, z dziką złością począł je deptać, krzycząc z zapartym tchem:

- Macie wasze pieniądze! Macie wasze pieniądze! Macie wasze pieniądze! Macie wasze pieniądze! - Nagle cofnął się i wyprostowany stanął przed Aloszą. Cała jego postać tchnęła niewypowiedzianą dumą.

- Proszę powiedzieć swoim mocodawcom, że Wiecheć nie sprzedaje swego honoru! - krzyknął wyciągnąwszy rękę przed siebie. Po czym odwrócił się i prędko zaczął biec. Ale nie odbiegł pięciu kroków, gdy znowu się obrócił i ponownie wyciągnął rękę. I znowu popędził, i znowu po pięciu krokach odwrócił się po raz ostatni, lecz tym razem na twarzy jego nie było kurczowego uśmiechu, przeciwnie, teraz drżał od płaczu. Płaczliwym, załamany głosem zawołał zachłystując się:

- A co bym powiedział mojemu chłopcu, gdybym wziął pieniądze za swoją hańbę?

To rzekłszy, znowu zaczął uciekać i już się nie odwracał. Alosza patrzył za nim z niewymownym smutkiem. O, rozumiał, iż sztabskapitan do ostatniej chwili sam nie wiedział, że zgniecie i odrzuci ofiarowane pieniądze. Alosza rozumiał również, że nieszczęśliwy ojciec już się teraz nie odwróci. Nie chciał zaś iść za nim i wołać go, wiedział dlaczego. Kiedy tamten znikł, Alosza podniósł oba banknoty. Były tylko zgniecione i wdeptane w piasek, ale zupełnie nie uszkodzone i nawet szeleściły, gdy Alosza rozwinął je i wygładził. Następnie złożył je, wsunął do kieszeni i poszedł do Katarzyny Iwanowny, aby zdać jej relację z wypełnienia swojej misji.

# KSIĘGA PIĄTA PRO I CONTRA

## I ZMOWA

Pani Chochłakow znowu wybiegła na spotkanie Aloszy. Spieszyła się bardzo: zdarzyły się nad wyraz przykre rzeczy - Katarzyna Iwanowna po spazmach zemdląła, potem wpadła w „okropne, straszliwe wyczerpanie, położyła się do łóżka, zamknęła oczy i poczęła bredzić w gorączce. Posłano po doktora Herzenstube, posłano po ciotki. Doktora jeszcze nie ma, ale ciotki już przyszły. Siedzą w jej pokoju i czekają. Ona jest nieprzytomna, coś będzie. Bo co robić, jeżeli dostanie gorączki!”

Pani Chochłakow mówiąc to wyglądała naprawdę przestraszona: „To już nie żarty, to nie żarty!” - dodawała po każdym słowie, jak gdyby wszystko, co się przedtem stało, było czczym żartem. Alosza wysłuchał i zmartwił się bardzo. Zaczął jej opowiadać z kolei swoje przygody, lecz przerwała mu z punktu: nie miała teraz czasu, prosiła, aby posiedział u Lise i u Lise poczekał na nią.

- Lise, najdroższy Aleksy Fiodorowiczu - szepnęła mu prawie na ucho - Lise zdziwiła mnie dzisiaj niezmiernie, ale i rozczuliła, a więc serce moje wszystko jej przebacza. Niech pan sobie wyobrazi, że jak tylko pan wyszedł, zaczęła szczerze żałować, że dziś i wczoraj śmiała się z pana. Ale przecież wcale się z pana nie śmiała, tylko żartowała. I tak szczerze żałowała, prawie do łez, że mnie to zdumiało. Nigdy przedtem poważnie nie żałowała, ilekroć ze mnie się śmiała, wszystko zbywała żartem. A pan wie, że ciągle ze mnie się śmiała. Teraz naprawdę żałuje, teraz o wszystkim mówi poważnie. Ona nadzwyczaj ceni pańskie zdanie, Aleksy Fiodorowiczu, i jeśli pan może, niech pan nie obraża się na nią i nie ma do niej pretensji. Ja stale ją oszczędzam, bo przecież ona taka rozumna - czy da pan wiarę? Mówiła niedawno, że pan był przyjacielem jej lat dzieciennych, „najpoważniejszym przyjacielem moich lat dzieciennych” - niech pan sobie wyobrazi: „najpoważniejszym” - a ja to co? Pod tym względem uczucia jej są nad wyraz poważne i nawet wspomnienia, a przede wszystkim te zdania i słóweczka, te nieoczekiwane słówka, nigdy by się nikt ich nie spodziewał, a tu naraz wyskakują. Na przykład niedawno o sośnie. Stała u nas ta sosna w ogrodzie, kiedy Lise była jeszcze mała, a może i teraz stoi, więc nie należy wcale mówić w czasie przeszłym. Sosny to nie ludzie: długo się nie zmieniają, Aleksy Fiodorowiczu. „Mamo, powiada, ja tę sosnę jak ze snu pamiętam” - rozumie pan: „sosnę jak ze snu” - a właściwie inaczej jakoś się wyraziła, poplątało mi się, sosna to zwykłe słowo, ale ona mi przy tej okazji coś tak oryginalnego powiedziała, że w żaden sposób nie potrafię tego powtórzyć. Zresztą wszystko zapomniałam. No, do widzenia, jestem głęboko wstrząśnięta i na pewno dostaję już pomieszania zmysłów. Ach, Aleksy Fiodorowiczu, dwa razy w życiu dostałam pomieszania zmysłów, i leczono mnie, a jakże. Niechże pan idzie do Lise. Niech ją pan pokrzepi, jak to pan świetnie umie robić. Lise - zawołała podchodząc do drzwi jej pokoju - przyprowadziłam ci Aleksego Fiodorowicza, którego tak dotkliwie obraziłaś, i zapewniam cię, że on się wcale nie gniewa, wręcz przeciwnie, dziwi się nawet, żeś mogła tak

pomyśleć!

- *Merci, maman*, niech pan wejdzie, Aleksy Fiodorowiczu.

Alosza wszedł. Lise była skonfundowana i od razu zarumieniała się mocno. Widocznie wstydziła się czegoś i, jak to zazwyczaj bywa w takich razach, zaczęła mówić wyjątkowo prędko o rzeczach obojętnych z takim przejęciem, jak gdyby tylko one zaprzętały w tej chwili jej uwagę.

- Mama mi dopiero co opowiedziała, Aleksy Fiodorowiczu, o tych dwustu rublach i o tym poleceniu... do tego biednego oficera... i opowiedziała mi tę całą okropną historię, jak go znieważono i skrzywdzono... i wie pan, chociaż mama opowiada bardzo chaotycznie, przeskakując z tematu na temat... ale, doprawdy, słuchałam i płakałam. No i co, no i co, dał pan te pieniądze i jak teraz czuje się ten nieborak?

- Właśnie że nie dałem, i to znowu cała historia - odpowiedział Alosza, jak gdyby właśnie najbardziej zafrasowany tym, że nie oddał tych pieniędzy, a tymczasem Lise zauważyła od razu, że Alosza unika jej spojrzenia i stara się mówić o rzeczach obojętnych.

Alosza siadł przy stole i zaczął opowiadać; od pierwszej chwili najzupełniej zapomniał o swoim zmieszaniu i całkowicie zajął uwagę Lizy. Był pod silnym wrażeniem niedawnych niezwykłych przeżyć, toteż opowiadał dobrze i wyczerpująco. I dawniej, w Moskwie, kiedy Liza była mała, lubił do niej przychodzić i opowiadać albo o tym, co mu się właśnie zdarzyło, albo o tym, co przeczytał, albo wspominać fakty ze swego dzieciństwa. Czasami nawet marzyli wspólnie i snuli całe powiastki, przeważnie wesole i śmieszne. Teraz oboje wrócili jak gdyby do dawnych moskiewskich czasów sprzed dwóch lat. Lise wzruszyła się ogromnie opowieścią Aloszy, zwłaszcza gdy z żarliwym uczuciem odmalował postać „Iliuszczki”. Gdy tylko opisał szczegółowo scenę z deptaniem pieniędzy, Liza załamała ręce i zawołała z niepohamowanym żalem:

- I pan nie dał mu ponownie tych pieniędzy, pan pozwolił mu uciec! Mój Boże, mógł pan przynajmniej dogonić go...

- Nie, Lise, lepiej, że nie pobiegłem - rzekł Alosza, po czym wstał i zafrasowany przeszedł się po pokoju.

- Jak to lepiej, dlaczego lepiej? Teraz zostali bez chleba, zginą z nędzy!

- Nie zginą, ponieważ te dwieście rubli i tak ich nie ominie. Jeżeli dziś nie przyjął, to w każdym razie jutro przyjmie. Jutro na pewno przyjmie - mówił Alosza chodząc zamyślony. - Widzi pani, Lise - dodał zatrzymując się raptem przed nią - popełniłem pewien błąd, ale i to wyszło na dobre.

- Jaki błąd i dlaczego na dobre?

- Dlatego, że to człowiek tchórzliwy i słabego charakteru. Taki jest umęczony i tak bardzo dobry. Właśnie wciąż się teraz zastanawiam, dlaczego on się tak nagle obraził i podeptał pieniądze, bo zapewniam panią, że do ostatniej chwili nie wiedział, iż je podepcze. I zdaje mi się, że wiele rzeczy mogło go obrazić... i tak być musiało, jeśli wziąć pod uwagę jego sytuację... Po pierwsze,



obraził się dlatego, że zanadto w mojej obecności cieszył się z tych pieniędzy, że nie ukrył tego przede mną. Gdyby się ucieszył, ale nie bardzo, gdyby tego nie okazał, gdyby fochy stroił, jak inni, kiedy przyjmują wsparcie, gdyby grymasił, to by mógł jeszcze to wytrzymać i przyjąć. Ale on zanadto szczerze się ucieszył, i to było dla niego obraźliwe. Ach, Lise, to dobry, zacny człowiek i dlatego właśnie tak trudno się z nim dogadać! Kiedy mówił, głos jego brzmiał tak słabo, taki był umęczony, i mówił tak prędko, wciąż tak jakoś chichocząc czy może płacząc... naprawdę płakał, w takiej był egzaltacji... i o swoich córkach mówił... i o posadzie, którą mu obiecano w innym mieście... I nagle zawstydził się, że był taki wylewny, że całą swą duszę przede mną obnażył. I w tej chwili zniechęcił mnie. To jeden z tych biednych, którzy się okropnie wstydzą swego ubóstwa. A najbardziej obraził się dlatego, że zbyt pochopnie uznał mnie za swojego przyjaciela i zbyt prędko się poddał: zrazu rzucał się na mnie, straszył, a tu naraz, ledwo zobaczył banknoty, zaczął mnie ścisnąć, obejmować. Bo obejmował mnie, tak, wciąż dotykał mnie rękoma. Zapewne dlatego poczuł się naraz poniżony, i wówczas właśnie popełniłem fatalny błąd: nagle bowiem powiedziałem, że jeżeli mu nie starczy pieniędzy na przeprowadzkę do innego miasta, to dostanie jeszcze, że nawet z własnych funduszy dodam mu, ile będzie trzeba. To go właśnie uderzyło: niby z jakiego powodu chcę mu pomóc? Wie pani, Lise, to strasznie przykre dla pokrzywdzonego człowieka, gdy wszyscy zaczynają uważać się za jego dobroczyńców... mówił mi o tym starzec. Nie wiem, jak to wyrazić, ale sam widziałem to nieraz. A zresztą sam tak nieraz czuję. A najważniejsze, że choć do ostatniej chwili nie wiedział, że podepcze banknoty, jednak przeczuwał to, z całą pewnością. Stąd ta jego niezwykła egzaltacja, że przeczuwał... I chociaż wszystko tak źle wyszło, ale na dobre się obróci. Pomyślałem sobie nawet, że tak jest najlepiej, że lepiej być nie mogło...

- Dlaczego, dlaczego nie mogło być lepiej? - zawołała Liza, ze zdumieniem patrząc na Aloszę.

- Dlatego, Lise, że gdyby nie podeptał, gdyby wziął te pieniądze i wrócił do domu, to po godzinie może rozplakałby się w poczuciu swego poniżenia. To nie ulega wątpliwości. Rozplakałby się i może jutro skoro świt przybiegłby do mnie i rzucił te banknoty, i podeptał, jak to zrobił dzisiaj. Natomiast teraz odszedł niezwykle dumny, z prawdziwym triumfem, chociaż zdając sobie sprawę, że „siebie zgubił”. A zatem teraz już łatwo będzie go namówić, najpóźniej jutro, do przyjęcia tych pieniędzy, bo dowiódł już swego honoru, bo rzucił pieniądze, podeptał... Nie mógł przecie wiedzieć, kiedy je deptał, że jutro wrócę z tymi banknotami. A pieniądze są mu ogromnie potrzebne. Chociaż jest teraz bardzo z siebie dumny, to nawet dziś już może będzie myśleć o tym, czego się dobrowolnie wyrzekł. W nocy zaś będzie jeszcze bardziej o tym myślał, będzie mu się to nawet śniło i może gotów będzie nazajutrz rano przyjść do mnie i prosić o wybaczenie. A tymczasem ja sam się zjawię: „Widzi pan, dumny z pana człowiek, dał pan dowód honoru, ale teraz niech pan przyjmie i przebaczy nam.” A wówczas na pewno przyjmie!

Alosza w jakimś uniesieniu powtórzył: „A wówczas na pewno przyjmie!”

Liza klasnęła w dłonie.

- Ach, to prawda, ach, zrozumiałam to od razu! Ach, Alosza, skąd pan to wszystko wie? Taki pan młody i już wie, u kogo co w duszy... Nigdy bym tego nie wymyśliła...

- Trzeba go teraz koniecznie przekonać, że jest z nami na równej stopie, choć bierze od nas pieniądze - mówił dalej w uniesieniu Alosza - i nie tylko na równej, lecz na wyższej stopie...

- „Na wyższej stopie”, to zachwycające, Aleksy Fiodorowiczu, ale niech pan mówi, niech pan mówi!

- To znaczy, niezbyt dobrze się wyraziłem... o tej wyższej stopie, ale to nic, ponieważ...

- Ach, nic, nic, oczywiście, że nic! Niech mi pan daruje, drogi Alosza... Wie pan, że ja pana dotychczas prawie nie szanowałam... to znaczy szanowałam, ale na równej stopie, a teraz będę szanowała na wyższej... Kochany, niech się pan nie gniewa, że ja „dowcipuję” - dodała nagle żarliwie. - Jestem śmieszna i maleńka, ale pan, pan!... Niech pan posłucha, Aleksy Fiodorowiczu, czy nie ma w tym całym naszym rozumowaniu, nie, w pańskim rozumowaniu... nie, niech lepiej będzie w naszym... czy nie ma pogardy względem niego, względem tego nieboraka... że tak jego duszę rozkładamy na części jak gdyby trochę z góry, co? Że tak na pewno orzekliśmy teraz, że on przyjmie pieniądze, co?

- Nie, Lise, nie ma w tym pogardy - odparł stanowczo Alosza, jak gdyby już znał to pytanie i miał na to swój pogląd - myślałem już o tym, gdy tu szedłem. Niech się pani zastanowi: jakaż tu pogarda, jeśli jesteśmy tacy jak on, jeżeli wszyscy są tacy jak on? Bo przecież wszyscy jesteśmy tacy, nie lepsi. A nawet jeżeli jesteśmy lepsi, to w jego położeniu byłibyśmy tacy sami... Nie wiem, jak pani, Lise, ale ja wiem o sobie, że pod wieloma względami jestem małoduszny. A on wcale nie jest małoduszny, owszem, nawet bardzo delikatny... Nie, Lise, nie ma w tym żadnej pogardy względem niego! Wie pani, mój starzec powiedział kiedyś: „Z ludźmi trzeba się obchodzić jak z dziećmi, a z niektórymi to nawet jak z chorymi w szpitalu...”

- Ach, Aleksy Fiodorowiczu, ach, mój drogi, będziemy się obchodzić z ludźmi jak z chorymi!

- Zgoda, Lise, jestem gotów, lecz nie jestem jeszcze całkowicie przygotowany, niekiedy jestem bardzo zniecierpliwiony, a czasem i nie zwracam na to uwagi. Pani to co innego.

- Ach, nie wierzę! Aleksy Fiodorowiczu, jaka jestem szczęśliwa!

- Jak to dobrze, że pani to mówi, Lise.

- Aleksy Fiodorowiczu, pan jest zdumiewająco dobry, ale czasami jak gdyby nieco pedantyczny... ale gdy się tak zastanowić, to wcale nie pedantyczny. Niech pan zobaczy, niech pan otworzy drzwi po cichu i zobaczy, czy mama nie podsłuchuje - szepnęła nagle szybko, nerwowym głosem.

Alosza podeszedł do drzwi, uchylił i stwierdził, że nikt nie podsłuchuje.

- Niech pan tu podejdzie, Aleksy Fiodorowiczu - mówiła Liza, coraz bardziej się rumieniąc - niech pan poda mi rękę, o tak. Niech pan słucha, muszę panu zrobić wielkie wyznanie: wczorajszy list napisałam nie żartem, ale na serio...

Zasłoniła ręką oczy. Widać było, że wstydzi się o tym mówić. Naraz pochwyciła rękę Aloszy i porywczo ucałowała ją trzy razy.

- Ach, Lise jak to pięknie! - zawołał radośnie Alosza. - Ale ja byłem święcie przekonany, że

pani napisała serio.

- Święcie był przekonany, wyobraźcie sobie państwo! - odsunęła nagle jego rękę, nie wypuszczając jej jednak ze swojej, rumieniąc się bardzo i śmiejąc perlistym, uszczęśliwionym śmiechem. - Ja go w rękę pocałowałam, a on powiada: „To pięknie.”

Niesłusznie go jednak karciała: Alosza także był bardzo zmieszany.

- Pragnąłbym zawsze podobać się pani, Lise, ale nie wiem, jak to zrobić - wykrztusił z trudem, z wypiekami na twarzy.

- Alosza drogi, pan jest oziębły i zuchwały. Widzieliście go! Raczył mnie sobie upatrzeć na małżonkę i od razu się uspokoił! Był nawet święcie przekonany, że napisałam serio, a jakże! Co za bezczelność, zwykła bezczelność!

- Czy to źle, że byłem przekonany? - roześmiał się naraz Alosza.

- Ach, Alosza, wręcz przeciwnie, bardzo dobrze, doskonale - spojrzała nań tkliwie, głęboko uszczęśliwiona.

Alosza trzymał jej rączkę w swojej. Naraz pochylił się i pocałował ją w same usteczka.

- A to co znowu? Co się panu stało? - zawołała Liza.

Alosza zmieszał się do reszty.

- Wybacz pani, jeżeli nie tak... Może to okropnie głupio... Powiedziała pani, że jestem oziębły, więc pocałowałem panią... Ale widzę, że wyszło głupio...

Liza roześmiała się i zasłoniła twarz rękoma.

- I to w tym stroju! - zawołała śmiejąc się.

Naraz przestała się śmiać, stała się poważna, a nawet surowa.

- Tak, Alosza, zaczekamy z pocałunkami, bo jeszcze oboje nie potrafimy całować, i przyjdzie nam czekać bardzo długo - dodała po chwili. - Niech pan mi lepiej powie, czemu pan bierze taką głupią, taką chorą i głupią, pan, taki mądry, taki myślący, taki spostrzegawczy. Ach, Alosza, jestem bardzo szczęśliwa, bo nie jestem pana warta!

- Niech pani tak nie mówi, Lise. W tych dniach wyjdę z monasteru na zawsze, zaczynając życie świeckie trzeba się ożenić, wiem o tym. Tak on mi nakazał. Czy mógłbym wybrać lepszą od pani... i zresztą kto mnie zechce? Zastanawiałem się już nad tym. Po pierwsze, pani mnie zna od dziecka, a po drugie, pani ma wiele takich zalet, których ja nie mam zupełnie. Dusza pani jest weselsza od mojej, a najważniejsze, pani jest bardziej niewinna niż ja, bo ja już dotknąłem się niejednej, niejednej rzeczy... Ach, pani nie wie, przecie jestem Karamazow! Cieszy mnie, że pani się śmieje i żartuje, niechże się pani ze mnie śmieje i żartuje... Ale pani się śmieje jak mała dziewczynka, lecz myśli jak

męczennica.

- Jak męczennica? Jak to?

- Tak, Lise, pani poprzednie pytanie: czy nie czujemy pogardy względem tego nieboraka, że tak rozkładamy na części jego duszę - to pytanie męczennicy... Widzi pani, zupełnie nie potrafię tego wyrazić, ale kto zadaje sobie takie pytania, ten sam jest zdolny do cierpienia. Siedząc w fotelu, musiała pani chyba już niejedno przemyśleć.

- Alosza, proszę mi dać swoją rękę, dlaczego pan ją zabiera? - odezwała się Liza słabym ze szczęścia głosikiem. - Alosza, w co się pan ubierze, jak pan wyjdzie z monasteru, w jaki strój? Niech pan się nie śmieje i nie gniewa, to bardzo, bardzo dla mnie ważne.

- O stroju nie myślałem jeszcze, Lise, ubiorę się, jak pani zechce.

- Chcę, żeby pan włożył granatowy aksamitny tużurek, białą pikową kamizelkę i miękki popielaty kapelusz pilśniowy... Niech mi pan powie: więc pan uwierzył, że pana nie kocham, kiedy się wyparłam mojego wczorajszego listu?

- Nie, nie uwierzyłem.

- Ach, nieznośny, niepoprawny człowieku!

- Widzi pani, wiedziałem, że pani mnie... zdaje się, kocha, ale udawałem, że wierzę, iż pani mnie nie kocha, aby pani było... wygodniej...

- Coraz gorzej! I gorzej, i najlepiej. Alosza, ja pana strasznie kocham. Poprzednio, jak pan miał przyjść, wróżyłam sobie: jeżeli spokojnie zwróci mój list (czego się można po nim spodziewać), to znaczy, że wcale mnie nie kocha, nic do mnie nie czuje, jest po prostu głupi, niegodziwy chłopak, a ja jestem zgubiona. Ale pan zostawił list w celi i to mi dodało otuchy: bo pan go dlatego zostawił w celi, że przeczuwał, iż będę chciała odebrać list. Czy tak? Prawda?

- Och, Lise, wcale nie tak, przecie ten list miałem i mam przy sobie, w tej kieszeni, niech pani spojrzy.

Śmiejąc się wyjął list i pokazał jej z daleka. - Ale nie dam go pani, pokażę tylko z daleka.

- Jak to? Więc pan wczoraj skłamał, pan, mnich, skłamał?

- Owszem, skłamałem - roześmiał się Alosza - żeby nie oddać pani listu, skłamałem. Bardzo jest mi drogi - dodał z głębokim wzruszeniem, znowu się czerwieniąc - i to już na wieki, nigdy go nikomu nie oddam!

Liza patrzyła na niego z zachwytem.

- Alosza - rzekła znowu słabym głosikiem - niech pan podejdzie do drzwi i zobaczy, czy mama nie podsłuchuje.

- Dobrze, Lise, zobaczę, ale czy nie lepiej tego zaniechać? Z jakiej racji podejrzewać pani matkę o tak niski postępek?

- Jak to niski? Jak to niski postępek? To prawo matki podglądać i podsłuchiwać, co robi córka - zaperzyła się Liza. - I niech pan będzie pewien, Aleksy Fiodorowiczu, że kiedy zostanę matką i będę miała taką córkę jak ja, to bezwarunkowo będę podsłuchiwała.

- Naprawdę, Lise? To niedobrze.

- Ach, mój Boże, cóż to złego! Byłoby niedobrze, gdybym podsłuchiwała zwyczajną, towarzyską rozmowę, ale tu rodzona córka zamknęła się sam na sam z młodym człowiekiem.. Niech pan posłucha, Alosza, niech pan wie, że skoro się tylko pobierzemy, będę pana podglądać i otwierać wszystkie listy... Uprzedzam pana...

- Tak, oczywiście, jeżeli tak... - bąkał Alosza - ale zawsze to nieładnie...

- Och, jaka pogarda! Alosza, kochany, nie będziemy się przecie od razu kłócili. Powiem panu lepiej od razu całą prawdę: podsłuchiwać, oczywiście to bardzo brzydko, i pan ma słuszość, a nie ja, ale mimo to zawsze będę podsłuchiwała.

- Proszę bardzo. Niczego pani u mnie nie będzie mogła podpatrzeć - roześmiał się Alosza.

- Alosza! Ale czy pan będzie mi ulegał we wszystkim? Bo i to trzeba z góry postanowić.

- Z przyjemnością, Lise, na pewno, ale z wyjątkiem rzeczy zasadniczych. W rzeczach zasadniczych, choćbyśmy mieli odmienne zdania, będę postępował, jak mi nakaże obowiązek.

- Tak być powinno. Więc niech pan wie, że ja nie tylko w ważnych, ale i w najdrobniejszych rzeczach będę panu ulegać, przysięgam teraz, i to we wszystkim, i przez całe życie - zawołała w zapale - i to z rozkoszą, z rozkoszą! To jeszcze nic, przysięgam na wszystko, że nie będę pana nigdy podpatrywała ani podsłuchiwała, ani razu, nigdy, i listu żadnego nie otworzę, ponieważ pan ma rację, a ja nie. I chociaż będę miała na to wielką ochotę, wiem, że będę miała wielką ochotę, ale nie zrobię tego, bo pan uważa to za nieszlachetne. Pan jest teraz jakby moją Opatrznością... Aleksy Fiodorowiczu, dlaczego pan taki smutny ostatnio, i wczoraj, i dziś, wiem, że pan ma swoje kłopoty, troski, ale prócz tego, zdaje się, że pan ma jakieś specjalne zmartwienie, ukryte, prawda?

- Istotnie, mam ukryte zmartwienie - odparł Alosza ze smutkiem. - Widzę, Lise, że kocha mnie pani naprawdę, skoro pani to odgadła.

- Cóż to za zmartwienie? Czy może mi pan powiedzieć? - zapytała Liza nieśmiało.

- Potem pani powiem, Lise... potem... - mówił niepewnie Alosza. - Teraz nie zrozumiałaby pani. I ja sam zresztą tego nie potrafiłbym powiedzieć.

- Prócz tego wiem, że martwią pana bracia, ojciec.

- Tak, i bracia - rzekł Alosza jakby w zamyśleniu.

- Nie lubię pańskiego brata Iwana Fiodorowicza - zauważyła nagle Liza.

Uwaga ta zdziwiła nieco Aloszę, ale pominął ją milczeniem.

- Bracia moi gubią siebie - rzekł - ojciec także. I gubią innych wraz ze sobą. To już taka „przyjemna siła Karamazowów” - jak to określił ojciec Paisij - przyjemna i wściekła, dzika. Czy unosi się nad nią Duch Boży? Nie wiem. Wiem tylko, że i ja sam jestem Karamazow. Mnich jestem, mnich? czy jestem mnich, Lise? Powiedziała pani, że jestem mnich?

- Tak, powiedziałam.

- A ja może nawet i w Boga nie wierzę.

- Pan nie wierzy? Co panu jest? - cicho i z trwogą zapytała Lise. Lecz Alosza nie odpowiedział. W tych nieoczekiwanych słowach było coś zbyt tajemniczego i zbyt subiektywnego, czego może sam nie rozumiał, ale co go już niewątpliwie dręczyło.

- I teraz w dodatku opuszcza mnie mój przyjaciel, największy człowiek na świecie, odchodzi z tej ziemi. O, gdyby pani wiedziała, gdyby pani wiedziała, Lise, jak silne łączą nas więzy duchowe! I zostanę sam... Ja do pani przyjdę, Lise... Odtąd będziemy razem...

- Tak! razem, razem! Od dziś zawsze razem, przez całe życie. Niech mnie pan pocałuje, pozwalam.

Alosza pocałował ją.

- A teraz niech pan idzie. Z Bogiem! - przeżegnała go. - Niech pan prędzej idzie do niego, póki on jeszcze żyje, i niech pan będzie z nim do końca. Widzę, jak byłam okrutna, że pana zatrzymałam tu tak długo. Będę się dziś modlić za niego i za pana. Alosza, czy będziemy szczęśliwi?

- Zdaje się, że będziemy, Lise.

Wyszedłszy od Lizy, Alosza nie zamierzał zająć do pani Chochłakow. Zamierzał więc, nie pożegnawszy się z nią nawet, wyjść z domu. Ale ledwo otworzył drzwi i wyszedł na schody, natknął się niespodziewanie na panią domu. Od pierwszego jej słowa domyślił się, że czekała tu na niego specjalnie.

- Aleksy Fiodorowiczu, to straszne. To dziecinne bzdury i mrzonki - wpadła na Aloszę. - Mam nadzieję, że nie myśli pan o tym... To głupstwa, głupstwa, i tyle!

- Tylko niech jej pani tego nie mówi - odrzekł Alosza - zdenerwuje się tylko i to jej może teraz zaszkodzić.

- Słyszę rozsądne słowo od rozsądnego młodzieńca. Czy mam rozumieć, że zgadza się pan z nią tylko z litości, ze względu na stan jej zdrowia, aby nie rozgniewać jej sprzeciwem?

- O, bynajmniej. Rozmawiałem z nią najzupełniej poważnie - oświadczył stanowczo Alosza.

- Tu nie ma mowy o żadnej powadze, po pierwsze, od dziś nie przyjmę pana ani razu u siebie, a po drugie, wyjadę stąd i ją z sobą zabiorę. Niech pan wie o tym.

- A po cóż to? - rzekł Alosza. - Przecież to jeszcze nieprędko, może półtora roku trzeba będzie czekać.

- Ach, Aleksy Fiodorowiczu, no naturalnie, prawda, a przez te półtora roku jeszcze z tysiąc razy poróżnicie się i rozejdziecie. Ale taka jestem nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa! Powiedzmy, że to bzdury, ale to na mnie tak nagle spadło. Teraz czuję się jak Famusow w ostatniej scenie, pan - Czacki, ona - Zofia, a ja specjalnie wybiegłam do pana na schody, przecież i tam wszystko działo się na schodach. Wszystko słyszałam, ledwo stałam na nogach. Teraz rozumiem te bezsenne noce Lizy i jej poprzednie histeryczne ataki. Dla córki miłość, dla matki śmierć. Kładź się za życia do grobu. Teraz druga sprawa i najważniejsza: co to za list, który ona do pana pisała, niech pan pokaże, natychmiast, natychmiast!

- Nie, nie zrobię tego. Niech mi pani powie, jak się czuje Katarzyna Iwanowna, muszę koniecznie wiedzieć.

- Wciąż nieprzytomna. Obie jej ciotki stoją nad nią, tylko och! i ach!, a wobec mnie nosa zadzierają! Posłałam po doktora Herzenstube, ale on tak się zląkł, że nie wiedziałam już, co z nim począć i jak go ratować, chciałam sprowadzić do niego innego doktora. Odesłałam go do domu swoją karetą. A teraz na domiar wszystkiego jeszcze pan z tym listem. Prawda, że to wszystko jeszcze za półtora roku. Zaklinam pana na wszystko, na miłość dla wielkiego, konającego świętego starca, niech pan pokaże mi ten list, Aleksy Fiodorowiczu, mnie, matce! Jeśli pan chce, to niech pan trzyma go w ręku, przeczytam sobie z dala.

- Nie, nie pokażę, Katarzyno Osipowno, choćby nawet ona pozwoliła, nie pokażę. Jutro, jeśli pani sobie życzy, mogę przyjść i pomówić o tym, ale teraz - do widzenia!

I Alosza zbiegł po schodach na ulicę.

## II SMIERDIAKOW Z GITARĄ

Spieszył się bardzo. Gdy żegnał się z Lizą, przemknęła mu przez głowę pewna myśl: „Jak by tu w jakiś najbardziej przebiegły sposób odszukać Dymitra, który się najwidoczniej przed nim ukrywa?” Było już dosyć późno, trzecia po południu. Całą duszą rwał się do monasteru, do swego „wielkiego” umierającego starca, ale nad wszystkim górowała konieczność spotkania się z bratem. W umyśle jego kielkowała i stopniowo dojrzewała myśl o nieuchronnej straszliwej katastrofie, która stać się może lada chwila. Nie potrafiłby może określić dokładnie, na czym polega owa katastrofa i o czym należy mówić z bratem. „Chociażby nawet mój nauczyciel zgasł, kiedy mnie przy nim nie będzie, to przynajmniej nie będę sobie wyrzucał przez całe życie, że, mogąc kogoś ocalić, nie ocaliłem, wykręciłem się, myślałem tylko o sobie. Tak zaś czyniąc, będę czynił wedle jego słów...”

Plan jego polegał na tym, żeby zająć Dymitra znienacka: mianowicie, przeleźć przez ten sam płot co wczoraj, wejść do ogrodu i zakraść się do altanki. „A jak go tam nie ma, to nic nie mówiąc Fomie ani gospodyniom, przyczaję się i będę czekać choćby do wieczora. Jeżeli wciąż czatuje na Gruszeńkę, to na pewno wróci jeszcze do altanki...” Alosza zresztą, nie zastanawiając się wiele nad szczegółami tego planu, postanowił go wykonać, choćby nawet miał dziś nie wrócić do monasteru...

Wszystko poszło gładko: przełazi przez płot, w tym samym niemal miejscu co wczoraj, i cichaczem dotarł do altanki. Chciał przejść niepostrzeżenie: gospodyni i Foma (jeżeli tu był) sprzyjali zapewne bratu i słuchali go, a więc było możliwe, że nie wpuszczą Aloszy do ogrodu albo też ostrzegą na czas Dymitra, że ktoś go szuka i o niego pyta. W altanie nie było nikogo. Alosza usiadł na tym samym miejscu co wczoraj i czekał. Obejrzał altankę, wydała mu się dziś nie wiadomo dlaczego bardziej zaniedbana niż wczoraj; właśnie tym razem wydała mu się bardzo nędzna. Dzień zaś był również jasny i pogodny jak wczoraj. Na zielonym stole został okrągły ślad po wczorajszym, zapewne rozlanym kieliszku koniaku. Przychodziły mu do głowy puste i czeze myśli, jak zwykle w chwilach nudnego oczekiwania: na przykład, dlaczego usiadł na tym samym miejscu, na którym siedział wczoraj, a nie na innym? Wreszcie zrobiło mu się smutno, bardzo smutno i nie wiedzieć czemu ogarnął go niepokój. Lecz nie upłynął kwadrans, gdy naraz gdzieś w pobliżu usłyszał dźwięk gitary. Nie więcej niż o jakie dwadzieścia kroków od altany pomiędzy krzakami ktoś siedział albo dopiero co usiadł. Alosza przypomniał sobie nagle, że wczoraj zauważył w tym miejscu zieloną, starą, niziutką ogrodową ławkę, na lewo od płotu. A zatem ktoś na niej siedzi. Ale kto? I oto męski głos słodkim falsetem, przy akompaniamencie gitary, zaśpiewał następującą zwrotkę:

*Niezwyciężona jest siła,*

*Z jaką mnie trzymasz, o miła.*

*Panie Boże u-cho-waj*

*Ciebie i mnie!*

*Ciebie i mnie!*

*Ciebie i mnie!*

Śpiew urwał się. Lokajski tenor i koncept w pieśni lokajski. Drugi, tym razem kobiecy głos odezwał się nagle z przymilną i jak gdyby wstydliwą kokieterią:

- Dlaczego to pan tak dawno u nas nie był, Pawle Fiodorowiczu? Widzi mi się, że pan ciągle nami pogardza.

- Wcale nie, proszę pani - odpowiedział męski głos grzecznie, ale przede wszystkim ze stanowczą i pewną siebie godnością. Widocznie mężczyzna miał tu przewagę, zalecała się zaś kobieta. „Mężczyzna to, sądząc z głosu, zdaje się, Smierdiakow, a dama to zapewne córka właścicielki tego domku, ta, która przyjechała z Moskwy, nosi suknię z trenem i przychodzi po zupeł



do Marfy Ignatiewny.”

- Lubię strasznie, nad wyraz, wszelkie wierszyki, jeżeli składne - mówił głos kobiecy. - Czemu pan przerwał, Pawle Fiodorowiczu?

Głos męski zaśpiewał znowu:

*Niżli carska korona*

*Milsza mi ulubiona.*

*Panie Boże u-cho-waj*

*Ciebie i mnie!*

*Ciebie i mnie!*

*Ciebie i mnie!*

- Zeszłym razem to jeszcze lepiej wychodziło - zauważył kobiecy głos. - Śpiewał pan o koronie: „Milsza mi ulubiona.” Tak delikatniej wychodziło, chyba pan dzisiaj zapomniał.

- Wiersze to bzdura, łaskawa pani - orzekł Smierdiakow.

- Ach, nie! Ja bardzo lubię wierszyki.

- Brednie, mówię łaskawej pani. Niech pani sama na rozum weźmie, kto na świecie do rymu gada? I gdybyśmy z rozkazu władzy zaczęli wszyscy gadać do rymu, to wiele byśmy się nagadali? Wiersze to żaden interes, Mario Kondratiewno.

- Jaki pan mądry, wszystko sam rozumiejący - przymlał się coraz bardziej głos kobiecy.

- Nie tego bym ja jeszcze, nie tego dokazał, gdyby nie los mój nieszczęśliwy od samej kołyski. Ja bym w pojedynku zabił z pistoletu każdego, kto by śmiał utrzymywać, że podły jestem przez to, że urodziłem się bez ojca, z matki Smierdiaszkiej. A oni mi tam w Moskwie w oczy leźli, bo Grzegorzowi Wasiliewiczowi zachciało się faktycznie wszystko wygadać. Grzegorz beszta mnie, że ja niby to buntuję się przeciw własnemu urodzeniu. „Tyś jej łono rozdarł.” Łono łonem, a ja bym się chętnie dał zabić jeszcze w żywocie, byleby na ten świat wcale nie przychodzić. W bazarze nawet opowiadają tutejsi ludzie, i mamusia pani też mi opowiadać zaczęła ze swojej wielkiej niedelikatności, że niby to „miała kołtun na głowie i wysoka była wszystkiego dwa arszyny i coś”. Dlaczego i coś, kiedy można po prostu powiedzieć: i coś, jak wszyscy mówią? Żeby niby to z łezką było, z chłopską, chamską łezką, z chamskim uczuciem. Czy może rosyjski chłop dla wykształconego faktycznie człowieka mieć jakie bądź uczucie? Ciemny jest, to i uczucia mieć nie może. Ja, jakem w maleństwie słyszał „i coś”, to bodajbym ścianę gryzł. Całej Rosji nienawidzę, Mario Kondratiewno.

- Inaczej by pan mówił, gdybyś pan wojskowym był, junkrem jakim albo huzarem młodziutkim. Wyjąłby pan wtedy szabelkę i całej Rosji by pan bronił.

- Nie tylko wcale nie chcę być huzarem, Mario Kondratiewno, ale życzyłbym sobie skasowania w ogóle wszystkich żołnierzy.

- A jakby nieprzyjaciel przyszedł, to kto by nas wtedy bronił?

- A po co bronić! W dwunastym roku był wielki najazd na Rosję cesarza Napoleona francuskiego pierwszego, to znaczy ojca dzisiejszego, i dobrze by było, gdyby nas wtedy te same Francuzi zwyciężyły: mądry naród zwyciężyłby bardzo głupi naród i przyłączyłby do siebie. Całkiem inne byłyby porządki.

- A czy tam są lepsze niż nasze? Ja niejednego naszego elegancika nie zamienię na trzech młodych Anglików.

Słowom tym towarzyszyło prawdopodobnie czułe, powłóczyste spojrzenie.

- A to już jak kto woli, proszę pani.

- Ale pan to faktycznie całkiem zagraniczny człowiek, niby jaki szlachetny cudzoziemiec. Muszę to panu w oczy powiedzieć, choć i nie wypada.

- Chce pani wiedzieć, to powiem pani, że co do rozpusty, to zagraniczni ludzie zupełnie podobni są do naszych, szelmy jedne i drugie. Tylko że tamci chodzą w lakierowanych butach, a nasz łajdak siedzi po uszy w śmierdzącej biedzie, i dobrze mu z tym. Rosyjskich ludzi powinno się trzymać pod batem, jak słusznie mówił wczoraj Fiodor Pawłowicz, chociaż to wariat, jak i wszyscy jego synowie.

- Przecież sam pan mówił, że szanuje pan Iwana Fiodorowicza.

- A on mnie nazwał cuchnącym lokajem. Ano jemu się zdaje, że ja mogę buntować, ale bardzo się pomylił. Gdybym tylko miał w kieszeni jaką sumę, to by śladu mego tu nie było już od dawna. Przecie Dymitr Fiodorowicz względem rozumu i zachowania gorszy od niejednego lokaja, i goły też, i nic nie umie robić, a mimo to każdego go szanuje. Ja, dajmy na to, jestem faktycznie tylko parzygnat, ale jakby mi szczęście dopisało, to bym mógł założyć restaurację na samej Piotrowce w Moskwie, bo gotuję specjalnie, a nikt w Moskwie prócz cudzoziemców nie umie podawać specjalnie. Dymitr Fiodorowicz to goły chłystek, a przecież gdyby wyzwiał na pojedynek jakiego najpierwszego hrabskiego syna, to ten by zaraz poszedł, a czymże on lepszy ode mnie, proszę pani? Bo, nie przymierzając, znacznie jest ode mnie głupszy. A ileż to on pieniędzy zmarnował przez nijakiej potrzeby!

- W pojedynku musi być chyba bardzo dobrze - zauważyła naraz Maria Kondratiewna.

- Dlaczego?

- To tak strasznie i tak dzielnie, kiedy dwaj młodzi oficerkowie przez jakąś niewiastę palą do

siebie z pistoletów. Po prostu jak na obrazie. Ach, gdyby panią pozwolano patrzeć na to, zaraz bym poleciała.

- Dobrze temu, kto sam strzela, ale jak komu prosto w mordę mierzą, to chyba głupio się czuje. Pani zara by uciekła stamtąd, Mario Kondratiewno.

- A pan to by nie uciekł?

Smierdiakow nie raczył odpowiedzieć. Po chwili znowu rozległy się dźwięki gitary i popłynęła falsetem ostatnia zwrotka piosenki:

*Choć przyjdzie cię rzucić,*

*Nie będę się smucić,*

*Tęsknej piosenki nucić.*

*Pójdę w świat daleki,*

*Zapomnę na wieki,*

*Zapomnę naprawdę na wieki...*

Tu stała się rzecz niespodziewana: Alosza nagle kichnął; głosy natychmiast przycichły. Alosza wstał i skierował się ku parze siedzącej na ławce. Był to w istocie Smierdiakow, ale wyelegantowany, wypomadowany, nieomal ufryzowany, w lakierowanych trzewikach. Gitara leżała na ławce. Damą zaś jego była córka gospodyni Maria Kondratiewna. Miała na sobie jasnoblękitną suknię z długim na dwa arszyny trenem; była jeszcze dość młoda i niebrzydka nawet, ale twarz miała zbyt okrągłą, gęsto usianą piegami.

- Czy prędko wróci brat mój, Dymitr? - zapytał jak najspokojniej Alosza.

Smierdiakow powoli wstał z ławki, Maria Kondratiewna podniosła się również.

- A skądże bym mógł coś wiedzieć o Dymitrze Fiodorowiczu? Insza rzecz, gdybym był jego stróżem - rzekł Smierdiakow cicho, z wyraźnym lekceważeniem cedząc wolno słowa.

- Po prostu zapytałem, czy nie wiesz - wyjaśnił Alosza.

- Nie wiem, gdzie przebywa Dymitr Fiodorowicz, a i wiedzieć nie chcę.

- A jednak brat mi mówił, że właśnie ty dajesz mu znać o wszystkim, co się dzieje w domu, i że przyrzekłeś go zawiadomić, gdy przyjdzie Agrafięna Aleksandrowna.

Smierdiakow zmierzył go spokojnym wzrokiem i rzekł wcale nie zmieszany:

- A jakimże sposobem pan raczył wejść tutaj, skoro brama tu już od godziny zamknięta? - zapytał patrząc uważnie na Aloszę.

- Przelazłem przez ogrodzenie z zaułka i poszedłem wprost do altany. Mam nadzieję, że mi pani tego za złe nie weźmie - zwrócił się do Marii Kondratiewny. - Chciałem jak najprędzej złapać mego brata.

- Ach, czy możemy się na pana gniewać - odrzekła przeciągle Maria Kondratiewna, ujęta uprzejmością Aloszy. - Dymitr Fiodorowicz także często przychodzi tą samą drogą, same nawet nie wiemy kiedy, a on już w altanie siedzi.

- Szukam go teraz pilnie, muszę się z nim koniecznie zobaczyć albo dowiedzieć się, gdzie on się teraz podziewa. Muszę go widzieć w bardzo ważnej dla niego sprawie.

- Dymitr Fiodorowicz nie opowiada się, dokąd chodzi - bąknęła Maria Kondratiewna.

- Chociaż przychodzę tutaj do znajomych - zaczął Smierdiakow - ale i tu Dymitr Fiodorowicz nieludzko prześladowuje mnie ciągłymi pytaniami o pana: co tam u niego, kto przychodził i kto wychodził, i czy nie mogę coś więcej powiedzieć. A już ze dwa razy nawet śmiercią mi groził.

- Jak to: śmiercią? - zdziwił się Alosza.

- Co to dla Dymitra Fiodorowicza znaczy, kiedy się ma taki charakter, sam pan przecie raczył wczoraj zauważyć, na co się on może zdobyć. „Jeśli, powiada, wpuścisz Agrafienę Aleksandrownę i ona tu przenocuje, to ty pierwszy zginiesz.” Ja się Dymitra Fiodorowicza strasznie boję, bo gdyby nie to, dawno by już trzeba dać znać policji. A to Bóg wie, co on tu jeszcze, proszę pana, może narobić.

- Wczoraj jeszcze powiedział: „W mózdzierzu cię utłukę” - dodała Maria Kondratiewna.

- No, jeżeli w mózdzierzu, to tylko tak mówił... - odezwał się Alosza. - Gdybym się mógł teraz z nim zobaczyć, pogadałbym i o tym...

- Tylko tyle mogę powiedzieć - dodał nagle Smierdiakow, jakby po namyśle. - Bywam tu po sąsiedzkiej znajomości, jakże bym mógł tu nie bywać? Insza rzecz, że Iwan Fiodorowicz posłał mnie skoro świt do mieszkania Dymitra Fiodorowicza na Jeziorną bez listu, a tylko kazał powiedzieć, że będzie czekać w tutejszej restauracji, na rynku, aby razem z braciszkiem zjeść obiad. Poszedłem, ale Dymitra Fiodorowicza w domu nie zastałem, a była już ósma godzina. „Był, powiadają, ale wyszedł” - tak mi gospodarze powiedzieli. Wygląda na to, że się zmówili. A teraz to może obaj jedzą obiad w restauracji, bo Iwan Fiodorowicz nie przyszedł do domu na obiad, a Fiodor Pawłowicz przed godziną już zjadł, a teraz położył się i śpi. Prosiłbym tylko najusilniej, żeby pan nie wspominał, że to wszystko panu opowiedział, bo by mnie na pewno zakatrupił.

- Więc brat Iwan zaprosił dziś Dymitra do restauracji? - szybko spytał, chcąc się upewnić, Alosza.

- Tak jest, proszę pana.

- Do „Stołecznego Grodu”, na rynku?

- Tak jest, proszę pana.

- To bardzo możliwe! - zawołał Alosza, wielce podniecony. - Dziękuję ci, Smierdiakow. To ważna wiadomość, natychmiast tam pójde.

- Tylko niech mnie pan nie wyda - powtórzył jeszcze raz Smierdiakow.

- O nie, bądź spokojny, zajrzę tam niby przypadkowo.

- Ale którądy pan idzie, ja panu furtkę otworzę! - zawołała Maria Kondratiewna.

- Nie trzeba, przez płot bliżej.

Otrzymana wiadomość ogromnie go wzburzyła. Popędził do restauracji. Nie wypadało mu wprawdzie w jego ubiorze wchodzić do restauracji, ale zamierzał wywołać braci na schody i tam z nimi porozmawiać. Zaledwie jednak zbliżył się do „Stołecznego Grodu”, otworzyło się jedno z okien i sam Iwan zawołał z góry:

- Alosza, możesz tu zaraz przyjść? Oddasz mi wielką przysługę.

- Bardzo chętnie, ale nie wypada mi ze względu na mój ubiór.

- Właśnie zamówiłem osobny pokój, chodź na ganek, a ja zejde po ciebie...

Po chwili Alosza siedział obok brata. Iwan był sam i jadł obiad.

### **III BRACIA SIĘ POZNAJĄ**

Iwan nie siedział jednak w osobnym pokoju. Było to tylko miejsce przy oknie, odgrodzone parawanem, aby postronni nie mogli dostrzec siedzących za parawanem. Sala zaś była tuż przy wejściu, z bufetem pod boczną ścianą. Kręcili się tu nieustannie kelnerzy. Jedyne gość - stary dymisjonowany wojskowy - pił w kącie herbatę. Natomiast w pozostałych pokojach restauracji panował zwykły restauracyjny gwar, wzywano kelnerów, odkorkowywano butelki piwa, stukwały kule bilardowe i grzmiała pianola. Alosza wiedział, że Iwan prawie nie zaglądał do tej restauracji i nie jest w ogóle bywalcem knajp; jeżeli więc tu przyszedł, to chyba tylko dlatego, że umówił się z Dymitrem. Ale Dymitra nie było.

- Każe ci podać uchę albo co innego, przecie nie żyjesz samą herbatą - zawołał Iwan, widocznie ogromnie zadowolony, że złapał Aloszę. Sam dopiero co zjadł obiad i pił teraz herbatę.

- Dobrze, dawaj uchę, a potem herbatę, jestem głodny - odezwał się wesoło Alosza.

- Może konfitur wiśniowych? Mają tu. Pamiętasz, jak w dzieciństwie u Polenowa przepadałeś za konfiturami?

- A ty to pamiętasz? Mogą być i konfitury, lubię je i teraz.

Iwan zadzwonił na kelnera i zamówił uchę, herbatę i konfitury.

- Wszystko pamiętam, Alosza, pamiętam ciebie do jedenastego roku życia, ja miałem wówczas piętnaście. Piętnaście i jedenaście to taka różnica, że bracia w tym wieku nigdy się nie przyjaźnią. Nie wiem nawet, czy cię wówczas kochałem. Gdy wyjechałem do Moskwy, w pierwszych latach nigdy o tobie nie myślałem. Potem dopiero, kiedyś i ty przyjechał do Moskwy, spotkaliśmy się, zdaje się, raz jeden. A tutaj jestem już czwarty miesiąc i jakoś ani razu nie zetknęliśmy się bliżej. Jutro wyjeżdżam, i teraz, siedząc tu, myślałem sobie: jak by go spotkać przed wyjazdem, żeby się pożegnać? Wyglądam przez okno, a ty właśnie idziesz.

- I bardzo chciałeś mnie zobaczyć?

- Bardzo, chcę cię raz na zawsze poznać i chcę, żebyś i ty mnie poznał. I od razu pożegnać się. Moim zdaniem, najlepiej poznawać się przed rozstaniem. Widziałem, jak przez te trzy miesiące patrzałeś na mnie, w twoich oczach było jakieś nieustanne oczekiwanie, a ja tego właśnie nie znoszę i dlatego nie zbliżyłem się do ciebie. Ale w końcu nauczyłem się ciebie szanować: jednak, powiedziałem sobie, mocno stoi na nogach ten człowiek. Pamiętaj, że chociaż się teraz śmieję, mówię to całkiem poważnie. Przecie stoisz mocno, co? A takich ludzi bardzo lubię, bez względu na to, na czym stoją, choćby to nawet byli tacy malcy jak ty. W końcu przestał mnie irytować twój wyczekujący wzrok, owszem, polubiłem wreszcie ten twój wyczekujący wzrok. Ty, Alosza, kochasz mnie, zdaje się, nie wiem zresztą za co?

- Kocham, Iwanie. Dymitr mówi o tobie: Iwan-grób. Ja mówię: Iwan-zagadka. Jesteś i teraz dla mnie zagadką, ale coś tam już zrozumiałem, i to dopiero dziś rano!

- I cóż takiego? - roześmiał się Iwan.

- A nie pogniewasz się na mnie? - zaśmiał się Alosza.

- No więc?

- Bo dziś dopiero spostrzegłem, że jesteś takim samym młokosem, jak wszyscy inni dwudziesto-trzyletni młodzieńcy, taki sam młody, młodziutki, zielony, wspaniały chłopak, no, żółtodziób! No i co, nie bardzo cię obraziłem?

- Nie, bynajmniej, przeciwnie, zdumiałeś mnie trafnością sądu! - zawołał wesóło i z zapalem Iwan. - Bo czy uwierzysz, że w chwili tego spotkania, tam u niej, o niczym nie myślałem, tylko o tej mojej dwudziestotrzyletniej, żółtodziobej młodości, a tyś jakby to odgadł, od razu od tego zaczynasz. Czy wiesz, co mówiłem sobie, siedząc tu przed chwilą?... Choćbym nawet utracił wiarę w życie, choćbym się zawiódł na ukochanej kobiecie, choćbym przestał wierzyć w porządek rzeczy i przekonał się, że wszystko jest przeklętym, skłębionym i piekielnym chaosem, choćbym zaznał

wszelkich okropności ludzkiego rozczarowania - jednak będę nadal chciał żyć, jednak, przywarłszy raz ustami do brzegów pucharu, nie oderwę się od niego, dopóki nie wychylę go do dna! Zresztą koło trzydziestki na pewno odrzucę puchar, chociaż nie wypróżnię go do końca, i odejdę... nie wiem dokąd. Ale do trzydziestu lat, wiem to z całą pewnością, moja młodość wszystko pokona - wszelki zawód, wszelki wstręt do życia. Zapytywałem siebie nieraz, czy jest na świecie taka rozpacz, która by mogła zagłuszyć we mnie tę nikczemną, nieprzyzwoitą może żądzę życia, i stwierdziłem, że nie ma chyba takiej siły, to znaczy do trzydziestki, bo potem sam nie będę miał ochoty, tak mi się wydaje. Niektórzy suchotnicy, niedołążni moralisci, zwłaszcza poeci, nazywają tę żądzę nikczemną. Ta żądza życia to po części rys charakteru Karamazowów, to prawda, żądza bezkompromisowa, i ty nosisz ją w sobie bez wątpienia, ale dlaczego ma być zaraz nikczemna? Dośrodkowej siły jest jeszcze bardzo wiele na naszej planecie, mój drogi. Chcę żyć, więc żyję, chociażby wbrew prawom logiki. Mogę nie wierzyć w porządek wszechrzeczy, a jednak drogie mi są rozwijające się na wiosnę lepkie listeczki, drogie błękitne niebo, drogi mi ten czy ów człowiek, którego, czy dasz wiarę, kocham czasem nie wiadomo za co, drogie to czy owo bohaterstwo ludzkie, w które może już dawno przestałem wierzyć, ale które czczę ze starego nałogu serca. Przynieśli ci twoją uchę, jedz, braciszku, na zdrowie. Świetnie tu gotują tę zupę. Do Europy chcę jechać, Alosza, stąd właśnie pojedę; choć wiem z góry, że jadę tylko na cmentarz, ale na najdroższy w świecie cmentarz! Tam spoczywają drodzy zmarli, każdy kamień nad nimi świadczy o tak żarliwie przeżyтым życiu, o tak namiętnej wierze w ich bohaterstwo, w ich prawdę, w ich walkę i w ich naukę, że, wiem to z góry, padnę na ziemię i będę całować owe kamienie i zlewać je łzami, chociaż jednocześnie będę wierzył całym sercem, że wszystko to cmentarzysko i nic ponadto. I nie będę płakał z rozpacz, lecz po prostu dlatego, że te łzy będą dla mnie szczęściem. Upiję się własnym zachwytem. Kocham lepkie wiosenne listeczki i błękitne niebo, tak, mój drogi! To nie rozum, nie logika, kochasz całą istotą, wnętrzościami, kochasz pierwsze swoje młode siły... Czy zrozumiałeś cokolwiek, Alosza, z tej mojej gadaniny? - roześmiał się naraz Iwan.

- Rozumiem aż zbyt dobrze: kochasz wnętrzościami i całą istotą - zawołał Alosza - pięknie to powiedziałaś, i cieszę się ogromnie, że tak pragniesz żyć. Myślę, że trzeba przede wszystkim pokochać życie.

- Jak to? Pokochać życie bardziej niż jego istotę?

- Tak, stanowczo tak, pokochać je przed logiką, jak powiedziałaś, koniecznie przed logiką, wtedy dopiero można zrozumieć jego istotę. Od dawna już tak mi się zdawało. Tyś dokonał już połowy dzieła: kochasz życie. Teraz musisz pomyśleć o drugiej połowie, a będziesz zbawiony.

- Już mnie zaczynasz zbawiać? Może jeszcze nie byłem zgubiony? A na czym ona polega, ta twoja druga połowa?

- Na tym, że musisz wskrzesić twoich zmarłych, którzy może w ogóle nigdy nie umierali. No, daj herbaty. Cieszę się, że rozmawiamy ze sobą.

- Widzę, że jesteś w jakimś natchnieniu. Strasznie lubię takie *professions de foi*[9] z ust takich... nowicjuszków. Twardy z ciebie człowiek, Aleksy. Czy to prawda, że rzucasz monaster?

- Prawda. Mój starzec kazał mi wrócić do świeckiego życia.

- W takim razie spotkamy się jeszcze, może zobaczymy się jeszcze przed trzydziestką, gdy zacznę odrywać wargi od pucharu. Ojciec nie chce oderwać się od swego pucharu, chce pić do siedemdziesięciu, nawet osiemdziesięciu lat, sam mi to mówił, i to bardzo dla niego ważne, mimo że jest błaznem. Staął na lubieżności jakby na opoce... chociaż co prawda po trzydziestce można przecież tylko na tym stać... Ale do siedemdziesięciu lat to nikczemność, lepiej do trzydziestki: można zachować „cień godności” oszukując siebie. Nie widziałeś dziś Dymitra?

- Nie, nie widziałem, za to widziałem Smierdiakowa.

I Alosza szczegółowo opowiedział bratu o swym spotkaniu ze Smierdiakowem. Iwan wysłuchał go z zakłopotaną miną, nawet parę razy o coś zapytał.

- Tylko prosił, abym Dymitrowi nic nie mówił o tej rozmowie - dodał Alosza.

Iwan zamyślił się posępnie.

- Cóż to, z powodu Smierdiakowa spochmurniałeś? - zapytał Alosza.

- Tak, z powodu Smierdiakowa. Ale do licha z nim! Istotnie chciałem się widzieć z Dymitrem, ale teraz nie trzeba - odrzekł niechętnie Iwan.

- Więc ty naprawdę tak szybko chcesz jechać?

- Tak.

- A cóż będzie z Dymitrem i z ojcem? Jak się to między nimi skończy? - zapytał z niepokojem Alosza.

- Ty wciąż swoje! A cóż ja mam do tego? Czy jestem stróżem mojego brata Dymitra? - odrzekł z rozdrażnieniem Iwan i naraz uśmiechnął się gorzko. - Odpowiedź Kaina Bogu o zabitym bracie, co? Może to sobie myślisz w tej chwili? Ale, do licha, nie mogę przecież tkwić tu przy nich i stróżować! Załatwiłem swoje sprawy i jadę. Nie myślisz chyba, że jestem zazdrosny o Dymitra, że przez te trzy miesiące usiłowałem mu odbić jego pięknotkę, Katarzynę Iwanownę. Do diabła! Miałem swoje własne sprawy na głowie. Załatwiłem je i jadę. Skończyłem onegdaj, byłeś świadkiem.

- Wtedy u Katarzyny Iwanowny?

- Tak, u niej, i od razu się uwolniłem. I cóż takiego? Co mnie obchodzi Dymitr? Dymitr nie ma z tym nic wspólnego! Miałem własne porachunki z Katarzyną Iwanowną. Sam wiesz, że przeciwnie, Dymitr tak postępował, jakby był ze mną w znowie. Przecież nie prosiłem go o to absolutnie; sam mnie uroczyście swatał i błogosławił. Wszystko to śmiechu warte. Nie, Alosza, nie! Gdybyś mógł wiedzieć, jak ja się teraz czuję lekko! Siedziałem tu. Jadłem obiad i, uwierzysz, miałem ochotę postawić szampana, aby uświetnić pierwszą godzinę wolności. Tfu! Pół roku prawie - i raptem pozbyć się od razu. Czy mogłem sądzić, nawet wczoraj jeszcze, że jeśli się chce, tak łatwo można skończyć!

- Mówisz o swojej miłości, Iwanie?



- O miłości, jeśli chcesz. Tak, zakochałem się w paniencie, w wychowawcy instytutu. Dręczyłem się wraz z nią, i ona mnie dręczyła... aż naraz wszystko przysło. Mówiłem tam u niej z uniesieniem, w natchnieniu, a skorom wyszedł, roześmiałem się na głos - czy uwierzysz! Mówię ci to szczerze.

- I teraz mówisz o tym dziwnie wesoło - zauważył Alosza wpatrując się w istotnie rozpogodzoną twarz Iwana.

- Skądże mogłem wiedzieć, że jej wcale nie kocham. He, he! I naraz okazało się, że nie. A jak ona mi się podobała! Jak mi się nawet niedawno jeszcze podobała, kiedy wygłaszałem orację. I wiesz, że nawet teraz strasznie mi się podoba, a jednak tak łatwo mi się z nią rozstać. Myślisz może, że to fanfaronada?

- Nie. Ale może to wcale nie była miłość.

- Aloszka! - roześmiał się Iwan. - Daj pokój rozumowaniom o miłości! Tobie to nie przystoi. A jakieś wtedy wyskoczył, oj! Zapomniałem cię pocałować za to... A jak ona mnie męczyła! Istna szarpanina. Och, wiedziała, że ją kocham! Kochała mnie, a nie Dymitra - mówił wesoło Iwan. - Dymitr to tylko szarpanina. Wszystko, co poprzednio tam mówiłeś, to święta prawda. Ale o to chodzi, że dopiero za lat może piętnaście czy dwadzieścia ona się przekona, że nie Dymitra kocha, lecz mnie, którego dręczy. A może nigdy się nie przekona, pomimo dzisiejszej nauczki. Tym lepiej: wstał i odszedł na zawsze. Ale, ale, a co się z nią teraz dzieje? Co tam zaszło po moim wyjściu?

Alosza opowiedział mu o ataku hysterii i o tym, że Katarzyna Iwanowną wciąż jest nieprzytomna i bredzi w gorączce.

- Czy nie kłamie ta Chochłakowa?

- Chyba nie.

- Warto by sprawdzić. Zresztą od ataku hysterii nikt jeszcze nie umarł. Niech tam będzie histeria, Bóg z miłości dał kobiecie histerię. Nie pójdę tam wcale. Po co leżać znowu.

- Tyś jej jednak powiedział, że cię nigdy nie kochała.

- To umyślnie, Aloszka, każę podać szampana i wypijemy za moją wolność. Gdybyś wiedział, jaki ja jestem zadowolony!

- Nie, bracie - powiedział nagle Alosza - nie będziemy pili. Poza tym jakoś mi smutno.

- Dawno ci już smutno, zauważyłem to nie od dziś.

- Więc ty naprawdę wyjeżdżasz jutro rano?

- Rano? Nie powiedziałem, że rano... Ale może i rano. Czy wiesz, dlaczego przyszedłem tu dzisiaj? Po prostu nie mogę już siedzieć przy obiedzie z naszym starym, tak mi obrzydł. Dawno bym już odjechał, byle go na oczy nie widzieć. Ale dlaczego tak się niepokoisz moim wyjazdem? Mamy jeszcze Bóg wie ile czasu do mego wyjazdu. Cała wieczność, powiadam ci, nieskończoność!

- Jeżeli wyjeżdżasz jutro, to cóż to za wieczność?

- A cóż to nas obchodzi? - roześmiał się Iwan. - Przecie zdążymy powiedzieć sobie wszystko, co chcielibyśmy powiedzieć. Cóż tak patrzysz na mnie ze zdziwieniem? Odpowiadaj: po cośmy się tu zeszli? Czy po to, aby gadać o mojej miłości do Katarzyny Iwanowny, o starym, o Dymitrze? O zagranicy może? O fatalnej sytuacji Rosji? O cesarzu Napoleonie? Czy po to?

- Nie, nie po to.

- Rozumiesz więc dobrze, po cośmy tu przyszli. Niech się świat kłopotczy, o co chce, my, żółtodzioby, musimy przede wszystkim rozstrzygnąć nasze odwieczne pytania. Cała młoda Rosja rozprawia tylko o odwiecznych kwestiach. Właśnie teraz, kiedy wszyscy starzy naraz zabrali się do praktycznych spraw. Dlaczego patrzałeś na mnie całe trzy miesiące z takim oczekiwaniem? Żeby wybadać mnie: „Jak wierzysz? Czy może wcale nie wierzysz?” Oto co mówiły mi twoje oczy przez całe trzy miesiące, Aleksy Fiodorowiczu. Czy nie tak?

- Może i tak - uśmiechnął się Ałosza - ale nie śmiejesz się ze mnie teraz, Iwanie?

- Ja bym się śmiał? Nie chciałbym przecież zmartwić mego braciszka, który czekał trzy miesiące. Popatrz na mnie, Alosza, jestem przecież kubek w kubek taki sam mały chłopak jak i ty, tyle tylko, że nie nowicjusz w monasterze. A co to dziś robią takie rosyjskie chłopaki, to znaczy inni chłopcy? Ot, zjedzą się w takiej cuchnącej knajpie, zaszyją w kącie, całe życie przedtem się nie znali, a skoro wyjdą z tej knajpy, znowu ze czterdzieści może lat nie będą się znać. Więc co, o czym będą rozprawiać, korzystając z tej małej chwili w knajpie? O wszechświatowych zagadnieniach, a jakże; czy jest Bóg? czy jest nieśmiertelność? Ci zaś, co w Boga nie wierzą - o socjalizmie, o anarchizmie, o przeistoczeniu ludzkości, przecie to są te same zagadnienia, tylko od drugiego końca. I wielu, wielu takich najoryginalniejszych rosyjskich chłopaków o tym tylko rozprawia w dzisiejszych czasach. Prawda?

- Tak - odparł Ałosza z tym samym łagodnym i badawczym uśmiechem. - Takie kwestie: czy jest Bóg, czy jest nieśmiertelność, albo kwestia od drugiego końca, jakieś to powiedział, są najważniejsze dla prawdziwych Rosjan, i tak powinno być.

- Widzisz, Alosza, czasem to wcale nie jest mądra rzecz być Rosjaninem, ale nie sposób sobie wyobrazić nic głupszego nad to, czym się zajmują obecnie rosyjscy chłopcy. Ale mimo to jednego rosyjskiego chłopca, Aloszę, okropnie kocham.

- Jak ty to ładnie podsumowałeś! - roześmiał się raptem Ałosza.

- No, więc powiedz, od czego zaczniemy, powiedz sam. Od Boga? Czy istnieje Bóg, co?

- Zaczynaj, od czego chcesz, choćby od „drugiego końca”. Przecie wczoraj u ojca oświadczyłeś, że nie ma Boga - odparł Ałosza i badawczo zajrzał mu w oczy.

- Wczoraj przy obiedzie u starego umyślnie cię drażniłem. Jak ci oczy zabłyśły! Ale dziś to co innego, dziś będę z przyjemnością mówił poważnie. Bo chcę się z tobą zbliżyć, Alosza. Nie miałem

dotąd przyjaciela, spróbuję, czy ty nim być możesz. No więc przypuśćmy, że przyjmuję istnienie Boga. Dla ciebie to niespodzianka, co? - roześmiał się Iwan.

- Tak, oczywiście, o ile i teraz nie drwisz tylko.

- Drwisz! To samo powiedziano mi wczoraj w celi starca: że drwię. Widzisz, mój drogi, był już w osiemnastym wieku jeden taki stary grzesznik, który powiedział, że gdyby nie było Boga, należałoby go wymyślić: *Si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer*. I w rzeczy samej człowiek wymyślił Boga. I nie to jest niezwykle, nie to byłoby dziwne, że Bóg istnieje naprawdę, lecz to, że taka wzruszająca i taka mądra myśl, tak wiele przynosząca człowiekowi godności, mogła przyjść do mózgowicy tak dzikiego i złego bydlęcia, jakim jest człowiek. Jeżeli o mnie chodzi, to już dawno postanowiłem nie myśleć o tym, czy człowiek stworzył Boga, czy Bóg człowieka! Nie będę oczywiście roztrząsał teraz wszystkich współczesnych aksjomatów naszej rosyjskiej młodzieży, wysnutych całkowicie z europejskich hipotez. Bo co tam jest hipotezą, to u rosyjskich chłopców od razu staje się pewnikiem, i nie tylko u chłopców, ale i u ich profesorów, albowiem dzisiejsi nasi profesorowie są bardzo często również takimi samymi rosyjskimi chłopcami. Dlatego pomijam wszelkie hipotezy. Więc jakie mamy teraz zadanie? Chodzi o to, abym ci jak najprędzej mógł wyjaśnić swoją istotę, to znaczy, kim jestem, w co wierzę, prawda? No to od razu odpowiem ci, że Boga przyjmuję prosto i szczerze. Ale jest jeden szkopuł: jeżeli Bóg istnieje i jeżeli istotnie stworzył ziemię, to, jak nam wiadomo, stworzył ją wedle geometrii Euklidesowej i uzbroił rozum ludzki w rozumienie jedynie trzech wymiarów przestrzeni. A przecież byli i są dziś jeszcze matematycy i filozofowie, i to najpoważniejsi, którzy podają w wątpliwość, czy istotnie cały wszechświat, a raczej całe istnienie, stworzone było jedynie według geometrii Euklidesowej. Co więcej, ośmielają się twierdzić, że dwie linie równoległe, które podług praw Euklidesa nie mogą zetknąć się na ziemi, stykają się może jednak gdzieś w nieskończoności. Otóż ja, mój drogi, rozstrzygnąłem to sobie w ten sposób, że jeżeli mój umysł nie może tego pojąć, to gdzieżbym mógł pojąć Boga! Przyznaję z pokorą, że jestem absolutnie niezdolny do rozstrzygania takich kwestii, że umysł mój jest euklidesowy, ziemski, skądże więc mam wyrokować o tym, co nie jest z tego świata. I tobie też nie radzę, bracie, o tym myśleć, zwłaszcza o Bogu, czy jest, czy Go nie ma. Wszystkie te pytania są całkowicie obce naszemu umysłowi, rozumiejącemu jedynie trzy wymiary. A więc uznaję Boga, i to bardzo chętnie, uznaję nie tylko Jego mądrość i cel - dla nas zupełnie niepojęty - ale wierzę w porządek, w sens życia, wierzę w wieczystą harmonię, w której połączymy się kiedyś wszyscy, wierzę w Słowo, które „było u Boga”, a które było Bogiem, do którego świat dąży itd.. w nieskończoność. Wiele już słów wypowiedziano na ten temat. Zdaje się, że jestem już chyba na dobrej drodze, co? A przecież, wyobraź sobie, że w ostatecznym rezultacie nie uznaję jednak tego świata Bożego - nie przyjmuję go, chociaż wiem, że istnieje, mimo to nie przyjmuję go wcale. Uważaj - nie Boga nie uznaję, lecz świata przezeń stworzonego, świata Bożego nie uznaję i nie mogę go uznać. Zastrzegam się: wierzę jak dziecko, że przyjdzie czas, gdy wszystkie cierpienia zagoją się i wyglądzą, że cała bolesna komedia sprzeczności ludzkich rozwieje się jak nędzny miraż, głupiutki wymysł słabego euklidesowego umysłu: wierzę, że gdzieś, pod koniec, u finału świata, w chwili dopełnienia się wiecznej harmonii zdarzy się i objawi coś tak cennego, że starczy dla wszystkich serc, na ukojenie wszelkiego oburzenia, na odkupienie wszelkich występków ludzkich, wszystkiej krwi przelanej, że starczy tego nie tylko na przebaczenie, ale nawet na usprawiedliwienie wszystkiego, co się ludziom zdarzyło. Choćby, choćby nawet tak było, jednak ja tego nie przyjmuję i nie chcę przyjąć! Choćby nawet dwie równoległe linie zetknęły się z sobą, choćbym to widział na własne oczy, zobaczę i powiem, że się

zeszły, to jednak tego nie uznaję. Oto moja istota, Alosza, oto moja teza. To już mówiłem poważnie... Umyslnie zacząłem rozmowę naszą tak głupio, że głupiej nie można, ale doprowadziłem ją do tej spowiedzi, bo wiem, że tylko o nią ci chodzi. Nie o Boga, ale o to, aby się dowiedzieć, czym żyje twój brat, którego kochasz. Więc powiedziałem.

Iwan zakończył długą swoją tyradę ze szczególnym, nieoczekiwanym przejściem.

- A czemu zacząłeś „tak głupio, że głupiej nie można”? - zapytał Alosza patrząc w zamyśleniu na brata.

- Po pierwsze, żeby to było rdzennie po rosyjsku: rosyjskie rozmowy na te tematy zawsze są prowadzone tak głupio. A po drugie: im głupiej, tym bliżej sedna rzeczy. Im głupiej, tym jaśniej. Głupota jest jasna i niewymyślna, rozum zaś wykręca się i zasłania, rozum jest podły, głupota zaś uczciwa i prosta. Odśloniłem ci moją rozpacz, a im głupiej to przedstawiłem, tym dla mnie wygodniej.

- Czy zechcesz mnie objaśnić, dlaczego „nie przyjmujesz świata”? - zapytał Alosza.

- Oczywiście, że objaśnię, to żaden sekret, i do tego właśnie zmierzałem - odparł Iwan. - Nie chcę cię zgorszyć, drogi braciszku, ani zepchnąć cię z twoich podstaw. Może przeciwnie, sam pragnąłbym uzdrowić się tobą.

Iwan uśmiechnął się jak mały, potulny chłopczyk. Nigdy jeszcze Alosza nie widział na jego twarzy takiego uśmiechu.

## IV BUNT

- Muszę ci się przyznać - zaczął Iwan - że nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można kochać swoich bliskich. Właśnie bliskich, moim zdaniem, niepodobna kochać, raczej już obcych. Czytałem gdzieś kiedyś, że „Jan Miłosierny” (pewien święty) przygarnął kiedyś do swego łoża głodnego, straszliwie chorego i zmarzniętego wędrowca, objął go, własny swój oddech zmieszał z oddechem gnijących i cuchnących jego ust. Jestem przekonany, że zrobił to nieszczercze, z wymuszonej miłości, podyktowanej przez dobrowolnie wzięty na siebie obowiązek. Człowieka można kochać, gdy jest ukryty, ledwo zaś pokaże swoją twarz, miłość znika.

- Mówił mi to nieraz starzec Zosima - zauważył Alosza - mówił także, że twarz człowieka często nie pozwala ludziom, niedoświadczonym w miłości, kochać człowieka. Ale przecież wiele jest miłości w ludzkich sercach, miłości podobnej do miłości Chrystusowej. Sam o tym wiem, Iwanie...

- A ja o tym jeszcze nie wiem i nie mogę tego pojąć. I nie tylko ja, ale wiele innych ludzi. Pytanie, czy to wynika ze złych skłonności ludzi, czy też taka już jest natura ludzka. Moim zdaniem

miłość Chrystusowa do ludzi jest swego rodzaju cudem niemożliwym na ziemi. Prawda, Chrystus był Bogiem. Ale my nie jesteśmy bogami. Przypuśćmy, że ja na przykład głęboko cierpię, ale kto inny nigdy przecie nie potrafi poznać, do jakiego stopnia cierpię - dlatego właśnie, że jest innym człowiekiem, a nie mną, i dlatego, że człowiek niechętnie wierzy w cudze cierpienie (jak gdyby ono było jakimś zaszczytem). Czemu nie wierzy, jak myślisz? Dlatego na przykład, że czuć mi z ust albo że mam głupią fizjonomię, że kiedyś przez nieuwagę nastąpiłem mu na nogę. W dodatku są rozmaite cierpienia: cierpienia hańbiące, cierpienia, które mnie poniżają, głód na przykład - tego rodzaju cierpienia uzna mój dobrodziej, ale cierpienia wyższego rzędu, powiedzmy dla idei, przeważnie nie uznaje: bo popatrzy na mnie i zobaczy, że moja twarz zupełnie nie odpowiada tym wymogom, które jego fantazja stawia człowiekowi cierpiącemu dla takiej a takiej idei. I oto pozbawia mnie natychmiast całej swej życzliwości, i to nie ze złego serca. Ubodzy, zwłaszcza tak zwani ubodzy ze szlachty, nie powinni się nigdy pokazywać, raczej niech proszą o jałmużnę za pośrednictwem gazet. Abstrakcyjnie można kochać bliźniego, czasem nawet z daleka, ale z bliska prawie nigdy. Gdyby się wszystko odbywało jak na scenie, w balecie, gdyby ubodzy nosili jedwabne łaszki i podarte koronki i gdyby żebrali tańcząc wdzięcznie, to można by jeszcze patrzeć na nich z upodobaniem. Z upodobaniem, ale nie z miłością. No, dość tego. Chciałem tylko, żebyś spojrział na te sprawy z mojego punktu widzenia. Chciałem mówić o ludzkim cierpieniu w ogólności, ale raczej ograniczmy się do cierpień dzieci. Zmniejszy to dziesięciokrotnie zasięg mojej argumentacji, ale mówmy lepiej tylko o dzieciach. Naturalnie, dla mnie to mniej wygodne. Ale, po pierwsze, dzieci można kochać nawet z bliska, nawet brudne i brzydkie (wydaje mi się jednak, że dzieci nigdy nie są brzydkie). Po drugie, o dorosłych dlatego poza tym nie będę mówił, że - mimo iż są obrzydliwi i nie zasługują na miłość - dorośli biorą odwet: zjedli jabłko, poznali dobre i złe i stali się „jako bogowie”. Nie przestają go jeść i teraz. Ale dzieci nic nie jadły i są jeszcze zupełnie niewinne. Czy kochasz dzieci. Alosza? Wiem, że kochasz i zrozumiesz, dlaczego chcę teraz tylko o nich mówić. Jeżeli zaś i one na świecie tak strasznie cierpią, to tylko za swoich ojców, karane są za ojców, którzy jedli jabłko. Ale takie rozważanie jest nieludzkie, toteż jest niezrozumiałe dla ludzkiego serca. Niewinny nie powinien cierpieć za winnego, i w dodatku jaki niewinny! Popatrz na mnie, Alosza, ja też strasznie kocham dzieci. I zwróć na to uwagę, że ludzie okrutni, namiętni, mięsożerni, karamazowcy, czasem nadzwyczaj kochają dzieci. Dzieci, póki są dziećmi, do siódmego roku życia na przykład, okropnie różnią się od innych ludzi: to jak gdyby zupełnie inne istoty, odmiennej natury... Znałem pewnego bandytę, osadzonego w więzieniu, który w ciągu swej kariery włamując się nocami do domów w celach grabieży, mordował całe rodziny, w tym oczywiście również i dzieci. Ale siedząc w więzieniu, kochał je niezwykle. Spoza kraty spoglądał całymi godzinami na dzieciarnię bawiącą się na podwórzu więziennym. Z jednym chłopczykiem zaprzyjaźnił się nawet i rozmawiał przez okienko... Nie wiesz, po co ja ci to wszystko mówię, Alosza? Głowa mnie jakoś boli i smutno mi.

- Mówisz z jakąś dziwną miną, jak gdybyś odchodził od zmysłów - zauważył z troską i niepokojem Alosza.

- Ale, ale, niedawno opowiadał mi pewien Bułgar w Moskwie - ciągnął dalej Iwan Fiodorowicz, jak gdyby nie słysząc uwagi brata - jak tam u nich, w Bułgarii, Turcy i Czerkiesi, w obawie przed powstaniem, pastwią się nad jego rodakami. Puszczają wioski z dymem, mordują, gwałcą kobiety i dzieci, na noc przybijają więźniom uszy ćwiekami do płotów, a nazajutrz wieszają ich, itd. Niepodobna sobie tego wszystkiego wyobrazić. Mówi się czasem o „zwierzęcym” okrucieństwie ludzi, ale uważam, że wyrażając się w ten sposób, krzywdzi się niesprawiedliwie

zwierzęta. Zwierzę nigdy nie potrafi być tak okrutne jak człowiek, tak artystycznie, tak po mistrzowsku, tak wyszukanie okrutne. Tygrys po prostu gryzie, szarpie, i nic ponadto. Nigdy by mu do głowy nie strzeliło przybijać ludzi na noc gwoździami do parkanów, nawet gdyby mógł to zrobić. Otóż tamtejsi Turcy z wyjątkową namiętnością męczą dzieci, poczynając od wyrzynania sztyletem płodu z brzucha matki, a kończąc na podrzucaniu do góry niemowląt i łapaniu ich na ostrza bagnatów w obecności matek. Obecność matek jest właśnie największą delcją. Ale oto obrazek, który mnie nader zainteresował. Wyobraź sobie: niemowlę na ręku drżącej matki, dookoła Turcy. Zaczęli wesołą zabawę, pieszczą dziecko, śmieją się, aby je rozweselić, w końcu udało im się: niemowlę śmieje się. W tej chwili Turek przysuwa do twarzyczki lufę rewolweru. Dzieciak śmieje się radośnie, wyciąga rączki po rewolwer, i wówczas artysta spuszcza kurek i roztrzaskuje niemowlęciu główkę... Majstersztyk, co? Podobno Turcy bardzo lubią słodyczne.

- I po co to wszystko mówisz, bracie? - zapytał Alosza.

- Bo myślę, że jeżeli szatan nie istnieje, jeżeli go stworzył człowiek, to stworzył na swoje podobieństwo.

- W takim razie tak samo jak i Boga.

- Umiesz nader zręcznie wykręcać słówka, jak mówi Poloniusz w *Hamlecie* - roześmiał się Iwan - złapałeś mnie za słówko, proszę, bardzo mi miło. Dobry jest twój Bóg, jeżeli człowiek stworzył go na swoje podobieństwo. Pytałeś się, po co to mówię. Jestem, uważasz, miłośnikiem i zbieraczem niektórych fackików i, czy uwierzysz, wypisuję z gazet i z opowiadań, zewsząd, przeróżne anegdotki, mam już wcale niezłą kolekcję. Turcy oczywiście weszli do kolekcji, ale to są cudzoziemcy. Mamy też i nasze rodzime zwyczaje, wcale nie gorsze, a nawet lepsze od tureckich. Wiesz, u nas przeważnie bije się różgą i batem - to narodowe środki. Przebite gwoździami uszy są u nas niemożliwe, bądź co bądź jesteśmy Europejczykami, ale różgi, baty to już jest nasze, tego nam nikt nie odbierze. Za granicą teraz wcale nie bije się ludzi, lepsze obyczaje czy też prawo takie wydano, że człowiek człowieka nie śmie bić. Ale powetowano to sobie inaczej, też po swojsku, narodowo, i to tak narodowo, że nawet u nas by się nie przyjęło, chociaż co prawda u nas zaczyna się przyjmować, zwłaszcza od czasu, jak w wyższych sferach zaczęły się szerzyć nowe prądy religijne. Mam bardzo piękną broszurkę, przełożoną z francuskiego, o tym, jak pięć lat temu w Genewie stracono pewnego złodzieja i bandytę, Ryszarda, dwudziestotrzyletniego, zdaje się, zucha, który nawrócił się niedługo przed straceniem. Było to dziecko nieślubne, rodzice za młodu podarowali je góralom, szwajcarskim pastuchom. Ryszard miał wówczas sześć lat i górale wcześniej zaprzęgli go do pracy. Rósł jak dziki zwierz, nie nauczono go niczego i posyłano na pastwisko z trzodą, o chłodzie i deszczu, nie żywiąc go i nie odziewając. Rzecz jasna, żaden z górali nie zastanawiał się nad tym i nie odczuwał skruchy, bo przecież Ryszarda podarowano im jak rzecz martwą. Sam Ryszard oświadczył, że w tym czasie jako ewangeliczny syn marnotrawny łąsił się nawet na jedzenie dawane tuczonym na sprzedaż świniom, kradł je z koryta i oczywiście chłostano go okrutnie, gdy złapano na gorącym uczynku. Tak spędził dzieciństwo i młodość. Gdy dorósł i nabrał sił, poszedł kraść. Pracował jako wyrobnik w Genewie, zarobione pieniądze przepijał, nie umiałby nawet użyć ich inaczej, żył jak zwierzę i ostatecznie ograbił i zamordował jakiegoś starca. Schwymano go, sądzono i skazano na śmierć. Tam nie bawią się w sentymynty. I oto w więzieniu otoczyli go różni, pastorki i członkowie rozmaitych bractw Chrystusowych, dobroczynne paniusie itd. Nauczono go w więzieniu

czytać i pisać, wtajemniczono w zasady wiary, namawiano go, przekonywano, doradzano, aż wreszcie doprowadzono z triumfem do tego, że ze skruczą przyznał się do winy. Napisał sam do sędziów, że żył dotąd jak zwierzę, ale na koniec Pan Bóg go oświecił i zesłał mu swą łaskę. Poruszyła się cała Genewa, cała dobroczynna i pobożna Genewa. Wszystko, co było w mieście znakomitszego i zajmowało się dobroczynnością, zważyło się do więzienia; całowano, ściskano biednego Ryszarda. „Tyś nasz brat i na ciebie spłynęła łaska Pańska!” A Ryszard wylewał łzy wzruszenia: „Tak, spłynęła na mnie łaska! Przedtem w dzieciństwie i młodości rad byłem świńskiej karmie, a teraz spłynęła na mnie łaska i umrę w Panu!” „Tak, tak, Ryszardzie, umrzyj w Panu, boś przelał krew i powinieneś umrzeć w Panu. Może tyś nie winien, żeś nie znał wcale Pana, gdy zazdrościłeś świniom karmy i gdy cię bito za to, żeś wykradał ją świniom (bardzo źle czyniłeś, bo nie wolno kraść), ale przelałeś krew i powinieneś umrzeć.” I oto nadchodzi ostatni dzień. Znekany Ryszard płacze i powtarza co chwila: „To najlepszy mój dzień, bo idę do Pana!” „Tak - wołają pastory, dobroczynne damy i sędziowie - to najszcześniejszy twój dzień, bo idziesz do Pana!” I oto śpieszą tłumnie na miejsce egzekucji, w powozach i pieszo, za haniebnym wozem, na którym siedzi Ryszard. Oto dotarli do miejsca stracenia. „Umieraj, Ryszardzie, umieraj, bracie nasz, umieraj w Panu, bo na ciebie spłynęła Jego łaska!” I oto, okrytego pocałunkami braci, brata Ryszarda wciągnięto na szafot, położono mu głowę pod gilotynę i odcięto ją po bratersku, bo spłynęło nań światło łaski. Tak, to charakterystyczne. Broszurka ta jest przełożona na rosyjski przez któreś ze stowarzyszeń luterzańskich i dodawana bezpłatnie do dzienników i innych wydawnictw dla uświadomienia narodu rosyjskiego. Żart z Ryszardem jest dobry dlatego, że jest tak bardzo narodowy. U nas wprawdzie głupio byłoby mordować brata za to, że stał się naszym bratem i że spłynęła nań łaska, ale w zamian mamy nie gorsze, jak już wspomniałem, nasze własne żarty. Na przykład historycznie najbliższe nam i bezpośrednie jest napawanie się biciem. Niekrasow napisał śliczny wiersz o tym, jak rosyjski chłop zacina konia batem po ślepiach, po „łagodnych ślepiach”. To takie swojskie, któż tego nie widział! Biedne zwierzę, obarczone ciężarem nad siły, ugrzęzło wraz z wozem w błocie i nie może ruszyć z miejsca. Chłop bije je, bije zapamiętale, wreszcie, upojony biciem, smagając je dotkliwie, bez końca, woła: „Nie możesz, ale wieź, zdychaj, ale ciągnij!” Szkapo szarpie się i oto chłop zaczyna ją, bezbronną, siec po płaczących „łagodnych ślepiach”. Ostatnim wysiłkiem konisko szarpnęło się i wyciągnęło wóz i poszło drżące, bez tchu, poruszając się bezwładnie jakoś bokiem, w podskokach, nienaturalnie i haniebnie. Niekrasow opisał to wstrząsająco. Ale to tylko koń; konia sam Pan Bóg stworzył, aby człowiek miał kogo okładać batem. Tak nas Tatarzy nauczyli i darowali nam bat na pamiątkę. Ale można przecie okładać batem również i ludzi. Na przykład pewna inteligentna, wykształcona para częstuje własne dziecko, córeczkę siedmioletnią, różgami, mam to szczegółowo i dokładnie zapisane. Ojczulek rad, gdy różgi są z kolcami, powiada, że dziecko „lepiej poczuje”. I zaczyna „przemawiać” rodzonej córce „do rozumu”. Wiem z całą pewnością, że są ludzie, którzy w miarę bicia rozgrzewają się, rozpalają namiętnie, popadają w upojenie lubieżne, i to za każdym uderzeniem coraz bardziej. Biją minutę, pięć, dziesięć minut, coraz silniej, coraz mocniej. Dziecko krzyczy, w końcu nie może już krzyczeć, słabnie: „Ojcze, ojczy, ojczulku, tatusiu!” - woła. Sprawa w jakiś piekielnie głupi sposób trafia przed sąd. Rodzice biorą adwokata. Nie darmo lud nasz mówi od dawna o adwokatach: „Adwokat - najęte sumienie.” Adwokat podniósł wrzawę w obronie swojego klienta. „Sprawa, powiada, taka prosta, zwyczajna, familijna, ojciec skarcił córkę, czyż nie wstyd sprawę taką wytaczać przed sądem!” Sędziowie przysięgli, zupełnie przekonani, uniewinniają dręczyciela. Publiczność pieje z zachwytem z powodu sprawiedliwego wyroku. Szkoda, że mnie tam nie było, zaproponowałbym składkę na stypendium imienia tego kata!... Piękny widok. Dużo, dużo dokumentów udało mi się

zebrać o naszych rosyjskich dzieciach, Alosza. Pewni rodzice, „ludzie zacni, wykształceni, cywilizowani, dobrze wychowani”, zniechęcili własne dziecko, pięcioletnią dziewczynkę. Wspominałem ci już, że są ludzie, którzy znajdują specjalną przyjemność w dręczeniu dzieci, i to tylko dzieci. Poza tym w stosunku do innych istot rodzaju ludzkiego mogą być uprzejmi, delikatni, ogładzeni, jak przystało na cywilizowanych, humanitarnych Europejczyków. Lubią jedynie dręczyć dzieci. I to jest ich sposób kochania dzieci. Właśnie ta kompletna bezbronność, ta anielska ufność maleństwa, to nęci, to rozpala plugawą krew dręczyciela. Bo w każdym, rzecz jasna, człowieku kryje się bestia - bestia złości, bestia spuszczonej z łańcucha żądź i chorób nabytych w rozpuście, podagry, chorej wątroby, i tak dalej, bestia, która pasie się krzykiem dręczonych ofiar. Ową biedną pięcioletnią dziewczynkę poddawali „wykształceni, zacni” rodzice wszelkiego rodzaju torturom. Bili ją bez żadnej przyczyny, siekli, kopali nogami, tak że całe ciało pokryte było czarnymi sińcami, w końcu doszli do największego wyrafinowania: zamykali ją w zimne, mroźne noce w ustępie na kilka godzin, pod pretekstem, że nie budzi się w nocy (jak gdyby pięcioletni dzieciak, śpiący mocnym anielskim snem, mógł w tym wieku nauczyć się wołać). Za to przewinienie mazali jej całą twarzą własnym kałem i kazali jeść ten kał, i to matka, matka do tego zmuszała! I mogła potem zasypiać spokojnie, słysząc rozpaczliwe krzyki biednego dziecka zamkniętego w nikczemnym miejscu! Zastanów się teraz, co mogło czuć takie biedne, bezradne stworzenie, nie będące jeszcze w stanie zrozumieć, co się z nim dzieje. Jak tłukło drobnymi rączkami w dziecinną wątłą pierś, wzywając krwawymi, niewinnymi, łagodnymi łzami „Bożę” na pomoc. Czy rozumiesz teraz te niedorzeczności, czy rozumiesz, mój bracie, pokorny i słodki sługo Boży, na co komu i po co potrzebne są i stworzone takie niedorzeczności? Bez nich, powiadają, nie mógłby człowiek żyć na ziemi, bo nie potrafiłby odróżnić dobra od zła. A po co? po co komu poznanie tego piekielnego dobra i zła, jeżeli ma się je nabywać takim kosztem? Przecie cały bezmiar poznania nie jest wart owych łez dziecka wzywającego „Bożi”. Nie mówię o męce dorosłych, ci zjedli jabłko, pal ich sześć i niech ich wszystkich diabli biorą, ale dzieci, dzieci! Męczę cię, Aloszka, jesteś jakby nieswój. Jeżeli chcesz, przestanę.

- To nic, ja też chcę cierpieć! - wyszeptał Alosza.

- Jeszcze jeden, jeden ci tylko przytoczę obrazek, dla ciekawości, bardzo charakterystyczny, fakt, którego opis czytałem w jednym z naszych starych roczników w „Archiwum” czy w „Przeszłości”, nie pamiętam, trzeba sprawdzić. Działo się to w pełnym rozkwicie poddaństwa, gdzieś na początku stulecia - niech żyje Oswobodziciel! Mieszkał wówczas na wsi pewien generał, bardzo ustosunkowany i bogaty obywatel. Należał on do (istotnie nielicznego, zdaje się, wówczas) grona obywateli, którzy po wysłużeniu emerytury przekonani są, że wysłużyli sobie prawo życia i śmierci nad swymi poddanymi. Byli wówczas tacy ludzie w Rosji. Mieszkał więc ów generał w swoim majątku, liczącym dwa tysiące dusz. Uboższych sąsiadów traktował z góry, mając ich za swoich rezydentów i błaznów, darł nosa. Miał niezmiernie liczną psiarnię i całe setki psiarczyków, w liberii i na koniach. Otóż jedno z dzieci folwarcznych, ośmioletni chłopczyk, rzucił kamień i skaleczył łapę ulubionej wyzlicy pana generała. „Czemuż to moja ulubiona wyzlica kuleje?” Wytłumaczono mu, że ów chłopczyk przetrącił jej nogę kamieniem. „A, to ty, ty - obejrzał go generał - brać go!” Wzięli go, wzięli dzieciaka od matki, zamknęli na całą noc w jakiejś piwnicy. Rankiem, skoro świt, wyjeżdża generał z całą świtą na polowanie. Dosiadł konia, otaczają go rezydenci, psy, psiarczyki, łowczy; wszystko konno. Dalej gwoli przykładu zebrano całą czeladź, a na przedzie matka chłopczyka. Wyprowadzają chłopca, ranek jesienny, dżdżysty, chłodny, wyborny na polowanie.



Generał rozkazuje rozebrać chłopca do naga, dzieciak drży, oszołomiony, nieprzytomny ze strachu. „Gonić go!” - komenderuje generał. „Biegaj! Biegaj!” - wołają dojeżdżacze i chłopak biegnie. „Huź-ha! huź-ha!” - krzyczy generał i wypuszczają na chłopca wszystkie psy spuszczone ze smyczy. Rozszarpały go w oczach matki, rozszarpały na strzępy! Generała, zdaje się, wzięto pod kuratelę. A ty jak myślisz, Alosza? Rozstrzelać takiego? Rozstrzelać, żeby zaspokoić poczucie moralności? No mów, Aloszka!

- Rozstrzelać - szepnął, blady jak ściana, Alosza, krzywiąc usta w jakimś dziwnym uśmiechu i podnosząc wzrok na brata.

- Brawo! - zawołał w jakimś zachwycie Iwan - brawo! Jeżeli tyś to powiedział... Ty, pustelniku! A widzisz, jaki to szatan czai się i w twoim serduszku, Aloszka Karamazow!

- Powiedziałem głupstwo, ale...

- Otóż to ale... Wiedz, ty nowicjusz, że głupstwa potrzebne są na świecie. Świat stoi głupstwami i bez nich może nic by się nie działo. Wiem swoje.

- Cóż ty wiesz?

- Ja nic nie rozumiem - mówił dalej Iwan, jakby w gorączce - i nie chcę teraz rozumieć, chodzi mi tylko o fakty. Dawno już postanowiłem nie rozumieć. Jeśli zechcę coś zrozumieć, to od razu tym samym zmienię fakty, a ja postanowiłem trzymać się faktów...

- Czemu wystawiasz mnie na próbę? - z bolesnym wysiłkiem zawołał Alosza - powiesz mi wreszcie czy nie?

- Naturalnie, że powiem. Do tego przecież zmierzałem - odrzekł Iwan. - Zanadto mi jesteś drogi, nie chcę cię utracić i nie odstąpię cię twojemu Zosimie.

Iwan zamilkł na chwilę i twarz jego nagle bardzo posmutniała.

- Słuchaj. Aby tę rzecz bardziej uwydatnić, wspomniałem tylko o cierpieniach dzieci. O innych łzach ludzkich, którymi ziemia nasza jest na wskroś przesiąknięta, nie powiem już ani słowa, rozmyślnie zwęziłem temat. Pluskwą jestem i przyznaję z całą pokorą, że nie rozumiem, dlaczego świat jest tak, a nie inaczej urządzony. Człowiek niby sam sobie winien: dano mu raj na ziemi, a on zapragnął wolności i wykradł ogień z niebios, wiedząc z góry, że ściąga na siebie nieszczęście, zatem nie warto go żałować! O, mój nędzny, ziemski, euklidesowy rozum mówi mi tylko to, że na ziemi jest cierpienie, że winnych nie ma- i że wszystko wypływa logicznie jedno z drugiego, wszystko płynie i wszystko równoważy - ale to tylko euklidesowe głupstwa, przecie znam to już i nie mogę się zgodzić, by według tego żyć! Co mi z tego, że nie ma winnych i że wszystko wynika z siebie logicznie, że wiem o tym - domagam się odwetu, bo w przeciwnym razie niszcę siebie. I domagam się odwetu nie gdzieś tam, kiedyś, w wieczności, ale tu, na ziemi, muszę to koniecznie sam zobaczyć. Wierzyłem, więc chcę sam zobaczyć, a gdybym przedtem umarł, to niech mnie wskrzeszą, bo jeżeli to wszystko odbędzie się beze mnie, poczuję się zbyt skrzywdzony. Nie po to cierpiałem, żeby moje cierpienie i występki, i ja sam, służyły jako nawóz do użyczenia jakiejś przyszłej harmonii. Chcę

zobaczyć na własne oczy, jak trwożliwa łania usnie spokojnie obok drapieżnego lwa, a zamordowany wstanie i uściśnie mordercę. Chcę być tu, gdy wszyscy dowiedzą się naraz, po co to wszystko tak było. Na tym pragnieniu opierają się wszystkie religie, a ja wierzę. Ale dzieci, co ja z nimi wówczas pocznę? Oto pytanie, którego nie mogę rozstrzygnąć. Setny raz powtarzam - pytań jest wiele, lecz wziąłem tylko sprawę dzieci, ponieważ ten przykład najlepiej wyjaśnia, co chcę powiedzieć. Słuchaj, jeżeli wszyscy powinni cierpieć, aby cierpieniem okupić wieczną harmonię, to co tu robią dzieci, powiedz mi, proszę? Zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu one mają cierpieć i dlaczego mają cierpieniem okupić harmonię? Dlaczego one też stały się mierzwą do użyźniania jakiejś przyszłej harmonii? Rozumiem, że ludzie mogą być solidarni w grzechu, rozumiem solidarność w odwecie, ale przecież dzieci nie mogą być z nami solidarne w grzechu, a jeżeli jest prawdą, że i one muszą odpowiadać za grzechy swoich ojców, to ta prawda jest nie z tego świata i dla mnie niepojęta. Może wprowadzić jakiś dowcipniś utrzymywać, że dziecko także kiedyś dorośnie i zdąży grzeszyć, a więc i ono powinno być karane, ale przecież tamten dzieciak nie dorósł, zaszczuto go psami, gdy miał osiem lat. O, Alosza, ja nie bluźnię! Wyobrażam sobie doskonale, jaki dreszcz powszechnej radości przeniknie cały wszechświat, gdy wszystko na niebie i na ziemi zleje się w jeden pochwalny hymn i wszystko, co żyło i żyje, zawoła: „Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, Panie, bo objawiłeś nam wreszcie drogi Twoje!” A kiedy matka zamordowanego dziecka uściśnie mordercę i wszyscy troje zawołają ze łzami: „Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, o Panie”, wówczas nastąpi korona poznania i wszystko się wyjaśni. I w tym właśnie sęk, ja takiego rozwiązania przyjąć nie mogę. Dopóki jeszcze żyję na ziemi, sprzeciwiam się temu. Widzisz, Alosza, może się istotnie tak zdarzyć, że kiedy sam dożyję tej chwili, albo zmartwychwstanę, żeby ją zobaczyć, to może i ja zawołam, patrząc na matkę, ściskającą kata jej dziecka: „Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, o Panie”, ale ja nie chcę wtedy wołać. Póki jeszcze czas, odsuwam się, a więc rezygnuję całkowicie z najwyższej harmonii. Niewarta nawet łezki tego zamęczonego maleństwa, które biło się piąstkami w pierś i modliło się w smrodliwej kloace nieodkupionymi łezkami „do Bozi”. Niewarta, ponieważ te łezki są nieodkupione. Muszą być odkupione, bo inaczej harmonia jest niemożliwa. Ale czym, czym je odkupisz? Czy to możliwe? czy tym, że będą pomszczone? Ale na co mi pomsta, na co mi piekło dla katów, co tu piekło może naprawić, skoro tamci są już umęczeni? I jaka tu może być harmonia, jeśli istnieje piekło: ja chcę przebaczyć i chcę uściskać, nie chcę, aby dłużej cierpiano. I jeżeli cierpienia dzieci mają dopełnić sumy cierpień, która jest niezbędna do kupienia prawdy, to z góry twierdzę, że cała ta prawda nie jest warta takiej ceny. Nie chcę wreszcie, aby matka uściśnęła kata, który zaszczuł psami jej syna! Ona nie śmie mu przebaczyć! Jeżeli chce, to niech przebaczy za siebie, niech mu przebaczy swoje wielkie macierzyńskie cierpienie, lecz nie ma prawa przebaczyć cierpienia swego dziecka, nie śmie przebaczyć oprawcy, choćby mu sama ofiara przebaczyła! A jeżeli tak, jeżeli nie śmieją przebaczyć, to gdzie ta harmonia? Czy istnieje na całym świecie istota, która by mogła i miała prawo przebaczyć? Nie chcę harmonii, nie chcę z miłości do człowieka. Chcę raczej zostać z nie pomszczonymi cierpieniami. Wolę zostać przy swoich nie pomszczonych cierpieniach, przy oburzeniu, choćbym i nie miał racji. Za drogo zresztą oceniono harmonię, tyle płacić za wejście, to nie na naszą kieszeń. Dlatego chcę jak najprędzej oddać bilet. Jeżeli jestem uczciwym człowiekiem, powinienem go oddać jak najprędzej. To właśnie czynię. Nie, Boga nie przyjmuję, tylko zwracam mu z szacunkiem bilet.

- To bunt - rzekł cicho Alosza spuściwszy oczy.

- Bunt? Wolałbym nie słyszeć od ciebie tego słowa - odparł z przejęciem Iwan. - Buntem

przecież żyć nie można, a ja chcę żyć. Powiedz mi bez ogródek, wzywam cię, odpowiedz: wyobraź sobie, że sam budujesz gmach przeznaczenia ludzkiego, aby w rezultacie uszczęśliwić ludzi, dać im wreszcie pokój i ład, ale że w tym celu należy koniecznie zadrzeć tylko jedną drobną istotkę, choćby to biedne dziecko, które biło się piąstkami w pierś, i na jego nie pomszczonych łzach zbudować ów gmach - powiedz, czy zgodziłbyś się za taką cenę zostać budowniczym, mów prawdę, nie kłam!

- Nie, nie zgodziłbym się - odparł cicho Alosza.

- A czy możesz dopuścić myśl, że ludzie, dla których byś budował, zgodziliby się przyjąć swoje szczęście za cenę niewinnie przelanej krwi zadreżonego dziecka, przyjąwszy je zaś, być na wieki szczęśliwi?

- Nie, nie mogę. Słuchaj - odezwał się naraz Alosza i oczy mu zabłyśły - pytałeś przed chwilą, czy jest na świecie Istota, która by mogła i miała prawo przebaczyć. Ale Istota taka jest i Ona może przebaczyć wszystkim i wszystko, i za wszystko, bo Sama oddała swoją niewinną krew za wszystkich i za wszystko. Zapomniałeś o Nim, a na Nim to właśnie powstanie ów gmach, i do Niego zawołają: „Panie, sprawiedliwe są zrządzania Twoje, albowiem objawiłeś nam drogi Twoje...”

- O, to „Jedyny Sprawiedliwy” i Jego krew! Nie, nie zapomniałem o Nim i dziwiłem się nawet, że dotychczas nie wspomniałeś o Nim, bo wasi we wszystkich dysputach zwykle wytaczają najpierw Jego imię. Wiesz, Alosza, ale nie śmieć się, napisałem poemat, rok temu. Jeśli masz jeszcze dziesięć minut czasu, to bym ci powiedział.

- Napisałeś poemat?

- O nie, nie napisałem - roześmiał się Iwan. - W życiu swoim nie skleciłem dwóch wierszy. Ale ten poemat wymyśliłem i zapamiętałem. Wymyśliłem go z zapalem. Będiesz moim pierwszym czytelnikiem, właściwie słuchaczem. Po cóż pozbawiać się może jedynego słuchacza - uśmiechnął się Iwan. - Mówić czy nie?

- Chętnie posłucham - odrzekł Alosza.

- Mój poemat jest zatytułowany *Wielki inkwizytor*, rzecz bezsensowna, ale chciałbym, żebyś ją poznał.

## V

### WIELKI INKWIZYTOR

- Ale i tu nie obejdzie się bez przedmowy, to znaczy bez literackiej przedmowy. Tfu! - roześmiał się Iwan - Jaki ze mnie literat! Widzisz, rzecz dzieje się w szesnastym wieku. W owych czasach - wiesz zresztą o tym zapewne jeszcze ze szkoły - zwykło się w literackich utworach sprowadzać na nasz padół wyższe moce. Nie mówię nawet o Dantem. We Francji pisarze sądowi, a

także zakonnicy po klasztorach urządzali całe przedstawienia, pokazując na scenie Madonnę, aniołów, świętych, Chrystusa i samego Boga. Wówczas wszystko to było bardzo naiwne. W *Notre Dame de Paris*[10] Wiktora Hugo, z okazji urodzin delfina, za Ludwika XI, w Paryżu, w sali ratuszowej, odbywa się pouczające i bezpłatne widowisko dla ludu pod tytułem *Le bon jugement de la tres sainte et gracieuse Vierge Marie* [11], w którym Matka Boska osobiście wygłasza swoje *bon jugement*. [12] U nas w Moskwie, w czasach przed Piotrem I, niekiedy urządzano również podobne przedstawienia, zwłaszcza na tematy zaczerpnięte ze Starego Testamentu; lecz poza tymi przedstawieniami po całym świecie krążyło wówczas mnóstwo przypowieści i wierszy, w których występowali w miarę potrzeby święci, aniołowie i wszystkie moce niebieskie. U nas po monasterach zajmowano się również tłumaczeniem, zapisywaniem, a nawet komponowaniem takich poematów i to jeszcze za tatarskiej niewoli. Istnieje na przykład monasterski poemacik (oczywiście tłumaczony z greckiego): *Wędrowka Bogurodzicy przez męki*, z obrazkami, doprawdy nie mniej śmiały od Danteskiego. Bogarodzica zwiedza piekło, oprowadzana przez archanioła Michała. Przygląda się grzesznikom i ich cierpieniom. Jest tam między innymi bardzo ciekawa kategoria grzeszników, topionych w płonącym jeziorze: otóż tych, którzy pogrążają się tak głęboko, że nie mogą już wypłynąć, „zapomina już sam Pan Bóg” - powiedzenie niezwykle silne i głębokie. I oto strapiona i płacząca Matka Boska pada przed tronem Bożym i prosi o zmiłowanie dla wszystkich bez wyjątku potępieńców, których widziała w piekle. Rozmowa Jej z Bogiem jest nadzwyczaj interesująca. Błaga, nie odchodzi, i kiedy Bóg wskazuje Jej przebite ćwiekami nogi i ręce Jej syna i pyta: „Jakże przebaczę Jego katom?”, Matka Boska zwraca się do wszystkich świętych i archaniołów, wzywa ich, aby klękli wraz z nią przed tronem Bożym i błagali o zmiłowanie dla wszystkich bez wyjątku. W końcu Bóg godzi się zwolnić grzeszników od mąk każdego roku od Wielkiego Piątku do Zielonych Świąt, a potępieńcy z piekła dziękują Bogu i wołają: „Sprawiedliwe są sądy Twoje, o Panie!” Widzisz, mój poemacik byłby w tym guście, gdyby został napisany w owym czasie. W poemacie moim również występuje On; co prawda, nic nie mówi, tylko pojawia się i przechodzi. Piętnaście już wieków minęło od czasu, jak przyrzekł przyjść i założyć królestwo swoje, piętnaście wieków minęło od czasu, gdy prorok Jego pisał, że przyjdzie rychło, a o godzinie i dniu przyjścia nawet nie wie Syn, tylko Ojciec w niebie, jak to On sam powiedział jeszcze na ziemi. Ale ludzkość oczekuje Go z dawną wiarą i z dawnym wzruszeniem. O, z większą bodaj wiarą, bo piętnaście wieków już minęło od czasu, jak skończyły się znaki dawane z nieba człowiekowi.

*Wierz głosowi serca swego:*

*Nie ma, nie ma znaków z nieba.*

I tylko wiara w głos serca! Prawda, zdarzało się jeszcze wówczas wiele cudów. Byli święci dokazujący cudownych uzdrowień; byli sprawiedliwi, których, jak podają ich żywoty, nawiedzała Królowa Niebios. Ale diabeł nie drzemie, i ludzkość poczyną już wątpić o owych cudach. Właśnie wtedy zaczęła się szerzyć na Północy, w Niemczech, nowa straszliwa herezja. Ogromna gwiazda, podobna „Świecznikowi (to znaczy Kościołowi) spadła na źródła wód i stały się one gorzkie”. Herezje owe bluźnierczo odrzucały tamte cuda. Ale tym żarliwsza była wiara tych, którzy nie zwątpili. Łzy ludzkości po dawnemu płyną ku Niemu, ludzie czekają, kochają i ufają Mu, pragną cierpieć i umrzeć za Niego, jak dawniej... I oto przez tyle wieków ludzkość błagała Go z płomienną

wiarą: „Ukaż się nam, Panie”, przez tyle wieków wzywała Go, że w nieskończonym swym miłosierdziu zapragnął zstąpić ku modlącym się. Zstępował już nieraz, nawiedzał i przedtem niektórych sprawiedliwych, męczenników i świątobliwych pustelników, jak zapisano w ich żywotach. Nasz Tiutczew, który wierzył głęboko w prawdę słów swoich, tak pisał:

*Dźwigający krzyża brzemię*

*Stopą bosą głązy krwawiąc,*

*W chłopskiej szacie wzdłuż tę ziemię*

*Chrystus przeszedł błogosławiąc.*

I tak było w istocie, zapewniam cię. I oto zapragnął objawić się bodaj na chwilę ludowi - dręczonemu, cierpiącemu, grzeszącemu, ale miłującemu Go jak dziecko ludowi. Akcja mojego poematu rozgrywa się w Hiszpanii, w Sewilli, w najstraszliwszym okresie inkwizycji, kiedy to, ku chwale Bożej, w całym kraju codziennie płonęły stosy:

*I w przepysznych autodafé*

*Złych palono heretyków.*

O, oczywiście, nie było to owo przyjście, owo przyjście obiecane u kresu czasów, w pełni chwały niebieskiej, owo przyjście niespodziane, „jak błyskawica jaśniejąca od Wschodu do Zachodu”. Nie, bynajmniej, On zapragnął po prostu bodaj na chwilę odwiedzić swoje dzieci, i właśnie tam, gdzie trzeszczały płonące stosy. W nieskończonym miłosierdziu swoim zjawia się jeszcze raz pośród ludzi w postaci człowieczej, w której przez trzy lata chodził wśród ludzi przed piętnastoma wiekami. Zstępuje więc na „gorące pierzeje” południowego miasta, w którym dopiero poprzedniego dnia w przepysznym autodafé, w obliczu króla, dworu, rycerzy, kardynałów i pięknych dam, wobec wszystkich mieszkańców Sewilli sam kardynał, wielki inkwizytor, spalił niemal setkę kacerzy *ad majorem gloriam Dei*. [13] Pojawił się cichaczem, niepostrzeżenie, lecz oto wszyscy - i to jest najdziwniejsze - poznali Go od razu. Mogłoby to być jedno z najlepszych miejsc mego poematu, a mianowicie to, dlaczego właśnie wszyscy poznali Go od razu. Cały lud z nieprzepartą siłą garnie się do Niego, otacza Go, tłoczy się dokoła Niego, idzie za Nim. On zaś milcząco przechodzi z łagodnym uśmiechem nieskończonego miłosierdzia. Ogień miłości płonie w Jego sercu, promienie Światła, Oświaty i Siły biją z Jego oczu i spływając na ludzi wstrząsają ich serca odzewem miłości. Wyciąga ku nim ręce, błogosławi ich, a dotknięcie bodaj skraju Jego szat uzdrawia chorych. Oto starzec, ślepy od wielu lat, woła: „Panie, ulecz mnie, abym Cię zobaczył”, a ślepotą jak łuska schodzi z jego oczu i ślepiec widzi Pana. Lud płacze i całuje ziemię, po której On stąpa. Dzieci rzucają Mu kwiaty pod nogi, śpiewają i wołają „Hosanna”! „Oto On, oto On sam - powtarzają wszyscy. - To może być tylko On, nikt inny, tylko On.” A On staje na schodach sewilskiej katedry w chwili, gdy z płaczem sunie ku świątyni kondukt żałobny z białą otwartą trumienką, w której leży

siedmioletnia jedynaczka znakomitego obywatela. Martwe dziecko zasypane jest kwieciami. „On wskrzesi twoje dziecko!” - woła tłum do płaczącej matki. Z kościoła wychodzi pater, rozgląda się zdziwiony i marszczy brwi. Ale w tej chwili rozlega się jęk matki zmarłego dziecka. Rzuciła Mu się do nóg: „Jeśliś to Ty, wskrzesz moje dziecko!” - woła matka wyciągając ku Niemu ręce. Kondukt staje, trumnę stawiają na schodach u Jego nóg. On spogląda z litością i usta Jego cicho, raz jeszcze, powtarzają: „*Talitha kumi!* - dziewczeczko, wstań!” Dzieweczka wstaje, siada i uśmiechając się patrzy zdziwiona wokoło szeroko otwartymi oczyma. W ręku trzyma bukiet białych róż, które leżały w trumnie. Wzruszenie ogarnia lud, popłoch, płacz, krzyki i łkania. I oto w tej właśnie chwili przechodził przez plac koło świątyni sam kardynał, wielki inkwizytor. Jest to prawie dziewięćdziesięcioletni starzec, wysoki i wyprostowany, o wyschłej twarzy, wpadniętych oczach, w których pełga jeszcze blask jak mała iskierka. O, nie jest odziany w swoje wspaniałe kardynalskie szaty, które miał na sobie wczoraj, gdy palono wrogów rzymskiej wiary, gdy patrzył na niego cały lud; dziś nosi stary, gruby habit mnisi. Za nim w pewnej odległości idą jego posępni pacholki i niewolnicy oraz „świętobliwa” straż. Wielki inkwizytor zatrzymuje się i przygląda z daleka. Wszystko widział: widział, jak postawiono mary u nóg Jego, widział, jak zmartwychwstała dziewczeczka, i twarz jego spochmurniała. Marszczy gęste siwe brwi, a oczy jego błyszczą złowieszczym blaskiem. Wyciąga rękę i rozkazuje straży, aby Go ujęła. I taka jest jego moc, i tak mu przywykł ulegać powolny strwożony lud, że tłum natychmiast się rozsuwa przepuszczając strażników, którzy wśród grobowego milczenia, jakie nagle zapadło, ujmują Go i uprowadzają. Tłum natychmiast, jak jeden mąż, pada na twarz przed starym inkwizytorem, który milcząc błogosławi tłum i oddala się. Pacholki wtrącają jeńca do ciemnego i mrocznego, sklepionego więzienia w starym pałacu inkwizycji i zamykają Go. Mija dzień, nastaje ciemna, gorąca i „duszna” noc sewilska. Powietrze „pachnie laurem i cytryną”. Śród głębokiego mroku naraz otwierają się żelazne drzwi więzienia i do celi wchodzi powoli sam wielki inkwizytor z lampką oliwną w ręku. Wchodzi sam, drzwi za nim natychmiast zamykają. Staje na progu i długo, minutę albo dwie, wpatruje się w Jego oblicze. Na koniec podchodzi, stawia lampkę na stole i mówi: „To Ty? Ty?” Nie otrzymuje odpowiedzi, dodaje prędko: „Nie odpowiadaj, milcz. I cóż byś mógł powiedzieć? Wiem aż nazbyt dobrze, co powiesz. Nie masz zresztą prawa dodawać nic do tego, coś ongi był powiedział. Po cóżes przyszedł nam przeszkadzać? Albowiem przyszedłeś nam przeszkadzać i sam o tym wiesz. Ale czy wiesz, co jutro będzie? Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wiedzieć: czy to Ty, czyś tylko podobieństwem Jego, jutro będę Cię sądził i spalę Cię na stosie, jako największego heretyka, i ten lud, który dziś całował Cię po nogach, jutro na mój znak będzie podsycał płomień na Twoim stosie; czy wiesz o tym? Może i wiesz” - dodał w głębokiej zadumie, nie odrywając ani na chwilę wzroku od swego jeńca.

- Niezupełnie rozumiem, Iwanie, co to jest - uśmiechnął się milczący dotąd Alosza. - Czy to bezgraniczna fantazja, czy jakaś pomyłka starego inkwizytora, jakieś nieprawdopodobne *qui pro quo*?

- Niech będzie *qui pro quo* - roześmiał się Iwan - jeśli cię tak zmanierował współczesny realizm, że nie możesz znieść nic fantastycznego. Chcesz *qui pro quo*, niech i tak będzie. Co prawda - roześmiał się znowu Iwan - mój starzec ma dziewięćdziesiąt lat i dawno już mógł zwariować na punkcie swoich idei. Więzień zaś wywarł może na nim piorunujące wrażenie swoim wyglądem. Mogło to być zresztą majaczenie, halucynacja dziewięćdziesięcioletniego, bliskiego śmierci starca, wzburzonego okrutną kaźnią z poprzedniego dnia. Ale przecież wszystko jedno dla nas, czy to

bezgraniczna fantazja, czy *qui pro quo*? Chodzi tu o to, że stary inkwizytor musi się wypowiedzieć, że musi się wypowiedzieć za wszystkie swoje lata, że mówi na głos to, co ukrywał w milczeniu przez dziewięćdziesiąt lat.

- A jeniec milczy? Patrzy na niego i nie mówi ani słowa?

- Tak właśnie powinno być, i to w każdym wypadku - znowu roześmiał się Iwan. - Stary inkwizytor zrobił Mu uwagę, że On nawet nie ma prawa dodawać nic do tego, co ongi powiedział. Jeśli chcesz wiedzieć, to jest to bodaj najbardziej zasadnicza cecha rzymskiego katolicyzmu, przynajmniej według mego zdania: „Wszystko zleciłeś papieżowi, a więc wszystko jest teraz w mocy papieża, a Ty lepiej wcale nie przychodź, nie przeszkadzaj przynajmniej do czasu.” Nie tylko mówią, ale i piszą w tym sensie, w każdym razie - jezuici. Sam czytałem coś podobnego u ich teologów. „Czy masz prawo oznajmić bodaj jedną z tajemnic tego świata, z któregoś przybył?” - pyta Go mój starzec i sam za Niego odpowiada: „Nie, nie masz, aby nie dodać nic do tego, co już powiedziano, i aby nie odbierać ludziom wolności, którą tak cenileś, gdyś przebywał na ziemi. Wszystko, co nam teraz znowu oznajmisz, ograniczy wolność wiary ludzkiej, bo objawi się jako cud, wolność wiary zaś droższa Ci była nad wszystko jeszcze wówczas, półtora tysiąca lat temu. Czyś nie mawiał często: «Chcę was uczynić wolnymi.» Ale teraz ujrzałeś tych «wolnych ludzi» - dodał naraz starzec z zamyślonym uśmiechem. - Tak, to nas drogo kosztowało - ciągnął dalej, surowo patrząc na Niego - lecz wreszcie dokończyliśmy tego dzieła w imię Twoje. Piętnaście wieków męczyliśmy się z tą wolnością, ale teraz to się skończyło, i skończyło się na zawsze. Nie wierzysz, że skończyło się na zawsze? Patrzysz na mnie łagodnie i nie raczysz mi odpowiedzieć nawet oburzeniem? Wiedz, że teraz, właśnie teraz, ludzie są bardziej niż kiedykolwiek przeświadczeni, że są całkowicie wolni, a tymczasem oni sami ofiarowali nam swoją wolność i potulnie złożyli ją nam do stóp. Ale myśmy tego dokonali. Czyś tego pragnął, czy takiej pragnąłeś wolności?”

- Znowu nie rozumiem - przerwał mu Alosza. - Czy on szydzi, kpi?

- Bynajmniej. Poczytuje to sobie i swoim za zasługę, że zgnębili wreszcie wolność po to, aby uszczęśliwić ludzi. „Albowiem teraz dopiero (oczywiście mowa o inkwizycji) można pomyśleć po raz pierwszy o szczęściu ludzkości. Człowiek urodził się buntownikiem, a czy buntownik może być szczęśliwy? Ostrzegano cię - zwrócił się do Niego - nie brakowało Ci ostrzeżeń i wskazań, ale Ty ich nie słuchałeś, odrzuciłeś jedyną drogę, która prowadzi ku uszczęśliwieniu ludzkości, ale na szczęście, odchodząc oddałeś nam swoje dzieło. Obiecałeś, upewniłeś swoim słowem, dałeś nam moc związywania i rozwiązywania, to się już nie odstanie, nie możesz już w żaden sposób odebrać nam tego prawa. Po cóżeś przyszedł nam przeszkadzać?”

- Cóż ma to znaczyć: „nie brakowało Ci ostrzeżeń i wskazań”? - zapytał Alosza.

- To właśnie dotyczy sedna rzeczy, o których chce mówić starzec. „Straszliwy i mądry duch, duch samounicestwienia i niebytu - ciągnął dalej starzec - wielki duch mówił z Tobą na pustyni; księgi nam przekazały, jakoby Cię «kusił». Jestże tak w istocie? Czy można było powiedzieć coś prawdziwszego nad to, co Ci był oznajmił w trzech pytaniach, któreś Ty odrzucił, a które w księgach nazwano «kuszeniem»? Przecież jeśli na świecie wydarzył się kiedy jaki wielki prawdziwy cud, to tylko w owym dniu, w owym dniu trzykrotnego kuszenia. Cud polegał na tym, że takie trzy pytania były postawione. Gdybyśmy przypuścili gwoli próby i przykładu, że owe trzy pytania straszliwego

ducha zniknęły bez śladu z ksiąg, że trzeba je wskrzesić, od nowa wymyślić, stworzyć, aby z powrotem zamknąć w księgach; że w tym celu trzeba zebrać wszystkich mędrców tego świata - władców, arcykapłanów, uczonych, filozofów, poetów - i dać im zadanie: «Wymyślcie, stwórzcie takie trzy pytania, aby nie tylko były na miarę owego wydarzenia, ale na domiar w trzech słowach tylko, w trzech ludzkich zdaniach wyrażały całe przyszłe dzieje świata i ludzkości» - czy myślisz, że wszystka mądrość ziemską, połączona i skończona, potrafiłaby wymyślić coś, co pod względem mocy i głębi byłoby podobne do owych trzech pytań, zadanych Ci w rzeczywistości wówczas na pustyni przez potężnego i mądrego ducha? Już z tych pytań, z cudu ich powstania, można zrozumieć, że ma się do czynienia nie z kruchym umysłem ludzkim, ale z odwiecznym i absolutnym. Albowiem w owych trzech pytaniach jest jak gdyby zawarta i przewidziana cała dalsza historia rodzaju ludzkiego i objawione są trzy obrazy, w których skupią się wszystkie nie rozwiązane historyczne przeciwieństwa natury ludzkiej na całej ziemi. Wówczas nie mogło to być jeszcze tak widoczne, albowiem przyszłość była nieznana, lecz obecnie po piętnastu wiekach widzimy, że w owych trzech pytaniach wszystko jest tak przewidziane i przepowiedziane, wszystko tak się sprawdziło, że nic nie można dodać ani ująć.

Rozstrzygnij sam, kto miał słuszość: Ty czy tamten, który Cię pytał? Przypomnij sobie pierwsze pytanie; chociaż nie dosłownie, ale sens jego głosi: «Chcesz iść między ludzi i idziesz z pustymi rękami, z jakąś obietnicą wolności, której oni w swojej prostocie i przyrodzonej skłonności do nieładu nie mogą pojąć, której boją się i lękają albowiem nie ma i nie było nic bardziej nieznośnego dla człowieka i dla ludzkiej społeczności niż wolność! Czy widzisz te głązy w nagiej, rozpalonej pustyni? Przemień je w chleby, a pójdzie za Tobą cała ludzkość, jak trzoda, wdzięczna Ci i posłuszna, chociaż wiecznie drżąca, że możesz odjąć rękę Swoją i przepadną im chleby Twoje.» Ale nie chciałeś pozbawić człowieka wolności, cóż to bowiem za wolność, pomyślałeś, jeśli posłuszeństwo kupione jest chlebem? Odparłeś, że nie samym chlebem żyje człowiek, ale czy wiesz, że w imię tego chleba powstanie przeciw Tobie duch ziemi i będzie z Tobą walczył, i pokona Cię, i wszyscy za nim pójdą wołając: «Kto jest podobny zwierzowi temu, on dał nam ogień z niebios!» Czy wiesz, że wieki miną i ludzkość oznajmi przez usta swojej mądrości i nauki, że nie ma zbrodni, a więc i nie ma grzechów, że są tylko głodni? «Daj nam jeść, a potem będziesz mógł się od nas domagać cnoty!» Oto co napiszą na sztandarze, który podniosą przeciw Tobie, w którego imię zburzą Twoją świątynię. Na miejscu Twojej świątyni wzniosą nowy przybytek, wzniosą znowu straszną wieżę Babel, i chociaż tej również nie dokończą, jak poprzedniej, ale mogłeś tej nowej wieży uniknąć i o tysiąc lat skrócić cierpienia ludzkie, albowiem oni przyjdą przecież do nas, namęczywszy się przez tysiąc lat ze swoją wieżą! Znajdą nas wówczas znowu pod ziemią, w katakumbach, ukrywających się (bo będziemy znowu prześladowani i męczeni), znajdą nas i zawołają do nas: «Dajcie nam jeść, albowiem ci, którzy przyrzekli nam ogień z niebios, nie dali go.» A wówczas dobudujemy do końca ich wieżę, bo buduje ten, kto da jeść, my zaś tylko damy im jeść w imię Twoje, i skłamiemy, że w imię Twoje. O, nigdy, nigdy bez nas nie zdołają zdobyć pożywienia! Żadna nauka nie da im chleba, póki będą wolni. Ale skończy się na tym, że przyniosą nam swoją wolność do naszych nóg i powiedzą: «Weźcie nas raczej w niewolę, ale dajcie nam jeść.» Zrozumieją wreszcie sami, że wolność i chleb ziemski pod dostatkiem dla każdego - nie dadzą się pogodzić, albowiem nigdy, nigdy nie potrafią rozdzielić go między siebie! Przekonają się również, że nie mogą być nigdy wolni, ponieważ są słabi, występni, nędzni i zbuntowani. Przyrzekłeś im chleb niebieski, lecz znowu powtarzam: czy może się on równać w oczach słabego, wiecznie występnego i wiecznie niewdzięcznego rodzaju ludzkiego z chlebem ziemskim? I jeżeli za Tobą, w imię chleba niebieskiego,



pójdą tysiące i dziesiątki tysięcy, to cóż się stanie z milionami i dziesiątkami tysięcy milionów istot, które nie będą miały tyle mocy, aby wzgardzić chlebem ziemskim dla niebieskiego? Czy może drogie są Tobie tylko owe dziesiątki tysięcy wielkich i silnych, a pozostałe miliony, liczne jak piasek morski, słabych, lecz kochających Cię, mają być tylko materiałem dla wielkich i silnych? Nie, drodzy są nam również i słabi. Występną są, zbuntowani, ale w końcu i oni będą posłuszni. Będą nas podziwiać i czcić jako bogów za to, że stanąwszy na ich czele, zgodziliśmy się znieść za nich wolność, której się zlekli, i panować nad nimi, tak nieznośna w końcu stanie się dla nich wolność! My jednak powiemy, że jesteśmy posłuszni Tobie i panujemy w imię Twoje. Oszukamy ich ponownie, albowiem już nie dopuścimy Cię do siebie. To oszustwo będzie naszym cierpieniem, albowiem będziemy musieli kłamać. Oto co oznaczało owo pierwsze pytanie na pustyni i oto coś odrzucił w imię wolności, którą przeniósłeś nade wszystko. A przecież w owym pytaniu zawiera się wielka tajemnica tego świata. Przyjąwszy «chleby», dałbyś tym samym odpowiedź na powszechną i odwieczną tęsknotę ludzką, tęsknotę poszczególnej jednostki i całej ludzkości - owo «komu się pokłonić». Najbardziej to męczący i nieustanny frasunek człowieka: mając wolność szukać czym prędzej tego, przed kim można się pokłonić. Lecz pokłonić się chce człowiek przed tym, co już jest niewątpliwe, tak niewątpliwe, aby wszyscy ludzie od razu zgodzili się na wspólny pokłon. Albowiem frasunkiem tych nieszczęsnych istot jest nie tylko szukanie tego, komu by się ten lub ów mógł pokłonić, lecz znalezienie tego, w którego by wszyscy uwierzyli i wszyscy mu się pokłonili, i to koniecznie wszyscy razem. Właśnie ta potrzeba powszechności pokłonu jest najistotniejszą męką każdego poszczególnego człowieka i całej ludzkości od zarania wieków. Z powodu tej powszechności pokłonu się wzajemnie tępili się mieczem. Stworzyli sobie bogów i wołali do siebie: «Porzućcie waszych bogów i chodźcie pokłonić się naszym, a jeśli nie, to śmierć wam i waszym bogom!» I tak będzie do końca świata, nawet i wówczas, gdy i bogowie znikną z oblicza tego świata: tak czy owak upadną na twarz przed bożkami. Znałeś, nie mogłeś nie znać tej zasadniczej tajemnicy ludzkiej natury, lecz odrzuciłeś absolutnie jedyny sztandar, który Ci proponowano, jedyny, który mógł wszystkich zniewolić do bezwzględnego pokłonu Tobie - sztandar chleba ziemskiego; odrzuciłeś go w imię wolności i chleba niebieskiego. Patrz, coś zrobił dalej. I znowu w imię wolności. Powiadam Ci, zaiste najbardziej męczącą troską człowieka jest to: znaleźć kogoś, komu by można jak najprędzej oddać dar wolności, z którym ta nieszczęsna istota się rodzi. Zaś nad wolnością ludzi zapanuje ten, kto uspokoi ich sumienie. Chleb był wielkim, niewątpliwym sztandarem: dasz chleb i człowiek się pokłoni, albowiem nie ma nic bardziej niewątpliwego nad chleb; jeżeli jednak kto inny opanuje jednocześnie sumienie człowieka, człowiek porzuci nawet Twój chleb, żeby iść za tym, kto znieci jego sumienie. Pod tym względem miałeś słuszość. Albowiem tajemnica ludzkiego istnienia nie jest w tym, aby tylko żyć, lecz w tym, po co żyć. Nie mając niewątpliwego wyobrażenia o celu swego życia, człowiek nie zgodzi się żyć i raczej sam siebie zniszczy, niżby miał zostać na ziemi, choćby nawet był otoczony chlebami, zaprawdę! Ale cóż z tego wynikło: zamiast opanować wolność ludzką, jeszcze bardziej ją zwiększyłeś! Czyś zapomniał, że człowiek woli spokój, a nawet śmierć, od wolnego wyboru w poznaniu dobra i zła? Nie ma nic bardziej pożądanego dla człowieka nad wolność sumienia, ale nie ma też nic bardziej męczącego. I oto zamiast dać twarde podwaliny, aby raz na zawsze uspokoić ludzkie sumienie - przyjąłeś wszystko, co jest nieokreślone, zagadkowe, niezwykle, wszystko, co przerasta siły ludzkie, a więc postąpiłeś tak, jakbyś ich wcale nie kochał - i to Ty, któryś przyszedł oddać za nich życie Swoje! Zamiast zapanować nad ludzką wolnością, zwiększyłeś ją i obciążylesz jej mękami duchowe królestwo człowieka na wieki. Zapragnąłeś dobrowolnej miłości człowieka, aby z wolnej woli poszedł za Tobą, pociągnięty, zniewolony Tobą. Zamiast dawnego twardego prawa - odtąd człowiek miał w

swobodzie swojego serca rozstrzygać sam, co jest dobre, a co złe, mając tylko przed sobą Twój obraz, Twój wzór. Ale czyś Ty nie pomyślał, że człowiek w końcu odrzuci nawet Twój obraz i Twoją prawdę, jeżeli się go obciąży takim strasznym brzemieniem jak wolność wyboru? Że ludzie ogłoszą w końcu, iż nie w Tobie jest prawda, albowiem nie można ich było zostawić w większym zamęcie i męczarni, niż Tyżeś to zrobił, pozostawiając im tyle trosk i tyle nie rozstrzygniętych zadań! W ten sposób sam rozpocząłeś burzenie swego królestwa, a zatem nie możesz nikogo winić. A czy to Ci ofiarowano? Istnieją trzy siły, tylko trzy siły na ziemi, które mogą na wieki zniewolić i zjednać sumienia tych słabych buntowników dla ich szczęścia. Te siły - to cud, tajemnica i autorytet. Odrzuciłeś jedno i drugie, i trzecie i sam dałeś przykład. Kiedy straszliwy i mądry duch postawił Cię na dachu świątyni i powiedział: «Jeśli chcesz wiedzieć, czy jesteś Synem Bożym, to rzuć się w dół, albowiem napisane jest, że aniołom swoim rozkazał o Tobie i będą Cię na rękę nosić, abyś snadź nie obrażał o kamień nogi Swojej, a wówczas dowiesz się, czy jesteś Synem Bożym, i dowiedziesz, jaką jest Twoja wiara w Ojca Twego.» Ale Tyś odtrącił i to i nie poddałeś się, i nie rzuciłeś w dół. O rozumie się, postąpiłeś dumnie i wspaniale, jak Bóg, ale ludzie, ale to słabe buntownicze plemię, czy to bogowie? O, Ty od razu wtedy zrozumiałeś, że gdybyś zrobił zaledwie krok, jeden bodaj ruch, wystawiłbyś na próbę cierpliwość Pana, stracił w Niego wiarę i rozbiłbyś się o ziemię, którą przyszedłeś zbawić, ku uciechu mądrego ducha kusiciela. Ale pytam Cię znowu: czy wielu jest takich jak Ty? I czy naprawdę mogłeś przypuszczać przez chwilę, że owa pokusa nie jest ponad siły ludzkie? Czyż tak jest stworzona natura ludzka, żeby odtrącać cuda, i w takich straszliwych chwilach życia, w chwilach najstraszniejszych, zasadniczych i męczących zagadnień duchowych być zdaną na wolny wybór swego serca? O, Tyś wiedział, że Twój czyn zostanie zapisany w księgach, że dotrze do końca czasów i do ostatnich rubieży ziemi, i spodziewałeś się, że idąc za Tobą, człowiek będzie z Bogiem, nie będzie potrzebował cudu. Ale nie wiedziałeś, że ledwo człowiek odrzuci cud, natychmiast odrzuci Boga, albowiem człowiek szuka nie tyle Boga, ile cudu. I ponieważ nie może żyć bez cudu, więc stworzy sobie nowe cuda, już własne, i kłaniać się będzie cudom znachorskim, babim czarom, jakkolwiek by sto razy był buntownikiem, heretykiem i bezbożnikiem. Nie zszedłeś z krzyża, gdy wołano, natrzęsając się i drwiąc z Ciebie: «Zejdź z krzyża, a uwierzemy, żeś to Ty.» Nie zszedłeś, ponieważ nie chciałeś zniewolić człowieka cudem i pragnąłeś wiary wolnej, a nie wiary przez cud. Pragnąłeś wiary wolnej, a nie pokornego zachwytu niewolnika wobec potęgi, która go raz na zawsze przejęła zgrozą. Ale i w tym zbyt wysokie miałeś mniemanie o człowieku, który jest przecież niewolnikiem, chociaż się buntuje. Spójrz i osądź sam, oto minęło piętnaście wieków, idź, popatrz na nich: kogóż to powołałeś ku Sobie? Przysięgam, człowiek jest słabszy i nikkzemniejszy, niż myślałeś! Czy może, czy może on zrobić to, coś Ty zrobił? Tak więc go ceniąc, postępowałeś z nim bez litości, albowiem zbyt wiele od niego wymagałeś. I kto? Ty, któryś ukochał go bardziej niż Siebie! Gdybyś go mniej cenił, mniej byś odeń żądał, byłbyś zatem bliższy miłości, albowiem ulżyłbyś jego brzemieniu. Słaby jest i podły. Cóż z tego, że teraz wszędzie buntuje się przeciw naszej władzy i dumny jest z tego, że się buntuje? To duma dziecka, żaka. To małe dzieci, które zbuntowały się w szkole i wypędziły nauczyciela. Ale nastąpi kres zachwytem dzieci i drogo za to zapłacą. Zburzą świątynię i krwią zaleją ziemię. Ale domyśla się na koniec te głupie dzieci, że chociaż są buntownikami, są słabi, że nie podołają własnemu rokoszowi. Oblewając się swymi głupimi łzami, przyznają się w końcu, że Ten, który stworzył ich buntownikami, chciał niewątpliwie zakpić z nich. I powiedzą to w rozpacz, i będzie to bluźnierstwo, które spotęguje ich cierpienia, albowiem natura ludzka nie znosi bluźnierstwa i koniec końców zawsze sama ponosi za nie karę. Zatem niepokój, zamęt i niedola - oto obecny los ludzi, za których wolność tyle wycierpiałeś! Wielki Twój prorok w widzeniu i przepowiedniach powiada, że widział wszystkich uczestników pierwszego

zmarłychwstania i że było ich z każdego pokolenia po dwanaście tysięcy. Ale jeśli było ich tylu, to byli jak gdyby nie ludźmi, lecz bogami. Wycierpieli Twój krzyż, wytrwali dziesiątki lat o głodzie na nagiej pustyni, żywiąc się korzeniami i szarańczą - rzecz jasna, z dumą możesz wskazać na te dzieci wolności, dobrowolnej miłości, dobrowolnej i wspaniałej ofiary w Twoje imię. Ale uprzytomnij sobie, że było ich tylko kilka tysięcy, i to nie ludzi, lecz bogów! A reszta? Co zawinili słabi duchem, że nie mogli znieść tego, co znosili tamci potężni? Co zawiniła słaba dusza, że nie była w stanie przyjąć tak straszliwych darów? Czy przyszedłeś tylko do wybranych i gwoli nich? Ale jeżeli tak jest, to jest w tym tajemnica, której nie zrozumiemy. A jeżeli to tajemnica, wówczas i my mamy prawo głosić tajemnicę i pouczać ich, że nie wolny wybór serc ich jest istotny i nie miłość, lecz tajemnica, której powinni podporządkować się ślepo, nawet na przekór sumieniu. I tośmy zrobili. Poprawiliśmy Twoje bohaterstwo i oparli je na cudzie, tajemnicy i autorytecie. I ludzie ucieszyli się, że poprowadzono ich znowu jak trzodę i że z ich serc zdjęto wreszcie tak straszliwy dar, który im tyle męki przysporzył. Czy mieliśmy słuszość, czyniąc tak i ucząc, powiedz? Czy nie kochaliśmy człowieka, z taką pokorą uświadamiając sobie jego niemoc, miłośnie zmniejszając jego brzemień i pozwalając jego słabej naturze nawet grzeszyć, ale z naszym przyzwoleniem? Po cóżeś teraz przyszedł nam przeszkadzać? I cóż tak patrzysz na mnie w milczeniu i badawczo swoimi łagodnymi oczyma? Rozgniewaj się, nie chcę Twej miłości, albowiem nie kocham Cię. I cóż będę tań przed Tobą? Czyż nie wiem, z kim mówię? Co mam Ci powiedzieć, wiesz, czytam to z Twoich oczu. Czyż potrafię ukryć przed Tobą naszą tajemnicę? A może chcesz ją właśnie usłyszeć z moich ust, słuchaj więc: nie jesteśmy z Tobą, lecz z nim, oto nasza tajemnica! Dawno już nie jesteśmy z Tobą, lecz z nim, już osiem wieków. Dokładnie osiem wieków temu, przyjęliśmy z jego rąk to, coś Ty z oburzeniem odrzucił, ów ostatni dar, który Ci był ofiarował, pokazując Ci wszystkie królestwa ziemskie: przyjęliśmy od niego Rzym i miecz cezara i głosiliśmy się cesarzami ziemi, jedynymi cesarzami, chociaż dotychczas jeszcze nie zdążyliśmy doprowadzić naszego dzieła do końca. Ale kto jest winien? O, to dzieło jest dotychczas w zaczątku, ale przecież się zaczęło. Długo jeszcze trzeba będzie czekać na całkowite zakończenie tego dzieła i wiele jeszcze nacierpi się ziemia, ale w końcu osiągniemy nasz cel i będziemy cesarzami, a wówczas pomyślimy o powszechnym szczęściu ludzkości. A przecież Tyś mógł już wówczas przyjąć miecz cezara. Czemuś odrzucił ów ostatni dar? Przyjąwszy trzecią radę potężnego ducha, dokonałbyś wszystkiego, czego szuka człowiek na ziemi, który chce wiedzieć, przed kim się pokłonić, komu poruczyć swoje sumienie i w jaki sposób wreszcie połączyć się niezawodnie we wspólne i zgodne mrowisko, albowiem potrzeba powszechnego zjednoczenia jest trzecią i ostatnią udręką człowieka. Zawsze cała ludzkość dążyła do form powszechności. Wiele było takich narodów z wielką przeszłością, ale im były wyższe, tym bardziej nieszczęśliwe, albowiem tym mocniej odczuwały potrzebę powszechnego zjednoczenia. Wielcy zdobywcy, Tamerlany i Dżengis-chany, przemknęli nad ziemią jak wichry, dążąc do podboju wszechświata, ale nawet oni, chociaż i nieświadomie, wyrażali tę samą wielką potrzebę ludzkości: wszechświatowego i powszechnego zjednoczenia. Przyjąwszy świat i purpurę cezara, byłbyś założył wszechświatowe państwo i dał pokój powszechny. Albowiem któż ma panować nad ludźmi, jak nie ci, którzy panują nad ich sumieniami i którzy mają w swych rękach ich chleb? My właśnie wzięliśmy miecz cezara, a wzięwszy go, naturalnie wyrzekliśmy się Ciebie i poszliśmy za nim. O, miną jeszcze wieki rozpasania wolnej myśli, ich nauk i antropofagii, albowiem, jeśli zaczną wznosić swoją babilońską wieżę bez nas, to skończą na antropofagii. Ale wtedy właśnie przepęlnie do nas bestia i będzie lizała nasze nogi i obryzga je krwawymi łzami. I siądziemy na bestii, i wzniesiemy czarę, na której będzie napis: «Tajemnica!» I dopiero wtedy, dopiero wtedy nastanie dla ludzi królestwo pokoju i szczęścia. Chęłpisz się swoimi wybrańcami, ale Ty masz tylko wybrańców, a my ukoimy

wszystkich. Co więcej: iluż to spośród wybrańców, spośród ludzi potężnego ducha, którzy mogliby się stać Twoimi wybrańcami, zmęczyło się oczekiwaniem Twego przyjścia; przenieśli oni i dalej przenosić będą moc swego ducha i żarliwość serca na inne niwy, i w końcu wzniosą wolny swój sztandar przeciw Tobie. Ale Ty sam wzniosłeś ten sztandar. U nas zaś wszyscy będą szczęśliwi i nie będą się buntować ani tępić wszędzie wzajem, jak w Twojej wolności. O, przekonamy ich, że tylko w tym wypadku będą wolni, gdy wyrzekną się swej wolności, nam ją oddadzą i nam ulegną. I cóż, czy słusność będzie po naszej stronie, czy fałsz? Sami przekonają się, że mamy słusność, albowiem będą pamiętać, do jak wielkiego niewolnictwa i zamętu doprowadziła ich Twoja wolność. Wolność, wolna myśl i nauka wciągnie ich w takie chaszcze i postawi przed takimi cudami i nierozwikłanymi tajemnicami, że jedni, krnąbrni i okrutni, wytępią się nawzajem, a inni, którzy zostaną, ludzie słabej woli i nieszczęśliwi, przyczółgają się do naszych nóg i zawołają: «Tak, mieliście słusność, wy jedni posiadliście Jego tajemnicę, wracamy do was, ratujcie nas od nas samych.» Otrzymując od nas chleby, zobaczą oczywiście, że to są ich własne chleby, dobyte ich własnymi rękoma, że bierzemy je od nich, aby im rozdać, bez żadnego cudu; zobaczą, że nie przemieniliśmy kamieni w chleb, ale zaiste bardziej niż z chlebów cieszyć się będą z tego, że otrzymają je z naszych rąk! Albowiem będą dobrze pamiętać, że poprzednio, bez nas, te same chleby, dobyte ich rękami, przemieniały się w ich rękach w kamienie; skoro zaś wrócili do nas, kamienie przemieniły się w ich rękach w chleby. Dobrze oceniają, co to znaczy raz na zawsze się poddać! I póki ludzie nie pojmą tego, będą nieszczęśliwi. Kto najwięcej przyczynił się do tego, że nie rozumieli, powiedz? Kto rozproszył trzodę po drogach nieznanych? Ale trzoda znowu się zbierze i znowu ulegnie, tym razem na zawsze. Wówczas damy im ciche, pokorne szczęście słabych istot, jakimi są z przyrodzenia. O, przekonamy ich na koniec, że nie powinni być dumni, albowiem Tyś to ich podniósł i nauczył dumy; udowodnimy im, że są słabi, że są tylko politowania godną dzieciarnią, że przecie szczęście dziecięce jest najśłodsze. Onieśmielimy ich, i będą na nas spoglądać i garnąć się do nas, jak pisklęta do kwoki. Będą nas podziwiać i pyszczyć się nami, że jesteśmy tak potężni i mądrzy, iż mogliśmy ugłaskać tak krnąbrne tysiąc milionowe stado. Będą drżeć przed naszym gniewem, ich umysły spokornieją, oczy będą skore do łez jak oczy dzieci i kobiet, ale równie będą skorzy, gdy damy im znak do śmiechu i wesela, do pogodnej radości i błogiej dziecięcej piosenki. Zmusimy ich do pracy, tak, lecz w godzinach wolnych od pracy urządzimy im życie niby dziecięcą zabawę z dziecięcymi śpiewami, chórem, z niewinnymi płasami. O, pozwolimy im nawet na grzech, słabi są i bezsilni, i będą nas kochali jak dzieci, za to pozwolimy im grzeszyć. Powiemy im, że każdy grzech, który popełniony będzie z naszego przyzwolenia, będzie odkupiony; pozwolimy im grzeszyć dlatego, że ich kochamy, karę zaś za te grzechy przyjmujemy już na siebie. I przyjmujemy zaiste na siebie, i będą nas ubóstwiać jako dobroczyńców, którzy chcą odpowiadać za ich grzechy przed Bogiem. I nie będą mieli przed nami żadnych tajemnic. Będziemy im pozwalać lub zabraniać żyć z żonami i kochankami, mieć lub nie mieć dzieci - stosownie do ich posłuszeństwa - i będą nas słuchać z radością i uciechą. Najbardziej męczące tajemnice ich sumienia - wszystko, zaiste wszystko nam zwierzą, my zaś wszystko rozstrzygniemy, i uwierzą w nasze wyroki z radością, albowiem uwolnią ich one od wielkiej troski straszliwych mąk osobistego i swobodnego rozstrzygania. I wszyscy będą szczęśliwi, miliony istot prócz setki tysięcy tych, którzy im będą przewodzić. Albowiem my tylko, my, strzegący tajemnicy, tylko my będziemy nieszczęśliwi. Będą tysiące milionów szczęśliwych niemowląt i sto tysięcy cierpiętników, którzy wzięli na siebie przekleństwo poznania dobra i zła. I umrą oni cicho, cicho zgasną w imię Twoje, a za grobem tylko śmierć będzie ich udziałem. My wszakże zachowamy tajemnicę i gwoli ich szczęścia będziemy ich łudzili wieczną nagrodą w niebie. Albowiem jeśli nawet jest coś na tamtym świecie, to przecie nie dla takich jak oni. Powiadają i prorokują, że przyjdiesz i znowu zwycięzysz, przyjdiesz ze swoimi

wybrańcami, ze swoim dumnym i potężnym zastępem, lecz my powiemy, że ci zbawili tylko siebie, my zaś zbawiliśmy wszystkich. Powiadają, że pohańbiona będzie wszetecznicza siedząca na bestii i trzymająca w ręku tajemnicę, że znowu zbuntują się ludzie słabej woli, rozedrą jej purpurę i obnażą jej «plugawe» ciało. Ale ja wówczas wstanę i wskażę Ci tysiące milionów szczęśliwych niemowląt, które nie znały grzechu. I my, którzy gwoli ich szczęścia wzięliśmy ich grzechy na siebie, staniemy przed Tobą i powiemy: «Sądź nas, jeśli możesz i śmiesz.» Wiedz, że się Ciebie nie boję. Wiedz, że i ja byłem na pustyni, że i ja żywiłem się szarańczą i korzonkami, że i ja błogosławiłem wolność, którą ofiarowałeś ludziom, że i ja sposobilem się do pocztu Twoich wybrańców, do grona potężnych i silnych, «aby dopełniła się liczba». Ale opamiętałem się i nie zechciałem służyć szaleństwu. Zawróciłem i przystałem do tych, którzy poprawili Twoje bohaterstwo. Odszedłem od dumnych i wróciłem do pokornych, gwoli szczęścia tych pokornych. Spełnią się moje słowa, i królestwo nasze nastanie. Powtarzam Ci, jutro zobaczysz tę posłuszną trzodę, która na pierwszy mój znak rzuci się, aby podsycać płomień na tym stosie, na którym spalę Cię za to, żeś przyszedł nam przeszkadzać. Albowiem nikt tak sobie nie zasłużył na nasz stos jak Ty. Jutro Cię spalę. *Dixi.*”

Iwan urwał nagle. Był podniecony, mówił z przejęciem; wyrzekłszy ostatnie słowa, uśmiechnął się.

Alosza zaś, niezwykle wzburzony, słuchał brata w milczeniu. Wiele razy chciał mu przerwać, lecz hamował się i milczał. Aż wreszcie wybuchnął.

- Ależ... to niedorzeczność! - zawołał oblewając się rumieńcem. - Twój poemat jest pochwałą Jezusa, a nie bluźnierstwem, jakieś tego pragnął. I któż uwierzy w to, co mówisz o wolności? Czyż tak, czyż tak powinno się ją rozumieć! Czy tak pojmuje to prawosławie?... To Rzym, i w dodatku nie cały, to nieprawda - to najgorsze elementy Kościoła katolickiego, inkwizytorzy, jezuici!... I zresztą nie mógł istnieć na świecie taki wymyślony człowiek jak twój inkwizytor. Jakież to grzechy ludzkie wziął na siebie? Cóż to za nosiciele tajemnicy, obarczający się jakimś przekleństwem gwoli szczęścia ludzkości? Kiedy to było? Znamy jezuitów, mówią o nich bardzo źle, a czyż są tacy jak u ciebie? Zupełnie są inni, zupełnie inaczej... Stanowią po prostu rzymską armię przyszłego wszechświatowego mocarstwa, z imperatorem-arcykapłanem rzymskim na czele... oto ich ideał, lecz żadnych tajemnic i wzniosłego smutku... Najzwyklejsze pożądanie władzy, przyziemnych, brudnych uciech życia, niewolnictwa... coś niby przyszłego poddaństwa, przy czym oni mają być dziedzicami... oto cały ich ideał. Oni może nawet w Boga nie wierzą. Twój cierpiący inkwizytor jest wyłącznie tworem fantazji...

- Ale poczekaj, poczekaj - roześmiał się Iwan - jakżeś się rozgorączkował. Fantazja, powiadasz, ależ zgoda. Ma się rozumieć, że fantazja. Lecz pozwól jednak: czy istotnie myślisz, że cały ów ruch katolicki ostatnich wieków jest w istocie tylko pożądaniem władzy wyłącznie gwoli brudnych uciech życia? Czyżby ojciec Paisij tak cię uczył?

- Nie, nie, wręcz przeciwnie, ojciec Paisij mówił pewnego razu coś w tym rodzaju... ale rzecz jasna nie to, zupełnie nie to - opamiętał się naraz Alosza.

- Cenna informacja, nawet mimo twego zastrzeżenia, że „zupełnie nie to”. Pytam się ciebie, czemuż to twoi jezuici i inkwizytorzy połączyli się tylko gwoli różnych materialnych uciech życia? Czemuż nie może być wśród nich ani jednego cierpiętnika, dręczonego wielkim smutkiem i

kochającego ludzkość? Widzisz: dajmy na to, że znalazł się bodaj jeden taki spośród tych wszystkich, pragnących jedynie materialnych uciech życia, bodaj jeden taki, jak mój stary inkwizytor, który sam jadał korzonki na pustyni i szalał umartwiając swoje ciało, aby osiągnąć wolność i doskonałość, lecz przez całe życie kochał ludzkość, i naraz przejrzał i przekonał się, że osiągnięcie doskonałości osobistej z jednoczesnym przeświadczeniem, iż miliony innych stworzeń boskich nigdy nie będą mogły sobie poradzić ze swoją wolnością, nie jest wielkim moralnym szczęściem. Stworzeni jakby przez szyderstwo, budzący litość buntownicy nigdy nie staną się olbrzymami, mogącymi zbudować wieżę, że nie dla takich wielki idealista marzył o swojej harmonii. Zrozumiawszy to wszystko, zawrócił i przystał do... mądrych ludzi. Czy coś takiego naprawdę nie mogło się zdarzyć?

- Do kogo przystał, do jakich mądrych ludzi? - zawołał w uniesieniu Alosza. - Żadnej mądrości nie znają i żadnych tajemnic ani sekretów... Bezbożność - oto ich cały sekret. Twój inkwizytor nie wierzy w Boga, oto cała jego tajemnica!

- No i cóż z tego! Nareszcie się domyśliłeś. Istotnie tak jest, istotnie to jest cały sekret, ale czy to nie męka dla takiego przynajmniej jak on człowieka, który całe życie strawił na umartwieniach w pustyni i nie wyleczył się z miłości do ludzi? U schyłku życia przekonywa się ostatecznie, że tylko rady straszliwego ducha mogłyby jako tako w jakimś znośnym porządku zorganizować słabych buntowników, „nie wykończone próbne twory, stworzone ku szyderstwu”. I oto, przekonawszy się, widzi, że trzeba iść za wskazaniem mądrego ducha, straszliwego ducha śmierci i zagłady, a zatem przyjąć kłamstwo i oszustwo i prowadzić ludzkość świadomie ku śmierci i zagładzie, i oszukiwać ją przez całą drogę, aby nie zauważyła, dokąd się ją prowadzi, aby godni politowania ślepcy przynajmniej w drodze byli szczęśliwi. I zauważ, że oszustwo popełnia się w imię Tego, w którego ideał starzec wierzył tak namiętnie przez całe życie! Czyż to nie jest nieszczęście! I gdyby chociaż jeden taki znalazł się na czele tej armii „łaknącej władzy tylko gwoli brudnych uciech życia” - czy nie dość tego jednego, aby stała się tragedia? Co więcej, dość takiego jednego, stojącego na czele, aby znalazła się wreszcie prawdziwa kierownicza idea całego rzymskiego kościoła, z jego armiami i jezuitami, najwyższa idea tego kościoła. Mówię ci wręcz, wierzę niezłomnie, że takich ludzi nigdy nie brakowało na czele tego ruchu. Kto wie, może nawet byli nimi niektórzy papieże. Kto wie, może ów przeklęty starzec, tak uporczywie i tak po swojemu miłujący ludzkość, istnieje nawet dotychczas w całym bezliku takich starców. I nieprzypadkowo bynajmniej rozproszonych, lecz zorganizowanych w tajnym związku, dawno już założonym dla strzeżenia tajemnicy, strzeżenia jej przed nieszczęśliwymi i słabymi ludźmi, by stworzyć im szczęście. Na pewno tak jest i tak być powinno. Wydaje mi się, że i masoni mają podobną tajemnicę w swych podstawowych założeniach i że dlatego właśnie katolicy tak nienawidzą masonów, jako konkurentów rozbijających jedność idei, bo wszak powinna być jedna trzoda i jeden pasterz... Zresztą broniąc swej myśli postępuję jak pisarz, którego dzieło nie wytrzymało twojej krytyki. Przestańmy o tym mówić.

- Może ty sam jesteś masonem! - wyrwało się naraz Aloszy. - Nie wierzysz przecie w Boga - dodał z niezwykłym smutkiem. Wydało mu się, że Iwan spogląda nań ironicznie. - Jakże się kończy twój poemat? - zapytał nagle, patrząc w ziemię. - Czy to jest koniec?

- Chciałem go tak zakończyć: inkwizytor umilkł i czekał kilka chwil na odpowiedź jeńca. Ciężko mu Jego milczenie. Widział, że jeniec przez cały czas słuchał go, badawczo a łagodnie patrząc mu prosto w oczy i zapewne nie chcąc mu przeczyć. Starzec pragnął usłyszeć jaką bądź

odpowieź, bodaj gorzką, straszliwą. Lecz On, milcząc wciąż, podszedł do starca i delikatnie pocałował go w jego bezkrwiste dziewięćdziesięcioletnie wargi. To była cała odpowiedź. Starzec zatrząsł się, zadrżały mu kąciki ust; podchodzi do drzwi, otwiera je i mówi Mu: „Idź i nie przychodź więcej... nigdy nie przychodź... nigdy, nigdy” I wypuszcza Go na „ciemne pierzeje grodu”. Jeniec odchodzi.

- A starzec?

- Pocałunek pali go w sercu, ale starzec zostaje przy swojej idei.

- I ty pospołu z nim, i ty? - zawołał gorzko Alosza.

Iwan roześmiał się.

- Ale przecież to brednie, Alosza, przecież to nedorzeczny poemat nedorzecznego studenta, który nigdy nie napisał nawet dwóch wierszy. Dlaczego tak poważnie to traktujesz? Czy może myślisz, że ja od razu teraz pojedę do jezuitów, aby stanąć w poczcie ludzi poprawiających Jego dzieło? O Boże, cóż to mnie obchodzi! Przecież ci powiedziałem: żebym tylko dociągnął do trzydziestki, a potem puchar o podłogę!

- A lepkie listeczki, a drogie mogiły, a błękitne niebo, a ukochana kobieta? Jak będziesz żyć, jak ich kochać będziesz? - pytał z głębokim smutkiem Alosza. - Czy można żyć z takim piekłem w sercu i w głowie? Nie, ty właśnie jedziesz, aby do nich przystąpić... a jeżeli nie, to zabijesz się, nie wytrzymasz!

- Istnieje taka siła, która wszystko wytrzyma! - odpowiedział Iwan z chłodnym uśmiechem.

- Cóż to za siła?

- Karamazowska... siła karamazowskiej podłości.

- Niby pograć się w rozpuście, przywalić duszę nieprawością, tak, tak?

- Bodaj i to... tylko do trzydziestki, może uniknę tego, a potem...

- Jak unikniesz? Przez co unikniesz? To niemożliwe, gdy się ma takie myśli.

- Również po karamazowsku.

- Niby, że „wszystko dozwolone”? Wszystko dozwolone, czy tak, tak?

Iwan zasępił się i nagle zbladł jakoś dziwnie.

- A, łapiasz mnie za wczorajsze słówko, które tak uraziło Miusowa i z którym Dymitr tak naiwnie wyskoczył powtarzając je? - uśmiechnął się z grymasem. - Tak, owszem, „wszystko dozwolone”, skoro słowo się rzekło. Nie wypieram się. Ale i redakcja Miti też niezgorsza.

Alosza popatrzył na niego w milczeniu.

- Ja, bracie, wyjeżdżając myślałem, że na całym świecie mam przynajmniej choć ciebie jednego - odezwał się nagle z niespodzianą serdecznością Iwan - lecz teraz widzę, że i w twoim sercu nie ma dla mnie miejsca, mój drogi pustelniku. Nie wyrzeknę się formuły „wszystko dozwolone”. No i co, wobec tego ty się mnie wyrzekniesz, czy tak?

Alosza wstał, podszedł doń i nic nie mówiąc pocałował go delikatnie w usta.

- Plagiat literacki! - zawołał Iwan wpadając naraz w jakiś zachwyt. - Skradłeś to z mego poematu! Dziękuję ci jednak. No, Alosza. chodźmy, czas już na mnie, i na ciebie.

Wyszli, ale zatrzymali się jeszcze przed gankiem.

- Widzisz, Alosza - odezwał się Iwan stanowczym głosem - jeżeli istotnie stać mnie będzie na lepkie listeczki, to kochać je będę tylko z myślą o tobie. Wystarczy mi, że gdzieś tu jesteś, i nie odechce mi się żyć. Czy cię to zadowala? Jeżeli chcesz, to przyjmij to bodaj za wyznanie miłosne. A teraz ty na prawo, ja na lewo - i dość, słyszysz, dość. To znaczy, że jeżeli jutro nie wyjadę (ale zdaje się, że wyjadę na pewno) i spotkamy się kiedyś jeszcze raz, to na ten temat ani słowa więcej. Proszę cię o to bardzo. I na temat Dymitra także, proszę cię o to szczególnie, nigdy ze mną nie mów - dodał naraz podrażnionym głosem - wszystko jest wyczerpane, wszystko omówione, prawda? A ja tobie ze swej strony również dam pewne przyrzeczenie: gdy koło trzydziestki zechcę „rozbić puchar”, to gdziekolwiek byś się wówczas znajdował, przybędę jeszcze raz pomówić z tobą... choćby nawet z Ameryki, wiedz o tym. Specjalnie przyjadę. Bardzo ciekawe będzie popatrzeć na ciebie, jaki też ty wtedy będziesz. Widzisz, dość uroczysta obietnica. A w rzeczy samej zegnamy się może na lat siedem czy dziesięć. No, idź teraz do swego *Pater Seraphicus*, przecież on umiera; jeżeli umrze przed twoim powrotem, to jeszcze się na dobrą sprawę rozgniewasz na mnie, że cię zatrzymałem. Do widzenia, pocałuj mnie jeszcze raz, o tak, i idź już...

Iwan odwrócił się zniecierliwie i poszedł przed siebie, nie oglądając się ni razu. Alosza przypomniał sobie, jak to wczoraj Dymitr odszedł tak samo raptownie. Ale tamten odszedł inaczej. Dziwne to spostrzeżenie przemknęło jak strzała przez głowę smutnego i rozżalonego w tej chwili Aloszy. Przeczekał kilka chwil, odprowadzając brata wzrokiem. Nagle zauważył, że Iwan idzie jakoś chwiejnie i że prawe jego ramię, widziane z tyłu, wydaje się niższe od lewego. Nigdy tego dotychczas nie zauważył. Ale nagle sam również się odwrócił i popędził ku monasterowi. Zmierzch już dobrze zapadał i Aloszy zrobiło się niemal straszno; czuł, że coś w nim narasta nowego, czego nie potrafi określić. Znowu, jak wczoraj, zerwał się wiatr i odwieczne sosny ponuro zaszumiały, gdy wchodził do lasu przed pustelnią. Biegł nieledwie. „*Pater Seraphicus* - skąd on wziął to imię, skąd?” - pomyślał naraz. - Iwanie, biedny Iwanie, kiedyż znowu cię ujrzę... Oto i pustelnia, o Boże! Tak, tak, to on, to *Pater Seraphicus*, on mnie zbawi... od niego i na wieki!”

Znacznie później, kilkakroć w życiu, z wielkim zdumieniem zapytywał siebie, jak to się stało, że tak nagle, po pożegnaniu z Iwanem, zapomniał o Dymitrze, którego przecie jeszcze rano, zaledwie parę godzin temu, postanowił odszukać za wszelką cenę, choćby nawet wypadło nie wrócić na noc do monasteru.



## VI TYMCZASEM JESZCZE BARDZO NIEJASNY

Iwan Fiodorowicz zaś, rozstawszy się z Aloszą, poszedł do domu, to znaczy do domu Fiodora Pawłowicza. Rzecz jednak dziwna: nagle zaczęła go nękać nieznośna tęsknota, i to coraz dotkliwiej w miarę zbliżania się do domu. Nie ów stan był dziwny, ale to, że Iwan Fiodorowicz nie mógł żadną miarą ustalić, na czym on polega. Zdarzało mu się nieraz doświadczać podobnego uczucia, i zresztą nie byłoby w tym nic dziwnego, że doświadcza go teraz, w takiej chwili, gdy, zerwawszy naraz ze wszystkim, co go tu sprowadziło, sposobił się do ostrego zakrętu, by wstąpić na nową, całkowicie nieznaną drogę, po której znowu będzie kroczył samotnie, żywiąc nadzieję, ale nie wiedząc na co, spodziewając się od życia wielu, wielu rzeczy, ale nie umiając określić ani tego oczekiwania, ani swych pragnień. Lecz nie to go nękało owej chwili. „Czy to aby nie obrzydzenie do ojcowskiego domu? - pomyślał - może tak mi obrzydł, że choć dzisiaj przekraczam po raz ostatni ten plugawy próg, przejmuje mnie on wstrętem... Ale to nie to, nie to. Więc czyżby pożegnanie z Aloszą, rozmowa z nim? Tyle lat milczałem, nie raczyłem z nikim mówić, i naraz naplotłem tyle bredni.” Tak, istotnie, mogło to być „młode niezadowolenie młodego niedoświadczenia i młodej pychy”, niezadowolenie z tego, że nie potrafił się wypowiedzieć, i to wobec kogo! Wobec Aloszy, na którego w głębi duszy tak bardzo liczył. Rzecz jasna, że i to również, i to niezadowolenie jest jednym ze składników złego humoru, powinno być, ale i to nie to, to wszystko nie to. „Ckni się, aż mnie mdli, a nie potrafię określić, czego chcę. Lepiej nie myśleć...”

Iwan Fiodorowicz spróbował „nie myśleć”, ale i to nic nie pomogło. Najbardziej dolegała mu okoliczność, że owo dziwne uczucie miało jakiś przypadkowy, zupełnie zewnętrzny wygląd; czuł to wyraźnie. Stała i sterczała gdzieś jakaś drażniąca istota czy przedmiot, tak jak nieraz sterczy człowiekowi przed oczyma, lecz zajęty pracą czy też ożywioną rozmową człowiek nie spostrzega go długo, irytuje się i męczy nieledwie, i dopiero po dłuższym czasie domyśla się, że trzeba usunąć przedmiot irytacji, czasem bardzo śmieszny i nikły, na przykład jakąś rzecz położoną na niewłaściwym miejscu, chustkę, która spadła na podłogę, książkę, której nie schował do szafy, itd. Wreszcie Iwan Fiodorowicz w najgorszym i rozdrażnionym nastroju doszedł do ojcowskiego domu i naraz, może piętnaście kroków przed furtką, spojrzawszy na nią, od razu ustalił, co było powodem jego irytacji i niepokoju.

Na ławce przed furtką, szukając zapewne ochłody na wieczornym powietrzu, siedział lokaj Smierdiakow. Iwan Fiodorowicz z pierwszego wejrzenia zrozumiał, że to lokaj Smierdiakow siedział w jego duszy i że nie mogła ona znieść tego właśnie fagasa. Wszystko się naraz wyklarowało. Poprzednio jeszcze, słuchając opowiadania Aloszy o spotkaniu ze Smierdiakowem, czuł, że coś mrocznego i obmierzłego wpija mu się w serce i budzi w nim odzew gniewu i złości. I choć potem w toku rozmowy zapomniał o Smierdiakowie, ale ów tkwił nadal w jego duszy; skoro zaś Iwan Fiodorowicz pożegnał Aloszę i wrócił do domu, zapomniane uczucie natychmiast zaczęło wychodzić na jaw. „Czyżby ten nędzny łajdak mógł mnie tak niepokoić?” - pomyślał Iwan z rozjątrzoną złością.

Chodzi o to, że Iwan Fiodorowicz ostatnimi czasy, a zwłaszcza w ostatnich dniach nie cierpiał tego człowieka. Co więcej, zdawał sobie sprawę z rosnącej prawie nienawiści do tej kreatury. Może

ów proces nienawiści tak się zaostrzył dlatego właśnie, że na początku, zaraz po przyjeździe Iwana Fiodorowicza, rzecz miała się zgoła inaczej. Wówczas bowiem Iwan Fiodorowicz zainteresował się jakoś szczególnie Smierdiakowem, miał go nawet za bardzo oryginalnego człowieka. Ośmielił go do pogawędek i zawsze podziwiał niejaka chaotyczność czy też, mówiąc dokładniej, niespokojność jego umysłu, nie mogąc zrozumieć, co „tego zapatrzeńca” może tak nieustannie i nieodparcie niepokoić. Rozprawiali i o kwestiach filozoficznych, i nawet o tym, dlaczego pierwszego dnia stworzenia świata świeciło światło, skoro słońce, księżyc i gwiazdy były stworzone dnia czwartego, i jak należy to pojmować; wszakże Iwan Fiodorowicz przekonał się rychło, że nie chodzi tu wcale o słońce, gwiazdy i księżyc, chociaż słońce, księżyc i gwiazdy to temat nader ciekawy, ale dla Smierdiakowa trzeciorzędny, i że chodzi mu o całkiem co innego. Tak czy owak prędko ukazała się bezgraniczna ambicja Smierdiakowa, a w dodatku ambicja urażona. Nie spodobało się to bardzo Iwanowi Fiodorowiczowi. Stąd właśnie powstała jego odraza. Potem zaczął się galimatias w domu, zjawiała się Gruszeńka, rozpoczęły się historie z Dymitrem, troski i kłopoty. Rozmawiali i o tym, i chociaż Smierdiakow był przy poruszaniu takich tematów bardzo podniecony, nie można było pojąć, do czego zmierza. Dziwny był zamęt i nielogiczność w niektórych jego dążeniach, mimo jego woli wychodzących na jaw, zawsze jednak dość mętnych. Smierdiakow pytał wciąż, zadawał jakieś uboczne, pośrednie i najwyraźniej z góry obmyślane pytania, ale nie wyjaśniał, w jakim celu, i zwykle w najgorętszej chwili urywał nagle lub przechodził na inny temat. Ale co najbardziej i do reszty rozdrażniło Iwana Fiodorowicza i przejęło wstrętem - to jakaś ohydna i szczególna poufałość ze strony Smierdiakowa, z dnia na dzień widoczniejsza. Nie o to chodziło, że pozwalał sobie być niegrzecznym względem panicza, owszem, zawsze odzywał się z niezwykłym szacunkiem; ale tak się jakoś ułożyło, że Smierdiakow, Bóg wie z jakiego powodu, zaczął w sposób widoczny podkreślać jakąś jak gdyby solidarność z Iwanem Fiodorowiczem, w rozmowie przybierał ton porozumiewawczy, jak gdyby między nimi stała jakaś tajna ugoda, coś, co kiedyś obopólnie zostało omówione, co jest wiadome tylko im, czego nikt z mrowiących się dokoła śmiertelników nawet nie zdoła pojąć. Jednakże i teraz Iwan Fiodorowicz długi czas nie mógł sobie wytłumaczyć istotnej przyczyny wciąż rosnącego wstrętu do Smierdiakowa i dopiero ostatnio zaczęło mu coś świtać w głowie. Pełen wstrętu i irytacji chciał teraz przejść, milcząc i nie patrząc na Smierdiakowa. Lecz ów wstał z ławki. Iwan Fiodorowicz w jednej chwili zrozumiał z tego ruchu, że przebrzydły fagas umyślnie na niego czekał i chce mu coś szczególnego powiedzieć. Spojrzał więc nań i zatrzymał się. I to, że zatrzymał się tak nagle i nie poszedł dalej, jak zamierzał być przed chwilą, rozżłościło go do żywego. Gniewnie i z obrzydzeniem spojrzał na trzebieńczą, zapijaczoną fizjonomię Smierdiakowa z zaczesanymi do góry włosami na skroniach i małym czubkiem nad czołem. Lewe, troszkę przymrużone oczko migotało i uśmiechało się, jak gdyby mówiąc: „Czego się tak spieszysz, nie przejdiesz, widzisz, że tacy dwaj rozumni ludzie jak my mają o czym pogadać?” Iwan Fiodorowicz zatrząsł się z oburzenia.

„Precz, łajdaku, coś ty mi za kompan, błaznie!” - zrywało mu się już z języka, lecz ku największemu jego zdumieniu zerwało się zgoła co innego:

- No co, ojciec śpi jeszcze czy się obudził? - rzekł cicho i spokojnie, sam się tego nie spodziewając, i nagle, nie spodziewając się tego również, usiadł na ławce. Przez chwilę był niemal przerażony, jak sobie przypomniał później. Smierdiakow stał naprzeciw niego z założonymi do tyłu rękoma i przyglądał mu się badawczo i niemal surowo.

- Pan jeszcze śpi - odpowiedział powoli. („Sameś mnie niby pierwszy zaczął.”) - Podziwiam ja pana faktycznie - dodał po krótkiej pauzie, jakoś kokieteryjnie spuszczać oczy, wysuwając naprzód prawą nóżkę i kręcąc w powietrzu czubkiem lakierowanego trzewika.

- Czemu podziwiasz? - odezwał się załamującym się, surowym głosem Iwan Fiodorowicz, ledwo się hamując, niósł raptownie oczki Smierdiakow i uśmiechnął się poufale od niego ciekawość, która nie opuści go, dopóki jej nie zaspokoi.

- Czemuż to pan do Czermaszni nie jedzie? - pod-i oto naraz ze wstrętem poczuł, że trzyma go tu silniejsza. „A czego się uśmiecham, sam powinieneś zrozumieć, jeżeli niby jesteś mądrym człowiekiem” - mówiło jak gdyby jego zmrużone lewe oczko.

- Po cóż mam jechać do Czermaszni? - zdziwił się Iwan Fiodorowicz.

Smierdiakow znowu milczał.

- Sam Fiodor Pawłowicz tak pana o to prosił - rzekł wreszcie powoli, jak gdyby nie przywiązując wagi do własnej odpowiedzi: „Wykręcam się niby trzeciorzędą przyczyną, byleby coś odpowiedzieć.”

- E, do licha, gadaj wyraźnie, o co ci chodzi - zawołał wreszcie z gniewem Iwan, wpadając nagle z uprzejmości w grubiaństwo.

Smierdiakow przystawił prawą nóżkę do lewej, wyprostował się, ale spoglądał wciąż z niezmaconym spokojem i niezmiennym uśmiechem.

- Niby to nic istotnego, proszę pana... tak sobie, jak to w rozmowie...

Znowu zapanowało milczenie... Trwało może całą minutę. Iwan Fiodorowicz wiedział, że powinien zaraz wstać i rozgniewać się; Smierdiakow stał przed nim i jak gdyby na to tylko czekał: „Ano, zobaczę, rozgniewasz się czy nie?” Tak przynajmniej wydawało się w tej chwili Iwanowi Fiodorowiczowi. Wreszcie dźwignął się powoli. Smierdiakow wyzyskał sposobność.

- Okropne jest faktycznie moje położenie, Iwanie Fiodorowiczu, nie wiem nawet, jak sobie pomóc - odezwał się naraz twardo i wyraźnie, cedząc każde słowo, po czym westchnął. Iwan Fiodorowicz natychmiast usiadł z powrotem.

- Obaj oni doszli do zdziecinnienia - ciągnął dalej Smierdiakow. - Mówię o ojcu pańskim i o braciszku, Dymitrze Fiodorowiczu. Choćby teraz na ten przykład Fiodor Pawłowicz wstanie i zacznie mi głowę suszyć co chwila: „Czy nie przyszła jeszcze? A dlaczego nie przyszła?” - i tak aż do samej północy, a nawet po północy. A jak Agrafiena Aleksandrowna nie przyjdzie (bo ona może wcale nie ma zamiaru tu przyjść), to rzuci się na mnie jutro od samego rana: „Dlaczego nie przyszła? Czemu nie przyszła? Kiedy przyjdzie?” - jakbym to ja był temu winien. Z drugiej strony, to znowu inaczej: ledwo się zmierzchnie, a czasem i wcześniej, pański braciszek ze strzelbą w ręku przychodzi po sąsiedzku: „Uważaj, niby to, szelmo, parzygnacie, jak ją przegapisz i nie dasz mi znać, że przyszła, to nasamprzód ciebie zakatrupię.” Przejdzie noc, rano braciszek pana i ojczulek znów mnie zaczynają

męczyć do uprzykrzenia: „Dlaczego nie przyszła, czy prędko przyjdzie” - jakbym ja znowu był winien, że ich pani nie przyszła. I z każdym dniem, i z każdą godziną coraz więcej się obaj gniewają, że ano myślę sobie nieraz, żeby tak ze strachu życia się pozbawić. Nie mam do nich zaufania, proszę łaski pana.

- A po coś się wścibiał? Po coś Dymitrowi Fiodorowiczowi zaczął znosić plotki? - zapytał nerwowo Iwan Fiodorowicz.

- A jakże nie miałem się wścibiać? I wcale się nawet nie wścibiałem, jeśli chce pan faktycznie wiedzieć. Od samego początku milczałem, nie śmiałem przeczyć, a on sam mnie zrobił swoim służką, Liczardem niby. Od tego czasu tylko jedno słowo ma na języku: „Zakatrupię cię, szelmo, jeżeli przegapisz!” Wiem na pewno, proszę pana, że jutro dostanę długiej padaczki.

- Jaka to znowu długa padaczka?

- Długi atak taki, bardzo długi. Kilka godzin, a nieraz to i dzień cały, i dwa dni trwa. Raz to nawet trzy dni trwało, ze strychu wtedy spadłem. Przystanie mnie trząść i znowu zacznie; a ja przez te trzy dni nie mogłem przyjść do rozumu. Fiodor Pawłowicz posyłał wtedy po Herzenstubego, po tutejszego doktora, przykładał mi on lód do ciemienia i jeszcze jakiś tam środek zastosował... Skonać mogłem faktycznie, proszę pana.

- A przecież mówią, że nie można z góry przewidzieć, o której godzinie nastąpi atak. Jakże możesz twierdzić, że jutro dostaniesz? - zapytał Iwan Fiodorowicz z jakąś nerwową ciekawością.

- Tak jest, nie można przewidzieć.

- Poza tym wtedy spadłeś ze strychu.

- Na strych co dzień łażę i mogę jutro też spaść ze strychu. A jak nie ze strychu, to do piwnicy wpadnę, do piwnicy też co dzień chodzę wedle różnych potrzeb.

Iwan Fiodorowicz obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Pleciesz trzy po trzy, nie rozumiem cię - rzekł cicho i jakoś groźnie - chcesz może udawać od jutra przez trzy dni padaczkę, co?

Smierdiakow, spoglądając na fertający się czubek prawego trzewika, cofnął nogę, wysunął natomiast lewą, podniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

- Choćbym nawet mógł zrobić tę sztuczkę, to znaczy niby to udawać, a nietrudno to przychodzi doświadczonemu człowiekowi, to mam przecie prawo w ten właśnie sposób wykręcić się od nieuchronnej śmierci; bo jak w chorobie leżę, to i Agrafiena Aleksandrowna może sobie przyjść do pańskiego ojczulka, a mnie nie może wtedy Dymitr Fiodorowicz się czepiać, że niby „dlaczegoś nie zawiadomił”. Wstyd mu chyba będzie.

- Do licha! - zerwał się nagle Iwan Fiodorowicz, ze skrzywioną ze złości twarzą. - Co ty ciągle nad swoim życiem się trzęsiesz! Wszystkie te groźby Dymitra są niepoważne. Nie zabije cię: zabije,

ale nie ciebie!

- Zabije jak muchę, i nasamprzód mnie. A prócz tego to i inszej rzeczy się boję: żeby mnie o współnictwo z nim nie posądzono, jak się przytrafi co złego pańskiemu ojczulkowi.

- Dlaczego mają cię posądzić?

- A dlatego będą mnie posądzać, że ja jemu sam te znaki faktycznie w sekrecie powiedziałem.

- Jakie znaki? Komuś powiedział? A niechże cię diabli, mów wyraźniej.

- Muszę się faktycznie przyznać - ciągnął dalej Smierdiakow z niezmaconym spokojem - że mam jeden sekret z Fiodorem Pawłowiczem. Jak panu wiadomo (o ile to pan raczy wiedzieć), już od kilku dni, na noc albo nawet i na odwieczarz, Fiodor Pawłowicz zamyka się od wewnątrz. Pan zaczął teraz wcześniej wracać do siebie na górę, a wczoraj to wcale nigdzie nie wyszedł; pan nawet nie wie, jak starannie Fiodor Pawłowicz zaczął się na noc zamykać. I choćby stukał sam Grzegorz Wasiliewicz, to tylko po głosie go poznawszy, otwiera. Ale Grzegorz Wasiliewicz nie stuka, bo teraz to ja sam posługuję w pańskich pokojach - tak zarządził sam Fiodor Pawłowicz od tej chwili, kiedy zamyślił tę rzecz z Agrafieną Aleksandrowną. A na noc to i ja teraz z jego rozkazu idę spać do oficyny, ale do samej północy mam nie spać, tylko czatować, wstawać, chodzić wokoło i czekać, czy czasem Agrafiena Aleksandrowna nie nadchodzi, bo już od kilku dni czeka na nią, jakby niespełna rozumu. Myśli sobie tak: „Ona, powiada, boi się Dymitra Fiodorowicza (Mitką go nazywa) i dlatego późno w nocy przyjdzie okólną drogą: ty więc czatuj do samej północy i później. Jak przyjdzie, to ty skocz do drzwi i stuknij w drzwi albo w okno od ogrodu dwa razy ciszej, o tak: raz, dwa, a zaraz potem trzy razy prędko: puk-puk-puk. To ja poznam od razu, powiada, że to ona przyszła, i po cichutku otworzę drzwi. Drugi znak to na wypadek osobliwy, z początku dwa razy prędko: puk, puk, a potem, po chwileczce, jeszcze jeden raz o wiele mocniej.” A jak pański ojczulek usłyszy ów znak, to od razu zmiarkuje, że jakiś nagły wypadek się zdarzył i że bardzo mi pilno z nim się widzieć, więc mi też otworzy, a ja wejdem i, co jest, zamelduję. To na wypadek, kiedy Agrafiena Aleksandrowna faktycznie sama nie przyjdzie, a tylko przyśle coś powiedzieć; prócz tego Dymitr Fiodorowicz też może nadejść i trzeba ojczulka powiadomić, że on jest w pobliżu. Bardzo się pański ojczulek boi Dymitra Fiodorowicza. Więc jakby nawet Agrafiena Aleksandrowna przyszła i ze starszym panem się zamknęła, zaś Dymitr Fiodorowicz tymczasem gdzieś tu był blisko, to ja obowiązany jestem bezwarunkowo natychmiast zawiadomić stuknąwszy trzy razy. Więc pierwszy znak z pięciu stuknięć oznacza: „Agrafiena Aleksandrowna przyszła”, drugi znak z trzech stuknięć: „Koniecznie, niby to, muszę pana widzieć” - tak Fiodor Pawłowicz sam mnie po kilkakroć na przykładach uczył i objaśniał. A ponieważ na całym Bożym świecie o tych znakach faktycznie wiem tylko ja i on, to Fiodor Pawłowicz już bez żadnej wątpliwości i nie odzywając się wcale (bo boi się odezwać na głos) otworzy drzwi. Więc te znaki zna teraz Dymitr Fiodorowicz.

- Skąd je zna? Tyś powiedział? Jak śmiałeś mu to powiedzieć?

- A bo właśnie ze strachu. I jakże bym śmiał kryć przed nim coś takiego? Dymitr Fiodorowicz co dzień nalegał: „Ty mnie oszukujesz, co ty ukrywasz przede mną? Ja ci ręce i nogi połamię!” Toteż go wtajemniczyłem w te sekretne znaki, niech sam widzi, że jestem posłuszny, że nie oszukuję go i o wszystkim donoszę.

- Jeżeli myślisz, że zechce wykorzystać te znaki i wejść, to go nie puszczaj.

- A jeżeli ja sam faktycznie będę leżał w ataku padaczki, jeżeli go puszczę, choćbym nawet ośmielił się go nie puszcząć, znając jego krewki charakter?

- Do licha ciężkiego! Dlaczego jesteś taki pewny, że dostaniesz ataku, gałganie! Drwisz sobie ze mnie czy co?

- Jakże bym się ośmielił drwić, i komu to drwinki w głowie, kiedy taki strach? Przeczuję, że będzie atak, takie mam przecucie, że ze strachu dostanę ataku.

- Do licha! Jak ty będziesz leżał, to Grzegorz będzie na czatach. Uprzedź z góry Grzegorza, ten go nie puści.

- O znakach bez przyzwolenia starszego pana nie śmiem nijak powiadomić Grzegorza Wasiliewicza. A co się tyczy tego, że Grzegorz Wasiliewicz usłyszy go i nie puści, to przecie Grzegorz Wasiliewicz z wczorajszego rozchorował się i Marfa Ignatiewna ma go od jutra leczyć. Tak się zmówili. A leczenie u nich jest bardzo ciekawe: Marfa Ignatiewna zna taki napar mocny z jakichś ziół, sekret ma taki. I leczy tym sekretnym lekarstwem Grzegorza Wasiliewicza trzy razy do roku, kiedy mu w boki nieruchawość wchodzi, coś niby paraliż, co mu się trafia akurat trzy razy do roku. Bierze ręcznik, macza w tym sekretnym lekarstwie i całe plecy przez pół godziny aż do suchości trze, aż skóra czerwieni się i nabrzmięwa, a potem to, co zostało się we flasce, ale nie wszystko, daje mu do picia i modlitwę zmawia, a resztę sama wypija. I oboje, powiadam panu, faktycznie natychmiast zasypiają mocno i śpią bez przytomności bardzo długo. A potem po przebudzeniu Grzegorz Wasiliewicz jest zdrow, jakby ręką odjął, a Marfę Ignatiewną potem głowa bardzo boli. Otóż jeśli Marfa Ignatiewna jutro swój zamiar wykona, to chyba Grzegorz Wasiliewicz nic nie usłyszy i nie będzie mógł przeszkodzić Dymitrowi Fiodorowiczowi, bo spać będzie.

- Co za brednie! I wszystko to jakby specjalnie się zbiegnie: ty z padaczką, tamci oboje nieprzytomni! - zawołał Iwan Fiodorowicz. - Czy aby sam nie urządziłeś tego tak, aby wszystko się zbiegło? - dodał nagle, groźnie marszcząc brwi.

- Jakże bym mógł tak ułożyć... i po co bym układał, kiedy to wszystko od jednego Dymitra Fiodorowicza zależy, tylko od jego myśli... Zechce co zrobić, to zrobi, a nie, to przecie ja go umyślnie nie przyprowadzę, ażeby do rodziciela wepchnąć.

- A po cóż by miał do ojca przyjść, i to po kryjomu, jeśli, jak sam mówisz, Agrafiena Aleksandrowna wcale nie przyjdzie? - podjął Iwan Fiodorowicz błędąc ze złości. - Przecie to sam mówisz, no i ja przez cały czas pobytu u was byłem przekonany, że stary tylko fantazjuje i że ta kreatura nie przyjdzie do niego. Po cóż by więc Dymitr miał wtargnąć do starego, skoro ona nie przyjdzie? Mów! Chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

- Sam pan raczy wiedzieć, po co wtargnie, co panu po moich myślach? Wtargnie, bo wtargnie z wielkiej złości albo z podejrzania, w razie na ten przykład mojej choroby, jako że nie będzie pewny i zechce szukać po pokojach, jak to było wczoraj: czy nie przyszła po kryjomu, ukradkiem. Dymitr Fiodorowicz wie także, że Fiodor Pawłowicz przygotował wielką kopertę, a w niej trzy tysiące pod

trzema pieczęciami, że koperta przewiązana jest wstążeczką i ma własnoręczny napis pana: „Dla anioła mojego, Gruszeńki, jeżeli zechce przyjść”, a w trzy dni potem Fiodor Pawłowicz dopisał jeszcze: „i kurczątką”. To niby jest właśnie podejrzane.

- Bzdury! - zawołał Iwan Fiodorowicz nie posiadając się ze złości. - Dymitr nie dopuści się grabieży, a w dodatku morderstwa. Mógł go wczoraj zabić za Gruszeńkę, jak oszalały, wściekły głupiec, ale nie dopuści się grabieży!

- Bardzo mu teraz pieniądze są potrzebne, w najwyższym stopniu są mu potrzebne, Iwanie Fiodorowiczu. Pan nawet nie wie, jak mu są potrzebne - niezwykle spokojnie i wyraźnie wycedził Smierdiakow. - Na dobitkę uważa te trzy tysiące jakby za swoje własne, sam mi to kiedyś powiedział: „Mnie, powiedział, rodzic winien jest akurat trzy tysiące.” A przy tym wszystkim niech pan sam osądzi, Iwanie Fiodorowiczu, czystą prawdę: wszak można powiedzieć, że na pewno i bezwarunkowo, jeśli tylko Agrafiena Aleksandrowna zechce, to może samego dziedzica, czyli niby Fiodora Pawłowicza, zmusić, ażeby się z nią ożenił, jeżeli tylko ona zechce, a zechce chyba pewnikiem. Przecie ja tylko tak sobie mówię, że ona nie przyjdzie, a ona może jeszcze więcej zechce, to znaczy panią zechce zostać. Wiem, że ten jej kupiec Samsonow mówił jej z całą szczerością, że będzie to niezły interes, i oboje się bardzo przy tym zaśmiewali. To baba szpakami karmiona. Nie warto jej wychodzić za męża za takiego golca jak Dymitr Fiodorowicz. Niechże pan to weźmie pod uwagę i niech pan sam się zastanowi, Iwanie Fiodorowiczu, że w takim wypadku ani Dymitr Fiodorowicz, ani nawet pan z braciszkiem swoim Aleksym Fiodorowiczem złamanego szeląga po śmierci ojca swego nie dostanie, bo Agrafiena Aleksandrowna po to za niego wyjdzie, aby wszystko na siebie przepisać i wszystkie kapitały odziedziczyć. A jak ojczulek pański teraz pomrze, kiedy faktycznie jeszcze nic się nie stało, to każdy z was pewnikiem ze czterdzieści tysięcy dostanie, nawet Dymitr Fiodorowicz, którego ojciec tak nienawidzi, bo starszy pan nijakiego testamentu dotąd nie zrobił... Dymitr Fiodorowicz wszystko to doskonale miarkuje...

Jakieś nerwowe drganie przebiegło po twarzy Iwana Fiodorowicza. Oblał się nagle rumieńcem.

- Więc dlaczego - przerwał Smierdiakowowi - radzisz mi jechać do Czermaszni? Coś chciał przez to powiedzieć? Ja wyjadę, a tu u was wszystko to się tak stanie.

Iwan Fiodorowicz z trudem oddychał.

- Całkiem słusznie, proszę łaski pana - cicho i z namysłem odpowiedział Smierdiakow, uważnie przyglądając się Iwanowi Fiodorowiczowi.

- Jak to: słusznie? - przerwał Iwan Fiodorowicz, ledwo hamując się i z groźnym błyskiem w oczach.

- Mówiłem, bo mi pana żal. Na pańskim miejscu, gdyby na mnie tak przyszło, rzuciłbym to wszystko... nie siedziałbym tutaj ani chwili... - odpowiedział Smierdiakow szczerze patrząc w błyskające oczy Iwana Fiodorowicza.

- Jesteś, zdaje się, wielki idiota, a na pewno... straszny łajdak - Iwan Fiodorowicz zerwał się z ławki.

Zamierzał wejść przez furtkę do ogrodu, lecz nagle zatrzymał się i obrócił ku Smierdiakowowi. I stała się rzecz dziwna: Iwan Fiodorowicz z nagłą, jakby w febrze, przygryzł wargę, zacisnął pięści - i - jeszcze chwila, a rzuciłby się niechybnie na Smierdiakowa. Ów przynajmniej spostrzegł to natychmiast, drgnął i całym ciałem podał się do tyłu. Ale zła chwila przeminęła bez szkody dla Smierdiakowa i Iwan Fiodorowicz milcząc, jakby wielce czymś zdumiony, skierował się ku furtce.

- Jutro wyjeżdżam do Moskwy, jeśli chcesz wiedzieć, jutro rano, i to wszystko! - odezwał się naraz głośno ze złością. Potem nie mógł zrozumieć, w jakim celu oznajmił to Smierdiakowowi.

- Tak będzie najlepiej - podchwycił ów, jakby na to tylko czekał - tylko że z Moskwy mogą pana wezwać telegraficznie w takim czy innym przypadku.

Iwan Fiodorowicz znowu przystanął i znowu prędko obrócił się ku Smierdiakowowi. Ale i temu jak gdyby coś się stało. Znikła momentalnie cała jego poufałość i niedbały ton; twarz jego wyrażała wyteżoną uwagę i oczekiwanie, ale bardzo nieśmiałe i unione: „Czy aby nie powiesz, nie dodasz jeszcze czego?” - można było wyczytać to pytanie z jego wlepionych w Iwana Fiodorowicza oczu.

- A z Czermaszni nie wezwaliby... w razie jakiego przypadku? - zawołał nagle Iwan Fiodorowicz, nie wiadomo dlaczego podnosząc głos.

- Z Czermaszni... też... wezwą... - mruknął Smierdiakow niemal szeptem, jakby zmieszany, ale bardzo uważnie patrząc Iwanowi Fiodorowiczowi prosto w oczy.

- Tylko że Moskwa jest dalej, a Czermasznia bliżej, szkoda ci pieniędzy na bilet, co? Upierając się przy Czermaszni, chciałbyś mi zaoszczędzić drogi?

- Tak jest, to prawda... - wybełkotał łamiącym się już głosem Smierdiakow, uśmiechając się leniwie, i znowu jak gdyby przyczaił się w nerwowym naprężeniu, by we właściwej chwili odskoczyć w tył. Lecz Iwan Fiodorowicz nagle, ku zdumieniu Smierdiakowa, roześmiał się i prędkim krokiem wszedł do ogrodu nie przestając się śmiać. Wystarczyło jednak spojrzeć na jego twarz, by stwierdzić, że ów śmiech nie jest bynajmniej oznaką dobrego humoru. Zresztą on sam nie potrafiłby wyjaśnić, co się z nim działo w owej chwili. Ruchy jego i chód były jakby konwulsyjne.

## VII

### «Z MĄDRYM CZŁOWIEKIEM TO I POGADAĆ CIEKAWIE»

Podobnie zresztą i mowa. Spotkawszy Fiodora Pawłowicza w salonie, od razu zamachał rękoma i zawołał nagle: „Ja do siebie na górę, a nie do ojca, do widzenia” i minął go, starając się nawet na niego nie spojrzeć. Bardzo być może, iż w owej chwili szczególnie nienawidził ojca, lecz Fiodor Pawłowicz był szczerze zaskoczony taką bądź co bądź bezceremonialną manifestacją wrogich uczuć. A stary zapewne chciał mu co rychlej coś powiedzieć i w tym celu umyślnie wyszedł naprzeciw. Jednak na taką uprzejmość syna nic nie odpowiedział, stał tylko i w milczeniu z szyderczą miną ścigał go wzrokiem po schodach, dopóki nie znikł mu z oczu.



- Co mu się stało? - zapytał Smierdiakowa, który wszedł za Iwanem do salonu.

- Gniewa się czegoś, kto go tam wie - odpowiedział wymijająco Smierdiakow.

- A pal go lichu! Niech się gniewa. Dawaj samowar i wynoś mi się żywo. Nic nowego?

Tu zaczęły się pytania, na które Smierdiakow użalał się poprzednio przed Iwanem Fiodorowiczem, a które wciąż dotyczyły tak niecierpliwie wypatrywanej kobiety. Pominie je tu milczeniem. W pół godziny potem dom był zamknięty i pomyłony staruszek przechadzał się sam po pokojach, drżąc z trwożnego oczekiwania, nasłuchując, czy aby nie rozlegnie się pięć umówionych stuknięć, zaglądając chwilami w ciemne okna i nic nie widząc prócz nocy.

Było już bardzo późno, a Iwan Fiodorowicz wciąż jeszcze nie spał i medytował. Tej nocy położył się późno, dopiero o drugiej. Ale nie będziemy tu powtarzać całego biegu jego myśli i nie pora nam teraz wdziierać się w jego duszę: przyjdzie kolej na tę duszę. A gdybyśmy nawet spróbowali co powtórzyć, to i tak by się to nam nie udało, ponieważ nie były to wcale myśli, lecz coś nieokreślonego i, co najważniejsza - zbyt burzliwego. Sam Iwan Fiodorowicz czuł w owej chwili, że zgubił wszystkie wątki. Dręczyły go nadto przeróżne dziwne i prawie całkiem nieoczekiwane pragnienia, na przykład: już po północy zachciało mu się nagle i nieodparcie zejść na dół, otworzyć drzwi, iść do oficyny i zbić na kwaśne jabłko Smierdiakowa. Ale gdyby go zapytano za co, stanowczo nie umiałby ani jednej przyczyny wyłożyć dokładnie, oprócz tej jednej, że nienawidzi tego fagasa jak najgorszego wroga. Z drugiej strony nieraz tej nocy ogarniał go jakiś niewyjaśniony i poniżający lęk, który - czuł to wyraźnie - osłabiał go nawet fizycznie. Cierpiał na ból i zawroty głowy. Jakaś nienawiść gryzła mu serce, jak gdyby miał za chwilę dokonać jakiejś zemsty. Nienawidził nawet Aloszy, szczególnie gdy stawała mu w pamięci niedawna z nim rozmowa, nienawidził chwilami sam siebie, i to z całego serca. O Katarzynie Iwanownie niemal zapomniał, nie myślał o niej wcale - wspominał to później ze zdziwieniem, ponieważ jeszcze wczoraj rano, kiedy tak zawadiacko przechwalał się przed Katarzyną Iwanowną, że wyjedzie nazajutrz, szeptał sobie jednocześnie w duszy: „Brednie, nie wyjedziesz, nie tak łatwo ci się będzie oderwać, jak się teraz przechwalasz.” Ze wspomnień tej nocy największą odrazą przejmował go później jeden szczegół: oto chwilami zrywał się raptownie z kanapy i cichaczem, jak gdyby lękając się, aby kto go nie zaskoczył, uchylał drzwi, wychodził na schody i nasłuchiwał, jak na dole Fiodor Pawłowicz porusza się niespokojnie, chodzi po pokojach. Iwan Fiodorowicz nasłuchiwał długo, z pięć minut, z jakimś osobliwym zaciekawieniem, z zapartym tchem i bijącym sercem, sam nie wiedząc, czemu to wszystko robi, czemu nasłuchuje. Później przez całe życie potępiał to nasłuchiwanie, jako nikczemność, i przez całe życie uważał je w głębi duszy za najpodlejszy „postępek” swego życia. Do samego Fiodora Pawłowicza nawet nie żywił w tej chwili nienawiści. Po prostu pożerała go ciekawość: jak to on tam na dole chodzi, co na przykład teraz robi; odgadywał więc, miarkował, jak ojciec na dole zagłada w ciemne okna i naraz zatrzymuje się pośrodku pokoju i czeka, czeka na stukanie. Po to właśnie Iwan Fiodorowicz dwukrotnie w ciągu nocy wykradał się na schody. Kiedy wszystko ucichło i na dole Fiodor Pawłowicz położył się wreszcie - była już druga - Iwan Fiodorowicz rzucił się także na łóżko, pragnąc co rychlej zasnąć, czuł się bowiem okropnie zmęczony. I w istocie zasnął natychmiast, i to mocno, i spał resztę nocy bez żadnych snów, lecz obudził się wcześniej, kiedy rozświtało. Ledwo otworzył oczy, poczuł w sobie naraz ku najwyższemu zdumieniu przyływ jakiejś niezwyklej energii, zerwał się szybko, prędko się ubrał, wydobyl walizę i natychmiast zaczął się pakować. Właśnie

wczoraj rano praczka przyniosła bieliznę. Iwan Fiodorowicz z uśmiechem pomyślał, jak się to wszystko dobrze złożyło, że nic już nie stoi na przeszkodzie nagłemu wyjazdowi. Bo istotnie wyjazd jego był nagły. Chociaż Iwan Fiodorowicz mówił wczoraj (Katarzynie Iwanownie, Aloszy, a potem Smierdiakowowi), że nazajutrz wyjedzie, jednak kładąc się wczoraj spać - doskonale to pamiętał - ani myślał o wyjeździe. W każdym razie nie myślał, że nazajutrz od razu po przebudzeniu zacznie pakować rzeczy. Wreszcie waliza i sakwojaż były gotowe; godzina może była dziewiąta, gdy Marfa Ignatiwna przyszła na górę zapytać jak zwykle: „Gdzie pan raczy herbatki się napić, u siebie czy na dole?” Iwan Fiodorowicz zszedł na dół, wygląd miał rażny, prawie wesoły, jakkolwiek w słowach jego i ruchach znać było jakiś pośpiech i roztargnienie. Uprzejmie przywitał się z ojcem i nawet zapytał go o zdrowie. Następnie, nie czekając końca odpowiedzi, wypalił prosto z mostu, że za godzinę wyjeżdża do Moskwy, na zawsze, i prosi o konie. Stary wysłuchał tej wiadomości bez najmniejszego zdziwienia, jak najnieprzyzwoiciej zapominając okazać smutek z powodu wyjazdu synka; zaniepokoił się natomiast bardzo, przypomniawszy sobie od razu własne sprawy.

- Widzisz, jakiś ty! Nie powiedziałaś wczoraj... no, wszystko jedno, zdążymy to i teraz omówić. Zrób mi, kochasiu, wielką przysługę, pojedź do Czermaszni. Masz tylko ze stacji w Wołowej skręcić na lewo, ledwo dwanaście marnych wiorst, i jesteś w Czermaszni.

- Niechże ojciec zrozumie, że nie mogę: do kolei osiemdziesiąt wiorst, a pociąg do Moskwy odchodzi o siódmej wieczór - mam właśnie tyle czasu, by zdążyć.

- Zdążysz jutro albo pojutrze, a dzisiaj jedź do Czermaszni. Co ci to szkodzi ojcu się przysłużyć! Gdyby nie tutejsze interesy, ja bym sam już dawno się kropnął, bo rzecz jest pilna i ważna, ale to mi... nie w porę... Widzisz, tam las mam, w dwóch osobnych miejscach, koło Biegiczowa i Diaczkina. Masłowowie, stary i syn jego, kupcy leśni, dają mi wszystkiego osiem tysięcy za wyrąb, a przeszłego roku trafił mi się kupiec, co dawał dwanaście, ale nie tutejszy, w tym sęk. Bo u tutejszych teraz zbytu nie ma, więc Masłowowie dyktują ceny i zbijają majątek; co dają, to bierz; a nikt z tutejszych nie śmie im w drogę wchodzić. Ale znajomy pop z Ilińska odpisał mi nagle w zeszły czwartek, że przyjechał Gorstkin, też kawał kupca, znam go, na szczęście nietutejszy, a z Pogrebowa, zatem Masłowów się nie lęka, bo nietutejszy. „Jedenaście tysięcy, powiada, za bór dam”, słyszysz? A będzie tu, pisze mi pop, wszystkiego jeszcze tydzień. Pojechałbyś więc i z nim to obgadał.

- To niech ojciec do tego popa napisze, żeby się rozmówił.

- Kiedy nie potrafi, o to chodzi, że nie potrafi, oka nie ma na to. Poczciwości człek, złote serce, dwadzieścia tysięcy zaufałbym mu natychmiast bez kwitu na przechowanie, ale oka nie ma na to, gdzie mu tam do interesów, jak gdyby całkiem nie człowiek, wrona go oszuka. A przecież uczony, wyobraź sobie. Gorstkin zaś, na pozór chłopisko, w granatowym długim kubraku, ale charakter ma strasznie podły, w tym cały nasz wspólny ambaras: on kłamie, w tym sęk. Czasem to tak kłamie, aż podziw bierze, po co on to wszystko nakłamał. Powiadał dwa lata temu, że mu żona umarła i że powtórnie się ożenił, a wyobraź sobie, nic podobnego: żona jego żyje, nigdy nie umierała i bije go raz na trzy dni. Więc i teraz trzeba to wymacać: czy on kłamie, czy też na serio chce kupić las za jedenaście tysięcy.

- Ale ja tu nic nie poradzę, bo i ja nie mam na to oka.

- Stój, poczekaj, owszem, i ty potrafisz, bo ja ci go całego wymaluję. Znam ja go, dawno już z nim interesa prowadzę. Widzisz, jemu to na brodę trzeba patrzeć: bródka ryża, plugawa, rzadziutka. Jak bródka mu się trzęsie, a on gada i złości się - to dobrze, prawdę mówi, na serio interes traktuje; a jak brodę gładzi lewą ręką i sam chichocze - to znaczy, że chce cię z mańki zażyć, kręci. W oczy mu nigdy nie zaglądał, nic z oczu nie poznasz, mętna woda, matacz - na brodę patrzaj. Ja ci kartkę dam, a ty mu ją pokaż. On nie Corstkin właściwie, tylko Legawy, ale mu nie mów: Legawy, bo się obrazi. Jak się z nim dogadasz i zobaczysz, że wszystko dobrze, to mi napisz. Napisz mi tylko tyle: „Nie łże.” Upieraj się przy jedenastu tysiącach, jeden tysiączek możesz ustąpić, ale nie więcej. Pomyśl: osiem a jedenaście - trzy tysiące różnicy. Te trzy tysiące to jakby znalezione, niełatwo teraz o kupca, a pieniądze są na gwałt potrzebne. Zawiadomisz, że sprawa poważna, to ja już sam się kropnę i dobiję targu, jakoś czas znajdę. A teraz po co bym tam miał jechać, jeśli to wszystko pop z palca wyssał? No, jedziesz czy nie?

- Niech ojciec daruje, ale nie mam czasu.

- Ech, wyręcz ojca, będę ci to pamiętał! Wszyscy wy serca nie macie, ot co! Co ci po dniu czy po dwóch? Dokąd tak spieszysz, do Wenecji? Nie zapadnie się twoja Wenecja w dwa dni. Posłałbym Aloszkę, ale czy Aloszka zna się na tym? Ja ciebie o to proszę tylko dlatego, żeś mądry, przecież widzę. Lasem nie handlujesz, ale oko masz dobre. Chodzi przecież tylko o to, żeby wiedzieć: na serio traktuje czy nie. Powiadam ci, patrzaj na brodę: jak bródka się trzęsie, to na serio.

- Sam mnie ojciec do tej przeklętej Czermaszni pcha, co? - zawołał Iwan Fiodorowicz uśmiechając się złośliwie.

Fiodor Pawłowicz nie zauważył czy też nie chciał zauważyć tej złośliwości, widział tylko uśmiech.

- Więc jedziesz, jedziesz? Zaraz karteczkę napiszę.

- Nie wiem, czy pojedę, nie wiem, w drodze postanowię.

- Co tam w drodze, postanów zaraz. Postanów, kochasiu! Rozmówisz się, napiszesz mi parę słów i dasz popu, a on mi natychmiast twoją kartkę przyśle. Potem nie będę cię zatrzymywał, jedź bodaj do Wenecji. Konie do Wołowej da ci pop...

Stary był po prostu zachwycony; napisał kilka słów, kazał przygotować konie, podać zakąski, koniak. Dobry humor zawsze nastrojał go ekspansywnie, wylewnie; teraz widać było, że się miarkuje. O Dymitrze Fiodorowiczu na przykład nie wspomniał ani słowem. Rozłąka z synem nie wzruszała go bynajmniej. Mogłoby się nawet zdawać, że nie miał o czym z nim mówić. Iwan Fiodorowicz spostrzegł to od razu.

„Sprzykrzyłem mu się widać porządnie” - pomyślał sobie.

Lecz sprowadzając już syna z ganku Fiodor Pawłowicz zakręcił się nagle i pochylił, aby się z nim pocałować na pożegnanie. Ale Iwan Fiodorowicz czym prędzej uprzedził go i wyciągnął rękę, chcąc widocznie uniknąć pocałunków. Stary zauważył to i powstrzymał się natychmiast.

- Ano, z Bogiem! z Bogiem! - powtarzał z ganku. - Chyba jeszcze przyjedziesz kiedy w życiu? No, przyjedź, zawsze rad będę, Bóg z tobą!

Iwan Fiodorowicz wsiadł do tarantasu.

- Żegnaj, Iwanie, nie potępiaj mnie zbytnio! - zawołał po raz ostatni ojciec.

Wszyscy domownicy wyszli go odprowadzić: Smierdiakow, Marfa i Grzegorz. Iwan Fiodorowicz dał każdemu po dziesięć rubli. Kiedy już rozsiadł się w tarantasie, Smierdiakow podbiegł, by poprawić dywan, którym Iwan Fiodorowicz miał przykryte nogi.

- Widzisz... jadę do Czermaszni... - odezwał się jakoś nagle Iwan Fiodorowicz. Podobnie jak i wczoraj zdanie to zerwało mu się samo z języka, i to jeszcze z jakimś nerwowym śmieszkiem.

Długo o tym pamiętał.

- Więc prawdę mówią ludzie, że z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie - odrzekł twardym głosem Smierdiakow, patrząc przenikliwie na Iwana Fiodorowicza.

Tarantas ruszył i potoczył się szybko. Niewyraźnie było na duszy podróżnemu, lecz ciekawie rozglądał się dokoła. Patrzył na pola, na pagórki, na drzewa, na stado gęsi szybujące wysoko w pogodnym niebie. I nagle poczuł, że jest mu dobrze. Próbował zagadnąć woźnicę, bardzo go bowiem zainteresowała jakaś wypowiedź tego chłopca. Ale po chwili zmiarkował, że puścił ją mimo uszu, że prawdę mówiąc, nie zrozumiał nawet jego słów. Umilkł więc, było mu dobrze i tak; powietrze było czyste, świeże, orzeźwiający, niebo pogodne. W oczach stanęli mu na chwilę Alosza i Katarzyna Iwanowna. Uśmiechnął się lekko i równie lekko dmuchnął na miłe widziadła, które rozwiały się wnet w powietrzu.

„Przyjdzie jeszcze czas na nich” - pomyślał.

Szybko minęli stację, zmienili konie i pomknęli ku Wołowej.

„Dlaczegoż to z mądrym człowiekiem i pogadać ciekawie? Co chciał przez to powiedzieć? - zapytał sam siebie i naraz aż mu dech zaparło. - I po co mu oznajmiłem, że jadę do Czermaszni?”

Dojechali do stacji w Wołowej, Iwan Fiodorowicz wysiadł z tarantasu. Natychmiast obstąpili go woźnice. Godzili się jechać do Czermaszni, dwanaście wiorst drogą polną, według umówionej zapłaty. Kazał zaprzęgać. Następnie wszedł do domu, rozejrzał się dokoła. Zagapił się na żonę poczmistrza i nagle wrócił na ganek.

- Nie jadę do Czermaszni. Czy nie spóźnię się, chłopcy, na pociąg, który odchodzi o siódmej?

- W sam raz zdążymy. Zaprzęgać, panie?

- Zaprzęgaj natychmiast. Czy nikt jutro nie będzie w mieście?

- A pewno Mitrij będzie.

- Czy możesz, Mitrij, zrobić mi przysługę? Zajdź do mego ojca, Fiodora Pawłowicza Karamazowa, i powiedz, że nie pojechałem do Czermasni. Możesz czy nie?

- Dlaczego nie, zajdę; Fiodora Pawłowicza znam już kawał czasu.

- Masz tu, bo on ci może i nie da... - roześmiał się wesoło Iwan Fiodorowicz.

- Nie da, a pewno - roześmiał się Mitrij. - Dziękuję wielmożnemu panu, na pewno zajdę.

O siódmej wieczór Iwan Fiodorowicz wsiadł do pociągu i pojechał do Moskwy.

„Precz z tym, co było, zerwałem na zawsze z dotychczasowym życiem i nie chcę nic o nim wiedzieć; do nowego świata, do nowych miejsc, i nie oglądać się za siebie!”

Ale zamiast radości duszę jego naraz opadł taki mrok, a w sercu zawyła taka rozpacz, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał w życiu. Całą noc rozmyślał, pociąg pędził przed siebie; dopiero o świcie, gdy wjeżdżał już do Moskwy, nagle się ocknął.

- Łajdak jestem! - szepnął do siebie.

Tymczasem Fiodor Pawłowicz, odprowadziwszy synka, był w doskonałym humorze. Przez bite dwie godziny czuł się nieomal szczęśliwy i popijał koniaczek; aliści w domu wydarzył się wysoce irytujący i arcynieprzyjemny dla wszystkich wypadek, który od razu i zdecydowanie zmącił dobry nastrój Fiodora Pawłowicza: Smierdiakow zszedł po coś do piwnicy i spadł z najwyższego schodka. Szczęśliwie się stało, że przez podwórze przechodziła właśnie Marfa Ignatiewna i usłyszała w porę. Nie widziała upadku, ale usłyszała krzyk, krzyk osobliwy, dziwny, lecz dobrze jej znajomy - krzyk epileptyka, który pada rażony atakiem. Nie można było stwierdzić, czy Smierdiakow dostał ataku, kiedy schodził, i wskutek tego oczywiście spadł, czy też zaniemógł z upadku i wstrząsu. W każdym razie znaleziono go na dnie piwnicy w silnych drgawkach, z pianą na ustach. Zrazu myślano, że złamał rękę czy nogę, ale „Bóg uchował” - jak się wyraziła Marfa Ignatiewna: nic mu się złego nie stało, trudno go tylko było wynieść z piwnicy na światło dzienne, więc zawezwano do pomocy sąsiadów i jakoś sobie poradzono. Sam Fiodor Pawłowicz asystował przy całej tej ceremonii i nawet pomagał wnieść go na górę. Był bardzo zaniepokojony, można nawet powiedzieć: wstrząśnięty. Chory jednakże nie odzyskał przytomności: drgawki co prawda chwilami ustawały, ale rychło powracały znowu. Było rzeczą oczywistą, że powtórzy się to samo, co w zeszłym roku, kiedy to Smierdiakow niechcący spadł ze strychu. Przypomniano sobie, że przykładano mu wówczas do głowy lód. Znaleziono trochę lodu w piwnicy. Marfa Ignatiewna sama pielęgnowała wychowanka. Pod wieczór Fiodor Pawłowicz posłał po doktora Herzenstube, który natychmiast przybył. Obejrząwszy skrupulatnie pacjenta (był to najbardziej skrupulatny i dbający o pacjentów lekarz w całej guberni i nader pocziwy staruszek), orzekł, że atak jest niezwykle silny i że „może grozić niebezpieczeństwo”, że tymczasem on, Herzenstube, jeszcze nic nie rozumie, ale że jutro rano, jeśli nie pomogą obecnie zapisane lekarstwa, zastosuje inne środki. Chorego umieszczono w oficynie, w pokoju przylegającym do mieszkania Grzegorza Wisiliewicza i Marfy Ignatiewny. Był to smutny początek niepowodzeń tego dnia. Nie skończyło się bowiem na tym: obiad ugotowała Marfa Ignatiewna i zupa w porównaniu z zupą ugotowaną przez Smierdiakowa miała „smak pomyj”, a kura była tak sucha, że po prostu nie można jej było przeżuć. Marfa Ignatiewna na gorzkie, chociaż

sprawiedliwe wyrzuty Fiodora Pawłowicza odpowiedziała, że kura była i tak bardzo stara i że ona zresztą nie uczyła się sztuki kucharskiej. Wieczorem zdarzył się nowy kłopot: zameldowano Fiodorowi Pawłowiczowi, że Grzegorz, który od trzech dni kawęczył, rozchorował się na dobre i nie może się ruszać. Fiodor Pawłowicz wypił bardzo wczesnie herbatę i zamknął się sam w domu. Znajdował się w stanie straszliwego i niespokojnego oczekiwania. Albowiem tego wieczoru prawie że na pewno spodziewał się przyjścia Gruszeńki; tak przynajmniej zapewnił go Smierdiakow: „Dziś na pewno przyrzekła przyjść.” Serce niepowściągliwego staruszka tłukło się niespokojnie, gdy przechadzał się po swoich pustych pokojach i nasłuchiwał. Trzeba było mieć się na baczności: Dymitr Fiodorowicz zapewne gdzieś na nią czeka. Więc ledwo ona zastuka w okno (Smierdiakow jeszcze dwa dni temu zapewnił Fiodora Pawłowicza, że zawiadomił ją, gdzie i jak ma stukać), trzeba będzie czym prędzej otworzyć drzwi i nie zatrzymywać jej ani sekundy w sieni, aby, broń Boże, nie przelękała się i nie uciekła. Wiele miał kłopotów na głowie, ale nigdy jeszcze jego serce nie kapało się w słodszej nadziei; przecież można było powiedzieć prawie z pewnością, że tym razem niechybnie przyjdzie!

# KSIĘGA SZÓSTA

## ROSYJSKI MNICH

### I

#### STARZEC ZOSIMA I JEGO GOŚCIE

Gdy Alosza z trwogą i z bólem serca wszedł do celi, był zaskoczony naprawdę nieoczekiwanym widokiem: obawiał się, że zastanie chorego w agonii, może już bez przytomności, a tymczasem ujrzał go w fotelu, z twarzą niezmiernie zmęczoną, ale wesołą i pełną otuchy, otoczonego gośćmi, z którymi spokojnie i pogodnie rozmawiał. Co prawda starzec wstał z łóżka dopiero kwadrans przed przyjściem Aloszy; goście zebrali się w celi wcześniej i czekali, aż się starzec obudzi, stanowczo zapewnieni przez ojca Paisija, że „nauczyciel na pewno wstanie, iżby jeszcze raz porozmawiać z miłą sercu jego bracią, jak to rzekł i obiecał”. Ojciec Paisij wierzył w to święcie. I gdyby nawet starzec leżał już bez przytomności, a nawet całkiem martwy, ale jeśliby był przyrzekł, że jeszcze raz wstanie i pożegna się z nim, ojciec Paisij nie uwierzyłby nawet śmierci, wciąż spodziewając się, że umierający ocknie się i spełni obietnicę. Otóż z rana starzec Zosima przed zaśnięciem rzekł stanowczo: „Nie umrę, póki się jeszcze raz nie upoję rozmową z wami, ukochani serca mojego, póki jeszcze raz nie popatrzę na drogie wasze twarze, póki jeszcze raz przed wami duszy nie otworzę.” Zebrali się więc na tę ostatnią zapewne rozmowę najbardziej oddani mu przyjaciele z dawnych lat. Było ich czterech: ojciec Józef, ojciec Paisij i ojciec Michał, przełożony pustelni, nie bardzo jeszcze stary mnich, o wiele mniej uczony niż tamci i stanu niższego, ale niezłomnego ducha, niezachwianej i prostej wiary. Na pozór wydawał się surowy, w istocie zaś serce jego było skore do wzruszeń i roztkliwienia, chociaż to nawet wstydliwie maskował. Czwartym gościem był brat Anfim, całkiem już stary, prosty mniszek, z pochodzenia biedny chłop, ledwo umiejący czytać i pisać, milczący i cichy, rzadko mówiący, najpokorniejszy z pokornych. Robił wrażenie człowieka zahukanego, którego w swoim czasie coś wielkiego i straszliwego, co przerastało jego siły umysłowe, przestraszyło na wieki. Starzec Zosima bardzo kochał tego wiecznie strwożonego braciszka, zawsze odnosił się doń z niezwykłym szacunkiem. Co prawda z nikim chyba w życiu nie zamienił mniej słów niż z nim, mimo że niegdyś spędzili razem wiele lat wspólnie wędrując po całej świętej Rosji. Było to już dawno, lat temu czterdzieści, kiedy starzec Zosima dopiero rozpoczynał swoje życie mnisze w ubogim kostromskim monasterze, skąd też wnet wyruszył z bratem Anfimem zbierać ofiary na swój ubogi kostromski monaster. Wszyscy, i gospodarz, i goście, siedzieli w drugim pokoju starca, w którym stało jego łóżko. W pokoju, który jak to już przedtem powiedziano, był tak ciasny, że wszyscy czterej ledwo się zmieścili wokoło starca na przeniesionych z drugiego pokoju krzesłach (nie licząc nowicjusza Porfirego, który słuchał stojąc). Zmrok już zapadał, pokój oświetlony był lampkami oliwnymi oraz blaskiem woskowych świec przed obrazami. Starzec uśmiechnął się radośnie na widok Aloszy, który bardzo się zmieszał i stał nieruchomo na progu - i wyciągnął do niego rękę.

- Witaj, witaj, mój miły, otóż i ty. Wiedziałem, że przybędziesz.

Alosza podszedł doń, schylił się do samej ziemi i rozplakał się. Coś mu się wydierało z serca, dusza jego pełna była lęku, chciał szlochać.

- Uspokój się, czas jeszcze opłakiwać - uśmiechnął się starzec kładąc prawą rękę na jego głowie. - Widzisz, siedzę i rozmawiam, może jeszcze dwadzieścia lat pożyję, jak mi życzyła wczoraj ta dobra, miła kobieta z Wyszegoria, z dziewczynką Lizawietą na rękę. Pobłogosław Boże i matce, i dziewczecze Lizawiecie! (przeżegnał się). Porfiry, czy zaniósłeś datek wedle mego polecenia?

Przypomniawszy mianowicie o owych sześciu dziesięciokopiejkówkach, które podarowała wesoła pątniczka dla tej, „co od niej biedniejsza”. Takie ofiary uważane są za pokutę dobrowolnie na siebie nałożoną z jakiegokolwiek powodu i muszą to być wyłącznie pieniądze zdobyte własnym trudem. Starzec posłał Porfirogo już poprzedniego wieczora do jednej z naszych mieszczanek, wdowy z dziećmi, która po niedawnym pożarze musi chodzić po proszonym. Porfiry oznajmił, że wykonał polecenie i oddał pieniądze, jak mu kazano, „od nieznanej ofiarodawczyni”.

- Wstań, mój drogi - rzekł starzec do Aloszy - niechże na ciebie popatrzę. Czy byłeś w domu i widziałeś brata?

Aloszy wydawało się, że pytanie starca dotyczy wyraźnie i bezpośrednio jednego z braci. Ale którego? Więc starzec wysłał go specjalnie do tego właśnie brata, zarówno wczoraj, jak i dzisiaj.

- Jednego z braci widziałem - odrzekł Alosza.

- Ja o tamtym, wczorajszym, o starszym, któremu pokłoniłem się do ziemi.

- Tego wczoraj widziałem, a dziś nie mogłem znaleźć - odpowiedział Alosza.

- Znajdźże go czym prędzej, jutro znowu idź i spiesz się, wszystko zostaw i idź. Może jeszcze zdążysz zapobiec okropnemu wydarzeniu. Pokłoniłem się wczoraj jego przyszłemu wielkiemu cierpieniu.

Starzec umilkł nagle i jak gdyby się zamyślił. Słowa jego były dziwne. Ojciec Józef, świadek wczorajszego pokłonu starca, spojrzał porozumiewawczo na ojca Paisija. Alosza nie wytrzymał.

- Ojcze mój i nauczycielu - rzekł z niezwykłym wzruszeniem - zbyt niejasne są dla mnie twoje słowa... Jakie to cierpienie go oczekuje?

- Nie bądź ciekaw. Wczoraj ujrzałem coś okropnego.... jak gdyby cały jego los skupił się w jego spojrzeniu. Miał takie spojrzenie w pewnej chwili... że przeraziłem się czując w sercu moim to, co ów człowiek sobie gotuje. Raz albo dwa razy w życiu widziałem taki sam wyraz twarzy... który jak gdyby odzwierciedlał cały los tych ludzi, i los ów niestety sprawdził się. Posłałem cię do niego. Aleksy, myślałem bowiem, że twoje braterskie oblicze ulży mu. Wszakże wszystko jest od Boga i wszystkie losy nasze. „Jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa; lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi.” Zapamiętaj to sobie. A ciebie, Aleksy, wielokrotnie błogosławiłem w myśli swej za twoje oblicze, wiedz o tym - rzekł starzec z łagodnym uśmiechem. - Myślę o tobie tak: wynijdziesz z tych murów i w świecie żyć będziesz jako mnich. Wielu będziesz



niał przeciwników, wszelako nawet wrogowie twoi kochać cię będą. Wiele nieszczęść przyniesie ci życie, ale mimo to będziesz szczęśliwy i życie błogosławić będziesz, i innych nauczysz błogosławić, co jest bodaj rzeczą najważniejszą. Bo taki jesteś. Ojcowie i nauczyciele moi - zwrócił się do obecnych z tkliwym uśmiechem - nigdy dotychczas, nawet jemu, nie mówiłem, czemu były tak miłe mojej duszy lica tego młodzianka. Teraz dopiero powiem: lica jego były mi niby przypomnieniem i prorocstwem. W zaraniu swoich dni, dzieckiem jeszcze będąc, miałem brata starszego, który umarł w młodym wieku, na moich oczach, w siedemnastym roku życia. A potem, płując dni swoje, uprzytamniałem sobie stopniowo, że brat mój nieboszczyk był wskazówką i zapowiedzią mego losu, albowiem, gdyby się był nie pojawił w moim życiu, wówczas może, tak sobie to przekładam, nie przyjąłbym godności mnicha, nie wstąpiłbym na wielką drogę swoją. Pierwsze to objawienie zdarzyło się jeszcze w moim dzieciństwie, i oto u schyłku drogi jawiło mi się naocznie jakby jego powtórzenie. Dziwne to, ojcowie moi i nauczyciele, że nie będąc podobny zewnętrznie, przynajmniej bardzo niewiele, Aleksy wydaje mi się tak podobny do niego duchowo, iż wielokrotnie uważałem go wręcz za onego młodzianka, jak gdyby ów tajemniczo wrócił do mnie u kresu mojej tajemniczej drogi, gwoli niejakiego rozpamiętywania i przenikania, toteż dziwiłem się nawet sam sobie i tak niezwyklej mojej myśli. Czy słyszysz to, Porfiry? - zwrócił się do usługującego mu nowicjusza. - Wielekroć widziałem na twojej twarzy rozgoryczenie, że kocham Aleksego bardziej niż ciebie. Teraz wiesz dlaczego, ale i ciebie kocham, wiedz o tym, i często martwiłem się z powodu twego rozgoryczenia. Wam zaś, mili goście, chcę opowiedzieć o onym młodzianku, bracie moim, albowiem nie było w życiu moim cenniejszego zdarzenia, bardziej proroczego i bardziej wzruszającego. Wzruszyło się serce moje i widzę całe życie moje w tej chwili, jakbym je znowu przeżywał od początku...

Muszę w tym miejscu wyjaśnić, że owa ostatnia rozmowa starca z gośćmi, którzy odwiedzili go ostatniego dnia jego życia, jest częściowo zapisana. Zapisał ją zaś z pamięci Aleksy Fiodorowicz Karamazow niedługo po śmierci starca. Nie mogę jednak ustalić, czy dokładnie spisał tylko ówczesną rozmowę starca, czy też uzupełnił ją urywkami z dawnych rozmów swego nauczyciela. Ponadto mowa starca w tych zapiskach nie urywa się wcale, jest płynna, jak gdyby starzec spowiadał się przyjaciółom ze swego życia w formie opowieści; wiadomo zaś, że w rzeczywistości odbywało się to zgoła inaczej, bo owego wieczora toczyła się ogólna rozmowa, i chociaż goście rzadko przerywali gospodarzowi, bądź co bądź wtrącali swoje uwagi, nawet opowiadania i wypadki z własnego doświadczenia; skądinąd opowiadanie starca nie mogło być nieprzerwane choćby i z tego powodu, że mówiący chwilami nie mógł złapać tchu, że chwilami nie mógł dobyć głosu i nawet kładł się na łóżko, aby wypocząć. Starzec nie zasypiał, a goście nie opuszczali swoich miejsc. Dwa czy trzy razy ojciec Paisij przerywał rozmowę czytaniem Ewangelii. Rzecz zastanawiająca: nikt z obecnych nie sądził, że starzec skona tej nocy, zwłaszcza że owego ostatniego wieczora swego życia po głębokim śnie dziennym poczuł jakby przyływ nowych sił, które podtrzymywały go przez cały czas długiej rozmowy z przyjaciółmi. Były to ostatnie jego wzruszenia, podsycające niezwykle ożywienie, ale nie na długo, bo życie jego nagle się urwało... Ale do tego wrócimy w swoim czasie. Teraz zaś chcę oświadczyć, że nie wdając się w szczegóły owej rozmowy, ograniczyłem się do powtórzenia opowieści starca według rękopisu Aleksego Fiodorowicza Karamazowa. Wypadnie to krócej i nie tak nużąco, chociaż, powtarzam, Alosza dodał zapewne wiele szczegółów z dawnych rozmów i połączył to w jedną całość.

## II

# ŻYWIOT W BOGU ZMARŁEGO STARCA ZOSIMY Z WŁASNYCH JEGO SŁÓW SPISANY PRZEZ ALEKSEGO FIODOROWICZA KARAMAZOWA

### WIADOMOŚCI BIOGRAFICZNE

#### A) O MŁODZIANKU, BRACIE STARCA ZOSIMY

Ukochani ojcowie moi i nauczyciele, urodziłem się w dalekiej północnej guberni, w mieście W., z ojca szlachcica, ale nie bardzo znakomitego i mającego dość podrzędną rangę. Odumarł mnie ojciec, kiedy miałem wszystkiego dwa lata, i nie pamiętam go zupełnie. Zostawił matce mojej w spuściźnie niewielki drewniany domek i skromny fundusz, tyle tylko, aby mogła przeżyć wraz z dziećmi, nie zaznając biedy. A było nas dwoje dzieci; ja, Zinowij, i starszy mój brat, Markieł. Ów był ode mnie starszy o lat osiem, charakter miał zapalczywy, był skory do gniewu, ale dobry, niezłośliwy, dziwnie milczący, zwłaszcza w domu, wobec matki, wobec mnie i wobec służby. Uczył się w gimnazjum dobrze; ale z kolegami się nie zadawał, ani się przyjaźnił, ani kłócił, tak przynajmniej zapamiętała mama. Na pół roku przed śmiercią, kiedy skończył siedemnaście lat, zaczął odwiedzać pewnego zesłańca, za wolnomyślne przekonania wygnanego z Moskwy. Był to wielce uczony i znakomity profesor uniwersytetu. Nie wiadomo czemu pokochał naszego Markieła i zaczął go zapraszać. Mój brat przesiadywał u niego całymi wieczorami i trwało to przez całą zimę, dopóki nie wezwano z powrotem tego uczonego do Petersburga na służbę państwową, albowiem miał swoich protektorów. Zaczął się wielki post, a Markieł nie chciał pościć; bluźnił i szydził: „Wszystko to są bzdury - powiadał - nie ma żadnego Boga.” Przerazał mamę i służbę, i mnie małego, albowiem choć wówczas miałem dopiero dziewięć latek, usłyszawszy owe słowa, przeraziłem się wielce. Służbę mieliśmy z poddanych, czworo ludzi, kupionych na imię znajomego obywatela ziemskiego. Pamiętam jeszcze, jak mama sprzedawała kucharkę Afimję, kulawą i starą, za sześćdziesiąt rubli papierowych, a na jej miejsce przyjęła wolną najmitkę. I oto w szóstym tygodniu postu brat mój zaczął nagle narzekać, a był zawsze chorowity, wątłej budowy, skłonny do gruźlicy; miał wzrost dość słuszny, ale szczupły był i przygarbiony, o twarzy nadzwyczaj miłej i niebrzydkiej. Przeziębził się, niebożę, czy co, doktor przyszedł i oświadczył mamie, że jej syn ma galopujące suchoty i nie przeżyje wiosny. Matka zaczęła płakać, prosiła brata ostrożnie (aby go nie przestraszyć), żeby poszedł do cerkwi wypowiadać się i przyjąć komunię świętą, albowiem on jeszcze wtedy nie leżał w łóżku. Usłyszawszy to, rozgniewał się bardzo i bluźnił przeciw świątyni Pańskiej, ale wnet zamyślił się: odgadł snadź, że jest niebezpiecznie chory, skoro go matka posyła do cerkwi, do spowiedzi. Zresztą sam już wiedział, że jest niezdrów od dawna, i jeszcze rok przedtem wyraził się obojętnie przy stole wobec mnie i mamy: „Niedługo pomieszkać między wami, może nawet roku nie przeżyję” - i jakby sobie wywróżył. Minęły trzy dni, zaczął się Wielki Tydzień. I oto mój brat we wtorek rano poszedł do spowiedzi. „Ja to, mamó, dla ciebie tylko robię, żeby cię ucieszyć i uspokoić” - rzekł do niej. Rozpłakała się matka z radości i ze strapienia: „Widać bliska śmierć jego, skoro się tak nagle odmienił.” Ale niedługo chodził do cerkwi; położył się do łóżka, toteż spowiadał się i przyjął komunię świętą już w domu. Nastąpiły jasne, pogodne, cudowne dni. Wielkanoc wypadła tego roku późno. Po całych nocach, pamiętam, kaszlał, nie sypiał, a nazajutrz zawsze ubierał się i próbował

siadać w miękkim fotelu. Pamiętam go tak: siedzi łagodny, spokojny, uśmiecha się, biedaczek, a jednak lica ma wesołe, radosne. Zmienił się cały duchowo - taka dziwna zaszła w nim nagle zmiana! Wchodzi do jego pokoju stara niańka: „Pozwól, kochanie, lampkę zapalę przed obrazem.” Dawniej nie pozwalał, sam nawet gasił. „Zapal, miła moja, zapal, byłem zwierzęciem, zem broniał wam tego przedtem. Kiedy zapalasz lampkę, modlisz się do Boga, a ja modłę się, patrząc na ciebie i radując się. Zatem do jednego Boga modlimy się oboje.” Dziwne wydawały się nam te jego słowa, matka wracała do siebie i ciągle płakała. Ale wchodząc do niego, ocierała oczy i starała się wydawać wesołą. „Nie płacz, mój, nie płacz, droga moja - powiada czasem - długo jeszcze pożyję na świecie, wiele radości z wami przeżyję, a życie, życie przecież takie wesołe i radosne!” „Ach, mój drogi, jakże tobie radość, kiedy całą noc gorączka cię męczy i kaszel mało ci piersi nie rozerwie.” „Mamo - odpowiada jej - nie płacz, życie jest rajem, i wszyscy jesteśmy w raju, ale nie chcemy tego uznać, a gdybyśmy chcieli to uznać, to już jutro byłby raj na całym świecie.” I wszyscy dziwili się jego słowom, tak niezwykle to mówił i stanowczo; roztkliwiali się wszyscy i płakali. Przychodzili do nas znajomi: „Mili moi, mówił, drodzy, i czymże to sobie zasłużyłem, że mnie kochacie, za co mnie kochacie i jakże przedtem tego nie wiedziałem, nie ceniłem.” Służbie co chwila powtarzał: „Mili moi, czyż wart jestem, aby mi posługiwano? Gdyby się Bóg zlitował i zostawił mnie przy życiu, sam bym wam usługiwał, albowiem wszyscyśmy powinni sobie służyć wzajem.” Matka, słuchając go potrzasała głową: „Drogi mój, z choroby tak mówisz!” „Mamo, radości ty moja - mówił - jeśli muszą być panowie i słudzy, to niechże ja będę sługą moich sług. I jeszcze ci to powiem, mamo, że każdy z nas jest winien za wszystko wobec wszystkich, ja zaś winien jestem najwięcej.” Mama uśmiechnęła się nawet; płacze i uśmiecha się. „I dlaczego to jesteś wobec wszystkich najwięcej winien? Są przecie mordercy i zbóje, a ty cóżeś takiego zrobił, że siebie najbardziej winisz?” „Mamo, skarbie mój największy (zaczął naraz używać niezwykle pieszczotliwych słów), skarbie mój najmilszy, wiedz, że zaprawdę każdy jest winien za wszystko i wobec wszystkich. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale czuję, że tak jest, do udręki to czuję. I jakżeśmy żyli, gniewając się i nic nie wiedząc o tym?” Tak się budził codziennie, coraz bardziej tkliwy i radosny, przejęty wielką do wszystkich miłością. Przychodził nieraz lekarz, stary Niemiec, Eisenschmidt. Brat mój przekomarzał się z nim: „No cóż, doktorze, czy jeszcze dzień pożyję na świecie?” „Nie tylko dzień, bo wiele dni pan pożyje - odpowiadał zazwyczaj doktor - będzie pan jeszcze żył i miesiące, i lata.” „Po cóż lata, po co miesiące! - woła brat mój - co tu dni liczyć, kiedy jednego dnia dość człowiekowi, aby całe szczęście zgłębił. Mili moi, dlaczego się kłócimy, dlaczego się chełpimy i wypominamy sobie wzajem urazy: chodźmy do ogrodu, aby się cieszyć i swawolić, kochać się nawzajem i chwalić, i całować, i życie nasze błogosławić.” „Niedługo pożyje na świecie pani syn - mówił doktor do matki, która odprowadzała go do wyjścia - z choroby dostaje pomieszania.” Okna jego pokoju wychodziły na ogród, bardzo cienisty. Stare drzewa puściły wiosenne pączki. Przyleciały wczesne ptaki, świegocą, śpiewają mu pod oknem. I począł naraz, patrząc na nie z miłością, prosić je o wybaczenie: „Ptaszki Boży, ptaszki radośni, darujcie mi, bo i wobec was grzeszyłem.” Tego już nikt z nas nie mógł wtedy zrozumieć, on zaś płacze z radości: „Tak, powiada, była tak wielka chwała Boża wokół mnie: ptaszki, drzewa, łąki, niebios, ja sam żyłem w hańbie, sam wszystko plugawiłem, a chwały i krasy nie dostrzegałem wcale.” „Za wiele grzechów na siebie bierzesz” - płakała nieraz mama. „Mamo, droga moja, przecie z radości, nie ze smutku płaczę; sam przecie chcę poczuwać się wobec nich do winy, nie mogę ci tylko tego wytłumaczyć, nie wiem nawet, jak ich kochać. Niechże będę grzeszny wobec wszystkich, ale przecie wszyscy mi przebaczą, otóż i raj. Czym teraz nie w raju?”

I wiele było jeszcze takich powiedzeń, że ani spamiętać, ani spisać. Przypominam sobie, iż wszedłem kiedyś do niego, kiedy był sam w pokoju. Był wieczór, czas pogodny, słońce zachodziło i zalało cały pokój skośnymi promieniami. Przywołał mnie do siebie, podszedłem doń, a on wziął mnie oburącz za ramiona, patrzy mi w oczy ze wzruszeniem, miłością; nic nie powiedział, tylko popatrzył tak chwilę. „Idź teraz - rzekł - baw się, żyj za mnie!” Wszedłem do ogrodu i zacząłem się bawić. A potem całe życie wielokrotnie przypominałem sobie ze łzami, jak to kazał mi żyć za siebie. Wiele jeszcze mówił słów dziwnych i pięknych, chociaż niezrozumiałych. Zgasł zaś w trzecim tygodniu po Wielkanocy, zupełnie przytomny, i chociaż przestał już mówić, nie zmienił się do ostatniej swojej godziny: spoglądał pogodnie, w oczach miał radość, szukał nas spojrzeniem, uśmiechał się, wzywał. Nawet w mieście wiele mówiono o jego zgonie. Wstrząsnęło mną to wszystko, ale nie bardzo, chociaż płakałem gorzko, kiedy go chowano. Młody byłem, dziecko jeszcze, ale w sercu wszystko zostało na zawsze, skryło się, aby w swoim czasie odżyć i odezwać się. I tak się też stało.

## B) O PIŚMIE ŚWIĘTYM W ŻYCIU OJCA ZOSIMY

Zostałem wówczas z matką. Poradzili jej rychło dobrzy znajomi, że mając po temu środki, powinna za przykładem innych rodziców posłać teraz jedynego syna do Petersburga, by nie pozbawiać go widoków wielkiej może kariery. I namówiono moją matkę, aby mnie oddała do Petersburga, do korpusu kadetów, skąd łatwy jest dostęp do gwardii cesarskiej. Mama długo się wahała: jakże tu rozstać się z jedynym synem, który jej został? Ale w końcu przemogła się, bo nie chciała stać na przeszkodzie memu szczęściu. Zawiozła mnie do Petersburga, umieściła w korpusie kadetów i od tego czasu nie widziałem jej więcej; albowiem po trzech latach zgasła, przez te całe trzy lata tęskniła za nami, za bratem nieboszczykiem i za mną. Z domu rodzicielskiego wyniosłem cenne wspomnienia, nie masz bowiem cenniejszych dla człowieka pamiątek jak wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, spędzonego w domu rodzinnym, o ile panuje w nim względna bodaj zgoda i miłość. Zresztą z najgorszego domu możesz wynieść cenne wspomnienia, jeśli tylko dusza twoja potrafi szukać cennych wartości. Do wspomnień dziecinnych zaliczam również znajomość historii świętej, której jeszcze dzieckiem bardzo byłem ciekaw. Miałem wówczas książkę z pięknymi obrazkami pod tytułem *Sto i cztery święte historye Starego i Nowego Testamentu*; z niej to uczyłem się czytać. I teraz jeszcze leży tu na półce, przechowuję ją jako drogocenną pamiątkę. Ale nim jeszcze nauczyłem się czytać, pamiętam, jak po raz pierwszy nawiedziła mnie jakaś światłość duchowa. Miałem wówczas osiem lat. Mama zaprowadziła mnie na nabożeństwo (nie pamiętam, gdzie był wówczas mój braciszek) do świątyni Pańskiej w Wielkim Tygodniu. Było to w Wielki Poniedziałek. Dzień był jasny - wywołując teraz ów obraz z pamięci, widzę znowu, jak nad kadzielnicą unoszą się kadzidła, a z góry, z kopuły, przez wąskie okienko leją się na nas promienie, w których roztapiają się dymy kadzideł. Patrzałem wzruszony i pierwszy raz wchłonałem świadomie pierwsze ziarno słowa Bożego. Wszedł wtedy na środek świątyni młodzian z wielką księgą, tak wielką, że jak mi się zdawało, niósł ją z trudem, położył ją na pulpicie, otworzył i począł czytać. I nagle po raz pierwszy coś niecoś rozumiałem, po raz pierwszy w życiu rozumiałem, co czytają w świątyni Bożej. „Był mąż w ziemi Uz, szczerzy i sprawiedliwy, bojący się Boga, a miał taką a taką majątność, tyle a tyle wielbłądów, owiec i osłów; i dzieci jego żyły w radości, i kochał je bardzo, i modlił się za nie do Boga, by snadź nie zgrzeszyli synowie jego. I oto stanął przed Panem szatan wraz z synami Bożymi i

rzekł do Pana, że okrążył ziemię i schodził ją. I rzekł Pan do niego: «A baczyłeś Hioba, sługę mego?» I pochwalił się Bóg przed szatanem, wskazując wielce cnotliwego sługę swego. I uśmiechnął się szatan, i rzekł: «Oddaj go w moje ręce, a zbuntuje się sługa Twój i przeklnie imię Twoje.» I oddał Bóg sługę swego ukochanego w ręce szatana, i zgładził szatan jego dzieci, i pozbawił go majątkości. Tedy Hiob rozerwał szaty swoje i ogoliwszy głowę, upadłszy na ziemię, pokłonił się i rzekł: «Nagom wyszedł z żywota matki mojej i nago się tamże wrócę: Pan dał, Pan też wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione!», Ojcowie i nauczyciele, darujcie mi obecne łyzy moje, albowiem całe moje dzieciństwo jakby zmartwychwstaje i oddycham, jak oddychałem podówczas dziecięcą ośmioletnią piersią, i czuję, jak i wówczas, zdumienie i zmieszanie, i radość. I wielbłądy tak wówczas zajęły moją wyobraźnię, i szatan, który tak z Bogiem mówi, i Bóg, który sługę swego oddał na zatracenie, i sługa jego wołający: „Niech będzie imię Twoje błogosławione” - a potem cichy i słodki śpiew w świątyni: „Niech dotrze modlitwa moja do tronu boskiego!”, i znowu kadzidła i modlitwa na klęczkach! Od tego czasu - nawet wczoraj jeszcze - wziętem tę książkę do ręki i nie mogę czytać tej przenajświętszej opowieści bez łez. Ileż tu wielkiego, tajemnego, niepojętego! Słyszałem potem drwiny szyderców i bluźnierców, słowa pełne pychy: „Jakże Bóg mógł oddać najukochańszego ze swoich sprawiedliwych w szpony szatana, odebrać mu dzieci, pokryć go tak straszliwymi wrzodami, że czerepem je oskrobywał, siedząc w gnoju - i to w jakim celu: aby tylko móc się pochwalić przed szatanem: «Patrzaj niby, co znosi mój święty w imię moje!», Przecie w tym właśnie jest wielkość, że to tajemnica, że tu przelotne oblicze ziemskie i prawda wieczna zetknęły się ze sobą. Przed prawdą ziemską dopełnia się działanie prawdy wiecznej. Tu Stwórca, podobnie jak w pierwsze dni stworzenia, gdy kończył każdy dzień pochwałą: „I widział Bóg, iż były dobre”, spogląda na Hioba i znowu chwali się stworzeniem swoim. A Hiob, chwając Pana, służy nie tylko Jemu, ale i całemu wszechstworzeniu na wieki wieków, albowiem do tego był powołany. Panie, cóż to za księga i jakież pouczenie! Co za księga to Pismo święte; jaki cud i jaką siłę dano człowiekowi! Niczym *rzeźba* świata i ludzi, i charakterów ludzkich, i wszystko jest w niej nazwane i wskazane na wieki wieków. I ile tajemnic rozstrzygniętych i objawionych: Bóg znowu podnosi Hioba z upadku, daje mu wszego, co miał, w dwójnasób: mijają lata, i oto Hiob znowu jest ojcem, i znowu kocha dzieci swoje. „Panie! Jakże mógł, zdawałoby się, pokochać nowe swoje dzieci, skoro tamtych nie ma, skoro tamte stracił? Zaliż, tamte wspominając, może być szczęśliwy jak dawniej z tymi nowymi, jakkolwiek by je kochał?” Ależ może, może: stare cierpienie - i to jest wielka tajemnica ludzkiego żywota - przechodzi stopniowo w cichą, tkliwą radość; zamiast młodej kipiącej krwi nastaje łagodna, pogodna starość: błogosławie codzienny wschód słońca i serce moje po dawnemu śpiewa mi, ale bardziej jeszcze kocham już jego zachód, długie skośne promienie i pospołu z nimi ciche, łagodne, tkliwe wspomnienia, miłe obrazy mego długiego i błogosławionego życia - a nad tym wszystkim prawda Boża, roztkliwiająca, jednająca, wszechprzebaczająca! Kończy się życie moje, wiem o tym i słyszę, ale każdego z pozostałych mi dni czuję, jak życie moje styka się już z nowym, nieskończonym, nieznanym, ale tak już bliskim życiem, w którego przeczuciu trzepoce dusza moja z zachwyty, promienieje umysł i radośnie szlocha serce... Przyjaciele moi i nauczyciele, słyszałem nieraz, a teraz w ostatnich czasach coraz głośniejsze, o tym, że nasi kapłani, zwłaszcza wiejscy, żalą się i płacziwie utyskują na swoje małe dochody i na poniżenie swoje, i wręcz zapewniają, nawet w druku - sam to czytałem - że nie mogą już wyklądać ludowi Pisma świętego, albowiem mają małe dochody, i jeżeli przychodzą teraz luteranie i heretycy i poczynają odbijać trzodę, to niech sobie odbijają, albowiem małe są dochody pasterzy. Boże! daj im więcej tych tak drogich im dochodów (bo słuszna jest ich skarga), ale zaprawdę powiadam wam: jeżeli kto jest winien, to w połowie my sami! Albowiem choćby nawet nie mieli czasu, i choćby nawet słusznie uskarżali się, że męczy ich

praca nadmierna, przecież nie cały czas im zabiera, przecież znaleźć mogą godzinę bodaj w tygodniu, aby i o Bogu popamiętać. I nie cały przecież rok mają pracę. Niechaj zbiorą raz na tydzień, na odwieczerz, zrazu tylko dzieci - dowiedzą się ojcowie, to i oni zaczną przychodzić. Nie trzeba od razu pałaców, wystarczy przyjąć ich w izbie: nie bójcie się, nie zapaskudzą wam izby, tylko na godzinę przyjdą. Otwórz tę księgę, zacznij czytać, bez wymyślnych wstępów, bez dumy, nie wynosząc siebie, pokornie i tkliwie, ciesząc się z tego czytania, z tekstu i z tego, że oni słuchają i rozumieją - sam kochając te słowa - chwilami zatrzymując się i objaśniając prostaczkom niezrozumiałe wyrazy. Bądź spokojny, wszystko rozumieją, wszystko zrozumie serce prawosławne! Przeczytaj im o Abrahamie i Sarze, o Izaaku i Rebecce, o tym, jak Jakub poszedł do Labana i mocował się we śnie z Bogiem, i powiedział: „Straszne jest to miejsce”, a olśnisz pobożne umysły maluczkich. Przeczytaj im, zwłaszcza dzieciom, o tym, jak bracia sprzedali w niewolę własnego brata, Józefa, pacholę miłe, radosne, tłumacza snów i proroka wielkiego, ojcu zasię rzekli, że zwierz rozszarpał jego syna, i pokazali mu szaty skrwawione. Przeczytaj, jak potem bracia przyjeżdżali po chleb do Egiptu, jak Józef, wielki już wtedy mąż na dworze faraona, od nich nie poznany, dręczył ich, oskarżał, zatrzymał braciszka Beniamina, i to wszystko z miłości. „Miłuję was, miłując zaś, dręczę.” Albowiem całe życie przypominał wciąż sobie, jak sprzedali go kupcom przy studni, w gorącym stepie, jak, załamując ręce, płakał i prosił braci, aby go nie sprzedawali w niewolę do obcego kraju. Tedy ujrzawszy ich po tylu latach, pokochał ich znowu niezmiernie, ale dręczył ich i nękał także z miłości. Odchodzi wreszcie od nich, nie wytrzymałszy męki swego serca, pada na posłanie swoje i płacze. A umywszy twarz, radosny, pełen światła, wychodzi i rzecze: „Jam-ci jest Józef, brat wasz!” Przeczytaj dalej o tym, jak ucieszył się starzec Jakub, dowiedziawszy się, że żywie jeszcze jego miłe chłopię, jak wyruszył do Egiptu, porzuciwszy ojczyznę, i umarł w ziemi obcej, wyrzekłszy na wieki wieków w testamencie swoim największe słowo, tajemniczo nurtujące w łagodnym i struchlałym jego sercu przez całe życie: że z rodu jego, rodu Judy, wyjdzie wielkie oczekiwanie świata. Pojednawca i Zbawiciel! Ojcowie moi i nauczyciele, wybaczcie i nie gniewajcie się, że jak małe dziecko mówię o tym, co dawno już wiecie i czego mnie możecie nauczyć po stokroć lepiej i godniej. Z zachwytu mówię to i darujcie mi łzy moje, albowiem kocham tę księgę! Niech i on zapłacze, duszpasterz ów, i zobaczy, że zadrgają w odpowiedzi serca jego słuchaczy. Trzeba tylko drobnego nasienia, maleńkiego: byleby rzucił je w serce prostaczka, nie obumrze ono, będzie żyć w duszy jego całe życie, będzie taić się śród mroku, śród smrodliwości grzechów jego, jako jasny punkt, jako wielkie upomnienie. I nie trzeba, nie trzeba wiele wykladać i uczyć, wszystko bowiem zrozumie. Myślicie może, iż prostaczek nie zrozumie? Niech ów duszpasterz spróbuje, niechaj przeczyta mu opowieść, wzruszającą i rozczulającą, o pięknej Ester i dumnej Wasthi; albo cudowną powiastkę o proroku Jonaszu w brzuchu wieloryba. Niechaj mówi im o przypowiastkach Pana, zwłaszcza z Ewangelii świętego Łukasza (tak ja czyniłem), a potem z Dziejów Apostolskich nawrócenie Szawła (koniecznie, koniecznie!) i wreszcie z żywotów świętych bodaj żywot Aleksego sługi Bożego, i największej spośród wielkich, Tej, która Boga widziała i Boga piastowała, Marii Egipcjanki - i przebije serca prostaczków owymi prostymi opowiadaniem. I dość nawet godziny w tygodniu, tylko jednej godziny. I sam się przekonam, że wdzięczny lud nasz i miłościwy odwdzięczy mu się stokrotnie: pomny starania kapłana i jego słów wzruszających, pomoże mu dobrowolnie na jego niwie, pomoże mu i w domu, i większy szacunek okazywać mu będzie - a wówczas powiększą się również dochody kapłana. Sprawa jest tak prosta, że czasem nawet boimy się o niej mówić, żeby się z nas nie śmiano - a zarazem jakże prawdziwa! Kto w Boga nie wierzy, nie uwierzy i w lud Boży. A kto uwierzył w lud Boży, ten ujrzy i świętość Jego, choćby nawet wcale nie wierzył w nią do tej pory. Jedynie lud i duchowa jego moc przysła nawróci naszych ateistów oderwanych od rodzimej ziemi. I cóż to za

słowo Chrystusowe bez przykładu? Zginąłby lud bez słowa Bożego, albowiem dusza ludu łaknie tego słowa i wielkiego pięknego doznania. W młodości swej, dawno już, prawie czterdzieści lat temu, chodziłem z bratem Anfimem po całej Rosji, zbierając ofiary na monaster; nocowaliśmy razu pewnego nad wielką, spławną rzeką, na brzegu, wraz z rybakami, i przysiadł się do nas młodzieniec stateczny, chłopak osiemnastoletni, wieśniak, który w dzień ciągnął na linie barkę kupiecką. I widzę, patrzy on przed siebie tkliwie i pogodnie. Noc jasna, cicha, ciepła, lipcowa, rzeka szeroka, mgły się nad nią unoszą, rzeźwią nas, czasem rybka pluśnie, ptaszki umilkły, cisza dokoła, błogość, wszystko w modlitwie zwrócone do Boga. Nie spaliliśmy tylko my dwaj, ja i ów młodzieniec, i rozgadaliśmy się o piękności świata Bożego i o wielkiej jego tajemnicy. Wszelkie źdźbło, każdy owad, mrówka, pszczołka złota, wszystko to w zdumiewający sposób zna drogę swoją, nie posiadając umysłu, tajemnicy Bożej przyświadcza, dokonywa jej - tak sobie gawędzimy i widzę, że rozgorzało serce miłego młodzieńca. Wyznał mi, że kocha las, ptaszki leśne: był ptasznikiem dotychczas, każdy głos ptasi rozumiał, każdą ptaszynę umiał wabić: „Nie znam nic lepszego od życia w lesie - rzecze - i wszystko jest takie piękne.” „Zaiste - odpowiadam - wszystko jest piękne i wspaniałe, ponieważ wszystko jest prawdą. Popatrz - prawie mu - na konia, zwierzę duże, bliskie nam, albo na wołu, co żywi człowieka i pracuje dlań, ponurego i zamyślonego, popatrz na pyski ich: jaka łagodność, jakie przywiązanie do człowieka, który przecież bije je często bez litości, jaka dobroć, jaka ufność i jakie piękno. Rozczuła mnie świadomość, że nie mają one żadnego grzechu, albowiem wszystko dokoła, wszystko - prócz człowieka - jest bezgrzeszne, i z nimi Chrystus jest wcześniej niż z nami.” „Jakże to - pyta mnie ów młodzieniec - czy i w nich jest Chrystus?” „Czy może być inaczej? - odpowiadam. - Dla wszystkich jest Słowo, wszelkie stworzenie, wszelki twór, każdy listek dąży ku Słowu, Pana Boga chwali, po Panu Jezusie płacze, sam nie wiedząc, dowodząc tego tajemnicą życia swego bezgrzesznego. Ot - powiadam mu - po lesie tuła się straszny niedźwiedź, groźny i okrutny, ale niewinny.” I opowiedziałem mu, jak pewnego razu niedźwiedź przyszedł do wielkiego świętego, który wiódł życie pokutnicze w lesie, w małej pustelni; i rozczulił się nad niedźwiedziem ten wielki święty, wyszedł doń bez strachu i podał mu kęs chleba. „Idź sobie, Pan Jezus z tobą.” I odszedł srogi zwierz łagodnie i posłusznie, żadnej krzywdy mu nie czyniąc. Rozczulił się ów młodzieniec, że niedźwiedź krzywdy świętemu nie czynił, i że z nim jest Pan Jezus. „Ach - powiada - jak piękne, jakże piękne i cudowne jest wszystko, co Pan Bóg stworzył!” Siedzi, zamyślił się cicho i słodko. Widzę, że pojął. I zasnął koło mnie snem lekkim, bezgrzesznym. Boże błogosław młodości! I modliłem się zań, nim zasnął: „Panie, ześlij pokój i światło dzieciom Twoim!”

## C) WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA I MŁODOŚCI STARCA ZOSIMY.

### POJEDYNEK

W Petersburgu, w korpusie kadetów byłem długo, prawie osiem lat, i nowe wychowanie zagłuszyło we mnie wiele wrażeń dziecięcych, chociaż niczem nie zapomniał. W zamian zaś nabrałem tyle nowych nawyków i nawet przekonań, że przeistoczyłem się w istotę prawie dziką, okrutną i bezmyślną. Nabrałem poloru wychowania, ogłady towarzyskiej i znajomości języka francuskiego. Żołnierzy, którzy nam wówczas usługiwali w korpusie, miałem, jak i wszyscy koledzy, za bydło. Może nawet bardziej niż koledzy, bo byłem od nich wrażliwszy. Gdy zostaliśmy oficerami, gotowiśmy byli przelewać krew za obrażony honor naszego pułku, lecz o prawdziwym honorze nikt z

nas nie miał pojęcia, a gdyby nawet dowiedział się, czym jest istotny honor, to pierwszy bym się z tego wyśmiał. Chlubiliśmy się nieledwie pijaństwem, rozpustą i junactwem. Nie powiem, żeśmy byli źli; wszyscy moi koledzy byli bardzo dobrzy z natury, tylko żyli źle, najgorzej zaś żyłem ja. W dodatku odziedziczyłem po matce pieniądze, zacząłem więc używać życia z całą młodzieńczą niepowstrzymaną popędliwością. I rzecz dziwna: czytałem wówczas rozmaite książki i z wielką nawet przyjemnością, ale do Biblii prawie nigdy nie zaglądałem, choć nigdy się z nią nie rozstawałem i woziłem ją wszędzie ze sobą: zaiste, strzegłem tej księgi, sam tego nie wiedząc, że jest ona „na każdy dzień i godzinę, na miesiąc i rok”. Po czterech latach służby znalazłem się wreszcie w mieście K., gdzie pułk nasz stał wtedy załogą. Towarzystwo miejscowe było mieszane, wesołe i liczne, gościnne i zamożne; przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie, albowiem miałem wesołe usposobienie, w dodatku uchodziłem za zamożnego oficera, co w świecie znaczy niemało. I oto zaszedł wypadek, od którego wszystko się zaczęło. Upodobałem sobie w pewnej młodej i, pięknej pannie, mądrej, szlachetnego i dobrego charakteru, córce zacnych rodziców. Byli to bogaci, bardzo ustosunkowani ludzie, przyjmowali mnie u siebie uprzejmie i serdecznie. I oto przywidziało mi się, że owa panna czuje do mnie skłonność - zapłonęło moje serce, gdy trwałem w tym marzeniu. Później dopiero pojąłem i domyśliłem się, że jej wcale tak bardzo nie kochałem, że tylko ceniłem jej rozum i szlachetny charakter, co zresztą było zupełnie naturalne. Ambicja nie pozwoliła mi jednak oświadczyć się w owym czasie o jej rękę: trudno mi się wydawało rozstać z pokusami wolnego, kawalerskiego i rozwiązłego życia, do którego pociągał mnie mój wiek, tym bardziej że nie brakowało mi pieniędzy. Ale niejednokrotnie robiłem w tym kierunku aluzje. W każdym razie postanowiłem odłożyć na jakiś czas krok stanowczy. Tymczasem wysłano mnie na dwa miesiące do innego powiatu. Po dwóch miesiącach wracam, a owa panna już jest zamężna, wyszła za bardzo bogatego tamtejszego obywatela, starszego co prawda ode mnie, ale dosyć jeszcze młodego, który miał jeszcze nade mną tę przewagę, że posiadał stosunki w najlepszych sferach stolicy i był bardzo wykształcony. Ja zaś ani jednym, ani drugim nie mogłem się poszczycić. Byłem tak rozgoryczony tym nieoczekiwanym zwrotem, że mi się po prostu rozum mieszał. Co najważniejsza, dowiedziałem się wówczas, że oboje byli już od dawna zaręczeni i że sam nieraz widywałem go w salonie jej rodziców, ale nie zwróciłem nań uwagi, zadufany w sobie, oślepiiony własnymi zaletami. I to mnie najbardziej obraziło: jakże to, wszyscy prawie wiedzieli, tylko ja nic nie wiedziałem? I poczułem w sobie nagle piekącą złość. Z rumieńcem na twarzy zacząłem sobie przypominać, jak wielokrotnie oświadczałem się jej niemal w miłości, ona zaś bynajmniej nie przeszkadzała mi i nie ostrzegała. Wnosiłem z tego, że po prostu kpiała ze mnie. Potem oczywiście zmiarkowałem i przypominałem sobie, że nie kpiała, owszem przerywała zawsze tego rodzaju rozmowy żartobliwym konceptem i czym prędzej zmieniała temat. Ale wówczas nie mogłem sobie tego przełożyć i zapalałem pragnieniem zemsty. Przypominam sobie ze zdumieniem, że owo pragnienie zemsty i ów gniew przygnębiały mnie i były mi wysoce wstrętne, z natury bowiem byłem dobry i nie mogłem się długo gniewać. Ale tym razem sztucznie podsyciałem w sobie złość i snułem złe i niedorzeczne zamiary. Przeczekałem czas jakiś i oto pewnego razu, w większym towarzystwie, powiodło mi się nieoczekiwanie obrazić mego „przeciwnika” na pozór z przyczyny ubocznej: wyśmiałem jego opinię o pewnym bardzo znamienym wówczas wydarzeniu - było to w dwudziestym szóstym roku - i, jak powiadali świadkowie, uczyniłem to zręcznie i dowcipnie. Następnie zmusiłem go do wyjaśnienia i zachowałem się przy tym tak grubiańsko, że przyjął moje wyzwanie mimo ogromnego między nami dystansu, bo przecież byłem i młodszy od niego, i stanowisko miałem o wiele skromniejsze. Później ustaliłem niezbitcie, że przyjął wyzwanie niejako przez zazdrość: był bowiem o mnie zazdrosny trochę jeszcze z czasów narzeczeństwa. Obecnie zatem myślałem sobie: „Jeżeli żona dowie się, iż został przeze mnie



obrażony, a nie zdecydował się na pojedynek, to może mimo woli zacznie nim pogardzać, a nawet zachwieje się w miłości.” Sekundanta rychło znalazłem, kolegę, porucznika z naszego pułku. Naówczas karano za pojedynki z całą surowością, lecz mimo to były one bardzo modne w sferach wojskowych - do takiego stopnia narastają wbrew zakazom i utrzymują się przesady. Był koniec czerwca. Spotkanie wyznaczono nazajutrz, za miastem o siódmej rano - i oto stało się ze mną coś niezwykłego. Wieczorem, wróciwszy do domu, rozwścieczony i w okropnym stanie, rozzłościłem się na mojego ordynansa Afanasija i z całej siły uderzyłem go dwa razy w twarz, aż do krwi. Afanasij służył u mnie od dawna i nieraz go już biłem dawniej, ale nigdy z takim zwierzęcym okrucieństwem. I uwierzcie, mili moi, czterdzieści lat minęło od tego czasu, a przypominam to sobie zawsze ze wstydem i męką. Położyłem się, przespałem ze trzy godziny, obudziłem się, zaczynało świtać. Zerwałem się nagle, spać mi się nie chciało, podszedłem do okna, otworzyłem je - wychodziło na ogród; widzę: słońeczko wschodzi, ciepło, pięknie gwizdzą ptaszki. „Cóż to - myślę sobie - dlaczego czuję się jakoś haniebnie nikczemnie? Czy nie dlatego, że zamierzam przelać krew? Nie - myślę sobie - chyba nie dlatego. Czy nie dlatego, że się boję śmierci, boję się, że zginę? Nie, nie to, nic podobnego...” I naraz domyśliłem się: to dlatego, że zbiłem wczoraj wieczór Afanasija! Ujrzałem to wszystko przed oczyma, wszystko jak gdyby powtórzyło się w rzeczywistości: stoi przede mną, a ja go biję z rozmachem prosto w twarz, on zaś nie śmie drgnąć, stoi na baczność, głową nie rusza, wyłupił na mnie oczy jak w szeregu, wzdryga się przy każdym uderzeniu, i nawet nie ośmiela się podnieść rękę, aby zasłonić twarz - do tego człowiek był doprowadzony, i to człowiek bił człowieka! Co za ohyda! Jakby ostra igła przeszła mi duszę na wylot. Stoję jak oszalały, słońeczko świeci, listeczki się radują, skrzą się, a ptaszki, ptaszki Pana Boga chwalą... Zakryłem twarz rękoma, upadłem na łóżko i zapłakałem głośno. I przypomniał mi się mój brat Markieł i jego słowa wyrzeczone przed śmiercią do służby: „Mili moi, drodzy, dlaczego mi usługujecie, dlaczego mnie kochacie, czyż wart jestem, abyście mi usługiwali?” „Tak, czy wart jestem” - błysnęło mi w głowie. W istocie, czymże sobie zasłużyłem, żeby drugi człowiek, taki jak ja, stworzony na obraz i podobieństwo Boże, usługiwał mi? Wówczas po raz pierwszy w życiu wrażliwość mi się w umysł to pytanie. „Mamo moja, najdroższa moja radości, zaiste każdy jest winien za wszystko i wobec wszystkich, tylko że ludzie o tym nie wiedzą, bo gdyby wiedzieli, byłby od razu raj!” „Panie Boże, czy i to jest nieprawdą?” - płaczę i myślę sobie - „zaiste, może ze wszystkich jestem winien najbardziej i wobec wszystkich, i jestem najgorszy na świecie!” i nagle objawiła mi się w pełnym świetle cała prawda: co ja zamierzam uczynić? Idę zabić dobrego, mądrego, szlachetnego człowieka, który nic złego mi nie wyrządził, małżonkę zaś jego zamierzam na wieki pozbawić szczęścia, skazać na katusze i śmierć. Leżałem rozciągnięty na łóżku, z twarzą w poduszce, i nie zauważyłem, jak czas minął. Naraz wchodzi do mnie kolega z pistoletami: „A, powiada, dobrze, żeś wstał. Czas już, chodźmy.” Zacząłem się kręcić po pokoju, straciłem głowę; wyszliśmy jednak i wsiedli do powozu. „Poczekaj chwilkę, powiadam, za chwilę wrócę, zapomniałem sakiewki.” I wbiegłem z powrotem do mieszkania, wprost do komórki Afanasija: „Słuchaj, powiadam, wczoraj uderzyłem cię dwa razy w twarz, daruj mi.” Zadrzał, zląkł się jak gdyby, patrzy - widzę, że to nic, że to za mało, i nagle w mundurze, w epoletach, buch mu do nóg, czołem o ziemię: „Wybacz mi!” - powiadam. Afanasij całkiem struchlał. „Wasza wielmożność, ojczy, dziedzicu... jakże to... czy wart jestem...” - i sam rozplakał się, jak ja poprzednio, zasłonił twarz rękoma, odwrócił się do okna i trząsł się od łkań. Ja zaś wybiegłem do kolegi, skoczyłem do pojazdu. „Ruszaj! - krzyknąłem. - Widziałeś - wołam - zwyciężę? Oto go masz przed sobą!” Taki mnie zachwyt ogarnął, śmieję się przez całą drogę, mówię i mówię, nie pamiętam już teraz, o czym mówiłem. Patrzy na mnie mój kolega: „No, bracie, zuch z ciebie, widzę, że nie zhańbisz munduru.” Takeśmy przyjechali na miejsce spotkania, a oni już

tam są, wypatrują nas. Rozstawiono nas w odległości dwunastu kroków, on miał prawo do pierwszego strzału - stoję przed nim wesoły, twarzą w twarz, okiem nie mrugam, z miłością patrzę na niego, wiem już, jak postąpię. Strzelił - ledwo drasnął mnie po policzku i w ucho. „Dzięki Bogu - wołam - nie zabił pan człowieka!” Chwyciłem mój pistolet, odwróciłem się i rzuciłem go daleko do lasu: „Tam jego miejsce!” Odwróciłem się do przeciwnika: „Szanowny panie, powiadam, wybaczy pan głupiemu młokosowi, który pana obraził i na domiar zmusił do strzelania się. Jestem od pana gorszy dziesięciokrotnie, a może nawet bardziej. Niech pan to powtórzy osobie, którą czi pan najbardziej w świecie.” Ledwie to powiedziałem, wszyscy trzej w krzyk. „Ależ, panie - rzekł mój przeciwnik, nawet się zaperzył - jeżeli pan nie chciał pojedynku, to po cóżeś mnie wyzywał?” „Wczoraj, mówię, byłem jeszcze głupi, ale dzisiaj zmadrzałem.” Tak mu to wesoło powiedziałem. „Wierzę, jeżeli chodzi o wczorajsze - odpowiedział - ale co do dzisiejszego, to trudno to stwierdzić z pańskiego zdania.” „Brawo - wołam i klaszczę nawet w dłonie - godzę się z panem i pod tym względem, zasłużyłem sobie na to!” „Czy będzie pan, szanowny panie, strzelał, czy nie?” „Nie będę - odpowiadam - a pan, jeśli chce, może jeszcze raz strzelić, ale lepiej, jeśli pan tego nie zrobi.” Sekundanci krzyczą, zwłaszcza mój: „Jak to, hańbisz pułk, stojąc na placu prosisz o przebaczenie; gdybym tylko wcześniej był wiedział!” Stałem przed nim i rzekłem, ale już bez śmiechu: „Moi panowie, czy to tak dziwne w czasach dzisiejszych, że człowiek sam żałuje swego głupiego postępu i wyraża publicznie skruchę?” „Ale przecież nie na placu” - krzyczy znowu mój sekundant. „Otóż to właśnie - odpowiadam im - to jest najdziwniejsze. Bo właściwie powinienem był przeprosić pana od razu po przybyciu i nie narażać pana na wielki i śmiertelny grzech. Ale tak potwornie wszystko to ludzie sami urządzili, że prawie nie sposób było tak postąpić, albowiem dopiero teraz, kiedy pan strzelił do mnie z dwunastu kroków, moje słowa mają jakieś znaczenie. Poprzednio zaś, przed strzałem, powiedziałby pan po prostu: tchórz, pistoletu się zląkł, nie warto go słuchać. Panowie - zawołałem z głębi serca - rozejrzyjcie się wokół, patrzcie na dary Boże: niebo jasne, powietrze czyste, trawka delikatna, ptaszki, przyroda piękna i bezgrzeszna, a my, tylko my jesteśmy bezbożni i głupi i nie pojmujemy, że życie jest rajem. Bo wystarczy tylko to zrozumieć, a raj nastanie w całej swej krasie, i obejmiemy się, i zalejemy się łzami...” Chciałem jeszcze coś dodać, ale nie mogłem, dech mi zaparło, słodko jakoś, młodzieńczo, i w sercu poczułem takie szczęście, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie zaznałem. „Rozsądne to wszystko i zacne - rzekł mój przeciwnik - ale w każdym razie jest pan oryginalnym człowiekiem.” „Niech się pan śmieje - śmieję mu się w odpowiedzi - potem pan sam pochwali!” „Ależ gotów jestem i teraz, powiada, pochwalić, proszę pana, wyciągam do pana rękę, bo jest pan, zdaje się, szczerym człowiekiem.” „Nie, powiadam, teraz nie trzeba, a potem, kiedy będę lepszy i zasłużę sobie na pański szacunek, wówczas będzie pan mógł podać mi rękę i dobrze pan zrobi.” Wróciliśmy do domu, mój sekundant przez całą drogę kłął, a ja go wciąż całowałem. Od razu wszyscy koledzy dowiedzieli się o tym, zebrali się tegoż dnia na sąd honorowy: „Mundur niby zhańbił, niech się poda do dymisji.” Znaleźli się również obrońcy: „Strzał, powiadają, dzielnie wytrzymał.” „Tak, ale zląkł się następnych i przeprosił na placu.” „A gdyby zląkł się - odpierają obrońcy - wypaliłby sam ze swego pistoletu, zanim przeprosił, on zaś przygotowany już pistolet do lasu cisnął, nie, tu o co innego chodzi, to wypadek oryginalny.” Słucham, patrzę na nich i wesoło mi na duszy. „Najdrożsi przyjaciele i koledzy - rzekłem - nie kłopotczcie się o moją dymisję, bo już to zrobiłem, dziś rano do dymisji się podałem, a jak się z wojska zwolnię, natychmiast do monasteru wstępuję, dlatego się podałem do dymisji.” Ledwo to powiedziałem, wszyscy jak jeden mąż roześmieli się głośno: „Powinieneś być to od razu powiedzieć, teraz wszystko się wyjaśniło, mnicha nie można sądzić” - śmieją się, nie przestają, i wcale nie kpiąco, owszem, szczerze, wesoło, polubili mnie nagle wszyscy, nawet najzawziętsi oskarżyciele. I cały ten miesiąc, póki nie zostałem

zwolniony z wojska, na rękach mnie nosili. „Ach, ty mnichu” - powiadali. I każdy mi powie słówko uprzejme, zaczęli mnie odwozić od zamiaru, nawet ubolewać nade mną: „Co ty ze sobą robisz?” „Nie, powiadają, odwagi mu nie brak, stał pod lufą, a sam nie mógł strzelić, ponieważ mu się w przeddzień śniło, że powinien zostać mnichem” - tak mnie niby usprawiedliwiali. To samo było w tamtejszym towarzystwie. Dawniej nie zwracano na mnie specjalnej uwagi, przyjmując jak innych, a teraz okazywano mi wszędzie serdeczność, zapraszano mnie wszędzie. Wszyscy śmieli się ze mnie, lecz kochali. Dodam tu jeszcze, że chociaż wszyscy wiedzieli i mówili o naszym pojedynku, ale władze wojskowe zatuszowały tę sprawę, albowiem mój przeciwnik był bliskim krewnym mego generała; poza tym nic nikomu się nie stało, wszystko odbyło się na wesoło, w dodatku podałem się do dymisji; słowem obrócono to w żart. Zacząłem wówczas wypowiadać swe myśli na głos, odważnie, mimo ich śmiechu, albowiem ich śmiech nie był złośliwy, owszem, był zacny. Przeważnie te rozmowy toczyły się wieczorami w towarzystwie kobiecym, bo kobiety najbardziej lubiły mnie słuchać i skłaniały do tego mężczyzn. „Jak to możliwe, abym ja był za wszystkich winien - śmiał się niejeden w oczy - czyż mogę na przykład być winien za pana?” „Skądże byście mogli to zrozumieć - odpowiadam - skoro cały świat dawno już na inną drogę wkroczył, skoro wierutne kłamstwo przyjmujemy za prawdę i od innych tego kłamstwa wymagamy. Oto ja w moim życiu raz jeden postąpiłem szczerze i cóż? Wszyscy mnie mają odtąd za szalonego; chociaż polubiliście mnie, śmiejecie się ze mnie.” „Jakże nie kochać pana?” - śmieje się na głos pani domu, a gości było tam wówczas bardzo wiele. Naraz patrzę, podnosi się z grona dam właśnie owa młoda mężatka, o którą chciałem się pojedynkować i którą sobie jeszcze niedawno obiecywałem poślubić. Nie zauważyłem dotąd, że tu była. Wstała, podeszła do mnie, wyciągnęła rękę i rzekła: „Pozwoli pan sobie powiedzieć, że ja pierwsza nie śmieję się z pana, owszem, ze łzami dziękuję panu i wyrażam panu swój najwyższy szacunek za ówczesne postępowanie.” Podeszedł również jej mąż, a potem już wszyscy do mnie się garnęli, o mało mnie nie całowali. Wesoło mi się zrobiło, radośnie. Zwróciłem wtedy szczególną uwagę na jednego z panów, którego znałem dotąd z nazwiska. I ten również, bez słowa, uściśnął mi rękę owego wieczoru.

#### D) TAJEMNICZY GOŚĆ

Człowiek ów od dawna już zajmował w naszym mieście wybitne stanowisko urzędowe, był przez wszystkich szanowany, bardzo zamożny, słynął z filantropii, ofiarował znaczne fundusze na dom starców i sierot i oprócz tego wspierał potajemnie wielu biedaków, co dopiero wyszło na jaw po jego śmierci. Miał lat pięćdziesiąt, powierzchowność dosyć surową i był bardzo milczący. Żonaty od niespełna dziesięciu lat, żonę miał dosyć jeszcze młodą i troje małych dzieci. Otóż siedzę nazajutrz wieczorem u siebie, gdy naraz otwierają się drzwi i wchodzi ów pan.

A trzeba wiedzieć, że w owym czasie mieszkałem już gdzie indziej, gdyż podawszy się do dymisji, opuściłem poprzednią kwaterę i przenieśliem się do pewnej staruszki, wdowy po urzędniku, i korzystałem z jej usługi, bowiem przenosiłem się właśnie na nowe mieszkanie dlatego tylko, że po powrocie z pojedynku tego samego dnia od razu odesłałem Afanasija z powrotem do kompanii, ponieważ wstyd mi było patrzeć mu w oczy po tamym moim postępku - tak bardzo bowiem człowiek nie zaprawiony w miłości bliźniego skłonny jest się wstydzic najsprawiedliwszego swego czynu.

- Od kilku dni - zaczął mój gość - w rozmaitych towarzystwach z największym zaciekawieniem przysłuchuję się temu, co pan mówi, i zapragnąłem wreszcie poznać pana osobiście, abym z panem mógł porozmawiać dłużej. Czy może mi łaskawy pan wyświadczyć tak wielką przysługę?

- Mogę - powiadam - z największą przyjemnością, i poczytam to sobie za honor.

Tak się tego nie spodziewałem, że z początku byłem prawie wystraszony. Bo chociaż słuchano mnie nieraz z ciekawością, ale nikt jeszcze nie zwracał się do mnie z taką powagą i skupioną surowością. A ten w dodatku przyszedł do mnie sam. Usiadł.

- Wielką - rzekł - widzę w panu siłę charakteru, skoro nie zląkł się pan służyć prawdzie, choć łatwo mógł pan narazić się na powszechną pogardę.

- Pan, zdaje się, chwali mnie przesadnie - odpowiedziałem.

- Nie, nie przesadnie, niech mi pan wierzy, że o wiele trudniej jest zdobyć się na podobny czyn, niż pan sądzi. Bardzo mnie to zastanowiło i dlatego właśnie tu przyszedłem. Niechże mi pan powie, proszę, o ile pana nie dotknie taka nieprzyzwoita zapewne ciekawość, co pan odczuwał owej chwili, gdy się pan zdecydował przeprosić przeciwnika na placu, jeśli pan to jeszcze pamięta. Proszę nie uważać mego pytania za lekkomyślną i cczą ciekawość; zadając je panu, mam swój ukryty cel, w który zapewne wtajemniczę pana później, jeżeli Bóg pozwoli się nam zbliżyć.

Póki mówił, patrzyłem mu w oczy. Naraz poczułem do niego najwyższe zaufanie; ogarnęła mnie niezwykła ciekawość, albowiem zrozumiałem, że ma on jakąś szczególną tajemnicę.

- Pyta mnie pan, co odczuwałem owej chwili, kiedy przepraszałem przeciwnika na placu - odpowiedziałem mu - ale ja panu wolę opowiedzieć wszystko od samego początku, czegoś jeszcze nikomu nie powiedział.

I opowiedziałem o zajściu z Afanasijem i o tym, jak mu się pokłoniłem do ziemi.

- Z tego może pan wnosić - zakończyłem - że na placu przyszło mi to już łatwo, albowiem zacząłem jeszcze w domu, kiedy zaś człowiek raz wstąpi na tę drogę, idzie nią dalej radośnie i wesoło.

Wysłuchał mnie i spojrzał na mnie tak zacnie.

- Wszystko to - rzekł - jest nadzwyczaj ciekawe, ja do pana jeszcze nieraz przyjdę.

I zaczął od tego czasu przychodzić do mnie niemal co wieczór. I zaprzyjaźnilibyśmy się bardzo, gdyby mi o sobie co powiedział. Ale o sobie nie mówił ani słowa, tylko wciąż się mnie wypytywał. Mimo to pokochałem go bardzo i zwierzałem mu się szczerze ze wszystkich swoich uczuć, albowiem myślałem sobie: „Na cóż mi jego tajemnica, widzę przecież i tak, że to człowiek sprawiedliwy. Przy tym taka poważna osobistość pod względem stanowiska i lat i do mnie, młokosa, przychodzi, i nie gardzi mną.” I wiele się dobrych rzeczy od niego nauczyłem, bo był mądry mądrością wzniosłą. „Że życie jest rajem - rzekł do mnie - o tym już myślę od dawna.” I nagle dodał: „I tylko o tym myślę.” Patrzył na mnie i uśmiechał się. „Jestem nawet bardziej od pana o tym przeświadczony, dowie się

pan później, dlaczego.” Słucham go i myślę sobie: „Na pewno zechce mi coś wyznać.” „Raj, rzekł, kryje się w każdym z nas, i we mnie teraz się kryje, jeśli zechcę, to już jutro objawi mi się w rzeczywistości i tak już zostanie na całe życie.” Widzę, że jest wzruszony i patrzy na mnie tajemniczo, jakby mnie badał. „I o tym, że każdy człowiek jest za wszystkich i wszystko winien, nie tylko za własne grzechy, o tym też pan słusznie mówił, i dziwię się nawet, jak pan mógł tak całkowicie myśleć objąć. I zaiste, skoro ludzie zrozumieją tę myśl, nastąpi dla nich królestwo niebieskie już nie tylko w marzeniu, lecz w rzeczywistości.”

- Kiedyż to się stanie - zawołałem z goryczą - i czy to się stanie kiedykolwiek? Czy to wszystko nie jest marzeniem?

- Oto już pan sam nie wierzy, głosi pan to i sam nie wierzy. Niechże pan wie, że owo marzenie, jak się pan wyraża, na pewno się spełni, niech pan w to wierzy, spełni się, ale nie teraz, bo wszelka rzecz ma swój czas. To kwestia duchowa, psychiczna. Aby zmienić świat, trzeba, aby ludzie najpierw sami psychicznie się zmienili. Dopóki nie stanie się pan naprawdę bratem każdego człowieka, nie może nastąpić braterstwo. Nigdy ludzie nie potrafią podzielić się jakąś nauką, wiedzą czy zyskiem bez krzywdy dla własnego mienia czy praw swoich. Zawsze każdy będzie miał za mało, zawsze będą sarkać, zazdrościć i tępić się wzajemnie. Pyta mnie pan, kiedy to się spełni. Spełni się, ale przedtem musi się zakończyć okres ludzkiego odosobnienia.

- Jakiego odosobnienia? - zapytałem go.

- Takiego, jakie teraz wszędy panuje, zwłaszcza w naszym wieku, a nie skończyło się to jeszcze, nie nastąpił kres. Albowiem każdy człowiek dąży teraz do tego, aby odosobnić się jak najbardziej, pragnie w sobie samym doświadczyć pełni życia, a tymczasem ze wszystkich jego wysiłków zamiast pełni życia wynika kompletne samobójstwo, bo zamiast określić w pełni swoją istotę, wpada w najzupełniejsze odosobnienie. Albowiem ludzkość w naszym wieku rozpadła się na jednostki, każdy zamyka się w swojej norze, każdy oddala się od innych, chowa się i chowa to, co posiada, a w końcu sam się odpycha od gromady i sam odpycha ludzi od siebie. „Jaki silny teraz jestem - myśli gromadząc bogactwa sam dla siebie - i jak zabezpieczony”, a nie wie, szaleniec, że im więcej ciuła, tym głębiej pograża się w samobójczej niemocy. Albowiem przywykł liczyć tylko na siebie i od całości oddzielił się jako jednostka, przyzwyczyił duszę swoją do niewiary w ludzką pomoc, w ludzi i w człowieczeństwo i tylko trzęsie się nad swymi pieniędzmi i zdobytymi przez siebie prawami. Wszędzie dziś umysł ludzki zaczyna jak na drwinę nie rozumieć, że prawdziwe zabezpieczenie osobowości zasadza się nie na indywidualnym odosobnionym wysiłku człowieka, lecz na powszechnym zjednoczeniu ludzi. Ale nastąpi na pewno czas, kiedy skończy się to straszliwe odosobnienie i wszyscy pospołu pojmą, jak nienaturalnie oddzielił się od siebie. Taki już będzie duch czasu, i będą się ludzie dziwić, że tak długo tkwili w mroku i nie widzieli światła. Wówczas zjawi się znak Syna Człowieczego na niebie... Ale do tej pory trzeba ten znak uchronić, i czasem bodaj jeden człowiek powinien dać przykład i wyprowadzić duszę z odosobnienia na drogę prawdziwego braterstwa, choćby nawet miał uchodzić za opętanego. Tak być powinno, aby nie umarła wielka idea...

Na takich zachwycających i gorących dyskusjach spędzaliśmy wszystkie nasze wieczory. Przestałem nawet bywać u znajomych, w każdym razie zaglądałem do nich rzadko, tym bardziej że i moja osoba zaczęła wychodzić z mody. Nie chcę przez to nic złego powiedzieć, bo kochano mnie po

dawnemu i traktowano przyjaźnie; ale muszę jednak przyznać, że była to w wielkiej mierze rzecz mody. Do tajemniczego mojego gościa zacząłem się w końcu odnosić z zachwytem, albowiem oprócz tego, że czerpałem wiele pożytku i przyjemności z obcowania z takim umysłem, przeczuwałem już wówczas, że żywi on w sobie jakiś zamysł i sposobi się do wielkiego może czynu. Zapewne spodobało mu się, że pozornie nie jestem ciekaw jego sekretu, gdyż ani pośrednio, ani bezpośrednio nigdy go na ten temat nie nagabywałem. Jednak zauważyłem wreszcie, że trudno mu powstrzymać cisnące się widocznie na usta wyznanie. Zaczęło się to ujawniać wyraźnie w miesiąc po jego pierwszej wizycie.

- Wie pan - rzekł do mnie pewnego razu - że w mieście wiele mówią o naszej przyjaźni i dziwią się, że ja tak często pana odwiedzam; ale niech ich tam, wszystko się rychło wyjaśni.

Czasami ogarniało go nagle jakieś dziwne wzruszenie i prawie zawsze w takich chwilach wstawał i wychodził. Czasami jednak patrzył na mnie długo i badawczo; myślałem wtedy: „Na pewno zaraz coś powie”, ale nie, nagle zaczynał mówić o rzeczach zwykłych i powszednich. Zaczął się często skarżyć na bóle głowy. I oto pewnego razu, zupełnie nieoczekiwanie, po długiej i gorącej przemowie, zbladł naraz, rysy mu się wykrzywiły i wpił się oczyma w moje oczy.

- Co panu jest - pytam - czy pan się źle czuje?

Bo właśnie zalił się na ból głowy.

- Ja... wie pan... ja... zabiłem człowieka.

Wyrzekł to, uśmiechnął się, a blady był jak kreda. „Czemu się uśmiecha?” - pomyślałem sobie i myśl ta przeszła mi serce, zanim cokolwiek zrozumiałem. Zbladłem i ja.

- Co też pan mówi? - wołam.

- Widzi pan - odpowiada mi wciąż z owym bladym uśmiechem - jak trudno mi było powiedzieć pierwsze słowo. Teraz je powiedziałem i zdaje mi się, że stanąłem wreszcie na drodze Pojadę dalej.

Długo mu nie wierzyłem, tego dnia mnie nie przekonał, uwierzyłem dopiero po trzech dniach, gdy mi w ciągu tych dni wszystko szczegółowo opowiedział. Miałem go zrazu za obłąkanego, lecz w końcu przekonałem się z wielką goryczą i zdumieniem, że tak nie jest. Popełnił wielkie i straszliwe przestępstwo, czternaście lat temu zabił młodą, piękną i bogatą obywatelkę ziemską, wdowę, która miała w naszym mieście własny dom. Poczul do niej wielką miłość, oświadczył się i zaczął ją namawiać, by została jego żoną. Ale ona oddała już serce pewnemu znanemu oficerowi wysokiej rangi, który wkrótce miał do niej powrócić z wyprawy. Odmówiła więc tamtemu i zabroniła przychodzić. Przestał u niej bywać, ale znając dobrze rozkład domu, pewnego razu wkradł się do niej z ogrodu, przez dach, z niezwykłym zuchwalstwem i ryzykiem. Jak to się często zdarza, zbrodnie wykonywane z niezwykłym zuchwalstwem najczęściej się udają. Z dachu dostał się na strych, stąd po drabince do korytarza, wiedział bowiem, że służba przez niedbalstwo bardzo często zapomina zamknąć drzwi na strych. Liczył na to niedbalstwo i nie przeliczył się. Po ciemku dotarł do sypialni, w której paliła się lampka. Traf zrządził, że obie pokojówki poszły bez wiedzy pani do sąsiedniego domu na imieniny. Reszta służby spała w czeladnej i w kuchni na parterze. Na widok śpiącej

obudziła się w nim namiętność, następnie zaś ogarnął go z zazdrości mściwy gniew. Na pół przytomny, jakby pijany, podszedł do niej i wbił jej nóż prosto w serce, że nawet nie krzyknęła. Potem z piekielnym i zbrodniczym wyrachowaniem urządził wszystko w ten sposób, by podejrzenie padło na służbę; nie brzydził się wziąć jej torebki, otworzył komodę kluczami, które znalazł pod poduszką, i zabrał niektóre rzeczy, ale takie, które mógłby zabrać głupi służący nie znający się na wartości rzeczy: zostawił więc cenne papiery, wziął tylko pieniądze, kilka większych złotych przedmiotów, chociaż leżały tam o wiele kosztowniejsze drobiazgi. Zabrał jeszcze coś dla siebie na pamiątkę, ale o tym później. Dokonawszy tego ohydneho przestępstwa, wydostał się z domu tą samą drogą. Ani nazajutrz, ani nigdy potem, kiedy odkryto zabójstwo, nie wpadło nikomu do głowy posądzić go o tę zbrodnię! Nikt zresztą nie wiedział nic o jego miłości, albowiem był zawsze skryty i nietowarzyski i nie miał przyjaciela, któremu by się zwierzał ze swych uczuć. Uchodził za zwykłego znajomego zamordowanej, i nawet niezbyt bliskiego, bo w ciągu ostatnich dwóch tygodni przed zabójstwem ani razu jej nie odwiedził. Natomiast od razu posądzono o zbrodnię jej poddanego, służącego Piotra, przeciw któremu znalazło się mnóstwo poszlak. Nieboszczka nie ukrywała przed nim, że zamierza go oddać do wojska na poczet rekrutów należnych z jej wioski, bo był kawalerem i poza tym źle się prowadził. Słyszano w szynku, jak, podchmielony, odgrażał się w złości, że ją zabije. Dwa dni przed jej nienaturalną śmiercią zbiegł i ukrywał się gdzieś w mieście. Nazajutrz po morderstwie znaleziono go na trakcie, za rogatkami, spitego, z nożem w kieszeni i zakrwawioną prawą ręką. Twierdził, że miał krwotok z nosa, ale nikt mu nie wierzył. Pokojówki zaś przyznały się, że były na imieninach i że aż do powrotu zostawiły drzwi frontowe otwarte. Poza tym było jeszcze wiele innych tego rodzaju poszlak i naturalnie niewinnego człowieka wsadzono do więzienia. Ale do sprawy nie doszło, bo po tygodniu więzień rozchorował się i umarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Sprawę więc umorzono, przypisując okoliczności woli Bożej, i wszyscy, sędziowie i władze, i całe społeczeństwo, byli pewni, że przestępstwo popełnił na pewno zmarły służący. I teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa kara.

Tajemniczy mój gość, a teraz już przyjaciel, opowiedział mi, że z początku nie czuł wcale wyrzutów sumienia. Cierpiał bardzo, ale raczej z żalu, że zabił ukochaną kobietę, że ona już nie żyje, że zabiwszy ją, zabił swoją miłość, lecz nie zabił namiętności, która dalej rozpałała mu krew. Lecz o krwi niewinnie przelanej, o zabójstwie człowieka prawie wcale wtedy nie myślał. Nie mógłby znieść myśli, że jego ofiara mogłaby stać się żoną innego człowieka, a przeto w swoim sumieniu długo był przeświadczony, że nie mógł inaczej postąpić. Zrazu dręczyło go uwięzienie służącego, ale rychła choroba, a następnie śmierć więźnia uspokoiły go; albowiem ów umarł nie ze strachu czy więziennych warunków (tak to sobie wówczas przekładał), ale po prostu dlatego, że się przeziębził, kiedy, spity jak bela, przeleżał całą noc na wilgotnej ziemi. Nie bardzo go też niepokoiły skradzione rzeczy i pieniądze, albowiem (tak to sobie wówczas myślał) nie ukradł ich gwoli korzyści, lecz aby skierować podejrzenia w inną stronę. Suma zaś była nieznaczna i równowartość jej, a nawet więcej, ofiarował na organizujący się wówczas w naszym mieście dom starców. Chciał uspokoić sumienie z powodu rabunku i, rzecz dziwna, na jakiś czas, nawet długi, istotnie się uspokoił - sam mi to mówił. Zaczął wówczas bardzo usilnie pracować, wyprosił sobie wielce trudną i kłopotliwą misję, która mu zajęła dwa lata, i dzięki silnemu charakterowi prawie zapomniał o zbrodni; a jak ją sobie nawet przypominał, to starał się odpędzić te myśli. Zajął się również filantropią, wiele w tym kierunku działał w naszym mieście, i to nie tylko tu, bo i w obu stolicach, został nawet wybrany do moskiewskich i petersburskich filantropijnych towarzystw. Ale w końcu zaczął często zapadać w męczącą zadumę. Spodobała mu się wówczas piękna i mądra panna, ożenił się z nią szybko,

spodziewając się, że życie rodzinne złagodzi jego udreki, że wstąpiwszy na nową drogę, wykonując żarliwie obowiązki względem żony i dzieci, stłumi do reszty stare wspomnienia. Nastąpiło jednak coś wręcz przeciwnego. Od razu pierwszego miesiąca po ślubie poczęła go nieustannie dręczyć myśl: „Żona mnie kocha, ale gdyby się dowiedziała?...” Kiedy zaszła po raz pierwszy w ciążę i powiedziała mu to, zmieszał się bardzo: „Daję życie, a sam życie odebrałem.” Dzieci rosły: „Jak się odważam kochać je, uczyć i wychowywać; jak będę im mówił o cnocie, kiedy przelałem krew?” Dzieci rosną piękne, chciałby je popieścić: „A nie mogę patrzeć na ich niewinne, jasne twarzączki, nie jestem tego wart.” Wreszcie zaczęła mu się przywidywać krew zabitej ofiary, zgubione młode życie, krew wołająca o pomstę. Poczęły go nawiedzać straszliwe sny. Ale, mając twarde serce, długo znosił mękę. „Odkupię występki tajemną swoją męką.” Lecz próżna była i ta nadzieja: im dalej, tym straszniejsze stawało się cierpienie. Zaczęto go wielce szanować za działalność filantropijną, chociaż wszyscy bali się po trosze jego surowego i ponurego usposobienia. Ale im bardziej go szanowano, tym większe znosił katusze. Przyznał mi się, że zamierzał popełnić samobójstwo. Ale zamiast tego inna myśl poczęła mu świtać w głowie - marzenie, które zrazu uważał za szaleńczą i nierealną mrzonkę, ale które tak wryło się w jego serce, że już nie mógł go oderwać. Marzył więc: wstać, wyjść na plac i wszystkim oznajmić, że zabił człowieka. Trzy lata tak marzył, w rozmaitych postaciach. Na koniec uwierzył całym swoim sercem, że gdy wyzna swoją zbrodnię, uzdrowi swoją duszę i uspokoi się na zawsze. Uwierzywszy zaś, poczuł znowu przerażenie: bo jak to urzeczywistnić? I oto dowiedział się o moim pojedynku. „Patrząc na pana, postanowiłem to zrobić.” A ja spoglądałam na niego uważnie.

- Czy naprawdę - zawołałem zaciskając dłonie - taki błahy wypadek mógł w panu zrodzić to postanowienie?

- Postanowienie moje dojrzewało trzy lata - odpowiedział - a pański wypadek był tylko bodźcem. Patrząc na pana, gryzłem się i zazdrościłem panu - rzekł z pewną nawet surowością.

- Ale nie uwierzą panu - zauważyłem - czternaście lat już minęło.

- Mam dowody, mocne. Przedstawię je. Rozplakałem się wtedy i ucałowałem go.

- Jedno niech pan rozstrzygnie! - rzekł do mnie (jak gdyby ode mnie teraz wszystko zależało). - Żona, dzieci! Żona umrze może z rozpacz, a dzieci nie będą wprawdzie pozbawione majątku i szlachectwa, ale będą zhańbione na wieki. I pamięć, jaką po sobie w ich sercach zostawię, pamięć!

Milczałem.

- I rozstać się z nimi, porzucić na wieki? Przecie to na wieki, na wieki!

Siedziałem i tylko po cichu odmawiałem modlitwę. Potem wstałem, strasznie mi się zrobiło.

- No więc co? - spogląda wciąż na mnie.

- Niech pan idzie - powiadam - i oznajmi to ludziom. Wszystko przeminie, jedna tylko prawda zostanie. Dzieci, gdy dorosną, zrozumieją, ile szlachetności było w pańskim wielkim postanowieniu.



Wyszedł wówczas ode mnie, jakby naprawdę zupełnie przekonany, A jednak potem, jeszcze przeszło dwa tygodnie, przychodził do mnie co wieczór, sposobił się wciąż, nie mógł się jakoś zdecydować. Sterał mi serce. Czasem przychodził, zdecydowany, i mówił z przejęciem:

- Wiem, że nastąpi dla mnie raj, natychmiast nastąpi, skoro tylko powiem. Czternaście lat byłem w piekle. Chcę cierpieć. Przyjmę cierpienie i zacznę żyć. Nieprawdą świat przejdiesz, ale się nie wrócisz. Teraz nie śmiem kochać nie tylko bliźniego, ale i moich własnych dzieci. Boże wielki, przecież dzieci moje rozumieją, jak mi się dały we znaki moje cierpienia, i nie potępiają mnie! Bóg jest nie w sile, lecz w prawdzie.

- Wszyscy rozumieją pański czyn - powiadam - jeśli nie od razu, to potem na pewno pana rozumieją, albowiem służył pan prawdzie, wyższej prawdzie, nie ziemskiej...

I wychodził ode mnie, jak gdyby pocieszony: a następnego wieczoru znowu przychodził, zły, blady, szyderczy.

- Ilekroć wchodziłem do pana, patrzy pan na mnie z taką ciekawością: „Znowu nie wyznał?” Niech pan poczeka, niech pan nie kwapi się z pogardą. Nie jest tak łatwo to zrobić, jak się panu wydaje. A może wcale się na to nie zdobędzie. Czy nie pójdzie pan w takim razie zameldować policji, co?

A ja nie tylko nie patrzyłem nań z nierozumną ciekawością, ale w ogóle lękałem się patrzeć. Byłem zupełnie zmęczony i dusza moja była pełna łez. Nawet po nocach spać nie mogłem.

- Ja teraz - ciągnął dalej - idę do żony. Czy rozumie pan, co to jest żona? Dzieci, kiedy wychodziłem, wołały za mną: „Do widzenia, tatusiu! Niech tatuś prędko wraca, będziemy razem czytać książkę.” Nie, pan tego nie rozumie, cudza bieda rozumu nie uczy.

Oczy mu zabłyśły, wargi drgnęły. Naraz uderzył pięścią w stół, aż wszystkie przedmioty podskoczyły - a taki był przecie łagodny, to mu się pierwszy raz zdarzyło.

- I czy trzeba to robić? - krzyknął. - Czy trzeba? Przecie nikt nie był za mnie ukarany, służący umarł z choroby. Za przelaną krew ukarany jestem udręką. I nie uwierzą mi zresztą, żadnym dowodom nie uwierzą. Czy trzeba wyznać, czy trzeba? Za przelaną krew gotów jestem całe życie się męczyć, byleby tylko żonę i dzieci oszczędzić. Czy to sprawiedliwie gubić ich wraz ze sobą? Czy nie mylimy się? Gdzie tu jest prawda? I czy poznają się na tej prawdzie ludzie, czy oceniają, czy uszanują?

„Boże! - myślę sobie - o szacunku ludzkim myśli w takiej chwili!” I tak mi się go żal zrobiło, że gotów byłbym może los jego podzielić, byleby mu ulżyć. Widzę, że miota się jak oszalały. Wzdrygnąłem się w duszy ze zgrozy, pojawiwszy nie tylko umysłem, ale i całą duszą, jak trudno mu się zdobyć na taki czyn.

- Niech pan rozstrzygnie mój los! - zawołał ponownie.

- Niech pan idzie i wyzna - szepnąłem. Ledwo mogłem dobyć głosu, ale wyszeptałem to dobitnie. Wziąłem ze stołu Ewangelię i wskazałem mu u świętego Jana werset 24 w rozdziale XII:

„Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię, nie obumrze,

samo zostawa; lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi.”

Przeczytałem to właśnie przed jego przyjściem.

Spojrzał na mnie.

- Prawda - rzekł, ale uśmiechnął się gorzko i dodał po chwili: - W tych książkach znajduje się wiele straszliwych rzeczy. Łatwo podsunąć komu pod nos. I kto to pisał, czy naprawdę ludzie?

- Duch Święty pisał - powiadam.

- Łatwo panu bajać - uśmiechnął się znowu, ale niemal nienawistnie.

Znowu wziąłem Pismo święte, otworzyłem i wskazałem werset 31 w rozdziale X *Listu do Żydów*. Przeczytał:

„Straszność jest wpaść w ręce Boga żywego.”

Przeczytał i rzucił księgę. Zadrżał nawet cały.

- Straszne miejsce - rzekł - ani słowa, trafnie pan to dobrał. No, żegnam pana, może już nie przyjdę... w raju się zobaczymy. Więc czternaście już lat temu wpadłem „w ręce Boga żywego” - tak się zatem te lata nazywają. Jutro poproszę te ręce, aby mnie puściły...

Chciałem go objąć i ucałować, ale nie starczyło mi śmiałości - twarz jego była wykrzywiona i oczy miały złowieszczy wyraz. Wyszedł. „Boże - pomyślałem - dokąd ten człowiek poszedł!” Padłem na kolana przed obrazem świętym i ze łzami modliłem się za niego do Świętej Bogarodzicy, Orędowniczki naszej. Pół godziny modliłem się tak we łzach, a było już późno, koło północy. Naraz słyszę, drzwi się otwierają i on znowu wchodzi. Zdziwiłem się.

- Gdzież pan był? - pytam go.

- Ja - powiada - ja, zdaje się, czegoś zapomniałem... chusteczki, zdaje się... Chociaż i nic nie zapomniałem, ale niech mi pan pozwoli usiąść...

Usiadł na krześle. Stoję nad nim. „Niechże i pan siądzie” - rzekł. Usiadłem. Siedzieliśmy tak ze dwie minuty, patrzył na mnie przenikliwie i nagle uśmiechnął się - zapamiętałem to sobie dobrze - następnie wstał, mocno mnie uściskał i ucałował...

- Pamiętaj - rzekł - jakem do ciebie po raz drugi przyszedł. Słyszysz, zapamiętaj to sobie!

Po raz pierwszy mówił do mnie „ty”. I odszedł. „Jutro” - pomyślałem sobie.

I tak się stało. Nie wiedziałem tego wieczoru, że właśnie nazajutrz był dzień jego imienin. Ostatnimi czasy nigdzie nie wychodziłem, toteż nie mogłem się o tym dowiedzieć. Co roku tego dnia urządzał przyjęcie, odwiedzało go całe tamtejsze towarzystwo. I tym razem goście zeszli się licznie. I oto po obiedzie wyszedł na środek salonu, trzymając w ręku arkusz papieru: formalny meldunek do

władz. A ponieważ owe władze były w salonie, więc przeczytał arkusz wobec wszystkich. Był to dokładny opis zbrodni, ze wszystkimi szczegółami! „Wykreślam siebie ze środowiska ludzkiego. Bóg mnie nawiedził - zakończył - pragnę cierpieć!” Jednocześnie położył na stole wszystkie dowody przestępstwa, które przechowywał przez czternaście lat: złote przedmioty, które zabrał, chcąc od siebie odwrócić podejrzenie, medalion i krzyżyk, zdjęte z szyi ofiary - w medalionie portret jej narzeczonego - notes i wreszcie dwa listy: list narzeczonego do niej, zawiadamiający o rychłym przybyciu, i odpowiedź jej na ten list, nie dokończona, zostawiona na stole, by dnia następnego odesłać na pocztę. Oba listy zabrał wówczas ze sobą - w jakim celu? W jakim celu czternaście lat przechowywał te rzeczy, zamiast je zniszczyć jako niebezpieczne dowody? I oto, co się dzieje: goście zdumieni się i przerażeni, i nikt nie chciał mu dać wiary, chociaż słuchano go z niezwykłym zaciekawieniem, słuchano go bowiem jak chorego, i w kilka dni później wszędzie orzeczono i zawyroковано, że nieszczęsny człowiek zwariował. Władze sądowe i administracyjne zmuszone były wszcząć sprawę, ale rychło ją wstrzymały. Przedstawione rzeczy i dokumenty były zagadkowe, jednak uznano, że choćby nawet były autentyczne, nie dają podstawy do aktu oskarżenia. Zresztą mógł być te wszystkie rzeczy otrzymać od nieboszczki, jako jej znajomy. Słyszałem, że wielu znajomych i krewnych zamordowanej badało owe dowody i stwierdziło niezbitnie ich autentyczność. Ale nie sądzono było i teraz doprowadzić tę sprawę do końca. W pięć dni później dowiedziano się, że nieborak zaniemógł bardzo niebezpiecznie. Na jaką chorobę - nie mogę określić, powiadano, że na serce. Jednak wiadomo było również, że konsylium, zwołane przez jego małżonkę, stwierdziło rozstrój nerwowy, a nawet obłęd. Ja milczałem, chociaż wszyscy zaczęli mnie wypytywać. Poszedłem go odwiedzić, lecz nie chciano mnie tam wpuścić, zwłaszcza jego żona. Mówiła: „To pan go doprowadził do tego, on i przedtem był posepny, a od roku wyjątkowo wzburzony i dziwny, ale to pan tego dokonał, pan go do reszty zgubił, on od pana przez cały miesiąc nie wychodził.” I cóż, nie tylko ona, ale wszyscy w mieście rzucili się na mnie i oskarżali mnie: „Wszystkiemu pan winien” - powiadali. Milczałem i byłem nawet rad w głębi duszy, albowiem dopatrywałem się niewątpliwej łaski Boga względem nieboraka, który sam się ukarał. W obłęd zaś jego nie chciałem wierzyć. Wreszcie wpuszczono mnie do niego, sam tego żądał uparcie, chciał się ze mną pożegnać. Wszedłem doń i stwierdziłem od razu, że nie tylko dni, ale i godziny jego są policzone. Osłabiony był, żółty, ręce mu drżały, nie mógł złapać tchu, ale był pełen radosnego roztkliwienia.

- Spełniło się! - rzekł - dawno już pragnę cię widzieć, czemuś nie przychodził?

Nie powiedziałem mu oczywiście, że mnie nie wpuszczano.

- Bóg zlitował się nade mną i wzywa ku Sobie. Wiem, że umieram, ale czuję radość i spokój, po raz pierwszy od tylu lat. Ledwom wypełnił swoją powinność, od razu w duszy swej poczułem raj. Teraz już śmiem kochać swoje dzieci i całować je. Nie wierzą mi, nikt mi nie uwierzył, ani żona, ani sędzia; i dzieci nigdy nie uwierzą. Dopatruję się w tym łaski Bożej dla moich dzieci. Umrę, i imię moje będzie dla nich nie splamione. A i teraz przeczuwam Boga, serce jak w raju się raduje... spełniłem powinność...

Mówić nie może, dusi się, gorąco mi ściska ręce, patrzy na mnie płomiennym wzrokiem. Ale niedługośmy ze sobą rozmawiali, bo małżonka jego wciąż do nas zaglądała. Zdążył mi jednak szepnąć:

- A pamiętasz, jakem do ciebie wtedy po raz drugi przyszedł, o północy? Kazałem ci to

zapamiętać. A wiesz, po com przyszedł? Przyszedłem cię zabić!

Wzdrygnąłem się.

- Wyszedłem od ciebie w ciemności, wędrowałem po ulicach i zmagalem się ze sobą. I nagle znienawidziłem cię tak bardzo, że serce ledwo mi nie pękło. „Teraz - myślę sobie - on jeden mnie związał i jest moim sędzią, nie mogę już rzec się jutrzejszej kary, bo on wie wszystko.” Nie bałem się bynajmniej, że mnie niby oskarżysz w policji (ani mi to w głowie powstało), ale myślałem: „Jak będę mógł na niego patrzeć, jeśli nie wyznam swej zbrodni?” I gdybyś nawet był za morzami, za górami, ale żyw, nie mógłbym znieść tej myśli, że żyjesz i wszystko wiesz, i mnie potępiasz. Znenawidziłem cię, jak gdybyś ty był przyczyną, jak gdybyś ty był wszystkiemu winien. Wróciłem wówczas do Ciebie; pamiętałem, że u ciebie na stole leży sztylet. Usiadłem, poprosiłem cię, abys usiadł także, i całą minutę myślałem. Gdybym cię zabił, to i tak bym zginął za zabójstwo, choćbym przemilczał dawną zbrodnię. Ale o tym nie myślałem i nie chciałem o tym myśleć owej chwili. Nienawidziłem cię tylko i pragnąłem się na tobie zemścić. Ale Bóg pokonał szatana w moim sercu. Wiedz jednak, żeś nigdy jeszcze nie był tak bliski śmierci.

Po tygodniu umarł. Za trumną szło całe miasto. Kapłan miał wzruszającą mowę. Opłakiwano straszliwą chorobę, która przecięła jego dni. Ale po pogrzebie wszyscy byli przeciwko mnie i nawet przestali mnie przyjmować. Co prawda niektórzy, z początku nieliczni, a potem coraz liczniejsi, zaczęli wierzyć w jego zeznania, zaczęli mnie odwiedzać i pytać z wielkim zaciekawieniem i uciechą: albowiem człowiek podoba sobie w upadku sprawiedliwego i jego hańbie. Milczałem jednak i wnet opuściłem miasto, a w pięć miesięcy potem stanąłem na twardej, pełnej majestatu drodze, błogosławiąc niewidzialny palec, który mi ją tak wyraźnie ukazał. A wielce cierpiącego sługę Bożego Michała wspominam w swoich modlitwach dotąd dnia każdego.

### III Z ROZMÓW I POUCZEŃ STARCA ZOSIMY

#### E) O ROSYJSKIM MNICHU I O TYM, CO ON ZNACZYĆ MOŻE

Ojcowie i nauczyciele moi, czym jest mnich? W oświeconym społeczeństwie słowo to w dzisiejszych czasach często jest wypowiedane z szyderczym uśmiechem, a niekiedy nawet jako urągawisko. I im dalej, tym bardziej. Prawda, och, prawda, wielu jest pośród mnichów rozleniwionych pasibrzuchów, wszeteczników i zuchwałych włóczęgów. Na tych wskazują wykształceni świeccy ludzie: „Jesteście hultaje i bezużyteczni członkowie społeczeństwa, żyjecie z cudzej pracy, żebracy bezwstydni.” A tymczasem iluż to jest spośród mnichów maluczkich i pokornych, łaknących samotności i gorącej w ciszy modlitwy! Na tych mniej wskazują, tych nawet zupełnie milczeniem pomijają, a jakże by się zdziwili, gdybym powiedział, że od tych maluczkich i łaknących samotnej modlitwy wynijdzie raz jeszcze zbawienie rosyjskiej ziemi! Albowiem zaprawdę przygotowani są w ciszy „na dzień i godzinę, na miesiąc i rok”. Obrazu Chrystusowego strzegą tymczasem w swej samotni w postaci nieskażonej, prawdy Bożej strzegą, przekazanej przez

starożytnych ojców, apostołów i męczenników. Kiedy zaś trzeba będzie, ukaza ją zachwianej prawdzie tego świata. To jest myśl wielka. Na wschodzie ta gwiazda zajaśnieje.

Tak myślę o mnichu - i czy fałszywie, czy dumnie? Popatrzcie na tych, którzy żyją w świecie, popatrzcie na ten świat, wynoszący się nad ludem Bożym - czyż nie skaziło się w nim oblicze Boga i prawda Jego? Mają naukę, lecz nauka to tylko zawiera, co dostępne jest zmysłom ludzkim. Świat duchowy, wyższa dziedzina istoty ludzkiej, jest odrzucony, wygnany z triumfem, nawet z nienawiścią. Ogłosił świat wolność, zwłaszcza w ostatnich czasach, i cóż widzimy w owej ich wolności: niewolnictwo tylko i samobójstwo! Albowiem tak mówi świat: „Masz potrzeby, a więc nasycaj je, albowiem masz takie same prawa, co i najznakomitsi, i najbogatsi. Nie bój się ich nasycać, a nawet pomnażać” - oto dzisiejsza ich nauka. W tym dopatrują się wolności. I co wynika z tego prawa do pomnażania potrzeb? Dla bogaczy odosobnienie i duchowe samobójstwo, dla biednych - zawiść i morderstwo, albowiem prawa im dano, lecz sposobów nasycenia potrzeb jeszcze nie wskazano. Zapewniają, że świat coraz bardziej się zespala, że zespala się ku braterskiemu obcowaniu, ponieważ skraca odległości, myśli przenosi powietrzem. Niestety, nie wierzą takowemu zespoleniu ludzi. Pojmują wolność jako pomnożenie i szybkie zaspokojenie potrzeb, wypaczają naturę swoją, albowiem krzewią w sobie wielką moc bezmyślnych i głupich pragnień, nawyków i najniedorzeczniejszych wymysłów. Żyją tylko gwoli wzajemnej zawiści, gwoli rozkoszy cielesnej i pychy. Wydawać obiady, bywać w świecie, mieć pojazdy, rangi i niewolników służących - to uchodzi już za taką konieczność, że poświęcają życie, cześć i miłość bliźniego, aby ją osiągnąć, i zabijają się, jeżeli jej nie osiągają. U niebogatyh widzimy to samo, a biedacy nienasycenie i zawiść zagłuszają na razie pijaństwem. Ale rychło, zamiast wódką, upiją się krwią, ku temu się ich bowiem prowadzi. Pytam was: czy wolny jest taki człowiek? Znalazłem pewnego „bojownika idei”, który sam mi opowiadał, że kiedy w więzieniu pozbawiono go tytoniu, cierpiał tak okrutnie, że mało co nie zdradził swojej „idei” za prymkę tytoniu. A przecie taki powiada: „Idę walczyć za ludzkość.” I dokąd taki pójdzie, i do czego jest zdolny? Chyba tylko do czynu porywczego, doraźnego, bo długo nie wytrzyma. I nie dziw, że miast wolności wpadli w niewolę, a miast służby dla braterstwa i ludzkiego zespolenia, wpadli, wręcz przeciwnie, w odosobnienie i osamotnienie, jak mówił był w młodości mojej tajemniczy mój gość i nauczyciel. A przeto w świeckim życiu coraz bardziej wygasa myśl o służeniu ludzkości, o braterstwie i zespoleniu ludzi, i zaprawdę coraz częściej natrafia na szyderstwo, albowiem jakże tu odzwyczaić się od nawyków, dokądże pójdzie ów niewolnik, jeśli przywykł zadowalać swoje niezliczone potrzeby, które sam sobie wymyślił? Odosobniony jest, cóż go więc obchodzi całość? I dopięli tego, że nagromadzili więcej rzeczy, a radości jest coraz mniej.

Inna jest droga mniszego życia. Z posłuszeństwa, postu i modlitwy śmieją się nawet, a tymczasem one tylko stanowią drogę do prawdziwej, istotnej wolności: odcinam od siebie zbędne, zbyteczne potrzeby, samolubną i pełną pychy wolę swoją poskrwiam i bicuję posłuszeństwem i z Bożą pomocą osiągam wolność ducha, a z nią i radość duchową! Kto z nich jest bardziej zdolny wznieść myśl wielką i służyć jej - czy bogacz odosobniony, czy ów wyzwolony od tyranii rzeczy i przyzwyczajzeń? Mnicha potępiają za jego odosobnienie: „Odosobniłeś się, aby siebie zbawić w murach monasteru, a zapomniałeś służyć po bratersku ludzkości.” Ale przyjrzyjmy się, kto bardziej do braterstwa się przyczynia. Albowiem nie myśmy się odosobnili, lecz oni, a nie widzą tego. Z naszego grona i dawniej wychodzili przywódcy ludu, czemuż i teraz nie może się to powtórzyć? Ci sami pokorni i małuczcy, postnicy i pustelnicy, wstaną i pójdą, by zdziałać wielką rzecz. Zbawienie Rosji od ludu wyjdzie. Rosyjski zaś monaster zawsze był z ludem. Gdy lud jest w rozproszeniu, to i

my jesteśmy w rozproszeniu. Lud wierzy po naszymu, a nie wierzący działacz nic u nas w Rosji nie zrobi, choćby nawet był szczerego serca i genialnego umysłu. Zapamiętajcie to sobie. Lud spotka ateistę i zwycięży go, i nastanie jedna prawosławna Rosja. Strzeżcie więc ludu i chrońcie serce jego. W ciszy go wychowujcie. Oto wasza działalność, albowiem lud ów - to lud-bogonośca.

#### F) O PANACH I SŁUGACH I O TYM, CZY TO MOŻLIWE, ABY PANOWIE I SŁUDZY STALI SIĘ BRAĆMI Z DUCHA

„Boże, mówią niektórzy, i wśród ludu zamieszkał grzech. A płomień zepsucia pomnaża się z każdą godziną, z góry pełgający.” Następuje i wśród ludu odosobnienie: powstają bogacze wiejscy i wyzyskiwacze; już kupiec coraz bardziej łakomi się na honory, chce uchodzić za wykształconego, nie mając żadnego wykształcenia, a przeto gardzi nikczemnie starodawnym obyczajem i wstydi się nawet wiary ojców. Bywa u książąt, a sam jest tylko zakałą ludu. Lud zaczął gnić od pijaństwa i nie może się od pijaństwa odzwyczaić. A ileż okrucieństwa względem rodziny, względem żony, względem dzieci nawet; wszystko od pijaństwa. Widywałem po fabrykach dziewięć lat nawet dzieci: wątłe są, chorowite, zgarbione i już zepsute. Duszna hala, stukające maszyny, cały Boży dzień trwająca praca, wyuzdane słowa i trunek, trunek - czyż to jest potrzebne duszy małego jeszcze dziecięcia? Trzeba mu słońca, igraszek dziecięcych, promiennego przykładu i choćby odrobiny miłości. Aby to znikło, bracia i ojcowie, aby nie było katowania i dręczenia dzieci, powstańcie i apostołujcie. I to prędko, jak najprędzej. Lecz zbawi Bóg Rosję, bo choć zepsuty jest chłop i nie może się zaprzecć grzechu smrodliwego, przecież wie, że przeklęty jest od Boga grzech jego smrodliwy, wie, że źle czyni grzesząc. I nieustannie jeszcze wierzy lud nasz w prawdę, Boga uznaje, płacze, wzruszony. Inaczej jest w wyższych warstwach: ci, idąc za głosem nauki, chcą się urządzić tylko wedle swego rozumu, ale już bez Chrystusa, i oznajmili, że nie ma przestępstwa, nie ma już grzechu. I tak być musi wedle ich nauk: albowiem jeśli Boga nie ma, to jakież wtedy przestępstwo? W Europie lud powstaje przeciw bogaczom i przywódcy ludu wiodą go wszędzie ku krwi i uczą, że sprawiedliwy jest grzech jego. Ale „przeklęty gniew ich, albowiem jest okrutny”. Zaś Rosję zbawi Pan nasz, jak zbawiał już tylokrotnie. Od ludu przyjdzie zbawienie, od wiary jego i pokory. Ojcowie i nauczyciele moi, strzeżcie wiary ludu, a nie jest to tylko mrzonka; uderzało mnie przez całe moje życie dostojeństwo pełne powagi i szczerości naszego wielkiego ludu; sam to widziałem, sam mogę świadczyć, widziałem i podziwiałem, mimo smrodu grzechów i ubożego wyglądu naszego ludu. Nie jest czołobitny mimo niewolę dwa wieki trwającą. Jest swobodny w zachowaniu i obcowaniu i nie czuje żadnych uraz. Nie jest mściwy ani zawistny. „Tyś bogaty, mądry i zdolny - niech ci będzie na zdrowie, niech Bóg ci błogosławi. Czczę ciebie, ale wiem, że i ja jestem człowiek. I czcząc ciebie bez zawiści, okazuję dostojeństwo ludzkie.” Zaprawdę, jeśli nie mówią tego (bo jeszcze nie umieją tego wypowiadać), to tak postępują, sam to widziałem, sam doświadczyłem, i czy uwierzycie: im biedniejszy i niższy jest człek rosyjski, tym więcej w nim owej dostojnej prawdy, albowiem kułacy i wyzyskiwacze pod wielu względami są już zepsuci, co jest w dużej części naszą winą, winą naszej niezaradności i niedbalstwa! Lecz Bóg zbawi sługi swoje, albowiem wielka jest Rosja przez swoją pokorę. Marzę, by ujrzeć, i nawet jak gdyby już naprawdę widzę, co nastąpi: albowiem w końcu najbardziej zepsuty nasz bogacz pocznie się wstydić swego bogactwa przed biednymi, a biedny, widząc jego pokorę, zrozumie i ustąpi mu, radością i życzliwością odpowie mu na jego bogobojny wstyd. Wierzcie, że tak będzie w końcu: na to się zanosi. Równość jest tylko w ludzkim duchowym

dostojeństwie, i to będzie zrozumiane tylko u nas. Niech tylko będą bracia, to będzie i braterstwo, a dopóki nie nastąpi braterstwo, nigdy ludzie nie rozdziela swoich dóbr. Obrazu Chrystusowego pilnujmy, a zajaśnieje jako brylant drogocenny na cały świat... Tak się stanie!

Ojcowie i nauczyciele moi, zdarzyła mi się raz pewnego rozrzewniająca historia. W wędrówkach po kraju spotkałem w mieście gubernialnym K. byłego mego ordynansa, Afanasija, a nie widziałem go już lat osiem. Przypadkowo ujrzał mnie na targu, poznał, podbiegł i, mój Ty Boże, jakże się uradował: „Wielmożny panie, czy to wielmożny pan? Czy to prawda, że wielmożnego pana widzę?” Zaprowadził mnie do siebie. Był już zwolniony z wojska, zdążył się ożenić, dochować się dwojga dzieci. Utrzymywał się z drobnego handlu, miał stragan na targu. Pokoik jego był ubogi, ale czystutki i wesoły. Posadził mnie, nastawił samowar, posłał po żonę, niby święto mu sprawiłem, przychodząc doń. Przyprowadził swoje dziatki: „Błogosław, ojcze” - powiada. „Czyż mogę błogosławić, jestem tylko prosty i pokorny mnich, do Boga się będę modlił za nie, a ciebie, Afanasiju Pawłowiczu, co dzień w modlitwie wspominam, bo od ciebie to wszystko się zaczęło.” I wyjaśniłem mu to wszystko, jak umiałem. A on co na to? Patrzy na mnie i wciąż nie może sobie uprzytomnić, że to ja, dawny jego pan, oficer, przed nim stoję w takim stanie, w takiej szacie: nawet się rozplakał. „Czego płaczesz - powiadam mu - niezapomniany człowieku, lepiej byś się cieszył z całej duszy, miły mój, bo radosna i promienna jest droga moja.” Wiele nie mówił, wciąż kiwał i potrzasał głową z rozrzewnieniem. „A gdzie pański majątek?” - pyta. Odpowiadam: „Do monasteru oddałem, żyjemy tam wspólnie.” Po herbacie zacząłem się z nim żegnać i naraz daje mi pół rubla, ofiarę na monaster, a drugie pół rubla, patrząc, do ręki mi wsuwa, śpieszy się: „To już dla ciebie - powiada - przyda się w drodze, mój ojcze.” Przyjąłem jego datek, pokłoniłem się jemu i małżonce jego i wyszedłem ucieszony; i myślę sobie po drodze: „Otóż obaj my, i ja, wędrujący, i on, u siebie w domu, wzdychamy zapewne i uśmiechamy się radośnie, ku uciesze naszych serc, kiwając głowami i wspominając spotkanie.” I od tego czasu więcej go nie widziałem. Byłem ongi jego panem, a on moim sługą, a teraz, skrośmy się pocałowali z miłością i rozrzewnieniem w duszy, nastąpiło między nami wielkie ludzkie zespolenie. Myślałem o tym bardzo wiele, a teraz tak myślę: zaliż rozum ludzki nie potrafi tego pojąć, że to, co między nami nastąpiło, nastąpi w swoim czasie wszędzie między Rosjanami? Wierzę, że tak będzie, i czas ów już jest bliski. A o sługach dodam jeszcze: złościłem się, będąc młodzieńcem, nieraz na nasze sługi: „a to kucharka podała jedzenie za gorące, a to ordynans nie wytrzepał ubrania.” Ale olśniła mnie wówczas myśl mego kochanego brata, którą słyszałem w dzieciństwie: „Czyż wart jestem, żeby mi usługiwał i żebym nim z powodu jego ubóstwa i ciemnoty pomiatał?” I zdumiewałem się, jak to najprostsze myśli, najbardziej oczywiste, tak późno pojawiają się w naszym umyśle. Bez służby nie można się obejść na świecie, ale czyn tak, aby twój sługa był wolniejszy duchem sługą twoim będąc, niż gdyby sługą twoim nie był. I czemuż to nie mógłbym być sługą sługi mojego tak, ażeby to widział, i to bez żadnej z mojej strony pychy, a niewiary z jego strony? Czemuż nie może być moim jak gdyby krewnym, abym go przyjął do swojej rodziny i cieszył się patrząc nań! Już teraz jest to możliwe, a stanie się podstawą przyszłego wspaniałego zespolenia ludzkości, kiedy człowiek nie będzie szukał sług i nie będzie w służbę obracał podobnego sobie człowieka, jak czyni obecnie, lecz sam z wszystkich sił zechce stać się sługą w myśl Ewangelii. Czyż to tylko marzenie, że w końcu człowiek będzie znajdować radość tylko w czynach miłosierdzia, a nie w okrutnych uciechach, jak obecnie - w obzeraniu się, w porubstwie, w ambicji, w przechwalaniu się, w wynoszeniu się zawistnym nad bliźnim? Wierzę święcie, że nie i że bliskie już są te czasy. Śmieją się ludzie i pytają: „A kiedy czas ów nastąpi i czy zanoszą się na to, że nastąpi?” Ja zaś myślę, że my z Chrystusem wielką tę sprawę rozstrzygniemy. A ileż było idei w

historii ludzkości, które nawet dziesięć lat temu były nie do pomyślenia i które nagle się pojawiały, gdy następował termin ich tajemniczy, i szerzyły się szybko po całej ziemi? Tak i u nas będzie, i będzie promieniować nasz lud, i rzekną wszyscy ludzie: „Kamień przez wszystkich odrzucony stał się kamieniem węgielnym.” A szyderców zapytać by wypadało: „Jeśli uroiliśmy sobie mrzonkę, to kiedyż wy wzniesiecie swój gmach i urządzicie się sprawiedliwie tylko wedle swego rozumu, bez Chrystusa?” Jeśli zaś oni twierdzą, że przeciwnie, że właśnie dążą ku zespoleniu, to zaiste wierzą w to jeno najprostoduszniejsi spośród nich. Aż dziw bierze z owej prostoduszności. Zaprawdę więcej mrzonek sobie uroili niżeli my. Myślą, że urządzą się po sprawiedliwości, ale odrzuciwszy Chrystusa zaleją w końcu świat krwią, albowiem krew krwi się domaga, a kto mieczem wojuje, od miecza zginie. I gdyby nie obietnica Chrystusa, to już wytepiliby się nawzajem, i w końcu by zostali tylko dwaj ostatni ludzie na ziemi. I nawet ci dwaj w pysze swej nie zdołaliby się zespolić, i ostatni zabiłby przedostatniego, a potem i siebie. I tak by było w istocie, gdyby nie obietnica Chrystusa, że czas ów skróci się gwoli pokornych i małuczkich. Po moim pojedynku, będąc jeszcze w oficerskim mundurze, zacząłem tak mówić o służących, a wszyscy się dziwowali. „Cóż - mówili - czy mamy posadzić służących na kanapie i herbatę im podawać?” A ja im w odpowiedzi: „I czemuż by nie, choćby od czasu do czasu.” Wszyscy się wówczas zaśmieli. Pytanie ich było lekkomyślne, a odpowiedź moja niejasna, lecz myślę, że i w tym była cząstka prawdy.

## G) O MODLITWIE, O MIŁOŚCI I O STYKANIU SIĘ Z INNYMI ŚWIATY

Młodzieńcze, nie zapominaj się modlić. Zawsze, za każdym razem w modlitwie twojej, jeśli będzie szczerą, mignie nowe uczucie, a w nowym uczuciu i nowa myśl, której przedtem nie znałeś, a która cię pokrzepi, i zrozumiesz wówczas, że modlitwa jest wychowaniem. Zapamiętaj to sobie: każdego dnia i kiedy tylko możesz, odmawiaj po cichu: „Boże, zlituj się nad wszystkimi, którzy umarli.” Albowiem każdej godziny i każdej chwili tysiące ludzi opuszczają swoje życie na tej ziemi i dusze ich stają przed Panem - a iluż zwlekło powłokę ziemską w odosobnieniu, samotniczo, w smutku i tęsknocie, w strapieniu, że nie masz, kto by ich pożałował i bodaj wiedział: czy żyli, czy nie. I oto może z drugiego końca ziemi wzniesie się do Boga modlitwa za spokój jego duszy, twoja modlitwa, chociaż go nie znałeś, i on nie znał ciebie. Jak cudownie jest duszy, stojącej w struchleniu przed obliczem Pana, gdy poczuje w tej chwili, że istnieje na świecie człowiek, który za nią się modli, który ją kocha. I Bóg litościwie spojrzy na was obu, albowiem skoroś tej duszy tak żałował, to ileż bardziej żałować będzie On, nieskończenie bardziej miłosierny i dobry od ciebie. I przebaczy jej dzięki tobie.

Bracia, nie bójcie się grzechu ludzkiego, miłujcie człowieka i w grzechu jego, albowiem to jest podobieństwo Bożej miłości i szczyt miłości na ziemi. Miłujcie wszelkie stworzenie boskie, i całość, i każde ziarno piasku. Każde źdźbło, każdy promień Boży miłujcie. Miłujcie zwierzęta, miłujcie rośliny, miłujcie rzecz każdą. Będiesz miłował każdą rzecz, to i tajemnicę Bożą rozwiążesz w rzeczach. Rozwiążesz raz jeden i już odtąd nieustannie będziesz ją poznawał coraz bardziej, wszelkiego dnia. I pokochasz wreszcie świat cały wielką, wszechogarniającą miłością. Miłujcie zwierzęta: Bóg dał im początek myśli i radość niezakłóconą. Nie dręczcie ich, nie odbierajcie im radości, nie sprzeciwiajcie się myśli Pańskiej. Człowiek niech nie wynosi się nad zwierzętami: bezgrzeszne są bowiem, ty zaś ze swoją wielkością gnoisz swoją obecnością ziemię i ślad gnojny



zostawiasz po sobie - niestety! Słuszniec to prawie o każdym z nas! Działki kochajcie szczególnie, albowiem również i one są bezgrzeszne jako anioły i żyją ku rozrzewnieniu, ku oczyszczeniu serc naszych, niejako będąc dla nas wskazówką. Biada temu, kto skrzywdzi dziecko. Mnie uczył miłować dzieci ojciec Anfim: miły jest, milczący, podczas naszych wędrówek za ofiarowane grosiki kupował cukierki i ciasteczka i rozdawał dziatkom; nie mógł przejść mimo dzieci bez wstrząsu duchowego: taki to człowiek.

Przed niejedną myślą staniesz zdziwiony i stropiony, zwłaszcza gdy obaczysz grzech ludzki i siebie zapytasz: „Zdobyć siłą czy pokorną miłością?” Zawsze rozstrzygaj: „Zdobędę pokorną miłością.” Rozstrzygniesz raz, to już na zawsze, i cały świat będziesz mógł zdobyć. Pokora miłosna - straszna to siła, najpotężniejsza ze wszystkich, że nie masz podobnej. Każdego dnia i godziny, każdej minuty bacz na siebie i uważaj, aby obraz twój był zacny. Przeszedłeś mimo małego dziecka ze złością w sercu, ze słowem szpetnym, z duszą zapienioną; nie zauważyłeś może dzieciaka, a on już ciebie widział i obraz twój nieczny i nieprzystojny może w serduszkach jego bezbronnym pozostał na zawsze. Tyś o tym nie wiedział, a może już ziarno złe rzuciłeś w niego, i wyrośnie ono, i nie obumrze, i to wszystko przez to, żeś nie ustrzegł się przed dziecięciem, albowiem nie wypiautowałeś w sobie uważnej, czynnej miłości. Bracia, miłość uczy, wszakże trzeba umieć ją nabyć, albowiem trudno się nabywa, drogo się kupuje, długą pracą i cierpliwością, albowiem nie na chwilę tylko przypadkową trzeba kochać, lecz na zawsze. Bo przypadkowo to każdy kochać umie, i złoczyńca też. Brat mój, pacholę zacne, prosił ptaszęta o przebaczenie: zdaje się, że to niedorzeczne, a przecie wielka to prawda, albowiem wszystko jest niby jeden ocean, wszystko płynie i styka się: w jednym, miejscu się dotkniesz, w drugim się odezwie. Niechże to będzie szaleństwem prosić ptaszęta o przebaczenie, ale wszak i ptaszkom byłoby lepiej, i dzieciom, i wszelkiemu zwierzęciu dokoła ciebie, gdybyś sam był zacniejszy, bodaj trochę zacniejszy niż teraz. Wszystko jest jak ocean, powiadam ci. Wówczas i do ptasząt byś się modlił, miłością powszechną dręczony, niejako w zachwycie, i błagałbyś, aby ci grzechy twoje odpuściły. Zachwyt zaś ów ceń sobie wielce, jakkolwiek się wyda ludziom szalony.

Przyjaciele moi, proście Boga o radość i pogodę. Bądźcie weseli jak dzieci, jak ptaszkiwie niebiescy. I niech was nie gnębi grzech ludzi w waszym działaniu, nie bójcie się, że zatrze on działanie wasze i udaremni je; nie mówcie: „Mocny jest grzech, mocna niecznota, mocne środowisko grzeszne, nie dopuści ono do dobrych czynów.” Unikajcie, moje dzieci, tajonej rozpaczy! Jeden tylko jest ratunek: bierz na siebie odpowiedzialność za wszystkie grzechy człowieczy. Przyjacielu, przecie tak jest zaprawdę, albowiem ledwo uczynisz się szczerze odpowiedzialnym za wszystkich i wszystko, natychmiast zobaczysz, że tak jest zaiste i że i ty właśnie jesteś za wszystkich i za wszystko winien. Zrzucając zaś swoje lenistwo i niemoc na innych ludzi, w końcu wdrożysz się w pychę szatańską i przeciw Bogu powstaniesz. O pysze zaś szatańskiej tak myślę: trudno ją nam na ziemi pojąć, toteż tak łatwo nam wpaść w błąd, grzechem się pokalać, sądząc w dodatku, że czynimy dobrze i pięknie. I wiele najmocniejszych uczuć i znaków przyrody nie możemy tymczasem na ziemi pojąć, lecz niech cię to nie wodzi na pokuszenie, i nie myśl, że to cię może w czymkolwiek usprawiedliwić, bo przecie Sędzia Wiekuisty sądzić cię będzie za to, co mogłeś pojąć, a nie za to, czegoś pojąć nie mógł; sam się przekonasz o tym, albowiem wówczas wszystko zobaczysz właściwie i nie będziesz się już sprzeciwiał. Na ziemi zaś zaprawdę niejako błędzimy i gdybyśmy nie mieli cennego przed sobą obrazu Chrystusa, zginęlibyśmy niechybnie i zbłąkali się, jak ród człowieczy przed potopem. Wiele jest na ziemi tajemnic, ale w zamian darowano nam tajemnicze, drogie

wewnętrzne poczucie żywej spójni naszej ze światem innym, ze światem wzniosłym i wyższym, gdyż korzenie naszych myśli i uczuć tkwią nie tu, lecz w innych światach. Oto czemu powiadają mędrcy i filozofowie, że istoty rzeczy nie można poznać na ziemi. Oto wziął Bóg nasiona z innych światów i zasiał na tej ziemi, i wyhodował ogród Swój, i weszło wszystko, co wzejść mogło, ale żyje tylko poczuciem tajemniczego stykania się z innymi światy; jeśli zaś słabnie lub znika w tobie owo poczucie, wówczas umiera w tobie i to, co weszło. Wtedy stajesz się obojętny względem życia i nawet zaczynasz go nienawidzić. Tak myślę o tym.

## H) CZY MOŻNA BYĆ SĘDZIĄ SWOICH BLIŹNICH? O WIERZE DO KOŃCA

Pamiętaj zwłaszcza, że nie możesz być niczym sędzią. Albowiem nie może istnieć na ziemi sędzia względem przestępcy, póki sam ów sędzia nie zrozumie, że i on jest takim samym przestępcą jak ten, co przed nim stoi, i że on sam jest przede wszystkim winien za przestępstwo tego, który przed nim stoi. Skoro zaś to zrozumie, będzie mógł być sędzią. Jakkolwiek myśl ta wydaje się szaloną, jest prawdą. Albowiem gdybym ja sam był sprawiedliwy, to może by i nie było wcale tego przestępcy, który przede mną stoi. Jeśli możesz wziąć na siebie przestępstwo owego przestępcy, który przed tobą stoi i którego sądzisz sercem swoim, weź je bezzwłocznie i sam za niego znoś cierpienia, jemu zaś odpuść bez wyrzutu. I gdyby nawet prawo uczyniło cię jego sędzią, o ile będzie to w twojej mocy - uczyni to samo, albowiem odejdzie on od ciebie i sam siebie osądzi gorzej, niżbyś to ty uczynił. Jeśli zaś odejdzie z pocałunkiem twoim, a będzie nieczuły i śmiać się będzie z ciebie, i wtedy niech cię to w błąd nie wprowadza: to znaczy, że czas jego nie nadszedł jeszcze, lecz nadejdzie, a jeśli nie nadejdzie, to i tak nie on, to kto inny za niego powie i pocierpi, i osądzi, i obwini się sam, i prawda będzie dopełniona. Wierz w to, stanowczo wierz, albowiem na tym zasadza się nadzieja i cała wiara świętych.

Bądź nieustannie czynny. Jeśli przypomnisz sobie w nocy, do snu się kładąc: „Nie zrobiłem tego, com powinien był zrobić”, natychmiast wstań i zrób. Jeśli cię otaczają ludzie źli i nieczuli i nie zechcą cię słuchać, padnij przed nimi i proś ich o przebaczenie, albowiem zaprawdę ty sam jesteś winien, że nie chcą cię słuchać. A jeśli już nie możesz mówić z rozgniewanymi, to służ im w milczeniu i poniżeniu, nigdy nie tracąc nadziei. Jeśli zaś wszyscy cię porzucą i wypędzą przemocą, to, sam zostawszy, padnij na ziemię i całuj ją, zroś ją łzami swymi, i wzrośnie owoc z łez twoich, choćby nikt cię nie widział i nie słyszał w twojej samotności. Wierz do końca, choćby nawet zdarzyło się tak, że wszyscy na ziemi stracą wiarę i tylko ty sam zostaniesz wierny; składaj i wtedy ofiarę i chwal Boga, sam jeden. A jeśli dwóch was się zejdzie, to już masz i wszystek świat, świat żywej miłości; obejmiecie się w rozczuleniu i będziecie chwalić Pana: albowiem chociaż w was dwóch tylko, przecież spełniła się prawda Jego.

Jeśli sam zgrzeszysz i będziesz się trapił do śmierci grzechami swoimi lub grzechem swoim nagłym, to ciesz się za innych, ciesz się za sprawiedliwych, ciesz się, że chociaż ty zgrzeszyłeś, on za to jest sprawiedliwy i nie zgrzeszył.

Jeśli zaś występki ludzkie oburzą cię i natchną nieposkromionym smutkiem, aż zapragniesz szukać zemsty na występnych, to nie daj się opanować temu uczuciu; natychmiast idź i szukaj mąk dla siebie, jak gdybyś ty był winien onego występku. Przyjm męki owe i ścierp, i uciszy się twoje serce,

i pojmiesz, że sam jesteś winien, albowiem mogłeś świecić złoczyńcom przykładem jako jedyny bodaj bezgrzeszny, lecz nie świeciłeś. Gdybyś świecił, to byś swoim światłem oświetlił drogę innym, i ów, który popełnił występki, może, widząc światło owe, byłby go wcale nie popełnił. A jeśliś nawet świecił, lecz zobaczysz, że nie zbawiają się ludzie przy twoim świetle, to wytrwaj i nie zwątp o sile światła niebieskiego; wierz w to, że choć dotychczas się nie zbawili, w przyszłości się zbawią. A jeśli w przyszłości się nie zbawią, to zbawią się ich synowie, albowiem nie umrze światło twoje, choćbyś i ty nawet umarł. Sprawiedliwy odchodzi, lecz światło jego zostaje. Zbawiają się i po śmierci tego, który zbawiał. Nie przyjmuje ród ludzki swoich proroków i tępi ich, lecz miłują ludzi swoich męczenników i czczą tych, których zamęczyli. Ty zaś gwoli całości pracujesz, gwoli przyszłości działasz. Nagrody zaś nigdy nie szukaj, albowiem i bez niej wielka jest twoja nagroda na tej ziemi: duchowa radość twoja, której tylko sprawiedliwy zaznaje. Nie bój się ani możnych, ani silnych, ale bądź mądry i zawsze zacny. Znaj miarę, znaj czas wszystkiego, naucz się tego. Będąc zaś w odosobnieniu, módl się. Padaj na ziemię i całuj ją, i czyn to z upodobaniem. Ziemię całuj i bez ustanku, bez końca kochaj ją, kochaj wszystkich, kochaj wszystko, szukaj zachwyty i uniesienia owego. Zroś ziemię łzami swojej radości i kochaj łzy owe. Uniesienia nie wstydz się, ceń je, albowiem jest wielkim darem Bożym i staje się tylko udziałem wybrańców.

## I) O PIEKLE I OGNIU PIEKIELNYM MISTYCZNA MEDYTACJA

Ojcowie i nauczyciele, myślę: „Czym jest piekło?” I sędzę tak: „To cierpienie, że nie można już bardziej kochać.” Raz jeden, w nieskończonym byciu, niewymiernym w czasie i przestrzeni, dano istocie duchowej, stawiając ją na ziemi, możność powiedzenia: „Jestem i kocham.” Raz, tylko raz jeden, dano jej mgnienie miłości czynnej, żywej i w tym celu dano jej życie ziemskie, i czas, i jego kresy, i cóż: owa istota szczęśliwa odrzuciła bezcenny dar, nie oceniła go, nie pokochała, spojrzała pogardliwie i stała się nieczuła. Ta istota, opuściwszy ziemię, widzi łono Abrahama i rozmawia z Abrahamem, jak nam wskazano w przypowieści o bogaczu i Łazarzu, i raj ogląda, i do Boga wzbic się może, lecz tym się właśnie zdręcza, że do Boga wzbija się ona, która nie kochała, i zetknie się z kochającymi, ona, która miłością wzgardziła. Albowiem widzi wyraźnie i sama sobie już mówi: „Teraz już mam wiedzę, i choć zapragnęłam miłości, w miłości mej nie będzie już bohaterstwa, nie będzie ofiary, albowiem skończone jest moje życie na ziemi, i nie przyjdzie już patriarcha Abraham, by kroplą bodaj wody żywej (to znaczy darem życia na ziemi, poprzedniego i czynnego) ochłodzić płomień pragnienia miłości duchowej, którym płonę teraz, bo na ziemi wzgardziłam nią; bo nie masz już życia i czasu już więcej nie będzie! Chociaż życie bym złożyła w ofierze za innych, jest to już niemożliwe, albowiem minęło to życie, które mogłam złożyć w ofierze, i teraz otwarła się otchłań między tamtym życiem a tym istnieniem.” Mówią o płomieniu piekielnym materialnym: nie zgłębiam owej tajemnicy i lękam się zgłębiać, lecz myślę, że gdyby nawet ów płomień był materialny, to zaiste cieszyliby się z niego potępieni, albowiem w cierpieniu materialnym bodaj na chwilę zapomnieliby o straszliwszym jeszcze cierpieniu duchowym. I odjąć od nich tej męki duchowej niepodobna, albowiem owa męka jest wewnętrzna, a nie zewnętrzna. I gdyby nawet można ją było odjąć, to, zdaje mi się, byłiby z tego jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Albowiem choćby przebaczyli im sprawiedliwi z raj, oglądając ich męki, i przywołałiby ich do siebie, kochając bezgranicznie, lecz przebaczeniem przysporzyliby im tylko męk, albowiem podnieciłiby w nich jeszcze bardziej ów płomień pragnienia odpowiedzialnej, czynnej i wdzięcznej miłości, która jest już niemożliwa. W struchlałym swoim

sercu myślę jednak, że sama świadomość owej niemożliwości obróci się wreszcie w niejaką pociechę i ulgę. Albowiem, przyjąwszy miłość sprawiedliwych, a nie mogąc się odwzajemnić, w pokorze i w działaniu pokory znajdą wreszcie podobieństwo owej miłości czynnej, którą wzgardzili na ziemi... Żałuję, bracia moi i przyjaciele, że nie potrafię wypowiedzieć tego jasno. Lecz biada tym, którzy się zgładzą na ziemi, biada samobójcom! Myślę, że nie ma bardziej nieszczęśliwych od nich. Grzech, mówią nam, do Boga za nich się modlić, i Kościół jakby pozornie ich wyłącza, lecz myślę w głębi duszy mojej, że i za nich można się pomodlić. Za miłość nie rozgniewa się przecież Chrystus Pan. Za takich w skrytości ducha całe życie się modliłem, wyznaję wam to, ojcowie i nauczyciele moi, i dziś jeszcze dnia każdego się modlę.

O, są i w piekle tacy, którzy zacięli się w pysze i okrucieństwie swoim, mimo wiedzy niewątpliwej i oglądania prawdy - ci są straszni, oddani bez reszty służkowie szatana i pysznego ducha jego. Ci mają piekło dobrowolne i nienasycone; ci są męczennikami z własnej woli. Albowiem sami siebie przeklęli, przeklęwszy Boga i życie. Żywią się złą pychą swoją, jako głodny na pustyni, który krew własną z siebie wysysać począł. Ale nienasyceńcy są na wieki wieków i przebaczenie odrzucają, Boga, który ich wzywa, przeklinają. Boga żywego bez nienawiści oglądać nie mogą i żądają, żeby nie było Boga życia, aby zniszczył Bóg Siebie i całe stworzenie Swoje. I będą gorzeć w ogniu gniewu własnego wiecznie, łaknąc śmierci i niebytu. Lecz nie zaznają śmierci...

Tu kończy się rękopis Aleksego Fiodorowicza Karamazowa. Powtarzam: jest niecałkowity i fragmentaryczny. Biograficzne wiadomości dotyczą na przykład wyłącznie wczesnej młodości starca. W pouczeniach zaś zebrano w jedną jakby całość to, co starzec mówił w rozmaitym czasie i z rozmaitych powodów. Wszystkiego jednak, co starzec mówił, szczególnie w ostatnich chwilach swego życia, nie zapisano dokładnie, a dano tylko pojęcie o duchu i charakterze tej ostatniej rozmowy, jeśli zestawimy to z tekstem rękopisu Aleksego Fiodorowicza obejmującego wcześniejsze nauki starca. Starzec Zosima zaprawdę skonał nieoczekiwanie. I chociaż goście jego, zebrani tego ostatniego wieczoru, wiedzieli dobrze, że śmierć jest w pobliżu, nie mogli przecież wyobrazić sobie, że przyjdzie tak rychło i zniecka. Wręcz przeciwnie, przyjaciele starca - jak już raz stwierdziłem - widząc go owej nocy w tak rześkim i rozmownym nastroju, byli nawet przeświadczeni, że nastąpiła poprawa w jego zdrowiu, choćby nietrwała, to przynajmniej na czas krótki. I nawet pięć minut przed zgonem, jak potem twierdzili ze zdumieniem, niepodobna było nic przewidzieć. Starzec poczuł nagle jakby silny ból w piersiach, zbladł i mocno przycisnął rękę do serca. Wszyscy wtedy wstali i otoczyli go; lecz on, chociaż bardzo cierpiał, patrzył na nich z uśmiechem, cicho osunął się z fotela na podłogę, ukląkł, następnie pochylił się twarzą ku ziemi, rozpostarł ręce i jakby w radosnym uniesieniu, całując ziemię i modląc się (jak sam tego uczył), cicho i radośnie oddał duszę Bogu. Wiadomość o jego śmierci rozeszła się lotem błyskawicy po pustelni i dotarła do monasteru. Najbliżsi przyjaciele zmarłego i ci, którzy byli do tych czynności powołani, zaczęli ubierać wedle starodawnego obrządku ciało nieboszczyka, następnie wszyscy bracia zebrali się w cerkwi. I jeszcze przed świtem, jak powiadano, wiadomość o śmierci starca dotarła do naszego miasta. Rano już całe miasto o tym mówiło i mnóstwo ludzi udało się do monasteru. Do tego jeszcze powrócę w następnej księdze, teraz chcę tylko dodać, że nie minął dzień, a wydarzyło się coś tak nieoczekiwanego, co wywarło zarówno w monasterze, jak też i w mieście tak dziwne, trwożne i sprzeczne wrażenia, że i dotychczas, po tylu jeszcze latach, zachowała się u nas o tym, tak pełnym trwogi dniu, najżywsza pamięć...





# CZEŚĆ TRZECIA

# KSIĘGA SIÓDMA

## ALOSZA

### I

#### ODÓR TRUPI

Zwłoki zgasłego ojca, starca Zosimy, przygotowano do pogrzebania wedle ustalonego obrządku. Jak wiadomo, nie obmywa się zwłok mnichów i pustelników. „Zaledwie jaki zakonnik do Pana odejdzie (jak powiedziano w księdze obrzędów), wtenczas wyznaczony do tej czynności zakonnik ociera ciało jego ciepłą wodą, czyniąc przody gąbką (to znaczy grecką gąbką) znak krzyża na czole nieboszczyka, na jego piersi, rękach, kolanach, nogach i nigdzie więcej.” Wszystko to wypełnił nad zmarłym sam ojciec Paisij. Wytarłszy zaś, ubrał w szaty mnisze i zawinął w płaszcz; zgodnie z rytuałem rozciął ów płaszcz w paru miejscach, aby móc go zawiązać w kształcie krzyża. Na głowę nieboszczyka włożono kaptur z ośmioramiennym krzyżem; kaptura nie opuszczono, oblicze zaś przykryto czarnym pokrowcem. W ręce włożono obraz Zbawiciela. Nad ranem przełożono ciało do trumny (już dawno przygotowanej). Trumna zaś miała stać przez cały dzień w celi (w pierwszym, większym pokoju, w którym nieboszczyk przyjmował braci i gości świeckich). Ponieważ nieboszczyk miał święcenia kapłańskie, więc ojcowie mieli nad nim czytać nie psalterz, lecz Ewangelię. Zaraz po mszy żałobnej rozpoczął czytanie ojciec Józef; ojciec Paisij zaś, który pragnął czytać potem przez cały dzień i całą noc, chwilowo był jeszcze zajęty i nadto bardzo zatroskany, podobnie jak i ojciec ihumen, albowiem z coraz większą siłą poczęło się ujawniać wśród braci jako też wśród pielgrzymów, wciąż napływających z miasta i z gospody monasterskiej, niesłychane i nawet „nieprzystojne” wzburzenie i niecierpliwe oczekiwanie. Ojciec ihumen i ojciec Paisij usilnie starali się uspokoić wzburzone umysły. Kiedy nastał już dzień, z miasta zaczęto przyprowadzać chorych, zwłaszcza chore dzieci - jak gdyby czekano tylko na tę chwilę, ufając w niezwłoczne cudowne uzdrowienia nad trumną nieboszczyka. I teraz dopiero okazało się, do jakiego stopnia uważano w naszym mieście starca Zosimę za niewątpliwego i wielkiego świętego. Wśród nadchodzących byli bynajmniej nie tylko ludzie prości. To wielkie napięte oczekiwanie wierzących, wyrażone tak pospiesznie i bez osłonek, a nawet niecierpliwie, omal z pewną natarczywością, wydało się ojcu Paisjowi wielce gorszące i choć spodziewał się tego, rzeczywistość przekroczyła jednak jego oczekiwania. Ojciec Paisij zaczął więc robić wyrzuty niektórym ze wzburzonych mnichów: „Takie natarczywe oczekiwanie czegoś wielkiego - powiadał - jest lekkomyślnością, możliwą tylko dla ludzi świeckich, ale nas niegodną.” Nie bardzo go jednak słuchano, i ojciec Paisij z niepokojem zdawał sobie z tego sprawę, mimo że sam (jeżeli już mówić szczerze), oburzając się na zbyt niecierpliwe oczekiwanie i uważając je za czczą lekkomyślność, potajemnie w głębi duszy spodziewał się tego samego co i tamci, przezeń potępieni. I nie mógł się do tego nie przyznać. Niemniej ze szczególną przykrością spoglądał na niektórych ludzi, budzących w nim wielkie wątpliwości. Śród tłumu, tłoczącego się w celi zmarłego starca, z wewnętrzną odrazą (którą sam sobie brał za złe) spostrzegł na przykład Rakitina jak również mnicha z obdorskiej pustelni, który wciąż jeszcze znajdował się w monasterze; obaj wydali mu się nie wiadomo czemu podejrzani, chociaż nie wyodrębniali się niczym



szczególным. Mnich z Obdorska krzątał się może najbardziej ze wszystkich; można go było zauważyć wszędzie: wciąż nagabywał, słuchał i szeptał w jakiś szczególnie tajemniczy sposób. Twarz jego wyrażała zniecierpliwienie, jak gdyby irytację, że to, czego wypatruje, tak długo nie następuje. Rakitin zaś, jak się potem okazało, znalazł się tak wcześnie w pustelni na szczególne polecenie pani Chochłakow. Poczciwa, ale lekkomyślna dama, dowiedziawszy się o śmierci starca, zapalała tak niepowstrzymaną ciekawością, że nie mogąc sama wejść do pustelni, posłała Rakitina i zleciła mu co pół godziny przysyłać jej na piśmie wiadomości o wszystkim, co się wydarzy. Rakitina miała za nader bogobojnego i wierzącego młodzieńca - taki był zręczny i umiał przybierać rozmaity wygląd, stosownie do tego, co było dla niego najkorzystniejsze. Dzień był jasny i pogodny, pobożni pielgrzymi gromadzili się koło grobów pustelniczych, najbardziej skupionych wokoło świątyni, ale znajdujących się na całym obszarze pustelni. Mijając ich, ojciec Paisij naraz przypomniał sobie Aloszę, którego nie widział już od dłuższego czasu, prawie od północy. I ledwo go sobie przypomniał, ujrzał go w najbardziej oddalonym zakątku, pod murem, siedzącego na kamiennym grobowcu dawno zmarłego i znanego z umartwień mnicha. Odwrócił się plecami do pustelni, twarzą do muru, chowając się jak gdyby za grobowcem. Z bliska ojciec Paisij zauważył, że Alosza, zasłoniwszy twarz rękoma, płacze gorzko i bezgłośnie, trzęsąc się od spazmatycznych łkań. Ojciec Paisij postął nad nim kilka chwil.

- Dość, synu miły, dość, przyjacielu - rzekł wreszcie tklwie - czego płaczesz? Ciesz się, a nie płacz. Zali nie wiesz, że dzień dzisiejszy jest największym z jego dni? Gdzież on teraz przebywa, uprzytomnij sobie tylko!

Alosza spojrział nań, odsłoniwszy twarz spuchniętą od płaczu, ale natychmiast, nie mówiąc ani słowa, odwrócił się i znowu ukrył ją w dłoniach.

- A. zresztą płacz - odezwał się ojciec Paisij. - Pan Jezus ci te łzy zesłał. „Rzewne łezki twoje dadzą ci wypoczynek duchowy i radość sercu twemu miłemu” - dodał w duchu, odchodząc od Aloszy i myśląc o nim z miłością. Oddalił się zaś czym prędzej, bo poczuł, że patrząc na chłopca sam się rozpłacze. Czas mijał, odprawiano przepisane nabożeństwa. Ojciec Paisij znowu zastąpił ojca Józefa przy trumnie i znowu zaczął czytać po nim Ewangelię. Lecz nie minęła trzecia po południu, gdy zdarzyło się coś, o czym już napomknąłem na końcu poprzedniej książki, a co nie tylko nie odpowiadało powszechnemu oczekiwaniu, ale całkowicie je zawiodło i tak wzburzyło opinię miasta, że, jak już rzekłem, wspomina się o tym żywo do dnia dzisiejszego nie tylko w mieście, ale i w okolicy. Dodam jeszcze raz, wyłącznie od siebie: przykro mi, a nawet wstrętnie opowiadać o tym błahym i gorszącym wydarzeniu, w istocie zupełnie naturalnym i bez znaczenia, i oczywiście pominąłbym je chętnie milczeniem, gdyby nie to, że miało ono wielki wpływ na głównego, chociaż przyszłego bohatera mojej powieści, Aloszę. Był to jakby przełom, przewrót, który nim wstrząsnął, ale zarazem zdecydowanie skierował jego umysł w określonym kierunku na całe życie.

Powróćmy zatem do naszego opowiadania. Kiedy przed świtem włożono przygotowane do pogrzebu zwłoki starca do trumny i przeniesiono je do pierwszego pokoju, wśród obecnych powstała kwestia, czy należy otworzyć w pokoju okna. Pytanie to jednak, rzucone przez kogoś mimochodem, pozostało bez odpowiedzi - jeżeli nawet usłyszeli je niektórzy z obecnych, to myśleli, że niedorzecznie jest spodziewać się rozkładu, trupiego zapachu po zwłokach takiego nieboszczyka, i czuli, że tylko uśmiechem politowania można odpowiedzieć na podobną lekkomyślność i słabą

wiarę tego, kto zadał owo pytanie. Albowiem powszechnie spodziewano się czegoś wręcz przeciwnego. I oto rychło po południu zaczęło się dziać coś, co wchodzący do celi i wychodzący spostrzegali w milczeniu, bojąc się widocznie podzielić swoim spostrzeżeniem z kim innym. Lecz około trzeciej po południu fakt ów był tak oczywisty i niezbity, że wiadomość o nim obiegła natychmiast całą pustelnię i wszystkich pielgrzymów, dotarła do monasteru i wprawiała w zdumienie wszystkich mnichów, a wreszcie w najkrótszym czasie rozeszła się po mieście i wzburzyła wszystkich, wierzących i niewierzących. Niewierzący triumfowali, niektórzy z wierzących zaś cieszyli się bardziej od niewierzących, albowiem „ludzie podobają sobie w upadku sprawiedliwego i jego hańbie”, jak był rzekł sam starzec w jednym ze swoich pouczeń. Chodzi mianowicie o to, że z trumny zaczął się dobywać pomału, ale coraz wyraźniej trupi odór, bardzo wyraźny już koło trzeciej po południu i coraz mocniejszy. I dawno już nie było i nie można sobie było nawet przypomnieć w dziejach naszego monasteru takiego zgorszenia, brutalnie wyuzdanego, a nawet wprost nieprawdopodobnego, jakie powstało wśród samej braci monasterskiej. Znacznie później, po wielu latach, niektórzy rozumni mnisi, przypominając sobie ów dzień w całym jego przebiegu, ze zdziwieniem i przerażeniem zastanawiali się w jaki sposób zgorszenie mogło się rozpętać do takiego stopnia. Bo i przedtem się zdarzało, że umierali mnisi słynący z cnotliwego życia i pobożności, starcy bogobojni, i po pewnym czasie wydawali naturalny i zwykły wszystkim śmiertelnikom odór trupi, a jednak nikogo to nie wprawiało w zgorszenie i nie wywoływało nigdy najmniejszego wzburzenia. Oczywiście byli i tacy - i pamięć o nich przechowała się w naszym monasterze - których zwłoki, wedle podań, nie uległy żadnemu rozkładowi, co na braci działało jak wzruszająca tajemnica i zachowało się w pamięci jako cud i obietnica, że niedługo groby te zasłyną większymi jeszcze cudami. Szczególnie żywo wspomniano o starcu Hiobie, który dożył stu i pięciu lat. Był to słynny asceta, wielki postnik i milczek, zmarły koło 1810 roku. Mogiłę jego ze szczególną i nadzwyczajną czcią pokazywano wszystkim przybywającym po raz pierwszy pątnikom, tajemniczo napomykając o pokładanych w niej wielkich nadziejach. (Była to ta właśnie mogiła, na której ojciec Paisij zastał dziś Aloszę.) Prócz pamięci tego dawno zmarłego starca żyło jeszcze wspomnienie o stosunkowo niedawno zmarłym wielkim ojcu, starcu Warsonofiju - tym, którego następcą był starzec Zosima i który za życia uchodził za nawiedzonego. O obu tych mnichach zachowała się legenda, że leżeli w trumnach jak żywi i do ostatniej chwili nie wydawali żadnego złego zapachu, owszem, oblicza ich jak gdyby wypogodziły się i rozjaśniły. A niektórzy mnisi twierdzili nawet stanowczo, że z ciał ich wydobywała się miła woń. Ale biorąc nawet pod uwagę te uporczywe wspomnienia, trudno sobie wyjaśnić bezpośredni powód, który wywołał dookoła trumny starca Zosimy tak lekkomyślne, nedorzeczne i złośliwe zamieszanie. Co się mnie tyczy, przypuszczam, że złożyło się na to wiele rozmaitych przyczyn, jednocześnie działających. Jedną z nich była niechęć do instytucji starców, jako szkodliwego nowinkarstwa, głęboko zakorzeniona jeszcze w umysłach wielu mnichów. Następną, najważniejszą przyczyną była zawiść względem świętości nieboszczyka, która tak mocno ustaliła się w opinii za jego życia i uchodziła za pewnik nie ulegający żadnej wątpliwości. Albowiem choć zgasty starzec przyciągnął do siebie wielu ludzi, i to nie tyle cudami, ile miłością, i otoczył się jakby całym światem miłujących go, jednak, a nawet właśnie dlatego, zyskał sobie zazdrośników, i co za tym idzie, zaciętych wrogów, jawnych i tajnych, zarówno w monasterze, jak i w mieście. Nikomu nigdy nie wyrządził krzywdy, ale: „Dlaczego uważają go za takiego świętego?” I to jedno pytanie, stale powtarzane, zrodziło na koniec całą otchłań nienasyconej złości. Oto czemu, jak sądzę, niektórzy poczuwszy trupi odór, i to tak prędko po śmierci - nie minął bowiem nawet dzień - byli niezmiernie uradowani. I nawet wśród tych, którzy byli przywiązani do starca i dotychczas go czcili, znaleźli się i tacy, co czuli się tym wydarzeniem niejako pokrzywdzeni i osobiście dotknięci. A oto i

wypadki owego dnia w ich kolejności:

Ledwo zaczął się ujawniać rozkład, można było poznać po twarzach wchodzących do celi mnichów, w jakim celu tu przychodzą. Wchodzili, stali chwilę i wychodzili, by potwierdzić czym prędzej tę wiadomość innym, którzy skupili się tłumnie dokoła celi. Niektórzy z owych czekających kiwali smętnie głowami, ale inni nie raczyli nawet ukrywać radości, jawnie świecącej w ich złośliwych spojrzeniach. I nikt ich nie zawstydził, nikt dobrego słowa nie powiedział, co było szczególnie dziwne, bo przecież większość mnichów była wierna zmarłemu starcowi: ale widać już sam Bóg dopuścił, żeby tym razem mniejszość wzięła czasowo górę nad większością. Wkrótce zaczęli zaglądać do celi na przeszpiegi goście świeccy, zwłaszcza inteligenci. Chłopi przeważnie czekali koło wrót pustelni. Po trzeciej pielgrzymki osób świeckich ogromnie się wzmożyły, i to właśnie wskutek gorszącej nowiny. Nawet tacy, którzy by nie przyszli tego dnia i wcale nie zamierzali przyjść, specjalnie teraz przybyli; między nimi były niektóre wybitne osobistości. Zresztą ojciec Paisij z surową twarzą dobitnie i wyraźnie czytał na głos Ewangelię, jak gdyby nic nie widząc, chociaż w istocie dawno już spostrzegł, że święci się coś niezwykłego. Ale oto i jego zaczęły dobiegać zrazu ciche, stopniowo coraz bardziej stanowcze i wyraźne głosy. „Widać sąd Boży inny jest od ludzkiego!” - usłyszał naraz ojciec Paisij. Po raz pierwszy wypowiedział te słowa urzędnik przybyły z miasta, starszy już i, jak mówiono, bardzo pobożny człowiek. Wypowiedział głośno to, co już dawno szeptem powtarzali sobie mnisi. Ci bowiem dawno już wyrzekli owe rozpaczliwe słowa, i, co najgorsza, z każdą chwilą wypowiadali je z coraz większym triumfem. Wkrótce przestano dbać nawet o pozory przyzwoitości. „I jak to się mogło zdarzyć - mówili niektórzy mnisi, zrazu jak gdyby z ubolewaniem - ciało było małe, suche, przyschnięte do kości, skądże ten zaduch?” „Znaczy umyślnie chciał Bóg wskazać” - od razu dodawali inni i zdanie to przyjmowano natychmiast i bez zastrzeżeń, miarkowano bowiem, że zaduch jest nienaturalny, nie taki, jak od każdego zwykłego grzesznika, którego czuć było dopiero po upływie doby, że jest zbyt wczesny, zbyt pospieszny. „Ten zaś przyrodzenie ubiegł”, zatem nikt inny, tylko sam Bóg dopuścił na znak szczególny. Rozumowanie to nieprzepraczone narzucało się umysłom zebranych. Łagodny ojciec Józef, bibliotekarz, ulubieniec nieboszczyka, zaczął zrazu dowodzić niektórym z obmawiaczy, że „nie zawsze tak jest”: prawosławie nie uważa bynajmniej za dogmat, iż zwłoki sprawiedliwych nie mogą ulegać rozkładowi; w najbardziej nawet prawosławnych krajach, na przykład na górze Athos, nie zważają na zaduch trupi, i nie to uchodzi tam za główną oznakę dostąpienia chwały Pańskiej, lecz kolor kości w wiele lat po pogrzebaniu: „Jeśli kości będą żółte jak wosk, jest to znak najważniejszy, że zmarły dostąpił chwały Pańskiej, jeśli zaś nie żółte są, lecz czarne, to znaczy, że Bóg nie powołał go do swojej chwały - oto jak jest na górze Athos, gdzie prawosławie z dawien dawna zachowało się w całej swej najjaśniejszej czystości” - zakończył ojciec Józef. Lecz twierdzenia pokornego ojca nie wywarły żadnego wrażenia i nawet doczekały się ironicznej odprawy: „To wszystko teorie i nowinki, nie warto tego słuchać - myśleli w skrytości mnisi. - U nas po staremu. Mało to teraz nowinek namnożyło się: czy wszystkie będziemy przyjmować?” - dodawali inni. „Mieliśmy nie mniej świętych ojców, co oni. Oni tam pod Turkiem siedzą i wszystko zapomnieli. U nich wiara prawosławna dawno się zmaciła, dzwonów nawet nie mają” - dorzucali najwięksi szydery. Ojciec Józef odszedł rozgoryczony, tym bardziej że i sam wypowiedział swoją opinię nie bardzo stanowczo, jak gdyby wątpił o własnych słowach. Lecz wyczuł, że zanosi się na jakąś rzecz sromotną i że nieposłuszeństwo podnosi głowę. Pomału za przykładem ojca Józefa umilkły wszystkie inne co roztropniejsze głosy. I jakoś się zdarzyło, że ci wszyscy, którzy miłowali zgasłego starca i ze wzruszeniem posłusznie przyjmowali instytucję starców, jakoś naraz okropnie się wystraszyli i

spotykając się, nieśmiało tylko na siebie spoglądali. Wrogowie zaś tej instytucji, jako nowinki, hardo podnieśli głowy. „Od nieboszczyka starca Warsonofija nie tylko nie było zaduchu, ale owszem, rozchodził się miły zapach - przypominali złośliwie - ale zasłużył sobie nie tym, że był starcem, lecz że sam był sprawiedliwy.” I rychło zaczęto wypominać nieboszczykowi rozmaite rzeczy, potępiać go i oskarżać: „Źle uczył; uczył, że życie jest wielką radością, a nie łzawym posłuszeństwem” - mówili niektórzy najbardziej niedorzeczni. „Wierzył jakoś modnie, ognia materialnego w piekle nie uznawał” - dodawali inni, jeszcze bardziej niedorzeczni. - „Nie bardzo przestrzegał postów, dogadzał sobie: słodczyce do herbaty jadał, wiśniowe konfitury, które mu paniusie przysyłały, bardzo to lubił. Czy pustelnikowi godzi się herbatkę popijać?” - pytali niektórzy zawistni. „Wbił się w dumę - okrutnie wypominali mu inni, bardziej złośliwi - uważał się za świętego, na kolana przed nim padano, jak powinno sobie przyjmował.” „Sakramentu spowiedzi nadużywał” - dodawali złośliwym szeptem najzawziętsi przeciwnicy instytucji starców, i to nawet bardzo starzy i surowi w swej pobożności mnisi, postnicy i milczkowie, którzy nic nie mówili za życia zmarłego, teraz nagle otworzyli usta; i to było szczególnie okropne, bo ich słowa działały na młodych i jeszcze wahających się braciszków. Najwięcej nasłuchiwał się tych rozmów gość z Obdorska, mnich od Świętego Sylwestra, wzdychając głęboko i kiwając głową. „Tak, widać ojciec Ferapont słusznie wczoraj mówił” - myślał sobie; a tu naraz pojawił się sam ojciec Ferapont; przyszedł jak gdyby po to właśnie, aby pogłębić panujące wzburzenie.

Mówiłem już poprzednio, że wychodził ze swojej drewnianej celki za pasieką bardzo rzadko, nawet do cerkwi; uważano go niejako za „opętanego” i nie zmuszano do przestrzegania wszystkich reguł. Zresztą, prawdę mówiąc, tolerowano jego uchybienia z musu. Albowiem tak wielkiego postnika, ascetę, modlącego się po całych dniach i nocach (zasypiał nawet na klęczkach), nieporęcznie jakoś było obciążać obowiązującą regułą, skoro sam nie chciał się jej poddać. „I świętszy jest od nas wszystkich, i żyje surowiej niż wedle reguły - powiedzieliby niektórzy - a że do cerkwi nie chodzi, to chyba i sam wie, kiedy ma chodzić, ma własną regułę.” Ze względu na te możliwe sprzeczności i zgorzzenie zostawiono ojca Feraponta w spokoju. Jak powszechnie było wiadomo, ojciec Ferapont bardzo nie lubił starca Zosimy. I oto do jego celi za pasieką naraz dotarła wieść, „że sąd Boży inny jest jak sąd człowieka” i „że przyrodzenie nawet ubiegł”. Należy sądzić, że przede wszystkim pokwapił się z tą nowiną gość z Obdorska, który wczoraj był odwiedził ojca Feraponta i wyszedł odeń zdjęty zgrozą. Wspominałem również że ojciec Paisij, który trwał na swoim stanowisku i czytał nad trumną Ewangelię, choć nie mógł widzieć i słyszeć tego, co się działo na zewnątrz celi, przecież w sercu swoim nieomylnie odgadł najważniejsze, znał bowiem na wskroś swoje środowisko. Nie był zmieszany i oczekiwał dalszych wypadków bez trwogi, wzrokiem przenikliwym śledząc przyszłe koleje zamieszania, które przedstawiały się oczom jego duszy. Lecz naraz zdziwił go niezwykle i zdecydowanie zakłócający spokój hałas w sieni. Drzwi otworzyły się na rozcież i na progu stanął ojciec Ferapont. Za nim, jak dokładnie widać było z celi, stłoczył się na dole koło ganku tłum towarzyszących mu mnichów, a wśród nich i ludzi świeckich. Nie weszli jednak do celi ani na ganek - zatrzymawszy się czekali, co dalej powie i uczyni ojciec Ferapont, przeczuwali bowiem z niejakim nawet strachem, mimo całe swoje zuchwalstwo, że ów przybył tu nie na próżno. Zatrzymawszy się na progu, ojciec Ferapont wyciągnął ręce i wówczas spod prawego jego ramienia wyjrzały ostre i ciekawe oczki gościa z Obdorska, jedyne, który z wielkiej ciekawości odważył się wbiec po schodkach śladem ojca Feraponta do celi. Pozostali zaś, ledwo drzwi otworzyły się z hałasem, przeciwnie, cofnęli się jak gdyby z wielkiej trwogi. Wzniósłszy ku górze, ręce, ojciec Ferapont zawołał nagle:

- Wypędzając wypędzę! - i zwróciwszy się kolejno we wszystkie cztery strony świata, przeżegnał ściany i wszystkie cztery kąty celi. Wszyscy zrozumieli okrzyk i postępowanie ojca Feraponta; albowiem wiedzieli, że zawsze tak czynił, dokądkolwiek wchodził; nie siadł, słowa nie wyrzekł, dopóki nie wypędził nieczystej siły.

- Wynijdź, szatanie, wynijdź, szatanie - powtarzał przy każdym znaku krzyża. - Wypędzając wypędzę! - zawołał ponownie.

Miał na sobie swój gruby habit, przepasany powrozem. Spod płóciennej koszuli wyglądała obnażona pierś, zarośnięta siwymi włosami. Nogi jego były bose. Gdy zaczął machać rękoma, zadzwoniły ciężkie łańcuchy, które nosił na ciele. Ojciec Paisij przestał czytać, wyszedł do przodu, stanął przed nim i czekał.

- Po coś przyszedł, ojciec czcigodny? Po co spokój naruszasz? Po co trzodę burzysz? - odezwał się wreszcie, patrząc nań surowo.

- Przecz-żem tu przyszedł? Jako wierzący? Czego proszący? - zawołał ojciec Ferapont wyrażając się dziwacznie. - Przybieżałem tutejszych waszych gościów powyganiać, ciurów zatraconych. Patrzę, czy wiele się ich przez ten czas namnożyło. Miotłą brzożową wymiatać będę.

- Nieczystą siłę wypędzasz, a może i sam jej służysz - odrzekł bez trwogi ojciec Paisij - i kto o sobie może rzec: „święty jestem”? Może ty, ojciec?

- Przeklęty jestem, a nie święty. Na fotelu nie zasiądę i nie zechcę pokłonów dla siebie niczym cielec pogański! - zagrzmiał ojciec Ferapont. - Teraz ludzie wiarę gubią świętą. Nieboszczyk, świętek wasz - zwrócił się ku tłumowi, wskazując palcem trumnę - nie przyznawał diabłów. Rycynę na czartów dawał. Więc i namnożyło się ich u was jak pajaków po kątach. A teraz i sam cuch wydaje. W tym jest znak wielki od Boga.

Istotnie coś takiego zdarzyło się za życia starca Zosimy. Pewnemu mnichowi zaczęły się śnić diabły, w końcu przywidywały mu się na jawie. Gdy, struchlały, wyznał to starcowi, ów poradził mu nieustanną modlitwę i srogi post. A kiedy i to nie pomogło, zalecił mu, by nie ustając w modlitwie i w poście, zażył pewne lekarstwo. Mówiono o tym wiele w swoim czasie ze zgorszeniem, kiwając głową - najbardziej zaś oburzał się ojciec Ferapont, któremu gorliwi informatorzy natychmiast donieśli o „niezwykłym” w takim wypadku zarządzeniu starca.

- Wynijdź, ojciec! - rzekł rozkazująco ojciec Paisij. - Nie ludzie sądzą, lecz Bóg. Może widzimy tu „znak”, którego nie zdołasz pojąć ani ty, ani ja, ani nikt. Wynijdź, ojciec, i trzody nie buntuj! - powtórzył z mocą.

- Postów nie przestrzegał jak należało, a przetoć tak wszystko i wyszło. To wszyscy widzą, a skrywać grzech! - wołał fanatyczny starzec. - Na cukierki się łakomił, paniusie mu słały, herbatki popijał, kałdunowi dogadzał napełniając go słodyczami, zasię rozum wzbił w pychę... Przetoć i sromu doczekał...

- Lekkomysłne są twoje słowa, ojciec! - podniósł głos ojciec Paisij - podziwiam post twój i

umartwienie, wszakże lekkomyślne są twoje słowa, godne młodzieniaszka świeckiego, wietrznego i nierozumnego. Wynijdź stąd, ojcze, rozkazuję ci! - huknął wreszcie ojciec Paisij.

- Wyjdę ja, wyjdę! - odrzekł ojciec Ferapont, jakby z lekka się miarkując, chociaż nie ochłonął jeszcze z gniewu - uczone to mędrce! Z wielkiego rozumu wynosicie się nade mną, maluczkiem. Przyszedłem tu, nieuczony, a com wiedział, tom do reszty tu przepomniął. Sam Bóg mnie, maluczkiego, od waszej mądrości uchronił...

Ojciec Paisij stał przed nim i czekał niewzruszenie. Ojciec Ferapont umilkł i nagle rozrzewnił się, przyłożył prawą rękę do policzka i począł zawodzić, spoglądając na trumnę starca:

- Nad nim *Pomocnika i opiekuna* śpiewać będą - pieśń cudowną, a nade mną, kiedy zdechnę, ledwo *Jaka życia słodycz*, stychar lichy[14] - rzekł łzawym i strapionym głosem. I nagle wrzasnął jak oszalały: - W pychę się wzbili, puste jest miejsce ono!

I machnąwszy ręką, prędko odwrócił się i zbiegł po schodkach z ganku. Czekający na dole tłum poruszył się niespokojnie; niektórzy poszli za nim natychmiast, inni wahali się, cela bowiem była wciąż jeszcze otwarta, a ojciec Paisij, wyszedłszy za ojcem Ferapontem na ganek, stał i obserwował. Lecz nieokiełznany starzec nie poprzestał na tym: odszedłszy o jakie dwadzieścia kroków, odwrócił się nagle w stronę zachodzącego słońca, wznosił ręce ku górze i - jak gdyby go kto podciął - runął na ziemię z przejmującym krzykiem:

- Mój Bóg zwyciężył! Chrystus zwyciężył zachodzące słońce! - zawołał nieprzytomnie, wyciągając ku słońcu ręce, i padłszy na twarz, zaszlochał na głos jak małe dziecko, drgając od łkań i rozpościerając na ziemi ramiona. Wówczas wszyscy już podbiegli ku niemu, padały okrzyki, rozlegało się łkanie... Jakiś szal opętał zebranych.

- Oto kto święty! Oto kto sprawiedliwy! - wołano już bez lęku - oto kto winien być starcem - dodali inni już ze złością.

- Nie zechce być starcem... Sam nie zechce... nie będzie służył przeklętym nowinkom... nie będzie naśladował ich błżeństw - podjęli natychmiast inni. Trudno określić, do czego by doszło, gdyby nie rozległ się właśnie w tej chwili dzwon cerkiewny, wzywający na nabożeństwo. Wszyscy natychmiast się przeżegnali. Podniósł się również ojciec Ferapont i przeżegnawszy się odszedł do swojej celi, nie oglądając się za siebie, wydając jakieś okrzyki, ale zupełnie już niezrozumiałe. Za nim poszli niektórzy, ale większość zaczęła się rozchodzić, spiesząc do cerkwi. Ojciec Paisij przekazał czytanie Ewangelii ojcu Józefowi i zszedł na dół. Nie mogły nim zachwiać nieprzytomne krzyki fanatyków, lecz poczuł nagle w sercu jakiś smutek i dziwny żal. Zatrzymał się naraz i zapytał siebie: „Skądże ten smutek rozpaczliwy?” I ze zdziwieniem uprzytomnił sobie, że ów nagły smutek powstał zapewne z bardzo błahej i szczególnej przyczyny: mianowicie w tłumie, skupiającym się niedawno przed celą, zauważył wśród wzburzonych mnichów Aloszę, a ujrzawszy go, poczuł w sercu jak gdyby ból. „Czyżby ten młodzieniec tak bardzo mnie teraz obchodził?” - zadał sobie pytanie, zdziwiony. W tej chwili Alosza akurat przechodził obok niego, jakby spiesząc gdzieś, lecz nie w stronę cerkwi. Spojrzenia ich spotkały się. Alosza prędko odwrócił wzrok i spuścił oczy. Ojciec Paisij zrozumiał, co się w owej chwili dzieje w jego duszy.

- Czy i tyś się zgorszył? - zawołał naraz ojciec Paisij - i tyś przystał do ludzi małej wiary? - dodał z goryczą.

Alosza zatrzymał się i z jakimś nieokreślonym wyrazem spojrzał na ojca Paisja, ale znowu szybko odwrócił wzrok i znowu spuścił oczy. Stał zaś bokiem i nie odwracał się twarzą do pytającego. Ojciec Paisij obserwował go uważnie.

- Dokąd spieszysz? Na nabożeństwo dzwonią - rzekł znowu, lecz Alosza znowu nie odpowiedział.

- Czy odchodzisz z pustelni? I tak bez pytania, bez błogosławieństwa?

Alosza naraz uśmiechnął się z grymasem, dziwnie, bardzo dziwnie spojrzał na pytającego go ojca, któremu zawierzył go przed śmiercią jego były nauczyciel, były władca jego serca i umysłu, ukochany starzec; nagle, wciąż milcząc, machnął ręką, jakby już nie dbał o względy przyzwoitości, szybkim krokiem ruszył ku wrotom i wyszedł z pustelni.

- Wrócisz jeszcze! - szepnął ojciec Paisij, patrząc za nim z gorzkim zdziwieniem.

## II TAKA CHWILKA

Ojciec Paisij, rzecz jasna, nie omylił się twierdząc, że jego „drogi chłopiec” wróci jeszcze, i może nawet zrozumiał (bardzo trafnie, chociaż nie całkowicie) stan jego ducha. Jednak przyznaję szczerze, że sam z trudem zdołałbym określić wyraźnie i dokładnie treść owej dziwnej i nieokreślonej chwili w życiu mego ulubionego i tak jeszcze młodego bohatera mojej powieści. Na gorzkie zapytanie ojca Paisja: „I tyś przystał do ludzi małej wiary?” - mógłbym, rozumie się, odpowiedzieć z całą stanowczością za Aloszę: „Nie, on nie przystał do ludzi małej wiary.” Co więcej, działo się tu coś wręcz przeciwnego: zamęt powstał właśnie dlatego, że bardzo wierzył. Ale zamęt był, istniał i był tak męczący, że nawet potem, długo potem, Alosza uważał ów gorzki dzień za jeden z najbardziej męczących i najfatalniejszych dni swego życia. Jeśli zaś zapytacie wprost: „Czyżby cały ten zamęt i rozpacz wynikła z tego, że zwłoki zmarłego starca, miast dokonywać uzdrowień, uległy niewczesnemu rozkładowi?” - to odpowiem na to bez ogródek: „Tak, istotnie tak było.” Prosiłbym tylko czytelnika, aby nie śmiał się przedwcześnie z czystego serca mojego ulubieńca. Sam zaś nie tylko nie zamierzam prosić dłań o pobłażliwość czy usprawiedliwić prostodusznej jego wiary na przykład młodością albo słabymi postępami w szkole i tak dalej, lecz wręcz przeciwnie, twierdzą stanowczo, że czuję szczerzy szacunek dla natury jego serca. Niewątpliwie inny młodzieniec, przejmujący wrażenia ostrożnie, umiejący już miłować nie gorąco, lecz ciepło, mający umysł wprawdzie wierny, ale zbyt rezolutny jak na swe lata (a więc lichy), inny młodzieniec, powiadam, uniknąłby tego, co przytrafiło się Aloszy. Ale w wielu wypadkach doprawdy o wiele szlachetniej jest poddać się jakiemuś porywowi, choćby nawet nierozsądnemu, lecz płynącemu z wielkiej miłości, niż wcale mu się nie poddawać. Szczególnie zaś w młodym wieku, młodzieniec bowiem zbyt rezolutny jest niepewny i wart niewiele - tak przynajmniej sądzę!

„Lecz - zawołają zapewne ludzie rozsądni - nie może przecież każdy młodzieniec być tak przesądny, i pana ulubieniec nie jest bynajmniej wzorem dla innych.” Na to znowu odpowiem: „Tak, mój ulubieniec wierzył, wierzył święcie i niezachwianie, lecz mimo to nie będę go usprawiedliwiał.”

Widzicie bowiem: chociaż stwierdziłem powyżej (może zbyt pochopnie), że nie będę prosił o pobłażliwość dla mojego bohatera ani go usprawiedliwiał, zdaję sobie sprawę, że coś niecoś trzeba będzie koniecznie wyjaśnić, aby czytelnik mógł zrozumieć dalszy ciąg opowieści. Więc powiadam: tu nie o cuda chodzi. Oczekiwanie cudu nie było w tym wypadku lekkomyślne. I nie gwoli triumfu jakichś przekonań potrzebował Alosza cudów (o tym nie może być mowy), nie gwoli jakiejś idei, z góry powziętej, która by zatriumfowała nad inną, o nie, bynajmniej: w tej sprawie najważniejsza była dla niego osoba, i tylko osoba, osoba ukochanego starca, osoba sprawiedliwego, którego czcił i niemal ubóstwiał. O to właśnie chodzi, że cała miłość jego serca, młodego i czystego, miłość „do wszystkich i do wszystkiego”, wówczas i przez cały poprzedni rok, chwilami ogniskowała się niejako, może niesłusznie, w jednej osobie, w ukochanym starcu, obecnie zmarłym. Prawda, osoba ta tak długo przyświecała mu jako niewątpliwy ideał, że wszystkie jego młode siły i popędy musiały się skierować wyłącznie ku temu ideałowi, chwilami nawet każąc mu zapomnieć o „wszystkich i wszystkim”. (Przypomniał sobie potem, że owego ciężkiego dnia wyszedł mu zupełnie z pamięci Dymitr, o którego tak się niepokoił jeszcze dzień przedtem. Zapomniał również zanieść ojcu Iliuszy dwieście rubli, co tak żarliwie zamierzył dnia poprzedniego.) I nie cudów pragnął, lecz „najwyższej sprawiedliwości”, która, jego zdaniem, była naruszona, i przez to właśnie tak okrutnie i nieoczekiwanie zraniła jego serce. I cóż z tego, że owa „sprawiedliwość” w marzeniach Aloszy naturalnym biegiem rzeczy przyjęła postać cudów oczekiwanych niecierpliwie nad zwłokami ubóstwianego nauczyciela? Przecież tak myśleli i tego spodziewali się wszyscy w monasterze, nawet ci, których umysły podziwiał Alosza, sam ojciec Paisij na przykład. I oto Alosza, nie trwożąc siebie żadnymi wątpliwościami, oblókł swe marzenie w tę samą postać co i wszyscy. Zresztą od dawna już, przez cały rok pobytu w monasterze, przywykł do tej myśli w głębi serca. Lecz sprawiedliwości łaknął, nie tylko samych cudów! I oto ten, który powinien być wyniesiony najwyżej na świecie, zamiast należnej mu chwały, został strącony w hańbę! Za co? Kto go sądził? Kto mógł tak osądzić? Oto pytania, które zmęczyły wówczas niedoświadczone i czyste jego serce. Nie mógł znieść bez urazy, bez serdecznej złości, aby najsprawiedliwszy ze sprawiedliwych wydany był na taką wzdargę i urągowisko tak lekkomyślnemu i o tyle niżej odeń stojącemu tłumowi. Niechby nie było cudów, niechby nie objawiło się nic cudownego, niechby nie sprawdziły się oczekiwania - ale czemuż ta niesława, czemuż ten wstyd, czemu ten niewczesny rozkład, który „ubiegł przyrodzenie”, jak powiadali złośliwi braciszkwowie? Czemuż ten „znak”, o którym teraz z takim triumfem powtarzają za ojcem Ferapontem, roszcząc sobie nie wiadomo czemu prawo do takiego wywodu? Gdzie tu Opatrzność i palec Jej? Czemu ukryła swój palec w „najpotrzebniejszej chwili” (myślał Alosza) i jakby sama pragnęła poddać siebie ślepym, niemym, nieubłaganym prawom natury?

Oto czemu krwawiło serce Aloszy. I niewątpliwie, jak już powiedziałem, na pierwszym planie stała ukochana przezeń osoba, obecnie tak „zhańbiona”, tak „zniesławiona”! Może nawet bunt mojego młodzieńca był lekkomyślny i niedorzeczny, ale znowu powtarzam to po raz trzeci (i godzę się z góry, że może również lekkomyślnie): rad jestem, że mój ulubieniec nie okazał się takim rozsądnym w owej chwili, na rozsądek bowiem zawsze przyjdzie czas u człowieka niegłupiego, natomiast jeżeli w podobnie wyjątkowej chwili w sercu młodzieńca nie objawi się miłość, to kiedyż się ona objawi? Jednak nie chcę przemilczeć przy sposobności pewnego dziwnego zjawiska, które, co prawda na



mgnienie tylko, nastąpiło w owej fatalnej chwili w umyśle Aloszy. To nagle wyłaniające się coś było właściwie męczącym wrażeniem z jego wczorajszej rozmowy z Iwanem, którą sobie teraz wciąż przypominał. Właśnie teraz. O, nie chcę przez to powiedzieć, że zachwiały się w jego duszy podstawowe, żywiołowe, że tak powiem, wierzenia. Boga swojego kochał i wierzył w Niego niezachwianie, chociaż nagle zbuntował się przeciw Niemu. Lecz jakieś mętne, jakieś męczące i złe wrażenie z wczorajszej rozmowy z Iwanem nagle znowu drgnęło w jego duszy i coraz bardziej wybijało się na wierzch.

Zmierzch już zapadał, gdy Rakitin, idąc przez las sosnowy z pustelni do monasteru, naraz zauważył Aloszę leżącego pod drzewem, twarzą ku ziemi, zastygłego w bezruchu i jakby we śnie. Podeszedł bliżej i zawołał:

- Ty tu, Aleksy? Czyżbyś... - zaczął ze zdziwieniem, lecz nagle urwał.

Chciał powiedzieć: „Czyżbyś do tego doszedł?” - Alosza nie spojrzał nań, lecz poruszył się niespokojnie i Rakitin domyślił się, że Alosza słyszy go i rozumie.

- Co się z tobą dzieje? - pytał Rakitin ze zdziwieniem.

Rychło jednak zdziwienie na jego twarzy ustąpiło miejsca coraz bardziej szydrczemu uśmiechowi.

- Słuchajże, szukam cię już od przeszło dwóch godzin. Nagle przepadłeś. Co ty tu robisz? Co za pobożne głupstwa? Popatrzże na mnie...

Alosza podniósł głowę, siadł i oparł się plecami o drzewo. Nie płakał, ale cierpienie malowało się na jego twarzy, w oczach zaś był wyraz rozdrażnienia. Nie patrzył na Rakitina, lecz gdzieś w bok.

- Wiesz, zupełnie zmieniłeś się na twarzy. Gdzieś się podziała twoja przysłowiowa łagodność. Rozgniewałeś się na kogoś, co? Skrzywdzili cię?

- Odczep się! - rzekł Alosza, nie patrząc nań, i znużonym gestem machnął ręką.

- Oho, tacyśmy? Zacząłeś pokrzykiwać tak samo jak wszyscy inni śmiertelnicy! I to anioł! No, Aloszka, zdziwiłeś mnie niezmiernie. Wiesz, mówię szczerze. Dawno już niczemu się tu nie dziwię. Ale ja cię miałem za człowieka wykształconego...

Alosza spojrzał wreszcie na niego, ale z pewnym roztargnieniem, jak gdyby nie bardzo go jeszcze rozumiał.

- Czy ty naprawdę tylko dlatego, że twój starzec zaśmiardł się? Czyżbyś i ty wierzył naprawdę, że cuda zacznie odwalać? - zawołał Rakitin, znowu wpadając w szczerze zdumienie.

- Wierzyłem, wierzę i chcę wierzyć, i będę wierzył, czego jeszcze chcesz! - krzyknął zirytowany Alosza.

- Ależ ja nic nie chcę, mój drogi. Tfu, do diabła, przecież dziś nie wierzy w to pierwszy lepszy

trzynastoletni berbec. Zresztą, do licha... A tyś się już rozgniewał na swego Boga, zbuntowałeś się: pominęli niby przy nominacji, na święta orderu nie dali! Ach, ty!

Alosza spojrział przeciągle na Rakitina zmrużonymi oczami i we wzroku jego coś nagle błysnęło... lecz nie był to gniew na Rakitina.

- Ja nie buntuję się przeciw mojemu Bogu, ja tylko „świata jego nie przyjmuję” - uśmiechnął się nagle Alosza z grymasem.

- Jak to świata nie przyjmujesz? - Rakitin zastanowił się chwilę nad jego odpowiedzią. Co to znowu za abrakadabra?

Alosza nie odpowiedział.

- No, dość już tych głupstw, przystąpmy do rzeczy: jadłeś dzisiaj co?

- Nie pamiętam... zdaje się, że jadłem.

- Musisz się pokrzepić, tak sędzę z twojej twarzy. Żal na ciebie spojrzeć. Przecie i w nocy nie spałeś, słyszałem, mieliście tam posiedzenie. A potem cały ten galimatias... Na pewno ledwo kawałek chleba poświęconego przełknąłeś. Mam w kieszeni kielbasę, na wszelki wypadek chwyciłem wczoraj w mieście, tylko że ty nie będziesz tego jadł...

- Dawaj kielbasy.

- Aha! Więc to tak! A więc prawdziwy rokosz i barykady! No, bracie, nie trza tego lekceważyć. Chodźmy do mnie... Ja bym sam kropnął wódeczki, straszniem się zmachał. Na wódkę się chyba nie zdecydujesz... a może wypijesz?

- Dawaj i wódki.

- No, no! Cudnie, bracie! - popatrzał ze zdziwieniem Rakitin. - Tak czy owak, wódka czy kielbasa, sprawa dobrze stoi, nie trza zasypiać gruszek w popiele! Chodźmy!

Alosza milcząc podniósł się i poszedł za Rakitinem.

- Gdyby to Wanieczka widział, to by się zdumiał! A właśnie, twój braciszek, Iwan Fiodorowicz, dziś rano wyjechał do Moskwy, wiesz o tym?

- Wiem - odrzekł obojętnie Alosza.

I naraz stanął mu w myślach obraz Dymitra, ale tylko na mgnienie, i chociaż przypomniał sobie coś, jakąś pilną sprawę, której nie wolno było odwlec ani na chwilę, jakąś powinność, jakiś straszliwy obowiązek, ale i to wspomnienie nie wywarło na Aloszy żadnego wrażenia, nie dotarło do jego serca, od razu ulotniło się z pamięci. Ale później często o tym wspominał.

- Twój braciszek Wanieczka wyraził się o mnie kiedyś, że jestem „niewydarzony i liberalny

głuptas”. I ty również któregoś razu nie wytrzymałeś i dałeś mi do zrozumienia, że jestem „nieuczciwy”... Niech i tak będzie! Popatrzę sobie teraz na wasze talenty i uczciwość (ostatnie zdanie wypowiedział już do siebie, szeptem). Tfu, posłuchaj! - zaczął znowu na głos - ominiemy monaster, pójdziemy ścieżką prosto do miasta... Hm, powinienem wstąpić przy sposobności do pani Chochłakow. Wyobraź sobie: napisałem jej o wszystkim, co się tu wydarzyło, a ona mi natychmiast odpisała ołówkiem (strasznie ta paniusia lubi korespondować), że „żadną miarą nie spodziewała się po takim czcigodnym starcu, jak ojciec Zosima, takiego postępuku”! Tak właśnie napisała: „postępuku”! Też się zbuntowała; ach, wy wszyscy! Poczekaj - zawołał nagle, stanął i, chwyciwszy Aloszę za ramię, zatrzymał go.

- Wiesz co, Aloszka - rzekł patrząc mu badawczo w oczy, wzburzony myślą, która nagle strzeliła mu do głowy, a której, chociaż nadrabiał miną, nie śmiał jednak wypowiedzieć, tak bardzo nie mógł się jeszcze oswoić z dziwnym i niespodzianym nastrojem Aloszy. - Alosza, wiesz, dokąd byłoby najlepiej teraz pójść? - rzekł wreszcie nieśmiało.

- Wszystko jedno... dokąd chcesz.

- Pójdziemy do Gruszeńki, co? Pójdziesz? - ośmielił się wreszcie wymówić Rakitin, drżąc w trwożliwym oczekiwaniu.

- Chodźmy do Gruszeńki - odparł spokojnie Alosza. Szybka i spokojna zgoda była taką niespodzianką dla Rakitina, że omal nie zachnął się, zdumiony.

- No, no!... Masz tobie! - zawołał ze zdumieniem. Lecz naraz, chwyciwszy mocno Aloszę pod rękę, szybko pociągnął go po ścieżce do miasta, bojąc się strasznie, żeby Alosza nie zmienił zamiaru. Szli w milczeniu, Rakitin lękał się usta otworzyć.

- A jaka zadowolona będzie, jaka zadowolona... - wybąkał i znowu umilkł.

Lecz nie gwoli zadowolenia Gruszeńki ciągnął ku niej Aloszę; był to człek poważny i nic nie robił bez korzystnego dla siebie celu. Cel zaś przyświecał mu teraz podwójnie: po pierwsze, chęć zemsty, to znaczy chęć ujrzenia „hańby sprawiedliwego” i prawdopodobnie jego upadku, którym, się z góry napawał; po drugie zaś, materialne wyrachowanie, bardzo dlań korzystne, do którego później wrócimy.

„To znaczy, że taka chwilka nadeszła - myślał wesoło i złośliwie - chwycimy ją teraz za kołnierz, chwilkę ową, albowiem to nam teraz na rękę.”

### III CEBULKA

Gruszeńka mieszkała w najbardziej ożywionym punkcie koło placu sobornego, w domu Morozowej, wdowy po kupcu. Odnajmowała niedużą drewnianą oficynę. Sam dom był wielki,

murowany, piętrowy, stary i bardzo niemiły z wyglądu. Zajmowała go tylko stara właścicielka, wraz z dwiema swoimi siostrzenicami, również dosyć leciwymi. Nie miała potrzeby odnajmować oficyny, ale wszyscy wiedzieli, że przyjęła Gruszeńkę do domu (jeszcze cztery lata temu) jedynie na prośbę swego krewniaka, kupca Samsonowa, jawnego opiekuna Gruszeńki. Mówiono więc, że zazdrosny staruch umieścił swoją „faworytkę” u Morozowej, aby ta miała nadzór nad konduita nową lokatorki. Ale nadzór okazał się rychło zbyteczny i w końcu Morozowa przestała się opiekować Gruszeńką i dokuczać jej swoim nadzorem. Co prawda cztery lata minęły już od czasu jak starzec przywiózł do tego domu z miasta gubernialnego osiemnastoletnią dziewczynę, nieśmiałą trusią, chudziutką, mizerną, zamysloną i smutną, i wiele wody upłynęło od owego czasu. Biografię tej dziewczyny na ogół znano u nas w mieście, ale bardzo słabo i mętnie; nie dowiedziano się dokładniej nawet później, kiedy wiele osób zaczęło się interesować tą piękną kobietą, w jaką w ciągu czterech lat przeistoczyła się Agrafiena Aleksandrowna. Opowiadano tylko, że kiedy miała lat siedemnaście, uwiódł ją jakiś oficer, a następnie porzucił. Oficer dokądś wyjechał i gdzieś tam ożenił się potem z inną, Gruszeńką zaś została w nędzy i hańbie. Powiadano również, że choć Samsonow rzeczywiście znalazł ją w wielkiej nędzy, pochodziła z uczciwej rodziny, była córką jakiegoś diakona w zapadłej dziurze albo kogoś w tym rodzaju. I oto po czterech latach z wrażliwej, skrzywdzonej i nieszczęśliwej sierotki wyrosła rumiana, dorodna rosyjska piękność, kobieta ze śmiałym i stanowczym charakterem, harda i zuchwała, znająca się na wartości pieniądza, skąpa i ostrożna, która prawem czy lewem zdążyła sobie, jak powiadano, uciuć własny fundusik. Jedno było pewne: że Gruszeńką jest niedostępna i że prócz starego opiekuna, nie było przez cztery lata ani jednego mężczyzny, który mógłby się pochwalić jej względami. Fakt ten był niewątpliwy, albowiem sporo było amatorów owych względów, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat. Wszystkie usiłowania były daremne, a niektórzy zalotnicy musieli nawet rejterować w sposób komiczny i hańbiący, otrzymawszy stanowczą i urągliwą odprawę. Wiedziano jeszcze i to, że Gruszeńką, szczególnie w ostatnim roku, puściła się na fale tak zwanych „geszeftów” i okazała się w tym kierunku tak zdolna, aż w końcu zaczęto ją przezywać „żydowską duszą”. Nie zajmowała się co prawda lichwą, ale wiadomo było na przykład, że do spółki z Fiodorem Pawłowiczem Karamazowem przez jakiś czas skupowała weksle za bezcen, po dziesięć kopiejek za rubel, a potem odbierała całą sumę. Chory Samsonow, który ostatnimi czasy nie władał swymi spuchniętymi nogami, wdowiec, tyran swoich dorosłych dzieci, wielki bogacz, ale nieubłagany kutwa, wpadł pod silny wpływ swej protegowanej, którą zrazu trzymał w żelaznych karchach, „na oleju”, jak powiadali kpiarze. Ale Gruszeńką potrafiła się wyłamać, zdobywszy sobie uprzednio jego bezgraniczne zaufanie co do swojej wierności. Starzec ów, sprytny kupiec (teraz już dawno nie żyje), miał również trudny charakter, był skąpy i twardy jak krzemień, i chociaż Gruszeńką wywarła na nim ogromne wrażenie, chociaż nie mógł nawet bez niej żyć (w ciągu ostatnich dwóch lat istotnie tak było), nie obdarowywał jej szczodrą i nie uląkł się nawet jej gróźb. W każdym razie wydzielił jej jakiś niewielki fundusz, co wszystkich w mieście wprawiło w zdumienie. „Kuta jesteś baba - rzekł do niej, dając jej osiem tysięcy. - Sama spekuluj, ale wiedz, że oprócz utrzymania nic więcej do mojej śmierci nie dostaniesz, i w testamencie nic ci nie zapiszę.” Istotnie, dotrzymał słowa: umarł i wszystko zostawił synom, których całe życie trzymał przy sobie wraz z ich żonami i dziećmi i traktował jak służbę; natomiast o Gruszeńce ani słówkiem nie wspomniął. Wszystko to później wyszło na jaw. Wspierał ją jednak radami, jak należy się posługiwać „własnym kapitałem” i wskazywał jej różne „interesy”. Gdy Fiodor Pawłowicz, zetknąwszy się początkowo z Gruszeńką z okazji jakiegoś przypadkowego „geszeftu”, zupełnie nieoczekiwanie dla siebie zakochał się w niej bez pamięci, stary Samsonow, który wtedy już ledwo zipał, bardzo się z tego śmiał. Trzeba wiedzieć, że Gruszeńką przez cały czas znajomości była ze swoim staruszkiem zupełnie i jakby nawet

serdecznie szczerą, z nim jednym, zdaje się, na świecie. Ostatnimi czasy, gdy pojawił się Dymitr Fiodorowicz ze swoją miłością, stary Samsonow przestał się śmiać. Wręcz przeciwnie, kiedyś poważnie i surowo poradził Gruszeńce: „Jeśli wybierać ojca czy syna, to wybierz starego, ale tylko żeby stary łajdak się z tobą ożenił i przedtem zapisał jaki taki fundusz. Z kapitanem zaś nie zadawaj się, nic dobrego z tego nie wyniknie.” Tak poradził Gruszeńce stary rozpustnik, który wówczas przeczuwał rychłą swoją śmierć i nie omylił się, bo oto w pięć miesięcy po udzieleniu tej rady umarł. Dodam jeszcze mimochodem, że w mieście wszyscy wiedzieli o nonsensownej i chorobliwej rywalizacji Karamazowów, ojca i syna, o Gruszeńkę, ale mało kto zdawał sobie jasno sprawę z jej stosunku do obydwóch. Nawet obie służące Gruszeńki (po katastrofie, którą w swoim czasie opiszę) zeznały w sądzie, że Agrafiena Aleksandrowna przyjmowała Dymitra tylko ze strachu, bo „groził, że ją zabije”. Miała przy sobie dwie służące: starą kucharkę, która służyła jeszcze u jej rodziców, chorowitą i głuchą babę, oraz jej wnuczkę, żywą dwudziestoletnią dziewczynę, którą mianowała swoją pokojówką. Mieszkanie jej było kiepsko i skąpo urządzone. Składało się tylko z trzech pokoi, zastawionych pochodzącymi z lat dwudziestych mahoniowymi meblami właścicielki domu. Gdy Rakitin przyprowadził Aloszę, był już zupełny zmierzch, ale światła w pokojach jeszcze nie zapalono. Gruszeńska leżała w salonie na dużej niezgrabnej kanapie z oparciem pod mahoń, twardej, obitej skórą, od dawna już przetartą i podziurawioną. Pod głową miała dwie białe puchowe poduszki z łóżka. Leżała na wznak nieruchomo wyciągnięta, z rękami pod głową. Była ubrana - jak gdyby spodziewała się czyjejś wizyty - w czarną jedwabną suknię, miała szal koronkowy na głowie, w którym jej było do twarzy; na ramionach miała zarzuconą koronkową chustkę, spiętą masywną złotą broszką. Czekala na kogoś, jakby zaniepokojona i zniecierpliwiona, z nieco pobladłą twarzą, pałającymi wargami i oczyma, i noskiem prawego pantofelka niecierpliwie stukala o poręcz kanapy. Gdy Rakitin i Alosza weszli, nastąpił jak gdyby popłoch: słychać było w przedpokoju, że Gruszeńska szybko zerwała się z kanapy i z lękiem zawołała: „Kto tam?” Ale drzwi otworzyła pokojówka, która natychmiast odezwała się:

- To nie on, proszę pani, to kto inny.

- Cóż się tu dzieje? - mruknął Rakitin, wprowadzając Aloszę za rękę do salonu.

Gruszeńska stała przy kanapie, wciąż jak gdyby wystraszona. Gęste pasmo z ciemnoblond warkocza wysunęło się spod szala i opadło na prawe ramię. Lecz nie zwróciła na to uwagi i nie poprawiła włosów, póki nie przyjrzała się dokładnie przybyłym i nie poznała ich.

- Ach to ty, Rakitka? Przestraszyłeś mnie. Z kim przyszedłeś? Któż to jest? Boże mój, kogoś ty sprowadził! - zawołała poznawszy Aloszę.

- Każ zapalić świece! - powiedział Rakitin ze swobodną miną dobrego znajomego i bliskiego człowieka, który ma nawet prawo rozporządzać się w domu.

- Świece... rozumie się, świece... Fienia, przynieś no mu świeczkę... No, wybrałeś się z nim w samą porę! - zawołała znowu wskazując głową Aloszę, po czym odwróciła się do lustra i obydwoma rękami szybko poprawiła włosy.

Była jakby niezadowolona.

- Nie dogodziłem ci? - zapytał Rakitin, prawie obrażony.

- Przestraszyłeś mnie, Rakitka - rzekła i zwróciła się z uśmiechem do Aloszy. - Nie bój się mnie, kochany Alosza, strasznie się cieszę, żeś przyszedł, gościu mój nieoczekiwany. Tyś mnie, Rakitka, przestraszył; myślałam, że Mitia się wdziera. Widzisz, oszukałam go onegdaj, musiał mi dać słowo honoru, że mi będzie wierzył, a sama nakłamałam. Powiedziałam mu, że do Kuźmy Kuźmicza, staruszka mojego, pójdę na cały wieczór i pieniądze będę z nim do nocy liczyć. Przecież co tydzień chodzę do niego rachunki robić. Zamykamy się na klucz: on stuka na liczydło, a ja siedzę i wpisuję do ksiąg - tylko mnie jednej ufa. Mitia uwierzył, że tam jestem, a ja tymczasem zamknęłam się w domu - siedzę i czekam na jedną wielebność. Jakże to Fienia wpuściła was! Fienia, Fienia! Biegnij do wrót, otwórz i rozejrzyj się wokoło, czy nie ma tam kapitana. Może schował się gdzie i wypatruje, strasznie się boję!

- Nie ma nikogo, Agrafieno Aleksandrownno, dopiero co patrzałam, i co chwila przez szparkę zaglądam, sama śmiertelnie się boję.

- Czy okiennice zamknięte? I zasłony warto by spuścić, o tak! - co mówiąc, sama spuściła ciężkie zasłony. - Bo światło go jeszcze zwabi. Miti, twego brata, Alosza, boję się dzisiaj strasznie.

Gruszeńka mówiła głośno; w głosie jej czuło się podniecenie i prawie jakiś zachwyt.

- Cóż to tak nagle Miti się dziś zląkłaś? - zapytał Rakitin. - Zdaje się, robisz z nim, co chcesz, tańczy, jak mu zagrasz.

- Powiadam ci, oczekuję wieści, takiej złotej wieści, i Mitieńka teraz może mi tylko przeszkodzić. I nie wierzył mi, że ja teraz do Kuźmy Kuźmicza poszłam. Zapewne siedzi u siebie, u Fiodora Pawłowicza w ogrodzie, i na mnie czyha. A jeżeli tam zasiadł, to chyba tu nie przyjdzie, tym lepiej! A u Kuźmy Kuźmicza byłam, owszem. Mitia mnie sam odprowadził, powiedziałam, że do północy posiedzę i żeby bezwarunkowo przyszedł o północy, aby mnie do domu odprowadzić. A potem pożegnałam się z nim, posiedziałam dziesięć minut u staruszka i znowu tu przybiegłam; ale się bałam w drodze!

- A cóżeś się tak wystroiła? Patrzajcie, jaki czepiec ciekawy!

- Jakiś ty sam ciekawy, Rakitin! Powiadam ci, oczekuję takiej jednej wieści. Przyjdzie wieść, zerwę się, polecę, i tyle mnie zobaczycie. Potom się wystroiła, aby być gotową.

- Dokądże wyfruniesz?

- Za wiele chcesz wiedzieć, prędko się zestarzejesz.

- Patrzajcie ją, jaka uradowana... Nigdy cię nie widziałem w takim humorze. Wystroiłaś się jak na bal - oglądał ją Rakitin.

- Dużo ty się znasz na balach.

- A ty niby więcej?

- O, ja widziałam bal. Dwa lata temu Kuźma Kuźmicz syna żenił, a ja z galerii patrzyłam. Co będę z tobą, Rakitka, rozprawiała, kiedy tu taki królewicz stoi. Co za gość! Alosza, kochanie moje, patrzę na ciebie i nie wierzę: Boże, jakżeś tu do mnie trafił! Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się tego i nigdy nie wierzyłam, że do mnie kiedy przyjdiesz. Chociaż nie w porę się wybrałeś, ale cieszę się strasznie! Siadaj na kanapie, tu bliżej, o tak, miesiączku ty mój młody! Doprawdy, jeszcze oczom nie wierzę... Ach, Rakitka, gdybyś mi go wczoraj sprowadził albo dwa dni temu!... Hm, ale i tak jestem rada. Może to nawet i lepiej, że teraz, w takiej chwili, a nie dwa dni temu...

Przysiadła się z ożywieniem do Aloszy, bardzo blisko, i patrzyła nań z wyraźnym zachwytem. W istocie była bardzo rada i mówiąc to, nie kłamała. Oczy jej płonęły, wargi śmiały się, ale dobrodusznie i wesoło. Alosza nie spodziewał się ujrzeć tyle dobroci w jej twarzy... Aż do dnia wczorajszego spotykał ją bardzo rzadko, urobił sobie o niej przerażające zdanie, wczoraj zaś tak był wstrząśnięty jej złośliwym i podstępным zachowaniem się względem Katarzyny Iwanowny, że zdawało mu się teraz, iż ma przed sobą zupełnie inną istotę. I jakkolwiek był przygnębiony własnym nieszczęściem, oczy jego mimo woli zatrzymały się na niej z uwagą. Wszystkie jej maniery zmieniły się od wczorajszego dnia na lepsze: nie miała już tej ckliwej słodyczy w głosie, tych wczorajszych przesadnie delikatnych, zmanierowanych ruchów... była prosta, dobroduszna, gesty jej były porywcze, proste, ufne, ale zarazem zdradzały wielkie podniecenie.

- Boże wielki, jak to się dziś wszystko składa, doprawdy - zaszczębiotała ponownie. - I dlaczego się tak cieszę z twego przyjścia, Alosza, sama nie wiem. Zapytaj, a nie potrafię ci odpowiedzieć.

- No, niby nie wiesz - uśmiechnął się Rakitin. - Dawniej wciąż mi głowę suszyłaś, przyprowadź a przyprowadź, miałaś przecież jakieś wyrachowanie.

- Przedtem miałam inne wyrachowanie, teraz przeszło, niesposobna chwila. Ugoszczę was zaraz. Lepsza się zrobiłam, Rakitka. Siadaj i ty, Rakitka, czego sterczysz? Już usiadłeś? No tak, Rakitka o sobie nie zapomni! Siedzi teraz, patrz, Alosza, naprzeciw nas, obrażony: dlaczego najpierw ciebie prosiłam, abyś usiadł. Och, obraźliwy to on jest, a jakże! - roześmiała się Gruszeńka. - Nie złość się, Rakitka, dziś jestem dobra. Ale czegoś ty smutny, Aloszczka, co, może mnie się boisz? - zajrzała mu w oczy z wesołą drwiną.

- Zmartwienie ma. Rangi nie dali - powiedział basem Rakitin.

- Jakiej rangi?

- Starzec jego śmierdzi.

- Jak to śmierdzi? Pleciesz jakieś głupstwa, chcesz powiedzieć coś obrzydliwego. Milcz, głupcze. Pozwolisz, Alosza, usiąść ci na kolanach, o tak! - I nagle skoczyła mu na kolana jak łaszcząca się kotka, śmiejąc się i czule obejmując go prawą ręką za szyję. - Rozweselę cię, mój bogobojny chłopczyku! Nie, naprawdę, pozwolisz mi posiedzieć na kolanach, nie będziesz się gniewał? Nie chcesz, to powiedz, zeskoczę.

Alosza milczał. Siedział nieruchomo, bojąc się poruszyć. Słyszał jej słowa: „Powiedz, to

zeskoczę”, ale nie odpowiedział, jakby zamarł. Ale z innego powodu, niż sądził zapewne Rakitin, obserwujący go obłeśnie ze swego miejsca. Wielkie strapienie jego duszy zagłuszało wszelkie uczucia, jakie mogły się zrodzić w jego sercu. Gdyby mógł sobie w tej chwili w pełni zdać z tego sprawę, stwierdziłby, że nigdy nie był lepiej zabezpieczony od wszelkiej pokusy i zgorzenia. Jednakże mimo tę obojętność i mimo całe przygniatające go strapienie, ze zdziwieniem stwierdził, że w sercu jego rodzi się jakieś nowe, niezwykle uczucie: ta kobieta, ta „straszna” kobieta nie tylko nie budziła w nim takiego lęku, jaki odczuwał względem każdej innej kobiety, lecz wręcz przeciwnie, ta kobieta, której lękał się najbardziej, która siedziała teraz na jego kolanach i obejmowała go, obudziła w nim inne, nieoczekiwane i osobliwe uczucie, uczucie jakiejś niezwyklej, ogromnej i czystej ciekawości, pozbawione wszelkiej domieszki strachu, dawnego przerażenia - oto co było najważniejsze i dziwiło go mimo woli.

- Dajcie już pokój bredniom - zawołał Rakitin - lepiej byś szampana nam podała, dług mam u ciebie, wiesz jaki!

- A prawda, że dług. Przecie ja mu za ciebie poza wszystkim szampana przyrzekłam, jeśli cię przyprowadzi. Niech będzie szampan, i ja się napiję! Fienia, Fienia, przynieś nam szampana, tę butelkę, którą Mitya zostawił, prędzej uwijaj się. Chociem skąpa, dam szampana, nie dla ciebie, Rakitka, ty grzyb jesteś, a on królewicz! I chociaż tym duszy nie uspokoję, ale niech i tak będzie, napiję się z wami, chcę pohulać!

- Co to za chwila i jakaż to „wieść”, można zapytać, czy to sekret? - wtrącił z zaciekawieniem Rakitin, udając, że nie zwraca uwagi na nieustanne docinki Gruszeńki.

- E, nie sekret i sam dobrze wiesz - odrzekła Gruszeńka, naraz znowu zatroskana, zwróciwszy się ku Rakitinowi i odsuwając się nieco od Aloszy (lecz nie schodziła z jego kolan i wciąż obejmowała go za szyję). - Oficer przyjeżdża, Rakitin, mój oficer jedzie!

- Słyszałem, że jedzie, ale czy jest już tak blisko?

- W Mokrem jest, stamtąd przyśle mi wiadomość, sam to pisał, onegdaj list miałam. Siedzę i czekam na umyślnego.

- No, no! Czemuż w Mokrem?

- Długo by o tym gadać, to ci powinno wystarczyć.

- A Mitieńka teraz - o laboga! Wie czy nie wie?

- Co ma wiedzieć! Nic nie wie! Gdyby się dowiedział, zabiłby mnie natychmiast. I nie tego się teraz boję, nie boję się jego noża. Milcz, Rakitka, nie wspominaj mi teraz o Dymitrze Fiodorowiczu, zdręczył mnie. I nie chcę o niczym myśleć w tej chwili. Ot, o Aloszce mogę teraz myśleć, na Aloszkę patrzeć... Uśmiechnij się do mnie, złotko moje, rozwesel się, uśmiechnij się z mojej głupoty, z mojej radości... A przecież uśmiechnął się, uśmiechnął się! Widzisz, jak łagodnie patrzy. Wiesz, Alosza, myślałam, że ty się ciągle na mnie gniewasz za tę onegdajszą historię, za tę panienkę. Byłam suka, zła suka... Ale dobrze, że tak się stało. I źle było, i dobrze - uśmiechnęła się nagle w



zamyśleniu, i jakiś okrutny rys drgnął w jej uśmiešku. - Mitia opowiadał, że krzyczała: „Batem ją trzeba potraktować!” Bardzo ją wówczas obraziłam. Zaprosiła mnie, chciała ująć, czekoladą swoją oczarować... Nie, dobrze, że się tak stało - uśmiechnęła się ponownie. - Tylko się wciąż boję, żeś się rozgniewał...

- To prawda - potwierdził z poważnym zdziwieniem Rakitin. - Prawda, że ona się ciebie boi, takiego kurczaka.

- To dla ciebie, Rakitka, on jest kurczakiem, tak... bo ty sumienia nie masz, tak! A ja, widzisz, kocham go z całej duszy, tak! Czy wierzysz, Alosza, że kocham cię z całej duszy?

- Ach, ty bezwstydnico! Oświadczaj ci się, Aleksy!

- No co, kocham, bo kocham.

- A oficer, a złota wieść z Mokrego?

- To co innego, a tamto znów co innego.

- Masz tobie, babskie rozumowanie!

- Nie złość mnie, Rakitka - podjęła z zapalem Gruszeńka. - To co innego, a tamto co innego. Aloszkę inaczej kocham. To prawda, Alosza, dawniej miałam inne względem ciebie zamiary. Bo podła jestem, szalona, a czasem patrzę na ciebie jak na swoje sumienie. Myślę wciąż: „Ach, jak musi gardzić taką wstrętną!” i onegdaj to pomyślałam, gdym uciekała od tamtej panienki. Dawno już zwróciłam na ciebie uwagę, Alosza, Mitia wie o tym, bo mu mówiłam. Widzisz, Mitia rozumie. Czasem, czy dasz wiarę, doprawdy, Alosza, patrzę na ciebie i wstydzę się, siebie się wstydzę... Jak to się stało, że zaczęłam o tobie myśleć, i od kiedy, sama nie wiem i nie pamiętam...

Weszła Fienia i postawiła na stole tacę, a na niej odkorkowaną butelkę i trzy napełnione kieliszki.

- Szampan na stole! - zawołał Rakitin. - Podniecona jesteś, Agrafieno Aleksandrownno, i nad sobą nie panujesz. Wychylisz kieliszek, to zaczniesz tańczyć. E, nawet tego nie potrafisz tu zrobić - dodał oglądając butelkę. - W kuchni naląła i butelkę przyniosła bez korka, ciepłą. Cóż, niech i tak będzie...

Podszedł do stołu, wziął kieliszek, wypił jednym haustem i nalął sobie ponownie.

- Szampan nie co dzień się trafia - dodał oblizując się. - No, Alosza, bierz kieliszek do ręki, pokaż, co potrafisz. Za co pijemy? Za rajskie wrota? Bierz, Grusza, kieliszek, pij i ty za rajskie wrota.

- Za jakie rajskie wrota?

Wzięła kieliszek. To samo zrobił Alosza, lecz tylko umaczał wargi i odstawił kieliszek z powrotem.

- Nie, lepiej nie! - uśmiechnął się łagodnie.

- A stawiał się, a jakże! - zawołał Rakitin.

- Jeżeli tak, to i ja nie będę - rzekła Gruszeńka - i wcale mi się nie chce. Wypij, Rakitka, sam całą butelkę. Jak Alosza wypije, to i ja też.

- Co za cielejące czułości! - zadrwił Rakitin. - A sama siedzi mu na kolanach! On, powiedzmy, ma zmartwienie, a ty co? On przeciw swemu Bogu się zbuntował, kiełbasę chciał zjeść...

- Co takiego?

- Starzec jego dziś umarł, starzec Zosima, święty.

- Więc umarł starzec Zosima! - zawołała Gruszeńka. - Boże wielki, nic o tym nie wiedziałam! - Przeżegnała się pobożnie. - Boże wielki, a ja co, na kolanach mu siedzę! - zawołała nagle, zerwała się raptem i usiadła na kanapie.

Alosza przeciągle spojrział na nią ze zdziwieniem i twarz jego jak gdyby się wypogodziła.

- Rakitin - rzekł naraz głośno i twardo - nie drażnij mnie, że zbuntowałem się przeciw mojemu Bogu. Nie chcę mieć na ciebie złości, więc i ty bądź lepszy. Straciłem taki skarb, jakiegoś ty nigdy nie miał, i nie możesz mnie teraz sądzić. Popatrz lepiej na nią: widzisz, jak ona mnie oszczędziła? Szedłem tu, aby znaleźć złą duszę - ciągnęło mnie właśnie do tego, ponieważ byłem podły i zły, a znalazłem siostrę prawdziwą, znalazłem skarb - duszę kochającą... Ona mnie teraz oszczędziła... Agrafieno Aleksandrowno, ja o tobie mówię. Moją duszę teraz wskrzesiłaś.

Drgnęły mu wargi i zapało dech. Urwał.

- Już cię zbawiła! - roześmiał się Rakitin złośliwie. - A ona cię połknąć chciała, wiesz o tym?

- Stój, Rakitka! - skoczyła naraz Gruszeńka - milczcie obydwaj. Teraz ja wszystko powiem: nic nie mów, Alosza, bo od twoich słów wstyd mnie bierze, bo zła jestem, a nie dobra - taka jestem. A ty, Rakitka, milcz, bo łżesz. Miałam taką myśl podłą, żeby go schrupać, a teraz ty kłamiesz, teraz nic podobnego... i żeby już tego więcej nie słyszała, Rakitka!

Powiedziała to z niezwykłym wzburzeniem.

- Patrzcie, do reszty oszaleli - syknął Rakitin spoglądając na nich ze zdumieniem - jak obłąkani, jakbym się do czubków dostał. Rozczulili się wzajemnie, płakać zaraz zaczną!

- A właśnie że zaczną płakać, właśnie że zaczną! - przedrzeźniała Gruszeńka - on mnie nazwał siostrą, nigdy tego nie zapomnę! Tylko widzisz, Rakitka, chociaż jestem zła, cebulkę jednak dałam.

- Jaką cebulkę? Tfu, do diabła, naprawdę rozum postradali!

Rakitin dziwił się ich egzaltacji i złościł się, obrażony, chociaż nietrudno było zmiarkować, że

oboje przeżywali chwilę, jaka się rzadko trafia w życiu. Rakitin, bardzo subtelny i wrażliwy, gdy go coś dotyczyło bezpośrednio, był wyjątkowo tępy i gruboskórny względem uczuć i doznań swoich bliźnich - zapewne po części wskutek swego młodzieńczego niedoświadczenia, a po części wskutek wielkiego egoizmu.

- Widzisz, Aloszczka - roześmiała się nerwowo Gruszeńka, zwracając się ku niemu - przed Rakitką pochwaliłam się, że dałam cebulkę, ale przed tobą się nie pochwalę, w innym celu ci to powiem. To tylko bajka, ale ładna bajka, opowiadała mi ją moja Matriona, obecna moja kucharka, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. „Była sobie kiedyś jedna zła baba, no i umarła. I nie zostało po niej ani jednego dobrego uczynku. Chwycili ją diabli i rzucili do ognistego jeziora. Zaś anioł stróż stoi i medytuje: «Jaki by tu znaleźć jej dobry uczynek, by Panu Bogu powiedzieć. » Naraz przypomniał sobie i rzekł do Pana Boga: «Ona, powiada, z warzywnika cebulkę wyrwała i dała żebraczce.» I odpowiedział Pan Bóg: «Weź, mówi, tę cebulkę, wsadź do jeziora, niech się baba za cebulkę chwyci, a ty ją pociągnij; jeżeli ją wyciągniesz z tego jeziora, to niech sobie do raju idzie, jeżeli się cebulka oberwie, to niech zostanie tam, gdzie jest.» Pobieglł anioł do baby, podał jej cebulkę: «Naści, powiada, babo, złap się i trzymaj.» I począł ją ostrożnie wyciągać; już, już miał ją wyciągnąć, gdy inni grzesznicy w jeziorze, zobaczywszy, że ją wyciągają, dalejże czepiać się jej, aby razem z nią się wydostać. A baba była zła, bardzo zła, i zaczęła nogami wierzgać. «Mnie wyciąga, nie was; moja cebulka, nie wasza.» Ledwo to powiedziała, cebulka się urwała. I wpadła baba do jeziora i gore po dziś dzień. A anioł zapłakał i odszedł.” Ot i cała bajka, zapamiętałam ją dobrze, ponieważ sama jestem taką złą babą. Przechwalałam się przed Rakitką, że dałam cebulkę, a tobie inaczej powiem: może tylko jedną cebulkę przez całe życie dałam, ot i wszystkie moje dobre uczynki. I nie chwał mnie po tym wszystkim, Alosza, nie myśl, że jestem dobra, zła jestem, bardzo zła, chwaląc zawstydzasz mnie. Ach, niechże się całkiem pokajam. Słuchaj, Alosza, tak bardzo chciałam ciebie tu zwabić i tak dokuczałam Rakitce, aż mu dwadzieścia pięć rubli obiecałam, jeżeli mi cię przyprowadzi. Stój, Rakitka, poczekaj!

Szybko podeszła do stołu, otworzyła szufladę, wyjęła portmonetkę i dobyte dwudziestopięćrublowy banknot.

- Co za dziecinada! co za dziecinada! - wołał zażenowany Rakitin.

- Bierz, Rakitka, ten dług, na pewno nie odtrącisz, sam prosiłeś. - To mówiąc, rzuciła mu banknot.

- Miałbym jeszcze odtrącić - odpowiedział, nadrabiając miną, Rakitin - bardzo mi to na rękę, głupcy żyją po to, aby mądry człowiek miał z nich profit.

- A teraz milcz, Rakitka, wszystko, co teraz powiem, nie jest dla ciebie. Zaszuj się tu w kąci i milcz, nie kochasz nas, to sobie milcz.

- A za cóż bym miał was kochać? - warknął Rakitin nie maskując już złości. Dwadzieścia pięć rubli wsunął do kieszeni. Wyraźnie wstydział się Aloszy. Liczył na to, że pieniądze dostanie potem, tak żeby nikt nie wiedział, więc ze wstydu zawrzał gniewem. Do tej chwili uważał za stosowne nie odpowiadać na nieustanne docinki Gruszeńki, widać było, że ona trzyma go w szachu jakimś sekretem. Ale teraz ostatecznie się rozżłościł. - Kocha się za coś, wy zaś oboje coście mi dobrego

wyświadczyli?

- Powinieneś kochać za nic, tak jak Alosza.

- A niby jak on cię tak kocha i co on ci takiego zrobił, że się z nim tak cackasz?

Gruszeńka stała pośrodku pokoju. Mówiła z zapalem i w głosie jej zabrzmiał ton hysterii:

- Milcz, Rakitka, nic ty nie rozumiesz! I nie waż mnie się odtąd tykać, nie pozwalam ci, cóżes się tak rozzuchwalił! Zaszyj się w kącie i milcz, jak mój lokaj! A teraz, Alosza, całą prawdę ci wyłożę, tylko tobie, żebyś wiedział, jaka ze mnie jędza! Nie do Rakitki mówię, lecz do ciebie. Chciałam cię zgubić, Alosza, wielka to prawda, taki parol na ciebie zagiełam; tak tego pragnęłam, że podkupiłam Rakitkę, żeby cię tu przyprowadził. I czemu tego pragnęłam? Tyś wcale tego nie widział, odwracałeś się ode mnie, przechodziłeś obok - oczy spuszczałeś, a ja na ciebie sto razy spoglądałam, wszystkich zaczęłam wypytywać. Twarz twoja w sercu mi utkwiała. „Pogardza mną, myślałam, spojrzeć nawet nie chce.” I takie mnie w końcu opętało uczucie, że sama się sobie dziwiłam: „Czego się takiego chłopczyka lękam? Schrupię go całego i śmiać się tylko będę.” Strasznie się rozżłościłam. Czy uwierzysz, nikt tu nie śmie powiedzieć ani pomyśleć, że do Agrafieny Aleksandrowny chodzą; tylko mój staruszek, zaprzędana mu jestem, związana z nim, diabeł nas pozenił; ale nikt inny. A patrząc na ciebie, postanowiłam sobie: „Schrupię go. Schrupię i śmiać się będę.” Widzisz, jaka ze mnie zła suka i taką nazwałeś swoją siostrą! A teraz przyjechał ten mój krzywdziciel, siedzę tu i czekam wieści. A czy wiesz, kim był dla mnie ten mój krzywdziciel? Pięć lat temu, jak przywiózł mnie tu Kuźma, siedziałam, od ludzi stroniłam, żeby mnie nie widzieli i nie słyszeli, chudziutka, głupiutka, siedziałam i płakałam, po całych nocach płakałam - myślałam sobie: „I gdzie on teraz, ten mój krzywdziciel? Śmieje się zapewne z inną. Żeby go tylko zobaczyć, myślę sobie, żeby tylko kiedy spotkać, to ja mu już odpłacę, to ja mu już odpłacę!” W nocy, w ciemnościach, szlochałam gorzko, wszystko to przemyślałam, serce moje umyślnie rozdzierałam, syciłam je złością: „Już ja mu odpłacę, już ja mu odpłacę!” I tak na głos czasem mówiłam w ciemnościach. A jak uświadamiałam sobie nagle, że nic mu nie zrobię, że on się ze mnie teraz śmieje, a może nawet zapomniał, może nie pamięta, rzucałam się z łóżka na podłogę, płakałam z bezsilności i trzęsłam się, trzęsłam się do świtu. Rano wstaję gorsza od psa, chętnie bym wszystkich kąsała. Potem, co myślisz: zaczęłam pieniążki zbijać, pozbyłam się wszelkiej litości, roztyłam - myślisz, że zmądrzałam, co? Nic podobnego, nikt nie wie i nie widzi tego na całym świecie - ledwo zapada mrok, tak jak pięć lat temu, leżę tu czasem, zgrzytam zębami i całą noc płaczę. „Już ja mu odpłacę, odpłacę!...” - myślałam. Słyszałeś? Ano, jakże mnie teraz osądzisz: miesiąc temu dostaję nagle ten list - jedzie tu, owdowiał, chce się ze mną zobaczyć. Dech mi zaparło. „Boże, myślę sobie naraz, jak przyjdzie, jak gwizdnie na mnie, zawoła, to polecę jak zbity pies, łasić się będę!” Myślę sobie i sama nie wierzę: „Podła jestem czy niepodła, pobiegnę do niego czy nie pobiegnę?” I stale mnie złość ogarniała na siebie przez cały ten miesiąc, gorzej nawet niż pięć lat temu. Widzisz teraz, Alosza, jaka jestem wściekła, jaka dzika, całą ci prawdę wypaliłam! Mitią się bawiłam, aby do tamtego nie biec. Milcz, Rakitka, nie ty masz mnie sądzić, nie dla ciebie mówiłam. Zanimieście przyszli, leżałam tu, czekałam, medytowałam, o losie moim myślałam, i nigdy się nie dowiecie, co przeżyłam. Nie, Alosza, powiedz swojej panience, żeby nie gniewała się za onegdajsze!... I nie wie nikt na świecie, jak mi jest teraz i nikt nie może wiedzieć... Bo ja może dzisiaj tam nóż ze sobą wezmę, jeschcem tego nie postanowiła...

I wyrzekłszy to „żałosne” słowo, Gruszeńka nagle nie wytrzymała, nie dokończyła, zasłoniła

twarz rękami, rzuciła się na poduszki i zaszlochała jak małe dziecko. Alosza wstał i podszedł do Rakitina.

- Misza - powiedział - nie gniewaj się. Ona cię obraziła, ale ty się nie gniewaj. Czy słyszałeś, co teraz mówiła? Nie można tyle wymagać od duszy ludzkiej, trzeba być bardziej litościwym...

Mówił z niepowstrzymanego porywu serca. Musiał się wypowiedzieć, zwrócił się więc do Rakitina. Gdyby go tu nie było, mówiłby sam do siebie. Ale Rakitin spojrzał na niego drwiąco i Alosza zamilkł nagle.

- Nabito cię onegdaj twoim starcem i teraz we mnie strzeliłeś, Aloszeńka, służko Boży - rzekł Rakitin z nienawistnym uśmiechem.

- Nie śmiej się, Rakitin, nie drwij, nie mów o nieboszczyku: większy jest od wszystkich, którzy żyli na tej ziemi! - zawołał Alosza z płaczem w głosie. - Nie jako sędzia przemówiłem do ciebie, lecz jako ostatni z podsądnych. Czymże jestem wobec niej? Szedłem tu, aby zginąć, i mówiłem sobie przez swoją małoduszność: „A niech się stanie, niech!” a ona, po pięciu latach męki, ledwo kto przyszedł i pierwsze serdeczne słowo jej powiedział - wszystko przebaczyła, o wszystkim zapomniała i tylko płacze! Krzywdziciel jej wrócił, wzywa ją, a ona wszystko mu przebacza i śpieszy ku niemu w radości, i nie weźmie noża, nie weźmie! Nie, nie jestem taki. Nie wiem, Misza, czy ty jesteś taki, ale ja taki nie jestem. Dziś, teraz miałem naukę... Ona prześciga nas w miłości... Czy słyszałeś kiedy od niej to, co teraz mówiła? Nie, nie słyszałeś; gdybyś słyszał, dawno byś wszystko zrozumiał... i tamta, obrażona onegdaj, niech i ona jej przebaczy! I przebaczy jej, gdy się dowie... a dowie się! To dusza jeszcze nie pojednana, trzeba ją oszczędzać... W tej duszy może być skarb...

Umilkł, tchu mu zabrakło. Rakitin, mimo całą złość, spoglądał ze zdziwieniem. Nigdy nie spodziewał się po małomównym Aloszy takiej tyrady.

- A to adwokat się znalazł! Doprawdy, zakochałeś się w niej czy co? Agrafieno Aleksandrowno, nasz postnik doprawdy zakochał się w tobie, zwyciężyłaś! - zawołał z zuchwałym śmiechem.

Gruszeńka uniosła głowę i popatrzała na Aloszę z rozrzewnionym uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz, nabrzmiałą nagle od płaczu.

- Zostaw go, Alosza, cherubinie mój, widzisz, jaki to człowiek, nie ma co z nim mówić. Ja, Michale Osipowiczu - zwróciła się do Rakitina - chciałam cię przeprosić za to, że cię wyłajałam, ale teraz znowu mi się odechciało. Alosza, chodź do mnie, siadaj tu - przyzywała go z radosnym uśmiechem - o tak, usiądź tu, powiedz (wzięła go za rękę i zajrzała mu z uśmiechem w oczy) - powiedz mi: czy kocham tamtego, czy nie? Kocham mego krzywdziciela czy nie? Leżałam tu przedtem w ciemnościach, wciąż pytałam się serca: kocham go czy nie kocham? Rozstrzygnij, Alosza, nadszedł czas, jak uznasz, tak będzie. Przebaczyć mu czy nie?

- Przecie już przebaczyłaś - odpowiedział z uśmiechem.

- I naprawdę przebaczyłam - rzekła Gruszeńka w zamyśleniu. - Jakie to serce podłe! Za moje

podłe serce! - chwyciła naraz kieliszek ze stołu, wypła duszkiem, podniosła go i cisnęła o ziemię. Szkło rozbiło się z brzękiem. Jakiś wyraz okrucieństwa przemknął w jej uśmiechu.

- A może wcale nie przebaczyłam - powiedziała groźnie, spuściwszy powieki, jakby rozmawiając ze sobą. - Może moje serce dopiero sposobi się przebaczyć. Pomocuję się jeszcze z tym sercem. Widzisz, Alosza, strasznie polubiłam te moje pięcioletnie łyzy... Ja może tylko moją krzywdę kochałam, a wcale nie jego!

- No, nie chciałbym być w jego skórze! - syknął Rakitin.

- I nie będziesz, Rakitka, nigdy w jego skórze nie będziesz. Buty mi będziesz czyścić, Rakitka, na to cię tylko przeznaczyłam, i nie zobaczysz w swoim życiu takiej jak ja... I on może nie zobaczy...

- On? A po coś się tak wystroiła? - drażnił ją złośliwie Rakitin.

- Nie wymawiaj mi stroju, Rakitka, nie znasz jeszcze mojego serca. Zechcę, to zerwę z siebie te łąszki, natychmiast zerwę, w tej chwili - zawołała dźwięcznym głosem. - Nie wiesz, po co ten strój, Rakitka! Może wyjdę do niego i rzeknę: „A widziałeś mnie taką?” Przecie rzucił siedemnastoletnią, chudziutką, suchotniczą płaksę. Siadę przy nim, rozpalę go: „Widzisz, jaka teraz jestem, powiem, i dosyć, łąskawy panie! Po brodzie ciekło, a do gęby nie wpadło!” - może po to się tak wystroiłam, Rakitka - zakończyła Gruszeńka ze złośliwym śmieszkiem. - Wściekła jestem, Alosza, dzika. Zedrę z siebie strój, pokaleczę siebie, swoją piękność, spalę sobie twarz i pokroję nożem, pójdę na żebry. A jak zechcę, to nigdzie nie pójdę - i do nikogo; jak zechcę, to od razu jutro odeślę Kuźmie wszystko, co mi podarował, wszystkie jego pieniądze, a sama na całe życie stanę się zwykłą robotnicą najemną!... Myślisz, że nie zrobię tego, Rakitka, że nie ośmielę się tego zrobić? Zrobię, zrobię, teraz mogę to zrobić, nie drażnijcie mnie tylko... ale tego wypędzę, temu figę pokażę, ten mnie nie zobaczy!

Ostatnie słowa wykrzykiwała histerycznie, ale znowu nie wytrzymała, ukryła twarz w dłoniach, padła na poduszki i zatrzęsła się od łkania. Rakitin wstał.

- Czas już - rzekł - późno, do monasteru nie wpuszczą.

Gruszeńka zerwała się na równe nogi.

- Czyżbyś i ty chciał odejść, Alosza?! - zawołała z gorzkim zdziwieniem. - Cóż ty ze mną wyprawiasz: wstrząsałeś, rozstroileś, a teraz znowu ta noc, teraz znowu sama mam zostać!

- Chyba nie przenocuje u ciebie? Zresztą skoro chcesz, niech i tak będzie! Sam pójdę! - zażartował zjadliwie Rakitin.

- Milcz, zła duszo - zawołała z wściekłością Gruszeńka - nigdy takich słów mi nie mówiłeś, jakie on mi powiedział.

- Cóż takiego ci powiedział? - mruknął rozdrażniony Rakitin.

- Nie wiem, nie wiem, nic nie wiem, co on mi takiego powiedział, sercu się przyśniło, serce mi całkiem przewróciło... Pierwszy, jedyny nade mną się zlitował! Dlaczego, aniele, nie przyszedłeś do

mnie wcześniej! - upadła nagle przed Alosza na kolana. - Całe życie czekałam na takiego jak ty, wiedziałam, że taki przyjdzie i przebaczy mi. Wierzyłam, że i mnie ktoś pokocha, nikczemną, nie tylko za hańbę!...

- Cóż ja takiego zrobiłem? - rzekł z tkliwym uśmiechem Alosza, nachylając się nad nią i delikatnie ujmując za ręce - cebulkę tylko ci podałem, małą cebulkę tylko, nic więcej!...

To rzekłszy rozplakał się. W tej chwili w sieni rozległ się hałas, ktoś wszedł do przedpokoju. Gruszeńka zerwała się, przerażona. Do pokoju z krzykiem i hałasem wbiegła Fienia.

- Panienko złota, panienko, umyślny przyjechał! - zawołała radośnie, ledwo dysząc. - Powóz po panienkę z Mokrego zajechał, Timofiej z trójką, zaraz zmienia konie... List, list, panienko, oto list!

Przez cały czas Fienia machała listem trzymanym w ręku. Gruszeńka wyrwała jej list i zbliżyła się do świeczki. List zawierał zaledwie kilka wierszy, przeczytała je jednym tchem.

- Zawołał! - krzyknęła, blada, z twarzą wykrzywioną bolesnym uśmiechem. - Gwizdnął! Pełzaj, piesku!

Chwilę tylko stała niezdecydowana; nagle krew jej napłynęła do głowy i zalała policzki purpurą.

- Jadę! - zawołała nagle. - Pięć lat! Żegnajcie! Do widzenia, Alosza, teraz rozstrzygnął się mój los... Idźcie, idźcie, idźcie już sobie wszyscy, nie chcę was widzieć ani chwili dłużej!... Gruszeńka pofrunie w nowe życie... Nie myśl o mnie źle i ty, Rakitka... Może na śmierć idę! Och! Jak pijana!

I nie patrząc na nich, pobiegła do sypialni.

- No, teraz o nas nie myśli! - warknął Rakitin. - Chodźmy, bo jeszcze znowu zaczniesz się babski pisk, przykrzyły mi się te łzawe krzyki...

Alosza bezwolnie dał się wyprowadzić. Na dworze stał tarantas, wyprzęgano konie, stangret krzątał się z latarką. Przez otwarte wrota prowadzono nową trójkę. Ledwo jednak Alosza i Rakitin zeszli z ganku, otworzyło się na górze okienko i Gruszeńka dźwięcznym głosem zawołała do Aloszy:

- Aloszczka, kłaniaj się swemu braciszкови, Miti, i powiedz mu, by o mnie, podłej, nie myślał źle. I powtórz mu moje słowa: „Łajdak dostał Gruszeńkę, a nie ty, szlachetny!” I dodaj też, że Gruszeńka kochała tylko godzinkę, tylko jedną godzinkę - więc żeby odtąd sobie tę godzinkę na całe życie zapamiętał, tak mu każe Gruszeńka, na całe życie!...

Zakończyła głosem nabrzmiętym od łkań. Okno się zatrasnęło.

- Hm, hm! - mrucał Rakitin, śmiejąc się - zarżnęła Mitieńkę, i jeszcze mu każe na całe życie zapamiętać. Co za krwiożerczość!

Alosza nic nie odpowiedział, jak gdyby wcale nie słyszał; szedł z Rakitinem prędko, zdawałoby się, że strasznie się spieszy; był jakby nieobecny i poruszał się machinalnie. Rakitina nagle coś

ukłuło, jak gdyby ktoś dotknął palcem jego świeżej rany. Zupełnie czego innego się spodziewał, gdy zetknął ich ze sobą; wypadło inaczej, niż pragnął.

- To Polak, ten jej oficer - odezwał się znowu, hamując się - i nawet wcale nie oficer, na komorze celnej w Syberii był urzędnikiem, gdzieś tam nad granicą chińską, pewno jakiś chuderlawy Polaczek. Powiadają, że posadę stracił. Posłyszał teraz, że Gruszeńka ma pieniądze, więc wrócił - oto i cały cud.

Alosza znowu puścił to mimo uszu. Rakitin stracił już panowanie nad sobą:

- Cóż, nawróciłeś grzesznicę? - roześmiał się złośliwie do Aloszy. - Zawróciłeś grzesznicę na drogę prawdy? Siedem diabłów wypędziłeś, co? Oto gdzie się spełniły te wasze cuda oczekiwane!

- Przestań, Rakitin - odezwał się z bólem w sercu Alosza.

- Ty mną teraz za te dwadzieścia pięć rubli pogardzasz? Sprzedałem, niby, prawdziwego przyjaciela. Ale tyś przecie nie Chrystus, a jam nie Judasz.

- Ach, Rakitin, zapewniam cię, że zapomniałem o tym - zawołał Alosza - sam mi to teraz przypomniałeś...

Ale Rakitin rozgniewał się na dobre.

- Niech was wszystkich razem i każdego z osobna diabli wezmą! - wrzasnął nagle. - I po co, do licha, się z tobą związałem! Nie chcę cię znać więcej! Idź sobie sam, ruszaj swoją drogą!

I skręcił nagle w inną ulicę, zostawiwszy Aloszę samego w ciemnościach. Alosza wyszedł z miasta i skierował się przez pole ku monasterowi.

## IV KANA GALILEJSKA

Było już bardzo późno jak na zwyczaje panujące w monasterze, gdy Alosza wrócił do pustelni; odzwierny wpuścił go przez boczne wejście. Wybiła już dziewiąta - godzina ogólnego wytchnienia i odpoczynku po dniu tak niespokojnym. Alosza nieśmiało otworzył drzwi i wszedł do celi, w której stała trumna. Był tu tylko ojciec Paisij, czytający nad trumną Ewangelię; młody nowicjusz Porfiry, strudzony wczorajszą nocną gawędą i dzisiejszym rozgardiaszem, spał w drugim pokoju na podłodze mocnym młodzieńczym snem. Ojciec Paisij usłyszał, jak wszedł Alosza, lecz ani się obejrzał. Alosza doszedł do prawego kąta, ukląkł i zatopił się w modlitwie. Dusza jego była pełna po brzegi, ale uczucia, które ją przepełniały, były niewyraźne, żadne nie wyróżniało się, jedno wypierało drugie jakimś równomiernym, spokojnym kołowrotem. Ale w sercu miał słodycz i, rzecz niepojęta, nie dziwiło go to. Znowu miał przed sobą tę trumnę, te zakryte, tak mu drogie zwłoki, a jednak nie odczuwał już, jak rano, płacziwej, ostrej, piekającej żalości. Wszedłszy, upadł przed trumną jak przed



ołtarzem, lecz radość, radość promieniała w jego sercu i umyśle. W celi jedno okienko było otwarte, wpływało świeże i chłodne powietrze. „A zatem zaduch wzmógł się, skoro postanowiono otworzyć okno” - pomyślał Alosza. Ale nawet myśl o zaduchu trupim, niedawno jeszcze tak przerażająca i hańbiąca, nie budziła teraz oburzenia i bólu. Zaczął cicho odmawiać modlitwy, lecz niebawem uprzytomnił sobie, że powtarza je niemal machinalnie. Strzępy myśli przebłykiwały w mózgu jak gwiazdeczki, gasły natychmiast, ustępując miejsca innym; mimo to duszę ogarnęła jakaś zwarta treść, twarda i nasycająca, która docierała również do świadomości. Chwilami modlił się żarliwie, tak chciał dziękować i kochać... Jednak ledwo zaczynał modlitwę, wpadał w zadumę, zapamiętywał się, zapominał o modlitwie i przerywał ją. Potem zaczął przysłuchiwać się słowom ojca Paisija i, ogromnie znużony, powoli zapadł w drzemkę...

- „A dnia trzeciego były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej; a była tam Matka Jezusowa. Wezwan też był i Jezus, i uczniowie Jego na gody.”

- Gody? Co za... gody - przemknęło jak wicher przez głowę Aloszy. - I na nią też radość przyszła... pojechała na ucztę... Nie, nie wzięła noża, nie wzięła... To było tylko „żałosne” słowo... Tak... trzeba pobłażać żalonym słowom, tak, stanowczo. Żalosome słowa pocieszają duszę... Bez nich zmartwienie byłoby za ciężkie. Rakitin poszedł w boczną ulicę. Póki będzie myślał o swojej krzywdzie, póty będzie tkwił w bocznej ulicy... A droga... droga jest szeroka, prosta, jasna, kryształowa, a na jej końcu jest słońce... Co?... co czyta?

- „...A gdy nie stawało wina, rzekła Matka Jezusowa do Niego: «Wina nie mają...», - usłyszał Alosza.

- Ach tak, opuściłem to, a nie chciałem opuścić, lubię to miejsce. To Kana Galilejska, pierwszy cud. Ach, to cud, ach, to miły cud! Nie cierpienie, lecz radość ludzką odwiedził Chrystus, po raz pierwszy czyniąc cud, radości ludziom przysporzył... „Kto kocha ludzi, ten kocha również radość...” Nieboszczyk powtarzał to nieustannie, była to jedna z naistotniejszych jego myśli... Bez radości nie ma życia, mówi Mitia... Tak, Mitia... Wszystko, co jest prawdziwe i piękne, zawsze jest pełne wszechprzebaczenia - przecież On tak mówił...

- „I rzekł Jej Jezus: «Co mnie i tobie, niewiasto? jeszcze nie przyszła godzina moja.» Rzekła Matka Jego sługom: «Cokolwiek wam rzecze, czyńcie...»,’

- Czyńcie... Radość, radość jakimś biednym, bardzo biednym ludziom... Ma się rozumieć, że biedni, skoro nawet na wesele nie starczyło im wina... Piszą przecie historycy, że w okolicach jeziora Genezaret mieszkała wówczas największa biedota... I wiedziało inne wielkie serce innej wielkiej istoty, będącej z Nim razem, serce Jego Matki, że zstąpił na ziemię nie tylko gwoli swej straszliwej i wielkiej ofiary, że do serca Jego znajdzie dostęp również prosta, niewymyślna radość jakichś ciemnych, bardzo ciemnych i prostych ludzi, którzy Go zaprosili na swoje ubogie wesele. „Jeszcze nie przyszła godzina moja.” Rzekł to z łagodnym uśmiechem (na pewno uśmiechał się łagodnie)... Istotnie, czyż po to zstąpił na ziemię, aby przysporzyć wina na ubogich godach? A przecie poszedł i uczynił zadość Jej prośbie... Ach, znowu czyta...

- „Rzekł im Jezus: «Napełnijcie stągwie wodą.» I napełnili je aż do wierzchu.

I rzekł im Jezus: «Czerpajcież teraz, a donieście przełożonemu wesela.»

A gdy skosztował przełożony wesela wody, która się stała winem, a nie wiedział, skąd by było (lecz słudzy widzieli, którzy wodę czerpali), wezwał oblubieńca przełożony wesela.

I rzekł mu: «Wszelki człowiek pierwaj kładzie wino dobre, a gdy się napiją, tedy podlejsze; a tyś dobre wino zachował aż do tego czasu.»,,

- Ale cóż to, cóż to? Czemu pokój się rozsuwa... Ach tak, przecież to gody, wesele... tak, naturalnie. Oto i goście, oto i młodzi siedzą, i wesoly tłum i... gdzie jest mądry przełożony wesela? Ale kto to? Kto? Znowu rozsunął się pokój... Kto wstaje tam zza wielkiego stołu? Jak to... I on tu jest? Przecie leży w trumnie... Jest i tu... wstał, zobaczył mnie, idzie tu... Chryste Panie!...

Tak, ku niemu, ku niemu podchodzi ten chudy staruszek z drobnymi zmarszczkami na twarzy, rozpromieniony i uśmiechnięty. Nie ma już trumny - staruszek ma na sobie tę samą odzież, w której siedział wczoraj z nimi i rozmawiał bezpośrednio przed zgonem. Oblicze odsłonięte, oczy błyszczą. Jak to, a więc i on jest na godach, i on też jest przyzwany na wesele do Kany Galilejskiej?...

- Też, mój drogi, też przyzwany, przyzwany i powołany - rozlega się nad nim cichy głos. - Dlaczego tak się ukryłeś, że cię nie widać... Chodź i ty do nas.

„To jego głos, głos starca Zosimy... I czy to może być kto inny, skoro wzywa?” Starzec wziął Aloszę za rękę. Alosza wstał.

- Radujemy się - podjął - pijemy wino nowe, wino radości nowej, wielkiej; widzisz, ile gości? Oto i oblubieniec, i oblubienica, oto i mądry przełożony wesela kosztuje nowego wina. Czego tak na mnie patrzysz? Cebulkę podałem, więc i ja tu jestem. I wielu z obecnych podało tylko cebulkę, jedną małą cebulkę... Co znaczą nasze czyny? I ty, cichy, i ty, łagodny mój chłopcze, i ty podałeś dziś cebulkę łaknącej. Zaczynaj, miły, zaczynaj, łagodny, swe dzieło!... A czy widzisz słońce nasze, czy widzisz Go?

- Boję się... nie śmiem spojrzeć... - szepnął Alosza.

- Nie bój się Go. Straszny jest swoją wielkością, przerażający swą wysokością, lecz nieskończenie miłosierny; upodobił się do nas, bo nas miłuje, i weseli się z nami, wodę w wino przemienia, aby nie skończyła się radość gości, nowych gości wypatruje, nowych wciąż wzywa na wieki wieków. Oto i wino przynoszą, widzisz, niosą stągwie...

Coś płonęło w sercu Aloszy, coś przepełniło je aż do bólu, łzy zachwyty rwały się z duszy... Wyciągnął ręce, krzyknął i obudził się...

Znowu trumna; okno otwarte i cichy, poważny, dobitny głos, czytający Ewangelię. Lecz Alosza nie słuchał. Rzecz dziwna, zdrzemnął się na klęczkach, a teraz obudził się stojąc: nagle zerwał się z miejsca i trzema stanowczymi krokami podszedł do samej trumny. Potracił nawet ramieniem ojca Paisja, ale nie zauważył tego. Ojciec Paisij na chwilę podniósł nań oczy i spuścił je natychmiast, rozumiejąc, że z chłopcem dzieje się coś niezwykłego. Alosza pół minuty spoglądał na trumnę, na

zakrytego, nieruchomego, wyciągniętego trupa, z ikoną na piersiach i ośmioramiennym krzyżem na kapturze. Dopiero co słyszał jego głos - brzmiał mu jeszcze w uszach. Nasłuchiwał dalej, spodziewał się dalszych słów... i naraz, obróciwszy się gwałtownie, wyszedł z celi.

Nie zatrzymał się na ganku, prędko zszedł na dół. Zachwytem przepęlniona dusza pragnęła wolności, wolnych rozłogów. Nad nim zawisł ogromny strop niebieski, usiany cichymi, migocącymi gwiazdami. Od zenitu do widnokregu majaczyła niewyraźnie Droga Mleczna. Orzeźwiająca i aż zamarła w cichości noc obiegała ziemię. Białe wieżyczki i złote kopuły soboru połyskiwały na szafirowym niebie. Jesienne wspaniałe kwiaty na klombach przed domem zasnęły do rana. Cisza na ziemi zlewała się jak gdyby z ciszą niebios, tajemnica ziemi stykała się z tajemnicą niebios... Alosza stał, patrzył i nagle, jak podcięty, runął na ziemię.

Nie wiedział, czemu ją obejmuje, nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak niepowstrzymanie chce ją całować, całować całą, lecz całował ją z płaczem, z łkaniem, oblewając łzami i nieprzytomnie ślubował, że będzie ją kochał na wieki wieków. „Zroś ziemię łzami radości swojej i kochaj łzy swoje...” - zadźwięczało mu w duszy. Dlaczego płakał? O, w swoim zachwycie płakał nawet za tymi gwiazdami, które świeciły mu z bezdni, i „nie wstydził się szaleństwa swego”. Jak gdyby nici ze wszystkich światów zbiegły się w jego duszy - drżała „stykając się z innymi światami”. Chciał przebaczyć wszystkim i za wszystko prosić o przebaczenie - o! nie dla siebie - dla wszystkich, za wszystko i dla wszystkiego, bo „dla mnie inni już proszą” - zadźwięczało znowu w jego duszy. I z każdą sekundą, czuł to wyraźnie i jakby namacalnie, coś wielkiego i niewzruszonego, jak ów strop niebieski, zstępowało do jego duszy. Jakby jakaś idea zapanowała w jego umyśle - i to już na całe życie, na wieki wieków. Padł na ziemię jako słaby młodzieniec, a podniósł się jako niezłomny wojownik; uświadomił to sobie i poczuł to nagle w chwili swego zachwytu. I nigdy, nigdy nie mógł Alosza zapomnieć owej chwili. „Ktoś nawiedził wówczas moją duszę!” - mówił później z głęboką wiarą w swoje słowa...

W trzy dni potem wystąpił z monasteru, zgodnie z zaleceniem zmarłego starca Zosimy, który mu kazał „przebywać w świecie”.

# KSIĘGA ÓSMA

## MITIA

### I

#### KUŹMA SAMSONOW

Tymczasem Dymitr Fiodorowicz, któremu Gruszeńka, odchodząc na nowe życie, przesłała ostatnie pozdrowienia i „kazała” na wieki zapamiętać godzinkę jej miłości, był w straszliwym zamęcie i tarapatach, jakkolwiek nie wiedział nic o nowych, groźnych jej zamiarach. Ostatnie dwa dni przemęczył się w takim stanie ducha, że doprawdy był bliski pomieszania zmysłów, jak to sam później twierdził. Jak wiadomo, poprzedniego dnia Alosza próżno szukał go przez cały ranek, Iwan zaś bezskutecznie czekał na niego w restauracji. Gospodarze Dymitra Fiodorowicza na jego polecenie nie zdradzili nikomu, gdzie przebywa. Przez te dwa dni Dymitr Fiodorowicz literalnie szarpał się i miotał na wszystkie strony „zmagając się ze swoim losem i ratując siebie”, jak się później wyraził, i nawet na kilka godzin wyjechał z miasta w pilnej sprawie, chociaż tak się lękał zostawić Gruszeńkę bodaj na chwilkę bez nadzoru. Wszystko to wyszło później na jaw dokumentnie i szczegółowo. Lecz teraz ograniczymy się do najważniejszych momentów historii owych okropnych dwóch dni, poprzedzających straszliwą katastrofę, która tak znienacka rozszalała nad jego losem.

Gruszeńka w istocie kochała go godzinkę szczerze i prawdziwie, lecz przeważnie dręczyła go okrutnie, bez litości. Ale nic go tak nie męczyło, jak zupełna nieświadomość co do jej najbliższych zamiarów; żadną miarą nie mógł jej wybadać, ani po dobroci, ani przemocą. Rozumiał bowiem doskonale, że nic nie wskóra, że najwyżej tylko rozgniewa ją i ściągnie na siebie jej niełaskę. Zresztą wyczuwał wówczas trafnie, że Gruszeńka sama nic nie wie, że walczy z sobą, że się jakoś dziwnie waha, że pragnie na coś się zdecydować, ale nie może; przeczuwał więc słusznie, z zamierającym sercem, że są chwile, kiedy Gruszeńka nienawidzi go wraz z całą jego namiętnością. Może tak istotnie i było, ale za czym właściwie tęskniła Gruszeńka, tego mimo wszystko nie rozumiał. W istocie cała męcząca kwestia sprowadzała się, jego zdaniem, do dylematu: „albo on, Mitia, albo Fiodor Pawłowicz”. Tu trzeba przy okazji ustalić jeden niezbity fakt: Dymitr był bezwzględnie przeświadczony, że Fiodor Pawłowicz na pewno zaproponuje (jeżeli jeszcze nie zaproponował) Gruszeńce małżeństwo, ponieważ wie, że Gruszeńka nie zadowolili się trzema tysiącami: Mitia znał przecie Gruszeńkę i jej charakter. Zdawało się więc Miti chwilami, że cała męka Gruszeńki i jej wahanie pochodzi stąd, że nie wie, kogo wybrać, kto z nich będzie wygodniejszy. Dziwna rzecz: ani razu nie pomyślał o rychłym powrocie „oficera”, którego Gruszeńka oczekiwała z takim lękiem i wzburzeniem. Co prawda Gruszeńka ostatnio nie poruszała z nim tego tematu. Ale bądź co bądź zawiadomiła go o liście otrzymanym miesiąc temu od dawnego uwodziciela, co więcej, nie zataiła przed nim po części treści listu. Pokazała mu ten list w chwili złego humoru, lecz Dymitr, ku jej wielkiemu zdumieniu, nie przywiązywał doń żadnej wagi. Trudno byłoby wyjaśnić tę obojętność; może płynęła stąd, że zmiażdżony całą hańbą i okropnością rywalizacji z rodzonym ojcem, nie mógł już sobie wyobrazić, wówczas przynajmniej, nic nad to straszliwszego i niebezpieczniejszego. Nie

chciał zgoła wierzyć w istnienie, a zwłaszcza w rychły powrót narzeczonego, który naraz wyskoczył skądś po pięciu latach zapomnienia. Zresztą w tym pierwszym liście „oficer” niewyraźnie napomykał o przyjeździe: całość była nader mglista, styl górnolotny i ogromnie sentymentalny. Lecz trzeba wiedzieć, że Gruszeńka tym razem nie pokazała Dymitrowi ostatnich wierszy listu, które już nieco wyraźniej mówiły o powrocie. Poza tym Mitieńka, jak to sobie później przypominał, w tej samej chwili dostrzegł na twarzy Gruszeńki jakiś mimowolny wyraz dumnej pogardy względem tego posłania z Syberii. O dalszej zaś korespondencji z nowym rywalem Gruszeńka nic mu nie wspominała. Toteż niebawem zupełnie zapominał o oficerze. Był zaprzątnięty myślą o nieuniknionym ostatecznym starciu z Fiodorem Pawłowiczem, które, jego zdaniem, musiało niebawem nastąpić, jakkolwiek by się rzeczy ułożyły. Z trwogą w sercu każdej chwili oczekiwał postanowienia Gruszeńki, wierząc, że zapadnie ono nagle, niejako pod wpływem natchnienia. O tak, raptem powie mu Gruszeńka: „Weź mnie, jestem twoją na wieki” - i wszystko się skończy: chwyci ją i natychmiast zawiezie na kraj świata. O tak, natychmiast wywiezie ją jak najdalej, jeżeli nie na kraj świata, to przynajmniej na kraj Rosji, ożeni się i zamieszka z nią incognito, aby nikt o nich nie wiedział ani tu, ani tam, ani nigdzie. Wówczas, o, wówczas zacznie się od razu nowe życie! O tym drugim, nowym i już „cnotliwym” życiu (bezwzględnie, bezwzględnie cnotliwym) marzył stale i namiętnie. Łaknął tej odnowy, tego zmartwychwstania. Odmęt podłości, w którym ugrzązł z własnej woli, za bardzo mu się dał we znaki; jak wielu ludzi w jego sytuacji, wierzył w uzdrawiającą moc zmiany miejsca: byle dalej od tych ludzi, dalej od tych warunków, byleby uciec z tego przeklętego miasta, a wszystko się odrodzi i potoczy inaczej! Oto w co wierzył i czego pragnął żarliwie.

Ale to wszystko - urzeczywistni się w razie pierwszego - szczęśliwego - rozstrzygnięcia dylematu. Jednak równie możliwe było i drugie rozstrzygnięcie, drugie, lecz już straszliwe wyjście. Gruszeńka powie mu nagle: „Idź sobie, postanowiłam wyjść za Fiodora Pawłowicza, a ty jesteś mi niepotrzebny” - wówczas... lecz wówczas... Zresztą Miti nie wiedział, co nastąpi wówczas, nie wiedział do ostatniej chwili, to trzeba mu przyznać. Nie miał określonych zamiarów, zbrodnia nie była ukartowana. Śledził, szpiegował i męczył się, jednak szykował się tylko do pierwszego szczęśliwego rozstrzygnięcia. Odpędzał nawet wszelką inną myśl od swego serca. Lecz i tu czyhała nań nowa męka, czaiła się nowa i postronna, ale również fatalna i niezwykła przeciwność.

Bo właśnie skoro mu Gruszeńka powie: „Jestem twoja, wywieź mnie” - jakże ją wywiezie? Skąd na to weźmie środki, pieniądze? Właśnie skończyły się wszelkie dochody, które dotychczas w ciągu kilku lat płynęły nieustannie w postaci datków z ręki Fiodora Pawłowicza. Ano tak, Gruszeńka ma własne fundusze, lecz pod tym względem ambicja Miti była wyjątkowo czuła: chciał ją sam wywieźć i zacząć z nią nowe życie za własne pieniądze; nie mógł nawet dopuścić tej myśli, że weźmie od niej pieniądze, nie mógł myśleć o tym bez męki i wstrętu. Nie będę się nad tym uczuciem rozwodził, nie będę go analizował, stwierdzam tylko: był wówczas w takim właśnie nastroju. Może tak właśnie w pośredni i podświadomy sposób odezwały się wyrzuty sumienia z powodu złodziejskiego sprzeniewierzenia trzech tysięcy Katarzyny Iwanowny. „Wobec jednej jestem już szubrawcem i teraz wobec drugiej znowu wyjdę na łotra - myślał wówczas, jak sam później przyznawał - poza tym, jak Gruszeńka się dowie, może wcale nie zechce wyjść za takiego szubrawca.” A więc: skąd wziąć pieniądze, skąd wziąć te fatalne pieniądze? Bo bez pieniędzy wszystko przypadnie i nic z tego nie wyjdzie, „i to tylko dlatego, że nie starczyło pieniędzy, o hańbo!”

Uprzedzam fakty: może właśnie wiedział, skąd wziąć te pieniądze, może właśnie wiedział, gdzie one leżą. Chwilowo nic więcej nie dodam, bo wszystko później się wyjaśni; najgorsze niewątpliwie było to (muszę chwilowo powiedzieć to bardzo mętnie): aby wziąć te leżące gdzieś pieniądze, aby mieć prawo do nich, trzeba wpieryć trzy tysiące Katarzynie Iwanownie; bo, jeśli nie zwróci, to - „jestem złodziejem kieszonkowym, jestem szubrawcem, a nie chcę zaczynać nowego życia jako szubrawiec!” - mówił sobie Mitya. Był więc gotów na wszystko, byleby tylko te trzy tysiące zwrócić Katarzynie Iwanownie, i to przede wszystkim. Postanowienie to powziął, jeśli można tak powiedzieć, w ostatniej chwili swojego życia, mianowicie dwa dni temu, wieczorem, kiedy spotkał Aloszę na trakcie i, dowiedziawszy się o scenie między Gruszeńką i Katarzyną Iwanowną, przyznał, „że jest szubrawcem”, i kazał to powtórzyć Katarzynie Iwanownie, „o ile jej to może sprawić jakąś ulgę”. Tejże nocy, pożegnawszy brata, poczuł, że lepiej będzie bodaj „zabić i ograbić kogo, lecz zwrócić dług Kati”. „Niechże raczej będę wobec zamordowanego i okradzionego i wobec wszystkich mordercą i złodziejem, niech raczej pójdę na Syberię, niżby Katia miała prawo powiedzieć, że ją zdradziłem, a zdradziwszy, ukradłem jej pieniądze i za skradzione pieniądze uciekłem z Gruszeńką, żeby rozpocząć cnotliwe życie! Do tego nie dopuszczę!” Tak przekonywał siebie Mitya zgrzytając zębami i naprawdę mogło mu się chwilami wydawać, że rozchoruje się na zapalenie mózgu. Ale tymczasem walczył.

Rzecz dziwna, zdawałoby się, że wobec takiego postanowienia nic mu nie pozostaje poza desperacją: bo i skąd on, taki nędzarz, weźmie raptem tyle pieniędzy? A jednak aż do końca ufał, że wydostanie te trzy tysiące, że przyjdą, zlecą same, bodaj z nieba. Tak zawsze ufają tacy ludzie, jak Dymitr Fiodorowicz, którzy całe życie umieją tylko tracić i szastać odziedziczonym majątkiem, a nie mają pojęcia, jak się pieniądze zarabia. Najbardziej fantastyczny wicher zerwał się w jego głowie owej nocy po pożegnaniu Aloszy i splątał wszystkie jego myśli. Toteż rozpoczął od najbardziej dziwnego pomysłu. Należy przypuszczać, że ludzie tego pokroju w podobnych sytuacjach uważają, iż najfantastyczniejsze i najniemożliwsze pomysły są najbardziej możliwe. Dość, że Dymitr Fiodorowicz postanowił udać się do kupca Samsonowa, opiekuna Gruszeńki, zaproponować mu pewien „plan” i za ten „plan” dostać od niego całą potrzebną sumę; pod względem handlowym był najzupełniej pewien swego „planu”, miał tylko wątpliwości, jak będzie się na jego wybryk zapatrywał Samsonow, jeżeli zechce powodować się względami nie tylko handlowymi. Mitya, choć widywał tego kupca, nie znał go i ani razu z nim nawet nie rozmawiał. Ale nie wiadomo czemu, i to już od dawna, był pewien, że stary gorszyciel, który teraz już ledwo zipał, nie będzie miał nic przeciwko temu, aby Gruszeńka rozpoczęła uczciwe życie i wyszła za „człowieka pewnego”. O tak, nie tylko nie będzie miał nic przeciwko temu, ale może nawet rad będzie, może nawet tylko tego pragnie i gotów nawet dopomóc. Zdawało się również Dymitrowi Fiodorowiczowi - może Gruszeńka coś napomknęła, a może skądinąd się dowiedział - że stary wolałby dla Gruszeńki jego niż Fiodora Pawłowicza. Niejeden z moich czytelników uzna może, iż rachuba na podobną pomoc i zamiar, by wziąć swoją narzeczoną z rąk jej, żeby się tak wyrazić, opiekuna, nazbyt już była wulgarna i obrzydliwa. Na to mogą tylko powiedzieć, że przeszłość Gruszeńki była dla Miti czymś ostatecznie minionym. Odnosił się do niej z nieskończoną litością i powiedział sobie z całym żarem swej namiętności, że skoro tylko Gruszeńka powie mu, że go kocha, i jak tylko go poślubi, rozpocznie się nowa Gruszeńka, a wraz z nią i nowy Dymitr Fiodorowicz, wyzbyty całkowicie złych przyzwyczajęń, pełen cnót; wówczas oboje przebaczą sobie nawzajem i rozpoczną życie od nowa. A Kuźmę Samsonowa uważał za człowieka, który w przeszłości Gruszeńki odegrał rolę fatalną, ale wiedział, że Gruszeńka nigdy go nie kochała, a co najważniejsze, że Kuźma Samsonow już też

„przeminał”, skończył się, że zatem już nie istnieje. Zresztą nie można go było na serio traktować jako mężczyznę, wiadomo bowiem było powszechnie, że obecnie, jeśli chodzi o zdrowie, jest kompletną ruiną, że utrzymuje z Gruszeńką co najmniej od roku stosunki, rzecz można, ojcowskie, nie takie jak dawniej. Oczywiście wchodziła tu poniekąd w grę przyrodzona łatwowierność Dymitra Fiodorowicza, bo mimo swoich wad był jednak arcyłatwowierny. I właśnie dzięki swej łatwowierności był przeświadczony, że stary Kuźma, szykując się na tamten świat, ze szczerą skruchą myśli o swoim dawnym postępowaniu względem Gruszeńki; że nie ma ona zatem bardziej oddanego opiekuna i przyjaciela niż ów nieszkodliwy obecnie staruszek.

Nazajutrz rano po rozmowie z Aloszą w polu, po której nie spał prawie całą noc, Dymitr Fiodorowicz koło dziesiątej wszedł do domu Samsonowa i kazał, by go zaanonsowano. Był to stary, ponury, bardzo obszerny piętrowy dom z budynkami gospodarczymi i oficyną. Na parterze mieszkali dwaj żonaci synowie Samsonowa ze swymi rodzinami, bardzo stara jego siostra i niezamężna córka. Oficynę zaś zajmowali obaj jego subiekci, z których jeden miał liczną rodzinę. Zarówno dzieci, jak też subiekci dusili się w swoich ciasnych mieszkaniach, gdy tymczasem stary Samsonow sam jeden zajmował całe piętro. Nie pozwolił nawet mieszkać przy sobie córce, która go pielęgnowała, musiała więc w ustalonych godzinach i na każde jego zawołanie mimo swoją astmę biec na górę. „Góra” składała się z mnóstwa obszernych paradnych pokoi, umeblowanych wedle starej mody kupieckiej - z długimi, nudnymi rzędami niezgrabnych foteli i krzeseł mahoniowych, ustawionymi wzdłuż ścian, z kryształowymi żyrandolami w pokrowcach, z ponurymi lustrami na ścianach dzielących okna. Wszystkie pokoje były puste i nie zamieszkałe, bo chory starzec gnieździł się w małym pokoiku, w ciasnej alkwie, gdzie usługiwała mu stara służąca w chustce na głowie, i „mały”, przesiadujący na ławie w przedpokoju. Samsonow miał tak spuchnięte nogi, że nie mógł prawie chodzić, tylko z rzadka podnosił się ze skózanego fotela i, wsparty na starej służącej, przechadzał się raz czy dwa razy po pokoju. Nawet w stosunku do niej był surowy i małomówny. Gdy zaanonsowano mu „kapitana”, kazał go natychmiast odprawić. Lecz Mitia nalegał i kazał się po raz drugi zaanonsować. Kuźma Kuźmicz wypytał szczegółowo „małego”: „niby jak wygląda, czy aby nie pijany? Czy się nie awanturuje?” Otrzymał odpowiedź, że „trzeźwy, ale nie chce odejść”. I ponownie kazał go odprawić. Wówczas Mitia, który to przewidział i specjalnie na ten wypadek zabrał ze sobą papier i ołówek, wyraźnie napisał na skrawku jedno zdanie: „W sprawie nader ważnej, dotyczącej Agrafieny Aleksandrowny” i posłał staremu. Po długim zastanowieniu kazał go Samsonow wreszcie wpuścić do salonu, a jednocześnie przez starą służącą sprowadził z dołu młodszego syna. Był to mężczyzna wysoki na dwanaście werszków, niebywale silny, z twarzą wygoloną i ubrany z niemiecka (stary Samsonow nosił brodę i rosyjski strój kupiecki). Syn przybiegł natychmiast bez słowa zapytania: wszystkie dzieci truchlały przed ojcem. Samsonow sprowadził tego chwata nie dlatego bynajmniej, że się bał kapitana - bo charakter miał wcale nietchórzliwy - po prostu chciał mieć świadka w razie potrzeby. W towarzystwie zatem syna, który go podpierał ramieniem, i „małego” wtoczył się wreszcie do salonu. Zapewne powodowała nim ciekawość: był zaintrygowany niezwykłą wizytą. Salon, w którym czekał Mitia, był wielki, posępny, przygnębiający, z galeryjką, ze ścianami wymalowanymi „pod marmur”, z trzema ogromnymi kryształowymi żyrandolami w pokrowcach. Mitia siedział na krzeselku przy wejściu i z nerwowym zniecierpliwieniem oczekiwał rozstrzygnięcia swego losu. Na widok starca, który stanął w przeciwległych drzwiach, o dziesięć sążni od niego, zerwał się raptownie i swym długim żołnierskim krokiem ruszył naprzeciw. Ubrany był przyzwoicie, w zapiętym surducie, z okrągłym kapeluszem w ręku, w ciemnych rękawiczkach, w tym samym zresztą stroju, co i trzy dni temu w monasterze, u starca, na zebraniu rodzinnym. Samsonow poważnie

i surowo oczekiwał go, nie ruszając się z miejsca i mierząc go wzrokiem od stóp do głów. Zastanowiła Dymitra wyjątkowo spuchnięta twarz Kuźmy Kuźmicza: jego dolna, i tak już dość gruba warga wydawała się teraz jakby zwisającym placuszkiem. Gospodarz uklonił się gościowi z godnością i nic nie mówiąc wskazał mu fotel koło kanapy, sam zaś powoli, opierając się na ramieniu syna i boleściwie chrząkając, począł się sadowić na kanapie naprzeciw gościa. Mitia na widok bolesnych wysiłków poczuł skruchę i zawstydził się, że on, taki lichy człowiek, ośmielił się niepokoić tak poważną osobę.

- Czego pan, łaskawco, życzy sobie ode mnie? - zapytał usadowiwszy się wreszcie gospodarz; powiedział to bardzo wolno, dobitnie, surowo, ale grzecznie.

Mitia drgnął, zerwał się, lecz usiadł znowu. Po chwili zaczął mówić szybko, głośno, nerwowo gestykulując z wyraźnym zapamiętaniem. Widać było, że człowiek dobrnął do kresu, ginie i szuka ostatniej deski ratunku, że jeżeli i ona się złamie, to pogrzy się w topiel. Niewątpliwie stary Samsonow zmiarkował to od razu, chociaż twarz jego zachowała wciąż ten sam chłodny wyraz, niczym posąg.

- Wielce szanowny Kuźma Kuźmicz zapewne słyszał już nieraz o moich niesnaskach z moim rodzonym ojcem, Fiodorem Pawłowiczem Karamazowem, który wywłaszczył mnie ze schedy po matce... całe miasto zresztą gada o tym... bo tu wszyscy gadają niepotrzebnie o nie swoich sprawach... A oprócz tego mogła o tym mówić Gruszeńka... przepraszam: Agrafiena Aleksandrowna, wielce szanowna i czcigodna Agrafiena Aleksandrowna... - tak zaczął Mitia i potknął się od razu.

Nie będziemy jednak powtarzali jego mowy w całości, powtórzymy tu tylko jej treść zasadniczą. Chodziło mu o to, że jeszcze trzy miesiące temu radził się naumyślnie (powiedział „naumyślnie”, a nie „umyślnie”) z adwokatem z miasta gubernialnego, „ze znakomitym adwokatem, Kuźmo Kuźmiczu, z Pawłem Pawłowiczem Kornieplodowem, raczył pan zapewne słyszeć o nim? Tęga głowa, można powiedzieć ministerialna... zna szanownego pana, a jakże... wyrażał się bardzo pochlebnie...” - tu zaplątał się po raz drugi. Ale to go nie powstrzymało, pędził dalej i brnął coraz bardziej. Zatem Kornieplodow, wypytawszy się szczegółowo i obejrzawszy dokumenty, które Mitia mu przedstawił (o dokumentach Mitia mówił niewyraźnie, nie wdając się w szczegóły) orzekł, że o Czermasznę, która właściwie powinna należeć do Miti, jako spadek po matce, można bezwzględnie wszcząć sprawę i przytrzeć rogów staremu wszetecznikowi... „bo nie wszystkie furtki są zamknięte, a justycja wie już, którędy przeleźć”. Słowem, można było liczyć, że Fiodor Pawłowicz będzie zmuszony dopłacić sześć, a może nawet siedem tysięcy, ponieważ Czermasznia warta jest co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy, a właściwie na pewno dwadzieścia osiem, „trzydzieści, trzydzieści, Kuźmo Kuźmiczu, a ja, proszę sobie wyobrazić, nawet siedemnastu nie wybrałem od tego okrutnego człowieka!...” Lecz on, Mitia, dał temu pokój, bo nie jest piniaczem, gdy jednak tu przyjechał, okazało się, że ojciec pozwał go do sądu (tu Mitia znowu się zaplątał i znowu raptownie przeskoczył): „więc niby czy nie zechce pan, wielce szlachetny Kuźmo Kuźmiczu, przejąć wszystkie moje prawa względem tego huncwota, a mnie wypłacić tylko trzy tysiące... Pan przegrać żadną miarą nie może, daję na to słowo honoru, natomiast odbierze pan na pewno sześć czy siedem tysięcy, zamiast tych trzech... Ale najważniejsza rzecz to - załatwić to bodaj dzisiaj jeszcze... Ja panu u rejenta albo jak tam podpiszę... Słowem, gotów jestem na wszystko, wydam wszelkie dokumenty, jakich tylko pan zażąda, wszystko podpiszę... i od razu byśmy ten dokument sporządzili i jeżeli



można, jeżeli tylko można, to dziś rano... Dałby mi pan te trzy tysiące... Bo czy jest większy kapitalista w tej mieścinie?...I uratowałby pan mnie od... słowem, uratowałby pan moją biedną głowę dla arcyszlachetnej sprawy, dla wzniosłej, rzecz można, sprawy... albowiem żywię arcyszlachetne uczucia względem pewnej osoby, którą pan zna bardzo dobrze i o którą dba pan po ojcowsku. Bo gdyby nie po ojcowsku, to bym nie przyszedł przecie. I jeśli pan chce wiedzieć, to w tej sprawie trzy osoby stuknęły się głowami, albowiem los - to okropieństwo, Kuźmo Kuźmiczu! Realizm, Kuźnio Kuźmiczu, realizm! A ponieważ pana już dawno należy wyłączyć, to pozostają dwie głowy - wyrażam się może niezręcznie, ale przecie nie jestem literatem. To znaczy - jedna głowa moja, a druga - tego potwora. A zatem niech pan wybiera: albo ja, albo potwór. Wszystko teraz jest w pana ręku - trzy przeznaczenia i dwa losy... to znaczy, poplątało mi się, przepraszam, ale pan rozumie... poznaję to z poczciwych pana oczu, że pan zrozumiał... Bo jeżeli pan nie zrozumiał, to dziś jeszcze skoczę do wody, tak, proszę pana!"

Mitia zakończył swoje niedorzeczne przemówienie okrzykiem i, zerwawszy się z miejsca, oczekiwał odpowiedzi na swoją głupią propozycję. Jednak ledwo wyrzekł ostatnie zdanie, poczuł nagle, że wszystko przepadło, że naplótł straszliwych bredni. „Dziwna rzecz, póki siedłem tu, zdawało mi się, że dobrze, a teraz taki galimatias!” - pomyślał sobie naraz. A Samsonow słuchał go uważnie i śledził zlodowaciałym spojrzeniem. Następnie przetrzymał go minutę w naprężonym oczekiwaniu i w końcu odezwał się bardzo stanowczym i okrutnym tonem:

- Wybacz pan, ale nie zajmujemy się takimi sprawami.

Mitia poczuł, jak nogi się pod nim uginają.

- I co teraz, Kuźmo Kuźmiczu? - wybąkał uśmiechając się blado. - Przecie teraz jestem zgubiony, co pan myśli?

- Daruje pan...

Mitia wciąż stał utkwivszy nieruchomy wzrok w twarzy kupca. Naraz zauważył, że coś w tej twarzy drgnęło. Mitia zadrżał.

- Widzi pan, niezręcznie jest nam zajmować się takimi sprawami - powoli wycedził Samsonow - sądy, adwokaci, tylko same kłopoty! Ale jeżeli pan chce, to jest tu jeden człowiek, do niego niech się pan zwróci...

- Boże wielki!... Któż to taki? Wskrzesza mnie pan, Kuźnio Kuźmiczu - zagadał naraz Mitia.

- Nietutejszy i nie ma go nawet w mieście... Dawny chłop, lasem handluje, nazywa się Legawy. Z Fiodorem Pawłowiczem od roku targuje się o lasek w waszej Czermaszni, nie mogą się zgodzić co do ceny, może pan słyszał. Teraz akurat przyjechał tu i stanął u popa z Ilińska, dwanaście wiorst od stacji Wołowej, w siole Ilińsk. Pisał do mnie w pewnej sprawie, to znaczy radził się co do tego właśnie lasku. Fiodor Pawłowicz sam wybiera się do niego. Gdyby pan ubiegł Fiodora Pawłowicza i zaproponował to samo Legawemu, to może by...

- Genialna myśl! - przerwał mu z zachwytem Mitia. - Właśnie on, to jemu właśnie na rękę!

Targuje się, żądają od niego za drogo, a tu dostaje dokument na całą posiadłość, ha, ha, ha! - I Mitia roześmiał się swoim krótkim, drewnianym śmiechem tak niespodziewanie, aż Samsonow zatrząsał głową.

- Jak mam dziękować panu, Kuźmo Kuźmiczu! - nie posiadał się z radości Mitia.

- To drobiazg - Samsonow spuścił głowę.

- Ale pan nie wie, pan mnie uratował, o, jakieś przecucie ciągnęło mnie do pana... A zatem do tego popa!

- Nie ma pan za co dziękować.

- A więc śpieszę, pędzę. Niepokoilem pana. Do grobu nie zapomnę. Rosjanin to panu mówi, Kuźmo Kuźmiczu, R-rosjanin!

- Te-ek.

Mitia pochwycił dłoń starca, aby nią potrząsnąć, lecz naraz dojrzał w jego oczach złośliwy błysk. Opuścił rękę, lecz jednocześnie zbeształ siebie za podejrzliwość. „Po prostu zmęczony...” - przemknęło mu przez myśl.

- To dla niej! Dla niej, Kuźmo Kuźmiczu! Pan pojmuje, że to dla niej! - zawołał naraz z całej siły, uklonił się, odwrócił się gwałtownie i swoim prędkim, długim krokiem skierował ku wyjściu, ani razu się nie odwracając. Drżał z zachwytu. „Wszystko już przepadło, i oto anioł stróż mnie uratował - pomyślał. - I jeżeli tak praktyczny człowiek jak ten starzec (arcyszlachetny starzec, i co za postawa!) wskazał mi tę drogę, to... rozumie się, jest to droga niezawodna. Natychmiast do tamtego! A na noc wrócę, w nocy wrócę, ale zwycięstwo pewne. Czyżby sobie mógł zakpić ze mnie?” Tak wołał Mitia idąc do swego mieszkania i, ma się rozumieć, nie mógł sobie tego inaczej wyobrazić - to znaczy: albo dobra rada (od praktycznego człowieka), oparta na znajomości rzeczy i tego Legawego (dziwne doprawdy nazwisko!) albo - albo starzec kpi sobie z niego! Niestety ta druga myśl była jedynie słuszna. Potem, po całej katastrofie, stary Samsonow sam się przyznawał ze śmiechem, że zakpił sobie z „kapitana”. Był to złośliwy, chłodny szyderca, pełen chorobliwych antypatii. Egzaltacja kapitana czy też głupia pewność „tego utracjusza i rozrzutnika”, że on, Samsonow, pójdzie na lep takiego idiotycznego „planu”, czy też zazdrość kapitana o Gruszeńkę, w imię której ten „obwieś” zwrócił się doń z tak nedorzeczną propozycją o pieniądze - nie wiem, co mianowicie powodowało starym kupcem, ale w chwili gdy Mitia stał przed nim, czując, jak uginają się pod nim nogi, i bezmyślnie wykrzykiwał, że zginął - w tej chwili starzec popatrzał nań z bezgraniczną złością i postanowił spłatać mu figla. I ledwo Mitia wyszedł, Kuźma Kuźmicz, blady ze złości, zwrócił się do syna i kazał mu pamiętać, aby tego szalawicy nie wpuszczano nawet na podwórze, bo...

Nie dokończył groźby, lecz syn, który często widywał go w gniewie, tym razem drgnął ze strachu. Stary całą godzinę pienił się i trząsał ze złości, pod wieczór zaś zaniemógł i posłał po lekarza.

## II LEGAWY

A więc trzeba było „pędzić”. Lecz nie miał na przejazd ani grosza. To znaczy, miał te czterdzieści kopiejek - wszystko, co pozostało po tylu latach dobrobytu! Ale w domu leżał stary srebrny zegarek, który już dawno przestał chodzić. Dymitr Fiodorowicz wziął go więc i zaniósł do zegarmistrza Żyda, właściciela sklepiku na bazarze. „I tegom się nie spodziewałem!” - zawołał zachwycony, otrzymawszy sześć rubli (wciąż trwał w owym stanie zachwytu), chwycił pieniądze i pobiegł do domu. W domu pożyczył jeszcze trzy ruble od gospodarzy, którzy z przyjemnością dali mu ostatni grosz, tak bardzo go kochali. Z tym samym zachwytem opowiedział im, że teraz decyduje się jego los, i pokrótce, śpiesząc się, wtajemniczył ich w swój plan, który dopiero co wyjaśnił Samsonowowi, poza tym w radę Samsonowa, przyszłe swoje nadzieje itd. Gospodarze znali wszystkie jego sekrety, toteż uważali go za swojego człowieka, a nie za hardego panicza. Zebrawszy w ten sposób dziewięć rubli, Mitia posłał po konie do Wołowej. I dlatego można było później ustalić, że „bezpośrednio przed pewnym wydarzeniem, w południe, Mitia był bez grosza i, żeby mieć na podróż, sprzedał swój zegarek i pożyczył trzy ruble od swych gospodarzy - wszystko to odbyło się przy świadkach”.

Zaznaczam to zawczasu - później wyjaśni się, w jakim celu.

Gnając zatem do Wołowej, pełen radosnego przeczucia, że wreszcie zakończy i rozwiąże „wszystkie te sprawy”, drżał jednak ze strachu: co będzie z Gruszeńką podczas jego nieobecności? No, a jeżeli dziś wreszcie zdecyduje się pójść do Fiodora Pawłowicza? Dlatego właśnie wyjechał bez pożegnania i zlecił w dodatku gospodarzom, aby nikomu nie mówili o jego wyjeździe. „Koniecznie, koniecznie dziś wieczór trzeba wrócić - powtarzał trzęsąc się na bryczce - i tego Legawego do miasta ściągnąć, aby sporządzić odpowiedni akt...” Tak marzył Mitia z zamierającym sercem - niestety! marzenia jego nie miały się spełnić według tego „planu”.

Po pierwsze spóźnił się, bo ze stacji w Wołowej pojechał gościńcem przez pole, co przedłużyło drogę o sześć wiorst. Po drugie, nie zastał w Ilińsku popa, ów bowiem wyjechał niedawno do sąsiedniej wsi. Nim go Mitia odszukał, udawszy się do tej wsi tym samym zmęczonym już zaprzęgiem, zaczęło się zmierzchać. Duchowny, nieśmiały i potulny z wyglądu człowieczek, wyjaśnił, że Legawy co prawda z początku stanął u niego, ale teraz znajduje się w Suchym Przysiółku u tamtejszego gajowego, bo i tam zamierza kupić las. Nie od razu też uległ natrętnym prośbom Miti, aby go natychmiast zaprowadzić do Legawego i w ten sposób „uratować”. Z początku wahał się, wreszcie zgodził iść z przybyszem do Suchego Przysiółka, zapewne z prostej ciekawości; lecz poradził iść „piechotką”, ponieważ droga wynosi zaledwie „wiorstę z małym okładem”. Mitia oczywiście przystał na to i ruszył swoim ogromnym krokiem, zmuszając popa nieledwie do biegu. Był to jeszcze wcale niestary i bardzo ostrożny człowiek. Mitia i z nim mówił o swoich planach, gorączkowo i nerwowo domagał się wiadomości o Legawym i przez całą drogę nie zamykał ust. Duchowny słuchał uważnie, ale niewiele powiedział. Na pytania Miti odpowiadał wymijająco: „Nie wiem, och, nie wiem, skądże bym mógł wiedzieć” itd. Gdy zaś Mitia zaczął opowiadać o niesnaskach z ojcem, o spuściźnie po matce, pop zląkł się poważnie, ponieważ był jakoś zależny od Fiodora Pawłowicza. Ze zdziwieniem zresztą zapytał, czemu Dymitr nazywa Gorstkina Legawym;

wyjaśnił dokładnie, że chociaż Gorstkin jest w istocie Legawym, jednak Legawym nie jest, co więcej, nazwisko to obraża go bardzo, słowem, że trzeba go koniecznie nazywać Gorstkinem, „inaczej nic pan nie wskóra i on nie zechce z panem wcale gadać” - zakończył. Mitia zdziwił się trochę i odpowiedział, że Legawym nazwał go Samsonow. Co usłyszawszy, pop od razu przerwał rozmowę, chociaż lepiej by zrobił, gdyby wyjaśnił Dymitrowi Fiodorowiczowi swoje przypuszczenia: jeżeli Samsonow posłał go do tego chłopca jako do Legawego, to zapewne chciał go wystawić na śmiech i na przykrość. Ale Mitia nie miał czasu zastanawiać się nad takimi „drobiazgami”. Spieszył się, szedł prędko i dopiero gdy przybył do Suchego Przysiółka, zmiarkował, że przeszedł nie jedną wiorstę i nie półtorej, lecz co najmniej ze trzy; bardzo go to rozgniewało, ale stłumił w sobie gniew. Weszli obaj do chaty. Gajowy, znajomy popa, zajmował jedną izbę, drugą zaś, paradną, odstąpił Gorstkinowi. Weszli więc do tej drugiej izby i zapalili łożówkę. W izbie było gorąco, piec był mocno napalony. Na sosnowym stole stał zgaszony samowar, taca z filiżankami, pusta butelka po rumie, nie dopita butelka wódki i kawałki białego chleba. Gorstkin leżał wyciągnięty na ławie, z głową na zwiniętym przyodziewku i głośno chrapał. Mitia stanął, niezdecydowany. „Naturalnie trzeba go obudzić; zbyt pilną mam sprawę, specjalnie pędziłem, muszę dziś jeszcze wrócić” - niepokoił się Mitia. Lecz pop i gajowy milczeli, nie wypowiadając swego zdania. Mitia podszedł i sam bardzo energicznie zaczął budzić śpiącego, ale ów ani drgnął. „Pijany - zdecydował Mitia - ale co mam robić, Boże, co mam robić!” I naraz, straszliwie zniecierpliwiony, jął tarmosić śpiącego za ręce, za nogi, potrząsał go za głowę, unosił i sadzał na ławie i po długim wysiłku wskórał tylko tyle, że Gorstkin począł głupio mrużyć i siarczyście, chociaż bełkotliwie kłać.

- Nie, niech pan lepiej poczeka - odezwał się wreszcie pop - widać, że nieprzytomny.

- Cały dzień chlał - wtrącił gajowy.

- Boże! - zawołał Mitia - gdybyście tylko wiedzieli, jak mi jest potrzebny i w jakiej jestem rozpaczy!

- Nie, niech pan lepiej poczeka do jutra - powtórzył pop.

- Do jutra? Zlitujcie się, to niemożliwe!

I, pełen rozpaczy, znowu chciał budzić pijanego, ale od razu zrezygnował, zdając sobie sprawę, że to daremny wysiłek. Pop milczał, zaspany gajowy był ponury.

- Jakie straszliwe tragedie wyprawia z ludźmi realizm! - rzekł Mitia, zdjęty najgłębszą rozpaczą. Pot lał mu się strumieniem z twarzy. Skorzystawszy ze sposobnej chwili, pop wytłumaczył mu rozsądnie, że gdyby nawet obudził śpiącego, to ten w tym stanie nie mógłby z nim mówić, „a pan ma ważną sprawę, wobec tego lepiej odwlec to do jutra...” Mitia rozłożył ręce i zrezygnował.

- Ja tu zostanę przy świeczce i będę czekał na odpowiedni moment. Obudzi się, to znowu zacznę... Za świeczkę ci zapłacę - zwrócił się do gajowego - za kwaterę również, będziesz wspominał Dymitra Karamazowa. Tylko nie wiem, co ojciec robi i gdzie się tu położy.

- Nie, ja wrócę do siebie. Na jego kobyłce pojedę - rzekł pop, wskazując gajowego. - Zostań

pan z Bogiem, życzę panu, żeby wszystko poszło po pańskiej myśli.

I tak się stało. Pop odjechał na kobyłce, rad, że się wreszcie pozbył natręta, choć niespokojnie kiwał głową i medytował: czy aby nie trzeba zawczasu zawiadomić o tym ciekawym fakcie dobrodzieja Fiodora Pawłowicza, „bo w złą godzinę się dowie, rozsierdzi się i przestanie darzyć względami”. Gajowy, drapiąc się w głowę, w milczeniu poszedł do swojej izby, Mitia zaś siadł na ławie, aby „czekać na odpowiedni moment”, jak się był wyraził. Głęboki smutek, jak ciężka mgła, padł na jego duszę. Głęboki straszliwy smutek! Siedział, myślał, ale nic nie mógł wymyślić. Świeczka dopalała się, zagrał świerszcz, w nagrzanym pokoju było okropnie duszno. Nagle przywidział mu się ogród, dróżka za ogrodem, w domu ojca tajemniczo uchylają się drzwi i przemyka przez nie Gruszeńka... Zerwał się z ławy.

- Tragedia! - rzekł zgrzytając zębami, machinalnie podszedł do śpiącego i począł mu się przyglądać. Był to chudy, jeszcze niestary chłop, o pociągłej twarzy, kędzierzawych płowych włosach i długiej, rzadziutkiej rudawej bródce. Miał na sobie perkalową koszulę i czarną kamizelkę, którą zdobiła dewizka od srebrnego zegarka. Mitia patrzył na tę twarz ze straszliwą nienawiścią; szczególną nienawiść nie wiadomo dlaczego budziła w nim kędzierzawa czupryna. Najbardziej drażniło go to, że on, Mitia, stoi nad tym chłopem ze swoją pilną sprawą, tak się zmachał, tyle spraw rzucił, a ten próżniak, „od którego zależy teraz cały mój los, chrapie jakby nigdy nic, jakby spadł z księżycy”.

- O ironio losu! - zawołał Mitia i naraz, nie panując nad sobą, zaczął ponownie budzić śpiącego. Cucił go z jakąś wściekłością, popychał, tarmosił, nawet tłukł, lecz po pięciu minutach daremnych zabiegów wrócił na ławę i usiadł w bezsilnej rozpacz.

- Głupio, głupio! - wołał Mitia - i... jakie to wszystko niecne! - dodał naraz nie wiedząc czemu. Poczul okrutny ból głowy: „Rzucić wszystko to? Wyjechać? - przemknęło mu przez myśl. - Nie, poczekam do jutra. Umyślnie zostanę, umyślnie! I po cóż w końcu przyjechałem? Zresztą jak tu wracać, czym, jak teraz stąd wyjechać, nonsens!”

Głowa bolała go coraz bardziej. Siedział nieruchomo i już nie pamiętał, jak się zdrzemnął, jak w końcu zasnął siedząc na ławie. Spał chyba ze dwie godziny czy nawet więcej. Ocknął się od tak straszego bólu głowy, że tylko krzyczeć wniebogłosy. W skroniach waliło jak młotem, w ciemieniu rwało. Ocknąwszy się, długo nie mógł sobie uprzytomnić, co się z nim dzieje. Wreszcie zmiarkował, że z pieca wydziela się okropny czad i że niewiele brakowało, aby się wcale nie obudził. Pijany chłop wciąż chrapał; świeczka dopalała się. Mitia krzyknął i zataczając się wyszedł przez sień do izby gajowego. Ten prędko się obudził i wysłuchał wiadomości o czadzie z dziwną obojętnością, która zdziwiła i uraziła Dymitra.

- A jeśli on umarł, umarł, to wtedy... wtedy co? - krzyczał nieprzytomnie.

Otworzono drzwi, otworzono okno, odsunięto zasuwę komina, Mitia przytaszczył z sieni wiadro z wodą; najpierw zmoczył sobie głowę, potem znalazłszy jakąś szmatę, umaczał ją i przyłożył Legawemu do głowy. Gajowy zaś zachował poprzednią, jak gdyby wzgardliwą obojętność i otworzywszy okno odezwał się ponuro: „Ano niech i tak będzie” - i wrócił do siebie, zostawiwszy Miti zapaloną blaszaną latarnię. Mitia zajmował się zacadzonym pijakiem pewnie z pół godziny,

niezmordowanie mocząc mu głowę. Postanowił naprawdę czuwać do rana. Był jednak tak zmęczony, że, usiadłszy na chwilę, aby odpocząć, natychmiast zamknął oczy, po czym bezwiednie wyciągnął się na ławie i zasnął jak zabity.

Obudził się okropnie późno. Była chyba dziewiąta. Jaskrawe słońce zaglądało do obu okienek. Kędzierzawy chłop siedział na ławie. Był już ubrany. Przed nim stał nowy samowar i nowa flaszka gorzałki. Wczorajsza była już dopita do dna, nowa zaś opróżniona więcej niż do połowy. Mitią zerwał się i od razu domyślił się, że przeklęty chłop znowu jest pijany, pijany jak bela, beznadziejnie. Patrzył nań przez chwilę wytrzeszczonymi oczyma. Chłop zaś spoglądał na niego chytrze i w milczeniu, z jakimś urągliwym spokojem, nawet z jakąś pogardliwą wyniosłością, jak się wydało Miti.

- Proszę pana, widzi pan... ja... pan zapewne słyszał od tutejszego gajowego - jestem porucznik Dymitr Karamazow, syn starego Karamazowa, od którego zamierza pan odkupić las...

- Pleciesz! - wycedził spokojnie i dobitnie chłop.

- Jak to plotę? Raczy pan chyba znać Fiodora Pawłowicza?

- Żadnego Fiodora Pawłowicza nie raczę chyba znać - ciężko ruszając językiem, odpowiedział kupiec.

- Las, las pan kupuje od niego: niechże się pan obudzi, niech pan oprzytomnieje. Ojciec Paweł z Ilińska przyprowadził mnie tutaj... Pan pisał do Samsonowa, on mnie do pana przysłał... - mówił Dymitr tracąc oddech.

- Pleciesz! - znowu wycedził Legawy. Mitią poczuł ziąb w nogach.

- Niechże się pan zlituje, to nie przelewki! Może pan podchmielony. Potrafi pan przecie mówić, rozumieć... inaczej... inaczej ja nic nie pojmuję!

- Malarz jesteś!

- Ale na miłość boską, jestem Karamazow, Dymitr Karamazow... mam dla pana propozycję... korzystną propozycję... nader korzystną... właśnie względem lasu.

Chłop poważnie gładził brodę.

- Nie, tyś wziął dostawę i łajdak jesteś. Łajdak jesteś!

- Zapewniam pana, że pan się myli! - Mitią załamywał ręce z rozpacz.

Chłop gładził brodę i naraz chytrze zmrużył oko.

- Nie, ty mi pokaż jedno: pokaż no mi takie prawo, żeby świństwa wolno było robić, słyszysz! Łajdak jesteś, rozumiesz.

Mitia posepnie cofnął się i od razu coś jakby go „w łeb palnęło”, jak się później wyrażał. W mgnieniu oka zaświtało mu w głowie; „zapaliło się światełko i wszystko zrozumiałem”. Stał osłupiały, nie pojmując, jak on, człowiek przecie rozumny, mógł wdać się w takie głupstwo, dać się zaplatać w taką historię i prawie całą dobę zajmować się tym Legawym, moczyć mu głowę. „Pijany jest, pijany do niemożliwości i będzie chlał jeszcze tydzień - na co tu czekać? A jeżeli Samsonow umyślnie mnie tu posłał? A jeżeli ona... O Boże, com ja narobił...”

Chłop siedział, patrzył na niego i śmiał się do rozpuku. Kiedy indziej Mitia zabiłby może głupca ze złości, ale teraz sam osłabł jak dziecko. Powoli podszedł do ławy, wziął swoje palto, włożył je bez słowa i wyszedł z izby. W sąsiedniej izbie nie znalazł gajowego, świeciła pustką. Wyjął więc z kieszeni pięćdziesiąt kopiejek drobnicą i położył na stole, za nocleg, za świeczkę i za fatygę. Wyszedłszy z izby, zobaczył, że wokoło ciągną się same lasy. Poszedł przed siebie na chybił trafił, nie pamiętając nawet, w którą stronę skręcił wychodząc - na prawo czy na lewo; wczoraj w nocy, spiesząc co tchu z popem, nie zapamiętał drogi. Nie żywił względem nikogo żadnego mściwego uczucia, nawet względem Samsonowa. Szedł teraz wąską leśną drożyną bezmyślnie, roztargniony, ze „zgubioną ideą”, wcale nie myśląc, dokąd idzie. Mógłby go powalić byle dzieciak, tak osłabł nagle na duchu i ciele. W końcu jednak jakoś wydostał się z lasu: stanął przed ciągnącymi się w nieskończoną dal polami. „Jaka rozpacz, jaka śmierć wokoło!” - powtarzał idąc wciąż przed siebie.

Dopomogli mu przejezdni: chłop wiózł polną drogą jakiegoś staruszka kupca. Zrównawszy się z nimi, Mitia zapytał o drogę. Okazało się, że i oni jadą do Wołowej. Po krótkiej rozmowie Mitia wgramolił się na wóz. W trzy godziny później byli u celu. Na stacji w Wołowej Mitia zamówił konie pocztowe do miasta i naraz poczuł straszliwy głód. Póki zaprzęgano konie, przyrządzono mu jajecznicę, zjadł ją w oka mgnieniu, zjadł wielką pajdę chleba, kiełbasę i wypił trzy kieliszki wódki. Posiliwszy się, nabrał otuchy. Jechał traktem, popędzał woźnicę i nagle ułożył sobie nowy i już „niezawodny” plan, który niechybnie pozwoli mu zdobyć do wieczora „te przekłete pieniądze”. „I pomyśleć tylko, że z powodu tych nędznych trzech tysięcy marnuje się życie ludzkie! - zawołał wzgardliwie. - Dzisiaj z tym skończę!” I gdyby nie ustawiczna myśl o Gruszeńce i o tym, co mogło się zdarzyć podczas jego nieobecności, byłby może znowu całkiem wesół. Ale myśl o niej co chwila przeszywała mu serce jak ostry nóż. Na koniec przyjechali i Mitia natychmiast pobiegł do Gruszeńki.

### III KOPALNIA ŻŁOTA

Były to właśnie owe odwiedziny Miti, o których Gruszeńka z takim strachem opowiadała Rakitinowi. Czekwała wówczas na swoją „sztafetę”; była bardzo zadowolona, że Mitia nie przyszedł ani wczoraj, ani dzisiaj; spodziewała się, że da Bóg może wcale nie przyjdzie aż do jej wyjazdu - a tu zwał się znienacka. Wiemy już, co się potem działo: chcąc się go pozbyć, kazała się odprowadzić do Kuźmy Samsonowa, gdzie jakoby musiała koniecznie „liczyć pieniądze”, a kiedy Mitia natychmiast ją tam odprowadził, żegnając się musiał jej obiecać, że przyjdzie po nią o dwunastej w nocy, aby ją odprowadzić do domu. Mitia bardzo się ucieszył z tego polecenia: „Posiedzi u Kuźmy, więc nie pójdzie do Fiodora Pawłowicza... o ile tylko nie kłamie” - dodał od razu. Ale zdawało mu

się, że nie kłamie. Należał do tego typu zazdrośników, którzy z dala od ukochanej kobiety roją sobie niestworzone historie o jej zdradach, spieszą do niej, zgnębieni, zrozwyczajeni, głęboko przeświadczeni, że zdążyła już zdradzić, i - z pierwszego spojrzenia na jej twarz, na roześmianą, wesołą i łagodną twarz ukochanej, od razu nabierają otuchy, natychmiast zapominają o podejrzeniach i z radosnym zawstydzeniem besztają siebie za zazdrość.

Odprowadziwszy zatem Gruszeńkę, pobiegł do siebie do domu. O, tyle jeszcze miał dziś do roboty! Bądź co bądź kamień spadł mu z serca. „Tylko dowiedzieć się jak najprędzej od Smierdiakowa, czy nie było tam czego wczoraj wieczorem, czy nie przyszła wczoraj, och, nie daj Boże, do Fiodora Pawłowicza!” - przemknęło mu przez myśl. Nie zdążył jeszcze wrócić do domu, gdy znowu zazdrość zakłębiła się w jego niespokojnym sercu.

Zazdrość! „Otello nie jest zazdrosny, jest pełen ufności” - zauważył Puszkina i już to jedno spostrzeżenie świadczy o niezwykłej głębi umysłu naszego wielkiego poety. Otello ma tylko duszę zmiażdżoną, zachwiał się tylko jego cały światopogląd, ponieważ przestał istnieć jego ideał. Ale Otello nie będzie się chował nie będzie szpiegował i podglądał: jest pełen ufności. Trzeba go dopiero naprowadzać, kierować, podżegać z niezwykłym trudem, aby domyślił się zdrady. Inna jest natura prawdziwego zazdrośnika. Niepodobna sobie wyobrazić całej hańby i moralnego upadku, z jakim potrafi się oswoić zazdrośnik bez najmniejszych wyrzutów sumienia. I niekoniecznie musi to być nikiemna, pospolita duszyczka. Wręcz przeciwnie: z wzniosłym sercem, z czystą miłością, pełną poświęcenia, można się chować pod stołami, przekupywać najpodlejszych ludzi i wdrażać się w najlichszą nędzę szpiegowania i podsłuchiwanie. Otello nie mógłby za nic pogodzić się ze zdradą - nie mówię, że nie mógłby przebaczyć zdrady - lecz stanowczo nie mógłby się z nią pogodzić, chociaż dusza jego jest niewinna i dobra jak dusza dziecka. Inaczej rzecz się ma z prawdziwym zazdrośnikiem: trudno sobie wyobrazić, z czym może się pogodzić i do czego przyzwyczaić i co może przebaczyć prawdziwy zazdrośnik! Zazdrosny kochanek jest bardziej skory do przebaczenia od innych, i wszystkie kobiety dobrze o tym wiedzą. Zazdrośnik wyjątkowo prędko (ma się rozumieć, po strasznej scenie) może i jest w stanie na przykład przebaczyć prawie dowiedzioną zdradę, widziane na własne oczy pocałunki i objęcia, jeśli jednocześnie potrafi w jakikolwiek sposób przekonać sam siebie, że to było „ostatni raz”, że jego rywal teraz już zniknie, wyjedzie na koniec świata; albo że on sam wywiezie ją do takiego zakątka, dokąd ów straszliwy rywal nie dotrze. Oczywiście pogodzi się tylko na godzinę, jeśli bowiem tamten rywal nawet zniknie, to zazdrosny kochanek jutro wynajdzie sobie innego, nowego, i znowu będzie o niego zazdrosny. A zdawałoby się: co widzi w tej miłości, którą trzeba tak podglądać, i co warta jest miłość, której trzeba tak pilnować? Ale prawdziwy zazdrośnik nigdy tego nie zrozumie, choć nie brak wśród nich doprawdy ludzi szlachetnego serca. Zastanawiające jest jeszcze to, że ci ludzie szlachetnego serca, stojąc w jakiejś komórce, szpiegując i podsłuchując, pojmują „swymi szlachetnymi sercami” całą haniebną tego czynu, który dobrowolnie popełniają, a jednak nie czują, przynajmniej póki są w tej komórce, żadnych wyrzutów sumienia. Mitia na widok Gruszeńki zapomniał o zazdrości i przez chwilę był szlachetny i ufny, gardził nawet sobą za to złe uczucie. Ale było to tylko świadectwem, że jego miłość do tej kobiety była znacznie wznioślejsza, niż sam przypuszczał, i że składało się na nią nie tylko pożądanie, nie samo tylko „przejęcie ciała”, o którym mówił Alosza. Natomiast gdy tracił ją z oka, od razu zaczynał ją znowu posądzać o wszelkie podłości i podstępne zdrady. I nie czuł wtedy żadnych wyrzutów sumienia.

A więc znowu zawrzała w nim zazdrość. W każdym razie trzeba było się spieszyć. Przede



wszystkim trzeba było postarać się o jakie bądź pieniądze na drobne wydatki. Wczorajsze dziewięć rubli rozeszło się całkowicie na drogę, z płótnem zaś w kieszeni, wiadoma rzecz, nie można zrobić ani kroku. Ale już wczoraj na wozie, wraz z nowym planem, obmyślił sposób wydostania pieniędzy na bieżące wydatki. Miał parę doskonałych pojedynkowych pistoletów i dotychczas ich nie zastawił, ponieważ lubił je najbardziej ze wszystkiego, co miał. Otóż w restauracji „Stołeczny Gród” dawno już zawarł znajomość z pewnym młodym urzędnikiem i dowiedział się mimochodem, że ów urzędnik, dosyć zamożny, kawaler, namiętnie zbiera broń, nabywa pistolety, rewolwery, sztylety, rozwiesza je u siebie po ścianach, pokazuje znajomym, chlubi się kolekcją, tłumaczy system, sposób nabicia i inne szczegóły. Nie zastanawiając się długo, Mitia udał się do niego i zaproponował rewolwery jako zastaw w zamian za pożyczkę dziesięciu rubli. Urzędnik zaczął go namawiać, by sprzedał pistolety, ale Mitia nie zgodził się, wobec czego amator broni dał mu dziesięć rubli i oświadczył, że za nic w świecie nie weźmie procentów. Rozstali się po przyjacielsku. Mitia spieszył się, podążył okólną drogą do swej altanki, aby czym prędzej wywołać Smierdiakowa. Ale w ten sposób znowu można było ustalić, że na trzy czy cztery godziny przed pewnym wydarzeniem, które szczegółowo omówię poniżej, Mitia nie miał ani grosza, i za dziesięć rubli zastawił ulubioną rzecz, później zaś, w trzy godziny, miał przy sobie tysiące... Lecz nie uprzedzajmy faktów.

Maria Kondratiewna (sąsiadka Fiodora Pawłowicza) zaskoczyła go nowiną o chorobie Smierdiakowa. Stropiło go to wielce i zmieszało. Wysłuchał historii upadku do piwnicy, potem o ataku epilepsji, o przyjeździe doktora, o kłopotach Fiodora Pawłowicza; z zaciekawieniem pytał się o wyjazd brata, Iwana Fiodorowicza, do Moskwy. „Zapewne przede mną przejeżdżał przez Wołową” - pomyślał. Choroba Smierdiakowa ogromnie go niepokoiła: „Co teraz, kto będzie pilnował, kto mi doniesie?” Niecierpliwie jął wypytywać kobiety, czy nie zauważyły czego wczoraj wieczorem. One zaś, rozumiejąc, o co mu chodzi, zapewniły go, że nikogo nie było, nocował tylko Iwan Fiodorowicz i „wszystko było w zupełnym porządku”. Mitia zamyślił się. Oczywiście i dzisiaj trzeba będzie czatować, ale gdzie: tu czy pod bramą Samsonowa? Rozstrzygnął, że tu i tam, stosownie do okoliczności, a tymczasem, tymczasem... Chodzi o to, że teraz miał przed sobą do wykonania ten „plan”, dawny, a jednak nowy, i już całkiem pewny plan, obmyślony na wozie, i że nie można było dłużej zwlekać. Mitia postanowił poświęcić na to godzinę: „W godzinę wszystko załatwię, wszystkiego się dowiem, a potem, po pierwsze, pójdę do Samsonowa, dowiem się, czy jest Gruszeńka, i pędem wrócę tutaj, będę przed jedenastą, a następnie znowu do Samsonowa, aby ją odprowadzić do domu.” Tak to sobie wszystko ułożył.

Pobiegł do domu, umył się, uczesał, wyczyścił odzież, ubrał się i poszedł do pani Chochłakow. Niestety, plan jego opierał się na niej. Postanowił bowiem od niej pożyczyć te trzy tysiące. I rzecz najważniejsza, jakoś nagle, raptownie nabrał niezwykłej pewności, że ona mu nie odmówi. Ale wobec tego, jeśli był tak pewny, czemu nie udał się od razu do niej, bądź co bądź osoby z tej samej sfery, zamiast zwracać się do Samsonowa, obcego sobie człowieka, z którym nie wiedział nawet, jak należy mówić? Otóż nie uczynił tak dlatego, że w ostatnim miesiącu jego znajomość z panią Chochłakow ogromnie ochłodziła, zresztą nigdy nie była specjalnie serdeczna; co więcej, wiedział, że pani Chochłakow nie cierpi go. Znienawidziła go od pierwszej chwili, po prostu dlatego, że był narzeczonym Katarzyny Iwanowny, jej zaś nie wiadomo dlaczego zachciało się nagle, aby Katarzyna Iwanowna rzuciła Mitię i wyszła za mąż za „miłego, rycerskiego i wykształconego Iwana Fiodorowicza, który ma tak świetne manieri”. Manier zaś Miti nienawidziła z całej duszy. Mitia śmiał się z niej i pewnego razu wyraził się, że jest „równie żywa i swobodna, co i nieinteligentna”. I

oto rano na wozie olśniła go raptem nowa myśl: „Jeżeli ona tak bardzo nie chce, abym ożenił się z Katarzyną Iwanowna, i to do takiego stopnia (wiedział bowiem, że niemal histerycznie), dlaczego by miała odmówić mi teraz tej pożyczki, tych trzech tysięcy, skoro, mając te pieniądze, będę mógł rzucić Katię i wyjechać stąd na zawsze? Te rozkapryszone damy, gdy ubrdają sobie jakieś głupstwa, niczego już nie żałują, byle je urzeczywistnić. Poza tym baba jest tak bogata” - rozumował Mitia. Co się tyczy „planu”, to pozostał ten sam, czyli polegał na odstąpieniu praw do Czermaszni, ale już nie z handlowego punktu widzenia, jak wczoraj u Samsonowa, i bez przynęty podwójnego zarobku, lecz po prostu w postaci szlachetnego zagwarantowania należności. Zastanawiając się nad tą nową myślą, Mitia wpadł w zachwyt jak zwykle przy wszystkich swoich poczynaniach, przy wszystkich nagłych decyzjach. Oddawał się każdej nowej myśli z całym zapałem. Ale gdy wszedł na ganek pani Chochłakow, przeszło go mrowie z przerażenia: dopiero w tej sekundzie zdał sobie sprawę wyraźnie, z matematyczną dokładnością, że to ostatnia jego nadzieja, że więcej już nic mu nie zostaje na świecie, że jeżeli tu się nie uda, to przyjdzie „chyba zarznąć i ograbić kogo z tych trzech tysięcy, nic więcej...” Było pół do ósmej, gdy pociągnął za dzwonek.

Z początku los jak gdyby się uśmiechnął do niego: ledwo kazał się zaanonsować, przyjęto go z niezwykłą szybkością. „Jakby czekała na mnie” - pomyślał Mitia, a gdy tylko wprowadzono go do salonu, wybiegła mu naprzeciw pani domu i oznajmiła wręcz, że czekała na niego...

- Czekałam, czekałam! Nie mogłam nawet pomyśleć, że pan przyjdzie do mnie, niech pan sam powie, a jednak czekałam, proszę podziwiać mój instynkt, Dymitrze Fiodorowiczu, od rana byłam pewna, że pan dziś przyjdzie.

- To istotnie dziwne, łaskawa pani - odpowiedział Mitia, siadając ociężale - ale... przyszedłem w niezmiernie ważnej sprawie... najważniejszej z ważnych, to znaczy dla mnie, tylko dla mnie. Chodzi mi właśnie...

- Wiem, że w najważniejszej sprawie, Dymitrze Fiodorowiczu, to nie są jakieś przeczucia ani jakieś reakcyjne próby robienia cudów (słyszał pan o starcu Zosimie?), to czysta matematyka: nie mógł pan nie przyjść po tym, co nastąpiło z Katarzyną Iwanowną; nie mógł pan, nie mógł pan, to po prostu matematyka.

- Realizm rzeczywistego życia, łaskawa pani! Ale pozwoli pani, że przystąpię...

- Właśnie realizm, Dymitrze Fiodorowiczu. Teraz jestem całkowicie za realizmem; za bardzo się sparzyłam na tych cudach. Słyszał pan, że umarł starzec Zosima?

- Nie, pierwszy raz słyszę - zdziwił się trochę Mitia. Pomyślał przez chwilę o Aloszy.

- Dziś w nocy, i niech pan sobie wyobrazi...

- Łaskawa pani - przerwał jej Mitia - wyobrażam sobie tylko to, że jestem w arcyrozpaczliwej sytuacji, i jeżeli mi pani nie pomoże, to wszystko się wywali, a ja wywalę się pierwszy. Wybacz pani, że wyrażam się trywialnie, ale jestem podminowany, mówię jak w gorączce...

- Wiem, wiem, że pan mówi jak w gorączce, wszystko wiem, nie może pan nie być w takim

stanie, i cokolwiek pan powie, wiem już o tym z góry. Dawno już wzięłam pod uwagę los pana i śledzę, Dymitrze Fiodorowiczu, i studiuję go... O, niech mi pan wierzy, że jestem doświadczonym lekarzem duszy, Dymitrze Fiodorowiczu.

- Łaskawa pani, jeśli pani jest doświadczonym lekarzem, to ja jestem doświadczonym chorym - sadił się z wysiłkiem na grzeczność Mitia - i przeczuwam, że skoro pani tak śledzi mój los, to chyba nie odmówi mi pani pomocy w krytycznej chwili. Ale właśnie dlatego muszę pani w końcu wyłożyć pewien plan, z którym odważyłem się przyjść do pani... i to, czego od pani oczekuję... Przyszedłem, łaskawa pani...

- Niechże pan nie wyklada, to rzecz nieistotna, Dymitrze Fiodorowiczu. Słyszał pan zapewne o mojej kuzynce Bielmiesowej, mąż jej już ginął, wywalił się, jak pan się wyraził charakterystycznie, Dymitrze Fiodorowiczu, i cóż, wskazałam mu hodowlę koni i powiadam panu, znowu się dorobił. Czy zna się pan na hodowli koni, Dymitrze Fiodorowiczu?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, łaskawa pani, och, najmniejszego pojęcia! - nerwowo zawołał zniecierpliwiony Mitia i nawet zerwał się z miejsca. - Błagam panią tylko, aby zechciała pani mnie wysłuchać, niech mi pani udzieli dwóch minut swobodnej rozmowy, abym mógł najpierw wyłożyć pani wszystko, cały projekt, z którym przyszedłem. W dodatku nie mam czasu, spieszę się okropnie!... - zawołał histerycznie Mitia, czując, że ona znowu zacznie swoje, i pragnąc ją przekrzyczeć. - Przyszedłem tu w rozpacz... w ostatecznej rozpacz, aby prosić panią o trzy tysiące rubli, o pożyczkę pod pewny zastaw, z najpewniejszą gwarancją! Pozwoli pani tylko wytłumaczyć...

- To potem, to wszystko potem! - zawołała, machając rękoma, pani Chochłakow. - I cokolwiek pan powie, wiem o tym z góry, już to panu mówiłam. Prosi pan o jakąś kwotę, potrzebne są panu trzy tysiące, ale ja panu dam więcej, nieskończenie więcej, ja pana uratuję, Dymitrze Fiodorowiczu, ale musi pan mnie usłuchać!

Mitia znowu zerwał się z miejsca.

- Łaskawa pani, czy istotnie jest pani tak dobra! - zawołał z niezwykłym przejęciem. - Boże, uratowała mnie pani. Ratuje pani człowieka od samobójczej śmierci, od pistoletu... Moja wieczna wdzięczność...

- Dam panu nieskończenie, nieskończenie więcej niż te trzy tysiące! - zawołała pani Chochłakow, patrząc z rozpromienionym uśmiechem na uniesienie Miti.

- Nieskończenie? Ależ tyle mi nie trzeba. Koniecznie muszę mieć tylko te fatalne dla mnie trzy tysiące i chciałem ze swojej strony dać pani gwarancję. Proponuję pani plan, który...

- Dostyc. Dymitrze Fiodorowiczu, co powiedziałam, spełnię - ucięła pani Chochłakow ze wstydliwie uroczystą miną filantropki. - Przynależało pana uratować i uratuję. Uratuję pana jak Bielmiesowa. Co pan myśli o kopalni złota, Dymitrze Fiodorowiczu?

- O kopalni złota, łaskawa pani! Nigdy o tym nie myślałem.

- Ale ja za pana myślałam! Medytowałam i obmyślałam! Już cały miesiąc obserwuję pana z tą myślą. Sto razy patrzyłam na pana, kiedy pan przechodził, i myślałam sobie: „Oto energiczny człowiek, który nadaje się do kopalni złota.” Wystudiowałam nawet chód pana i doszłam do wniosku: ten człowiek znajdzie wiele złota.

- Poznała to pani po chodzie? - uśmiechnął się Mitia.

- A tak, i po chodzie. Czy nie uważa pan, że z chodu można określić charakter człowieka, Dymitrze Fiodorowiczu? Nauki przyrodnicze potwierdzają to. O, teraz jestem realistką, Dymitrze Fiodorowiczu. Od dnia dzisiejszego, po całej tej historii w monasterze, która mnie tak rozstroiła, jestem skrajną realistką i chcę zająć się praktyczną działalnością. Jestem uleczona. Dość! - jak powiedział Turgieniew.

- Ale te trzy tysiące, łaskawa pani, które tak wspaniałomyślnie przyrzekła mi pani pożyczyć...

- Nie miną pana, Dymitrze Fiodorowiczu - przerwała mu od razu pani Chochłakow - te trzy tysiące ma pan jakby w kieszeni, i nie tylko trzy tysiące, lecz trzy miliony, Dymitrze Fiodorowiczu, i to w najkrótszym czasie! Wyłożę panu pańską ideę: trafi pan na kopalnię złota, dorobi się milionów, wróci do nas i będzie pan działaczem, będzie pan działał i pobudzał nas do dobrych uczynków. Czyż wszystko należy zostawić Żydom? Będzie pan budował gmachy i różne przedsiębiorstwa. Będzie pan wspierał ubogich, a oni będą pana błogosławić. Teraz jest wiek kolei żelaznej, Dymitrze Fiodorowiczu. Zasłynie pan, stanie się niezbędnym człowiekiem w ministerstwie finansów, które teraz tak potrzebuje dzielnych ludzi. Spadek rubla nie pozwala mi spać spokojnie, Dymitrze Fiodorowiczu, ludzie nie znają mnie z tej strony.

- Łaskawa pani, łaskawa pani! - przerwał jej znów Dymitr Fiodorowicz w jakimś niespokojnym przeczuciu - bardzo, bardzo możliwe, że pójdę za pani radą, za mądrą pani radą, łaskawa pani, i może udam się tam... do tej kopalni złota... i jeszcze raz przyjdę porozmawiać z panią na ten temat... nawet wiele razy... ale teraz te trzy tysiące, które pani tak wspaniałomyślnie... O, one by mnie uratowały i gdyby można było dziś jeszcze... Bo, widzi pani, nie mam teraz ani chwili, ani chwili czasu...

- Dość już, Dymitrze Fiodorowiczu, dość! - przerwała stanowczo pani Chochłakow. - Pytanie: jedzie pan do kopalni złota czy nie, zdecydował się pan zupełnie, niechże mi pan odpowie z matematyczną dokładnością?

- Jadę, łaskawa pani, potem... Pojadę, dokąd pani zechce... ale teraz...

- Niechże pan poczeka! - krzyknęła pani Chochłakow, zerwała się z miejsca i podbiegła do swego wspaniałego biurka z niezliczonymi szufladkami, które zaczęła niespokojnie wyciągać, jak gdyby szukając czegoś w okropnym pośpiechu.

„Trzy tysiące - pomyślał z zamierającym sercem Mitia - i to po prostu, bez żadnych dokumentów i podpisów... o, to po dżentelmeńsku! Wspaniała kobieta, i gdyby nie była tak gadatliwa...”

- O! - zawołała radośnie pani Chochłakow, wracając do Miti - tego właśnie szukałam!

Był to miniaturowy srebrny medalik na sznurku, z tych, które się czasem nosi na szyi razem z krzyżykiem.

- To z Kijowa, Dymitrze Fiodorowiczu - rzekła z namaszczeniem - to część relikwi świętej Barbary męczenniczki. Pozwoli pan, że sama zawieszę go panu na szyi i pobłogosławię na nowe życie i wielkie czyny.

Istotnie zarzuciła mu sznureczek przez głowę i zaczęła poprawiać. Mitia, bardzo zmieszany, nachylił się i pomógł jej wepchnąć obrazek pod halsztuk i kołnierzyk koszuli.

- Teraz może pan jechać! - zawołała pani Chochłakow siadając z uroczystą miną.

- Łaskawa pani, jestem tak wzruszony... nie wiem, jak nawet dziękować... za taką serdeczność, ale... gdyby pani wiedziała, jak mi teraz pilno!... Ta kwota, której tak oczekuję po pani wspaniałomyślnej zgodzie... O, łaskawa pani, jeżeli pani jest już tak dobra, tak wzruszająco wspaniałomyślna (zawołał naraz w uniesieniu), to niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie... o czym pani zresztą dawno już wie... że kocham pewną kobietę... Zdradziłem Katię... Katarzynę Iwanownę, chciałem powiedzieć... O, byłem nieludzki i nieuczciwy względem niej, ale pokochałem tę inną... pewną kobietę, łaskawa pani, którą pani zapewne gardzi, ponieważ wie pani już o wszystkim, ale której żadną miarą nie mogę porzucić, i dlatego teraz te trzy tysiące...

- Niech pan wszystko rzuci, Dymitrze Fiodorowiczu! - przerwała pani Chochłakow jak najbardziej stanowczym głosem. - Niech pan wszystko rzuci, zwłaszcza kobiety. Pański cel to kopalnia złota, a z kobietami tam się nie jedzie. Potem, kiedy pan wróci z majątkiem i sławą, znajdzie pan sobie towarzyszkę życia z najwyższych sfer społeczeństwa. Będzie to współczesna panna, wykształcona i bez przesądów. Do tego czasu właśnie dojrzeje zapoczątkowana obecnie kwestia kobieca i pojawi się nowa kobieta...

- Łaskawa pani, to nie to, nie to... - rzekł Dymitr Fiodorowicz, składając błagalnie dłonie.

- To właśnie to, Dymitrze Fiodorowiczu, tego właśnie panu potrzeba, tego właśnie pan łaknie sam o tym nie wiedząc. Nie jestem przeciwko obecnej kwestii kobiecej, Dymitrze Fiodorowiczu. Rozwój kobiety i nawet polityczna rola kobiety w najbliższej przyszłości - oto mój ideał. Sama mam córkę, Dymitrze Fiodorowiczu, i mało znają mnie ludzie z tej strony. Pisałam w tej sprawie do pisarza Szczedriny, który mi tyle powiedział o powołaniu kobiety, że w zeszłym roku posłałam mu anonimowy list, składający się z dwóch zdań: „Ściskam i całuję pana, mój pisarzu, za dzisiejszą kobietę. Niech pan dalej idzie tą drogą.” I podpisałam: „matka”. Chciałam podpisać: „współczesna matka”; wahałam się, ale wolałam po prostu „matka”: więcej moralnego piękna, Dymitrze Fiodorowiczu, zresztą słowo „współczesna” przypomniałoby mu „współczesnika” - a wie pan, co to za przykre przypomnienie ze względu na obecną cenzurę... Ach, mój Boże, co panu jest?

- Łaskawa pani - wpadł jej wreszcie w słowo Mitia, składając dłonie w bezsilnym błaganu - doprowadzi mnie pani do łez, łaskawa pani, jeżeli pani będzie zwlekała z tym, co tak wspaniałomyślnie...

- Niech pan popłacze, Dymitrze Fiodorowiczu, niech pan popłacze! To piękne uczucie... czeka

pana taka droga! Łzy panu ulżą, potem pan powróci i będzie się cieszył. Specjalnie przyjedzie pan do mnie z Syberii, aby się cieszyć wraz ze mną...

- Ale niechże pani pozwoli, że i ja coś powiem - krzyknął naraz Mitia - po raz ostatni błagam panią, czy będę mógł dzisiaj dostać od pani tę przyrzeczoną kwotę? Bo jeżeli nie, to kiedy mam przyjść po nią?

- Jaką kwotę, Dymitrze Fiodorowiczu?

- Przyrzeczone trzy tysiące... które pani tak wspaniałomyślnie...

- Trzy tysiące? Niby rubli? Och, nie, nie mam trzech tysięcy - z jakimś spokojnym zdziwieniem powiedziała pani Chochłakow.

Mitia zdrętwiał.

- Jak to... przed chwilą... pani powiedziała... pani wyraziła się nawet, że mam je jakby w kieszeni...

- Och, nie, pan mnie źle zrozumiał, Dymitrze Fiodorowiczu. Jeżeli tak, to pan mnie nie rozumiał. Mówiłam o kopalni złota... Prawda, przyrzekłam panu więcej, nieskończenie więcej niż trzy tysiące, teraz sobie wszystko przypominam, ale miałam na myśli tylko kopalnię.

- A pieniądze? A trzy tysiące? - nedorzecznie zawołał Dymitr Fiodorowicz.

- O, jeżeli pan miał na myśli pieniądze, to ja nawet nie mam pieniędzy. Nie mam teraz zupełnie pieniędzy, Dymitrze Fiodorowiczu, wojuję teraz właśnie z moim zarządzającym i sama pożyczyłam w tych dniach pięćset rubli od Miusowa. Nie, nie, nie mam pieniędzy. I wie pan, Dymitrze Fiodorowiczu, gdybym nawet miała pieniądze, to bym panu nie dała. Po pierwsze, nikomu nie pożyczam. Pożyczyć to znaczy pokłócić się. Ale panu, zwłaszcza panu, bym nie dała, lubiąc pana nie dałabym; żeby pana uratować, nie dałabym, ponieważ jeden jest tylko ratunek dla pana: kopalnia złota, kopalnia i tylko kopalnia!...

- O, niech to diabli! - wrzasnął naraz Mitia i z całej siły grzmotnął pięścią w stół.

- A-aj! - krzyknęła pani Chochłakow, przerażona, i uciekła na drugi koniec salonu.

Mitia splunął i szybkim krokiem wyszedł z pokoju, z domu, na ulicę, w ciemność! Szedł jak obłąkany, bijąc się w pierś, w to samo miejsce, w które się bił dwa dni temu wobec Aloszy w czasie ich ostatniego spotkania wieczorem, w ciemności na trakcie. Co oznaczało to bicie się w pierś, dokładnie w to samo miejsce, i co chciał przez to powiedzieć - to chwilowo jeszcze tajemnica, której nie znał nikt na świecie, której nie odsłonił wówczas nawet Aloszy. Ale tajemnica ta była dlań więcej niż hańbą, była zgubą i samobójstwem - tak już to sobie powiedział na wypadek, gdyby nie dostał tych trzech tysięcy dla Katarzyny Iwanowny, aby zdjąć z piersi, z „tego miejsca na piersi” hańbę, którą tam nosił i która tak męczyła jego sumienie. Wszystko to dokładnie wyjaśni się później, teraz zaś, straciwszy ostatnią nadzieję, ten człowiek, tak silny fizycznie, po paru krokach od wyjścia z domu Chochłakowej zalał się raptem łzami jak małe dziecko. Szedł i w zapamiętaniu wycierał łzy

pięścią. Tak wszedł na plac i naraz poczuł, że natknął się na coś całym ciałem. Jakaś staruszka pisnęła głośno - o mało jej nie przewrócił.

- Boże, mało mnie nie zabił! Oczu nie masz, łobuzie!

- Jak to, to wy? - zawołał Mitia, dojrzawszy w ciemnościach staruszkę. Była to stara służąca Samsonowa, którą wczoraj Mitia dobrze zapamiętał.

- A kto pan taki, dobrodzieju? - innym już głosem odezwała się staruszka - nie mogę przecie pana poznać w takiej ćmie.

- Mieszkacie u Kuźmy Kuźmicza, tam służycie, prawda?

- A tak, dobrodzieju, właśnie byłam u Prochorycza... Ale czegoś to pana nie mogę poznać.

- Powiedźcie, matko, czy Agrafiena Aleksandrowna jest teraz u was? - zawołał Mitia. - Sam ją niedawno odprowadziłem.

- A była, ojczulku, przysła, posiedziała kapkę i poszła.

- Co? Poszła? - zawołał Mitia. - Kiedy?

- Od razu poszła, chwilkę tylko siedziała u nas. Kuźmie Kuźmiczowi bajeczkę opowiedziała, rozśmieszyła go i uciekła.

- Kłamiesz, przekłeta! - wrzasnął Mitia.

- A-aj! - krzyknęła staruszka, ale Miti już nie było; pobiegł co tchu do domu Morozowej. Kwadrans jeszcze nie minął od czasu, jak Gruszeńka wyjechała do Mokrego. Fienia siedziała ze swoją babką, kucharką Matrioną, w kuchni, gdy wbiegł nagle „kapitan”. Na jego widok Fienia zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

- Krzyczysz? - ryknął Mitia. - Gdzie ona? - Ale nie doczekawszy się odpowiedzi struchlałej Fieni, rzucił się raptem jej do nóg.

- Fienia, na miłość boską, powiedz, gdzie ona?

- Ojczulku, nic nie wiem, drogi Dymitrze Fiodorowiczu, ja nic nie wiem, niech mnie pan zabije, nic nie wiem - zaklinała się Fienia - sam pan z nią niedawno poszedł...

- Ona wróciła!...

- Nie wróciła, przysięgam, że nie wróciła!

- Kłamiesz! - krzyknął Mitia. - Z przerażenia twego poznaję, dokąd poszła!...

Wybiegł z kuchni. Fienia była zadowolona, że się go pozbyła tak łatwo; dobrze wiedziała, że

zawdzięcza to tylko jego pośpiechowi, bo w przeciwnym razie nie puściłby jej tego kłamstwa płazem. Lecz zanim uciekł, zadziwił Fienię i starą Matryonę nieoczekiwanym postępkim: na stole stał mosiężny moździerz z tłuczkiem - długim tylko na ćwierć arszyna. Mitya, jedną ręką otworzywszy już drzwi, naraz drugą ręką porwał tłuczek z moździerza, wsunął go do bocznej kieszeni, i tyle go widziano.

- Ach, Boże, on chce kogoś zabić! - zawołała Fienia załamawszy ręce.

## IV W CIEMNOŚCIACH

Dokąd pobiegł Dymitr Fiodorowicz? Wiadomo: „Gdzie ona może być, jak nie u Fiodora Pawłowicza? Od Samsonowa pobiegła wprost do niego, teraz to nie ulega wątpliwości. Cała intryga, cały podstęp wyszedł teraz na jaw...” Wszystkie myśli pędziły jak wichry w jego głowie. Nie zajął nawet do Marii Kondratiewny: „Nie trzeba, nie trzeba... nie było żadnego alarmu... od razu zawiadomią i zdradzą... Maria Kondratiewna naturalnie należy do zmywy, Smierdiakow również, wszyscy są przekupieni!” Ukartował więc sobie inaczej: okrążył, biegnąc przez zaułek, dom Fiodora Pawłowicza, przebiegł Dymitrowską, pobiegł przez mostek, znalazł się w głuchej, pustej i odludnej uliczce, na tyłach ogrodów, między płotem sąsiedniego warzywnika a wysokim mocnym parkanem otaczającym ogród Fiodora Pawłowicza. Wybrał sobie, zdaje się, to samo miejsce, przez które, jak powiadano, o czym zresztą i on wiedział, przelała kiedyś Lizawieta Smierdiaszcza. „Jeżeli ta mogła przeleźć - nie wiadomo czemu wpadło mu na myśl - to jakże bym ja nie przelał?” W istocie podskoczył i od razu zręcznie uchwycił się ręką brzegu parkanu, a następnie podciągnął się energicznie i siadł okrakiem. Opodal w ogrodzie stała łaźnia, ale z góry widać było okna domu, obecnie oświetlone. „Tak, jest, u starego w sypialni pali się światło, ona tam jest!” - pomyślał i zeskoczył na ziemię. Wiedział, że Grzegorz jest niezdrów, i przypuszczał, że Smierdiakow naprawdę jest chory, mógł zatem sądzić, że nikt go nie usłyszy, ale instynktownie zamarł na miejscu, stłumił oddech i zaczął nasłuchiwać. Wszędzie zalegało głębokie milczenie, a w powietrzu, jakby umyślnie, zawisła martwa cisza.

„I tylko cisza szepce - przypomniał mu się nie wiedzieć czemu ten wierszyk - byle nikt nie usłyszał, że przeskoczyłem; zdaje się, że nie.” Postął tak chwilę, po czym cichym krokiem ruszył po trawie w kierunku domu, wymijając ostrożnie drzewa i krzewy, skradając się i przysłuchując za każdym krokiem. Po pięciu minutach dobiegł do oświetlonego okna. Pamiętał, że pod samymi oknami stoi kilka wysokich gęstych krzaków dzikiego bzu i kaliny. Drzwi do ogrodu, znajdujące się po lewej stronie, były zamknięte - przechodząc przyjrzał im się uważnie. Wreszcie dotarł do krzaków i zaczął się za nimi. Wstrzymywał oddech. „Trzeba przeczekać - pomyślał - jeżeli słyszeli moje kroki i nasłuchują, trzeba, żeby się uspokoili... byle tylko nie chrząknąć, nie kichnąć...”

Przezczekał ze dwie minuty, lecz serce straszliwie łomotało mu w piersiach, a chwilami aż dusiło w gardle. „Nie, nie uspokoi się serce - pomyślał - nie mogę dłużej czekać.” Stał w cieniu za krzakiem, którego przód był oświetlony blaskiem padającym z okna. „Kalina, jagody, jakie



czerwone!” - wyszeptał nie wiedząc czemu. Cichaczem, powoli stawiając bezgłośnie kroki, podszedł do okna i wspiał się na czubki palców. Ujrzał sypialnię Fiodora Pawłowicza jak na dłoni. Był to niewielki pokój, przedzielony w poprzek czerwoną zasłoną - „chińską”, jak powiadał Fiodor Pawłowicz. „Chińska - przemknęło przez głowę Mitia - a za tą zasłoną Gruszeńka.” Zaczął przyglądać się Fiodorowi Pawłowiczowi. Ów miał na sobie nowy pasiaty, jedwabny szlafrok, którego Mitia nie znał, przepasany jedwabnym sznurkiem z chwastami. Spod kołnierza szlafroka wyglądała czysta elegancka bielizna, koszula z cieniutkiego holenderskiego płótna, ze spinkami. Głowę miał Fiodor Pawłowicz przewiązaną tą samą czerwoną przepaską, w której widział go był Alosza. „Wystroił się” - pomyślał Mitia. Fiodor Pawłowicz stał zamyślony w pobliżu okna, nagle nerwowo poruszył głowę, przez chwilę nasłuchiwał, ale nic nie usłyszawszy, podszedł do stołu, nalał sobie z karafki pół kieliszka koniaku i wychylił. Następnie westchnął pełną piersią, znowu powstał, z roztargnioną miną podszedł do lustra, prawą ręką uniósł nieco czerwoną opaskę i począł oglądać sińce i zadrapania, które jeszcze nie przeszły. „Jest sam - pomyślał Mitia - według wszelkiego prawdopodobieństwa sam.” Fiodor Pawłowicz odszedł od lustra, nagle odwrócił się do okna i wyjrzał. Mitia momentalnie ukrył się w cieniu.

„Może ona leży za zasłoną, może już śpi” - ukłuło go w sercu. Fiodor Pawłowicz odszedł od okna. „Gruszeńki wypatrywał przez okno, a zatem nie ma jej: bo po cóż by wyglądał w ciemności?... zniecierpliwiony widać, nie może się doczekać...” Mitia znowu podszedł do okna i znowu zaczął zaglądać. Stary już siedział przy stoliku, na pozór bardzo przygnębiony. W końcu oparł się na łokciu i przyłożył prawą dłoń do policzka. Mitia śledził go chciwym spojrzeniem.

„Sam, sam! - powtarzał w duchu. - Gdyby ona tu była, miałby inną minę.” Rzecz dziwna, w sercu jego naraz zakipiała jakaś bezmyślna i cudaczna złość, że jej tu nie ma. „Nie dlatego, że jej tu nie ma - uświadomił sobie natychmiast Mitia i sam sobie odpowiedział - lecz dlatego, że nie mogę stwierdzić z całą pewnością, czy jest, czy jej nie ma.” Mitia przypomniał sobie później, że umysł jego w owej chwili działał niezwykle sprawnie, spostrzegał wszystko, każdy szczegół i chwycił w lot wszelką drobnostkę. Ale smutek, męka niepewności i nieświadomości wzbierała w jego sercu niezmiernie gwałtownie. „Jest czy jej tu nie ma?” - zakipiało mu serce gniewem. I naraz zdecydował się, wyciągnął rękę: delikatnie zastukał w ramę okienną. Wystukał znak umówiony między starym i Smierdiakowem: dwa razy powoli, a potem trzy razy prędzej: puk-puk-puk - znak, stwierdzający, że „Gruszeńka przyszła”. Starzec drgnął, zadarł do góry głowę, zerwał się z miejsca, dopadł okna. Mitia ponownie skrył się w cieniu, Fiodor Pawłowicz otworzył okno i wysunął głowę.

- Gruszeńka, to ty? Czy to ty? - rzekł jakimś drżącym półszepceniem. - Gdzie jesteś, kochanie, gdzie, mój aniele, gdzie jesteś?

Był strasznie wzburzony, niemal tracił oddech. „Sam!” - zdecydował Mitia.

- Gdzie jesteś? - zawołał znowu stary i wysunął głowę jeszcze bardziej, nawet szyję i ramię, rozglądając się na wszystkie strony, w prawo i w lewo. - Chodź, podarunek ci przygotowałem, chodźże, zaraz ci pokażę!...

„Mówi o pakiecie z trzema tysiącami” - pomyślał Mitia.

- No, gdzie jesteś?... Czy pode drzwiami? Zaraz otworzę...

I omal nie wylażł przez okno, patrząc w prawo w kierunku drzwi do ogrodu i usiłując rozpoznać cokolwiek w mroku. Nie doczekawszy się odpowiedzi Gruszeńki, najpóźniej za sekundę otworzy drzwi. Mitią patrzył ze swego ukrycia i ani drgnął. Ten tak wstrętny dla niego profil ojca, zwisający podbródek, haczykowany nos, uśmiechające się w słodkim oczekiwaniu wargi - wszystko to widać było w ukośnie padającym jaskrawym świetle lampy, umieszczonej z lewej strony w pokoju. Straszna, wściekła złość zawrzała nagle w sercu Miti: oto jego rywal, jego dręczyciel, jego kat! Był to atak owej nagłej, mściwej i dzikiej złości, którą jakby przeczuł i o której mówił Aloszy cztery dni temu w altance, kiedy brat go zapytał: „Jak możesz mówić, że zabijesz ojca?”

- Nie wiem, nie wiem - rzekł wówczas - może nie zabiję, a może zabiję. Boję się, że znienawidzę go nagle w jednej chwili za jego twarz. Nienawidzę jego podbródka, jego nosa, jego oczu, jego bezwstydного uśmiechu. Czuję wyraźne obrzydzenie. Boję się, że nie wytrzymam...

Obrzydzenie narastało do udreki. Mitią już nie pamiętał nic i naraz wyrwał mosiężny tłuczek z kieszeni...

\* \* \*

„Bóg - jak się później Mitią wyraził - czuwał wówczas nade mną.” W tej samej chwili obudził się chory Grzegorz Wasiliewicz. Pod wieczór poddał się zabiegom, o których Smierdiakow opowiadał Iwanowi Fiodorowiczowi, mianowicie: dał się natrzeć wódką z jakimś mocnym naparem, resztę zaś wypił, po czym zasnął. Marfa Ignatiewna, zamówiwszy chorobę, również skosztowała lekarstwa i również zasnęła natychmiast twardym snem. I oto nieoczekiwanie Grzegorz obudził się, medytował chwilę i chociaż znowu poczuł silny ból w krzyżu, podniósł się jednak, znowu się nad czymś zastanowił i naprędce ubrał. Może sumienie go gryzło, że on tu się wysypia, gdy nikt domu nie pilnuje w taki „niebezpieczny czas”. Smierdiakow leżał po ataku jak martwy w sąsiedniej komórce. Marfa Ignatiewna nie poruszyła się. „Osłabła baba”, pomyślał Grzegorz Wasiliewicz, spojrzał na nią i chrząkając wyszedł na ganek. Chciał tylko rozejrzeć się wokoło z ganku, bo obejść domu nie zamierzał, zbyt dotkliwie bolało go w krzyżu i w prawej nodze. Ale naraz przypomniał sobie, że z wieczora nie zamknął na klucz furtki do ogrodu. Był to człowiek sumienny i arcyskrupulatny, nigdy nie naruszał ustalonego raz na zawsze porządku i wieloletnich przyzwyczajzeń. Kuszący się z bólu, powłókł się do ogrodu. Istotnie, furtka była otwarta na oścież. Odruchowo poszedł dalej: może mu się co przywidziało, a może usłyszał jakiś dźwięk: spojrzawszy w lewo, ujrzał otwarte okno, puste już, z którego nikt nie wyglądał.

„Dlaczego otwarte, teraz nie lato!” - pomyślał Grzegorz.

I naraz w tej samej chwili tuż przed nim w ogrodzie mignęło coś niezwykłego. O czterdzieści kroków przed nim przebiegł w ciemnościach jakiś człowiek, którego cień poruszał się szybko po trawie.

- Boże! - zawołał Grzegorz i, zapominając o bólu, zabiegł drogę uciekającemu.

Biegł bliższą drogą; snadź lepiej znał ogród niż uciekający, który skierował się ku łaźni,

wyminął ją, dopadł parkanu... Grzegorz nie spuszczał go z oka i biegł co tchu. Podbiegł do parkanu w chwili, gdy zbieg już przelażił na drugą stronę. Nie panując nad sobą, Grzegorz wrzasnął, rzucił się, wpił się palcami obu rąk w nogę zbiega.

Tak jest, przecucie nie zawiodło go; poznał go, to był on - „potwór-ojcobójca”!

- Ojcobójca! - zawołał starzec na cały głos.

Ale tylko zdążył to wykrzyknąć; nagle upadł, jakby rażony piorunem. Mitia zeskoczył do ogrodu i pochylił się nad leżącym starcem. W rękach trzymał mosiężny tłuczek; odruchowo rzucił go w trawę. Tłuczek upadł o dwa kroki od Grzegorza, ale nie na trawę, lecz na ścieżkę, na miejsce widoczne. Przez kilka sekund Dymitr Fiodorowicz spoglądał na starca. Głowa broczyła krwią; Mitia wyciągnął rękę i zaczął badać tę głowę. Przypomniawszy sobie później, że w owej chwili miał ogromną ochotę „przekonać się całkowicie”, czy rozplątał Grzegorzowi czaszkę, czy tylko go ogłuszył. Lecz krew płynęła coraz obficie i oblała gorącą strugą drżące palce Miti. Pamiętał, że wyciągnął z kieszeni nową białą chustkę, którą zabrał ze sobą, idąc do pani Chochłakow, i przyłożył do głowy starca, bezmyślnie starając się zetrzeć krew z czoła i twarzy. Ale i chustka momentalnie nasiąkała krwią.

„Boże, czemuż to zrobiłem? - opamiętał się nagle Mitia. - Jeśli nawet rozplątałem mu głowę, to jak się teraz dowiem... I czy nie wszystko jedno! - dodał naraz beznadziejnie - zabiłem, to zabiłem.”

- Upadł stary, to niech leży! - odezwał się na głos i wdrapał się na parkan, zeskoczył i puścił się pędem przez zaułek.

Chustkę, nasiąkniętą krwią, zaciskał w prawej pięści, po czym wsunął w biegu do tylnej kieszeni surduta. Pędził na złamanie karku; nieliczni przechodnie, którzy spotkali go w ciemnościach na ulicach miasta, zapamiętali sobie, że tej nocy widzieli nieprzytomnie pędzącego człowieka. Biegł z powrotem do domu Morozowej. Tymczasem Fienia, po wyjściu Miti, odszukała starego stróża Nazara Iwanowicza i błagała go na wszystkie świętości, aby „nie wpuszczał kapitana ani dziś, ani jutro”. Nazar Iwanowicz przyrzekł dopilnować, ale traf zrządził, że akurat wezwano go raptem do starszej pani na górę, zapomniał spotkanemu bratankowi, dwudziestoletniemu parobkowi, który niedawno przybył ze wsi, powtórzyć prośbę Fieni; powiedział tylko, żeby pilnował podwórza. Dobiegłszy do bramy, Mitia zastukał. Parobek poznał go natychmiast: Mitia nieraz dawał mu sute napiwki. Otworzył więc furtkę, wpuścił gościa i z wesołym uśmiechem uprzedzająco grzecznie zawiadomił, że „przecie Agrafieny Aleksandrowny teraz w domu nie ma”. Dymitr Fiodorowicz stanął jak wryty.

- A gdzie jest?

- Pojechała, ze dwie godziny będzie, z Timofiejem do Mokrego.

- Po co? - krzyknął Mitia.

- Ano nie wiem, do jakiegoś oficera, konie stamtąd przysłał po nią...

Mitia, jak oszalały, pędem wbiegł do Fieni.

## V NAGLE POSTANOWIENIE

Fienia zaś siedziała z babką w kuchni; obie zamierzały już się położyć. Ufając przezorności Nazara Iwanowicza, nie zamknęły drzwi na klucz. Mitia wpadł, podbiegł do Fieni i chwycił ją od razu za gardło.

- Mów natychmiast, gdzie ona, z kim jest teraz w Mokrem? - wrzasnął, nie posiadając się z wściekłości.

Obie kobiety zaczęły piszczeć.

- Ojej, powiem, powiem, łaskawy Dymitrze Fiodorowiczu, zaraz wszystko powiem, nic nie zataję - zawołała przerażona Fienia. - Pojechała do oficera.

- Do jakiego oficera? - wrzeszczał Mitia.

- Do dawnego oficera, do tego samego, do swego dawnego, który był pięć lat temu, rzucił i wyjechał - trajkotała w pośpiechu Fienia.

Dymitr Fiodorowicz puścił gardło dziewczyny. Stał przed nią, blady jak trup, i milczał, lecz oczy jego świadczyły, że wszystko od razu pojął, wszystko od pierwszego słowa i wszystkiego się domyślił. Ale biedna Fienia nie była w stanie teraz zauważyć, czy pojął, czy nie. Siedziała na kufrze, jak przed jego przybyciem, i zastygła z wyciągniętymi do obrony rękoma. Struchlałymi, rozszerzonymi źrenicami wpiła się w niego. A ręce jego były właśnie powalane krwią. Biegając dotknął zapewne czoła i twarzy, by wytrzeć pot, bo na czole i na prawym policzku zostały czerwone plamy krwi. Fienia czuła się bliską ataku hysterii; kucharka zaś zerwała się i patrzyła przed siebie, jak obłąkana, nieprzytomnym wzrokiem. Dymitr Fiodorowicz postął tak chwilę i nagle machinalnie siadł na krześle obok Fieni.

Siedział jak osłupiały. Ale wszystko było jasne jak dzień: ów oficer - słyszał o nim, przecie wiedział o wszystkim doskonale, sama Gruszeńka opowiedziała mu, mówiła mu nawet o liście, który dostała miesiąc temu. Zatem miesiąc, cały miesiąc dojrzewało to w tajemnicy przed nim, aż do przyjazdu tego nowego intruza, a on nawet nie pomyślał o nim! Ale jakże, jakże mógł o nim nie myśleć? Dlaczego zapomniał o tym oficerze, zapomniał od razu, ledwo się o nim dowiedział? Oto pytanie, które stanęło przed nim i zdumiewało go. I myślał o tym z lękiem, z trwogą, która mroziła mu krew w żyłach.

Lecz naraz cicho, łagodnie jak potulne i dobre dziecko, przemówił do Fieni, zapomniawszy, że dopiero co ją przestraszył, obraził i zmęczył. Naraz z niezwykłą i zdumiewającą w takich okolicznościach dokładnością począł wypytywać Fienię. Ona zaś, chociaż dzikim wzrokiem wpiła

się w jego skrwawione ręce, również z zadziwiającą pochopnością i gotowością odpowiadała mu na wszystkie pytania, jakby pragnąc mu powiedzieć „całą świętą prawdę”. Pomału wciągnęła się i z radością opowiadała mu wszystkie szczegóły i nie po to bynajmniej, aby go męczyć, lecz po prostu dlatego, że chciała mu się z całego serca przysłużyć. Wszystko powiedziała, nic nie przepuściła - i wizytę Rakitina i Aloszy, i o tym, jak sama stała na czatach, jak pani pojechała i co zawołała przez okno do Aloszy, i o tym, żeby Alosza pokłonił się Mitieńce, i o tym, aby Dymitr „wiecznie pamiętał, jak kochała go całą godzinkę”... Usłyszawszy o pokłonie, Mitia nagle oblał się mocnym rumieńcem. Fienia w tejże chwili zawołała, nie bojąc się już okazać ciekawości:

- Jakie pan ma ręce, Dymitrze Fiodorowiczu, całe we krwi!

- Tak - odpowiedział machinalnie Mitia, roztargnionym spojrzeniem wodząc po rękach, lecz zapomniał od razu i o nich, i o pytaniu Fieni.

Znowu pograżył się w milczeniu. Od czasu jak przyszedł, minęło chyba ze dwadzieścia minut. Przestrach jego znikł, lecz widać było, że powziął jakieś nowe, niezachwiane postanowienie. Naraz zerwał się z miejsca i uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Wielmożny panie, co się panu stało? - zapytała Fienia, znowu wskazując na jego ręce.

Powiedziała to z litością, niby najbliższa mu istota. Mitia znowu spojrzął na swoje ręce.

- To krew, Fienia - rzekł, patrząc na nią dziwnie - to krew ludzka i Boże, czemuż się polala!... Ale... Fienia... jest taki parkan (patrzył na nią tak, jakby zadawał jej zagadkę), wysoki parkan i wygląda strasznie, lecz... jutro o świcie, gdy wzejdzie słońce, Mitieńka skoczy przez ten parkan... Nie rozumiesz, Fienia, jaki to parkan... ale to nic... wszystko jedno, jutro się dowiesz i wszystko zrozumiesz... a teraz żegnaj! Nie będę przeszkadzał i usunę się, potrafię się usunąć. Żyj, moja radości... kochała mnie godzinkę, więc popamiętaj na wieki Mitieńkę Karamazowa... Przecie zawsze nazywała mnie Mitieńka, pamiętasz?

Mówiąc to, wyszedł raptownie z kuchni. Fienia zaś złękła się tego wyjścia bardziej może niż poprzednio jego wtargnięcia.

W dziesięć minut potem Dymitr Fiodorowicz wszedł do młodego urzędnika Piotra Ilicza Pierchotina, któremu dał pod zastaw pistolety. Było już pół do dziewiątej i Piotr Ilicz, napiwszy się w domu herbaty, właśnie znowu włożył surdut, aby udać się do restauracji „Stołeczny Gród” na partię bilardu. Mitia zatrzymał go w drzwiach. Pierchotin, spojrzawszy na jego krwią zawałaną twarz, nie mógł powstrzymać okrzyku:

- Boże! Co panu jest?

- Przyszedłem - odrzekł prędko Mitia - po moje pistolety i przyniosłem panu pieniądze. Dziękuję bardzo. Spieszę się, Piotrze Iliczu, proszę pana bardzo, prędzej.

Piotr Ilicz dziwił się coraz bardziej: w rękach Miti ujrzał całą paczkę pieniędzy. Co więcej, Mitia trzymał tę paczkę i wszedł z nią do pokoju w sposób wyjątkowo nienaturalny: wszystkie

banknoty zaciskał w prawej, wyciągniętej nieco dłoni, jak gdyby chciał je komuś pokazać. Chłopak, służący Pierchotina, który spotkał Mitię w przedpokoju, opowiadał potem, że ów od razu tak wszedł do przedpokoju z pieniędzmi w rękę, a więc zapewne trzymał je tak samo na ulicy. Były to tęczowe banknoty sturublowe. Przytrzymał je zakrwawionymi palcami. Piotr Ilicz później na pytania osób zainteresowanych, ile było tych pieniędzy, odpowiedział, że trudno było na oko określić, paczka była duża, „nabita” i mogła zawierać dwa albo trzy tysiące. Dymitr Fiodorowicz, według zeznań Pierchotina, „był jak gdyby nieprzytomny; nie był pijany, ale w jakimś odurzeniu, bardzo roztargniony i jednocześnie skupiony, jak gdyby bił się z jakąś myślą i nie mógł zdecydować. Bardzo się śpieszył, odpowiadał krótko, bardzo dziwnie, chwilami wydawał się beztroski, a nawet jak gdyby wesoły.”

- Ale co się z panem dzieje, co się z panem dzieje? - zawołał znowu Piotr Ilicz, wytrzeszczonym wzrokiem spoglądając na przybyłego. - Gdzie się pan tak pokrwawił, czy pan upadł, niechże pan spojrzy!

Chwycił go za łokieć i doprowadził do lustra. Mitia na widok swej splamionej krwią twarzy wzdrygnął się i groźnie nachmurzył.

- E, diabli nadali! Tego mi jeszcze brakowało - mruknął ze złością, przełożył pieniądze do lewej ręki i wyrwał gwałtownym ruchem chusteczkę z kieszeni. Ale i chusteczka była cała zakrwawiona (wytarł nią głowę i twarz Grzegorza): nie było na niej białego miejsca, krew zaschła, a raczej jakoś zaskorupiała, tak że nie można było chusteczki rozwinąć.

Mitia ze złością rzucił ją na podłogę.

- Do licha! Czy nie ma pan jakiej szmatki do wytarcia...

- To pan tylko powalał się, nie jest pan skaleczony?

Niechże się pan lepiej wymyje - odparł Piotr Ilicz - proszę, tu jest miednica, ręcznik zaraz panu podam.

- Miednica? Dobrze... tylko gdzie ja to podzieję? - Z jakimś dziwnym zdumieniem wskazał Pierchotinowi paczkę sturublówek, popatrzył nań pytająco, jakby tylko Pierchotin mógł mu poradzić, gdzie ma podziać swoje własne pieniądze.

- Do kieszeni niech pan wsadzi albo położy tu na stole, nie zginą.

- Do kieszeni? A tak, do kieszeni. To dobrze... Nie, widzi pan, wszystko to bzdura - zawołał, jak gdyby nagle przytomniejąc. - Widzi pan, najpierw musimy skończyć z jednym, mówię o pistoletach, niech mi pan je zwróci, a oto pieniądze... bo, widzi pan, bardzo mi są potrzebne, bardzo... i czasu, czasu nie mam ani chwili...

I zdjawszy z paczki wierzchnią sturublówkę, podał ją urzędnikowi.

- Ale ja nawet reszty nie mam - odrzekł ów - czy nie ma pan drobniejszych?

- Nie - rzekł Mitia, znowu spojrzawszy na paczkę i jakby nie będąc tego pewny, odwrócił kilka

następnych banknotów. - Nie, wszystkie takie same - dodał i znowu spojrzął pytająco na Piotra Ilicza.

- Ale skąd się tak pan z bogacił? - zapytał Pierchotin. - Niech pan poczeka, pošlę swego chłopca do Płotnikowów, którzy późno zamykają sklep. Może tam zmienia. Ej, Misza! - zawołał wyjrzawszy do przedpokoju.

- Do sklepu Płotnikowów - znakomity pomysł! - zawołał Mitia, jak gdyby olśniony jakąś myślą. - Misza - zwrócił się do wchodzącego chłopca - uważaj, biegnij do Płotnikowów i powiedz, że Dymitr Fiodorowicz kazał się kłaniać i zaraz sam przyjdzie... Ale posłuchaj dobrze: niech tam przygotowują dla mnie szampana, ze trzy tuziny, i zapakują jak wówczas, kiedy jechałem do Mokrego... Wówczas cztery tuziny od nich wzięłem (zwrócił się do Piotra Ilicza) - już tam wiedzą, bądź spokojny, Misza - zwrócił się znowu do chłopca. - I uważaj, niech przygotowują sery, pasztety sztrasburskie, figi wędzone, wędlinę, kawior, no i wszystkiego, co tylko mają, za jakie sto, czy sto dwadzieścia rubli, jak wtedy... Uważaj, żeby nie zapomniano słodyczy, cukierków, gruszek, trzech czy czterech arbusów, no nie, dość jednego, arbuza, czekolady, karmelków, ciągutek, cukierków Montpensier - no, wszystkiego, co wtedy kupiłem, wraz z szampanem na jakie trzysta rubli... I żeby teraz tak samo jak wtedy. Pamiętaj, Misza, jeśli się nazywasz Misza... To Misza, co? - znowu zwrócił się do Piotra Ilicza.

- Niech pan poczeka - przerwał mu Piotr Ilicz, słuchając go i patrząc na niego z niepokojem - niech pan lepiej sam pójdzie, bo on wszystko przekręci.

- Przekręci, widzę, że przekręci! Ach, Misza, a ja cię chciałem wycalować za to... Jeżeli nie przekręcisz, to dam ci dziesięć rubli, leć żywo... Szampan, najważniejsza rzecz, żeby szampan przygotowali i koniaczku, białego i czerwonego, i wszystko, tak jak wtedy... Oni już tam wiedzą, jak było wtedy.

- Niechże pan posłucha! - przerwał mu zniecierpliwiony Piotr Ilicz. - Powiadam panu: niech on tylko idzie zmienić pieniądze i niech im powie, żeby nie zamykali sklepu, a pan już sam wszystko zamówi... Proszę o banknot, żywo, Misza, masz, już cię nie ma!

Piotr Ilicz, zdaje się, umyślnie wypędził czym prędzej chłopca, bo ten jak stanął przed gościem, tak stał z rozdziawioną ze strachu i zdziwienia gębą, łypiąc oczyma na zakrwawioną twarz i na te ręce z paczką banknotów w trzęsących się palcach. Zapewne niewiele zrozumiał z tego wszystkiego, co mu nagadał Mitia.

- No, a teraz pójdziemy się umyć - odezwał się surowym tonem Piotr Ilicz. - Niech pan położy pieniądze na stole albo wsadzi do kieszeni... Tak, chodźmy. Niech pan zdejmie surdut.

Zaczął mu pomagać przy zdejmowaniu surduta i naraz znowu krzyknął:

- Niech pan spojrzy, surdut jest również we krwi!

- Nie... surdut nie. Tylko troszeczkę tu na rękawie... A to tylko tu, gdzie leżała chustka. Kieszeń przesiąkła. Na chustce usiadłem u Fieni, więc krew przesiąkła - wyjaśnił Mitia z jakąś nienaturalną szczerością.

Piotr Ilicz słuchał ze ściągniętymi brwiami.

- Znowu pan sobie dogodził; zapewne bił się pan z kim - mruknął.

Zaczął się mycie. Piotr Ilicz trzymał dzbanek i polewał. Mitia śpieszył się i źle namydlił ręce. (Ręce mu drżały, jak później przypomniał sobie Piotr Ilicz.) Piotr Ilicz kazał mu lepiej namydlić i mocniej nacierać. Miał w owej chwili jakąś przewagę nad nim i im dalej, tym większą. Dodajmy przy sposobności, że Pierchotin nie był tchórzliwy.

- Nie wymył pan pod paznokciami, no a teraz niech pan naciera twarz; na skroniach, koło ucha... Czy pan zamierza jechać w tej koszuli? Dokąd pan jedzie? Proszę spojrzeć, cały prawy mankiet powalany krwią.

- Tak, powalany krwią - zauważył Mitia, oglądając mankiet.

- Niech pan zmieni koszulę.

- Nie mam czasu. A ja, o, widzi pan... - podjął Mitia z tą samą ufnością w głosie, wycierając ręce i twarz ręcznikiem i wkładając surdut - ja tu założę mankiet, to wcale nie będzie widać... Widzi pan!

- Proszę teraz opowiadać, gdzie pan tak się uraczył. Pobił się pan z kim, czy co? Czy nie w restauracji znowu, jak wówczas? Czy nie znowu z tym kapitanem, jak wtedy, kiedy go pan ciągnął za brodę? - przypomniał mu jakby z wyrzutem Piotr Ilicz. - Kogo jeszcze pan pobił... a może i zabił?

- Bzdury! - odrzekł Mitia.

- Jak to bzdury?

- Nie trzeba - rzekł Mitia i nagle się uśmiechnął. - Staruszkę jedną na placu rozgniotłem.

- Rozgniótł pan? staruszkę?

- Starca! - zawołał Mitia, patrząc prosto w oczy Piotrowi Iliczowi, śmiejąc się i krzycząc jak do głuchego.

- Do licha, starca, staruszkę... Zabił pan kogo, czy co?

- Pojednaliśmy się. Zderzyliśmy się i pojednali. Rozeszliśmy się jak przyjaciele. Dureń taki... przebaczył mi... teraz już na pewno przebaczył... Gdyby wstał, to by nie przebaczył - mrugnął znacząco Mitia. - Tylko wie pan, gwizdzę na niego, słyszy pan, Piotrze Iliczu, gwizdzę, nie trzeba! W tej chwili nie chcę! - zakończył stanowczym tonem Mitia.

- Ja tylko mówię o tym, że pan ma ochotę zadawać się z byle kim... jak wtedy o głupstwo z tym sztabkapitanem... Pobiliście się, a teraz pewno będziecie hulać razem, oto cały pański charakter! Trzy tuziny szampana - po co aż tyle?



- Brawo! A teraz niech pan da pistolety. Jak Boga kocham, nie mam czasu. Chciałbym z tobą pogadać, mój drogi, ale nie mam czasu. I nie trzeba zresztą, za późno. A gdzie są pieniądze, gdzie je podziąłem? - zawołał i zaczął szukać po kieszeniach.

- Na stole pan położył... sam... tu leżą. Zapomniał pan? Doprawdy obchodzi się pan z pieniędzmi jak ze śmieciem lub z wodą. Oto pańskie pistolety. Dziwne, o szóstej zastawił je pan za dziesięć rubli, a teraz ma pan pieniędzy w bród. Ze dwa lub trzy tysiące chyba?

- Ze trzy chyba - roześmiał się Mitia, wsuwając pieniądze do bocznej kieszeni spodni.

- Zgubi pan. Kopalnię złota pan odkrył czy co?

- Kopalnia! Kopalnia złota! - zawołał na całe gardło Mitia, pokładając się ze śmiechu. - Chce pan, Pierchotin, jechać do kopalni? Jest tu taka dama, która panu da trzy tysiące, byleby pan pojechał. Mnie dała, tak bardzo lubi kopalnie! Zna pan panią Chochłakow?

- Nie znam osobiście, ale słyszałem i znam z widzenia. Czy istotnie dała panu trzy tysiące? Tak zwyczajnie dała? - zapytał niedowierzająco Piotr Ilicz.

- A jutro, jak wszędzie słońce, wiecznie młody Feb, gdy wszędzie, chwaląc i służąc Bogu, pobiegnie pan do Chochłakowej i zapyta, czy dała mi te trzy tysiące. Niech się pan dowie.

- Nie znam pańskich znajomości... skoro pan tak twierdzi, to naturalnie... A pan pieniążki do kieszeni i zamiast na Syberię... Dokądże to teraz, co?

- Do Mokrego.

- Do Mokrego? Po nocy?

- Chłop miał, chłop stracił! - rzekł nagle Mitia.

- Jak to stracił? Tyle tysięcy i stracił?

- Ja nie o tysiącach. Do licha z tysiącami. Mówię o niewieścim charakterze.

*Lekkomyślny ród kobiety,*

*Zły, zdrażliwy i zepsuty.*

To Odyseusz mówi, ja się z nim zgadzam.

- Nie rozumiem pana!

- Pijany jestem czy co?

- Nie pijany, gorzej.

- Duchowo jestem pijany, Piotrze Iliczu, pijany duchowo, dość tego, dość...

- Cóż to, pistolet pan nabija?

- Nabijam pistolet.

Mitia w istocie, otworzywszy pudło z pistoletami, nasypał ostrożnie z otwartego rożka prochu do panewki. Następnie wziął kulę w dwa palce i przyjrzał się jej pod światło.

- Czego pan tak patrzy na kulę? - zapytał z niespokojnym zaciekawieniem Piotr Ilicz.

- Tak. Urojenie. Gdybyś chciał sobie tę kulę w łeb wpakować, obejrzałbyś ją przedtem, co?

- Po co oglądać?

- Do mózgu mojego wejdzie, ciekawie na nią spojrzeć, jaka jest... A zresztą brednie, chwilowe brednie. Ot i koniec - dodał wsadziwszy kulę i zatkawszy ją pakułami. - Piotrze Iliczu, mój drogi, to bzdury, wszystko bzdury, gdybyś pan wiedział, jakie bzdury! Niech mi pan teraz da kawałek papieru.

- Proszę.

- Nie, gładkiego, czystego, do pisania. Taki właśnie.

I chwyciwszy ze stołu pióro, prędko skreślił dwie linijki na papierze, złożył go i wsunął do kieszeni kamizelki. Pistolety włożył do pudła, które zamknął na klucz, i wziął pudło do ręki. Potem spojrział na Piotra Ilicza i długo uśmiechał się w zamyśleniu.

- Teraz chodźmy - rzekł.

- Dokąd? Nie, niech pan poczeka... Chce pan tę kulę wpakować sobie do mózgu... - rzekł z niepokojem Piotr Ilicz.

- Kula to głupstwo! Pragnę żyć, kocham życie! Wiedz o tym. Kocham złotowłosego, kędzierzawego Feba i jego gorące światło... Drogi Piotrze Iliczu, czy potrafiłbyś się usunąć?

- Jak to usunąć?

- Dać drogę. Dać drogę istocie kochanej i znenawidzonej. I żeby znenawidzona osoba stała się miłą - tak, trzeba dać drogę! I powiedzieć im: „Bóg z wami, idźcie waszą drogą, a ja...”

- A pan?

- Dostyc tego, chodźmy.

- Jak Boga kocham, powiem (Piotr Ilicz nie spuszczał z niego oka), żeby pana tam nie

puszczano. Po co teraz jechać do Mokrego?

- Tam jest kobieta, kobieta, dosyć już wiesz, Piotrze Iliczu, i basta!

- Niech pan posłucha, chociaż pan jest dziki, podobał mi się pan zawsze... dlatego jestem teraz niespokojny.

- Dziękuję ci, bracie. Dziki jestem, powiadasz. Dzikusy, dzikusy! Tylko to jedno powtarzam: dzikusy! A oto i Misza, całkiem o nim zapomniałem.

Wbiegł zadyszany Misza z paczką zmienionych pieniędzy; zameldował, że u Płotnikowów wszyscy się zakręcili i butelki szykują, i ryby, i herbatę - wkrótce wszystko będzie gotowe. Mitia złapał dziesięciorublowkę i podał ją Iliczowi, a drugą rzucił Miszy.

- Niech pan się nie waży - zawołał Piotr Ilicz. - U mnie w domu nie można, i to źle tak psuć chłopca. Niech pan schowa swoje pieniądze, niech pan tu położy, po co szastać? Jutro się przydadzą, jeszcze pan wróci do mnie pożyczyć dziesięć rubli. Po co pan tam pcha do bocznej kieszeni? Ej, bo pan zgubi!

- Słuchaj, kochany, człowieku, jedźmy razem do Mokrego.

- A ja po co?

- Słuchaj, chcesz, zaraz butelkę odkorkuję, wypijemy za życie! Chcę wypić, zwłaszcza z tobą chcę wypić. Nigdy z tobą nie piłem, co?

- W restauracji, owszem, można, chodźmy, właśnie się wybierałem.

- Do restauracji nie mam czasu, ale u Płotnikowów w ostatnim pokoju. Chcesz, to ci zadam zagadkę.

- Zadaj.

Mitia wyjął z kamizelki papierek, rozwinął go i pokazał. Wyraźnym i szerokim pismem było napisane następujące zdanie:

„Skazuję siebie za całe życie, całe życie swe karzę!”

- Doprawdy, powiem komu, pójdę zaraz i powiem - rzekł Piotr Ilicz przeczytawszy.

- Nie zdążysz, mój drogi, chodź, wypijemy, marsz! Sklep Płotnikowów mieścił się w trzecim domu, na rogu ulicy. Był to największy sklep kolonialny w naszym mieście, nieźle urządzone i zaopatrzone. Wszystko tu było, jak w każdym sklepie w stolicy: wina „rozlewane u braci Jelisiejew”, owoce, cygara, herbata, cukier, kawa itd. Za ladą zawsze siedzieli trzej subiekci, poza tym byli dwaj chłopcy na posyłki. Chociaż kraj nasz zbiedniał, obywatele rozjechali się, handel zamarł, jednak sklep Płotnikowów kwitł z roku na rok: na te artykuły nie brakowało nabywców. Wypatrywano Miti z niecierpliwością. Zbyt dobrze pamiętano, jak trzy lub cztery tygodnie temu zakupił win i rozmaitych

rzeczy na kilkaset rubli gotówką (naturalnie na kredyt nic by nie dostał); pamiętano, że wówczas, tak jak i teraz, trzymał w ręku całą paczkę tęczy banknotów i szastał nimi na prawo i na lewo, nie targując się, nie licząc i nie zastanawiając się nawet, po co mu tyle wiktuałów, win itd. W całym mieście mówiono potem, że pojechawszy do Mokrego z Gruszeńką „w ciągu jednej nocy i następnego dnia przepuścił trzy tysiące i wrócił z hulanki bez złamanego szeląga”. Wziął ze sobą cały tabor Cyganów (akurat wówczas obozujący pod miastem), oni to wyciągnęli z niego przez dwa dni huk pieniędzy i wypili bez miary drogiego wina. Opowiadano, śmiejąc się z Miti, że w Mokrem upił szampanem wiejskie niezguły i tuczył dziewczki i baby karmelkami i sztrasburskimi pasztetami. Śmiali się u nas również, zwłaszcza w restauracji, z własnych, szczerych publicznych wyznań Miti (naturalnie nie śmiano się w oczy, byłoby to zbyt niebezpieczne), że za całą tę „eskapadę” uzyskał od Gruszeńki tyle tylko, że „pozwoliła mu nóżkę swoją pocałować, i na tym koniec”!

Kiedy Mitia z Piotrem Iliczem podeszli do sklepu, zastali już przed wejściem gotową trójkę, z dzwoneczkami, z brzękadłami, z dywanem na siedzeniu i z czekającym na Mitie woźnicą Andrzejem. W sklepie zaś zdążono już przygotować skrzynię z towarem i czekano tylko na Mitie, aby ją zabić i umieścić na wozie. Piotr Ilicz był zdumiony.

- Ale jak zdążyli sprowadzić trójkę? - zapytał Mitie.

- Biegłem do ciebie, a jego, Andrzeja, spotkałem w drodze i kazałem mu czekać przed sklepem. Nie można tracić czasu! Zeszłym razem jechałem z Timofiejem, ale ten - fiu! już mnie ubiegł, z piękną wrózką pojechał. Andrzej, bardzo się spóźnimy?

- Może godzinę przed nami przyjadą, a może i to nie! - usłużnie rzekł Andrzej. - Timofiejowi pomagałem zakładać, wiem, jaką drogą pojedą. Ich jazda, a nasza to wielka różnica, Dymitrze Fiodorowiczu, skąd im do nas! Nawet o godzinę nie wyprzedzą! - dodał z przejęciem Andrzej, jeszcze niestary woźnica, człek rudawy, chudy, w kabacie, z jarmiakiem w lewej ręce.

- Pięćdziesiąt rubli na wódkę, jeżeli tylko godzinę się spóźnisz.

- Za godzinę ręczę, Dymitrze Fiodorowiczu, ech, może najwyżej o pół godziny wyprzedzą, gdzie tam godzinę!

Mitia zakrzętał się nerwowo, ale wydawał zlecenia dziwnie jakoś, bezładnie. Zaczynał, zapominał dokończyć. Piotr Ilicz uznał za stosowne wtrącić się i pomóc.

- Za czterysta rubli, nie mniej niż za czterysta, akurat jak wtedy - wydawał polecenia Mitia. - Cztery tuziny szampana, ani butelki mniej.

- Po co aż tyle, po co? Poczekaj! - krzyknął Piotr Ilicz. - Co to za skrzynia? Co tam jest? I to ma być za czterysta rubli?

Krzążący się wokoło subiekci natychmiast wyjaśnili mu słodkim głosem, że pierwsza skrzynka zawiera tylko pół tuzina butelek szampana i „wszelkie niezbędne z początku artykuły”: zakąski, cukierki Montpensier itd. Lecz główne „zamówienie” będzie wysłane osobno, jak za pierwszym razem, również trójką, i zdąży na czas, „może tylko godzinkę później od Dymitra Fiodorowicza”.

- Najwyżej godzinę, i jak najwięcej karmelków i ciągutek, tamtejsze dziewczuchy przepadają - nalegał gorąco Mitia.

- Mniejsza o ciągutki. Ale po co ci cztery tuziny butelek szampana? Dość jednego! - zachnął się Piotr Ilicz.

Zaczął się targować, żądał rachunku, nie chciał się uspokoić. Uratował jednak setkę. Stańło na tym, że dostarczą towarów za trzysta rubli.

- A niech was diabli wezmą! - zawołał Piotr Ilicz, opamiętując się nagle. - I co mnie to wszystko obchodzi? Szastaj swymi pieniędzmi, skoro ci lekko przyszły!

- Tutaj, ekonomie, tutaj, nie gniewaj się - rzekł Mitia i pociągnął go do osobnego pokoju za sklepem. - Tu nam zaraz podadzą butelkę, napijemy się. Ach, Piotrze Iliczu, jedźmy razem, niezły jesteś człowiek, lubię takich.

Mitia usiadł na wyplatany krześle przy malutkim stoliku, nakrytym bardzo brudną serwetą. Piotr Ilicz zajął miejsce naprzeciw niego. W mig na stole zjawiła się butelka szampana. Zaproponowano im ostrygi „najlepszego gatunku, które dopiero co nadeszły”.

- Do diabła z ostrygami, nie jadam, i nic w ogóle nie trzeba - prawie ze złością warknął Piotr Ilicz.

- Nie ma czasu na ostrygi - zauważył Mitia - i apetytu nie mam. Wiesz, przyjacielu - rzekł nagle z przejęciem - nigdy nie lubiłem tego całego nieporządku.

- A któż to lubi! Trzy tuziny, wybacz, dla chamów, to złość bierze, doprawdy.

- Ja nie o tym. Ja o wyższym porządku. Porządku we mnie nie ma, a niech tam! Całe moje życie było jednym nieporządkiem, i z tym trzeba zrobić porządek. Kalambury, co?

- Brednie, a nie kalambury.

*Chwała Najwyższemu w świecie!*

*Chwała Najwyższemu we mnie!*

Wierszyk ten wyrwał mi się kiedyś z duszy, nie wierszyk, lecz łza... sam skleciłem... ale nie wtedy, kiedy sztabkapitana ciągnąłem za bródkę...

- Cóż ty nagle o nim mówisz?

- Cóż ja nagle o nim mówię! Bzdury! Wszystko się kończy, wszystko musi się wyrównać, kreska i suma.

- Doprawdy, twoje pistolety nie wychodzą mi z głowy.

- I pistolety bzdura! Pij i nie fantazuj. Kocham życie, zanadto życie pokochał, tak zanadto, aż obrzydliwie. Dość! Za życie, mój drogi, za życie wypijmy, proponuję wzniesć toast za życie! Czemu jestem zadowolony z siebie? Jestem podły, lecz zadowolony z siebie. A jednak męczy mnie to, że jestem podły i zadowolony z siebie. Błogosławię stworzenie, gotów jestem błogosławić Boga i Jego stworzenie, ale... trzeba unicestwić pewnego smrodliwego robaka, by nie pełzał i życia innym nie psuł... Wypijmy za życie, miły bracie! Co może być droższe od życia! Nic! nic! Za życie i za pewną królową nad królowymi!

- Wypijmy za życie, wypijmy też i za twoją królową.

Wychylił po szklance. Mitia pomimo zachwyty był jakiś roztargniony i smutny. Jak gdyby wciąż stała przed nim niezwalczona, ciężka troska.

- Misza... to twój Misza przyszedł? Misza, mój drogi Misza, chodź no tu, wypij tę szklankę za złotowłosego, jutrzejszego Feba...

- Daj mu spokój! - zawołał zirytowany Piotr Ilicz.

- Proszę cię, pozwól, ależ tak, ja tego chcę.

- E-ech!

Misza wychylił szklankę, uklonił się i uciekł.

- Dłużej zapamięta - zauważył Mitia. - Kocham kobietę, kobietę! Czym jest kobieta? Królową ziemi! Smutno mi, smutno, Piotrze Iliczu. Pamiętasz *Hamleta*: „Tak mi smutno, tak smutno, Horacjo... Ach, biedny Jorik!”, „Może to ja właśnie jestem Jorikiem. Właśnie teraz jestem Jorikiem, a czaszka będzie później.

Piotr Ilicz słuchał i milczał. Zamilkł również Mitia.

- Co to za piesek? - zapytał naraz subiekta, zauważywszy w kącie małą, ładną bolonkę o czarnych ślepiach.

- To piesek Barbary Aleksiejewny, bolonka naszej szefowej - odpowiedział subiekt. - Barbara Aleksiejewna przyprowadziła ją i zapomniała. Trzeba będzie odnieść.

- Widziałem już taką... w pułku... - rzekł w zadumie Mitia - tylko że tamta miała tylną nóżkę złamaną... Piotrze Iliczu, chciałem cię przy sposobności zapytać: ukradłeś co kiedy w życiu?

- Cóż to za pytanie?

- Nie, ja tylko tak. Wiesz, z czyjejs kieszeni, cudze? Nie mówię o państwie, państwo wszyscy okradają, i ty też naturalnie...

- Idź do diabła.

- Ja o cudzych pieniądzach: wprost z kieszeni, z sakiewki, rozumiesz?

- Skradłem kiedyś matce dwadzieścia kopiejek, miałem dziewięć lat, ze stołu. Wziąłem po kryjomu i zacisnąłem w piąstce.

- No i co?

- No i nic. Trzy dni trzymałem, potem wstyd mi się zrobiło, przyznałem się i zwróciłem.

- No i co?

- Naturalnie sprawili mi lanie. A dlaczego tak pytasz, czyś ty przypadkiem nie ukradł?

- Ukradłem - mrugnął porozumiewawczo Dymitr.

- Coś ukradł? - zainteresował się Piotr Ilicz.

- Matce dwadzieścia kopiejek, miałem dziewięć lat, po trzech dniach zwróciłem.

Mówiąc to, Mitia wstał nagle.

- Dymitrze Fiodorowiczu, czy nie czas jechać? - zawołał naraz z ulicy Andrzej.

- Gotowe? Chodźmy! - zaniepokoił się Dymitr. - Jeszcze ostatnie słowo... Proszę dać Andrzejowi wódki na drogę, natychmiast! I prócz wódki kieliszek koniaku! To pudło (z pistoletami) wsunąć pod siedzenie! Żegnaj, Piotrze Iliczu, i nie myśl o mnie źle!

- Przecież jutro wrócisz?

- Na pewno.

- Rachuneczek teraz raczy pan uregulować? - podbiegł subiekt.

- A tak, rachunek! Ma się rozumieć!

Znowu wyciągnął gwałtownie z kieszeni paczkę banknotów, wyjął trzy sturublówki, rzucił na ladę i prędko wyszedł ze sklepu. Wszyscy go odprowadzali z ukłonami i życzeniami. Andrzej odchrząknął po koniaku i skoczył na siedzenie. Ledwo Mitia zaczął się sadowić, zjawiała się nieoczekiwanie Fienia. Biegła co tchu, dobiegłszy zaś, z krzykiem złożyła, ręce i padła mu do nóg.

- Ojczulku, Dymitrze Fiodorowiczu, najdroższy, niech pan nie gubi naszej pani! Ja przecież panu wszystko opowiedziałam... I niech pan jego nie gubi, wszak to dawny, jej pierwszy! Ożeni się teraz z Agrafieną Aleksandrowną, po to wrócił z Syberii... Ojczulku, Dymitrze Fiodorowiczu, nie gub cudzego życia!

- O ho, ho, to takie rzeczy? No, narobisz tam teraz bigosu! - mruknął do siebie Piotr Ilicz. - Teraz już wszystko rozumiem. Dymitrze Fiodorowiczu, oddaj no mi zaraz te pistolety, jeśli chcesz być porządnym człowiekiem - zawołał głośno do Miti - słyszysz, Dymitrze!

- Pistolety? Poczekaj, mój drogi, po drodze wrzucę do kałuży - odpowiedział Mitia. - Fienia, wstań, nie klęcz przede mną. Mitia nikogo nie zgubi, odtąd nikogo już nie zgubi ten głupi człowiek. Słuchaj, Fienia - zawołał, już siadając - obraziłem cię onegdaj, daruj mi i przebac, łajdakowi... Jak nie przebaczysz, to trudno! Bo teraz już wszystko jedno! Ruszaj, Andrzej, a żywo!

Andrzej ruszył, zabręczały dzwoneczki.

- Żegnaj, Piotrze Iliczu! Dla ciebie ostatnia łza!...

„Przecie nie jest pijany, a takie głupstwa plecie!” - pomyślał Piotr Ilicz. Zamierzał zostać i dopilnować załadowania na trójkę zamówionych win i wiktuałów, przeczuwając, że subiecki na pewno oszukają Mitię, lecz nagle rozgniewał się na siebie, splunął i poszedł do restauracji na bilard.

- Dureń, chociaż zacy chłop... - mruczał do siebie, idąc. - Słyszałem coś niecoś o tym oficerze, „dawnym” Gruszeńki. Powiedzmy, że przyjechał, to... Ach, te pistolety! A co tam, do diabła, guwerner jego jestem czy co? Niech go tam! Nic z tego nie będzie. Gada tylko, i tyle. Uchleją się, pobiją, a później pogodzą. Czy to są poważni ludzie? Cóż to za „usunę się, ukarzę siebie” - nic z tego nie będzie! Tysiąc razy mówił tak po pijanemu w knajpie. Ale teraz nie jest pijany. „Pijany duchowo” - lubią górnolotnie się wyrażać ci szubrawcy. Guwerner jego jestem czy co? Musiał się na kogoś dobrze narwać, cała gęba we krwi... Ale z kim? W knajpie się dowiem... I chusteczka we krwi... Tfu, do licha, u mnie na podłodze zostały ślady... Gwiżdżę na to!

Wszedł do knajpy w bardzo kiepskim humorze i natychmiast przystąpił do gry. Partia bilardu rozweseliła go. Zagrał drugą i naraz rozgadał się z jednym z partnerów o Dymitrze Karamazowie, o trzech tysiącach, które ów skądś wytrzasnął, że widział je na własne oczy, o jego wyjeździe do Mokrego na hulankę z Gruszeńką. Obecni wysłuchali go z jakimś dziwnym zaciekawieniem. Nikt się nie śmiał, traktowano to dziwnie poważnie i nawet przestano grać.

- Trzy tysiące? A skądże mógł wziąć te trzy tysiące? Zaczęto snuć domysły. Przypuszczenie o pani Chochłakow przyjęto z niedowierzaniem.

- Czy aby nie ograbił starego?

- Trzy tysiące! Coś mi się to nie podoba.

- Przechwalał się przecie publicznie, że zabije ojca, wszyscy słyszeli. Właśnie mówił o trzech tysiącach...

Piotr Ilicz słuchał i nagle zaczął odpowiadać oschle i skąpo. Nie wspominał o krwi na twarzy i na rękach Miti, chociaż miał zamiar o tym mówić. Zaczęto trzecią partię i w końcu przestano mówić na temat Miti. Ale po trzeciej partii Piotr Ilicz odłożył kij bilardowy i, nie zjadłszy kolacji, wbrew zamierzeniu, wyszedł z knajpy. Stał na placu, dziwiąc się sobie. Naraz zmiarkował, że chciał



przecie iść do domu Fiodora Pawłowicza i dowiedzieć się, czy coś się nie stało. „Będę z powodu jakichś głupich domysłów budził cały dom i wywoływał skandal? A do licha, guwerner ich jestem czy co?”

W najgorszym usposobieniu poszedł do siebie i naraz przypomniał sobie o Fieni. „Psiakość, trzeba ją było wybadać - pomyślał ze złością - wszystko bym wiedział!”, I nagle tak mu się zachciało zobaczyć Fienię i pociągnąć ją za język, że gwałtownie zawrócił i poszedł do domu Morozowej, w którym mieszkała Gruszeńka. Zastukał we wrota, lecz usłyszawszy odgłos tego kołatania w ciszy nocnej, znowu się opamiętał i rozgniewał na dobre. W dodatku nikt się nie odzywał, wszyscy już spali. „I tu narobię skandalu!” - pomyślał z jakąś dziwną męką. Lecz zamiast odejść na dobre, znowu zaczął się dobijać, i to z całej siły. Narobił hałasu na całą ulicę. „Dostukam się przecie w końcu, dostukam” - mrucał w gniewnym zapamiętaniu, zloszcząc się na siebie i stukając coraz mocniej.

## VI JA JADĘ!

Tymczasem Dymitr Fiodorowicz mknął traktem do Mokrego. Odległość wynosiła dwadzieścia wiorst z okładem, ale trójka Andrzeja pędziła z taką szybkością, że mogła przebyć odległość w godzinę i kwadrans. Ta szybka jazda jak gdyby nagle orzeźwiła Mitię. Powietrze było świeże, chłodnawe, na niebie wielkie gwiazdy skrzyły się jasno. Była to owa noc, a może i owa chwila, kiedy Alosza, przypadłszy twarzą do ziemi, „w zapamiętaniu ślubował, że kochać ją będzie na wieki wieków”. Ale Dymitrowi było bardzo niewyraźnie na duszy; i chociaż wiele rzeczy go nękało, lecz w tej chwili cała jego istota nieodparcie wrywała się ku niej, ku królowej jego serca, do której spieszył, aby na nią popatrzeć po raz ostatni. Dodam tylko, że jego serce nie zbuntowało się ani razu. Nie uwierzy mi nikt na pewno, gdy powiem, że ten zazdrośnik nie był bynajmniej zazdrosny o tego intruza, tego „oficera”, nowego rywala, który wyskoczył jakby spod ziemi. Każdego innego znienawidziłby strasznie i prawdopodobnie znowu by zboczył swoje ręce krwią. Względem tego jednak, „pierwszego” jej ukochanego, nie czuł nie tylko żadnej zazdrości czy nienawiści, ale w ogóle żadnych wrogich uczuć - co prawda nie znał go jeszcze. „To ich prawo, ich święte, niezaprzeczalne prawo. To jej pierwsza miłość, o której nie zapomniła przez całe pięć lat; jego więc jednego kochała przez te pięć lat, cóż ja zatem, po cóż ja się wścibiałem? co ja mam z tym wspólnego? Usuń się z drogi, Mitia! I cóż znaczą teraz? Teraz nawet bez oficera wszystko już skończone; gdyby go nawet nie było, wszystko i tak byłoby skończone.”

Takimi słowami mógłby określić swe uczucia, gdyby go stać było na rozumowanie. Ale on już wówczas rozumować nie potrafił. Cała obecna jego stanowczość zrodziła się od razu. W jednej chwili powziął postanowienie i utwierdził się w nim jeszcze u Fieni, bezpośrednio po jej oświadczeniu. A jednak mimo postanowienia było mu niewyraźnie na sercu, niewyraźnie aż do bólu: samo powzięcie decyzji nie dało mu spokoju. Zbyt wiele rzeczy zostawił za sobą, zbyt wiele rzeczy, które go dręczyły. I dziwne to było chwilami: przecież już napisał własnoręcznie wyrok na siebie - „skazuję siebie i karzę”, już miał tę kartkę przygotowaną w kieszeni, już pistolet był nabity, już postanowił sobie, jak powita jutro pierwszy gorący promień „złotowłosego Feba”, a przecież

odczuwał boleśnie i z rozpaczą, że nie sposób tak się rozprawić z dawnymi sprawami, które go tak męczyły. Była chwila, gdy chciał zatrzymać Andrzeja i wyskoczyć, aby przyłożywszy pistolet do skroni, skończyć już raz z tym wszystkim, nie doczekawszy się świtu. Ale chwila ta przemknęła jak iskra. Tymczasem trójka pędziła „pożerając przestrzeń”; im bliżej było do celu, tym bardziej opanowywała go myśl o niej, tylko o niej, i odpędzała wszystkie inne straszliwe widma z jego serca. O tak, pragnął zobaczyć ją jeszcze raz, choćby przelotnie, choćby z daleka. „Ona tam teraz jest z nim - myślał - ano, popatrzę, jak ona tam z nim siedzi, z tym swoim dawnym ukochanym, to mi starczy.” Nigdy dotąd nie czuł w sobie tyle miłości do tej fatalnej kobiety, tyle nowych, nigdy nie zaznanych, tak niespodzianych uczuć, dobrych aż do poświęcenia, aż do samounicestwienia.

- I zniknę! - zawołał nagle z histeryczną egzaltacją.

Mknęli tak już prawie godzinę. Mitia milczał, a i Andrzej, chociaż był chłop rozmowny, nie puszczał pary z ust, poganiając żywo swoje gniade, chude, lecz ochocze konie. Naraz Mitia, ogarnięty nagłym niepokojem, zawołał:

- Andrzeju! A co będzie, jeżeli już śpią?

Przyszło mu to nagle do głowy, dotąd nie myślał o tym wcale.

- A pewnie, że musieli się już pokłaść, Dymitrze Fiodorowiczu - odparł Andrzej.

Mitia nasepił się, zmartwiony: „I cóż będzie w istocie, jeśli przyjedzie, miotany takimi uczuciami, a oni tam śpią... i ona śpi może obok...”

Zły gniew zakipiał mu w sercu.

- Żywo, Andrzeju! Żywo, żywo! - wrzasnął dzikim głosem.

- A może się jeszcze nie pokładli - rzekł po chwili namysłu Andrzej. - Timosza gadał, że się tam siła państwa zjechała...

- Gdzie? na stacji?

- Nie na stacji, w zajezdnym domu, u Płastunowów.

- Wiem; ale jak to, powiadasz, że siła ludzi? Jak to? I któż to taki? - porwał się Mitia, przestraszony niespodziewaną nowiną.

- Gadał Timofiej, że same państwo: dwóch panów z miasta, nie wiem które panowie, dwóch tutejszych, a i dwóch przyjezdnych z daleka, a może i kto jeszcze, ani się go dopytać. Gadał tylko, że w karty zaczęli grać.

- W karty? Jak w karty zaczęli grać, to jeszcze może nie śpią, dopiero jedenasta dochodzi. Jedź, Andrzeju! Prędejj, prędejj! - naglił nerwowo Mitia.

- Proszę wielmożnego pana - rzekł nagle Andrzej - ja się tylko stracham.

- Co takiego?

- Tam dopiero co Fiedosja Markowna panu do nóg padła, prosiła, aby wielmożny pan jej pani i kogoś tam jeszcze nie gubił, a ja, z przeproszeniem wielmożnego pana, właśnie wiozę pana do nich. Tak jakoś to głupio, niby powiedzieć, ale sumienie mnie tknęło, daruje mi pan.

Mitia chwycił go za ramiona.

- Ty woźnica jesteś? Woźnica? - zapytał dzikim głosem.

- Woźnica.

- Czy wiesz, że trzeba innym dać wolną drogę? Że jak jesteś woźnica, to już zagradzasz, bracie, drogę, przejeżdżasz ludzi, bo niby na bok ludzie, ja jadę?! Nie, woźnico, nie przejeżdżaj ludzi, nie wolno przejeżdżać człowieka, nie wolno ludziom psuć życia, a jakeś zepsuł, to sam ponieś karę. Jeśliś tylko komu życie zgubił, ukarż siebie i usuń się.

Wszystko to wyrwało mu się jednym tchem, jakby w ataku hysterii. Andrzej, choć trochę zdziwiony, podtrzymał rozmowę:

- Prawda, Dymitrze Fiodorowiczu, święta prawda, nie wolno człeka mordować ani męczyć, jak i wszelkie inne stworzenie, bo wszelkie stworzenie to przecie też stworzone. Ot choćby i koń. Bywa taki między nami, co okrutnie morduje i biczem pogania; choć bydlę siły nie ma, to przecie gna je i gna przed siebie.

- Do piekła? - przerwał mu nagle Dymitr i zaśmiał się swoim krótkim, urywanym śmiechem. - Słuchaj, Andrzej - dodał chwytając go znów za bary - duszo prosta, powiedz: czy Dymitr Karamazow trafi do piekła, czy nie trafi? Jak myślisz?

- Skąd mam wiedzieć, to już pan sam, to już od wielmożnego pana zależy... Bo to, proszę wielmożnego pana, jak Syn Boży na krzyżu rozpięty Bogu ducha oddał, to prosto z krzyża zszedł do piekieł i oswobodził stamtąd wszystkich grzeszników. I powstał wielki lament w piekle, bo się diabły strapili, że już nikt więcej nie przyjdzie i piekło będzie puste. Wtenczas Zbawiciel powiada: „Nie lamentujcie, diabły, bo tu do was przyjdzie wielu możnych panów i magnatów, sędziów i bogaczy, tyła ich będzie, że się znowu piekło zaludni. I tak będzie po wieki wieków, aż znowu do was zagładnę.” Takie im słowo powiedział...

- Wspaniałe podanie ludowe. Zatnij no lewego, Andrzej!

- Bo to widzi pan, komu piekło sądzone - mówił dalej Andrzej, zadawszy lewego konia. - Ale my tu wszyscy, Dymitrze Fiodorowiczu, szanujemy pana, patrzymy jak na małe dziecko... Choć się czasem wielmożny pan rozgniewa, ale Pan Bóg pewnie odpuści wszystko za dobre serce.

- A ty, Andrzej, czy ty mi odpuścisz?

- Cóż bym miał panu odpuszczać, nic złego mi pan nie zrobił.

- Ale nie: za wszystkich, za wszystkich ty jeden, sam, tu, zaraz, na gościńcu, czy mi odpuszczisz za wszystkich? Mów, duszo chłopska!

- Och, wielmożny panie, strasznieć doprawdy jechać z panem, taka dziwna mowa.

Ale Mitia nie słyszał tych słów i dziko, nieprzytomnie mówił do siebie szeptem:

- Panie Boże mój, przyjmij mnie do siebie, mimo bezprawia moje, i nie sądz mnie, puść mnie bez sądu... Nie sądz, bom już sam siebie osądził. Nie sądz, bo kocham Cię, Panie! Wstrętny jestem, lecz kocham Cię: do piekła pošlesz, i tam Cię kochać będę. I stamtąd wołać będę, że kocham Cię na wieki wieków... Tylko pozwól mi jeszcze dokochać tu teraz, dokochać pięć godzin, tylko do gorących promieni Twoich... Bo kocham królową duszy mojej. Kocham i nie mogę jej nie kochać. Sam widzisz mnie na wylot. Powiem jej tylko: „Miałaś prawo mnie odtrącić, żegnaj i zapomnij o tym, który był twoją ofiarą - nie dręcz się nigdy!”

- Mokre! - zawołał Andrzej, wskazując przed siebie biczem.

Skoś blady mrok nocy czerniła się masa ciemnych zabudowań, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni. Było to rozległe sioło, liczące dwa tysiące mieszkańców. O tej porze wszyscy już spali, gdziekolwiek tylko płonęły światła.

- Pędź, Andrzeju! pędź! Ja jadę! - zawołał raz jeszcze Mitia, jak gdyby w gorączce.

- Nie śpią! - rzekł Andrzej, wskazując biczem na zajazd Płastunowów: istotnie wszystkie sześć okien, wychodzące na ulicę, były rzęsiście oświetlone. Dom zajezdny był jednym z pierwszych budynków wiejskich i stał koło traktu.

- Nie śpią! - potwierdził radośnie Mitia. - Grzmij, Andrzeju! Dzwon, z bicza trzaskaj, niech wszyscy wiedzą, kto jedzie! Ja jadę, ja sam jadę! - wołał nieprzytomnie Mitia.

Andrzej puścił w cwał spienioną trójkę i osadził ją przed gankiem z brzękiem i hurkotem. Dymitr zeskoczył z wozu, lecz w tej chwili gospodarz zajazdu, który zamierzał właśnie się położyć, wybiegł na ganek, aby się przekonać, kto tak zajeżdża o tej porze.

- Tryfonie Borysyczu! to ty?

Oberżysta nachylił się, aby lepiej widzieć w mroku; zaś poznawszy gościa, zbiegł natychmiast z ganeczku, okazując najwyższy zachwyt.

- To pan dobrodziej! Dymitrze Fiodorowiczu! Pana to znowu widzimy!

Tryfon Borysowicz był zdrowym, krzepkim chłopem, średniego wzrostu, o dość pełnej twarzy, z miną, która była zawsze chmurna wobec chłopów, lecz nabierała niezwykłej słodyczy na widok gościa rokującego dobry zysk. Ubierał się po rosyjsku, nosił koszulę zapiętą pod szyją i kabat. Grosza uciulał już niemało, ale wciąż patrzył wyżej. Połowę miejscowych chłopów miał w swych pazurach: wszyscy byli mu dłużni. Dzierżawił od okolicznych właścicieli ziemię, a poza tym miał własną. Rolę uprawiali mu chłopci za długi, z których nigdy jakoś nie mogli wybrnąć. Był wdowcem i

miał cztery dorosłe córki, z których jedna owdowiała i mieszkała u niego z dwojgiem dzieci. Pracowała za to jak zwyczajna wyrobnica. Druga córka wyszła za mąż za małego urzędnika, wysłużonego pisarza. Była to chluba rodziny: maleńka fotografia jej męża w mundurze urzędniczym zdobiła ściany któregoś pokoju, zawieszona pomiędzy innymi rodzinnymi podobiznami. Dwie młodsze córki ubierały się w dni świąteczne, albo gdy szły gdzie z wizytą, w zielone i niebieskie suknie z trenami na arszyn, skrojone modnie, za to w dni powszednie wstawały skoro świt i brzołowymi miotłami zamiatały pokoje, wносиły kubły i sprzątały po gościach. Pomimo uzbieranych już tysiączków, Tryfon Borysycz był bardzo łasy na każdy zysk i lubił zdzierać skórę z hulających panów. Pamiętał, że niespełna miesiąc temu w ciągu jednego dnia obłowił się kosztem Miti dwiema czy trzema setkami. Nie dziw więc, że przyjął go teraz radośnie, wylewnie, zwłaszcza że zwąchał suty połów podług huk, z jakim Dymitr Fiodorowicz zajechał przed ganek.

- Dobrodzieju! Dymitrze Fiodorowiczu! Raczył więc pan znowu do nas zawitać!

- Poczekaj - zaczął Mitia. - Przede wszystkim powiedz mi zaraz, gdzie ona?

- Niby Agrafiena Aleksandrowna? - pochwycił w lot usłużny gospodarz, wpatrując mu się badawczo w oczy. - A jest... jest tutaj...

- Z kim? z kim?

- A są tu z nią jacyś przyjezdni... jeden urzędnik jakiś, Polak chyba, z mowy sądząc. On stąd posłał po nią konie. A drugi, przyjaciel jego czy towarzysz podróży, kto go tam wie, ubrany po cywilnemu...

- Cóż, hulają? Bogaci?

- Jakie tam hulanie! nie bardzo tam widać u nich bogato, Dymitrze Fiodorowiczu.

- Nie bardzo, powiadasz? A któż jeszcze?

- Dwóch panów z miasta, jechali z Czarnego i zatrzymali się tu przejazdem. Jeden młody, siostrzeniec pana Miusowa, ale nie pamiętam, jak się nazywa... a drugiego też pan chyba zna: obywatel Maksymow, był w monasterze, a teraz jeździ z tamtym młodym.

- Więcej nikogo nie ma?

- Nikogo.

- Czekaj, już dosyć. Powiedz mi teraz rzecz najważniejszą: cóż ona? jak?

- Niedawno przyjechała i siedzi z nimi.

- Wesoła? śmieje się?

- Nie bardzo się tam śmieje... Nawet, zdaje się, całkiem niewesoła, markotna jakaś i temu młodemu włosy odgarniała.

- Polakowi? Oficerowi?

- Temu? Jaki on tam młody, i żaden oficer. Nie, nie jemu, a temu siostrzeńcowi pana Miusowa włosy gładzi... Zapomniałem tylko, jak się nazywa.

- Kałganow?

- A tak, tak, Kałganow.

- Dobrze, sam zresztą zobaczę. W karty grają?

- Grali, a teraz przestali. Herbatę już także wypili. Nalewki kazał podać ten urzędnik.

- Czekaj. Czekaj, mój drogi, sam zobaczę. A teraz najważniejsze: Cyganie są?

- Nie ma już Cyganów, ani słychu, Dymitrze Fiodorowiczu. Władze kazały przepędzić. Ale za to Żydy są w Roźdiestwienskiem, na cymbałach grać umieją i na skrzypkach, można posłać, w te pędy przylecą.

- Posłać! - zawołał Mitia. - Natychmiast po nich posłać! A dziewczuchy obudzić, jak wtedy. Zwłaszcza Marię; Arinę i Stiepanidę także. Za chór dam dwieście rubli.

- Za takie pieniądze obudzę całą wieś, chociaż już spać legli. Ale czy warto, dobrodzieju Dymitrze Fiodorowiczu, tutejszym chłopom i dziewczuchom tyle pieniędzy dawać? Ech! pan już cygara takie im dawał, tym chamom. Śmierdzą przecie, zbóje. A dziewczki brudne, zawszone. Ja dla pana córki pobudzę za darmo, nie za takie pieniądze. Spać się już co prawda pokładły. Ale ja je kolaniem w plecy, to się pozrywają i całą noc ci śpiewać będą. A wtedy pan tych chamów szampanem poił, e-e-ech!

Zapomniał Tryfon Borysycz, że sam wówczas schował pod stołem pół tuzina butelek szampana, i w dodatku, znalazłszy na ziemi sturublowy banknot, podniósł go szybko, zacisnął w garści i już nie wypuścił.

- Tryfonie Borysyczu, pękł tu wtedy niejeden tysiączek, pamiętasz?

- Oj, pamiętam, panie! Jak tu nie pamiętać, że trzy tysiączki chyba zostawił pan u nas w Mokrem.

- No, i teraz z tym przyjechałem, widzisz.

Wyjął plik banknotów i podsunął pod nos oberżyscie.

- A teraz słuchaj dobrze: za godzinę przywiozą tu wino, zakąski, pierogi i cukierki. Wszystko to masz od razu wypakować i przynieść na górę. Tymczasem bierz tę skrzynkę, co stoi u Andrzeja na wozie, otwórz natychmiast i każ podać szampana... Ale przede wszystkim dziewczki zwołaj! Słyszysz, dziewczki! a zwłaszcza Maria, żeby koniecznie przyszła...

Wrócił do wozu i wyjął spod siedzenia pudło z pistoletami.

- Teraz zapłacę ci za drogę, Andrzeju! Masz tu piętnaście rubli za przejazd, a tu pięćdziesiąt na wódkę... Za gotowość, za przyjaźń twoją... żebyś pamiętał pana Karamazowa.

- Boję się, wielmożny panie - zawahał się Andrzej. - Pięć rubli na wódkę przyjmę, jeżeli łaska, więcej nie, Tryfon Borysycz niech będzie świadkiem. Niech się wielmożny pan nie gniewa, jeżeli głupie słowo powiedział...

- Czego ty się boisz? - pytał Mitia, mierząc go ostrym wzrokiem. - Ano, w takim razie jechał cię sęk! - zawołał rzucając mu pięć rubli. - A teraz słuchaj, Tryfonie Borysyżu, wprowadź no mnie cichaczem do gospody, tak żeby tamci mnie nie widzieli, żebym mógł na nich przedtem okiem rzucić. Gdzie siedzą? w błękitnym pokoju?

Tryfon Borysycz spojrział niespokojnie na Mitię, wykonał jednak żądanie. Wprowadził go ostrożnie do sieni, sam wszedł do pierwszej dużej izby, przylegającej do pokoju, w którym siedzieli goście, i przyniósł stamtąd świecę. Potem wprowadził po cichu Mitię, ustawił go w ciemnym kącie, skąd łatwo było obserwować zebranych w drugim pokoju gości. Lecz Mitia sam nie wytrzymał długo w swojej kryjówce. Na widok Gruszy serce zaczęło mu łomotać w piersi, w oczach pociemniało. Grusza siedziała przy stole, na fotelu, a obok niej na kanapie siedział bardzo przystojny chłopak, młodzian Kałganow. Grusza trzymała go za rękę i, zdaje się, śmiała się, on zaś, nie patrząc na nią, przemawiał jakby gniewnie do siedzącego na wprost Gruszeńki roześmianego Maksymowa. Na kanapie siedział on, a przy nim pod ścianą drugi nieznajomy. Ów, co siedział rozparty na kanapie, palił fajkę. Mitia na pierwszy rzut oka stwierdził, że jest grubawy, o szerokiej twarzy i zapewne niski. Wydawał się zaperzony. Towarzysz jego za to robił wrażenie tyki. Nic więcej Mitia nie mógł zauważyć. Zabrakło mu tchu. Nie mógł wytrwać dłużej, postawił pudło na komodzie i, czując śmiertelny chłód w sercu, wszedł do błękitnego pokoju.

- Aj! - pisnęła przerażona Gruszeńka, która pierwsza go zobaczyła.

## VII DAWNY I NIEWĄTPLIWY

Mitia swoim szybkim i długim krokiem podszedł do stołu.

- Panowie - zaczął podniesionym głosem, nieledwie krzycząc, lecz zacinając się przy każdym słowie. - Ja... ja nic! Nie bójcie się! - zawołał - przecież ja nic, absolutnie nic - zwrócił się nagle do Gruszeńki, która pochyliła się do Kałganowa i uczepliła się konwulsyjnie jego ręki. - Ja... ja też jadę. Ja tylko do rana. Panowie, czy pozwolicie przygodnemu podróżnemu... zabawić tu z wami do rana? Tylko do rana, ostatni raz, w tym pokoju?

Mówiąc to, zwrócił się do grubasa, siedzącego na kanapie i palącego fajkę. Ów wyjął cybuch z ust i odrzekł surowo:

- Panie, my tu prywatnie. Są inne pokoje.

- To pan, Dymitrze Fiodorowiczu, to pan? - odezwał się naraz Kałganow. - Niechże pan tu siada, witam pana!

- Witam pana, kochany człowieku... nieoceniony! Zawsze pana szanowałem... - skwapliwie i radośnie mówił Mitia, wyciągając ręce przez stół.

- Ojej, jak pan mocno uściskał! Doprawdy połamał mi pan palce - zawołał Kałganow ze śmiechem.

- A bo on zawsze tak ściska, zawsze tak - odezwała się wesoło Gruszeńka, uśmiechając się jeszcze trwożliwie. Patrzała na Mitię z naprężoną ciekawością i niepokojem, choć była już prawie pewna, że nie będzie się awanturował. Poznała to z jego twarzy, której wyraz uderzył ją i zaskoczył. O tak, nie spodziewała się, że w takiej chwili wejdzie i przemówi w taki sposób.

- Moje uszanowanie panu! - rzekł słodkim głosem Maksymow.

Mitia podbiegł i do niego.

- Witam pana, cieszę się, że i pan tu jest! Panowie, panowie, ja... - Znowu zwrócił się do pana z fajką, widocznie uważając go za najważniejszą w tym gronie osobę - Pędziłem tu... chciałem ostatni dzień i ostatnią moją godzinę spędzić w tym pokoju, w tym samym pokoju... w którym ubóstwiałem moją królową!... Wybacz, panie! - zawołał nieprzytomnie - pędziłem i ślubowałem... o, nie bójcie się, to ostatnia moja noc! Wypijmy, panie, na zgodę! Zaraz podadzą wino... przywiozłem to ze sobą. - Naraz nie wiadomo po co wyciągnął plik banknotów. - Niech pan pozwoli, chcę muzyki, gwaru, jak dawniej... Ale robak, niepotrzebny robak przepelźnie po ziemi i wkrótce przestanie istnieć! Ostatniej mojej nocy niechaj wspomnę dzień mojej radości!...

Wzruszenie tamowało mu oddech, chciał powiedzieć wiele, wiele rzeczy, ale zdobył się tylko na dziwne okrzyki. Gruby pan popatrzył na niego zastygłym wzrokiem, na plik banknotów w jego garści, potem na Gruszeńkę, nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Jeżeli moja królowa pozwoli... - zaczął.

- Co za królowa, chyba królowa, co? - przerwała mu Gruszeńka. - Śmiesz mnie ta pańska mowa. Siadaj, Mitia, co ty pleciesz? Proszę cię, nie strasz mnie. Nie będziesz straszył, nie będziesz? Jak nie będziesz, to bardzo się cieszę...

- Ja, ja bym miał straszyć? - zawołał Mitia, podnosząc ręce do góry. - O, przejdźcie koło mnie, przejdźcie, nie przeszkodzę!...

I raptem niespodzianie, niespodzianie dla wszystkich i dla siebie, padł na krzesło i zalał się łzami. Twarz miał odwróconą ku przeciwległej ścianie, rękoma zaś mocno obejmował poręcz krzesła.

- No widzisz, no widzisz, jakiś ty! - z wyrzutem zawołała Gruszeńka. - On i dawniej tak



przychodził - nagle zaczyna mówić, a ja nic z tego nie rozumiem. I już raz tak płakał: teraz to drugi raz, jaki to wstyd! I czego płaczesz? Masz o co płakać? - dodała zagadkowo, akcentując każde słowo z jakąś dziwną irytacją.

- Ja... ja nie płaczę... No, witajcie! - obrócił się w mig na krzesło i nagle się roześmiał, lecz nie swym zwykłym, jakby drewnianym, urywanym śmiechem, ale jakoś inaczej, ledwie dosłyszalnie, długo, nerwowo, wstrząsająco.

- I znowu... Rozweselże się, rozruszaj się! - namawiała go Gruszeńka. - Cieszę się, żeś przyjechał, bardzo się cieszę, Mitia, słyszysz, bardzo się cieszę. Chcę, aby posiedział z nami - zwróciła się rozkazująco do wszystkich obecnych, chociaż widać było, że ma na myśli pana siedzącego na kanapie. - Chcę, chcę! Bo jeżeli on odejdzie, to i ja pójdę, ot co! - dodała, ciskając z oczu błyskawice.

- Życzenie mojej królowej jest dla mnie prawem! - odezwał się niski „pan”, z galanterią całując Gruszeńkę w rączkę. - Proszę pana do naszego towarzystwa! - zwrócił się uprzejmie do Miti. Mitia zerwał się, chcąc widocznie znowu wypalić tyradę, ale zdołał tylko powiedzieć:

- Wypijmy, panie!

Wszyscy się roześmieli.

- Boże! A ja myślałam, że znów ma zamiar mówić - zawołała nerwowo Gruszeńka. - Słyszysz, Mitia - dodała z naciskiem - więcej się już nie zrywaj, a co do szampana, to dobrze, żeś przywiózł. Wypiję chętnie, bo nie znoszę tych nalewek. Ale najlepiej, żeś sam przyjechał, bo strasznie się tu nudzę... Znowu przyjechałeś na hulankę, co? Schowajże te pieniądze do kieszeni! Skąd masz tyle?

Mitia, trzymając wciąż w ręku zgniecione banknoty, które zwróciły na siebie uwagę wszystkich obecnych, a zwłaszcza obu panów, stropił się wyraźnie i szybko wsadził je do kieszeni. Zacherwienił się. W tej chwili oberżysta przyniósł na tacy odkorkowaną butelkę szampana oraz szklanki. Mitia chwycił butelkę, ale tak był skonfundowany, że przez chwilę nie wiedział, co z nią począć. Wyręczył go Kałganow: wziął butelkę i napełnił szklanki.

- Ależ jeszcze, jeszcze jedną butelkę! - zawołał Mitia do oberżysty. Zapomniał snadź trącić się z grubym panem, któremu przedtem proponował wspólny toast na zgodę, bo raptem wychylił szklankę, nie czekając na nikogo. Twarz jego zmieniła się momentalnie, i tragiczna mina, z jaką wszedł do pokoju, przeistoczyła się w dziecięcy uśmiech. Jakby się uspokoił i spokorniał. Patrzył na wszystkich nieśmiało i radośnie, często śmiejąc się nerwowo; robił wrażenie psiaka, któremu znowu darowano winę. Zdawało się, że zapomniał o wszystkim, patrzył na zebranych z zachwytem, z dziecięcym uśmiechem. Z Gruszeńki nie spuszczał oka, śmiał się do niej bez ustanku i w pewnej chwili przysunął swoje krzesło tuż do jej fotela. Stopniowo przyjrzał się też obu panom, chociaż nie mógł ich rozgryźć. Pan z kanapy zastanowił go swoją postawą, polskim akcentem, a zwłaszcza fajką. „No i cóż takiego, bardzo dobrze, że pali fajkę” - pomyślał. Nieco obrzękła, prawie czterdziestoletnia twarz pana z maleńkim noskiem, pod którym pretensjonalnie sterczała para ostrych, cieniutkich wąsików, nie wzbudziła chwilowo w Miti najmniejszych wątpliwości. Nawet bardzo licha peruczka pana, kupiona gdzieś na Syberii, głupio zaczesana do przodu przy skroniach, nie wywarła nań szczególnego

wrażenia. „Pewno tak trzeba” - patrzył z błogą miną. Drugi, młodszy od tamtego pan, który siedział pod ścianą, spoglądał na całe towarzystwo zuchwale i wyzywająco i przysłuchiwał się ogólnej rozmowie z milczącą pogardą; uderzył Mitię wysokim wzrostem, wyjątkowo kontrastującym z niziutką postacią tamtego pana. „Jak wstanie, to sięgnie chyba głową sufitu” - przemknęło Miti przez myśl. Miarkował, że drażni jest zapewne przyjacielem i zausznikiem tego krótkiego, niejako jego „ochroną”, lecz, że ów mały pan z fajką oczywiście rozkazuje panu wysokiemu. Ale nawet ich wzajemny stosunek wydał się Miti wyjątkowo słuszny i dobry. W małym psiaku zamarło wszelkie uczucie rywalizacji. Nie zrozumiał jeszcze Gruszeńki i zagadkowego tonu niektórych jej powiedzeń; rozumiał tylko z drżącym sercem, że ona jest dla niego łaskawa, że „przebaczyła” mu i posadziła obok siebie. Nie posiadał się z zachwytem, gdy łyknęła szampana ze szklanki. Zdziwiła go tylko cisza panująca w pokoju. Powiódł po towarzystwie oczyma, które zdawały się pytać: „I cóż tak siedzimy, panowie, czegoż nie zaczynacie?”

- Ano ten wciąż plecie i myśmy się wszyscy śmieli z niego - odezwał się naraz Kałganow, jak gdyby odgadując jego myśli, i wskazał Maksymowa.

- Plecie? - roześmiał się Miti swym krótkim, drewnianym śmiechem, niezmiernie czegoś uradowany - ha, ha!

- Tak. Niech pan sobie wyobrazi, że utrzymuje, jakoby cała nasza jazda w dwudziestym roku pożeniła się z Polkami: co za banialuki, prawda?

- Z Polkami? - podchwycił znowu Miti z widocznym już entuzjazmem.

Kałganow był świadom stosunku Miti do Gruszeńki, domyślał się również, kim jest gruby pan, ale widać było, że nie przywiązuje do tego żadnej wagi. W tej chwili interesował go jedynie Maksymow. Obaj trafili tu przypadkiem - i z obu panami zetknęli się w zajeździe po raz pierwszy w życiu. Gruszeńkę zaś Kałganow znał od dawna i nawet był u niej z jakimś znajomym, ale wówczas nie bardzo jej przypadł do gustu. Natomiast teraz okazywała mu wiele serdeczności i przed przyjściem Miti pieściła go nawet, co zresztą nie zmąciło jego obojętności. Był to elegancko ubrany dwudziestoletni blondyn, o bardzo miłej białej twarzyczce, wspaniałych gęstych włosach. Piękne jego jasnoblękitne oczy miały mądry, a czasem nawet głęboki wyraz, ponad wiek głęboki, jakkolwiek Kałganow mówił i zachowywał się nieraz jak istny dzieciak, i zdając sobie z tego sprawę, wcale się tym nie krępował. Był samowolny, nawet kapryśny, ale zawsze łagodny. Chwilami twarz jego nabierała jakiegoś upartego, zastygłego wyrazu: spoglądał, słuchał, lecz myślą jak gdyby przebywał gdzie indziej. Niekiedy wpadał w ociężałość i lenistwo, niekiedy znowu unosił się i irytował z najbliższych powodów.

- Wyobraźcie sobie, że już cztery dni włóczę się z nim - ciągnął dalej, leniwie przeciągając słowa, co robił zresztą zupełnie naturalnie, bez sztucznej pozy. - Pamięta pan, od czasu, jak brat pana wyrzucił go z powozu i on upadł. Bardzo mnie wówczas zainteresował, wziąłem go do siebie na wieś, a on tymczasem bez przerwy blaguje, aż wstyd słuchać. Teraz odwożę go z powrotem.

- Pan polskich pań na oczy nie widział i plecie niestworzone rzeczy - odezwał się na pół po polsku, na pół po rosyjsku pan z fajką.

Właściwie władał dobrze rosyjskim, w każdym razie o wiele lepiej, niż udawał... Lecz przeplatał rosyjskie słowa polskimi, i w dodatku przekręcał je umyślnie z polska.

- Sam przecie byłem żonaty z polską panią - zachichotał w odpowiedzi Maksymow.

- Czyżby pan służył w kawalerii? Przecie pan mówił o kawalerzystach. Czyżby pan był kawalerzystą? - wtrącił Kałganow.

- Tak, oczywiście, może on był kawalerzystą! Ha, ha! - wykrzyknął Miti, słuchając ich chciwie i przenosząc pytające spojrzenia po kolei na każdego z mówiących. Mogłoby się zdawać, że oczekuje od każdego jakiejś niezwyklej nowiny.

- Nie, bo widzi pan - obrócił się ku niemu Maksymow - ja mówiłem o tym, że niby te panienki... śliczne to jak malowanie... jak odtańczą z naszym ułanem mazura... jak odtańczyła która z naszym ułanem mazura, to od razu szust mu na kolana jak koteczka... bieluśka... a pan ojciec i pani matka widzą to i pozwalają... zaś ułan nazajutrz przychodzi i o rączkę prosi... tak jest... o rączkę prosi chi-chi! - zachichotał Maksymow.

- Pan jest łajdak! - wykrzyknął naraz wysoki pan, przekładając nogę na nogę. Miti rzucił się w oczy jego ogromny wysoki but z grubą, zabłoconą podeszwą. Nawiasem mówiąc, obaj panowie sprawiali dosyć niechlujne wrażenie.

- Od razu łajdak! Czego on wymyśla? - rozgniewała się Gruszeńka.

- Pani Agrypino, ten pan widział w Polsce chłopki, a nie szlachetnie urodzone panie - odrzekł pan z fajką.

- Możesz na to rachować! - wtrącił wzgardliwie wysoki jegomość.

- A jakże! Pozwólcie mu mówić! Ludzie mówią, to po co przeszkadzać! Z nimi wesoło - sarkała Gruszeńka.

- Ja pani nie przeszkadzam - zauważył znacząco pan w peruce, rzucając na Gruszeńkę wymowne spojrzenie, i po krótkiej pauzie znowu zaczął ssać swoją fajkę.

- Ależ nie, nie, pan słusznie teraz powiedział - gorączkował się znowu Kałganow, jak gdyby chodziło o Bóg wie jak poważną sprawę. - On wcale w Polsce nie był, jakże więc może mówić o Polsce? Przecie nie w Polsce pan się ożenił, co?

- Nie, proszę pana, w guberni smoleńskiej. Bo ją poprzednio ułan wywiózł, moją niby przyszłą małżonkę, wraz z panią matką i z tamtą, i z jeszcze jedną krewną z dorosłym synem. A wywiózł z samej Polski, z samej... i mnie odstąpił. Porucznik, bardzo miły młody człowiek. Z początku sam chciał się ożenić, ale się nie ożenił, bo okazało się, że ona jest kulawa...

- To pan się z kulawą ożenił! - zawołał Kałganow.

- Z kulawą, a jakże. Oszukali mnie wtedy oboje troszeczkę, zataili przede mną. Myślałem, że

ona tylko tak sobie podskakuje... wciąż tylko podrygiwała, ja zaś myślałem, że swawoli sobie dziewczę z radości...

- Z radości, że za pana wychodzi? - wrzasnął jakoś po dziecięcemu cienkim głosem Kałganow.

- Tak jest, proszę pana, z radości. Ale potem się okazało, że niby z innego powodu. Potem, po ślubie, przyznała się, od razu pierwszego wieczoru, i bardzo gorąco prosiła mnie o przebaczenie. Przez kałużę, powiada, skakałam w dzieciństwie i nóżkę sobie nadwerżyłam, chi, chi!...

Kałganow sekundował mu dziecięcym śmiechem; ze śmiechu prawie leżał na kanapie. Roześmiała się również i Gruszeńka. Mitią był u szczytu szczęścia.

- Wie pan, wie pan, on teraz prawdę mówi, teraz już nie kłamie! - wołał Kałganow, zwracając się do Miti. - I wie pan, on przecie był dwa razy żonaty, to o pierwszej żonie opowiada, a druga uciekła od niego i żyje dotychczas, wie pan?

- Czyżby? - Mitią gwałtownie obrócił się ku Maksymowowi z wyrazem niezwykłego zaciekawienia na twarzy.

- Tak, proszę pana, uciekła, miałem tę przykrość - skromnie potwierdził Maksymow - z pewnym „mosje”. A najważniejsze, że przede wszystkim wioścynę moją na siebie kazała przepisać. „Ty, powiada, jesteś człowiekiem wykształconym, więc łatwo dasz sobie w życiu radę.” I tak mnie zostawiła. Toteż powiedział mi raz pewien czcigodny archijerej: „Jedna twoja żona była kuternoga, druga zaś zbyt lekkonoga”, chi, chi!

- Niech pan posłucha, niech pan posłucha! - krztusił się Kałganow - jeśli nawet łże, a łże często, to jedynie po to, aby sprawić wszystkim przyjemność; przecie to nie jest podłość, przecie nie podłość! Wiecie, państwo, lubię go nawet czasem. Podły jest, podły, ale jakoś naturalnie, prawda? Jak pan myśli? Niektórzy są podli dla zysku, a on po prostu z natury. Wyobraźcie sobie, państwo, twierdzi na przykład (wczoraj przez całą drogę kłóciliśmy się o to), że Gogol w *Martwych duszach* o nim napisał. Pamiętacie, jest tam obywatel Maksymow, którego Nozdriew potraktował różgami, za co zastał ukarany. „Za wyrządzenie obywatelowi ziemskiemu Maksymowowi czynnej zniewagi w stanie nietrzeźwym” - pamiętacie? Więc uważacie, ten właśnie pretenduje, jakoby to on był, jakoby to jego znieważono czynnie! Jak to możliwe? Wszak działo się to najpóźniej w latach dwudziestych, na początku roku, więc daty nie zgadzają się absolutnie. Nie mogli go przecież wówczas różgami potraktować! Chyba nie mogli, nie mogli?

Trudno było zrozumieć, czemu Kałganow tak się przejmuje. A przejmował się szczerze. Mitią podtrzymywał go z całym zapalem.

- A jeżeli potraktowali! - wołał zanosząc się od śmiechu.

- Właściwie nie potraktowali, ale tak sobie - odezwał się nagle Maksymow.

- Jak to? Potraktowali czy nie?

- Która godzina, panie? - zwrócił się ze znużoną miną pan z fajką do wysokiego pana na

krześle.

Ów wzruszył ramionami; bowiem i on nie miał zegarka.

- Nie wolno pogawędzić? Pozwólcie i innym pogadać! Jak sami nudzicie, to już wszyscy mają milczeć? - zachnęła się gniewnie Gruszeńka: mogłoby się wydawać, że się umyślnie czepiała obu panów.

Dymitrowi Fiodorowiczowi po raz pierwszy zaczęło świtać w głowie. Tym razem pan odpowiedział z nietajoną irytacją:

- Pani, ja nic nie mówię przeciw, nic nie powiedziałem.

- Więc dobrze, a ty opowiadaj - zawołała Gruszeńka zwracając się do Maksymowa. - Coście wszyscy umilkli?

- Właściwie nie ma tu co opowiadać, wszystko to głupstwa - podjął Maksymow z widocznym zadowoleniem i wymuszoną przesadą. - Gogol wszystko to opisał w postaci alegorycznej, bo i wszystkie nazwiska są alegoryczne. Nozdriew wcale się nie nazywał Nozdriew, lecz Nosow, Kuwshynnikow zaś to nawet i niepodobne, w istocie bowiem nazywał się Szkworniew. A Fenardi istotnie był Fenardi, tylko nie Włoch, lecz Rosjanin, Pietrow, proszę pana, i mamzel Fenardi była śliczną osóbką, nóża w trykocie, prześliczna, sukienka króciutka, cała w błyskotkach, i to właśnie ona kręciła się, ale nie cztery godziny, lecz cztery minuty, proszę pana... i wszystkich oczarowała...

- Ale za co cię potraktowali różgami, za co? - wołał Kałganow.

- Za Pirona - odpowiedział Maksymow.

- Za jakiego Pirona? - krzyknął Mitia.

- Za francuskiego znanego pisarza Pirona. Myśmy wtedy wciąż wino popijali w dużym towarzystwie w restauracji na tym samym jarmarku. Zaproszono mnie do stolika, a ja od razu zacząłem sypać epigramami. „Tyżeś to, Boileau, jaki twój strój pocieszny.” A Boileau odpowiada, że wybiera się na maskaradę, to znaczy do łaźni, chi, chi, więc oni, wyobraźcie sobie, wzięli to na swój rachunek. Następnie prędko powiedziałem im drugi epigram, nader zjadliwy, znany każdemu inteligentnemu człowiekowi:

*Jam Faon, a tyś Safo hoża,*

*Lecz, o bogi,*

*Nie znasz drogi*

*Do morza?*

A oni jeszcze bardziej się obrazili, i nuże mi za to nieprzyzwoicie wymyślać. Wówczas ja, na swoje nieszczęście, chcąc ich przebłagać, poprawiłem się z pieca na łeb, mianowicie opowiedziałem im bardzo inteligentną anegdotę o Pironie, jak to go nie przyjęto do Akademii Francuskiej i jak zemścił się, pisząc za życia epitafium dla siebie:

*Tu leży Piron, nie był nikim,*

*Nawet nie akademikiem.*

Za to mnie właśnie pobili.

- Ale za co? za co?

- Za moje wykształcenie. Mało za co ludzie człowieka mogą pobić - zakończył Maksymow krótko i sentencjonalnie.

- E, dosyć, marne to wszystko, nie chcę więcej słuchać: myślałam, że będzie wesołe - zawołała naraz Gruszeńka.

Mitia zaniepokoił się i od razu przestał się śmiać. Wysoki pan podniósł się z wyniosłą miną człowieka, który znalazł się w niewłaściwym i nudnym towarzystwie, i począł chodzić z kąta w kąt, z założonymi do tyłu rękoma.

- Ten się rozchodził! - rzekła Gruszeńka obrzucając go pogardliwym spojrzeniem.

Mitia niepokoił się coraz bardziej, w dodatku spostrzegł niechętnie spojrzenia pana z fajką.

- Pan! - krzyknął Mitia. - Wypijmy, panie! I z drugim panem też! Wypijmy, panowie!

Napełnił szybko trzy szklanki musującym trunkiem.

- Za Polskę, panowie, piję za waszą Polskę, za polski kraj! - zawołał Mitia.

- Bardzo mi miło, panie, wypijmy - z łaskawą pobłażliwością odezwał się pan z kanapy i wziął szklankę do ręki.

- I drugi pan również, jak go tam, ej, jaśnie wielmożny, bierz szklankę! - wołał krzątając się Mitia.

- Pan Wróblewski - powiedział pan z kanapy.

Pan Wróblewski, kołysząc się z lekka, podszedł do stołu i wziął swoją szklankę.

- Za Polskę, panowie, hura! - wykrzyknął Mitia podnosząc szklankę.

Wszyscy trzej wypili. Mitia chwycił butelkę i znowu napełnił trzy szklanki.

- Teraz za Rosję, panowie, bratajmy się!

- Nalej i nam, za Rosję to i ja chcę pić - rzekła Gruszeńka.

- I ja też - wtrącił Kałganow.

- Ano i ja też bym... za Rosję naszą starą, kochaną - chichotał Maksymow.

- Wszyscy, wszyscy! - wołał Mitia - gospodarzu, jeszcze szampana.

Przyniesiono ostatnie trzy butelki. Mitia napełnił szklanki.

- Za Rosję, hura! - zawołał.

Wszyscy wypili oprócz obu panów, Gruszeńka wychyliła do dna. Panowie zaś nie dotknęli nawet szklanek.

- Jak to, panowie? - zawołał Mitia. - To wy tak?...

Pan Wróblewski wziął szklankę, podniósł ją i rzekł donośnym głosem:

- Za Rosję w granicach sprzed tysiąc siedemset siedemdziesiątego drugiego roku!

- O, to bardzo pięknie! - wykrzyknął drugi pan, i obaj wypili duszkiem.

- Głupi jesteście, panowie! - wyrwało się naraz Miti.

- Panie! - zawołali obaj panowie groźnie i nastroszyli się jak koguty.

Szczególnie oburzył się pan Wróblewski.

- Czy nie można mieć słabości do swojego kraju? - zawołał.

- Milczeć! Nie kłócić się! Żeby mi tu żadnej kłótni nie było! - krzyknęła rozkazująco Gruszeńka i tupnęła nóżką. Twarz jej oblała się rumieńcem, oczy błysnęły. Dopiero co wypita szklanka szampana zaczęła działać. Mitia przeraził się okropnie.

- Panowie, wybaczcie! To ja jestem winien, nie będę już. Wróblewski, panie Wróblewski, ja już nie będę!...

- Milcz chociaż ty, siadaj, ach, jaki głupi! - zawołała ze złością Gruszeńka.

Wszyscy usiedli i milcząc patrzeli po sobie.

- Moi państwo, to ja jestem wszystkiemu winien! - zaczął znowu Mitia, nie rozumiawszy okrzyków Gruszeńki. - No, czego tak siedzimy? Czym by się tu zająć... żeby było wesoło, znowu

wesoło?

- Ach, istotnie, strasznie niewesoło - wymamrotał leniwie Kałganow.

- W bank może byśmy zagrali, jak poprzednio... - zachichotał raptem Maksymow.

- Bank? Wspaniale! - podchwycił Mitia. - Jeżeli tylko panowie...

- Późno, panie! - jakby niechętnie odezwał się pan z kanapy.

- To prawda - potwierdził pan Wróblewski. Ponieważ powiedzieli to po polsku, więc Gruszeńka, nie rozumiawszy ich, zapytała pana z fajką.

- Zawsze im późno, zawsze nie wolno! - wykrzyknęła, a właściwie pisnęła ze złością. - Sami siedzą znudzeni i zrzędzą, i chcą, żeby inni też się nudzili. Przed twoim przyjściem, Mitia, wciąż tak milczeli i przede mną się czupurzyli...

- Bogini moja! - zawołał pan z kanapy - co powiesz, to się stanie. Widzę niełaskę i jestem smutny. Jestem gotów, panie - dokończył zwracając się do Miti.

- Zaczynaj, panie - podchwycił Mitia, wyjmując nerwowo z kieszeni plik banknotów, i położył dwie setki na stole. - Chcę do ciebie dużo przegrać, panie. Bierz karty i trzymaj bank!

- Karty muszą być wzięte od gospodarza, panie - poważnie i z naciskiem odezwał się mały pan.

- To najlepszy sposób - potwierdził pan Wróblewski.

- Od gospodarza? Dobrze, rozumiem, niech będą od gospodarza, bardzo słusznie, panowie! Karty! - rozkazał Mitia.

Oberżysta przyniósł nie rozpieczętowaną talię i oświadczył Miti, że już zaczęły się zbierać dziewczuchy, że i Żydkowie z cymbałami rychło nadejdą, lecz trójki od kupca nie widać. Mitia wybiegł do sąsiedniego pokoju, żeby wydać odpowiednie zlecenia. Tymczasem przyszły tylko trzy dziewczyny, między nimi Marii nie było. Zresztą Mitia sam nie wiedział, co robić; kazał tylko wypakować ze skrzyni cukierki, ciągutki, ciasteczka i rozdać dziewczkom.

- A dla Andrzeja wódki, wódki dla Andrzeja! - zawołał z pośpiechem - skrzywdziłem go!

W tej chwili trącił go w ramię Maksymow, który wybiegł za nim.

- Niech mi pan da pięć rubli - szepnął - też bym chętnie zagrał, chi, chi!

- Świetnie, wspaniale! Ma pan dziesięć! proszę! Wyciągnął znowu wszystkie banknoty z kieszeni i wyszukał dziesięciorubłówkę.

- A jak przegrasz, to przyjdź, przyjdź jeszcze raz...



- Dobrze - wyszeptał radośnie Maksymow i pobiegł z powrotem do błękitnego pokoju.

Zaraz też wrócił Mitia. Przeprosił, że kazał na siebie czekać. Panowie już się usadowili i rozpieczętowali talię; mieli o wiele łagodniejsze, prawie życzliwe miny. Pan z kanapy zapalił znowu fajkę i szykował się do rozdawania; minę miał jakąś uroczystą.

- Proszę zająć miejsca, panowie! - zawołał pan Wróblewski.

- Ja nie będę już grał - odezwał się Kałganow - poprzednio przegrałem do nich pięćdziesiąt rubli.

- Nie miał pan szczęścia, może pan je znowu odzyska - zauważył pan z kanapy.

- Ile w banku? - gorączkował się Mitia.

- Słucham pana, może sto, może dwieście, ile pan postawi.

- Milion! - roześmiał się Mitia.

- Pan kapitan może słyszał o panu Podwysockim?

- Jaki Podwysocki?

- W Warszawie bank stawia ten, kto przychodzi. Przyszedł Podwysocki, widzi tysiąc złotych, stawia: *va banque*. Bankier mówi: „Panie Podwysocki, stawiasz złoto czy na honor?” „Na honor, panie” - mówi Podwysocki. „Tym lepiej, panie.” Bankier rozdaje talię. Podwysocki bierze tysiąc złotych. „Poczekaj, panie - mówi bankier, wyjął szufladę i daje milion - bierz panie, oto jest twój rachunek.” Bank był milionowy. „Nie wiedziałem o tym” - mówi Podwysocki. „Panie Podwysocki - mówi bankier - ty stawiałeś na honor i my na honor.” Podwysocki wziął milion.

- To nieprawda - rzekł Kałganow.

- Panie Kałganow, w szlachetnej kompanii tak mówić nie przystoi.

- Zaraz ci odda polski gracz milion! - zawołał Mitia, ale natychmiast się opamiętał. - Wybacz, panie, zawiniłem, znowu zawiniłem, odda, odda milion na honor, na polski honor! Widzisz, jak mówię po polsku, ha, ha! Stawiam dziesięć rubli, idzie - walet.

- A ja rubelka na damulkę, na czerwienną, na śliczną, na panienczkę, chi, chi! - chichotał Maksymow, wysuwając swoją damę tak, żeby jej nikt nie dostrzegł, po czym przysunął się do stołu i naprędce przeżegnał się pod blatem. Mitia wygrał. Wygrał również i rubelek.

- Jeszcze dwadzieścia pięć rubli! - krzyknął Mitia.

- A ja znowu rubelek, ja pomalutku, pomalutku - radośnie mruczał pod nosem uszczęśliwiony wygraną Maksymow.

- Biję siódmkę na pe! - wykrzyknął Mitia.

Przegrał i na pe.

- Niech pan przestanie - odezwał się nagle Kałganow.

- Na pe, na pe - podwajał stawki Mitia i wciąż przegrywał. Natomiast rubelki wygrywały.

- Na pe! - ryknął wściekle Mitia.

- Dwieście pan przegrał, panie. Czy jeszcze postawi pan dwieście? - zapytał jegomość z kanapy.

- Jak to, już dwieście przegrałem? Wobec tego całe dwieście na pe! - I wyciągnawszy w pośpiechu banknoty z kieszeni, rzucił dwieście rubli na damę, lecz Kałganow zakrył ją ręką.

- Dostyc! - wykrzyknął swoim dźwięcznym głosem.

- Co się stało? - Mitia spojrzał, zdziwiony.

- Dostyc, nie chcę, nie będzie pan dalej grał.

- Dlaczego?

- A dlatego. Niech pan splunie i odejdzcie, oto dlaczego. Nie pozwolę grać dalej.

Mitia wciąż patrzył na niego.

- Rzuć to, Mitia, może on prawdę mówi: dość już przegrałeś - wtrąciła Gruszeńka z dziwną jakąś nutką w głosie. Obaj panowie zerwali się z miejsca z okropnie obrażonymi minami.

- Żartujesz, panie - odezwał się mały pan, patrząc surowo na Kałganowa.

- Jak się poważasz to robić, panie! - warknął na Kałganowa pan Wróblewski.

- Jak śmiecie, jak śmiecie krzyżeć! - zawołała Gruszeńka. - Ach, wy indyki!

Mitia spojrzał na nich ze zdumieniem; nagle coś go uderzyło w wyrazie twarzy Gruszeńki, a jednocześnie niezwykła myśl błysnęła mu w głowie - dziwna, niezwykła myśl!

- Pani Agrypino! - zaczął mały pan, czerwony i wyzywający. Nie dokończył, bo podszedł doń Mitia i uderzwszy go po ramieniu, rzekł:

- Jaśnie wielmożny, na dwa słówka.

- Czego chcesz, panie?

- Do tego pokoju, dwa słowa ci powiem, dobre, najlepsze, zobaczysz, będziesz zadowolony.

Mały pan zdziwił się i spojrział na Mitę trwożliwie. Zgodził się jednak po chwili, ale tylko pod warunkiem, że towarzyszyć im będzie pan Wróblewski.

- Ochrona? Niech i on idzie, dobrze! Nawet powinien iść! - zawołał Mitya. - Marsz, panowie!

- Dokąd to? - zapytała niespokojnie Gruszeńka.

- Za chwilę wrócimy - odpowiedział Mitya.

Jakieś zuchwalstwo, nieoczekiwana brawura odbiła się na jego twarzy - z inną zgoła miną wszedł godziną temu do tego pokoju. Wprowadził obu panów do sąsiedniego pokoju - jedne drzwi prowadziły do większej izby, w której zbierał się chór wiejskich dziewczuch i nakrywano do stołu, drugie zaś do sypialni, gdzie stały kufry, kuferki i dwa duże łóżka ze stertami poduszek w perkalowych powłóczkach. Weszli do tej właśnie sypialni. Na małym drewnianym stoliku w samym kącie paliła się świeczka. Pan z fajką i Mitya usiedli przy tym stoliku naprzeciw siebie, ogromny zaś pan Wróblewski z założonymi do tyłu rękoma usadowił się z boku. Obaj panowie spoglądali surowo, ale z wyraźną ciekawością.

- Czym mogę panu służyć? - wymamrotał mały pan.

- Oto czym, panie, nie będę się długo rozwodził: masz pieniądze - mówiąc to, wyciągnął banknoty - chcesz trzy tysiące, to bierz i jedź, gdzie cię oczy poniosą.

Pan patrzył badawczo, po prostu wpił się wzrokiem w twarz Dymitra.

- Trzy tysiące, panie?

Obaj panowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Trzy, panowie, trzy! Słuchaj, panie, widzę, żeś człowiek roztropny. Bierz trzy tysiące i wynoś się do wszystkich diabłów, a i Wróblewskiego zabierz ze sobą, słyszysz? Ale natychmiast, w tej chwili i na zawsze, rozumiesz, panie, na zawsze, przez te drzwi wyjdiesz. Co masz, palto czy szubę? Zaraz ci przyniosę. Za chwilę trójka będzie gotowa i - do widzenia, panie! Co?

Mitya z pewnością oczekiwał twierdzącej odpowiedzi. Nawet nie wątpił. Jakaś niezwykła stanowczość malowała się przez chwilę na twarzy pana.

- A ruble, panie?

- Z rublami zrobimy tak, panie: pięćset na rękę, na konie i na zadatek, a dwa tysiące pięćset jutro w mieście - słowo honoru daję, że będą, bodaj spod ziemi wytrzasnę! - wykrzyknął Mitya.

Obaj panowie znowu spojrzeli po sobie. Wyraz twarzy grubego pana zaczął się zmieniać.

- Siedemset, siedemset, a nie pięćset, w tej chwili, na rękę! - dodał Mitya czując, że sprawa przyjmuje gorszy obrót. - No co, panie? Nie wierzysz? Przecież nie dam ci od razu całych trzech tysięcy. Dam, a ty już jutro wrócisz do niej... Zresztą nie mam teraz przy sobie całych trzech tysięcy,

leżą u mnie w mieście, w domu - mówił gorączkowo Mitia, tchórzając coraz bardziej i tracąc kontenans - jak Boga kocham, leżą schowane...

W jednej chwili na twarzy małego pana zajaśniał wyraz niezwyklej godności.

- Czy nie potrzebujesz jeszcze czego? - zapytał ironicznie. - Pfe! A pfe!

Co rzekłszy, splunął. Splunął też pan Wróblewski.

- To dlatego plujesz, panie - rzekł Mitia z rozpaczą, zdając sobie sprawę, że wszystko przepadło - że chcesz Gruszeńkę naciągnąć na więcej. Kapłony przekłete!

- Jestem dotknięty do żywego! - zaczerwienił się jak rak mały pan i okropnie oburzony, jakby niczego już nie chciał słyszeć, wyszedł szybko z pokoju. Za nim, kołysząc się, wyszedł Wróblewski, a za nimi Mitia, wielce strapiony i zmieszany. Bał się Gruszeńki, przeczuwał, że pan podniesie larum. Tak się też stało. Pan wrócił do salonu i w teatralnej pozie stanął przed Gruszeńką.

- Pani Agrypino, dotknięty jestem do żywego - zaczął podniesionym głosem, ale Gruszeńka nagle straciła resztę cierpliwości, jak gdyby trafił w najboleśniejse miejsce.

- Po rosyjsku gadaj, po rosyjsku, nie waź mi się wtrącić ani jednego słowa polskiego! - wykrzyknęła. - Dawniej mówiłeś po rosyjsku, czyżbyś zapomniał przez te pięć lat! - Była czerwona z gniewu.

- Pani Agrypino...

- Jestem Agrafiena, jestem Gruszeńka, gadaj po rosyjsku albo słuchać nie chcę.

Pan nadał się w poczuciu obrażonego honoru i łamaną ruszczyzną prędko i z namaszczeniem przemówił:

- Pani Agrafieno, ja przyjechał zapomnieć stare i przebaczyć, zapomnieć, co do dzisiaj było...

- Jak to przebaczyć? To tyś mi przyjechał przebaczyć?! - przerwała mu Gruszeńka, zrywając się z miejsca.

- Tak jest, pani, ja nie małoduszny, ja wielkoduszny. Ale ja był zdziwiony, kiedy zobaczył twoich kochanków. Pan Mitia w tamtym pokoju dawał mnie trzy tysiące, abym pojechał. Plunąłem temu panu w fizję.

- Jak to? On ci za mnie dawał pieniądze? - zawołała histerycznie Gruszeńka. - Czy to prawda, Mitia? Jak śmiałeś? Na sprzedaż jestem czy co?

- Panie, panie - ryknął Mitia - ona jest czysta, ona promieniuje czystością, i nigdy nie byłem jej kochankiem! Zełgałeś...

- Jak śmiesz mnie przed nim bronić? - wołała Gruszeńka. - Nie z cnoty byłem czysta i nie

dlatego, że Kuźmy się bałam, ale tylko dlatego, żeby przed nim być dumną i żeby mieć prawo rzucić mu to w twarz przy spotkaniu. I czy rzeczywiście ten podły człowiek nie wziął od ciebie pieniędzy?

- Ależ brał, brał! - zawołał Mitia. - Tylko że chciał od razu całe trzy tysiące, a ja mu dawałem siedemset na zadatek.

- Naturalnie: dowiedział się, że mam pieniądze, więc przyjechał się żenić!

- Pani Agrypino! - zawołał pan - ja rycerz, ja szlachcic, nie łajdak! Przybyłem wziąć ciebie za żonę, a widzę nową panią, nie tę co przedtem, lecz upartą i bez wstydu.

- A wracajże tam, skąd przyjechałeś!. Zaraz każę cię wypędzić, i wypędzą cię! - krzyknęła z wściekłością Gruszeńka. - Głupia, głupia byłam, że pięć lat siebie dręczyłam! I wcale nie dla niego, lecz ze złości! I to wcale nie on! Czy on był taki? To jakiś jego ojciec! Gdzieżeś ty sobie tę perukę kupił? Tamten to był sokół, a ten to śmieszny kaczor. Tamten śmiał się i piosenki mi śpiewał... A ja, głupia, pięć lat łzami się zalewałam, przekłeta idiotka, podła, bezwstydną!

Osunęła się na fotel i ukryła twarz w dłoniach. W tej chwili rozległa się w pokoju z lewej strony, zaintonowana przez chór wiejskich dziewczek, które w końcu się zebrały, skoczna pieśń.

- To Sodoma! - zawołał naraz pan Wróblewski. - Gospodarzu, wypędzić te bezwstydnice!

Gospodarz, który od dawna już z ciekawością zaglądał do pokoju, zwabiony krzykiem i kłótnią gości, nie dał na siebie czekać.

- Czego krzyczysz, czego się drzesz? - zapytał Wróblewskiego z jakąś niezwykłą niegrzecznością.

- Bydlę! - ryknął pan Wróblewski.

- Bydlę? A ty, bratku, jakimi kartami teraz grałeś? Podałem ci nową talię, a tyś ją schował! Znaczonymi kartami grałeś! Ja cię mogę za to na Syberię wytransportować, wiesz o tym, bo to jakbyś pieniądze podrabiał...

Podszedł do kanapy, wsunął palce między poręcz a siedzenie i wyciągnął nie rozpieczętowaną talię.

- To jest moja talia, nie rozpieczętowaną! - Podniósł ją i pokazał wszystkim.

- Stamtąd widziałem, jak on moje karty wsunął w szparę, a zaczął grać swoimi. Szuler jesteś, a nie pan!

- A ja widziałem, jak pan dwa razy kartę zamieniał - wykrzyknął Kałganow.

- Ach, co za wstyd, ach, co za wstyd! - zawołała Gruszeńka, załamując dłonie, i naprawdę załapała się rumieńcem wstydu. - Boże, jaki się z niego człowiek zrobił!

- I ja tak myślałem - rzekł Mitia.

Ale nie zdążył jeszcze powiedzieć do końca, gdy pan Wróblewski, zmieszany i jednocześnie rozwścieczony, grożąc Gruszeńce zaciśniętą pięścią, krzyknął:

- Publiczna szelma!

Mitia rzucił się na niego, objął go w pól, podniósł oburącz do góry i w mig wyniósł do pokoiku na prawo, do którego przed chwilą był ich wprowadził.

- Położyłem go tam na podłodze! - oznajmił wróciwszy natychmiast, zadyszany ze wzburzenia - bił się, kanalia, ale już tu nie wróci!...

Zamknął jedno skrzydło drzwi i trzymając otwarte na oścież drugie, zawołał do małego pana:

- Jaśnie wielmożny, czy nie raczy pan również tędy? Przepraszam!

- Kochany Dymitrze Fiodorowiczu - zawołał Tryfon Borysycz - a odbierz im pieniądze, które do nich przegrałeś. Boć to przecie jakby ci ukradli!

- Ja moich pięćdziesięciu rubli nie chcę odbierać - rzekł nagle Kałganow.

- Ani ja moich dwustu! - zawołał Mitia. - Za nic nie odbiorę, niech sobie mają na otarcie łez.

- Pysznie, Mitia! Zuch z ciebie, Mitia! - zawołała Gruszeńka z jakąś złośliwą nutką w głosie.

Mały pan posiniał z wściekłości. Nie tracąc kontenansu, zmierzał ku drzwiom, lecz nagle przystanął i rzekł, zwracając się do Gruszeńki:

- Pani, jeżeli chcesz iść za mną, chodźmy, jeżeli nie - bywaj zdrowa!

I, ciężko dysząc z oburzenia i obrażonej ambicji, wyszedł majestatycznie z pokoju. Był to człowiek bardzo pewny siebie: nawet po tym, co zaszło, nie tracił nadziei, że pani pobiegnie za nim - tak się cenił. Mitia zatrzasnął za nim drzwi.

- Niech pan zamknie na klucz - poradził Kałganow. Lecz zamek zgrzytnął już z tamtej strony.

- Doskonale! - zawołała złośliwie i bezlitośnie Gruszeńka. - Doskonale! Krzyżyk na drogę!

## VIII MALIGNA

Zaczęła się niemal orgia, zabawa na całego. Gruszeńka pierwsza zawołała, żeby podano wina: „Chcę pić na umór, jak dawniej, pamiętasz, Mitia, pamiętasz, jak myśmy się tu poznawali!” Mitia był

jak w malinie i przeczuwał „swoje szczęście”.

Co prawda Gruszeńka wciąż odpędzała go od siebie: - Idź, baw się, powiedz im, żeby tańczyły, żeby się wszyscy weselili, „tańczy izba, tańczy piec”, jak wtedy, jak wtedy! - wołała wciąż. I Mitia biegł, by wykonać jej polecenia. Chór zebrał się w sąsiednim pokoju. Pokój zaś, w którym dotychczas siedziano, był dość ciasny, w dodatku przegrodzony perkalową zasłoną, za którą stało szerokie łóżko z ogromną pierzyną i ze stertą poduszek. Łóżka stały zresztą we wszystkich czterech „paradnych” pokojach tego domu. Gruszeńka usadowiła się w drzwiach. Mitia przyniósł tu dla niej fotel: w tym samym miejscu siedziała i „wtedy”, podczas ich pierwszej hulanki, i stąd patrzyła na chór i tańce. Dziewuchy były te same co i wtedy. Przyjechali już Żydkowie ze skrzypcami i cytrami, w końcu zaś nadjechał oczekiwany wóz z winem i zapasami. Mitia uwijał się wszędzie. Tymczasem do pokoju zaglądali również obcy, chłopci i baby, którzy już spali, ale zbudzili się, czując, że znów się wspaniale uraczą, jak przed miesiącem. Mitia witał się i ścisnął ze znajomymi, przypominał sobie innych, otwierał butelki i nalewał, komu popadło. Na szampan łase były tylko dziewczęta, chłopom bardziej smakował rum i koniak, a zwłaszcza gorący poncz. Mitia kazał, żeby nagotować czekolady dla wszystkich dziewcząt i żeby przez całą noc kipiały trzy samowary do herbaty i ponczu: kto chce, niech sobie nalewa. Słowem, zaczęła się jakaś nedorzeczna brednia, ale Mitia czuł się w swoim żywiole; im bardziej to wszystko stawało się nedorzeczne, tym bardziej się ożywiał. Gdyby go w takiej chwili poprosił pierwszy lepszy chłop o pieniądze, wyciągnąłby natychmiast cały plik i zaczął rozdawać na prawo i lewo. Toteż zapewne dlatego doglądał go nieustannie Tryfon Borysycz, który już całkiem, zdaje się, zrezygnował ze snu, lecz pił mało (wychylił tylko jedną szklanekę ponczu) i po swojemu pilnie baczył na sprawy Miti. Gdy trzeba było, łagodnie i bardzo grzecznie powstrzymywał go i przekonywał, nie pozwalał częstować, „jak wtedy, chłopów cygarkami i reńskim winem”, a zwłaszcza, broń Boże, dawać im pieniędzy, i bardzo się irtował, że dziewczuchy popijają likier i jedzą karmelki. „Przecie to, Dymitrze Fiodorowiczu, sama hołota - krzyknął - ja kolaniem taką szturcham i jeszcze za honor każę im to uważać, takie to i panie!” Mitia jeszcze raz przypomniał sobie Andrzeja i kazał mu dać ponczu. „Skrzywdziłem go niedawno” - powtarzał słabym, rozrzewnionym głosem.

Kałganow nie chciał pić; z początku bardzo mu się nie podobał chór dziewczuch; wypiwszy jednak parę kieliszków szampana, podochocony i wesoły, chodził po pokojach, śmiał się, wszystko i wszystkich chwalił, i śpiew, i kapelę. Maksymow, pijaniusieńki i rozanielony, nie odstępował go na krok. Gruszeńka, również już podchmielona, wskazując Miti Kałganowa wołała: „Jaki on miły, jaki cudowny chłopczyk!” I Mitia w zachwycie podbiegał do Kałganowa i Maksymowa i całował się z nimi. O, w tej chwili przeczuwał wiele; Gruszeńka nic mu jeszcze właściwie nie powiedziała, i nawet, chyba umyślnie, nie chciała mówić, lecz chwilami obrzucała go pieszczotliwym i palącym spojrzeniem. Wreszcie chwyciła go mocno za rękę i silnie przyciągnęła do siebie. Siedziała wciąż na progu w fotelu.

- Jakżeś ty wtedy wszedł, co? Jakeś ty wszedł!... a ja tak się przestraszyłam. Więc chciałeś mnie jemu odstąpić, co? Naprawdę chciałeś?

- Nie chciałem odbierać ci szczęścia! - szeptał nieprzytomny z zachwytu Mitia. Ale ona nie czekała nawet na jego odpowiedź.

- Idź... baw się - odpędzała go znowu - nie płacz, znowu cię zawołam.

Więc odchodził, ona zaś znowu słuchała pieśni i przyglądała się tańcom, nie spuszczając go jednak z oka. Lecz po kwadransie wołała go znowu.

- No, siadaj teraz przy mnie, opowiadaj, jakieś się dowiedział, że tu pojechałam; kto ci pierwszy powiedział?

I Mitia zaczął opowiadać bez ładu i składu, żarliwie, lecz jakoś dziwnie, chwilami marszcząc brwi i urywając.

- Czego się marszczysz? - pytała go.

- Nie, nic... zostawiłem tam chorego. Gdyby wyzdrowiał, gdybym wiedział, że wyzdrowieje, zaraz bym dziesięć lat życia oddał!

- Bóg z nim, jeżeli chory. Więc chciałeś zastrzelić się jutro, głuptasie, dlaczegoż? Lubię takich jak ty postrzeleńców - mówiła trochę już nieskładnie - Więc dla mnie na wszystko się zdobędziesz? Co? I czy naprawdę, głuptasku, chciałeś się jutro zastrzelić? Nie, poczekaj, jutro może jedno słówko powiem... nie dziś, tylko jutro. A ty byś chciał dzisiaj? Nie, dziś nie chcę... No, idź, idź teraz, baw się.

Lecz raz zawołała go, zatroskana i niespokojna.

- Dlaczego ci smutno? Widzę, że ci smutno... Nie, dobrze widzę - dodała, zaglądając mu w oczy. - Chociaż całujesz się z chłopami i hałasujesz, widzę, żeś nieswój. Nie, bądź wesoły, ja jestem wesoła i ty się wesel... Jest tu taki, którego kocham, zgadnij kto?... Ojej, patrz: mój chłopczyk zasnął, upił się, kochany.

Istotnie Kałganow usnął na chwilę, siedząc na kanapie. I nie tylko dlatego usnął, że się upił: zrobiło mu się jakoś nagle smutno, albo, jak mówił, „nudno”. Onieśmieliły go pod koniec pieśni dziewczuch, coraz bardziej, w miarę jak popijano, nieskromne i wyuzdane. Tańce też: dwie dziewczyny przebrały się za niedźwiedzia, a Stiepanida, dziarska dziewczucha z pałką w rękę, udawała niedźwiedznika, który je „oprowadza”. „Ruszaj się, Maria, ruszaj! - wołała - bo pałką zdzielę!” Niedźwiedzie w końcu powaliły się na podłogę, jakoś bardzo nieprzyzwoicie, ku hucznemu śmiechowi chłopów i bab. „Niech tam, niech im będzie - mówiła sentencjonalnie Gruszeńka z wyrazem rozmarzenia - jak wypada im czasem wesoły dzień, to czemu nie mieliby się cieszyć!”

Kałganow czuł się tak, jakby się czymś zabrudził.

- Świństwo to wszystko, cała ta wasza ludowość - rzekł odchodząc - to są ich zabawy wiosenne, kiedy strzegą słońca przez całą letnią noc.

Ale szczególnie raziła go „nowa” piosenka ze skoczną przyśpiewką do tańca, o tym, jak jechał dziedzic i pytał dziewczuch:

*Jechał pan, pytał pan:*



*Czy kochacie mnie, czy nie?*

ale dziewczuchy uważały, że pana nie można kochać:

*Bo pan będzie mocno bić,*

*Ja nie będę go ko-chać.*

Potem jechał Cygan i ten również pytał:

*Jechał Cygan, pytał nas:*

*Czy kochacie mnie, czy nie?*

Ale i Cygana nie można kochać:

*Cygan tylko będzie kraść,*

*A ja będę rozpa-zać.*

I wielu jechało innych, nawet żołnierz:

*Żołnierz jechał, pytał nas:*

*Czy kochacie mnie, czy nie?*

Ale i żołnierza odepchnięto z pogardą:

*Żołnierz będzie niósł tornister,*

*A ja za nim moją...*

Tu następował bardzo niecenzuralny rym, odśpiewany bez żenady, co zrobiło furorę wśród publiczności. Wreszcie rzecz doszła do kupca:

*Jechał kupiec, pytał nas:*

*Czy kochacie mnie, czy nie?*

I okazało się, że dziewczęta kupca kochają, bo:

*Kupiec będzie handlować,*

*A ja będę królować.*

Kałganow aż się rozłościł:

- Co za głupia piosenka! - rzekł na głos. - I kto to dla nich układa! Brakuje tylko, żeby jechał kolejarz albo Żyd i żeby oni pytali dziewczek; ci by na pewno mieli największe powodzenie.

I prawie obrażony, oświadczył, że się nudzi, usiadł na kanapie i nagle zasnął. Ładna jego twarzyczka trochę pobladła; głowę oparł na poduszce.

- Popatrz, jaki on śliczny - rzekła Gruszeńka, podchodząc doń z Mitią - gładziłam go przedtem po głowie, włosy ma jak len i gęste...

I nachyliwszy się, z czułością pocałowała go w czoło. Kałganow natychmiast otworzył oczy, spojrzał na nią, podniósł się i z zatroskaną miną zapytał:

- Gdzie Maksymow?

- Masz tobie, widzisz, o kim on myśli - roześmiała się Gruszeńka - posiedźże ze mną chwilkę. Mitia, idź, odszukaj tego jego Maksymowa.

Okazało się, że Maksymow nie odchodził na krok od dziewcząt, odbiegając tylko czasami, aby nalać sobie kieliszek likieru, czekolady zaś wypił dwie filiżanki. Twarz mu się zaczerwieniła, nos spurpurowiał, oczy lśniły rozmarzeniem. Podbiegł i oświadczył, że zamierza właśnie „pod pewną melodyjkę” wykonać taniec *le sabotier*.

- Kiedy byłem dzieckiem, uczono mnie tych wszystkich wytwornych salonowych tańców...

- No, idź z nim, idź, Mitia, a ja stąd będę się przyglądała, jak on tańczy.

- I ja, i ja pójdę popatrzeć - zawołał Kałganow, w prostocie ducha odrzucając propozycję Gruszeńki, żeby z nią posiedzieć.

Wszyscy poszli do sąsiedniego pokoju. Maksymow rzeczywiście wykonał swój taniec, ale *sabotier* w nikim prócz Miti nie wzbudził szczególnego entuzjazmu. Cały taniec polegał jedynie na jakichś podrygach, wyrzucaniu nóg na boki, podeszwą do góry, i uderzaniu za każdym podskokiem

dłonią po podszewie. Kałganow był rozczarowany, natomiast Mitia wyczałował tancerza.

- No, dziękuję, zmachałeś się pewno, co tak patrzysz: cukierków chcesz, a może cygarko?

- Papierosa bym chętnie...

- A wypić nie chcesz?

- Ja tu likierek... A czekoladowych cukierków nie ma pan?

- Na stole jest cała fura, wybierz sobie, jakie chcesz, ty duszo gołębia!

- Nie, ja chcę takie, żeby z wanilią... takie dla staruszków... Chi, chi!

- Nie, bracie, takich specjalnych tu nie ma.

- Niech pan posłucha! - nachylił się staruszek do ucha Miti - ta Mariuszka, chi, chi! Jak by tu, jeśli można, poznać ją bliżej, za pańskim łaskawym zezwoleniem...

- Czego to się jemu zachciewa! Nie, bracie, nie zwracaj głowy.

- Przecie nikomu krzywdy nie robię - szepnął posępnie Maksymow.

- Ano dobrze już, dobrze. Tu, bracie, tylko śpiewają i tańczą, a zresztą pal sześć! Poczekaj... Tymczasem posil się, jedz, pij, hulaj. Nie potrzebujesz pieniędzy?

- Chyba potem - uśmiechnął się Maksymow.

- Dobrze, dobrze...

Mitia poczuł, że mu głowa płonie. Wszedł do sieni, a stamtąd na drewnianą galeryjkę, która obiegała część budynku od podwórza. Świeże powietrze orzeźwiło go. Stał sam w mroku, w kącie, i nagle chwycił się oburącz za głowę. Rozstrzelone myśli i wrażenia naraz złączyły się w jedno, i trysnęło światło. Straszliwe, okropne światło! „Jeżeli się zastrzelić, to kiedy, jak nie teraz? - przyszło mu na myśl. - Pójdę po pistolet, przyniosę go i tu, w tym ciemnym i brudnym kącie, skończę ze sobą.” Chwilę stał, niezdecydowany. Przedtem, gdy pędził do tego zajazdu, miał za sobą hańbę, dokonaną kradzież i tę krew, krew!... Ale wtedy było mu lżej, o, znacznie lżej! Bo wtedy wszystko było skończone: stracił ją, odstąpił, przepadła dla niego, znikła - o, wyrok nie był tak ciężki, w każdym razie wydawał się nieunikniony, konieczny, bo i w jakim celu miał żyć dalej? Lecz teraz? Czy teraz nie jest całkiem inaczej? Teraz przynajmniej znikł jeden upiór, straszdyło: jej „dawny”, jej „niewątpliwy”. Ten fatalny człowiek znikł, nie zostawiwszy po sobie śladu. Straszliwa mara przemieniła się naraz w coś tak błahego, komicznego; zanesiono go na rękę do sypialni i zamknięto na klucz. Nigdy tu już nie wróci. Gruszeńka wstydzi się tego i z oczu jej Mitia widzi teraz wyraźnie, kogo ona kocha. Więc teraz dopiero mogłoby się naprawdę zacząć życie, ale... ale nie można żyć, nie można, o przekleństwo! „Boże, wskrześ powalonego pod płotem! Oddal ode mnie tę straszliwą czarę! Przecie nieraz dokonywałeś cudów dla takich jak ja grzeszników! Ale co będzie, jeżeli starzec żyje? O, w takim razie hańbę drugiego występku zmyję sam, zwrócę skradzione pieniądze, oddam je,

wydobędę spod ziemi... Nie zostanie śladu hańby poza śladem w moim sercu, na wieki! Ale nie, nie, to niemożliwe, to tchórzliwe marzenie! O przekleństwo!”

Naraz jakby promień jasnej nadziei strzelił w mroku, Mitia zerwał się z miejsca i pobiegł wprost do pokoju - do niej, znowu do niej, do swojej na wieki królowej! „Czyż jedna godzina, jedna minuta jej miłości nie jest warta całego życia męki i hańby?” Serce jego napawało się tym nieprawdopodobnym pytaniem. „Do niej, tylko do niej, na nią patrzeć, słuchać jej i o niczym nie myśleć, o wszystkim zapomnieć, choćby tylko na tę noc, na godzinę, na chwilę!” Przy wejściu do sieni, jeszcze na galeryjce, natknął się na gospodarza, Tryfona Borysycza, który wydał mu się dziwnie zatroskany i ponury.

- Cóż, Borysycz, czy nie mnie szukasz?

- Nie, nie, panie - odpowiedział zmieszany oberżysta - czego bym pana miał szukać? A pan... gdzie pan był?

- Coś taki markotny? Gniewasz się na mnie? Poczekaj, zaraz będziesz mógł się położyć... Która to godzina?

- Już trzecia będzie, może nawet czwarta.

- Zaraz skończymy, zaraz.

- Ależ, proszę pana, nic nie szkodzi. Może pan tak długo, jak tylko pan zechce...

„Co mu się stało?” - pomyślał Mitia i wbiegł do pokoju, gdzie tańczyły dziewczuchy. Ale jej tu nie było. Nie było jej również w błękitnym pokoju; Kałganow tylko drzemał na kanapie. Mitia zajrzał za zasłonę - siedziała tam, w kącie, na kufrze, ręce i głowę oparła na stojącym obok łóżku i gorzko płakała, z całej siły tłumiąc płacz, żeby nikt nie usłyszał. Ujrzawszy Mitię, przywołała go gestem, gdy podbiegł, chwyciła go mocno za rękę.

- Mitia, Mitia, ja go przecież kochałam! - rzekła szeptem - tak go kochałam przez całe pięć lat, przez cały ten czas. Czy jego kochałam, czy tylko swoją złość? O nie, jego! Och, jego! Przecież kłamię, że kochałam tylko swoją złość, a nie jego! Mitia, miałam wtedy siedemnaście lat, a on był dla mnie taki dobry, taki wesoły, piosenki mi śpiewał... A może mi się tylko wydał taki, byłam jeszcze taka głupia... A teraz, Boże wielki, to wcale nie ten sam. I nawet na twarzy zupełnie nie ten sam. Nawet go nie poznałam. Jechałam tu z Timofiejem i myślałam przez całą drogę: „Jak go spotkam, to co mu powiem, jak będziemy na siebie patrzeć?...” Dusza mi zamierała, a on mnie nagle jakby kubłem pomyj oblał. Mówi jak nauczyciel: wszystko takie uczone, napuszone, spotkał mnie tak uroczyście, zupełnie mnie stropił. Z początku myślałam, że wstydzi się tego drugiego Polaka. Siedzę, patrzę na nich i myślę: „Dlaczego nie umiem z nim teraz rozmawiać?” Wiesz, to go żona zepsuła, ta, z którą się ożenił, kiedy mnie rzucił wtedy... To ona go tak przeinaczyła. Co za wstyd, Mitia, wstyd, och, za całe życie! Przeklęte, niech będą przeklęte te pięć lat, przeklęte! Znowu zalała się łzami ściskając mocno jego rękę.

- Mitia, kochanie, stój, nie odchodź, chcę ci coś powiedzieć - wyszeptała i naraz podniosła nań

oczy - słuchaj, powiedz mi, kogo ja kocham? Kocham tu jednego człowieka; który to, powiedz mi: który? - Na twarzy jej, nabrzmiałej od płaczu, zajaśniał uśmiech, oczy załśniły w półmroku. - Wszedł tu niedawno jeden, mój sokół - i serce mi od razu zamarło. „Ty głupia, ot, kogo ty kochasz” - tak mi od razu szepnęło serce. Wszedłeś tylko, i wszystko zrobiło się jaśniejsze. „Czego on się boi?” - myślę sobie. Boś stchórzył, naprawdę stchórzył, nawet głosu nie mogłeś dobyć. „Przecież nie ich się złąkł!” - myślę sobie. Czy ty możesz się kogo lękać? „To mnie się boi, tylko mnie.” Mówiła ci przecież Fienia, głuptasku, jak zawołałam na pożegnanie do Aloszy, że kochałam Mitieńkę godzinę, a teraz jadę kochać... innego, Mitia, Mitia, jak mogłam myśleć, że kochałam innego, a nie ciebie! Wybaczysz mi? Wybaczasz czy nie? Kochasz? Kochasz?

Zerwała się i chwyciła go oburącz za ramiona. Mitia zaniemówił ze szczęścia; zaglądał jej w oczy, patrzył na twarz, uśmiech i naraz, chwyciwszy w objęcia, okrył ją pocałunkami.

- A czy wybaczysz mi, że cię dręczyłam? Przecież ze złości wszystkim wam dokuczałam. Ze złości twojego staruszka umyślnie do szaleństwa doprowadziłam.. Pamiętasz, jakieś u mnie raz pił i kieliszek stłukł? Zapamiętałam to sobie i dzisiaj też stłukłam kieliszek; piłam za „moje podłe serce”. Mitia, sokole mój, dlaczego mnie nie całujesz? Raz pocałowałeś i dosyć, patrzysz tylko na mnie, słuchasz... Po co mnie słuchasz! Całuj mnie, całuj mocno, o tak! Jak kochać, to kochać! Niewolnicą twoją teraz będę, niewolnicą na całe życie! Słodko jest być niewolnicą... Całuj! Zbij mnie, męcz, wyrządź mi co złego... Och, naprawdę trzeba mnie dręczyć... Zaczekaj! czekaj, potem, nie chcę tak... - odepchnęła go nagle. - Idź sobie, Mitia, pójdę teraz wina się napić, chcę być pijana, pijana będę tańczyć, chcę tak, chcę!

Wyrwała się z jego objęć, wybiegła z za zasłony. Mitia wyszedł za nią jak pijany. „Niech tam, cokolwiek się teraz stanie - i za jedną chwilę cały świat oddam” - przemknęło mu przez głowę. Gruszeńka istotnie wychyliła duszkiem szklanekę szampana i od razu bardzo się upiła. Usiadła w fotelu, na dawnym miejscu. Policzki jej pałały, wargi zaczerwieniły się, błyszczące oczy zamglily się, namiętne spojrzenie wzywało. Nawet Kałganowa coś jakby ugryzło w serce, wstał i podszedł do niej.

- A czułeś, jak cię niedawno pocałowałam w czoło, kiedyś spał? - wyszeptwała. - Upiłam się teraz... A ty nie? Dlaczego Mitia nie pije? Dlaczego nie pijesz, Mitia, ja wypięłam, a ty nie pijesz...

- Pijany jestem! I tak strasznie pijany, zamroczony tobą, teraz to i winem chcę się upić.

Wypił szklanekę i - sam się temu dziwił - dopiero teraz poczuł się pijany, bo do tej chwili był trzeźwy. Ale teraz wszystko zawirowało mu przed oczyma jak w gorączce. Chodził, śmiał się, rozmawiał ze wszystkimi, mało co pamiętając. Tylko jedno zastygłe i gryzące uczucie odzywało się w nim co chwila „niby rozżarzony węgiel w duszy” - jak to później określał. Podchodził do Gruszeńki, siadał przy niej, patrzył na nią, słuchał jej... Gruszeńce zachciało się nagle mówić, przyzywała do siebie wszystkich, przywoływała dziewczyny z chóru, całowała je, a czasem kreśliła nad nimi znak krzyża. Była bliska płaczu. Rozweselał ją tylko „staruszczyk”, jak nazywała Maksymowa. Co chwila przybiegał, całował ją w obie ręce, „każdy paluszek”, a w końcu znowu zatańczył jeszcze jeden taniec, sam sobie przyśpiewując jakąś starą piosenkę. Zwłaszcza z zapalem tańczył podśpiewując:

*Świnka chru-chru-chru,*

*Ciołka mu-mu-mu,*

*Kaczka kwa-kwa-kwa,*

*Gąska ga-ga-ga,*

*Kurka po sionce przytupywała,*

*Tu-ru-ru-ru pogadywała,*

*Oj tak, pogadywała.*

- Daj mi co, Mitia - powiedziała Gruszeńka - podaruj, przecie on biedny. Ach, biedni, skrzywdzeni!... Wiesz, Mitia, pójdę do monasteru, za mniszkę. Nie, naprawdę, pójdę kiedyś! Alosza mi dziś powiedział coś na całe życie... Tak... ale dziś będziemy tańczyć do upadłego. Jutro do monasteru, ale dziś się wytańczymy. Chcę dokazywać, dobrzy ludzie, ano cóż w tym złego, Pan Bóg przebaczy. Gdybym była Bogiem, wszystkim bym przebaczyła: „Kochani grzesznicy, od dziś wszystkim przebaczam.” A ja pójdę prosić o przebaczenie: „Wybaczcie, dobrzy ludzie, głupiej babie.” Jestem zwierzę. Modlić się chcę. Cebulkę podałam. Taka łajdaczka jak ja, i też zachciało mi się modlić! Mitia, niech tańczą, nie przeszkadzaj. Wszyscy ludzie na świecie są dobrzy, wszyscy co do jednego. Dobrze jest na świecie. Chociaż jesteśmy źli, lecz dobrze jest na świecie. Źli jesteśmy i dobrzy, i źli, i dobrzy... Powiedzcie, pytam was, pytam was wszystkich: powiedzcie mi, dlaczego jestem taka dobra... Bo jestem dobra, bardzo dobra... No więc dlaczego jestem taka dobra?

Tak trzepała Gruszeńka, coraz bardziej pijana, w końcu wręcz oświadczyła, że teraz sama chce tańczyć. Wstała i zatoczyła się.

- Mitia, nie dawaj mi więcej wina, nawet jak cię poproszę, nie dawaj. Wino nie daje spokoju. I wszystko się kręci, i piec, i wszystko się kręci. Chcę tańczyć. Niech wszyscy patrzą, jak ja tańczę... jak dobrze i pięknie tańczę...

Zamiar był poważny: wyjęła z kieszeni białą batystową chusteczkę i ujęła jeden jej róg prawą ręką, aby powiewać w tańcu. Mitia zakrzętnął się, chłopki ucichły szykując się, by na dany znak zaintonować taneczną pieśń, Maksymow, dowiedziawszy się, że Gruszeńka sama chce tańczyć, pisnął z zachwytu i zaczął przed nią podrygiwać, nucąc swoją piosenkę:

*Nóżki cienkie, boczki piękne,*

*Ogonek pokrętny.*

Lecz Gruszeńka machnęła nań chusteczką i odpędziła.

- Cicho! Mitia, czemu nie przychodzą? Niech wszyscy przyjdą... popatrzeć. Zawołaj i tamtych, zamkniętych... Dlaczegoś ich zamknął? Powiedz im, że ja tańczę, niech i oni popatrzą, jak ja tańczę.

Mitia z pijackim rozmachem podszedł do zamkniętych irzwi i począł pięścią stukać do panów.

- Hej, wy... Podwysoccy! Chodźcie, ona chce tańczyć, zaprasza was.

- Łajdak! - zawołał w odpowiedzi któryś z panów.

- A ty podłajdak! Nikczemny szubrawczyk!

- Przestałby pan z Polski drwić - zauważył sentencjonalnie Kałganow, który był już porządnie pijany.

- Milcz, chłopcze! Że jego nazwałem szubrawcem, to nie znaczy, że całą Polskę nazwałem szubrawcem. Jeden łajdak nie stanowi Polski. Milcz, śliczny chłopczyku, zjedz lepiej cukierka.

- Ach, jacy oni są! Jakby nie ludzie. Dlaczego nie chcą się pogodzić? - rzekła Gruszeńka, wychodząc na środek pokoju.

Chór zaintonował *Sieni, moje sieni*. Gruszeńka zadarła główkę, rozchyliła usteczka, uśmiechnęła się, machnęła już chusteczką i naraz, zatoczywszy się mocno, stanęła, stropiona, pośrodku pokoju.

- Słaba jestem... - odezwała się jakimś zmęczonym głosem - darujcie, słaba jestem, nie mogę... Przepraszam...

Pokłoniła się dziewczętom z chóru, a potem zaczęła się kłaniać na wszystkie cztery strony.

- Przepraszam... darujcie...

- Podpiła sobie, podpiła sobie śliczna pani - rozległo się wokoło.

- Pani wypiła, proszę państwa - z chichotem tłumaczył Maksymow dziewczuchom.

- Mitia, odprowadź mnie... zabierz mnie, Mitia - powiedziała bezsilnie Gruszeńka. Mitia podbiegł ku niej, chwycił na ręce i zaniósł swój drogi łup za zasłonę.

„No, to ja już teraz wyjdę” - pomyślał Kałganow, wyszedł z błękitnego pokoju i zamknął za sobą oba skrzydła drzwi. Lecz w salonie uczta ciągnęła się dalej, huczna, wesoła. Mitia ułożył Gruszeńkę na łóżku i wpił się w jej usta pocałunkiem.

- Nie ruszaj mnie... - szepnęła błagalnym głosem. - Nie ruszaj, pókim nie twoja... Powiedziałam, że twoja, ale nie ruszaj... oszczędź... Przy tych, przecież tu nie można. On tu jest. Obrzydliwie tu...

- Jak każesz! Ani myślę... uwielbiam! - bełkotał Mitia. - Tak, obrzydliwie tu, paskudnie. - I nie

wypuszczając jej z uścisku, osunął się na kolana.

- Wiem, że chociaż jesteś zwierz, jednak szlachetny - powiedziała, ledwo poruszając językiem.  
- Trzeba uczciwie... odtąd będzie uczciwie... i my musimy być uczciwi, i my musimy być dobrzy, już nie zwierzęta, lecz dobrzy... Wywieź mnie, wywieź daleko, słyszysz... Nie chcę tu być, żeby daleko, daleko...

- O tak, tak, na pewno! - tulił ją do siebie Mitia. - Wywiozę cię, wywiozę, wyfruniemy... O, całe życie oddam teraz za jeden rok, żeby tylko wiedzieć o tej krwi!

- Jaka krew? - zapytała ze zdziwieniem Gruszeńka.

- Nic, nic! - zgrzytnął zębami Mitia. - Grusza, chcesz teraz rozpocząć uczciwe życie, ale ja jestem złodziej. Ukradłem pieniądze Kati... Hańba, hańba!

- Kati? Tej panienczki? Nie, tyś nie ukradł. Zwrócisz jej, ja ci dam... Czego krzyczysz? Teraz co moje, to i twoje. I po co nam pieniądze? I tak je przehulamy. Nie tacyśmy, aby nie przehulać. Pójdziemy lepiej ziemię orać. Chcę tymi rękoma ziemię orać. Pracować trzeba, słyszysz? Alosza kazał. Nie będę twoją kochanicą, będę ci wierna, niewolnicą twoją będę, będę na ciebie pracować. Pójdziemy oboje do tej panienci i pokłonimy się jej, żeby nam przebaczyła. A potem pojedziemy. A jak nie przebaczy, to też wyjedziemy. A ty pieniądze jej zanieś i mnie kochaj... A jej nie kochaj. Więcej jej nie kochaj. Jak pokochasz, to ją zaduszę, oczy jej igłą wykluję.

- Ciebie kocham, tylko ciebie, na Syberii będę cię kochał...

- Po co na Syberii? Cóż, można i na Syberii, jak chcesz, wszystko jedno, będziemy pracować... Na Syberii śnieg... Lubię jeździć po śniegu... i żeby z dzwonkiem... Słyszysz, dzwonią dzwoneczki... Gdzie dzwonią te dzwoneczki? Ktoś jedzie... przestały dzwonić. - Zamknęła oczy ze zmęczenia i zdrzemnęła się na chwilę.

Dzwonek rzeczywiście dzwonił z daleka i nagle ucichł. Mitia położył głowę na piersi Gruszeńki. Nie zauważył, jak dzwonek umilkł i jak nagle umilkły pieśni, a zamiast pieśni i pijackiego zgiełku w całym domu zaległa martwa cisza. Gruszeńka otworzyła oczy.

- Co to, spałam? Tak... dzwoneczek... Spałam i miałam sen: że niby jadę po śniegu... Dzwoneczek dzwoni, a ja drzemię. Z kimś miłym jadę, jakby z tobą, kochanie. I daleko, daleko... Obejmowałam cię i całowałam, tuliłam się do ciebie, jakby mi było zimno, a śnieg błyszczy... Wiesz, kiedy w nocy śnieg błyszczy, a księżyc świeci, jestem jakby nie na ziemi... Obudziłam się, a mój miły przy mnie, jak to dobrze...

- Przy tobie - mamrotał Mitia, całując jej suknię, pierś, ręce. I nagle zastanowiło go, że Gruszeńka patrzy przed siebie, ale nie na niego, lecz ponad jego głowę, że wzrok ma dziwnie nieruchomy i badawczy. W tej chwili na jej twarzy odmalowało się zdziwienie, niemal lęk.

- Mitia, kto to patrzy na nas stamtąd? - szepnęła niespodziewanie.

Mitia obejrzał się i zobaczył, że ktoś istotnie rozsunał zasłonę i patrzy na nich badawczo. I to nie



jeden człowiek. Podniósł się i szybko podszedł do patrzącego.

- Proszę tu, proszę tu - niegłośno, ale stanowczo i energicznie rzekł czyjś głos.

Mitia wyszedł zza zasłony i nagle się zatrzymał. W pokoju było pełno ludzi, nie tych, co przedtem, lecz nowych. Zadrzał, zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. Poznał ich od razu. Ten wysoki i otyły starzec w palcie, w czapce z bączkiem to sprawnik, Michał Makarycz. A ten „suchotniczy”, schludny elegant, „zawsze w takich wyczyszczonych butach” - to wiceprokurator. „Ma chronometr za czterysta rubli, pokazywał mi.” A ten młody, w okularach... Mitia zapomniał jego nazwiska, ale znał go; już wie: to sędzia śledczy, niedawno przyjechał. A ci z blachami, po cóż oni? I jeszcze jacyś dwaj chłopci... A tam we drzwiach Kałganow i Tryfon Borysycz...

- Panowie... o co chodzi, panowie? - zaczął Mitia, lecz naraz, jakby nie panując nad sobą, jakby mimo woli, zawołał na cały głos: - Ro-zu-miem!

Młody człowiek w okularach wysunął się do przodu, podszedł do Miti i rzekł poważnie, ale prędko, jakby się spieszył:

- Mamy do pana... słowem, poproszę pana tutaj, o tu, na kanapę... Musimy się koniecznie rozmówić.

- Stary! - zawołał Mitia nieprzytomnie. - Stary i jego krew!... Ro-zu-miem!

I jak podcięty padł na stojące obok krzesło.

- Rozumiesz? Zrozumiał! Ojcobójca i potwór, krew twego starego ojca woła o pomstę! - wrzasnął naraz stary sprawnik, zbliżając się do Miti. Nie panował nad sobą, spurpurowiał i cały się trząsł.

- Ależ to niemożliwe! - zawołał sędzia śledczy. - Michale Makaryczu! Michale Makaryczu! To nie tak, nie tak! Niech pan pozwoli, że ja sam. Nie spodziewałem się zupełnie po panu takiego incydentu...

- Ależ to maligna, panowie, maligna! - wołał sprawnik. - Popatrzcie na niego: w nocy, pijany, z rozpustną dziewczką, we krwi swego ojca... Maligna, maligna!

- Proszę pana najmocniej, drogi Michale Makaryczu, aby pan tym razem pohamował swoje uczucia - szepnął prokurator do starca - w przeciwnym razie będę zmuszony zastosować...

Lecz mały sędzia śledczy nie pozwolił mu skończyć zdania; zwrócił się do Miti i energicznie, głośno, poważnie przemówił:

- Panie poruczniku Karamazow, muszę panu oznajmić, że jest pan oskarżony o zabójstwo swego ojca, Fiodora Pawłowicza Karamazowa, dokonane tej nocy...

Jeszcze coś dodał, prokurator również coś wtrącił, ale Mitia, chociaż słuchał ich, nic już nie rozumiał. Toczył po nich dzikim wzrokiem...



# KSIĘGA DZIEWIĄTA

## ŚLEDZTWO WSTĘPNE

### I

#### POCZĄTEK KARIERY URZĘDNIKA PIERCHOTINA

Piotr Ilicz Pierchotin, którego zostawiliśmy dobijającego się z furją do zamkniętej na cztery spusty bramy domu Morozowej, naturalnie dostukał się w końcu. Wściekły łomot śmiertelnie przeraził Fienię, która jeszcze nie zdążyła ochłonąć z poprzedniego przestachu. Wzburzona, nie mogąc się opędzić złym myślom, nie zmrużyła oka. Usłyszawszy stuk, pomyślała, że to wrócił Dymitr Fiodorowicz, chociaż sama widziała, jak odjeżdżał (bo nikt inny nie dobijałby się tak „zuchwale”). Pobieгла do stróża, który się już obudził i szedł do bramy, i zaczęła go błagać, aby nie otwierał. Stróż jednak zapytał, kto stuka i w jakiej sprawie. Dowiedziawszy się, że to nie Dymitr Fiodorowicz i że „w ważnej sprawie” do Fiedosji Markowny, zdecydował się w końcu wpuścić późnego gościa. Fiedosja Markowna zaprowadziła Piotra Ilicza do kuchni. Uprosiła Piotra Ilicza, by pozwolił, że dla „pewności” będzie asystował im stróż. Piotr Ilicz wziął ją na spytki i od razu dowiedział się o najważniejszej rzeczy: że Dymitr Fiodorowicz na odchodnym zabrał mosiężny tłuczek, wrócił zaś bez tłuczka, z zakrwawionymi rękami. „I krew jeszcze kapiała, kap, kap, bez ustanku!” - opowiadała Fienia, która widocznie uroiła sobie ten straszliwy szczegół w swojej rozstrojonej wyobraźni. Lecz Piotr Ilicz również widział zakrwawione ręce - co prawda krew z nich nie kapiała - sam zresztą pomógł zmyć tę krew, i nie o to chodziło, czy krew prędko zaschła, lecz o to, dokąd pobiegł Dymitr Fiodorowicz z tłuczkiem, to znaczy, czy na pewno udał się do Fiodora Pawłowicza i co nasuwa to przypuszczenie. Piotr Ilicz w tym kierunku badał Fienię i chociaż nic się nie dowiedział, nabrał przeświadczenia, że Dymitr Fiodorowicz mógł się udać tylko do swego ojca i że zatem coś musiało tam zajść. „A kiedy wrócił - dodała wzburzonym głosem Fienia - i kiedy mu już wszystko wyznałam, zaczęłam go pytać: co to za krew, Dymitrze Fiodorowiczu? a on mi od razu odpowiedział: że krew ludzka i że zabił człowieka - wyznał od razu i pokajał się przede mną i naraz wybiegł jak oszalały. Usiadłam i myślę sobie: dokądże on teraz jak szalony pobiegł? Pojedzie do Mokrego, myślę, i panią zabije. Wybiegłam, chciałam go błagać, aby mojej pani nie zabijał, biegłam do jego mieszkania, a tu patrzę, przed sklepem Płotnikowów siedzi na wozie i na rękach już nie ma krwi (Fienia zauważyła to i zapamiętała sobie).” Stara kucharka, babcia Fieni, potwierdziła zeznania wnuczki. Zapytawszy jeszcze o jakieś szczegóły, Piotr Ilicz wyszedł wreszcie na ulicę, bardziej zdenerwowany i niespokojny niż poprzednio.

Zdawałoby się, że najprościej i najbliżej byłoby pójść teraz wprost do domu Fiodora Pawłowicza, zapytać, czy się co nie zdarzyło, a jeżeli tak, to co mianowicie, i dopiero potem w razie potrzeby iść do sprawnika. Tak też sobie Piotr Ilicz uplanował. Ale noc była ciemna, brama domu Fiodora Pawłowicza mocna, znowu trzeba będzie się dobijać, poza tym Piotr Ilicz ledwo znał Fiodora Pawłowicza, i cóż - dostuka się wreszcie, otworzą mu i nagle okaże się, że nic się nie zdarzyło; nazajutrz zaś Fiodor Pawłowicz, kpiarz zawołany, będzie rozpowiadał po mieście, jak to o

północy dobijał się do niego nieznajomy urzędnik Pierchotin, aby dowiedzieć się, czy go kto nie zabił. Skandal! A skandalu Piotr Ilicz lękał się najbardziej w świecie. Jednak uczucie, które pchnęło go na drogę poszukiwań, było tak silne, że tupnąwszy ze złością i zwymyślawszy sam siebie, pobiegł dalej, co prawda nie do Fiodora Pawłowicza, lecz do pani Chochłakow. Jeżeli na pytanie, czy dała o takiej a takiej godzinie trzy tysiące Dymitrowi Fiodorowiczowi, odpowie przecząco, to on, Piotr Ilicz, niezwłocznie pobiegnie do sprawnika; w przeciwnym razie odłoży wszystko do jutra i wróci do domu. Właściwie mówiąc, idąc prawie o jedenastej w nocy do nieznajomej damy, aby zadać dziwne pytanie, narażał się na grubszy skandal, niż gdyby był po prostu poszedł do Fiodora Pawłowicza. Lecz zdarza się tak czasem, zwłaszcza w podobnych wypadkach, i to z najbardziej solidnymi i flegmatycznymi ludźmi. Zaś Piotr Ilicz w tej chwili wcale nie był flegmatykiem! Później całe życie przypominał sobie, jak ów nieodparty niepokój, który nagle nim owładnął, wzbierał gwałtownie i kazał mu działać wbrew jego własnej woli. Oczywiście przez całą drogę mątyczył i wyrzucał sobie, że idzie do nieznajomej damy, lecz „doprowadzę do końca, muszę doprowadzić do końca” - powtarzał po raz dziesiąty, zgrzytając zębami, i wykonał swój zamiar - doprowadził do końca.

Była dokładnie jedenasta, kiedy wchodził do domu pani Chochłakow. Wpuszczono go na dziedziniec dosyć prędko, lecz na pytanie: „Czy pani już śpi” - stróż nie mógł dać dokładnej odpowiedzi, nadmienił tylko, że o tej porze zwykle już śpi. „Niech pan idzie na górę, jak pani zechce przyjąć, to przyjmie, a jak nie zechce, to nie przyjmie.” Piotr Ilicz wszedł na górę, ale tu natrafił na przeszkody. Lokaj zrazu nie chciał go wcale anonsować, w końcu wezwał pokojówkę. Piotr Ilicz uprzejmie, ale z naciskiem poprosił, aby powiedziała swojej pani, że przyszedł miejscowy urzędnik Pierchotin w ważnej sprawie, że gdyby sprawa nie była pilna, nie śmiałyby jej niepokoić. „Proszę tak właśnie, tymi słowami powiedzieć” - prosił. Dziewczyna odeszła, Piotr Ilicz czekał w przedpokoju. Pani Chochłakow jeszcze się nie położyła, ale była już w sypialni. Rozstrojona niedawną wizytą Miti, przeczuwała, że czeka ją zwykła w takich wypadkach migrena. Nieoczekiwana i niestosowna wizyta „miejscowego urzędnika” zdziwiła ją bardzo i podnieciła jej kobiecą ciekawość, lecz mimo to kazała go odprawić. Ale Piotr Ilicz tym razem był uparty jak muł i jeszcze raz bardzo natarczywie poprosił, aby go zapowiedziano i dokładnie powtórzono, że „przyszedł w niezwykle ważnej sprawie i że pani będzie może później żałować, jeżeli go teraz nie przyjmie”. „Jak gdybym rzucił się z góry na łeb na szyję” - tak to potem sam opowiadał. Pokojówka spojrzała na niego ze zdziwieniem i poszła jeszcze raz. Pani Chochłakow, zdumiona, zastanowiła się chwilę, zapytała, jak wygląda, z uwagą wysłuchała odpowiedzi, że „bardzo przyzwoicie ubrany, młody i taki grzeczny”. Mimochodem zauważymy, że Piotr Ilicz był przystojnym młodym człowiekiem i zdawał sobie z tego sprawę. Pani Chochłakow po namyśle postanowiła go przyjąć. Była w szlafroku i w domowych pantoflach, ale na ramiona zarzuciła czarny szal. „Urzędnika” kazała prosić do salonu, w którym poprzednio przyjęła Mitę.

Pani domu wyszła do gościa z oschłym pytaniem na twarzy, nie prosiła nawet, aby usiadł, i zagadnęła obcesowo:

- Czego pan sobie życzy?

- Zdecydowałem się niepokoić panią z powodu naszego wspólnego znajomego, Dymitra Fiodorowicza Karamazowa - zaczął Pierchotin, lecz ledwo wymówił to nazwisko, oblicze pani domu przybrało wyraz niezwyklej alteracji. Omal nie pisnęła; przerwała mu z wściekłością:

- Czy długo, czy długo jeszcze będą mnie męczyć tym strasznym człowiekiem! - wykrzyknęła nieprzytomnie. - Jak pan śmiał, mój panie, jak pan odważył się niepokoić nieznaną panu damę o takiej godzinie... przyjsć, aby mówić o człowieku, który tu, w tym salonie, dopiero trzy godziny temu chciał mnie zabić, tupał nogami i wyszedł w sposób, w jaki nikt nie wychodzi z porządnego domu. Niech pan wie, mój panie, że podam na pana skargę, że tego panu nie daruję, proszę w tej chwili opuścić mój dom... Jestem matką, ja w tej chwili... ja... ja...

- Zabić? To i panią chciał zabić?

- A czy już kogo zabił? - zapytała porywczo pani Chochłakow..

- Niech pani raczy wysłuchać, łaskawa pani, tylko pół minuty. W dwu słowach wszystko pani wytłumaczę - odrzekł stanowczym głosem Pierchotin. - Dziś o piątej po południu pan Karamazow pożyczył ode mnie, po koleżeńsku, dziesięć rubli, a już o dziewiątej przyszedł do mnie z paczką sturubłówek w rękę, pewno ze dwa, a może trzy tysiące. Przy tym ręce jego jak również twarz były splamione krwią. Wydał mi się nieprzytomny. Na moje pytanie, skąd wziął tyle pieniędzy, odpowiedział z całą stanowczością, że pani pożyczyła mu trzy tysiące, aby pojechał do kopalni złota...

Na twarzy pani Chochłakow zjawił się wyraz niezwykłego, chorobliwego zdenerwowania.

- Boże! To on swego starego ojca zabił! - zawołała załamawszy dłonie. - Żadnych pieniędzy mu nie dawałam, żadnych! O, niech pan pędzi, niech pan pędzi!... Niech pan ani słowa nie mówi! Niech pan ratuje starca, niech pan biegnie do jego ojca, prędzej!

- Za pozwoleniem, łaskawa pani, a więc nie dała mu pani żadnych pieniędzy? Czy pamięta pani stanowczo, że nie dawała mu pani żadnych pieniędzy?

- Nie dawałam, nie dawałam! Odmówiłam mu, ponieważ nie umiał ocenić. Wybiegł wściekły i tupał nogami. Rzucił się na mnie, ledwo się cofnęłam.. I powiem panu jeszcze, bo już nic przed panem nie chcę ukrywać, że nawet splunął na mnie - czy może pan to sobie wyobrazić? Ale dlaczego stoimy? Niechże pan siada... Wybacz pan, ja... Albo niech pan lepiej pędzi, niech pan pędzi, powinien pan pędzić i ratować nieszczęśliwego starca od straszliwej śmierci!

- A jeżeli go już zabił?

- Ach, mój Boże, istotnie! Więc cóż teraz zrobimy? Jak pan myśli, co teraz należy zrobić? - To mówiąc posadziła Piotra Ilicza i usiadła naprzeciw.

Piotr Ilicz zwięźle, ale dosyć dokładnie poinformował ją o sprawie, przynajmniej o tym, co sam wiedział i co mu powiedziała Fienia. Wszystkie te szczegóły do głębi wstrząsnęły zdenerwowaną panią Chochłakow. Coraz to zasłaniała sobie oczy ręką i wykrzykiwała:

- Niech pan sobie wyobrazi, że ja to wszystko przeczuwałam! Mam dar przeczuwania, wszystko, cokolwiek sobie wyobrażam, spełnia się co do joty. Ileż to razy patrzyłam na tego strasznego człowieka i myślałam: „Oto człowiek, który w końcu mnie zabije.” I teraz to się sprawdziło... To

znaczy, mnie nie zabił, lecz swego ojca, i to tylko dlatego, że palec Boży ustrzegł mnie i że ponadto wstydził się mnie zabić, bo ja na tym miejscu sama zawiesiłam mu na szyi medalik z relikwiami świętej Barbary męczennicy. Jakże byłam bliska śmierci, wszak podeszłam do niego i on wyciągnął ku mnie szyję! Wie pan, Piotrze Iliczu (wybacz pan, zdaje się, powiedział pan: Piotr Ilicz), wie pan, nie wierzę w cuda, ale ten medalik i ten oczywisty cud - to mną wstrząsnęło i zaczynam znowu wierzyć we wszystko. Słyszał pan o starcu Zosimie?... Ja zresztą sama nie wiem, co plotę... I niech pan sobie wyobrazi, że z tym medalikiem na szyi splunął na mnie. Rozumie się, tylko splunął, a nie zabił... I widzicie państwo, dokąd się udał! A co my teraz będziemy robić, dokąd pójdziemy teraz, jak się panu wydaje?

Piotr Ilicz podniósł się i oświadczył, że pójdzie wprost do sprawnika i wszystko mu opowie, a ten niech już sam decyduje, co należy robić dalej.

- Ach, to zacny, bardzo zacny człowiek, znam Michała Makarowicza. Stanowczo należy się zwrócić właśnie do niego. Jaki pan pomysłowy, Piotrze Iliczu, i jak pan to wszystko dobrze wykoncypował; wie pan, nigdy bym nie wpadła na tę myśl!

- Tym bardziej że i ja znam dobrze sprawnika - zauważył Piotr Ilicz, stojąc już i widocznie pragnąc się wyrwać od impetycznej damy, która go w żaden sposób nie puszczała.

- I wie pan co - paplała - niech pan przyjdzie opowiedzieć, co pan widział i czego się pan dowiedział... i co się okaże... i jak go złapią i jak będą sądzić... Niech mi pan powie, wszak nie ma u nas kary śmierci? Proszę przyjść bezwarunkowo, choćby o trzeciej w nocy, choćby o czwartej, nawet o wpół do piątej... Niech pan każe, żeby mnie obudzono, jeżeli nawet nie będę chciała wstać... O Boże, ale ja nawet oka nie zmrużę. Wie pan co, a może ja z panem pojedę!...

- Nie, łaskawa pani, ale gdyby pani zechciała napisać własnoręcznie kilka słów na wszelki wypadek, że pani żadnych pieniędzy Dymitrowi Fiodorowiczowi nie dawała, to może się przydać... na wszelki wypadek...

- Naturalnie! - zawołała z entuzjazmem pani Chochłakow i podbiegła do biurka. - Wie pan, że pan mnie zdumiewa, pan mnie zdumiewa swoją pomysłowością i orientacją w takich sprawach... Pan tu pracuje? Jak to miło, że pan tu pracuje...

To mówiąc napisała na połowie arkusza listowego papieru następujące oświadczenie:

„Nigdy w życiu nie pożyczałam nieszczęśliwemu Dymitrowi Fiodorowiczowi Karamazowowi (bo teraz jest bądź co bądź nieszczęśliwy) trzech tysięcy rubli dziś ani zresztą żadnych innych pieniędzy nigdy, nigdy! Przysięgam na wszystko, co święte na tej ziemi.

Chochłakowa”

- Proszę - odwróciła się gwałtownie do Piotra Ilicza. - Niechże pan idzie, niech pan ratuje. To wielkie bohaterstwo z pańskiej strony. - Trzykrotnie go przeżegnała i odprowadziła do przedpokoju.

- Jakże jestem panu wdzięczna! Nie uwierzy pan, jak jestem panu teraz wdzięczna za to, że pan do mnie pierwszej przyszedł. Czy to możliwe, żebyśmy się dotąd nigdzie nie spotkali? Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan zechciał od dziś bywać w moim domu. I jak to przyjemnie, że pan tu pracuje... z taką akuracnością, z taką pomysłowością... Ale powinni pana cenić, powinni pana wreszcie zrozumieć i wszystko, co mogłabym dla pana zrobić, niech mi pan wierzy... O, ja tak kocham młodzież! Jestem zakochana w młodzieży! Młodzi ludzie to podstawa całej dzisiejszej cierpiącej Rosji, cała jej nadzieja... O, niech pan idzie, niech pan już idzie!...

Ale Piotr Ilicz zdążył się już wymknąć, bo inaczej nieprędko by go wypuściła. Pomimo to pani Chochłakow wywarła na nim dosyć przyjemne wrażenie, co nawet wpłynęło dodatnio na jego humor. Był już bowiem bardzo niezadowolony, że wdał się w taką paskudną sprawę. Jak wiadomo, gusty bywają różne. „I wcale nie jest taka stara - pomyślał z zadowoleniem - wprost przeciwnie, myślałem, że to jej córka.”

Co się tyczy pani Chochłakow, to ta była po prostu oczarowana młodym urzędnikiem. „Tyle wprawy, tyle skrupulatności, niezwykłej w naszych czasach, i co za maniery, powierzchowność! Powiada się o dzisiejszych młodzieńcach, że nic nie umieją, a macie tu przykład”, itd. Zapomniała nawet o tym „straszliwym zdarzeniu” i dopiero w łóżku, przypomniawszy sobie, jak „bliska była śmierci”, westchnęła: „Ach, to straszne, to po prostu straszne!” Ale mimo to od razu zasnęła mocnym i słodkim snem. Nie byłbym się rozwodził nad tak błahymi i epizodycznymi szczegółami, gdyby to ekscentryczne spotkanie młodego urzędnika z wcale niestarą wdówką nie stało się podwaliną całej życiowej kariery tego dokładnego, skrupulatnego młodzieńca. Mówi się o tym dotychczas ze zdziwieniem w naszym miasteczku, no i my też zapewne wrócimy jeszcze do tego, gdy skończymy naszą długą opowieść o braciach Karamazow.

## II ALARM

Sprawnik nasz, Michał Makarowicz Makarow, dymisjonowany podpułkownik, mianowany w służbie cywilnej radcą dworu, był wdowcem i nader zacnym człowiekiem. Przybył do naszego miasteczka trzy lata temu, ale zdążył już zyskać sobie powszechną sympatię, szczególnie dlatego, że miał dar „stwarzania miłego nastroju towarzyskiego”. Stale miał u siebie gości i zdawało się, że nie mógłby się bez nich obejść. Nie było dnia, aby ktoś nie został u niego na obiedzie, bo bez gościa do obiadu nie siadano. Poza tym wydawał prośzone obiady pod wszelkimi, często zgoła niespodziewanymi pretekstami. Stół był niewyszukany, ale obfity, kulebiaki znakomite, a wino, chociaż nie pierwszej marki, lalo się strumieniem. Miał specjalny pokój bilardowy, bardzo przyzwoicie urządzone, z obrazami w czarnych ramach, przedstawiającymi angielskie konie wyścigowe - niezbędną, jak wiadomo, ozdobę bilardowego pokoju w mieszkaniu samotnego mężczyzny. Co wieczór grywano w karty, choćby tylko w czwórkę. Oprócz tego zbierała się tu dosyć często śmietanka naszego miasta z paniami i pannami na tańce. Michał Makarowicz, chociaż był wdowcem, ale mieszkał z rodziną, mianowicie z córką, również dawno owdowiałą, i z dwiema pannami, swoimi wnuczkami. Obie panny były już dorosłe, skończyły pensję, były wcale niebrzydkie,

wesołe i chociaż nieposażne, ściągały do domu dziadka złotą młodzież. Michał Makarowicz był niezbyt bystrym urzędnikiem, ale wykonywał swoje obowiązki nie gorzej od wielu innych. Mówiąc szczerze, był dosyć nieinteligentny i nie bardzo sobie zdawał sprawę z zakresu swojej władzy administracyjnej. Nie umiał na przykład żadną miarą należycie zrozumieć niektórych reform, dokonanych za obecnego panowania, albo komentował je rażąco błędnie, i to nie z powodu jakiejś własnej tępoty, lecz jedynie z niefrasobliwości: po prostu nie miał kiedy w to wnikać. „W głębi duszy, panowie, jestem raczej wojskowym niż cywilem” - mówił sam o sobie. Nawet o głównych zasadach reformy chłopskiej nie miał dotychczas należytego i dokładnego pojęcia, dowiadywał się o nich z roku na rok, mimochodem, w praktyce, aczkolwiek sam był obywatelem ziemskim. Piotr Ilicz wiedział z całą pewnością, że tego wieczoru zostanie u Michała Makarowicza gości, ale nie wiedział kogo. A tymczasem akurat w tej chwili grali u niego w jerełasza prokurator i nasz lekarz powiatowy, Warwiński, młody człowiek, który niedawno przyjechał z Petersburga, jeden z najzdolniejszych ostatnio wychowanków petersburskiej akademii medycznej. Prokurator zaś (właściwie mówiąc wiceprokurator, lecz tytułowano go powszechnie prokuratorem), Hipolit Kiryłowicz, uchodził u nas za oryginała. Był jeszcze wcale niestary, miał zaledwie lat trzydzieści pięć, typ suchotniczy, był żonaty poza tym z bardzo otyłą i bezdzietną damą. Był to zawołany samolub, skory do irytacji, ale mądry i nawet dobry. Zdaje się, że cała wada jego charakteru polegała na tym, że miał o sobie zbyt wygórowane mniemanie, dlatego zawsze wydawał się niespokojny. Miał poza tym wyższe i artystyczne aspiracje, na przykład uważał się za znakomitego psychologa, znawcę duszy ludzkiej, umięającego wykrywać wszelkie pobudki zbrodni. Toteż uważał się za pominiętego i pokrzywdzonego w karierze służbowej, co więcej, był pewny, że w wyższych sferach nie potrafili ocenić go sprawiedliwie i że ma tam wrogów, którzy mu szkodzą. W chwilach przygnębienia odgrażał się nawet, że przejdzie do adwokatury jako karnik. Sprawa Karamazowa dokonała w nim istnego wstrząsu: „Taka sprawa, że w całej Rosji zasłynie.” Ale nie uprzedzajmy faktów.

W sąsiednim pokoju siedział z pannami nasz młody sędzia śledczy Mikołaj Parfienowicz Nieludow, który dopiero dwa miesiące temu przyjechał do nas z Petersburga. Później żywo omawiano ten dziwny zbieg okoliczności, że wszystkie te oficjalne osobistości jak gdyby umyślnie zebrały się owego krytycznego wieczoru w domu władzy wykonawczej. W istocie zaś powód był bardzo prosty i naturalny: małżonka Hipolita Kiryłowicza już drugi dzień cierpiała na ból zębów, wskutek czego Hipolit Kiryłowicz musiał przecie uciec od jej jęków; lekarz z natury swej nie mógł wieczorami robić nic innego jak grać w karty. Zaś Mikołaj Parfienowicz Nieludow już trzy dni temu postanowił wstąpić tego wieczoru do Michała Makarowicza, jak gdyby przypadkowo, aby nagle i podstępnie zaskoczyć jego starszą wnuczkę Olę Michajłownę i dać jej do zrozumienia, iż wie, że to dzień jej urodzin, co Olga Michajłowna zamierzała ukryć przed całym towarzystwem, nie chcąc zapraszać wszystkich na tańce. Mikołaj Parfienowicz chciał jej oznajmić, że zna jej sekret, napomknąć o jej latach i żartobliwie zagrozić, że jutro wszystkim opowie, itd., itd. Słowem, spodziewał się rozweselić towarzystwo. Miły, młodziutki sędzia uchodził za wielkiego bałamuta, panie go podobno nawet tak przezwały, czemu był, zdaje się, wielce rad. Poza tym należał do bardzo dobrego towarzystwa, pochodził z dobrej rodziny, był dobrze wychowany i chociaż lubił hulać, ale bardzo niewinnie i przyzwoicie. Wzrostu był bardzo niskiego, wątłej i słabej budowy. Na cienkich białych jego paluszkach zawsze skrzyło się kilka grubych pierścieni. Podczas urzędowania stawał się niezwykle dostojny, pojmując i czcząc swoje znaczenie i obowiązki jak świętość. Szczególnie umiał jakoś zaskoczyć przy badaniu morderców i innych przestępców z pospólstwa i budził w nich jeśli nie szacunek, to przynajmniej pewien podziw.



Piotr Ilicz, wszedłszy do mieszkania sprawnika, stanął oszołomiony: od razu stwierdził, że tu już o wszystkim wiedzą. Istotnie gracze odłożyli karty, stali i debatowali i nawet Mikołaj Parfienowicz przybiegł od panienek i miał minę wyjątkowo bojową i energiczną. Przywitano Piotra Ilicza przerażającą wiadomością, że Fiodor Pawłowicz Karamazow jest istotnie zabity, że zamordowano go i obrabowano tego wieczoru. Dowiedziano się o tym przed chwilą w następujący sposób:

Marfa Ignatiewna, żona ranionego pod parkanem Grzegorza, spała kamiennym snem i byłaby tak spała do rana, gdyby nagle się nie obudziła. Sprawily to okropne epileptyczne jęki Smierdiakowa, który leżał nieprzytomny w sąsiednim pokoiku. Ten jęk poprzedzał zwykle atak epilepsji i zawsze przerażał i w chorobliwy sposób działał na Marfę Ignatiewnę. Nie mogła się żadną miarą do tego przyzwyczaić. Senna jeszcze, skoczyła na nogi i na pół przytomna pobiegła do komórki Smierdiakowa. Ale ciemno tu było, więc nic nie zobaczyła; słyhać było tylko, że chory strasznie rzezi i rzuca się konwulsyjnie na łóżku. Marfa Ignatiewna krzyknęła i zaczęła wołać męża, ale naraz przypomniała sobie, że wychodząc z pokoju nie zauważyła na łóżku Grzegorza. Wraca więc do izby, patrzy, szuka, ale Grzegorza w istocie nie ma. Zatem wyszedł, ale dokąd? Wybiegła na ganek i zaczęła nieśmiało wołać. Odpowiedzi oczywiście nie było. Naraz wśród ciszy nocnej usłyszała z ogrodu jakieś jęki. Nastawiła uszu: jęki się powtórzyły; słyhać było teraz wyraźnie, że dobiegają z ogrodu. „Wielki Boże, tak samo jak kiedyś Lizawieta Smierdiaszcza!” - przyszło jej na myśl. Wystraszona, zeszła z ganku i stwierdziła, że furka od ogrodu jest otwarta. „Pewno, biedaczek, tam poszedł” - pomyślała sobie, podeszła do furki i wówczas wyraźnie usłyszała głos Grzegorza. Wołał: „Marfa, Marfa!” słabym, jęklwym, strasznym szeptem. „Boże, uchwaj nas od nieszczęścia” - szepnęła Marfa Ignatiewna i pobiegła w stronę, skąd dochodził głos. W ten sposób znalazła Grzegorza. Nie leżał jednak pod płotem, lecz dalej, o jakie dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie został powalony. Okazało się później, że ocknąwszy się zaczął się czołgać w kierunku domu i czołgał się długo, zapewne tracąc chwilami przytomność i znowu przychodząc do siebie. Marfa od razu zauważyła, że cały jest we krwi. Zaczęła krzyczeć nieswoim głosem. Grzegorz bełkotał cicho i niewyraźnie: „Zabił... ojca zabił... czego krzyczysz, głupia... biegnij, wołaj...” Lecz Marfa Ignatiewna nie przestawała krzyczeć; po chwili, spostrzegłszy światło padające z otwartego okna w pokoju Fiodora Pawłowicza, pobiegła do okna i zaczęła wołać pana.

Ale, zajrzawszy przez otwarte okno, zobaczyła straszliwy widok: pan leżał na wznak na podłodze, jasny szlafrok i biała koszula na piersiach były zalane krwią. Świeczka na stole wyraźnie oświetlała krew i nieruchomą, martwą twarz Fiodora Pawłowicza. Marfa Ignatiewna w najwyższym przerażeniu wybiegła z ogrodu, otworzyła bramę i co tchu popędziła do sąsiadki, Marii Kondratiewny. Obie sąsiadki, matka i córka, spały już co prawda, lecz rychło obudziły się na przeraźliwe krzyki i łomotanie w okiennice. Z krzykiem i piskiem, chaotycznie mówiąc, Marfa Ignatiewna zawiadomiła je o zbrodni i wezwała na pomoc. Przypadkiem tej nocy nocował u nich w ogrodzie włóczęga Foma. Natychmiast obudzono go i wszyscy troje pobiegli na miejsce zbrodni. Po drodze Maria Kondratiewna zdążyła sobie przypomnieć, że o dziewiątej wieczorem słyzała w ogrodzie przeraźliwy i straszny jęk - to zapewne krzyk Grzegorza w chwili, gdy uczepił się nogi siedzącego na parkanie Dymitra Fiodorowicza i zawołał: „Ojcobójca!” „Ktoś wrzasnął i naraz zamilkł” - mówiła biegnąc Maria Kondratiewna. Przybywszy na miejsce, gdzie leżał Grzegorz, obie kobiety przy pomocy Fomy przenieśli go do oficyny. Zapalono światło; okazało się, że Smierdiakow wciąż jeszcze rzuca się konwulsyjnie na łóżku, przewracając oczy, z pianą na ustach. Głowę Grzegorza zmyto wodą z octem, po czym całkowicie oprzytomniał i od razu zapytał: „Pan zabity czy nie?”

Wówczas dopiero obie kobiety i Foma poszli do Fiodora Pawłowicza i stwierdzili, że nie tylko okno, ale i drzwi do ogrodu są na oścież otwarte, wbrew zwyczajowi Fiodora Pawłowicza, który od tygodnia starannie zamykał się na noc i nawet Grzegorza nie wpuszczał do pokoju. Ujrawszy otwarte drzwi, nikt, ani kobiety, ani Foma, nie odważył się wejść do pokoju, „aby coś złego potem z tego nie wyszło”. Grzegorz kazał natychmiast biec do sprawnika. Marfa Ignatiewna pobiegła i zaalarmowała sprawnika. W pięć minut potem zjawił się Piotr Ilicz, a zatem już nie z domysłami, lecz jako naoczny świadek potwierdzający powszechne przypuszczenia co do osoby zabójcy. (Trzeba zaznaczyć, że sam Piotr Ilicz aż do tej ostatniej chwili nie chciał wierzyć w swoje domysły.)

Postanowiono działać energicznie. Pomocnikowi miejscowego przystawa polecono natychmiast wziąć czterech ludzi na świadków i wedle wszelkich zasad, których nie będę tu opisywał, wkroczone do domu Fiodora Pawłowicza i zbadano miejsce zbrodni. Lekarz powiatowy z gorliwością nowicjusza sam się prawie narzucił ze swoją osobą. Powiem tylko pokrótce: Fiodor Pawłowicz miał głowę roztrzaskaną, ale jakim narzędziem? Zapewne tym samym, którym został ugodzony Grzegorz. Rychło znaleziono je dzięki wskazówkom Grzegorza, którym od razu zajął się lekarz i który słabym i urywanym głosem dosyć składowo opowiedział wszystko, co widział. Zaczęto więc szukać z latarką koło parkanu i rzeczywiście znaleziono mosiężny tłuczek, leżący na dróżce, na widocznym miejscu. W pokoju, w którym leżał Fiodor Pawłowicz, nie zauważono jakiegoś szczególnego nieładu, tylko za zasłoną koło łóżka leżała na podłodze duża, kancelaryjnych rozmiarów koperta z trzema dużymi pieczęciami z czerwonego laku i z napisem: „Prezencik z trzech tysięcy rubli dla anioła mego, Gruszeńki, jeśli zechce przyjść”, na dole był dopisek, zapewne później zrobiony ręką Fiodora Pawłowicza: „i kurczątką”. Koperta była rozdarta z boku i pusta: pieniędzy wewnątrz już nie było. Znaleziono również na podłodze cienką różową wstążeczkę, którą zapewne była przewiązana koperta. Z zeznań Piotra Ilicza szczególnie piorunujące wrażenie wywarła na prokuratorze i sędzi wiadomość, że Dymitr Fiodorowicz na pewno zastrzelił się przed świtem, że pojechał z tym postanowieniem, że mówił o tym Piotrowi Iliczowi, nabił w jego obecności pistolet, napisał odpowiednią karteczkę i schował ją do kieszeni, itd., itd., a kiedy Piotr Ilicz, wciąż jeszcze nie wierząc, zapowiedział, że pójdzie i doniesie komu, aby zapobiec samobójstwu, Mitia odrzekł z uśmiechem: „Nie zdążysz.” Należało zatem co rychlej pędzić do Mokrego, żeby ująć zabójcę, zanim się zastrzeli. „To rzecz jasna, to rzecz jasna! - powtarzał prokurator, ogromnie podniecony - tacy narwańcy zawsze tak postępują: jutro się zastrzelę, a przed śmiercią hulaj dusza!” Opowieść o zakupach w sklepie jeszcze bardziej podnieciła prokuratora. „Pamiętacie, panowie, tego draba, który zabił kupca Ołsufiewa, skradł półtora tysiąca, poszedł do fryzjera, a potem, nie chowając nawet porządnie pieniędzy, trzymając je również prawie w rękę, poszedł na dziewczynki?” Pędzić jednak do Mokrego nie można było, bo zatrzymywało śledztwo, rewizja w domu Fiodora Pawłowicza i inne formalności. Wymagały one niestety dłuższego czasu. Wobec tego o dwie godziny wcześniej wysłano do Mokrego stanowego Szmiercowa, który tego dnia przybył właśnie do miasta po pensję. Dano mu instrukcję: jechać do Mokrego, nie czyniąc żadnego alarmu śledzić „przestępcę”, nie spuszczać go z oka aż do przybycia władz, poza tym przygotować świadków, strażników itd.

Szmiercow wybornie wywiązał się ze zlecenia, zachował incognito i tylko Borysycza, swego starego znajomego, wtajemniczył po części w tę sprawę. Wtedy to właśnie Mitia, spotkawszy na galeryjce gospodarza, zauważył w nim jakąś zmianę. Ale ani Mitia, ani nikt inny nie wiedział nic o zarządzanej obserwacji. Tryfon Borysycz był tak przezorny, że pudło z pistoletami dawno już zabrał i ukrył w jakimś zakamarku.

Dopiero o piątej rano przybyły władze: sprawnik, prokurator i sędzia śledczy nadjechali dwoma powozami i dwiema trójkami. Doktor zaś został w domu Fiodora Pawłowicza, ponieważ miał rano dokonać sekcji zwłok, a poza tym bardzo się zainteresował stanem zdrowia służącego Smierdiakowa. „Takie okropne i długie ataki padaczki, powtarzające się nieustannie w ciągu dwóch dni, są niezmiernie rzadkie i powinny zainteresować lekarza” - tłumaczył, podniecony, odjeżdżającym partnerom, którzy gratulowali mu ze śmiechem rzadkiego przypadku. Prokurator i sędzia śledczy zapamiętali dobrze, iż lekarz orzekł z całą stanowczością, że Smierdiakow jutra nie dożyje.

Teraz po długiej, ale jak się zdawało, niezbędnej dygresji nawiązujemy do tego właśnie momentu naszego opowiadania, w którym zatrzymaliśmy się w poprzedniej księdze.

### III WĘDRÓWKA DUSZY PRZEZ MĘKI. PIERWSZA MĘKA

Zatem Mitia siedział i dzikim wzrokiem spoglądał na obecnych, nie rozumiejąc, co do niego mówią. Nagle wstał, wznosił ręce do góry i zawołał donośnie:

- To nie ja jestem winien! Tej krwi nie jestem winien! Nie jestem winien przelanej krwi mojego ojca... Chciałem go zabić, ale nie jestem winien! To nie ja!

Ledwo zdążył to powiedzieć, wybiegła zza zasłony Gruszeńka i rzuciła się sprawnikowi do nóg.

- To ja, przeklęta, jestem winna, to ja! - zawołała rozzwierającym głosem, tonąc we łzach, wyciągając ku wszystkim ręce - to przeze mnie zabił!... To ja go tak zadreczyłam i doprowadziłam do tego! Ja i tamtego biednego staruszka-nieboszczyka zadreczałam ze złości i do tego doprowadziłam! Ja jestem winna, ja pierwsza, ja główna winowajczyni!

- Tak, ty jesteś winna! Tyś główna zbrodniarka! Ty, wściekła rozpustnico, ty jesteś winna! - krzyknął sprawnik grożąc jej pięścią.

Ale uspokojono go prędko i zdecydowanie. Prokurator ujął go nawet w pół i odciągnął.

- To wywołuje zupełne zamieszanie, Michale Makarowiczu - zawołał - pan stanowczo przeszkadza śledztwu... psuje pan wszystko... - mówił, zadyszany.

- Trzeba zastosować środki zaradcze, środki zaradcze, środki zaradcze! - denerwował się Mikołaj Parfienowicz - inaczej to zupełnie niemożliwe!...

- Sądźcie nas oboje! - krzyczała nieprzytomnie Gruszeńka, wciąż klęcząc. - Razem nas skażcie, pójdę za nim bodaj na śmierć!

- Grusza, życie ty moje, krew moja, świętość moja! - Mitia padł przed nią na kolana i chwycił ją mocno w objęcia. - Nie wiercie jej - wołał - ona jest niewinna, zupełnie niewinna, zupełnie

niewinna!

Pamiętał później, że odciągnęło go od niej przemocą kilku ludzi, że gdzieś ją wyprowadzono i że kiedy oprzytomniał, siedział już przy stole. Przy nim i za nim stali chłopcy z blachami na piersiach - strażnicy. Naprzeciw na kanapie siedział Mikołaj Parfienowicz, sędzia śledczy, i zachęcał go wciąż do wypicia wody ze szklanki, która stała na stole: „To pana orzeźwi, to pana uspokoi, niech się pan nie lęka, niech się pan uspokoi” - mówił bardzo uprzejmie. Ale Mitę w tej chwili - jak sobie później przypominał - ogromnie interesowały ciężkie pierścienie sędziego: jeden był z ametystem, a drugi z jasnożółtym, przezroczystym i pięknie połyskującym kamieniem. I długo jeszcze później ze zdziwieniem przypominał sobie Mitia, jak przez wszystkie te okropne godziny śledztwa nie mógł oderwać oczu od tych pierścieni, nie mógł o nich zapomnieć, chociaż to wcale nie pasowało do jego sytuacji. Na lewo, tam gdzie na początku hulanki siedział Maksymow, teraz siedział prokurator, z prawej zaś strony, gdzie poprzednio siedziała Gruszeńka, zajął miejsce rumiany młodzieniec w myśliwskiej, bardzo zniszczonej kurtce, kancelista sędziego śledczego. Przed nim zjawiał się kałamarz i papier. Sprawnik stał teraz na drugim końcu pokoju, pod oknem, obok Kałganowa, który siedział na krześle.

- Niechże pan się napije wody! - powtórzył miękko po raz dziesiąty sędzia śledczy.

- Wypiłem, panowie, wypiłem... ale... cóż, panowie, dusicie mnie, skazujcie, rozstrzygajcie mój los! - wołał Mitia, utkwivszy w sędziego straszne, nieruchome, wybałuszone oczy.

- A zatem utrzymuje pan stanowczo, że nie jest pan winien śmierci swego ojca, Fiodora Pawłowicza? - zapytał sędzia miękko, ale z naciskiem.

- Nie jestem winien! Jestem winien, że przelałem inną krew, krew innego starca, ale nie mego ojca. I oplakuję to! Zabiłem, zabiłem starca, zabiłem i powaliłem... Ale ciężko odpowiadać za inną krew, straszną krew, której nie przelałem... Okropne oskarżenie, panowie, jak gdybyście mi dali obuchem po głowie! Ale kto zabił ojca, kto zabił? Kto mógł zabić, jak nie ja? Absurd, cud, nieprawdopodobieństwo!...

- Tak, mógł go zabić... - zaczął sędzia, lecz prokurator Hipolit Kiryłowicz (właściwie wiceprokurator, ale dla wygody będziemy go nazywać prokuratorem), zamieniwszy z nim porozumiewawcze spojrzenie, zwrócił się do Miti:

- Niepotrzebnie się pan niepokoi o starego Grzegorza Wasiliewicza. Niech pan wie, że on żyje, przyszedł do siebie i mimo ciężkich obrażeń, które mu pan zadał, będzie zapewne żył, tak przynajmniej orzekł lekarz.

- Żyje? A więc żyje! - wykrzyknął Mitia, klasnąwszy w dłonie, z twarzą rozjaśnioną. - Boże, dziękuję Ci za największy cud: wysłuchałeś mojej modlitwy, modlitwy grzesznika!... Tak, tak. Bóg wysłuchał mojej modlitwy, modliłem się całą noc!...

Trzykrotnie się przeżegnał, wzruszony, nie mogąc złapać tchu.

- I właśnie ów Grzegorz złożył tak ważne świadectwo przeciwko panu... - ciągnął dalej

prokurator.

Lecz Mitia zerwał się z krzesła.

- Chwileczkę, panowie, na miłość boską, tylko chwileczkę; polecę do niej...

- Proszę pana! W tej chwili w żaden sposób nie można! - pisnął nieomal Mikołaj Parfienowicz i również zerwał się na równe nogi. Mitię zatrzymali chłopci z blachami na piersiach; sam zresztą usiadł z powrotem...

- Panowie, jaka szkoda! Chciałem do niej tylko na jedną chwileczkę... chciałem jej powiedzieć, że została zmyta, że znikła ta krew, która całą noc dręczyła mi serce, że nie jestem zabójcą! Panowie, przecież to moja narzeczona! - odezwał się nagle z nabożnym zachwytem, tocząc wokoło nieprzytomnym spojrzeniem. - O, dziękuję wam, panowie! O, jakżeście mnie podnieśli na duchu, jakżeście mnie ożywili w jednej chwili!... Ten starzec, przecież on mnie na rękach nosił, mył mnie w niecce, gdy w trzecim roku życia wszyscy mnie opuścili, był mi jak ojciec rodzony!...

- A zatem pan... - zaczął sędzia śledczy.

- Pozwólcie, panowie, jeszcze tylko chwilka - przerwał Mitia, oparłszy łokcie o stół i ukrywając twarz w dłoniach - pozwólcie mi na chwilę zebrać myśli, odetchnąć. To wszystko tak strasznie mną wstrząsnęło, tak strasznie, przecież człowiek to nie bęben, panowie!

- Może znowu trochę wody... - mruknął Mikołaj Parfienowicz.

Mitia odjął ręce od twarzy i roześmiał się. Spojrzenie jego było teraz pełne animuszu. I nie tylko spojrzenie: zmienił się jakoś cały w ciągu jednej chwili. Przybrał inny ton: siedział tu znowu jak równy z równymi, jak znajomy tych wszystkich panów, jak gdyby wszyscy razem siedzieli tu od wczoraj w jednym towarzystwie. Istotnie byli to jego znajomi. Trzeba wiedzieć, że zaraz po przyjeździe Mitia często bywał u sprawnika, cieszył się nawet jego sympatią, ale później, zwłaszcza w ostatnim miesiącu, przestał go odwiedzać. Zauważył nawet, że Michał Makarowicz przy spotkaniu na ulicy zasępią się i tylko przez grzeczność odpowiada na ukłon. Prokuratora znał dosyć słabo, natomiast żonę prokuratora, nerwową i narwaną damę, odwiedzał od czasu do czasu, sam zresztą nie wiedząc czemu; przyjmowała go zawsze chętnie i interesowała się nim aż do ostatniego czasu. Z sędzią śledczym zaś nie zdążył jeszcze zawrzeć ściślejszej znajomości, ale spotykał się z nim i rozmawiał nawet raz czy dwa o płci pięknej.

- Pan, Mikołaju Parfienowiczu, jest, jak widzę, szcwanym sędzią śledczym - roześmiał się wesoło Mitia - ale ja sam panu pomogę. O, panowie, jestem wskrzeszony... i nie bierzcie mi za złe, że tak wprost i poufale do was się zwracam. Na dobitkę jestem cokolwiek pijany, wyznaję to szczerze. Zdaje się, że miałem zaszczyt... zaszczyt i przyjemność spotykać pana, Mikołaju Parfienyczu, u mego krewnego Miusowa... Proszę panów, nie pretenduję bynajmniej do równości, ja przecież rozumiem, kim jestem teraz wobec was. Cięży na mnie... o ile Grzegorz świadczył przeciwko mnie, cięży na mnie straszne podejrzenie! Okropne, okropne, ja to rozumiem. Ale do rzeczy, panowie, jestem gotów i w jednej chwili wszystko załatwimy, bo słuchajcie, słuchajcie, panowie, jeżeli wiem, że jestem niewinny, to przecież oczywiście w mig to wszystko załatwimy!

Prawda? Prawda?

Mitia mówił prędko, nerwowo i natarczywie; zwracał się do nich jak do swoich najlepszych przyjaciół.

- A zatem chwilowo zapiszemy, że pan stanowczo zaprzecza oskarżeniu - odezwał się Mikołaj Parfienowicz z powagą i zwróciwszy się do sekretarza, półgłosem podyktował mu treść protokołu.

- Zapisać! Chcecie to zapisać? Cóż, zapisujcie, zgoda, macie moją całkowitą zgodę, panowie... Tylko widzicie... Czekaście, czekaście, zapiszcie tak: winien jest burd i ciężkiego pobicia biednego starca. No i jeszcze, że wewnątrz, w głębi serca jest winien, ale tego nie trzeba pisać (zwrócił się nagle do sekretarza), to już moje życie osobiste, panowie, to już was nie dotyczy, to głębia serca, to znaczy... Ale zabójstwa mojego starego ojca - nie jestem winien! Co za dzika myśl! To zupełnie dzika myśl!... Dowiodę wam i przekonacie się od razu. Będziecie się śmiać, panowie, sami będziecie się śmiać ze swego posądzenia!

- Niech się pan uspokoi, Dymitrze Fiodorowiczu - upominał go sędzia śledczy, jak gdyby wyraźnie chciał swym spokojem opanować podniecenie Dymitra Fiodorowicza. - Zanim przystąpimy do dalszych okoliczności, chciałbym, o ile tylko pan się zgodzi na to odpowiedzieć, aby pan zechciał mi potwierdzić ten drobny fakt, że jak się zdaje, nie lubił pan nieboszczyka Fiodora Pawłowicza i stale się z nim o coś wadził!... Tu przynajmniej, kwadrans temu, raczył pan, zdaje się, powiedzieć, że nawet chciał go pan zabić. „Nie zabiłem, zawołał pan, ale chciałem zabić!”

- Czy naprawdę tak zawołałem? Och, bardzo być może, panowie! Tak, na nieszczęście chciałem go zabić, nieraz chciałem... na nieszczęście, na nieszczęście!

- Chciał pan. Czy nie zechce pan wyjaśnić, jakie były powody takiej nienawiści względem osoby pańskiego ojca?

- Co tu wyjaśniać, panowie! - wzruszył ramionami Mitia, posępnie spuszczając oczy. - Nie ukrywałem przecież swoich uczuć, całe miasto o tym wie, wszyscy wiedzą w szynku. Jeszcze niedawno w monasterze oświadczyłem w celi starca Zosimy... Tego dnia wieczorem biłem i o mało nie zabiłem ojca, i przysięgłem, przy świadkach, że jeszcze wrócę i zabiję go... O, miałem na to tysiąc świadków! Cały miesiąc wrzeszczałem, wszyscy mogą zaświadczyć!... Fakt oczywisty, fakt sam mówi, krzyczy, ale uczucie, panowie, uczucie to inna sprawa. Widzicie, panowie - Mitia zasępił się - zdaje się, że nie macie prawa badać moich uczuć. Chociaż jesteście do tego powołani, ja to pojmuję, ale to moja rzecz, moja wewnętrzna sprawa, intymna, ale... panowie, ponieważ nie ukrywałem swoich uczuć poprzednio, w knajpie na przykład, i wszystkim opowiadałem, to... i teraz nie zrobię z tego tajemnicy... Słuchajcie, panowie, ja przecież rozumiem, że w tym wypadku ciąży na mnie straszne poszlaki - wszystkim mówiłem, że go zabiję, i nagle został zabity: któż więc, jak nie ja? Ha, ha! Wybaczam wam, panowie, najzupełniej wybaczam. Sam jestem poruszony do żywego, bo kto go w takim razie naprawdę zabił, jeśli nie ja? Prawda? Jeśli nie ja, to kto, kto? Panowie - zawołał naraz - chcę wiedzieć, wymagam tego od was, panowie: gdzie go zabito? Jak go zabito? czym i jak? Powiedzcie mi - zapytał patrząc po kolei na prokuratora i na sędziego.

- Znaleźliśmy go leżącego na wznak na podłodze, w gabinecie, z rozbitą głową - odrzekł

prokurator.

- To straszne, panowie! - wzdrygnął się nagle Mitia i oparłszy łokieć o stół zasłonił twarz prawą ręką.

- Idźmy dalej - przerwał Mikołaj Parfienowicz. - A zatem jaki był powód tego uczucia nienawiści między wami? Mówił pan, zdaje się, publicznie, że uczucie zazdrości?

- No tak, zazdrość i nie tylko zazdrość.

- Spór o pieniądze?

- No tak, o pieniądze.

- Zdaje się, że chodziło o trzy tysiące, które należały się panu jeszcze ze spadku?

- Jakie tam trzy! Więcej, o wiele więcej - oburzył się Mitia. - Więcej niż sześć, nawet więcej niż dziesięć. Wszystkim to mówiłem, krzychałem na głos! Ale zdecydowałem się i na trzy tysiące. Musiałem mieć te trzy tysiące... toteż paczkę z trzema tysiącami, która, jak wiedziałem, leżała pod jego poduszką przygotowana dla Gruszeńki, uważałem jakby za swoją własność, panowie, jak za swoje, które mi niejako był ukradł...

Prokurator zamienił porozumiewawcze spojrzenie z sędzią i zdążył nieznacznie mrugnąć.

- Wróćmy jeszcze do tego - odezwał się natychmiast sędzia - a teraz pozwoli pan zapisać ten właśnie drobny punkt: że uważał pan te pieniądze w kopercie jak gdyby za swoją własność.

- Piszcie, panowie, przecież ja rozumiem, że i to jest znowu poszlaka przeciwko mnie, ale ja się nie boję poszlak i sam przeciw sobie świadczę. Słyszycie, tu sam! Widzicie, panowie, zdaje się, że uważacie mnie za zupełnie innego człowieka, niż jestem w rzeczywistości - dodał naraz markotnie i posepnie. - Z wami rozmawia człowiek szlachetny, arcyszlachetny, a zwłaszcza, bierzcie to pod uwagę, człowiek, który narobił moc podłości, ale mimo to zawsze był i pozostał arcyszlachetną istotą, wewnątrz, w głębi, no, słowem, nie umiem się wyrazić... Właśnie to było męką całego mego życia, że zawsze łaknąłem szlachetności, że byłem, że tak powiem, męczennikiem szlachetności, poszukiwaczem szlachetności z latarką, z latarką Diogenesa, a jednak całe życie robiłem same tylko świństwa, jak i wy wszyscy zresztą, jak ja sam, nie wszyscy, tylko ja, pomyliłem się, ja sam, ja sam!... Panowie, głowa mnie boli - dodał marszcząc brwi - widzicie, nie podobała mi się jego powierzchowność, było to coś haniebnego, podeptanie wszelkiej świętości, szyderstwo i niewiara, szkaradne! Ale teraz, kiedy umarł, myślę inaczej.

- Jak to inaczej?

- Nie inaczej, ale ubolewam, że tak go nienawidziłem.

- Czuje pan skruchę?

- Nie, nie skruchę właściwie, tego nie zapisujcie. Sam nie jestem dobry, sam nie jestem piękny,

a więc nie miałem prawa uważać go za wstrętnego. To, proszę, możecie zapisać.

Co rzekłszy, Mitia nagle ogromnie posmutniał. W miarę badania wpadał w coraz większe przygnębienie. I nagle w tej samej chwili nastąpiła niespodziewana scena. Gruszeńkę umieszczono niezbyt daleko, bo w trzecim pokoju, licząc od błękitnego pokoju, w którym teraz odbywało się przesłuchanie. Była to mała kłitka o jednym okienku, przylegająca do salonu, gdzie w nocy odbywały się tańce i hulanka. Siedziała tu z Maksymowem, który strasznie tchórzył i nie odchodził od niej, jakby szukając u niej ratunku. We drzwiach tego pokoju stał chłop z blachą na piersiach. Gruszeńka płakała i nagle, nie mogąc już dłużej znieść męki, zerwała się, załamała dłonie i lamentując: „O doło moja, doło!” wybiegła z pokoju do niego, do swojego Miti, tak szybko, tak raptownie, że nikt nie zdążył jej zatrzymać. Mitia zaś, usłyszawszy jej lament, zadrżał, zerwał się, jęknął i jak szalony rzucił się ku niej. Ale znowu nie pozwolono im podejść do siebie, chociaż się zobaczyli. Miti skrępowano ręce: szarpał się, szamotał i dopiero trzech czy czterech ludzi zdołało sobie z nim poradzić. Zatrzymano również i Gruszeńkę; Mitia widział, jak krzycząc wyciągała ku niemu ręce i jak ją wywlekli. Scena dobiegła wreszcie końca. Kiedy się znowu opamiętał, siedział na poprzednim miejscu, naprzeciw sędziego, i wykrzykiwał:

- Czego chcecie od niej? Czemu się nad nią znęćacie? Ona jest niewinna, niewinna!...

Prokurator i sędzia starali się go uspokoić. Upłynęło dziesięć minut, wreszcie do pokoju wszedł szybko Michał Makarowicz i, wzburzony, zwrócił się głośno do prokuratora:

- Wyprowadzono ją, jest teraz na dole. Czy pozwolicie mi, panowie, powiedzieć tylko jedno słowo temu nieszczęśliwemu człowiekowi? Przy was, panowie, przy was!

- Ale proszę bardzo, Michale Makarowiczu - odpowiedział sędzia - w tej chwili nie mamy nic przeciwko temu.

- Dymitrze Fiodorowiczu, posłuchaj, bracie - zaczął Michał Makarowicz, zwracając się ku Miti, i cała jego wzburzona twarz tchnęła gorącą, ojcowską nieomal litością - sprowadziłem twoją Agrafienę Aleksandrownę na dół i oddałem ją pod opiekę córkom gospodarza. Poza tym jest tam wciąż przy niej ten staruszek Maksymow. Uspokoilem ją - słyszysz? - uspokoilem i wyperswadowałem. że musisz się oczyścić z posądzenia, że nie powinna ci przeszkadzać, nie powinna denerwować, bo jeszcze tylko sam sobie zaszкодzisz, rozumiesz? No, słowem, przekonywałem ją i ona zrozumiała. To, bracie, mądra kobieta, zacna jest, chciała mnie po rękach całować, wstawiała się za tobą. Kazała ci powiedzieć, żebyś był o nią spokojny, a teraz muszę, mój drogi, wrócić do niej i zapewnić ją, że uspokoileś się i pocieszyłeś. Więc uspokój się, zechciej to zrozumieć. Zawiniłem względem niej, to dusza chrześcijańska, tak, panowie, to dusza pokorna i zupełnie niewinna. Więc co mam jej powiedzieć, Dymitrze Fiodorowiczu? będziesz siedział spokojnie czy nie?

Pocziwiec nagadał wiele zbytecznych rzeczy, ale rozpacz ludzka, rozpacz Gruszeńki przejęła go do głębi i nawet łzy wycisnęła mu z oczu. Mitia zerwał się i podbiegł ku niemu.

- Wybaczcie, panowie, pozwólcie, o, pozwólcie! - zawołał. - Anielska, anielska duszo, Michale Makarowiczu, dziękuję panu za nią! Będę, będę spokojny, będę wesoły, niechże pan powie jej w



dobroci swej bezgranicznej, że jestem wesół, wesół, że nawet teraz zaczę się śmiać, wiedząc, że ma przy sobie takiego anioła stróża jak pan. Zaraz wszystko zakończymy, i skoro tylko się zwolnię, natychmiast do niej pobiegnę, niechże tam na mnie czeka!

- Panowie - zwrócił się do prokuratora i sędziego - teraz odsłonię wam całą swoją duszę, wszystko wam powiem, zaraz to skończymy, skończymy wesoło i w końcu wszyscy będziemy śmiać się, prawda? Panowie, ta kobieta to królowa mej duszy! O, pozwólcie mi to powiedzieć, muszę to wam powiedzieć... Widzę, panowie, że jestem w gronie arcyszlachetnych ludzi: to cały mój świat, to świętość moja, i gdybyście tylko wiedzieli! Słyszeliście jej krzyki: „Z tobą na śmierć!” I cóż ja jej dałem, ja, nędzarz, golec, za co taka miłość do mnie, czy wart jestem, ja, niezdarna, haniebna kreatura, z haniebną twarzą! Czy wart jestem takiej miłości, aby ze mną dzielić katorgę? Za mnie rzuciła się wam do nóg, ona, dumna i niewinna! Jakże mógłbym jej nie ubóstwiać, nie krzyczeć, nie wyrywać się do niej, jak to robiłem? O, panowie, wybaczcie! Ale teraz, teraz jestem pocieszony.

Osunął się na krzesło i, ukrywając twarz w dłoniach, zaczął głośno płakać. Ale były to już łzy szczęścia. Rychło się opamiętał. Stary sprawnik był bardzo zadowolony, podobnie zresztą jak i obaj juryści: poczuli, że badanie wejdzie zaraz w nową fazę. Odprowadziwszy sprawnika do drzwi, Mitia prawie się rozweselił.

- Teraz, panowie, jestem całkowicie do waszego rozporządzenia. I... gdyby tylko nie te wszystkie drobiazgi, to byśmy się od razu dogadali. Ja znowu o drobiazgach. Jestem do waszego rozporządzenia, panowie, ale doprawdy, musi tu być wzajemne zaufanie - wasze do mnie i moje do was - inaczej nigdy tego nie skończymy. Mówię te dla dobra panów. Do rzeczy, panowie, do rzeczy, lecz najważniejsze, nie grzebcie się tak w mojej duszy, nie dręczcie jej błahostkami, pytajcie tylko o fakty, a zadowolę was w zupełności. Do diabła z drobiazgami!

Tak wołał Mitia. Badanie znowu się rozpoczęło.

## IV DRUGA MEKA

- Nie uwierzy pan, jak pan nas ucieszył tą swoją gotowością, Dymitrze Fiodorowiczu... - zaczął Mikołaj Parfienowicz z ożywieniem i widoczną radością, skrzącą w jego dużych, jasnoszarych, wypukłych, bardzo krótkowzrocznych oczach, z których przed chwilą zdjął okulary. - I słusznie to pan zauważył, że nie można w tak ważnych sprawach obejść się bez wzajemnego zaufania, w tym oczywiście wypadku, gdy posądzona osoba istotnie chce i spodziewa się, że potrafi oczyścić się z podejrzeń. Ze swej strony zrobimy w tym kierunku wszystko, co w naszej mocy, i sam pan zresztą mógł się przekonać teraz, jak prowadzimy tę sprawę. Wszak i pan jest tego zdania, Hipolicie Kiryłowiczu? - zwrócił się do prokuratora.

- O, bez wątplenia - pochwalił prokurator, chociaż cokolwiek oschle w zestawieniu z porywem Mikołaja Parfienowicza.

Chcę zwrócić uwagę na jedno: Mikołaj Parfienowicz od razu po przyjeździe do naszego miasta poczuł do Hipolita Kiryłowicza, prokuratora, niezwykłą sympatię połączoną z szacunkiem. Był to może jedyny człowiek, który bez zastrzeżeń wierzył w niezwykły psychologiczny i oratorski talent naszego „skrzywdzonego i pominiętego w karierze służbowej” Hipolita Kiryłowicza, i w dodatku wierzył święcie w tę jego krzywdę. Słyszał zaś o nim będąc jeszcze w Petersburgu. Nawzajem, młodzieńki Mikołaj Parfienowicz był bodaj jedyną istotą na świecie, którą nasz „pominięty i skrzywdzony” prokurator szczerze pokochał. Otóż w drodze do Mokrego zdążyli umówić się co do sposobu badania, dzięki czemu pojętny umysł Mikołaja Parfienowicza chwycił w lot i rozumiał każde słowo, każde mrugnięcie starszego kolegi.

- Panowie, pozwólcie mi tylko opowiedzieć i nie przerywajcie mi głupstwami - denerwował się Mitia.

- Wybornie, dziękuję panu. Ale zanim przejdziemy do pańskiego sprawozdania, pozwoli mi pan stwierdzić jeszcze jeden mały fakcik, bardzo nas interesujący, mianowicie, że wczoraj o piątej po południu pożyczył pan dziesięć rubli pod zastaw pistoletów od swojego przyjaciela Piotra Ilicza Pierchotina.

- Pożyczyłem, panowie, pożyczyłem dziesięć rubli, i cóż z tego? Gdy tylko wróciłem do miasta, zaciągnąłem pożyczkę pod zastaw.

- Wrócił pan do miasta? A zatem wyjeżdżał pan z miasta?

- Wyjeżdżałem, panowie, byłem o czterdzieści wiorst od miasta, a panowie o tym nie wiedzieli?

Prokurator i Mikołaj Parfienowicz spojrzeli po sobie.

- W ogóle, może by pan opowiedział nam po kolei przebieg wczorajszego dnia, od samego rana? Pozwoli pan na przykład, że zapytam: po co pan wyjeżdżał z miasta, kiedy pan wyjechał i kiedy wrócił... i wszystkie fakty po kolei...

- Trzeba było od razu o to spytać - roześmiał się głośno Mitia - i jeżeli pan chce, to zacznę nie od wczoraj, ale od trzech lat wstecz. Zrozumiecie wtedy, panowie, dokąd, jak i po co poszedłem i wyjechałem. A poszedłem, panowie, dwa dni temu, rano, do tutejszego kupca Samsonowa, chciałem pożyczyć od niego trzy tysiące rubli pod pewną gwarancją. Były mi nagle bardzo potrzebne, bardzo...

- Pozwoli pan, że mu przerwę - wtrącił uprzejmie prokurator - po cóż panu nagle potrzebne były pieniądze, i akurat taka kwota, czyli trzy tysiące rubli?

- E, panowie, lepiej nie poruszajmy drobiazgów: jak, kiedy, po co i dlaczego tyle, a nie tyle. Cała ta babrani-na... przecie tego w tomach nie spisać, trzeba by jeszcze było dodać epilog!

Powiedział to wszystko z dobroduszną, lecz niecierpliwą poufałością człowieka, który ma najlepsze zamiary i pragnie wyznać całą prawdę.

- Panowie - jakby połapał się nagle - jesteście źli na mnie z powodu mojego uporu; znowu was proszę: spróbujcie jeszcze raz uwierzyć, że wczuwam się w waszą sytuację i rozumiem ją

najzupełniej. Nie myślcie, że jestem pijany. Teraz zupełnie już wytrzeźwiałem. A nie szkodziłoby wcale, żebym nawet był pijany. Ze mną to, jak wiecie:

*Wytrzeźwiał, zmądrzał i całkiem zbaraniał.*

*Upił się, zbaraniał i znowu zmądrzał.*

Ha, ha! A zresztą widzę, panowie, że chwilowo nieprzyzwoicie jest dowcipkować, chwilowo, póki nie wyjaśnimy sprawy. Pozwólcie mi zachować godność osobistą. Rozumiem przecie obecną różnicę - jestem dla was przestępcą, a zatem w najwyższym stopniu nierówny, zwłaszcza wam, którzy jesteście powołani do sądenia: przecie nie pogłaszczecie mnie po główce za Grzegorza, nie można przecie bezkarnie rozbijać głowy starcom; tak, wlepicie mi za niego rok czy pół roku twierdzy, nie wiem, jaka jest za to kara, chyba się praw nie pozbawia, prokuratorze? No więc, panowie, pojmuję obecną różnicę... Zgódźcie się i co do tego, że przecie samego Pana Boga moglibyście zbić z tropu takimi pytaniami: a gdzieś szedł, a jak szedłeś, a kiedy szedłeś i po co? Przecie bezwarunkowo wszystko popłaczę, a wy od razu weźmiecie to na papier, i co z tego wyniknie? Nic nie wyniknie! A zresztą jeśli już zacząłem kłamać, to do końca, wy zaś, panowie, jako bardzo wykształceni i szlachetni ludzie, przebaczycie mi. Słowem zakończę tę prośbę: pozbądźcie się, panowie, tego biurokratycznego zwyczaju, że to niby z początku należy zaczynać od drobiazgów: jak wstał, co zjadł, jak splunął, gdzie splunął, i „uśpiwszy czujność przestępcy” oszołomić go pytaniem: „Kogo zabiłeś, kogo okradłeś?” Cha, cha! Przecie to są wasze profesjonalne zwyczaje, wasze sposoby, na tym polega cała wasza przebiegłość! Usypiajcie chłopów taką przebiegłością, a nie mnie. Ja przecie znam się na tym, byłem oficerem. Cha, cha, cha! Nie gniewajcie się, panowie, wybaczacie mi moją śmiałość? - zawołał patrząc na nich z zadziwiającą dobroduszością. - Przecie powiedział to Mitia Karamazow, a więc można mu wybaczyć, bo mądryemu człowiekowi nie wolno, ale Mitce wolno! Cha, cha!

Mikołaj Parfienowicz słuchał i wtórował mu śmiechem. Prokurator nie śmiał się i nie spuszczał oka z Miti, jak gdyby nie chciał uronić najmniejszego słówka, najmniejszego ruchu, najmniejszego drgnienia najdrobniejszego rysu jego twarzy.

- Myśmy jednak tak właśnie z panem zaczęli - odezwał się, nie przestając się śmiać, Mikołaj Parfienowicz - nie peszyliśmy pana pytaniami: jak pan wstał i co pan jadł, ale rozpoczęliśmy od razu od rzeczy najważniejszych.

- Rozumiem, pojąłem i oceniłem, i jeszcze bardziej cenię dobroć pańską, bezprzykładną, godną najszlachetniejszej duszy. Zebraliśmy się tu we trójkę, trzej szlachetni ludzie, i niech już będzie nadal między nami to wzajemne zaufanie ludzi wykształconych, związanych szlacheckim pochodzeniem i honorem. W każdym razie pozwólcie mi uważać was, panowie, za najlepszych moich przyjaciół w tej chwili mego życia, w chwili poniżenia mojej czci! Przecie to was nie obraża, panowie, prawda?

- Wręcz przeciwnie, pan to bardzo pięknie wyrazi!, Dymitrze Fiodorowiczu - poważnie i życzliwie potwierdził Mikołaj Parfienowicz.

- A drobiazgi, panowie, wszystkie te drobne haczyki precz! - zawołał z entuzjazmem Mitia. - Bo inaczej diabli wiedzą, co z tego wyniknie, nieprawdaż?

- Całkowicie zastosuję się do pańskiej rozsądnej rady - wtrącił naraz prokurator zwracając się do Miti - ale nie zrezygnuję jednak z mego pytania. Istotnie musimy wiedzieć, na co panu była potrzebna taka kwota, to znaczy właśnie te trzy tysiące rubli.

- Na co była potrzebna? Ano na to, na tamto... żeby dług zwrócić.

- Komu mianowicie?

- Stanowczo odmawiam odpowiedzi na to pytanie, panowie! Widzicie, nie dlatego, że nie mogę odpowiedzieć albo też nie śmiem, albo że się boje, wszystko to splunięcia warte, lecz dlatego nie powiem, że mam taką zasadę: od tego miejsca zaczyna się moje prywatne życie i nie pozwolę wdzierać się do niego. Oto moja zasada. Pańskie pytanie nie odnosi się do sprawy, wszystko zaś, co nie odnosi się do sprawy, jest moim prywatnym życiem! Chciałem zwrócić dług, zwrócić dług honorowy, ale komu, nie powiem.

- Pozwoli pan, że to zapiszemy - rzekł prokurator.

- Proszę bardzo. Niech pan tak zapisze: że za nic nie powiem. Piszcie, panowie, że poczytałbym to sobie za dyshonor mówić coś podobnego. Ech, macie wiele czasu, możecie zapisywać!

- Pozwoli pan, łaskawy panie, że uprzedzę pana i jeszcze raz przypomnę, o ile pan o tym nie wie - odezwał się prokurator szczególnie surowym tonem - że przysługuje panu pełne prawo nie odpowiadać na nasze obecne pytania, my zaś, na odwrót, nie mamy żadnego prawa wymagać od pana odpowiedzi, jeśli pan z tego czy innego powodu odmawia zeznań. To już według pańskiego osobistego uznania. Ale rzeczą naszą jest zwrócić również uwagę pana i wyjaśnić, jak bardzo pan sam sobie szkodzi odmawiając odpowiedzi. A teraz, proszę, niech pan mówi dalej.

- Panowie, ja przecież się nie gniewam... ja - bełkotał Mitia, stropiony tonem prokuratora - otóż, widzicie, panowie, ten Samsonow, do którego się wówczas zwróciłem...

Nie będziemy oczywiście przytaczali szczegółowo zeznań Miti, bo czytelnik zna już wypadki, z których zdawał sprawę. Z dziwną niecierpliwością chciał wszystko opowiedzieć naraz, nie opuszczając najmniejszego szczegółu, a jednocześnie bardzo się spieszył. Lecz że zapisywano jego zeznania, więc trzeba mu było wielokrotnie przerywać. Dymitr Fiodorowicz sarkał, ale był posłuszny; gniewał się chwilowo jeszcze dosyć dobrodusznie. Niekiedy wołał: „Panowie, to może wściec samego Pana Boga”, albo: „Panowie, doprawdy, tylko mnie niepotrzebnie denerwujecie!”, lecz mimo te okrzyki, nie tracił przyjaźnie wylewnego tonu. W ten sposób opowiedział, jak go Samsonow „nabił w butelkę” (domyślał się już teraz, że go Samsonow oszukał), jak sprzedał zegarek za sześć rubli, by zdobyć pieniądze na drogę - szczegół, którego prokurator i sędzia nie znali jeszcze i którego wysłuchali z niezmierną uwagą. Co więcej, ku najwyższemu oburzeniu Miti, uznali za stosowne zapisać szczegółowo ten fakt, jako jeszcze jeden dowód, że oskarżony nawet rano poprzedniego dnia nie miał ani grosza. Mitia z wolna posepniał. Opowiedziawszy swoją przygodę z Legawym i powrót do miasta, zaczął sam, bez zachęty, szczegółowo opisywać mękę zazdrości o

Gruszeńkę. Słuchano go w skupionym milczeniu, zwracając szczególną uwagę na to, że miał swój punkt obserwacyjny „na tyłach” ogrodu Fiodora Pawłowicza w domu Marii Kondratiewny i że informował go o wszystkim Smierdiakow: wszystkie te szczegóły kazano zapisać sekretarzowi. O swojej zazdrości mówił żarliwie i drobiazgowo i chociaż w głębi duszy wstydził się, że wystawia „na powszechną hańbę” najbardziej intymne swoje uczucia, przemógł wstyd, chcąc powiedzieć całą prawdę. Lecz w końcu poczęła go drażnić obojętna surowość utkwionych w nim przez cały czas spojrzeń prokuratora i sędziego.

„Ten chłystek Mikołaj Parfienowicz, z którym dopiero kilka dni temu gadaliśmy głupstwa o kobietach, i ten zdechłak prokurator nie są warci, abym im to opowiadał - pomyślał ze smutkiem. - Hańba! Cierp, ukorz się i milcz” - zakończył swoją myśl wierszem i znowu się przemógł, by zeznawać dalej. Opowiadając o wizycie u pani Chochłakow, znowu wpadł w dobry humor i zamierzał nawet przytoczyć o tej paniusi pewną historyjkę, która niedawno się wydarzyła i nie miała nic wspólnego ze sprawą; lecz sędzia śledczy przerwał mu i uprzejmie poprosił, by przeszedł do rzeczy „bardziej istotnych”. Wreszcie gdy zaczął opisywać swoją desperację i wspomniał o tej chwili, kiedy po wyjściu od Chochłakowej pomyślał nawet: „Choćby przyszło mi kogo zarżnąć, muszę wytrzasnąć te trzy tysiące rubli”, przerwano mu znowu i zapisano, że „chciał zarżnąć”. Miti milczał, pozwolił zapisać. Doszedł do momentu, kiedy dowiedział się, że Gruszeńka go oszukała, że niedługo była u Samsonowa, choć zapowiedziała, że będzie do północy: „Jeżeli, panowie, nie zabiłem wówczas tej Fieni, to tylko dlatego, że nie miałem czasu” - wyrwało mu się nagle, co również skrętnie zapisano. Miti posępnie przeczekał pauzę, po czym zaczął opowiadać, jak pobiegł do ogrodu ojca - ale w tej chwili przerwał mu sędzia i, otworzywszy swoją dużą teczkę, leżącą przy nim na kanapie, wyjął mosiężny tłuczek.

- Czy zna pan ten przedmiot? - pokazał Miti.

- Ach, tak! - uśmiechnął się Miti ponuro - jakżebym miał nie znać! Pan pozwoli, że obejrzę... Do diabła, nie trzeba!

- Zapomniał pan o nim powiedzieć - zauważył sędzia.

- A do diabła! Nie ukryłbym przecież przed panami, musiałbym i tak powiedzieć, jak panowie myślicie! Wyleciało mi po prostu z pamięci.

- Zechce pan zatem szczegółowo opowiedzieć, skąd pan to wziął.

- Proszę bardzo.

Miti opowiedział, jak wziął tłuczek i wybiegł na ulicę.

- Ale co pan miał na celu, uzbrajając się w ten przedmiot?

- Co na celu? Nic! Chwyciłem i wybiegłem.

- Po cóż właściwie, jeżeli bez celu?

Miti zżymał się ze złości i oburzenia. Uważnie spojrzawszy na „chłystka” i uśmiechnął się posępnie

ze złością, ogarniał go bowiem coraz większy wstyd, że tak szczerze i z takim wyłaniem opowiedział „takim ludziom” historię swej zazdrości.

- Gwiżdżę na tłuczek! - wyrwało mu się nagle.

- Może pan jednak odpowie, łaskawy panie.

- Ano żeby psy w razie czego odpędzić. Poza tym mrok... Poza tym na wszelki wypadek.

- A czy dawniej, wychodząc w nocy z domu, uzbrajał się pan również, skoro się pan tak lęka ciemności?

- To doprawdy śmiechu warte! Panowie, z wami literalnie nie można mówić - zawołał Mitia, rozdrażniony do najwyższego stopnia, i obróciwszy się ku pisarzowi z gniewem, z jakąś histeryczną nutą w głosie zawołał porywczo: - Zapisz natychmiast... natychmiast... „że chciałem tłuczkiem zabić mego ojca... Fiodora Pawłowicza... uderzeniem w głowę!” No, kontenci jesteście teraz, panowie? Ulżyło wam? - rzekł patrząc wyzywająco na sędziego i prokuratora.

- Rozumiemy doskonale, że złożył pan to zeznanie pod wpływem irytacji, czując się obrażonym naszymi pytaniami, które wydają się panu błahe, a które w rzeczywistości są bardzo istotne - odezwał się prokurator oschłym tonem.

- Ależ zlitujcie się, panowie! No, wziąłem tłuczek... A po co się łapie do ręki w takich razach pierwszy lepszy przedmiot? Ja nie wiem, po co. Chwyciłem i wybiegłem. I to wszystko. Wstydziłibyście się, panowie, *passons*[15], bo przysięgam, że przestanę opowiadać!

Położył ręce na stole i podparł głowę jedną ręką. Siedział do nich bokiem i patrzył na ścianę, usiłując przemóc w duszy złe uczucia. Bo naprawdę chciał wstać i oświadczyć wręcz, że nie powie ani słowa więcej, „choćby go skazano na śmierć”.

- Widzicie, panowie - podjął naraz, przemagając się z trudem - widzicie, słucham was i marzy mi się... miewam często pewien sen... Pewien taki sen często mi się śni, powtarza się - że ktoś za mną biegnie, goni mnie, ktoś, kogo się strasznie lękam, goni w ciemnościach, w nocy, szuka mnie, a ja chowam się za drzwi, za szafę, chowam się haniebnie, i co najważniejsze, że niby on wie doskonale, gdzie się schowałem, ale, jakby umyślnie, udaje, że nie wie, gdzie siedzę, żeby mnie dłużej męczyć, żeby napawać się moim strachem... Wy to właśnie teraz robicie! - Zupełnie jak ten we śnie!

- Miewa pan takie sny? - zapytał prokurator.

- Tak, miewam takie sny... Czy nie chce pan tego zapisać? - wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Nie, zapisać, to nie, ale swoją drogą ciekawe są te pańskie sny.

- Teraz to już nie sen! To realizm, panowie, realizm rzeczywistego życia! Ja jestem wilk, a panowie - myśliwi, no i tropicie wilka.

- Niepotrzebnie pan robi takie porównania... - zaczął bardzo łagodnie Mikołaj Parfienowicz.

- Ależ potrzebnie, panowie, bardzo potrzebnie - uniósł się znowu Mitia, po czym, widząc ulżywszy sobie tym wybuchem gniewu, począł z każdym słowem łagodnieć. - Możecie nie wierzyć przestępcy czy podsadnemu, zadręczanemu waszymi pytaniami, lecz najszlachetniejszemu człowiekowi, panowie, najszlachetniejszym porywom duszy (wołam to śmiało!) nie! nie możecie nie wierzyć... nawet nie macie prawa... lecz:

*milcz, serce!*

*Cierp, ukorź się i milcz!*

No co, mówić dalej? - zapytał pośępnie.

- A jakże, prosimy bardzo - odparł Mikołaj Parfienowicz.

## V TRZECIA MEKA

Mitia zaczął tym razem tonem surowym, ale jeszcze bardziej starał się nie zapomnieć i nie opuścić żadnego szczegółu. Opowiedział więc, jak przeskoczył przez parkan do ogrodu ojca, jak szedł do okna, i o wszystkim, co się działo pod oknem. Jasno, dokładnie, jakby odmierzając każde słowo, opowiedział, co odczuwał w chwilach, kiedy stał pod oknem, chcąc tak strasznie dowiedzieć się, czy Gruszeńka jest u ojca. Rzecz dziwna: prokurator i sędzia słuchali go tym razem z wyjątkową rezerwą, patrzyli zimnym wzrokiem, zadawali o wiele mniej pytań. Mitia nic nie mógł wywnioskować z ich min. „Rozgniewali się i obrazili na mnie - pomyślał - a tam, do diabła z nimi!” Opowiedział następnie, jak postanowił wreszcie dać ojcu znak, że przyszła Gruszeńka, aby stary otworzył okno, lecz ani prokurator, ani sędzia nie zwrócili żadnej uwagi na słowo „znak”, jak gdyby nie rozumieli jego znaczenia, toteż Mitia od razu to zauważył. Zeznawszy wreszcie, jak na widok ojca, który wysunął głowę, uniósł się nienawiścią i wyciągnął z kieszeni tłuczek, przerwał jakby umyślnie. Siedział i patrzył na ścianę, wiedząc, że sędziowie wpijają się weń wzrokiem.

- A zatem - odezwał się wreszcie sędzia śledczy - wyciągnął pan narzędzie i... cóż potem zaszło?

- Potem? A potem zabiłem... uderzyłem go w ciemię i rozłupałem czaszkę... Przecież tak jest według was, tak? - wykrzyknął, rzucając groźne błyskawice.

Cały ostygły już gniew wezbrał w nim z nową siłą.

- To według nas - powtórzy Mikołaj Parfienowicz - a według pana?

Mitia spuścił oczy i długo milczał.

- Według mnie, panowie, według mnie, oto jak było - rzekł cicho - czyjeś czy matka moja Boga ubłagała, czy też duch jaki promienny musnął mnie w tej chwili - nie wiem, lecz diabeł został pokonany. Uciekłem od okna w kierunku płotu... Ojciec zląkł się, dopiero teraz mnie zauważył, krzyknął i odskoczył od okna - pamiętam to dobrze... A ja przez ogród do płotu... i tu mnie dogonił Grzegorz, kiedy już siedziałem na płocie.

Podniósł wreszcie oczy na słuchaczy. Patrzyli nań z niewzruszonym spokojem. Dreszcz oburzenia przebiegł przez duszę Miti.

- Przecież wy w tej chwili drwicie sobie ze mnie! - zawołał.

- Dlaczego pan tak sądzi? - zapytał Mikołaj Parfienowicz.

- Nie wierzycie mi, nie wierzycie ani trochę, dlatego! Rozumiem przecie, że doszedłem do głównego momentu: starzec leży tam teraz z rozłupaną głową, a ja - opisawszy tragicznie, jak zamierzałem go zabić, jak wyciągnąłem z kieszeni tłuczek, nagle uciekam od okna... Poemat! Wierszem! Można zuchowi uwierzyć na słowo! Ha, ha! Kpiarze z was, panowie!

I obrócił się na krześle, aż pod nim zatrzeszczało.

- A czy nie zauważył pan - zaczął nagle prokurator, jakby nie zwracając uwagi na wzburzenie Mitii - czy nie zauważył pan, kiedy pan odchodził od okna: czy drzwi od ogrodu, znajdujące się na drugim końcu oficyny, były otwarte czy zamknięte?

- Nie, nie były otwarte.

- Nie były?

- Były zamknięte. I któż by je mógł otworzyć? Ba, drzwi, czekajcie! - opamiętał się jak gdyby i omal nie drgnął - a czy zastaliście drzwi otwarte?

- Tak.

- To któż je mógł otworzyć, jeśli wy sami nie otworzyliście? - zdziwił się Mitia ogromnie.

- Drzwi były otwarte i zabójca pańskiego ojca niewątpliwie wszedł tymi drzwiami, dokonawszy zaś zabójstwa wyszedł nimi - powoli i wyraźnie wycedził prokurator. - To nie ulega wątpliwości. Zabójstwo zostało dokonane nie przez okno, lecz w pokoju, jak ustala w sposób niezbity śledztwo i ekspertyza. Pod tym względem nie może być żadnych wątpliwości.

Mitia był okropnie zdumiony.

- Ależ to niemożliwe, panowie! - zawołał, całkiem zbity z tropu - ja... ja nie wchodziłem... stanowczo, z całą stanowczością zapewniam was, że drzwi były zamknięte przez cały czas, póki byłem w ogrodzie, jak również gdy uciekałem. Ja tylko stałem pod oknem i przez okno go widziałem, to wszystko, to wszystko... Do ostatniej chwili pamiętam. A gdybym nawet nie pamiętał, to i tak bym wiedział, bo o umówionych znakach wiedziałem tylko ja i Smierdiakow, no i on, nieboszczyk, bez



znaków zaś nikomu by w świecie nie otworzył!

- Znaki? Jakież to znaki? - odezwał się prokurator z chciwym, niemal histerycznym zaciekawieniem, zapominając o swojej powściągliwej postawie.

Zapytał ostrożnie, jakby skradając się lękliwie. Od razu wyczuł ważny fakt, dotychczas nie znany, a równocześnie zląkł się, że Mitia może nie zechce o tym mówić.

- Toście, panowie, nie wiedzieli! - mruknął Mitia z szyderczym i złośliwym uśmiechem. - A co, jak nie powiem? Od kogo się dowiecie? Bo o znakach wiedział tylko nieboszczyk, ja i Smierdiakow, tylko my, no i Pan Bóg jeszcze wiedział, ale On wam nie powie. A sam fakt ciekawy, diabli wiedzą, co można na nim zbudować, cha, cha! Pocieszcie się, panowie, powiem wam, głupie są wasze myśli. Nie wiecie, z kim macie do czynienia! Macie do czynienia z takim podsądnym, który sam przeciwko sobie świadczy. Na własną szkodę! Tak, bo jestem człowiekiem honoru, czego nie można o was powiedzieć!

Prokurator przełknął wszystkie gorzkie pigułki, drżał z niecierplivej chęci poznania nowych okoliczności. Mitia szczegółowo i dokładnie wtajemniczył ich w system znaków, ustalony między Fiodorem Pawłowiczem a Smierdiakowem, wyjaśnił, co mianowicie oznaczało każde stuknięcie, zilustrował to nawet na stole, i na zapytanie Mikołaja Parfienowicza, czy on sam wówczas wystukał znak, że „Gruszeńka przysła”, dał odpowiedź twierdzącą.

- Macie, panowie, teraz budujcie wieżę! - zakończył Mitia i odwrócił się od nich z pogardą.

- I o tych znakach wiedział tylko nieboszczyk ojciec pana, pan i służący Smierdiakow? I nikt więcej? - jeszcze raz zapytał Mikołaj Parfienowicz.

- Tak, służący Smierdiakow i jeszcze Pan Bóg. Zapiszcie, że i Pan Bóg; to nie jest zbyt duża uwaga. I wam, panowie, przyda się Pan Bóg.

Oczywiście o znakach starannie zapisano; lecz w toku zapisywania prokurator, jak gdyby wpadłszy nagle na nową myśl, powiedział:

- Jeżeli o tych znakach wiedział również Smierdiakow, a pan stanowczo przeczy oskarżeniu, to czy nie Smierdiakow, wystukawszy umówione znaki, skłonił pańskiego ojca do otwarcia drzwi, a następnie... sam dokonał zbrodni?

Mitia obrzucił go szyderczym, a zarazem straszliwie nienawistnym spojrzeniem. Patrzał tak długo, aż prokurator zamrugał.

- Znowuście złapali lisa! - odrzekł wreszcie Mitia. - I ścisnęliście łajdaka za ogon, he, he! Widzę pana na wylot, panie prokuratorze! Pan myślał, że ja zaraz zerwę się z miejsca, uczepię myśli, którą mi pan podsuwa, i wrzasnę na całe gardło: „Tak, to Smierdiakow, to on zabił!” Niech pan przyzna, że pan tak myślał, niech pan przyzna. Tylko pod tym warunkiem będę mówił dalej. Ale prokurator nie przyznał. Milczał i czekał.

- Pomylił się pan, nie zawołam, że to Smierdiakow! - rzekł Mitia.

- I nie posądza go pan nawet?

- A pan go posądza?

- Posądzaliśmy i jego.

Mitia utkwiał wzrok w podłódze.

- Żarty na bok - rzekł ponuro - słuchajcie, panowie: od razu na samym początku, wtedy jeszcze, kiedy do was wybiegłem z za tej zasłony, przemknęła mi nagle myśl: „Smierdiakow!” Kiedy tu siedziałem przy stole i krzychałem, że nie jestem winien, sam wciąż myślałem: „Smierdiakow!” Nie mogłem się opędzić tej myśli. Wreszcie teraz pomyślałem: „Smierdiakow”, ale tylko na sekundę, bo od razu przyszło mi do głowy: „Nie, to nie Smierdiakow!” To nie jego sprawka, panowie!

- Czy wobec tego nie posądza pan kogo innego? - zapytał ostrożnie Mikołaj Parfienowicz.

- Nie wiem kto, ręka Boga czy szatana, ale... nie Smierdiakow! - powiedział stanowczo Mitia.

- Ale czemu pan tak stanowczo i z takim naciskiem twierdzi, że to nie on?

- Takie mam przekonanie. Takie wrażenie. Bo Smierdiakow to człowiek nikczemnej natury i podły tchórz. To nie tchórz, to wcielenie wszelkiego tchórzostwa chodzącego na dwu nogach. Zajęcze serce. Kiedy ze mną mówił, dygotał ze strachu, że go zakatrupię, chociaż nawet ręki na niego nie podniosłem. Padał mi do nóg i płakał, całował te oto buty literalnie, błagając, żebym go „nie straszył”! Słyszycie: „nie straszył” - cóż to za słowo? A ja go nawet, owszem, obdarowywałem. Ta zdechła kura, ten głupawy epileptyk, którego ośmioletni chłopczyk mógłby jednym palcem powalić - czy to jest człowiek? To nie Smierdiakow, panowie, on zresztą wcale pieniędzy nie lubił, podarunków ode mnie w ogóle nie brał... I po cóż by miał zabijać starego? Przecież był może jego synem, synem naturalnym, rozumiecie, panowie?

- Słyszeliśmy tę historię. Ale pan jest przecież synem i swego ojca, a mówił pan wszystkim, że go chce zabić.

- Kamień do mojego ogródka! Nikczemny, paskudny kamień! Nie boję się! O, panowie, zbyt nikczemnie wypominać mi to w oczy! Dlatego nikczemnie, że ja to sam panom mówiłem. Nie tylko chciałem zabić, ale mogłem go zabić, jeszcze sam przeciw sobie świadczyłem, że o mały włos go nie zabiłem! Ale nie zabiłem go, uratował mnie mój anioł stróż! Tegoście, panowie, nie wzięli pod uwagę... Dlatego to jest nikczemność, nikczemność! Bo ja go nie zabiłem, nie zabiłem, nie zabiłem! Słyszycie pan, panie prokuratorze: nie zabiłem!

Zabrakło mu tchu. Tak wzburzony nie był jeszcze przez cały czas badania.

- A co on panom powiedział, ten Smierdiakow? - rzekł wreszcie po chwili. - Czy mogę o to zapytać?

- Może pan pytać o wszystko - surowo i oschle odparł prokurator - o wszystko, co dotyczy

faktycznej strony sprawy, a my, powtarzam panu, jesteśmy obowiązani odpowiedzieć na każde pańskie pytanie. Zastaliśmy służącego Smierdiakowa, o którego pan pyta, w stanie niepoczytalnym. Leżał na łóżku, rażony niezwykle silnym, może dziesiątym z rzędu atakiem epilepsji. Lekarz, który był z nami, po zbadaniu stwierdził, że zapewne nie dożyje do rana.

- To w takim razie diabeł zabił mego ojca! - wyrwało się Miti, jak gdyby dotąd jeszcze się wahał: „Smierdiakow czy nie Smierdiakow?”

- Wróćmy jeszcze do tego faktu - zdecydował Mikołaj Parfienowicz - teraz zechce pan mówić dalej.

Mitia poprosił o parę chwil przerwy. Udzielono mu ich z całą uprzejmością. Odpocząwszy podjął swoje wynurzenia. Lecz przychodziło mu to z trudem. Był zmęczony, poniżony i wstrząśnięty moralnie. W dodatku prokurator, teraz już jakby umyślnie, szukał zaczepki, przyczepiał się do „drobiazgów”. Mitia zaczął od tego, jak siedząc na płocie, uderzył tłuczkiem po głowie Grzegorza, który trzymał go za lewą nogę, i jak potem zeskoczył z powrotem do ogrodu. Ledwo skończył, prokurator poprosił, aby szczegółowo opisał, w jaki sposób siedział na płocie. Pytanie zdziwiło Mitię.

- Ano tak siedziałem, okrakiem, jedna noga tu, druga tam...

- A tłuczek?

- Tłuczek w ręku.

- Nie w kieszeni? Na pewno pan pamięta? I cóż, uderzył pan z rozmachem?

- Chyba z wielkim, a dlaczego pan się pyta?

- Czyby pan nie zechciał usiąść na krześle w podobny sposób i pokazać nam naocznie, jak pan uderzył, w którą stronę pan się zamierzył?

- Czy nie drwi pan ze mnie? - odrzekł Mitia, patrząc wyniośle na prokuratora.

Ale ów ani mrugnął okiem. Mitia odwrócił się nerwowo, siadł okrakiem na krześle i zamierzył się ręką.

- Tak uderzyłem! Tak zabiłem! Cóż pan chce jeszcze?

- Dziękuję. Czy nie zechce pan teraz wyjaśnić, dlaczego właściwie pan zeskoczył, w jakim celu, o co panu mianowicie chodziło?

- Ano, do diabła... zeskoczyłem do powalonego... Nie wiem po co!

- Będąc tak wzburzony? I uciekając?

- Tak, wzburzony i uciekając.

- Chciał mu pan pomóc?

- Gdzie tam pomóc... A może i pomóc, nie pamiętam.

- Nie pamięta pan? To znaczy, że był pan poniekąd nieprzytomny?

- O nie, nic podobnego, wszystko pamiętam. Wszystko absolutnie. Zeskoczyłem, aby obejrzeć, i chusteczką krew mu ocierałem.

- Widzieliśmy tę chusteczkę. Miał pan nadzieję go uratować?

- Nie wiem, czy miałem nadzieję. Po prostu chciałem się przekonać, czy żyje.

- A, o tym się pan chciał przekonać? No i cóż?

- Nie jestem lekarzem, nie mogłem stwierdzić. Uciekłem z myślą, że go zabiłem, a tymczasem on przyszedł do siebie.

- Pięknie - zakończył prokurator. - Dziękuję panu. O to mi tylko chodziło. Zechce pan opowiadać dalej. Niestety, nie przyszło Miti na myśl opowiedzieć - chociaż doskonale to pamiętał - że zeskoczył do ogrodu z litości; że stanąwszy nad ogłuszonym Grzegorzem, wypowiedział kilka słów współczucia: „Dostało się staremu, cóż zrobić, niech sobie leży.” Prokurator zaś wywnioskował tylko jedno: że Mitia zeskoczył „w takiej chwili i w takim będąc wzburzeniu” tylko po to, aby się upewnić, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni. I że zatem cóż to za stanowczość, jaka zimna krew i wyrachowanie, żeby nawet w takiej chwili itd., itd. Prokurator był zadowolony: „Rozdrażniłem zboląłego człowieka drobiazgami i doprowadziłem do tego, że się wygadał.”

Mitia z trudem mówił dalej. Ale Mikołaj Parfienowicz przerwał mu znowu:

- Jakże pan mógł biec do służącej Fiedosji Markowny, mając tak zakrwawione ręce i twarz, jak to się później okazało?

- Ależ ja wcale nie zauważyłem, że jestem zakrwawiony! - odpowiedział Mitia.

- To prawdopodobne, to tak czasem bywa - odrzekł prokurator i spojrzał na sędziego.

- Właśnie, nie zauważyłem, pan to doskonale podchwycił, panie prokuratorze - pochwalił naraz Mitia.

Nastąpiła teraz opowieść o tym, jak Mitia postanowił nagle „usunąć się” i „dać drogę szczęśliwym”. Ale nie mógł już teraz, jak poprzednio, otwierać serca i opowiadać o „królowej swojej duszy”. Wstrętem go przejmowali ci chłodni, „wpijający się weń jak pluskwy” ludzie. Na powtórzone pytania rąbnął więc krótko i ostro:

- Ano, postanowiłem się zabić. Po co było żyć dalej: pytanie to nasuwało się samo. Zjawił się jej dawny, niewątpliwy jej krzywdziciel, przyjechał z miłością po pięciu latach, aby małżeństwem okupić krzywdę. I wówczas zrozumiałem, że wszystko dla mnie przepadło... Za mną szła hańba i ta

właśnie krew, krew Grzegorza... Po co żyć? Więc poszedłem wykupić pistolety, nabiłem, by nad ranem wpakować sobie kulę do mózgowicy...

- A przez noc hulanka co się zowie?

- Przez noc hulanka. Ech, do diabła, panowie, kończcie to prędzej. Zastrzelić się chciałem na pewno, o, tu niedaleko, za opłotkami, i skończyłbym ze sobą o piątej nad ranem, w kieszeni zaś miałem przygotowaną kartkę, napisałem ją u Pierchotina, kiedy nabijałem pistolety. Oto macie tę kartkę, przeczytajcie ją. Nie dla was to opowiadam! - dodał nagle z pogardą.

Wyjął kartkę z kieszeni kamizelki i rzucił ją na stół; sędziowie przeczytali ją z ciekawością i, jak tego przepisy wymagały, załączyli do akt.

- I nie przyszło panu do głowy, żeby umyć ręce, nawet wchodząc do pana Pierchotina? Zatem nie obawiał się pan podejrzeń?

- Jakich znowu podejrzeń? Podejrzenia czy nie, mimo wszystko ja bym tu przyjechał i o piątej zastrzelił się, i nikt by nie zdążył mi przeszkodzić. Bo gdyby nie wypadek z ojcem, nie bylibyście przecie nic wiedzieli, nie przyjechalibyście tu. O, to zrządzenie diabła, diabeł ojca zabił, przez diabła i tak byście prędko się dowiedzieli! Jakżeście tak prędko zdążyli? To dziwne, istny cud, fantazja!

- Pan Pierchotin powiedział nam, że pan, wchodząc do niego, trzymał w ręku... w zakrwawionych rękach... swoje pieniądze... dużo pieniędzy... plik sturubłówek, i że widział to również jego młody służący!

- Tak, panowie, zdaje się, że tak.

- Teraz nasuwa się jedno pytanie. Czy mógłby pan powiedzieć - zaczął Mikołaj Parfienowicz niezwykle miękko - skąd pan nagle wziął tyle pieniędzy, skoro, jak się okazuje i jak zresztą wynika z rachuby czasu, nie wstąpił pan do domu?

Prokurator skrzywił się z lekka: pytanie było postawione zbyt obcesowo. Ale nie przerwał Mikołajowi Parfienowiczowi.

- Nie wstąpiłem do domu - odpowiedział Mitia, na pozór bardzo spokojnie, lecz ze spuszczonej oczyma.

- Pozwoli pan zatem powtórzyć to pytanie - podjął, jak gdyby skradając się, Mikołaj Parfienowicz. - Skąd pan wziął naraz tyle pieniędzy, skoro, jak pan sam wyznał, jeszcze o piątej godzinie tego dnia...

- Nie miałem dziesięciu rubli i zastawiłem pistolety u Pierchotina, potem poszedłem do Chochłakowej po trzy tysiące, nie dostałem od niej i tak dalej - przerwał mu ostro Mitia - tak, panowie, potrzebowalem dziesięciu rubli, a teraz tysiące w ręku? Słuchajcie, panowie, przecie obaj teraz truchlejecie: „A jeżeli nie powie, skąd wziął?” Tak jest: nie powiem, panowie, zgadliście, nie dowiecie się - wyrwał Mitia z niezwykłą stanowczością.

Obaj prawnicy przez małą chwilę milczeli.

- Niech pan zrozumie, panie Karamazow, że ta wiadomość jest dla nas niezbędna - cicho i potulnie odezwał się Mikołaj Parfienowicz.

- Rozumiem, mimo to nie powiem.

Wtrącił się również prokurator i znowu stwierdził, że badany oczywiście ma prawo nie odpowiadać na pytania, jeżeli uważa, że to jest dla niego wygodniejsze, i tak dalej, ale biorąc pod uwagę szkodę, jaką oskarżony może sam sobie wyrządzić milczeniem, zwłaszcza w tak ważnej kwestii, która...

- I tak dalej, panowie, i tak dalej! Dość, słyszałem już to poprzednio! - znowu przerwał Mitia. - Sam rozumiem, jaka to ważna kwestia, rozumiem, że to najistotniejszy punkt, a jednak nie powiem.

- Cóż, to nie nasza sprawa, lecz pańska, pan sam sobie szkodzi - zauważył nerwowo Mikołaj Parfienowicz.

- Słuchajcie, panowie, żarty na bok - rzekł Mitia podnosząc oczy i patrząc na nich twardo. - Owszem, przeczuwałem od początku, że w tym punkcie stukniemy się głowami. Ale z początku, kiedy mówiłem o tamtych sprawach, wszystko to jeszcze było niewyraźne, jak we mgle. Byłem nawet tak naiwny, że zaproponowałem panom „wzajemne zaufanie”. Teraz sam widzę, że nie mogło być mowy o zaufaniu, bo i tak byśmy doszli do tego przeklętego muru! Ano doszliśmy! Dalej nie można, i basta! Zresztą nie biorę tego panom za złe, nie możecie mi przecież wierzyć na słowo, ja to doskonale rozumiem!

Umilkł nachmurzony.

- Czy nie mógłby pan, nie naruszając swego postanowienia, przynajmniej dać nam do zrozumienia: jakie mianowicie powody zmuszają pana do milczenia w tak niebezpiecznym momencie pańskich zeznań?

Smutny i zamyślony uśmiech pojawił się na twarzy Miti.

- Jestem o wiele lepszy, niż panowie sądzicie, powiem dlaczego i dam wam do zrozumienia, chociaż nie jesteście tego warci. Dlatego milczę, że tu kryje się moja hańba. Odpowiedź na pytanie: skąd wzięłem te pieniądze - zawiera taką hańbę, z którą nie może się równać nawet zabójstwo i ograbienie ojca, gdybym go istotnie zabił i ograbił. Dlatego nie mogę mówić. Z powodu hańby nie mogę. No cóż, panowie, chcecie to zapisać?

- Tak, zapiszemy - szepnął Mikołaj Parfienowicz.

- Nie powinniście tego zapisywać, o tej „hańbie”. Mówiłem to z dobroci, ale mogłem nie mówić, podarowałem to wam, że tak powiem, a wy od razu na papier. Ano piszcie, piszcie sobie, co się wam żywnie podoba - dodał z obrzydzeniem i pogardą - nie boję się was i... czuję się wyższy od was.

- A czy nie zechce pan powiedziec, jakiego to rodzaju hańba? - zapytał niewinnie Mikołaj Parfienowicz.

Prokurator okropnie się skrzywił.

- Ani mi się śni. *C'est fini*[16] nie trudźcie się, panowie. I nie warto się babrać. I tak się o was zapaćkałem. Nie jesteście warci tego ani wy, ani nikt... Dosyć, panowie, przerywam.

Powiedział to z całą stanowczością. Mikołaj Parfienowicz przestał nalegać, ale spojrzenie Hipolita Kiryłowicza mówiło wyraźnie, że nie stracił jeszcze nadziei.

- Czy nie może pan przynajmniej wyjaśnić, jaką pan miał kwotę, kiedy pan wchodził do pana Pierchotina, to znaczy, ile rubli?

- I tego nie mogę powiedziec.

- Zdaje się, że panu Pierchotinowi mówił pan o trzech tysiącach rubli, które jakoby dostał pan od pani Chochłakow?

- Może i mówiłem. Dosyć, panowie, nie powiem ile.

- Zechce pan w takim razie opowiedziec, jak pan tu przyjechał i co pan tutaj robił.

- Och, o to możecie tutejszych zapytać. A zresztą opowiem.

Nie będziemy już powtarzać tego opowiadania. Było oschłe i zwięzłe. Nie wspominał wcale o egzaltacji miłosnej. Powiedział tylko, że stracił chęć do samobójstwa „z powodu nowych faktów”. Nie motywował i nie wdawał się w żadne szczegóły. Zresztą sędziowie nie bardzo go niepokoiłi tym razem: widać było, że i dla nich nie jest to najważniejsze.

- Wszystko to sprawdzimy, wrócimy jeszcze do tego przy badaniu świadków, które oczywiście odbędzie się w pańskiej obecności - zakończył badanie Mikołaj Parfienowicz. - Teraz poprosimy pana, aby zechciał pan wyłożyć na stół całą posiadaną gotówkę i wszystkie inne rzeczy, które pan ma przy sobie.

- Pieniądze? Proszę bardzo, rozumiem, że tak być powinno. Dziwię się nawet, że przedtem panowie nie byli tego ciekawi. Prawda, nigdzie nie mogłem ich schować, siedzę tu, przy panach. Oto są moje pieniądze, przeliczcie, zabierzcie, zdaje się, że to wszystko.

Wyjął wszystko z kieszeni, nawet miedziaki wyciągnął z kieszonek kamizelki. Przeliczyli: było osiemset trzydzieści sześć rubli i czterdzieści kopiejek.

- I to wszystko? - zapytał sędzia.

- Wszystko.

- Zechciał pan powiedziec przedtem, że u Płotnikowów zostawił pan trzysta rubli.

Pierchotinowi dał pan dziesięć, dorożkarzowi dwadzieścia, tu przegrał pan dwieście, następnie...

Mikołaj Parfienowicz zliczył wszystko razem. Mitia chętnie mu pomagał. Przypomniawszy każdą wydaną kopiejkę. Mikołaj Parfienowicz biegle zsumował.

- Z tą gotówką było zatem koło tysiąca pięciuset?

- A więc tyle było - potwierdził Mitia.

- Dlaczego wszyscy twierdzą, że było o wiele więcej?

- Niech twierdzą.

- I sam pan to mówił.

- I sam mówiłem.

- Sprawdzimy to jeszcze przy badaniu świadków; a o pieniądze może pan być spokojny, zostaną złożone gdzie należy i będą panu zwrócone po zakończeniu sprawy... jeśli się okaże albo jeśli, że tak powiem, dowiedzie pan, że ma pan do nich bezsporne prawo. A teraz...

Mikołaj Parfienowicz wstał i oświadczył surowo Miti, „że jest zmuszony i powinien” poddać go surowej i dokładnej rewizji osobistej, że musi zrewidować ubranie jak również wszystko inne...

- Proszę bardzo, panowie, wywrócę wszystkie kieszenie, jeśli chcecie.

I rzeczywiście zaczął wywracać kieszenie.

- Trzeba koniecznie zdjąć ubranie.

- Jak to? Rozebrać się? Do diabła! Czy nie możecie tak zrewidować? Chyba można!

- Nie, nie możemy żadną miarą, Dymitrze Fiodorowiczu. Trzeba zdjąć ubranie.

- Jak sobie chcecie - odrzekł posępnie Mitia - tylko nie tu, za zasłoną. Kto będzie rewidował?

- Oczywiście, że za zasłoną - skinął głową Mikołaj Parfienowicz. Twarzyczka jego wyrażała nawet uroczystą powagę.

## VI PROKURATOR ZŁAPĄŁ MITIĘ

I zaczęło się coś, czego Mitia żadną miarą nie mógł się spodziewać, a co go niezmiernie zastanowiło i zdziwiło. Nawet chwilę przedtem nie mógł przypuszczać, że ktoś się odważy tak obejść



z nim, z Mitia Karamazowem! Przede wszystkim było to okropne poniżenie, a z ich strony „wyniosłość i pogarda”. Gdyby tylko musiał zdjąć surdut, ale nie, proszono go, aby się rozebrał. I właściwie nie proszono, lecz kazano; Mitia zrozumiał to doskonale. Z dumy i pogardy nie opierał się. Weszli za zasłonę; prócz Mikołaja Parfienowicza i prokuratora weszło też kilku chłopów, „aby w razie czego użyć przemocy - pomyślał Mitia - a może i w innym celu”.

- Cóż, może i koszulę zdjąć? - zapytał opryskliwie, ale Mikołaj Parfienowicz nie odpowiedział; on i prokurator byli pochłonięci oglądaniem surduta, spodni, kamizelki i czapki, i widać było, że oględziny te bardzo ich interesują. „Nie robią ze mną żadnych ceremonii - pomyślał Mitia - nawet nie przestrzegają zwykłych względów grzeczności.”

- Pytam pana po raz drugi: czy zdjąć koszulę? - jeszcze opryskliwiej i gniewniej powtórzył Mitia.

- Niech się pan nie denerwuje, powiem panu, kiedy trzeba będzie - odpowiedział Mikołaj Parfienowicz hardo. Tak przynajmniej wydawało się Miti.

Sędzia i prokurator naradzali się półgłosem. Na surducie, zwłaszcza na lewej stronie z tyłu, widoczne były ogromne plamy krwi, zeschnięte i sztywne. Podobnie na spodniach. Mikołaj Parfienowicz poza tym własnoręcznie w obecności strażników przesuwając palcami po szwach, wzdłuż kołnierza i mankietów, widocznie czegoś szukając - zapewne pieniędzy. Nie ukrywano przed Mitia, że posądza się go, iż mógł, iż był zdolny zaszyć pieniądze w ubranie. „Po prostu traktują mnie jak zwyczajnego złodzieja, a nie jak oficera” - zżymał się ze złości. Co więcej, dzielono się sposobami wyjątkowo szczerze, nie krępując się wcale jego obecnością. Na przykład sekretarz, który również tu się krzątał i harcował, zwrócił uwagę Mikołaja Parfienowicza na czapkę Miti. „Pamięta pan Gridenkę, pisarza? - rzekł - latem pojechał po pensję dla całej kancelarii, wrócił i zameldował, że pieniądze zgubił będąc pod dobrą datą. No i gdzie je znaleźniono? W tych właśnie szwach, w czapce, sturublówki były skręcone w rurkę i zaszyte w szwach.” Sędzia i prokurator pamiętali doskonale ten fakt, toteż odłożono czapkę jak również ubranie Miti i postanowiono poddać je szczegółowej rewizji w stosowniejszej chwili.

- Przepraszam - zawołał raptem Mikołaj Parfienowicz, zauważywszy założony mankiet prawego rękawa koszuli, splamiony krwią - przepraszam. Co to, także krew?

- Krew - odparł Mitia.

- Czyja... i dlaczego pan zawinął mankiet?

Mitia opowiedział, jak splamił mankiet, krzątając się przy Grzegorzu, i jak następnie zawinął mankiet u Pierchotina, kiedy mył ręce.

- Koszulę pana też trzeba będzie zabrać, to bardzo ważny... dowód rzeczowy.

Mitia zaczerwienił się i wpadł w gniew.

- Przecież nie będę tu sterczał nagi! - krzyknął.

- Niech pan będzie spokojny... jakoś to urządzimy, a tymczasem będzie pan łaskaw zdjąć skarpetki.

- Pan żartuje! Czy to naprawdę konieczne? - zawołał Mitia, rzucając gniewne spojrzenie.

- Teraz nie czas na żarty! - odparł surowo Mikołaj Parfienowicz.

- Cóż, jeśli trzeba... to... - bąkał Mitia, usiadł na łóżku i zaczął zdejmować skarpetki. Było mu nieznośnie przykro: wszyscy byli ubrani, tylko on rozebrany. Rzecz dziwna, będąc nagi, poczuł się istotnie winny wobec wszystkich, gorzej, godził się z tym nieledwie, że w istocie stał się niższy od wszystkich i że wszyscy mają teraz najzupełniejsze prawo pomiatać nim. „Kiedy wszyscy są rozebrani, to żaden wstyd, ale kiedy jeden jest rozebrany, a wszyscy patrzą - co za hańba! - pomyślał. - Jak we śnie, tylko we śnie czułem się nieraz tak zhańbiony.” Przykro mu było zdjąć skarpetki z innego jeszcze względu: były one bardzo brudne, tak samo jak i bielizna, i wszyscy to mogli stwierdzić. W dodatku Mitia wyjątkowo nie lubił swych nóg, sądził bowiem, że są niezwykle brzydkie; raził go zwłaszcza jeden gruby, płaski, zgięty ku dołowi paznokieć u prawej stopy. Teraz wszyscy mieli go oglądać. Z nieznośnego zawstydzenia zaczął nadrabiać grubiaństwem. Sam zerwał z siebie koszulę.

- Czy nie chcecie jeszcze gdzie poszukać, jeśli wam nie wstyd?

- Nie, na razie nie trzeba.

- Cóż, mam tu tak sterczeć nagi? - dodał pieniać się z wściekłości.

- Chwilowo to konieczne... Zechce pan tymczasem usiąść, może pan wziąć kołdrę z łóżka i owinać się, a ja... ja to wszystko załatwię.

Wszystkie rzeczy pokazano świadkom, sporządzono akt rewizji; wreszcie Mikołaj Parfienowicz wyszedł, a za nim wyniesiono ubranie. Hipolit Kiryłowicz także wyszedł. Z Mitią zostali tylko chłopci, stali w milczeniu, nie spuszczając z niego oka. Zawinał się w kołdrę, było mu zimno. Gołe jego nogi sterczały spod kołdry, starał się ją naciągnąć, ale w żaden sposób nie mógł. Mikołaj Parfienowicz jakoś długo, straszliwie długo nie wracał. „Jak szczeniaka mnie traktuje - zgrzytał zębami Mitia. - Ten łajdak prokurator też wyszedł, zapewne z pogardy, wstrętnie mu było patrzeć na nagusa.” Mitia przypuszczał jednak, że gdzieś tam obejrzą jego ubranie i przyniosą mu je z powrotem. Ale można sobie wyobrazić jego oburzenie, gdy Mikołaj Parfienowicz naraz wrócił z innym zgoła ubraniem, które niósł za nim chłop.

- Proszę, ma pan ubranie - rzekł swobodnie, widocznie bardzo zadowolony z dobrego wyniku swoich poszukiwań. - To pan Kałganow był tak uprzejmy, że panu wszystko pożyczył, nawet czystą koszulę. Na szczęście miał przy sobie w walizie zapasowe ubranie i koszulę. Bieliznę i skarpetki może pan zachować swoje.

Mitia zapienił się.

- Nie chcę cudzego ubrania! - krzyknął groźnie - oddajcie mi moje!

- To niemożliwe.

- Oddajcie mi moje, do diabła z Kałganowem, z jego ubraniem i z nim samym!

Namawiono go długo. Wreszcie jakoś się uspokoił. Wyperswadowano mu, że jego ubranie, jako zawalane krwią, musi być „załączone do dowodów rzeczowych”, że nie ma się nawet prawa zwrócić mu go „mając na uwadze ewentualny wynik sprawy”. Mitia wreszcie jakoś to zrozumiał. Milczał, zasepiony, i w końcu zaczął się ubierać. Zauważył tylko, że ubranie Kałganowa jest droższe od jego i że nie chciałby z niego „korzystać”. Oprócz tego było ośmieszająco wąskie. „Błazna będę w nim udawał... dla waszej przyjemności?”

I znowu wyperswadowano mu, że pan Kałganow jest niewiele wyższy od niego i że tylko spodnie będą może cokolwiek za długie. Ale tużurek istotnie okazał się za wąski w ramionach.

- Do diabła, zapiąć się trudno - warknął znowu Mitia - proszę was, panowie, powiedzcie w moim imieniu panu Kałganowowi, że go wcale nie prosiłem o ubranie i że wystrojono mnie jak pajaca.

- Pan Kałganow rozumie to bardzo dobrze i żałuje... oczywiście nie ubrania, ale ubolewa, że to wszystko tak wypadło... - bąkał Mikołaj Parfienowicz.

- Gwiżdżę na jego ubolewanie! Dokąd teraz? Czy też mam ciągle tu siedzieć?

Poproszono go znowu do „tamtego” pokoju. Mitia wyszedł, zasepiony i zły, starając się nie patrzeć na nikogo. W cudzym ubraniu czuł się do reszty zhańbiony, nawet wobec tych chłopów i Tryfona Borysycza, którego twarz nagle pojawiła się w drzwiach i momentalnie znikła. „Przyszedł popatrzeć na przebierańca” - pomyślał Mitia. Usiadł na poprzednim miejscu. Męczyła go jakaś nedorzeczna zmora, zdawało mu się, że postradał zmysły.

- No i cóż teraz, różgami okładać zaczniecie czy co, nic innego już nie pozostało - zgrzytnął, zwracając się do prokuratora.

Do Mikołaja Parfienowicza nie chciał nawet się obrócić, nie raczył z nim mówić. „Zbyt uważnie oglądał moje skarpetki i kazał jeszcze, łajdak, wywrócić na drugą stronę, jak gdyby umyślnie chciał wszystkim pokazać, że noszę brudną bieliznę!”

- Wypada teraz przystąpić do badania świadków - odezwał się Mikołaj Parfienowicz, niejako odpowiadając na pytanie Dymitra Fiodorowicza.

- Tak - przytaknął prokurator w zamyśleniu, jakby zastanawiając się nad czymś.

- My, Dymitrze Fiodorowiczu, robiliśmy, co można było, dla pańskiego dobra - ciągnął dalej Mikołaj Parfienowicz - ale ponieważ odmówił pan stanowczo wyjaśnień co do tych pieniędzy, więc w danej chwili...

- Jaki to pierścień? - przerwał mu Mitia, jak gdyby otrząsając się z zadumy, i wskazał palcem na jeden z trzech grubych pierścieni, zdobiących prawą rączkę Mikołaja Parfienowicza.

- Pierścień? - powtórzył ze zdziwieniem Mikołaj Parfienowicz.

- Tak, ten... na środkowym palcu, z żyłkami, jaki to kamień? - powtórzył Mitia rozdrażnionym głosem jak uparte dziecko.

- To przydymiony topaz - uśmiechnął się Mikołaj Parfienowicz. - Chce go pan obejrzyć, to zdejmę...

- Nie, nie, niech pan nie zdejmuje! Nie trzeba... Do diabła... Panowie, zbrukaliście mi duszę! Czy naprawdę myślicie, że ukrywałbym przed wami, gdybym rzeczywiście zabił ojca, że kręciłbym, kłamał i taił? Nie, Dymitr Karamazow nie jest taki, on by tego nie zniósł, i gdyby zawinił, przysięgam, nie czekałby waszego przyjscia ani wschodu słońca, jak z początku zamierzał, lecz zabiłby się od razu, nie czekając świtu! Czuję to teraz. Przez dwadzieścia lat nie nabrałbym tyle doświadczenia, co przez tę przekłętą noc... I czy takim byłbym tej nocy i tej chwili nawet, tu z wami - czy tak bym mówił, czy tak bym się poruszał, tak bym patrzył na was i na świat, gdybym naprawdę był ojcobójcą, skoro nawet mimowolne, domniemane zabójstwo Grzegorza nie dawało mi spokoju przez całą noc? I nie ze strachu, o! nie tylko ze strachu przed waszą karą! Hańba! I wy chcecie, żebym ja takim kpiarzom jak wy, którzy nic nie widzą i w nic nie wierzą, takim ślepym kretom i kpiarzom odkrył i opowiedział jeszcze jedną moją podłość, jeszcze jedną hańbę, żebym opowiedział, choćby to miało mnie uratować? Ależ lepiej na katorgę! Ten, kto otworzył drzwi i wszedł przez te drzwi, ten go zabił i ograbił. Kto to - męczę się i gubię w domysłach, ale to nie Dymitr Karamazow, wieście o tym; to wszystko, co mogę wam powiedzieć, i dość już tego, dość, nie naprzykrzajcie mi się... Ześlijcie, zastrzelcie, ale przestańcie mnie drażnić. Nie mam nic więcej do powiedzenia, wezwijcie waszych świadków.

Mitia wypowiedział swój nieoczekiwany monolog najbardziej stanowczo i zdecydowanie. Prokurator wysłuchał wszystkiego z uwagą, po czym oziębło i spokojnie odezwał się takim tonem, jakby mówił o rzeczy najbardziej naturalnej:

- Właśnie co do tych otwartych drzwi, o których pan przed chwilą wspomniał, możemy panu przy sposobności teraz właśnie zakomunikować niezmiernie ciekawe, w najwyższym stopniu ważne dla nas i dla pana zeznanie starego, zranionego przez pana, Grzegorza Wasiliewicza. Wyraźnie i uporczywie stwierdził on, na nasze wielokrotne pytania, że w chwili gdy wyszedłszy na ganek i usłyszawszy w ogrodzie jakieś szmery, zdecydował się wejść do ogrodu przez otwartą furtkę - a było to, zanim zobaczył pana uciekającego, jak pan zeznał, od otwartego okna, w którym pan widział ojca - w tej chwili zauważył, obejrzawszy się na lewo i zobaczywszy istotnie otwarte okno, o wiele bliżej siebie otwarte na oścież drzwi, te właśnie, o których pan twierdził, że przez cały czas pobytu pana w ogrodzie były zamknięte. Nie ukrywam przed panem, że sam Wasiliewicz z całą stanowczością wnioskuje i świadczy, że to pan musiał wybiec tymi drzwiami, chociaż oczywiście nie widział na własne oczy, jak pan wybiegał, zauważył bowiem pana już w pewnej od siebie odległości, pośrodku ogrodu, uciekającego w kierunku płotu...

Mitia jeszcze w połowie tego przemówienia zerwał się z krzesła.

- Bzdury! - wrzasnął nieprzytomnie - bezczelne oszustwo! Nie mógł widzieć otwartych drzwi, bo były wówczas zamknięte... On łże!...

- Poczuję się do obowiązku powtórzyć panu, że stwierdził to z całą stanowczością. Nie ma pod tym względem żadnych wątpliwości. Upiera się przy tym. Pytaliśmy go kilkakrotnie.

- Tak jest, kilkakrotnie pytałem - potwierdził z przejęciem Mikołaj Parfienowicz.

- Nieprawda, nieprawda! To albo oszczerstwo, albo halucynacja wariata - krzyczał Mitia - po prostu majaczył z upływu krwi, z rany, przywidziało mu się, kiedy oprzytomniał... Dlatego bredzi.

- Tak, proszę pana, ale przecież zauważył otwarte drzwi nie wówczas, kiedy oprzytomniał, lecz jeszcze przedtem, kiedy z oficyny wchodził do ogrodu.

- Ależ to nieprawda, nieprawda, to niemożliwe! To on przez złość mnie oczernił... Nie mógł widzieć... Nie wybiegałem drzwiami - krzyczał Mitia, ledwo dysząc.

Prokurator zwrócił się do Mikołaja Parfienowicza i rzekł z całą powagą:

- Niech pan pokaże.

- Czy pan to zna? - rzekł Mikołaj Parfienowicz, kładąc na stół dużą, z grubego papieru kopertę z trzema pieczęciami, pustą i podartą z boku.

Mitia wlepił w nią wzrok.

- To... to jest koperta ojca - wymamrotał - ta sama, w której leżały te trzy tysiące... i jeżeli jest napis, pan pozwoli: „Dla kurczątki...” tak: trzy tysiące - zawołał - trzy tysiące, widzicie, panowie?

- A jakże, widzimy, ale pieniędzy już nie znaleźliśmy; koperta była pusta i leżała na podłodze pod łóżkiem, za zasłoną.

Kilka sekund Mitia stał jak ogłuszony.

- Panowie, to Smierdiakow! - zawołał nagle na cały głos - to on zabił, on ukradł! Tylko on wiedział, gdzie stary schował kopertę... To on, teraz to rzecz jasna!

- Ale przecież i pan wiedział o istnieniu koperty i o tym, że leżała pod poduszką.

- Nigdy nie wiedziałem; nie widziałem jej nigdy na oczy, widzę teraz po raz pierwszy, przedtem tylko Smierdiakow mi opowiedział... On tylko wiedział, gdzie stary to chował, ja zaś nie wiedziałem - mówił Mitia zdyszonym głosem.

- A jednak zeznawał pan poprzednio, że koperta leżała pod poduszką nieboszczyka ojca pańskiego. Powiedział pan wyraźnie, że pod poduszką, a zatem wiedział pan, gdzie ona leży.

- Tak właśnie zapisaliśmy! - potwierdził Mikołaj Parfienowicz.

- Bzdury, nedorzeczność! Nie wiedziałem, że pod poduszką. A może zresztą wcale nie pod poduszką... Tak sobie mówiłem, że tam leżała. Co mówi Smierdiakow?

Czy panowie go pytali, gdzie leżała koperta? Co mówi Smierdiakow? To rzecz najważniejsza... A ja umyślnie nakłamałem przeciw sobie... Skłamałem panom bezmyślnie, że leżała pod poduszką, a panowie teraz... No wiecie, panowie, jak to się zerwie czasem coś z języka i mimo woli człowiek skłamie. Wiedział zaś tylko Smierdiakow, tylko jeden Smierdiakow, i nikt więcej!... On nawet mnie nie chciał powiedzieć, gdzie leży koperta! Ależ to on, to on; to na pewno on zabił, teraz to jasne jak słońce - wołał Mitia coraz nieprzytomniej, coraz chaotyczniej, zacinając się w gniewie. - Zrozumcież to panowie, i aresztujcie go czym prędzej, czym prędzej... Zabił go właśnie wtedy, kiedy ja uciekałem i kiedy Grzegorz leżał nieprzytomny, to teraz jasne... Wystukał znak i ojciec mu otworzył... Bo tylko on wiedział o tym znaku, a ojciec bez znaku nie otworzyłby nikomu...

- Ale znowu pan zapomina o tej okoliczności - powściągliwie, ale z jakąś zwycięską satysfakcją zauważył prokurator - że nie trzeba było wcale dawać znaku, skoro drzwi były otwarte, przecie kiedy pan był w ogrodzie...

- Drzwi, drzwi! - bełkotał Mitia i milcząc wlepił wzrok w oczy prokuratora; osłabł nagle i osunął się na krzesło.

Zapanowało milczenie.

- Tak, drzwi!... To przywidzenie! Bóg jest przeciwko mnie! - zawołał patrząc przed siebie bezmyślnie.

- Otóż widzi pan - odezwał się prokurator - niechże pan sam teraz powie, Dymitrze Fiodorowiczu: z jednej strony, to zeznanie o drzwiach otwartych, którymi pan wybiegł, co przynębia i pana, i nas; z drugiej strony, niepojęte, uporczywe i niemal zapamiętałe pańskie milczenie w kwestii pochodzenia tych pieniędzy, które tak nagle pojawiły się w pańskim ręku, podczas gdy trzy godziny wcześniej musiał pan, jak pan sam zeznał, zastawić pistolety, aby otrzymać zaledwie dziesięć rubli! Biorąc to wszystko pod uwagę, niechże pan sam rozstrzygnie: w co można wierzyć i na czym się opierać? I niechże pan nas nie uważa za „chłodnych cyników i szyderców”, którzy nie są w stanie wierzyć w szlachetne porywy pańskiej duszy. Niech pan wreszcie wnuknie w naszą sytuację...

Mitia był niezwykle wzburzony. Zbladł.

- Dobrze! - zawołał naraz - odkryję wam swoją tajemnicę, powiem, skąd wzięłem pieniądze!... Odślonię hańbę, aby potem nie skarżyć się ani na was, ani na siebie.

- I niech mi pan wierzy, Dymitrze Fiodorowiczu - jakimś zachwyconym, zadowolonym głosem wtrącił Mikołaj Parfienowicz - że każde szczere i całkowite zeznanie, złożone przez pana właśnie w obecnej chwili, może w przyszłości ogromnie wpłynąć na wymiar sprawiedliwości i poza tym...

Ale prokurator szturchnął go lekko pod stołem i Mikołaj Parfienowicz powstrzymał się w porę. Co prawda Mitia wcale go nie słuchał.

## VII

# WIELKA TAJEMNICA MITI. WYGWIZDALI

- Panowie - zaczął niezmiernie wzburzony - te pieniądze... chcę się przyznać całkowicie... te pieniądze były moje.

Prokurator i sędzia nie tego się spodziewali; nawet twarze im się wydłużyły.

- Jak to pańskie - wybąkał Mikołaj Parfienowicz - kiedy o piątej po południu, jak sam pan zeznał...

- Do diabła z piątą po południu i z własnym moim zeznaniem, nie o to teraz chodzi! Te pieniądze były moje, to znaczy skradzione... nie moje, lecz skradzione, skradzione przeze mnie, a było tego półtora tysiąca i miałem je przez cały czas przy sobie...

- A skąd je pan wziął?

- Z szyi, panowie, z tej szyi, z tej właśnie mojej szyi... tu one były, na szyi, zaszyte w szmatkę, i wisiały na szyi już od dawna, miesiąc już nosiłem je na szyi, ze wstydem i hańbą...

- Ale czyjeż to pieniądze pan przywłaszczył sobie?

- Chciał pan powiedzieć „ukradł”? Proszę, niech pan teraz mówi bez ogródek. Tak, uważam, że ukradłem, a jeżeli pan woli, to istotnie „przywłaszczyłem”. Ale, moim zdaniem, ukradłem, wczoraj wieczorem to już naprawdę ukradłem.

- Wczoraj wieczorem? Ale pan przed chwilą powiedział, że już cały miesiąc, jak pan je... miał!

- Ale nie ojcu, nie ojcu, niech pan będzie spokojny, nie ojcu ukradłem, lecz jej. Pozwólcie mi opowiedzieć i nie przerywajcie. Przecież i tak ciężko. Widzicie: miesiąc temu wezwała mnie Katarzyna Iwanowna Wierchowcew, moja była narzeczona... Znacie ją panowie?

- Ależ oczywiście!

- Wiem, że znacie. Arcyszlachetna dusza, najszlachetniejsza ze szlachetnych, ale mnie już dawno znieawidziła, o, dawno, dawno już... i słusznie mnie znieawidziła.

- To znaczy Katarzyna Iwanowna? - zapytał ze zdziwieniem sędzia śledczy.

Prokurator był zdziwiony.

- O, nie wymawiajcie jej imienia nadaremnie! Jestem szubrawcem, że ją tu wspominam. Tak, wiedziałem, że ona mnie nienawidziła... dawno już, od pierwszej chwili, jeszcze u mnie w mieszkaniu, tam... Ale dosyć, dosyć, niegodni jesteście, abym wam to opowiadał, i zresztą nie trzeba wcale... Dość, że wezwała mnie miesiąc temu, dała mi trzy tysiące, żebym wysłał jej siostrze i jeszcze jednej krewnej do Moskwy (jak gdyby sama nie mogła wysłać), a ja... było to właśnie w

owej fatalnej godzinie mego życia, kiedy... ano słowem, kiedy pokochałem inną, tę obecną, która siedzi teraz tam na dole, Gruszeńkę... Zawiozłem ją wówczas tutaj, do Mokrego, i we dwa dni przehulałem tu połowę tych przeklętych trzech tysięcy, to znaczy tysiąc pięćset, drugą zaś połowę zachowałem. I te właśnie tysiąc pięćset, które zachowałem, nosiłem przy sobie na szyi, jakby talizman, a wczoraj wyjąłem i przepuściłem. Osiemset rubli reszty ma pan teraz w ręku, Mikołaju Parfienowiczu, to wszystko, co zostało z wczorajszych pieniędzy.

- Pan pozwoli, więc jak to, przecie przehulał pan tu miesiąc temu trzy tysiące, a nie tysiąc pięćset, wszyscy o tym wiedzą?

- Kto liczył, kto wie, komu zdawałem rachunek?

- Wybaczy pan, ale pan sam wszystkim opowiadał, że przehulał pan wówczas całe trzy tysiące.

- Prawda, mówiłem, wszystkim mówiłem, i całe miasto mówiło, i wszyscy tak liczyli, że trzy tysiące. A jednak wydałem wówczas nie trzy, lecz tysiąc pięćset, drugą zaś połowę zaszyłem do woreczka i nosiłem niby talizman: tak było, panowie, stąd te wczorajsze pieniądze...

- To bardzo dziwne... - mruknął Mikołaj Parfienowicz.

- Pozwoli pan, że zapytam - odezwał się wreszcie prokurator - czy nie mówił pan o tym komu... to znaczy, że te tysiąc pięćset zachował pan miesiąc temu przy sobie?

- Nikomu nie mówiłem.

- To dziwne. Czy naprawdę nikomu?

- Nikomu absolutnie. Nikomu, nikomu.

- Ale po cóż ta dyskrecja? Dlaczego zrobił pan z tego taki sekret! Wyrażę się nieco dokładniej: wyjawiał pan nam wreszcie swoją tajemnicę, tak- „hańbiącą”, jak pan się wyraził, chociaż doprawdy - oczywiście mówiąc względnie - ów postępek, mianowicie przywłaszczenie sobie cudzych trzech tysięcy rubli, naturalnie chwilowo, postępek ów, powtarzam, moim zdaniem przynajmniej, jest w najwyższym stopniu lekkomyślny, ale nie tak hańbiący, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę pański charakter... Dajmy na to, że to postępek naganny, w najwyższym nawet stopniu, godzę się z tym, ale naganny to jeszcze nie hańbiący... To znaczy zmierzam do tego, że przez cały miesiąc mówiono już o tym w mieście, iż pan roztrwonił te trzy tysiące, będące własnością panny Wierchowcew, ja sam słyszałem tę legendę... Michał Makarowicz również na przykład słyszał. Słowem, to już nie legenda, to plotka obiegająca całe miasto. Poza tym są dane, że pan sam, jeśli się nie mylę, wyznał komuś, iż pieniądze te są własnością panny Wierchowcew... Toteż dziwi mnie teraz bardzo, że przywiązywał pan dotychczas, mianowicie do chwili obecnej, tak niezwykłą wagę do tego i że utrzymywał pan w takiej tajemnicy te odłożone, według pańskiego twierdzenia, tysiąc pięćset rubli, otaczając swoją tajemnicę taką grozą... Niepodobna, aby wyznanie takiej tajemnicy mogło kosztować pana tyle udręki... bo przecież pan wołał niedawno, że lepsza katorga od tego wyznania...

Prokurator umilkł. Był podniecony. Nie taił swego gniewu, prawie złości, wyłożył wszystko, nie



dbając o dobór słów, skutek czego przemówienie jego było chaotyczne i prawie mętne.

- Hańby nie stanowią same pieniądze, lecz ta okoliczność, że odłożyłem połowę - rzekł stanowczo Mitia.

- Ale - uśmiechnął się rozdrażniony prokurator - cóż w tym haniebnego, że z brzydko przywłaszczonych, albo, jeśli pan woli, haniebnie przywłaszczonych trzech tysięcy odłożył pan połowę wedle swego uznania? Ważniejszą rzeczą jest to, że pan przywłaszczył sobie te trzy tysiące, niż to, jak pan tę kwotę roztrwonił. Przy sposobności zapytuję pana, dlaczego pan właśnie tak zdecydował, to znaczy odłożył połowę? Po co, w jakim celu pan to zrobił, czy może pan wyjaśnić?

- O panowie, cały sęk w celu! - zawołał Mitia. - Odłożyłem z podłości, to znaczy z wyrachowania, albowiem wyrachowanie w takich wypadkach jest podłością... I cały miesiąc ciągnęła się ta podłość!

- Nie rozumiem.

- Podziwiam pana. A zresztą wyjaśnię to lepiej, może to naprawdę niezrozumiałe. Uważajcie, panowie, na to, co powiem: przywłaszczam sobie trzy tysiące, które mi zaufano, hulam za nie, przehulałem wszystko, nazajutrz przychodzę do niej, powiadam: „Katia, zawiniłem, przehulałem twoje trzy tysiące” - no co, czy to dobrze? Nie, niedobrze - nieuczciwie i tchórzliwie, bestia i po bestialsku niepohamowany, prawda, prawda? Ale bądź co bądź nie złodziej? Nie zwyczajny złodziej, nie zwyczajny, musicie to przyznać! Przehulał, ale nie ukradł! Teraz drugi, jeszcze wygodniejszy wypadek; uważajcie, panowie, bo gotów jestem znowu poplątać - w głowie mi się jakoś kręci - a więc drugi wypadek: przehulałem tutaj tylko półtora tysiąca z trzech, to znaczy połowę. Nazajutrz przychodzę do niej i przynoszę tę połowę: „Katia, weź ode mnie, łajdaka, lekkomyślnego szubrawca, tę połowę, ponieważ połowę przepuściłem, przepuszczę zatem i tę, a więc dalej od pokusy!” Ano, cóż w takim wypadku? Wszystko, co wam się podoba, i bestia, i szubrawiec, ale już nie złodziej, bo gdyby był złodziejem, to na pewno by nie odniósł tej połowy, lecz po prostu przywłaszczył ją sobie również. Tu zaś ona widzi, że chociaż odniósł tylko połowę, zwróci również tę połowę roztrwonioną, całe życie będzie się o to starać, pracować, ale w końcu zdobędzie i zwróci. W ten sposób jest łajdakiem, ale nie złodziejem, nie złodziejem, kim chcecie, panowie, ale nie złodziejem!

- Przypuśćmy, że jest pewna różnica - uśmiechnął się chłodno prokurator. - Ale dziwi mnie, że pan dopatruje się w tym aż tak ważnej różnicy.

- Tak, dopatruję się aż tak ważnej różnicy! Łajdakiem może być każdy i jest nim w istocie, ale złodziejem może być nie każdy, tylko arcyładaco. Ano, ja takich subtelności nie potrafię... Tylko że złodziej jest podlejszy od łajdaka, oto moje przekonanie. Niechże pan posłucha: cały miesiąc noszę przy sobie pieniądze, każdego dnia mogę je zwrócić i przestanę być łajdakiem, a jednak nie mogę się zdecydować, tak jest, chociaż każdego dnia postanawiam sobie, każdego dnia popycham siebie do tego: „Zdecyduj się, zdecyduj się, łotrze” - otóż przez cały miesiąc nie mogę się zdecydować, tak! Cóż, tak jest dobrze, zdaniem pana?

- Przypuśćmy, że nie bardzo, doskonale to potrafię zrozumieć i temu nie przeczę - powściągliwie odpowiedział prokurator. - I w ogóle dajmy pokój tym subtelnościom i różnicom, i

wróćmy do rzeczy, jeśli pan pozwoli. Chodzi mianowicie o to, że pan jeszcze nie zechciał nam wyjaśnić, chociażśmy o to pytali: dlaczego pan z początku podzielił w ten sposób te trzy tysiące rubli, to znaczy, połowę przehulał, a połowę schował? Właściwie dlaczego pan schował, na co pan chciał użyć tej gotówki? Proszę stanowczo o odpowiedź. Dymitrze Fiodorowiczu.

- Ach, tak, istotnie! - zawołał Mitia, uderzając się w czoło - wybaczy pan, ja pana męczę, a najważniejszą rzecz pomijam milczeniem, bo przecież to pozwoli panu natychmiast wszystko zrozumieć, bo przecież cel, cel właściwie stanowi o hańbie! Widzi pan, ten stary, nieboszczyk, wciąż tylko niepokoił Agraftenę Aleksandrownę, a ja byłem zazdrosny, myślałem, że ona waha się, kogo wybrać, mnie czy jego; więc każdego dnia myślałem sobie: „Co będzie, jeżeli ona nagle postanowi, jeżeli przestanie mnie męczyć i nagle powie mi: «Kocham ciebie, a nie jego, i wywieź mnie na kraniec świata.» Przecież miałem w majątku wszystkiego dwadzieścia kopiejek; za co ją wywiozę, co wówczas pocznę - przecież zginę marnie.” Bo nie znałem jej wówczas i nie rozumiałem, myślałem, że zależy jej na pieniądzach, że nigdy nie wybaczy mi mego ubóstwa. I oto podstępnie odliczam połowę z tych trzech tysięcy i z zimną krwią zaszywam je, jeszcze przed hulanką, a potem, jak już zaszyłem, za połowę jadę hulać! Nie, proszę panów, to jest podłość! Zrozumiał pan teraz?

Prokurator głośno się roześmiał. Sędzia śledczy zawtórował mu.

- Moim zdaniem, to nawet rozsądnie i moralnie, że pan powstrzymał się i nie wszystko przehulał - chichotał Mikołaj Parfienowicz - bo i cóż w tym złego?

- To, że ukradłem, o to mi chodzi! O Boże, przerażacie mnie, panowie, waszym nierozumieniem! Póki nosiłem te pieniądze na piersiach, co dzień i co godzinę mówiłem sobie: „Jesteś złodziejem, jesteś złodziejem!” Dlatego tak awanturowałem się w tym miesiącu, dlatego biłem się w szynku, dlatego pobiłem ojca, bo czułem się złodziejem! Nawet Aloszy, memu bratu, nie śmiałem mówić o tych pieniądzach: do takiego stopnia czułem się łajdakiem i oszustem! Ale niech pan wie, że póki je nosiłem, o każdej porze, każdego dnia powtarzałem sobie: „Nie, Dymitrze Fiodorowiczu, może jeszcze nie jesteś skończonym złodziejem.” Dlaczego? Dlatego że możesz jutro pójść i zwrócić te tysiąc pięćset rubli Kati. I oto wczoraj dopiero zdecydowałem się zerwać z szyi ten mój talizman, gdy biegłem od Fieni do Pierchotina, do tej chwili nie odważyłem się, i ledwo zerwałem talizman z szyi, stałem się ostatecznie i niewątpliwie złodziejem, złodziejem i niehonorowym człowiekiem na całe życie. Dlatego że wraz z talizmanem zerwałem również moje marzenie, że pójdę do Kati i powiem: „Jestem łajdakiem, ale nie złodziejem!” Rozumiecie mnie teraz, panowie, rozumiecie?

- I czemuż to pan zdecydował się na to właśnie wczoraj wieczorem? - przerwał Mikołaj Parfienowicz.

- Czemu? Śmieszne pytanie: ponieważ skazałem siebie na śmierć i wyrok miałem wykonać tutaj, dziś, o piątej nad ranem. „Przecie to wszystko jedno - pomyślałem sobie - umierać jako łajdak czy jako człowiek honoru!” Ale nie, okazało się, że to nie wszystko jedno. Dacie wiarę, panowie, nie to mnie najbardziej dręczyło tej nocy, że zabiłem starego sługę i że grozi mi Syberia, i to kiedy? - kiedy urzeczywistniła się moja miłość i kiedy znowu otwarło się dla mnie niebo! O, to mnie dręczyło, ale nie tak: nie tak, jak ta przeklęta świadomość, że zerwałem w końcu z piersi te przeklęte pieniądze, że je przehulałem i że zatem jestem ostatecznie złodziejem! O, panowie, zapewniam was z całego serca: wiele nauczyłem się tej nocy! Nauczyłem się, że nie tylko nie można żyć w podłości, ale i umierać

nie można... Nie, panowie, trzeba umierać uczciwie!...

Mitia był blady. Straszne wyczerpanie odbiło się na jego twarzy, pomimo ogromnego podniecenia.

- Zaczynam pana rozumieć, Dymitrze Fiodorowiczu - miękko i jak gdyby nawet ze współczuciem rzekł prokurator, z lekka przeciągając słowa - ale swoją drogą to wszystko, według mego zdania, to tylko nerwy... pańskie przeczulone nerwy. I dlaczegóż pan na przykład, żeby uwolnić się od tych mąk, trwających cały miesiąc, dlaczego nie poszedł pan wprost i nie zwrócił pieniędzy tej osobie, która je panu zawierzyła - bo i czemuż pan nie miał ze względu na ówczesne swoje położenie, tak straszliwe, według pańskiego opisu, wypróbować kombinacji, która przecież narzucała się naturalnym biegiem rzeczy: to znaczy, po szlachetnym wyznaniu swego błędu, czemu nie miał pan prosić jej o pożyczanie potrzebnej panu na wydatki gotówki, tym bardziej że wspomniana osoba, mając tak szlachetne serce i widząc pańskie męki, na pewno by panu nie odmówiła, zwłaszcza gdyby pan zaproponował taką gwarancję, jaką chciał pan dać Samsonowowi i pani Chochłakow? Wszak pan dotychczas uważa tę gwarancję za pewną?

Mitia zaczerwienił się nagle.

- Czy naprawdę uważa mnie pan aż za takiego szubrawca? To niemożliwe, aby pan to mówił serio! - zawołał z oburzeniem, zaglądając prokuratorowi w oczy i jakby nie dowierzając własnym uszom.

- Zapewniam pana, że serio... Dlaczego pan myśli, że nie serio? - zdziwił się z kolei prokurator.

- O, jakie by to było podłe! Panowie, czy wiecie, że mnie tym męczycie! Proszę bardzo, zaraz wam wszystko powiem, niech i tak będzie, wypowiadam się teraz przed wami z całej swej piekielnej natury, i to tylko po to, aby was zawstydzić; zdziwicie się nawet, do jak wielkiej nikczemności może dojść zawilość uczuć ludzkich! Wierzcie, panowie, że sam wpadłem na tę kombinację, tę właśnie, o której pan teraz mówił, panie prokuratorze! Ależ, panowie, ja również powziąłem tę myśl w tym przeklętym miesiącu i już nawet postanowiłem iść do Kati, tak byłem podły! Ale iść do niej, wyznać jej moją zdradę i dla tej zdrady, dla zrealizowania tej zdrady, na wydatki związane ze zrealizowaniem tej zdrady prosić ją, Katię, o pieniądze (prosić, słyszycie, prosić!) i od razu uciec od niej z drugą kobietą, z jej rywalką, która jej nienawidzi i która ją znieważyla - pan wybaczy, ale chyba pan oszalał, panie prokuratorze!

- Oszalałem czy nie, ale rzeczywiście w pierwszej chwili nie zmiarkowałem, nie pomyślałem o niewieściej zazdrości... o ile tu istotnie mogła być zazdrość, jak pan twierdzi... ale istotnie coś Takiego tu zachodzi - uśmiechnął się prokurator.

- Ale to by już było takie łajdactwo - Mitia uderzył wściekle pięścią w stół - to by już tak śmierdziało, że doprawdy! A czy wiecie, że ona potrafiłaby dać mi te pieniądze, i dałaby, na pewno dała, żeby się zemścić, dałaby dla rozkoszy zemsty, z pogardy dla mnie by dała, bo to również piekielna dusza i kobieta wielkiego gniewu! Ja bym pieniądze wziął, o, wziąłbym, wziął i całe życie w takim razie... o Boże! Wybaczcie, panowie, dlatego tak krzyczę, że ta myśl jeszcze niedawno, dwa dni temu, kiedy w nocy czas traciłem z Legawym, ta myśl nurtowała mnie, i potem wczoraj, tak, i

wczoraj, przez cały wczorajszy dzień, pamiętam dobrze, aż do samego wypadku...

- Do jakiego wypadku? - wtrącił Mikołaj Parfienowicz ciekawie, ale Mitia nie słyszał pytania.

- Zrobiłem wam straszliwe wyznanie - zakończył posępnie. - Oceńcie je, panowie. Ale to nic jeszcze, nie wystarczy ocenić, trzeba je cenić, bo jeżeli nie zrobicie tego, to ono przejdzie mimo dusz waszych: to znaczy, że po prostu nie szanujecie mnie, panowie, ot co wam powiem, i umrę ze wstydu, że wyznałem to takim ludziom jak wy! O, ja się zastrzelę! Tak, widzę już, widzę, że mi nie wierzycie! Jak to, więc i to chcecie zapisać? - zawołał z łękiem.

- To, co pan teraz powiedział - Mikołaj Parfienowicz popatrzał nań ze zdziwieniem - mianowicie, że do ostatniej chwili wybierał się pan do panny Wierchowcew, aby poprosić o tę pożyczkę... Zapewniam pana, że to bardzo ważny dla pana dowód, Dymitrze Fiodorowiczu, to znaczy cały ten wypadek... zwłaszcza dla pana bardzo ważny, zwłaszcza dla pana.

- Ale zlitujcie się, panowie - załamał ręce Mitia - przynajmniej tego nie zapisujcie, wstydzicie się, panowie! Przecież, rzecz można, całą moją duszę rozdarłem na pół przed wami, a wyście to wykorzystali i grzebiecie teraz palcami w samej ranie... O Boże!

Z rozpaczą ukrył twarz w dłoniach.

- Niech się pan tak nie denerwuje, Dymitrze Fiodorowiczu - odezwał się prokurator - wszystko, co teraz zapisujemy, sam pan później wysłucha, i jeżeli się pan nie zgodzi z czymś, to zmienimy. A teraz zadam panu po raz trzeci jedno małe pytanie: czyżby naprawdę nikomu pan nie mówił o tych zaszytych pieniądzech? Wie pan, że trudno to sobie nawet wyobrazić.

- Nikomu, nikomu, mówiłem już panu, widzę, że pan nic nie zrozumiał! Dajcie mi już pokój.

- Przepraszam, ta sprawa musi być wyjaśniona i jeszcze mamy na to dość czasu, ale na razie niech pan sam rozważy: mamy chyba kilkadziesiąt dowodów, stwierdzających, że pan wszędzie sam mówił, a nawet głośno krzyczał o tych trzech tysiącach, przehulanych przez pana, o trzech, nie półtora, a nawet obecnie dał pan do zrozumienia, że pan znowu przywiózł ze sobą trzy tysiące.

- Nie kilkadziesiąt, ale sto dowodów macie, dwieście dowodów, dwieście osób słyszało, tysiąc słyszało! - zawołał Mitia.

- Ano widzi pan, wszyscy świadczą, wszyscy świadczą. A chyba ma jakieś znaczenie słowo wszyscy?

- Żadnego nie ma znaczenia, zełgałem, a po mnie wszyscy zaczęli łągać.

- A po cóż było „łągać”, jak pan się wyraził?

- Diabli wiedzą. Dla przechwałek może... tak... że niby tyle pieniędzy przehulałem... Po to może, aby zapomnieć o tych zaszytych pieniądzech... tak, wiecie, że właśnie po to... do diabła... ileż to razy zadaje mi pan to pytanie? Ano, po prostu nałgałem, i basta, raz skłamałem i nie chciałem już potem prostować. Czy to można kiedy wiedzieć, dlaczego człowiek kłamie?

- Bardzo trudno powiedzieć, Dymitrze Fiodorowiczu, dlatego człowiek kłamie - rzekł z naciskiem prokurator. - Niechże mi jednak pan powie, czy duży był ten, jak go pan nazywa, talizman na pańskiej szyi?

- Nie, nieduży.

- Jakich na przykład rozmiarów?

- Jak złożony we dwoje banknot sturublowy.

- A może by pan nam pokazał tę szmatkę? Chyba ma pan przy sobie.

- Ech, do diabła... takie głupstwa... nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

- Ale przepraszam: gdzie i kiedy zdjął ją pan z szyi? Przecież, jak pan sam mówił, nie wstępował pan do domu?

- Kiedy wyszedłem od Fieni i udałem się do Pierchotina, po drodze właśnie zerwałem ją z szyi i wyjąłem pieniądze.

- Po ciemku?

- A na cóż tu świeczka? Jednym palcem w sekundę to zrobiłem.

- Bez nożyczek, na ulicy?

- Na placu, zdaje się, a po co nożyczki? Stara szmatka, od razu się przedarła.

- Gdzie pan ją później podział?

- Zaraz ją wyrzuciłem.

- Gdzie mianowicie?

- Ależ na placu, gdzieś na placu! Diabli wiedzą, w którym miejscu. I na cóż to panu?

- To bardzo ważne, Dymitrze Fiodorowiczu: dowód rzeczowy, przemawiający na pańską korzyść, że też pan tego nie chce zrozumieć! Kto panu pomógł zaszyć w zeszłym miesiącu?

- Nikt nie pomagał, sam zaszyłem.

- Umie pan szyć?

- Żołnierz musi umieć szyć, a zresztą to niewielka umiejętność.

- Skąd pan wziął materiał, to znaczy ową szmatkę, w którą pan zaszył pieniądze?

- Czy pan się śmieje?

- Bynajmniej, nie mamy powodu do śmiechu, Dymitrze Fiodorowiczu.

- Nie pamiętam, skąd wziąłem szmatkę, skądś ją wziąłem.

- Jak można takich rzeczy nie pamiętać?

- Jak Boga kocham, nie pamiętam, może podarłem jakąś sztukę bielizny.

- To bardzo ciekawe: w pana mieszkaniu powinna się znaleźć ta sztuka, może to koszula, od której pan oderwał kawałek? Z czego była ta szmatka? Z płótna?

- Diabli wiedzą z czego. Zaraz... Zdaje się, że nie odrywałem. Była z perkalu... Zdaje się, że zaszyłem w czepek gospodyni.

- W czepek gospodyni? - Tak, ściągnąłem go.

- Jak to ściągnął pan?

- Widzi pan, teraz pamiętam, ściągnąłem czepek, szukając gałganka, zdaje się, po to, aby pióro wytrzeć. Ściągnąłem po kryjomu, bo już był stary, bezużyteczny, a później te pieniądze zaszyłem... Tak, zdaje się, że to był taki gałganek. Stara perkalowa szmatka, tysiąc razy prana.

- Pamięta pan na pewno?

- Nie wiem, czy na pewno. Zdaje się, że to był czepek, zresztą pal sześć!

- W takim razie przynajmniej gospodyni pana może stwierdzić, że zginął jej czepek.

- Wcale nie, właśnie że nie zauważyła. Stara szmatka, powiadam panu, grosza niewarta.

- A skąd pan wziął igłę, nici?

- Odmawiam odpowiedzi, nie chcę, dosyć. Dosyć! - rozzłościł się wreszcie Mitia.

- Dziwne to naprawdę, że pan tak całkiem zapomniał, w którym miejscu rzucił pan ten... talizman.

- Niech pan każe jutro plac wymieść, to może się znajdzie - uśmiechnął się Mitia. - Dość, panowie, dość - dodał zmęczonym głosem. - Widzę jasno: nie uwierzyliście mi, panowie! Nic a nic, ani na jotę. Moja to wina, nie wasza, nie trzeba było się pchać. Dlaczego, dlaczego zohydziłem się dobrowolnie, odsłaniając wam swoją tajemnicę! A was to śmiechem przejmuję, z oczu wam to patrzy. To pan, panie prokuratorze, doprowadził mnie do tego! Śpiewajcie sobie hymn pochwalny, jeśli możecie... Bądźcie przekłęci, dręczyciele!

Spuścił głowę i zasłonił twarz rękami. Prokurator i sędzia milczeli. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na nich jakoś bezmyślnie. Na twarzy jego malowała się ostateczna, beznadziejna desperacja. Siedział spokojnie, zapatrzony i nieobecny duchem. Tymczasem trzeba już było zakończyć sprawę:

wypadało rozpocząć badanie świadków. Była już ósma rano. Dawno zgaszono świece. Michał Makarowicz i Kałganow, którzy w czasie badania wciąż wchodzili i wychodzili, teraz gdzieś przepadli. Prokurator i sędzia śledczy mieli także bardzo zmęczone twarze. Dzień był słotny, niebo pokryte chmurami i deszcz lał jak z cebra. Mitia bezmyślnie patrzył w okno.

- Czy mogę popatrzeć przez okno? - zapytał nagle Mikołaja Parfienowicza.

- Och, ile tylko się panu podoba - odpowiedział sędzia.

Mitia wstał i podszedł do okna. Deszcz siekł o małe zielonkawe szybki. Tuż pod oknem biegł zabłocony gościniec, dalej we mgle deszczowej widać było czarne, ubogie, nędzne rzędy chat, które w deszczu wyglądały jeszcze nędzniej i marniej. Mitia przypomniał sobie „złotowłosego Feba”, którego pierwsze promienie zamierzał uczcić samobójstwem. „W taki ranek byłoby może lepiej” - uśmiechnął się i naraz, machnąwszy ręką, odwrócił się ku swoim „dręczycielom”.

- Panowie! - zawołał. - Przecież widzę, że zginąłem. Ale ona? Powiedźcie mi, co z nią się dzieje, błagam was, czy i ona ma zginąć wraz ze mną? Przecież ona jest niewinna, przecież ona nie zawiniła, wbrew temu, co wczoraj nieprzytomnie krzyczała. Nic a nic nie zawiniła! Całą noc martwiłem się, siedząc tu z panami... Czy nie możecie mi powiedzieć, co z nią teraz zrobicie?

- Pod tym względem niech pan będzie zupełnie spokojny, Dymitrze Fiodorowiczu - odrzekł natychmiast bardzo skwapliwie prokurator - nie mamy na razie najmniejszych powodów do niepokojenia tej pani, którą się pan tak interesuje. Mamy nadzieję, że to się i nadal nie zmieni... Wręcz przeciwnie, zrobimy w tym kierunku wszystko, co jest w naszej mocy. Niech pan będzie zupełnie spokojny.

- Panowie, dziękuję wam, wiedziałem, że jesteście mimo wszystko uczciwymi i sprawiedliwymi ludźmi, mimo wszystko. Zdjęliście mi ciężar z serca... Ano, cóż teraz będziemy robić? Jestem gotów.

- Trzeba się śpieszyć. Należy teraz bez zwłoki przystąpić do badania świadków. Powinno się to odbyć bezwarunkowo w obecności pana, toteż...

- A czy przedtem nie napijemy się herbatki? - przerwał Mikołaj Parfienowicz. - Zasłużyliśmy przecie na to!

Zdecydowano, że jeżeli jest na dole herbata (prawdopodobnie Michał Makarowicz zszedł właśnie na herbatę), to wypije się po szklaneczce, a następnie „przystąpi się do dalszej pracy”. Właściwą herbatę i „zakąski” odłoży się do wolniejszej chwili. Herbata w istocie była gotowa i wkrótce przyniesiono ją na górę. Mitia zrazu odmówił przyjęcia herbaty, którą zaproponował mu uprzejmie Mikołaj Parfienowicz, ale potem sam o nią poprosił i wypił chciwie. Miał jakoś dziwnie zmęczony wygląd. Zdawałoby się, że będąc tak silny, nie powinien zbyt odczuwać mtręgi jednej przehulanej nocy, choćby to nawet było połączone z tak oszałamiającymi wrażeniami. A jednak czuł, że ledwo siedzi, chwilami zaś doznawał zawrotu głowy i wszystkie przedmioty zaczynały mu wirować przed oczami. „Jeszcze trochę, a zacznę majaczyć” - pomyślał.

## VIII ZEZNANIA ŚWIADKÓW. DZIECIOK

Zaczął się badanie świadków. Lecz nie będziemy tego powtarzali z dotychczasową dokładnością. Nie będziemy więc powtarzali, jak Mikołaj Parfienowicz mówił do każdego po kolei świadka, że ów powinien świadczyć w zgodzie z prawdą i sumieniem i że co teraz powie, będzie musiał potwierdzić następnie pod przysięgą. Nie będziemy również opowiadali, jak każdy świadek podpisywał swoje zeznania itd., itd. Zwrócimy tylko uwagę, że najważniejszym punktem badania, skupiającym całą uwagę badających, była kwestia owych trzech tysięcy. Chodziło o stwierdzenie, czy Dymitr Fiodorowicz po raz pierwszy, podczas pierwszej mianowicie hulanki w Mokrem, miał trzy tysiące, czy połowę tego, a także czy miał trzy tysiące, czy tysiąc pięćset teraz, podczas drugiej hulanki. Niestety, wszystkie zeznania bez wyjątku przemawiały przeciw Miti, a niektóre nawet dorzucały nowe, niezmiernie ciekawe fakty, obalające wręcz zeznania oskarżonego. Pierwszego zbadano Tryfona Borysycza. Stał przed sędziami bez żadnej trwogi, owszem, z surową i poważną miną, pełen oburzenia na obwinionego, co tym bardziej podkreślało jego prawdomówność i godność osobistą. Mówił niewiele, powściągliwie, czekał na pytania, odpowiadał dokładnie i z namysłem. Bez wahania, z całą stanowczością stwierdził, że miesiąc temu Dymitr Fiodorowicz nie mógł wydać mniej niż trzy tysiące, że wszyscy chłopci tutejsi mogą potwierdzić, iż słyszeli o trzech tysiącach od samego „Mitrija Fiodorycza”. „Cygankom ile pieniędzy rozdarował! Na pewno przeszło tysiąc rubli.”

- Nawet pięciuset nie dałem - posępnie wtrącił Mitia - nie liczyłem wtedy, pijany byłem, a szkoda...

Mitia siedział tym razem z boku, plecami do zasłony, słuchał posępnie, ze smutną i zmęczoną miną, jak gdyby mówiąc: „Ech, mówcie sobie, co chcecie, teraz mi już wszystko jedno!”

- Więcej niż tysiąc im kapnęło, Dymitrze Fiodorowiczu - odparł z przekonaniem Tryfon Borysowicz - szastał pan, nie patrząc, a oni podnosili. To naród chciwy, wiadoma rzecz, złodzieje i koniokrady, wypędzono ich stąd, a żeby nie to, sami mogliby zaświadczyć, ile wówczas od pana wyciągnęli. Sam widziałem w pańskim ręku pieniądze - liczyć nie liczyłem, pan mi nie dawał, to prawda, ale na oko pamiętam, o wiele więcej niż półtora tysiąca... Jakie tam półtora! Widzieliśmy pieniądze nie takie, to się wi...

Co się tyczy wczorajszych pieniędzy, to Tryfon Borysowicz wprost zeznał, że Dymitr Fiodorowicz, ledwie wysiadł z trojki, sam mu powiedział, że przywiózł trzy tysiące.

- Czy naprawdę, Tryfonie Borysyczu? - zdziwił się Mitia. - Rzeczywiście powiedziałem, że przywiozłem trzy tysiące?

- Mówił pan, Dymitrze Fiodorowiczu. Przy Andrzeju pan mówił. Andrzej świadek, może potwierdzić, jeszcze nie pojechał. A tam w salonie, kiedy pan chór częstował, to tylko krzyczał pan, że szósty tysiąc pan tu u nas zostawia, z poprzednimi znaczy, tak trzeba rozumieć. Stiepan i Siemion słyszeli, a tak, i Piotr Fomicz Kałganow stał tu i też słyszał...



Zeznanie o szóstym tysiącu wywarło wielkie wrażenie. Spodobała się ta nowa redakcja: trzy i trzy stanowi sześć, zatem i trzy tysiące wówczas i trzy teraz, oto i całe sześć - prosty i jasny rachunek.

Badano wszystkich wskazanych przez Tryfona Borysycza świadków: Stiepana i Siemiona, i Andrzeja, i Piotra Fomicza Kałganowa. Chłopi i dorożkarze bez wahania potwierdzili zeznanie Tryfona Borysycza. Poza tym zapisano również opowiadanie Andrzeja o rozmowie jego z Mitią podczas jazdy, na temat: „Dokąd to niby ja, Dymitr Fiodorowicz, trafię po śmierci: do piekła czy do nieba, i czy wybaczą mi na tamym świecie?” „Psycholog” Hipolit Kiryłowicz wysłuchał z subtelnym uśmiechem i w końcu polecił tę rozmowę zapisać.

Kałganow wszedł do pokoju niechętnie, posępnie i jakoś krnąbrnie i rozmawiał z prokuratorem i z Mikołajem Parfienowiczem, jak gdyby ich widział po raz pierwszy w życiu, chociaż w istocie był ich dawnym znajomym i spotykał się z nimi niemal codziennie. Zaczął od tego, że „nic nie wie i nic wiedzieć nie chce”. Ale okazało się, że o „szóstym tysiącu” słyszał, bo w owej chwili stał w pobliżu. Na pytanie, ile pieniędzy miał Mitia w ręku, odpowiedział: „Nie wiem ile.” Potwierdził, że obaj Polacy oszukiwali w grze. Wyjaśnił również, na wielokrotne pytania, że po przepędzeniu obu Polaków zmienił się stosunek Agrafieny Aleksandrowny do Miti, powiedziała mu sama, że go kocha. O Agrafienie Aleksandrownie wyrażał się powściągliwie i z szacunkiem, jak gdyby była kobietą z najlepszego towarzystwa, i nawet nie pozwolił sobie ani razu nazwać jej Gruszeńką. Pomimo widocznej odrazy młodzieńca do zeznań, Hipolit Kiryłowicz badał go długo i dowiedział się od niego wszystkich szczegółów „romansu” Miti. Ten zaś ani razu nie przerywał. Wreszcie Kałganowa zwolniono; wyszedł, nie ukrywając oburzenia.

Badano również obu Polaków. Ci, choć ułożyli się do snu w swoim pokoiku, przez całą noc nie zmrzyli oka, a kiedy władze przybyły, ubrali się naprędce, spodziewając się, że ich na pewno wezwą na badanie. Weszli godnie, ale nie bez trwogi. Mały pan, jak się teraz okazało, dymisjonowany urzędnik dwunastej klasy, był weterynarzem na Syberii i nazywał się Musiałowicz. Pan Wróblewski zaś był dentystą. Obaj oni z początku zwracali się w odpowiedzi na pytania Mikołaja Parfienowicza do Michała Makarowicza, biorąc go snadź za najważniejszą w tym gronie osobistość, tytułując go wielokrotnie „panem pułkownikiem”. Dopiero po kilkakrotnych uwagach samego Michała Makarowicza zmiarkowali, że należy się zwracać bezpośrednio do Mikołaja Parfienowicza. Nawiasem mówiąc, okazało się, że językiem rosyjskim władają bardzo dobrze, może tylko źle akcentują niektóre słowa. Pan Musiałowicz zaczął zapalczywie i dumnie wywodzić o swojej znajomości z Gruszeńką, ale niewiele zdążył powiedzieć, bo Mitia od razu uniósł się i krzyknął, że nie pozwoli „łajdakowi” tak mówić w swojej obecności! Pan Musiałowicz zwrócił uwagę sędziów na słowo „łajdak” i poprosił o zaprotokołowanie. Mitia zawrzał wściekłością.

- A właśnie że łajdak, właśnie że łajdak! Zapiszcie to i zapiszcie też, że pomimo protokołu jeszcze raz wołam, że łajdak! - krzyczał Mitia.

Mikołaj Parfienowicz co prawda kazał wpisać to do protokołu, ale okazał w tym przykrym incydencie wiele taktu i praktyczności: uczynił surową uwagę Miti, ale sam przestał się interesować romantyczną stroną sprawy i natychmiast przeszedł do rzeczy istotnych. Istotną rzeczą zaś było zeznanie panów, które ogromnie zaciekało sędziego i prokuratora. Zeznali oni, że Mitia usiłował przekupić pana Musiałowicza i zaproponował mu trzy tysiące odstępnego, siedemset rubli chciał mu

dać na rękę, a resztę, dwa tysiące trzysta - „jutro rano w mieście”, przy czym zaręczał słowem honoru, że nie ma tu przy sobie tyle pieniędzy, że zostawił u siebie w domu. Mitią przeczył zapalczywie, jakoby miał przyrzec, że jutro wypłaci na pewno resztę, ale pan Wróblewski potwierdził zeznanie swego kolegi, i zresztą sam Mitią, zastanowiwszy się chwilę, orzekł, że prawdopodobnie tak było, jak panowie twierdzą, że był wówczas podniecony, mógł więc to w podnieceniu powiedzieć. Prokurator uczeplił się po prostu tego zeznania: wynikało bowiem z niego, że połowa czy część tych trzech tysięcy, które wpadły do rąk Miti, prawdopodobnie została gdzieś w mieście, a może i tu gdzieś, w Mokrem; w związku z tym wyjaśniła się również ta bardzo drażliwa okoliczność, że przy obwinionym znaleziono zaledwie osiemset rubli - okoliczność, która była dotąd świadectwem - co prawda jedynym i błahym - przemawiającym na korzyść Miti. I oto teraz runął ten jedyny atut obrony. Na pytanie prokuratora: skąd by wziął pozostałe dwa tysiące trzysta rubli dla pana, skoro twierdzi, że miał wszystkiego tysiąc pięćset, Mitią odpowiedział bez wahania, że chciał nazajutrz zaproponować „Polaczkowi” nie pieniądze, lecz formalny akt, odstępujący prawa do Czermaszni. Miał na myśli te prawa, które proponował już Samsonowowi i pani Chochłakow. Prokurator uśmiechnął się - „wykręt był zbyt naiwny”.

- I pan sądzi, że on by się zgodził przyjmując te „prawa” zamiast gotówki?

- Na pewno by się zgodził - odparł z zapalem Mitią. - Niech pan pomyśli, przecież mógł wyciągnąć nie dwa tysiące, lecz cztery, nawet sześć tysięcy! On by tu natychmiast zwerbował swoich adwokacików, Polaczków i Żydków, i nie trzy tysiące, ale całą Czermasznę zabraliby staremu.

Oczywiście zeznanie pana Musiałowicza z całą pieczołowitością wpisano do protokołu, po czym puszczone obu panów. O szulerskiej grze nikt nawet nie wspomniał. Mikołaj Parfienowicz za bardzo im był wdzięczny i nie chciał ich niepokoić błahostkami, bo właściwie była to „zwykła kłótnia przy kartach i winie, i nic więcej. Jedno z wielu łajdactw tej hulaszkiej nocy...” Toteż pieniądze - dwieście rubli - zostały w kieszeniach panów.

Wezwano następnie staruszką Maksymową. Wszedł onieśmielony, stawiał drobne kroczyki, był jakiś roztargniony i bardzo smutny. Cały czas siedział na dole przy Gruszeńce w milczeniu i „tylko od czasu do czasu popłakiwał nad nią i ocierał oczy niebieską, kraciastą chusteczką”, jak opowiadał potem Michał Makarowicz. Gruszeńka musiała go uspokajać i pocieszać. Staruszek natychmiast ze łzami przyznał się, że zawinił, że pożyczył od Dymitra Fiodorowicza „dziesięć rubli, wskutek wielkiego ubóstwa” i że gotów jest zwrócić... Na zapytanie Mikołaja Parfienowicza, czy nie zauważył, ile Dymitr Fiodorowicz miał w ręku pieniędzy, bo przecież mógł najlepiej widzieć, gdy pożyczał - Maksymow najbardziej zdecydowanym tonem orzekł, że było tych pieniędzy „ze dwadzieścia tysięcy”.

- A czy widział pan kiedy dwadzieścia tysięcy? - zapytał z uśmiechem Mikołaj Parfienowicz.

- A jakże, widziałem, tylko nie dwadzieścia, lecz siedem, kiedy żona wioskę moją zastawiła. Dała mi popatrzeć z daleka, chwaliła się. Bardzo gruba paczka była, same sturubłówki. Dymitr Fiodorowicz też miał sturubłówki...

Niedługo badano Maksymową. Wreszcie nadeszła kolej na Gruszeńkę. Można się było obawiać, że wejście jej znowu wywoła burzliwą scenę. Na wszelki wypadek Mikołaj Parfienowicz zalecił

Miti zachowanie spokoju. Ale ów w odpowiedzi pochylił tylko głowę, zapewniając jakby tym gestem, że „nie będzie awantury”. Wprowadził Gruszeńkę sam Michał Makarowicz. Weszła z ponurą i surową twarzą, na pozór była spokojna i usiadła na wskazanym sobie krześle, naprzeciwko Mikołaja Parfienowicza. Była bardzo blada - mogło się wydawać, że z zimna - otuliła się swym pięknym czarnym szalem. Istotnie miała lekkie gorączkowe dreszcze - początek przewlekłej choroby, o którą ją ta noc przyprawiła. Jej surowy wygląd, proste i poważne wejrzenie i spokojne zachowanie wywarły bardzo dobre wrażenie na wszystkich obecnych. Mikołaj Parfienowicz nawet trochę się z początku „zapalił”. Przyznał sam, opowiadając to komuś później, że dopiero w tej chwili zrozumiał „urodę” tej kobiety, bo dotychczas, chociaż widział ją nieraz, uważał ją za coś w rodzaju „powiatowej hetery”. „Ma maniery damy z najlepszego towarzystwa” - entuzjazmował się później w kręgu pań. Oburzone panie przezwąły go „filutem”, z czego był wielce zadowolony. Z początku Gruszeńka przelotnie spojrzała na Mitę, który patrzył na nią z niepokojem. Ale spokój jej podziałał i na niego. Po pierwszych nieuniknionych formalnych pytaniach i wskazówkach Mikołaj Parfienowicz, lekko się zacinając, lecz z miną najbardziej uprzejmą zapytał: „Jakie stosunki łączą ją z dymisjonowanym porucznikiem Dymitrem Fiodorowiczem Karamazowem?” Na co Gruszeńka cicho i stanowczo odpowiedziała:

- Był to mój znajomy, przyjmowałam go u siebie w ostatnim miesiącu jako znajomego.

Na dalsze pytania odpowiadała wprost, z całą szczerością, że chociaż jej się „czasami” podobał, nie kochała go, bałamuciła go tylko przez „podłą swoją złośliwość”, tak samo zresztą jak i „staruszka” nieboszczyka. Wiedziała, że Miti był zazdrosny o Fiodora Pawłowicza i o innych, ale to ją tylko cieszyło. Do Fiodora zaś Pawłowicza nigdy nie miała zamiaru pójść, kpiła sobie tylko z niego. „W tym miesiącu nie o nich myślałam; wypatrywałam innego człowieka, który mnie skrzywdził...” „Tylko, myślę - zakończyła - że nie powinniście się o to pytać, a ja nie muszę wam odpowiadać, bo to moja osobista sprawa.”

Mikołaj Parfienowicz zastosował się do tej uwagi: przestał się interesować „romansem” i przystąpił do rzeczy poważnych, mianowicie do tej wciąż najważniejszej kwestii trzech tysięcy. Gruszeńka potwierdziła, że w Mokrem, miesiąc temu, istotnie wydano trzy tysiące rubli, że wprawdzie nie liczyła pieniędzy, ale sam Dymitr Fiodorowicz mówił jej o trzech tysiącach.

- Czy sam na sam mówił to pani, czy też w czyjejś obecności? A może pani tylko słyszała, jak mówił do kogoś przy pani? - zapytał prokurator.

Gruszeńka oświadczyła, że słyszała, jak mówił do kogoś, że mówił to jej również w obecności innych osób i że poza tym rozmawiał z nią o tym sam na sam.

- Czy tylko raz mówił to pani sam na sam, czy kilkakrotnie? - zapytał znowu prokurator. Okazało się, że kilkakrotnie.

Hipolit Kiryłowicz był bardzo zadowolony z tej odpowiedzi. Z dalszych pytań wyjaśniło się, że Gruszeńka zna również pochodzenie tych pieniędzy: mianowicie, że Dymitr Fiodorowicz dostał je od Katarzyny Iwanowny.

- A czy słyszała pani kiedy, że wydano w Mokrem miesiąc temu nie całe trzy tysiące, lecz mniej,

i że Dymitr Fiodorowicz zachował połowę gotówki dla siebie?

- Nie, nigdy nic podobnego nie słyszałam - oświadczyła Gruszeńka. Dalej wyjaśniło się, że wręcz przeciwnie, Mitia często jej mówił przez cały ten miesiąc, że nie ma ani grosza, „wciąż się spodziewał od ojca” - zakończyła Gruszeńka.

- A czy nie mówił kiedy przy pani... albo jakoś mimochodem, w gniewie - zapytał nagle Mikołaj Parfienowicz - że zamierza targnąć się na życie ojca?

- Och, mówił - westchnęła Gruszeńka.

- Raz jeden czy wielokrotnie?

- Wielokrotnie, zawsze w gniewie.

- A czy pani wierzyła, że to zrobi?

- Nie, nigdy nie wierzyłam! - odparła stanowczo. - Ufałam jego szlachetności.

- Panowie, pozwólcie - zawołał nagle Mitia - pozwólcie mi przy was powiedzieć słówko Agrafieno Aleksandrownie.

- Proszę - zezwolił Mikołaj Parfienowicz.

- Agrafieno Aleksandrownie - podniósł się z krzesła Mitia - wierz Bogu i mnie: śmierci mego ojca, zabitego wczoraj, nie jestem winien!

Co rzekłszy, usiadł z powrotem. Gruszeńka wstała i nabożnie przeżegnała się patrząc na ikonę.

- Chwała Bogu! - rzekła żarliwym, przejmującym głosem i, zwracając się do Mikołaja Parfienowicza, dodała:

- Jak on teraz powiedział, to możecie wierzyć! Znam go: może co zmyślić, dla śmiechu albo przez upór, ale jeżeli przeciw sumieniu, to nigdy nie oszuka. Całą prawdę powie, wierzcie, panowie!

- Dziękuję, Agrafieno Aleksandrownie, pokrzepiłaś moją duszę - odrzekł Mitia drżącym głosem.

Co do wczorajszych pieniędzy oświadczyła, że nie wie, ile ich było, ale słyszała, jak Mitia wielokrotnie mówił różnym ludziom, że przywiózł ze sobą trzy tysiące. A co się tyczy ich pochodzenia, to tylko jej powiedział, że „ukradł” Katarzynie Iwanownie, na co ona mu odpowiedziała, że nie ukradł i że trzeba będzie jutro je zwrócić. Na uporczywe pytanie prokuratora: „Które pieniądze miał na myśli, gdy mówił o kradzieży: wczorajsze czy tamte sprzed miesiąca” - oświadczyła, że miał na myśli tamte sprzed miesiąca i że tak go właśnie rozumiała.

Nareszcie zakończono badanie. Mikołaj Parfienowicz skwapliwie ją zapewnił, że jest wolna i może od razu wrócić do miasta, że jeżeli on ze swej strony może jej pomóc, na przykład co do koni, albo jeżeli chce, żeby ktoś ją odwiózł, to on... ze swej strony...

- Dziękuję bardzo - pokłoniła mu się Gruszeńka - pojedę z tym staruszką, z Maksymowem, jego odwożę, a tymczasem poczekam na dole, jeżeli panowie pozwolicie, aż tu postanowicie, co będzie z Dymitrem Fiodorowiczem.

Wyszła. Mitia był spokojny i nawet nabrał otuchy, ale tylko na chwilę. Coraz bardziej ogarniało go jakieś dziwne osłabienie fizyczne. Oczy kleiły się ze zmęczenia. Wreszcie skończyło się badanie świadków. Przystąpiono do sporządzenia ostatecznej redakcji protokołu. Mitia wstał i poszedł do kąta, za zasłonę, położył się na dużym kufrze, nakrytym dywanem, i natychmiast zasnął. Przyśnił mu się jakiś dziwny sen, nie mający nic wspólnego z jego obecną sytuacją. Jechał przez step, tam gdzie niegdyś służył w wojsku, na wozie, a wiózł go chłop parą koni. Ziąb dokuczał Miti, bo był początek listopada, śnieg padał dużymi, mokrymi płatami i od razu się na ziemi roztopiał. I dobrze wiózł go chłop, chwacko z bicia trząsał, brodę miał długą, rudą, niestary jeszcze, miał lat najwyżej pięćdziesiąt, ubrany w szary chłopski jermak. Niedaleko już przysiółek, chałupy widać - czarne, bardzo czarne, a większość chałup zwęglona, sterczą tylko okopcone belki. A na drodze stały baby, pełno bab, rzędem, wychudzone, wyniszczone, o brunatnych twarzach. Zwłaszcza jedna z pierwszych koścista taka, wysoka, może ma lat czterdzieści, a może tylko dwadzieścia, twarz chuda i długa, na rękę trzyma niemowlę, a piersi zapewne wyschnięte, bez kropli mleka. I płacze, płacze niemowlę, i rączki wyciąga, zaciska piąstki, a rączki gołe, z zimna zsiniałe.

- Czego płaczą? Czego płaczą? - klusem mijając ich pyta Mitia.

- Dzieciok - odpowiada woźnica - dzieciok płacze.

I dziwi to Mitię, że powiedział po swojemu, po chłopsku, „dzieciok”, a nie dzieciak. I podoba mu się to, że chłop powiedział „dzieciok”: jakoś bardziej żałośnie.

- A dlaczego płacze? - dopytuje się Mitia jak głupi - dlaczego rączki gołe, dlaczego go nie przykrywają?

- A zziąbł dzieciok, przemarzył przyodziewek, nie grzeje więcej.

- A dlaczego to tak jest? Dlaczego? - nie przestaje pytać głupi Mitia.

- A biedne są, pogorzelnicy, chleba nie ma, o jałmużnę proszą.

- Nie, nie - nie może wciąż zrozumieć Mitia - powiedz mi: dlaczego stoją tu te matki, dlaczego ludzie są biedni, dlaczego biedny jest dzieciok, dlaczego nagi step, dlaczego nie obejmują się, nie całują, dlaczego nie śpiewają pieśni radosnych, dlaczego tak szernieli z nędzy, dlaczego nie karmią dziecioka?

I czuje, że chociaż pyta bez sensu, chce tak pytać i że właśnie trzeba tak pytać. I czuje, że w jego sercu rodzi się nigdy nie zaznana tkliwość, że zbiera mu się na płacz, że chce wszystkim coś dobrego zrobić, żeby nie płakał dzieciok, żeby nie płakała szerniała, wychudzona matka dziecioka, żeby nie było już łez od tej chwili i żeby od razu, natychmiast to zrobić, nie zwlekając, wbrew wszystkiemu, z całą karamazowską popędliwością.

- A ja z tobą, teraz cię nie opuszczę, na całe życie z tobą pójdę - rozlegają się wokół niego miłe, pełne szczerego uczucia słowa Gruszeńki.

I oto zapłonęło serce i porwało się ku jakiemuś światłu, i chce żyć, żyć, iść, iść gdzieś, do nowego, wzywającego światła, i prędejj, prędejj, już, natychmiast!

- Co? Dokąd! - zawołał, otwierając oczy i siadając na kufrze. I, jak gdyby budząc się z omdlenia, uśmiechał się promiennie.

Nad nim stoi Mikołaj Parfienowicz i prosi go o wysłuchanie i podpisanie protokołu. Domyślił się Mitia, że przespał godzinę, a może i więcej, ale nie słuchał Mikołaja Parfienowicza. Naraz go zastanowiło, że pod głową ma poduszkę, której przecie nie było, gdy kładł się na kufrze.

- Któż to mi poduszkę pod głowę podsunął? Kto był taki dobry! - zawołał z uczuciem zachwytu i wdzięczności, jakimś płaczącym głosem, jak gdyby mu wyświadczono Bóg wie jak wielką przysługę.

Dobroczyńca jednak pozostał nieznany; zapewne któryś ze strażników, a może i sekretarz Mikołaja Parfienowicza z litości kazał podsunąć mu pod głowę poduszkę, ale jego duszą jak gdyby wstrząsnął płacz. Podeszedł do stołu i oznajmił, że gotów jest podpisać, co tylko zechcą.

- Miałem dobry sen, panowie - rzekł jakoś dziwnie z twarzą przemienioną, zupełnie jakby rozświetloną weselem.

## IX ZABRANO MITIĘ

Skoro podpisano protokół, Mikołaj Parfienowicz zwrócił się uroczyście do oskarżonego i przeczytał mu „postanowienie, stwierdzające, że do takiego to roku i takiego to dnia, tam a tam, sędzia śledczy takiego to a takiego sądu okręgowego, przesłuchawszy takiego to a takiego (czyli Mitię) jako obwinionego o to i o to (wszystkie zarzuty były dokładnie wyliczone), biorąc pod uwagę, że obwiniony nie przyznając się do zarzucanych mu przestępstw nic nie przedstawił na swoją obronę, tymczasem zaś świadkowie (tacy to a tacy) i okoliczności (takie to a takie) całkowicie go obciążają, postanowił, kierując się takim to a takim paragrafem *Ustawy o karach* itd. celem uniemożliwienia takiemu to a takiemu (Miti) uchylenia się od śledztwa i sądu, aresztować go i zawiadomić o tym obwinionego, kopię zaś niniejszego postanowienia doręczyć wiceprokuratorowi itd., itd. Słowem, zakomunikowano Miti, że od tej chwili jest aresztowany i że zaraz zawiozą go do miasta i zamkną tam w pewnym bardzo nieprzyjemnym miejscu. Mitia wysłuchał z uwagą i tylko wzruszył ramionami.

- No cóż, panowie, nie mam wam tego za złe, jestem gotów... Rozumiem, że nie pozostaje wam nic innego.

Mikołaj Parfienowicz delikatnie wyjaśnił mu, że zaraz odwiezie go stanowy, który właśnie tu

się zjawiał...

- Poczekajcie! - wykrzyknął nagle Mitia i z jakimś niepoohamowanym przejęciem zawołał, zwracając się do wszystkich obecnych. - Panowie, wszyscy jesteśmy okrutni, wszyscy jesteśmy potworami, wszyscy sprowadzamy gorzkie łzy na twarze ludzkie, na twarze matek i niemowląt, ale ze wszystkich - niech to się już teraz rozstrzygnie - ja jestem najpodlejszy! I niech już tak to się rozstrzygnie! Każdego dnia mego życia, bijąc się w piersi, obiecywałem sobie poprawę i każdego dnia robiłem wciąż nowe świństwa. Pojmuję teraz, że na takich jak ja potrzebny jest cios, uderzenie losu. Nigdy nie podniósłbym się o własnych siłach. Lecz uderzył piorun. Przyjmuję mękę oskarżenia i hańby, chcę cierpieć i oczyszczyć się cierpieniem! Bo może się oczyszczyć, panowie, co? Ale posłuchajcie po raz ostatni: nie jestem winien zabójstwa mego ojca! Przyjmuję karę nie za to, że zabiłem go, ale że chciałem go zabić, i kto wie, może bym go naprawdę zabił... Ale mimo to zamierzam walczyć z wami i oznajmiam to wam od razu. Będę walczył z wami do ostatka, a potem niechaj Bóg rozstrzygnie! Żegnaj was, panowie, nie gniewajcie się, że przy badaniu tak na was krzychałem, o, ja wtedy byłem jeszcze tak głupi... Za chwilę będę więźniem, a teraz po raz ostatni Dymitr Karamazow, jako wolny jeszcze człowiek, podaje wam rękę. Żegnając się z wami, żegnaj się z ludźmi!...

Głos mu zadrżał, wyciągnął rękę, ale Mikołaj Parfienowicz, który stał najbliżej, nagle jakoś, mimowolnym gestem schował ręce za siebie. Mitia zauważył to i drgnął. Natychmiast opuścił wyciągniętą rękę.

- Śledztwo jeszcze nie skończone - wybąkał Mikołaj Parfienowicz, trochę zmieszany. - Będziemy jeszcze kontynuować je w mieście i ze swej strony oczywiście gotów jestem życzyć panu powodzenia... aby pan dowiódł swej niewinności... Właściwie zawsze uważałem pana, Dymitrze Fiodorowiczu, za człowieka, że tak powiem, raczej nieszczęśliwego niż winnego... My tu wszyscy, jeśli wolno mi przemawiać w imieniu wszystkich, gotowi jesteśmy uważać pana za człowieka szlachetnego w głębi duszy, tylko niestety zbyt łatwo ulegającego niepoohamowanym namiętnościom.

Malutka postać Mikołaja Parfienowicza tchnęła uroczystym dostojeństwem. Miti zdawało się przez chwilę, że ten „młokos” zaraz weźmie go pod rękę, zaprowadzi do kąta i ponowi tam niedawną ich rozmowę o „dziewczynkach”. Ale Bóg tylko wie, jakie myśli niestosowne i uboczne osaczają nieraz zbrodniarza prowadzonego na stracenie.

- Panowie, jesteście dobrzy, jesteście humanitarni - czy mogę ją zobaczyć, pożegnać się ostatni raz? - zapytał Mitia.

- Bezsprzecznie, ale przy świadkach... słowem, teraz już nie wolno, już na osobności...

- Niech będzie ze świadkami!

Przyprowadzono Gruszeńkę, ale pożegnanie było krótkie, niemal bez słów i nie zadowoliło Mikołaja Parfienowicza. Gruszeńka stanęła przed Mitią i pokłoniła mu się głęboko.

- Powiedziała ci, że jestem twoja, i będę twoja, pójdę za tobą na wieki, dokądkolwiek cię ześlą. Żegnaj, niewinnie się zgubiłeś!

Usta jej drżały, łzy polały się z oczu.

- Przebacz, Gruszeńka, za moją miłość, za to, że moją miłością i ciebie zgubiłem!

Mitia chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zamilkł i wyszedł. Przy nim pojawili się natychmiast ludzie, którzy nie spuszczaali już go z oczu.

Na dole przed gankiem, przed który z taką paradą zjechał wczoraj trójką Andrzeja, stały dwie podwozy. Stanowy, przysadzisty, otyły człowiek z obrzękłą twarzą, był bardzo zirytowany, złościł się i krzyczał. Od razu zbyt surowym tonem kazał Miti usadowić się na podwozcie. „Dawniej, jakem go w knajpie częstował, inną miał minę” - pomyślał Mitia, gramoląc się na wóz. Z ganku zszedł Tryfon Borysowicz. Przed wrotami zaś zebrali się chłopci, baby, woźnice, wszyscy przyglądali się Miti.

- Darujcie mi, ludzie Boży! - zawołał nagle z wozu Mitia.

- I ty nam daruj - rozległy się dwa, trzy głosy.

- Bywaj zdrów i ty, Tryfonie Borysyczu!

Ale Tryfon Borysycz nie odwrócił się nawet, może dlatego, że był bardzo zajęty. Też krzyczał i krzątał się gniewnie. Okazało się, że z drugą podwozą, na której dwóch setników miało towarzyszyć stanowemu, wynikł jakiś ambaras. Chłopina, który miał powozić drugą trójką, wciągał na siebie lichy kaftan i upierał się, że to nie on ma jechać, tylko Akim. Lecz Akima nie było, pobiegli go szukać; chłopina nalegał i błagał, żeby poszukać.

- Ale też ludzie u nas, całkiem bez wstydu! - wołał Tryfon Borysycz do stanowego. - Przedwczoraj Akim dał mu ćwierć rubla, przyjął, a teraz krzyczy. Dziwię się tylko pańskiej dobroci - zwrócił się do stanowego. - Tyle tylko powiem!

- I po cóż ta druga trójką? - wtrącił Mitia. - Pojedziemy jedną, nie bój się, nie zbuntuję się, nie ucieknę ci, na cóż mi konwój?

- Za przeproszeniem, mój panie, zechce pan nauczyć się rozmawiać ze mną, jeśli pan nie jest jeszcze nauczony, proszę mnie nie tykać, a rady zachować dla siebie - ze złością warknął stanowy, folgując sobie tym wybuchem.

Mitia umilkł. Zaczerwienił się. Przez chwilę czuł niezwykły chłód. Deszcz przestał padać, lecz niebo było zaciągnięte chmurami i ostry wiatr wiał prosto w twarz.

„Mam gorączkę czy co?” - pomyślał Mitia, wstrząsając się. Wreszcie stanowy wlaź na wóz, usadowił się ciężko i szeroko, i jakby nie spostrzegając tego, odepchnął mocno Mitię. Był co prawda nie w humorze i bardzo mu się nie podobało otrzymane polecenie.

- Żegnaj, Tryfonie Borysyczu! - zawołał jeszcze raz Mitia i sam poczuł, że tym razem nie z serca, ale ze złości, jakby wbrew woli. Ale Tryfon Borysycz stał hardo, z założonymi do tyłu rękoma, i patrząc wprost na Mitię, surowo i gniewnie, nic nie odpowiedział.



- Żegnaj, Dymitrze Fiodorowiczu, żegnaj! - rozległ się głos Kałganowa, który naraz wyskoczył skądś na ganek.

Podbiegł do podwoły i wyciągnął rękę. Był bez czapki. Mitia zdążył uchwycić jego dłoń i mocno ją uścisnąć.

- Żegnaj, miły człowieku, nie zapomnę twojej szlachetności! - krzyknął z zapałem.

Lecz konie ruszyły i ręce ich rozplotły się... Zadzwoił dzwoneczek - wywieziono Mitię.

A Kałganow wbiegł do sieni, zaszył się w kąt, spuścił głowę, zasłonił twarz rękami i rozpłakał się; długo tak siedział i płakał, jak gdyby był małym chłopczykiem, a nie dwudziestoletnim już młodzieńcem. O, wierzył w winę Miti prawie zupełnie! „Cóż to za ludzie, jacy wobec tego mogą być ludzie!” - powtarzał bezładnie w gorzkim smutku, niemal w rozpacz. Nie chciał w tej chwili żyć.

„Czy warto, czy warto!” - wołał zasmucony młodzieniec.

# KSIĘGA DZIESIĄTA

## CHŁOPCY

### I

#### KOLA KRASOTKIN

Początek listopada. Był mróz, z jedenaście stopni, a przy tym gołoledź. Przez noc spadło na zmarzłą ziemię trochę suchego śniegu, a „suchy i ostry” wiatr unosił go i rozwiewał po smutnych ulicach naszego miasteczka, zwłaszcza po rynku. Dzień wstał chmurny, ale śnieg przestał padać. Opodal rynku, koło sklepu Płotnikowów stoi niewielki, bardzo schludny na zewnątrz i wewnątrz domek wdowy po urzędniku Krasotkinie. Krasotkin, sekretarz urzędu gubernialnego, umarł już bardzo dawno, ze czternaście lat temu, ale wdowa po nim trzydziestoletnia i dotychczas niczego sobie damulka, żyje i mieszka w swoim schludnym domku, utrzymując się z „własnych funduszków”. Żyje uczciwie i skromnie, charakter ma delikatny i nawet dosyć wesoły. Owdowiała wcześniej, mając lat zaledwie osiemnaście, po roku małżeńskiego pożycia i wkrótce po urodzeniu syna. Od tego czasu, od śmierci męża, poświęciła się całkowicie wychowaniu jedynaka, Koli, i choć kochała go przez te czternaście lat do szaleństwa, zaznała od niego bez porównania więcej cierpień niż radości, nie było bowiem dnia, żeby nie truchlała, nie umierała ze strachu na myśl, że Kola, Boże broń, może zachorować, przeziębienie się, wdrapać się na krzesło i upaść, itd., itd. Kiedy zaś chłopak wstąpił do szkoły, a potem do progimnazjum, matka zaczęła wraz z nim gorączkowo się uczyć, aby mu pomagać przy odrabianiu lekcji, gorączkowo nawiązywała znajomość z nauczycielami i ich żonami, przymilała się nawet do uczniów, kolegów syna, chytrze starając się go uchronić od zaczepek, drwin i kuksańców. Skutek był ten, że koledzy zaczęli kpić z Koli, drażnić go nazywając „maminsynkiem”. Ale chłopiec potrafił się obronić. Był odważny, „straszenie silny”, jak niebawem zaczęła głosić wieść w klasie, zręczny, uparty, zuchwały i przedsiębiorczy. Uczył się dobrze, mówiono nawet, że w arytmetyce i historii jest mocniejszy od nauczyciela Dardaniełowa. Chociaż patrzył na wszystkich z góry, ale był dobrym kolegą i nie zadzierał nosa. Uważał, iż szacunek uczniów względem niego jest najzupełniej oczywisty, lecz odnosił się do nich przyjaźnie. Co najważniejsze, potrafił zachować we wszystkim miarę, umiał się w razie potrzeby hamować i na przykład względem nauczycieli nigdy nie przekraczał jakiegokolwiek ostatniej i ledwo uchwytnej granicy, za którą przewinienie przeobraża się już w bezład, bunt i anarchię i nie może być tolerowane. A przecież był wcale nie od tego, żeby sobie nie podokazywać przy lada okazji, dokazywać jak ostatni andrus, a nawet nie tyle dokazywać, ile zadać fernepiksu, feferu, szyku, pocudaczyć, postawić się. Był przede wszystkim bardzo ambitny. Nawet matkę potrafił uzależnić od swojej woli i obchodził się z nią niemal despotycznie. Ona mu ulegała, o, już od dawna mu ulegała i tylko w żaden sposób nie mogła znieść myśli, że syn ją „za mało kocha”. Wciąż się jej wydawało, że Kola jest „nieczuły” względem niej, i nieraz zdarzało się, że zalewając się łzami, histerycznie wyrzucała mu jego oziębłość. Chłopak nie lubił tego i im większej wymagano odeń serdeczności, tym, jakby naumyślnie, stawał się bardziej oschły. Zresztą nie robił tego umyślnie, po prostu taki już miał charakter. Matka myliła się: kochał ją bowiem bardzo, nie lubił tylko „cielęcych czułości”, jak mawiał w swoim uczniowskim języku. Po ojcu została szafa, w której było

trochę książek; Kola lubił czytać i niektóre z nich już przeczytał. Matka nie broniła mu, dziwiła się tylko, że chłopak w tym wieku, zamiast się bawić, stoi czasem po kilka godzin przy szafie nad jakąś książką. W ten sposób Kola przeczytał niejedno, czego w jego wieku nie należało dać mu do czytania. Co gorsza, ostatnimi czasy, choć nie lubił przekraczać w swoich figlach określonej granicy, ku przerażeniu matki, zaczął płatać figle, nie tyle niemoralne, co karkołomne i desperackie. W lipcu tego roku podczas wakacji mama z synkiem pojechała na tydzień do sąsiedniego powiatu, w odwiedziny do pewnej dalekiej krewnej, której mąż był urzędnikiem na stacji kolejowej, tej najbliższej od naszego miasteczka stacji, z której Iwan Fiodorowicz Karamazow w miesiąc potem wyruszył do Moskwy. Tam Kola zaczął od tego, że dokładnie obejrzał kolejowe urządzenia, przestudiował rozkład jazdy z tym zamiarem, by po powrocie do domu ołsnąć kolegów nowo nabytymi wiadomościami. Ale wraz z nim znalazło się tam właśnie jeszcze kilku chłopców, z którymi się zaprzyjaźnił; jedni z nich mieszkali koło stacji, inni nieco dalej - razem było sześciu czy siedmiu wyrostków, w wieku od dwunastu lat do piętnastu, a dwaj z nich nawet byli z naszego miasteczka.. Chłopcy razem się bawili, dokazywali, a na czwarty czy piąty dzień stanął między nimi nieprawdopodobny zakład o dwa ruble: mianowicie Kola, prawie najmłodszy ze wszystkich, a zatem nieco pogardzony przez starszych, założył się, z ambicji czy też z zuchwałej odwagi, że o jedenastej w nocy położy się między szynami i przeleży nieruchomo, póki nie przejedzie nad nim pociąg. Oczywiście uprzednio sprawdzono, że można się tak ułożyć i spłaszczyć między szynami, iż pociąg przejedzie i nie zawadzi leżącego, ale pomyśleć tylko, co to nerwów kosztuje tam przeleżeć! Kola upierał się, że przeleży. Zrazu wyśmiano go, zwymyślano od kłamczuchów i samochwałów, ale to tylko dołało oliwy do ognia. Bolało go najbardziej, że ci piętnastoletni zadzierają przed nim nosa i z początku wzbraniali się przyjąć go do kompanii, jako „mikrusa”, co było już nie do zniesienia. Rada w radę i postanowiono wieczorem oddalić się o wiorstę od stacji, aby pociąg zdążył się rozpędzić dostatecznie. Chłopcy zebrali się. Noc była bezksiężycowa, nawet nie ciemna, lecz prawie czarna. We właściwym czasie Kola położył się między szynami. Pięciu chłopców z zapartym oddechem, a w końcu ze strachem i skruchą czekało w krzakach pod nasypem koło toru. Wreszcie zadudnił z dala pociąg, ruszający ze stacji. Błysnęły w mroku dwie czerwone latarnie, zahuczał zbliżający się stalowy potwór.

- Uciekaj, uciekaj z szyn - zawołali z krzaków chłopcy, umierając ze strachu, ale było już za późno; pociąg nadszedł i przeleciał mimo nich. Podbiegli do Koli: leżał nieruchomo. Zaczęli go potrząsać, szturchać, ale w końcu sam się podniósł i nic nie mówiąc, zszedł z nasypu. Na dole powiedział kolegom, że umyślnie leżał bezwładnie, aby ich przerazić; było to jednak kłamstwo, bo w rzeczywistości, jak to sam później, znacznie później wyznał matce, stracił był przytomność. Zdarzenie to wyrobiło mu na zawsze sławę „gotowego na wszystko”. Wrócił do domu błądy jak płótno. Nazajutrz dostał lekkiej gorączki, ale był bardzo wesoły i zadowolony. Nie od razu rozeszła się wieść o tym zdarzeniu; dopiero w naszym mieście przeniknęła do progimnazjum i doszła do władz szkolnych. I tylko dzięki usilnym zabiegom matki i wstawiennictwu szanownego i wpływowego profesora Dardaniełowa sprawę zatuszowano i puszczone płazem. Ów wspomniany już dwukrotnie nauczyciel, kawaler jeszcze i wcale niestary, od wielu lat kochał się namiętnie w pani Krasotkin i nawet raz już, rok temu, truchlejąc ze strachu, delikatnie odważył się na oświadczeniu; dała mu jednak kosza, uważając powtórne małżeństwo za zdradę względem syna, chociaż Dardaniełow, sądząc z niektórych tajemniczych objawów, miał nawet prawo marzyć, że nie jest bynajmniej wstrętny zachwycającej, ale zbyt cnotliwej i czulej wdówce. Szaleńczy postępek Koli sprawił, zdaje się, że lody pękły: z wdzięczności za interwencję pani Krasotkin zrobiła

Dardaniełowowi pewne odległe nadzieje, co prawda bardzo odległe, lecz Dardaniełow był okazem moralnej czystości i delikatności, więc to mu wystarczyło do całkowitego szczęścia. Do chłopca miał słabość, ale uważałby za poniżające, by starać się o jego względy, i w klasie był względem niego surowy i wymagający. Zresztą sam Kola umiał zachować należyty dystans, wzorowo odrabiał lekcje, był drugim uczniem, zwracał się do Dardaniełowa oficjalnie i cała klasa wierzyła święcie, że Kola jest mocniejszy od niego w historii powszechnej. I rzeczywiście Kola pewnego razu zapytał Dardaniełowa, kto założył Troję, na co ów odpowiedział ogólnikowo o ludach i ich wędrówkach, o zamierzonych czasach, o legendach, słowem, o wszystkim, tylko nie o tym, kto właściwie, to znaczy, jacy ludzie założyli Troję, a w dodatku samo pytanie uznał za błahe i bezprzedmiotowe. Chłopcy byli przekonani, że Dardaniełow nie wie, kto założył Troję. Kola zaś wiedział o założycielach Troi z historii Smaragdowa, którą znalazł w szafie z książkami po ojcu. W końcu cała szkoła zainteresowała się, kto właściwie założył Troję, ale Krasotkin nie ujawnił swego sekretu i odtąd cieszył się sławą erudyty.

Po historii z pociągiem stosunek jego do matki uległ znacznej zmianie. Anna Fiodorowna, dowiedziawszy się o bohaterskim czynie syna, o mało nie postradała zmysłów ze zgrozy. Miała tak okropne ataki hysterii, ciągnące się z przerwami po kilka dni, że Kola, poważnie przestraszony, dał jej uroczyste słowo honoru, że podobne figle nigdy się już nie powtórzą. Przysięgał na klęczkach przed obrazem świętym na pamięć swego ojca, jak tego wymagała pani Krasotkin, przy czym nasz chwyt sam się rozpląkał niczym sześciolatek brzdąc z „rozkliwienia”; i matka, i syn przez cały ów dzień obejmowali się i płakali ze szczęścia. Nazajutrz Kola obudził się „nieczuły” jak dawniej, ale też cichszy, skromniejszy, bardziej zamyślony. Co prawda po sześciu tygodniach znowu coś napsocił, i jego nazwisko stało się nawet znane sędziemu pokoju, ale tym razem był to inny rodzaj figla, śmieszny i głupiutki, którego zresztą nie on sam wypłatał, tylko był w to zamieszany. Ale o tym później. Matka po dawnemu truchlała i martwiła się, Dardaniełow zaś w związku z tym miał coraz większą nadzieję. Trzeba wiedzieć, że Kola zdawał sobie sprawę z jego zamiarów i oczywiście głęboko nim gardził za jego „uczucia”; nawet kiedyś w sposób wielce niedelikatny zdradził się z tą pogardą przed swoją matką, niedwuznacznie dając jej do zrozumienia, że rozumie, co chciałby osiągnąć Dardaniełow. Lecz po historii z pociągiem zmienił się również i pod tym względem; nie pozwalał już sobie na żadne aluzje, nawet najbardziej dalekie, i wobec matki odzywał się o nauczycielu z większym szacunkiem, co od razu z bezgraniczną wdzięcznością w sercu oceniła subtelna Anna Fiodorowna, ale gdy ktokolwiek choćby najmniejszym nieostrożnym słówkiem przypadkowo wspominał o Dardaniełowie w obecności Koli, czerwieniła się jak róża. Kola zaś w takich chwilach albo patrzył posepnie w okno, albo oglądał czubki swoich butów, albo wściekle gwizdał na Podzwona, dużego i kosmatego kundla, którego miał już miesiąc nie wiadomo skąd i trzymał w mieszkaniu nie wiadomo dlaczego w sekrecie przed kolegami. Tyranizował biednego psa straszliwie, tresował i uczył rozmaitych sztuczek i figlów i w końcu tak go do siebie przywiązał, że kundel był rozpaczliwie, gdy Kola wychodził z domu; gdy zaś wracał, pies skomlał z zachwytem, skakał, służył, kładł się na grzbiecie udając nieżywego itd., słowem, wszystkie sztuczki, których go wyuczono, pokazywał sam, bez żadnej zachęty, z popędu swego wdzięcznego serca i gorących uczuć.

Nawiasem mówiąc, zapomniałem wspomnieć, że Kola Krasotkin był owym uczniakiem, którego znany już czytelnikowi Iliusza, syn dymisjonowanego sztabskapitana Sniegirowa, dźgnął scyzorykiem w biodro, stając w obronie honoru swego ojca, przezwanego przez chłopców Wiechciem.

## II DZIECIARNIA

A zatem w ten mroźny, przejmująco zimny poranek listopadowy Kola Krasotkin siedział w domu. Była niedziela, lekcji więc nie było. Ale wybiła już jedenasta, Kola miał „bardzo ważną sprawę do załatwienia”, jednak nie wychodził i pilnował domu, wszyscy bowiem starsi mieszkańcy musieli wyjść rano, a to z pewnego dość niezwykłego i oryginalnego powodu. W domu wdowy Krasotkin, było do wynajęcia, oddzielone sienią od mieszkania gospodyni, jeszcze jedno małe mieszkanko złożone z dwóch pokoiów: zajmowała je żona doktora z dwojgiem małych dzieci. Była to rówieśnica Anny Fiodorowny i bliska jej przyjaciółka: mąż, lekarz, rok temu pojechał z początku do Orenburga, a potem do Taszkientu, i już od pół roku nie dawał o sobie znaku życia, toteż gdyby nie przyjaźń pani Krasotkin, nieszczęśliwa doktorowa byłaby na śmierć zapłakała się ze zgrzyoty. I oto na domiar złego w przeddzień omawianych wypadków, w nocy z soboty na niedzielę, Katarzyna, jedyna służąca doktorowej, oświadczyła nagle i zupełnie nieoczekiwanie dla swojej pani, że nad ranem będzie rodzić. Jak to się stało, że nikt tego dotychczas nie zauważył, trudno było po prostu zrozumieć. Zdumiona doktorowa postanowiła, póki czas, zawieźć Katarzynę do pewnego przysposobionego w tym celu w naszym miasteczku zakładu u położnej. Ponieważ bardzo ceniła tę swoją służącą, więc natychmiast wykonała swój projekt, odwiozła ją i ponadto została przy niej. Nad ranem jakoś okazało się potrzebne przyjacielskie współczucie i pomoc pani Krasotkin, która ponoć mogła kogoś o coś poprosić i wyrobić jakąś protekcję. Tak się więc złożyło, że obie panie wyszły z domu, służąca zaś pani Krasotkin, Agafia, poszła na bazar, i oto Kola musiał zostać i pilnować „brzdąców”: chłopczyka i dziewczynki doktorowej, które zostały bez opieki. Kola nie bał się sam pilnować domu, tym bardziej że miał przy sobie Podzwona, któremu kazał leżeć pod ławą w przedpokoju „nieruchomo” i który, ilekroć przechadzający się po pokojach Kola wchodził do przedpokoju, wstrząsał łbem i dwukrotnie uderzał ogonem o podłogę, mocno i prosząco, ale niestety przyzywające gwizdnięcie nie rozległo się. Kola spoglądał groźnie na nieszczęsnego psa, który natychmiast posłusznie zastygał w bezruchu. Jeżeli co niepokoiło Kolę, to tylko „bębny”. Na niespodziewaną historię z Katarzyną patrzył, ma się rozumieć, z największą pogardą, ale bardzo lubił osierocone dzieciaki i właśnie zaniósł im jakąś dziecinną książkę. Nastia, starsza dziewczynka, ośmioletnia, umiała czytać, a młodszy dzieciak, siedmioletni Kostia, bardzo lubił słuchać, jak Nastia mu czyta. Oczywiście Krasotkin mógł ich zająć w bardziej interesujący sposób, na przykład zabawić się z nimi w wojsko albo w chowanego. Robił to już nieraz i nie sprawiało mu to przykrości, toteż w szkole opowiadano, że Krasotkin w domu bawi się z dziećmi w konika, skacze w uprzęży i kręci głową, ale Kola dumnie odparł te zarzuty, mówiąc, że z rówieśnikami, z trzynastolatkami, byłoby istotnie wstyd „w tym wieku” bawić się w konika, ale że robi to dla „brzdąców”, ponieważ bardzo je lubi, kwestia zaś jego uczuć jest najzupełniej jego osobistą sprawą, od której im i wszystkim na świecie wara! Za to „brzdące” po prostu go ubóstwiały. Lecz tym razem nie był usposobiony do zabaw. Miał do załatwienia bardzo ważną sprawę osobistą, na pozór prawie że tajemniczą, a tymczasem czas upływał i Agafia, z którą mógłby być zostawić dzieci, nie wracała jakoś z bazaru. Kola kilkakrotnie już wychodził do sieni, zaglądał do mieszkania doktorowej i patrzył zatroskany na dzieci, które jednak siedziały grzecznie nad książką i na jego widok za każdym razem uśmiechały się od ucha do ucha, milcząc, lecz spodziewając się, że za chwilę Kola wejdzie i pokaże im jakąś pyszną a pocieszną sztuczkę. Ale Kola był niespokojny i nie wchodził. Gdy wybiła jedenasta, Kola zdeterminowany, zapowiedział sobie stanowczo, że jeżeli „przekłęta” Agafia nie wróci za dziesięć

minut, nie będzie dłużej na nią czekał i wyjdzie z domu, oczywiście wzięwszy najpierw od „brzdąców” słowo, że będą siedziały spokojnie, nie będą dokazywały ani płakały ze strachu. Tak sobie postanowiwszy, włożył swój podwatowany zimowy paltocik z futrzanym kołnierzem, przewiesił tornister przez ramię i wbrew niejednokrotnym prośbom matki, aby, wychodząc w „taki mróz”, wkładał zawsze kalosze, obrzucił je pogardliwym spojrzeniem przechodząc przez przedpokój i wyszedł tylko w bucikach. Podzwon, ujrawszy go w palcie, zaczął pośpiesznie stukać ogonem w podłogę, drżał nerwowo na całym ciele i nawet zaskomlił żałośnie, lecz Kola uznał tę porywczosć za uchybienie przeciwko dyscyplinie, potrzymał go jeszcze chwilę pod ławką i dopiero gdy otworzył drzwi od sieni, gwizdnął nań zniechęcony. Pies zerwał się jak oszalały i zaczął skakać przed nim z radości. Przeszedłszy przez sieni Kola zajrzał jeszcze raz do „brzdąców”. Oboje siedzieli jak przedtem przy stoliku, ale nie czytali już, tylko sprzeczały się zapalczywie. Dzieci często sprzeczały się na różne tematy życiowe, przy czym zwykle Nastia, jako starsza, wychodziła z tych sporów zwycięsko; Kostia zaś, jeżeli nie godził się z jej zdaniem, prawie zawsze apelował do Koli Krasotkina, a kiedy Kola rzecz rozstrzygnął, było to ostatecznym wyrokiem dla obu stron. Tym razem spór „brzdąców” zainteresował go i Kola stanął w progu, przysłuchując się uważnie. Dzieci zobaczyły, że Kola słucha, i z tym większym zapalem prowadziły spór.

- Nigdy, nigdy nie uwierzę - szczebiotała z zapalem Nastia - że babki znajdują małe dzieci w ogrodzie między grządkami kapusty. Teraz już zima i żadnych grządek nie ma, więc babka nie mogła przynieść Kati córeczki.

- Fiu! - gwizdnął Kola.

- Albo tak: przynoszą skądś, ale tylko tym, które za męża wychodzą.

Kostia spojrzał uważnie na siostrzyczkę, wysłuchał i medytował.

- Nastia, jakaś ty głupia - rzekł wreszcie spokojnie, pewnym głosem - jakiego dzieciaka może mieć Katia, jeżeli nie jest mężatką?

Nastia ogromnie się zaperzyła.

- Ty nic nie rozumiesz - przerwała, rozdrażniona - może miała męża, ale siedzi w więzieniu, a teraz ona rodzi.

- A czy jej mąż siedzi w więzieniu? - z powagą zapytał Kostia.

- Albo tak - zawołała impulsywnie Nastia, poniechawszy całkiem swojej pierwszej hipotezy - ona nie ma męża, to prawda, ale chce wyjść za mąż, no i zaczęła myśleć, jak to wyjdzie za mąż, i wciąż myślała, i tak długo myślała, aż dostała, ale nie męża, tylko dziecko.

- Chyba że tak - zgodził się przekonany wreszcie Kostia - ale tyś tego przedtem nie mówiła, więc skąd ja mogłem wiedzieć.

- Dzieciarnia - rzekł Kola, wchodząc do pokoju - widzę, że niebezpieczny z was ludek.

- I Podzwon jest z panem! - uśmiechnął się Kostia i zaczął strzelać z palców i wołać psa.

- Brzdące, mam kłopot - zaczął poważnie Krasotkin - musicie mi pomóc; Agafia na pewno nogę złamała, bo dotychczas jeszcze jej nie ma, to jasne jak słońce, a ja muszę wyjść. Puśćcie mnie czy nie?

Dzieci spojrzwały po sobie z niepokojem, który odmalował się na ich uśmiechniętych twarzach. Nie rozumiały jeszcze dobrze, czego się od nich wymaga.

- Nie będziecie beze mnie tu zbyt kować? Nie wgramolicie się na szafę, nie połamiecie sobie nóżek? Nie będziecie beczeć ze strachu?

Twarze dziecięce wyrażały okropne zmartwienie.

- A ja bym wam za to coś pokazał: miedzianą armatkę, z której można strzelać prawdziwym prochem.

Twarze dzieci wypogodziły się momentalnie.

- Niech pan pokaże armatkę - zawołał Kostia, cały promieniejąc.

Krasotkin wyjął z tornistra małą armatkę z brązu i postawił ją na stole.

- Niech pan pokaże! - przedrzeźniał Kola, tocząc zabawkę po stole. - Patrz, na kołach i strzelać można. Nabić śrutem i strzelać.

- I zabije?

- Wszystkich zabije, tylko trzeba wycelować.

I Krasotkin wytłumaczył im, gdzie wsypuje się proch, gdzie wkłada się śrut, i powiedział, że armatka cofa się po strzale. Dzieci słuchały z niezwykłym zaciekawieniem. Najbardziej zajęło im wyobraźnię, że armatka się cofa.

- A czy ma pan proch? - zapytała Nastia.

- Mam.

- Niech pan nam pokaże proch - zawołała z błagalnym uśmiechem.

Krasotkin znowu sięgnął do tornistra i wyjął małą flaszeczkę, w której było trochę prawdziwego prochu, oraz skręcony papierek z kilkoma ziarnkami śrutu. Nawet odkorkował flaszeczkę i wysypał trochę prochu na dłoń.

- Tylko daleko trzymać od ognia, bo wybuchnie i wszystkich nas zrani - uprzedził dla efektu Krasotkin.

Dzieci oglądały proch z nabożnym strachem, który jeszcze potęgował przyjemność. Ale Kostia

bardziej podobał się śrut.

- A śrut się nie pali? - zapytał.

- Śrut się nie pali.

- Niech mi pan podaruje trochę śrutu - rzekł błagalnym głosem.

- Trochę śrutu podaruję, masz, tylko mamie nie pokazuj, póki nie wrócę, bo pomyśli, że to proch, struchleje.

- Mama nas nigdy różgami nie ćwiczy - rzekła Nastia.

- Wiem, powiedziałem tak tylko. I mamy nigdy nie oszukujcie, ale tym razem możecie, póki nie wrócę. No więc, brzdące, mogę iść czy nie? Nie będziecie płakać ze strachu?

- Będziemy płakać - przeciągnął Kostia, bliski już płaczu.

- Będziemy płakać, na pewno będziemy! - potwierdziła wystraszona Nastia.

- Och, dzieci, dzieci, jak niebezpieczny jest wasz wiek. Nie ma rady, piskłeta, trzeba będzie z wami tu posiedzieć, nie wiem jak długo. A pilno mi, ach, jak pilno!

- Niech pan każe Podzwonowi udać nieżywego - poprosił Kostia.

- Nie ma rady, trzeba będzie Podzwonowi kazać. *Ici*[17], Podzwon!

I Kola zaczął przerabiać z Podzwonem przeróżne sztuczki. Był to kosmaty kundel, normalnej wielkości, wyróżniający się dziwnym, szarosinym zabarwieniem sierści. Prawe ślepie było ślepe i lewe ucho rozplątane. Pies skomlał, skakał, służył, chodził na tylnych łapach, przewracał się na ziemi łapami do góry i leżał nieruchomo jak zdechły. Tymczasem otworzyły się drzwi i Agafia, służąca pani Krasotkin, otyła, ospowata czterdziestoletnia baba, stanęła w progu, wróciwszy z targu z koszykiem. Stanęła i trzymając w lewej ręce koszyk, przyglądała się Podzwonowi. Kola, jakkolwiek niecierpliwie wypatrywał Agafii, nie przerwał zabawy, przetrzymał Podzwona w pozycji „zdechł pies” i w końcu gwizdnął. Pies zerwał się i zaczął skakać z uciechy, że spełnił swój obowiązek.

- Patrzajcie, a to ci psisko! - ozwała się sentencjonalnie Agafia.

- A ty, płci piękna, czegoś się spóźniła? - zapytał groźnie Kola.

- „Płeć piękna”, widzicie go, pędraka!

- Pędraka?

- A pędraka! Spóźniłam się, bo tak chciałam - mruzczała Agafia, krzątając się koło pieca, ale nie gniewnie, owszem, z ukontentowaniem, jakby ciesząc się, że może się poprzekomarzać z wesołym paniczem.



- Słuchaj, lekkomyślna starucho - zaczął Krasotkin, podnosząc się z kanapy - czy możesz mi przysiąc na wszystko, co święte, i jeszcze na coś, że będziesz pilnować brzdąców przez czas mojej nieobecności? Bo ja muszę wyjść.

- A po co mam ci przysięgać? - roześmiała się Agafia. - I tak będę pilnować.

- Nie, musisz przysiąc na wieczne zbawienie swej duszy. Inaczej nie pójdę.

- A nie idź, co mi do tego; mróz na dworze, to i siedź w domu.

- Brzdące - zwrócił się Kola do dzieci - ta niewiasta zostanie z wami, póki ja nie wrócę albo póki nie wróci wasza matka, która już dawno powinna tu być z powrotem. Oprócz tego da wam śniadanie. Dasz im co do jedzenia, Agafio?

- Może i dam.

- Do zobaczenia, pisklęta, wychodzę ze spokojnym sercem! A ty, babciu - rzekł półgłosem do Agafii - spodziewam się, nie będziesz im plotła waszych babskich bredni o Katarzynie. Zlituj się nad ich dziecięcym wiekiem. Podzwon, *ici!*

- Idź sobie z Bogiem - warknęła już ze złością Agafia. - Jaki śmieszny! Warto by mu w skórę dać za takie gadanie.

### III UCZEŃ

Ale Kola już nie słuchał. Nareszcie mógł wyjść z domu. Za bramą obejrzał się, wzruszył ramionami i stwierdziwszy: „Mróz!”, skierował się wprost ulicą, a następnie na lewo przez zaułek ku rynkowi. Nie dochodząc do placu zatrzymał się przed ostatnim domem, zatrzymał się przed bramą, wyjął z kieszeni gwizdek i gwizdnął z całej siły, jakby dając umówiony znak. Czekał nie dłużej jak minutę: z furtki wybiegł rumiany chłopczyk, może jedenastoletni, również ubrany w ciepłe, schludne, a nawet eleganckie paletko. Był to Smurow, uczeń wstępnej klasy (Kola Krasotkin był w drugiej klasie), syn zamożnego urzędnika, któremu rodzice, zdaje się, nie pozwalali zadawać się z Krasotkinem, jako znanym psotnikiem, Smurow więc wymknął się teraz z domu pewno ukradkiem. Ów Smurow, jak to sobie czytelnik przypomina, był wśród tej gromadki chłopców, którzy dwa miesiące temu rzucali kamieniami przez rów w Iliuszę, i który opowiedział wtedy o Iliuszy Aloszy Karamazowowi.

- Czekam na ciebie już całą godzinę, Krasotkin - rzekł stanowczym głosem Smurow i obaj chłopcy poszli w stronę rynku.

- Spóźniłem się - odpowiedział Krasotkin. - Zatrzymały mnie pewne sprawy. Nie zbijają cię, żeś ze mną poszedł?

- Ależ daj pokój, czy mnie biją? To i Podzwona bierzesz ze sobą?

- I Podzwona!

- Tam?

- Tam.

- Ach, żeby Żuczka...

- Nie ma Żuczka. Żuczek nie istnieje. Żuczek zginął w mroku zapomnienia.

- Słuchaj, czyby nie można było tak - zatrzymał się naraz Smurow. - Przecie Iliusza powiada, że Żuczek też był kosmaty i też szary jak Podzwon. Czy nie można by powiedzieć, że to właśnie jest Żuczek, Iliusza może uwierzy?

- Uczniu, po pierwsze, brzydź się kłamstwem; po drugie, nawet dla dobrej sprawy. A najważniejsze mam nadzieję, żeś słowa tam nie pisał o moim przyjsciu.

- Broń Boże, ja przecież rozumiem. Ale Podzwon nie pocieszy go - westchnął Smurow. - Wiesz co, jego ojciec, kapitan, Wiecheć, mówił nam, że dzisiaj przyniesie mu rasowego szczeniaka, brytana z czarnym nosem; wydaje mu się, że tym pocieszy Iliuszę, ale ja myślę, że nie.

- A jak się czuje Iliusza?

- Ach, kiepsko, bardzo kiepsko! Myślę, że ma suchoty. Jest przytomny, ale tak ciężko oddycha. Niedawno prosił, żeby go poprowadzili po pokoju, obuli go, stanął i od razu upadł. „Ach, powiada, mówiłem ci, tatusiu, że mam złe buciki, zawsze były niewygodne.” Zdawało mu się, że upadł z powodu bucików, nie wie, że po prostu z osłabienia. Do końca tygodnia nie dociągnie. Herzenstube go odwiedza. Teraz oni są znowu bogaci, mają wiele pieniędzy.

- Szelmy.

- Kto taki?

- Lekarze i cała ta doktorska hołota, mówiąc w ogóle i rozumie się, w szczególności. Nie uznają medycyny. Bezużyteczna instytucja. Zresztą wszystko to jeszcze wybadam. Ale co tam u was za sentymentalne nastroje? Zdaje się, że cała klasa tam u niego siedzi?

- Nie cała, dziesięciu nas tylko, bywam tam zawsze, codziennie. To przecie nic takiego.

- Dziwi mnie najbardziej rola Aleksego Karamazowa; brata jego jutro czy pojutrze będą sędzić za taką zbrodnię, a on ma tyle czasu na czułości z chłopaczkami?

- Nie ma tu żadnych czułości. Przecie sam idziesz się pogodzić z Iliuszą.

- Pogodzić się. Śmieszne słowo. Nie pozwolę zresztą nikomu analizować moich czynów.

- A jak Iliusza się ucieszy! Nie spodziewa się wcale, że przyjdiesz. Dlaczego, powiedz, dlaczego nie chciałeś tak długo przyjść? - zawołał zapalczywie Smurow.

- Kochany chłopcze, to moja rzecz, nie twoja. Ja idę z własnej woli, ponieważ tak chcę, a was zaciągnął Aleksy Karamazow, więc jest chyba jakaś różnica. I skąd ty zresztą wiesz, może wcale nie idę się pogodzić? Głupie gadanie.

- Wcale nie Karamazow, wcale nie on. Po prostu zaczęliśmy tam sami chodzić, z początku, rozumie się, z Karamazowem. I nic takiego tam nie było, żadnych głupstw. Zrazu jeden, a potem drugi i trzeci. Ojciec strasznie się cieszył. Wiesz, on na pewno zwariuje, jeżeli Iliusza umrze. I pojęcia nie masz, jak się cieszył, kiedyśmy się z Iliuszą pogodzili. Iliusza pytał się o ciebie, ale nic więcej nie dodał. Zapyta i milczy. A ojciec zwariuje albo się powiesi. On i dawniej zachowywał się jak obłąkany. Wiesz, to szlachetny człowiek i wtedy myśmy się mylili. To ten ojcobójca zawinił, że go wtedy pobił.

- A jednak Karamazow jest dla mnie zagadką. Mógłbym już dawno się z nim poznać, ale w pewnych wypadkach lubię być hardy. Poza tym urobiłem sobie o nim opinię, którą muszę jeszcze sprawdzić i wyjaśnić.

Kola umilkł, pełen poczucia godności. Smurow również milczał; otaczał wciąż Kolę Krasotkina i ani myślał się z nim równać. Był teraz ogromnie zaintrygowany, ponieważ Kola oświadczył, że idzie „z własnej woli”. Było to niewątpliwie zagadką, że Kola naraz postanowił odwiedzić Iliuszę, i to właśnie dzisiaj. Szli przez plac, na którym stało mnóstwo chłopskich wozów i było pełno ptactwa. Baby sprzedawały na straganach nici, obwarzanki itd. Tego rodzaju niedzielne zjazdy nazywa się u nas nieco naiwnie jarmarkami i takich jarmarków bywa dużo w roku. Podzwon biegł w najlepszym usposobieniu, zbaczając co chwila to w prawo, to w lewo, aby coś obwąchać. Spotykając inne psiaki obwąchiwał się z nimi z niezwykłą ochotą według wszelkich psych prawideł.

- Wiesz, Smurow, lubię obserwować realizm - odezwał się naraz Kola. - Czy zauważyłeś, jak psy spotykają się i obwąchują? Jest w tym jakieś prawo natury.

- Tak, jakieś śmieszne.

- Wcale nie śmieszne, mylisz się. W przyrodzie nie ma nic śmiesznego, jakkolwiek tak się czasem wydaje człowiekowi z jego zabobonami. Gdyby psy umiały myśleć i krytykować, na pewno by znalazły tyleż śmiesznego, o ile nie więcej, w socjalnych stosunkach ludzi, ich władców, o ile nie więcej; powtarzam to dlatego, że jestem zdania, iż popełniamy więcej głupstw od nich. To myśl Rakitina, bardzo trafna. Jestem socjalistą, Smurow.

- A cóż to takiego socjalista? - zapytał Smurow.

- Żeby wszyscy byli sobie równi, wszyscy mieli jedno zdanie, żeby nie było małżeństw, a religia i wszystkie prawa to jak kto chce, ano i tam dalej. Jeszcześ nie dorósł do tego, masz czas... A jednak zimno dziś.

- Tak. Dwanaście stopni. Ojciec sprawdził na termometrze.

- I czy zauważyłeś, Smurow, że w połowie zimy, kiedy jest piętnaście czy osiemnaście stopni, nie jest tak zimno, jak na przykład teraz, na początku zimy, kiedy mróz chwyta zniecka, jak dziś, od razu na dwanaście stopni, i kiedy w dodatku nie ma śniegu? To znaczy, że się ludzie jeszcze nie przyzwyczaili. U ludzi przyzwyczajenie - to wszystko, nawet w państwowych i politycznych stosunkach. Przyzwyczajenie - to główna dźwignia. Patrz, jaki pocieszny chłop.

Kola wskazał na wysokiego chłopca w kozuchu, z dobroduszną twarzą, który stojąc koło swego wozu, uderzał dłonią o dłoń w rękawicach, żeby się rozgrzać. Jego długa jasna broda pokryła się szronem.

- Broda chłopca zamarzała! - głośno i zaczepnie zawołał Kola, przechodząc koło niego.

- Niejednemu zamarza - spokojnie i sentencjonalnie odpowiedział chłop.

- Nie zadzieraj z nim - upominał Smurow.

- Nie szkodzi, to dobry człek, nie rozzłości się. Jak się masz, Matwiej!

- Jak się masz!

- Naprawdę na imię ci Matwiej?

- Matwiej. Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Powiedziałem na chybił trafił.

- Uczysz się w szkole?

- W szkole.

- Dają wam tam w skórę, co?

- Nie to, żeby w skórę, ale tak.

- Boli?

- Zdarza się!

- Ech, życie, życie! - westchnął chłop z całego serca.

- Bądź zdrow, Matwiej!

- Bądź zdrow! Miły z ciebie chłopak.

Chłopcy poszli dalej.

- To poczciwy chłop - odezwał się Kola do Smurowa. - Lubię pogadać z ludem i zawsze chętnie oddaję mu sprawiedliwość.

- Po coś skłamał, że nas biją? - zapytał Smurow.

- Żeby go ucieszyć.

- Jak to?

- Widzisz, Smurow, nie lubię, kiedy zaczynają mnie pytać po kilka razy, kiedy nie rozumieją mnie od pierwszego słowa. Czasem to i wytłumaczyć takiemu nie sposób. Według rozumu chłopskiego, ucznia bije się i powinno się bić: cóż to niby za uczeń, jeśli go nie biją? Gdybym mu powiedział, że nas nie biją, to on naprawdę by się zmartwił. Zresztą ty tego nie rozumiesz. Z ludem trzeba rozmawiać umiejętnie.

- Tylko nie zadzieraj z nikim, proszę cię, bo znów wyniknie coś takiego, jak wtedy z tą gęsią.

- A ty się boisz?

- Nie śmieję się tylko, Kola, jak Boga kocham, boję się. Ojciec strasznie będzie się gniewał. Surowo mi zabroniono chodzić z tobą.

- Bądź spokojny, dziś nic takiego się nie zdarzy. Dzień dobry, Natasza! - krzyknął do jednej ze straganiarek.

- Jaka ja tam Natasza, Maria jestem! - krzykliwie odpowiedziała straganiarka, dosyć jeszcze młoda kobieta.

- To ci się chwali, że Maria, jak się masz!

- Ach, ty smarkaczu, ledwo go widać, a już!

- Nie mam czasu, nie mam czasu, w przyszłą niedzielę opowiesz! - zawołał Kola, machając rękoma, jak gdyby to nie on ją, lecz ona jego zaczepiła.

- A co ci mam opowiadać w przyszłą niedzielę? Sam się czepia, a nie ja, urwis! - zawołała Maria. - Portki ci wytrzepać, urwisie jeden!

Straganiarki, które targowały obok Marii, zaczęły się śmiać, gdy naraz spod arkad, gdzie się mieściły sklepy miejskie, wyskoczył ni stąd, ni zowąd bardzo zirytowany mężczyzna w długim granatowym kaftanie, w czapce z daszkiem, młody jeszcze, z ciemnoblonde kędzierzawą czupryną i pociągłą bladą, ospowatą twarzą. Wyglądał na subiekta i nie był tutejszy. Był jakoś głupawo wzburzony i zaczął grozić Koli pięścią.

- Znam cię - wołał zirytowany - znam cię!

Kola patrzył nań uważnie. Nie mógł jakoś sobie przypomnieć, czy kiedy zadarł z tym człowiekiem. Ale czy mało ulicznych zatargów miał w swoim życiu!

- Znasz mnie? - z ironią zapytał Kola.

- Ja cię znam! Ja cię znam! - powtarzał, jak głupi, mieszczanin.

- Tym lepiej dla ciebie. No, nie ma czasu, bywaj zdrów!

- Czego się stawiasz? - zawołał nieznajomy. - Znowu łobuzujesz? Ja cię znam! Znowu łobuzujesz?

- To, bracie, nie twoja rzecz, łobuzuję czy nie - rzekł Kola przystając i przyglądając mu się badawczo.

- Jak to nie moja!

- Po prostu nie twoja.

- A czyja? Czyja? No, czyja?

- To, bracie, sprawa Tryfona Nikitycza, a nie twoja.

- Jakiego znowu Tryfona Nikitycza? - z głupią miną zadzierzyście zapytał nieznajomy. Kola spojrzał na niego z powagą.

- Na Wniebowstąpienie byłeś? - surowo i groźnie powiedział Kola.

- Na jakie Wniebowstąpienie? Po co? Nie, nie byłem - mniej pewnie odparł mieszczanin.

- Sabaniejewa znasz? - coraz natarczywiej i surowiej badał go Kola.

- Jakiego Sabaniejewa? Nie, nie znam.

- A niech cię diabli, jeżeli nie znasz! - wypalił naraz Kola i, odwróciwszy się energicznie, poszedł swoją drogą, jak gdyby gardził człowiekiem, który nawet nie zna Sabaniejewa.

- Stójże, hej! Jakiego Sabaniejewa? - opamiętał się nieznajomy i znowu się zaperzył. - Co on takiego gadał? - zwrócił się naraz do straganiarek, wytrzeszczając głupio gały.

Baby roześmiały się.

- Kutty chłopak - odezwała się jedna.

- O jakim to on Sabaniejewie mówił? - powtarzał wciąż nieprzytomnie mieszczanin, wymachując prawą ręką.

- A chyba o tym, co u Kuźmiczewów pracował, to pewnikiem ten sam - domyśliła się wreszcie jedna z bab.

Mężczyzna wlepił w nią nieprzytomne spojrzenie.

- U Kuź-mi-czewa? - podjęła druga baba - jaki on Tryfon? Ten to Kuźma, nie Tryfon, a chłopak

nazywał go Tryfonem Nikityczem, to znaczy, nie ten.

- Ani to Tryfon, ani Sabaniejew, tylko Czyżow - podchwyciła trzecia baba, która dotychczas milczała i słuchała rezolutnie. - Aleksy Iwanycz się nazywa. Czyżow, Aleksy Iwanycz.

- Na pewno Czyżow - potwierdziła czwarta baba. Mężczyzna, oszołomiony, rozglądał się dokoła.

- To po co on pytał, po co pytał, dobrzy ludzie! - wołał niemal w rozpacz. - „Sabaniejewa znasz?” A diabli wiedzą, co to za jeden, ten Sabaniejew!

- Aleś ty nierozgarnięty, gadają ci, że nie Sabaniejew, tylko Czyżow, Aleksy Iwanycz Czyżow, ot co! - zawołała któraś ze straganiarek.

- Ale jaki Czyżow? Jaki? Gadaj, skoro wiesz?

- Taki długi, kostropaty, latem na targu siedział.

- A na kiego licha mi ten Czyżow, dobrzy ludzie, co?

- A skąd ja mogę wiedzieć, na kiego licha tobie Czyżow?

- A kto cię tam wie, co ci po nim - podjęła druga. - Sam powinieneś wiedzieć, po co ci on, skoro tyle gadasz. Przecie on tobie mówił, a nie nam, głupi człowieku, naprawdę nie znasz?

- Kogo?

- Czyżowa.

- A niech go diabli biorą, twego Czyżowa, razem z tobą! Skórę mu wygarbuję! Zakpił ze mnie!

- Czyżowowi skórę wygarbujesz? Chyba on tobie! Dureń jesteś, i tyle!

- Nie Czyżowowi, nie Czyżowowi, piekielna, wredna babo, chłopca wytlukę! Dajcie mi go, dajcie mi go tu - zakpił ze mnie!

Baby śmiały się do rozpuku, a Kola, już daleko od tego miejsca, kroczył z miną zwycięzcy. Smurow szedł za nim, oglądając się wciąż na krzyczącą gawiedź. Było mu też bardzo wesoło, jakkolwiek bał się wpaść w opresję.

- O jakiego Sabaniejewa go pytałeś? - zagadnął Smurow, domyślając się zresztą odpowiedzi.

- A skąd ja wiem jakiego? Teraz to do wieczora będzie tam harmider. Lubię rozruszać durniów wszystkich warstw społecznych. Masz, tu znów stoi taki gamoń. Powiadają: - „Nie ma nic głupszego nad głupiego Francuza”, ale, bracie, rosyjska fizjonomia też niezgorsza. No, czy nie widać z twarzy tego chłopca, że gamuła, co?

- Zostaw go, Kola, przejdźmy spokojnie.

- Za nic w świecie nie zostawię, już się rozpędziłem. Jak się masz, bracie!

Rosły chłop, z okrągłą, prostoduszną twarzą i szpakowatą brodą, który włókł się powolnym krokiem, widocznie już podchmielony, podniósł głowę i spojrzał na chłopca.

- Ano jak się masz, jeśli nie żartujesz - odparł powoli.

- A jeśli żartuję? - roześmiał się Kola.

- To sobie żartuj, Bóg z tobą. To nic, pożartować można. Zawsze tak można, żeby pożartować.

- Daruj, bracie, zażartowałem.

- Niech ci Pan Bóg daruje.

- A ty mi darujesz?

- A pewnie. Idź sobie z Bogiem.

- No, widzę, żeś mądry chłop.

- Mądrzejszy od ciebie - rzekł niespodziewanie chłop, poważnie jak przedtem.

- Czyżby? - zmieszał się Kola.

- Tak jest, jak mówię.

- A może i tak.

- Właśnie, bracie.

- Bądź zdrow!

- Bądź zdrow!

- Chłopi bywają różni - rzekł Kola do Smurowa po chwili milczenia. - Skąd mogłem wiedzieć, że napatoczę się na mądralę. Zawsze gotów jestem uszanować mądrego chłopca.

Z dala na zegarze soboru wybiło pół do dwunastej. Chłopcy przyśpieszyli kroku i całą dosyć długą jeszcze drogę do mieszkania sztabkapitana Sniegirowa przebyli prawie w milczeniu. W odległości dwudziestu kroków od domu Kola przystanął i kazał, żeby Smurow poszedł pierwszy i wywołał Karamazowa.

- Trzeba się najpierw obwąchać - rzekł do Smurowa.

- A po co go wywoływać? - zaproponował Smurow - wejdź tak, strasznie się wszyscy ucieszą. Po



cóż na mrozie zawierać znajomość.

- Sam wiem, po co na mrozie - uciał despotycznie Kola (bardzo to lubił robić w stosunku do „mikrusów”) i Smurow pobiegł wykonać polecenie.

## IV ŻUCZEK

Kola z ważną miną oparł się o parkan i zaczął czekać na Aloszę. O tak, już dawno chciał się z nim spotkać. Słyszał o nim wiele od chłopców, ale dotychczas udawał obojętną na pozór pogardę, a nawet „krytykował” Aloszę, gdy mu o nim opowiadano. Lecz w głębi duszy ogromnie pragnął go poznać: we wszystkich relacjach o Aloszy była jakaś nutka sympatii, która Kolę bardzo pociągała. Toteż chwila obecna była dlań bardzo ważna: po pierwsze, trzeba było postawić się, okazać niezależność: „Bo jeszcze pomyśli, że mam trzynaście lat i że nie różnię się od tamtych. I cóż go obchodzi ta dzieciarnia? Zapytam o to, jak go zobaczę. Najgorsze, że jestem taki niski. Tuzikow jest młodszy ode mnie, a o pół głowy wyższy. Twarz mam co prawda wcale mądrą; nie jestem ładny, wiem o tym, mam wstrętną twarz, ale mądrą. Nie trzeba też za dużo gadać mu, bo to zaraz uściski itd., a on pomyśli... Tfu, jakie to będzie obrzydliwe, jeżeli tak pomyśli...”

Tak niepokoił się Kola, starając się dodać sobie powagi. Najbardziej dręczył go jego niski wzrost, nie tyle „wstrętna” twarz, co wzrost. U siebie w domu, w kącie na ścianie, jeszcze przed rokiem nazначył ołówkiem swój wzrost i od tego czasu co dwa miesiące mierzył się z wielkim przejęciem: o ile też urósł? Ale niestety! rósł straszliwie wolno, i to wtrącało go w czarną rozpacz. Co się tyczy twarzy, nie była ona bynajmniej „wstrętna”, owszem, dość miła, bielutka, blada, piegowata. Szare, niewielkie, ale żywe oczka, miały wyraz zuchwały i często zapalały się w nich iskry. Kości policzkowe były nieco szerokie, wargi - małe, niezbyt grube, ale bardzo czerwone; nos mały i zdecydowanie zadarty. Kola, oglądając się w lustrze, szczególnie sarkał na swój nos i zawsze odchodził oburzony. „Czy na pewno mam mądrą twarz?” - myślał czasami, podając i to nawet w wątpliwość. Zresztą nie trzeba sądzić, że bardzo się tym przejmował. Przeciwnie, jakkolwiek gorzkie były chwile spędzane przed lustrem, zapominał o nich prędko i nawet na długo, „cały pochłonięty ideami i życiem realnym”, jak sam określał swoją działalność.

Alosza wnet się pojawił i prędkim krokiem podszedł do Koli. Miał jakiś radosny błysk w oczach, który nie uszedł uwagi chłopca. „Czyżby się tak na mój widok ucieszył?” - pomyślał z satysfakcją Kola. Trzeba tu zaznaczyć, że Alosza bardzo się zmienił od czasu, jakeśmy go po raz ostatni spotkali, nosił teraz zamiast riasy pięknie uszyty garnitur, miękki, okrągły kapelusz i miał krótko ostrzyżone włosy. Uroda jego bardzo na tym zyskała, wyglądał jak naprawdę piękny chłopak. Sympatyczna jego twarz miała zawsze wyraz wesoły, ale wesołość ta była jakaś cicha i spokojna. Ku zdziwieniu Koli, Alosza wyszedł do niego, tak jak siedział w pokoju, bez palta: widocznie bardzo się spieszył. Bez ceregieli podał Koli rękę.

- Nareszcie i pan przyszedł, my tu wszyscy na pana czekaliśmy.

- Były powody, o których wkrótce się pan dowie. W każdym razie rad jestem, że pana poznaję. Dawno czekałem na tę sposobność i wiele słyszałem o panu - wybąkał Kola nieco zdyszczanym głosem.

- I tak byśmy się poznali, wiele o panu słyszałem, ale tu się pan spóźnił.

- Niechże pan powie, jak to wszystko wygląda.

- Z Iliuszą bardzo źle, na pewno długo nie pociągnie.

- Co pan mówi! Niech się pan zgodzi, panie Karamazow, że medycyna to podłość! - zawołał z przejęciem Kola.

- Iliusza często, bardzo często wspominał o panu, nawet, wie pan, we śnie, w gorączce. Widać, że pan mu był dawniej bardzo, bardzo drogi... do tego wypadku... ze scyzorykiem. Jest jeszcze jeden powód... Niech mi pan powie, czy to pana pies?

- Mój, Podzwon.

- A nie Żuczek? - Alosza żałośnie spojrział mu w oczy. - A więc Żuczek przepadł?

- Wiem, że wszyscy byście chcieli Żuczka, słyszałem coś o tym - uśmiechnął się zagadkowo Kola. - Niech pan posłucha, panie Karamazow, wyjaśnię panu wszystko, po to tu przyszedłem, i dlatego pana wywołałem, że chciałem panu wyjaśnić całe to zajście, zanim wejdziemy - zaczął z ożywieniem. - Widzi pan, na wiosnę Iliusza przyszedł do pierwszej klasy. Ano wiadomo, wstępna klasa: mikrusy, dzieciarnia. Iliuszy od razu chłopcy zaczęli dokuczać. Ja jestem w drugiej klasie i oczywiście przyglądałem się z dala, z boku. Widzę, chłopak mały, słabiutki, ale nie poddaje się, nawet bije, hardy, oczki mu się świecą. Lubię takich. A oni jeszcze bardziej zaczęli mu dokuczać. Najważniejsze, że był wtedy lichy ubrany, spodenki za krótkie, a buciki dziurawe. Oni mu dlatego dokuczali. Poniżali go. Nie, tego już nie lubię, natychmiast się wtrąciłem i dałem im bobu. Ja przecie ich tłukę, a oni mnie ubóstwiają, wie pan, panie Karamazow? - pochwalił się wylewnie Kola. - I w ogóle lubię dzieciarnię. U mnie w domu i teraz dwoje piskląt siedzi mi na karku, zatrzymały mnie dzisiaj. Ano więc Iliuszę przestano bić, ponieważ wziąłem go pod swoją opiekę. Widzę, że chłopiec dumny, mówię panu, dumny, ale oddany mi jak niewolnik, wykonuje wszystkie moje rozkazy, słucha mnie jak Pana Boga i wciąż tylko mnie naśladuje. W przerwach przychodził do mnie i razem spacerowaliśmy. W niedzielę też. W naszym gimnazjum śmieją się, gdy starszy chłopak zadaje się z małym, ale to tylko przesąd. Taką mam fantazję, i basta, prawda? Ja go uczę, rozwijam - no bo dlaczego, niech mi pan powie, nie miałbym go rozwijać, skoro mi się podoba? Pan na przykład, panie Karamazow, też zadaje się z tymi pisklętami, zatem chce pan oddziaływać na młode pokolenie, rozwijać, być pożytecznym? I przyznam się panu, że ten rys pańskiego charakteru, o którym dowiedziałem się ze słuchów, zainteresował mnie najbardziej. Zresztą do rzeczy: zauważyłem, że w chłopczyku rozwija się jakaś uczuciowość, sentymentalność, a ja, uważa pan, jestem stanowczo wrogiem wszelkich cielejących czułości, i to od najwcześniejszych lat. Poza tym te sprzeczności: dumny, a mnie oddany jak niewolnik; oddany jak niewolnik, a tu naraz błysnie okiem i sprzeciwia mi się, nie chce się zgodzić ze mną, sprzecza się, upiera przy swoim. Czasem propagowałem rozmaite idee; a on, widzę, nie tyle przeciwstawia się ideom, ile chce się zbuntować, powstać przeciwko

mnie, ponieważ odpowiadam oziębłością na jego czułości. I oto, aby go zahartować, stawałem się coraz bardziej ozięby, umyślnie tak postępowałem, bo takie jest moje przekonanie. Miałem na celu wyszkolenie jego charakteru, zahartowanie, stworzenie człowieka... no i tam dalej... pan oczywiście rozumie z jednego słowa. Naraz, widzę, dzień, dwa dni, trzy dni chodzi zmieszany, markotny, ale już nie z powodu czułości, tylko z innych, wyższych, poważniejszych powodów. Myślę sobie: cóż to za tragedia? Badam go i dowiaduję się o wszystkim: w jakiś tam sposób zszedł się z lokajem nieboszczyka pańskiego ojca (który wówczas żył jeszcze), ze Smierdiakowem, a ten nauczył go głupiej sztuczki, zwierzęcej, podłej sztuczki - wziąć kawał chleba, wetknąć szpilkę i rzucić jakiemuś kundlowi, jednemu z tych, co to są tak wygłodzone, że połykają każdy rzucony im kasek. Więc rzucili taki kawałek Żuczкови, był to kundel zawsze głodny, nigdy go nie żywiono, całymi dniami ujadał bez powodu. (Czy lubi pan takie głupie ujadanie, panie Karamazow? Bo ja tego nie znoszę.) Rzucił się więc pies na ten kasek, połknął, pisnął i zaczął kołować, i uciekać, ucieka i wciąż piszczy, w końcu znikł - tak mi to opisał sam Iliusza. Opowiada i płacze, strasznie płacze, ściska mnie, trzęsie się cały. „Leci i piszczy, leci i piszczy” - Iliusza wciąż to powtarzał, uderzył go snadź ten widok. Ano widzi pan, wyrzuty sumienia. A ja bardzo poważnie. Przy tym chciałem mu za dawne sprawy dać nauczkę, więc przyznam się, udałem, że jestem strasznie oburzony, tak, że bardziej już nie można: „Postąpiłeś, powiadam, nikczemnie, jesteś podły, oczywiście nikomu nie powiem, ale chwilowo zrywam z tobą wszelkie stosunki. Zastanowię się jeszcze nad tym i dam ci znać przez Smurowa (tego chłopczyka, który teraz ze mną przyszedł i który już wówczas był mi oddany), czy będę z tobą nadal utrzymywał stosunki czy też zerwę z tobą, bo jesteś łajdak.” To na niego strasznie podziałało. Przyznam się, że już wówczas pomyślałem sobie, że może zbyt surowo go potraktowałem, ale cóż, robiłem to z przekonania. Następnego dnia posłałem do niego Smurowa i kazałem powiedzieć, że już więcej nie będę z nim „rozmawiał”, tak to się u nas nazywa, kiedy dwaj koledzy zrywają ze sobą stosunki. Chodzi o to, że chciałem go przez kilka dni przetrzymać w niełasce, a potem, widząc jego skrucę, wyciągnąć rękę do zgody. Taki miałem zamiar. Ale co pan powie: wysłuchał Smurowa i naraz błysnęły mu oczki: „Powiedz, zawołał, Krasotkinowi, że teraz będę wszystkim psom rzucał kąski ze szpilkami, wszystkim, wszystkim!” „A - myślę sobie - rogata dusza, trzeba mu będzie rogów przytrzeć”, i zacząłem mu okazywać kompletne lekceważenie, przy każdym spotkaniu odwracałem się albo uśmiechałem się ironicznie. I naraz zdarzył się wypadek z jego ojcem, pamięta pan, z Wiechciem? Niech pan zrozumie, że przez to był już przedtem podminowany. Chłopcy, widząc, że z nim nie rozmawiam, rzucili się na niego, zaczęli go drażnić: „Wiecheć, wiecheć!” I wówczas właśnie rozpoczęła się wojna, która sprawiła mi wielką przykrość, ponieważ mocno, zdaje się, wówczas go przetrzepano. Pewnego razu rzucił się na kolegów, kiedy wychodzili ze szkoły, a ja akurat stałem o jakieś dziesięć kroków i patrzyłem na niego. Przysięgam panu, nie pamiętam, abym się wówczas śmiał, owszem, było mi go bardzo a bardzo żal i jeszcze chwila, a byłbym go bronił. Ale naraz natrafił na moje spojrzenie: nie wiem, co mu się przyśniło, wyciągnął scyzoryk, rzucił się na mnie i dźgnął mnie w biodro nad prawa nogą. Nie ruszyłem się, przyznam się panu, że czasami bywam odważny, panie Karamazow. Spojrzałem tylko nań z pogardą, jakby mówiąc spojrzeniem: „Czy nie chcesz jeszcze raz dźgnąć za całą moją przyjaźń, jestem do usług!” Ale po raz drugi nie dźgnął mnie, nie wytrzymał, sam się przeraził, rzucił scyzoryk, głośno się rozplakał i zaczął zmykać. Oczywiście nie skarżyłem się i zaleciłem wszystkim milczenie, aby dyrekcja się nie dowiedziała, a matce powiedziałem dopiero, kiedy się zagoiło, zresztą ranka była nikła, po prostu draśnięcie. Potem słyszałem, że tego samego dnia rzucał w pana kamieniami i nawet w palec ugryzł - ale pan chyba zdaje sobie sprawę z jego stanu! Ano, nie ma rady, postąpiłem głupio: kiedy zachorował, nie poszedłem mu przebaczyć, to znaczy pogodzić się, teraz tego żałuję. Ale miałem swoje specjalne

powody. Oto i cała historia... tylko, zdaje się, że postąpiłem głupio.

- Ach, jaka szkoda - zawołał przejęty Alosza - że nie znałem waszych ówczesnych stosunków, bo przyszedłbym do pana wcześniej, aby zaprowadzić pana do niego. Niech mi pan wierzy, w gorączce bredził wciąż o panu. Nie wiedziałem nawet, jak mu pan jest drogi! I czy naprawdę, czy naprawdę nie odszukał pan Żuczka? Ojciec i koledzy po całym mieście go szukali. Czy uwierzy pan, chory ze łzami w oczach trzykrotnie przy mnie powtórzył: „Dlatego jestem chory, tatusiu, że wtedy Żuczka zabiłem, to Bóg mnie ukarał!”, i nie można mu tego wyperswadować! Gdyby pan znalazł tego Żuczka i pokazał mu, mój Boże, na pewno by wyzdrowiał z radości. A przecież mieliśmy nadzieję, że to się panu uda.

- Przepraszam bardzo, dlaczego sądziliście, że znajdę Żuczka, że właśnie ja go odnajdę? - zapytał Kola z niezwykłym zaciekawieniem. - Dlaczego liczyliście właśnie na mnie?

- Ktoś powiedział, że pan go szuka. Zdaje się, że to mówił Smurow. W dodatku chcemy wszyscy siebie przekonać, że Żuczek żyje i że się gdzieś błąka. Chłopcy przynieśli mu żywego zająca, ale on tylko popatrzał, uśmiechnął się i poprosił, abyśmy puścili go w pole. Zrobiliśmy to. Dopiero co wrócił jego ojciec i przyniósł szczeniaka, brytana, chciał go pocieszyć, ale, zdaje się, że tylko pogorszył...

- Niech mi pan jeszcze powie, panie Karamazow: cóż to za człowiek ten jego ojciec? Znam go, ale co pan o nim myśli: czy to błazen, pajac?

- Ależ nie, bywają ludzie głęboko wrażliwi, ale jakoś przygnębieni. Ich błazeństwo to jakby złośliwa ironia względem tych, którym nie śmia mówić prawdy w oczy. Niech mi pan wierzy, że tego rodzaju błazeństwo jest nieraz bardzo tragiczne. W tym wypadku wszystko skupiło się dla niego w osobie Iliuszy, i jeżeli Iliusza umrze, to on albo dostanie obłądu, albo popełni samobójstwo. Jestem nawet tego pewny, sądząc z jego obecnego wyglądu!

- Rozumiem pana, panie Karamazow, widzę, że pan zna ludzi - rzekł z przejęciem Kola.

- Więc teraz, gdy zobaczyłem pana z pieskiem, pomyślałem sobie, że pan przyprowadził tego Żuczka.

- Niech pan czeka, może go znajdziemy, ale ten to jest Podzwon. Wpuszczę go teraz do pokoju, może Iliusza ucieszy się bardziej niż z brytana. Niech pan poczeka, zaraz się pan czegoś dowie. Ach, Boże, ja tu pana trzymam! - zawołał naraz impulsywnie Kola. - Tylko w tużurku, na takim mrozie, a ja pana zatrzymuję: widzi pan, jaki ja jestem egoista! O, wszyscy jesteśmy egoistami, panie Karamazow!

- Nie szkodzi, prawda, jest zimno, ale nie jestem skłonny do przeziębień. Chodźmy jednak. Aha, jak panu na imię, wiem, że Kola, ale dalej?

- Mikołaj, Mikołaj Iwanow Krasotkin albo, jak mówią, Krasotkin syn - roześmiał się Kola, ale naraz dodał: - Rozumie się, nienawidzę imienia Mikołaj.

- A to dlaczego?

- Trywialne, urzędowe...

- Pan ma trzynaście lat?

- Czternasty, za dwa tygodnie kończę trzynaście, bardzo niedługo. Przyznam się panu, do pewnej słabostki, taki feblik, tylko panu, aby pan mnie całkowicie poznał: nienawidzę, gdy się mnie pyta o lata, bardziej niż nienawidzę... i wreszcie... plotkują o mnie, że na przykład w zeszłym tygodniu bawiłem się ze wstępniakami w rozbójników. Że bawiłem się, to prawda, ale kłamstwo, jakoby bawiłem się dla siebie, dla swojej przyjemności. Przypuszczam, że te plotki doszły do pana, ale zapewniam pana, że nie bawiłem się dla siebie, lecz dla dzieciarni, ponieważ beze mnie nic by nie wymyślili. A u nas to zaraz biorą na języki. To plotkarskie miasto, zapewniam pana.

- A gdyby nawet bawił się pan dla własnej przyjemności, to cóż takiego?

- Ano dla siebie... Pan przecież nie będzie bawił się w konika?

- A niech pan to sobie tak wytłumaczy - uśmiechnął się Alosza. - Przecie dorośli bywają na przykład w teatrach, a na scenie przedstawia się przygody różnych bohaterów, nieraz nawet i rozbójników, i wojny - więc niechże pan powie, czy to nie to samo, oczywiście w innym rodzaju? Zabawa w wojnę albo w rozbójników podczas pauzy jest w istocie zaczątkiem sztuki, rodzącą się w młodej duszy potrzebą sztuki. I nieraz te zabawy układają się lepiej od niejednego przedstawienia teatralnego, z tą tylko różnicą, że w teatrze ogląda się aktorów, a tu młodzież sama bierze udział w grze. Tylko to jest bardziej naturalne.

- Tak pan uważa? Takie jest pańskie przekonanie? - Kola spojrział uważnie. - Wie pan, że to bardzo ciekawa myśl; jak wrócę do domu, to poruszę mózgowicę. Przyznam się, wiedziałem, że można się od pana wiele nauczyć. Przyszedłem się uczyć od pana, panie Karamazow - zakończył Kola z przejściem.

- A ja od pana - uśmiechnął się Alosza, uściskawszy mu rękę.

Kola był wielce zadowolony z Aloszy. Ogromnie mu się spodobało, że Alosza traktuje go jak równego sobie i rozmawia z nim jak z „zupełnie dorosłym”.

- Pokażę panu zaraz dowcipną sztuczkę, panie Karamazow, też swego rodzaju przedstawienie teatralne - roześmiał się nerwowo Kola. - Po to przyszedłem.

- Ale przedtem pójdziemy na lewo do gospodarzy, tam wszyscy pańscy koledzy zostawili palta, bo w pokoju jest ciasno i gorąco.

- Ale ja tylko na chwilę, posiedzę w palcie. Podzwon zostanie tu w sieni i położy się. Podzwon, zdechł pies! Widzi pan, leży. Ja najpierw wejdem, rozejrzę się, a potem, gdy trzeba będzie, gwizdnę: „Podzwon, *ici!*” Zobacz pan, wleci jak nieprzytomny. Żeby tylko Smurow nie zapomniał w stosownej chwili otworzyć drzwi. Już ja to załatwię, zobaczy pan...

## V PRZY ŁÓŻECZKU ILIUSZY

W znanym już nam pokoju, w którym gnieździła się rodzina znanego nam dymisjonowanego sztabkapitana Sniegirowa, było w tej chwili duszno i ciasno. Siedziało tu kilku chłopców i choć każdy z nich, podobnie jak Smurow, gotów był zaprzeczyć, że sprowadził ich tu i pogodził z Iliuszą Alosza, tak jednak było. Cała sztuka polegała na tym, że Alosza sprowadził ich po kolei bez „cielących czułości”, jakby nieumyślnie, przypadkowo. Obecność ich sprawiła Iliuszy ogromną ulgę w cierpieniu. Bardzo się wzruszył widząc, jaką czułą przyjaźnią i troską otaczają go wszyscy ci, którzy niedawno jeszcze byli jego wrogami. Brakowało tylko Krasotkina, i brak ten strasznie przygnębiał Iliuszę. W pełnych goryczy wspomnieniach Iliuszy najbardziej gorzki był właśnie ów epizod z Krasotkinem, niegdyś jedynym przyjacielem i obrońcą, na którego przecież rzucił się ze scyzorykiem. Zdawał sobie z tego sprawę mądry Smurow (to on pierwszy przyszedł pogodzić się z Iliuszą). Lecz Krasotkin, któremu Smurow zapowiedział wizytę Aloszy „w pewnej sprawie”, wręcz odparował podstęp i polecił niezwłocznie powiedzieć „Karamazowowi”, że sam wie, jak postępować, że nie prosi nikogo o radę i jeżeli odwiedzi chorego, to sam wie kiedy, „bo ma własne rachuby”. Było to na dwa tygodnie przed tą niedzielą. Oto czemu Alosza nie poszedł do Krasotkina, jak to był zamierzał. Chociaż nie poszedł, posyłał dwukrotnie Smurowa. Lecz oba razy zniecierpliwiony Krasotkin odmówił w zdecydowany sposób i zagroził, że jeżeli sam Alosza przyjdzie po niego, to on już naprawdę nigdy nie pójdzie do Iliuszy, i w ogóle, aby mu dano spokój. Nawet ostatniego dnia Smurow nie wiedział, że Kola zdecydował się pójść do Iliuszy; i dopiero w przeddzień, wieczorem przy pożegnaniu, Kola kazał mu czekać nazajutrz rano w domu, bo razem z nim pójdzie do Sniegirowa, ale żeby Smurow nie śmiał o tym nikomu mówić, ponieważ chciał przyjść jak gdyby przypadkiem. Smurow był posłuszny. Nadzieja zaś, że Kola sprowadzi psa, zaświtała Smurowowi wówczas, gdy Kola pewnego razu rzekł mimochodem: „Osły jesteście, jeśli nie możecie odszukać psa, oczywiście, o ile nic zdechł.” Ale, gdy po pewnym czasie Smurow ośmielił się napomknąć o swoich domysłach co do psa, Kola nagle okropnie się rozzłościł: „Czy ja jestem osioł, żeby szukać po mieście cudzych psów, kiedy mam własnego Podzwona? I czy to możliwe, aby pies, który połknął szpilkę, mógł żyć? Cielące czułości, i tyle!”

Tymczasem Iliuszą prawie już od dwóch tygodni leżał w łóżku, w kącie pod obrazami, w szkole nie był od owego dnia, kiedy spotkał Aloszę i ugryzł go w palec. Zresztą tego samego dnia zachorował, chociaż jeszcze przez miesiąc mógł od czasu do czasu wstawać z łóżka i chodzić po pokoju. Ostatnio jednak był tak osłabiony, że nie mógł się poruszyć bez pomocy ojca. Ojciec truchlał, przestał nawet całkiem pić i tracił prawie rozum na myśl, że jego chłopiec umrze. Czasem, oprowadziwszy syna po pokoju i ułożywszy go z powrotem w łóżeczku, wybiegał do sieni, stawał w ciemnym kącie, opierał się czołem o ścianę i zanosił się dziwnym, wstrząsającym łkaniem, tłumiąc głos, aby go Iliusza nie słyszał.

Ale gdy wracał do pokoju, starał się rozerwać i pocieszyć swego drogiego chłopczyka, opowiadał mu bajeczki, śmieszne anegdoty, naśladował różnych zabawnych ludzi, których zdarzało się mu spotkać, udawał nawet głosy zwierząt. Iliusza bardzo nie lubił, gdy ojciec zaczynał zgrywać

się i stroić z siebie błazna. Starał się tego nie okazywać, ale z bólem serca uświadamiał sobie, że ojciec w towarzystwie jest poniżony, i nie mógł zapomnieć o „wiechciu” i owym „okropnym dniu”. Nina, sparaliżowana, spokojna i dobra siostra Iliuszy, też nie lubiła, gdy ojciec się zgrywał (starsza siostra Barbara Nikołajewna od dawna już wyjechała do Petersburga na swoje kursy), natomiast obłąkana matka ogromnie się cieszyła i śmiała z całego serca, gdy mąż robił z siebie widowisko, przedstawiał coś i śmiesznie gestykulował. Była to zresztą jej jedyna rozrywka, bo poza tym stale płakała i utyskiwała, że wszyscy o niej zapomnieli, że nikt jej nie szanuje, że ją obrażają itd. Ale ostatnio i ona również bardzo się zmieniła. Często spoglądała na Iliuszę i wpadała w zadumę. Przycichła, rzadko się odzywała, a kiedy płakała, to cicho, żeby nie było słychać. Sztabskapitan ze zdziwieniem i goryczą zauważył tę zmianę. Odwiedziny chłopców z początku wcale się jej nie podobały i nawet gniewały ją, ale potem wesołe okrzyki i opowiadania chłopców zaczęły ją bawić i w końcu tak jej przypadły do gustu, że gdyby chłopcy przestali przychodzić, byłaby bardzo smutna. Gdy zaczynali coś opowiadać lub bawić się, zanosila się śmiechem i klaskała w dłonie. Niektórych przywoływała do siebie i całowała. Szczególnie polubiła Smurowa. Co się zaś tyczy sztabskapitana, to odwiedziny chłopców przepelniały go egzaltowaną radością i nawet nadzieją, że Iliusza przestanie się smucić i dzięki temu rychlej wyzdrowieje. Wierzył bowiem do ostatniej chwili i pomimo strachu ani wątpił, że Iliusza nagle wyzdrowieje. Witał więc małych gości z wdzięcznością, krzątał się koło nich, usługiwał im, gotów był bodaj nosić ich na barana i nawet zaczął to robić, ale Iliuszy nie spodobała się ta zabawa, więc jej poniechał. Kupował dla nich podarunki, orzeszki, ciasteczka, częstował herbatą i kanapkami. Trzeba wiedzieć, że ostatnio nie miał kłopotów pieniężnych. Dwieście rubli od Katarzyny Iwanowny przyjął dokładnie tak, jak to przewidywał Alosza. A potem Katarzyna Iwanowna, wywiedziawszy się ze szczegółami o chorobie Iliuszy, przysłała do nich, poznała całą rodzinę i nawet potrafiła oczarować półobłąkaną kapitanową. Odtąd szczodrobliva jej ręka nie skąpiła poparcia, a sztabskapitan, przybity strachem o życie syna, zapomniał o poprzednich skrupułach honoru i z pokorą przyjmował wsparcie. Przez cały ten czas doktor Herzenstube z polecenia Katarzyny Iwanowny pilnie i regularnie odwiedzał chorego, ale było z tego tyle korzyści, że zamęczał pacjenta przeróżnymi lekarstwami. Tego dnia, czyli w niedzielę rano, oczekiwano tu innego lekarza, który przybył z Moskwy, gdzie był uważany za znakomitość. Sprowadziła go specjalnie z Moskwy Katarzyna Iwanowna za wielkie pieniądze, co prawda nie dla Iliuszy, lecz w innym celu, o czym opowiem później, we właściwej chwili, jednakże, korzystając z tej sposobności, poprosiła lekarza, aby odwiedził zarazem i Iliuszę, i uprzedziła o tym sztabskapitana. Wizyty zaś Koli Krasotkina sztabskapitan bynajmniej się nie spodziewał, choć od dawna już pragnął widzieć u siebie tego chłopca, który tak zaprzętał myśli jego Iliuszczki. W chwili gdy Krasotkin otworzył drzwi i wszedł do pokoju, wszyscy obecni, sztabskapitan i chłopcy, stali przy łóżku chorego, oglądając dopiero co przyniesionego, malutkiego, rasowego szczeniaka, który urodził się poprzedniego dnia. Sztabskapitan zamówił to szczenię tydzień temu, zanim się jeszcze urodziło, chcąc pocieszyć i uspokoić Iliuszczkę, który wciąż się martwił z powodu zaginionego i zapewne już nieżyjącego Żuczka. Lecz Iliusza wiedział już od trzech dni, że dostanie małego pieska, i to nie zwyczajnego, lecz rasowego brytana (co oczywiście było ważną okolicznością), i choć przez delikatność okazywał zadowolenie z podarunku, ale wszyscy, zarówno ojciec, jak i koledzy, wiedzieli wyraźnie, że nowy piesek tylko wskrzesił pamięć nieszczęsnego, zamęczonego Żuczka. Szczeniak leżał i niespokojnie się poruszał na posłaniu, a Iliusza z bolesnym uśmiechem głaskał go bielutką wychudłą rączką: tak, widać było, że podoba mu się ten psiak, ale... Żuczka przecie nie ma, to przecie nie jest Żuczek, o, gdyby tak to szczenię i Żuczek razem, nic by wówczas nie brakowało do szczęścia!

- Krasotkin! - zawołał nagle jeden z kolegów, ujrzawszy naraz wchodzącego Kolę. Po chwili zamieszania chłopcy rozstąpili się, stanęli po obu stronach łóżeczka tak, by można było widzieć Iliuszę. Sztabskapitan z ożywieniem podbiegł do Koli.

- Prosimy, prosimy... drogi gościu - wyszeptał. - Iliuszeczka, pan Krasotkin przyszedł do ciebie...

Lecz Krasotkin, szybko uściskawszy jego dłoń, dowiódł, że zna doskonale prawa dobrego tonu. Najpierw zwrócił się do siedzącej w fotelu małżonki sztabskapitana (była akurat w bardzo złym humorze i opryskliwie zrzędziła na chłopców, że zasłaniają Iliuszeczkę i nie pozwalają jej spojrzeć na szczeniaka), z najwyższym ugrzecznieniem szurnął nogą, po czym zwrócił się do Ninoczki i złożył jej podobny ukłon. Ta galanteria zrobiła świetne wrażenie na chorej damie.

- Od razu widać, że dobrze wychowany młodzieniec - rzekła głośno, wyciągając rękę - nie to, co tamci goście: wjeżdżają jeden na drugim.

- Jak to, mateczko, jeden na drugim, jak to? - zapytał łagodnie sztabskapitan, lękając się wybryków „mateczki”.

- Właśnie że tak, wjeżdżają. Siądzie w korytarzu jeden na drugim i wjeżdża, tak jak na koniu, do przyzwoitej rodziny. Cóż to za gość?

- Ale kto, mateczko, kto tak wjeżdżał, kto taki?

- Ano tamten chłopak na tym chłopaku dzisiaj wjechał, a ten na tym...

Lecz Kola stał już przy łóżeczku Iliuszy. Twarz chorego pobladła. Uniósł się nieco i badawczo patrzył na Kolę. Krasotkin, który nie widział już ze dwa miesiące swojego małego przyjaciela, stanął jak wryty: nie spodziewał się, że ujrzy tak wychudzoną i pożółkłą twarzyczkę, tak płonące gorączkowo i jak gdyby okropnie powiększone oczy, takie chude rączki. Z bolesnym zdziwieniem patrzył, jak Iliusza głęboko i szybko oddycha i że ma takie wyschnięte wargi. Podeszedł bliżej, wyciągnął rękę i, całkiem już zmieszany, rzekł:

- No co, stary, jak się masz!

Ale głos mu się załamał, swoboda towarzyska opuściła go, twarzyczka się skrzywiła i coś zadrgało koło warg. Iliusza przyglądał mu się z bolesnym uśmiechem, nie mogąc powiedzieć słowa. Kola naraz podniósł rękę i nie wiadomo czemu pogłaskał Iliuszę po czuprynie.

- To nic! - szepnął, jak gdyby chcąc go pocieszyć (zresztą sam nie wiedział, dlaczego to mówi). Przez chwilę obaj milczeli.

- Cóż to, masz nowego szczeniaka? - zapytał wreszcie Kola tonem jak najbardziej obojętnym.

- T-a-a-ak! - odpowiedział Iliusza szeptem, dusząc się niemal.

- Czarny nos, to znaczy, że zły będzie, na łańcuchu trzeba będzie go trzymać - stanowczo i



poważnie orzekł Kola, jak gdyby chodziło tylko o szczeniaka i jego czarny nos. W istocie przez cały czas starał się ze wszystkich sił powstrzymać wzruszenie, żeby się nie rozplakać jak „smarkacz”, i nie mógł sobie z tym poradzić. - Jak wyrosnie, trzeba go będzie na łańcuchu trzymać, widzę to już teraz.

- Będzie ogromny! - zawołał któryś z chłopców.

- Wiadomo, brytany są ogromne, będzie jak ciołek - rozległo się od razu kilka głosów.

- Jak ciołek, jak prawdziwy ciołek - pochwyił sztabskapitan. - Specjalnie takiego wyszukałem, najbardziej złego, a rodzice jego też ogromne psy i złe... od podłogi mierząc takie wysokie... Niechże pan usiądzie, o tu, na łóżeczku Iliuszy albo na ławie. Bardzo prosimy, drogi, dawno wypatrywany gościu... Raczył pan przyjść z Aleksym Fiodorowiczem?

Krasotkin usiadł na brzegu łóżka. Zapewne przez drogę ułożył sobie wstępną przemowę, ale teraz nic z tego nie pamiętał.

- Nie... ja z Podzwonem... Mam teraz takiego psa, Podzwon się wabi. To imię słowiańskie. Tam czeka, gwizdnę, to wleci. Ja także z psem - zwrócił się naraz do Iliuszy - pamiętasz, stary, Żuczka?

Iliuszczyk od razu zmienił się na twarzy. Spojrzał na Kolę z męką w oczach. Alosza, który stał pode drzwiami, zasepił się i ukradkiem mrugnął na Kolę, aby zmienił temat. Ale ów nie zauważył tego albo też nie chciał zauważyć.

- Gdzie jest... Żuczek? - zapytał wzruszonym głosem chory.

- Ano, bracie, twój Żuczek - fiut! Przepadł twój Żuczek.

Iliusza nic nie odpowiedział, ale raz jeszcze przenikliwie popatrzył na przyjaciela. Alosza, spotkawszy spojrzenie Koli, znowu dał mu znak ruchem głowy, ale chłopak ponownie odwrócił oczy udając, że tego nie widzi.

- Poleciał gdzieś i zdechł. Jak miał nie zdechnąć po takiej zakąsce - ciągnął nielitościwie Kola, ale głosem już zdyszany. - Ja mam teraz psa... Podzwona... słowiańskie imię... Przyproważyłem go tutaj...

- Nie trzeba - odezwał się nagle Iliusza.

- Nie, nie, musisz koniecznie zobaczyć... To cię zabawi. Specjalnie go przyproważyłem... taki sam kosmaty jak tamten... Łaskawa pani pozwoli, że wprowadzę tu swego psa? - zwrócił się do pani Sniegierow z jakimś szczególnym, niepojętym wzburzeniem.

- Nie trzeba, nie trzeba! - zawołał boleśnie Iliusza. Z wyrzutem patrzył na Krasotkina.

- Mógłby pan... - sztabskapitan zerwał się z kufra stojącego pod ścianą - mógłby pan... kiedy indziej... - dodał szeptem, ale Kola, nie zwracając na nic uwagi, zawołał nagle do Smurowa: „Smurow, otwórz drzwi!”, skoro zaś ten otworzył, Kola gwizdnął. Podzwon natychmiast wpadł do

pokoju.

- Chodź tu, Podzwon! Służyć, służyć! - zawołał Kola, zrywając się z miejsca, i pies stanął na tylnych łapach tuż przed łóżkiem Iliuszy. I nagle stało się coś, czego nikt się nie spodziewał: Iliusza zadrżał, z niezwykłą siłą poruszył się, pochylił nad Podzwonem i z zapartym tchem patrzył na niego.

- To... Żuczek! - zawołał głosem zachrypłym od szczęścia i bólu.

- A ty myślałeś, że kto? - wykrzyknął na całe gardło Krasotkin dźwięcznym, szczęśliwym głosem i, nachyliwszy się, objął psa i podniósł go wyżej.

- Patrzaj, stary, widzisz, ślepy na jedno oko i lewe ucho rozcięte, takie same znaki szczególne, o jakich mówiłeś. Po nich go poznałem. To było wtedy, od razu. Bo to był przecież bezdomny, bezpański pies! - wyjaśnił, zwracając się teraz po kolei do sztabskapitana, do jego żony, do Aloszy, a potem znów do Iliuszy. - Jakiś czas był u Fiedotowów na podwórzu, przywykł już, ale tam nie dawali mu jeść... Tam go odnalazłem... Widzisz, stary, pies wtedy nie połknął tego kęska. Gdyby połknął, już by oczywiście było po nim! Zdążył więc wypluć, skoro żyje. A tyś nie zauważył. Wypluł, ale ukłuł się w język i dlatego tak piszczał. Uciekał i piszczał, toteż zdawało ci się, że naprawdę połknął. Nic dziwnego, że tak piszczał, bo przecie pies ma bardzo delikatną skórę w pysku... delikatniejszą niż człowiek, o wiele delikatniejszą! - wołał nieprzytomnie Kola z pałającą, uszczęśliwioną twarzą.

Iliusza nie mógł mówić. Patrzył na Kolę wielkimi i jakoś strasznie wytrzeszczonymi oczyma, z otwartymi ustami, blady jak płótno. Rozumie się, gdyby niczego nie podejrzewający Krasotkin wiedział, jak zabójczo i strasznie może podziałać taka chwila na chorego chłopca, nigdy by się nie ważył zrobić tego, co zrobił. Ale spośród obecnych może tylko jeden Alosza zdawał sobie z tego sprawę. Sztabskapitan zaś jak gdyby zupełnie zdziecinniał.

- Żuczek! Więc to jest Żuczek? - wołał uszczęśliwiony. - Iliuszczka, przecie to Żuczek, twój Żuczek! Mamuśka, przecie to Żuczek!

Był bliski płaczu.

- A ja się nie domyśliłem - zawołał z goryczą Smurow. - Ach, ten Krasotkin, mówiłem, że on znajdzie Żuczka, no i znalazł.

- I znalazł! - powtórzył ktoś.

- Zuch z ciebie, Krasotkin! - rozległ się trzeci głosik.

- Zuch, zuch! - wołali wszyscy chłopcy i zaczęli klaskać.

- Poczekajcie, poczekajcie - usiłował przekrzyczeć ich Krasotkin - opowiem wam, jak to było, cała rzecz w tym, jak to było! Bo przecie go odszukałem, sprowadziłem do siebie i od razu schowałem, nie pokazywałem nikomu aż do ostatniego dnia. Tylko Smurow dowiedział się dwa tygodnie temu, ale przekonałem go, że to Podzwon, a on się wcale nie domyślił. Tymczasem tresowałem Żuczka i nauczyłem go różnych sztuczek; zaraz zobaczycie, przekonacie się sami, co on potrafi! Po to go tak uczyłem, stary, żeby go sprowadzić do ciebie wyuczonego, dobrze

wychowanego. Że niby: „Patrzaj, stary, jaki teraz ten twój Żuczek!” Czy nie macie kawałka wołowiny? Zaraz bym wam pokazał jedną sztuczkę, pokładalibyście się ze śmiechu - może się znajdzie kawałeczek wołowiny?

Sztabskapitan wybiegł do izby, gdzie gotował się obiad. Kola zaś, żeby nie tracić drogiego czasu, zawołał na Podzwona: „Zdechł pies!” Pies przewrócił się na grzbiet i w tej pozycji leżał kilka chwil nieruchomo, czterema łapkami do góry. Chłopcy śmieli się, Iliusza patrzył ze swym męczeńskim uśmiechem, ale figiel najbardziej się spodobał „mamuśce”. Śmiała się, przytękała palcami i przywoływała psa:

- Podzwon, Podzwon!

- Za nic w świecie nie wstanie, za nic w świecie - z dumną miną zawołał Kola - choćby wszyscy krzyczeli. A kiedy ja zawołam, natychmiast się zerwie! Podzwon! *Ici!*

Pies zerwał się i zaczął skakać i piszczeć z radości. Sztabskapitan wrócił z kawałkiem gotowanego mięsa.

- Nie gorące? - zapytał pośpiesznie Kola, biorąc do ręki mięso. - Nie, nie gorące; psy nie lubią gorącej stawy. Patrzcie wszyscy... Iliuszeczka, patrz, patrz, patrz, stary, czemu nie patrzysz? Przeprowadziłem go, a on wcale nie patrzy!

Nowy figiel polegał na tym, że na nos psa, który stał na tylnych łapach, kładło się kawałek mięsa. Nieszczęsny pies powinien był stać nieruchomo z upragnionym kąskiem na nosie tak długo, jak pan mu każe, i ani drgnąć, bodaj przez pół godziny. Tym razem zabawa trwała tylko chwilę.

- Weź! - krzyknął Kola i łakomy kąsek w mig spadł z nosa do pyska Podzwona.

Widzowie oczywiście wyrazili swój zachwyt i zdumienie.

- Czyżby więc dlatego pan tak długo nie przychodził, że chciał pan wytresować psa? - zawołał z mimowolnym wyrzutem Alosza.

- Właśnie dlatego! - odparł prostodusznie Kola. - Chciałem go pokazać w całym blasku!

- Podzwon! Podzwon! - zawołał na psa Iliuszeczka przytękając swymi chudziutkimi palcami.

- Niech on sam skoczy na łóżko. Podzwon, *ici!* - rzekł Kola, uderzając dłonią po kołdrze.

I Podzwon jak strzała wskoczył na łóżko. Iliusza objął go oburącz za głowę, a pies polizał go za to w policzek. Iliusza przytulił go do siebie i ukrył twarzyczkę w jego kosmatej sierści.

- Boże, Boże! - wołał sztabkapitan.

Kola znowu siadł na łóżku chorego.

- Iliusza, mogę ci jeszcze coś pokazać. Przyniosłem ci armatkę. Pamiętasz, mówiłem ci już

wtedy o tej armatce, a tyś powiedział: „Ach, gdybym ją mógł zobaczyć!” Więc przyniosłem ci.

Kola zaczął szperać w tornistrze i wyciągnął małą armatkę z brązu. Spieszył się tak, ponieważ czuł się bardzo szczęśliwy; w innym wypadku poczekałby, aż minie poprzedni efekt, teraz nie dbał o to: „Tacy jesteście szczęśliwi, no, macie jeszcze trochę szczęścia!” Sam był w prawdziwym upojeniu.

- Dawno już zagiąłem parol na tę armatkę. Dla ciebie, stary, dla ciebie. Morozow, ten urzędnik, miał ją. Stała tam u niego bez pożytku, brat mu ją darował. Dałem mu za nią książkę z ojcowskiej biblioteki: *Krewniak Mahometa, czyli Uzdrawiające androny*. Książka ma sto lat, strasznie bezwstydna, wyszła w Moskwie, kiedy jeszcze cenzury nie było. Morozow jest amatorem takich historyjek. Jeszcze mi dziękował...

Kola trzymał armatkę tak, aby wszyscy mogli ją widzieć i podziwiać. Iliusza uniósł się na łokciu i, prawą ręką wciąż trzymając psa, z zachwytem przyglądał się zabawce. Efekt szczytowy nastąpił wówczas, kiedy Kola oznajmił, że ma przy sobie trochę prochu i że może wypalić, „jeżeli to tylko nie zaniepokoi pań”.

„Mamuśka” poprosiła, aby pozwolono jej z bliska obejrzeć armatkę, i jej życzenie natychmiast spełniono. Brązowa armatka na kółkach ogromnie się jej spodobała i zaczęła ją toczyć na swoich kolanach. Na prośbę Koli zgodziła się od razu, nie rozumiejąc zresztą, o co ją proszą. Kola wydobył proch i śrut. Sztabskapitan, jako były wojskowy, sam zajął się nabijaniem, wsypał małą porcję prochu, śrut zaś radził odłożyć na kiedy indziej. Armatkę ustawiono na podłodze, lufą w stronę pustego miejsca, nabito trzema ziarnami prochu i podpalono zapałką. Rozległ się wspaniały wystrzał. „Mamuśka” zrazu drgnęła, ale po chwili zaśmiała się radośnie. Chłopcy spoglądali z milczącą powagą i triumfem, ale najszcześniejszy był sztabskapitan, który nie spuszczał oka z Iliuszy. Kola podniósł armatkę i podarował ją Iliuszy wraz ze śrutem i prochem.

- To dla ciebie, dla ciebie! Dawno już przygotowałem - powtórzył, niezmiernie uszczęśliwiony.

- Ach, mnie! Podarujcie lepiej mnie tę armatkę! - zaczęła naraz prosić „mamuśka” niby małe dziecko.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju, że nie jej podarują armatkę, Kola zmieszał się. Sztabskapitan niespokojnie się poruszył.

- Mamuśka, mamuśka! - podbiegł ku niej. - Armatka jest twoja, twoja, ale niech ona będzie u Iliuszy, bo to on dostał, ale to tak samo, jak gdyby była twoja. Iiuszeczka zawsze pozwoli ci się pobawić, będzie wasza wspólna, wspólna...

- Nie, nie chcę, żeby była wspólna, nie, chcę, żeby całkiem była moja, nie Iliuszy - upierała się „mamuśka”, bliska płaczu.

- Mamo, weź ją sobie, masz, weź! - zawołał naraz Iliusza. - Krasotkin, czy mogę ją podarować mamie? - zwrócił się z błagalnym wyrazem do Krasotkina, jak gdyby się obawiał, że Kola się obrazi, iż on oddaje komu innemu jego podarunek.

- Ma się rozumieć, że możesz! - zgodził się od razu Krasotkin i sam nawet wziął armatkę z rąk Iliuszy i podał ją z grzecznym ukłonem „mamuśce”, która aż rozplakała się ze wzruszenia.

- Iliuszczka, najmilszy mój, oto kto naprawdę kocha swoją mamusię! - zawołała i znowu zaczęła toczyć armatkę na swoich kolanach.

- Mamuśka, pozwól, że ucałuję rączkę - podbiegł znowu sztabkapitan i natychmiast wykonał swój zamiar.

- I kto jeszcze jest najmilszym młodzieńcem, to ten dobry chłopczyk! - dodała z wdzięcznością pani domu, wskazując Krasotkina.

- A prochu będę ci teraz przynosił, Iliusza, ile tylko zechcesz. Teraz sami robimy proch. Borowikow ma receptę: dwadzieścia cztery części saletry, dziesięć siarki i sześć węgla brzozonego, wszystko to razem utłuc, nalać wody, zrobić z tego gęstą masę, przetrzeć przez skórę od bębna - i proch gotowy.

- Smurow opowiadał mi już o waszym prochu, ale tatuś powiedział, że to nieprawdziwy proch - powiedział Iliusza.

- Jak to nieprawdziwy! - zarumienił się Kola. - Przecież się pali. Zresztą nie wiem...

- Ależ nie, to nic - podbiegł ze speszoną miną sztabkapitan. - Rzeczywiście mówiłem, że prawdziwy proch inaczej się robi, ale to nic, można i tak.

- Nie wiem, chyba pan wie lepiej. Zapaliliśmy w słoiku od pomady, doskonale się palił, cały spłonął, zostało tylko troszeczkę sadzy... Ale przecie to tylko masa, a jeśli przetrzeć przez skórę... Zresztą, pan wie lepiej, ja nie wiem... A Bułkina to ojciec zbił za ten nasz proch, słyszałeś? - zwrócił się znów do Iliuszy.

- Słyszałem - odpowiedział Iliusza. Słuchał kolegi z niezmiernym zainteresowaniem i rozkoszą.

- Zrobiliśmy całą butelkę prochu i on ją trzymał pod łóżkiem. Ojciec zobaczył. „Mógł być wybuch” - powiada. I natychmiast wyłoił mu skórę. Chciał nawet się na mnie skarżyć w szkole. Teraz nie pozwalają mu chodzić ze mną, zresztą nikomu już nie pozwalają. Smurowowi też nie, taką mam teraz opinię, bracie, powiadają, że „gotów na wszystko” - uśmiechnął się pogardliwie Kola. - A zaczęło się to od kolei.

- Ach, słyszeliśmy o tej historii! - zawołał sztabkapitan. - I jak to pan leżał? Naprawdę wcale nie bał się pan, gdy przejeżdżał pociąg? Chyba jednak miał pan stracha?

- Ani trochę - odparł Kola. - A reputację najbardziej popsuła mi ta przekłeta gęś - zwrócił się znowu do Iliuszy. Ale chociaż udawał nonszalancję, jakoś nie mógł się opanować i nawet plątał się w opowiadaniu.

- Ach, słyszałem i o gęsi! - roześmiał się Iliusza. - Opowiadano mi, ale nie zrozumiałem; czy naprawdę wezwano cię do sądu?

- Najgłupsza, najbłahsza historia, ale u nas jak zwykle robią z igły widły - zaczął swobodnie Kola. - Szedłem akurat przez rynek, a tu przypędzono stado gęsi. Stałem i przyglądałem się ptakom. Naraz jeden tutejszy chłopak, Wiszniakow, teraz pracuje na posyłkach u Płotnikowów, gapi się na mnie i powiada: „Czego się na gęsi gapisz?” Widzę, morda głupia, okrągła, chłop dwudziestoletni może, wiecie, państwo, ja nie gardzę ludem. Lubię pogadać z prostym ludem.. Oddaliliśmy się za bardzo od ludu - to pewnik, zdaje się, że pan raczył się roześmiać, panie Karamazow?

- Ależ nie, broń Boże, słuchałem z uwagą - odpowiedział Alosza z miną jak najbardziej dobroduszną i podejrzliwy Kola od razu nabrał otuchy.

- Moja teoria, panie Karamazow, jest jasna i prosta - zaczął znowu radośnie. - Wierzę w lud i zawsze gotów jestem oddać mu należną sprawiedliwość, ale nie rozpieszczając go bynajmniej, to jest *sine qua...* Ale wracam do gęsi. Otóż patrzę na tego głuptasa i powiadam: „Myślę, o czym myśli gęś.” A ten patrzy na mnie całkiem ogłupiały: „A o czym, powiada, gęś myśli?” „Widzisz, powiadam, tu stoi wóz z owsem. Z worków owies się wysypał na ziemię, a gęś wsunęła szyję pod koła i dziobie ziarna, widzisz.” „A pewno, że widzę” - powiada. „No więc, powiadam, jeżeli ten wóz popchnąć ociupinkę z miejsca, to czy koło przerznie gęsi szyję, czy nie?” „A jakże, powiada, przerznie” - i uśmiecha się całą gębą, rad, jakby go kto na sto koni wsadził. „Ano, powiadam, dawaj, chłopie.” „Dawaj” - mówi. I niedługośmy majstrowali; stanął ci on koło uzdy, a ja z boku, żeby gęś nakierować. Chłop zaś tymczasem zagapił się na coś, zagadał z kimś, toteż nawet nie trzeba było wcale ptaka poruszać: sam trzymał szyję tuż pod kołem. Mrugnąłem na parobasa, ściągnął uzdę i trach! wóz przejechał się po gęsiej szyi. A tu już nas wszyscy chłopci zauważyli, i podniósł się wrzask: „Toś ty naumyślnie” „Nie, nie naumyślnie!” „Nie naumyślnie!” No i drą się: „Do sędziego!” Oczywiście mnie zaciągnęli. „Tyś go, gadają, namówił, ciebie cały bazar zna!” A mnie naprawdę zna cały bazar - dodał z dumą Kola. - Poszliśmy więc do sędziego pokoju. Patrzę, mój gamuła stchórzył i beczy, naprawdę beczy jak baba. A hurtownik krzyczy: „W ten sposób można wszystkie gęsi zmarnować!” No, rozumie się, świadkowie. Sędzia niedługo się zastanawiał: „Dać rubla hurtownikowi za gęś, którą zabierze parobek. I żeby się to więcej nie powtórzyło.” A mój gamuła wciąż beczy jak baba: „To nie ja, krzyczy, to on mnie namówił!” i na mnie pokazuje. Ja odpowiadam z zimną krwią, że go nie namawiałem, że tylko wyraziłem zasadniczą myśl i że mówiłem o tym jako o projekcie. Sędzia Niefiedow uśmiechnął się, ale zły był na siebie za ten uśmiech: „Ja, powiada, zawiadomię o tym dyrekcję szkoły, żeby pan na przyszłość nie układał sobie takich projektów, ale odrabiał lekcje.” Dyrekcji zresztą nie zawiadomił, żartował tylko, ale sprawa nabrała rozgłosu i dotarła do uszu władz szkolnych; bo też długie są te ich uszy! Szczególnie oburzył się Kołbasnikow, ale Dardaniełow znowu mnie obronił. A Kołbasnikow jest teraz diabelnie zły na wszystkich. Słyszałeś, Iliusza, ożenił się, dostał tysiąc rubli w posagu od Michajłowów, ale żona brzydka jak noc. Trzecioklasiści od razu ułożyli epigram:

*Ogromnie trzecia zdumiała się klasa*

*Kołbasnikowa małżeństwem, brudasa.*

No i tam dalej, bardzo pocieszny, któregoś dnia ci to przyniosę. O Dardaniełowie nic złego nie mówię: człowiek wykształcony, naprawdę wykształcony. Takich szanuję, bynajmniej nie dlatego, że

mnie obronił...

- A jednak złapałeś go na tym, że nie wie, kto założył Troję! - wtrącił nieoczekiwanie Smurow, snadź dumny w tej chwili ze swego przyjaciela. Bardzo mu się podobała historia z gęsią.

- Czy naprawdę złapał go pan na tym? - podchwycił przymilając się sztabkapitan. - Nie wie, kto Troję założył! Myśmy już o tym słyszeli, że pan go złapał. Iliuszczyk mi wtedy opowiadał...

- On, ojciec, wie wszystko lepiej od nas! - odezwał się Iliuszczyk. - On przecie tylko udaje, że jest taki, ale naprawdę to pierwszy uczeń ze wszystkich przedmiotów...

Iliuszka z bezgraniczną radością patrzył na Krasotkina.

- Co tam, ta historia z Troją to w istocie głupstwo. Ja sam uważam, że to głupie pytanie - odpowiedział Kola z chętną skromnością.

Zdażył już odzyskać kontenans, chociaż co prawda niezupełnie pozbył się jakiegoś niepokoju: uświadomił sobie swoje podniecenie, wiedział, że o gęsi na przykład mówił zbyt wylewnie, a tymczasem Alosza przez cały czas był poważny i nie odezwał się słówkiem, i ambitnego chłopca zaczęły nękać podejrzenia: „Może dlatego tak milczy, że mną gardzi, myśli, że zabiegam o pochwałę? W takim razie, jeżeli on śmie tak myśleć, to ja...”

- Uważam, że pytanie jest stanowczo głupie - powtórzył pyszałkowato.

- A ja wiem, kto założył Troję - odezwał się nagle jeden z chłopców, jedenastoletni, wyraźnie nieśmiały i bardzo ładny chłopczyk, milczek, który dotychczas nie puścił pary z ust. Nazywał się Kartaszow, siedział tuż przy drzwiach.

Kola zmierzył go zdziwionym i buńczucznym wzrokiem. Trzeba wiedzieć, że kwestia: kto właściwie założył Troję, była tajemnicą dla całej szkoły i żeby ją rozwiązać, trzeba było znaleźć odpowiedź w podręczniku Smaragdowa. Ale tylko Kola miał Smaragdowa. I oto pewnego razu Kartaszow po kryjomu, kiedy Kola odwrócił się, szybko zajrzał do leżącego między innymi książkami podręcznika Smaragdowa i akurat trafił na miejsce, gdzie była mowa o założycielach Troi. Zdarzyło się to już dosyć dawno temu, a jednak Kartaszow nie miał odwagi oświadczyć publicznie, że i on wie, kto założył Troję, obawiając się, że cała rzecz się wyda i Kola wytknie mu jego postępek. Ale tym razem nie mógł się pohamować i powiedział. Zresztą od dawna miał na to ochotę.

- No więc kto założył? - zapytał Kola, zwracając się doń lekceważąco. Zmiarkował, że Kartaszow zna jego sekret, i od razu przygotował się na wszelkie konsekwencje. Prawdziwy, co się zowie, dysonans zakłócił dotychczasową harmonię.

- Troję założyli: Teucer, Dardanus, Ilos i Tros - wyrecytował Kartaszow i w tej chwili oblał się rumieńcem, ale takim, aż żal było na niego patrzeć. Chłopcy jednak patrzyli nań uporczywie, patrzyli całą minutę, a potem naraz jakby na komendę przenieśli wzrok na Kola. Ów zaś ze wzgardliwą obojętnością mierzył wciąż spojrzeniem zuchwałego chłopca.

- A właściwie to jak założyli? - raczył wreszcie zapytać - i w ogóle co to znaczy: założyć

miasto albo państwo? Jak to zrobili: przyszedli i położyli po cegle czy jak?

Rozległ się śmiech. Biedny winowajca był cały w pąsach. Milczał, zbierało mu się na płacz. Kola przetrzymał go tak chwilę.

- Aby mówić o takich historycznych wydarzeniach, jak założenie nacji, trzeba przede wszystkim wiedzieć, co to znaczy - wyciął dobitnie i surowo. - Ja zresztą nie przywiązuję wagi do tych babskich klechd i w ogóle nie bardzo szanuję historię powszechną.

- Historię powszechną? - zapytał z jakimś przestraczem sztabskapitan.

- Tak, historię powszechną. Studiowanie szeregu głupstw ludzkich, i tyle. Szanuję jedynie matematykę i nauki przyrodnicze - wypalił Kola i ukradkiem spojrzął na Aloszę: dbał bowiem tylko o jego zdanie.

Lecz Alosza milczał i zachowywał powagę. Gdyby cokolwiek powiedział, sprawa byłaby skończona, ale milczał, a przecież „to milczenie może być wyrazem lekceważenia”. Kola zirytował się na dobre.

- A co do nauki języków klasycznych: to wariactwo, i nic więcej. Zdaje się, że pan znowu nie zgadza się ze mną, panie Karamazow.

- Nie zgadzam się - uśmiechnął się powściągliwie Alosza.

- Jeśli pan chce wiedzieć, jakie jest moje o tym zdanie, to powiem panu, że języki klasyczne to swego rodzaju środek policyjny - Kola znowu mówił zdyszczanym głosem. - Uczy się ich dlatego, że są nudne i że przytępiają umysł. Nudno jest, a więc co by tu zrobić, żeby było jeszcze nudniej. Nonsensów nie brak na świecie, ale jak tu zrobić, aby było ich jeszcze więcej? I oto wymyślono języki klasyczne. Takie jest moje zdanie i mam nadzieję, że nigdy go nie zmienię - gwałtownie zakończył Kola z wypiekami na twarzy.

- To prawda - dźwięcznym głosikiem potwierdził z przekonaniem Smurow, który słuchał uważnie.

- A sam jest pierwszy z łaciny! - zawołał naraz któryś z chłopców.

- Tak, tatusiu, on tak mówi, ale jest pierwszym uczniem z łaciny - odezwał się Iliusza.

- Więc cóż z tego? - bronił się Kola, chociaż pochwała sprawiła mu przyjemność. - Wkuwam łacinę, bo muszę, bo przyrzekłem matce skończyć budę, a jak się już do czego bierzesz, to powinieneś to dobrze zrobić. Ale w głębi duszy gardzę tą nauką i całą tą podłością... Prawda, panie Karamazow?

- Ale dlaczego „podłość”? - znowu uśmiechnął się Alosza.

- Ach, mój Boże, przecie dzieła klasyków są przełożone na wszystkie języki, a zatem nie łacina była im potrzebna do studiowania klasyków, tylko ze względów policyjnych i do przytępienia zdolności. A czy to nie podłość?



- I kto pana tego wszystkiego nauczył? - zawołał wreszcie ze zdziwieniem Alosza.

- Po pierwsze, sam, własnym rozumem mogę to objąć, a po drugie, niech pan wie, że to wszystko, co mówiłem o tłumaczeniach klasyków, mówił wobec wszystkich w trzeciej klasie sam pan profesor Kołbasnikow...

- Doktor przyjechał! - zawołała naraz Nina, która dotychczas wcale się nie odzywała.

Istotnie przed bramę zajechała karetka pani Chochłakow. Sztabskapitan, który od samego rana wypatrywał doktora, wybiegł co sił na jego spotkanie. Alosza podszedł do chorego i zaczął mu poprawiać poduszkę. Ninoczka z niepokojem śledziła jego ruchy. Chłopcy zaś zaczęli się spieszenie żegnać, niektórzy obiecywali, że przyjdą wieczorem. Kola gwizdnął na Podzwona, który natychmiast zeskoczył z łóżka.

- Nie odchodzę, nie odchodzę! - pośpiesznie zapewnił Kola. - Poczekam w sieni i wrócę, jak tylko doktor wyjdzie; wrócę z Podzwonem.

A doktor już wchodził - nadęta postać w niedźwiedziej szubie, z długimi, ciemnymi baczkami i błyszczącym wygolonym podbródkiem. Przystąpiwszy próg, stanął jak gdyby zaskoczony: wydało mu się, że trafił niewłaściwie. „Cóż to? Gdzie jestem?” - mruknął, nie zdejmując z siebie futra ani czapki futrzanej z daszkiem. Ciasnota, ubogi wygląd izby, bielizna rozwieszona na sznurach, wszystko to zbiło go z tropu. Sztabskapitan zgiął się przed nim do samej ziemi.

- Wielmożny pan doktor jest tu - bąknął z uniżoną miną - wielmożny pan doktor jest tu, u mnie, do mnie właśnie...

- Snie-gi-row? - zapytał opryskliwie i głośno lekarz.- Pan Sniegirow to pan?

- To ja, wielmożny panie doktorze!

- O!

Doktor jeszcze raz z obrzydzeniem obejrzał pokój i zrzucił z siebie futro. Błysnął wspaniały order zawieszony na szyi. Sztabskapitan podchwycił szubę; doktor zdjął czapkę.

- Gdzie pacjent? - zapytał głośno i natarczywie.

## VI WCZESNY ROZWÓJ

- Jak pan myśli, co orzeknie doktor? - pytał Kola. - Jakaż to jednak wstrętna morda, prawda? Nie znoszę medycyny!

- Iliusza nie będzie żył. Zdaje się, że to pewne - odpowiedział ze smutkiem Alosza.

- Łajdacy! Łajdactwo ta cała medycyna! Rad jestem jednak, że poznałem pana, panie Karamazow. Dawno już chciałem pana poznać. Szkoda tylko, że spotkaliśmy się w takich smutnych...

Kola pragnął to powiedzieć goręcej, wylewniej, ale coś go powstrzymało. Alosza zauważył to, uśmiechnął się i uścisnął mu dłoń.

- Od dawna szanuję pana jako osobę wyjątkową - wybąkał Kola, płacząc się i tracąc wątek. - Słyszałem, że pan jest mistykiem i był pan w monasterze. Wiem, że pan jest mistyk... ale to mnie nie powstrzymało. Obcowanie z rzeczywistością wyleczy pana... Z takimi jak pan naturami zawsze tak bywa.

- Co pan nazywa mistycyzmem? Z czego wyleczy? - dziwił się Alosza.

- Ano Bóg i tam dalej.

- Jak to, czy pan nie wierzy w Boga?

- Wręcz przeciwnie, nic nie mam przeciw Bogu! Oczywiście Bóg jest tylko hipotezą... ale... przyznaję, że On jest potrzebny, dla porządku... dla porządku we wszechświecie... i gdyby Go nie było, to należałoby Go wymyślić - dodał Kola, zaczynając się rumienić.

Wydało mu się naraz, że Alosza zaraz pomyśli, iż on chce popisać się swoją wiedzą i pokazać, jaki z niego „dorosły” człowiek. „A ja wcale nie chcę popisywać się swoją wiedzą” - pomyślał ze złością Kola. I naraz zrobiło mu się okropnie przykro.

- Przyznam się, że nie cierpię tych wszystkich dysput. Wszak można kochać ludzkość nie wierząc w Boga, jak pan myśli? Wolter przecie nie wierzył w Boga, a kochał ludzkość! („Znowu! znowu!” - pomyślał.)

- Wolter wierzył w Boga, ale zdaje się, nie bardzo. i nie bardzo też kochał ludzkość - cicho, poważnie i naturalnie odpowiedział Alosza, jakby zwracając się do rówieśnika albo nawet do starszego od siebie.

Kolę szczególnie uderzyła ta niepewność, z jaką Alosza wyraził się o Wolterze, i ten ton, który mógł nasuwać przypuszczenie, że Alosza podsuwa właśnie jemu, małemu Koli, tę wątpliwość do rozstrzygnięcia.

- A czy pan czytał Woltera? - zapytał Alosza.

- Nie, nie powiem, zem czytał... Zresztą *Kandyda* czytałem w rosyjskim przekładzie... W starym, szkaradnym przekładzie, bardzo śmiesznym... („Znowu, znowu!”)

- I rozumiał pan?

- O tak, wszystko... to znaczy... dlaczego pan myśli, że mogłem nie rozumieć? Oczywiście wiele tam świństw... Oczywiście potrafię zrozumieć, że to jest powieść filozoficzna i napisana po to, aby... przeprowadzić ideę... - I Kola znowu stracił wątek. - Jestem socjalistą, panie Karamazow, jestem

niepoprawnym socjalistą - wypalił nagle ni w pięć, ni w dziewięć.

- Socjalistą? - roześmiał się Alosza. - A kiedy pan zdążył? Przecie ma pan dopiero trzynaście lat, zdaje się?

Kola oburzył się.

- Po pierwsze, nie trzynaście, tylko czternaście, za dwa tygodnie czternaście, a po drugie, zupełnie nie rozumiem, co z tym ma wspólnego mój wiek? Chodzi o przekonania, nie o wiek, jak pan myśli?

- Kiedy pan będzie miał więcej lat, sam pan zobaczy, jaki jest wpływ wieku na przekonania. Zdawało się mi również, że pan wyraził nie swoje zdanie - skromnie i spokojnie odpowiedział Alosza, ale Kola przerwał mu żarliwie.

- Wybacz pan, pan wymaga posłuszeństwa i mistycyzmu. Niechże się pan zgodzi, że chrześcijaństwo na przykład potrzebne było bogatym i możnym, aby utrzymać w niewoli niższe klasy, nieprawdaż?

- Ach, wiem, gdzie pan to wszystko przeczytał, ktoś pana na pewno tego nauczył! - zawołał Alosza.

- Ależ proszę pana, czy koniecznie musiałem przeczytać? I nikt mnie absolutnie niczego nie uczył. Ja sam potrafię... I jeżeli pan chce wiedzieć, nie jestem przeciwny Chrystusowi. Była to nader humanitarna jednostka i gdyby żył w naszych czasach, przystąpiłby niewątpliwie do rewolucjonistów i może odgrywałby poważną rolę... To nie ulega wątpliwości.

- Ale gdzie pan się tego nałapał? Z jakim głupcem pan się zadaje? - zawołał Alosza.

- Wybacz pan, prawdy nie można ukryć. Ma się rozumieć, w pewnej sprawie spotykam się często i rozmawiam z panem Rakitinem, ale... To już, powiadają, stary Bieliński mówił.

- Bieliński? Nie pamiętam. Nigdzie tego nie napisał.

- Jeżeli nie napisał, to powiadają, mówił. Słyszałem to od jednego... zresztą pal sześć...

- A Bielińskiego pan czytał?

- Widzi pan... nie... nie czytałem, ale przeczytałem o Tatianie, dlaczego nie poszła z Onieginem.

- Jak to nie poszła z Onieginem? Czyżby pan i to już rozumiał?

- Ależ, panie, zdaje się, że pan mnie bierze za małego Smarowa - rozżłościł się Kola. - Zresztą, niech pan nie myśli, że jestem już takim rewolucjonistą. Bardzo często nie godzę się z Rakitinem. Że mówię o Tatianie, to z tego jeszcze nie wynika, abym był zwolennikiem emancypacji. Przyznać muszę, że kobieta jest istotą niższego gatunku i powinna słuchać się mężczyzn. *Les femmes tricotent*[18], jak powiedział Napoleon - uśmiechnął się naraz. - W każdym razie pod tym względem

podzielałam zdanie tego pseudowielkiego człowieka. Uważam, że ucieczka z kraju do Ameryki jest podłością, więcej niż podłością - bo głupstwem. Po co do Ameryki, kiedy i u nas można działać pożytecznie dla ludzkości? Zwłaszcza teraz. Ogromne pole dla twórczej działalności. Tak mu odpowiedziałem.

- Jak to odpowiedział pan? Komu? Ktoś pana namawiał do ucieczki do Ameryki?

- Przyznam się, że tak, ale nie zgodziłem się. Oczywiście niech to zostanie między nami, panie Karamazow, słyszy pan, nikomu ani słowa. Ja to tylko panu powiedziałem. Nie chciałbym wpaść w łapy III Wydziału i uczyć się w gmachu przy Łańcuchowym Moście.

*Popamiętasz gmach ów*

*Przy Łańcuchowym Moście!*

Pamięta pan! Czego się pan śmieje? Czy pan myśli, że blaguję? („Co będzie, jeżeli się dowie, że w ojcowskiej bibliotece jest tylko jeden numer „Dzwonu” i że nic więcej nie przeczytałem?” - pomyślał z lękiem Kola).

- Och, nie, nie śmieję się wcale, nie myślę, że pan nablagał. Właśnie o to chodzi, że wcale tak nie myślę, że to wszystko jest niestety prawdą! No, a niech pan powie, czy Puszkina pan czytał, *Oniegina*... Mówił pan przecie o Tatianie?

- Nie, jeszcze nie czytałem, ale chcę przeczytać. Nie mam żadnych przesądów, panie Karamazow. Chcę wysłuchać jednej i drugiej strony. Dlaczego pan się pyta?

- Tak sobie.

- Niech mi pan powie, panie Karamazow, pan bardzo mną gardzi? - zapytał naraz Kola i stanął przed Aloszą jak na bacność. - Niech pan mówi szczerze, bez ogródek.

- Pogardzam panem? - zdziwił się Alosza. - Ale za co? Przykro mi tylko, że tak zdumiewająca natura, jak pańska, w zaraniu życia została wypaczona przez te ordynarne bzdury.

- O moją naturę niech się pan nie kłopotczy - przerwał mu Kola nie bez chępliwości - ale fakt, że jestem podejrzliwy. Głupio podejrzliwy. Okropnie podejrzliwy. Pan się teraz uśmiechnął, a mnie się zdawało, że pan jak gdyby...

- Ach, uśmiechnąłem się z innego powodu. Widzi pan, uśmiechnąłem się dlatego: przeczytałem niedawno opinię pewnego Niemca, który mieszkał w Rosji, o naszej dzisiejszej młodzieży studiującej. „Pokażcie - pisze - rosyjskiemu sztubakowi mapę nieba, o której dotychczas nie miał pojęcia, a zwróci ją wam jutro poprawioną” - kompletna ignorancja i absolutna pewność siebie - oto co chciał powiedzieć Niemiec o rosyjskiej młodzieży.

- Ach, to najzupełniej trafne! - roześmiał się Kola - trafnissimo! Brawo Niemiec! Ale szwabisko

nie zauważył dobrej strony, a jak pan myśli? Pewność siebie - no tak, to rzecz wieku, zmieni się, o ile tylko powinno się zmienić, ale niezależność ducha, niemal od powijaków, za to odwaga myśli i przekonań, a nie ich serdelkowe padanie na kolana przed autorytetami... Ale dobrze to powiedział! Brawo Niemiec! Chociaż Niemców należy gnębić. Mimo że są mocni w nauce, trzeba ich gnębić.

- Dlaczego? - uśmiechnął się Alosza.

- No, zapędziłem się, zgoda. Chwilami jestem strasznie dziecinny i kiedy się cieszę z czegoś, nie mogę się powstrzymać i gotów jestem gadać głupstwa. Ale my tu rozprawiamy o różnych bzdurach, a tymczasem nasz doktor jakoś ugrzązł. Zresztą może tam bada i „mamuškę”, i Ninoczkę. Wie pan, Ninoczka bardzo mi się podobała. Kiedy wychodziłem, zapytała mnie nagle: „Dlaczego pan nie przyszedł wcześniej?” I takim głosem, z wyrzutem! Zdaje się, że jest bardzo dobra i nieszczęśliwa.

- Tak, tak! Jak pan będzie częściej przychodził, przekona się pan, co to za istota. Powinien pan poznawać takich właśnie ludzi, aby ocenić wiele rzeczy, których można się nauczyć w obcowaniu z nimi... - odpowiedział z zapalem Alosza. - To właśnie najskuteczniej pana przerobi.

- O, jak bardzo żałuję i jaki jestem zły na siebie, że nie przyszedł tu wcześniej! - zawołał z goryczą Kola.

- Tak, wielka szkoda. Pan sam widział, jak pan ucieszył tego biednego malca. I jak on się męczył, że pan nie przychodzi.

- Niech mi pan o tym nie mówi! Pan mi rani serce. A zresztą dobrze mi tak: z egoizmu nie przychodziłem, z egoistycznej pychy i podłej czupurności, z których całe życie nie mogę się wyleczyć, chociaż całe życie pracuję nad sobą. Widzę to teraz wyraźnie, pod wielu względami jestem podły, panie Karamazow.

- Nie, pan ma zachwycającą naturę, ale wypaczoną, i rozumiem doskonale, dlaczego pan miał taki wpływ na tego szlachetnego i chorobliwie wrażliwego chłopca! - odrzekł z przejęciem Alosza.

- I to pan mnie mówi! - zawołał Kola - a ja, niech pan sobie wyobrazi, ja myślałem, już kilka razy myślałem, że pan mną gardzi! Gdyby pan wiedział, jak cenię pańskie zdanie!

- Ale czy istotnie jest pan tak podejrzliwy? W tym wieku! Otóż niech pan sobie wyobrazi, właśnie pomyślałem tam w pokoju patrząc na pana, kiedy pan opowiadał, że pewnie jest pan bardzo podejrzliwy.

- Więc pan pomyślał? Jakie ma pan jednak oko, widzi pan, widzi pan! Idę o zakład, że to było wówczas, kiedy opowiadałem o gęsi. Właśnie w tym momencie wydało mi się, że pan mną głęboko gardzi za to, że chcę się tak popisać, i wie pan, zniechęciłem pana nawet za to i zacząłem wygadywać brednie. Potem znowu wydało mi się (to już tu), kiedy powiedziałem: „Jeżeli nie ma Boga, to należałoby go wymyślić”, że zbyt skwapliwie staram się popisać moim wykształceniem, tym bardziej że przeczytałem to zdanie w książce. Ale przysięgam panu, chciałem się popisać nie z próżności, ale tak, nie wiem dlaczego, z radości, jak Boga kocham, jak gdyby z radości... chociaż to bardzo haniebny rys, gdy człowiek z radości rzuca się wszystkim na szyję. To wiem na pewno. Ale za

to teraz jestem przekonany, że pan mną nie pogardza, a to wszystko sam sobie ubrdałem. O, panie Karamazow, jestem głęboko nieszczęśliwy. Uroję sobie czasem Bóg wie co, że niby wszyscy się ze mnie śmieją, cały świat, i w takich chwilach po prostu gotów jestem zburzyć cały porządek rzeczy.

- I dręczy pan otoczenie - uśmiechnął się Alosza.

- I dręcę otoczenie, zwłaszcza matkę, proszę pana, no niech pan powie, bardzo jestem teraz śmieszny?

- Niechże pan o tym nie myśli, niech pan o tym wcale nie myśli! - zawołał Alosza. - I co to znaczy śmieszny? Cóż z tego, ileż to razy człowiek bywa albo wydaje się śmieszny? A teraz prawie wszyscy zdolni ludzie strasznie się boją śmieszności i wskutek tego są nieszczęśliwi. Dziwi mnie tylko, że pan tak wcześnie zaczął to odczuwać, chociaż zauważyłem, że nie tylko pan. Teraz to niemal dzieci zaczęły na to cierpieć. To już prawie obłęd. W tę ambicję wcielił się chyba sam diabeł: opętał całe pokolenie, właśnie diabeł - dodał Alosza, wcale się nie uśmiechając, jak to się wydało uparcie wpatrzonemu w niego Koli. - Pan jest jak i wszyscy - zakończył Alosza - to znaczy jak wiele innych ludzi, ale właśnie nie trzeba być takim jak inni.

- Nawet mimo to, że wszyscy są tacy?

- Tak, mimo to, że wszyscy są tacy. Niechże pan jeden nie będzie taki. Pan w istocie nie jest taki jak wszyscy: teraz na przykład nie wstydził się pan przyznać do złych, a nawet do śmiesznych cech. A kto się teraz do tego odważy przyznać? Nikt, i nawet nie odczuwa się już potrzeby oceny siebie samego. Niechże pan będzie nie taki jak wszyscy: choćby nawet był pan pod tym względem odosobniony.

- Znakomicie! Nie zawiodłem się na panu. Pan naprawdę potrafi pocieszyć człowieka. O, jak ja myślałem o panu, panie Karamazow, jak dawno już szukam spotkania z panem! Czyżby pan o mnie też myślał? Przedtem mówił pan, że pan o mnie myślał?

- Tak, słyszałem o panu i myślałem też... i jeżeli teraz zapytał pan o to także i z ambicji, to nic nie szkodzi.

- Wie pan, panie Karamazow, nasza rozmowa przypomina trochę wyznanie miłosne - odezwał się Kola jakimś omdlałym i wstydliwym głosem. - Czy to nie śmieszne, nie śmieszne?

- Wcale nie śmieszne, a nawet jeżeli śmieszne, to też nie szkodzi, ponieważ jest dobre - uśmiechnął się pogodnie Alosza.

- Proszę pana, niechże pan przyzna, że i pan się teraz trochę wstydzi. Poznają to po pańskich oczach - chytrze i z błogą radością uśmiechnął się Kola.

- Czego się wstydzę?

- A dlaczego pan się zarumienił?

- To przez pana się rumienię! - roześmiał się Alosza i rzeczywiście zarumienił się. - No tak,

trochę się wstydzę. Bóg wie czemu, właściwie nie wiem czemu... - wybąkał, nawet nieco zmieszany.

- O, jak ja pana kocham i cenię w tej chwili, właśnie dlatego, że pan się teraz czegoś wstydzi! Bo i pan jest jak ja! - zawołał w zachwycie Kola.

Policzki mu pałały, oczy błyszczały.

- Proszę posłuchać, Kola, będzie pan między innymi bardzo nieszczęśliwym człowiekiem w życiu - rzekł nagle nie wiadomo czemu Alosza.

- Wiem, wiem. Jak to pan wszystko wie z góry! - potwierdził skwapliwie Kola.

- Ale w ogóle będzie pan jednak życie błogosławił.

- Właśnie! Hura! Pan jest prorokiem! O, my się zbliżamy do siebie, panie Karamazow. Wie pan, najbardziej mnie zachwyca, że pan mnie traktuje zupełnie jak równego sobie. A my nie jesteśmy sobie równi, bynajmniej, pan stoi wyżej! Ale zbliżymy się do siebie. Wie pan, przez cały ostatni miesiąc wciąż sobie mówiłem: „Albo od razu zaprzyjaźnimy się na wieki, albo od razu rozstaniemy się jako wrogowie do grobowej deski!”

- I mówiąc tak, już mnie pan kochał! - roześmiał się wesoło Alosza.

- Kochałem, strasznie kochałem, kochałem i marzyłem o panu! Ale skąd pan wie o tym wszystkim! Ba, oto i doktor. Boże wielki, co on powie, niech pan spojrzy na jego twarz!

## VII ILIUSZA

Doktor wyszedł z izby opatulony w szubę, w czapce na głowie. Minę miał gniewną, był pełen oburzenia, jak gdyby bał się o coś pobrudzić. Przelotnie obejrzał się i przy tej okazji surowo popatrzył na Aloszę i Kolę. Alosza stojąc w drzwiach dał znak woźnicy i kareta, którą przybył doktor, podjechała przed drzwi. Sztabskapitan szybko wybiegi z mieszkania za lekarzem i pochylony, jak gdyby zginając się w ukłonie, zatrzymał go, aby usłyszeć ostatnie słowo. Biedak był przygnębiony, spojrzenie miał wylękłe.

- Ekscelencjo, ekscelencjo... czyżby? - zaczął i nie dokończył, załamał rozpaczliwie ręce, choć wciąż błagalnie patrzył na doktora, jak gdyby rzeczywiście to, co doktor teraz powie, miało rozstrzygnąć o życiu biednego chłopca.

- Cóż robić! Nie jestem Bogiem - niedbałym, chociaż autorytatywnym z przyzwyczajenia tonem odparł doktor.

- Doktorze... Ekscelencjo... i czy to prędko, prędko?

- Niech pan będzie na wszystko przy-go-to-wa-ny - wycedził lekarz, akcentując każdą sylabę i ze spuszczonej oczyma skierował się ku wyjściu.

- Ekscelencjo, na miłość boską! - zatrzymał go jeszcze raz przestraszony sztabkapitan. - Ekscelencjo!... więc nic, czyż naprawdę nic, nic absolutnie go teraz nie uratuje?...

- Nie ode mnie teraz za-le-ży - odrzekł zniecierpliwiony lekarz - a jednak, hm - zatrzymał się nagle - gdyby pan na przykład mógł... wysłać... swego chorego natychmiast, nie zwlekając (ostatnie słowa wypowiedział już nawet nie surowym, lecz gniewnym tonem, aż sztabkapitan drgnął cały) do Syrakuz, to... przy nowych, sprzyjających warunkach klimatycznych... może by mogło na-stą-pić...

- Do Syrakuz! - krzyknął sztabkapitan, jak gdyby jeszcze nic nie rozumiał.

- Syrakuzy to na Sycylii - wyjaśnił głośno nagle Kola.

Doktor spojrzał na niego.

- Na Sycylię! Ojczy, ekscelencjo - zmieszał się całkiem sztabkapitan. - Przecież pan sam widział! - zakreślił koło rękoma, pokazując na otoczenie - a mamusia, a rodzina?

- Nie, rodzinę nie na Sycylię, rodzinę na Kaukaz, wczesną wiosną... córkę na Kaukaz, a małżonkę... do wód, też na Kaukaz, żeby leczyć reumatyzm... a zaraz potem wysłać do Paryża, do sanatorium doktora psychiatry Lepelletier, mógłbym dać do niego list polecający, i wówczas... może nastąpiłaby...

- Doktorze! Doktorze! Przecie pan sam widzi - znowu zaczął gestykulować sztabkapitan, wskazując w rozpaczynie nagie, z desek sklecone ściany sieni.

- A to już nie moja rzecz - uśmiechnął się lekarz - ja tylko odpowiedziałem z punktu widzenia na-u-ki na pana zapytanie o ostatecznych środkach, a zresztą... ku mojemu ubolewaniu...

- Niech się pan nie boi, panie lekarzu, mój pies nie ugryzie pana - powiedział głośno Kola, zauważywszy, że lekarz niespokojnie ogląda się na Podzwona.

Nutka gniewu zabrzmiała w głosie Koli. Umyślnie tytułował go „lekarzem”, chciał go obrazić, jak to potem sam wyjaśnił.

- Co ta-kie-go? - rzekł doktor uniósłszy głowę i ze zdziwieniem spojrzał na Kolę. - Kto to? - zwrócił się naraz do Aloszy, jakby żądając od niego wyjaśnienia.

- To właściciel Podzwona, panie lekarzu, niech się pan o moją osobę nie kłopotuje - rąbnął znowu Kola.

- Dzwon? - zapytał lekarz, nie rozumiejąc, co znaczy Podzwon.

- A nie wie, gdzie on. Żegnam pana, panie lekarzu, zobaczymy się w Syrakuzach!



- Kto to? Co za jeden? - znowu okropnie rozindyczył się lekarz.

- To tutejszy uczeń, panie doktorze, to figlarz, niech pan nie zwraca uwagi - odpowiedział prędko nachmurzony Alosza. - Kola, proszę milczeć! - nakazał Krasotkinowi. - Nie trzeba zwracać na niego uwagi, panie doktorze - powtórzył już nieco niecierpliwie.

- Wy-siec, wy-siec, trzeba wy-siec! - i do reszty rozwścieczony doktor tupnął nogą.

- A wie pan, panie lekarzu, że mój Podzwon naprawdę gryzie! - zawołał Kola drżącym głosem; zbladł i błysnął oczyma. - *Ici*, Podzwon!

- Kola, jeżeli powiesz jeszcze jedno słowo, zerwę z tobą na zawsze! - krzyknął rozkazująco Alosza.

- Panie lekarzu, jest tylko jedna istota na całym świecie, która może rozkazywać Mikołajowi Krasotkinowi, to właśnie ten człowiek (Kola wskazał Aloszę). Jego się słucham, żegnam!

Zerwał się nagle i, otworzywszy drzwi, szybko wbiegł do pokoju. Podzwon pobiegł za nim. Doktor stał jeszcze jakie pięć sekund, jak osłupiały, patrząc na Aloszę, potem nagle splunął i szybko podszedł do karety, powtarzając na głos: „To, to, to... diabli wiedzą, co to takiego!” Alosza wszedł do mieszkania. Kola stał przy łóżku Iliuszy. Ten trzymał go za rękę i wołał ojca. Po chwili wrócił i sztabkapitan.

- Tatusiu, tatusiu, chodź tutaj... my - szeptał Iliusza, niezwykle wzburzony, ale widać nie mógł dokończyć. Nagle wyrzucił przed siebie obie ręce i mocno, jak tylko mógł najmocniej, objął Kolę i ojca, połączył ich w uścisku i sam się do nich przytulił.

Sztabkapitan naraz zatrząsł się od bezgłośnego szlochu, Koli zadrżały wargi i broda.

- Tatusiu, tatusiu! Jak mi ciebie żal, tatusiu! - zajęczał gorzko Iliusza.

- Iliuszeczka... kochanie... doktor powiedział... będziesz zdrow... będziemy szczęśliwi... doktor - mówił sztabkapitan...

- Ach, tatusiu! Wiem przecież, co ci ten nowy doktor powiedział... Widziałem przecież! - zawołał Iliusza i znowu mocno, z całej siły przycisnął ich do siebie.

- Tatusiu, nie płacz... a jak ja umrę, to weź dobrego chłopczyka, drugiego, sam go wybierz spośród nich, dobrego, nazwij go Iliusza i kochaj zamiast mnie...

- Milcz, stary, wyzdrowiejesz! - jak gdyby gniewnie krzyknął Krasotkin.

- A o mnie, tatusiu, nigdy nie zapominaj - ciągnął dalej Iliusza - przychodź do mnie na grób... wiesz co, tatusiu, pochowaj mnie pod naszym wielkim kamieniem, gdzieśmy chodzili na spacer, i przychodź tam do mnie z Krasotkinem, wieczorami... I z Podzwonem... A ja będę na was czekał... Tatusiu, tatusiu!

Głos mu się urwał, wszyscy trzej trzymali się w objęciach i milczeli. Ninoczka cicho płakała i naraz, widząc, że wszyscy płaczą, zalała się łzami mamuśka.

- Iliuszczka! Iliuszczka! - krzyknęła.

Krasotkin nagle uwolnił się z objęć Iliuszczki.

- Żegnaj, stary, matka na mnie czeka z obiadem. Jaka szkoda, że jej nie uprzedziłem! Będzie bardzo niespokojna... Ale po obiedzie przyjdę do ciebie, na cały dzień, na cały wieczór, i tyle ci opowiem, tyle ci opowiem. I Podzwona przyprowadzę, a teraz wezmę go z sobą, bo beze mnie będzie tu wył i przeszkadzał. Do zobaczenia!

I wybiegł do sieni. Chciał powstrzymać łzy, ale w sieni gorzko się rozplakał. W tym stanie znalazł go Alosza.

- Kola, powinien pan koniecznie dotrzymać słowa i przyjść, bo Iliusza będzie bardzo zmartwiony - rzekł Alosza.

- Naturalnie! O, jakże siebie przeklinam, że nie przyszedłem wcześniej - płacząc i już nie wstydząc się tego, zawołał Kola.

W tej chwili z pokoju nagle wybiegł sztabkapitan, wargi mu drżały. Stał przed nimi i wznosił obie ręce do góry:

- Nie chcę dobrego chłopczyka! Nie chcę innego chłopczyka! - wyszeptał dzikim głosem, zgrzytając zębami. - Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niechaj uschnie...

Nie skończył, zachłysnął się i bezsilnie opadł na kolana przed drewnianą ławą. Ścisnąwszy głowę pięściami, począł łkać jakoś dziwnie piskliwie. Widać było, że ze wszystkich sił hamuje się, aby nie słyszano jego łkań w izbie. Kola wybiegł na ulicę.

- Do widzenia, panie Karamazow! A pan przyjdzie? - zawołał szorstko i gniewnie do Aloszy.

- Wieczorem będę na pewno.

- Co on o Jeruzalem... Co to takiego?

- To z Biblii: „Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem” - to znaczy, jeżeli zapomnę o tym, co mam najdroższego, jeśli zamienię to na co innego, to...

- Rozumiem, wystarczy! Niechże pan przyjdzie! Podzwon, *ici!* - wściekle zawołał na psa i wielkim krokiem pośpieszył do domu.

# KSIĘGA JEDENASTA

## BRAT IWAN FIODOROWICZ

### I U GRUSZEŃKI

Alosza poszedł w kierunku domu Morozowej przy placu Sobornym, do mieszkania GruszeŃki, która rano przysłała do niego Fienię, prosząc, by koniecznie do niej wstąpił. Alosza wypytał Fienię o wszystko dokładnie i dowiedział się, że pani od wczoraj jest jakoś szczególnie niespokojna. W ciągu tych dwóch miesięcy od aresztowania Miti Alosza często bywał u GruszeŃki i z własnej inicjatywy, i na polecenie Miti. W trzy dni po jego uwięzieniu GruszeŃka obłóźnie zachorowała i przeleżała niemal pięć tygodni. Cały tydzień była zupełnie nieprzytomna. Bardzo zmieniła się na twarzy, schudła i pożółkła, chociaż już prawie od dwóch tygodni wolno jej było wychodzić. Lecz Alosza uważał, że twarz jej stała się nawet powabniejsza: wchodząc do niej lubił spotykać jej spojrzenie. Coś w tym spojrzeniu stwardniało, zjawił się jakiś wyraz myślącej powagi. Widać było, że dokonała się w GruszeŃce poważna zmiana, że powzięła niewzruszoną, pokorną, ale szlachetną, nieodwołalną decyzję. Między brwiami pojawiła się niewielka pionowa zmarszczka, która nadawała miłej twarzy wyraz skupionej zadumy, na pierwszy rzut oka jak gdyby nawet surowej. Po dawnej trzpiotowatości nie zostało śladu. Dziwiło zaś Aloszę, że mimo nieszczęścia, które spadło na biedną kobietę, narzeczoną człowieka oskarżonego o tak straszną zbrodnię, uwięzionego niemal w chwili, gdy została jego narzeczoną, że mimo to, mimo chorobę i nieunikniony i niezawodnie surowy wyrok sądu, GruszeŃka nie straciła swej młodzieńczej wesołości. W hardych przedtem oczach zalśnił teraz jakiś spokój, chociaż... chociaż oczy te niekiedy pałały jakimś złowieszczym ogniem, zwłaszcza w chwilach, gdy nawiedzała ją dawna już troska, która nie tylko nie znikła, ale nawet się pogłębiła. Przedmiot tej troski był wciąż ten sam: Katarzyna Iwanowna, o której bredziła nawet w gorączce. Alosza rozumiał, że GruszeŃka jest strasznie zazdrosna o Mitię, o aresztanta Mitię, jakkolwiek Katarzyna Iwanowna ani razu nie odwiedziła go w więzieniu - a nic przecie nie stało temu na przeszkodzie. Alosza myślał o tym wszystkim jako o trudnym zadaniu, bo GruszeŃka zwierzała się tylko jemu i często zasięgała jego rad; on zaś czasem nie potrafił nic jej powiedzieć.

Bardzo zatroskany wszedł do mieszkania. Była już w domu; pół godziny temu wróciła od Miti. Zerwała się tak gwałtownie na jego widok, że zrozumiał, iż wypatrywała go z niecierpliwością.

Na stole, przy którym siedziała, leżały karty. Skórzana kanapa po drugiej stronie stołu była posłana. Leżał na niej Maksymow, w szlafroku i w bawełnianej szlafmocy. Był widocznie chory i bardzo osłabiony, ale uśmiechał się słodko. Bezdomny staruszek, jak wrócił wówczas, dwa miesiące temu, z GruszeŃką z Mokrego, tak już u niej został i jej nie odstępował. Stało się to tak, że zaraz po przyjeździe, przemoczony pluchą i wilgocią, usiadł nieśmiało na kanapie i nic nie mówiąc, wlepił w nią błagalnie uśmiechnięte spojrzenie. GruszeŃka, straszliwie zrozpaczona, czując zresztą zbliżającą się chorobę, zrazu o nim zapomniała. Ale w pół godziny potem jakoś przyjrzała mu się uważnie:

patrzył jej w oczy i zachichotał żałośnie i nieśmiało. Zawołała Fienię i kazała dać mu coś do zjedzenia. Cały dzień przesiedział bez ruchu na tym samym miejscu; skoro się ściemniło, Fienia, zamknawszy okiennice, zapytała swą panią:

- Ten pan zostanie na noc?

- Tak, pościel mu na kanapie - odrzekła Gruszeńka.

Wziąwszy go na spytki, dowiedziała się, że istotnie nie ma się gdzie teraz podziąć i że „pan Kałganow, jego dobroczyńca, wręcz mu oświadczył, że nie będzie go trzymał dłużej, i podarował mu pięć rubli”. „No, Bóg z tobą, zostań tu już” - zdecydowała Gruszeńka i uśmiechnęła się ze współczuciem. Uśmiech ten rozstroił staruszkę, wargi mu zdrzżały z pełnego wdzięczności płaczu. Tak więc ten wędrujący rezydent zamieszkał u niej na stałe. Nawet gdy leżała chora, pozostał w jej domu. Fienia i jej matka, kucharka Gruszeńki, nie przepędziły go, zaopiekowały się nim nawet, dawały mu regularnie jeść i słały mu na kanapie. Potem Gruszeńka przyzwyczaiła się do niego i gdy wracała od Miti (którego zaczęła odwiedzać, nim jeszcze zupełnie wyzdrowiała), aby rozproszyć smutek, siadała z Maksymuszką i zaczynała z nim rozmawiać o różnych głupstwach, byle tylko nie myśleć o swoim strapieniu. Okazało się, że staruszek potrafił czasem wcale niezgorzej opowiadać, toteż w końcu nie mogła się bez niego obejść. Oprócz Aloszy, który nie co dzień przychodził i niedługo bawił, nie przyjmowała prawie nikogo. Zaś „kupiec” jej leżał wówczas ciężko chory, „dogorywał”, jak mówiono w mieście, i rzeczywiście umarł w tydzień po sprawie sądowej Miti. Trzy tygodnie przed śmiercią, czując rychły swój koniec, zawezwał do siebie na górę synów z ich żonami i dziećmi, kazał im siedzieć przy sobie i nie odchodzić. Co się tyczy Gruszeńki, kazał jej odtąd żadną miarą nie wpuszczać, lecz powiedzieć, gdy przyjdzie: „Kazał, aby pani długo żyła w radości i o nim całkiem zapomniała.” Gruszeńka jednak dowiadywała się codziennie przez służącą o stanie jego zdrowia.

- Nareszcie przyszedłeś! - zawołała rzucając karty i przywitała się radośnie z Aloszą. - Maksymuszka już mnie straszył, że nie przyjdiesz. Ach, jakże mi jesteś potrzebny! Siadaj do stołu; no, co ci dać, kawy?

- Chętnie - odrzekł Alosza siadając - jestem bardzo głodny.

- Ano właśnie; Fienia, Fienia, kawy! - krzyknęła Gruszeńka. - Już dawno kipi, czeka na ciebie. I pierożków przynieś, tylko gorących! Nie, poczekaj, Alosza, z tymi pierożkami miałam dziś przeprawę. Zniosłam mu je do więzienia, a on, nie uwierzysz, rzucił mi je z powrotem, wcale nie jadł. Jeden pierożek to nawet na podłogę cisnął i podeptał. Powiedziałem: „Zostawię u dozorczy; jak nie zjesz do wieczora, to znaczy, że się karmisz jadowitą złością!” I poszłam. Znowuśmy się pokłócili. Co przyjdę do niego, to się kłócimy.

Powiedziała to jednym tchem, ogromnie podniecona. Maksymow, onieśmielony, uśmiechał się, spuściwszy oczki.

- O coście się tym razem pokłócili? - zapytał Alosza.

- Któż by się spodziewał! Wyobraź sobie, jest zazdrosny o „dawnego”. „Po co go, powiada,

utrzymujesz? Więc wzięłaś go na utrzymanie?” Wciąż zazdrosny! I śpi, i je - wciąż zazdrosny. Nawet o Kuźmę w zeszłym tygodniu urządził mi scenę.

- Ale przecież wiedział o „dawnym”?

- Ano tłumacz mu. Od samego początku wiedział, a dziś nagle się obruszył i zaczął wymyślać. Wstyd powtarzać, co mówił. Głupiec! Rakitka przyszedł, kiedy ja wychodziłam. Może go Rakitka podjudza, co? Jak myślisz? - dodała jakby z roztargnieniem.

- Kocha cię, to wszystko, bardzo cię kocha. A teraz w dodatku jest rozdrażniony.

- Miałby nie być rozdrażniony, kiedy jutro sąd! I po tom poszła, aby mu powiedzieć, co myślę o jutrzejszej rozprawie; bo widzisz, on jest rozdrażniony, a ja, a ja? czy jestem mniej rozdrażniona? A on o Polaku! Głupiec! Tylko o Maksymuszkę nie jest zazdrosny.

- Moja małżonka też była bardzo zazdrosna - wtrącił Maksymow.

- Także coś - roześmiała się mimo woli Gruszeńka - o kogo mogła być zazdrosna?

- O nasze pokojówki.

- E, milcz, Maksymuszka, nie jestem teraz usposobiona do śmiechu, pasja mnie porywa. Nie wytrzeszczaj oczu na pierożki, nie dostaniesz, szkodzą ci, i balsamu też nie dam. Mam też i z nim kłopot. Co to u mnie, przytułek, dom starców? - roześmiała się.

- Niewart jestem dobrodziejstw pani, nędzny śmieć jestem - odpowiedział łzawym głosem Maksymow. - Lepiej by pani zaopiekowała się kimś potrzebniejszym ode mnie.

- Ech, każdy jest potrzebny, Maksymuszka, i czy można wiedzieć, kto potrzebniejszy? Bodajbym nie znała tego Polaka. Alosza, i jemu zachciało się chorować. Byłam i u niego. Specjalnie mu pošlę pierogi, nie posyłałam dotychczas, a Mitia mnie posądza, że pošlam. Więc umyślnie pošlę, umyślnie! O, Fienia z listem! Na pewno znowu od Polaków, znowu proszą o pieniądze!

Pan Musiałowicz istotnie przysłał długi i jak zwykle bardzo patetyczny list, w którym prosił o pożyczanie mu trzech rubli. Do listu od razu załączone było pokwitowanie, stwierdzające, że dług będzie zwrócony w ciągu trzech miesięcy; zaręczał to swoim podpisem również pan Wróblewski. Moc już takich listów i pokwitowań otrzymała Gruszeńka. Zaczęło się to natychmiast po jej wyzdrowieniu, dwa tygodnie temu. Podczas choroby zaś obaj panowie często przychodzili dowiadywać się o jej zdrowie. Pierwszy list był bardzo długi, na większym arkuszu listowego papieru, z dużą pieczęcią herbową; styl był wyjątkowo zawiły i górnolotny, toteż Gruszeńka przeczytała tylko połowę listu i nic w ogóle nie rozumiała. Zresztą gdzieżby tam mogła myśleć o listach! Ale po tym pierwszym liście nadszedł nazajutrz drugi, w którym pan Musiałowicz prosił o pożyczanie mu na krótko dwu tysięcy rubli. Gruszeńka i na ten list nie odpowiedziała. Potem nastąpił szereg listów, otrzymywanych regularnie każdego dnia, równie napuszonych i górnolotnych, ale w których żądana suma, coraz bardziej się obniżając, spadła do stu rubli, potem do dwudziestu pięciu, do dziesięciu, aż wreszcie któregoś dnia Gruszeńka otrzymała list, w którym obaj panowie prosili

tylko o rubla i załączyli od razu pokwitowanie. Wówczas Gruszeńka nagle poczuła litość i o zmierzchu sama pobięła do „pana”. Znalazła obu Polaków w strasznej biedzie, prawie w nędzy, wygłodzonych, zziębniętych, bez papierosów, zadłużonych po uszy. Dwieście rubli, wygrane w Mokrym, rychło się jakoś ulotniły. Zdziwiło jednak Gruszeńkę, że obaj panowie przyjmują ją z nadętą wyniosłością i dumą, według najsurowszej etykiety, z napuszczonymi oracjami. Gruszeńka roześmiała się w odpowiedzi i dała swemu „dawnemu” dziesięć rubli. Od razu tego samego dnia opowiedziała o tym ze śmiechem Miti, który wtedy nie okazał żadnej zazdrości. Ale od tego czasu „panowie” przyczepili się do Gruszeńki i codziennie bombardowali ją listami z prośbą o pieniądze, które im zresztą posyłała niewielkimi sumami. A teraz nagle Mitia zrobił jej z tego powodu gwałtowną scenę zazdrości.

- Ja, głupia, wstąpiłam do niego tylko na chwilę, idąc do Miti, bo i on się rozchorował, mój dawny - zaczęła znowu Gruszeńka. - Śmieję się i opowiadam Miti: „Wyobraź sobie, powiadam, mój Polak zaczął mi grać na gitarze dawne pieśni, myśli, że się rozczulę i wyjdę za niego.” A Mitia jak ci skoczy, jak zaklnie... A właśnie że na złość pošlę panom pierożków! Fienia, co to oni znów przysłali tę dziewczynkę? Masz, daj trzy ruble i z dziesięć pierożków zapakuj, każ jej to zanieść, a ty, Alosza, nie zapomnij powiedzieć Miti, że posłałam im te pierożki.

- Za nic w świecie nie powiem - odparł z uśmiechem Alosza.

- Ech, myślisz, że on się męczy; przecież umyślnie urządził mi tę scenę, bo naprawdę to jemu wszystko jedno - powiedziała z goryczą Gruszeńka.

- Jak to umyślnie? - zapytał Alosza.

- Głupiś, Aloszka, nic nie rozumiesz, chociaż wszystkie rozumy zjadłeś. Wcale mnie to nie boli, że on o mnie jest zazdrosny, bolałoby, gdyby nie był zazdrosny... Taka już jestem. Nie obrażę się za scenę zazdrości, mam serce okrutne, sama jestem zazdrosna! Ale mnie boli, że on mnie wcale nie kocha i teraz umyślnie robi scenę, a tak! Ślepa jestem czy co, nie widzę! On mi o tej Kati ni stąd, ni zowąd powiada: a ona taka, a siaka, doktora z Moskwy wezwała, żeby mnie uratować, najlepszego, najbardziej uczonego adwokata sprowadziła. Więc chyba ją kocha, skoro mi ją w oczy zaczął chwalić, bezczelny człowiek! Sam jest winien, to się do mnie przyczepił, żeby na mnie winę zwalić: „Tyś przedtem była z Polakiem, więc i mnie wolno było z Katią.” Taki bezwstydnny! Na mnie tylko chce winę zwalić. Umyślnie się przyczepił, umyślnie, powiadam ci, tylko że ja...

Nie powiedziała, co robi, zasłoniła oczy chusteczką i rozplakała się gorzko.

- On nie kocha Katarzyny Iwanowny - rzekł z przekonaniem Alosza.

- Ano, kocha czy nie kocha, sama o tym rychło się dowiem - odparła Gruszeńka z nutą groźby w głosie, odejmując od oczu chusteczkę.

Alosza z przykrością zauważył, że jej dobra, wesoła i pogodna twarz naraz stała się zła i ponura.

- Dostyc o tych głupstwach! - zawołała nagle. - Nie po tom cię wzywała, Alosza, mój drogi,

jutro, co będzie jutro? To mnie męczy! Tylko to mnie męczy! Patrzę na wszystkich, nikt o tym nie myśli, nikogo to absolutnie nie obchodzi. Czy ty przynajmniej o tym myślisz? Przecie jutro go będą sądzili! Powiedz mi, jak go tam będą sądzić? Przecie to lokaj, lokaj zabił, lokaj! Boże! Czy naprawdę skazą go za winy lokaja i nikt, nikt się za nim nie ujmie! Nawet wcale go nie wzywali, tego lokaja, co?

- Badali go surowo - rzekł Alosza w zamyśleniu - ale wszyscy orzekli, że to nie on. Teraz leży chory. Od tego czasu, co upadł, wciąż choruje. Naprawdę jest chory - dodał Alosza.

- Boże, poszedłbyś sam do adwokata i opowiedział całą rzecz w cztery oczy. Przecie sprowadzono go, powiadają, z Petersburga za trzy tysiące.

- To my troje daliśmy trzy tysiące, ja, Iwan i Katarzyna Iwanowna, a doktora z Moskwy za dwa tysiące sprowadziła ona sama. Adwokat Fietiukowicz zażądałby więcej, ale sprawa nabrała rozgłosu, piszą o niej we wszystkich gazetach i pismach, więc Fietiukowicz zgodził się przyjechać, bo sprawa jest już bardzo głośna. Widziałem się z nim wczoraj.

- No i co? Mówiłeś z nim? - zawołała Gruszeńka.

- Wysłuchał mnie i nic nie odpowiedział. Mówił, że już urobił sobie zdanie. Ale przyrzekł wziąć moje słowa pod uwagę.

- Jak to pod uwagę? Ach, krętacze! Oni go zgubią! A doktora po co sprowadziła?

- Jako eksperta. Chcą dowieść, że Mitia jest niepoczytalny i że zabił w obłądnie, nie panując nad sobą - uśmiechnął się łagodnie Alosza. - Tylko że Mitia nie zgodzi się na to.

- Ach, to przecie prawda, jeśliby zabił! - wołała Gruszeńka. - Obłąkany był wtedy, całkiem obłąkany, i to z mojej winy! Ale przecież nie zabił, nie zabił! A wszyscy na niego, że zabił, całe miasto. Nawet Fienia też tak zeznała, że wynika z tego, że zabił. A w sklepie, a ten urzędnik, a przedtem w restauracji! Wszyscy, wszyscy przeciwko niemu, wszyscy gadają.

- Tak, zebrało się moc świadków - posępnie zauważył Alosza.

- A Grzegorz, Grzegorz Wasiliewicz upiera się wciąż, że drzwi były otwarte, twierdzi, że sam widział, nie ma na niego sposobu, byłam u niego, mówiłam mu. A on jeszcze wymyśla.

- Tak, to może najgorsze dla Miti zeznanie - rzekł Alosza.

- A to, że Mitia jest obłąkany, to on naprawdę teraz taki - rzekła nagle Gruszeńka z zatroskaną i tajemniczą miną. - Wiesz, Aloszczka, dawno już ci to chciałam powiedzieć: bywam u niego codziennie i po prostu z podziwu wyjść nie mogę. Powiedz mi, jak ty myślisz: o czym on teraz mówi? Zacznie, gada - nic nie potrafię zrozumieć, myślę sobie, mądre rzeczy wywodzi, głupia jestem, więc go nie rozumiem, tak to sobie myślę. Ale zaczął mi nagle mówić o dziecioku jakimś, „dlaczego dzieciok jest nieszczęśliwy”, „za tego dziecioka pójdę teraz na katorgę, nie zabiłem, ale powinienem iść na katorgę”. Cóż to jest, co to za dzieciok - nic nie rozumiem. Tylko rozbeczałam się, kiedy mówił, bo bardzo pięknie o tym mówił, płakał i ja płakałam, a on mnie nagle pocałował i przeżegnał.

Co to takiego, Alosza, powiedz mi, co to za „dzieciok”?

- Rakitin zaczął nie wiadomo dlaczego odwiedzać go - uśmiechnął się Alosza - ale nie... to nie Rakitin. Nie byłem u niego wczoraj, dziś będę.

- Nie, to nie Rakitka, to Iwan, on do niego chodzi... - rzekła Gruszeńka i nagle urwała.

Alosza spojrzał na nią, jak gdyby zaskoczony tą wiadomością.

- Jak to chodzi? Iwan chodzi do niego? Miti mi sam powiedział, że Iwan nie był ani razu.

- No... jaka ja jestem papla. Wygadałam się! - zawołała Gruszeńka bardzo zmieszana i nawet zarumieniła się. - Poczekaj, Alosza, nic nie mów, niech tam, skoro się wygadałam, to znaj całą prawdę: był u niego dwa razy, pierwszy raz, ledwo co przyjechał z Moskwy, jeszcze byłem zdrowa, a drugi raz - tydzień temu. Zabronił Miti mówić ci o tym, bezwzględnie zabronił, i w ogóle nikomu nie kazał mówić, po kryjomu przyszedł.

Alosza siedział zamyślony - nad czymś medytował. Wiadomość ta bardzo go zastanowiła.

- Iwan o sprawie Miti ze mną nie rozmawia - rzekł powoli - i w ogóle przez te dwa miesiące bardzo mało ze mną mówił; a kiedy przychodziłem do niego, zawsze był niezadowolony, że przychodzę, toteż od trzech tygodni przestałem go odwiedzać. Hm... Jeżeli był tydzień temu, to... przez ten tydzień w Miti istotnie dokonała się jakaś zmiana...

- Zmiana, zmiana! - podjęła natychmiast Gruszeńka. - Oni mają jakiś sekret, jakiś sekret, jakiś sekret! Miti sam mi mówił, że ma sekret, i wiesz, taki sekret, że Miti nie może się wcale uspokoić. A przecież przedtem był wesoły, i teraz zresztą jest wesoły, tylko wiesz, jak zaczyna głową kiwać i po celi chodzić, i tym prawym palcem włosy na skroni tarmosić, to już wiem, że coś ma na sercu... na pewno!... A przedtem był wesoły; no i dziś był wesoły!

- A mówiłaś, że rozdrażniony!

- Tak, rozdrażniony i zarazem wesoły. Jest rozdrażniony, a za chwilę wesoły, a potem znowu rozdrażniony. I wiesz, Alosza, patrzę na niego i dziwię się: przed sobą ma taki straszny dzień, a on chwilami śmieje się do rozpuku z byle głupstwa, jak dzieciak.

- I naprawdę nie kazał mi mówić o Iwanie? Powiedział ci tak: nie mów?

- Tak powiedział: nie mów. Miti ciebie się najbardziej boi. Bo to sekret, sam mówił, że sekret... Alosza, mój drogi, idź i dowiedz się, co to za sekret, i przyjdź mi powiedzieć - z niepokojem i błagalnie prosiła Gruszeńka. - Niech się już, nieszczęsna, dowiem, jaka moja dola przeklęta! Po to cię tu wezwałam.

- A ty myślisz, że to o ciebie chodzi? Gdyby o ciebie, to by ci nic o sekrecie nie wspominał.

- Nie wiem. Może chce mi powiedzieć, ale nie śmie. Ostrzega mnie. Sekret jest, ale jaki sekret, nie powiedział.



- A ty co myślisz o tym?

- Co ja myślę? Nastął mój koniec, ot co myślę. Koniec mi wszyscy troje przygotowali, bo i Katia. Wszystko od niej, wszystko od niej idzie. „A taka ona, a siaka”, to znaczy, że ja nie jestem taka. On mi z góry mówi, ostrzega mnie. Rzucić mnie chce, to i cały sekret! Wymyślili go razem - Mitia, Katia i Iwan Fiodorowicz. Alosza, chciałam się już dawno zapytać: tydzień temu powiedział mi naraz, że Iwan jest zakochany w Kati, bo często u niej bywa. Czy to prawda, powiedz? Ale mów sumiennie, dobij mnie.

- Nie będę cię okłamywać. Iwan nie jest zakochany w Katarzynie Iwanownie, tak myślę.

- A co, nie mówiłam! Okłamuje mnie, bezwstydnik! I urządził mi scenę zazdrości, aby później na mnie zwalić. Bo głupi jest, nie potrafi udawać, szczerzy charakter... Ale ja mu pokażę! „Ty, powiada, wierzysz, że zabiłem” - to on mnie mówi, mnie, takie rzeczy mnie mówi! Bóg z nim! Ale poczekaj, urządzę ja Katię w sądzie! Ja tam wszystko powiem!

I znowu zaczęła gorzko płakać.

- Mogę ci tylko powiedzieć z całą pewnością, Gruszeńka - rzekł wstając Alosza - że, po pierwsze, on ciebie kocha, kocha najbardziej w świecie, i tylko ciebie, wierzaj mi. Wiem to dobrze. Już ja to wiem. Po drugie, to ci powiem, że nie będę wyciągał z niego sekretu, a jeżeli sam zechce mi dziś powiedzieć, to wręcz mu oświadczę, że przyrzekłem ci to powtórzyć. W takim razie wrócę tu dziś jeszcze i opowiem wszystko. Tylko... zdaje mi się... że to nie ma nic wspólnego z Katarzyną Iwanowną i że to dotyczy zupełnie czego innego. Na pewno. Wcale na to nie wygląda, aby tyczyło się Katarzyny Iwanowny, tak mnie się zdaje. No, tymczasem do widzenia!

Alosza uścisnął jej rękę. Gruszeńka wciąż płakała. Widział, że nie uwierzyła jego zapewnieniom, ale i to już było dobre, że wypowiedziała, wypłakała swój frasunek. Przykro mu było zostawić ją w takim stanie, lecz bardzo się śpieszył. Miał jeszcze wiele spraw do załatwienia.

## II CHORA NÓŻKA

Przede wszystkim trzeba było iść do pani Chochłakow i prędko odbyć wizytę, żeby się nie spóźnić do Miti. Pani Chochłakow chorowała już trzy tygodnie, z niewiadomej przyczyny spuchła jej noga, chociaż nie leżała w łóżku, leżała w milutkim, ale bardzo przyzwoitym negliżu na sofie w swoim buduarze. Alosza zauważył, uśmiechając się do siebie niewinnie, że mimo choroby pani Chochłakow zaczęła się stroić: pojawiły się jakieś czepeczki, kokardki, wstążeczki i Alosza domyślał się, z jakiego powodu, ale opędzał się tym frywolnym myśłem. Od dwóch miesięcy wśród innych gości zaczął bywać u pani Chochłakow młodzieniec nazwiskiem Pierchotin. Alosza nie był u pani Chochłakow od czterech dni i wszedłszy do domu zamierzał iść prosto do pokoju Lizy, bo szedł właściwie do niej, ponieważ poprzedniego dnia wieczorem wezwała go przez służącą w „bardzo ważnej sprawie”, co z pewnych powodów ogromnie zainteresowało Aloszę. Ale póki pokojówka

anonsowała go Lizie, pani Chochłakow dowiedziała się od kogoś o jego przybyciu i natychmiast kazała prosić go do siebie „tylko na chwileczkę”. Alosza wytłumaczył sobie, że lepiej będzie z początku zadośćuczynić prośbie matki, bo inaczej nie da im spokoju i co chwila będzie po niego przysyłać. Pani Chochłakow leżała na sofie wystrojona jakoś odświętnie i jak widać bardzo podniecona. Aloszę przywitała okrzykami zachwytu.

- Wieki, całe wieki nie widziałam pana! Cały tydzień, ach, zresztą był pan cztery dni temu, w środę. Pan do Lizy, jestem pewna, że pan chciał wejść do niej na palcach, żebym nie słyszała. Mój kochany Aleksy Fiodorowiczu, żeby pan wiedział, jak ona mnie martwi! Ale o tym później. Chociaż to najważniejsza rzecz, ale o tym później. Drogi Aleksy Fiodorowiczu, powierzam Lizę pańskiej pieczy. Po śmierci starca Zosimy - niech Bóg ma go w swojej opiece! (przeżegnała się) - patrzę na pana jako na pustelnika, chociaż pan tak ładnie nosi swój nowy garnitur. Gdzie pan tu znalazł takiego krawca? Ale nie, nie, to nie najważniejsze, o tym później. Wybacz pan, że tak poufale nazywam pana Alosza, ale jestem stara, wszystko mi wolno - uśmiechnęła się kokieteryjnie - ale o tym później. Najważniejsza rzecz, żeby tylko nie zapomnieć o rzeczy najważniejszej. Proszę pana, niech mi pan przypomni, jeżeli się zagadam, niech pan zapyta: „A rzecz najważniejsza?” Od czasu jak Liza znowu cofnęła obietnicę, Aleksy Fiodorowiczu, że wyjdzie za pana za mąż, pan naturalnie zrozumiał, że to tylko dziecięcy kaprys, fantazja chorej dziewczynki, która zbyt długo przykuta była do fotela - dzięki Bogu, że teraz już chodzi. Ten nowy lekarz, co to go Katarzyna Iwanowna sprowadziła z Moskwy do nieszczęsnego pańskiego brata, którego jutro... Ale co będę mówić o jutrze! Umieram na myśl o jutrze! Głównie jednak z ciekawości... Słowem, ten lekarz był wczoraj u nas i zbadał Lizę... Dałam mu pięćdziesiąt rubli za wizytę. Ale to nie o to, znowu nie o to chodzi. Widzi pan, już całkiem poplątałam. Spieszę się. Dlaczego się spieszę? Nie wiem. Przestaję chwilami myśleć. Dla mnie wszystko splątało się teraz w jakiś kłębek. Boję się, że pan wybiegnie ode mnie znudzony, a ja nic jeszcze nie powiedziałam. Ach, mój Boże! Cóż tak siedzimy, przede wszystkim kawy - Julia, Głafira, kawy!

Alosza podziękował pod pozorem, że właśnie przed chwilą pił kawę.

- U kogo?

- U Agrafieny Aleksandrowny.

- To... to u tej kobiety! Ach, ona wszystkich zgubiła, a zresztą nie wiem, powiadają, że stała się prawdziwą świętą, chociaż późno. Szkoda, że nie dawniej, kiedy trzeba było, a teraz cóż za korzyść? Niech pan nie mówi, Aleksy Fiodorowiczu, ponieważ chcę tak wiele powiedzieć, że, zdaje się, nic w ogóle nie powiem. Ten okropny proces... oczywiście pojedę, szykuję się do tego, wniosą mnie w fotelu, przecież mogę siedzieć, wezmę służbę, przecież pan wie, że jestem świadkiem. Jak ja będę mówić, jak będę mówić! Nie wiem, co powiem. Trzeba będzie złożyć przysięgę. Prawda, prawda?

- Tak, ale nie sądzę, aby pani mogła pójść.

- Mogę przecież siedzieć; ach, pan mi przerywa! Ten proces, ten nieprawdopodobny postępek, a potem wszyscy idą na Syberię, inni się żenią, i wszystko to prędko, prędko, i wszystko się zmienia, i w końcu nic, wszyscy są starzy i stają nad grobem. A niech tam, czuję się zmęczona. Ta Katia, *cette charmante personne*[19], zniweczyła wszystkie moje nadzieje: ona teraz pójdzie za jednym z pana

braci na katorgę, a drugi brat pójdzie za nią i będzie mieszkał w sąsiednim mieście, i wszyscy będą się nawzajem dręczyć. To mnie doprowadza do obłędu, a najważniejsze to ten rozgłos: we wszystkich pismach w Moskwie i Petersburgu milion razy już pisano. Ach, tak, niech pan sobie wyobrazi, że i o mnie napisali, że byłam „drogą przyjaciółką” pańskiego brata, nie chcę wymawiać ohydneho słowa, niech pan sobie wyobrazi, no, niech pan sobie wyobrazi!

- To niemożliwe! Gdzie i jak napisano?

- Zaraz panu pokażę. Wczoraj dostałam i od razu przeczytałam. O, tu, w gazecie „Echa”, w petersburskiej. Te „Echa” zaczęły wychodzić dopiero w tym roku, strasznie lubię takie echa, toteż zaabonowałam na moje nieszczęście: bo oto jakie to są echa. O, proszę, tutaj, niech pan przeczyta.

I wyciągając spod poduszki gazetę podała ją Aloszy.

Była nie tyle rozstrojona, co jakaś załamana i bardzo być może, iż wszystko razem poplątało się jej w głowie. Notatka w dzienniku była bardzo charakterystyczna i oczywiście musiała wywrzeć na niej wielkie wrażenie. Lecz na szczęście niezdolna była w takim momencie skupić się, dzięki czemu po chwili mogła już przeskoczyć na inny temat. Co się zaś tyczy rozgłosu, to Alosza wiedział już o tym dawno i, o Boże, jakich nieprawdopodobnych wzmianek i artykułów naczytał się przez te dwa miesiące o swoim bracie, o rodzinie Karamazowów w ogóle, a nawet o sobie. W jednej gazecie pisano nawet, że ze strachu po zbrodni brata wstąpił do monasteru; w innej pisano na odwrót, że wraz ze swoim starcem Zosimą włamał się do kasy monasteru, po czym „zbiegł”. Notatka zaś w „Echach” była zatytułowana: *Ze Skotoprigoniewska* (niestety, tak się nazywa nasza miejscina, długo ukrywałem tę nazwę). *Echa sprawy Karamazowów*. Była króciutka, bez nazwisk, i głosiła, że przestępca, którego z takim hukiem szykują się teraz sądzić, dymisjonowany kapitan piechoty, rębajło i zawadiaka, wałkoń i zwolennik poddaństwa chłopów, gachował, gdzie się dało, i szczególnie smalił koperczaki do niektórych „znudzonych osamotnieniem pań”. Jedna z nich, pewna „nudząca się wdówka”, chcąc uchodzić za młodą, aczkolwiek jest matką dorosłej córki, tak się w nim zadurzyła, że na dwie godziny przed zbrodnią zaproponowała mu trzy tysiące rubli, jeżeli się zgodzi uciec z nią natychmiast do kopalni złota. Ale zbrodniarz wolał zabić ojca i zrabować te trzy tysiące, licząc na bezkarność, niż wlec się na Syberię z czterdziestoletnimi wdziękami nudzącej się pani. Frywolna notatka kończyła się szlachetnym potępieniem niemoralnego ojcobójstwa i dawnego prawa o poddaństwie chłopów. Przeczytawszy to z zainteresowaniem, Alosza złożył gazetę i oddał ją pani Chochłakow.

- No, czy to nie ja? - zaszczębiotała znowu - przecież to ja, godzinę przedtem proponowałam mu, żeby wyjechał do kopalni złota i naraz „czterdziestoletnie wdzięki”! Czy po to to zrobiłam? Naumyślnie tak napisał! Niech mu Wieczny Sędzia odpuści te czterdziestoletnie wdzięki, jak ja mu odpuszczam, ale przecież... przecież pan wie, kto to? To przyjaciel pana, Rakitin.

- Być może - rzekł Alosza - chociaż nic nie słyszałem.

- On, on, na pewno, a nie „być może”! Wypędziłam go... Pan zna tę historię?

- Wiem, że pani zabroniła mu przychodzić, ale dlaczego właściwie - tego... przynajmniej pani tego mi nie mówiła.

- A więc on panu mówił! I cóż, przeklina mnie, bardzo na mnie wymyśla?

- Tak, wymyśla, ale przecież on na wszystkich wymyśla. Dlaczego pani zabroniła mu przychodzić - tego i on mi nie powiedział. I w ogóle bardzo rzadko się z nim teraz widuję. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- No, to panu wszystko opowiem, i cóż robić, uderzę się w piersi, bo tu jest pewna rzecz, co do której ja sama może zawiniłam. Ale drobnusia, drobnusieńka rzecz, najdrobniejsza, tak że nawet może jej wcale nie ma. Widzi pan, mój drogi (pani Chochłakow zrobiła naraz filuterną minę i uśmiechnęła się sympatycznie i zagadkowo), widzi pan, podejrzewam... Wybacz mi pan, Alosza, mówię to panu jak matka... o, nie, nie, na odwrót, ja teraz do pana jak do ojca... bo matka to nie licuje... No, wszystko jedno, jak do starca Zosimy na spowiedzi, tak będzie najlepiej, nawet bardzo licuje: nazwałam przecie pana pustelnikiem - no więc ten biedny młodzieniec, przyjaciel pana, Rakitin (o Boże... nie mogę się na niego gniewać! Złoszczę się, wściekam, ale nie bardzo), słowem, ten lekkomyślny młodzieniec, zdaje się, nagle, niech pan sobie wyobrazi, zakochał się we mnie. Ja to później, znacznie później zauważyłam, ale z początku, to znaczy miesiąc temu, zaczął bywać u mnie coraz częściej, prawie codziennie, chociaż znamy się już od dawna. Ja nic nie wiem... i tu nagle jakby mnie olśniło i zaczęłam ze zdumieniem widzieć coraz wyraźniej. Wie pan, już dwa miesiące temu zaczęłam przyjmować tego skromnego, miłego i godnego człowieka Piotra Ilicza Pierchotina, który tu pracuje. Tyle razy spotykał go pan u mnie. I rzeczywiście, to poczciwy, solidny młodzieniec. Przychodził raz na trzy dni, a nie codziennie (a choćby nawet codziennie) i zawsze był tak dobrze ubrany, i w ogóle bardzo lubię młodzież, Alosza, zdolną, skromną, jak pan, a on ma po prostu ministerialną głowę i tak miło opowiada i na pewno, na pewno bardzo go zaproteguję. To przyszły dyplomata. Tego okropnego dnia po prostu uratował mi życie przychodząc z tą wiadomością w nocy. No, a pana przyjaciel, Rakitin, zawsze w takich butach i wyciąga te nogi na dywanie... Słowem, zaczął nawet robić jakieś aluzje i pewnego razu, żegnając się, uściskał mi strasznie mocno rękę. Ledwo mi tak uściskał rękę, zaboląła mnie noga. Jeszcze poprzednio spotykał u mnie Piotra Ilicza i, uwierz pan, wciąż mu dokuczał i dokuczał, zrzędził nie wiadomo dlaczego. Aż tu raptem, kiedyś siedzę sama, to znaczy nie, wtedy już leżałam, otóż leżę sama, przychodzi Michał Iwanowicz i niech pan sobie wyobrazi, przynosi wierszyk, bardzo króciutki, o mojej chorej nodze, słowem, opisał wierszem moją chorą nogę. Niech pan posłucha, zaraz, jakże to:

*Ta nożyna, ta nożyna*

*Trochę boleć mnie zaczyna...*

czy coś w tym rodzaju - nie mogę żadną miarą spamiętać wierszy - potem panu pokażę, koniecznie pokażę, wiersz zachwycający, cudowny i wie pan, nie tylko o nóżce, ale dydaktycznie, z zachwycającą ideą, tylko że też zapomniałam, słowem, nadaje się po prostu do sztambucha. Oczywiście podziękowałam mu, a on czuł się bardzo pochlebiony. Ledwo mu podziękowałam, wchodzi naraz Piotr Ilicz, więc Michał Iwanowicz zasępił się jak noc. Widzę od razu, że Piotr Ilicz mu przeszkodził, bo Michał Iwanowicz chciał coś powiedzieć po tym wierszu, czułam to, a tu nagle przyszedł Piotr Ilicz. Pokazałam więc od razu Piotrowi Iliczowi ten wierszyk, ale nie mówię, kto skomponował. Jestem przekonana, ale to święcie przekonana, że od razu się domyślił, chociaż

dotychczas się nie przyznaje, twierdzi, że się nie domyślił; ale on to specjalnie. Piotr Ilicz roześmiał się i zaczął krytykować: „Lichy, powiada, wierszyk, to pewnie jakiś seminarzysta napisał”, i wie pan, z takim żarem! Wtedy pana przyjaciel zamiast się roześmiać, do reszty się rozgniewał... Boże wielki, myślałam, że się pobiją! „To ja, powiada, napisałem. Ja, powiada, napisałem żartem, bo uważam, że poniżające jest pisanie wierszy. Tylko że mój wiersz jest dobry. Pańskiemu Puszkiniowi za kobiece nóżki chcą teraz pomnik postawić, a u mnie to z ideą, a pan sam, powiada, jest wstecznikiem, pan, powiada, nie ma w sobie śladu uczuć humanitarnych, nie czuje pan żadnych dzisiejszych oświeconych prądów, postęp dzisiejszy nie dotarł do pana, pan, powiada, jest urzędniczyną i łapówki pan też bierze.” Więc się wtrąciłam i zaczęłam krzyczeć i prosić ich. A Piotr Ilicz, wie pan, taki odważny, od razu przybrał szlachetny ton: patrzy tak na niego szyderczo, słucha i przeprosza: „Ja, powiada, nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nie powiedziałbym tego, powiada, lecz pochwaliłbym... Poeci, powiada, są wszyscy skorzy do irytacji...” Słowem, szyderstwa wypowiedane najszlachetniejszym tonem. Później mi wyjaśnił, że to były szyderstwa, bo ja myślałam, że to na serio. Tylko naraz myślę sobie, leżąc tak jak teraz, myślę sobie: „Czy będzie szlachetnie, czy nieszlachetnie, jeśli Michała Iwanowicza nagle wypędzę za to, że nieprzyzwoicie krzyczy u mnie w mieszkaniu na mojego gościa?” I oto, czy pan da wiarę, leżę, zasłoniłam oczy i myślę: „Będzie szlachetnie czy nie?” - i nie mogę tego rozstrzygnąć, i męcę się, i męcę się, i serce mi bije: krzyknąć czy nie krzyknąć? Jeden głos woła: krzycz, a drugi: nie, nie krzycz! Ledwo ten drugi głos powiedział, krzyknęłam i nagle zemdlałam. A tu zaraz, rozumie się, rozgardiasz. A ja nagle wstaję i mówię Michałowi Iwanowiczowi: „Przykro mi to panu oświadczyć, ale nie chcę pana odtąd przyjmować w swoim domu.” Tak go wypędziłam. Ach, Aleksy Fiodorowiczu! Sama wiem, źle zrobiłam, że skłamałam, bo wcale się na niego nie gniewałam, ale nagle, to najważniejsze, nagle wydało mi się, że tak będzie dobrze, że powinnam zrobić taką scenę... Tylko że, uwierzy pan, scena ta była bądź co bądź naturalna, ponieważ rozplakałam się nawet, i kilka dni potem płakałam, a potem, jakoś po obiedzie, wszystko zapomniałam. On już od dwóch tygodni nie przychodzi, a ja myślałam: „Czy naprawdę już nie przyjdzie?” To było jeszcze wczoraj, aż naraz wieczorem przynoszą te „Echa”. Przeczytałam i wzdrygnęłam się - któż to mógł napisać? To on napisał, poszedł wtedy do domu, usiadł - i napisał; posłał, wydrukowali. Przecie to już dwa tygodnie temu było. Tylko, Alosza, ja straszne rzeczy wygaduję, a wcale nie mówię o tym, co trzeba. Ach, te słowa same płyną.

- Ogromnie mi zależy na tym, aby zdążyć na czas do brata - wyjąkał Alosza.

- Właśnie, właśnie! Pan mi wszystko przypomniał! Niechże pan mi powie, co to znaczy afekt?

- Jaki afekt? - zdziwił się Alosza.

- Sądowy afekt. Taki afekt, za który wszystko darują. Cokolwiek pan zrobi - wszystko panu darują.

- O czym pani mówi?

- O tym, niech pan posłucha: ta Katia... Ach, to miła istota, tylko naprawdę nie wiem, kogo ona kocha. Niedawno siedziała u mnie, a ja nic nie mogłam się od niej dowiedzieć. Tym bardziej że sama ze mną mówi teraz tak powierzchownie, wciąż o moim zdrowiu i nic więcej, i nawet taki ton przybrała, że powiedziałam sobie: „A niech tam, Bóg z nią...” Ach, tak, no więc ów afekt: więc ten doktor przyjechał. Wie pan, że przyjechał ten doktor? No, jakże by pan mógł nie wiedzieć: ten, co

poznaje się na wariatach, pan przecie go sprowadził, właściwie nie pan, lecz Katia! Wszystko ta Katia! No widzi pan: siedzi człowiek zupełnie nie obłąkany, tylko że ma afekt. Przytomny jest, no tak, i wie, co robi, ale mimo to jest w afekcie. Więc na pewno Dymitr Fiodorowicz był w afekcie. To wynalazek tych nowych sądów. Doktor był u mnie i pytał mnie o tamten wieczór, no i o kopalnię złota i w jakim stanie był wówczas? Jakże nie w afekcie: przyszedł i krzyczy: „Pieniądze, trzy tysiące, niech pani da trzy tysiące.” A potem poszedł i nagle zabił? „Nie chcę, powiada, nie chcę zabić”, i nagle zabija. Właśnie za to go uwolnią, że nie chciał, a zabił.

- Ale przecie on nie zabił - trochę szorstko przerwał jej Alosza, który zaczynał coraz bardziej się niecierpliwić i niepokoić.

- Wiem, że zabił ten stary Grzegorz...

- Jak to Grzegorz! - zawołał Alosza.

- On, ten Grzegorz. Jak Dymitr Fiodorowicz go uderzył, to on leżał, a potem wstał - drzwi były otwarte, wszedł i zabił Fiodora Pawłowicza.

- Ale po co, po co?

- Ano dostał afektu. Skoro Dymitr Fiodorowicz uderzył go w głowę, obudził się i dostał afektu, poszedł i zabił. A że mówi, że nie zabił, to może sam nawet nie pamięta. Tylko widzi pan: o wiele lepiej będzie, jeżeli Dymitr Fiodorowicz zabił. I zresztą tak było, chociaż mówię, że Grzegorz, ale to na pewno Dymitr Fiodorowicz, i tak jest o wiele, wiele lepiej! Ach, nie dlatego lepiej, że syn zabił ojca, ja tego nie pochwalam, przeciwnie, dzieci powinny szanować rodziców, ale jednak lepiej, że on to zrobił, a to dlatego, że on to wszystko zrobił w stanie nieprzytomnym, albo właściwie mówiąc, był przytomny, tylko nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie, niech oni mu przebaczą: tak jest humanitarnie, i niech widzą szlachetność nowych sądów, a ja nawet nic nie wiedziałam, powiadają, że to już dawno, a ja, wie pan, dopiero wczoraj się dowiedziałam, i to mnie tak uderzyło, że chciałam po pana posłać; a potem, skoro mu przebaczą, to od razu z sądu proszę do mnie na obiad, zwołam znajomych i wypijemy za nowe sądy. Nie sądzę, aby był niebezpieczny, poza tym zaproszę bardzo wiele osób, tak że zawsze można go będzie wyprowadzić, jeżeli będzie coś takiego, a potem można go mianować w innym mieście sędzią pokoju albo czymś w tym rodzaju, bo ci, co przeżyli nieszczęście, najlepiej potrafią sędzić. Ale rzecz najważniejsza, któż teraz nie ma afektu - pan, ja, wszyscy mamy afekt, i to ile przykładów: siedzi człowiek, śpiewa romans, nagle coś mu się nie spodobało, bierze pistolet i zabija byle kogo, a potem wszyscy mu wybaczą. Czytałam o tym niedawno i wszyscy lekarze potwierdzili. Doktorzy teraz potwierdzają, wszystko potwierdzają. Daruje pan, ale moja Lise ma afekt. Wczoraj przez nią płakałam, onegdaj płakałam, a dziś dopiero domyśliłam się, że ona ma po prostu afekt. Och, Lise tak mnie martwi! Myślę, że postradała rozum. Po co pana wezwała? Wezwała pana czy pan sam przyszedł?

- Tak, wezwała mnie i zaraz do niej pójde - rzekł Alosza i energicznie podniósł się z miejsca.

- Ach, drogi, kochany Aleksy Fiodorowiczu, to może jest najważniejsze - zawołała pani Chochłakow i nagle rozplakała się. - Bóg mi świadkiem, że ja panu szczerze zaufałam Lise, i to nic, że ona pana bez wiedzy matki prosiła. Ale Iwan Fiodorowicz, pana brat, wybaczy mi pan, ale nie

mogę mu zaufać mojej córki tak łatwo, chociaż wciąż jeszcze uważam go za rycerskiego kawalera. A niech pan sobie wyobrazi, że nagle był u Lise, a ja tego nie wiedziałam.

- Jak? Co? Kiedy? - zdziwił się ogromnie Alosza. Ale nie usiadł, słuchał stojąc.

- Opowiem to panu, po to może pana wzywałam, bo teraz to nawet nie wiem, po co pana wzywałam. A właśnie, Iwan Fiodorowicz był u mnie wszystkiego dwa razy po powrocie z Moskwy, pierwszy raz przyszedł jako znajomy z wizytą, a drugi raz to niedawno, Katia u mnie wtedy siedziała, więc przyszedł, bo się dowiedział, że ona jest u mnie. Ja, ma się rozumieć, nie spodziewałam się nawet jego częstych wizyt, wiedząc, ile ma teraz kłopotów, *vous comprenez, cette affaire et la mort terrible de votre papa*[20], a tu naraz dowiaduję się, że był znowu, tylko nie u mnie, lecz u Lise, sześć dni temu przyszedł, siedział pięć minut i poszedł. A dowiedziałam się dopiero w trzy dni potem od Głafiry, tak że to mnie zafrapowało. Natychmiast zawołałam Lise, a ona tylko się śmieje: „Myślał niby, że mama śpi, i dlatego przyszedł się mnie zapytać, jak się mama czuje.” Oczywiście. Oczywiście. Oczywiście, tak było. Tylko że Lise, Lise, o Boże, jak ona mnie martwi! Niech pan sobie wyobrazi: naraz którejs nocy - to było cztery dni temu, jak pan od niej wyszedł - atak, krzyk, spazmy, histeria! Dlaczego ja nigdy nie mam histerii? Potem nazajutrz znowu atak, a potem znowu, i wczoraj, wczoraj ten afekt. Krzyczy naraz: „Nienawidzę Iwana Fiodorowicza, żądam, aby go mama nie przyjmowała, aby go mama nie wpuszczała do domu!” Stałam jak wryta i powiadam jej: „Z jakiej racji mam nie przyjmować tak delikatnego i godnego młodzieńca, i przy tym wykształconego i tak nieszczęśliwego, a swoją drogą wszystkie te historie to przecież nieszczęście, a nie szczęście, nieprawdaż?” A ona nagle się roześmiała z moich słów i wie pan, tak obraźliwie. „No, rada jestem, myślę sobie, że ją rozśmieszyłam, więc ataki już się nie powtórzą, tym bardziej że ja sama chciałam zakazać bywania Iwanowi Fiodorowiczowi za dziwne wizyty bez mojej zgody i zażądać wyjaśnień.” A tu naraz dziś rano Liza obudziła się i rozgniewała na Julię i niech pan sobie wyobrazi, uderzyła ją w twarz. Przecież to potworne, sama nie tknę nawet swojej pokojówki! I naraz po godzinie ściska Julię i całuje ją po nogach. Mnie zaś kazała powiedzieć, że wcale do mnie nie przyjdzie, i już nigdy nie zechce do mnie przyjść, a kiedy się do niej przywlokłam, rzuciła się na mnie, zaczęła mnie całować i płakać, no i wypchnęła mnie z pokoju i nic nie powiedziała, i ja nic nie wiem. Teraz, Aleksy Fiodorowiczu, w panu pokładam całą nadzieję i naturalnie mój los jest w pańskim ręku. Proszę pana, aby pan poszedł do Lise, dowiedział się wszystkiego, jak tylko pan to może zrobić, i przyszedł mi to opowiedzieć, mnie, matce, bo pan rozumie, ja umrę, po prostu umrę, jeśli tak będzie dalej, albo ucieknę z domu. Dłużej już nie mogę, mam cierpliwość, ale mogę stracić, a wówczas... wówczas będą się dziać straszne rzeczy. Ach, Boże wielki, nareszcie pan, Piotrze Iliczu! - zawołała i nagle rozpromieniła się cała na widok wchodzącego Piotra Ilicza Pierchotina. - Spóźnił się pan, spóźnił! No, niechże pan siada, niech pan mówi, co powiedział adwokat. A pan dokąd, Aleksy Fiodorowiczu?

- Do Lise.

- Ach, tak! Więc nie zapomni pan, nie zapomni pan, o co pana prosiłam? Chodzi o los, o los!

- Oczywiście nie zapomnę, jeśli tylko można... ale tak się już spóźniłem - mruknął Alosza, wycofując się spieszenie.

- Nie, koniecznie, niech pan koniecznie wstąpi, a nie „Jeżeli można”, inaczej umrę! - krzyknęła

za nim pani Chochłakow, ale Alosza już wyszedł z pokoju.

### III DIABELEK

Wszedłszy do pokoju Lizy zastał ją jak zwykle w fotelu, na którym ją wożono, gdy była chora. Nie ruszyła się nawet na jego widok, tylko utkwiała w nim swoje ostre, przenikliwe spojrzenie. Oczy jej były teraz nieco zaczerwienione, cera bladożółta. Alosza był zaskoczony tą zmianą w jej wyglądzie, która się dokonała w ciągu ostatnich trzech dni. Zdążyła nawet bardzo zeszczupleć.

Nie podała mu ręki. Dotknął jej wąskich, długich palców leżących nieruchomo na sukni, po czym, nic nie mówiąc, usiadł naprzeciw.

- Wiem, że pan się śpieszy do więzienia - zaczęła ostro - a tymczasem dwie godziny trzymała pana moja matka, opowiedziała panu od razu o mnie i o Julii.

- Skąd pani wie? - zapytał Alosza.

- Podśluchiwałam. Co się pan na mnie tak gapi? Chcę podśluchiwać i podśluchuję, nic złego w tym nie ma. Nie proszę o wybaczenie.

- Pani jest zdenerwowana?

- Wręcz przeciwnie, jestem w doskonałym humorze. Dopiero co znowu myślałam o tym, po raz trzydziesty: jak to dobrze, że panu odmówiłam i nie będę pańską żoną. Pan się nie nadaje na męża: wyjdę za pana i naraz dam panu bilecik, aby pan go zaniósł do tego, którego pokocham po panu; pan weźmie i na pewno odniesie i nawet przyniesie mi pan odpowiedź. I będzie pan miał czterdzieści lat i będzie pan wciąż nosił moje bileciki.

Roześmiała się nagle.

- Pani ma w sobie coś złośliwego, a jednocześnie jest jakaś szczerza - uśmiechnął się do niej Alosza.

- Szczerze jest to, że się pana nie wstydzę. To nic jeszcze, że się nie wstydzę, chcę się wstydzić i właśnie pana. Alosza, dlaczego ja pana nie szanuję? Bardzo pana kocham, ale nie szanuję pana. Gdybym szanowała, to chyba nie mówiłabym tego bez wstydu, prawda?

- Tak.

- A czy pan wierzy, że się pana nie wstydzę?

- Nie, nie wierzę.



Liza znowu roześmiała się nerwowo. Mówiła bardzo prędko.

- Pańskiemu bratu Dymitrowi posłałam cukierki do więzienia. Alosza, czy pan wie, jaki pan jest dobry! Będę pana strasznie kochać za to, że pozwolił mi pan tak prędko pana nie kochać.

- Po co mnie pani dzisiaj wzywała, Lise?

- Chciałam panu zakomunikować jedno moje życzenie. Życzyłabym sobie, aby ktoś się zaręczył, ożenił ze mną, a potem zdręczył, oszukał, odszedł i wyjechał. Nie chcę być szczęśliwa!

- Polubiła pani nieład?

- Ach, chcę nieładu. Wciąż mam ochotę podpalić dom. Wciąż o tym myślę: jak podejść i skrycie podpaleć ale koniecznie skrycie. Oni gaszą, a dom się pali. A ja wszystko wiem i milczę. Ach, głupstwa mówię! Jak nudno!

Z obrzydzeniem machnęła ręką.

- Żyje pani w zbytku - rzekł cicho Alosza.

- Może lepiej być biedną?

- Lepiej.

- To pański nieboszczyk mnich panu nagadał. To nieprawda.! Niech ja będę bogata a wszyscy biedni, będę jadła cukierki i piła śmietankę i nikomu nic nie dam. Ach, niech pan nie mówi, niech pan nic nie mówi - zaczęła machać ręką, chociaż Alosza ust nawet nie otworzył - pan mi to już przedtem mówił, znam to na pamięć. Nudno. Jeżeli będę uboga, to kogoś zabiję - no i jak będę bogata, to może też zabiję - co będę tak siedziała! A wie pan, chciałabym żąć żyto. Wyjdę za pana, a pan zostanie chłopem, prawdziwym chłopem; będziemy mieli źrebaczka, chce pan? Zna pan Kałganowa?

- Znam.

- On wciąż chodzi i marzy. Powiada: „Po co naprawdę żyć, lepiej marzyć. Wymarzyć sobie można najweselsze rzeczy, a żyć jest nudno.” A przecież sam się wkrótce ożeni, nawet mnie się oświadczył. Czy umie pan puszczać bączka?

- Umie.

- On jest jak bączek: zakręcić go i puścić, i smagać, smagać bacikiem. Jak wyjdę za niego, to całe życie będę smagać. Czy nie wstyd panu ze mną siedzieć?

- Nie.

- Pan się okropnie złości, że nie mówię o świętościach. Nie chcę być świętą. Co zrobią na tamym świecie za największy grzech? Pan to powinien dokładnie wiedzieć.

- Bóg osądzi - przyglądał się jej uważnie Alosza.

- Tego i ja chcę. Przyszłabym, osądziliby mnie, a ja bym im wszystkim w oczy się roześmiała. Straszna mam ochotę podpalić dom, Alosza, nasz dom, nie wierzy mi pan?

- Czemu nie? Bywają dzieci, dwunastoletnie i starsze, które mają ochotę podpalać i naprawdę podpalają. To choroba.

- Nieprawda, nieprawda. Niech sobie będą dzieci, nie o tym mówię.

- Pani źle bierze za dobre: to chwilowy kryzys, może skutek dawnej choroby.

- A pan mną pogardza! Po prostu nie chcę robić dobrze, chcę robić źle, i to wcale nie choroba.

- Po co robić źle?

- Aby nigdzie nic nie zostało. Ach, jakby to było dobrze, gdyby nigdzie nic nie zostało! Wie pan, Alosza, czasem przychodzi mi na myśl zrobić strasznie wiele złego, i to najgorszego. Będę długo robić to po kryjomu, a potem nagle wszyscy się dowiedzą. Wszyscy mnie otoczą i będą mnie wytykać palcami, a ja będę na wszystkich patrzeć. To bardzo przyjemnie.! Dlaczego to tak przyjemnie, Alosza?

- Tak. Potrzeba zdeptania czegoś dobrego albo, jak pani mówiła, podpalenia. To się też zdarza.

- Ale ja nie tylko mówiłam, ja to także zrobię.

- Wierzę.

- Ach, jak ja pana kocham za to, że pan mówi: wierzę. I pan naprawdę wcale a wcale nie kłamie. A może pan myśli, że ja tak naumyślnie mówię, żeby pana drażnić?

- Nie, nie naumyślnie... Chociaż może trochę i naumyślnie.

- Trochę. Nigdy panu nie kłamie - rzekła z jakimś nagłym błyskiem w oczach.

Aloszę najbardziej dziwiła jej powaga: na jej twarzy nie było ani śladu figlarności, jakkolwiek zazwyczaj nie mogła się pozbyć tej figlarności nawet w „najpoważniejszych chwilach”.

- Bywają chwile, kiedy ludzie kochają zbrodnie - rzekł w zamyśleniu Alosza.

- Tak, tak! Wypowiedział pan moją myśl: kochają, wszyscy kochają i zawsze kochają, nie tylko w pewnych „chwilach”. Wie pan, pod tym względem wszyscy jakby się zmówili, żeby kłamać, i wszyscy odtąd kłamią. Wszyscy twierdzą, że nienawidzą zła, a w rzeczywistości je kochają.

- Pani po dawnemu czyta złe książki?

- Czytam. Mama czyta i chowa pod poduszkę, a ja wykradam.

- Jak pani ma sumienie tak siebie niszczyć?

- Chcę siebie niszczyć. Jest tu jeden chłopak, leżał między szynami, kiedy pociąg nad nim przejeżdżał. Szczęśliwy! Niech pan posłucha, teraz pańskiego brata będą sądzić za to, że zabił ojca, a tymczasem wszyscy go kochają za to, że zabił ojca.

- Kochają za to, że ojca zabił?

- Kochają, wszyscy kochają! Wszyscy mówią, że to straszne, ale w istocie strasznie kochają. Ja pierwsza go kocham.

- W pani słowach, że wszyscy, jest trochę prawdy - szepnął Alosza.

- Ach, jakie pan ma myśli! - pisnęła z zachwytem Liza. - I to mnich! Nie uwierzy pan, Alosza, jak ja pana szanuję za to, że pan nigdy nie kłamie. Ach, opowiem panu jeden mój śmieszny sen: czasem śnią mi się diabły, że siedzą po wszystkich kątach i pod stołem, i drzwi otwierają, a za drzwiami cały tłum, wszystkie chcą wejść i złapać mnie. I już się zbliżają, już łapią. A ja nagle robię znak krzyża i wszystkie diabły się cofają, boją się, ale nie odchodzą, stoją w drzwiach i czekają po kątach. I naraz mam okropną ochotę bluźnić na głos przeciw Bogu, i zaczynam bluźnić, a one znowu na mnie, cieszą się i znowu mnie łapią, a ja raptem znowu robię znak krzyża i one znowu wszystkie odступują. Strasznie wesoło, aż tchu brak.

- I ja miewałem taki sen - rzekł Alosza.

- Doprawdy? - zawołała Liza ze zdziwieniem. - Niech pan posłucha, Alosza, niech się pan nie śmieje, to bardzo ważne: czy to możliwe, żeby dwie osoby miały taki sam sen?

- Zapewne możliwe.

- Alosza, powiadam panu, że to bardzo ważne - dodała z jakimś niezwykłym zdziwieniem. - Nie sen jest ważny, lecz to, że pan mógł widzieć taki sam sen, co i ja. Nigdy pan nie kłamie, więc niech pan i teraz powie prawdę: czy to prawda? Pan się nie śmieje?

- Prawda.

Liza była niezwykle zdumiona; milczała przez pół minuty.

- Alosza, niech pan przychodzi do mnie, niech pan przychodzi częściej - rzekła błagalnym głosem.

- Zawsze, całe życie będę do pani przychodzić - odparł z przejęciem Alosza.

- Ja to opowiadam tylko panu - zaczęła znowu Liza. - Tylko sobie i panu opowiadam. Tylko panu jednemu na całym świecie. I panu chętniej niż sobie. Wcale się pana nie wstydzę, wcale. Alosza, dlaczego ja się pana wcale nie wstydzę, wcale? Alosza, czy to prawda, że Żydzi na Wielkanoc wykradają i zarzynają dzieci?

- Nie wiem.

- Mam taką książkę, czytałam, że była taka rozprawa: Żyd czteroletniemu dzieciakowi najpierw odrąbał wszystkie palce, a potem ukrzyżował go na ścianie, przybił gwoździami i ukrzyżował, i potem w sądzie powiedział, że chłopczyk umarł prędko, po czterech godzinach. Ładne prędko! Powiada: jęczał, wciąż jęczał, a tamten stał i rozkoszował się tym widokiem. To dobrze!

- Dobrze?

- Dobrze. Myślę czasem, że sama bym ukrzyżowała. On wisiał i jęczy, a ja usiądę naprzeciw i będę jadła kompot z ananasów. Strasznie lubię kompot z ananasów. A pan?

Alosza milczał i patrzył na nią. Blandożółta twarzyczka nagle drgnęła, oczy zapłonęły.

- Wie pan, kiedy przeczytałam o Żydzie, to potem całą noc trzęsłam się od płaczu. Wyobrażałam sobie, jak dzieciak krzyczy i jęczy (przecież czteroletnie dzieci już wszystko rozumieją), a ja nie mogę się opędzić tej myśli o kompocie. Nazajutrz posłałam list do pewnego człowieka, żeby koniecznie do mnie przyszedł. On przyszedł, a ja mu naraz powiedziałam o chłopczyku i o kompocie, wszystko opowiedziałam, wszystko, i powiedziałam, że to dobrze. A on roześmiał się i powiedział, że to rzeczywiście dobrze. Potem wstał i poszedł sobie. Wszystkiego pięć minut siedział. Czy pogardzał mną, pogardzał? Niech pan powie, Alosza, czy mną pogardzał? - wyprostowała się, oczy jej zabłyśły.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał Alosza wzburzony - czy pani go sama wezwała, tego człowieka?

- Sama.

- Posłała mu pani list?

- Tak.

- Po to, aby zapytać o to dziecko?

- Nie, nie po to, wcale nie po to. Ale kiedy wszedł, to go od razu o to zapytałam. Odpowiedział, roześmiał się, wstał i poszedł.

- Ten człowiek postąpił z panią uczciwie - odezwał się cichym głosem Alosza.

- Ale czy gardził? Śmiał się!

- Nie, ponieważ sam może wierzy w kompot z ananasów. On też jest teraz bardzo chory, Lise.

- Tak, wierzy! - oczy Lizy rozblęły.

- On nikim nie gardzi - ciągnął dalej Alosza. - On tylko nikomu nie wierzy. Skoro zaś nie wierzy, to oczywiście gardzi.

- A więc i mną? Mną?

- Tak, i panią.

- To dobrze - powiedziała Liza zduszonym głosem. - Kiedy wyszedł i roześmiał się, powiedziałam, że dobrze jest być pogardzaną. I chłopczyk z odciętymi palcami - dobrze, i pogardzaną być - dobrze...

I jakoś złośliwie a gorączkowo roześmiała się Aloszy w oczy.

- Wie pan, wie pan, chciałabym... Alosza, ratuj mnie! - poderwała się nagle z sofy, rzuciła się ku niemu i mocno objęła go rękoma. - Ratuj mnie - jęczała niemal. - Czyż powiem komu na świecie to, co panu powiedziałam? A przecież prawdę, świętą prawdę powiedziałam! Zabiję się, ponieważ wszyscy są wstrętni! Nie chcę żyć, ponieważ wszystko jest mi wstrętne! Wszystko jest mi wstrętne, wszystko! Alosza, dlaczego mnie wcale, ale to wcale nie kochasz? - zawołała w zapamiętaniu.

- Ależ kocham! - zaprzeczył gorąco Alosza.

- A będzie pan po mnie płakał, będzie pan?

- Będę.

- Nie dlatego, że nie chciałam zostać pańską żoną, lecz po prostu będzie pan płakał, po prostu?

- Będę.

- Dziękuję. Chcę tylko, żeby pan po mnie płakał. A wszyscy inni niech mnie zdeptają i zabiją, wszyscy, ale to wszyscy, nie wyłączając nikogo! Bo nikogo nie kocham. Słyszysz pan, ni-ko-go! Przeciwnie, nienawidzę! Niech pan idzie, Alosza, już czas do brata! - odskoczyła od niego raptownie.

- Jak pani tu sama zostanie? - rzekł niemal z lękiem Alosza.

- Niech pan idzie do brata, zamkną więzienie, niech pan idzie, oto pański kapelusz! Niech pan ucałuje Mitę, niech pan idzie, niech pan idzie!

I przemocą prawie popchnęła Aloszę ku wyjściu. Patrzył z bolesnym zdziwieniem, gdy naraz poczuł w prawej dłoni list, mały liścik, dokładnie złożony i zapieczetowany. Spojrzał i przeczytał adres: „Dla Iwana Fiodorowicza Karamazowa.” Szybko popatrzył na Lizę. Twarz jej nagle nachmurzyła się groźnie.

- Niech pan to odda, niech mu pan koniecznie odda! - krzyczała nieprzytomnie, drżąc na całym ciele - dziś, natychmiast. Bo się otruję! Po to pana wezwałam!

I szybko zatrzasnęła drzwi. Rozległ się stuk zasuwki. Alosza wsunął list do kieszeni i wyszedł na schody, zapomniawszy o pani Chochłakow. A Liza, ledwo odszedł, otworzyła zasuwkę, uchyliła nieco drzwi, wsunęła w szparę palec i zamykając drzwi, z całej siły go przytrzasnęła. Po dziesięciu

sekundach wyjęła rękę, spokojnie i powoli podeszła do swego fotela, usiadła, wyprostowała się i uważnie zaczęła oglądać szerniały palec i wyciśniętą spod paznokcia krew. Wargi jej zadrżały; prędko, prędko szeptała sama do siebie:

- Podła, podła, podła, podła!

## IV HYMN I SEKRET

Było już późno (czy długo trwa listopadowy dzień), gdy Alosza zadzwonił do wrót więzienia. Zapadał zmierzch. Lecz Alosza wiedział, że wpuszczą go do Miti bez przeszkód. U nas, w naszym miasteczku, pod tym względem było jak wszędzie. Z początku oczywiście, po zakończeniu wstępnego śledztwa, dostęp do Miti dla krewnych i niektórych osób był utrudniony ze względu na nieuniknione formalności, ale później te formalności nie tyle osłabły, co po prostu rzecz tak się ułożyła sama przez się, że niektóre osoby wpuszczano bez trudności, że nawet niekiedy rozmowy z więźniem w przeznaczonym na to pokoju odbywały się prawie że w cztery oczy. Osób tych zresztą było niewiele: jedynie Gruszeńka, Alosza i Rakitin. Ale do Gruszeńki czuł specjalną sympatię sam sprawnik, Michał Makarowicz. Stary miał wyrzuty sumienia z tego powodu, że krzyczał na nią w Mokrem. Potem, dowiedziawszy się o całej sprawie, zaczął inaczej o niej myśleć. I rzecz dziwna: chociaż był święcie przekonany, że zbrodnię popełnił Miti, odnosił się do niego, od chwili gdy go uwięziono, coraz łagodniej: „Może to dobra dusza, a tak marnie zginie z pijaństwa i nieporządnego życia!” Zamiast dawnej zgrozy odczuwał teraz jakąś litość. Co się zaś tyczy Aloszy, to sprawnik bardzo go lubił i dawno już znał, Rakitin zaś, który zaczął od pewnego czasu bardzo często odwiedzać więźnia, był jednym z najbliższych znajomych „sprawniczanek”, jak to je nazywał, i bywał u nich codziennie. Poza tym uczył dzieci naczelnika więzienia, poczciwego starca, chociaż surowego służbisty. Z tym znowu poczciwcem Alosza był zaprzyjaźniony od dawna. Stary lubił z nim rozmawiać na „mądre tematy”. Natomiast Iwana Fiodorowicza na przykład nie szanował, a nawet lękał się, lękał się szczególnie jego roztrząsań, chociaż sam był zawołanym filozofem, który oczywiście dochodził wszystkiego „własnym rozumem”. Ale dla Aloszy miał żywą sympatię. Tego właśnie roku zaczął studiować apokryfy ewangeliczne i nieustannie dzielił się z Aloszą swymi refleksjami. Dawniej odwiedzał go w monasterze i rozprawiał z nim i z ojcami całymi godzinami. Słowem, Alosza miał dostęp do więzienia bardzo ułatwiony; choćby nawet przyszedł o późnej godzinie, wystarczyło, by poszedł do naczelnika, i sprawa była załatwiona, tym bardziej że wszyscy, nawet dozorczy, przyzwyczajali się do niego. Miti, gdy go wzywano, schodził zawsze ze swojej celi na dół, do pokoju przeznaczonego na widzenia. Strażnik zaś w niczym nie przeszkadzał, byle było zezwolenie władzy zwierzchniej. Wchodząc teraz do pokoju, Alosza natknął się na Rakitina, który właśnie wychodził od Miti. Obaj głośno rozmawiali. Miti, odprowadzając go, śmiał się z czegoś, a Rakitin mruczał coś pod nosem. Rakitin, zwłaszcza ostatnio, bardzo nie lubił spotykać się z Aloszą, nie rozmawiał z nim prawie, nawet ledwo mu się kłaniał. Teraz na jego widok zmarszczył brwi, spojrzął w bok, jakby go całkowicie pochłaniało zapinanie ciepłego palta z futrzanym kołnierzem. Potem zaczął szukać parasola.

- Żebym czego nie zapomniał - mruknął po to tylko, aby coś powiedzieć.

- Byłeś cudzego nie zapomniał! - zażartował Mitia i od razu roześmiał się z własnego żartu.

Rakitin zachnął się ze złością:

- Powiedz to lepiej twoim Karamazowom, tym podłym wstecznikom, a nie Rakitinowi! - zawołał, trzęsąc się ze złości.

- Co ci się stało? Żartowałem tylko! - wykrzyknął Mitia. - Tam do diabła! wszyscy oni tacy - rzekł, zwracając się do Aloszy i wskazując ruchem głowy pośpiesznie wychodzącego Rakitina - siedział, śmiał się, był w świetnym humorze, aż tu nagle wybuchnął! Tobie nawet głową nie skinął; czyście się zupełnie pokłócili? Coś tak późno przyszedł? Nie tyle, że na ciebie czekałem, co po prostu łaknąłem cię od rana. Ale to nic! Powetujemy sobie!

- Cóż on do ciebie zaczął tak często przychodzić? Zaprzyjaźniłeś się z nim czy co? - zapytał Alosza, również wskazując głową w kierunku drzwi, za którymi znikł Rakitin.

- Z Michałem? Nie, nie... A i, po co, to świnia! Uważa, że jestem... podły. Żartu oni też nie rozumieją - to najważniejsze. Nigdy nie rozumieją żartu. I mają oschłe dusze, oschłe i płytkie jak ja, kiedy podjeżdżałem do więzienia i patrzyłem na mury. Ale to człek mądry, mądry. No, Aleksy, teraz przepadłem z kretesem!

Usiadł na ławce i usadowił obok siebie Aloszę.

- Tak, jutro sąd. Cóż, czy nie masz żadnej nadziei, bracie? - zapytał Alosza z nieśmiałą serdecznością.

- O czym mówisz? - Mitia spojrział na niego jakoś dziwnie. - Ach, o sprawie! Tam do diabła! Myśmy dotąd ze sobą rozmawiali o samych bzdurach, wciąż o tej rozprawie sądowej, a o najważniejszych rzeczach tobie nie mówiłem. Tak, jutro sąd, tylko że ja nie o tym myślałem mówiąc, że przepadłem z kretesem. Nie ja przepadłem, lecz to, co we mnie tkwiło. Co tak na mnie patrzysz, z taką krytyką w oczach?

- O czym ty mówisz, Mitia?

- Idea, idea, ot co! Etyka! Cóż to znaczy etyka?

- Etyka? - zdziwił się Alosza.

- Tak, nauka jakaś czy co?

- Tak, jest taka nauka... tylko że... przyznam się, że nie potrafię ci wyjaśnić, co to za nauka.

- Rakitin wie. Rakitin dużo wie, niech go diabli porwą! Nie będzie mnichem. Wybiera się do Petersburga. „Tam, powiada, zostanę krytykiem, ale szlachetnego kierunku.” Cóż, może będzie z niego jaka korzyść i karierę zrobi. O, w robieniu kariery to są mistrze nad mistrzami! Do diaska z

etyką! Zginałem ja, Aleksy, boży człowieku! Ciebie kocham najbardziej ze wszystkich. Serce mi topnieje, gdy na ciebie patrzę. Kto to był Karol Bernard?

- Karol Bernard? - zapytał Alosza ze zdziwieniem.

- Nie, nie Karol, poczekaj, omyliłem się: Claude Bernard, kto to taki? Chemik czy co?

- To zapewne uczony - odpowiedział Alosza - ale, przyznam się, niewiele mógłbym ci o nim powiedzieć. Słyszałem tylko, że uczony, a jaki - nie wiem.

- No, i diabli z nim, i ja nie wiem - zaklął Mitia. - Łotr jakiś zapewne, wszyscy zresztą są łotrami. A Rakitin wśliźnie się, Rakitin przez dziurkę od klucza wśliźnie się, też Bernard. Uch, te Bernardy! Namnożyło się ich!

- Ale co ci jest? - zapytał Alosza.

- On chce o mnie, o mojej sprawie, napisać artykuł i tym artykułem rozpocząć swoją karierę literacką. Po to przychodzi, sam mi to mówił. Chce, żeby to było z jakąś ideą: że niby „nie mógł nie zabić, bo środowisko go urobiło”, i tak dalej, wyjaśniał mi to. „Będzie to miało, powiada, posmak socjalizmu.” A niech go licho, z ideą, to z ideą, ani mnie to grzeje, ani ziębi. Nie lubi Iwana, nienawidzi go, ciebie też nie bardzo. No, a ja go nie wypędzam, bo to człek mądry. Znadto się jednak wynosi. Powiedziałem mu: „Karamazowowie to nie łotry, lecz filozofowie, a ty, chociaż się uczyłeś, nie jesteś filozof, tylko lokaj.” Śmieje się, ale złośliwie. A ja mu: de myslibus non est disputandum, dobry żart, co? Przynajmniej i ja wdepnąłem w klasyczość - roześmiał się naraz Mitia.

- Dlaczego miałbyś przepaść? Coś ty teraz mówił? - przerwał mu Alosza.

- Dlaczego przepadłem! W gruncie rzeczy... jeśli się zastanowić - Boga mi szkoda, ot dlaczego!

- Jak to Boga szkoda?

- Wyobraź sobie tylko: to jest w nerwach, w głowie, są tam w mózgu te nerwy... (niech to diabli wezmą!) są tam takie ogonki, te nerwy mają ogonki, no i jak tylko one zadrżą na przykład, widzisz, spojrzę na coś, ot tak, i te ogonki drgają, a jak drgają, to ukazuje się obraz, ale nie zaraz, a po jakimś ułamku sekundy, ten moment mija i następuje taka chwila, lecz obraz, to znaczy przedmiot albo zdarzenie, no, tam, do diabła! - otóż dlaczego przedtem oglądam, a potem myślę... dlatego że ogonek, a wcale nie dlatego, że mam duszę, ani dlatego że jestem stworzony na czyjś obraz i podobieństwo, wszystko to głupstwa. To wszystko, bracie, Michał mi wczoraj wytłumaczył, jakby mnie zimną wodą oblał. Wspaniała to nauka, Alosza. Nowy człowiek powstanie, tak to rozumiem... A jednak szkoda mi Boga!

- I to dobrze - powiedział Alosza.

- Że Boga szkoda? Chemia, bracie, chemia! Trudna rada, wasza wielebność, trzeba się trochę posunąć, bo chemia idzie. A Rakitin nie lubi Boga, ach, jak nie lubi! To największa bolączka ich wszystkich! Ale ukrywają. Kłamią. Udają. „Cóż, będziesz to propagował w twoim dziale krytyki?” - pytam. „No, tak otwarcie nie pozwolą” - mówi. Śmieje się. „A co w takim razie, pytam się, z



człowiekiem? Tak, bez Boga i bez życia przyszłego? Więc wypadaloby, że teraz wszystko wolno, że wszystko można robić?” „A tyś o tym nie wiedział?” - mówi. Śmieje się. „Mądrym człowiekowi wszystko wolno, mądry człowiek wie, gdzie raki zimują, a ty zabiłeś, wsypałeś się i gnijesz w więzieniu!” Tak do mnie mówi. Istna świnią. Dawniej to takich za drzwi wyrzucałem, a teraz słucham. Dużo przecie też i mądrych rzeczy mówi. I mądrze pisze. Tydzień temu zaczął mi czytać artykuł, nawet trzy zdania z niego przepisałem, poczekaj, to tutaj.

Mitia pospiesznie wyciągnął z kieszeni kamizelki papierek i przeczytał:

- „Żeby rozstrzygnąć to pytanie, trzeba przede wszystkim swoją osobowość przeciwstawić własnej rzeczywistości.” Rozumiesz czy nie?

- Nie, nie rozumiem - powiedział Alosza. Słuchał z zaciekawieniem i przyglądał się Miti.

- Ja także nie rozumiem. Niewyraźnie jakoś, niezrozumiale, ale mądrze. „Wszyscy, mówi, teraz tak piszą, bo to już takie środowisko...” Środowiska się boją. Wiersze też pisuje, gałgan, nóżkę Chochłakowej opiewał, cha, cha, cha!

- Słyszałem - powiedział Alosza.

- Słyszałeś? A wierszyk znasz?

- Nie.

- Mam go, przeczytam ci. Nie wiesz, nie opowiadałem ci, o, to cała historia. Szelma! Trzy tygodnie temu zachciało mu się mnie podrażnić: „Wsypałeś się, mówi, jak głupiec przez te trzy tysiące, a ja sto pięćdziesiąt capnę, z wdową się ożenię i kamienicę w Petersburgu sobie kupię.” I opowiedział mi, że zaleca się do pani Chochłakow, która i za młodych lat mądra nie była, a teraz jako czterdziestolatka zupełnie straciła rozum. „Taka uczuciowa, mówi, ale to bardzo, i tym ją dobiję. Ożenię się z nią, zawiozę do Petersburga, zacznę tam pismo wydawać.” I tak obrzydliwie, lubieżnie się ślini - nie z powodu pani Chochłakow, lecz z powodu tych stu pięćdziesięciu tysięcy. I taki był pewny, taki pewny, wciąż do mnie przychodzi, codziennie: „Mięknij” - powiada. Promieniał z radości. Aż tu nagle wypędzili go: Pierchotin, Piotr Ilicz, wziął górę, zuch! Pocałowałbym tego idiotę za to, że go wyrzucił! Otóż kiedy tak przychodził, to sklecił ten wiersz. „Pierwszy raz, mówił, ręce sobie brudzę, wiersze piszę, aby ją uwieść, ale to dla sprawy. Gdy zagarnę jej pieniądze, będę mógł przynieść społeczeństwu obywatelski pożytek.” U nich przecie każde świństwo ma swoje obywatelskie usprawiedliwienie! „A jednak, mówi, lepiej od twojego Puszkina napisałem, ponieważ w żartobliwy wierszyk umiałem tchnąć obywatelską troskę.” Co do Puszkina - to rozumiem. Cóż, że w rzeczy samej był zdolnym człowiekiem, kiedy tylko nóżki opisywał. A jak się pysznił Rakitka tym swoim wierszem! A jaką to ma ambicję, jaką ambicję! *Na wyzdrowienie chorej nóżki, przedmiotu mojego* - taki tytuł wymyślił - wesoły człowiek!

*Ach, jaka piękna jest ta nóżka.,*

*Spuchnięta, na bieli łóżka.*

*Doktorzy jeżdżą i lecżą,*

*Bandażują i kaleczą.*

*Nie do nóżek ja tęsknię,*

*Niech je Puszkina opiewa,*

*Lecz za główką ja tęsknię,*

*Co już myśli nie miewa.*

*Miewała już troszkę, troszkę,*

*Lecz nóżka przeszkodziła,*

*Niech więc wyzdrowieje nóżka,*

*By się główka oświeciła.*

Świnia, prawdziwa świnia, ale zgrabnie łotrowi wyszło! I rzeczywiście „troskę obywatelską” wkręcił. A jak się rozgniewał, kiedy go wyrzucono. Zgrzytał zębami!

- Zemścił się - powiedział Alosza. - Napisał do gazety o pani Chochłakow.

I Alosza napędce opowiedział o notatce w „Echach”.

- To on, to on - potwierdził Mitia, zasepniony - on! Te notatki... wiem przecie... tyle już podłości napisano, o Gruszy na przykład. I o tamtej również, o Kati... Hm!

Przeszedł się z zatroskaną miną po pokoju.

- Nie mogę tu u ciebie długo zostać - rzekł po krótkiej chwili milczenia Alosza. - Jutro straszny, wielki dzień dla ciebie: sąd boży spełni się... podziwiam cię, chodzisz i zamiast o sprawie mówisz Bóg wie o czym.

- Nie, nie podziwiaj - przerwał mu z zapalem Mitia. - Cóż, czy mam mówić o tym śmierdzącym psie? O zabójcy? Dosyć już o tym gadaliśmy. Nie chcę więcej słyszeć o śmierdzącym synu Smierdiaszczej! Jego Bóg zabije, zobaczysz, dosyć już!

Był bardzo podniecony. Podszedł do Aloszy i niespodziewanie pocałował go. Oczy jego rzucały groźne błyski.

- Rakitin tego nie rozumie - zaczął jakby w jakimś zapamiętaniu - a ty, ty wszystko rozumiesz.

Dlatego tak pragnąłem cię zobaczyć. Widzisz, już dawno chciałem ci tu, w tych oblażonych murach, wiele powiedzieć, ale milczałem o rzeczy najważniejszej: jak gdyby czas jeszcze nie nastąpił. Doczekałem się teraz ostatniego terminu, aby przed tobą otworzyć serce. Bracie, ja w ciągu tych dwóch ostatnich miesięcy odnalazłem w sobie nowego człowieka, zmartwychwstał we mnie nowy człowiek! Był uwięziony we mnie, ale nigdy by się nie objawił, gdyby nie ten piorun. To straszne! I co mi z tego, że będę w kopalniach dwadzieścia lat odbijał młotkiem rudę - nie boję się tego wcale, co innego mnie teraz przeraża: żeby nie odszedł ode mnie zmartwychwstały człowiek! Można znaleźć i tam, w kopalniach, pod ziemią, obok siebie, w takim samym katorżniku, człowiecze serce, i można zbliżyć się z nim, bo i tam można żyć, kochać i cierpieć! Można odrodzić i tchnąć życie w zmartwiałe serce tego człowieka, można latami go pielęgnować i wyrwać wreszcie z podziemi ku światłu bożemu duszę wzniosłą, świadomość cierpiętniczą, wskrzesić anioła, odrodzić bohatera! A takich jest wielu, setki, i wszyscy jesteśmy za nich odpowiedzialni! Dlaczego przyśnił mi się wówczas „dzieciok”, w takiej chwili? „Dlaczego dzieciok jest biedny?” To było prorocze objawienie w owej chwili. Za „dziecioka” pójdę. Ponieważ wszyscy są za wszystkich odpowiedzialni. Za wszystkich „dziecioków”, ponieważ są i małe dzieci, i duże dzieci. Wszyscy - „dziecioki”. Za wszystkich pójdę, ponieważ musi przecież ktoś pójść za wszystkich. Nie zabiłem ojca, ale powinienem iść. Przyjmuję! Wszystko to nawiedziło mnie... ot, w tych oblażonych murach. A przecież tam ich jest wielu, tam są setki podziemnych ludzi z młotkami w ręku. O tak, będziemy zakuci i w niewoli, ale wówczas, w naszym wielkim strapieniu, znowu odrodzimy się ku radości, bez której człowiek nie może żyć, a Bóg istnieć, bo Bóg daje radość, to jego wielki przywilej... Boże, niech omdlewa człowiek w modlitwie! Jak tam będę pod ziemią bez Boga? Rakitin łże: jeżeli Boga wypędzą z ziemi, to my Go tam w podziemiach schronimy. Katorżnik bez Boga żyć by nie mógł, bardziej Go potrzebuje niż człowiek wolny! I wówczas my, ludzie podziemni, zaśpiewamy z głębi ziemi tragiczny hymn do Boga, który żyje radością! Niech będzie pochwalony Bóg i Jego radość! Miłuję Go!

Mitia wypowiadając tę niezwykłą przemowę dusił się nieledwie. Zbladł, wargi mu drżały, z oczu płynęły łzy.

- Nie, życie jest pełne, życie istnieje i pod ziemią! - zaczął znowu. - Nie uwierzysz, Aleksy, jak ja teraz pragnę, jakie łaknienie i jaka świadomość zrodziła się we mnie! Rakitin tego nie rozumie, on by chciał tylko kamienicę zbudować i lokatorów napchać, ale ja na ciebie czekałem. I czymże jest cierpienie? Nie boję się go, chociażby nawet trwało bez końca. Teraz się nie boję, przedtem się bałem. Wiesz, może nie będę odpowiadał w sądzie... I zdaje mi się, że tyle we mnie siły teraz, że wszystko przewycięzę, wszystkie cierpienia, byleby móc sobie powiedzieć, i to każdej chwili: jestem! W tysiącach mąk - jestem, w katuszach - jestem! W ciemnicy siedzę, ale istnieję, widzę słońce, a jeżeli nawet nie widzę, to wiem, że ono jest. A wiedzieć, że jest słońce, to już całe życie. Alosza, mój aniele, zabijają mnie te rozmaite filozofie, do diabła z nimi. Iwan...

- Co Iwan? - przerwał mu Alosza, ale Mitia go nawet nie słyszał.

- Widzisz, dawniej nie miałem tych wszystkich wątpliwości, ale wszystko to się we mnie kryło. Może właśnie dlatego tak hulałem, awanturowałem się i wściekałem. Awanturowałem się, aby to w sobie okiełznać, stłumić. Iwan to nie Rakitin, on piastuje w sobie swoją ideę. Iwan to sfinks i milczy, wciąż milczy. A mnie męczy Bóg. Tylko to mnie męczy. A co, jeżeli Go nie ma? Co, jeżeli Rakitin ma rację, że to wymyślona idea ludzkości? Jeżeli Go nie ma, to w takim razie człowiek jest panem

ziemi, wszechstworzenia. Wspaniale! Tylko jak on będzie cnotliwy bez Boga? To pytanie! Wciąż tylko o tym myślę. Bo kogóż będzie kochał właśnie człowiek? Komu będzie wdzięczny, komu zaśpiewa hymn? Rakitin śmieje się. Rakitin powiada, że można kochać ludzkość i bez Boga. No, tylko ten smarkacz może tak twierdzić, ja nie mogę tego zrozumieć. Łatwo jest żyć Rakitinowi: „Ty lepiej, powiada dzisiaj do mnie, staraj się o rozszerzenie obywatelskich praw człowieka albo choćby o to, aby cena wołowiny nie wzrosła; na tej drodze prościej i lepiej okażesz miłość człowieczeństwa niż filozofowaniem.” Ja mu na to: „A ty, powiadam, bez Boga, sam podbijesz cenę wołowiny, jeśli nadarzy się okazja, i będziesz za każdą kopiejkę rubla zarabiać.” Rozgniewał się. Bo i czym jest moralność? Odpowiedz mi, Aleksy. Ja mam taką moralność, a Chińczyk taką - czyli że to rzecz względna. Może nie? Może nie względna? Zdradliwe pytanie! Nie będziesz się śmiał, jeśli ci powiem, że dwie noce przez to nie spałem? Dziwię się tylko, jak to ludziska tam żyją i wcale o tym nie myślą. Marność! Nie wierzą w Boga! Iwan ma ideę. Nie w moich wymiarach. Iwan milczy. Myślę, że jest masonem. Pytałem go - milczy. Chciałem u jego źródła wody się napić - milczy. Raz tylko powiedział słówko.

- Co powiedział? - podjął skwapliwie Alosza.

- Powiadam mu: „A zatem wszystko jest dozwolone, jeżeli tak?” A on się zasepił: „Fiodor Pawłowicz, powiada, nasz papa, był prosięciem, ale myślał prawidłowo.” Tak mi odpowiedział. To wszystko. To przyzwoiciej niż Rakitin.

- Tak - potwierdził z goryczą Alosza. - Kiedy on u ciebie był?

- O tym później, teraz co innego. O Iwanie nic ci dotychczas nie mówiłem. Odkładałem to na koniec. Kiedy ta historia tu się skończy i zapadnie wyrok, opowiem ci coś, wszystko opowiem. Jest tu jedna straszna sprawa... I ty ją rozstrzygniesz. A teraz nie mów o tym, teraz milcz. Mówiłeś o jutrzejszej sprawie, a czy dasz wiarę, że nic o tym nie wiem?

- Rozmawiałeś z tym adwokatem?

- Co tam adwokat! Wszystko mu opowiedziałem. Miękką szelma, stołeczna, Bernard! Nie wierzy mi ani trochę. Wyobraź sobie, myśli, że zabiłem, widzę to dokładnie. „Po co pan w takim razie, pytam go, przyjechał mnie bronić?” Gwiżdżę sobie na nich. Doktora też sprowadzili, chce ze mnie zrobić wariata. Nie pozwolę! (Katarzyna Iwanowna chce do końca spełnić „swoją obowiązek”. Zmusza się do tego! (Mitia uśmiechnął się gorzko.) Kotka! Okrutne serce! A przecież ona wie, co o niej mówiłem wówczas w Mokrem, że to niewiasta „wielkiego gniewu”! Donieśli jej. Tak, zeznań namnożyło się jak piasku w morzu. Grzegorz upiera się przy swoim; Grzegorz jest uczciwy, ale głupiec. Wiele jest ludzi uczciwych z głupoty. To myśl Rakitina. Grzegorz jest moim wrogiem. Niektórych ludzi lepiej mieć za wrogów niż za przyjaciół. Mówię to o Katarzynie Iwanownie. Boję się, och, boję się, że w sądzie opowie, jak mi się do ziemi kłaniała po tych czterech tysiącach pięćset! Do końca się skwituje. Nie chcę jej ofiary. Zawstydzi mnie w sądzie. Jakoś to zniosę. Idź do niej, Alosza, i poproś, żeby nic o tym nie mówiła w sądzie, się wyśpi. Aleksy, wygłoszę mowę (znowu uśmiechnął się z goryczą). Tylko... tylko że Grusza, Grusza, Boże! Za co ona taką mękę weźmie na siebie? - zawołał naraz ze łzami. - Zabija mnie Grusza, myśl o niej zabija mnie, zabija! Była u mnie onegdaj...

- Opowiadała mi. Była dziś bardzo na ciebie rozzalona.

- Wiem. Do diabła z moim charakterem! Jestem zazdrosny. Gdy wychodziła, okazałem skruchę, całowałem ją. Nie prosiłem o przebaczenie.

- Dlaczego nie prosiłeś o przebaczenie? - zawołał Alosza.

Mitia roześmiał się wesoło.

- Broń cię Boże, miły chłopcze, prosić kiedyś ukochaną kobietę o przebaczenie! Zwłaszcza ukochaną, bez względu na to, jak wielka będzie twoja wina! Dlatego że kobieta - to diabli wiedzą co, na nich to się przynajmniej znam, bracie! Ale spróbuj przyznać się do winy, „zawiniłem, wybacz, przepraszam”, zobaczysz, że zasypie cię gradem wyrzutów! Za nic w świecie nie przebaczą od razu i po prostu, poniżą cię, zrobią z ciebie szmatę, wynajdą to, dodadzą od siebie tamto, i dopiero potem przebaczą! I to najlepsze spośród nich! Ostatnie resztki wyskrobie i na głowę ci wysypie - takie to, powiadam ci sekutnice, wszystkie bez wyjątku, i te anioły, bez których żyć niepodobna, także. Widzisz, mój drogi, powiem ci szczerze i po prostu: każdy przyzwoity człowiek musi być pod pantoflem choćby u jakiejś jednej kobiety. Takie jest moje przekonanie; nie przekonanie, lecz uczucie. Mężczyzna powinien być wspaniałomyślny, i to mężczyzny nie zhańbi. Nawet bohatera to nie zhańbi. Cezara nie zhańbi. Ale o przebaczenie za nic w świecie nie proś, nigdy i za nic w świecie. Pamiętaj tę zasadę: zalecił ci ją twój brat Mitia, zgubiony przez kobiety. Nie, wolę inaczej zasłużyć sobie na przebaczenie Gruszy. Czczę ją, Aleksy, czczę! Ale ona tego nie widzi, wciąż jej za mało miłości. I dręczy mnie miłością, dręczy. Co było dawniej! Dawniej tylko te piekielne jej przegięcia mnie kusily, a teraz całą jej duszę wchłonałem i przez nią stałem się człowiekiem. Czy nam dadzą ślub? Bo bez tego umrę z zazdrości. Tak mi się wciąż śni, codziennie... Co ona ci o mnie mówiła?

Alosza powtórzył wszystko, co mu powiedziała Grusza. Mitia wysłuchał z uwagą, kilka razy o coś zapytał. Był zadowolony.

- Więc nie gniewa się, że jestem zazdrosny? - zawołał. - To kobieta! „Sama mam okrutne serce.” Ach, lubię takie okrutnice, chociaż nie znoszę, gdy urządzają mi sceny zazdrości, nie znoszę! Będziemy się bić. Ale kochać - kochać będę bezgranicznie. Czy dadzą nam ślub? Czy dają ślub katorżnikom? To pytanie. A bez niej żyć nie mogę...

Zasepiony, przeszedł się po pokoju. Tymczasem zapadł mrok. Nagle Mitia zatrwożył się jakoś.

- Więc sekret, mówi, że sekret? Że zmówiliśmy się we troje przeciw niej, i Katia bierze udział w zмовie? Nie, moja kochana, to nie to. Trafiałaś jak kulą w płot, spudłowałaś głupio, po kobiecemu! Alosza, mój drogi, a niech tam! Wyznam ci nasz sekret.

Obejrzał się dokoła, podszedł bliżej do Aloszy i szepnął z tajemniczą miną, choć w istocie nikt nie mógł usłyszeć: stary dozorca drzemał, wartownicy zaś byli zbyt daleko.

- Wyznam ci całą naszą tajemnicę! - szepnął Mitia. - Chciałem ci to później wyznać, bo czyż zdecyduję się na co bez ciebie? Ty dla mnie jesteś wszystkim. Chociaż mówię, że Iwan stoi wyżej od nas, ale ty dla mnie jesteś aniołem. Tylko twoje postanowienie rozstrzygnie. Może to ty jesteś tym

godniejszym człowiekiem, a nie Iwan? Widzisz, to kwestia sumienia, kwestia wrażliwszego sumienia - tajemnica tak ważna, że nie potrafię sam z nią sobie poradzić, i czekałem na twoją decyzję. Teraz trochę za wcześnie rozstrzygać, bo trzeba czekać na wyrok; jak wyrok zapadnie, rozstrzygniesz mój los. Teraz nie rozstrzygaj. Słuchaj i milcz. Wszystkiego ci nie zdradzę. Powiem ci tylko samą ideę, bez szczegółów, a ty nic nie mów. Ani pytania, ani gestu, zgoda? A zresztą, Boże, gdzie podzieję twoje oczy? Boję się, że twoje oczy wydadzą wyrok mimo milczenia. Ach, boję się! Alosza, słuchaj: Iwan proponował mi ucieczkę. Szczegółów ci nie opowiem: wszystko jest obmyślane, wszystko można urządzić. Nic nie mów, nie rozstrzygaj. Do Ameryki, z Gruszą. Przecie bez Gruszy żyć nie mogę! No, a jeżeli jej tam do mnie nie puszcza? Czy dają śluby katorżnikom? Iwan twierdzi, że nie. A bez Gruszy co ja tam pod ziemią będę robił z młotkiem? Łeb sobie rozwalę tym młotkiem! A z drugiej strony sumienie? Przecież uciekłbym od cierpienia! Był drogowskaz - pogardziłem nim; była droga oczyszczenia - odwróciłem się. Iwan powiada, że w Ameryce „przy dobrych skłonnościach” można większą korzyść przynieść niż pod ziemią. No, a hymn podziemny gdzie się odśpiewa? Co tam Ameryka, Ameryka to marność! I myślę, że w Ameryce też pełno łajdactwa. A ja uciekłbym od ukrzyżowania! Dlatego ci to mówię, Aleksy, że ty jeden możesz to zrozumieć, nikt inny, dla innych to głupstwa, brednie, majaczenie, wszystko to, co ci o hymnie mówiłem. Powiedzą, że zwariowałem albo że głupiec. A ja nie zwariowałem i nie jestem głupiec. Iwan też rozumie hymn, ach, jak rozumie, ale nie odpowiada, milczy. Nie wierzy w hymn. Nie mów, nic nie mów, nie mów: widzę przecie, jak patrzysz. Już rozstrzygnąłeś! Nie rozstrzygaj, miej litość nade mną, bez Gruszy żyć nie mogę, poczekaj do wyroku!

Mitia skończył w strasznym zapamiętaniu. Trzymał Aloszę oburącz za ramiona i swoimi pytającymi, zaczerwienionymi oczami wpił się w jego oczy.

- Czy dają śluby katorżnikom? - zapytał po raz trzeci błagalnym głosem.

Alosza słuchał z niezwykłym zdziwieniem; był głęboko wstrząśnięty.

- Powiedz mi jedno - odezwał się. - Czy Iwan bardzo nalega i kto to pierwszy wymyślił?

- On, on to wymyślił, on nalegał. Wcale do mnie nie przychodził i nagle przyszedł, tydzień temu, i od razu od tego zaczął. Strasznie nalega. Nie prosi, lecz każe. Nie wątpi, że go posłucham, chociaż przed nim serce, jak i przed tobą, obnażyłem i mówiłem o hymnie. Mówił mi, jak to urządzi, zebrał wszelkie potrzebne informacje, ale o tym później. Wprost histerycznie tego pragnie. Rzecz najważniejsza to pieniądze: dziesięć tysięcy na ucieczkę, a dwadzieścia na Amerykę; za dziesięć tysięcy, powiada, urządzimy ci wspaniałą ucieczkę.

- I mnie zabronił mówić? - spytał Alosza.

- Nikomu, a zwłaszcza tobie: tobie za nic w świecie! Boi się zapewne, że staniesz przede mną jak sumienie. Nie mów mu, że ci to powiedziałem. Ach, nie mów!

- Masz słusność - zdecydował Alosza. - Nic nie można postanowić przed wyrokiem. Potem sam rozstrzygniesz; wówczas odnajdziesz w sobie nowego człowieka, on już rozstrzygnie.

- Nowego człowieka albo Bernarda, który rozstrzygnie po swojemu! Bo, zdaje się, że i ja sam

jestem przeklętym Bernardem - warknął z goryczą Mitia.

- Ale czy naprawdę nie masz żadnej nadziei na uniewinnienie?

Mitia nerwowo wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Alosza, mój drogi, czas się pożegnać! - rzekł nagle. - Naczelnik wołał już z podwórza, zaraz tu będzie! Już późno - to nieporządek. Uściśnij mnie czym prędzej, pocałuj, przeżegnaj mnie, mój drogi, przeżegnaj na jutrzejszy krzyż...

Uścisnęli się i ucałowali.

- Iwan każe mi uciec - rzekł nagle Mitia - a przecież wierzy, że zabiłem!

Smutny uśmiech pojawił się na jego wargach. - Pytałeś go o to? - rzekł Alosza.

- Nie, nie pytałem. Chciałem zapytać, ale nie mogłem, siły mi zabrakło. I po co? Z oczu jego widzę. No, żegnaj!

Jeszcze raz pocałowali się; Alosza zbierał się już do wyjścia, gdy nagle Mitia znowu go zawołał:

- Stań przede mną, o tak.

I znowu mocno chwycił go za ramiona. Twarz jego nagle pokryła się taką bladością, że nawet w półmroku było to okropnie widoczne. Wargi miał wykrzywione, wzrokiem wpił się w Aloszę.

- Alosza, powiedz mi całą prawdę, jak przed Bogiem: wierzysz, że zabiłem, czy nie wierzysz? Wierzysz czy nie? Całą prawdę, nie kłam! - krzyknął nieprzytomnie.

Alosza poczuł, że się zatacza, jakby pod gwałtownym ciosem, a serce jego przeszył ostry ból.

- Ależ co ty... - wyjąkał, zmieszany.

- Całą prawdę, całą, nie kłam! - powtórzył Mitia.

- Ani przez chwilę nie wierzyłem, że jesteś mordercą! - wyrwał się nagle drżący głos z piersi Aloszy; podniósł prawą rękę do góry, jakby biorąc Boga na świadka swych słów.

Wyraz szczęścia rozświetlił momentalnie twarz Miti.

- Dziękuję ci! - powiedział wolno, jak gdyby wzdychał budząc się z omdlenia. - Teraz mnie wskrzesiłeś... Czy dasz wiarę, dotychczas bałem się ciebie zapytać, pomyśl: ciebie, ciebie! No, idź już, idź! Pokrzepiłeś mnie na jutrzejszy dzień, niech cię Bóg błogosławi! No, idźże, kochaj Iwana! - były to jego ostatnie słowa.

Alosza wyszedł we łzach. Tak wielka podejrzliwość ze strony Miti, takie niedowierzenie nawet

względem niego, Aloszy, wszystko to nagle odkryło przed Aloszą przepastną głębię nieutulonego strapienia i rozpaczy w duszy jego nieszczęsnego brata, jakiej dotychczas nawet nie podejrzewał. Opanowało go nagle głębokie, bezgraniczne współczucie, poczuł na chwilę wielkie zmęczenie. Serce przeszyte bólem okropnie dokuczało. „Kochaj Iwana!” - przypomniał sobie nagle ostatnie słowa Miti. Zresztą szedł właśnie do Iwana. Od rana chciał go widzieć. Myśl o Iwanie trapiła go nie mniej niż myśl o Miti, teraz zaś, po rozmowie z Mitą - bardziej niż kiedykolwiek.

## V NIE TY, NIE TY!

Idąc do Iwana musiał przejść mimo domu, gdzie mieszkała Katarzyna Iwanowna. W oknach świeciło się. Zatrzymał się więc i naraz postanowił wejść. Katarzyny Iwanowny nie widział już od tygodnia. Ale teraz przyszło mu na myśl, że w przeddzień tak doniosłego dnia może być u niej Iwan. Zadzwoił i wszedł na schody, słabo oświetlone chińskim lampionem. I w tej chwili ujrzał, że ktoś schodzi z góry, a gdy się z nim zrównał, zobaczył, że to brat. Iwan więc już wychodził od Katarzyny Iwanowny. - Ach, to tylko ty - rzekł oschle Iwan Fiodorowicz. - No, bywaj! Ty do niej?

- Tak.

- Nie radzę, ona teraz „w nerwach”, a ty ją jeszcze bardziej zdenerwujesz.

- Nie, nie! - zawołał z góry kobiecy głos i drzwi otworzyły się momentalnie. - Aleksy Fiodorowiczu, pan od niego?

- Tak, byłem u niego.

- Czy kazał mi coś powiedzieć? Niech pan wejdzie, Alosza, i pan. Iwanie Fiodorowiczu, niech pan koniecznie zostanie. Słyszysz pan!

W głosie Kati zabrzmiała tak rozkazująca nuta, że Iwan Fiodorowicz po krótkim wahaniu postanowił wrócić na górę wraz z Aloszą.

- Podśluchiwała! - szepnęła z irytacją do siebie, ale Alosza usłyszała.

- Pozwoli pani, że zostanę w palcie - rzekł Iwan Fiodorowicz wchodząc do salonu. - Nawet nie usiądę. Nie zostanę dłużej niż chwilę.

- Niech pan siada, Aleksy Fiodorowiczu - rzekła Katarzyna Iwanowna, sama nie siadając. Niewiele się zmieniła przez ten czas, lecz ciemne jej oczy płonęły złowieszczym blaskiem. Alosza przypomniał sobie później, że Katarzyna Iwanowna wydała mu się wówczas niezwykle piękną. - Więc co kazał mi powiedzieć?

- Tylko to jedno - odparł Alosza, patrząc jej prosto w oczy - żeby pani oszczędziła siebie i nie



mówiła nic w sądzie o tym (trochę się zmieszał)... co było między wami... na samym początku znajomości... w tamtym mieście...

- A, o pokłonie do ziemi za te pieniądze! - podchwyciła śmiejąc się gorzko. - Czy boi się o mnie, czy o siebie, co? Powiedział, żebym oszczędzała - kogo? Jego czy siebie? Niech pan powie, Aleksy Fiodorowiczu.

Alosza spojrzał na nią uważnie, starając się ją zrozumieć.

- I siebie, i jego - rzekł cicho.

- Otóż to właśnie - wycedziła ze złością i zaczerwieniła się nagle.

- Nie zna mnie pan jeszcze, Aleksy Fiodorowiczu - rzekła groźnie - i ja siebie nie znam. Może zechce mnie pan rozdeptać nogą po jutrzejszym badaniu.

- Pani zezna uczciwie - odezwał się Alosza - tylko o to chodzi.

- Kobieta często bywa nieuczciwa - zgrzytnęła. - Jeszcze godzinę temu myślałam, że strasznie jest dotknąć tego potwora... jak gada... a przecież nie, jest wciąż jeszcze dla mnie człowiekiem! I czy to on zabił? Czy to on zabił? - zawołała histerycznie, zwracając się porywczo do Iwana Fiodorowicza.

Alosza natychmiast zrozumiał, że to samo pytanie zadała już Iwanowi Fiodorowiczowi może na chwilę przed jego przyjściem, i to nie po raz pierwszy, lecz setny, i że z tego powodu rozeszli się pokłóceni.

- Byłam u Smierdiakowa... Toś ty, ty mnie przekonał, że on jest ojcobójcą. Ja tylko tobie uwierzyłam! - dodała, zwracając się wciąż do Iwana Fiodorowicza.

Ów uśmiechnął się z przymusem. Alosza drgnął usłyszawszy to „ty”. Nie podejrzewał ich o takie zbliżenie.

- Dosyć tego - odparł stanowczo Iwan. - Idę już. Przyjdę jutro.

I odwróciwszy się, wyszedł z pokoju. Katarzyna Iwanowna naraz jakimś stanowczym gestem chwyciła Aloszę za obie ręce.

- Niech pan idzie za nim! Niech go pan dopędzi! Niech go pan nie zostawia ani chwili samego - zawołała w pośpiechu. - On jest obłąkany. Pan nie wie, że on zwariował? Ma gorączkę, nerwową gorączkę! Doktor mi mówił, niech pan idzie, niech pan biegnie za nim...

Alosza zerwał się i pobiegł za Iwanem Fiodorowiczem, który nie zdążył jeszcze zbytnio się oddalić.

- Czego chcesz? - obrócił się naraz ku Aloszy, widząc, że ten go dogania. - Kazała ci biec za mną, bo zwariowałem. Umiem to na pamięć - dodał, rozdrażniony.

- Ona oczywiście się myli, ale i po części ma słuszość, bo ty jesteś chory - rzekł Alosza. - Widziałem tam twoją twarz; masz chorą twarz, bardzo chorą, Iwanie!

Iwan nie zatrzymał się. Alosza szedł za nim.

- A czy wiesz, Aleksy Fiodorowiczu, jak ludzie wariują? - zapytał Iwan cichym, już zupełnie spokojnym głosem, w którym brzmiała nuta prostodusznego zaciekawienia.

- Nie, nie wiem; przypuszczam, że wiele jest odmian obłądu.

- A czy można obserwować na sobie, jak się wariuje?

- Myślę, że nie można badać siebie w takim stanie - odrzekł ze zdziwieniem Alosza.

Iwan milczał chwilę.

- Jeśli chcesz ze mną o czymś mówić, to proszę cię, zmień temat - odezwał się nagle.

- Żeby tylko nie zapomniał, mam do ciebie list - rzekł nieśmiało Alosza i, wyciągnąwszy z kieszeni list Lizy, podał go Iwanowi. Podeszli akurat do latarni. Iwan od pierwszego wejrzenia poznał charakter pisma.

- O, to od tego diabełka! - roześmiał się złośliwie i nie otwierając, podarł list na kawałki i rzucił na bruk. Kawałki papieru rozleciały się.

- Szesnastu lat jeszcze nie ma, zdaje się, a już się narzuca! - rzekł z pogardą, idąc dalej.

- Jak to narzuca? - zawołał Alosza.

- Wiadomo jak, jak narzucają się rozpustne kobiety.

- Co mówisz, Iwanie, co mówisz? - zawołał z goryczą i z żalem Alosza. - To dziecko, krzywdzisz dziecko! Ona jest chora, bardzo chora, ona też może wariuje... Nie mogłem ci nie oddać tego listu... Przeciwnie, chciałem od ciebie coś usłyszeć... aby ją uratować.

- Nic byś nie usłyszał. Jeżeli to dziecko, to ja nie jestem niańką. Milcz, Aleksy, przestań. Ja o tym nawet nie myślę.

Znowu milczeli.

- Ona teraz całą noc będzie się modlić do Matki Boskiej, aby jej wskazała, jak jutro ma zeznawać - ostro i złośliwie odezwał się znów Iwan.

- Ty mówisz... o Katarzynie Iwanownie?

- Tak. Czy ma się stać wybawicielką, czy złym duchem Mitieńki! Będzie się modlić, aby się jej objawiło. Sama jeszcze, uważasz, nie wie, nie zdążyła się przygotować. Też ma mnie za niańkę, chce,

abym ją ukołysał.

- Katarzyna Iwanowna kocha cię - rzekł Alosza ze smutną serdecznością.

- Może. Tylko że ja nie jestem amatorem takich kobiet.

- Ona cierpi. I po co jej mówisz... czasem... takie słowa, że ona zaczyna ufać? - dodał Alosza z nieśmiałym wyrzutem. - Przecież wiem, że dawałeś jej nadzieję, wybacz, że ja tak mówię.

- Nie mogę postąpić, jak powinienem, zerwać i w oczy jej wszystko powiedzieć! - odrzekł z irytacją Iwan. - Trzeba poczekać, aż zapadnie wyrok na zabójcę. Jeżeli zerwę z nią, ona, chcąc się zemścić na mnie, jutro zgubi tego łajdaka w sądzie, bo go nienawidzi, i wie, że nienawidzi. To wszystko jest kłamstwem, kłamstwo na kłamstwie! Teraz zaś, póki z nią nie zerwałem, wciąż jeszcze ma nadzieję i nie zechce zgubić tego potwora, wiedząc, że ja go chcę uratować. Kiedyż wreszcie zapadnie ten przeklęty wyrok!

Słowa „zabójca” i „potwór” boleśnie odezwały się w sercu Aloszy.

- Ale czymże ona może zgubić Mitię? - zapytał zastanawiając się nad słowami Iwana. - Cóż może takiego powiedzieć, co mogłoby zgubić Mitię?

- Ty o tym nie wiesz. Ma w ręku dokument, własnoręcznie pisany przez Mitię, dowodzący z matematyczną dokładnością, że to on zabił Fiodora Pawłowicza.

- To niemożliwe! - zawołał Alosza.

- Jak to nie? Sam czytałem.

- Takiego dokumentu nie ma! - powtórzył z zapałem Alosza. - To niemożliwe, bo on nie jest zabójcą. To nie on zabił ojca, nie on!

Iwan Fiodorowicz nagle przystanął.

- Któż zatem jest zabójcą według ciebie? - zapytał oziębło i nawet jakoś wyniośle.

- Sam wiesz kto - cicho i przejmująco odrzekł Alosza.

- Kto? To ta bajka o obłąkanym idiocie, epileptyku? O Smierdiakowie?

Alosza poczuł nagle, że drży jak w gorączce.

- Ty sam wiesz kto - wyrzekł bezsilnie. Brakło mu tchu.

- Ale kto, kto? - z wściekłością prawie zawołał Iwan. Stracił całą swą powściągliwość.

- Wiem tylko jedno - mówił szeptem Alosza - nie ty zabiłeś ojca.

- „Nie ty.” Co to znaczy „nie ty”? - zdumiał się Iwan.

- Nie ty zabiłeś ojca, nie ty! - powtórzył z mocą Alosza. Chwilę trwało milczenie.

- Ależ sam wiem, że nie ja, co ty bredzisz? - uśmiechnął się Iwan blado i z grymasem.

- Nie, Iwanie, sam sobie kilka razy mówiłeś, że jesteś zabójcą.

- Kiedy mówiłem? Byłem w Moskwie... Kiedy mówiłem? - bąkał Iwan, do reszty zmieszany.

- Mówiłeś to sobie wiele razy, gdy byłeś sam przez te okropne dwa miesiące - wciąż cicho i wyraźnie mówił Alosza. Ale teraz mówił jakby nie od siebie, nie z własnej woli, lecz jakby ulegając jakiemuś neodpartemu rozkazowi. - Oskarżałeś siebie i przyznawałeś się, że zabójcą jesteś tylko ty. Ale nie ty zabiłeś, mylisz się, nie ty jesteś zabójcą, czy słyszysz mnie, nie ty, Bóg mnie posłał, aby ci to powiedzieć.

Obaj milczeli. Długą chwilę trwało to milczenie. Obaj stali i patrzyli sobie w oczy. Obaj byli bladzi. Naraz Iwan zatrząsał się i mocno chwycił Aloszę za ramię.

- Ty byłeś u mnie! - rzekł szeptem z zaciśniętymi zębami. - Ty byłeś u mnie w nocy, kiedy on przyszedł... Przyznaj się... tyś go widział, widziałaś?

- O kim mówisz... o Miti? - zapytał ze zdziwieniem Alosza.

- Nie o nim, do diabła z potworem! - krzyknął wściekle Iwan. - Skąd wiesz, że on do mnie przychodzi? Jak się dowiedziałeś, mów!

- Kto on? Nie wiem, o kim mówisz - wyszeptał Alosza, przestraszony.

- Nie, ty wiesz... inaczej jak byś... to niemożliwe, żebyś nie wiedział...

Ale naraz jakby się pohamował. Stał i coś jak gdyby obmyślał. Dziwny uśmiech wykrzywił jego wargi.

- Bracie - zaczął drżącym głosem Alosza - powiedziałem ci to dlatego, że mi uwierzysz, wiem to. Na całe życie powiedziałem ci to słowo: nie ty! Słyszysz, na całe życie. I Bóg kazał mi to powiedzieć, choćbyś mnie miał od tej chwili na zawsze znienawidzić...

Ale Iwan Fiodorowicz zapewne zdążył się już opanować.

- Aleksy Fiodorowiczu - odrzekł z chłodnym uśmieszkiem - nie cierpię proroków i epileptyków; a zwłaszcza posłów od Boga, wie pan o tym dobrze. Od tej chwili zrywam z panem, i zdaje się, na zawsze. Pańska droga prowadzi zresztą nie tędy. Szczególnie niech się pan nie waży przyjść do mnie dzisiaj! Słyszysz pan?

Odwrócił się i stanowczym krokiem poszedł przed siebie.

- Bracie - krzyknął za nim Alosza - jeżeli się dzisiaj coś z tobą stanie, to pomyśl przede wszystkim o mnie!

Ale Iwan nie odpowiedział. Alosza stał na rogu pod latarnią, póki Iwan nie skrył się w mroku. Wówczas odwrócił się i powoli wszedł w uliczkę. Nie mieszkał razem z Iwanem. Żaden z braci nie chciał zamieszkać w tym pustym domu Fiodora Pawłowicza. Alosza wynajmował pokój umeblowany przy mieszczańskiej rodzinie, zaś Iwan Fiodorowicz mieszkał dosyć daleko i zajmował przestronne i dosyć komfortowe mieszkanie w oficynie wcale ładnego domu, należącego do pewnej zamożnej wdowy po urzędniku. Usługiwała mu tylko bardzo sędziwa, zupełnie głucha, zreumatyzowana staruszka, która kładła się o szóstej wieczór i wstawała o szóstej rano. Iwan Fiodorowicz przez te dwa miesiące stał się dziwnie niewymagający i bardzo polubił samotność. Nawet sam sprzątał swój pokój, do innych zaś pokoiów swego mieszkania rzadko zaglądał. Doszedł więc do bramy i ujął już za dzwonek, lecz nagle się powstrzymał. Poczul, że trzęsie się jeszcze ze złości. Naraz opuścił rękę, splunął, odwrócił się i prędko podążył na przeciwległy kraniec miasta, o dwie wiorsty od swego mieszkania. Zmierzał do zapadniętego drewnianego domku, w którym mieszkała Maria Kondratiewna, dawna sąsiadka Fiodora Pawłowicza, ta, której Smierdiakow swego czasu śpiewał kuplety i grywał na gitarze. Dawny swój domek sprzedała i zamieszkała z matką w zwyczajnej chacie, chory zaś, prawie umierający Smierdiakow tuż po śmierci Fiodora Pawłowicza przeniósł się do sąsiadek. Do niego szedł teraz Iwan Fiodorowicz pod wpływem pewnej nieoczekiwanej i nieodpartej myśli.

## VI

### PIERWSZE ODWIEDZINY U SMIERDIAKOWA

Już po raz trzeci szedł Iwan Fiodorowicz do Smierdiakowa po powrocie z Moskwy. Pierwszy raz po katastrofie widział go i rozmawiał z nim zaraz po przyjeździe, tego samego dnia, następnie odwiedził go jeszcze raz, w dwa tygodnie później. Ale potem przestał do niego chodzić i od miesiąca już nie widział go i prawie nic o nim nie słyszał. Wrócił zaś wówczas z Moskwy w pięć dni po śmierci ojca, wskutek czego nie był na pogrzebie, który odbył się akurat w przeddzień jego przyjazdu. A spóźnił się tak bardzo, ponieważ Alosza, nie znając dokładnie jego moskiewskiego adresu, zwrócił się do Katarzyny Iwanowny, ta zaś zawiadomiła siostrę swą i ciotkę, spodziewając się, że Iwan Fiodorowicz zaraz po przyjeździe do Moskwy odwiedzi obie panie. Lecz w istocie Iwan Fiodorowicz odwiedził je dopiero w cztery dni po przyjeździe; przeczytawszy depeszę, natychmiast wyruszył w drogę. Pierwszą osobą, którą spotkał w naszym mieście, był Alosza. Iwan zdumiał się bardzo, że Alosza nawet nie chce podejrzewać Miti, a wręcz oskarża Smierdiakowa, wbrew opinii całego miasteczka. Rozmawiał następnie ze sprawnikiem, prokuratorem, zapoznał się ze szczegółami aktu oskarżenia, z coraz większym zdziwieniem myślał o opinii Aloszy i kładł ją na karb uczucia rodzinnego. Sądził, że Alosza z litości wierzy w niewinność brata, którego bardzo kocha. Przy sposobności w dwóch słowach raz na zawsze określmy stosunek uczuciowy Iwana do Dymitra Fiodorowicza: zdecydowanie go nie lubił i w najlepszym razie miał dlań chwilami uczucie litości, ale i ono było zmieszane z pogardą, dochodzącą do wstrętu. Mitią nawet zewnętrznie był mu wyjątkowo niesympatyczny. Toteż oburzała go miłość Katarzyny Iwanowny do Dymitra. Widział się

jednak z nim od razu po przyjeździe i wyszedł jeszcze bardziej przeświadczony o jego winie. Został go bowiem w stanie niepokoju, w wyjątkowo chorobliwym podnieceniu. Mitya był bardzo wymowny, ale roztargniony, przeskakiwał z tematu na temat, mówił bardzo gwałtownie, oskarżał Smierdiakowa i strasznie się płątał. Najwięcej mówił o tych trzech tysiącach, które mu „ukradł” nieboszczyk. „Pieniądze są moje i były moje - twierdził Mitya - gdybym je nawet ukradł, to i tak miałbym prawo.” Nie przeczył poszlakom, które przemawiały przeciw niemu, i gdy nawet interpretował fakty na swoją korzyść, to także bardzo mętnie i niedorzecznie. Miało się wrażenie, jakby się wcale nie zamierzał usprawiedliwiać i bronić, owszem, gniewał się, gorączkował i wymyślał. Z pogardliwym śmiechem wysłuchał relacji o zeznaniu Grzegorza, dotyczącym otwartych drzwi. Zapewniał, że to „diabeł otworzył”. Ale żadnych konkretnych i logicznych wyjaśnień nie mógł udzielić. Zdążył nawet obrazić Iwana Fiodorowicza, powiedział mu ostro, że nie mają prawa podejrzewać i oskarżać ci, którzy sami twierdzą, że „wszystko jest dozwolone”. W ogóle tym razem obszedł się z bratem bardzo niemiło. Zaraz po tym spotkaniu z Mitią Iwan Fiodorowicz udał się do Smierdiakowa.

Już w wagonie, jadąc z Moskwy, myślał wciąż o Smierdiakowie i o ostatniej swojej z nim rozmowie przed wyjazdem. Wiele rzeczy konfundowało go, niejedna - wydała mu się podejrzana. Ale, zeznając przed sędzią śledczym, Iwan Fiodorowicz chwilowo nie wspominał o tej rozmowie. Wszystko odłożył do spotkania ze Smierdiakowem. Ów leżał w szpitalu miejskim. Doktor Herzenstube i doktor Warwiński na uporczywe pytania Iwana Fiodorowicza odpowiedzieli stanowczo, że padaczka Smierdiakowa jest autentyczna, i nawet zdziwili się, gdy zapytał: „Czy Smierdiakow nie symulował w dniu katastrofy?” Dali mu do zrozumienia, że atak był niezwykle silny, powtarzał się i trwał kilka dni, że życie pacjenta było poważnie zagrożone i że dopiero teraz, po zastosowaniu radykalnych środków, można już z całą pewnością orzec, że chory wylize się jakoś, chociaż bardzo być może (dodał doktor Herzenstube), że rozum jego nie wróci do równowagi, „jeśli nie na całe życie, to przynajmniej na długi okres czasu”. Na niecierpliwe zapytanie Iwana Fiodorowicza: „Zatem jest teraz obłąkany?” - odpowiedzieli, że „w pełnym znaczeniu tego słowa - nie, ale ujawniają się pewne nienormalności”. Iwan Fiodorowicz postanowił sam się przekonać, jakie mianowicie są te nienormalności. W szpitalu dopuszczono go od razu do chorego. Smierdiakow znajdował się w oddzielnej izbie i leżał na pryczy. Obok niego, na drugiej, leżał chory na wodną puchlinę mieszczanin, który dogorywał; ten nie mógł im przeszkadzać. Smierdiakow na widok Iwana Fiodorowicza uśmiechnął się nieufnie i w pierwszej chwili jak gdyby nawet struchlał. Tak przynajmniej wydało się Iwanowi Fiodorowiczowi. Ale trwało to tylko chwilę, zaraz bowiem opanował się i nawet zdumiał gościa swoim spokojem. Z pierwszego wejrzenia nietrudno było stwierdzić, że pacjent jest bardzo chory. Wycieńczony, bardzo chudy i pożółkły, mówił powoli, jakby z trudem poruszając językiem. Skarżył się na ból głowy i na łamanie w kościach. Jego sucha, trzebieńcza twarz zmniejszała się, skurczyła, włoski na skroniach były skręcone i do góry sterczało zamiast loku tylko cieniutkie pasemko. Jedynie przymrużone i jakby porozumiewawczo mrugające lewe oczko przypominało dawnego Smierdiakowa. „Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie” - pomyślał Iwan Fiodorowicz. Usiadł przy łóżku na taborecie. Smierdiakow z wielkim wysiłkiem poruszył się na pościeli, ale nic nie rzekł, milczał i nawet spoglądał bez wielkiego zaciekawienia.

- Czy możesz ze mną mówić? - zapytał Iwan Fiodorowicz. - Nie zmęcę cię.

- Mogę, proszę pana - wybąkał Smierdiakow słabym głosem. - Dawno raczył pan przyjechać? -

dodał łaskawie, jakby zachęcając onieśmielonego gościa.

- Dopiero dzisiaj... wypić to piwo, coście tu nawarzyli.

Smierdiakow westchnął.

- Czego wzdychasz, przecie wiedziałeś? - warknął Iwan Fiodorowicz.

Smierdiakow zmilczał statecznie.

- Jak tu nie wiedzieć. Z góry było wiadomo. Ale skąd można było wiedzieć, że to tak pójdzie?

- Co pójdzie? Nie kręć! Przecie przepowiadałeś, że dostaniesz ataku, jak tylko zejdziesz do piwnicy? Z góry mówiłeś o piwnicy.

- Pan mówił o tym sędziemu? - nie odpowiadając wprost, zapytał Smierdiakow z chłodną ciekawością.

Iwan Fiodorowicz nagle się rozgniewał.

- Nie, jeszcze nic nie mówiłem, ale powiem na pewno. Ty mi, bracie, musisz wiele rzeczy wyjaśnić i wiedz, kochasiu, że nie pozwolę ci się bawić ze mną!

- A po co miałbym się bawić, kiedy w panu jest cała moja nadzieja, faktycznie, jak w Bogu! - odrzekł Smierdiakow, z tym samym spokojem, tylko na chwilę zamknął oczy.

- Po pierwsze - zaczął Iwan Fiodorowicz - wiem, że ataków padaczki nie można przewidzieć. Informowałem się, nie kręć, bratku. Dnia i godziny nie można przewidzieć. Jakżeś mi wtedy oznajmił o dniu i godzinie, i w dodatku o piwnicy? Skąd mogłeś z góry wiedzieć, że wpadniesz właśnie do tej piwnicy, jeżeli nie symulowałeś padaczki?

- Do piwnicy i bez tego trzeba było schodzić, nawet kilka razy dziennie - rzekł powoli Smierdiakow. - Akuratnie rok temu zleciałem ze strychu. Pewno, nie można przewidzieć z góry padaczki, ani dnia, ani godziny, to się wie, ale przeczucie mieć można.

- A tyś przepowiedział dzień i godzinę!

- Co się tyczy mojej choroby, to niech pan łaskawie dowie się od tutejszych doctorów: czy prawdziwa była padaczka, czy nieprawdziwa, i nie ma co o tym mówić.

- A piwnica? Jak przeczuleś piwnicę?

- Co się pan uczepił tej piwnicy! Jakem wtedy zląził do piwnicy, to od razu byłem w wielkim strachu: dlatego w strachu, bo bez pana to i nijakiej obrony na całym świecie już nie mogłem się spodziewać. Zlążę ja akurat do tej piwnicy i myślę sobie: „Ot zara przyjdzie, zara faktycznie uderzy, rymnę czy nie?” I z tego jednego wątpienia chwycił mnie w gardle taki jakiś okrutny spazm... ano i zleciałem. Wszystko to i całą naszą rozmowę z łaskawym panem, co tośmy w przeddzień na

odwieczerz przy furtce mieli, jakem ze strachu przed panem się spowiadał, i o tej piwnicy - wszystko to faktycznie opowiedziałem panu dochtorowi Herzenstube i sędziemu Mikołajowi Parfienowiczowi i oni to w protokole zapisali. A tutejszy dochtór, pan Warwiński, tak im wszystkim tłumaczył, że to wszystko z myśli przyszło, z tej podejrzliwości samej, „że to niby spadnę czy nie spadnę?” A ona tymczasem mnie od razu chyła. Tak zapisali, że tak musiało być, z tego strachu.

Rzekłszy to, Smierdiakow, jakby bardzo zmęczony, zaczerpnął tchu.

- Więc złożyłeś już takie zeznanie? - zapytał Iwan Fiodorowicz, zbity z tropu. Chciał mu bowiem napędzić strachu pogroźką, że poda do wiadomości ich ówczesną rozmowę - tymczasem okazało się, że Smierdiakow już sam ją rozgłosił.

- Czego się bać? Niech całą prawdę zapiszą - odrzekł stanowczo Smierdiakow.

- I całą naszą rozmowę przy furtce opowiedziałeś?

- Nie, nie żeby całą.

- Że umiesz udawać atak padaczki, jakieś się wówczas chwalił?

- Nie, tego nie mówiłem.

- Powiedz mi teraz, po coś mnie wtedy posyłał do Czermaszni?

- Bałem się, że pan pojedzie do Moskwy, a Czermasznia to przecież bliżej.

- Łiesz, ty sam mnie namawiałeś do wyjazdu. „Niech pan jedzie, mówiłeś, dalej od grzechu!”

- To ja wtedy faktycznie z przyjaźni i że oddany jestem panu serdecznie. Kiedy przeczułem w domu nieszczęście, zrobiło mi się pana żal, pewno. Tylko że bardziej jeszcze siebie mi się żal zrobiło niż pana. Dlatego mówiłem faktycznie: „Niech pan jedzie dalej od grzechu”, żeby pan zmiarkował, że w domu będzie źle, i został ojca bronić.

- Powiedziałbyś to wyraźniej, idioto! - wybuchnął Iwan Fiodorowicz.

- Jakże mogłem mówić wyraźniej? Ze strachu mówiłem, a pan mógł się przecież na mnie rozgniewać. Ma się rozumieć, mogłem się bać, żeby Dymitr Fiodorowicz nie zrobił jakiego skandalu i żeby pieniędzy nie zabrał, bo je za swoje uważał, a czy kto mógł wiedzieć, że to się skończy takim zabójstwem? Myślałem, że on tylko chapnie te trzy tysiące, które u starszego pana pod materacem leżały w kopercie, a on przyszedł i zakatrupił. Gdzie tam mogłem się domyślić, łaskawy panie?

- Ale jeśli sam powiadasz, że nie można było się domyślić, to jak ja miałem się domyślić i zostać? Co ty kręcisz? - rzekł Iwan Fiodorowicz.

- A przez to mógł się pan domyślić, że ja pana do Czermaszni wysłałem zamiast do tej Moskwy.



- I jakże tu się domyślić?

Smierdiakow wydawał się bardzo zmęczony i znowu umilkł na chwilę.

- A przez to mógł się pan faktycznie domyślić, że jeżeli ja pana do Czermaszni zamiast do Moskwy wysyłam, to znaczy, potrzebna pańska bliższa tu obecność, bo do Moskwy przecie daleko, a Dymitr Fiodorowicz, gdyby wiedział, że pan tu gdzie blisko, nie miałby tyle śmiałości. Ano i mnie mógłby pan w razie czego przyjechawszy obronić, bo ja sam panu mówiłem o chorobie Grzegorza Wasilicza i że padaczki się boją. I mówiąc panu o tych stukaniach, co to z nieboszczykiem były umówione, i że Dymitr Fiodorowicz zna je ode mnie, miarkowałem sobie, że pan wnet się domyśli, że on tu coś knuje, i dlatego nie tylko do Czermaszni, ale wcale pan nigdzie nie wyjedzie.

„Mówi bardzo logicznie - pomyślał Iwan Fiodorowicz - chociaż nieskładnie; cóż to Herzenstube mówił o jakichś nienormalnościach?”

- Oszukujesz mnie, niech cię diabli porwą! - krzyknął ze złością.

- A ja, przyznam się, pomyślałem sobie wtedy, że pan faktycznie się domyślił - odrzekł Smierdiakow z dobroduszną miną.

- Gdybym się domyślił, tobym został! - znowu wybuchnął Iwan Fiodorowicz.

- Ano ja myślałem, że pan, wszystkiego się domyśliwszy, od razu dlatego prędko wyjechał, byle dalej od grzechu, byleby gdzie uciec ze strachu.

- Myślałeś, że wszyscy są tacy tchórzliwi jak ty?

- Niech pan daruje, ale myślałem, że pan taki jak ja.

- Naturalnie, trzeba się było domyślić - denerwował się Iwan - zresztą domyślałem się jakiejś podłości z twojej strony... Tylko że ty łzesz, znowu łzesz - zawołał nagle coś sobie przypominając. - Pamiętasz, jakieś podbiegł do pojazdu i powiedział: „Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie!” To znaczy cieszyłeś się, że jadę, skoro pochwaliłeś.

Smierdiakow westchnął parę razy z rzędu. Rumieniec ledwo wystąpił na jego twarzy.

- Jeślim się cieszył - rzekł zdyszczonym głosem - to tylko przez to, że zgodził się pan jechać do Czermaszni zamiast do Moskwy. Bo przecie zawsze to bliżej: a te słowa to powiedziałem nie żeby dla pochwały, tylko dla nagany. Pan tego nie zmiarkował.

- Jaka nagana?

- Ano niby to, że pan wiedząc, co się święci, zostawia rodzzonego ojca na boską Opatrzność i mnie bronić nie chce. bo przecie i mnie mogli posądzać, że ja te trzy tysiące świsnąłem.

- Bodaj cię diabli! - znowu zaklął Iwan. - Poczekaj: o znakach, o tych stukaniach, mówiłeś sędziemu i prokuratorowi?

- Wszystko, jak jest, mówiłem.

Iwan ponownie się zdziwił.

- Jeśli mogłem o czym pomyśleć, to tylko o podłości z twojej strony. Dymitr mógł zabić, ale żeby ukradł - wtedy nie wierzyłem.. A z twojej strony spodziewałem się wszelkiej nikczemności. Sam przecie mówiłeś, że umiesz udawać padaczkę, po coś to mówił?

- Z naiwności swojej wielkiej. I nigdy w życiu nie udawałem padaczki naumyślnie, a powiedziałem to, żeby się tylko przed panem pochwalić. Polubiłem pana bardzo i byłem z panem szczery.

- Brat wskazuje na ciebie jako na mordercę i złodzieja.

- A co mu innego zostało? - uśmiechnął się Smierdiakow z goryczą. - I któż mu uwierzy po tych wszystkich poszlakach? Grzegorz Wasiliewicz widział na własne oczy otwarte drzwi, to niby jak? Niech go tam, Bóg z nim. Siebie ratuje...

Umilkł i nagle po krótkiej pauzie dodał:

- No bo i cóż, znowu to samo: on chce na mnie zwalić, że to niby ja zabiłem - słyszałem już o tym, pewno - ano już to samo wziąć na rozum, że ja umiem udawać padaczkę: to czybym to mówił panu, że umiem udawać, gdybym miał zamiar zabić pańskiego ojca? Gdybym taką zbrodnię zamyślił, to czy można być faktycznie takim idiotą, żeby z góry przeciw sobie wskazać takie coś, i to jeszcze przed rodzonym synem! Czy to możliwe? Żeby takie coś mogło faktycznie się zdarzyć, to, za przeproszeniem, całkiem niemożliwe. Ot, teraz to nikt naszej rozmowy nie słyszy prócz samej Opatrzności, więc gdyby pan opowiedział prokuratorowi i Mikołajowi Parfienowiczowi, to byłby pan mnie tylko obronił: bo i cóż to za zbrodzień, jeżeli z góry taki szczery i prostoduszny? To wszystko nietrudno pomiarkować.

- Słuchaj - Iwan Fiodorowicz przerwał nagle rozmowę i wstał, przekonany ostatnim dowodem Smierdiakowa - wcale cię nie posądzam i nawet uważam, że to śmiesznie posądzać... przeciwnie, jestem ci wdzięczny, żeś mnie uspokoił. Teraz idę, ale jeszcze do ciebie przyjdę. Tymczasem bądź zdrow! Nie potrzebujesz czego?

- Dziękuję panu. Marfa Ignatiewna nie zapomina o mnie i wszystkiego dostarcza, co trzeba, po dawnej swojej dobroci. Co dzień odwiedzają mnie dobrzy ludzie.

- Do zobaczenia. Zresztą o tym, że umiesz udawać, nikomu nie powiem.. no i tobie nie radzę mówić - rzekł nagle Iwan.

- Bardzo to rozumiem. A jeżeli pan nie powie, to i ja też nie powtórzę całej naszej onegdajszej rozmowy przy furtce.

Iwan Fiodorowicz wyszedł i dopiero w korytarzu uprzytomnił sobie, że ostatnie zdanie Smierdiakowa zawiera jakiś obraźliwy sens. Chciał wrócić, ale po chwili zaniechał. „Bzdury!” - rzekł do siebie i szybko wyszedł ze szpitala. Rzecz najważniejsza, czuł się istotnie uspokojony i to

właśnie uspokoiony tym, iż zabójcą jest nie Smierdiakow, lecz jego własny brat Miti. Zdawałoby się, że powinno było być przeciwnie. A dlaczego było tak właśnie - tego nie chciał wtedy analizować, nawet poczuł obrzydzenie na myśl o babraniu się w swoich wrażeniach. Chciał jakby o czymś jak najprędzej zapomnieć. Następnie w kilka dni później, zbadawszy dokładniej sprawę i poszlaki, uwierzył już całkowicie w winę brata. Niektóre poszlaki były wprost wstrząsające, jak na przykład zeznania Fieni i jej matki, nie mówiąc już o Pierchotinie, o restauracji, o sklepie Płotnikowów, a najważniejsze - zeznania świadków z Mokrego. Zwłaszcza obciążające były szczegóły. Tajne sygnały „stukania” zdumiały sędziego i prokuratora prawie tak samo jak twierdzenie Grzegorza Wasiliewicza o otwartych drzwiach. Żona Grzegorza, Marfa Ignatiwna, na pytanie Iwana Fiodorowicza odpowiedziała wprost, że Smierdiakow całą noc leżał za przepierzeniem w odległości „niecałych trzech kroków od ich łóżka”; chociaż spała mocno, ale wielokrotnie się budziła słysząc, jak on jęczy: „wciąż stękał, całą noc stękał”. Mówił też Iwan z doktorem Herzenstube. Powiedział mu, że wedle jego zdania Smierdiakow wcale nie jest nienormalny, tylko prawdopodobnie bardzo osłabiony. Doktor odpowiedział z lekkim uśmiechem: „A czy pan wie, czym on się teraz zajmuje? - zapytał Iwana Fiodorowicza. - Wkuwa francuskie słówka; pod poduszką ma kajecik, w którym zapisane są przez kogoś francuskie słowa rosyjskimi literami, he, he, he!” Iwan Fiodorowicz pozbył się wreszcie wszelkich wątpliwości. O Dymitrze nie mógł już nawet pomyśleć bez obrzydzenia. Jedno było dziwne: Alosza uporczywie twierdzi, że zabił nie Dymitr, lecz „według wszelkiego prawdopodobieństwa” Smierdiakow. Iwan zawsze czuł, że bardzo ceni zdanie Aloszy, nie mógł więc teraz przejść nad tym do porządku. Dziwne było i to, że Alosza nie starał się mówić z Iwanem o Miti, nigdy sam o nim pierwszy nie wspominał i tylko odpowiadał na pytania brata. I ta okoliczność bardzo zastanowiła Iwana Fiodorowicza. Zresztą myślał wówczas o zupełnie innych rzeczach. W pierwszych dniach po powrocie z Moskwy całkowicie i bez reszty oddał się płomiennej i szalonej swej namiętności do Katarzyny Iwanowny. Nie miejsce tu rozwodzić się nad tym nowym wybuchem namiętności Iwana Fiodorowicza, który wpłynął na jego późniejsze życie: mogłoby to być kanwą do innej powieści, którą może kiedyś napiszę, a może i nie. Ale bądź co bądź muszę stwierdzić, że wyrażając się w rozmowie z Aloszą po wyjściu od Katarzyny Iwanowny, iż nie jest amatorem takich kobiet, skłamał straszliwie. Bo kochał ją do szaleństwa, chociaż co prawda nienawidził jej w owej chwili tak bardzo, że gotów był nawet ją zabić. Skłębilo się w tym uczuciu wiele, wiele wątków. Katarzyna Iwanowna, wstrząśnięta wypadkiem z Mitią, rzuciła się na Iwana Fiodorowicza, natychmiast po jego powrocie, jak na swego wybawcę. Była znieważona, poniżona w swoich uczuciach. I oto znowu wrócił człowiek, który ją przedtem tak kochał - o, zdawała sobie z tego doskonale sprawę - którego umysł i serce tak wysoko ceniła. Ale harda i surowa, nie uległa mu całkowicie, mimo całej karamazowowskiej niepowściągliwości jego pragnień i mimo że tak bardzo na nią działał. Jednocześnie zdręczała się skruchą, że zdradza Mitię, i nie ukrywała tej skruchy przed Iwanem, mówiła mu o tym w burzliwych chwilach ich kłótni (te zaś zdarzały się często). To właśnie miał Iwan na myśli, gdy mówił Aloszy o „kłamstwie siedzącym na kłamstwie.” Istotnie było tu wiele kłamstwa i to bodaj najbardziej drażniło Iwana Fiodorowicza, ale o tym później. Słowem, na jakiś czas Iwan zapomniał o Smierdiakowie. A jednak w dwa tygodnie po pierwszej z nim rozmowie zaczęły go nagle trapić te same myśli co i poprzednio. Dość powiedzieć, że nieustannie jątrzył swój umysł pytaniem: po cóż wówczas, w domu Fiodora Pawłowicza, przed wyjazdem, po cichu jak złodziej schodził po schodach i nasłuchiwał, co na dole robi ojciec? Dlaczego przypomniał to sobie później z odrazą, dlaczego nazajutrz rano, w drodze, tak naraz sposepniał i dlaczego dojeżdżając do Moskwy powiedział sobie: „Łajdak jestem!” I oto teraz pewnego razu pomyślał, że osaczony tymi męczącymi myślami, mógłby zapomnieć bodaj o Katarzynie Iwanownie, tak bardzo nie

dają mu one spokoju. Złamany na duchu, natknął się na ulicy przypadkowo na Aloszę. Zatrzymał go i nagle zadał mu pytanie:

- Czy pamiętasz, jak po obiedzie Dymitr wtargnął do mieszkania i pobił ojca, i ja potem powiedziałem ci na dworze, że zastrzegam sobie „prawo pragnienia” - powiedz, czy pomyślałeś wówczas, że ja pragnę śmierci ojca, czy nie?

- Pomyślałem - odrzekł cichym głosem Alosza.

- Zresztą tak było, nie miałeś co zgadywać. Ale czy nie pomyślałeś wówczas, że pragnę mianowicie, aby „jeden gad pożarł drugiego gada”, to znaczy, aby właśnie Dymitr zabił ojca, i to czym prędzej... i że sam byłbym gotów przyczynić się do tego?

Alosza zbladł i nic nie mówiąc spojrzął bratu w oczy.

- Mówże! - zawołał Iwan. - Chcę stanowczo wiedzieć, coś ty wtedy pomyślał. Ale mów prawdę, tylko prawdę!

Ciężko dysząc, patrzył z jakąś złością na Aloszę.

- Wybacz mi, ale ja i to pomyślałem - szepnął Alosza i umilkł, nie dodając żadnej „usprawiedliwiającej okoliczności”.

- Dziękuję ci! - uciał Iwan i zostawiając Aloszę poszedł w swoją stronę.

Od tego czasu Alosza zauważył, że Iwan odsuwa się od niego coraz bardziej i zaczyna go nie lubić, toteż sam przestał odwiedzać brata. Ale w owej chwili, od razu po tym spotkaniu, Iwan Fiodorowicz, nie wstępując do domu, nagle w nocy udał się znów do Smierdiakowa.

## VII DRUGA WIZYTA U SMIERDIAKOWA

Smierdiakow wówczas nie leżał już w szpitalu. Iwan Fiodorowicz znał jego nowe mieszkanie: pochylony, zapadnięty drewniany domek, składający się z dwóch izb oddzielonych sionką. W jednej izbie mieszkała Maria Kondratiewna z matką, w drugiej, oddzielnie, Smierdiakow. Bóg wie, na jakich warunkach zamieszkał u nich: za darmo czy za opłatą. Później opowiadano, że wprowadził się jako narzeczony Marii Kondratiewny i z tego względu mieszkał za darmo. Zarówno matka, jak i córka wielce go szanowały i uważały za coś wyższego od siebie. Dostukawszy się Iwan Fiodorowicz wszedł do sionki i skierował się od razu na lewo do „światlicy”, którą zajmował Smierdiakow. W izbie stał piec kaflowy, mocno napalony. Ściany były obite błękitną tapetą, co prawda bardzo wystrzępioną, pod którą roiło się od karaluchów. Było tych insektów takie mnóstwo, że szmer ich nie milkł ani przez chwilę. Umebłowanie było liche: dwie ławy wzdłuż ścian i dwa krzesła koło zwyczajnego, niezgrabnego stołu, nakrytego jednak obrusem z różowym haftem. Na dwóch małych

okienkach stały w doniczkach geranie. W kącie wisiała szafka ze świętymi obrazami. Na stole stał niewielki, miejscami mocno pogięty mosiężny samowar i taca z dwiema filiżankami. Ale Smierdiakow już był po herbacie i samowar już wygasł. Gospodarz siedział za stołem i zaglądając do kajetu, kreślił coś piórem. Obok stała flaszeczka z atramentem oraz niziutki lichtarzyk ze stearynową świeczką. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że Smierdiakow wrócił do normalnego stanu zdrowia. Cera jego była dosyć świeża, policzki pełne, lok zawinięty do góry, włoski na skroniach wypomadowane. Miał na sobie jaskrawy, watowany szlafrok, bardzo wytarty i zatłuszczony. Na nosie miał okulary, w których Iwan nigdy go dotąd nie widział. Nieistotny ten szczegół jak gdyby podsycił złość Iwana Fiodorowicza: „Taka kreatura, i w dodatku w okularach!” Smierdiakow powoli podniósł głowę i badawczo spojrzął przez okulary na gościa; potem zdjął powoli okulary i uniósł się nieco z ławki, ale jakoś nie bardzo uprzejmie, jakoś leniwie, byleby tylko uczynić zadość najbardziej podstawowym wymogom grzeczności, bez których nawet obejść się nie można. Wszystko to przemknęło przez umysł Iwana, wszystko to ogarnął i zauważył od razu, a przede wszystkim - spojrzenie Smierdiakowa zdecydowanie złe, niegościnne i nawet nadęte: „Czego się, niby, włóczysz, wszystko przecie omówiliśmy wówczas, po coś znowu przylaź?” Iwan Fiodorowicz ledwo się powściągnął.

- Gorąco u ciebie - rzekł stojąc jeszcze i rozchylił palto.

- Niech pan zdejmie - zezwolił łaskawie Smierdiakow.

Iwan Fiodorowicz zdjął palto, rzucił je na ławę, drżącymi rękoma wziął krzesło, gwałtownym ruchem przysunął je do stołu i usiadł. Smierdiakow zdążył jednak ubiec go i usiadł wcześniej.

- Po pierwsze, czy jesteśmy sami? - zapytał Iwan surowo i porywczo. - Czy nie usłyszą nas stamtąd?

- Nikt nic nie posłyszcy. Sam pan widział: sionka.

- Słuchaj, mój drogi, coś ty takiego bąknął, kiedy wychodziłem od ciebie ze szpitala, że jeżeli nie powiem, coś ty mówił o symulowaniu ataków, to i ty nie opowiesz sędziemu całej naszej rozmowy przy furtce? Co to znaczy „całej”? Co chciałeś przez to powiedzieć? Groziłeś mi czy co? Wzmowę z tobą wchodziłem, boję się ciebie czy co?

Iwan Fiodorowicz zakończył z prawdziwą wściekłością, dając do zrozumienia, że nie zamierza niczego owijać w bawełnę i gra w otwarte karty. Smierdiakow błysnął złośliwie oczyma: lewe oczko zamrugnęło. Natychmiast z właściwym sobie umiarem i stanowczością dało ono swoją odpowiedź: „Nie chcesz owijać w bawełnę, dobrze, będziesz miał za swoje.”

- A ja wedle tego rozumiałem i wedle tego powiedziałem, że pan, będąc uprzedzony o zabójstwie swego rodzzonego ojca, zostawił go na pastwę losu, więc dowiedziawszy się o tym, ludziska mogliby przecie co złego myśleć o pańskich uczuciach, a może i o czym innym - o to mi właśnie chodziło i tego nie chciałem władzy powtórzyć.

Mówił powoli i powściągliwie, ale nawet w głosie jego zabrzmiał jakiś twardy i stanowczy ton, złośliwy i wyzywający. Zuchwale patrzył na Iwana Fiodorowicza, któremu w pierwszej chwili

zamigotało nawet przed oczyma.

- Jak? Co? Przytomny jesteś czy nie?

- Najzupełniej przytomny.

- Czy wiedziałem wówczas o zabójstwie? - zawołał wreszcie Iwan Fiodorowicz i stuknął pięścią w stół. - Co to znaczy „a może i o czym innym”? Mów, łotrze!

Smierdiakow milczał i nie spuszczał zuchwałego spojrzenia z Iwana Fiodorowicza.

- Mów, łajdaku śmierdzący, co to znaczy „o czym innym”? - wrzasnął Iwan.

- A o „tym innym”, że ja w tej samej chwili miarkowałem, że pan sam życzy sobie śmierci ojca.

Iwan Fiodorowicz skoczył i z całej siły uderzył Smierdiakowa pięścią w plecy, aż ów zatoczył się ku ścianie. Polały mu się łzy z oczu, powiedział: „Wstyd, panie, bić słabego człowieka”, zakrył nagle oczy swoją strasznie zasmarowaną chusteczką w niebieską kratę i zaczął po cichu szlochać. Tak przeszła chwila.

- Dostyc! Przestań - rzekł w końcu Iwan Fiodorowicz rozkazującym tonem, siadając znowu na krześle. - Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości!

Smierdiakow odjął od oczu swoją szmatkę. Każdy rys, każda zmarszczka na jego twarzy wołała o dopiero co doznanej zniewadze.

- Toś ty, nędzniku, myślał, że ja chciałem do spółki z Dymitrem ojca zabić?

- Nie znałem wtedy pańskich myśli - obrażonym głosem powiedział Smierdiakow - i dlatego właśnie zatrzymałem pana, kiedy pan wchodził do bramy, żeby pana wedle tego wybadać.

- Co wybadać? Co?

- A to, czy pan chce, czy nie, żeby pański ojciec był jak najprędzej zabity.

Najbardziej oburzał Iwana Fiodorowicza pewny siebie wyzywający ton Smierdiakowa.

- Toś ty go zabił! - wykrzyknął nagle.

Smierdiakow uśmiechnął się pogardliwie.

- Że nie ja zabiłem, to pan sam wie faktycznie najlepiej. A myślałem, że mądrym człowiekowi nawet mówić o tym więcej nie trzeba.

- Ale dlaczego, powiedz, dlaczego powziąłeś wtedy takie podejrzenie?

- Jak panu wiadomo, to tylko ze strachu. Byłem wtedy w takim położeniu, że truchlejąc ze

strachu, posądzałem wszystkich. Chciałem pana wy badać, bo jeśli pan pragnie tego samego co pański brat, to wtedy przyszedł koniec i ja zginę razem faktycznie jak mucha.

- Słuchaj, tyś dwa tygodnie temu mówił co innego.

- Całkiem to samo w szpitalu, mówiąc z panem, miałem na myśli, tylko wierzyłem, że pan bez zbytecznych słów zmiarkuje i że zbyt wyraźnej rozmowy sam pan sobie nie życzy, jako naprawdę mądry człowiek.

- Takiś ty! No, odpowiedz, odpowiedz, żądam tego: dlaczego właściwie, czym właściwie mogłem ośmielić twoją podłą duszę do tak obraźliwego dla mnie podejrzenia?

- Zabić sam pan nie mógł: nie chciał pan, ale żeby ktoś zabił, to pan chciał.

- Jak spokojnie, jak spokojnie ten człowiek to mówi! Ale dlaczego miałbym chcieć, po co miałbym chcieć?

- Jak to niby po co? A spadek - jadowicie i jakby mszcząc się podchwycił Smierdiakow. - Przecież dla każdego z trzech braci bez mała po czterdzieści tysięcy po ojcu przypada, a może i więcej, a gdyby wtedy ojciec się ożenił z tą Agrafieną Aleksandrowną, to ona by w ciągu miesiąca cały majątek wzięła na siebie, przepisała, bo baba nie w ciemną bita; dla was, trzech braci, dwóch rubli by po ojcu faktycznie nie zostało. A czy wiele brakowało do ślubu? Jeden włoszek tylko: dość, by ta pani malutkim paluszkami kiwnęła, a poleciałby za nią do cerkwi z wywieszonym jęzorem.

Iwan Fiodorowicz pohamował się, chociaż cierpiał dotkliwie.

- Dobrze - powiedział wreszcie - widzisz, jestem spokojny, nie zabiłem cię, nie zabiłem cię. Mów dalej: zatem, wedle ciebie, przeznaczyłem do tego brata Dymitra, liczyłem na niego?

- Jakże by pan miał nie liczyć na niego: przecież gdyby on zabił, byłby pozbawiony wszystkich praw obywatelskich, zasług i majątku, i na dobitkę skazaliby go na katorgę. Wtedy część jego po ojcu przypadłaby na pana i na brata Aleksego, i już nie po czterdzieści tysięcy każdy by z was miał, tylko po sześćdziesiąt na każdego. Pan wtedy na Dymitra Fiodorowicza na pewno liczył!

- Ależ jestem cierpliwy, że tyle znoszę! Słuchaj, ty niegodziwy człowieku, gdybym wtedy liczył na kogoś, to już na pewno tylko na ciebie, a nie na Dymitra, i przysięgam, przeczuwałem z twojej strony jakąś podłość... wówczas... pamiętam swoje ówczesne wrażenie!

- I ja też pomyślałem wtenczas przez chwilę, że pan i na mnie liczy - uśmiechnął się Smierdiakow - toteż w ten sposób pan się przede mną jeszcze bardziej zdradził, bo jeżeli pan i mnie posądził, a mimo to w tym samym akurat czasie wyjechał, to znaczy, że pan jak gdyby mówił mi wprost: możesz zabić ojca, ja nie przeszkadzam.

- Łajdaku! Toś ty tak rozumiał!

- A wszystko przez tę Czermasznę. Bo i co? Wybiera się pan do Moskwy i chociaż pański ojciec bardzo prosi, nie godzi się pan za nic jechać do Czermaszn! A tu na jedno moje głupie słówko

od razu się pan zgodził! I po cóż się pan godził jechać do Czermaszni? Jeżeli nie do Moskwy pan pojechał, tylko do Czermaszni, bez powodu, wedle jednego słówka, to znaczy, spodziewał się pan czegoś po mnie.

- Nie, przysięgam, że nie! - wrzasnął Iwan, zgrzytając zębami.

- Jakże nie? Należało wtenczas za takie moje słowa od razu zaprowadzić mnie do aresztu i porządnie sprać... przynajmniej na miejscu mordę skuć. A pan, za przeproszeniem, na odwrót, wcale się nie rozgniewał, od razu po przyjacielsku postępuje i wedle głupiego słowa jedzie pan, co było faktycznie bardzo niedorzeczne, bo powinien był pan zostać, żeby bronić życia swego ojca... Jak mogłem myśleć inaczej?

Iwan siedział zasępio, konwulsyjnie oparłszy obie pięści o kolana.

- Tak, szkoda, że ci nie skułem mordy - uśmiechnął się gorzko. - Na policję nie można cię było wtedy pociągnąć: któż by mi uwierzył i jakie miałem dowody, ale w mordę... och, szkoda, nie domyśliłem się; chociaż nie wolno walić w mordę, ale rozbiłbym ci ją na miazgę.

Smierdiakow patrzył na niego prawie z rozkoszą.

- W zwykłych przypadkach życiowych - rzekł owym zadowolonym z siebie doktrynerskim tonem, jakim drażniąc dawniej Grzegorza dyskutował z nim o kwestiach wiary, stojąc w jadalni za krzesłem Fiodora Pawłowicza - w zwykłych przypadkach życiowych dziś faktycznie prawo zakazuje walić w mordę, i wszyscy przestali walić, no ale w niezwykłych przypadkach życiowych nie tylko u nas, ale i na całym świecie, nawet w prawdziwej republice francuskiej, po staremu wciąż biją, jak za Adama i Ewy, i nigdy bić nie przestaną, więc i pan w niezwykłym przypadku też by się ośmielił.

- Cóż to, uczysz się francuskich słówek? - wskazał Iwan leżący na stole kajecik.

- A czemuż bym nie miał się uczyć, żeby wykształcenie moje rozwinąć, myśląc, że może i mnie kiedy w tych szczęśliwych krajach Europy wypadnie być.

- Słuchaj, potworze - Iwan cały się zatrzęsł, a oczy mu zabłyśły - nie boję się twoich oskarżeń, zeznawaj, jak chcesz, i jeżeli cię teraz nie zatłukłem na śmierć, to tylko dlatego, że posądzam cię o to zabójstwo i pociągnę do odpowiedzialności. Ja cię jeszcze zdemaskuję!

- A moim zdaniem, niech pan lepiej milczy. Bo i co może pan na mnie powiedzieć, i kto panu uwierzy? A jak pan zacznie, to i ja wszystko opowiem, bo i jakże faktycznie nie miałbym się bronić?

- Myślisz, że się ciebie teraz boję?

- Niech nawet w sądzie nie uwierzą we wszystko, co panu mówiłem, ale za to publika uwierzy i panu będzie wstyd.

- Czyli znowu: „Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie”, co? - warknął Iwan.

- Trafił pan akuratnie. Niech więc pan nadal będzie mądrym.



Iwan wstał, trzęsąc się z oburzenia, włożył palto i nic nie odpowiadając Smierdiakowowi, i nawet nie patrząc nań, wyszedł prędko z izby. Orzeźwiło go chłodne wieczorne powietrze. Na niebie jasno świecił księżyc. Straszne, koszmarnie myśli i wrażenia opanowały jego duszę. „Iść i oskarżyć Smierdiakowa? Ale jak oskarżyć: bądź co bądź jest niewinny. Przeciwnie, jeszcze on mnie obwini. Bo i rzeczywiście, dlaczego pojechałem wówczas do Czermaszni? Dlaczego, dlaczego? - pytał siebie Iwan Fiodorowicz. - Tak, naturalnie, spodziewałem się czegoś, i on ma słuszość...” I znowu po raz setny przypominał sobie, jak ostatniej nocy stojąc na schodach podsłuchiwał ojca. Lecz przypominał to sobie z takim cierpieniem, że przystanął, jakby rażony piorunem: „Tak, spodziewałem się tego, to prawda! Chciałem, właśnie chciałem tego zabójstwa! Czy chciałem tego zabójstwa? Trzeba zabić Smierdiakowa!... Jeśli nie mam teraz odwagi zabić Smierdiakowa, to i żyć nie warto!...” Iwan Fiodorowicz, nie wstępując już do domu, poszedł wprost do Katarzyny Iwanowny i przeraził ją swoim wyglądem. Sprawiał wrażenie obłąkanego. Powtórzył jej rozmowę ze Smierdiakowem, całą jak najdokładniej. Nie mógł się uspokoić, jakkolwiek Katarzyna Iwanowna prosiła go, by się opamiętał, chodził po pokoju i mówił dziwacznie i bez związku. Wreszcie usiadł, oparł łokcie na stole, ścisnął głowę w dłoniach i wypowiedział dziwny aforyzm:

- Jeżeli zabił nie Dymitr, lecz Smierdiakow, to oczywiście jestem z nim solidarny, bo ja go podbechtałem. Czy go podbechtałem - nie wiem jeszcze. Ale jeżeli on zabił, a nie Dymitr, to oczywiście ja jestem zabójcą.

Wysłuchawszy tego, Katarzyna Iwanowna wstała, podeszła do biurka, otworzyła stojącą na nim szkatułkę, wyjęła ćwiartkę papieru i położyła ją przed Iwanem. Był to właśnie ów dokument, o którym Iwan Fiodorowicz opowiadał Aloszy, jako o „matematycznym dowodzie” winy Dymitra. Był to mianowicie list Miti, napisany po pijanemu do Katarzyny Iwanowny wieczorem owego dnia, kiedy Miti spotkał się z Aloszą na drodze do monasteru, po awanturze u Katarzyny Iwanowny między nią a Gruszeńką. Pożegnawszy wówczas Aloszę, Miti pobiegł do Gruszeńki: nie wiadomo, czy się z nią widział, ale w nocy znalazł się w restauracji „Stołeczny Gród”, gdzie się oczywiście upił. Pijany, kazał sobie podać pióro i papier i napisał bardzo obciążający go dokument. Był to nieprzytomny, chaotyczny i wylewny list „pijacki” co się zowie. Było to tak, jak gdyby człowiek pijany, wróciwszy do domu, zaczął z niezwykłym zapałem opowiadać żonie czy komuś z domowników, że go ktoś znieważył i że ten, kto go znieważył, jest szubrawcem, a on jest wspaniałym człowiekiem i da nauczkę temu szubrawcowi - a wszystko bardzo rozwlekłe, bezładnie i zapalczywie, bijąc pięścią w stół i zalewając się pijackimi łzami. Miti napisał więc coś podobnego na karteluszk, który podano mu w restauracji - na brudnym skrawku papieru najgorszego gatunku. Na odwrotnej stronie był wypisany jakiś rachunek. Pijacka wylewność miała tu za mało miejsca, toteż Miti zapisał wszystkie marginesy, a nawet ostatnie wiersze skreślił w poprzek pozostałych. List miał treść następującą:

„Fatalna Katiu! Jutro dostanę pieniądze, zwrócę ci twoje trzy tysiące i żegnaj, niewiasto wielkiego gniewu, ale żegnaj, i miłości moja! Skończymy! Jutro będę się starał wydostać je od ludzi, a jak nie dostanę, to dam ci słowo honoru, że pójdę do ojca, rozwalę mu łeb i zabiorę mu je spod poduszki, byleby tylko Iwan wyjechał. Na katorgę pójdę, a trzy tysiące zwrócę. A ciebie żegnam! Kłaniam się do samej ziemi, albowiem wobec ciebie jestem łajdakiem. Przebac mi. Nie, lepiej nie przebaczaj: lżej będzie i mnie, i tobie! Lepiej iść na katorgę niż znosić twoją miłość, bo kocham inną, a ją zbyt dobrze dzisiaj poznałaś, jak więc możesz przebaczyć? Od wszystkich was odejdę na

wschód, żeby nikogo nie znać. Od niej też, bo i ona jest moją dręczycielką, nie tylko ty. Żegnaj!

PS. Przeklinam cię, a przecież cię ubóstwiam! Czuję to w sercu. Została tam struna i dzwoni. Lepiej serce złamać na dwoje! Zabiję siebie, ale przedtem psa. Wyrwę mu trzy i tobie rzucę. Chociaż podły jestem wobec ciebie, ale nie złodziej! Spodziewaj się trzech tysięcy. Pies ma pod siennikiem, różową wstążeczką. Nie ja jestem złodziej, zabiję tego, kto mnie okradł, Katiu, nie patrz pogardliwie: Dymitr nie jest złodziejem, lecz mordercą! Ojca zabił i siebie zgubił, żeby stać i nie czuć twojej wyniosłości. I ciebie nie kochać.

PS. Nogi twoje całuję, żegnaj!

PS. Katiu, módl się, żeby ludzie dali pieniądze. Wtedy nie będę we krwi, bo jak nie dadzą - będzie krew!

Niewolnik i wróg D. Karmazow”

Przeczytawszy „dokument”, Iwan wstał, najzupełniej przekonany. A więc zabił brat, nie Smierdiakow. Nie Smierdiakow, a więc i nie on, Iwan. List ten nabrał w jego oczach niezwyklej wagi. Nie było żadnych wątpliwości co do winy Miti. Nawiasem mówiąc, o tym, że Mitia mógł zabić do spółki ze Smierdiakowem, Iwan nigdy nawet nie pomyślał, bo i zresztą fakty temu przeczyły. Był więc zupełnie uspokojony. Nazajutrz z pogardą wspominał Smierdiakowa i jego szyderstwa. Po kilku dniach dziwił się nawet, jak mógł się tak przejąć jego podejrzeniami. Postanowił zlekceważyć go i zapomnieć. Tak minął miesiąc. Z nikim już o nim nie mówił, ale słyszał przelotnie ze dwa razy, że Smierdiakow jest bardzo chory i nienormalny. „Skończy obłędem” - orzekł młody lekarz, doktor Warwiński, i Iwan zakarbował to sobie w pamięci. W ostatnim tygodniu tego miesiąca Iwan sam poczuł się bardzo źle. Był nawet u znakomitego lekarza z Moskwy, którego sprowadziła Katarzyna Iwanowna. I właśnie wtedy jego stosunki z Katarzyną Iwanowną zaostrzyły się ostatecznie. Byli jakby dwaj zakochani w sobie wrogowie. Nawroty uczucia Katarzyny Iwanowny do Miti, bardzo krótkie, ale gwałtowne, doprowadzały Iwana do wściekłości. Rzecz dziwna, aż do tej ostatniej, opisaney już sceny, która odbyła się w obecności Aloszy, Iwan przez cały miesiąc nie słyszał, aby Katarzyna Iwanowna wyraziła jakąś wątpliwość co do winy Dymitra. Nie zdarzyło się to nawet w momentach jej „nawrotów”, których Iwan tak nienawidził. Godne uwagi jest jeszcze to, że Iwan, z każdym dniem coraz mocniej nienawidząc Miti, zdawał sobie jednocześnie sprawę, że nienawidzi go nie za owe „nawroty” Katarzyny Iwanowny, ale właśnie za to, że on zabił ojca! Czuł i uświadamiał to sobie dokładnie. Mimo to na dziesięć dni przed rozprawą odwiedził Mitę i zaproponował mu ucieczkę, podał nawet plan, widocznie od dawna już obmyślony. Oprócz głównej przyczyny pobudziło go do tego draśnięcie, zadane mu przez Smierdiakowa, że niby jemu, Iwanowi, wygodniej, że oskarżono brata, bo przez to on i Alosza odziedziczą zamiast po czterdzieści tysięcy, po sześćdziesiąt. Zdecydował się zaofiarować ze swojej części trzydzieści tysięcy, aby umożliwić ucieczkę Miti. Wracając wtedy z więzienia był smutny i niepewny: poczuł nagle, że życzy sobie ucieczki nie dlatego, że chce ofiarować trzydzieści tysięcy i zaleczyć owo draśnięcie, ale z jakiegoś innego powodu. „Czy dlatego, że moralnie i ja też jestem zabójcą?” - zapytał siebie. Jakaś nie znana bliżej przyczyna raniła jego duszę. Przede wszystkim zaś przez cały miesiąc strasznie cierpiała jego duma, ale o tym później... Gdy po rozmowie z Aloszą, trzymając już rękę na dzwonku swego mieszkania, postanowił nagle udać się do Smierdiakowa, działał pod wpływem jakiegoś nagłego

oburzenia. Nagle przypomniał sobie, jak Katarzyna Iwanowna zawołała wobec Aloszy: „Toś ty mnie właśnie przekonał, że on (to znaczy Miti) jest zabójcą!” Przypomniawszy to sobie, Iwan zdumiał się: nigdy w życiu nie przekonywał jej, że Miti jest mordercą, przeciwnie, mówił jej o swojej winie, gdy wrócił od Smierdiakowa. Wręcz przeciwnie, to ona, właśnie ona pokazała mu wtedy „dokument” i dowiodła winy brata! I oto teraz woła: „Sama byłam u Smierdiakowa!” Kiedy była? Iwan nic o tym nie wiedział. Czyli nie jest znowu tak bardzo przekonana o winie Miti! I co mógł powiedzieć Smierdiakow? Co, co właściwie jej mówił? Straszny gniew wzbierał w sercu Iwana. Nie rozumiał, jak mógł pół godziny temu nie zwrócić uwagi na słowa Kati i nie odpowiedzieć od razu krzykiem. Puścił rączkę dzwonka i udał się do Smierdiakowa. „Tym razem może go zabiję” - pomyślał idąc.

## VIII

### TRZECIE I OSTATNIE ODWIEDZINY U SMIERDIAKOWA

W połowie drogi powiał ostry, suchy wiatr, taki sam jak rankiem, i zaczął padać drobny, gęsty, suchy, śnieg. Nie trzymał się ziemi, zmiatany przez wiatr. I nagle zerwała się istna zamieć. W tej części miasta, gdzie mieszkał Smierdiakow, prawie nie było latarni. Iwan Fiodorowicz szedł w ciemności, nie dostrzegając zamieci, instynktownie znajdując drogę. Bolała go głowa i huczało w skroniach. W rękach czuł nerwowe skurcze. Nieopodal domku Marii Kondratiewny spotkał samotnego pijaka, zataczającego się niskiego chłopca w połatanym kaftanie. Chłop kłął i wymyślał, naraz przestał wymyślać i zaczął śpiewać ochryłym głosem piosenkę uliczną:

*Ach, do Pitra pojechał mój Wańka,*

*Ja nie będę na niego czekała!*

Ale urwał na drugiej zwrotce i znowu zaczynał komuś wymyślać, po czym od nowa intonował tę samą piosenkę. Iwan Fiodorowicz już dawno, nie myśląc nawet o nim, poczuł do niego okropną nienawiść i naraz to sobie uprzytomnił. Nagle zachciało mu się zdzielić chłopca pięścią po głowie. Akurat w tej chwili zrównali się i pijak, mocno się zatoczywszy, wpadł z całej siły na Iwana. Ten odepchnął go z taką wściekłą pasją, że chłopiec runął jak kłoda na zmarzniętą ziemię, stękawszy boleśnie tylko raz jeden: „O-o!” Iwan podszedł do niego. Chłop leżał na wznak, bez ruchu, nieprzytomny. „Zamarznie!” - pomyślał Iwan i ruszył dalej. Już w sieni Maria Kondratiewna, która ze świecą w ręku otworzyła mu drzwi, szepnęła, że Paweł Fiodorowicz (to znaczy Smierdiakow) bardzo jest chory, wprawdzie nie leży, ale całkiem jakby obłąkany i nawet kazał zabrać herbatę, nie chce pić.

- Cóż to, awanturuje się? - zapytał szorstko Iwan Fiodorowicz.

- Gdzieżby tam, na odwrót, całkiem przycichł, tylko niech wielmożny pan długo z nim nie rozmawia... - prosiła Maria Kondratiewna.

Iwan Fiodorowicz otworzył drzwi i wszedł do izby.

Było tam gorąco, jak wówczas, za pierwszym razem, ale w pokoju zaszły pewne zmiany: jedną z bocznych ław wyniesiono, zamiast niej pojawiła się duża, stara kanapa z mahoniem, obita skórą: leżała teraz na niej pościel z dosyć czystymi białymi poduszkami. Smierdiakow siedział na kanapie w tym samym szlafroku co przedtem. Stół był przysunięty do kanapy, toteż w pokoju było bardzo ciasno. Na stole leżała jakaś gruba książka w żółtej okładce, ale Smierdiakow jej nie czytał - zdaje się, że siedział i nic nie robił. Przywitał Iwana Fiodorowicza uporczywym spojrzeniem i na pozór nie był wcale zdziwiony jego przybyciem. Bardzo się zmienił na twarzy, schudł jakoś i pożółkł. Oczy miał wpadnięte, dolne powieki zaczerwienione.

- Ależ ty naprawdę jesteś chory! - zatrzymał się Iwan Fiodorowicz. - Długo u ciebie nie będę i nawet nie zdejmę palta. Gdzie tu można usiąść?

Podszedł do stołu, przysunął krzesło i usiadł.

- Co tak patrzysz i milczysz? Przyszedłem z jednym tylko pytaniem i przysięgam, nie odejdę bez odpowiedzi: czy była u ciebie Katarzyna Iwanowna?

Smierdiakow długo milczał, patrząc po dawnemu na Iwana, lecz nagle machnął ręką i odwrócił głowę.

- Cóż ty? - zawołał Iwan.

- Nic.

- Co nic?

- Ano była, a panu to wszystko jedno. Niech mi pan da spokój.

- Nie, nie dam ci spokoju! Gadaj, kiedy była?

- Ja nawet o niej zapomniałem - uśmiechnął się lekceważąco Smierdiakow i nagle znów, zwracając się ku Iwanowi, patrzył na niego nieprzytomnym, pełnym nienawiści spojrzeniem, takim samym, jakim patrzył na niego przed miesiącem.

- Sam pan jest chory, twarz zapadnięta, całkiem pan do siebie niepodobny - odezwał się wreszcie.

- Niech cię nie obchodzi moje zdrowie, odpowiadaj na pytanie.

- A czego to panu oczy pożółkły, białka całkiem żółte. Męczy się pan bardzo, co?

Uśmiechnął się wzgardliwie i nagle głośno się roześmiał.

- Słuchaj, powiedziałem, że nie odejdę od ciebie bez odpowiedzi! - krzyknął Iwan, rozdrażniony do ostateczności.

- Co się pan mnie czepia? Co mnie pan męczy? - rzekł z udręką Smierdiakow.

- E, do licha! Nie o ciebie mi chodzi. Odpowiedz na moje pytanie, a zaraz sobie pójdę.

- Nie mam co panu odpowiadać! - i Smierdiakow znowu spuścił oczy.

- Zapewniam cię, że zmuszę cię do odpowiedzi!

- Czego się pan wciąż niepokoi! - Smierdiakow popatrzył na niego nawet nie z pogardą, lecz z jakimś obrzydzeniem. - Że to niby sprawa jutro się zaczyna? Przecie panu nic nie grozi, niech się pan uspokoi wreszcie! Niech pan wróci do domu, spokojnie się położy, nie ma się czego bać.

- Nie rozumiem cię... czego mógłbym się bać jutro? - zapytał ze zdziwieniem Iwan, i nagle owionął go lodowaty strach.

Smierdiakow zmierzył go spojrzeniem.

- Nie ro-zu-mie pan? - powiedział wolno tonem wyrzutu. - Że się też chce mądrymu człekowi taką komedię urządzać!

Iwan popatrzył na niego w milczeniu. Niezwykły był nawet sam ton, jakiś niesłychanie wyniosły, jakim ów były jego lokaj zwracał się teraz do niego. Na taki ton bądź co bądź nie pozwolił sobie nawet zeszłym razem.

- Powiadam panu, nie ma się pan czego bać. Nic przeciwko panu nie zeznam, nie ma poszlak. Patrzajcie, ręce się trzęsą. Z czego to ręce się panu trzęsą? Niech pan idzie do domu, przecie nie pan zabił.

Iwan drgnął - przypomniał mu się Alosza.

- Wiem, że nie ja... - wybąkał.

- Wie pan? - znowu podchwycił Smierdiakow.

Iwan zerwał się i chwycił go za ramię.

- Mów wszystko, gadzie! Mów wszystko!

Smierdiakow nie zląkł się bynajmniej, tylko z obłąkaną nienawiścią wpił się w niego oczyma.

- Pewno że pan zabił, jeżeli tak - szepnął wściekle.

Iwan usiadł z powrotem, jakby coś zmiarkował. Uśmiechnął się złośliwie.

- Ty wciąż o tamtym? O tym, co zeszłym razem?

- I zeszłym razem stał pan przede mną i wszystko rozumiał, i teraz pan rozumie.

- Rozumiem tylko, że jesteś obłąkany.

- Że też to się panu nie znudzi! Jesteśmy sami, po co to siebie nawzajem oszukiwać, komedię odgrywać? Chce pan wciąż na mnie jednego zwalić, i to w oczy? Pan zabił, pan jest głównym zabójcą, a ja tylko pańskim współnikiem, wiernym sługą, i zrobiłem to wedle pańskiego słowa.

- Zrobiłeś? Więc tyś zabił? - ciarki przeszły po plecach Iwana.

Odczuł jakiś wstrząs w mózgu, przejął go zimny dreszcz. Nawet Smierdiakow popatrzył na niego ze zdziwieniem: zapewne przestach Iwana zaskoczył go swoją szczerością.

- I czy naprawdę pan nic nie wiedział? - bąkał z niedowierzaniem, uśmiechając się fałszywie.

Iwan wciąż patrzył na niego, język jak gdyby mu skołowaciał.

*Ach, do Pitra pojechał mój Wańka,*

*Ja nie będę na niego czekała!*

zabrzmiało mu nagle w głowie.

- Wiesz co, boję się, że to sen, przywidzenie, że siedzi przede mną jakaś mara... - mruknął wreszcie.

- Żadnego tu przywidzenia nie ma prócz nas dwóch i jeszcze kogoś trzeciego. Pewnikiem jest tu teraz, ten trzeci, znajduje się między nami.

- Któż to? Kto się znajduje? Jaki trzeci? - zapytał ze strachem Iwan Fiodorowicz, oglądając się wokoło i szukając oczyma po kątach.

- Trzeci to Bóg, Opatrzność sama tu jest, wedle nas, niech tylko pan nie szuka, nie znajdzie pan.

- Kłamałeś, żeś zabił! - wściekle wrzasnął Iwan. - Albo wariat jesteś, albo drażnisz mnie jak wówczas!

Smierdiakow patrzył na niego uważnie, bez lęku. Wciąż jakoś nie mógł się wyzbyć niedowierzania, wciąż mu się zdawało, że Iwan „wie o wszystkim” i tylko udaje, aby „w oczy zwalić na niego całą winę”.

- Niech pan poczeka - rzekł wreszcie słabym głosem i nagle, wyciągnąwszy spod stołu lewą nogę, zaczął zawijać do góry spodnie. Miał na nodze długą, białą pończochę i pantofel. Smierdiakow powoli zdjął podwiązkę i zapuścił palce głęboko za pończochę. Iwan Fiodorowicz patrzył na niego i nagle zatrzęsł się konwulsyjnie ze strachu.

- Wariat! - wrzasnął i prędko zerwawszy się z miejsca, cofnął się odruchowo i uderzył plecami

o ścianę. I tak już przywarł do ściany, wyprostowany, a raczej wyciągnięty do góry. Obłąkanymi, przerażonymi oczami patrzył na Smierdiakowa. Ten zaś, nic sobie nie robiąc z jego strachu, wciąż jeszcze szperał w pończosze, jak gdyby usiłując palcami uchwycić coś i wyciągnąć. Na koniec uchwycił i zaczął wyciągać. Iwan Fiodorowicz widział, że były to jakieś papiery czy jakiś plik papierów. Smierdiakow wyciągnął je i położył na stole.

- O, proszę! - powiedział cicho.

- Co? - rzekł trzęsąc się Iwan.

- Niech pan raczy spojrzeć - znowu szeptem powiedział Smierdiakow.

Iwan podszedł do stołu, dotknął paczki, zaczął ją rozwijać, wtem oderwał palce, jakby dotknął jakiegoś obrzydliwego, straszego płaza.

- Drżą panu wciąż palce jak w gorączce - zauważył Smierdiakow i sam, nie śpiesząc się, rozwinął papier. Były tu trzy paczki tęczyowych sturublowych banknotów.

- To wszystko, całe trzy tysiące, może pan nie liczyć Niech pan weźmie - poprosił Iwana, wskazując pieniądze.

Iwan osunął się na krzesło. Był blady jak chusta.

- Przestraszyłeś mnie... tą pończochą - powiedział uśmiechając się dziwnie.

- Czyżby naprawdę pan dotąd nie wiedział? - zapytał jeszcze raz Smierdiakow.

- Nie, nie wiedziałem. Ja stale podejrzewałem Dymitra. Bracie! Bracie! Ach! - chwycił się nagle oburącz za głowę. - Słuchaj, czyś ty sam zabił? Z bratem czy bez brata?

- Na razie tylko z panem, z panem do spółki zabiłem, a Dymitr Fiodorowicz jest niewinny.

- Dobrze, dobrze... O mnie potem. Dlaczego ja wciąż drzę... Słowa nie mogę powiedzieć.

- Wtedy to pan jakiś był śmiały, „że niby to wszystko jest dozwolone” - rzekł ze zdziwieniem Smierdiakow. - Może lemoniady? Zaraz każę podać. To bardzo orzeźwia. Tylko to trzeba przedtem zakryć.

Znowu wskazał paczkę. Wstał, chcąc zawołać Marię Kondratiewnę. Rozejrzał się, czym by tu zakryć pieniądze, zrazu wyjął chusteczkę, ale była strasznie zasmarkana, więc wziął ze stołu leżącą na nim grubą żółtą książkę i położył na paczce. Tytuł książki brzmiał: *Przepowiednie Świątobliwego Ojca naszego Izaaka Sirina*. Iwan Fiodorowicz zdążył machinalnie przeczytać tytuł.

- Nie chcę lemoniady - powiedział. - O mnie potem. Siadaj i mów: jak tyś to zrobił? Wszystko opowiedz...

- Niech pan zdejmie palto, bo się pan zgrzeje.

Iwan Fiodorowicz, jakby dopiero teraz zrozumiał, co mu Smierdiakow proponuje, zerwał z siebie palto i rzucił je na ławę.

- Mówże, proszę cię, mów!

Jakby się uspokoił. Był przekonany, że Smierdiakow opowie teraz wszystko.

- O tym, jak to było zrobione? - westchnął Smierdiakow. - Najbardziej zwykłym sposobem, zresztą wedle pańskich słów.

- O moich słowach potem - przerwał znowu Iwan, ale nie krzyząc już jak przedtem, jak gdyby panując nad sobą, twardo wymawiając słowa. - Opowiedz tylko szczegółowo, jak tyś to zrobił. Wszystko po kolei. Niczego nie pomini. Szczegóły, głównie szczegóły. Proszę.

- Pan odjechał, ja wpadłem do piwnicy...

- W ataku czy udawałeś?

- To się wie, że udawałem. We wszystkim udawałem. Ze schodów spokojnie zszedłem, aż na sam dół, i spokojnie się położyłem, a jak się położyłem, to wrzasnąłem. I rzucałem się, póki wynosili.

- Poczekaj. I przez cały czas, potem i w szpitalu, wciąż udawałeś?

- Co to, to nie. Nazajutrz rano, jeszcze przed odejściem do szpitala, zaczął się prawdziwy atak, i taki ci mocny, że już wiele lat takiego nie miałem. Dwa dni byłem nieprzytomny.

- Dobrze, dobrze. Mów dalej.

- Położono mnie na tym łóżku, a wiedziałem, że mnie za tym przepierzeniem położą, bo Marfa Ignatiowna zawsze mnie tam kładła, ilekroć byłem chory. Bardzo delikatna była dla mnie od mojego urodzenia. W nocy stękałem, tylko cicho. Wciąż czekałem na Dymitra Fiodorowicza.

- Jak to: czekałeś, u siebie?

- Po co u mnie? W domu czekałem, bo już żadnej wątpliwości nie miałem, że tej nocy przyjdzie, gdyż nie mając żadnych wątpliwości i mnie nie mogąc się spytać, bezwarunkowo musiał sam wleźć do domu i zrobić to, co miał zrobić.

- A gdyby nie przyszedł?

- To by nic nie było. Bez niego nie byłbym się odważył.

- Dobrze, dobrze... mów zrozumialej, nie śpiesz się, a najważniejsze niczego nie pomini!

- Spodziewałem się, że on akurat Fiodora Pawłowicza zabije... ale to na pewniaka. Bo ja już go przygotowałem... w ostatnich dniach... a przede wszystkim o tych znakach zawiadomiłem. Przy tej



jego podejrzliwości i wściekłości musiał bezwarunkowo wtargnąć faktycznie do samego domu. To musiało tak być, więc czekałem na niego.

- Zaraz - przerwał mu Iwan - przecie gdyby on zabił, to zabrałby pieniądze; przecie tak powinieneś być myśleć? Co byś miał z tego w takim razie? Nie widzę żadnej dla ciebie korzyści.

- Boć przecie pieniędzy wcale by nie znalazł. To przecie tylko ja mu powiedziałem, że pieniądze są pod materacem. Ale to nieprawda. Przedtem w szkatułce leżały, tak to było. A potem ja Fiodora Pawłowicza, bo tylko mnie jednemu z całej ludzkości ufał, nauczyłem, żeby te pieniądze schował w kącie za obrazami, bo tam to się nikt nie domyśli szukać, zwłaszcza kiedy faktycznie będzie się śpieszył. I paczka tak sobie leżała za obrazami. A pod materacem to i śmieszne byłoby trzymać, rozumiem, w szkatułce, zamkniętej na klucz. Głupia myśl. Więc gdyby Dymitr Fiodorowicz popełnił to morderstwo, to nic nie znalazłszy, uciekłby czym prędzej, bojąc się każdego szmeru, jak to się dzieje z bandytami, alboby został aresztowany. W takim razie mógłbym zawsze nazajutrz albo tej samej nocy poszukać za obrazami i pieniądze sam zabrać, a podejrzenie padłoby na Dymitra Fiodorowicza. Na to mogłem liczyć.

- No, a gdyby nie zabił, tylko pobił?

- Gdyby nie zabił, to ja bym pieniędzy wziąć się nie ośmielił, i wszystko zostałoby tak, jak było. Ale było i takie faktycznie wyrachowanie, że pobili do nieprzytomności, a ja tymczasem byłbym świsnął, a potem Fiodorowi Pawłowiczowi powiedziałbym, że to Dymitr Fiodorowicz świsnął pieniądze.

- Poczekaj... wszystko mi się poplątało. Więc jednak Dymitr zabił, a tyś tylko pieniądze wziął?

- Nie, to nie on zabił. Cóż, mógłbym i teraz powiedzieć, że jest zabójcą... ale nie chcę teraz panu kłamać... bo jeżeli pan, jak widzę, faktycznie nie rozumiał dotychczas i nie udawał przede mną, żeby na mnie w oczy swoją winę zwalić, to jednak pan jest wszystkiemu winien, bo pan wiedział o zabójstwie i kazał mi zabić, a sam, wiedząc wszystko, wyjechał. Dlatego chcę panu dziś wieczór to w oczy dowieść, że główny zbrodniarz to pan, a ja niegłówny, choć to ja zabiłem. A pan jest właśnie prawny morderca!

- Dlaczego, powiedz, dlaczego jestem mordercą? O Boże! - nie wytrzymał wreszcie Iwan, zapomniawszy, że o nim miała być mowa dopiero pod koniec. - To wszystko z powodu Czermaszni? Poczekaj, mów, po co ci była moja zgoda, jeśliś Czermasznę istotnie przyjął za zgodę? Jak ty to wytłumaczysz?

- Pewny zgody pańskiej, wiedziałbym, że pan przez te trzy zaginione tysiące nie zrobi awantury, gdyby nawet władza na mnie miała podejrzenie albo gdyby mnie brano za współnika Dymitra Fiodorowicza; przeciwnie, byłby mnie pan bronił... A otrzymawszy spadek, to i potem wynagradzałby mnie pan przez całe życie, bo przecież przeze mnie dostałby pan ten cały spadek, gdyż ojczulek, gdyby się ożenił z Agrafileną Aleksandrowną, szeląga by złamanego wam nie zostawił.

- A! więc miałeś zamiar mnie i potem męczyć, przez całe życie! - powiedział przez zęby Iwan. - A gdybym wtedy nie wyjechał i kazał cię aresztować?

- Za co wtedy aresztować? Za namowę, żeby pan jechał do Czermaszni? To przecie faktycznie głupstwo. No i po naszej rozmowie albo pan pojechał, albo został. Gdyby pan został, to by nic nie było, wiedziałbym, że pan tego nie chce, i nic bym nie robił. A jeśli pan pojechał, to znaczy, że mnie pan zapewnił, że nie ośmieliłby się pan mnie aresztować i że te trzy tysiące pan mi daruje. Bo i nie mógłby mnie pan faktycznie potem ścigać, gdyż powiedziałbym wszystko przed sądem, ale nie to, że zabiłem i ukradłem - tego bym nie mówił - ale że pan mnie namawiał, żebym ukradł i zabił, a ja się nie zgodziłem. Po to mi była potrzebna wtedy pańska zgoda, by nie mógł mi pan grozić, bo jaki by pan miał dowód, ja zaś mógłbym zawsze panu grozić rozgłaszając, jakie pan miał pragnienie wedle śmierci ojca. Publika by uwierzyła, a panu by wstyd było na całe życie.

- Więc miałem, miałem to pragnienie, miałem? - znowu przez zęby powiedział Iwan.

- Bezwarunkowo miał pan i swoją milczącą zgodą pozwolił mi na tę rzecz - odrzekł Smierdiakow i twardo spojrzął na Iwana. Był bardzo osłabiony, mówił cicho, głosem zmęczonym, ale coś wewnętrznego, utajonego podniecało go: prawdopodobnie zmierzał do jakiegoś celu. Iwan to przeczuwał.

- Mów dalej! - rzekł - mów o tej nocy.

- Dalej cóż! Leżę i słyszę, że starszy pan jak gdyby krzyknął. A Grzegorz Wasiliewicz przedtem się podniósł i wyszedł, i nagle wrzasnął, a potem wszystko ucichło, ciemno. Leżę, czekam, serce bije, nie mogę wytrzymać. Wstałem wreszcie i poszedłem - widzę, na lewo okno na ogród otwarte; podchodzę, żeby posłuchać, czy żywy jeszcze tam siedzi, czy nie. Słyszę, że pan rzuca się i wzdycha, a więc żywy. „Ech” - myślę sobie. Podchodzę do okna, wołam: „To ja niby.” A on do mnie: „Był, był, uciekł!” Że niby Dymitr Fiodorowicz, znaczy, był. „Grzegorza zabił!” „Gdzie?” - szepczę. „Tam w kącie” - pokazuje, sam też szepcze. „Niech pan poczeka” - mówię. Poszedłem tam szukać i pod płotem natknąłem się na Grzegorza Wasiliewicza: był cały we krwi i nieprzytomny. „Więc faktycznie był tu Dymitr Fiodorowicz” - pomyślałem sobie i od razu postanowiłem skończyć z tym wszystkim, bo Grzegorz Wasiliewicz, choćby był żywy, to i tak nieprzytomny i nic nie zobaczy. Jedno tylko ryzyko było: że Marfa Ignatiewna nagle się obudzi. Poczulem to w tej samej chwili, tylko że już chętką mnie taka wzięła, aż dech zaparło. Wróciłem pod okno do pana i mówię: „Ona tu przyszła, Agrafieną Aleksandrowną przyszła, chce wejść.” A on cały aż zadrżał, jak dziecko. „Gdzie ona? Gdzie?” - tak wzdycha, a sam jeszcze nie wierzy. „Tam, powiadam, stoi, niech pan ino otworzy!” Patrzy na mnie przez okno, wierzy i nie wierzy, a boi się otworzyć. „Mnie się już boi” - myślę sobie. I śmieszne to: nagle zacząłem te same znaki stukać w futrynę, że niby to Gruszeńka przyszła, stukam, a on widzi, że stukam. Słowu nie wierzył, a jak znaki wystukałem, od razu otworzył drzwi. Ano otworzył. Ja wszedłem, a on stoi, zagroził drogę: „Gdzie ona, gdzie ona?” - patrzy na mnie i trzęsie się. Ano myślę: „Jak i mnie się tak boi, to źle!” I tu mi nawet nogi osłabły ze strachu samego, że nie wpuści mnie do pokoju albo krzyknie, albo Marfa Ignatiewna przyleci, albo co innego wyjdzie, nie pamiętam już co, sam stałem blady, szepczę mu: „Ależ tam, tam ona stoi, pod oknem, jak to, pan nie widzi?” „To ją przyprowadź!” „Boi się, powiadam, krzyku się złąkła, schowała się za krzakiem, niech pan idzie, zawoła, powiadam, sam, z gabinetu.” Pobiegł, podszedł do okna, świeczkę na oknie postawił. „Gruszeńka, krzyczy, Gruszeńka, jesteś tu?” Sam tak krzyczy, a wychylić się z okna nie chce, ode mnie odsunąć się nie chce, z tego strachu, bo już bardzo się mnie złąkł i dlatego odejść nie śmiał. „Tam ona, powiadam (sam podszedłem od okna i wychyliłem się), tam za krzakiem, śmieje się

do pana, widzi pan?” Uwierzył nagle, cały się zatrząsł, okropnie był zakochany, i cały się wysunął. Złapałem ten mosiężny przycisk, co na stole stał, pamięta pan, chyba ze trzy funty ważył, zamachnąłem się i z tyłu go w ciemność kaniem. Nie krzyknął nawet. Tylko naraz siadł, a ja drugi raz i trzeci. Za trzecim poczułem, że zgruchotałem. Pan się nagle przewrócił i zwałił na wznak, cały we krwi. Obejrzałem się: nie ma na mnie krwi, nie bryznęło, przycisk wytarłem, położyłem na miejsce, poszukałem za obrazami, pieniądze z koperty wyjąłem, a kopertę rzuciłem na podłogę, i wstążeczkę różową też. Wszedłem do ogrodu, trzęsąc się cały. Doszedłem wprost do jabłoni z dziuplą, zna pan tę dziuplę, wypatrzyłem ją już dawniej, leżała tam szmatka i papier, przedtem przyszykowałem; zawiązałem całe pieniądze w papier, a potem w szmatkę i wetknąłem głęboko. W ten sposób leżały tam ze dwa tygodnie te pieniądze, potem po wyjściu ze szpitala wyjąłem je. Wróciłem do siebie, położyłem się do łóżka i myślę sobie ze strachem: „Jeśli Grzegorz Wasiliewicz jest zabity, to wtedy coś złego może się przytrafić, a jeśli nie zabity i obudzi się, to wszystko będzie dobrze, bo będzie faktycznie świadkiem, jak Dymitr Fiodorowicz przychodził, czyli że on zabił i on pieniądze zabrał.” Z tego wątpienia i niecierpliwości zacząłem stękać, żeby Marfę Ignatiewnę czym prędzej obudzić. Wstała wreszcie, podbiegła ku mnie i jak zobaczyła nagle, że nie ma Grzegorza Wasiliewicza, to wybiegła i wrzasnęła na cały ogród. No i później wszystko się zaczęło, a ja już byłem całkiem spokojny.

Umilkł. Iwan słuchał go cały czas w milczeniu, nie ruszając się, nie spuszczać z niego oka. Smierdiakow chwilami tylko zerkał na niego z ukosa. Skończywszy zaś opowieść, widocznie sam się zdenerwował. Dyszał ciężko, twarz pokryła się potem. Nie można było jednak zgadnąć, czy czuje skruchę, czy co innego.

- Poczekaj - zastanawiając się nad czymś, podjął Iwan. - A drzwi? Jeśli tylko tobie otworzył drzwi, to jakże Grzegorz mógł je widzieć otwarte? Bo przecie Grzegorz widział je przed tobą?

Rzecz dziwna: Iwan pytał najspokojniejszym głosem, jak gdyby nawet nie tym tonem, co poprzednio, bez żadnej złości. Gdyby kto w tej chwili otworzył nagle drzwi i zajrzał z progu, pomyślałby na pewno, że siedzą i przyjaźnie omawiają jakiś zwykły, chociaż interesujący temat.

- Co się tyczy tych drzwi i że Grzegorz Wasiliewicz niby to widział, że były otwarte, to jemu się tak tylko przywidziało - uśmiechnął się z grymasem Smierdiakow. - Przecie to, powiem ja panu, nawet nie człowiek, to wałach uparty. Nie widział, przywidziało mu się tylko, a nie przekonasz go żadną miarą. To już takie nasze szczęście, że sobie uroił, bo to już do reszty zgubi Dymitra Fiodorowicza.

- Posłuchaj - odezwał się naraz Iwan Fiodorowicz, jakby znowu stropiony i zamyślony - słuchaj... Chciałem cię jeszcze wypytać o wiele rzeczy, ale zapomniałem. Zapominam wciąż i płaczę się... Tak! Powiedz mi jedno: po coś rozerwał kopertę i zostawił na podłodze? Dlaczegoś w kopercie nie zabrał?... Kiedy opowiadałeś, to mi się jakoś wydawało, że tak mówisz o tej kopercie, jak gdyby właśnie tak trzeba było... a teraz nie mogę zrozumieć dlaczego...

- A to ja robiłem, bo miałem powód. Bo gdyby był człowiek wiedzący i swój, jak ja na przykład, który te pieniądze sam wpierw widział i sam może zapakował, i własnymi oczami przyglądał się, jak tę kopertę zapieczętowano, to na cóż by taki człowiek, gdyby na ten przykład on zabił, zaczął wtedy po zabójstwie tę kopertę rozrywać, i to wtedy, kiedy się tak bardzo śpieszy,

wiedząc i bez tego na pewno, że pieniądze leżą w kopercie? Przeciwnie, gdyby to był taki rabuś, jak ja na ten przykład, toby zwyczajnie wsunął kopertę do kieszeni, nie rozrywając, i czym prędzej dał nogę. Całkiem inaczej Dymitr Fiodorowicz: on wiedział o kopercie tylko ze słuchu, a sam nie widział, i kiedy wyjął na ten przykład niby że spod materaca, to czym prędzej rozerwał, aby sprawdzić: są pieniądze czy nie ma? A kopertę rzucił, jeszcze tego nie miarkując, że zostanie się poszlaka, dlatego że niezwykajny i wpierv nigdy jawnie nie kradł, bo przecie szlachcic rodowy, a jeżeli teraz ważył się ukraść, to właśnie jakby nie kradnąc, tylko swoje własne pieniądze odbierając, bo i po całym mieście o tym rozpowiadał, i nawet chwalił się na głos przed wszystkimi, że pójdzie i własność swoją od Fiodora Pawłowicza odbierze. Ja tę samą myśl powiedziałem prokuratorowi przy badaniu, nie tak całkiem wyraźnie, ale jakby pośrednio, że niby to ja nie rozumiem, że niby to on sam ten fakt wymyślił, a nie że ja mu podpowiedziałem. Toteż nawet panu prokuratorowi ślinka z ust pociekła.

- I to wszystko tam na miejscu obmyśliłeś? - zawołał Iwan Fiodorowicz, nie posiadając się z podziwu. Znowu patrzył na Smierdiakowa z lękiem.

- Za przeproszeniem pańskim, czy można takie rzeczy wymyślić w pośpiechu? Wszystko z góry było obmyślane.

- No... no, to znaczy, że sam diabeł ci pomagał! - zawołał znowu Iwan Fiodorowicz. - Nie, tyś nie głupi, o wiele jesteś mądrzejszy, niż myślałem...

Wstał, aby się przejść po pokoju. Był okropnie zgnębiony. Ale ponieważ stół zagradzał drogę i trzeba było przepchać się między stołem i ścianą, więc poniechał zamiaru, pokręcił się tylko i znowu usiadł. I to, że nie mógł się przejść, nagle go jakoś zirytowało; z poprzednią wściekłością wrzasnął raptem:

- Słuchaj, nieszczęsny, podły człowieku! Czy ty nie pojmujesz, że jeżeli nie zabiłem cię do tej pory, to tylko dlatego, że chcę cię zachować do jutrzejszej rozprawy? Bóg mi świadkiem (Iwan podniósł rękę), może i ja zawiniłem, może istotnie miałem ukrytą chęć, żeby... ojciec umarł, ale przysięgam ci, nie zawiniłem tak, jak ty myślisz, i wcale cię nie zachęcałem. Nie, nie, nie zachęcałem. Ale wszystko jedno, jutro sam siebie oskarżę, jutro w sądzie, tak postanowiłem! Wszystko powiem, wszystko. Ale pójdziemy do sądu razem! I cokolwiek zeznasz przeciwko mnie w sądzie, cokolwiek powiesz - przyjmuję i nie boję się ciebie; sam wszystko potwierdzę! Ale i ty musisz przyznać się przed sądem! Musisz, musisz, pójdziemy razem! Tak będzie!

Powiedział to energicznie i uroczyście, i widać było z jego płonącego spojrzenia, że tak w istocie będzie.

- Chory pan jest, widzę, że całkiem chory. Żółte oczy - odezwał się Smierdiakow, ale bez szyderstwa, jakby nawet z ubolewaniem.

- Razem pójdziemy! - powtórzył Iwan. - A jak nie pójdiesz, to sam się przyznam.

Smierdiakow milczał, jakby namyślając się.

- Nic z tego nie będzie i pan wcale nie pójdzie - zdecydował wreszcie bezapelacyjnie.

- Ty mnie nie rozumiesz! - zawołał Iwan z wyrzutem.

- Za bardzo będzie panu wstyd, jeśli pan się do wszystkiego przyzna. A prócz tego to się na nic nie zda, na nic, bo ja od razu powiem, że wcale z panem o tym nie mówiłem i że pan albo bardzo chory (a na to pan wygląda), albo już tak panu żal braciszka, że chce pan za niego karę ponieść, a mnie pan skarży, bo przecie pan i tak całe życie mnie uważał za robaka, a nie za człowieka. No i kto panu uwierzy, i jaki pan ma faktycznie dowód?

- Słuchaj, te pieniądze pokazałeś mi teraz oczywiście po to, aby mnie przekonać.

Smierdiakow zdjął z paczek tom *Izaaka Sirina* i położył go z boku.

- Te pieniądze niech pan weźmie i z sobą zabierze - westchnął Smierdiakow.

- Rozumie się, że zabiorę! Ale dlaczego mi oddajesz, skoroś dla nich zabił? - rzekł Iwan i popatrzył nań z wielkim zdziwieniem.

- Nie trzeba mi ich całkiem - odparł drżącym głosem Smierdiakow machnąwszy ręką. - Była taka dawniej myśl, że z tymi pieniędzmi rozpocznę nowe życie w Moskwie albo lepiej za granicą, takie marzenie było, a najbardziej dlatego, że „wszystko jest dozwolone”. To pan mnie tak nauczył, bo i wiele mi pan wtedy tego naopowiadał: bo i jak Boga Wszechmocnego nie ma, to nie ma i żadnej cnoty, i w takim razie całkiem jest niepotrzebna. Prawdę pan mówił. Tak sobie to wyłożyłem.

- Swoim rozumem doszedłeś? - uśmiechnął się Iwan z grymasem.

- Pod pańskim kierownictwem.

- A więc teraz w Boga uwierzyłeś, skoro pieniądze zwracasz?

- Nie, nie uwierzyłem - szepnął Smierdiakow. - Więc po co oddajesz?

- Dostyc... nie ma co - machnął ręką Smierdiakow. - Pan sam wciąż mówił, że wszystko dozwolone, a dlaczego to teraz pan taki zatrwożony? Nawet chce pan iść i sam się oskarżyć - pewnym i twardym głosem rzekł Smierdiakow.

- Zobaczysz!

- Tak nie będzie. Pan bardzo mądry. Pieniądze to pan kocha, ja wiem, honory też pan kocha, bo bardzo pan dumny, wdzięki kobiecie to pan nad wyraz kocha, a najbardziej to żyć w spokojnym dostatku, i żeby nikomu się nie kłaniać - to najbardziej ze wszystkiego. Nie zechce pan przecie życia sobie na wieki popsuć, biorąc na siebie taką hańbę w sądzie. Pan faktycznie jak Fiodor Pawłowicz, najbardziej pan ze wszystkich dzieci w niego się wdał, jedna dusza.

- Niegłupiś - rzekł Iwan, jak gdyby uderzony tymi słowami; krew uderzyła mu do głowy. - Dawniej myślałem, że jesteś głupi. Teraz jesteś poważny! - dodał, inaczej jakoś niż zawsze patrząc

na Smierdiakowa.

- Z pychy pańskiej myślał pan, że jestem głupi. Niech pan weźmie pieniądze.

Iwan wziął trzy paczki banknotów i wsunął do kieszeni nie zawijając nawet w papier.

- Jutro w sądzie pokażę - rzekł.

- Nikt tam panu nie uwierzy, bo i pieniędzy to panu i bez tego teraz nie brak, wyjął pan więc ze szkatułki i przyniósł.

Iwan wstał.

- Powtarzam ci, jeśli cię nie zabiłem, to tylko dlatego, że jesteś mi jutro potrzebny, zapamiętaj to sobie, nie zapomnij!

- No cóż, niech pan zabije. Niech pan teraz zabije - dziwnie jakoś powiedział Smierdiakow, równie dziwnie patrząc na Iwana. - Nie odważy się pan i na to - dodał z gorzkim uśmiechem - na nic się pan nie odważy, wprzód tak odważny człowieku!

- Do jutra! - zawołał Iwan i ruszył z miejsca.

- Niech pan poczeka... niech mi pan jeszcze raz pokaże. Iwan wyjął banknoty i pokazał mu. Smierdiakow patrzył na nie przez dziesięć sekund.

- No, niech pan idzie - rzekł machnąwszy ręką. - Iwanie Fiodorowiczu! - zawołał za nim znowu.

- Czego chcesz? - odwrócił się na chwilę Iwan.

- Żegnaj pan!

- Do jutra! - zawołał znowu Iwan i wyszedł z izby.

Zamieć jeszcze nie ucichła. Pierwsze kroki przeszedł Iwan raźnie, ale potem zaczął się jakoś zataczać. „To fizyczne” - pomyślał z uśmiechem. Na jego duszę spłynęła jakaś radość. Poczł w sobie bezgraniczną niezłomność: skończyły się wahania, które tak strasznie męczyły go ostatnimi czasy! Postanowienie zapadło „i już się nie zmieni” - pomyślał przejęty szczęściem. W tej chwili potknął się o coś i omal nie przewrócił. Zatrzymał się i zobaczył u swoich nóg chłopka, którego niedawno przewrócił, a który leżał wciąż nieruchomo na tym samym miejscu. Śnieżyca całkiem już zasypała mu twarz. Iwan nagle chwycił go i wciągnął na plecy. Ujrawszy z dala światelko podszedł, zapukał w okiennice i wywołał człowieka, który tam mieszkał. Przyrzekł mu trzy ruble za fatygę w zamian za pomoc w zanieśieniu chłopka do cyrkułu. Nie będę szczegółowo opisywał, jak Iwan Fiodorowicz wykonał swój zamiar, jak dowlókl chłopka do cyrkułu i postarał się o pomoc lekarską, nie żałując oczywiście pieniędzy. Powiem tylko, że zajęło mu to całą godzinę. Ale był bardzo, mimo straty czasu, zadowolony. Myśl jego nieustannie pracowała: „Gdyby moje postanowienie nie było tak stanowcze - pomyślał nagle z rozkoszą - to bym nie zajmował się całą godzinę chłopem, poszedłbym dalej i tylko plunął na to, że zamarznie na śmierć... Ale jak ja jeszcze potrafię siebie obserwować! -

pomyślał z jeszcze większą rozkoszą. - A oni już tam orzekli, że dostaję obłądu!” Zbliżając się do domu, zatrzymał się pod wpływem nowego pytania: „Czy nie trzeba teraz, już iść do prokuratora i wszystko powiedzieć?” Rozstrzygnął to natychmiast idąc dalej w kierunku domu: „Jutro już wszystko razem!” - szepnął do siebie i rzecz dziwna, cała radość, prawie całe zadowolenie z siebie momentalnie przysło. Kiedy zaś wchodził do swego pokoju, ziąb jakiś lodowaty zmroził mu serce - niby wspomnienie albo raczej przypomnienie czegoś męczącego i szkaradnego, co się znajduje w tym właśnie pokoju, właśnie teraz, co zresztą było i przedtem. Zmęczony osunął się na kanapę. Stara służąca przyniosła samowar; zaparzył herbatę, ale nawet jej nie tknął, starą zaś odprawił do jutra. Siedział na kanapie i czuł zawrót głowy. Czuł, że jest chory i bezsilny. Zdrzemnął się, ale po chwili wstał niespokojnie i przeszedł się po pokoju, aby spędzić sen z powiek. Chwilami wydawało mu się, że majaczy. Lecz nie choroba zajmowała go najbardziej; usiadłszy znowu, rozglądał się chwilami dokoła, jak gdyby czegoś wypatrywał. Powtórzyło się to kilkakrotnie. Wreszcie spojrzenie jego utknęło w jednym punkcie. Iwan uśmiechnął się, lecz rumieniec gniewu zalał mu twarz. Długo siedział na swoim miejscu, mocno podpierając głowę rękami, i wciąż patrzył z ukosa na ów punkt, na kanapę stojącą pod przeciwległą ścianą. Widać coś tam go drażniło - jakaś rzecz - niepokoiło, męczyło.

## IX

### DIABEŁ. ZMORA IWANA FIODOROWICZA

Nie jestem lekarzem, a jednak czuję, że nastąpiła chwila, kiedy muszę bezwzględnie choć w części wyjaśnić czytelnikowi rodzaj choroby Iwana Fiodorowicza. Uprzedzając fakty, powiem tylko jedno: tego wieczoru był on w stanie bezpośrednio poprzedzającym zapalenie mózgu - choroby, która wreszcie zmoęła jego od dawna już rozstrojony, ale uporczywie opierający się organizm. Nie mając pojęcia o medycynie, zaryzykuję jednak przypuszczenie, że istotnie, zdołał straszliwym wysiłkiem woli odwlec na pewien czas chorobę, sądząc, ma się rozumieć, że jej całkiem zapobiegnie. Wiedział, że jest niezdrów, ale ze wstrętem i niechęcią myślał, że rozchoruje się teraz właśnie, kiedy następują rozstrzygające chwile jego życia, kiedy trzeba być gotowym wypowiedzieć swoje słowo śmiało i stanowczo i „oczyszczyć się przed sobą”. Był już zresztą u nowego doktora, sprowadzonego z Moskwy przez Katarzynę Iwanownę na skutek któregoś z jej kaprysów, o czym już wspominałem. Doktor wysłuchał go, zbadał i stwierdził rozstrój nerwowy i nawet ani trochę się nie dziwił, gdy Iwan wyznał mu ze wstrętem, że miewa halucynacje. „Halucynacje w tym stanie, w jakim pan się znajduje, są bardzo możliwe - orzekł lekarz - chociaż trzeba by je sprawdzić... w ogóle zaś trzeba koniecznie rozpocząć poważną kurację nie zwlekając ani chwili, bo inaczej będzie źle.” Ale Iwan Fiodorowicz, pożegnawszy go, nie posłuchał rozumnej rady i nie położył się do łóżka. „Chodzę przecie, siły są jeszcze, jak się zwalę, to co innego, wtedy niech mnie leczy, kto chce” - zdecydował machnąwszy ręką. A więc siedział teraz, uświadamiając sobie, że ma gorączkę, i jak już mówiłem, uporczywie wpatrując się w jakiś przedmiot na kanapie, stojącej pod przeciwległą ścianą. Tam nagle okazało się, że siedzi ktoś, kto Bóg wie jak wszedł, bo nie było go jeszcze w pokoju, gdy Iwan Fiodorowicz wrócił od Smierdiakowa. Był to jakiś pan albo, wyrażając się dokładniej, określonego rodzaju rosyjski dżentelmen, już niemłody, *qui frisait la cinquantaine*[21] - jak mówią Francuzi, z niezbyt widoczną siwizną w ciemnych, dosyć długich i gęstych jeszcze włosach i w bródce, ostrzyżonej w

klin. Miał na sobie jakiś brązowy tużurek, widocznie od lepszego krawca, ale już zniszczony, uszyty zapewne trzy lata temu i całkiem już niemodny - żaden zamożny światowiec od dwóch lat nie nosił takiego fasonu. Koszula, długi halsztuk w kształcie szarfy, wszystko było takie jak u wszystkich szykownych dżentelmenów, ale wystarczyło przyjrzeć się bliżej, aby stwierdzić, że koszula była już mocno przybrudzona, a szeroka szarfa porządnie wytarta. Kraciaste spodnie leżały znakomicie, ale były znowu za jasne i jakieś za wąskie - takich się już teraz nie nosi, podobnie miękki, biały pilśniowy kapelusz, nieodpowiedni na tę porę roku. Słowem, przyzwoita prezencja, świadcząca jednak o bardzo słabych zasobach kieszeni. Miało się wrażenie, że dżentelmen należy do kategorii byłych wydelikacowanych ziemian, którzy mieli się znakomicie za czasów poddaństwa; zapewne niejedno widział, obracał się w przyzwoitym towarzystwie, miał kiedyś pewne stosunki, które zachował może i do tej pory; ale po wesołym życiu w młodości, po niedawnym zniesieniu poddaństwa biedniał i stopniowo przedzierzgnął się jak gdyby w eleganckiego rezydenta, włóczącego się po domach dobrych, starych znajomych i przyjmowanego ze względu na jego zgodne usposobienie, a także i ze względu na to, że był to bądź co bądź człowiek wytworny, że można go było posadzić za stołem nawet przy najwytworniejszych gościach, oczywiście na szarym końcu. Tacy rezydenci, dżentelmeni o zgodnym usposobieniu, którzy w razie potrzeby potrafią poprowadzić rozmowę lub zagrać w karty, bardzo niechętnie przyjmujący jakiegokolwiek zlecenia, jeśli je im narzucać, zazwyczaj rekrutują się spośród ludzi samotnych, kawalerów lub wdowców, często nawet mających dzieci; dzieci te zawsze wychowują się gdzieś daleko poza domem, u jakichś ciotek, o których dżentelmen prawie nigdy nie wspomina w przyzwoitym towarzystwie, jak gdyby wstydząc się takiej paranteli. Tacy panowie stopniowo coraz bardziej odzwyczajają się od swych dzieci, otrzymują od nich bardzo rzadko, bo zaledwie na imieniny i na Boże Narodzenie, powinszowania i jeszcze rzadziej odpisują. Fizjonomia niespodzianego gościa była nie tyle dobroduszną, co zgodną i gotową, stosownie do okoliczności, do wszelkich uprzejmych min. Nie widać było, aby miał zegarek, natomiast na czarnej wstążce wisiało szylkretowe lorgnon. Na środkowym palcu prawej ręki miał masywny złoty pierścień z niedrogim opalem. Iwan Fiodorowicz był zły i milczał, nie chciał wszczynać rozmowy. Gość czekał i siedział właśnie niby rezydent, który dopiero co zszedł z wyznaczonego mu pokoju na dół, na herbatkę, aby dotrzymać gospodarzowi towarzystwa - lecz milczy posłuszenie, bo gospodarz, zajęty i zasepiony, o czymś myśli; gotów jest jednak wszcząć każdą uprzejmą rozmowę, skoro tylko gospodarz przerwie milczenie. Naraz na jego twarzy odmalowała się jak gdyby jakaś niespodziana troska.

- Posłuchaj - odezwał się do Iwana Fiodorowicza - wybacz, chciałem ci przypomnieć: poszedłeś przecie do Smierdiakowa po to, aby dowiedzieć się o Katarzynie Iwanownie, i nic się nie dowiedziałeś, pewno zapomniałeś...

- Ach, tak! - zawołał Iwan i zasepił się. - Tak, zapomniałem.. Zresztą teraz to już wszystko jedno, wszystko jutro - mruknął do siebie. - Zresztą - zwrócił się z irytacją do gościa - sam bym to sobie przypomniał, bo to właśnie mnie tak trapiło! Czegoś się wyrwał, myślisz, że uwierzę, żeś to ty mi przypomniał, a nie ja sam?

- No to nie wierz - uśmiechnął się łagodnie dżentelmen. - Cóż to za wiara pod przymusem? Poza tym w kwestiach wiary żadne dowody nic nie znaczą, zwłaszcza materialne. Tomasz uwierzył nie dlatego, że zobaczył zmartwychwstałego Chystusa, lecz dlatego, że już przedtem pragnął uwierzyć. Ot na przykład spirytyści... bardzo ich lubię... wyobraź sobie, sądzą, że przyczyniają się do krzewienia



wiary, ponieważ diabli im z tamtego świata różki pokazują. „To niby ma być dowód, że tak powiem, materialny, że istnieje tamten świat.” Tamten świat i dowody materialne, baj, baj! A wreszcie jeśli nawet istnienie diabła jest udowodnione, to czy z tego wynika, że istnienie Boga też jest udowodnione? Chcę się zapisać do idealistycznego towarzystwa, będę tam w opozycji: „niby realista, ale nie materialista”, he, he!

- Słuchaj - Iwan Fiodorowicz naraz wstał. - Jestem teraz jakby w malignie... na pewno jestem w malignie... gadaj, co ci się żywnie podoba, wszystko mi jedno! Nie doprowadzisz mnie do wściekłości jak ostatnio. Tylko wstyd mi czegoś... Chcę chodzić po pokoju... Czasem cię nie widzę, nawet nie słyszę twego głosu, jak ostatnim razem, ale zawsze rozumiem, co pleciesz, ponieważ to ja, ja sam mówię, a nie ty! Nie wiem tylko, czy widziałem cię we śnie ostatnim razem, czy na jawie? Zmoczę ręcznik w zimnej wodzie i przyłożę do głowy, może znikniesz.

Iwan Fiodorowicz podszedł do kąta, wziął ręcznik, zrobił, co powiedział, i z mokrym ręcznikiem na głowie zaczął chodzić po pokoju.

- Podoba mi się, żeśmy po prostu przeszli na ty - zaczął gość.

- Głupcze! - roześmiał się Iwan. - Cóż, może na pan mam się do ciebie zwracać? Jestem teraz wesół, tylko w skroniach boli... i ciemię... tylko, proszę cię, nie filozofuj jak ostatnim razem. Jeśli nie możesz się stąd wynieść, to mów coś wesołego. Plotkuj, jesteś przecie rezydent. Jaka natrętna jest taka zmora! Ale nie boję się ciebie. Pokonam cię. Nie wywiozą mnie do domu wariatów!

- *C'est charmant*[22] - rezydent. Tak, właśnie jestem w swojej postaci. Kim jestem na ziemi, jeśli nie rezydentem? A propos, słucham cię i dziwię się trochę: jak Boga kocham, zaczynasz mnie już pomalutku uważać za coś rzeczywistego, nie tylko za swoją fantazję, jakieś się upierał zeszłym razem...

- Ani przez chwilę nie uważam cię za realną prawdę - zawołał Iwan z jakąś wściekłością. - Jesteś kłamstwem, moją chorobą, jesteś marą. Tylko nie wiem, jak cię zniszczyć, i widzę, że przez pewien czas trzeba będzie pocierpieć. Jesteś moją halucynacją. Jesteś uosobieniem mojego własnego ja, zresztą tylko jednostronnym... jesteś wcieleniem moich myśli i uczuć, ale najbardziej obmierzłych i głupich. Pod tym względem mógłbyś mnie nawet zainteresować, gdybym tylko miał więcej czasu, żeby się tobą zajmować...

- Chwileczkę, chwileczkę, zaraz cię przyłapię: wtedy pod latarnią, kiedy rzuciłeś się na Aloszę i zawołałeś: „Tyś się od niego dowiedział! Skąd wiesz, że on do mnie przychodzi?” - przecież to o mnie mówiłeś. A więc przez jedną, choćby najkrótszą nawet chwilkę wierzyłeś, że ja naprawdę istnieję - roześmiał się miękko dżentelmen.

- Tak, to była chwila słabości... ale nie mogłem ci uwierzyć. Nie wiem, czy spałem, czy chodziłem ostatnim razem. Może wtedy widziałem cię tylko we śnie, wcale nie na jawie...

- A po coś tak surowo obszedł się z Aloszą? To miły chłopak; poczuwam się przed nim do winy z powodu starca Zosimy.

- Nie wymieniasz imienia Aloszy! Jak śmiesz, fagasie! - roześmiał się Iwan.

- Wymyślasz mi, a sam się śmiejesz - to dobry znak. Zresztą jesteś dziś dla mnie o wiele bardziej uprzejmy niż zeszłym razem; rozumiem dlaczego: ta wspomniała decyzja...

- Milcz! - krzyknął z wściekłością Iwan.

- Rozumiem, rozumiem, *c'est noble, c'est charmant*. Idziesz jutro bronić brata i chcesz się poświęcić... *c'est chevaleresque*[23]...

- Milcz, bo cię kopnę!

- Po części będę rad, wówczas bowiem osiągnę swój cel - skoro kopiesz, to znaczy, że wierzysz w to, iż doprawdy istnieję, przecie mary się nie kopie. Żarty na bok: cóż ja, przecież mnie wszystko jedno, wymyślaj, ile chcesz, ale lepiej być choć troszeczkę bardziej uprzejmym, choćby nawet wobec mnie. A to głupiec, a to fagas, co to za wyrażenia!

- Wymyślając tobie, sam sobie wymyślam! - znowu roześmiał się Iwan. - Ty to ja, ja sam, tylko z inną gębą. Ty mówisz to, co ja myślę... i nie potrafisz mi powiedzieć nic nowego!

- Jeżeli zgadzam się z tobą w myślach, to tylko dla mnie zaszczyt - z ugrzecznieniem i godnością odrzekł dżentelmen.

- Tylko moje złe myśli bierzesz pod uwagę, a przede wszystkim głupie. Jesteś głupi i pospolity. Jesteś strasznie głupi. Nie, ja cię nie zniosę! Co robić, co robić! - rzekł Iwan, zaciskając zęby.

- Mój przyjacielu, chcę jednak być dżentelmenem i chcę, żeby mnie za takiego uważano - zaczął gość w przystępie iście rezydenckiej, naprzód już skorej do ustępstw, dobrodusznej ambicji. - Jestem biedny, ale... nie powiem, że bardzo uczciwy, ale... zwykle w towarzystwie uchodzi za pewnik, że jestem upadłym aniołem. Jak Boga kocham, nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem mogłem być kiedyś aniołem. Jeżeli nawet kiedyś nim byłem, to tak dawno, że nie grzech o tym zapomnieć. Teraz cenię tylko swoją reputację porządnego człowieka i żyję, jak się da, starając się być przyjemnym. Szczerze kocham ludzi, o, ileż to razy rzucono na mnie potwarze! Tutaj, gdy czasami się do was przenoszę, moje życie przybiera jakby naprawdę rzeczywiste kształty, i to mi się najbardziej podoba. Przecie i ja, tak samo jak i ty, cierpię z powodu fantastyczności i dlatego właśnie lubię wasz ziemski realizm. Tu u was wszystko jest określone, tu formuła, tu geometria, a u nas zawsze jakieś nieoznaczone równania! Tutaj chodzę i marzę. Lubię marzyć. W dodatku na ziemi staję się przesądny - nie śmieć się, proszę: to mi się właśnie podoba, że staję się przesądny. Ja tu nabieram wszystkich waszych nałogów: lubię chodzić do łaźni, wyobraż sobie, i lubię parzyć się razem z kupcami i popami. Moje marzenie to - wcielić się, ale już tak ostatecznie, bezpowrotnie, w jakąś otyłą, siedmiopudową kupcową i uwierzyć w to wszystko, w co ona wierzy. Mój ideał to pójść do cerkwi i postawić w pokorze świeczkę, jak Boga kocham, naprawdę. Wtedy nastąpi kres moich cierpień. Lubię też leczyć się u was: na wiosnę była epidemia ospy, poszedłem do przytułku i kazałem sobie zaszczepić ospę - gdybyś wiedział, jaki ja tego dnia byłem zadowolony: na braci Słowian ofiarowałem dziesięć rubli!... Ale ty mnie wcale nie słuchasz. Wiesz, jesteś dziś jakiś nieswój - dodał i umilkł na chwilę. - Wiem, byłeś wczoraj u tego lekarza... no, jak się czujesz? Co ci lekarz

powiedział?

- Głupiec! - wypalił Iwan.

- Za to ty jesteś mądry. Znowu wymyślasz? Ja przecie nie ze współczucia, tylko tak. Proszę bardzo, możesz nie odpowiadać. A teraz znowu reumatyzmy...

- Głupiec - powtórzył Iwan.

- Ty znowu swoje, a ja w zeszłym roku dostałem takiego reumatyzmu, że go do tej pory wspominam.

- Diabeł ma reumatyzm?

- Czemu nie, jeżeli się czasem ucieleśniam. Przyjmuję postać ludzką, więc ponoszę też konsekwencje. Szatan *sum et nihil humanum a me alienum puto*. [24]

- Jak, jak? Szatan *sum et nihil humanum...* to wcale niegłupi koncept jak na diabła!

- Rad jestem, że ci wreszcie dogodziłem.

- A przecie wzięłeś to nie ode mnie - zauważył Iwan, jakby zaskoczony - to mi nigdy do głowy nie przychodziło, dziwne...

- *C'est du nouveau, n'est-ce pas?* [25] Tym razem postąpię uczciwie i wyjaśnię ci. Słuchaj: w snach, a zwłaszcza w koszmarach, męczących z powodu rozstroju żołądka czy z czego innego, widzi człowiek czasem taką artystyczną, taką skomplikowaną, ale realną rzeczywistość, takie wydarzenia, a nawet cały świat wydarzeń, powiązany pewną intrygą, z pewnymi niespodzianymi szczegółami, i to poczynając od najwznioślejszych waszych przejawów do ostatniego guzika na półkoszulku, że przysięgam ci, Lew Tołstoj tego by nie napisał, a przecież takie sny widzą czasem niekoniecznie pisarze, lecz najprzeciętniejsi ludzie, urzędnicy, felietoniści, popi... Co do tego powstało nawet całe zagadnienie: pewien minister przyznał mi się nawet pewnego razu, że najlepsze myśli przychodzą mu do głowy we śnie. Tak samo i teraz. Chociaż jestem twoją halucynacją, ale jak i w koszmarze mówię rzeczy oryginalne, jakie ci dotychczas nie przychodziły do głowy, toteż nawet wcale nie powtarzam twoich myśli, jestem tylko twoją zmorą, niczym więcej.

- Kłamiesz. Celem twoim jest właśnie to, aby mnie przekonać, że istniejesz niezależnie ode mnie, że nie jesteś wcale moją zmorą, a teraz znowu sam potwierdzasz, że jesteś tylko snem.

- Przyjacielu, dziś stosuję szczególną metodę, potem ci to wytłumaczę. Poczekaj, na czym to stanąłem? A tak, więc przeziębilem się wówczas, tylko że nie u was, lecz jeszcze tam...

- Gdzie „tam”? Powiedz, długo jeszcze u mnie będziesz, nie możesz odejść? - zawołał Iwan niemal w rozpacz.

Przestał chodzić z kąta w kąt, usiadł na kanapie, znowu oparł się łokciami o stół i chwycił się za głowę. Zerwał z niej mokry ręcznik i ze złością odrzucił: widocznie kompres nie pomagał.

- Masz rozstrojone nerwy - zauważył dżentelmen z niedbałą, ale mimo to bardzo przychylną miną - gniewasz się na mnie nawet o to, że mogłem się zaziębić, a tymczasem stało się to w sposób najzupełniej normalny. Spieszyłem wtedy na pewne dyplomatyczne przyjęcie do pewnej bardzo wpływowej petersburskiej damy. Rozumiesz, frak, biały halsztuk, rękawiczki, a tymczasem byłem jeszcze Bóg wie gdzie i żeby dostać się do was na ziemię, musiałem przelecieć przestrzeń... oczywiście to tylko mgnienie, ale przecie i promień słoneczny idzie do was osiem minut, a tu, wyobraź sobie, we fraku i wyciętej kamizelce. Duchy nie marzną, ale skoro się już wcielią, to... słowem, postąpiłem lekkomyślnie, zaś w tych przestworzach, w eterze, w tej ciemności, co to unosiła się nad wodami - taki tam mróz, właściwie nie mróz, tego już mrozem nazwać nie można: przedstaw sobie - sto pięćdziesiąt stopni poniżej zera! Znasz zabawę wiejskich dziewczuch: na trzydziestostopniowym mrozie proponują frycowi liźnąć siekiere; język w mig przymarza i gamoń do krwi zdiera z niego skórę; to przy trzydziestu stopniach, a przy stu pięćdziesięciu, myślę, że dość palec przyłożyć do siekiery, żeby go stracić, oczywiście... gdyby tam mogła znaleźć się siekiera...

- A czy tam może znaleźć się siekiera? - przerwał Iwan Fiodorowicz niedbale i zjadliwie.

Bronił się ze wszystkich sił, aby nie uwierzyć w swoje majaczenie i nie wpaść całkowicie w obłąd.

- Siekiera? - powtórzył gość ze zdziwieniem.

- No tak, co się tam stanie z siekierą? - zawołał nagle Iwan Fiodorowicz z jakimś wściekłym uporem.

- Co stanie się w przestworzach z siekierą? *Quelle idee!*[26] Jeśli trafi w oddalone strefy, myślę, że zacznie krążyć dokoła ziemi, sama nie wiedząc po co, w postaci satelity. Astronomowie wyliczą wschód i zachód siekiery. Gatcuk wpisze do kalendarza, i tyle.

- Głupi jesteś, strasznie głupi! - rzekł przekornie Iwan. - Zmyślaj mądrzej, bo nie będę cię słuchał. Chcesz pokonać mnie realizmem, przekonać, że istniejesz naprawdę, ale ja nie chcę uwierzyć, że istniejesz! Nie uwierzę!

- Ależ ja nie zmyślam, wszystko to prawda: niestety, prawda niemal zawsze jest niedowcipna. Widzę, że stanowczo spodziewasz się po mnie czegoś wielkiego i, być może, pięknego. Wielka szkoda, ponieważ daję tylko to, co mogę...

- Nie filozofuj, ośle!

- Cóż to za filozofia, kiedy całą prawą stroną nie władam, stękam i jęczę. Zasięgałem porad u wszystkich lekarzy: rozpoznać umieją wybornie, wszystkie choroby wyliczą ci na palcach, a wyleczyć nie potrafią. Nadarzył się tu pewien studencik entuzjasta: „Jeśli pan, powiada, nawet umrze, to będzie pan przynajmniej wiedział dokładnie, na jaką chorobę pan umarł!” Inna znowu ich maniera to wysyłać do specjalisty: my niby to tylko rozpoznajemy, a w ogóle to niech pan jedzie do takiego a takiego specjalisty, on pana wyleczy. Zupełnie, ale to zupełnie, powiadam ci, znikł dawny lekarz, który leczył wszystkie choroby, teraz istnieją tylko specjaliści i wszyscy ogłaszają się w gazetach. Zaboli cię nos, wysyłają cię do Paryża: tam niby europejskiej sławy specjalista leczy nos.

Przyjedziesz do Paryża, zbada ci nos: „Ja panu, powiada, tylko prawe nozdrze potrafię wyleczyć, bo lewego nie lecę, to nie moja specjalność, niech pan potem jedzie do Wiednia, tam specjalista wyleczy panu lewe.” Co masz robić? Zastosowałem ludowe leki: pewien Niemiec lekarz poradził mi, żebym w łaźni na półce natarł się miodem z solą. Poszedłem tylko po to, aby jeszcze raz wyparzyć się w łaźni: cały się wysmarowałem, lecz żadnej korzyści. Z rozpaczyny napisałem do hrabiego Mattei do Mediolanu; przysłał mi książkę i krople, Bóg z nim. I wyobraź sobie, ekstrakt słodowy Hoffa pomógł! Kupiłem przypadkowo, wypilem półtorej szklanki, i jakby ręką odjął! Postanowiłem ogłosić „podziękowanie” w gazetach, uczucie wdzięczności przemówiło, i oto, wyobraź sobie, cała historia się zaczyna - w żadnej gazecie nie chcą wydrukować! „To nie będzie postępowe, mówią, nikt nie uwierzy, *le diable n'existe point*[27] Niech pan, radzą mi, wydrukuj anonimowo.” A cóż to za „podziękowanie” - anonimowe! Żartuję z urzędnikami: „To w Boga, powiadani, wierzyć w naszych czasach jest niepostępowo, ale ja przecie jestem diabłem, we mnie można.” „Rozumiemy, powiadają, któż to w diabła nie wierzy, a jednak nie wydrukujemy, to może nam kierunek wypaczyć. Chyba w formie żartu.” „No, w formie żartu, pomyślałem sobie, to będzie niezbyt dowcipnie.” I nie wydrukowali. I czy dasz wiarę, mam to nawet dotąd na sumieniu. Najlepsze uczucia, jak na przykład wdzięczność, są mi formalnie wzbronione jedynie z powodu mojego socjalnego stanowiska.

- Znowu wdajesz się w filozofię? - nienawistnie rzekł Iwan zaciskając zęby.

- Uchowaj Boże, ale przecie nie można się czasem nie skarżyć. Jestem człowiekiem oczernionym. O, ty mi mówisz co chwila, że jestem głupi. Od razu widać, żeś młody. Przyjacielu, nie chodzi o sam rozum! Z natury jestem dobry i wesoły, ja przecie też wyczyniałem różne „wodewile”. Zdaje się, że zdecydowanie uważasz mnie za podstarzałego Chlestakowa, a przecież mój los jest o wiele poważniejszy. Na mocy jakiegoś przedwiecznego wyroku, którego nigdy nie mogłem pojąć, przeznaczono mi „przeczyć”, gdy w istocie jestem naprawdę dobry i w ogóle niezdolny do przeczenia. „Nie, idź przeczyć, bez przeczenia nie będzie przecie krytyki, a cóż to za pismo, które nie ma działu krytycznego?” Bez krytyki będzie tylko „hosanna”. Ale do życia mało samej tylko „hosanny”, trzeba, żeby „hosanna” przeszła przez kuźnię zwątpień, no i tak dalej w tym sensie. Zresztą nie wdaję się w to wszystko, nie ja to stworzyłem, nie ja za to odpowiadam. No i wybrali kozła ofiarnego, kazali mu pisać w dziale krytycznym i wyszło życie. My rozumiemy tę komedię: ja na przykład po prostu wymagam dla siebie unicestwienia. „Nie, żyj, powiadają, ponieważ bez ciebie nic nie będzie. Gdyby na ziemi wszystko było rozsądnie urządzone, to nic by się nie wydarzyło. Bez ciebie nie będzie żadnych wydarzeń, a trzeba, żeby były wydarzenia.” Więc służę z zaciśniętymi zębami, żeby były wydarzenia, i robię rzeczy nierozumne, tak jak mi kazano. Ludzie uważają tę całą komedię za coś poważnego, nawet mimo swej niezaprzeczonej mądrości. To stanowi ich tragedię. No i cierpią, oczywiście, lecz... bądź co bądź żyją za to, żyją realnie, nie fantazjują, bo cierpienie to właśnie życie. Bez cierpienia jakaż by z życia była przyjemność; wszystko obróciłoby się w jedno nie kończące się nabożeństwo: święte, ale dość nudne. No a ja? Ja cierpię, a mimo to nie żyję. Jestem niewiadomą w równaniu nieoznaczonym. Jestem jakąś marą życia, która zgubiła wszystkie końce i początki, i nawet sam zapomniałem, jak się nazywam. Śmiejesz się... nie, ty się nie śmiejesz, ty się znowu złościsz. Wiecznie się złościsz, rozumu byś tylko chciał, a przecie znowu ci powtarzam, że dałbym całe nadgwiezdne życie, wszystkie honory i rangi za to tylko, aby się wcielić w duszę siedmiopudowej kupcowej i stawiać Bogu świeczki.

- To i ty w Boga już nie wierzysz? - uśmiechnął się z nienawiścią Iwan.

- To znaczy, jak by ci tu powiedzieć, jeśli ty rzeczywiście na serio...

- Jest Bóg czy nie ma? - zawołał Iwan z gniewną natarczywością.

- A więc serio? Mój drogi, jak Boga kocham, nie wiem, po co to gadać.

- Nie wiesz, a Boga widzisz? Nie, ty nie jesteś sam przez się, ty - to ja, ty jesteś ja i nic więcej! Jesteś śmieciem, jesteś moją fantazją!

- Jeśli chcesz, mogę się zgodzić z twoją filozofią, tak będzie sprawiedliwie. *Je pense donc je suis*[28] to wiem na pewno, reszta zaś, wszystko, co nas otacza, wszystkie te światy, Bóg, a nawet sam szatan - wszystko to dla mnie nieudowodnione i nie wiem, czy to istnieje samo w sobie, czy też to tylko moja emanacja, konsekwentne rozwinięcie mojego ja, istniejącego poza czasem i indywidualnie... słowem, prędko przerywam, bo zdaje się, że zaraz skoczysz do bitki.

- Lepiej byś opowiedział jaką anegdotkę! - rzekł Iwan z chorobliwym grymasem.

- Owszem, znam anegdotę, jest to właśnie na nasz temat, właściwie to nie anegdota, lecz taka legenda. Zarzucasz mi niewiarę: „Widzisz, lecz nie wierzysz.” No, przyjacielu, przecie nie tylko ja jestem taki, u nas tam wszyscy teraz potracili głowy, i to wszystko z powodu waszych nauk. Póki jeszcze były atomy, pięć zmysłów, cztery żywioły, no, wtedy się jeszcze wszystko jakoś kleiło. Atomy były również i w starożytności. Ale jakeśmy się dowiedzieli, że wy tam u siebie odkryliście „chemiczną molekułę” i „protoplazmę”, i diabli wiedzą co jeszcze - to stuliliśmy ogony. Zaczął się po prostu galimatias; przede wszystkim - zabobony, plotki; plotek to i u nas tyle, co i u was, nawet trochę więcej, nie brak i donosicielstwa, bo i u nas jest taki wydział, gdzie przyjmuje się wiadome „informacje”. Tak więc ta niezwykła legenda pamięta jeszcze nasze wieki średnie - nie wasze, lecz nasze - i nikt w nią nie wierzy nawet u nas, prócz siedmiopudowych kupcowych, nie waszych oczywiście, lecz naszych. Wszystko, co jest u was, jest też i u nas, mogę ci po przyjacielsku zdradzić jedną naszą tajemnicę, chociaż mi nie wolno. Będzie to legenda o raj. Był, powiadają, u was na ziemi pewien taki myśliciel i filozof, „wszystko odrzucał: prawo, sumienie, wiarę”, a zwłaszcza życie przyszłe. Umarł, myślał, że idzie w mrok i w śmierć, a tu przed nim - życie przyszłe. Zdumiał się i rozgniewał: „To, powiada, sprzeciwia się moim przekonaniom.” Za to właśnie go zasądono... to znaczy, widzisz, jak by ci tu powiedzieć, powtarzam tylko to, co sam słyszałem, więc się nie gniewaj, to tylko legenda... skazano go, widzisz, aby w mroku przeszedł kwadrylion kilometrów (u nas przecie teraz na kilometry) i kiedy przejdzie ten kwadrylion, to mu otworzą wrota rajskie i wszystko przebaczą...

- A jakie jeszcze są męki u was na tamtym świecie oprócz tego kwadrylionu? - przerwał mu Iwan z jakimś dziwnym ożywieniem.

- Jakie męki? Ach, nie pytaj nawet: dawniej było i tak, i siak, a teraz zaczęły się przeważnie moralne, „wyrzuty sumienia” i inne podobne androny. To też od was przyszło, że „złagodzenia waszych obyczajów”, „No i kto na tym wygrał? Wygrali ludzie bez sumienia, bo i co mu z wyrzutów sumienia, kiedy wcale tego sumienia nie ma. Za to cierpią ludzie porządni, którzy jeszcze zachowali

sumienie i honor... Tak właśnie wyglądają reformy na nieprzygotowanym gruncie, i w dodatku żywcem ściągnięte z obcych instytucji - tylko szkodę przynoszą! Dawny ogieniek piekielny lepiej by się nadawał. No, więc ów skazany na kwadrylion postął, popatrzył i położył się w poprzek drogi: „Nie chcę iść, z pryncypialnych względów nie pójdę!” Weź duszę rosyjskiego wykształconego ateisty i zmieszaj z duszą proroka Jonasza, który dąsał się w brzuchu wieloryba trzy dni i trzy noce - będziesz miał charakter tego myśliciela, który się położył na drodze.

- Na czym się tam położył?

- No, chyba tam było na czym. Nie śmiejesz się?

- Zuch z ciebie! - zawołał Iwan, wciąż dziwnie ożywiony. Słuchał teraz z jakimś nieoczekiwanym zaciekawieniem. - No i co, i dotąd leży?

- Otóż właśnie, że nie. Przeleżał prawie tysiąc lat, a potem podniósł się i poszedł.

- Ależ osioł! - zawołał Iwan, śmiejąc się nerwowo, jak gdyby coś z wysiłkiem obmyślał. - Czy to nie wszystko jedno, leżeć wiecznie czy iść kwadrylion wiorst? Przecie to bilion lat chodzenia?

- Nawet o wiele dłużej, szkoda że nie ma ołóweczka i papieru, można by obliczyć. Ale on przecie dawno już doszedł, i tu właśnie zaczyna się anegdota.

- Jak to doszedł? Skądże wziął bilion lat?

- Ależ ty myślisz ciągle o naszej obecnej ziemi! Przecie obecna ziemia sama może bilion razy się powtarzała; no, wskrzeszała się, lodowaciała, pękała, rozsypywała się, rozkładała na elementy i znowu wody pokryły ziemię, potem znowu kometa, znowu słońce, znowu ze słońca ziemia - przecie ten proces może już nieskończoną ilość razy się powtarza, i wciąż tak samo do najmniejszego szczegółu. Arcynieprzyzwoite nudy...

- No, no, i cóż było, kiedy doszedł?

- Skoro mu więc otworzono wrota raj, skoro w nie wszedł, nie minęły dwie sekundy - i to na zegarze, na zegarze (choć jego zegarek, moim zdaniem, dawno już powinien był rozpaść się na części składowe w jego kieszeni) - nie minęły dwie sekundy, kiedy zawołał, że za te dwie sekundy nie tylko kwadrylion, ale kwadrylion kwadrylionów kilometrów przejść warto, i to nawet podniesionych do kwadrylionowej potęgi! Słowem, zaśpiewał „hosannę”, no i przesolił, tak że niektórzy bardziej szlachetnie myślący zrazu nie chcieli mu nawet ręki podać: zbyt już gwałtownie przedzierzgnął się w konserwatystę. Rosyjska natura. Powtarzam: legenda. Za co kupiłem, za to sprzedaję. Takie tam u nas mamy pojęcia o tych wszystkich rzeczach.

- Złapałem cię! - zawołał Iwan z jakąś dziecięcą niemal radością, jakby sobie ostatecznie coś przypomniał - tę anegdotę o kwadrylionie lat sam wymyśliłem! Miałem wtedy siedemnaście lat, byłem jeszcze w gimnazjum... wymyśliłem wówczas tę anegdotę i opowiedziałem koledze, nazywał się Korowkin, to było w Moskwie... Anegdota jest tak charakterystyczna, że nie mogłem jej znikąd ściągnąć. Zapomniałem o niej... ale teraz mimo woli mi się przypominała - sama mi się

przypomniała, a nie dlatego, żeś ty ją opowiadał! Tak jak tysiące rzeczy przypomina sobie człowiek niekiedy podświadomie, nagle, gdy go prowadzą na stracenie... albo we śnie. Ty właśnie jesteś tym snem! Snem jesteś, nie istniejesz!

- Z żarliwości, z jaką przecyzysz mojemu istnieniu - zaśmiał się dżentelmen - zaczynam sądzić, że jednak wierzysz we mnie.

- Wcale nie! Nie wierzę nawet w setnej części!

- Ale w tysiącznej wierzysz. Homeopatyczne dawki są może najsilniejsze. Przyznaj się, że Wierzysz, no, w dziesięciotysięcznej...

- Ani przez sekundę! - zawołał Iwan z wściekłością. - Nawet chciałbym w ciebie uwierzyć! - dodał dziwnie.

- Oho! Co za wyznanie! Ale, uważasz, dobry jestem i nawet ci dopomogę. Słuchaj, to ja ciebie złapałem, a nie ty mnie! Specjalnie opowiedziałem ci twoją własną anegdotę, o której już zapomniałeś, żebyś ostatecznie przestał we mnie wierzyć.

- Kłamiesz! Przyszedłeś po to, żeby mnie przekonać o swoim istnieniu.

- Właśnie. Ale wahania, ale niepokój, ale walka wiary z niewiarą - to czasem taka męka dla człowieka sumiennego, takiego jak ty na przykład, że lepiej się powiesić. Właśnie wiedząc, że troszeczka wierzysz we mnie, dodałem ci już ostatecznie niewiary opowiadając tę anegdotę. Wodzę cię na przemian między wiarą a niewiarą, i oczywiście nie bez celu. Nowa metoda, łaskawco. Bo kiedy zupełnie przestaniesz we mnie wierzyć, zaraz zaczniesz mnie w oczy przekonywać, że nie jestem snem, że istnieję naprawdę, już ja cię znam; wówczas to osiągnę mój cel, a cel mam szlachetny. Rzucę w ciebie tylko jedno małe ziarenko wiary, a z tego wyrośnie dąb - i to taki, że siedząc w tym dębie, zechcesz zostać jednym z „ojców pustelników i niewiast cnotliwych”, gdyż bardzo, ale to bardzo ci się tego zachciewa, szarańczą będziesz się żywił i na pustyni szukał zbawienia duszy!

- Więc aż tak, łajdaku, zabiegasz o zbawienie mojej duszy?

- Trzeba kiedyś przecie zrobić dobry uczynek. Złóścisz się, złóścisz, ja to widzę!

- Błazen! A czy złapałeś w sidła kiedy takich, co to szarańczą się żywią i po siedemnaście lat na pustyni się modlą, mchem porastają?

- Mój drogi, niczym się innym nie zajmowałem. O całym świecie i światach zapominasz, gdy do takiego się przyczepisz, bo to przecie drogocenny brylant: przecie taka jedna dusza warta czasem całej konstelacji - my mamy własną, swoistą arytmetykę. Zwycięstwo jest w końcu czegoś warte! A przecie niektórzy z nich, jak Boga kocham, nie stoją niżej od ciebie pod względem rozwoju, chociaż temu nie wierzysz: potrafią w ciągu jednego momentu kontemplować takie otchłanie wiary i zarazem niewiary, że doprawdy nieraz wydaje się, że jeszcze chwila, a człowiek polecą głową w dół, jak powiada aktor Gorbunow.



- No i co, odchodziłeś z nosem na kwintę?

- Przyjacielu - odpowiedział sentencjonalnie gość - z nosem to czasem lepiej odejść niż bez nosa, jak niedawno rzekł pewien chory markiz (zapewne leczył go specjalista) na spowiedzi ojcu jezuitcie. Byłem przy tym - po prostu zachwycający widok. „Zwróćcie mi, powiada, mój nos!” I bije się w pierś. „Synu mój - wykręca się pater - wszystko się dzieje według niezbadanych wyroków Opatrzności i wielkie nieszczęście pociąga za sobą czasem ogromny, chociaż niewidoczny dla oka profit. Jeżeli surowy los pozbawił cię nosa, to profit twój na tym polega, że nikt się już nigdy nie ośmieli powiedzieć ci, żeś odszedł z nosem na kwintę.” „Ojcie świątobliwy, to nie pocieszenie! - woła zrozpaczony penitent - wolałbym przez całe życie codziennie odchodzić z nosem na kwintę, żebym go tylko miał na właściwym miejscu.” „Synu mój - wzdycha pater - wszystkich dobrodziejstw od razu nie można żądać, to już byłby bunt przeciwko Opatrzności, która nawet w tym wypadku nie zapomniała o tobie, albowiem jeśli wołasz, jak zawołałeś przed chwilą, że z radością gotów byłbyś całe życie odchodzić z nosem na kwintę, to właściwie już pośrednio spełnia się twoje życzenie: albowiem, utraciwszy nos, odchodzisz przecie z nosem na kwintę...”

- Fe, jakie to głupie! - krzyknął Iwan.

- Mój przyjacielu, chciałem cię tylko rozśmieszyć, ale przysięgam, że to prawdziwa jezuicka kazuistyka i, przysięgam ci, wszystko to się odbyło jota w jotę, jak ci opowiedziałem. Jest to wypadek niedawny i nabawił mnie mnóstwa kłopotów. Nieszczęsny młodzieniec, wróciwszy do domu, zastrzelił się tejże nocy, nie odstępowałem go aż do ostatniej chwili... Co się zaś tyczy spowiedniczych jezuickich budek, to naprawdę są one najmiłą moją rozrywką w smutnych chwilach życia. Opowiem ci jeszcze jeden wypadek, całkiem już niedawny. Przychodzi do starego patra blondyneczka, Normandeczka, może dwudziestoletnia. Uroda, ciało - palce lizać. Nachyliła się, szepcze patrowi do dziurki swój grzech. „Cóż to, córko moja, toś ty jeszcze raz upadła? - woła pater. - O Santa Maria, co ja słyszę: już nie z tym. Więc jak długo to trwać będzie i jak ci nie wstyd!” „*Ah, mon père* - odpowiada grzesznica ze łzami skruchy. - *Ça lui fait tant de plaisir et r moi si peu de la peine!*”[29] No i wyobraź sobie, taka odpowiedź! Tu już nawet ja się zawahałem: to krzyk samej natury, to lepsze, jeśli chcesz, od niewinności! Od razu jej odpuściłem grzech i chciałem już wyjść, ale natychmiast musiałem się wrócić: słyszę, że pater przez dziurkę umawia się z nią na wieczór - a przecież stary był - taki granit, a tu w jednej chwili zmiękł! Natura, prawda natury zrobiła swoje! Co, znowu nosem kręcisz, znowu się gniewasz? Nie wiem już, jak ci dogodzić...

- Zostaw mnie, obijasz się w moim mózgu jak nieodstępna zhora - boleśnie jęknął Iwan, nie mogąc sobie poradzić z widziadłem - nudzę się z tobą, nie mogę cię znieść, dręczysz mnie! Dałbym wiele, żebym cię mógł wypędzić!

- Powtarzam: miarkuj swoje wymagania, nie żądaj ode mnie „wszelkiej wzniosłości i piękna”, a zobaczysz, jak zgodnie będziemy żyli z sobą - rzekł z przekonaniem dżentelmen. - Doprawdy, gniewasz się na mnie za to, że nie nawiedziłem cię w czerwonej aureoli, „grzmiąc i błyskając”, z osmolonymi skrzydłami, a właśnie zjawiłem się w tak skromnej postaci. Jesteś dotknięty, po pierwsze, w swoim uczuciu estetycznym, a po drugie, w ambicji: jak do tak wielkiego człowieka mógł przyjść taki pospolity diabeł? Nie, w tobie jednak płynie ta romantyczna struga, którą tak wyśmiewał już Bieliński. Cóż robić, młodzieńcze! Ot, zamierzałem, wybierając się do ciebie, zjawić

się dla żartu w postaci dymisjonowanego rzeczywistego radcy stanu, który służył na Kaukazie, ma gwiazdę Lwa i Słońca na fraku, ale bałem się naprawdę, że mnie pobijesz za to tylko, że śmiałem przypiąć Lwa i Słońce, a nie przyczepiłem przynajmniej Gwiazdy Polarnej lub Syriusza. A ty wciąż swoje, że jestem głupi. Ależ, mój Boże, nie mam wcale pretensji, by równać się z tobą pod względem rozumu. Mefistofeles, ukazując się Faustowi, oznajmił, że pragnie zła, a czyni tylko dobro. Ale on to mówił od siebie, ja zaś na odwrót. Jestem chyba jedynym człowiekiem na całej kuli ziemskiej, który kocha prawdę i szczerze pragnie dobra. Byłem przy tym, kiedy zmarłe na krzyżu Słowo wstępowało do nieba, niosąc na swoich piersiach duszę ukrzyżowanego łotra, słyszałem radosne piski cherubinów, śpiewających i wołających „hosanna”, i grzmiący krzyk zachwytów serafinów, od którego zatrzęsło się niebo i cały wszechświat. I przysięgam na wszystko, co święte, że chciałem przystać do tego chóru i krzyknąć wraz ze wszystkimi: „Hosanna!” Już wyrывało mi się z piersi... wiesz, że przecie jestem bardzo uczuciowy i wrażliwy na piękno. Ale zdrowy rozsądek - o, najbardziej fatalna właściwość mojej natury - utrzymał mnie i tu w karbach, i oto przeoczyłem okazję! „No bo cóż - pomyślałem sobie w tej chwili - cóż by wynikło z mojej «hosanny» Natychmiast by wszystko zgąsło na ziemi i skończyłyby się wszelkie wydarzenia.” I oto jedynie z poczucia obowiązku i socjalnej mojej sytuacji byłem zmuszony zdusić w sobie szlachetny poryw i zostać przy obrzydliwościach. Wszystek zaszczyt dobra ktoś sobie zabiera, a mnie zostały w udziale tylko obrzydliwości. Ale nie zazdroszczę tego honoru, nie jestem ambitny. Czemu ze wszystkich istot na świecie ja jeden tylko jestem skazany na przekleństwa wszystkich porządnych ludzi, a nawet na kopniaki, bo przecie, gdy się ucieleśniam, muszę być przygotowany i na takie konsekwencje. Wiem, że jest w tym sekret, ale tego sekretu nie chcą mi żadną miarą zdradzić, bo wtedy, domyśliwszy się, o co chodzi, mogę wrzasnąć: „Hosanna!”, i w mgnieniu oka zniknie niezbędny minus i zacznie się w całym świecie rozumny ład, i co za tym idzie, kres wszystkiego, nawet gazet i pism, bo i kto zechce je wówczas abonować! Wiem, że wreszcie pogodzę się, przejdę mój kwadrylion i dowiem się sekretu. Ale zanim to się stanie, dąsam się zacisnąwszy zęby, spełniam to, co mi przeznaczono: gubię tysiące, aby jeden się uratował. Ileż to na przykład trzeba było zdeprawować dusz i zhańbić uczciwych reputacji, żeby otrzymać tylko jednego sprawiedliwego Hioba, przeciw któremu mnie tak złośliwie niegdyś podbechtano! Nie, póki sekret nie jest znany, istnieją dla mnie tylko dwie prawdy: jedna tamta, ich, nie znana mi na razie zupełnie, a druga moja. I jeszcze nie wiadomo, która będzie uczciwsza... Zasnąłeś?

- Akurat! - jęknął ze złością Iwan - wszystko, co jest głupiego w mojej naturze, wszystko, co jest dawno przeżyte, zmielone w moim umyśle, odrzucone jak padlina - wszystko to podajesz mi teraz jako coś nowego!

- I tu spudłowałem! A już myślałem, że cię oczaruję tym literackim wykładem: ta „hosanna” w niebie przecież nieźle wypadła? Potem ten sarkastyczny ton a la Heine, co, prawda?

- Nie, nigdy nie byłem takim fagasem! Jak moja dusza mogła zrodzić takiego fagasa jak ty?

- Mój przyjacielu, znam pewnego arcyuroczego i arcyprzyjemnego rosyjskiego paniczyka: to młody myśliciel i wielki miłośnik literatury i rzeczy pięknych, autor poematu, który coś rokuje, pod tytułem *Wielki inkwizytor*. Jego tylko miałem na myśli!

- Zabraniam ci mówić o *Wielkim inkwizytorzel* - zawołał Iwan rumieniąc się ze wstydu.

- No, a *Przewrót geologiczny*? Pamiętasz? To ci dopiero poemacik!

- Milcz, bo cię zabiję!

- Mnie zabijesz? Nie, wybaczam, ale co mam do powiedzenia, powiem. Przyszedłem właśnie po to, aby się uraczyć tą przyjemnością. O, lubię marzenia moich przyjaciół, zapalczywych, młodych, rwących się do życia! „Tam są nowi ludzie - zdecydowałaś wtedy, jeszcze zeszłej wiosny, wybierając się tu. - Zamierzają zburzyć wszystko i zacząć od ludożerstwa. Głupcy, mnie się nie spytali! Moim zdaniem, nie trzeba nic burzyć, trzeba jedynie zburzyć w ludzkości ideę Boga, od tego trzeba zacząć! Od tego właśnie, od tego trzeba zacząć, o ślepcy, nic nie rozumiejący! Skoro tylko ludzkość wyrzeknie się Boga (a ja wierzę, że ten okres nastąpi, podobnie jak następują po sobie okresy geologiczne), to sam przez się, bez ludożerstwa, runie cały dawny światopogląd, a przede wszystkim cała dawna moralność, i przyjdzie wszystko nowe. Ludzie zespolą się, aby czerpać z życia wszystko, co ono dać może, ale zespolą się jedynie gwoli szczęścia i radości, i to tylko w tym życiu. Człowiek uniesie się poczuciem boskiej tytanicznej dumy i zjawi się człowiek-bóg. Nieustannie, każdej godziny zwyciężając bezgranicznie przyrodę swoją wolą i nauką, człowiek ów każdej chwili będzie odczuwał rozkosz tak wzniosłą, że zastąpi mu ona wszystkie dawne obietnice rozkoszy niebieskich. Każdy się dowie, że jest śmiertelny bez zmartwychwstania, i przyjmie śmierć dumnie i spokojnie, jak Bóg. Z dumy zrozumie, że nie ma co sarkać na to, że życie jest jednym mgnieniem, i pokocha bliźniego swego nie myśląc o nagrodzie. Miłość zaspokoi tylko mgnienie życia, ale już sama świadomość jej ulotności wzmocni jej płomień o tyle, o ile poprzednio rozpływał się on w obietnicach miłości pozagrobowej i nieskończonej...” no i tam dalej, i tam dalej w tym guście. Uroczu! Iwan siedział, zasłaniając uszy rękoma i patrząc w ziemię, ale zaczął drzeć na całym ciełe. Gość mówił dalej:

- Pytanie teraz polega na tym, myślał mój młody filozof, czy możliwe, aby taki okres kiedyś nastąpił czy nie? Jeśli nastąpi, to wszystko jest rozstrzygnięte, i ludzkość urządzi się ostatecznie. Ale ponieważ ze względu na zatwardziałą głupotę ludzką nie nastąpi to jeszcze chyba i za tysiąc lat, to każdy, kto uświadamia sobie już teraz prawdę, ma prawo urządzić się, jak mu się tylko podoba, na nowych podstawach. W tym sensie „wszystko jest dozwolone.” Mało tego: jeśli ten okres nawet nigdy nie nastąpi, to ponieważ Boga i nieśmiertelności i tak nie ma, więc nowy człowiek ma prawo stać się człowiekiem-bogiem, choćby nawet był sam na całym świecie, i oczywiście jako taki z lekkim sercem przeskoczy wszystkie moralne przeszkody dawnego niewolnika, jeśli to tylko okaże się potrzebne. Dla Boga nie ma praw! Gdzie Bóg stanie, tam już miejsce boże! Gdzie ja stanę, tam już od razu będzie pierwsze miejsce... „wszystko jest dozwolone”, i basta! To bardzo miłe; tylko jeżeli zechciał oszukiwać, to po cóż mu jeszcze sankcja prawdy? Ale taki już jest nasz współczesny człowieczek w Rosji: bez sankcji nie decyduje się nawet na oszustwo, tak bardzo ukochał prawdę...

Gość mówił coraz głośniejszym, porwany najwidoczniej własną wymową, szyderczo spoglądając na gospodarza; ale nie udało mu się skończyć: Iwan chwycił nagle szklankę ze stołu i cisnął z całej siły w oratora.

- *Ah, mais c'est bête enfin!*[30] - zawołał ów, zrywając się z kanapy i strząsając palcami krople herbaty. - Przypomniałeś sobie kałamarnicę Lutra! Uważasz mnie za sen i ciskasz szklanką w sen! Jak kobieta! Domyślałem się zresztą, że to tylko udawanie z tym zatykaniem uszu, boś ty słuchał...

Naraz rozległo się uporczywe, energiczne stukanie w ramę okienną. Iwan Fiodorowicz zerwał się z kanapy.

- Słyszysz, lepiej otwórz - zawołał gość. - To twój brat Alosza z arcyniespodzianą i ciekawą wiadomością, zapewniam cię!

- Milcz, oszuście, wiedziałem wcześniej od ciebie, że to Alosza, przeczułem go, i oczywiście przyszedł nie bez powodu, oczywiście, że z „wiadomością”! - zawołał z wściekłością Iwan.

- Otwórzże mi, otwórz. Na dworze zadymka, a on przecie jest twoim bratem. *Monsieur, sait-il le temps qu'il -fait? C'est r ne pas mettre un chien dehors...*[31]

Stukanie nie ustawało. Iwan chciał podbiec do okna, ale nagle coś jak gdyby skrępowało mu ręce i nogi. Z całej siły usiłował zerwać niewidzialne więzy - na próżno. Stukanie było coraz głośniejsze. Wreszcie jak gdyby więzy raptem pękły. Iwan Fiodorowicz zerwał się z kanapy na równe nogi. Rozejrzał się wokoło nieprzytomnie. Obie świece dopalały się, szklanka, którą dopiero co rzucił w gościa, stała na swym miejscu na stole, a na kanapie nie było nikogo. Stukanie było nadal uporczywe, ale już nie tak głośne, jak mu się to zdawało przed chwilą we śnie, przeciwnie, nawet bardzo dyskretne.

- To nie sen! Nie, przysięgam, to nie był sen, to wszystko się działo przed chwilą! - wykrzyknął Iwan Fiodorowicz, podszedł do okna i otworzył lufcik.

- Alosza, przecież kazałem ci nie przychodzić! - zawołał wściekle. - Mów krótko: czego chcesz? W dwóch słowach, rozumiesz?

- Przed godziną powiesił się Smierdiakow - odpowiedział Alosza.

- Wejdz na ganek, zaraz ci otworzę - rzekł Iwan i poszedł otworzyć drzwi.

## X „TO ON MÓWIŁ!”

Alosza wszedłszy do pokoju oznajmił Iwanowi Fiodorowiczowi, że godzinę temu przybiegła do niego Marfa Kondratiewna i powiedziała mu, że Smierdiakow popełnił samobójstwo. „Wchodzę do niego po samowar, a on na gwoździu wisi.” Na zapytanie Aloszy, czy zawiadomiła już kogo, odrzekła, że nikogo. „Pobiegłam od razu do pana, całą drogę biegłam.” Zachowywała się po prostu jak nieprzytomna, opowiadał Alosza, i drżała jak liść. Alosza natychmiast pobiegł z nią na miejsce wypadku i zastał jeszcze Smierdiakowa na stryczku. Na stole leżała kartka: „Zglądam się ze świata z własnej woli i ochoty i żeby nikogo nie winić.” Alosza zostawił tę kartkę na stole i natychmiast poszedł do sprawnika, gdzie opowiedział o wszystkim, a stamtąd „wprost do ciebie” - tymi słowami zakończył przyglądając się uważnie bratu. I przez cały czas, póki mówił, nie spuszczał z niego oka, jakby ogromnie zdumiony jego wyglądem.

- Bracie - zawołał nagle - jesteś na pewno bardzo chory! Patrzysz i jak gdyby nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

- Dobrze, żeś przyszedł - rzekł Iwan w zamyśleniu, jakby nie słysząc okrzyku Aloszy. - A przecież wiedziałem, że on się powiesił.

- Od kogo?

- Nie wiem od kogo. Ale wiedziałem. Czy wiedziałem? Tak, on mi powiedział. Przed chwilą mi mówił...

Iwan stał pośrodku pokoju, mówił w zamyśleniu, ze spuszczonej oczyma.

- Jaki on? - zapytał Alosza, mimo woli rozglądając się wokoło.

- Umknął.

Iwan podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Ciebie się zląkł, ciebie, gołębia. Ty jesteś „czystym cherubinem.” Dymitr nazywa cię cherubinem. Cherubin... Grzmiący krzyk zachwyty serafinów! Czymże jest serafin? Może całą konstelacją. A może ta cała konstelacja jest tylko jakąś chemiczną molekułą... Słuchaj, czy jest konstelacja Lwa i Słońca?

- Bracie, usiądź! - powiedział Alosza przerażony. - Usiądź, proszę cię, na kanapie. Masz gorączkę, połóż się, o tak, na poduszce. Chcesz, zrobię ci zimny okład na głowę? Może ci to ulży?

- Daj ręcznik, o tu, leży na krześle, rzuciłem tutaj.

- Tu go nie ma. Bądź spokojny, wiem, gdzie leży, to tu - rzekł Alosza, znalazłszy w drugim kącie pokoju przy stoliku z przyborami toaletowymi czysty, złożony i nieużywany ręcznik.

Iwan dziwnie popatrzył na ręcznik i jak gdyby naraz coś sobie przypomniał.

- Poczekaj - podniósł się z kanapy - godzinę temu wziąłem stamtąd ten ręcznik i zmoczyłem wodą. Przykładałem do głowy, a potem rzuciłem tu... jak on może teraz być suchy? Innego nie było.

- Przykładałeś ten ręcznik do głowy? - zapytał Alosza.

- Tak, i chodziłem po pokoju, godzinę temu... Dlaczego świece tak prędko się wypaliły, która godzina?

- Zaraz dwunasta.

- Nie, nie, nie! - krzyknął nagle Iwan - to nie był sen! On tu był, on tu siedział, o, na tej kanapie. Kiedy zastukałeś w okno, rzuciłem w niego szklanką... o, tą właśnie... Poczekaj, ja i przedtem spałem, ale ten sen nie jest snem. I przedtem to było. Mój drogi, miewam teraz takie sny... ale to nie

sny, to bywa na jawie: chodzę, rozmawiam, patrząc... ale śpię. Ale tu przecie siedział, był tu, na tej kanapie... On jest strasznie głupi, Alosza, strasznie głupi - roześmiał się naraz Iwan i zaczął chodzić po pokoju.

- Kto jest głupi? O kim ty mówisz, bracie? - znowu zapytał ze smutkiem Alosza.

- Diabeł! Nachodzi mnie. Dwa razy był, nawet prawie że trzy. Drażnił mnie, że ja niby się gniewam o to, że on jest pospolitym diabłem, a nie szatanem, z osmalonymi skrzydłami, który się ukazuje wśród grzmotów i błyskawic. Ale to nie szatan, on kłamie. To samozwaniec. To po prostu diabeł, lichy, marny diabeł. Chodzi do łaźni. Rozbierz go tylko, a na pewno znajdziesz ogon długi i gładki, długi jak u doga, długi na arszyn, bury... Alosza, zmarzłeś, jesteś zaśnieżony, chcesz herbaty? Co? Zimna? Chcesz, to każę nastawić? *C'est r ne pas mettre un chien dehors...*

Alosza szybko pobiegł do umywalni, zmoczył ręcznik, posadził Iwana, przyłożył mu zimny okład do głowy i usiadł przy nim.

- Coś ty mi mówił onegdaj o Lizie - zaczął znowu Iwan. (Stał się wyjątkowo rozmowny.) - Liza podoba mi się. Powiedziałem ci o niej coś brzydkiego. Skłamałem, ona mi się podoba... Boję się jutro o Katię, strasznie się boję. Chodzi mi o przyszłość. Jutro rzuci mnie i podepcze. Myśli, że przez zazdrość gubię Dymitra! Tak, ona tak myśli! Ale się grubo myli! Jutro krzyż, ale nie szubienica. Nie, ja się nie powieszę. Czy wiesz, Alosza, że nigdy nie potrafię popełnić samobójstwa? Może myślisz, że z podłości? Nie, nie jestem tchórzem. Z żądy życia! Skąd wiedziałem, że Smierdiakow się powiesił? Tak, to on mi powiedział.

- Jesteś naprawdę pewny, że ktoś tu był? - zapytał Alosza.

- Tu, na kanapie, w kącie. Ty byś go przepędził. Zresztą wypędziłeś go: znikł, skoroś przyszedł. Lubię twoją twarz, Alosza. Czy wiedziałeś, że lubię twoją twarz? A on - to ja, Alosza, ja sam. Wszystko, co we mnie niskie, podłe, godne pogardy! Tak, jestem „romantykiem”, trafnie to zauważył... chociaż i to oszczerstwo. Strasznie jest głupi i tym wygrywa. Chytry jest, po zwierzęcemu chytry, wiedział, jak mnie rozgniewać. Drażnił mnie wciąż, że wierzę w niego, i zmusił mnie do posłuchu. Oszukał mnie jak smarkacza. Nagadał mi zresztą o mnie samym wiele prawdy. Nigdy bym sobie tego nie powiedział. Wiesz, Alosza, wiesz - bardzo poważnie i jak gdyby konfidencjonalnie dodał Iwan - bardzo bym pragnął, aby to naprawdę był on, a nie ja!

- On cię zmęczył - rzekł Alosza, patrząc ze współczuciem na brata.

- Drażnił mnie! I wiesz, tak zręcznie, tak zręcznie: „Sumienie. Cóż to sumienie? Ja sam je urabiam. Czemu się dręczę? Z przyzwyczajenia. Z ogólnoludzkiego przyzwyczajenia. Od siedmiu tysięcy lat. A więc odzwyczajmy się i będziemy bogami.” To on mówił, to on mówił!

- A więc nie ty, nie ty? - zawołał Alosza mimo woli, patrząc na brata jasnym wejrzeniem. - A niech go tam, daj pokój, zapomnij o nim! Niech zabierze ze sobą wszystko, co teraz przeklinasz, i niech nigdy nie wraca!

- Tak, ale on jest zły. Śmiał się ze mnie. Był zuchwały, Alosza - rzekł Iwan drżąc na

wspomnienie doznanej obrazy. - Oczerniał mnie, oczerniał pod wieloma względami. Kłamał mi w oczy. „O, idziesz dokonać cnotliwego czynu, oświadczysz, żeś zabił ojca, że lokaj zabił ojca z twojej namowy.”

- Bracie - przerwał mu Alosza - przestań: to nie ty zabiłeś. To nieprawda!

- To on mówi, on, a on wie. „Idziesz dokonać cnotliwego czynu, a sam w cnotę nie wierzysz - oto co cię złości i dręczy, oto czemu jesteś taki mściwy.” Tak mi mówił o mnie, a on przecie wie, co mówi...

- To ty mówisz, a nie on! - zawołał Alosza z goryczą - bredzisz, zamęczasz się!

- Nie, on wie, co mówi. „Z pychy, powiada, idziesz, staniesz i powiesz: «To ja zabiłem, czego się zżymacie ze zgrozy, kłamięcie wszyscy! Gardzę waszą opinią, gardzę waszą zgrozą.»», - To on mówi za mnie, i nagle powiada: „Słuchaj, chcesz, żeby oni cię pochwalili: niby przestępca, morderca, ale jakie ma wzniosie uczucia, chciał ocalić brata i przyznał się!” - A to już doprawdy kłamstwo, Alosza! - zawołał Iwan z błyskiem w oczach. - Nie chcę, aby mnie te fagasy chwaliły! To już on zełgał, Alosza, zełgał, przysięgam ci! Rzuciłem w niego tą oto szklanką, która stłukła się na jego pysku.

- Bracie, uspokój się, przestań! - prosił Alosza.

- Nie, on umie męczyć, jest okrutny - ciągnął Iwan, nie słuchając go. - Zawsze przeczuwałem, po co przychodzi. „Choćbyś, powiada, poszedł sam z pychy, ale bądź co bądź była nadzieja, że Smierdiakowa ukarają katorgą, Mitię uniewinnią, a ciebie potępią tylko moralnie (słuchaj, on, mówiąc to, śmiał się) - a inni to nawet i pochwalą. Ale oto umarł Smierdiakow, powiesił się - no i kto ci teraz w sądzie uwierzy? A jednak idziesz, pójdziesz tak czy owak, postanowiłeś sobie, że pójdziesz. Po cóż wobec tego idziesz?” To straszne, Alosza, nie mogę znieść takich pytań. Kto śmie zadawać mi takie pytania?

- Bracie - przerwał Alosza, zamierając ze strachu, ale wciąż jak gdyby mając nadzieję, iż Iwan odzyska przytomność - jak mógł ci opowiadać o śmierci Smierdiakowa, zanim przyszedłem, kiedy jeszcze nikt o tym nie wiedział?

- Powiedział mi - odrzekł stanowczo Iwan tonem nie dopuszczającym cienia wątpliwości. - On tylko o tym mówił, jeśli chcesz wiedzieć. „I bodajbyś przynajmniej w cnotę wierzył: «Niech mi nie wierzą, ja jednak pójdę dla zasady.» Ale przecież jesteś prosię, jak Fiodor Pawłowicz, i na co ci cnota? Dlaczego się tam wleciesz, jeżeli twoje poświęcenie nie przyniesie żadnego pożytku? A dlatego, że sam nie wiesz, po co idziesz! O, wiele byś dał, żeby się dowiedzieć, po co idziesz! I czy naprawdę już postanowiłeś? Jeszcze się nie zdecydowałeś? Całą noc będziesz siedzieć i myśleć: Iść czy nie iść? Ale właściwie decyzja już nie od ciebie zależy. Pójdziesz, bo nie odważysz się nie iść. Dlaczego się nie odważysz - sam już się domyśl, masz zagadkę!” Wstał i wyszedł. Tyś przyszedł, a on wyszedł. Alosza, on mnie nazwał tchórzem! *Le mot de l'enigme*[32], że jestem tchórzem! „Nie takie orły wznoszą się nad ziemią!” To on dodał, on dodał! I Smierdiakow to samo mówił. Jego trzeba zabić! Katia mną gardzi, już od miesiąca to spostrzegam, i Liza zacznie gardzić! „Idziesz, aby cię pochwalono” - to potworne kłamstwo! I ty mną gardzisz, Alosza! Teraz z kolei ja ciebie

znenawidzę! I tego potwora nienawidzę, i tego potwora nienawidzę! Nie chcę ratować tego potwora, niech zgnije na katordze! Hymn zaśpiewał! O, jutro pójdę, stanę przed nimi i plunę im wszystkim w twarz!

Zerwał się z kanapy, zrzucił z głowy ręcznik, znów zaczął chodzić po pokoju. Alosza przypomniał sobie jego niedawne słowa: „Jak gdybym spał na jawie... Chodzę, rozmawiam, patrzę, ale śpię.” Coś podobnego działo się teraz, Alosza czuwał przy nim. Wpadło mu na myśl, by pójść po lekarza, ale bał się zostawić brata samego: nie miał go kto zastąpić. Wreszcie Iwan zaczął już ostatecznie majaczyć. Mówił bez ustanku, ale bardzo nieskładnie, nawet źle wymawiał słowa. Nagle zachwiał się, lecz Alosza zdążył go w porę podtrzymać. Pozwolił się doprowadzić do łóżka; Alosza z trudem rozebrał go i położył. Przesiedział przy nim jeszcze ze dwie godziny. Chory spał mocnym snem, nie ruszał się, oddychał cicho i równomiernie. Alosza wziął poduszkę i położył się w ubraniu na kanapie. Przed zaśnięciem pomodlił się za Mitię i za Iwana. Rozumiał teraz chorobę Iwana: „Męki dumnego postanowienia, głębokie sumienie!” Bóg, w którego nie wierzył, i Jego prawda zdobyły powoli to serce, co jeszcze nie chciało się poddać. „Tak - pomyślał Alosza, kładąc głowę na poduszkę - kiedy Smierdiakow umarł, nikt nie uwierzy Iwanowi - ale on pójdzie i wyzna wszystko!” Alosza uśmiechnął się łagodnie: „Bóg zwycięży! - pomyślał. - Albo Iwan stanie w świetle prawdy, albo... zginie w nienawiści, szukając na sobie i na wszystkich innych zemsty za to, że służył temu, w co nie wierzy” - dodał z goryczą Alosza i znowu pomodlił się za Iwana.



# KSIĘGA DWUNASTA

## POMYŁKA SĄDOWA

### I FERALNY DZIEŃ

Nazajutrz po opisanych wydarzeniach, o dziesiątej rano, otwarto posiedzenie naszego sądu okręgowego i zaczął się sąd nad Dymitrem Karamazowem.

Uprzedzam i upprzedzam z całym naciskiem: nie potrafię bynajmniej powtórzyć tego wszystkiego, co się działo w sądzie, nie tylko z należytą dokładnością, ale nawet i w należytym porządku. Wciąż mi się wydaje, że gdybym wszystko sobie przypomniał i chciał to opisać i należycie naświetlić, musiałbym napisać cały tom, i to wcale pokaźny. A więc proszę mi nie brać za złe, że poprzestałem na tym, co mnie osobiście uderzyło i co szczególnie zapamiętałem. Możliwe, że brałem rzeczy drugorzędne za podstawowe, że nawet pomiąłem milczeniem najbardziej charakterystyczne i istotne momenty... A zresztą widzę, że lepiej się nie tłumaczyć. Piszę tak, jak potrafię, czytelnicy sami się zorientują, że zrobiłem wszystko, na co mnie stać.

Po pierwsze, nim wejdziemy na salę sądową, napomknę mimochodem o tym, co mnie tego dnia od razu szczególnie zdziwiło. I nie tylko mnie, bo niemal wszystkich, jak to później stwierdziłem. Otóż wszyscy wiedzieli, że sprawa Karamazowów zainteresowała zbyt wiele osób, że wszyscy umierali z niecierpliwości, kiedy się zaczęła rozprawa, że w sferach towarzyskich naszego miasta omawia się namiętnie tę sprawę, rozważa, debatuje już całe dwa miesiące. Wiedzieli również wszyscy, że ta sprawa nabrała rozgłosu w całym kraju, ale nikt nawet nie wyobrażał sobie, by aż tak bardzo wstrząsnęła całym prawie społeczeństwem, a nawet każdym z osobna człowiekiem, i to nie tylko u nas, ale wszędzie, jak się okazało tego dnia w sądzie. Zjechali więc do nas ciekawi nie tylko z naszego miasta gubernialnego, ale z niektórych innych miast Rosji, a wreszcie z Moskwy i Petersburga. Przyjechali prawnicy, przyjechało kilka znanych osobistości, jak również i panie. Wszystkie karty wstępu były rozchwywane. Dla szczególnie znakomitych i poważanych osób zarezerwowano nawet miejsca tuż za stołem sędziowskim. Specjalnie w tym celu ustawiono rząd krzeseł, czego się dotychczas u nas nie robiło. Szczególnie wiele było pań - miejscowych i przyjezdnych - stanowiły one, jak sądzę, co najmniej połowę publiczności. No i prawników zjechało się zewsząd takie mnóstwo, że nie wiedziano nawet, gdzie ich posadzić, bo przecie wszystkie karty wstępu były już rozdane, wyproszone, wyblagane. Sam widziałem, jak w głębi sali, za podwyższeniem, na którym stoi stół sędziowski, wyznaczono dla nich miejsce za skleconą naprędce specjalną przegródką, i nawet byli szczęśliwi, że mogą tu bodaj stać, w tłoku, bo przecie i krzesła usunięto, aby zmieściło się jak najwięcej osób. Niektóre panie, zwłaszcza te, które specjalnie przyjechały na sprawę, zjawily się na galerii niezwykle wystrojone, ale większość pań nawet nie dbała o to. Na twarzach tych kobiet malowało się histeryczne, pożądliwe, niemal chorobliwe zaciekawienie. Trzeba tu koniecznie podkreślić jedną z najbardziej charakterystycznych cech

zebranej publiczności: prawie wszystkie kobiety albo przynajmniej większość z nich, jak to zauważyło wiele osób, były po stronie Miti i pragnęły jego uniewinnienia. Może głównie dlatego, że miał opinię zdobywcy serc. Wiedziano poza tym, że przyjdą obie rywalki. Jedną z nich, Katarzyna Iwanowna, szczególnie wszystkich interesowała; opowiadano sobie o niej całą masę rozmaitych niezwykłych historii, o jej miłości ku Miti krążyły zdumiewające wersje.. Zwłaszcza wiele mówiono o jej dumie (prawie nikomu w mieście nie składała wizyt), o jej „arystokratycznych stosunkach”. Opowiadano, że zamierza prosić, żeby pozwolono jej towarzyszyć ojcobójcy na katorgę, i chce go poślubić gdzieś w kopalni, pod ziemią. Z nie mniejszym zresztą podnieceniem wypatrywano Gruszeńki, jako rywalki Katarzyny Iwanowny. Z chorobliwą wprost ciekawością oczekiwano spotkania dwóch rywalek - arystokratycznej, dumnej dziewczyny i „hetery”. Zresztą nasze panie lepiej znały Gruszeńkę niż Katarzynę Iwanownę. Widywały dawniej tę „gubicielkę Fiodora Pawłowicza i jego nieszczęsnego syna” i nie mogły wyjść z podziwu, że ojciec i syn mogli się tak zakochać „w tak pospolitej, nawet wcale niepięknej rosyjskiej mieszcze”. Słowem, wrzało jak w ulu. Wiem na przykład, że w naszym mieście w kilku wypadkach powstały scysje rodzinne i awantury z powodu Miti. Wiele pań kłóciło się nie na żarty ze swoimi mężami z powodu różnicy poglądów na tę straszną sprawę, ponieważ mężowie tych pań byli usposobnieni względem Miti nie tylko nieprzychylnie, ale nawet wrogo. Zrozumiały więc, że w przeciwieństwie do kobiecego, męski element, znajdujący się na sali sądowej, potępiał oskarżonego. Widziało się surowe, nachmurzone twarze, chwilami nawet pełne złości, i te przeważały. Oczywiście nie brakowało słuchaczy, którzy nie tracili pogody ducha i obojętnie odnosili się do losu Miti, ale jedynie może do losu Miti, a nie do sprawy, bo jeżeli chodzi o sprawę, wszyscy byli jednakowo zaciekawieni. Większość mężczyzn spodziewała się i pragnęła wyroku skazującego, z wyjątkiem może prawników, których nie tyle obchodzi moralna strona sprawy, co - jeśli można się tak wyrazić - aktualnie prawnicza. Poza tym sensacją było obrona słynnego Fietiukowicza. Talent jego był powszechnie znany, zdarzało się nieraz, że stawał na prowincji w głośnych sprawach karnych. Obrona jego sprawiała, że później takie sprawy były słynne w całej Rosji i długo o nich pamiętano. Opowiadano sobie również kilka anegdot o naszym prokuratorze i prezesie sądu. Opowiadano, że nasz prokurator drży przed spotkaniem z Fietiukowiczem, że to są dawni wrogowie, jeszcze z czasów petersburskich, że ambitny nasz Hipolit Kiryłowicz, uważający się za pominiętego i skrzywdzonego w karierze służbowej na skutek machinacji piwnych osobistości w stolicy, nabrał teraz otuchy i marzy, iż dzięki sprawie Karamazowa zajmie wreszcie należne mu stanowisko, ale obawia się tylko Fietiukowicza. To przypuszczenie niezupełnie zgadzało się z prawdą. Nasz prokurator nie był z tych, co tracą odwagę w obliczu niebezpieczeństwa; a wręcz przeciwnie, niebezpieczeństwo podniecało i uskrzydlało jego ambicję. Zwracam przy sposobności uwagę, że nasz prokurator był w ogóle zbyt porywczy i chorobliwie wrażliwy. Czasem całą duszą oddawał się sprawie i traktował ją tak, jakby od tej właśnie sprawy zależał jego los i majątek. W świecie prawniczym śmiano się z tego, ale można powiedzieć, że nasz prokurator właśnie tym rysem charakteru zdobył sobie niejaką popularność, niezbyt może dużą, ale bądź co bądź niewspółmierną ze skromnym stanowiskiem, jakie zajmował w naszym sądzie. Szczególnie drwiono z jego słabości do psychologii. Moim zdaniem, wszyscy się mylili: nasz prokurator, jako człowiek i jako charakter, wydawał mi się o wiele poważniejszy, niż myślano. Ale ten chorobliwie wrażliwy człowiek nie umiał się jakoś odpowiednio postawić ani na początku, ani później, przez cały czas swojej kariery.

Co się tyczy prezesa sądu, tyle tylko można o nim powiedzieć, że był to człowiek wykształcony, humanitarny, z dużym wyrobieniem praktycznym i biegły w najbardziej nowoczesnych teoriach.

Dosyć ambitny, nie dbał jednak specjalnie o karierę. Główny cel jego życia polegał na tym, żeby zawsze być człowiekiem postępowym. Nawiasem mówiąc, był majątny i miał duże stosunki. Do sprawy Karamazowów, jak się potem okazało, bardzo się zapalił, ale raczej z ogólnych względów. Zajmowało go samo zjawisko, jego klasyfikacja, interpretacja tego zjawiska na tle naszych społecznych zasad, charakterystyczność żywiołu rosyjskiego itd., itd. Do osobistego zaś tła sprawy, od jej tragedii i do osób biorących w niej udział, zaczynając od podsądnego, odnosił się dość abstrakcyjnie i obojętnie, jak zresztą może i należało.

Na długo przed rozpoczęciem rozprawy sala była już wypełniona po brzegi. Nasza sala sądowa jest najlepsza w mieście - wysoka, przestronna, akustyczna. Członkowie sądu siedzieli na podwyższeniu, na prawo ustawiono stół i dwa rzędy krzeseł dla przysięgłych. Na lewo było miejsce oskarżonego i jego obrońcy. Pośrodku sali na stole leżały „dowody rzeczowe”, a więc: poplamiony krwią biały jedwabny szlafrok Fiodora Pawłowicza, fatalny tłuczek mosiężny - domniemane narzędzie zbrodni, koszula Miti ze skrwawionym rękawem, jego surdut z krwawymi plamami z tyłu w miejscu kieszeni, do której wsadził wówczas całą mokrą od krwi chusteczkę. Ta właśnie cała zlepiona krwią chusteczka, teraz już całkiem pożółkła, nabity u Pierchotina pistolet, z którego zamierzał popełnić samobójstwo w Mokrem, a który potem zabrał mu cichaczem Tryfon Borysowicz, koperta z napisem, w której swego czasu leżały trzy tysiące przygotowane dla Gruszeńki, różowa wstążeczka, którą koperta była wówczas przewiązana, i inne jeszcze przedmioty, których nawet nie pamiętam. Nieco dalej, w głębi sali, zaczynały się miejsca dla publiczności, a przed balustradą stało kilka krzeseł dla tych świadków, którzy po przesłuchaniu mieli pozostać na sali. O dziesiątej ukazał się sąd w następującym składzie: przewodniczący, asesor i jeden honorowy sędzia pokoju. Rozumie się, od razu zjawił się i prokurator. Przewodniczący był krępy, krzepki, dosyć niskim pięćdziesięcioletnim mężczyzną o przekrwionej cerze, ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach przyprószonych siwizną, z czerwoną wstęgą nie znanego mi orderu na piersi. Prokurator zaś wydał mi się - i to nie tylko mnie, ale wszystkim - szczególnie blady, jak gdyby zmizerniał i zzieleniał przez jedną chyba noc, bo przecie przed dwoma dniami sam go widziałem, wyglądał jeszcze wówczas normalnie. Prezes zaczął od pytania: „Czy wszyscy panowie przysięgli są obecni?...” Widzę jednak, że pisać dalej w ten sposób nie mogę, choćby dlatego, że wiele słów nie dosłyszałem, w inne zaś nie wniknąłem należycie, a jeszcze innych znowu zapomniałem, lecz przede wszystkim dlatego, że jak już rzekłem, na szczegółowy opis literalnie nie starczyłoby mi czasu ani miejsca. Wiem tylko, że ławników wezwanych przez obie strony, to znaczy, przez obrońcę i przez prokuratora, było niezbyt wielu. Dwunastu przysięgłych, jak to sobie zapamiętałem, składało się z czterech urzędników, dwóch kupców i sześciu osób rekrutujących się z chłopów i mieszczan naszego miasta. Pamiętam, że jeszcze na długo przed rozprawą w naszych sferach towarzyskich zadawano sobie z pewnym zdziwieniem pytanie, szczególnie wśród pań: „Czy naprawdę tak skomplikowaną, subtelną psychologicznie sprawę mają ostatecznie rozstrzygnąć jacyś urzędnicy, a nawet chłopci? I doprawdy - cóż tu zrozumie taki urzędniczyna, a tym bardziej chłop?” W istocie wszyscy ci czterej urzędnicy z ławy przysięgłych byli to ludzie bardzo skromni, źle sytuowani, starzy - jeden z nich tylko był nieco młodszy - ludzie, których w sferach towarzyskich naszego miasta wcale nie znano, wegetujący zapewne ze starymi żonami, z którymi nie można się pokazać, z kupą dzieci, może nawet bosonogich, ludzie, których jedyną dystrakcją są zapewne karciecia i którzy nigdy oczywiście nie przeczytali ani jednej książki. Kupcy zaś, chociaż mieli dosyć poczesne miny, byli dziwnie milczący i nieruchawi, jeden był ubrany po europejsku, drugi zaś, z siwą bródką, nosił zawieszony na czerwonej wstążce jakiś medal. O chłopach i mieszczanach nie ma co mówić. Mieszczanie w Skotoprigoniewsku niewiele się różnią od

chłopów i często nawet gospodarują na roli. Dwaj z nich byli również ubrani po europejsku, toteż dlatego zapewne wyglądali niechlujniej niż pozostali czterej. Istotnie więc mogła nasuwać się taka myśl, która i mnie się nasunęła, gdy ich ujrzałem: „I co oni tu mogą zrozumieć?” Ale mimo to twarze ich wywierały mocne i prawie groźne wrażenie - były surowe i chmurne.

Na koniec prezes zapowiedział rozpoczęcie sprawy o zabójstwo dymisjonowanego radcy tytularnego Fiodora Pawłowicza Karamazowa - nie pamiętam już teraz, jak brzmiała właściwa formuła. Polecono prystawowi sądowemu, by wprowadził podsądnego - i oto pojawił się Mitia. Na jego widok zaległa na sali taka cisza, że można było usłyszeć przelatującą muchę. Nie wiem jak na innych, ale na mnie wygląd Miti wywarł arcynieprzyjemne wrażenie. Przed wszystkim strasznie się wystroił. Dowiedziałem się potem, że na ten dzień specjalnie zamówił sobie surdut w Moskwie u swego dawnego krawca, który miał jeszcze jego miarę. Poza tym miał nowiutkie czarne gienzowe rękawiczki i wytworną koszulę. Przeszedł przez salę swym długim krokiem patrząc prosto przed siebie i usiadł na swoim miejscu z pewną siebie miną. Za nim wszedł jego obrońca, słynny Fietiułowicz, witany głuchym szmerem. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z długimi, chudymi nogami, z niezwykle długimi, białymi, wąskimi palcami; twarz miał goloną, skromnie zaczesane dość krótkie włosy i wąskie wargi, które krzywił czasem ni to do uśmiechu, ni to do szyderstwa. Wyglądał na lat czterdzieści. Twarz jego byłaby sympatyczna, gdyby nie oczy, małe i bez wyrazu, ale wyjątkowo blisko osadzone, oddzielone zaledwie wąską kreską długiego, cienkiego nosa. Słowem, twarz miał ostrą, ptasią, co nawet szczególnie uderzało. Był we fraku i białym halsztuku. Pamiętam pierwsze pytanie, zadane Miti przez przewodniczącego, dotyczące nazwiska, imienia itd. Mitia odpowiedział szorstko, jakoś niespodziewanie głośno, toteż przewodniczący potrząsnął nerwowo głową i popatrzał nań niemal ze zdziwieniem. Następnie odczytano listę osób wezwanych do sądu, czyli świadków i ekspertów. Lista była długa; czterech świadków nie przyszło: Miusow, który bawił w Paryżu, ale który już złożył zeznanie podczas śledztwa wstępnego, pani Chochłakow i obywatel Maksymow - wskutek choroby, no i Smierdiakow z powodu nagłej śmierci, potwierdzonej zaświadczeniem policyjnym. Wiadomość o Smierdiakowie wywołała wielkie wrażenie i szepty na sali. Naturalnie nie wszyscy jeszcze o tym wiedzieli. Ale co najbardziej uderzyło, to nagły wyskok Miti: ledwo oznajmiono o śmierci Smierdiakowa, Mitia zerwał się ze swego miejsca i huknął na całą salę:

- Zdechł pies pieską śmiercią!

Pamiętam, jak podbiegł do niego obrońca i jak przewodniczący zagroził surowymi sankcjami, jeżeli się jeszcze raz powtórzą podobne wybryki. Mitia skinął głową, nie okazując jednak żadnej skruchy, i rzekł półgłosem do obrońcy:

- Nie będę, nie będę. Wyrwało mi się! Więcej nie będę!

Oczywiście ten króciutki epizod nie wpłynął korzystnie na opinię publiczności i przysięgłych. Ujawnił się w całej pełni charakter Miti i on sam od razu się zarekomendował. Przy takim nastroju na sali sekretarz sądowy odczytał akt oskarżenia. Był dosyć krótki, ale treściwy. Zawierał tylko główne motywy aresztowania oskarżonego itd. Mimo to wywarł na mnie wielkie wrażenie. Sekretarz czytał wyraźnie, donośnie, dobitnie. Cała tragedia znowu się uwypukliła koncentrycznie, naświetlona fatalnym nieubłaganym światłem. Pamiętam, jak zaraz po odczytaniu aktu oskarżenia przewodniczący głośno i poważnie zapytał Mitę:

- Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Mitia podniósł się nagle i rzekł:

- Przyznaję, że jestem winien pijaństwa i rozpusty - mówił znowu jakimś niespodzianym, nieprzytomnym prawie głosem - lenistwa i skandali. Chciałem stać się na zawsze uczciwym człowiekiem właśnie w chwili, gdy los mnie ugodził! Ale śmierci starca, mego wroga i ojca - nie jestem winien! Ale grabieży - nie, nie, nie jestem winien i nie mogę być winien: Dymitr Karamazow jest łajdakiem, ale nie złodziejem!

Co rzekłszy, usiadł drżąc na całym ciele. Przewodniczący ponownie zrobił mu uwagę, że należy ściśle odpowiadać na pytania i nie wpadać w bezprzytomnie wykrzykiwane dygresje. Następnie nakazał rozpoczęcie przewodu sądowego. Wprowadzono wszystkich świadków, aby odebrać od nich przysięgę. Wówczas ujrzałem ich wszystkich razem. Jedyne bracia podsądnego byli zwolnieni od przysięgi. Po przemowie popa i przewodniczącego wyprowadzono świadków i rozmieszczono ich możliwie osobno. Następnie zaczęto ich po kolei przesłuchiwać.

## II NIEBEZPIECZNI ŚWIADKOWIE

Nie wiem, czy przewodniczący podzielił świadków oskarżenia i obrony na jakieś grupy i czy przesłuchanie odbywało się według z góry ustalonego porządku. Zapewne tak było. Wiem tylko, że z początku przesłuchano świadków oskarżenia. Powtarzam: ani myślę zdawać szczegółowo sprawę z całego przewodu sądowego. Zresztą byłaby to zbyteczna fatyga, bo przecie i tak w mowach prokuratora i obrońcy zogniskował się w mocnym, charakterystycznym oświetleniu cały faktyczny materiał i sens wszystkich złożonych i wysłuchanych zeznań; te zaś dwie wielce ciekawe mowy miejscami zapisałem dokładnie i oczywiście powtórzę je we właściwym czasie, nie omieszka też opisać pewnego niezwykłego i nieoczekiwanego epizodu, który rozegrał się nagle przed zakończeniem badania świadków i bez wątpienia wpłynął na groźny i fatalny wynik sprawy. Zwrócę tylko uwagę czytelnika na to, co uwydatniło się bardzo silnie od samego początku i co wszyscy od razu stwierdzili: na ogromną przewagę oskarżenia nad środkami, którymi rozporządzała obrona. Wszyscy to od razu zrozumieli, ledwo tylko zaczęły się koncentrować i grupować fakty i ledwo zaczęła się ujawniać cała groza sprawy i cała jej okropność. Wszyscy może od razu zmiarkowali, że to nie jest nawet sporna kwestia, że w istocie nie może tu być żadnych wątpiwości i sprzeciwów, że sprzeciwy będą tylko dla formy i że oskarżony jest winien jawnie i zdecydowanie. Myślę nawet, że wszystkie panie, wszystkie bez wyjątku, z taką niecierpliwością pragnące uniewinnienia interesującego przestępcy, były mimo to absolutnie przeświadczone o jego całkowitej winie. W dodatku zdaje mi się, że byłyby nawet zmartwione, gdyby wina jego nie została ustalona z taką pewnością, bo przecie efekt uniewinnienia byłby o wiele słabszy. A że go uniewinnią - co do tego wszystkie panie, rzecz dziwna, nie miały nawet wątpiwości aż do ostatniej chwili: „Winien jest, ale uniewinnią przez humanitarność, pod wpływem nowych idei, nowych uczuć, które w dzisiejszych czasach” itd., itd. Dlatego właśnie zbiegły się tu z takim zniecierpliwieniem. Mężczyzn zaś

najbardziej interesowała walka między prokuratorem i sławnym Fietukowiczem. Wszyscy dziwili się i pytali: „Co potrafi dokazać w tak na pozór przegranej sprawie taki talent jak Fietukowicz?” Toteż z napiętą uwagą śledzono każde jego posunięcie. Ale Fietukowicz aż do końca, aż do swojej mowy obrończej, był dla wszystkich zagadką. Ludzie doświadczeni przypuszczali, że ma swój system, że powziął już jakiś plan, że ma określony cel, ale jaki - tego nie sposób było odgadnąć. Jego pewność siebie rzucała się jednak w oczy. Oprócz tego wszyscy z zadowoleniem od razu stwierdzili, że mimo tak krótkiego pobytu - przybył do nas dopiero na, jakie trzy dni przed rozprawą - znakomicie wystudował sprawę w najsztudniejszych szczegółach. Ze szczególną przyjemnością na przykład opowiadano potem, jak zbijał z tropu wszystkich świadków oskarżenia, jak kompromitował ich osobiście i, co z tego wynika, dyskredytował ich zeznania. Przypuszczano zresztą, że stosował tę fintę raczej gwoli gry, aby zadośćuczynić wszelkim kruczkom sztuki adwokackiej; albowiem wszyscy byli przeświadczeni, że jakiejś większej i definitywnej korzyści bynajmniej nie odniesie i że najlepiej sam zdaje sobie z tego sprawę, ale ma chyba w rezerwie jakiś swój pomysł, jakąś chwilowo jeszcze skrywaną broń, którą nagle odsłoni, kiedy zajdzie potrzeba. A tymczasem, jakby uświadamiając sobie swoją moc bawił się i swawolił. Typowym tego przykładem było przesłuchanie byłego kamerdynera Fiodora Pawłowicza, Grzegorza Wasiliewicza, który złożył podstawowe zeznanie o „otwartych do ogrodu drzwiach”. Obrońca, doczekawszy się swojej kolei, po prostu wpił się w biednego starca. Trzeba wiedzieć, że Grzegorz Wasiliewicz stanął przed sądem z miną spokojną i niemal wyniosłą, absolutnie niestropiony powagą sądu ani wielkim audytorium. Składał zeznania z taką pewnością siebie, jak gdyby gawędził sobie sam na sam ze swoją Marfą Ignatiewną. Niepodobna go było zbić z tropu. Z początku prokurator wypytywał go długo o stosunki rodzinne Karamazowów. Obraz rodziny uwypuklił się bardzo plastycznie. Widać było, że świadek jest bezstronny i prostoduszny. Mimo najgłębszego szacunku dla pamięci nieboszczyka pana, przyznał na przykład, że ów w stosunku do Miti był niesprawiedliwy i że „nie tak jak trzeba wychował dzieci. Chłopca w maleńkości wszy by zjadły, gdyby nie ja” - rzekł opowiadając o latach dziecięcych Miti. „Nie godziło się go krzywdzić względem macierzyzny.” Na pytanie prokuratora, na jakiej zasadzie Grzegorz utrzymuje, że Fiodor Pawłowicz skrzywdził syna w rozrachunkach majątkowych, Grzegorz Wasiliewicz wbrew oczekiwaniu nie podał żadnych faktów, upierał się tylko przy tym, że obrachunek ojca z synem był dla syna „krzywdzący” i że istotnie należało mu się jeszcze „dobre kilka tysięcy”. Dodam tu, że to pytanie: czy Miti istotnie należały się jeszcze jakieś pieniądze - prokurator zadawał wszystkim następnym świadkom, którzy mogli coś o tym wiedzieć, nie wyłączając Aloszy ani też Iwana Fiodorowicza; nikt jednak nie mógł udzielić dokładnych informacji: wszyscy potwierdzali fakt, ale nie składali żadnych konkretnych zeznań. Gdy Grzegorz opisał scenę przy stole, jak Dymitr wtargnął do domu i pobił ojca, odgrając się, że wróci jeszcze i zabije go - ponure wrażenie udzieliło się wszystkim zebranym na sali, tym bardziej że Grzegorz opowiadał spokojnie, bez zbytecznych słów, osobliwym swoim stylem, co jednak wypadło strasznie wymownie. Zauważył przy tym, że nie gniewa się na Mitię za to, iż go wtedy uderzył w twarz i przewrócił, i dawno mu już przebaczył. O nieboszczyku Smierdiakowie powiedział, przeżegnawszy się, że chłopak był zdolny, ale głupi i przybity chorobą, i przede wszystkim straszny bezbożnik, a to z winy Fiodora Pawłowicza i jego starszego syna. Ale nawet z żarliwością wychwalał uczciwość Smierdiakowa i opowiadał, jak to swego czasu Smierdiakow znalazł pieniądze zgubione przez „pana” i zwrócił mu, ów zaś dał chłopakowi za to „czerwońca” i odtąd ufał mu bezgranicznie. Co do „otwartych drzwi”, to potwierdził swoje poprzednie zeznanie z całą stanowczością. Zresztą tak długo go badano, że nie potrafię sobie wszystkiego przypomnieć. Wreszcie nastąpiła kolej obrońcy. Przede wszystkim zapytał Grzegorza o kopertę, w której „rzekomo” Fiodor Pawłowicz schował trzy tysiące dla „pewnej

osoby”. „Czy widzieliście ją sami, wy, którzy przez tyle lat byliście tak blisko swego pana?” Grzegorz odrzekł, że nie widział i nawet nie słyszał od nikogo o tych pieniądzach, „aż do kiedy wszyscy zaczęli o nich mówić”. To pytanie o kopercie Fietukowicz zadawał niemal wszystkim świadkom z taką samą uporczywością, z jaką prokurator zadawał swoje pytanie o podziale majątku, i z tych odpowiedzi okazało się, że koperty nikt nie widział, choć wielu o niej słyszało. Uporczywość, z jaką obrońca zadawał to pytanie, nie uszła od samego początku niczyjej uwagi.

- A teraz czy mogę się zwrócić do was z zapytaniem, jeżeli tylko pozwolicie - zapytał zniechęcony Fietukowicz - z czego się składał ów balsam albo, inaczej mówiąc, nalewka, którą nacieraliście sobie krzyż owego wieczoru przed snem, jak już wiadomo ze śledztwa wstępnego, w nadziei, że to was wyleczy?

Grzegorz zmierzył obrońcę tępych spojrzeniem i po chwili odpowiedział:

- A z szaławii.

- Tylko z szaławii? Czy nie pamiętacie, z czego jeszcze?

- Ano i z babki.

- A może też i z pieprzu? - zainteresował się Fietukowicz.

- Ano i pieprz był.

- I tak dalej. I wszystko to na wódeczce?

- Na spirytusie.

Na sali rozległ się tłumiony śmiech.

- Widzicie, nawet na spirytusie. Natarłszy grzbiet, wypiliście resztę po odmówieniu modlitwy, którą zna tylko wasza małżonka, prawda?

- Wypiłem.

- Czy dużoście wypili? Ile na przykład, kieliszek, dwa?

- A chyba szklanę.

- Nawet szklanę. A może tak półtorej szklanki?

Grzegorz milczał - coś już tam miarkował.

- Półtorej szklaneczki czystego spirytusiku - to wcale nieźle, jak myślicie? to można nawet „rajskie wrota otwarte” ujrzeć, nie tylko drzwi do ogrodu?

Grzegorz wciąż milczał. Znowu rozległ się tłumiony śmiech na sali. Przewodniczący poruszył

się niespokojnie.

- Więc nie wiecie na pewno - wpijał się w niego coraz bardziej Fietiukowicz - czy drzemaliście w owej chwili, kiedyście zobaczyli, że drzwi do ogrodu są otwarte?

- Na nogach stałem.

- To jeszcze nie dowód, żeście nie drzemali (znowu śmiech na sali). Czy moglibyście na przykład w tej chwili odpowiedzieć na pytanie, który teraz mamy rok?

- Tego nie wiem.

- A który mamy rok naszej ery, od narodzenia Chrystusa, nie wiecie?

Świadek, zbity z pantafelów, wpatrywał się uporczywie w swego dręczyciela. Istotnie, rzecz dziwna, zdawał się nie wiedzieć, który teraz rok.

- A może wiecie jednak, ile macie palców u rąk?

- Jestem człek poddany - odezwał się nagle Grzegorz głośno i dobitnie - jeżeli władzy podoba się kpić ze mnie, muszę to znosić.

Fietiukowicz nieco się zmieszał, ale tymczasem wtrącił się przewodniczący i zrobił mu uwagę, że należy zadawać bardziej rzeczowe pytania. Fietiukowicz wysłuchał z powagą, ukłonił się i oświadczył, że przesłuchał już świadka. Oczywiście zarówno w mniemaniu publiczności, jak i ławników wiarygodność zeznań człowieka, który mógł „ujrzeć rajske wrota” i nadto nie wie, który teraz rok, została do pewnego stopnia zachwiana; pod tym względem Fietiukowicz osiągnął swój cel. Ale przed końcem zeznań Grzegorza wydarzył się jeszcze jeden epizod. Przewodniczący zwrócił się z kolei do oskarżonego i zapytał, czy nie ma czegoś do powiedzenia w kwestii zeznań świadka.

- Oprócz drzwi, wszystko, co mówił, jest prawdą - głośno zawołał Mitia. - Że iskał mi wszy - dziękuję, że mi przebaczył - dziękuję; stary był uczciwy i oddany ojcu jak siedemset pudli.

- Niech podsądny wyraża się właściwiej - rzekł surowo przewodniczący.

- Nie jestem pudlem - mruknął Grzegorz.

- No to ja jestem pudlem, ja! - krzyknął Mitia. - Jeżeli to obraźliwe, to do siebie stosuję, a jego proszę o wybaczenie. Jak zwierzę postępowałem względem niego! I względem Ezopa!

- Jakiego Ezopa? - znów zapytał surowo przewodniczący.

- No, pierrota... ojca, Fiodora Pawłowicza.

Przewodniczący jeszcze raz jak najsurowiej zgromił podsądnego.

- Sam pan sobie tylko szkodzi w opinii sędziów. Podobnie zręcznie obszedł się obrońca ze



świadkiem Rakitinem. Trzeba wiedzieć, że Rakitin był jednym z ważniejszych świadków oskarżenia, na którym prokuratorowi niewątpliwie zależało. Okazało się, że świadek ten o wszystkim wiedział, wiedział zdumiewająco wiele rzeczy, u wszystkich bywał, wszystko widział, ze wszystkimi rozmawiał, znał nader szczegółowo biografię Fiodora Pawłowicza i jego synów. Co prawda o kopercie z trzema tysiącami słyszał tylko od Miti. Za to szczegółowo opisał czyny Miti w „Stołecznym Grodzie”, wszystkie kompromitujące go słowa i gesty i powtórzył historię o „wiechciu” sztabkapitana Sniegirowa. Co się tyczy punktu, czy Fiodor Pawłowicz skrzywdził Mitę przy rozrachunku - to nawet i on nie potrafił dać na to ścisłej odpowiedzi i wykręcał się ogólnikami w pogardliwym tonie: „Któż by tam mógł zorientować się, kto komu ile jest winien; w tej absurdalnej karamazowszczyźnie nikt nie mógł sobie zrozumieć ani określić.” Całą tragedię tego przestępstwa interpretował jako produkt przestarzałej obyczajowości poddaństwa i pogrążonej w chaosie Rosji, cierpiącej z powodu braku odpowiednich instytucji. Słowem, pozwolono mu się wypowiedzieć. Na tym procesie pan Rakitin po raz pierwszy ukazał się w pełnym świetle i zwrócił na siebie ogólną uwagę; prokurator wiedział, że świadek szykuje artykuł o sądzonym obecnie przestępstwie, a nawet potem cytował w swym przemówieniu kilka zdań z tego artykułu, zatem znał już jego treść. Obraz przedstawiony przez świadka był ponury i złowieszczy i bardzo wzmocnił atuty oskarżenia. W ogóle zaś wykład Rakitina ujął słuchaczy niezależnością myśli i wyjątkową szlachetnością jej polotu. Dwa czy trzy razy rozległy się pojedyncze oklaski, zwłaszcza wówczas, gdy mówił o poddaństwie i o cierpiącej z powodu nierządu Rosji. Ale Rakitin, bądź co bądź człowiek młody, popełnił małą niezręczność, z której obrońca skwapliwie skorzystał. Odpowiadając na wiadome już pytania, dotyczące Gruszeńki, a będąc upojony powodzeniem, z którego zdawał sobie sprawę, i tymi wyżynami szlachetności, na które się wzniósł, pozwolił sobie wyrazić się o Agrafienie Aleksandronie nieco pogardliwie, jako o „utrzymance kupca Samsonowa”. Wiele by później dał za to, aby móc cofnąć swoje słowa, słówko to bowiem pociągnęło za sobą zręczny wypad Fietiukowicza. A powiedział je, bo się nie spodziewał, że Fietiukowicz w tak krótkim czasie zdążył zapoznać się z najintymniejszymi szczegółami sprawy.

- Pozwoli pan, że zapytam - zaczął obrońca z najbardziej uprzejmym i nawet pełnym szacunku uśmiechem, gdy wreszcie nastąpiła jego kolej na zadawanie pytań - pan jest naturalnie tym panem Rakitinem, którego broszurę, wydaną przez władze duchowne pod tytułem *Żywot w Bogu zgasłego starca ojca Zosimy*, pełną głębokich i religijnych myśli, ze wspaniałą i zbożną dedykacją dla przewielebnego archijereja, miałem przyjemność niedawno przeczytać?

- Napisałem nie do druku... to potem wydrukowano - wybąkał Rakitin, jakby nagle czymś zmieszany, a nawet z lekka zawstydzony.

- O, to pięknie! Myśliciel, taki jak pan, może, a nawet powinien odnosić się szeroko do każdego społecznego zjawiska. Pod protektoratem przewielebnego archijereja nader pożyteczna pana broszura rozeszła się i przyniosła pewną korzyść... Ale chciałbym przede wszystkim zapytać pana o jedno: przed chwilą oświadczył pan, że był bliskim znajomym panny Swietłow? (Notabene, tu dopiero, na rozprawie, dowiedziałem się, że nazwisko Gruszeńki brzmiało Swietłow.)

- Nie mogę odpowiadać za wszystkie swoje znajomości. Jestem człowiekiem młodym... i któż może być odpowiedzialny za tych wszystkich ludzi, z którymi się spotyka - wybuchnął Rakitin.

- Pojmuję, zbyt dobrze pojmuję! - zawołał Fietiukowicz, jak gdyby zmieszany i jakby pragnąc

przeprosić świadka. - Pan, jak każdy inny, mógł się interesować młodą i piękną kobietą, która przyjmowała u siebie kwiat tutejszej młodzieży, ale... chciałem się tylko poinformować: wiadomo nam, że panna Swietłow dwa miesiące temu bardzo chciała poznać młodego Karamazowa, Aleksego Fiodorowicza, i za to, że pan przyprowadzi go do niej w jego ówczesnym monasterskim stroju, przyrzekła panu dać na rękę dwadzieścia pięć rubli. A stało się to, jak wiadomo, wieczorem tego dnia, który zakończył się tragiczną katastrofą, będącą podstawą niniejszej sprawy. Pan sprowadził Aleksego Karamazowa do panny Swietłow; chciałbym więc dowiedzieć się, czy otrzymał pan wówczas owe dwadzieścia pięć rubli od panny Swietłow.

- To był żart... Nie widzę, jaki to ma związek... Wziąłem dla żartu... i żeby potem zwrócić...

- A więc wziął pan. Ale przecież nie zwrócił pan dotychczas tych pieniędzy... a może pan zwrócił?

- To nie ma nic do rzeczy... - bąkał Rakitin - nie mogę odpowiadać na takie pytania... Oczywiście zwrócę.

Tu wtrącił się przewodniczący, lecz obrońca oznajmił, że zakończył badanie świadka. Pan Rakitin zszedł z widowni cokolwiek skompromitowany. Całe wrażenie szlachetności i wzniosłości było do cna popsute i Fietiukowicz, odprowadzając okiem Rakitina, jak gdyby pokazywał go publiczności: „Macie tu waszych szlachetnych oskarżycieli!” Pamiętam, że i wówczas nie obeszło się bez wybryku ze strony Miti: rozgniewany tonem, jakim Rakitin wyraził się o Gruszeńce, krzyknął nagle: „Bernard!” Gdy zaś przewodniczący po przesłuchaniu świadka zwrócił się do podsądnego z zapytaniem, czy nie chce czego powiedzieć, Mitia zawołał:

- On i ode mnie wyciągał forszę, kiedy już siedziałem w więzieniu! Bernard niegodziwy i karierowicz, i w Boga nie wierzy, archijereja nabił w butelkę!

Oczywiście i tym razem zgromiono Mitię za niestosowne okrzyki, ale pan Rakitin został dobity. Nie bardzo się też udało zeznanie sztabskapitana Sniegirowa, ale to z innego powodu. Przyszedł oberwany, w brudnym ubraniu, w zakurzonym obuwiu i mimo wszystkie środki ostrożności i wstępną „ekspertyzę”, okazał się mocno zawiany. Na zapytanie, czy go Mitia skrzywdził, odmówił odpowiedzi.

- Bóg z nim. Iliuszczka nie kazał. Mnie tam Pan Bóg zapłaci.

- Kto panu nie kazał mówić? O kim pan wspomniał?

- Iliuszczka, mój syneczek: „Tatusiu, tatusiu, jak on ciebie poniżył!” Przy kamuszkę mówił. Teraz dogorywa...

Sztabskapitan naraz zaszlochał i z całych sił rzucił się do nóg przewodniczącego. Wyprowadzono go natychmiast wśród śmiechu publiczności. Chybił i ten efekt, przygotowany przez prokuratora.

Obrońca korzystał z każdej ważniejszej sposobności i w coraz większy podziw wprawiał

audytorium swoją niezwykłą znajomością sprawy. Na przykład świadectwo Tryfona Borysowicza wywarło bardzo wielkie wrażenie, oczywiście w sensie ujemnym dla podsądnego. Ów wyliczył prawie na palcach, że Mitia podczas pierwszej hulanki w Mokrem, na miesiąc przed katastrofą, nie mógł przehulać mniej niż trzy tysiące albo przynajmniej nie o wiele mniej. „Same Cyganki ileż to pieniędzy wycisnęły! Naszym zawszonym chłopom po pięćdziesiąt na dworze ciskał, albo przynajmniej po dwadzieścia pięć rubli, mniej nie dawał. A ile po prostu zwędzono! Kto ukradł, ten ręki nie zostawił, gdzie go tu złapiesz, tego złodzieja, kiedy sam pan Dymitr szastał na wszystkie strony! Bo przecie lud nasz to zbóje. A dziewczki, dziewczki wiejskie, jak się obłowily! Zbogacili się tam u nas od tego czasu, dawniej biedota była.” Słowem, przypomniawszy każdy wydatek i zliczył wszystko razem. W ten sposób kategorycznie obalono przypuszczenie, że Mitia wydał wówczas tylko połowę posiadanej gotówki, a drugą połowę zaszył w szmatkę. „Sam widziałem, na własne oczy widziałem w jego rękę trzy tysiące, ja bym nie znał się na tym!” - wołał Tryfon Borysowicz, starając się przypodobać „władzy”. Otóż obrońca, nie usiłując nawet zbić zeznań świadka, zaczął nagle od tego, że woźnica Timofiej i chłop Akim w Mokrem podczas hulanki podnieśli w sieni sto rubli, które Mitia zgubił, i wręczyli Tryfonowi Borysowiczowi, a on dał im za to po rublu. „Więc czy pan zwrócił wówczas te sto rubli panu Karamazowowi, czy nie?” Tryfon Borysowicz, jakkolwiek się wykręcał przy konfrontacji z obu chłopami, musiał przyznać, że dostał te sto rubli, dodał tylko, że zwrócił je od razu Dymitrowi Fiodorowiczowi, „który jednak po pijanemu chyba nie może tego pamiętać”. Ale ponieważ przed konfrontacją twierdził z całym przekonaniem, że w ogóle nie dostał tej sturublowki, więc wątpić wypadało, czy ją istotnie zwrócił. W ten to sposób znowu jeden z najważniejszych świadków oskarżenia odszedł skompromitowany. To samo powtórzyło się z Polakami. Weszli z wyniosłymi i dumnymi minami. Głośno oświadczyli, że, po pierwsze, obaj „służyli Koronie”, że „pan Mitia” proponował im trzy tysiące, chciał kupić ich honor, i że widzieli w ręku Miti bardzo znaczną kwotę. Pan Musiałowicz wtrącał wiele słówek polskich, a widząc, że to tylko podnosi go w oczach prokuratora i przewodniczącego, nabrał animuszu i zaczął zeznawać po polsku. Ale Fietiukowicz złapał ich w pułapkę.

Jakkolwiek wywołany znów Tryfon Borysowicz wykręcał się, musiał jednak zaświadczyć, że pan Wróblewski zamienił jego talię kart swoją własną i że pan Musiałowicz, trzymając bank, podmienił kartę. Tę okoliczność potwierdził również Kałganow i obaj panowie wycofali się, zawstydzeni, przy akompaniamencie śmiechu publiczności.

To samo powtórzyło się ze wszystkimi najgroźniejszymi świadkami oskarżenia. Fietiukowicz potrafił każdego zdyskredytować. Amatorzy i prawnicy zachwycali się, ale nie rozumieli, do czego zmierza ta metoda, bo przecież wszyscy czuli nieodpartą przewagę faktów obciążających, wychodzących na jaw w coraz tragiczniejszym oświetleniu. Ale pewność siebie „wielkiego maga” i jego spokój robiły swoje: nie na próżno przyjechał ze stolicy „taki człowiek” i nie taki to człowiek, aby wracać z niczym.

### III

## EKSPERTYZA LEKARSKA I FUNT ORZECHÓW

Ekspertyza lekarska też nie bardzo przydała się podsądnemu. Zresztą i sam Fietukowicz niezbyt na nią liczył, jak się później okazało. Lecz ekspertyzy domagała się uporczywie Katarzyna Iwanowna, która nawet w tym celu specjalnie sprowadziła z Moskwy znakomitego doktora. W najgorszym razie ekspertyza zaszkodzić nie mogła. Nie obeszło się i teraz bez momentów komicznych, bo lekarze nie uzgodnili swoich opinii. Ekspertów było trzech - znakomity doktor z Moskwy, lekarz miejscowy Herzenstube i wreszcie młody lekarz Warwiński. Ci dwaj figurowali również na liście świadków oskarżenia. Pierwszy złożył swoją opinię doktor Herzenstube. Był to siedemdziesięcioletni starzec, siwy i łysy, średniego wzrostu, krzepkiej budowy. Bardzo go ceniono i szanowano w naszym miasteczku. Był lekarzem sumiennym, człowiekiem bardzo zacnym i pobożnym, wyznawcą sekty „braci morawskich” czy innej - nie wiem dokładnie. Mieszkał w naszym mieście już bardzo dawno i zachowywał się taktownie i z godnością. Był dobry i humanitarny, leczył biednych za darmo, jak również chłopów, sam odwiedzał ich nory i zostawiał pieniądze na lekarstwa, ale poza tym był uparty jak muł. Niepodobna mu było wybić z głowy raz powziętego mniemania. Wiadomo było, że znakomity lekarz z Moskwy w ciągu tych dwóch dni pobytu w naszym mieście pozwolił sobie odezwać się nieco pogardliwie o zdolnościach lekarskich doktora Herzenstube. Bo chociaż moskiewski lekarz brał za wizytę dwadzieścia pięć rubli, niektórzy obywatele naszego miasta skwapliwie skorzystali z jego obecności i, nie żałując pieniędzy, zwrócili się do niego po poradę. Leczył ich dotychczas doktor Herzenstube. I oto lekarz moskiewski bardzo ostro skrytykował w każdym z tych wypadków metodę leczenia doktora Herzenstube. W końcu nawet, na widok pacjenta, pytał wręcz: „No, któż to pana paskudził, Herzenstube, co? He, he!” Doktor Herzenstube oczywiście o tym wszystkim się dowiedział. I oto wszyscy trzej lekarze przesunęli się jeden za drugim przed sądem. Doktor Herzenstube orzekł wyraźnie, że „nienormalność władz umysłowych podsądnego jest aż nazbyt widoczna”. Przytaczając uzasadnienie, które tu pomijam, napomknął, że nienormalność ta ujawniła się nie tylko w wielu dawnych postępkach oskarżonego, ale że się ujawniła i teraz, w tej właśnie sprawie. Zachęcony do wyjaśnień, stary lekarz z całą naiwnością stwierdził, że podsądny wchodząc na salę „miał niezwykle i dziwnie nie pasujący do okoliczności wygląd, maszerował jak żołnierz, patrząc przed siebie, kiedy właściwie byłoby mu poręczniej patrzeć w lewo, gdzie wśród publiczności siedzą panie, jest bowiem wielkim kobieciarzem i w tej chwili powinien był myśleć o tym, co o nim mówią obecne na sali panie” - orzekł staruszek swoistym stylem. Trzeba dodać, że doktor Herzenstube mówił wiele i chętnie po rosyjsku, ale zdania jego były naszpikowane germanizmami, co bynajmniej nie konfundowało go, bo uważał swoją ruszczyznę za wzorową, za „lepszą nawet niż u Rosjan”, co więcej, chętnie sypał rosyjskimi przysłowiami, zapewniając za każdym razem, że rosyjskie przysłowia są najlepsze i najbardziej charakterystyczne na świecie. Dodajmy jeszcze, że często w rozmowie zapominał z roztargnienia wielu zwykłych słów, które znał doskonale, ale które jakoś ulatniały mu się chwilami z pamięci. Zresztą to samo zdarzało mu się, gdy mówił po niemiecku, przy czym zawsze machał ręką przed własną twarzą, jakby łowiąc zgubione słówko, i za nic w świecie nie kontynuował rozpoczętego zdania, póki tego słowa nie znalazł. Uwaga jego, że podsądny powinien był patrzeć na damy, wywołała żartobliwy szept na sali. Wszystkie nasze panie lubiły staruszkę, wiedziały też, że ten stary kawaler był przez całe życie cnotliwy i skromny i na kobiety spoglądał jako na wyższe, idealne istoty. Toteż nieoczekiwana jego uwaga wydała się wszystkim bardzo dziwną.

Moskiewski doktor ze swej strony ostro i stanowczo orzekł, że stan umysłowy podsądnego jest nienormalny, nawet „w wysokim stopniu”. Wiele i mądrze wywodził o „afekcie” i „manii” i stwierdził, że według wszelkich danych, podsądny już na kilka dni przed aresztowaniem działał pod

wpływem chorobliwego afektu i jeżeli dokonał zbrodni, to co prawda świadomie, ale prawie mimo woli, nie mając zupełnie sił walczyć z chorobliwym popędem, który go całkowicie opanował. Ale prócz afektu doktor dopatrywał się manii, która była, jego zdaniem, prostą drogą do pełnego obłądzenia. (Notabene, powtarzam to własnymi słowami, doktor zaś mówił bardzo uczenie i specjalnym stylem.) „Wszystkie jego czyny przeczą zdrowemu sensowi i logice - ciągnął dalej. - Nie mówię już o tym, czego nie widziałem, czyli o samej zbrodni i o tej całej katastrofie, ale nawet dwa dni temu, w rozmowie ze mną, miał jakieś niewyraźne, osłupiałe spojrzenie. Nieoczekiwany śmiech, zupełnie niestosowny, niepojęte ciągle rozdrażnienie, dziwne, wciąż powtarzane słowa: «Bernard», «etyka» i inne, były zupełnie nie na miejscu.” Ale mania, według słów doktora, szczególnie ujawniała się w tym, że Mitia nie potrafił mówić o tych trzech tysiącach rubli, co do których go rzekomo oszukano, bez ogromnego zdenerwowania, jednocześnie niewiele dbając o inne krzywdy i przeciwności losu. Jak zresztą wynika z licznych zeznań, to i dawniej, ilekroć była mowa o tych trzech tysiącach, wpadał w jakąś wściekłość, a jednak ponoć jest to człowiek bezinteresowny i niechciwy. „Co się zaś tyczy opinii mojego uczonego kolegi - zakończył ironicznie doktor - że podsądny, wchodząc na salę, powinien był patrzeć na panie, a nie przed siebie, powiem tylko, że pomimo frywolności takiego przypuszczenia, jest ono radykalnie błędne: albowiem chociaż całkowicie się zgadzam, że podsądny wchodząc na salę sądową, gdzie rozstrzyga się jego los, nie powinien był patrzeć tak nieruchomo przed siebie i że ta nieruchomość istotnie świadczy poniekąd o nienormalnym stanie psychicznym w owej chwili, jednak z drugiej strony uważam, że powinien był patrzeć nie w lewo, na panie, lecz wręcz przeciwnie, w prawo, szukając oczyma swego obrońcy, w którego pomocy cała jego teraz nadzieja i od którego obrony zawisł cały jego los.” Opinię swoją doktor wypowiedział dobitnie i stanowczo. Ale szczególny komizm nadał kontrowersji obu uczonych nieoczekiwany wywód lekarza Warwińskiego, ostatniego eksperta. Jego zdaniem, podsądny, obecnie jak i dawniej, był w stanie absolutnie normalnym i jeżeli nawet przed uwięzieniem był nieco podniecony i zdenerwowany, to z powodów zupełnie oczywistych: z zazdrości, gniewu, ciągłego pijaństwa itd. Ale ten stan nerwowy nie zawierał w sobie żadnego szczególnego „afektu”. Co się zaś tyczy tego, czy miał patrzeć w lewo, czy w prawo, to „według jego skromnego zdania”, podsądny powinien był, wchodząc na salę, patrzeć właśnie przed siebie, tak jak patrzył w rzeczywistości, albowiem na wprost niego siedział przewodniczący i członkowie sądu, od którego zawisł teraz cały jego los: „zatem to, że patrzył przed siebie, świadczy, iż był w danej chwili w stanie psychicznym zupełnie normalnym” - tymi słowami młody lekarz zakończył z zapalem swoje „skromne wywody”.

- Brawo, doktorze! - zawołał Mitia ze swego miejsca - właśnie tak było!

Mitię oczywiście przywołano do porządku, ale ekspertyza młodego lekarza najbardziej podziałała na sąd i na publiczność, albowiem, jak się później okazało, trafiła wszystkim do przekonania. Zresztą doktor Herzenstube, wywołany następnie jako świadek, niespodzianie w inny sposób przysłużył się jeszcze podsądnemu. Jako stary obywatel tego miasta, znający rodzinę Karamazowów, opowiedział wiele faktów, które bardzo zainteresowały prokuratora, i nagle, jakby coś sobie przypominając, dodał:

- A jednak nieszczęsny młody człowiek mógł mieć o wiele lepszy los, bo miał dobre serce i w dzieciństwie, i później, o, ja o tym wiem. Ale jest takie rosyjskie przysłowie: „Jeśli ktoś ma jeden rozum, to dobrze, a jeżeli przyjdzie go odwiedzić drugi mądry człowiek, to jeszcze lepiej, bo wtedy będą dwa rozумы, nie jeden...”

- Jeden rozum - dobry, a dwa - jeszcze lepiej - podpowiedział zniecierpliwiony prokurator wiedząc, że staruszek lubi mówić rozwlekle i powoli i wielce sobie ceni swój tępy, kartoflany, zawsze radosny i zadowolony z siebie dowcip niemiecki.

- O tak, i ja to samo mówię - z uporem ciągnął doktor - jeden rozum dobrze, a dwa o wiele lepiej. Ale do niego drugi człowiek z rozumem nie przyszedł, a on i swój wypuścił... Jak i gdzie go wypuścił? To słowo, gdzie wypuścił swój rozum, zapomniałem - dodał wywijając ręką przed oczyma - ach, tak, *spazieren*.

- Na spacer.

- No tak, na spacer, ja to samo mówię. Otóż rozum jego poszedł na spacer i trafił w takie głębokie miejsce, że się zgubił. A przy tym to był wdzięczny i uczciwy młodzieniec, o, ja dobrze pamiętam, jak jeszcze był mały, porzucony przez ojca, jak bez butów biegał, ze spodenkami na jednym guziku...

Jakaś współczująca i głęboka nuta zabrzmiała nagle w głosie zacnego staruszka. Fietiukowicz aż drgnął, jakby coś przeczuwając, i natychmiast się przyczepił.

- O tak, ja sam byłem wtedy jeszcze młodzieńcem... Ja... no tak, miałem wtedy czterdzieści pięć lat, a ja wtedy dopiero co tu przyjechałem. I żał mi się wtedy tego chłopczyka zrobiło i ja wtedy zapytałem siebie: „Dlaczego bym nie mógł kupić mu funt...” No tak, czego funt? Zapomniałem, jak to się nazywa... funt tego, co dzieci bardzo lubią - no, jakże to się... - znowu zamachał rękami - to na drzewie rośnie i to się zbiera i wszystkim rozdaje...

- Jabłka?

- O, nie-e-e! Funt, funt, jabłka nie na funty... nie, tych jest więcej i to takie małe, kładzie się do ust i tr-r-rach!

- Orzechy?

- No tak, orzechy, ja to właśnie mówię - najspokojniej w świecie potwierdził doktor, jak gdyby wcale nie szukał tego słowa - i przyniosłem mu funt orzechów, bo chłopcu nikt jeszcze nigdy nie przynosił funta orzechów, i podniosłem mój palec i powiedziałem mu: „Chłopczyku, *Gott der Vater*” - on się roześmiał i powiedział: „*Gott der Vater.*” „*Gott der Sohn.*” On jeszcze się roześmiał i powiedział: „*Gott der Sohn.*” „*Gott der heilige Geist.*” Wtedy on jeszcze się roześmiał i powiedział, jak umiał: *Gott der heilige Geist.*” A ja sobie odszedłem; na trzeci dzień przechodzę tamtędy, a on sam woła do mnie: „Proszę pana, *Gott der Vater, Gott der Sohn*” - tylko zapomniał: „*Gott der heilige Geist*”, ale ja mu przypominałem i znowu żał mi się go bardzo zrobiło. Ale wywieźli chłopca i więcej go nie widziałem. I tak przeszło dwadzieścia trzy lata, ja pewnego rana siedzę w moim gabinecie, już z białą głową, i nagle wchodzi kwitnący młodzieniec, którego w żaden sposób poznać nie mogę, ale on podniósł palec do góry i mówi śmiejąc się: „*Gott der Vater, Gott der Sohn und Gott der heilige Geist*[33]. Ja tylko co przyjechałem i przyszedłem podziękować za funt orzechów, bo nikt mi wtedy nigdy funta orzechów nie kupował, tylko pan mi funt orzechów kupił.” I wtedy przypominałem sobie swoją szczęśliwą młodość i biednego chłopczyka na dworze,

bez obuwia, i serce mi się przewróciło i powiedziałem: „Ty wdzięczny młody człowiek jesteś, bo całe życie pamiętałeś ten funt orzechów, który ja ci w twoim dzieciństwie dałem.” I objąłem go, i błogosławiłem. I zapłakałem. On się śmiał, ale i on płakał... bo Rosjanin często się śmieje tam, gdzie płakać trzeba. Ale i on płakał, widziałem to. A teraz, niestety!...

- I teraz płaczę, Szwabie, i teraz płaczę, człowieku ty boży! - zawołał nagle Mitia ze swego miejsca.

Mimo wszystko opowiadanie to wywarło na publiczności dość dobre wrażenie. Ale momentem szczególnie korzystnym dla Miti było zeznanie Katarzyny Iwanowny, do którego zaraz przystąpię. I w ogóle od chwili, jak zaczęli zeznawać świadkowie *à décharge*, to znaczy świadkowie obrony, los jakby nagle, i to poważnie, uśmiechnął się do Miti. Co najdziwniejsza, było to niespodzianką dla samej obrony. Ale jeszcze przed Katarzyną Iwanowną badano Aloszę, który naraz przypomniał sobie fakt, wyglądający na zupełnie już rzeczowe świadectwo przeciwko jednemu z najważniejszych punktów oskarżenia.

#### IV SZCZĘŚCIE UŚMIECHA SIĘ DO MITI

Stało się to całkiem nieoczekiwanie nawet dla samego Aloszy. Miał zeznawać bez przysięgi; pamiętam, że wszyscy bez wyjątku odnieśli się do niego z wielką sympatią i delikatnością. Widać było, że poprzedza go dobra opinia. Alosza zeznawał skromnie i powściągliwie, ale skroś słów jego przezierała gorąca sympatia do nieszczęśliwego brata. Odpowiadając na któreś z pytań, określił brata jako charakter niepohamowany i dający się unosić namiętnościom, ale za to uczciwy, dumny i wspaniałomyślny, skory nawet do poświęceń. Przyznał zresztą, że brat w ciągu ostatnich dni, z powodu swej namiętności do Gruszeńki i rywalizacji o nią z ojcem, był w stanie wprost niepoczytalnym. Ale prawie z oburzeniem przeczył temu, jakoby brat jego mógł zabić dla grabieży, chociaż przyznawał, że owe trzy tysiące przekształciły się w umyśle Miti w jakąś nieledwie manię: uważał, że ojciec nie dał mu całego spadku po matce, że go oszukał; nie będąc wcale chciwym, nie mógł jednak mówić o tych trzech tysiącach bez wściekłości. O współzawodnictwie dwóch „osób”, jak wyraził się prokurator, czyli Gruszeńki i Kati, Alosza mówił wymijająco, a nawet na jedno czy dwa pytania wcale nie chciał dać odpowiedzi.

- Czy brat panu mówił, że zamierza zabić ojca? - zapytał prokurator. - Może pan nie odpowiadać, jeżeli pan będzie uważał za stosowne - dodał.

- Nie mówił tego wprost - odpowiedział Alosza.

- Ale jak? Pośrednio?

- Mówił mi raz o swojej nienawiści do ojca i że boi się, że... w jakiejś ostatecznej chwili... w chwili obrzydzenia... mógłby zabić ojca.

- I pan, słysząc to, uwierzył mu?

- Boję się powiedzieć, że tak. Ale ja zawsze byłem przekonany, że jakieś szlachetniejsze uczucie zawsze zbawi go w takiej fatalnej chwili, jak go istotnie zbawiło, bo to nie on zabił ojca - zakończył Alosza donośnie i stanowczo na całą salę.

Prokurator drgnął jak koń wojskowy, gdy usłyszy dźwięk trąbki.

- Niech pan będzie przekonany, że wierzę najzupełniej w głęboką szczerść pańskiego przeświadczenia i nie kładę go na karb miłości pana do nieszczęśliwego brata. Swoisty pogląd pana na całe to tragiczne zajście, które się rozegrało w pańskiej rodzinie, znamy już ze śledztwa wstępnego. Nie taję przed panem, że pogląd ten jest w najwyższym stopniu dziwny i że przeczy wszystkim innym zeznaniom, które złożono prokuraturze. I dlatego właśnie uważam za stosowne zapytać pana, teraz już z całą stanowczością, jakie właściwie dane kierowały pana myśl i doprowadziły do ostatecznego przekonania o niewinności brata, i przeciwnie, o winie innego człowieka, na którego pan wskazał od razu podczas śledztwa wstępnego?

- Podczas śledztwa wstępnego odpowiadałem tylko na pytania - cicho i spokojnie oświadczył Alosza. - Nie przyszedłem z oskarżeniem Smierdiakowa.

- A jednak pan wskazał na niego?

- Wskazałem na niego, opierając się na słowach mojego brata Dymitra. Jeszcze przed badaniem opowiedziano mi, co się działo podczas aresztowania brata, i że on sam wskazał na Smierdiakowa. Wierzę absolutnie, że mój brat jest niewinny. A jeśli nie on zabił, to...

- To Smierdiakow?... Dlaczego właśnie Smierdiakow? I na jakiej zasadzie jest pan tak bardzo przekonany o niewinności swego brata?

- Nie mogłem nie uwierzyć bratu. Wiem, że mnie nie okłamie. Widziałem jego twarz, widziałem, że on nie kłamie.

- Tylko z twarzy? Czy to są jedyne pańskie dowody?

- Więcej dowodów nie posiadam.

- A co do winy Smierdiakowa, nie opiera się pan również na żadnym innym dowodzie poza słowami brata i wyrazem jego twarzy?

- Tak, nie mam innego dowodu.

Na tym prokurator zakończył przesłuchanie Aloszy. Odpowiedzi Aloszy bardzo zawiodły oczekiwania publiczności. Smierdiakowa posądzano już przed rozprawą, ktoś coś niecoś słyszał, ktoś na coś wskazywał, mówiono o Aloszy, że ma jakieś niezwykle dowody winy lokaja, i oto - nic, żadnych dowodów poza moralnym przekonaniem, tak naturalnym u brata podsądnego.

Ale zaczął mu już zadawać pytania Fietiukowicz. Na pytanie: kiedy podsądny mówił o



nienawiści do ojca i o tym, że mógłby zabić, czy podczas ostatniej rozmowy ze świadkiem przed katastrofą, Alosza nagle drgnął, jak gdyby dopiero teraz coś sobie przypomniał, i odparł:

- Przypominam sobie teraz pewną okoliczność, o której całkiem zapomniałem, bo wówczas wydała mi się tak niejasna, ale teraz...

I Alosza z uniesieniem, widocznie dopiero teraz coś sobie przypomniał, nagle zaczął opowiadać, jak spotkał Mitię wieczorem pod drzewem na drodze do monasteru i jak Mitia, uderzając się w pierś, w „górną część klatki piersiowej”, kilkakrotnie powtórzył, że może odzyskać honor, że możliwość ta jest tu, na piersiach... „Pomyślałem sobie wówczas, że uderzając się w pierś, ma na myśli serce - rzekł Alosza - że w sercu swoim mógłby znaleźć siły, aby zmyć z siebie okropną hańbę, o której nawet mnie wstydził się powiedzieć. Przyznam się, pomyślałem wówczas, że mówi o ojcu i że sam wzdryga się z przerażenia na myśl o tym, że może przyjdzie do ojca i zrobi mu coś złego; ale właściwie on jakby wskazywał na coś, co leżało na piersi, toteż pomyślałem nawet wówczas przez chwilę, że przecież serce leży nie po tej stronie i nie tak wysoko, że on uderza się w piersi o wiele wyżej, tuż pod szyją, i wciąż wskazuje to miejsce. Myśl moja wydała mi się wówczas głupią, a on właśnie wskazywał może tę szmatkę, w którą zaszył owe tysiąc pięćset rubli!...

- Tak! - zawołał nagle Mitia ze swego miejsca. - Tak właśnie było, Alosza, tak, ja wtedy w to uderzałem ręką!

Fietiukowicz podbiegł doń w pośpiechu, poprosił o zachowanie spokoju i natychmiast jakby się wpił w Aloszę. Ów zaś, przejęty swoim wspomnieniem, gorąco wyraził przypuszczenie, że hańba, o której brat wówczas mówił, polegała prawdopodobnie na tym, że mając przy sobie owe tysiąc pięćset rubli, a mogąc je zwrócić Katarzynie Iwanownie jako połowę długu, postanowił jednak ich nie zwracać i wykorzystać je w inny sposób, mianowicie wywieźć za te pieniądze Gruszeńkę, jeśli się ona zgodzi.

- Tak, właśnie tak - zapewniał Alosza, bardzo podniecony - brat wykrzykiwał wówczas, że połowę, właśnie połowę hańby (kilkakrotnie powiedział: połowę!) mógłby zmyć z siebie, ale skutek nieszczęsnej słabości charakteru nie zrobi tego... wie z góry, że nie może i nie potrafi się na to zdobyć!

- I pan stanowczo wyraźnie pamięta, że uderzał się w to miejsce? - natarczywie indagował go Fietiukowicz.

- Stanowczo i wyraźnie, bo właśnie pomyślałem sobie wówczas: po co on tak wysoko uderza, kiedy serce jest niżej, i moja myśl wydała mi się wówczas głupia... pamiętam, że wydała mi się głupia... na moment. Dlatego teraz sobie przypomniałem. Jak mogłem o tym dotychczas nie pamiętać! Właśnie wskazywał na ten woreczek, jako na dowód, że może, ale nie zwróci owych półtora tysiąca! A gdy go aresztowano, w Mokrem, wołał właśnie - wiem, bo mi mówiono - że uważał to za największą hańbę swego życia, iż mogąc zwrócić połowę (właśnie połowę) długu Katarzynie Iwanownie, zdecydował jednak nie zwrócić jej, wołał raczej być w jej oczach złodziejem niż rozstać się z tymi pieniędzmi! A jak on się męczył z powodu tego długu! - zawołał Alosza.

Oczywiście wtrącił się też i prokurator. Poprosił, aby świadek jeszcze raz opisał, jak to

wszystko było, i kilka razy powtórzył pytanie: czy istotnie podsądny uderzał się w piersi, jak gdyby na coś wskazywał? Może po prostu bił się pięścią w pierś?

- Wcale nie pięścią! - zawołał Alosza. - Właśnie pokazywał palcami i pokazywał wysoko, bardzo wysoko... Ale jak mogłem o tym zapomnieć!

Przewodniczący zwrócił się teraz do Miti, czy ma coś do powiedzenia w kwestii tego zeznania. Miti potwierdził, że tak było w istocie, że właśnie wskazywał na tysiąc pięćset rubli, które miał na piersi, tuż pod szyją, i że oczywiście była to owa hańba, „hańba, której się nie zapieram, najhaniebniejszy czyn w moim życiu! - wołał Miti. - Mogłem zwrócić, lecz nie zwróciłem. Wołałem zostać w jej oczach złodziejem, ale nie zwróciłem, a największą hańbą było to, że wiedziałem z góry, że tych pieniędzy nie zwrócę! Alosza ma rację! Dziękuję ci, Alosza!”

Tak skończyło się przesłuchanie Aloszy. Ważna i charakterystyczna była jedna okoliczność: odnalazł się przynajmniej jeden mały fakt, dowód oczywiście bardzo błahy, raczej cień dowodu, który jednak bodaj trochę świadczył, że naprawdę istniał ten woreczek z zaszytymi pieniędzmi i że podsądny nie kłamał, gdy zeznał w Mokrem, że to „jego własne” pieniądze. Alosza był zadowolony; z pałającymi policzkami udał się na wskazane mu miejsce. Długo jeszcze powtarzał szeptem: „Jak mogłem zapomnieć? Jak mogłem o tym zapomnieć! I jak teraz dopiero sobie przypomniałem!”

Zaczął się przesłuchiwanie Katarzyny Iwanowny. Ledwo się pojawiła, w sali zapanował niezwykły nastrój. Panie chwyciły za lornetki i *lorgnons*, mężczyźni poruszyli się niespokojnie, niektórzy zerwali się z miejsc, aby lepiej widzieć. Wszyscy potem twierdzili, że ledwo tylko weszła, Miti nagle zbladł „jak chusta”. Cała w czerni, skromnie i jakby nawet nieśmiało podeszła do wskazanego jej miejsca. Nie można było zmiarkować z jej twarzy, czy jest bardzo wzburzona, ale w jej posępnym, pociemniałym spojrzeniu widniała stanowczość. Wiele osób twierdziło później, że była wtedy wyjątkowo piękna. Zaczęła zeznawać cicho, ale wyraźnie, tak że wszyscy słyszeli. Mówiła nadzwyczaj spokojnie albo przynajmniej usiłowała być spokojna. Przewodniczący zaczął pytać oględnie, bardzo ostrożnie, z wielkim uszanowaniem, jakby lękając się dotknąć „pewnych strun”, pełen szacunku wobec wielkiego nieszczęścia. Ale Katarzyna Iwanowna, w odpowiedzi na jedno z zadanych pytań, sama wręcz oświadczyła, że była formalnie zaręczona z podsądnym i była jego narzeczoną „dopóki sam mnie nie rzucił”...! - dodała półgłosem. Gdy zapytano o trzy tysiące wręczone Miti w celu przesłania do jej krewnych, odpowiedziała twardo: „Dałam mu pieniądze właściwie nie po to, aby wysłał: czułam wówczas, że mu są bardzo potrzebne... Dałam mu trzy tysiące pod warunkiem, że wyśle je, jeśli zechce, w ciągu miesiąca. Niepotrzebnie się potem zadreślał z powodu tych pieniędzy...”

Nie powtórzę tu wszystkich pytań i wszystkich jej odpowiedzi, chodzi mi raczej o istotny sens jej zeznań.

- Byłam najzupełniej pewna, że zawsze zdąży wysłać te trzy tysiące, skoro tylko dostanie je od ojca - rzekła odpowiadając na pytanie. - Zawsze byłam przeświadczona o jego bezinteresowności i uczciwości... wielkiej uczciwości... w sprawach pieniężnych. Był najzupełniej pewien, że dostanie od ojca trzy tysiące rubli, i kilkakrotnie mi to mówił. Wiedziałam, że kłóci się z ojcem, i zawsze byłam przekonana, i dotychczas jestem, że ojciec go skrzywdził. Nie pamiętam żadnych jego pogroźek względem ojca. Mnie przynajmniej nic takiego nie mówił. Gdyby wtedy przyszedł do mnie

natychmiast, uspokoiłabym go co do tych nieszczęsnych trzech tysięcy, ale on przestał do mnie przychodzić... a ja... byłam w takiej sytuacji, że nie mogłam go prosić, żeby do mnie przyszedł... Zresztą nie miałam prawa rościć pretensji o ten dług - dodała z jakąś nagłą stanowczością - sama pewnego razu dostałam od niego pożyczkę o wiele większą i przyjął ją, mimo że absolutnie nie spodziewałam się wówczas, iż będę w stanie zwrócić mu ten dług...

W jej głosie zabrzmiało jakby jakieś wyzwanie. I wówczas właśnie zaczął ją przesłuchiwać Fietukowicz.

- To było nie tutaj jeszcze, na początku waszej znajomości? - zaczął ostrożnie, wyczuwając jakąś sprzyjającą okoliczność. (Nawiasem mówiąc, chociaż sprowadziła go do nas Katarzyna Iwanowna, nie wiedział nic o pięciu tysiącach, które Mitią jej kiedyś pożyczył, i o jego „pokłonie do ziemi”. Tego Fietukowiczowi jednak nie powiedziała! I to było dziwne. Można przypuszczać, że do ostatniej chwili nie wiedziała, czy opowie o tym epizodzie w sądzie czy nie, i czekała na jakieś natchnienie.)

Nie, nigdy nie zapomnę tych chwil!

Zaczęła zeznawać: opowiedziała wszystko, cały ten epizod, który Mitią swego czasu opowiedział Aloszy: i o „pokłonie”, i o ojcu; mówiła i o wizycie u Miti, lecz nie wspomniała absolutnie, że Mitią sam zaproponował jej siostrze przyrodniej, aby „przysłała do niego Katarzynę Iwanowną po pieniądze”. Wspaniałomyślnie przemilczała tę okoliczność i nie wstydziła się oznajmić, że sama z własnego popędu pobiegła wówczas do młodego oficera, mając nadzieję na coś... aby poprosić go o pieniądze. Była to wstrząsająca opowieść. Czułem dreszcze i trząsałem się słuchając tego opowiadania, cała sala zamarła wsłuchując się w każde słowo. To było coś bezprzykładnego, bo przecież nawet po tak hardej i wyniosłej dziewczynie nie można się było spodziewać tak szczerego wyznania, takiej ofiary, takiego poświęcenia. I dla kogo, dla kogo? Żeby uratować swego krzywdziciela, który ją zdradził, żeby przynajmniej choć w części, choć w najmniejszej, przyczynić się do jego uwolnienia, żeby wywołać korzystne dlań wrażenie! Bo istotnie: obraz oficera oddającego niewinnej dziewczynie z ukłonem pełnym szacunku swoje ostatnie pięć tysięcy rubli - wszystko, co wówczas posiadał - był nader sympatyczny i ujmujący, ale... serce moje ścisnęło się boleśnie! Poczulem, że potem może z tego wyniknąć (i wynikła, a jakże, wynikła!) potwarz! Ze złośliwym śmieszkiem opowiadano sobie potem u nas, że jej spowiedź była może niezupełnie dokładna, i to właśnie w tym miejscu, gdzie oficer jakoby wypuścił niewinną dziewczynę jedynie „z pełnym szacunku ukłonem”! Powiadano, że tu coś „przemilczała”. „I gdyby nawet nie przemilczała, gdyby to nawet było prawdą - powiadały nasze najczcigodniejsze panie - to i wówczas nie wiadomo, czy bardzo szlachetnie postąpiła dziewczyna, choćby nawet przyświecał jej wzniosły cel uratowania ojca.” I czy istotnie Katarzyna Iwanowna, taka mądra, taka wrażliwa i przewidująca, nie przeczuwała, że tak właśnie będą ów wypadek komentować? Na pewno przeczuwała, a jednak zdecydowała się powiedzieć wszystko! Rozumie się, wszystkie te nikczemne domysły powstały dopiero potem, zrazu bowiem wszyscy, absolutnie wszyscy, byli poruszeni do głębi. Sędziowie słuchali jej w pełnym szacunku i nawet wstydlivym milczeniu. Prokurator nie pozwolił sobie zadać ani jednego pytania na ten temat. Fietukowicz skłonił się głęboko. O, ten niemal triumfował! Wiele teraz zyskał: człowiek, który ze szlachetnego popędu oddaje ostatnie pięć tysięcy, a potem ten sam człowiek, który w nocy zabija swego ojca, aby ukraść mu trzy tysiące - to się jakoś nie zgadzało.

Przynajmniej fakt grabieży był teraz mocno zachwiany. „Sprawa” nagle ukazała się w nowym świetle. Odczuwało się jakąś sympatię dla Miti. On sam zaś... opowiadano, że podczas zeznania Katarzyny Iwanowny parę razy zrywał się z miejsca, po czym osuwał się na ławę i zasłaniał twarz rękoma. Kiedy zaś skończyła, zawołał głosem nabrzmiałym łkaniem, wyciągając ku niej ręce:

- Katia, dlaczegoś mnie zgubiła!

I zaszlochał głośno na całą salę. Zresztą rychło się opanował i znowu wykrzyknął:

- Teraz jestem skazany!

A potem jakby skamieniał, zaciąwszy zęby i skrzyżowawszy ręce na piersi. Katarzyna Iwanowna została na sali i usiadła na wskazanym jej krześle. Była blada i wzrok utkwiała w ziemi. Ci, którzy siedzieli obok niej, opowiadali, że długo trzęsła się jak w febrze. Teraz przyszła kolej na Gruszeńkę.

Zbliżyłem się do momentu katastrofalnego, który nastąpił niespodziewanie i, być może, istotnie pogрузzył Mitę. Jestem bowiem przekonany, a wraz ze mną i inni, i tak twierdzili wówczas wszyscy prawnicy, że gdyby nie ten szczegół, osądzono by podsądnego pobłażliwie. Zaraz to wyłożę. Ale przedtem tylko dwa słowa o Gruszeńce.

Weszła, również w czerni, okryta swym pięknym czarnym szalem. Lekko, bezszelestnie, kołysząc się nieco, jak to się widzi u kobiet o pełnych kształtach, patrząc badawczo na przewodniczącego, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo. Moim zdaniem, była bardzo piękna w tej chwili i wcale nie blada, jak to utrzymywały potem nasze panie. Opowiadano, że twarz miała skupioną, złą. Myślę, że była tylko rozdrażniona i sprawiały jej przykrość te wszystkie wzgardliwe i ciekawe spojrzenia naszej publiczności żadnej skandalu. Był to charakter dumny, nie znoszący pogardy, jeden z tych, co, podejrzewając pogardę, unoszą się gniewem i pragnieniem odwetu. Poza tym, była onieśmielona i odczuwała wstyd z powodu tego onieśmienia, wskutek czego odpowiedzi jej były nierówne - to gniewne, to wzgardliwe i umyślnie brutalne, to znowu w głosie jej nagle odzywała się szczerza nuta potępienia własnej osoby. Chwilami zaś mówiła tak, jakby leciała w przepaść: „wszystko jedno, niech będzie, co ma być, ja jednak powiem”...

Gdy ją zapytano o znajomość z Fiodorem Pawłowiczem, odpowiedziała porywczo, że „wszystko to są bzdury, co ja jestem winna, że on się do mnie przyczepił?” A po chwili dodała: „Wszystkiemu jestem winna sama, śmiałam się z tego i z tamtego - i ze starego, i z niego - i doprowadziłam ich obu do tego stanu. Wszystko to się stało przeze mnie.” Gdy wspomniano o Samsonowie: „Co komu do tego - odparła z jakimś zuchwałym wyzwaniem - był moim dobroczyńcą, wziął mnie bosą, kiedy mnie rodzina z domu przepędziła.” Przewodniczący, bardzo zresztą grzecznie, zwrócił jej uwagę, że należy odpowiadać rzeczowo, nie wdając się w zbyteczne szczegóły. Gruszeńka zarumieniła się i oczy jej zabłyśły.

Koperty z pieniędzmi nie widziała, mówił jej tylko „złoczyńca”, że Fiodor Pawłowicz ma jakąś kopertę z trzema tysiącami. „Tylko że to wszystko bzdury, śmiałam się z tego i za nic bym tam nie poszła...”

- Kogo pani miała na myśli, mówiąc o „złoczyńcy”? - zapytał prokurator.

- A lokaja, Smierdiakowa, co zabił swego pana, a wczoraj się obwiesił.

Oczywiście zapytano ją natychmiast: na jakiej podstawie posądza tak stanowczo nieboszczyka, ale i ona nie miała żadnych podstaw.

- Dymitr Fiodorowicz sam mi tak mówił, jemu wierzyć. To ona go zgubiła, a jakże, ona jedna zawiniła, a jakże - dodała Gruszeńska, jakby zzymając się z nienawiści, i uszczypliwa nuta zabrzmiała w jej głosie.

Zapytano, kogo teraz ma na myśli.

- A panienka, zwodnica, Katarzyna Iwanowana, i mnie wtedy zwabiła do siebie, czekoladą częstowała, chciała mnie przekupić. Wstydu nie ma, ot co...

Przewodniczący przerwał jej surowo, by wyrażała się umiarkowanie. Ale serce zazdrosnej kobiety już się rozpało, była gotowa runąć na oślep w przepaść...

- Podczas aresztowania podsądnego - przypomniał sobie prokurator - wszyscy widzieli i słyszeli, jak pani zawołała: „To ja wszystkiemu jestem winna, razem pójdziemy na katorgę!” A więc sądziła pani w owej chwili, że podsądny jest ojcobójcą?

- Nie pamiętam swoich ówczesnych uczuć - odparła Gruszeńska - wszyscy wtedy wołali, że on zabił ojca, więc poczułam, że to ja jestem winna i że on przeze mnie zabił... Ale kiedy powiedział, że jest niewinny, od razu mu uwierzyłam, i teraz wierzę, i zawsze będę wierzyć: nie taki to człowiek, aby skłamał.

Następnie przesłuchiwał ją Fietiukowicz. Pamiętam, że pytał ją o Rakitina i o owe dwadzieścia pięć rubli, które Rakitin dostał „za to, że przyprowadził Aleksego Fiodorowicza Karamazowa”.

- I cóż w tym dziwnego, że wziął pieniądze - uśmiechnęła się Gruszeńska ze wzgardliwą złością - wciąż przychodził do mnie po pieniądze, wyciągał i po trzydzieści rubli na miesiąc, przeważnie na zabawy, bo na utrzymanie i tak miał.

- Czemu była pani taka hojna względem pana Rakitina? - zapytał Fietiukowicz, chociaż przewodniczący zaczął się już niespokojnie kręcić w fotelu.

- Przecie to mój cioteczny brat. Moja matka i jego matka to rodzone siostry. Ciągłe mnie tylko błagał, abym o tym nikomu nie mówiła. Wstydził się bardzo tego pokrewieństwa.

Nowy ten fakt był dla wszystkich zupełną niespodzianką. Nikt nie wiedział o tym dotychczas ani w mieście, ani w monasterze; nie wiedział o tym nawet Mitia. Powiadano, że Rakitin, obecny na sali, zalał się purpurą. Gruszeńska jeszcze przed wejściem na salę dowiedziała się jakoś, że Rakitin świadczył przeciw Miti, i dlatego powzięła do niego taką złość. Cała poprzednia przemowa pana Rakitina, cała jego szlachetność, wszystkie wycieczki w stronę przeżytków, poddaństwa i złych instytucji Rosji - wszystko zostało całkowicie obalone w opinii słuchaczy. Fietiukowicz był

zadowolony: znowu mu się udało. Gruszeńkę zaś badano niedługo, zresztą nie mogła wnieść zasadniczo nic nowego. Zostawiła zaś po sobie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Setki pogardliwych spojrzeń odprowadzały ją, gdy wracała po przesłuchaniu na miejsce, dość oddalone od miejsca Katarzyny Iwanowny. Mitya w czasie jej zeznań milczał jak skamieniały, utkwivszy wzrok w ziemi.

Teraz miał świadczyć Iwan Fiodorowicz.

## V NIEOCZEKIWANA KATASTROFA

Trzeba zaznaczyć, że wywołano go jeszcze przed Aloszą. Ale woźny sądowy oświadczył, że z powodu nagłej niedyspozycji świadek nie może zeznawać i że skoro tylko poczuje się lepiej, będzie gotów stanąć przed sądem. Nikt tego zresztą wówczas nie słyszał, dowiedziano się o tym później. Zrazu nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi: główni świadkowie, przede wszystkim obie rywalki, byli już przesłuchani; ciekawość chwilowo została zaspokojona. Wyczuwało się, że publiczność jest już znużona. Pozostało jeszcze kilku świadków do przesłuchania, ale żaden z nich nie mógł najpewniej powiedzieć nic szczególnego wobec tego wszystkiego, co już było powiedziane. A czas upływał. Iwan Fiodorowicz wszedł jakoś dziwnie powoli, nie patrząc na nikogo, ze spuszczoną głową, jakby się nad czymś zastanawiał. Ubrany był bez zarzutu, lecz twarz jego, przynajmniej na mnie, wywarła przykre wrażenie: było w niej coś, jakby owa twarz dotknęła ziemi, jakieś podobieństwo do twarzy człowieka konającego. Oczy miał mętne; podniósł je i powoli spojrzał po sali. Alosza nagle zerwał się i jęknął: „Ach!” Pamiętam to. Ale i na to nikt prawie nie zwrócił uwagi.

Przewodniczący zaczął od tego, że przypomniał świadkowi, iż zeznaje nie zaprzysiężony, że może odpowiadać lub nie, ale że oczywiście świadczyć powinien sumiennie itd., itd. Iwan Fiodorowicz słuchał i patrzył na niego mętным wzrokiem; lecz powoli twarz jego zaczęła się układać do uśmiechu. I nagle roześmiał się, ledwo tylko przewodniczący, przyglądający mu się ze zdumieniem, przestał mówić.

- No i cóż jeszcze? - zapytał głośno.

Na sali zapanowała głucha cisza, jakby coś przeczuwano. Przewodniczący zaniepokoił się.

- Pan... może nie jest jeszcze zdrów? - rzekł szukając oczyma woźnego sądowego.

- Proszę się nie niepokoić, wasza ekscelencjo, jestem dostatecznie zdrów i mogę panu opowiedzieć coś ciekawego - odparł Iwan Fiodorowicz tym razem spokojnie i z szacunkiem.

- Czy ma pan coś szczególnego do zakomunikowania? - pytał go wciąż z niedowierzaniem przewodniczący.

Iwan Fiodorowicz zwiesił głowę, kilka sekund się namyślał, po czym, podniósłszy głowę,

odpowiedział jakby się jękając:

- Nie... nie mam. Nie mam nic szczególnego.

Zaczął mu zadawać pytania. Odpowiadał niechętnie, siląc się na zwięzłość, z jakąś nawet odrazą, wzmagającą się coraz bardziej. Mówił na ogół rzeczowo. Często odpowiadał, że nic nie wie. Nie wiedział na przykład nic o obrachunkach między ojcem a Dymitrem Fiodorowiczem. „I nie zajmowałem się tym” - rzekł. O pogroźkach słyszał od samego podsądnego. O kopercie z pieniędzmi mówił mu Smierdiakow...

- Wszystko to samo - przerwał nagle ze zmęczoną twarzą - nie mam nic szczególnego do zakomunikowania.

- Widzę, że pan jest niezdrów, i pojmuję uczucia pana... - zaczął przewodniczący.

Zwrócił się do prokuratora i obrońcy, proponując im, jeśli uznają to za potrzebne, by zadali pytania świadkowi, gdy nagle Iwan Fiodorowicz znużonym głosem rzekł:

- Proszę mnie puścić, wasza ekscelencjo, czuję się bardzo źle.

Powiedziawszy to, i nie czekając nawet na odpowiedź, odwrócił się i chciał wyjść z sali. Ale nie uszedł czterech kroków, gdy nagle zatrzymał się, jakby coś zdecydował, uśmiechnął się łagodnie i wrócił na poprzednie miejsce.

- Ja, wasza ekscelencjo, zupełnie jak ta wiejska dziewczucha... wie pan, jak to jest: chodzą za nią z sarafanem, aby w niego skoczyła, żeby potem zawiązać i do ślubu zawieść, a ona powiada: „Zechcę - skocę, zechcę - nie skocę...” To taki zwyczaj w jednym z naszych regionów...

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał surowo przewodniczący.

- To właśnie - Iwan Fiodorowicz wyciągnął nagle paczkę banknotów - że to te same pieniądze, które były w tej kopercie - wskazał ręką stół z dowodami rzeczowymi - z powodu których zabito ojca. Gdzie to położyć? Proszę - rzekł zwracając się do woźnego - zechce pan to podać.

Woźny sądowy wziął paczkę i wręczył przewodniczącemu.

- Jakim sposobem mogły się znaleźć te pieniądze u świadka... jeśli to są te same pieniądze? - zapytał ów ze zdziwieniem.

- Dostałem je od Smierdiakowa, od zabójcy, wczoraj... Byłem u niego, zanim się powiesił. To on zabił ojca, a nie mój brat. On zabił, a ja go do tego popchnąłem... Któż pragnie śmierci ojca?...

- Pan jest przytomny? - zapytał mimo woli przewodniczący.

- O to właśnie chodzi, że przytomny... podle przytomny, tak jak pan i wszystkie te... m-mordy! - zwrócił się nagle do publiczności. - Zabili ojca, a udają, że się zlekli - rzucił przez zęby ze wściekłą pogardą. - Wzajemnie przed sobą udają. Kłamcy! Wszyscy pragną śmierci ojca. Jeden gad pożera

drugiego... Gdyby nie dowiedziano ojcobójstwa, wszyscy by się rozgniewali i wrócili do domu źli... Igrzysk! „Chleba i igrzysk!” Zresztą i ja też jestem dobry! Macie tu wodę czy nie? Dajcie mi się napić, na miłość boską! - chwycił się za głowę.

Woźny natychmiast podbiegł do świadka. Alosza zerwał się nagle i zawołał: „Chory jest, nie wiercie mu, mówi w malignie!” Katarzyna Iwanowna gwałtownie zerwała się z miejsca i, skamieniała ze zgrozy, wpatrywała się w Iwana Fiodorowicza. Mitią wstał i z jakimś niezwykłym, wykrzywionym uśmiechem chciwie słuchał i patrzył na brata.

- Uspokójcie się, nie jestem wariatem, jestem tylko zabójcą! - zaczął znowu Iwan. - Od zabójcy nie można przecież wymagać krasomówstwa... - dodał i zaśmiał się z grymasem.

Prokurator, bardzo stropiony, nachylił się do przewodniczącego. Sędziowie, zaaferowani, mówili coś między sobą szeptem, Fietukowicz nastawił uszu. Sala zamarła w oczekiwaniu. Przewodniczący naraz jakby się opamiętał.

- Słowa świadka są niezrozumiałe i tutaj niewłaściwe. Niech się pan uspokoi, jeśli pan potrafi, i niech pan powie... co pan istotnie ma do powiedzenia. Czym może pan potwierdzić takie zeznanie... o ile pan nie majaczy?

- O to właśnie chodzi, że nie mam świadków. Ten pies, Smierdiakow, nie przyśle świadectwa z tamtego świata... w kopercie. Wciąż byście tylko kopert chcieli, jednej dosyć. Nie mam świadków... oprócz może jednego - uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Któż to?

- Z ogonem, wasza ekscelencjo, nie licuje to z pana mundurem. *Le diable n'existe point!*[34] Nie zwracajcie uwagi, lichy, pospolity, diabeł - dodał jakby poufnie, przestając się śmiać. - Na pewno siedzi tu gdzieś, pod tym właśnie stołem z dowodami rzeczowymi, gdzieżby siedział, jak nie tam? Uważnie mnie słuchajcie; powiedziałem mu: „Nie chcę milczeć”, a on o przewrocie geologicznym... brednie! Ano zwolnijcie potwora... hymn zaintonował, wiecie dlaczego? bo mu lekko na sercu! Tak jakby pijana kanalia ryknęła *Do Pitra pojechał mój Wańka*. A ja za dwie sekundy radości oddałbym kwadrylion kwadrylionów. Nie znacie mnie wcale! O, jakie to wszystko u was głupie! Ano weźcie mnie zamiast niego! Przyszedłem tu po coś... Dlaczego, dlaczego to wszystko jest takie głupie?...

I znowu powoli i w zamyśleniu zaczął rozglądać się po sali. Ale już zaczął się popłoch. Alosza podbiegł ku niemu, lecz woźny sądowy wyprzedził go i chwycił Iwana Fiodorowicza za rękę.

- A to co takiego? - zawołał Iwan, patrząc groźnie na woźnego, i nagle, uchwyciwszy go za ramiona, z wściekłością powalił na podłogę.

Ale już podbiegła straż. Gdy go schwytano, wrzasnął nieludzkim głosem. I wciąż wykrzykiwał bez sensu, póki go nie wyprowadzono.

Powstał istny rozgardiasz. Nie pamiętam wszystkiego, sam byłem wzburzony i nie mogłem



wszystkiego dostrzec. Wiem tylko, że potem, kiedy wszystko się uspokoiło i wszystko zrozumiano, przewodniczący ofuknął surowo woźnego, ów zaś tłumaczył się, że świadek był dotąd zdrow, że doktor go zbadał, że godzinę temu poczuł się źle, ale przez cały czas mówił logicznie, toteż nie można było przewidzieć takiego epilogu; że wreszcie sam upierał się, że chce złożyć zeznania. Ale zanim uspokoiło się całkowicie, nastąpiła nowa scena: Katarzyna Iwanowna dostała ataku histerycznego. Mimo spazmów nie chciała opuścić sali, szarpała się, prosiła, aby jej pozwolono zostać, i nagle zawołała:

- Muszę sądowi przedstawić jeszcze coś, natychmiast... natychmiast! Oto papier... list... weźcie, przeczytajcie prędeż, prędeż! To list tego potwora, tego, tego! - wskazała na Mitię. - To on zabił ojca, przekonacie się zaraz, on pisze wyraźnie, że zabije ojca! A ten jest chory, chory, ma zapalenie mózgu! Już trzy dni widzę, jak majaczy!

Tak krzyczała nie panując nad sobą. Woźny sądowy wziął list, który wyciągnęła do przewodniczącego, ona zaś opadła na krzesło, zasłoniła twarz i zaczęła konwulsyjnie i bezgłośnie szlochać, trzęsąc się i tłumiąc wydzierające się jęki. Bała się bowiem, że ją wyprowadzą. Był to list Miti napisany w „Stołecznym Grodzie”, ten sam, który Iwan Fiodorowicz nazwał „matematycznym” dowodem winy Miti. Niestety, sąd uznał tę matematyczność, i gdyby nie ten list, nie zginąłby Mitieńka albo przynajmniej nie zginąłby tak strasznie! Powtarzam, trudno byłoby powtórzyć wszystkie szczegóły. Dotychczas widzę to wszystko w jakimś chaosie. Zapewne przewodniczący odczytał dokument sędziom, prokuratorowi, obrońcy i przysięgłym. Pamiętam tylko, jak zaczęto badać świadka. Na zapytanie, czy się uspokoiła, Katarzyna Iwanowna zawołała gwałtownie:

- Jestem gotowa, jestem gotowa! Mogę odpowiadać - dodała w okropnym lęku, że nie pozwolą jej mówić.

Proszono, aby wyjaśniła szczegółowo: jaki to list i w jakich okolicznościach go otrzymała.

- Dostałam go w przeddzień zbrodni, a pisał go jeszcze poprzedniego dnia w restauracji, a zatem na dwa dni przed zbrodnią, napisał go na jakimś rachunku! - zawołała zdławionym głosem. - Nienawidził mnie wtedy, ponieważ popełnił podłość i poszedł za tą kreaturą... i ponieważ winien mi był trzy tysiące... O, wstyd mu było tych trzech tysięcy i tej swojej podłości. Te trzy tysiące, oto jak było - proszę pana, błagam, aby mnie pan wysłuchał: trzy tygodnie przed zabiciem ojca przyszedł do mnie rano. Wiedziałam, że mu potrzebne są pieniądze, i wiedziałam na co - właśnie na to, żeby uwieść tę kreaturę i wyjechać z nią. Wiedziałam wtedy, że mnie zdradził i że chce mnie porzucić, i ja, ja sama, dałam mu wówczas te pieniądze, sama je zaproponowałam, niby po to, żeby wysłał do Moskwy; a kiedy mu je dawałam, spojrzałam na niego i powiedziałam, że może wysłać, kiedy zechce, „choćby dopiero za miesiąc”. Jakże więc, jakże mógł nie zrozumieć, że mówiłam mu wprost w oczy: „Potrzebne ci są pieniądze, aby mnie zdradzić z tą kreaturą, więc masz te pieniądze, ja sama ci je daję, weź, jeżeli jesteś tak nieuczciwy, że weźmiesz!” Chciałam go zdemaskować, i cóż? Wziął, wziął i poszedł, i przehulał w ciągu jednej nocy z tą kreaturą... Ale on zrozumiał, zrozumiał, że wszystko wiem, zapewniam pana, że on wszystko zrozumiał, i to, że dając mu te pieniądze wystawiam go na próbę: czy będzie tak nieuczciwy, że weźmie, czy nie? Patrzyłam mu w oczy i on mi patrzył w oczy, i wszystko zrozumiał, wszystko zrozumiał i wziął, wziął i zabrał moje pieniądze!

- Prawda, Katiu! - zawołał naraz Mitia. - W oczy ci patrzyłem i rozumiałem, że mnie hańbisz, a

jednak wzięłem twoje pieniądze! Pogardzajcie łotrem, pogardzajcie, zasłużyłem na to!

- Oskarżony! - zawołał przewodniczący - jeszcze słowo, a każę oskarżonego wyprowadzić.

- Te pieniądze go męczyły - podjęła śpiesząc się gorączkowo Katia - chciał mi je zwrócić, chciał, to prawda, ale pieniądze były mu potrzebne dla tej jego kreatury. Dlatego zabił ojca, a pieniędzy mi nie zwrócił, wyjechał z nią do tej wioski, gdzie go złapano. Tam znowu przehulał pieniądze, które ukradł zamordowanemu ojcu. A dzień przedtem, zanim zabił ojca, napisał do mnie ten list, napisał, będąc pijanym, od razu to zmiarkowałam, napisał ze złości, wiedząc, na pewno wiedząc, że nikomu tego listu nie pokażę, choćby nawet zabił. Bo inaczej nie napisałby! Wiedział, że nie będę się mściła i nie zgubię go. Ale niech pan przeczyta, niech pan przeczyta uważnie, proszę jak najuważniej, a przekona się pan, że wszystko w tym liście opisał, wszystko z góry: jak zabije ojca i gdzie leżą pieniądze. Niech pan spojrzy, błagam pana, niech pan nie przeoczy, tam jest jedno zdanie: „Zabiję, niech tylko Iwan wyjedzie”. To znaczy, że z góry ukartował, jak zabije - dodała jadowitym tonem Katarzyna Iwanowna. O, widać było, że wystudiowała ten fatalny list i przemyślała każde słowo. - Gdyby nie był pijany, nie pisałby, ale niech pan zauważy, wszystko z góry było opisane, jota w jotę, jak potem zabił, cały plan!

Tak wołała nie panując nad sobą i oczywiście niewiele dbając o konsekwencje, chociaż wiedziała, jakie one będą, bo już miesiąc temu zastanawiała się, może drżąc ze złości: „Czy nie przeczytać tego w sądzie?” Teraz zaś jakby zdecydowała się na wszystko. Pamiętam, że następnie protokolant odczytał ów list na głos. Wrażenie było wstrząsające. Zwrócono się do Miti zapytaniem, czy przyznaje się, że to jego list.

- Mój, mój! - zawołał Miti. - Gdybym nie był pijany, nie napisałbym tego! Za wiele rzeczy nienawidziliśmy się, Katiu, ale przysięgam, przysięgam, że nawet nienawidząc kochałem cię, a ty mnie - nie!

Osunął się na swoje miejsce, załamując w rozpacz ręce. Prokurator i obrońca rozpoczęli krzyżowy ogień pytań. Przede wszystkim zapytano, co ją skłoniło do zatajenia aż do ostatniej chwili tego dokumentu i do złożenia zeznań w innym duchu i tonie.

- Tak, tak, przedtem kłamałam, kłamałam wbrew sumieniu i uczciwości, ale przedtem chciałam go uratować, ponieważ tak mnie nienawidził i tak mną pogardzał! - wołała Katarzyna Iwanowna jak obłąkana. - O, gardził mną straszliwie, i wiecie, panowie, wiecie - gardził mną od tej chwili, kiedy mu wtedy za pieniądze w pas się pokłoniłam. Zrozumiałam to... Wtedy od razu to poczułam, ale długo nie chciałam uwierzyć. Ileż razy czytałam w jego oczach: „A jednak tyś sama do mnie przyszła!” O, on nie rozumiał, wcale nie rozumiał, dlaczego wtedy przybiegłam, on tylko podłość widzi wszędzie! Mierzył swoją miarką, myślał, że wszyscy są tacy jak on - zawołała Katia, zgrzytając z wściekłości zębami. - A ożenić się ze mną chciał tylko dlatego, że dostałam spadek, dlatego, tylko dlatego! Zawsze posądzałam go o to! To zwierzę! Całe życie był przekonany, że ja przez całe życie będę się trzęsła przed nim ze wstydu za to, że wtedy przyszłam, że będzie mną wiecznie pogardzał i nade mną przewodził - oto dlaczego chciał się ze mną ożenić! Tak jest, tak właśnie jest! Starłam się zwyciężyć go swoją miłością, miłością bezgraniczną, chciałam nawet znosić jego zdradę, ale on nic, nic nie rozumiał. Czy on w ogóle potrafi coś zrozumieć! To potwór! Ten list dostałam następnego dnia wieczorem, przynieśli mi go z restauracji, a jeszcze rano, jeszcze rankiem tego dnia chciałam mu

wszystko przebaczyć, wszystko, nawet zdradę!

Oczywiście przewodniczący i prokurator starali się ją uspokoić. Jestem przekonany, że nawet wstyd im było korzystać z jej nieprzytomnego uniesienia i wysłuchiwać takie wyznania. Pamiętam, że słyszałem, jak mówili jej: „Rozumiemy, jak pani jest ciężko, niech pani wierzy, czujemy...” itd., itd. - a jednak wydebili, co trzeba, z nieprzytomnej, rozhisteryzowanej kobiety. Wreszcie opisała wszystko z niezwykłą wyrazistością, która tak często powstaje w chwilach największego napięcia; opisała więc, jak Iwan Fiodorowicz szalał zupełnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, by uratować „potwora i zabójcę”, swojego brata.

- Zadręczał się - wołała - wciąż pragnął zmniejszyć jego winę, przyznawał mi się, że sam nie lubił ojca i może nawet pragnął jego śmierci. O, to wrażliwe, bardzo wrażliwe sumienie! Zadręczał siebie wyrzutami sumienia! Wszystko mi opowiadał, wszystko, przychodził do mnie i rozmawiał ze mną codziennie jako z jedynym swoim przyjacielem. Mam zaszczyt być jedynym jego przyjacielem! - zawołała nagle jakby z wyzwaniem, a oczy jej rzucały groźne błyski. - Był u Smierdiakowa dwukrotnie. Pewnego razu przyszedł do mnie i rzekł: „Jeśli zabił nie mój brat, lecz Smierdiakow (bo rozpowszechniano tu bajkę, że zabił Smierdiakow), to może i ja jestem winien, bo Smierdiakow wiedział, że nie lubię ojca, i może nawet myślał, że pragnę jego śmierci.” Wówczas wyjęłam ten list i pokazałam mu, wtedy przekonał się ostatecznie, że zamordował jego brat, i to go dobiło. Nie mógł znieść myśli, że rodzony jego brat to ojcobójca! Jeszcze tydzień temu widziałam, że to go wpędza w chorobę. Ostatnimi dniami, siedząc u mnie, bredził. Widziałam, że dostaje obłądu. Chodził i bredził, widziano go w takim stanie na mieście. Sprowadzony doktor zbadał go dwa dni temu na moją prośbę i powiedział mi, że boi się zapalenia mózgu - wszystko przez niego, przez tego potwora! A wczoraj Iwan Fiodorowicz dowiedział się, że Smierdiakow zmarł, to go tak przeraziło, że zwariował... a wszystko przez tego potwora, wszystko dlatego, żeby uratować potwora!

O, rozumie się, tak mówić i tak zeznawać można tylko raz w życiu - na chwilę przed zgonem, na przykład, gdy się wchodzi na szafot. Ale to było zgodne z charakterem Kati i to była stosowna okoliczność. Była to owa gwałtowna Katia, która pobiegła do młodego rozpustnika, aby uratować ojca: owa dumna i cnotliwa Katia, która dziś jeszcze wobec tej całej publiczności, poświęcając siebie i swój wstyd dziewiczy, opowiadała o „szlachetnym postępku Miti”, aby chociaż w najmniejszym stopniu wpłynąć na złagodzenie wyroku. I oto teraz tak samo poświęciła siebie, lecz dla innego, może dopiero teraz, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie, jak drogi jest jej ów człowiek! Poświęciła siebie z lęku o niego, nagle uprzytamniając sobie, iż zgubił się wyznaniem, że to on zabił, a nie jego brat; poświęciła siebie, by go uratować, uratować jego honor, jego reputację! A jednak to było straszne; czy kłamała, opisując dawne swoje stosunki z Mitią - oto kwestia. Nie, nie, nie kłamała umyślnie, gdy wołała, że Mitia gardził nią za jej pokłon do ziemi! Wierzyła w to, była głęboko przeświadczona, może nawet od pierwszej chwili, że dobroduszny, wówczas jeszcze ubóstwiający ją Mitia śmieje się z niej i gardzi nią. I tylko z dumy sama uczepliła się go wówczas swoją histeryczną, urażoną dumą - i ta miłość nie była podobna miłości, lecz zemście. O, może ta miłosna szarpanina stałaby się prawdziwą miłością. Może Katia tylko tego pragnęła, ale Dymitr swoją zdradą uraził ją do głębi, i jej serce nie wybaczyło. Chwila zemsty zaś nawinęła się zniecka, i to, co tak długo i boleśnie zbierało się w sercu obrażonej kobiety, nagle wydarło się na zewnątrz. Zdradziła Mitię, ale zdradziła i siebie! I rozumie się, ledwo to wszystko powiedziała, napięcie prysło i przytoczył ją wstyd. Znowu zaczął się atak hysterii, upadła, spazmując i krzycząc.

Wyniesiono ją z sali. W chwili gdy ją wynoszono, Gruszeńka z jękiem podbiegła do Miti, tak porywczo, że nie zdążono jej zatrzymać.

- Mitia! - wykrzyknęła. - Zgubiła cię ta twoja żmija! Macie ją całą! Taka jest! - wołała, trzęsąc się z wściekłości, w stronę sądu.

Na znak przewodniczącego wyprowadzono ją z sali. Stawiała opór, biła się i wydzierała ku Miti. Ów krzyknął i również chciał biec ku niej. Zatrzymano go w porę.

Tak, przypuszczam, że nasze panie były zadowolone - było to urozmaicone widowisko. Pamiętam, jak potem zjawił się moskiewski doktor. Zdaje się, że przewodniczący jeszcze poprzednio posłał woźnego sądowego, aby zaopiekował się Iwanem Fiodorowiczem. I oto doktor zawiadomił, że stan chorego jest bardzo ciężki i że należy go natychmiast odwieźć. Na pytanie prokuratora i obrońcy potwierdził, że pacjent sam przyszedł do niego dwa dni temu i że on wówczas uprzedził go o poważnej chorobie, ale nic nie wskórał. „Był stanowczo w nienormalnym stanie umysłowym, sam mi się przyznał, że miewa halucynacje, że spotyka na ulicy różne osoby, które już nie żyją, i że co wieczór szatan składa mu wizytę” - stwierdził doktor na zakończenie i wyszedł. List złożony przez Katarzynę Iwanownę załączono do dowodów rzeczowych. Po naradzie sąd postanowił nie przerywając dochodzenia i oba nieoczekiwane zeznania (Katarzyny Iwanowny i Iwana Fiodorowicza) wciągnąć do protokołu.

Nie będę już opisywał dalszego przebiegu przewodu sądowego, zresztą wszystkie następne zeznania były tylko potwierdzeniem i powtórzeniem poprzednich, chociaż obfitowały w charakterystyczne szczegóły. Ale, powtarzam znowu, wszystko to znajdzie się w mowie prokuratora, do której zaraz przystąpię. Wszyscy byli wzburzeni, wszyscy byli naelektryzowani ostatnią katastrofą i z chorobliwą niecierpliwością oczekiwali końca: mowy prokuratora, mowy obrońcy i wyroku. Fietukowicz był wyraźnie wstrząśnięty zeznaniem Katarzyny Iwanowny. Natomiast prokurator triumfował. Po zakończeniu badania świadków ogłoszono przerwę, trwającą prawie godzinę. Była, zdaje się, punkt ósma wieczorem, kiedy po przerwie prokurator nasz, Hipolit Kiryłowicz, rozpoczął mowę oskarżycielską.

## VI MOWA PROKURATORA. CHARAKTERYSTYKA

Hipolit Kiryłowicz zaczął swoją mowę oskarżycielską, trzęsąc się po prostu w nerwowym dreszczu, z zimnym, chorobliwym potem na czole i skroniach, czując na przemian ziąb i żar w całym ciele. Tak sam później opowiadał. Uważał tę mowę za swoje *chef d'oeuvre*[35], za *chef d'oeuvre* całego swego życia, za swoją łabędzią pieśń. Istotnie, w dziewięć miesięcy potem umarł na suchoty, toteż naprawdę, jak się okazało, miałyby prawo porównać się z łabędziem śpiewającym swoją ostatnią pieśń, gdyby przeczuwał zawczasu swoją śmierć. W mowę tę włożył serce i rozum i nieoczekiwanie dowiódł, że nie były mu obce i społeczne uczucia, i „przeklęte zagadnienia”, przynajmniej o ile naszego biednego Hipolita Kiryłowicza stać było na ich ogarnięcie. Ale przede wszystkim mowa jego działała swą szczerością: szczerze wierzył w winę podsądnego; nie na

zamówienie i nie z obowiązku tylko oskarżał go, i domagając się „pomsty” istotnie był przejęty pragnieniem „ocalenia społeczeństwa”. Nawet panie, koniec końców wrogo usposobione do Hipolita Kiryłowicza, przyznały jednak, że były pod niezwykłym urokiem jego mowy. Zaczął zmienionym, rwącym się głosem, który później jednak okrzepł i rozbrzmiewał na całą salę aż do końca mowy. Ale skończywszy ją, omal nie zemdlął.

- Panowie przysięgli - zaczął oskarżyciel - sprawa niniejsza narobiła wiele wrzawy w całej Rosji. I cóż tu, zdawałoby się, za powód do zainteresowania, skądże ta szczególna zgroza? U nas, zwłaszcza u nas? Wszak jesteśmy ludźmi tak do wszystkiego przyzwyczajonymi. To właśnie jest straszne, że takie okropne sprawy przestały być dla nas straszne! Zgroza powinna nas ogarniać na myśl o stopniu naszej wrażliwości, o naszym przyzwyczajeniu do tego rodzaju spraw nie tylko na myśl o poszczególnej zbrodni tego czy innego osobnika. Gdzie tkwią przyczyny naszej obojętności, naszego nieomal obojętnego stosunku do takich spraw, do takich objawów epoki, zwiastujących nam niezbyt godną pozazdroszczenia przyszłość? Czy w naszym cynizmie, we wczesnym wyczerpaniu umysłu i wyobraźni naszej społeczności, tak jeszcze młodej, a tak już zdecydowanie zniedołężniałej? Czy w rozchwianych fundamentach naszego życia moralnego, czy też w tym, że owych fundamentów moralnych wcale może nie ma? Nie rozstrzygam tych kwestii, ale niemniej są one męczące i każdy obywatel nie tylko powinien, ale obowiązany jest boleć nad nimi. Nasza młoda, nieśmiała jeszcze prasa wyświadczyła już jednak społeczeństwu niektóre przysługi, albowiem bez niej nigdy byśmy się nie dowiedzieli o tych potwornościach rozkiełzanej woli i moralnego upadku, o których nieustannie informuje na szpaltach swoich pism wszystkich obywateli, nie tylko tych, którzy bywają na posiedzeniach nowych sądów, darowanych nam za obecnego panowania. I cóż czytamy w prasie prawie codziennie? O, o takich rzeczach, wobec których nawet dzisiejsza sprawa błędnie i wydaje się pospolitą. Ale najważniejsze, że owa ogromna liczba spraw kryminalnych w Rosji świadczy o czymś powszechnym, o czymś, co jest złem powszechnym, z czym, jako takim, trudno walczyć. Oto na przykład młody, świetny oficer z wyższych sfer, który dopiero co rozpoczął życie i karierę, podle, po kryjomu, bez najmniejszych wyrzutów sumienia zarzyna małego urzędniczka, po części swego byłego dobroczyńcę, oraz jego służącą, aby wykraść swój weksel i zarazem oszczędności ofiary: „przydadzą się niby na wielkoświatowe przyjemności i dla kariery”. Po dokonaniu podwójnej zbrodni odchodzi, podłożywszy swoim ofiarom poduszki pod głowy. Tam znowu młody bohater, udekorowany krzyżami za odwagę, jak zbój zabija na równej drodze matkę swego dowódcy i dobroczyńcy i, umawiając się ze swymi kamratami, zapewnia ich, że „ona kocha go jak rodzonego syna, więc zastosuje się do jego rad i nie pomyśli o środkach ostrożności”. Może to potwór, ale teraz, w dzisiejszych czasach nie śmiem powiedzieć, że to wyjątkowy potwór. Inny nie zarżnie, ale pomyśli i poczuje to samo co tamten w głębi duszy jest równie nieuczciwy jak tamten. Po cichu, sam na sam ze swoim sumieniem, zadawał sobie może pytanie: „Ale czymże jest koniec końców uczciwość i czy krew nie jest aby przesądem?” Ktoś może oburzy się tu na mnie i orzeknie, że jestem człowiekiem chorym, że cierpię na histerię, że bredzę, przesadzam i spotwarzam. Niech tam, niech tam - i, wielki Boże, jakże bym się cieszył, ja pierwszy, gdyby tak było w istocie! O, nie wiercie mi, uważajcie mnie za zrzedę, ale zapamiętajcie sobie moje słowa: jeśli przynajmniej dziesiąta lub bodaj dwudziesta część prawdy jest w moich słowach - to i ten fakt jest straszny! Spójrzcie, panowie, spójrzcie, jak u nas młodzież popełnia samobójstwa: o, bez żadnych hamletowych pytań: „Co będzie tam?” - bez śladu takich pytań, jak gdyby wiara w naszego ducha, we wszystko, co czeka nas w życiu przyszłym, już dawno zgniła w ich sercu, już dawno została pogrzebana i zasypana piaskiem. Spójrzcie w końcu na naszą rozpustę, na naszych lubieżników. Fiodor Pawłowicz, nieszczęsna ofiara toczącej się sprawy, wydaje

się w zestawieniu z niektórymi z nich niewinnym dzieciątkiem, a przecież wszyscyśmy go znali, „on żył wśród nas...” Tak, psychologią rosyjskiej przestępczości zajmą się może kiedyś najlepsze umysły, nasze i europejskie, albowiem temat wart jest tego. Ale te studia odbędą się kiedyś, później, kiedy już cały tragiczny galimatias chwili obecnej będzie tylko wspomnieniem i można go będzie badać mądrzej, sprawiedliwiej, niżbyśmy to zrobili my, ludzie tacy jak ja. Teraz zaś albo się przerażamy, albo udajemy, że się przerażamy, a właściwie wręcz przeciwnie, smakujemy to widowisko, jako amatorzy mocnych, niecodziennych wrażeń, wstrząsających naszą cyniczną leniwą beczynność; albo wreszcie jak małe dzieci odpędzamy od siebie rękoma straszne widma i chowamy głowę w poduszkę, póki trwa owa straszna zjawka, aby po chwili znowu zapomnieć o niej wśród zabaw i radości. Ale kiedyś i my przecie będziemy musieli rozpocząć nowe życie trzeźwo i rozumnie, trzeba będzie kiedyś, abyśmy i my spojrzeli na siebie, jako na społeczeństwo, trzeba przecie w końcu, abyśmy uświadomili sobie jakoś nasze życie zbiorowe. Wielki pisarz minionej epoki, w epilogu największego swego dzieła, przedstawiając całą Rosję w postaci rozpędzonej ku niewiadomym celom rosyjskiej trójki, woła: „Ach, trójko, ptaku-trójko, kto ciebie wymyślił!” - i w dumnym zachwycie dodaje, że przed pędzącą na łeb na szyję trójką usuwają się z szacunkiem wszystkie narody. Tak, panowie, może tak będzie, może usuwać się będą z szacunkiem albo i nie, ale, moim skromnym zdaniem, genialny artysta tak właśnie zakończył swoją książkę albo w przystępie dziecięco-naiwnego zacnego optymizmu, albo dlatego, że po prostu bał się ówczesnej cenzury. Gdyby bowiem do jego trójki wprzęgnąć tylko jego własnych bohaterów, Sobakiewiczów, Nozdriewów i Cziczikowów, to choćby miał najlepszego forysia, niedaleko by zajechał! A to były dawne konie, cóż dopiero dzisiejsze, nie wytrzymują porównania...

Tu mowę Hipolita Kiryłowicza przerwano oklaskami. Liberalizm tych powiedzeń przypadł do gustu publiczności. Co prawda oklasków było tak niewiele, że przewodniczący nie uważał nawet za stosowne wtrącić się i zagrozić „opróżnieniem sali”, zaledwie surowo spojrzął w stronę klakierów. Ale Hipolit Kiryłowicz nabrał otuchy: dotąd nie zbierał oklasków! Tyle lat nie chciano człowieka słuchać, a tu nagle ma okazję wypowiedzieć się wobec całej Rosji!

- W rzeczy samej - ciągnął dalej oskarżyciel - czym jest owa rodzina Karamazowów, która zasłużyła sobie nagle na taki smutny rozgłos? Może cokolwiek przesadzam, ale zdaje mi się, że w wizerunku tej rodzinki przewijają się jak gdyby wspólne zasadnicze pierwiastki naszej współczesnej inteligencji - o, nie wszystkie pierwiastki, a i te, które są, znajdują się tu w mikroskopijnych rozmiarach, „jak słońce w kropelce wody”, ale bądź co bądź znajdują się, istnieją. Spójrzcie na tego nieszczęsnego, wyuzdanego i rozpustnego staruszka, tego „ojca rodziny”, który tak okropnie zakończył swój żywot. Szlachcic rodowy rozpoczynający karierę jako biedny rezydent, nagle przez niespodziewany ożenek dochrapał się małego kapitaliku, zrazu - lichy matacz i błazeński lizus z zarodkami zdolności umysłowych, wcale zresztą niemałych, ale przede wszystkim lichwiarz. W miarę lat, właściwie mówiąc, w miarę narastania kapitału podnosi głowę. Dawna nieśmiałość i lizusostwo znika, zostaje tylko kostyczny i zły cynik, a także lubieżnik. Duchowa strona na wskroś zgniła, a żądza życia niezwykła. W końcu nie widzi nic w życiu poza rozkoszami lubieżności i w tym duchu poucza dzieci. Poczucia ojcowskich obowiązków - żadnego. Śmieje się z tego, wychowuje swoje potomstwo w czeladnej izbie, i rad jest, że się ich pozbywa. Nawet całkiem o nich zapomina. Moralna zasada tego starca *aprčs moi le dčluge*[36]. Wszystko, co jest sprzeczne z pojęciem obywatela, najbardziej wrogie odosobnienie od społeczności: „Byleby tylko mnie było dobrze, reszta świata może się zawalić.” I dobrze mu, jest zupełnie zadowolony, pragnie jeszcze przeżyć tak

dwadzieścia, trzydzieści lat. Oszukuje rodzonygo syna i za jego własne pieniądze, za pieniądze jego matki, których nie chce mu zwrócić, odbija mu, swemu synowi, jego kochankę. Nie, nie chcę odstąpić obrony podsądnego wielce utalentowanemu obrońcy, który przybył z Petersburga. Ja sam powiem prawdę, ja sam rozumiem tę sumę obrzydzenia, którą ów ojciec napełnił serce swego syna. Ale dosyć, dosyć o tym nieszczęsnym starcu, on już dostał swoją zapłatę. Zapamiętajmy sobie jednak, że to ojciec i że to jeden ze współczesnych ojców. Czy obrazę społeczeństwo, jeśli powiem, że to nawet jeden z wielu współczesnych ojców? Niestety, choć są tak liczni, nie okazują takiego cynizmu, bo są i lepiej wychowani, i bardziej wykształceni, ale w istocie wyznają tę samą filozofię co zamordowany. Może jestem pesymistą, może. Ale przecież umówiliśmy się, że mi darujecie. Umówimy się z góry: nie wiercie mi, nie wiercie, ja będę mówił, a wy mi nie wiercie. Ale pozwólcie mi się wypowiedzieć, zachowajcie w pamięci niektóre moje słowa. Więc jakież są dzieci tego starca, tego ojca rodziny? Jeden siedzi na ławie oskarżonych, o nim będziemy mówić później. O tamtych tylko wspomnę pobieżnie. Starszy - to jeden ze współczesnych młodzieńców z pierwszorzędnym wykształceniem, z dosyć tęgim umysłem, ale w tym umyśle nie ma już wiary i ów umysł wiele, zbyt wiele rzeczy odczuwa i na zbyt wiele rzeczy działa rozkładowo, na podobieństwo nieboszczyka ojca. Wszyscy go słyszeli, nasze sfery towarzyskie przyjmowały go bardzo serdecznie. Nie ukrywał swoich poglądów, owszem nawet przeciwnie, co ośmiela mnie zresztą do nieco zbyt szczerego wypowiedzenia się o nim, oczywiście nie jako o osobie prywatnej, lecz jako o członku rodziny Karamazowów. Zakończył tu wczoraj życie samobójstwem na przedmieściu pewien schorowany idiota, wplątany w naszą sprawę, były służący i może nawet naturalny syn Fiodora Pawłowicza, Smierdiakow. Opowiadał ze łzami hysterii podczas śledztwa wstępnego, jak ów młody Karamazow, Iwan Fiodorowicz, przeraził go swoim duchowym rozpasaniem: „Wszystko niby jest dozwolone, wszystko na świecie, i odtąd nic już nie może być zakazane - oto czego mnie uczył.” Zdaje się, że idiota na tej tezie ostatecznie zszedł, chociaż oczywiście na jego stan wpłynęła również padaczka i cała ta katastrofa. Ale ten idiota zrobił pewną bardzo a bardzo ciekawą uwagę, godną nawet mądrzejszego obserwatora, oto czemu zacząłem mówić o nim. „Kto z synów, rzekł, z charakteru jest najbardziej podobny do Fiodora Pawłowicza, to Iwan Fiodorowicz!” Tą uwagą kończę charakterystykę, ponieważ względy delikatności nie pozwalają mi jej kontynuować. O, nie chcę wysnuwać z tego konkluzji i jak wrona wykrać młodemu życiu jedynie zagładę. Widzieliśmy jeszcze dziś, tu w tej sali, że bezpośrednia siła prawdy żyje jeszcze w jego młodym sercu, że niewiara i moralny cynizm, raczej otrzymane w spadku niż nabyte w prawdziwej udreće myśli, jeszcze w nim doszczętnie nie zagłuszyły uczuć braterskich. A teraz przypatrzmy się drugiemu synowi, o, to jeszcze młodzieniec pobożny i skromny, który, w przeciwieństwie do mrocznego, przegniętego światopoglądu brata, chce się ucześcić, przylepić, że tak powiem, do „pierwiastków narodowych”, do tego, co w teoretycznych rozważaniach niewielka część naszej myślącej inteligencji nazywa tym mądrym słowem. Widzicie, panowie, „przylepił” się do monasteru; omal nie został mnichem. Zdaje się, że w nim jednak nieświadomie i tak wcześniej znalazła wyraz ta nieśmiała desperacja, z jaką wielu członków naszego biednego społeczeństwa, zląkwszy się cynizmu i jego wyuzdania, a mylnie kładąc je na karb europejskiej cywilizacji, dopada, jak sami mówią, „ziemi ojczystej”, rzucają się, że tak powiem, w macierzyńskie objęcia ziemi rodzinnej, jak dzieci przerażone przywidzeniem, i u wyschniętej piersi znużonej macierzy pragną bodaj tylko zasnąć spokojnie i nawet przespać całe życie, byleby nie widzieć przerażających potworności. Ze swej strony życzę zacnemu i zdolnemu młodzieńcowi wszystkiego najlepszego, życzę mu, aby jego młoda i piękna dusza, aby jego dążenie do pierwiastków narodowych, nie zmieniło się w przyszłości, jak to się często zdarza, pod względem moralnym w mroczny mistycyzm, a pod względem społecznym w

tępy szowinizm - dwie cechy, grożące narodowi jeszcze większym niebezpieczeństwem niż wczesny uwiad wskutek fałszywego rozumienia za darmo zdobytej europejskiej kultury, które stało się smutnym udziałem jego starszego brata.

Za szowinizm i mistycyzm rozległo się znowu parę oklasków. Poniosło go to oczywiście i Hipolit Kiryłowicz wypowiedział mnóstwo rzeczy, które nie miały nic wspólnego z właściwą sprawą, nie mówiąc już o tym, że wywód jego był dosyć niejasny. Ale zgorzkniały suchotnik chciał się za wszelką cenę bodaj raz w życiu wypowiedzieć. Mówiono później u nas, że charakteryzując Iwana Fiodorowicza powodował się uczuciem niedelikatnym, ponieważ ów raz czy dwa razy publicznie ośmieszył go w dysputach; Hipolit Kiryłowicz korzystał teraz z okazji, aby się zemścić. Ale nie wiem, ile jest słuszności w tym twierdzeniu. W każdym razie wszystko to było tylko wstępem, po czym mowa nawiązała bezpośrednio do procesu.

- Ale oto trzeci syn ojca współczesnej rodziny - ciągnął dalej Hipolit Kiryłowicz - siedzi tu przed nami na ławie oskarżonych. Przed nami są jego czyny, jego życie i sprawy: nastąpił czas i wszystko wyszło na jaw. W przeciwieństwie do „europejskich” i „narodowych pierwiastków” jego braci, on jak gdyby uosabia Rosję właściwą - o, nie całą, nie całą, i nie daj Boże, aby całą! Jest więc w nim nasza Ruś, pachnie, czuje się ją, po prostu namacalnie, macierz naszą. O, on jest otwarty i szczerzy, jest przedziwnym zespoleniem dobra i zła, jest miłośnikiem wiedzy i Schillera, jednocześnie rozbija się po szynkach i wrywa bródki swoim pijanym koleżkom. O, i on bywa dobry i piękny, ale tylko wtedy, kiedy mu jest dobrze i pięknie. Owszem, jest nawet opanowany - właśnie opanowany - najszlachetniejszymi ideałami, ale pod warunkiem, że może je zdobyć bez wysiłku, że same spadną mu z nieba na stół, i przede wszystkim za darmo, za darmo, żeby nie płacić za nie. Strasznie nie lubi płacić, za to bardzo lubi otrzymywać, i to w każdym wypadku. O, dajcie mu wszelkie możliwe dary życia (podkreślam: wszelkie możliwe, na niższą cenę się nie zgodzi), a zwłaszcza nie sprzeciwiajcie się jego charakterowi, wówczas i on będzie mógł dowieść, że potrafi być dobry i piękny. Nie jest chciwy, nie, ale jednak dajcie mu pieniędzy, dużo, dużo, jak najwięcej pieniędzy, a zobaczycie, jak wielkodusznie, z jaką pogardą dla wstrętnej mamony potrafi przetrwonić je w ciągu jednej szalonej hulanki. Jeżeli zaś nie dacie mu pieniędzy, to przekonacie się, że potrafi je zdobyć, jeśli mu się bardzo zechce. Ale o tym później, we właściwym czasie. Przede wszystkim stoi przed nami biedny, poniewierany chłopczyzna, „bez bucików biegający”, jak się wyraził nasz czcigody doktor, niestety, obcego pochodzenia! Jeszcze raz powtarzam: nikomu nie odstępuję obrony podsądnego! Jestem oskarżycielem, ale jestem też i obrońcą. Tak, i my jesteśmy ludźmi, i my potrafimy wziąć pod uwagę, że mogły wpłynąć na jego charakter pierwsze wrażenia dzieciństwa i rodzinnego gniazda. Ale oto chłopak jest już młodzieńcem, jest już dorosłym człowiekiem, oficerem; za awantury i wyzwanie na pojedynek wysyłają go do dalekiego pogranicznego miasteczka naszego szczęśliwego kraju. Tam służy i tam hula - oczywiście z właściwym sobie rozmachem. Ale trzeba mu pieniędzy, pieniędzy przede wszystkim, i oto po długich sporach dobija z ojciem targu, zgadza się rzec ostatecznie wszelkich praw za sześć tysięcy, które wnet otrzymuje. Proszę pamiętać, że dał dokument - i list ów zachował się - iż zrzeka się prawie wszelkich praw do spadku po matce. W tym czasie spotyka się z młodą, szlachetną i inteligentną dziewczyną. O, nie śmiem powtórzyć szczegółów, słyszeliście, panowie, sami: honor poświęcenie, przeto milknę. Obraz młodzieńca, lekkomyślnego i rozpustnego, który jednak uszanował prawdziwą szlachetność i wzniosłą ideę, ukazał się nam na chwilę w świetle niezwykle sympatycznym. Ale naraz w niedługim czasie odsłania się odwrotna strona medalu. Znowu nie śmiem wdawać się w przypuszczenia i wstrzymam się od analizy, dlaczego tak się stało. Były



jednak po temu przyczyny. Otóż ta sama osoba, ale tonąc we łzach długo tajonego oburzenia, oświadcza nam, że on, on sam, on pierwszy okazał jej pogardę za nieostrożny może, ale wzniosły i szlachetny postępek. To on, narzeczony tej dziewczyny, miał dla niej ów uśmiech szydery, który zniosłaby od wszystkich, tylko nie od niego. Wiedząc już, że ją zdradził (zdradził w przekonaniu, że ona musi już wszystko znosić od niego, nawet zdradę), wiedząc to, umyślnie proponuje mu trzy tysiące rubli i wyraźnie, aż nazbyt wyraźnie daje do zrozumienia, że proponuje mu te pieniądze na zdradę. „No co, przyjmiesz te pieniądze czy nie, czy będziesz aż tak cyniczny?” - mówi mu swoim krytycznym i badawczym spojrzeniem. On patrzy na nią, rozumie dokładnie jej myśli (przecież sam się tu przyznał, że wszystko rozumiał) i niewątpliwie przywłaszcza sobie te trzy tysiące i przepuszcza je w dwa dni ze swoją nową ukochaną! Czemu dać wiarę? Pierwszej legendzie - uniesieniom wielkiej szlachetności, oddającej ostatnie pieniądze i korzącej się przed cnotą, czy odwrotnej stronie medalu, tak szkaradnej? Zazwyczaj w życiu bywa tak, że mając dwie przeciwne sobie rzeczy, szuka się prawdy pośrodku; w obecnym wypadku reguła ta nie znajduje potwierdzenia. Prawdopodobnie w pierwszym wypadku był szczerze szlachetny, a w drugim równie szczerze podły. Dlaczego? Dlatego że jest szeroką naturą, karamazowowską - wszak do tego zmierzam - naturą, która mieści w sobie wszelkie krańcowości i jednocześnie zdolna jest kontemplować obie otchłanie: otchłan wzniosłych ideałów, otchłan nad nami, i otchłan pod nami, otchłan najniższego i cuchnącego upadku. Przypomnijcie sobie błyskotliwą myśl, którą wypowiedział młody obserwator, głęboko i blisko znający rodzinę Karamazowów, pan Rakitin: „Odczuwanie głębi upadku jest równie niezbędne tym rozkiełzanym, niepowściągliwym naturom jak i odczuwanie wzniosłej szlachetności” - i to prawda: właśnie potrzebna im jest ta nienaturalna mieszanina, potrzebna stale i bez przerwy. Dwie otchłanie, jednocześnie dwie otchłanie, panowie - bez tego jest nieszczęśliwy i niezadowolony, życie jego jest niepełne. Jest szeroki, szeroki jak cała nasza „mateczka Rosja”, wszystko zmieści w sobie i ze wszystkim się zżyje! A propos, panowie przysięgli. Mówiliśmy o tych trzech tysiącach, pozwolę sobie na małą dygresję. Wyobraźcie sobie tylko, że podsądny, mając taki charakter, otrzymawszy wówczas te trzy tysiące - i to za cenę takiego wstydu, takiej hańby, takich najstraszniejszych poniżeń - wyobraźcie sobie tylko, że on tego samego dnia był zdolny odłożyć rzekomo połowę, zaszyć w woreczek i przez cały miesiąc wytrwale nosić na szyi mimo wszystkich pokus i straszliwych potrzeb! Ani podczas pijatyk w knajpach, ani wówczas, gdy wypadło mu pędzić za miasto, aby starać się o pieniądze u Bóg wie kogo - pieniądze, które musiał mieć, aby uciec ze swoją ukochaną od pokus rywala, swego ojca - nie śmie tknąć tego woreczka. Choćby po to, żeby nie zostawiać swojej ukochanej wobec pokus starca, o którego był tak zazdrosny, właśnie po to powinien był rozpruć woreczek i zostać w domu nie odstępując swej ukochanej, oczekując tej chwili, kiedy mu powie wreszcie: „Jestem twoja”, i wówczas uciec z nią jak najdalej od obecnego fatalnego środowiska. Ale nie, nie tknął swego talizmanu, i to z jakiego powodu? Pierwotny powód był właśnie ten, że gdy usłyszy: „Jestem twoja, wywieź mnie, dokąd chcesz” - żeby miał za co ją wywieźć. Ale ten pierwszy powód, jak sam mówił, zbladł wobec drugiego. Póki niby mam na sobie te pieniądze, „jestem łajdakiem, lecz nie złodziejem”, zawsze bowiem mogę iść do skrzywdzonej narzeczonej, zwrócić jej połowę oszukańczo przywłaszczonych pieniędzy i powiedzieć: „Widzisz, przehulałem połowę twoich pieniędzy i dowiodłem, że jestem słabym i niemoralnym człowiekiem, a jeżeli chcesz, to i łajdakiem (używam słów podsądnego), ale chociaż jestem łajdakiem, nie jestem złodziejem, bo gdybym był złodziejem, nie zwróciłbym ci połowy tych pieniędzy, gdzie tam, przywłaszczyłbym ją sobie, tak jak i tamtą połowę.” Zdumiewające wyjaśnienie faktu! Ten sam szalony, ale słaby człowiek, który nie mógł się przeciwstawić pokusie przyjęcia trzech tysięcy rubli - ten sam człowiek odczuwa w sobie naraz taką stoicką stanowczość i nosi w woreczku na szyi tysiące rubli, nie śmiejąc

ich dotknąć! Czy wiąże się to w jakiś sposób z analizowanym przez nas charakterem? Bynajmniej. I pozwolę sobie opowiedzieć wam, jak by postąpił w takim wypadku prawdziwy Dymitr Karamazow, gdyby nawet zdecydował się istotnie zaszyć pieniądze w woreczku. Przy pierwszej pokusie - no, choćby po to, aby jakoś ubawić swoją nową ukochaną, z którą już przehulał połowę tych pieniędzy - zerwałby z szyi woreczek i wyjął, no, powiedzmy, za pierwszym razem bodaj sto rubli - czyż bowiem trzeba koniecznie odnieść połowę, to znaczy tysiąc pięćset, przecie wystarczy zwrócić tysiąc czterysta rubli, przecie to na jedno wyjdzie: „Łajdak, ale nie złodziej, bo bądź co bądź tysiąc czterysta zwrócił, złodziej zaś wszystko by zabrał i nic by nie zwrócił.” Potem, po jakimś czasie, znowu by rozpruł woreczek i znowu wyjął drugą setkę, potem trzecią, czwartą i najpóźniej pod koniec miesiąca wyjąłby przedostatnią setkę: bo jak jedną setkę zwrócę, ot przecie zawsze będzie to: „Łajdak, ale nie złodziej. Dwadzieścia dziewięć setek przehulał, a jednak ostatnią zwrócił, złodziej i tego by nie zwrócił.” I na koniec, przehulawszy tę przedostatnią, spojrzalby na ostatnią setkę: „Przecież naprawdę nie warto odnosić tej setki, przehulam i tę!” Oto jak by postąpił prawdziwy Dymitr Karamazow, o ile go znam! Legenda zaś o woreczku najzupełniej przeczy rzeczywistości. Wszystko można przypuścić, tylko nie to. Ale do tego jeszcze wrócimy.

Następnie Hipolit Kiryłowicz po kolei wyłożył wszystko, co było wiadomo o majątkowych kłótniach i rodzinnych stosunkach ojca z synem, i doszedł raz jeszcze do wniosku, że według posiadanych danych, absolutnie nie da się ustalić w tej sprawie podziału majątku i kto komu jest winien. Po czym wracając do owych trzech tysięcy, które stały się *idee fixe* Miti, wspomniał o ekspertyzie lekarskiej.

## VII PRZEGLĄD HISTORYCZNY

- Ekspertyza lekarska starała się nam dowieść, że podsądny jest niepoczytalny, że jest chorobliwym maniakiem. Twierdzę stanowczo, że jest zupełnie zdrow na umyśle i że to gorzej dla niego: bo gdyby był pomieszany, może działałby o wiele rozsądniej. Co do tego, że jest maniakiem, to byłbym się bodaj zgodził, ale tylko pod jednym względem, na który zresztą ekspertyza wskazywała, mianowicie gdy chodzi o te trzy tysiące, nie dopłacone mu jakoby przez ojca. Niemniej może łatwo byłoby znaleźć o wiele bliższy punkt widzenia, by wyjaśnić jego nienormalny stosunek do tych pieniędzy, nie uciekając się do tworzenia hipotez o jego skłonności do obłądu. Z drugiej strony, godzę się całkowicie z opinią młodego lekarza, który uznał, że podsądny był i jest zupełnie normalny pod względem umysłowym, że był tylko wówczas szczególnie rozdrażniony i zirytowany. O to właśnie chodzi: nie owe trzy tysiące, nie pieniądze były właściwą przyczyną nieustannej i wścieklej irytacji, bo przyczyna była inna. Przyczyna ta - to zazdrość!

Tu Hipolit Kiryłowicz szeroko nakreślił obraz fatalnej namiętności podsądnego do Gruszeńki. Zaczął od momentu, kiedy „podsądny” udał się do „młodej osoby”, żeby „ją pobić”, jak się sam wyraził - wyjaśnił Hipolit Kiryłowicz - ale zamiast ją pobić, został u jej nóg; oto początek owej miłości. Jednocześnie zauważa tę osobę stary ojciec podsądnego - fatalny i dziwny zbieg okoliczności, albowiem dwa serca zapłonęły jednocześnie, chociaż poprzednio jeden i drugi znał i

widował tę osobę, a zapłonęły z całym rozpasaniem karamazowowskiej namiętności. Tu mamy jej własne wyznanie: „Ja, mówiła, drwiłam z jednego i z drugiego.” Tak, zachciało jej się nagle zdrwić z jednego i z drugiego: dawniej nie chciało się, a tu naraz wpadło jej to na myśl, i skończyło się na tym, że obaj padli przed nią, zwyciężeni. Starzec, który ubóstwiał pieniądze, przygotował trzy tysiące na to, żeby tylko go odwiedziła, a i wkrótce był doprowadzony do takiego stanu, że uważałby za szczęście, gdyby mógł złożyć u jej nóg swoje nazwisko i majątek, byleby tylko zechciała zostać jego ślubną żoną. Na to mamy niezbite dowody. Co się tyczy podsądnego, to jego tragedia jest jasna, wyraźnie zarysowuje się przed nami. Taka to była „zabawa” tej młodej osoby. Nieszczęsnemu młodzieńcowi owa kusicielka nie dawała nawet nadziei, bo nadzieję, prawdziwą nadzieję darowano mu dopiero w ostatniej chwili, gdy, klęcząc przed dręczycielką, wyciągał ku niej ręce zbroczone krwią ojca i rywala: w tej pozycji właśnie go aresztowano. „Mnie, mnie razem z nim wyślijcie na katorgę, ja go do tego doprowadziłam, ja najbardziej zawiniłam!” - wołała ta kobieta w szczerzej skrusze, wówczas właśnie, gdy go aresztowano. Utalentowany młodzieniec, który zamierza opisać tę sprawę - wspomniany tu już przeze mnie pan Rakitin - w paru zwięzłych i charakterystycznych zdaniach tak określa charakter tej bohaterki: „Rozczarowanie w zaraniu młodości i upadek, zdrada, otumanienie narzeczonego, który ją uwiódł i porzucił, potem ubóstwo, przekleństwo uczciwej rodziny i na koniec opieka bogatego starca, którego zresztą i dotąd nazywa swoim dobroczyńcą. Młode serce, w którym tkwiło może niejedno dobre ziarno, zacięło się w gniewie zbyt wcześnie. Ukształtował się charakter wyrachowany, zamiłowany w ciułaniu pieniędzy. Ukształtowała się szyderczość i mściwość względem otoczenia.” Po tej charakterystyce nietrudno zrozumieć, że mogła drwić z jednego i drugiego jedynie dla zabawy, dla złośliwej zabawy. I oto w tym miesiącu - w miesiącu beznadziejnej miłości, upadków moralnych, zdrady narzeczonej, przywłaszczenia nie swoich, zaufanych mu pieniędzy - podsądny oprócz tego wszystkiego dochodzi do nieprzytomnego rozwścieczenia pod wpływem nieustannej zazdrości, i to o kogo? O własnego ojca! Co więcej, szalony starzec wzywa do siebie i stara się zwabić przedmiot swej namiętności - stara się tymi właśnie trzema tysiącami, które syn jego uważa za swoje własne, odziedziczone po matce, które wymawia ojcu. Tak, rozumiem, godzę się z tym, że ciężko mu było znieść to wszystko! Tu nietrudno było nawet o manię. Nie o pieniądze jednak chodziło, ale o to, że tymi właśnie pieniędzmi, z takim wstrętnym cynizmem niszczone jego szczęście!

Następnie Hipolit Kiryłowicz zaczął opisywać, jak stopniowo w podsądnym rodzi się myśl ojcobójstwa, przy czym popierał swoje domysły faktami.

- Zrazu krzyczy tylko po knajpach - i to przez cały miesiąc. O, lubi obcować z ludźmi i od razu wykladać im wszystkie nawet najniebezpieczniejsze i najbardziej piekielne pomysły, lubi dzielić się swoimi myślami z ludźmi i nie wiadomo dlaczego wymaga, aby ci ludzie odpowiadali mu sympatią, przejmowali się jego troskami i obawami, potakiwali mu i nie sprzeciwiali się jego popędowi, gdyż inaczej rozwali knajpę. (Tu nastąpiła anegdota o sztabkapitanie Sniegirowie.) Ci, którzy widzieli i słyszeli podsądnego w ostatnim miesiącu, poczuli wreszcie, że taka pasja nie ograniczy się chyba do pogroźek i krzyków, że w końcu wyładuje się naprawdę w czynie. (W tym miejscu prokurator opisał spotkanie rodzinne w monasterze, rozmowy z Aloszą i szkaradną scenę w domu Fiodora Pawłowicza, kiedy to podsądny wtargnął do ojca podczas obiadu.) Ani myślę upierać się przy tym twierdzeniu - mówił Hipolit Kiryłowicz - jakoby jeszcze przed tą sceną podsądny miał świadomy zamiar rozstrzygnąć spór z ojcem przez zabójstwo. Ale nie ulega wątpliwości, że myśl ta nieraz go już kusiała, że zastanawiał się nad nią w sposób metodyczny; na to mamy fakty, świadków i własne

jego zeznania. Przyznam się, panowie przysięgli - dodał Hipolit Kiryłowicz - że nawet do dnia dzisiejszego wahałem się, czy oskarżać podsądnego o dokonanie tej zbrodni z premedytacją. Byłem absolutnie przekonany, że świadomość jego wiele razy z góry już kontemplowała fatalny moment, ale tylko kontemplowała, tylko wyobrażała sobie możliwość, nie określając jeszcze terminu wykonania i okoliczności. Wahałem się do dnia dzisiejszego, aż do chwili, gdy panna Wierchowcew przedłożyła nam ów fatalny dokument. Samiście, panowie, słyszeli jej okrzyk: „To plan, to program morderstwa!” - oto jak określiła nieszczęsny „pijacki” list nieszczęsnego podsądnego. I zaiste list ten świadczy o programie i premedytacji. Napisano go dwa dni przed dokonaniem zbrodni - wiemy więc teraz z całą pewnością: dwa dni przed wykonaniem swego straszliwego zamysłu podsądny zaręczył przysięgą, że jeżeli do jutra nie wydobędzie pieniędzy, zabije ojca, aby zrabować pieniądze spod poduszki, pieniądze „w kopercie z czerwoną wstążeczką, byleby tylko Iwan wyjechał”. Słyszycie, panowie: byleby tylko Iwan wyjechał - zatem wszystko już obmyślane, okoliczności zważone. I cóż: wszystko potem stało się jota w jotę według listu! Premedytacja zatem jest bezwzględnie stwierdzona, zbrodnia może być dokonana w celu grabieży, i to jest zapowiedziane, napisane i podpisane. Podsądny nie wypiera się podpisu. Powie kto: napisał, bo był pijany. Ale owszem, tym lepiej: będąc pijanym, napisał to, co obmyślił na trzeźwo. Gdyby nie obmyślał na trzeźwo, nie napisałby po pijanemu. Może też powie kto: po cóż by więc krzyczał o swoich zamiarach w restauracji? Kto świadomie zamierza popełnić zbrodnię, ten milczy i nic nikomu nie zdradza. To prawda, ile krzyczał i rozgłaszał wtedy, kiedy nie było jeszcze planu i premedytacji, kiedy zaledwie kielkowało pragnienie, kiedy dojrzywał zamysł. A potem mniej krzyczał. Tego wieczoru, kiedy po pijanemu napisał ten list w „Stołecznym Grodzie”, był nawet wyjątkowo mrukliwy, nie grał w bilard, stronił od towarzystwa, z nikim nie rozmawiał, spędził tylko z miejsca jednego subiekta, ale i to raczej mimo woli, z przyzwyczajenia, bo jakże być w knajpie i nie wszcząć skandalu! Oczywiście, gdy uplanował zbrodnię, wtedy zdał sobie najpewniej sprawę, że nie trzeba było tyle mówić i tak zapowiadać zamyślnego przestępstwa i że tyle o tym krzyząc, sam siebie poniekąd wydał. Ale cóż, stało się, nie cofnie przecież pogrózek, a wreszcie zawsze dla niego jakoś los był łaskawy, więc i teraz nie zawiedzie. Tak, liczył na swą gwiazdę, panowie! Muszę jednak zaznaczyć, że zadawał sobie wiele trudu, aby uniknąć fatalnego czynu, że robił, co mógł, aby nie dopuścić się zbrodni. „Jutro będę się starał wydostać od ludzi - pisze swoim osobliwym stylem - a jak ludzie nie dadzą, poleje się krew.” Tak, pisał to po pijanemu, ale na trzeźwo urzeczywistnił zapowiedź!

W tym miejscu Hipolit Kiryłowicz szczegółowo opisał zabiegi Miti w celu wydobycia owych fatalnych trzech tysięcy. Opowiedział więc jego przejścia u Samsonowa, podróż do Legawego - popierając swe słowa dokumentami. „Zmęczony, wyśmiany, głodny, sprzedawszy zegarek, aby mieć na podróż (a przecież miał rzekomo przy sobie półtora tysiąca rubli - rzekomo!), udręczony zazdrością o zostawiony w mieście obiekt swej miłości, podejrzewając, że podczas jego nieobecności ukochana kobieta pójdzie do Fiodora Pawłowicza - wraca wreszcie do miasta. Dzięki Bogu! nie była u Fiodora Pawłowicza. Sam ją następnie odprowadza do protektora Samsonowa. (Rzecz dziwna, o Samsonowa nie jest zazdrosny - nader charakterystyczny rys psychologiczny!) Następnie pędzi na swój punkt obserwacyjny „na tyłach ogrodu” i tam, tam dowiaduje się, że Smierdiakow dostał ataku padaczki, że drugi służący chory - teren pusty, a „znaki” są mu znane. Co za pokusa! A jednak wzdraga się; idzie najpierw do wielce szanownej obywatelki naszego miasta, pani Chochłakow. Dawno już śledząc ze współczuciem jego los, pani owa daje mu arcyrozważną radę: zaprzestać hulanki, rzucić tę szkaradną miłość, to bezsensowne włóczenie się po knajpach, bezpłodne marnotrawienie młodych sił i jechać na Syberię do kopalni złota: „Tam znajdzie pan upust

dla swych kipiących sił, dla romantycznego charakteru, żadnego przygód.”

Opisawszy przebieg rozmowy i dalsze fakty, opisawszy, jak podsądny dowiedział się raptem, że Gruszeńka wcale nie była u Samsonowa, opisawszy bezprzytomną wściekłość nieszczęsnego, zadreżonego nerwami zazdroźnika na myśl o tym, że ukochana oszukała go i jest teraz u Fiodora Pawłowicza - opowiedziawszy wszystko, Hipolit Kiryłowicz zakończył, zwracając uwagę na fatalne znaczenie tego wypadku:

- Gdyby służąca zdążyła mu powiedzieć, że jego ukochana jest w Mokrem ze swoim „dawnym” - nie byłoby doszło do tego wszystkiego. Ale służąca struchlała, przysięgła, że o niczym nie wie, i jeżeli podsądny nie zabił jej na miejscu, to dlatego tylko, że pilno mu było odszukać zdrajczynię. Ale zwróćcie, panowie, uwagę na jedno, jakkolwiek nie wiedział, co się z nim dzieje, porwał jednak miedziany, tłuczek z moździerza. Po co właśnie tłuczek, dlaczego nie co innego? Dlatego że skoro przez cały miesiąc oswajał się z myślą o zbrodni, to, rozumie się, na widok pierwszej lepszej stosownej rzeczy chwytą ją jako narzędzie zbrodni. Że tego rodzaju rzeczą można się posługiwać jako narzędziem zbrodni - o tym myślał już od miesiąca. I dlatego tak raptownie i zdecydowanie uznał tłuczek za odpowiednie narzędzie zbrodni! A więc nie zupełnie znów bezwiednie, nie zupełnie mimo woli chwycił ów fatalny tłuczek. I oto jest w ogrodzie ojcowskim - teren pusty, świadków nie ma, głęboka noc, mrok i zazdrość. Myśl, że ona tu jest z rywalem, w objęciach rywala, że może kpi sobie w tej chwili z niego, z Dymitra, doprowadza go do szaleństwa. I nie tylko myśl, podejrzenie, oszukaństwo jest oczywiste, jawne - ona jest tu, w tym oświetlonym pokoju, za tymi zasłonami; i oto nieszczęsny człowiek podkrada się do okna, zagląda w nie z szacunkiem, przykładnie uspokaja się i rozsądnie odchodzi, roztropnie, rozważnie, byle dalej od pokusy, byle się co złego nie wydarzyło - i nam chcą to mówić, nam znającym charakter podsądnego, wiedzącym, w jakim był stanie, znanym nam z faktów, i co najważniejsze, świadom znaków, które mu dawały dostęp do domu!

Tu, wspomniawszy o „znakach”, Hipolit Kiryłowicz przerwał na chwilę swoje oskarżenie i uznał za stosowne obszerniej pomówić o Smierdiakowie, aby już ostatecznie wyczerpać cały ów epizod z posądzeniem Smierdiakowa o zabójstwo i przekreślić go całkowicie. Mówił zaś o tym bardzo obszernie i wszyscy zrozumieli, że mimo swej całej pogardy dla takiego przypuszczenia, bynajmniej go nie lekceważy.

## VIII TRAKTAT O SMIERDIAKOWIE

- Po pierwsze, jak powstała możliwość takiego podejrzenia? - zaczął Hipolit Kiryłowicz. - To podsądny zawołał pierwszy, że zabił Smierdiakow; było to wtedy, kiedy go aresztowano, ale od ówczesnego okrzyku aż do tej chwili nie poparł ani jednym faktem swego oskarżenia. Nie tylko faktem, ale nawet jakimkolwiek prawdopodobnym, zgodnym z ludzkim rozsądkiem cieniem faktu. Następnie potwierdzają to posądzenie tylko trzy osoby: obaj bracia oskarżonego i panna Swietłow. Ale starszy brat podsądnego rzucił to podejrzenie dopiero dziś, w chorobie, w stanie niewątpliwej maligny, przedtem zaś przez całe dwa miesiące, jak nam dobrze wiadomo, całkowicie podzielał

powszechną opinię o winie swego brata i ani myślał szukać innych sprawców. Ale do tego jeszcze wrócimy. Młodszy brat podsądnego oświadczył nam przed chwilą, że nie ma żadnych faktów na potwierdzenie swej hipotezy, żadnych, bodaj najmniejszych, że opiera się jedynie na domysłach brata i na „wyrazie jego twarzy” - tak, ten kolosalny dowód był dwukrotnie podany przez brata podsądnego. Panna Swietłow wyraziła się jeszcze mocniej: „Wierście w to, co wam mówi podsądny, to nie taki człowiek, aby kłamał.” Oto i wszystkie faktyczne dowody winy Smierdiakowa, dowody podane przez te trzy osoby, bardzo zainteresowane w losie podsądnego. A jednak posądzenie Smierdiakowa utrzymało się jakoś dotychczas - czy można to zrozumieć, czy można temu dać wiarę?

Tu Hipolit Kiryłowicz uznał za stosowne określić z grubsza charakter nieboszczyka Smierdiakowa, który „zakończył życie w przystępie obłądzenia i furii”. Scharakteryzował go więc jako człowieka upośledzonego pod względem umysłowym, głuptasa, który chwyciwszy nieco mętnego wykształcenia, w końcu nawet zszedł pod wpływem przerastających jego siły umysłowe idei filozoficznych, przeraził się też współczesnej doktryny o obowiązku, pokazanej mu praktycznie a wyczerpująco w rozwiązłym życiu nieboszczyka pana, a może i ojca jego, Fiodora Pawłowicza, a teoretycznie - w dziwnych filozoficznych gawędach ze starszym synem swego pana, Iwanem Fiodorowiczem, który chętnie pozwalał sobie na te dystrakcje, zapewne z nudów, a może z inklinacji do szyderstwa, dla którego nie znajdował wówczas lepszego zastosowania.

- Smierdiakow sam mi opowiadał o swoim nastroju w ostatnich dniach pobytu w domu swego pana - wyjaśnił Hipolit Kiryłowicz - ale i inni o tym świadczą: podsądny, brat jego i nawet służący Grzegorz, tzn. wszyscy ci, którzy powinni byli znać Smierdiakowa bardzo dobrze. Przygnębiony swą chorobą, Smierdiakow był tchórzliwy jak kura. „Padał mi do nóg i całował po nogach - powiedział nam podsądny w chwili, gdy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jest dla niego w pewnej mierze niekorzystne takie zeznanie. - To epileptyczna kura” - wyrażał się o Smierdiakowie swoim osobliwym stylem. I oto podsądny, jak sam zeznaje, obiera go sobie na powiernika i tak go straszy, że biedny lokaj godzi się wreszcie zostać donosicielem i zawiadamiać go o wszystkim, co się dzieje w domu ojca. W tym charakterze szpiega domowego zdradza swego pana, powiadamia podsądnego o kopercie z pieniędzmi i o znakach, które dają dostęp do domu - i zresztą czyż mógł go nie powiadomić? „Zakatrupiłby mnie, wiedziałem, że zakatrupiłby mnie - powiada na śledztwie, trzęsąc się jeszcze i drżąc, mimo że dręczyciel jego był już w kajdanach i nie mógł się na nim zemścić. - Podejrzewał mnie w każdej chwili, więc w strachu będąc wielkim, żeby tylko gniew jego przebłagać, opowiadałem mu wszelką faktycznie tajemnicę, żeby wiedział, jak jestem mu wierny, i żeby mnie nie zabił. - Oto jego własne słowa, jak je sobie zapisałem i zapamiętałem. - Jak krzyknie na mnie, to mi się kolana same uginają i do nóg mu padam.” Będąc jednak wysoce uczciwym z natury człowiekiem - nawiasem mówiąc, tą uczciwością pozyskał zaufanie swego pana - nieszczęsny Smierdiakow prawdopodobnie odczuwał straszne wyrzuty sumienia, że zdradza swego dobroczyńcę, którego nawet kochał, często bez żadnej podstawy, przesadzając i rojąc sobie imaginowane winy i zbrodnie; takie objawy przy padaczkach potwierdzają najlepsi psychiatrzy. I taki oto terroryzowany osobnik staje się istotnie winnym przestępstwa wskutek swej słabości. Prócz tego widział i przeczuwał, że sprawy biorą dlań zły obrót. Kiedy starszy syn Fiodora Pawłowicza, Iwan Fiodorowicz, przed samą katastrofą wyjeżdżał do Moskwy, Smierdiakow błagał go, aby został, nie śmiejąc zresztą przez tchórzostwo wypowiedzieć swych obaw stanowczo i bez osłonek. Czynił tylko aluzje, nie dziw, że go nie rozumiano. Trzeba wiedzieć, że Iwana Fiodorowicza Smierdiakow

uważał jakby za swego obrońcę, za gwarancję bezpieczeństwa. Przypomnijcie sobie zresztą, panowie, wyrażenie w „pijackim” liście Dymitra Fiodorowicza: „Zabiję starego, byleby tylko Iwan wyjechał” - a zatem obecność Iwana Fiodorowicza w domu była dla wszystkich niejako gwarancją spokoju i porządku. I oto Iwan Fiodorowicz wyjeżdża, a Smierdiakow natychmiast w niespełną godzinę po wyjeździe panicza pada rażony atakiem epilepsji. Ale to zupełnie zrozumiałe. Muszę tu zauważyć, że Smierdiakow, nękany trwogą i swego rodzaju desperacją, szczególnie ostatnimi dniami miewał jakieś niejasne przeczucia zbliżającego się ataku. Zawsze bowiem w chwilach moralnego napięcia i wstrząsu nawiedzała go ta straszliwa choroba. Rzecz jasna, niepodobna z góry przewidzieć dnia ani godziny ataku, ale nie ulega wątpliwości, że każdy epileptyk może zawczasu odczuwać jakaś predyspozycję. Tyle mówi medycyna. I oto gdy tylko Iwan Fiodorowicz wyjechał, Smierdiakow, silnie odczuwając swoje, że tak powiem, osierocenie, swą bezbronność, schodzi do piwnicy, schodzi na dół po schodach i myśli: „Dostanę czy nie dostanę ataku, a co będzie, jeżeli za chwilę dostanę?” I właśnie z powodu tych myśli, tych wątpliwości, tych pytań chwyta go za gardło spazm, zawsze poprzedzający padaczkę, i, nieszczęsny, tracąc przytomność, spada na dno piwnicy. I w tej zupełnie naturalnej przypadkowości niektórzy chcą się dopatrzeć jakiejś wskazówki, jakiejś aluzji, dowodu na to, że Smierdiakow symulował chorobę! Jeżeli nawet symulował, to proszę mi powiedzieć, po co? W jakim celu, z jakiego wyrachowania? Dajmy pokój medycynie: nauka niby to zmyśla, nauka myli się, lekarze nie potrafili odróżnić prawdziwej choroby od symulacji - przypuśćmy, niech i tak będzie, ale proszę mi odpowiedzieć w końcu na pytanie: po co miał symulować chorobę? Czy po to, aby, nosząc się z występny zamiarem, zawczasu ściągnąć na siebie uwagę albo troskliwość wszystkich domowników? Zwróćcie uwagę, panowie, że w domu Fiodora Pawłowicza owej nocy było pięć osób: przede wszystkim sam Fiodor Pawłowicz - ale ten się przecie sam nie zabił, to oczywiste; drugi to służący jego, Grzegorz, ale ten również omal nie postradał życia; trzecia osoba to żona Grzegorza, Marfa Ignatiewna, ale wstyd nawet pomyśleć o niej jako o sprawczyni morderstwa. Zostają więc dwaj ludzie: podsądny i Smierdiakow. Ale ponieważ podsądny zapewnia, że to nie on, więc z tego wynika, że powinien był zabić Smierdiakow, innego wyjścia nie ma, bo nikogo innego się nie znajdzie. Oto jak powstał ten „przemysłny” i ciężki zarzut w stosunku do nieszczęsnego, wczoraj zmarłego z własnej ręki idioty! I powstał tylko dlatego, że przecie niepodobna wymyślić innego zabójcy! Gdyby istniał chociaż cień, chociaż jakaś najmniejsza możliwość oskarżenia jeszcze kogoś, kogoś szóstego, jestem przekonany, że nawet sam podsądny wstydziłby się oskarżyć Smierdiakowa i oskarżyłby tę szóstą osobę, albowiem posądzenie Smierdiakowa o tę zbrodnię jest wierutnym nonsensem. Panowie przysięgli, dajmy pokój psychologii, dajmy pokój medycynie, nie liczymy się nawet z logiką, liczymy się tylko z faktami i zobaczymy, co nam mówią fakty. Zabił Smierdiakow, ale jak? Sam czy w zмовie z podsądnym? Zastanówmy się najpierw nad pierwszą hipotezą, mianowicie, że Smierdiakow zabił z własnego popędu. Oczywiście, jeżeli zabił, to z jakiegoś powodu, gwoli jakiejś korzyści. Wszakże nie mając absolutnie żadnych takiego rodzaju pobudek do zbrodni, jakie ma podsądny, a więc nienawiści, zazdrości itd., Smierdiakow mógł się dopuścić tego morderstwa jedynie w celu grabieży, jedynie w celu przywłaszczenia sobie tych trzech tysięcy, które w jego obecności jego pan włożył do koperty. I oto, już nosząc się z tym zbrodniczym zamiarem, wtajemnicza drugą osobę - w dodatku w najwyższym stopniu zainteresowaną, mianowicie samego podsądnego - we wszystkie okoliczności dotyczące tej koperty i w system znaków: więc gdzie leży koperta, jaki na niej napis, jaką wstążeczką przewiązana, a najważniejsza, jakie są te „znaki”, które umożliwiają wstęp do mieszkania. I po co, po co to mówi, czy aby po to, żeby siebie zdradzić? A może, żeby znaleźć rywala, który sam zechce włamać się i wejść w posiadanie tej koperty? Tak, odpowiedzą mi niektórzy, ale przecie uczynił to

ze strachu. Lecz jakże to: człowiek, który snuje tak odważnie bestialskie myśli i który je potem wykonuje, taki człowiek byłby wtajemniczał w sekrety, które on jeden tylko zna na całym świecie i których nikt by się nigdy nie domyślił? O, nie, jakkolwiek tchórzliwy byłby ów człowiek, który by powziął takie zamiary, nigdy by nikomu słówka nie pisnął o kopercie i o znakach, bo przecież, mówiąc o tym, byłby się przede wszystkim zdradził. Specjalnie by co innego wymyślił, na poczekaniu nakłamał, gdyby już go bardzo przycisnęli, a o tym aniby pisnął. Wręcz przeciwnie, powtarzam znowu: gdyby był nikomu nie mówił przynajmniej o pieniądzach, a potem zabił i przywłaszczył sobie te pieniądze, nikt na całym świecie nie mógłby go posądzić o zabójstwo w celach grabieży, bo przecież nikt prócz niego nie widział tych trzech tysięcy i nikt o nich nie wiedział. Gdyby go oskarżono, to nie o grabież, lecz o co innego. Ale ponieważ motywów takich nikt nie mógłby podać, ponieważ wszyscy właśnie wiedzieli, że zamordowany bardzo lubił Smierdiakowa, że mu ufał, to rzecz jasna, podejrzenie padłoby nie na niego, lecz na tego, który miał jakieś motywy, który sam rozgłaszał wszędzie, że ma te motywy, który ich nie ukrywał pod korcem, wszystkim mówił, słowem, podejrzenie tak czy owak padłoby na Dymitra Fiodorowicza, syna zamordowanego. Smierdiakow zabiłby i ograbił, lecz oskarżyliby syna - przecież Smierdiakowowi byłoby to na rękę? I otóż właśnie tego syna Dymitra Smierdiakow, zamyślając zabójstwo, wtajemnicza w sekret koperty, znaków - jakie to logiczne, jakie oczywiste! Nastaje dzień zamierzonego morderstwa i oto Smierdiakow spada na dno piwnicy, symuluje atak padaczki, i po co, po co? Oczywiście po to, aby, po pierwsze, służyący Grzegorz, który postanowił właśnie rozpocząć swoją kurację, odłożył ją do stosowniejszej chwili, bo przecież nie miałby kto pilnować domu. Po drugie, oczywiście, aby pan, widząc, że nikt go nie pilnuje, i bojąc się okropnie przyjscia syna, czego nie ukrywał, podwoił czujność i środki ostrożności. Na koniec, co najważniejsze, aby jego, Smierdiakowa, złożonego chorobą, natychmiast przeniesiono z kuchni, gdzie sypiał sam, przez nikogo nie kontrolowany, dokąd mógł wejść, a także wyjść swobodnie, aby go przeniesiono z kuchni na drugi koniec oficyny do izdebki Grzegorza, za przepierzenie, o trzy kroki od łóżka Grzegorza, bo tak się zawsze działo od niepamiętnych czasów, ilekroć zapadał na zdrowiu, a to z polecenia Fiodora Pawłowicza i z dobrej woli litościwej Marfy Ignatiewny. A będąc już za przepierzeniem, stęka chyba po to, aby lepiej symulować chorobę, stęka całą noc, czyli budzi ich przez całą noc - jak to zeznał Grzegorz i jego żona - i wszystko po to, aby wygodniej mu było nagle wstać, pójść i zabić swego pana! Owszem, mogą powiedzieć niektórzy, symulował, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia: poza tym wtajemniczył Dymitra w sekret owych pieniędzy i znaków po to, żeby ów się zląkomił, sam poszedł i zabił. Żeby Dymitr zabił; a potem już, kiedy odejdzie z pieniędzmi ściągawszy sobie na kark świadków, narobiwszy wiele hałasu, wtedy dopiero wstanie Smierdiakow i pójdzie - cóż pójdzie robić? Ano pójdzie drugi raz zabić i drugi raz zabrać już zabrane pieniądze. Panowie, wy się śmiejecie? Mnie samemu przykro snuć takie przypuszczenia, a przecież, wyobraźcie sobie, właśnie podsądny to twierdzi: gdy tylko uciekłem z domu, powaliwszy Grzegorza, Smierdiakow wstał, poszedł, zabił i okradł. Nie mówię już o tym, w jaki sposób Smierdiakow mógł to zawczasu sobie ukartować: że rozwścieczony syn przyjdzie jedynie po to, aby potulnie zajrzeć do okienka i choć znał sygnały, wycofa się i zostawi jeszcze Smierdiakowowi cały łup! Panowie, poważnie stawiam pytanie: gdzie jest ów moment, kiedy Smierdiakow popełnił zbrodnię? Wskażcie ów moment, gdyż nie wskazując go, nie możecie oskarżać Smierdiakowa. A może padaczka nie była symulowana? Chory nagle się ocknął, usłyszał krzyk, wyszedł - i co dalej? Popatrzał i powiedział: jest okazja, zabiję pana? A skądże mógł wiedzieć, co tu było, co się działo, skoro dotychczas był nieprzytomny? Zresztą, panowie przysięgli, i w fantazjowaniu trzeba zachować umiar. Tak, powiedzą ludzie przebiegli, a jeżeli obaj byli w zмовie, jeżeli razem zabili i podzielili



się łupem? Tak, istotnie, ciężkie podejrzenie, po pierwsze dlatego, że poszlaki są niezbite i to podejrzenie potwierdzają: jeden zabija i bierze wszystkie trudy na siebie, a drugi wyleguje się, symuluje padaczkę, chyba tylko po to, aby z góry wzbudzić we wszystkich podejrzliwość, zaniepokoić swego pana, zaniepokoić Grzegorza. Ciekawa rzecz, w jakim celu obaj wspólnicy mieliby wymyślić taki szalony plan? A może współpraca Smierdiakowa nie była aktywna, może tylko pasywna i cierpiętnicza: może zastraszony Smierdiakow zgodził się tylko nie sprzeciwić się zabójstwu i chociaż przeczuwał, że na niego padnie podejrzenie, pozwolił zabić swego pana, nie krzyczał, nie sprzeciwiał się - zawczasu poprosił Dymitra Karamazowa, aby mu pozwolił symulować padaczkę: ja będę leżał, a ty sobie zabijaj, kiedy chcesz, nie moja to sprawa. Jeżeli jednak tak było, to zważywszy, że padaczka Smierdiakowa powinna wzbudzić popłoch wśród domowników, Dymitr Karamazow nie mógłby się w żaden sposób zgodzić na taką umowę. Ale ustępuję, przypuśćmy, że się zgodził: z tego wynikałoby, że Dymitr Karamazow jest mordercą, faktycznym mordercą i inicjatorem, Smierdiakow zaś tylko biernym współnikiem, bo zaledwie tolerował morderstwo ze strachu i wbrew woli, i sąd by się łatwo w tym zorientował. I cóż widzimy? Ledwo tylko aresztowano podsądnego, ów zwała całą winę na Smierdiakowa i oskarża tylko jego. Oskarża o współudział? bynajmniej: tylko Smierdiakow zabił i okradł, to jego sprawka! A cóż to za wspólnicy, którzy od razu zaczynają oskarżać się wzajemnie - tak nigdy nie bywa. I proszę zwrócić uwagę, jakie to ryzyko dla Karamazowa: on jest głównym mordercą, a tamten to tylko drugorzędny świadek, tamten leżał za przepierzeniem i tylko tolerował zbrodnię - i oto główny zabójca zwała całą winę na tamtego, który leżał. Przecież tamten może się rozzłościć, a kierując się instynktem samozachowawczym, czym prędzej ujawnić całą prawdę: obaj znawialiśmy się, lecz ja nie zabiłem, tylko pozwoliłem i tolerowałem ze strachu. Przecież Smierdiakow zmiarkowałby, że sąd bez trudu określi stopień jego winy, że ukarze go o wiele łagodniej niż głównego zabójcę. A przeto mimo woli byłby się przyznał. Jednak nic podobnego nie było. Smierdiakow nie wspominał o żadnej zmowie, jakkolwiek Dymitr Karamazow wyraźnie zwał na niego całą winę i wciąż oskarżał go o to morderstwo. To jeszcze nic: Smierdiakow zeznał, że to on sam wtajemniczył podsądnego w znaki i zawartość koperty i że bez niego podsądny niczego by się nie dowiedział. Gdyby Smierdiakow rzeczywiście brał udział w morderstwie, to czyż byłby się tak łatwo do tego wtajemniczenia przyznał? Wręcz przeciwnie, wypierałby się, a w każdym razie wypaczał lub pomniejszał znaczenie faktów. Ale przecież i tego nie robił. Tak jak on postępował, może postępować tylko człowiek niewinny, który nie boi się, że go oskarżą o współudział w morderstwie. I oto w przystępie melancholii, będącej następstwem padaczki i tej całej katastrofy, nieszczęsny człowiek wczoraj się powiesił. Zostawił kartkę, pisaną swoistym stylem: „Zgładzam się ze świata z własnej woli i ochoty, i żeby nikogo nie winić.” Cóż by mu szkodziło dodać: „To ja zabiłem, a nie Karamazow.” Ale tego nie dodał: na tamto starczyło mu sumienia, a na to nie? I cóż: sąd otrzymuje trzy tysiące, te same niby, co były w kopercie, która leży na stole z dowodami rzeczowymi; wczoraj rzekomo dostał je od Smierdiakowa. Ale wy, panowie przysięgli, sami pamiętacie ową smutną scenę. Nie powtórzę tu szczegółów, lecz pozwolę sobie uczynić dwie, trzy uwagi, dotyczące rzeczy najbłaższych - właśnie dlatego, że są najbłaższe i jako takie nie każdemu wpadną w oko i zostaną w pamięci. Po pierwsze, znowu to samo: czując wyrzuty sumienia, Smierdiakow wczoraj zwrócił pieniądze, a sam się powiesił. (Bo, gdyby nie wyrzuty sumienia, nie zwróciłby pieniędzy.) I założmy, że dopiero wczoraj wieczorem po raz pierwszy przyznał się Iwanowi Fiodorowiczowi do zbrodni, jak to nam oświadczył sam Iwan Karamazow, bo gdyby powiedział to wcześniej, ów byłby już dawno to rozgłosił. A zatem przyznał się, zgoda, ale czemuż nie wyznał całej prawdy w przedśmiertnym liście, wiedząc, że nazajutrz odbędzie się straszny sąd nad niewinnym? Przecie same pieniądze nie są dowodem. Ja na przykład i jeszcze dwie

osoby tu obecne dowiedzieliśmy się przypadkiem, że Iwan Fiodorowicz Karamazow posyłał do gubernialnego miasta, do zmiany dwie obligacje pięcioprocentowe po pięć tysięcy każda, a zatem razem dziesięć tysięcy. Zmierzam do tego, aby wam dowieść, że każdy może mieć w pewnej chwili przy sobie pieniądze i że nie wystarczy przynieść trzy tysiące, bo to żaden dowód, gdyż niepodobna dowieść, że to te same pieniądze, które leżały, dajmy na to, w szkatułce czy w kopercie. Na koniec Iwan Karamazow, dowiedziawszy się wczoraj tak ważnej rzeczy od samego zbrodniarza, nie wyciąga z tego chwilowo żadnych konsekwencji. Czemu nie oznajmił o tym wczoraj? Czemu odłożył to do dzisiejszego dnia? Przypuszczam, że mam prawo się domyślić: już od tygodnia jest chory i, jak sam to wyznał doktorowi i swoim bliskim, nawiedzany przez zmarłych, bliski zapalenia mózgu, którego właśnie doznał dzisiaj; dowiedziawszy się nagle o samobójstwie Smierdiakowa, pod wpływem tej wiadomości wysnuwa następujący wniosek: człowiek ten nie żyje, można więc na niego wszystko zwalić, aby uratować brata. Pieniądze mam: wezmę odpowiednią kwotę i powiem, że Smierdiakow wręczył mi ją przed śmiercią. Powiecie, panowie, że to nieuczciwe, że nie godzi się kłamać, choćby nawet kłamstwo dotyczyło nieboszczyka, choćby chodziło o uratowanie brata. Tak, ale jeżeli skłamał skądinąd bezwiednie, jeżeli sobie wyobraził, że tak było istotnie, bo przecież wiadomość o nagłej śmierci lokaja ostatecznie wytrąciła go z równowagi umysłowej? Wszak samiście widzieli ową scenę, widzieliście, w jakim stanie był ten człowiek? Stał niby i mówił, ale gdzie był jego rozsądek? Po zeznaniach gorączkującego świadka panna Wierchowcew przedłożyła nam dokument, list podsądnego, pisany na dwa dni przed dokonaniem zabójstwa i zawierający dokładny program realizacji zbrodniczego zamiaru. Więc w jakim celu szukamy innego Programu i jego autorów? Stało się jota w jotę według Programu, sprawcą zaś był jego autor. Tak, panowie Przysięgli, „stało się tak, jak było napisane”! I wcale, ale to wcale podsądny nie uciekał potulnie, a lekliwie od ojcowskiego okienka, przeświadczony w dodatku głęboko, że tam w pokoju jest jego ukochana. Nie, to nieprawdopodobny nonsens. Wszedł i - zabił. Pewnie zabił w zdenerwowaniu, ogarnięty wściekłością na widok znieawidzonego wroga i rywala, ale zabiwszy go - prawdopodobnie jednym, uderzeniem tłuczka - i przekonawszy się, że ukochanej nie ma, nie zapomniał jednak wsunąć ręki pod poduszkę i zabrać koperty z pieniędzmi, koperty, która leży teraz podarta na tym stole z dowodami rzeczowymi. Wspominam o tym, chcąc zwrócić waszą uwagę na okoliczność bardzo, moim zdaniem, charakterystyczną. Gdyby to był doświadczony morderca i gdyby popełnił morderstwo jedynie w celu grabieży - czy zostawiłby pustą kopertę na podłodze w tym stanie, w jakim znaleźliśmy ją obok trupa? Gdyby to był na przykład Smierdiakow, zabrałby po prostu ze sobą tę kopertę, wcale nie próbując rozpieczętować jej nad trupem swej ofiary, bo przecież wiedział na pewno, że w kopercie są pieniądze - w jego bowiem obecności włożono je i zapieczętowano; przecie gdyby nie był zostawił koperty, niepodobna byłoby ustalić, czy te pieniądze naprawdę istniały. Pytam was, panowie przysięgli, czy postąpiłby tak Smierdiakow, czy zostawiłby kopertę na podłodze? Nie, tak mógł postąpić tylko rozwścieczony zabójca, działający w zapamiętaniu, bynajmniej nie złodziej - człowiek, który dotychczas nie kradł, który brał te pieniądze nie jako złodziej, lecz jak ktoś, kto odbiera złodziejowi swoją własność - bo przecie tak mniemał Dymitr Karamazow o tych trzech tysiącach i mniemanie to stało się niejako jego manią. I oto dobywszy koperty, której dotychczas nigdy nie widział, rozrywa ją, aby się przekonać, czy istotnie są w niej pieniądze, następnie ucieka z pieniędzmi w kieszeni, nie myśląc nawet o tym, że zostawia na podłodze ogromną poszlakę przeciw sobie w postaci podartej koperty. A to dlatego, że Karamazow - ale nie Smierdiakow! - nie myślał, nie zastanawiał się; gdzieżby tam mógł zastanawiać się! Ucieka, słyszy krzyk doganiającego go Grzegorza; tenże Grzegorz chwyta go, zatrzymuje i pada, uderzony tłuczkiem. Podsądny zeskakuje z parkanu i wraca do niego powodowany litością. Wyobraźcie sobie,

pod sądny nagle zapewnia nas, że zeskoczył z litości, ze współczucia, aby mu przyjść z pomocą. Czyż owa chwila nadawała się do okazywania współczucia? Bynajmniej, zeskoczył tylko po to, aby się przekonać, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni. Wszelkie inne uczucia, wszelki inny motyw byłby nienaturalny! Zauważcie, panowie, że on zajmuje się Grzegorzem, ociera mu chustką głowę i, przekonany, że go zabił, zboczony krwią, pędzi z powrotem do domu swej ukochanej - mógł nie pomyśleć o tym, że jest cały we krwi i że go od razu zatrzymają. Ale podsądny sam świadczy, że nawet nie zauważył na sobie krwi; można mu wierzyć, to bardzo możliwe, to się przytrafia czasem zbrodniarzom. Piekielne wyrachowanie pod jednym względem i absolutny brak uwagi pod innym. Ale on przecie myślał w owej chwili, gdzie jest ona. Musiał czym prędzej się dowiedzieć, gdzie ona jest. I oto pędzi do niej, do mieszkania, i spotyka go niespodzianka: wyjechała do Mokrego ze swoim „niewątpliwym”.

## IX

### PSYCHOLOGIA CAŁĄ PARĄ. ROZPĘDZONA TRÓJKA. FINAL MOWY PROKURATORA

W tym miejscu Hipolit Kiryłowicz, który widocznie świadomie obrał sobie zaiste historyczną metodę interpretacji, podobnie jak wszyscy nerwowi mówcy, specjalnie zakreślający sobie wyraźne granice, aby hamować swój niecierpliwy temperament - Hipolit Kiryłowicz szczególnie długo zaczął się rozwodzić nad „niewątpliwym” i nawet wypowiedział na ten temat kilka dość zajmujących spostrzeżeń.

- Karamazow, nieprzytomnie zazdrosny o wszystkich, nagle i od razu jakby ustępuje i korzy się przed „dawnym” i „niewątpliwym”. Rzecz tym dziwniejsza, że dotychczas nie zwracał uwagi na to nowe dla siebie niebezpieczeństwo, które się nagle wyłoniło w postaci nieoczekiwanego rywala. Bo wciąż się jakoś pocieszał, że do tego jeszcze bardzo daleko, a Karamazow zawsze żyje bieżącą chwilą. Może go nawet uważał za fikcję. I oto nagle zrozumiał w swoim chorym sercu, że może dlatego ukochana kobieta ukrywała tak długo tego nowego rywala, może dlatego dotychczas go oszukiwała, że ów rywal nie był dla niej bynajmniej fikcją ani też fantazją - był dla niej wszystkim w życiu; i nagle, zrozumiałszy to, Karamazow ukorzył się od razu. Cóż, panowie przysięgli, nie mogę pominąć milczeniem tego nowego rysu w duszy podsądnego, który, zdawałoby się, nie da się pogodzić z jego charakterem: wyłoniła się nagle nieubłagana potrzeba prawdy, szacunek dla kobiety, uznanie praw jej serca - i to kiedy! - w chwili gdy dla niej zboczył ręce krwią swego ojca! Poza tym krew przelana wołała już o pomstę i podsądny, zatraciwszy swą duszę i cały swój los na ziemi, mimo woli musiał poczuć i zapytać siebie w owej chwili: czymże jestem teraz i czymże mogę być dla niej, dla tej miłszej ponad własną duszę kobiety, w porównaniu z „dawnym”, z tym „dawnym” i „niewątpliwym”, który wrócił skruszony do tej, którą ongiś skrzywdził, wrócił z nową miłością, z uczciwymi zamiarami, z obietnicą odrodzonego i już szczęśliwego życia. A ja nieszczęsny, cóż ja jej teraz dam, co jej zaproponuję? Karamazow wszystko to rozumiał, rozumiał, że przestępstwo zamknęło przed nim wszystkie drogi, rozumiał, że jest skazańcem bez nadziei, a nie człowiekiem, który ma życie przed sobą! Ta myśl zmiażdżyła go i dobiła. I oto momentalnie powziął zamiar, który takiemu charakterowi musiał się wydać jedynym, chociaż fatalnym wyjściem z tej straszliwej

sytuacji. Mam na myśli samobójstwo. Pędzi więc do urzędnika Pierchotina po swoje zastawione pistolety, a po drodze wyciąga z kieszeni całą gotówkę, dla której zamordował swego ojca. O, pieniądze są mu teraz bardzo potrzebne: Karamazow umiera, Karamazow zabija się, niechże ludzie pamiętają to zabójstwo! Nie na próżno jest poetą, nie na próżno przeżył życie. „Do niej, do niej - tam, o, tam urządzę wielką ucztę, jakiej jeszcze nie było, aby popamiętano i długo to sobie opowiadano. Wśród dzikich wrzasków, szaleńczych pieśni cygańskich i płasów wzniosę toast i powinszuję ukochanej kobiecie jej nowego szczęścia, a potem - u nóg jej palnę sobie w łeb i ukarzę się za całe życie. Ona przypomni sobie kiedyś Mitię Karamazowa, przekona się, jak ją Mitią kochał, pożałuje Miti!” Wiele w tym romantycznego opętania, dzikiego karamazowowskiego rozkielzania i dzikiej uczuciowości - i jeszcze czegoś, panowie przysięgli, czegoś, co krzyczy w duszy, huczy w mózgu bezustannie i zatrzuwa serce - to coś to sumienie, panowie przysięgli, to sąd sumienia, to straszne jego wyrzuty! Ale pistolet wszystko pogodzi, pistolet to jedyne wyjście i nie masz innego, a tam - nie wiem, czy Karamazow w owej chwili myślał, co będzie tam, i czy Karamazow potrafi jak Hamlet zastanawiać się nad tym, co będzie tam. Nie, panowie przysięgli, tamci mają Hamletów, a u nas na razie pienią się Karamazowowie!

Tu Hipolit Kiryłowicz opisał dokładnie i barwnie przygotowania Miti, scenę u Pierchotina, następnie w sklepie, a potem z woźnicami. Przytoczył moc słów, wypowiedzi, gestów, podanych przez świadków - i obraz strasznie oddziałł na słuchaczy. Przede wszystkim podziałało zestawienie faktów. Wina tego rozkielzanego i tracącego ostatnie hamulce człowieka uwidoczniła się wyraźnie.

- Już się nie pilnował i nie zacierał śladów - mówił Hipolit Kiryłowicz - dwa czy trzy razy omal się nie przyznał do zbrodni, w każdym razie robił aluzje. (Tu Hipolit Kiryłowicz przytoczył zeznania świadków.) Nawet woźnicy powiedział: „Czy wiesz, że wiesz mordercę?” Ale wyznać jeszcze wszystkiego nie mógł: przedtem trzeba było dotrzeć do Mokrego i tam zakończyć poemat. Ale cóż spotyka nieszczęsny człowiek? Od pierwszej chwili w Mokrem widzi i na koniec ostatecznie sobie uświadamia, że ów „niewątpliwy” rywal nie jest może wcale taki niewątpliwy i że toastu ani powinszowań nikt od niego nie wymaga i nikt ich nie przyjmie. Ale znacie już, panowie, fakty z przebiegu śledztwa. Zwycięstwo Karamazowa nad rywalem okazało się decydujące, i tu - o, tu rozpoczęła się już nowa faza w jego duszy, może najstraszliwsza ze wszystkich, jakie przeżyła i jeszcze przeżyje kiedyś ta dusza! Można stanowczo twierdzić, panowie przysięgli - wołał Hipolit Kiryłowicz - że pogwałcona natura i występne serce same sobie wymierzają karę okrutniejszą od wszelkiego ludzkiego sądu! Co więcej, sprawiedliwość i kara sądu łagodzi poniekąd karę natury, jest nawet konieczna w takich chwilach dla duszy przestępcy, ratuje ją od desperacji, albowiem nawet wyobrazić sobie niepodobna tego okrucieństwa i tych moralnych męczarni, które przeżywał Karamazow, gdy się dowiedział, że ukochana kobieta kocha go, że dla niego odtrąca swego „dawnego” i że jego, „Mitię”, wzywa do nowego życia, jemu obiecuje szczęście - i to kiedy? - wtedy, gdy ono jest zupełnie niemożliwe! Nawiasem mówiąc, pozwolę sobie zrobić pewną uwagę, aby wyjaśnić prawdziwą istotę ówczesnej sytuacji podsądnego, ta kobieta, ta jego ukochana, aż do ostatniej chwili, do chwili aresztowania, była dlań istotą niedostępną, namiętne pożądaną, ale niedostępną. Ale dlaczego nie zastrzelił się wówczas, dlaczego zaniechał powziętego zamiaru i nawet zapomniał, gdzie leżą pistolety? Otóż powstrzymało go to właśnie namiętne pożądanie miłosne i nadzieja, że je tu, na miejscu, zaspokoi. Wśród pijatyki nie odstępował od ukochanej, która hulala z nim razem, cudownej i kusicielskiej jak nigdy dotąd - nie odchodzi od niej, zachwyca się nią, korzy się przed nią. To straszne pożądanie mogło na chwilę zagłuszyć nie tylko strach przed

aresztowaniem, ale nawet i wyrzuty sumienia! Na chwilę, o, tylko na chwilę! Wyobrażam sobie, że ówczesny stan duchowy podsądnego niewątpliwie był niewolniczo poddany trzem ogłuszającym go żywiołom: po pierwsze pijaństwo, szum i wrzawa, tupot tańczących, wrzask pieśni i ona, ona zarumieniona od wina, śpiewająca i tańcząca, pijana i śmiejąca się do niego! Po drugie, krzepiąca, niewyraźnie majacząca myśl, że fatalny epilog jest jeszcze odległy, w każdym razie nie bliski, może dopiero jutro nad ranem przyjdą po niego. A więc kilka godzin - to dużo, bardzo dużo! W kilka godzin można wiele rzeczy obmyślić. Przypuszczam, że w jego duszy musiało się dziać coś takiego, co się dzieje w duszy przestępcy, którego wiozą na miejsce straceń, na szubienicę: jeszcze trzeba przejechać długą, bardzo długą ulicę, i to truchtem, na oczach tysięcznych tłumów, a potem skręcić w inną ulicę i dopiero u wylotu tej ulicy - straszliwy plac! Wydaje mi się, że skazaniec, siedząc na swym haniebnym wozie, musi chyba odczuwać, że ma jeszcze przed sobą nieskończenie długie życie. Ale oto przesuwały się domy, wóz wciąż się toczy - to nic, do zakrętu jest jeszcze tak daleko; skazaniec wciąż odważnie rozgląda się na prawo i na lewo i patrzy na te tysiące ciekawych i obojętnych widzów, którzy nie spuszczają zeń oka, i wciąż mu się wydaje, że jest takim samym człowiekiem jak oni. Lecz oto już zakręt, o! ale to nic, nic, jeszcze cała ulica. I chociaż domy przesuwały się, on wciąż myśli: „Jeszcze zastało wiele domów.” I tak do końca, aż do placu. Wyobrażam sobie, że podobnie działo się w duszy Karamazowa: „Jeszcze tam nie zdążyli, myślał sobie, jeszcze można będzie coś wykombinować, jeszcze zdążę wymyślić plan obrony, znaleźć motywy, a teraz - teraz ona jest taka cudowna!” Mętnie i strasznie mu na duszy, ale znajduje jeszcze czas na to, aby odłożyć połowę pieniędzy i schować - bo inaczej nie mogę sobie wyjaśnić, gdzie mogła zniknąć połowa owych trzech tysięcy, dopiero co zabranych ojcu spod poduszki. Nie pierwszy raz jest w Mokrem, hulał przecie tam już przez dwa dni. Ten stary, niski drewniany dom jest mu dobrze znany, ze wszystkimi szopami i galeryjkami. Przypuszczam, że połowę tych pieniędzy schował wówczas właśnie w tym domu, krótko przed aresztowaniem; wsunął je do jakiejś dziury czy szpary, pod podłogę, gdzieś w kąt, pod dach - po co? Jak to po co? Katastrofa może rychło wybuchnąć, oczywiście jeszcze nie pomyślał, jak na nią reagować, i nie miał na to czasu; huczy mu w głowie i do niej go ciągnie, a pieniądze - pieniądze są konieczne w każdej sytuacji! Człowiek z pieniędzmi wszędzie jest człowiekiem. Może takie wyrachowanie w owej chwili wyda się wam nienaturalne? Ale przecież sam zapewniał, że miesiąc wcześniej, w równie fatalnej i niespokojnej chwili, odłożył połowę pieniędzy i zaszył w woreczku; jeżeli to nawet nieprawda, a tak jest w istocie, czego postaram się dowieść, to bądź co bądź sam pomysł nie jest mu obcy. Co więcej, kiedy zapewniał sędziego śledczego, że odłożył półtora tysiąca i zaszył je w woreczku (który wcale nie istniał), to może właśnie wymyślił ten woreczek na miejscu, przypomniawszy sobie, że tu właśnie, że dwie godziny wcześniej, odłożył połowę gotówki i schował w jakimś schowku, na wszelki wypadek, do jutra, byleby nie mieć tych pieniędzy przy sobie, jak mu to nagle strzeliło do głowy. Dwie otchłanie, panowie przysięgli, przypomnijcie sobie, że Karamazow jest zdolny spoglądać w dwie otchłanie i w obie jednocześnie! Przeszukaliśmy dom, ale nigdzieśmy nic nie znaleźli. Może pieniądze są jeszcze dotychczas w skrytce, a może ktoś je wyjął nazajutrz i zwrócił podsądnemu. W każdym razie aresztowano go przy niej, na klęczkach przed nią, ona leżała na łóżku, on wyciągał ku niej ramiona i do takiego stopnia pogrążył się w ekstazie, że nie słyszał zbliżających się kroków. Nic jeszcze nie zdążył sobie przygotować, żadnej obrony. Zaskoczyliśmy i jego, i jego umysł. I oto stanął przed swymi sędziami, przed tymi, którzy mają rozstrzygnąć jego los. Panowie przysięgli, bywają takie chwile, kiedy spełniając swe obowiązki czujemy strach za człowieka i przed człowiekiem! To chwile tych zwierzęcych przerażeń, kiedy przestępca uświadamia sobie, że wszystko przepadło, a jednak wciąż jeszcze walczy, wciąż jeszcze zamierza walczyć. To chwile, kiedy cały instynkt

samozachowawczy budzi się nagle, kiedy przestępca, szukając dla siebie ratunku, patrzy na was przeszywającym na wskroś spojrzeniem, cierpiętniczym zarazem i badawczym, kiedy stara się odgadnąć i wybadać waszą twarz, wasze myśli, i czeka, z której strony nastąpi atak, w mig snuje we wstrząśniętym swoim umyśle tysiące planów, i jednocześnie lęka się przemówić, lęka się, że coś powie! Te chwile poniżenia, które przeżywa dusza ludzka, ta gulgota duszy, to zwierzęce pragnienie uratowania się - wszystko to jest okropne, panowie, i budzi wahanie i litość nawet w sercu sędziego! I oto byliśmy świadkami takiej chwili. Zrazu podsądny był oszołomiony i z przerażenia wyrwało mu się kilka słów, które go wielce kompromitowały: „Krew! Zasłużyłem!” Ale natychmiast się opanował. Co powiedzieć, jak odpowiadać? Nic jeszcze chwilowo nie było gotowe, ale gotowe było gołosłowne przeczenie: „Nie jestem winien śmierci ojca!” Oto chwilowa jego osłona, a za tą osłoną może zdąży jeszcze sklecić jaką barykadę. Pierwsze swe kompromitujące okrzyki jak najprędzej, bo uprzedzając nawet nasze pytania, stara się wytłumaczyć wykrętnie: mówił pono o krwi Grzegorza, którego jednak nie zabił. „Tej śmierci jestem winien”, ale kto zabił ojca, panowie, kto? „Kto mógł go zabić, jeśli nie ja?” Słyszycie: to on nas pyta, nas, którzy przyszliśmy do niego z tym samym pytaniem! Słyszycie to wybiegające naprzód słóweczko: „jeśli nie ja”, tę zwierzęcą przebiegłość, tę naiwność i karamazowowską niecierpliwą? Nie ja zabiłem, i nawet nie godzi się pomyśleć, że to ja: „Chciałem zabić, panowie, chciałem zabić” - przyznaje się czym prędzej (spieszy się, o, strasznie się spieszy!) - „ale nie jestem winien, nie ja zabiłem!” Godzi się z nami, że chciał zabić: widzicie niby sami, jaki jestem szczery, no więc tym bardziej wierzcie, że to nie ja zabiłem. O, w takich wypadkach przestępca staje się straszliwie lekkomyślny. I oto śledztwo jakby mimo woli zadaje mu naiwne pytanie: „A może to Smierdiakow zabił?” Stało się tak, jakeśmy się spodziewali: straszliwie rozgniewał się na nas, bośmy go ubiegli i zaskoczyli, kiedy jeszcze nie zdążył przygotować, wybrać i pochwycić momentu, w którym najdogodniej będzie wysunąć Smierdiakowa. Zgodnie ze swym charakterem natychmiast wpadł w krańcowość i sam zaczął nas zapewniać, że Smierdiakow nie mógł zabić, że nie był zdolny do morderstwa. Ale nie wierzcie mu, to tylko wybieg: wcale nie ma zamiaru zrezygnować ze Smierdiakowa, wręcz przeciwnie, wnet go wysunie, bo kogóż by wysunął jak nie jego, ale robi to w stosowniejszej chwili, bo na razie ta sprawa jest zepsuta. Wysunie go może dopiero nazajutrz, albo nawet za kilka dni, wyszuka sobie chwilkę, kiedy sam zawoła: „Widzicie, sam, bardziej od was, przeczyłem winie Smierdiakowa, pamiętacie to przecież, ale teraz to i ja się przekonałem: on zabił, któż by inny!” A tymczasem, rozdrażniony i posępny, przeczy i gniewa się, i gniew podpowiada mu najbardziej naiwny i nieprawdopodobny wykręt: jak to zaglądał do ojcowskiego okna i jak roztropnie i potulnie odszedł od tego okna. Rzecz najważniejsza, nie zna jeszcze innych okoliczności, zeznań Grzegorza. Przystępujemy do rewizji. Rewizja osobista gniewa go, ale zarazem przejmują otuchą: nie znaleziono całej gotówki, znaleziono tylko półtora tysiąca. I oto, rozumie się, w owej chwili gniewnego milczenia i zaprzeczeń, strzela mu do głowy, niezawodnie po raz pierwszy, pomysł woreczka. Niewątpliwie odczuwa całe nieprawdopodobieństwo tego wykrętu i męczy się, strasznie się męczy, jak by go tu uprawdopodobnić, jak by go tak opowiedzieć, aby wyszła z tego historia prawdopodobna. W takich wypadkach pierwsze i główne zadanie śledztwa - to nie pozwolić przestępcy się przygotować, zaskoczyć go zniecka, żeby wypowiedział swoje myśli z całą zdradzającą je szczerością, z całym nieprawdopodobieństwem i wewnętrzną sprzecznością. Aby go zmusić do mówienia, trzeba go zaskoczyć jakby niechcący jakimś nowym faktem, jakąś okolicznością sprawy ogromnie ważną, której przestępca nie mógł przewidzieć. Taki fakt mieliśmy na podorędziu, mieliśmy go już na podorędziu od dawna: to zeznanie służącego Grzegorza o otwartych drzwiach, przez które wybiegł był podsądny. O tych drzwiach on całkiem zapomniał, a nie mógł przecież przypuszczać, że Grzegorz

je zauważy. Efekt był ogromny. Zerwał się na równe nogi i nagle zawołał: „To Smierdiakow zabił, Smierdiakow!” - i oto zdradził swoją ukrytą, podstawową myśl w najbardziej nieprawdopodobnej formie, albowiem Smierdiakow mógł w najlepszym razie zabić dopiero po tym, jak podsądny powalił Grzegorza i uciekł. Kiedyśmy zaś zauważyli, że Grzegorz widział otwarte drzwi przed utarczką z podsądnym, że w dodatku, wychodząc z domu, słyszał wyraźnie jęki Smierdiakowa - Karamazow był naprawdę zmiażdżony. Współpracownik mój, czcigodny i rozumny Mikołaj Parfienowicz, opowiadał mi później, że mu się strasznie żal zrobiło podsądnego. I w owej chwili, aby poprawić swoją sytuację, opowiada nam podsądny skwapliwie o rzekomym woreczku: trudno, muszę wam niby opowiedzieć tę historię! Panowie przysięgli, powiedziałem wam, z jakich powodów uważam ten wymysł o zaszytych pieniądzech nie tylko za nonsens, ale i za najmniej prawdopodobny wybieg, jaki można było wymyślić w danym wypadku. Jeśli nawet pójdziemy o zakład: czy można powiedzieć coś mniej prawdopodobnego - to i wówczas nie znajdzie się nic gorszego od tego woreczka. Tu przede wszystkim można rozbić triumfującego fantastę szczegółami, tymi szczegółami, w które tak zawsze obfituje rzeczywistość, i które zawsze bywają pomijane przez takich nieszczęsnych i mimowolnych fantastów jako błaha i zbyteczne drobiazgi, nie przychodzące im nawet do głowy. O, nie im mówić w danej chwili o błahostkach, ich umysł ustawia kolosalne rusztowania - i oto ktoś ośmiela się nudzić ich takimi fraszkami! Ale właśnie na takich fraszkach łapie się tych fantastów! Zadaje się podsądnemu pytanie: „No, a skąd pan wziął materiał na woreczek i kto go zaszył?” „Sam zaszyłem.” „A płótno skąd pan raczył wziąć?” Podsądny obraża się, uważa to za obraźliwą szykanę i - czy dacie, panowie, wiarę - oburza się całkiem szczerze! Tacy oni wszyscy! „Oderwałem kawałek koszuli.” „Doskonale. A więc jutro znajdziemy u pana koszulę z wydartym kawałkiem.” I czy rozumiecie, panowie, że gdybyśmy istotnie znaleźli tę koszulę (a jak tu nie znaleźć jej w kufrze lub komodzie, jeżeli to nie jest fikcja?), przecież mielibyśmy już przed sobą fakt, oczywisty, dotykalny fakt na rzecz podsądnego! Ale on tego nie może sobie uprzytomnić. „Nie pamiętam, może to nie była koszula, zaszyłem w czepek gospodyni.” „W jaki czepek?” „Wziąłem go, leżała jakaś stara, perkalikowa szmatka.” „Czy pamięta pan dokładnie?” „Nie, dokładnie nie pamiętam...” I okropnie się złości, a przecież zważcie, panowie: jakżeby mógł nie pamiętać? W najstraszniejszych chwilach ludzkiego życia, kiedy na przykład wiozą człowieka na szafot, pamięta on właśnie drobiazgi. O wszystkim zapomni, a zapamięta jakiś zielony dach, który mignął po drodze, albo kawkę na krzyżu. Przecież zaszywając ten swój woreczek, chował się przed domownikami, powinien był pamiętać, jak nikczemnie cierpiał, trzymając igłę w ręku, obawiając się, że ktoś raptem wejdzie i zastanie go przy tej czynności; słysząc najmniejszy hałas, zrywał się i zaglądał za przegródkę (w mieszkaniu jego jest przegródka)... Panowie przysięgli, dlaczego właśnie opowiadam te szczegóły i drobiazgi! - zawołał naraz Hipolit Kiryłowicz. - A dlatego, że podsądny od pierwszej chwili upiera się stanowczo przy swoim nonsensie! Przez te całe dwa miesiące, od czasu owej fatalnej nocy, nic nie wyjaśnił, żadnego realnego, wyjaśniającego faktu nie dodał do swych dawnych fantastycznych zeznań; wszystko to są niby drobiazgi, ale wy, panowie, wierzcie mi na słowo! O, chciałbym wierzyć, pragnę wierzyć, choćby na słowo! Cóż to, szakalem jestem, łaknącym krwi ludzkiej? Dajcie mi, wskażcie bodaj jeden fakt na korzyść podsądnego, a ucieszę się - ale fakt uchwytny, realny, a nie jakieś domysły wysnute z miny podsądnego przez jego rodzonego brata albo twierdzenie, że podsądny, bijąc się w pierś, zapewne wskazywał na woreczek, i to w dodatku w ciemnościach nocy. Ucieszę się, pierwszy zrezygnuję z mojego oskarżenia, natychmiast zrezygnuję. Teraz zaś woła głos sprawiedliwości, więc i ja nalegam z niczego nie rezygnując.

Mowa Hipolita Kiryłowicza dobiegała końca. Gorączkował się, krzyczał o przelanej krwi. O

krwi ojca zabitego przez syna „w niskim celu grabieży”. Wskazywał na tragizm i wołający o pomstę ogrom obciążających faktów.

- I cokolwiek wam powie wielce utalentowany i słynny obrońca podsądnego (nie wytrzymał Hipolit Kiryłowicz), jakiegokolwiek wygłosi słowa, wymowne i wzruszające, apelujące do waszych uczuć, pamiętajcie, że w tej chwili jesteście w świątyni naszej sprawiedliwości. Pamiętajcie, że jesteście obrońcami naszej prawdy, obrońcami naszej świętej Rosji, jej podstaw, jej rodziny, wszystkiego, co dla niej święte! Tak, uosabiacie w tej chwili Rosję, i nie tylko w tej sali rozlegnie się wasz wyrok, ale po całej Rosji, i cała Rosja wysłucha was jako swoich sędziów i obrońców, i będzie pokrzepiona albo przygnębiona waszym wyrokiem. Nie dręczcie więc Rosji i nie zawiedźcie jej oczekiwania, fatalna nasza trójka mknie na oślep, może ku zagładzie. I dawno już w całej Rosji ludzie wyciągają ręce i wołają, by zatrzymać wściekle rozpędzoną trójkę. I jeżeli inne narody usuwają się przed rwącą na oślep trójką, to może wcale nie po to, by okazać jej szacunek, jak by chciał poeta, lecz po prostu ze zgrozy - zważcie to, panowie. Ze zgrozy i może ze wstydu, i to jeszcze dobrze, że się usuwają, bo mogą naraz przestać się usuwać i murem staną przed pędzącą marą i sami zatrzymają oszalały cwał naszego wyuzdania, aby uratować siebie, kulturę i cywilizację! Słyszeliśmy już bowiem przerażone głosy z Europy. Zaczęły się już rozlegać. Nie kuście ich, nie podsycajcie ich rosnącej nienawiści wyrokiem uniewinniającym ojcobójcę!...

Słowem Hipolit Kiryłowicz uniósł się i zakończył swoją mowę patetycznie - rzeczywiście wrażenie było niezwykle. Skończywszy przemówienie, natychmiast wyszedł i, powtarzam, omal nie runął zemdlny w sąsiednim pokoju. Słuchacze co prawda go nie oklaskiwali, ale poważni ludzie byli zadowoleni. Mniejszą satysfakcję okazywały damy, chociaż i one były zachwycone oratorską swadą prokuratora, zwłaszcza że były spokojne o wyrok i spodziewały się cudów po Fietiułowiczu: „Nareszcie zacnie mówić i oczywiście wszystkich przekona!” Wszyscy spoglądali na Mitę: przez cały czas przemówienia prokurator siedział w milczeniu z zaciętymi ustami, zaciśniętymi pięściami, z opuszczonymi oczyma. Chwilami tylko podnosił głowę i słuchał. Zwłaszcza gdy słyszał imię Gruszeńki. Gdy prokurator przytoczył opinię Rakitina o niej, Mitya uśmiechnął się z pogardą i złością i dosyć głośno powiedział: „Bernardy!” Gdy Hipolit Kiryłowicz opowiadał, jak badał podsądnego i dręczył go w Mokrem, Mitya podniósł głowę i słuchał z wielką uwagą. Był moment, kiedy chciał zerwać się i krzyknąć coś, lecz w porę się powstrzymał i tylko pogardliwie wzruszył ramionami. O tym finale mowy prokuratora, dotyczącym jego wielkich czynów w Mokrem, opowiadano sobie później u nas ze śmiechem: „Nie wytrzymał, żeby nie wyjechać ze swymi wielkimi zdolnościami.”

Nastąpiła przerwa, ale niedługa, kwadrans zaledwie czy dwadzieścia minut. W sądzie zawrzało od rozmów i okrzyków. Niektóre zapamiętałem sobie dosyć dokładnie.

- Poważna mowa! - zauważył jakiś pan z nachmurzonymi brwiami.

- Za dużo psychologii - rozległ się inny głos.

- Ale przecież to prawda, święta prawda! - Tak, to mistrz.

- Dał pełny obraz.

- Ale i nas obmalował - rzekł ktoś trzeci - z początku, kiedy mówił, że wszyscyśmy tacy jak



Fiodor Pawłowicz.

- I na końcu też. Ale tu się zapędził.
- I wiele rzeczy mówił niewyraźnie.
- Trochę się zapędził.
- niesprawiedliwie, niesprawiedliwie.
- Ależ nie, zrobił to zrećźnie. Długo czekał, biedny, i wreszcie się wypowiedział, he, he!
- Co też powie obrońca?

W drugiej grupie:

- Niepotrzebnie drasnął obrońcę, pamiętacie: „apelując do waszych uczuć”?
- Tak, to niezbyt zrećźnie.
- Uniósł się.
- Nerwowy człowiek.
- My się tu śmiejemy, a jak czuje się podsądny?
- Tak. Jak się czuje Mitieńka?
- Ale jak odpowie obrońca?

W trzeciej grupie:

- Co to za dama z lornetką, ta tęga, z boku?
- To generałowa, rozwódka, znam ją.
- Wybrała się, z lornetką.
- Kokietka.
- E nie, pikantna osóbką.
- Za nią, o dwa miejsca dalej, siedzi blondyneczka, o wiele ponętniejsza.
- A sprytnie go wtedy w Mokrem obrobili, co?
- Sprytnie, sprytnie. Znowu się pochwalił. Nie przestaje o tym gadać przy lada okazji.

- I teraz nie powściągnął się. Ambitny człowiek.

- Skrzywdzony, a jakże, he, he!

- I obraźliwy. Retoryki wiele, długie frazesy.

- I straszy nas, zauważyliście, wciąż straszy. Pamiętacie o tej trójce? „Tam Hamlety, u nas na razie tylko Karamazowowie!” Spryciarz!

- Liberałom pochlebił. Boi się!

- I adwokata się boi.

- Tak, co teraz powie mecenas Fietiukowicz?

- Cokolwiek powie, naszych chłopków nie otumani.

- Tak pan sądzi?

W czwartej grupie:

- A o tej trójce to nieźle wyszło, zwłaszcza o tych narodach.

- A przecież prawda, pamiętasz, jak mówił, że narody nie będą czekać.

- Bo i co?

- Bo w angielskim parlamencie ktoś już interpelował w sprawie nihilistów i pytał ministerstwo: czy nie czas już ukrócić barbarzyński naród i ucywilizować go. Hipolit to miał na myśli, wiem, że to. W zeszłym tygodniu mówił o tym.

- Niedoczekanie ich!

- Jak to niedoczekanie?

- Kronsztad zamkniemy i nie damy im chleba. Skąd wezmą?

- A Ameryka? Teraz z Ameryki.

- Bujda.

Zabrział dzwonek i wszyscy pobiegli z powrotem na swoje miejsca. Fietiukowicz wszedł na mównicę.

# MOWA OBROŃCY. KIJÓ DWÓCH KOŃCACH

Gdy rozległy się pierwsze słowa znakomitego mówcy, na sali zaległa cisza. Wszyscy utkwili w nim wzrok. Rozpoczął mowę w słowach niezwykle prostych, naturalnie, z wewnętrznym przekonaniem, bez najmniejszego zarozumiałstwa, nie siląc się zupełnie na krasomówstwo, na patetyczne zwroty, na podszyte uczuciowością słówka. Mówił jak człowiek, którego słucha z uwagą grono naprawdę współczujących ludzi. Głos miał piękny, donośny i sympatyczny, i nawet w głosie tym słyszało się nutę szczerą i otwartą. Ale wszyscy od razu zmiarkowali, że artysta mówi teraz prosto, ale za chwilę może unieść się patosem i „uderzyć w serca z niezwykłą siłą”. Mówił może nie tak retorycznie jak Hipolit Kiryłowicz, ale bez długich zdań i nawet dokładniej. Jedna rzecz nie podobała się paniom: Fietukowicz jakoś dziwnie się zginał, zwłaszcza na początku mowy, zginał się nie w ukłonie, lecz niejako wrywając się ku słuchaczom, przy tym jak gdyby łamał się we dwoje - zdawało się, że pośrodku swego długiego i wąskiego grzbietu ma zawiasy, na których połowa grzbietu może się zginać niemal pod kątem prostym. Na początku przemawiał chaotycznie, jak gdyby bez planu, wyławiając poszczególne fakty, lecz w końcu wszystko się zestroiło w jedną całość. Mowę jego można było podzielić na dwie części: pierwsza część - to krytyka, to obalenie oskarżenia, chwilami złośliwe i sarkastyczne. Lecz w drugiej części mowy jakby zmienił naraz ton i chwyt, i uniósł się nagle patosem, sala zaś tylko czekała tego momentu i zatrzęsła się z zachwytem. Przystąpił od razu do rzeczy; zaczął od tego, że chociaż terenem jego pracy jest stolica, jednak nie pierwszy raz odwiedza jako obrońca miasta prowincjonalne; broni zaś tylko tych oskarżonych, o których niewinności upewnia go rozum albo przynajmniej przecucie.

- To samo było i z tą sprawą - rzekł. - Już nawet w pierwszych wzmiankach drukowanych w pismach zastanowiło mnie coś, co przemawiało na korzyść podsądnego. Mówiąc dokładniej, zainteresował mnie przede wszystkim pewien ciekawy kasus, często powtarzający się w praktyce sądowej, ale nigdy, jak mi się wydaje, w takim stopniu i z takimi charakterystycznymi szczegółami jak w niniejszej sprawie. Kasus ów powinienem właściwie sformułować na końcu swej przemowy - jednak wyłożę swoją myśl od razu, bo lubię od razu przystępować do rzeczy, nie chowając na później efektów i nie skąpiąc wrażeń. Może czynię to niezręcznie, ale za to szczerze. Ta moja myśl, moja formuła jest następująca: mamy tu przygnębiające mnóstwo faktów obciążających, ale zarazem nie mamy ani jednego faktu, który z osobna wzięty wytrzymałby krytykę! Czytając dalsze sprawozdanie utwierdzałem się w moim przekonaniu coraz bardziej, i naraz krewni podsądnego wezwali mnie, abym go bronił. Natychmiast przybyłem tu i tu się ostatecznie przekonałem. Otóż podjąłem się tej obrony, aby obalić to straszne mnóstwo faktów i dowieść, jak fantastyczny i niedorzeczny jest każdy z tych faktów wzięty z osobna.

Tak rozpoczął obrońca i nagle zawołał:

- Panowie przysięgli, jestem tu człowiekiem nowym. Wszystkie moje tutejsze wrażenia nie są zabarwione jakąś z góry powziętą opinią. Podsądny, człowiek o charakterze dzikim i nieokiełzanym, nie miał przecież okazji urazić mnie jak uraził setki osób w tym mieście, co niekorzystnie usposobiło do niego tutejsze społeczeństwo. Oczywiście nie przeczę, że poczucie moralne tutejszego społeczeństwa jest słusznie oburzone: podsądny był nieokiełzanym awanturnikiem. Ale jednak przyjmowano go w tutejszych domach, a nawet w rodzinie wysoce utalentowanego pana prokuratora

był mile widziany. (Notabene, w tym momencie usłyszano kilka stłumionych chichotów. Wiadomo było powszechnie, że prokurator przyjmował u siebie Mitię wbrew swej woli, jedynie dlatego, że prokuratorowa bardzo się nim interesowała. Była ona skądinąd wysoce cnotliwą i czcigodną damą, lecz z fantazją i nieobliczalną, lubiącą w pewnych wypadkach, przeważnie w drobiazgach, czynić na przekór mężowi. Mitia zresztą odwiedzał ich dosyć rzadko. Niemniej ośmielam się przypuścić - ciągnął obrońca - że nawet człowiek o umyśle tak niezależnym i charakterze tak sprawiedliwym, jak mój oponent, mógł powziąć antypatię względem mojego nieszczęsnego klienta, i co za tym idzie - błędne uprzedzenie. O, to rzecz bardzo naturalna: wszak nieszczęsny mój klient zasłużył sobie, by traktowano go z antypatią i uprzedzeniem. A wiemy przecież, że urażone poczucie moralne, a nawet w większym jeszcze stopniu estetyczne, bywa czasem tak nieubłagane! Rozumie się, w wielce ciekawej mowie oskarżycielskiej słyszeliśmy surową analizę charakteru i postępowania podsądnego, surowy krytyczny stosunek do sprawy, a przede wszystkim były w tej mowie ukazane głębie psychologiczne, które miały nam wyjaśnić istotę sprawy, były ukazane takie głębie, powiadam, do których jednak niepodobna dotrzeć, gdy się czuje antypatię, gdy się jest złośliwie uprzedzonym do osoby podsądnego. A jednak istnieją jeszcze inne rzeczy, które są nawet gorsze, nawet zgubniejsze w podobnych wypadkach od najbardziej złośliwego i stronniczego stosunku do sprawy. Zwłaszcza gdy nas na przykład ponosi, że tak powiem, gra artystyczna, potrzeba twórczości artystycznej, konieczność tworzenia powieści, że tak powiem, szczególnie żywa, jeśli nas Bóg obdarował w dodatku wielkim talentem psychologicznym. Już w Petersburgu, zanim się tu wybrałem, uprzedzono mnie, i zresztą sam o tym wiedziałem, że będę miał za oponenta głębokiego i nader subtelnego psychologa, który dawno już pozyskał sobie tą zaletą rozgłos w naszym młodym świecie prawniczym. Ale przecież psychologia, panowie, to rzecz głęboka, lecz jak kij ma dwa końce (śmiech na sali). O, proszę mi naturalnie wybaczyć to trywialne porównanie: nie jestem krasomówcą. Ale oto i przykład - wybieram pierwszy lepszy z mowy prokuratora. Podsądny uciekając przełazi przez parkan i uderza tłuczkiem trzymającego go za nogę lokaja. Po czym zeskakuje z powrotem do ogródka i przez pięć minut krząta się koło powalonego lokaja, starając się domyślić: zabił go czy nie? I oto oskarżyciel za nic w świecie nie chce uwierzyć w zeznania podsądnego, że zeskoczył do starego Grzegorza z uczucia litości. „Nie, czy niby może powstać takie uczucie w takiej chwili; jakież to nienaturalne; zeskoczył, ale po to tylko, aby się przekonać, czy jeszcze żyje jedyny świadek jego zbrodni, a zatem dowiódł swoim postępowaniem, że popełnił tę zbrodnię, bo przecież nie mógł zeskoczyć do ogrodu w innym celu i z innych pobudek.” Macie, panowie, psychologię; ale weźmy tę psychologię i przyłożmy do sprawy, lecz drugim końcem, a przekonamy się, że wypadnie nie mniej prawdopodobnie. Morderca zeskakuje z parkanu z przezorności, chcąc się przekonać, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni, a jednocześnie zostawił w gabinecie zamordowanego ojca, jak to sam oskarżyciel stwierdził, straszliwą poszlakę przeciwko sobie w postaci owej rozdartej koperty z napisem o trzech tysiącach. „Przecie gdyby zabrał ze sobą tę kopertę, nikt na całym świecie nie dowiedziałby się, że ona istniała i że były w niej pieniądze, że zatem morderstwo było połączone z grabieżą.” Tak stwierdził sam oskarżyciel. Ano więc w tym wypadku nie starczyło mu rozwagi, zmieszał się człek i uciekł, zostawiwszy na podłodze kopertę, a w dwie minuty potem uderzył i zabił innego człowieka, i tu dopiero okazuje zimną i wyrachowaną rozwagę. Ale przypuśćmy, że tak było: na tym polega subtelność psychologii, że w danych okolicznościach jestem krwiożerczy i przezorny, jak orzeł kaukaski, w innych zaś ślepy i nieśmiały jak nędzny kret. Ale jeżeli już jestem tak krwiożerczy i okrutnie wyrachowany, że po uderzeniu zeskakuję, aby przekonać się, czy żyje jeszcze świadek mojej zbrodni, to po cóż bym miał mitrzyć czas nad nową ofiarą i narażać się na zwabienie nowych świadków? Po cóż bym moczył chustkę, ocierając z krwi głowę powalonego - chyba po to,

aby ta chustka była następnie obciążającą mnie poszlaką? Bynajmniej, jeżeli już jestem tak wyrachowany i okrutny, to lepiej zeskoczyć i jeszcze raz uderzyć w głowę powalonego służącego, dobić go ostatecznie i, zabiwszy świadka, pozbyć się kłopotu. Następnie: zeskakuje, aby się przekonać, czy żyje jeszcze jedyny świadek, i tuż obok, pośrodku dróżki, zostawia drugi dowód, mianowicie ów tłuczek, który porwał z domu panny Swietłow i który obie jej służące mogły zawsze poznać. I nawet nie zapomniał tego tłuczka, nie upuścił przez roztargnienie: o, nie, odrzucił z rozmachem narzędzie zbrodni, bo przecież znaleziono je w odległości piętnastu kroków od miejsca, gdzie runął Grzegorz. Pytam się, dlaczego tak zrobił? A zrobił tak, bo się bardzo strapił, że zamordował starego służącego - więc ze złością, z przekleństwem odrzucił tłuczek jako przekłete narzędzie zbrodni. Jakże mogło być inaczej, skoro odrzucił tłuczek z rozmachem? Jeżeli zaś mógł poczuć żal i ból, że zabił człowieka, to oczywiście tylko dlatego, że poprzednio nie zabił ojca. Gdyby zabił ojca, nie byłby zeskoczył do powalonego służącego z litości, bo ogarnęłoby go inne uczucie, bo wtedy za wszelką cenę chciałby się uratować. Wtedy, powtarzam, wręcz przeciwnie, byłby ostatecznie dobił służącego, a nie krzątał się koło niego przez pięć minut. Litość i dobre uczucia mogły pojawić się tylko dlatego, że jego sumienie było czyste. Oto macie, panowie, i drugą psychologię. Panowie przysięgli, specjalnie wdałem się w psychologię, żeby pokazać, jak można z niej wyciągnąć wszystko, co się chce. Zależy tylko od tego, w czyich jest rękach. Psychologia wciąga w powieść nawet ludzi najpoważniejszych, i to mimo woli. Mówię o nadmiarze psychologii, panowie przysięgli, o nadużywaniu psychologii.

Tu znowu rozległy się śmiechy, i tym razem również pod adresem prokuratora. Nie będę powtarzał szczegółowo mowy obrońcy, przytoczę tylko niektóre fragmenty, pewne najważniejsze punkty.

## XI

### NIE BYŁO PIENIĘDZY. NIE BYŁO GRABIEŻY

Był jeden punkt w mowie obrońcy, który wszystkich zaskoczył - twierdzenie, że owe fatalne trzy tysiące wcale nie istniały, a zatem że grabież była niemożliwa.

- Panowie przysięgli - wywodził obrońca - w niniejszej sprawie każdego bezstronnego i świeżego człowieka uderza jedna arcycharakterystyczna rzecz, mianowicie: oskarżenie podsądnego o grabież, a jednocześnie absolutna niemożliwość wskazania, co było przedmiotem tej grabieży. Przedmiotem tym były podobno pieniądze, właśnie owe trzy tysiące - ale czy te pieniądze rzeczywiście istniały, tego nikt nie wie. Zważcie sami: po pierwsze, w jaki sposób dowiedzieliśmy się, że istniały owe trzy tysiące, i kto je widział? Widział je i stwierdził, że były w kopercie z napisem, tylko służący Smierdiakow. On również opowiedział o tym jeszcze przed katastrofą podsądnemu i jego bratu, Iwanowi Fiodorowiczowi. Zawiadomiono również pannę Swietłow. Ale wszystkie te trzy osoby same nie widziały pieniędzy - widział je tylko Smierdiakow, lecz tu nasuwa się pytanie: jeśli to nawet prawda, że owe pieniądze istniały i że widział je Smierdiakow, to kiedyż widział je po raz ostatni? A może jego pan wyjął je spod poduszki i z powrotem włożył do szkatułki, nic mu o tym nie mówiąc? Zważcie, panowie: według słów Smierdiakowa pieniądze leżały pod

materacem. Zatem podsądny musiałby je wyciągnąć spod materaca, a przecież posłanie było nienaruszone, jak skrupulatnie zapisano w protokole. Jak więc mógł podsądny nie ruszyć posłania i w dodatku nie splamić skrwawionymi rękoma świeżego i cienkiego powleczenia, które tym razem specjalnie pościelono? Otóż o tej właśnie kopercie warto pomówić. Poprzednio byłem nieco zdziwiony: wysoce utalentowany oskarżyciel, mówiąc o kopercie, naraz sam - słyszycie, panowie - sam, wskazując na nonsens posądzenia Smierdiakowa, powiedział w swojej mowie: „Gdyby nie było tej koperty, gdyby nie została na podłodze jako poszlaka, gdyby morderca zabrał ją ze sobą, nikt na całym świecie nie dowiedziałby się, że istniała ta koperta, a w niej pieniądze, a zatem że pieniądze zostały zagrabione przez podsądnego.” A więc jedynie ten podarty skrawek papieru z napisem, jak to stwierdza sam oskarżyciel, wystarczył, aby oskarżyć podsądnego o grabież, „bo inaczej nikt by się nie dowiedział, że była grabież, a nawet, że były pieniądze”. Ale czyż to, że ów skrawek papieru leżał na podłodze, jest dowodem, że były tam pieniądze i że te pieniądze zrabowano? „Przecież - można mi powiedzieć - Smierdiakow widział je w kopercie.” Ale kiedy, kiedy widział je po raz ostatni, o to was pytam? Rozmawiałem ze Smierdiakowem; powiedział mi, że widział je na dwa dni przed katastrofą! Ale dlaczego nie mógłbym przypuścić na przykład, że starzec, Fiodor Pawłowicz, zamknąwszy się w domu i oczekując z histerycznym zniecierpliwieniem na swoją ukochaną, nagle, ot tak sobie, wyjmując kopertę i rozpieczętował ją: „Co tam koperta, jeszcze może nie uwierzyć, ale jeżeli pokażę trzydzieści tęczówek w paczce, to chyba mocniej podziała, śliska jej pocieknie” - i oto rozrywa kopertę, wyjmując pieniądze, a kopertę rzuca na podłogę, bo przecież nie boi się żadnej poszlaki. Słuchajcie, panowie przysięgli, czy istnieje coś bardziej prawdopodobnego od takiego przypuszczenia i takiej interpretacji faktu? Czemu to niemożliwe? Jeżeli bodaj coś takiego mogło się zdarzyć, to przecież upada ostatecznie oskarżenie o grabież: pieniędzy nie było, nie było więc i grabieży. Jeżeli koperta leżała na podłodze jako dowód, że były w niej pieniądze, to czemuż nie wolno mi twierdzić czegoś wręcz przeciwnego, mianowicie, że koperta leżała na podłodze, bo w niej nie było pieniędzy, które sam Fiodor Pawłowicz był wyjął? Ale gdzie w takim razie podziały się pieniądze, jeśli sam gospodarz wyjął je z koperty: przy rewizji nie znaleziono ich w domu? Po pierwsze, w szkatułce znaleziono część pieniędzy, a po drugie, mógł je wyjąć rano albo i w przeddzień, wydać je, wymienić, zaniechać wreszcie zamiaru, zmienić plan działania, nie uważając za stosowne wtajemniczać w to Smierdiakowa. Bo jeżeli istnieje choćby możliwość takiego przypuszczenia, to jakże można z takim uporem i z taką stanowczością oskarżać podsądnego o zabójstwo w celach grabieży, że istotnie ta grabież miała miejsce? Przecież wkraczamy w dziedzinę powieści. Przecie, aby twierdzić, że coś zrabowano, trzeba wskazać tę rzecz albo przynajmniej dowieść niezbicie, że istniała. A tej rzeczy nikt nawet nie widział. Niedawno w Petersburgu pewien młodzieniec, wyrostek osiemnastoletni, przekupień uliczny, wdarł się w biały dzień z siekierą w rękę do kantoru wymiany i z niezwykłym, typowym zuchwalstwem zamordował właściciela i zrabował tysiąc pięćset rubli. Nie minęło pięć godzin, jak go aresztowano, miał jeszcze przy sobie całą gotówkę prócz piętnastu rubli, które zdążył wydać. Oprócz tego subiekt, który wrócił po morderstwie do kantoru, wskazał policji nie tylko, ile było pieniędzy, ale ile było banknotów tęczowych, ile niebieskich, ile czerwonych, ile złotych monet i jakich, i rzeczywiście u aresztowanego zabójcy wszystko to znaleziono. W dodatku zabójca przyznał się, że zabił i zrabował te właśnie pieniądze. Oto, panowie przysięgli, co nazywam dowodem! Tu ja wiem, widzę, dotykam tych pieniędzy i nie mogę powiedzieć, że ich nie ma czy nie było. Ale czy tak jest w tej sprawie? A przecież rozstrzyga się kwestia życia i śmierci, los człowieka. Tak - można mi odpowiedzieć - ale przecież hulał całą noc, szastał pieniędzmi, stwierdzono, że miał przy sobie tysiąc pięćset rubli, skądże wziął tę kwotę? Ale właśnie to, że znaleziono tylko połowę tych pieniędzy, że drugiej połowy w żaden sposób nie

można było odnaleźć, to właśnie dowodzi, że gotówka, którą podsądny miał przy sobie, mogła nie mieć nic wspólnego z tamtymi pieniędzmi, że te pieniądze nigdy nie były w żadnej kopercie. Podczas śledztwa wstępnego ustalono jak najdokładniej, że podsądny z domu panny Swietłow pobiegł wprost do Pierchotina, że do domu nie wstępował, że nigdzie się nie zatrzymywał, a potem przez cały czas obracał się wśród ludzi, a więc nie mógł odliczyć od tych trzech tysięcy połowy i schować gdzieś w mieście. Ten właśnie wzgląd upoważniał oskarżyciela do przypuszczenia, że podsądny schował pieniądze w jakiejś szparze w Mokrem. Czemu nie w podziemiach zamku Udolfa, panowie? Czy to nie jest fantastyczne, powieściowe przypuszczenie? I zważcie, panowie - wystarczy obalić to przypuszczenie o pieniądzach schowanych w Mokrem, a całe oskarżenie o grabież rozpada się momentalnie, bo i gdzie mogło się podziąć, tysiąc pięćset rubli? Jakim cudem mogła ta kwota zniknąć, skoro wiadomo, że podsądny nigdzie nie wstępował? I na podstawie takich powieściowych wymysłów jesteśmy gotowi zgubić człowieka! Powie mi kto: „A jednak nie potrafił wyjaśnić, skąd wziął owe półtora tysiąca, które przy nim znaleziono; poza tym wszyscy widzieli, że do owej nocy nie miał pieniędzy.” Kto to wiedział? Przecie podsądny złożył jasne i stanowcze zeznanie o tym, skąd wziął pieniądze, i jeżeli chcecie wiedzieć, panowie przysięgli, jeżeli chcecie - to nie można sobie wyobrazić nic bardziej prawdopodobnego od tego zeznania, w dodatku nic bardziej odpowiadającego charakterowi i duszy podsądnego. Oskarżycielowi spodobała się własna opowieść: człowiek słabej woli, który zdecydował się wziąć trzy tysiące, proponowane z taką dla niego hańbą przez narzeczoną, nie mógł niby odłożyć połowy i zaszyć w woreczku, przeciwnie, gdyby nawet zaszył, to co drugi dzień rozpruwałby woreczek i wyjmował po setce, aż wszystko by wyjął w ciągu miesiąca. Przypomnijcie sobie, panowie, że wszystko to było wyłożone tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. A co, jeżeli sprawy miały się zupełnie inaczej, jeżeli oskarżyciel ułożył opowieść, stworzył w niej zupełnie inną postać? O to właśnie chodzi, że pan, panie prokuratorze, stworzył zupełnie inną postać! Powie mi ktoś może: „Są świadkowie, którzy mogą stwierdzić, że podsądny przehulał w Mokrem całe trzy tysiące jeszcze miesiąc przed katastrofą, że splukał się wówczas do ostatniego grosza, a zatem nie mógł odłożyć połowy.” Ale co to za świadkowie! Stopień ich wiarygodności wyszedł na jaw na przewodzie sądowym. Oprócz tego każdy widzi inaczej; przecież żaden ze świadków nie liczył, a tylko oceniał na oko. Mówił świadek Maksymow, że widział w ręku podsądnego dwadzieścia tysięcy. Widzicie, panowie przysięgli, ponieważ psychologia ma dwa końce, więc pozwólcie mi drugi koniec przyłożyć i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Miesiąc przed katastrofą panna Wierchowcew wręczyła trzy tysiące podsądnemu, który miał je przesłać pocztą; ale to jeszcze pytanie, czy istotnie wręczyła je w okolicznościach tak hańbiących i poniżających, jak to niedawno stwierdzono. Pierwsze zeznanie panny Wierchowcew było inne, zupełnie inne; w drugim zaś słyszeliśmy tylko krzyk odwetu i złości, krzyk od dawna tajonej nienawiści. Ale już to, że pierwsze zeznanie świadka było fałszywe, pozwala nam orzec, że i drugie zeznanie mogło być fałszywe. Oskarżyciel „nie chce, nie śmie” (to jego słowa) dotykać sprawy tego romansu. Niech i tak będzie, i ja nie będę jej dotykał, ale pozwolę sobie jednak zauważyć, że jeżeli czysta i wysoce cnotliwa osoba, jaką jest niewątpliwie szanowna panna Wierchowcew, jeżeli, powtarzam, taka osoba pozwala sobie nagle wobec sądu zmienić pierwsze zeznanie, dążąc wręcz do tego, aby podsądnego zgubić - to sędzić wypada, iż to drugie zeznanie nie było złożone z zachowaniem bezstronności i rozwagi. Czyż nie wolno mi więc uznać, że szukająca zemsty kobieta mogła bardzo przesadzić? Tak, właśnie przesadzić ową hańbę i wstyd, z jakim proponowała pieniądze. Wręcz przeciwnie, trzeba uznać, że pieniądze te były zaproponowane tak, że można je było przyjąć, że mógł je przyjąć zwłaszcza tak lekkomyślny człowiek jak podsądny. Zwłaszcza że spodziewał się w bliskim czasie otrzymać od ojca należne mu z rozliczenia trzy tysiące.

Oczywiście to była lekkomyślność, ale właśnie dzięki swej lekkomyślności był pewien, że ojciec w końcu da mu pieniądze, że je dostanie, że zatem będzie mógł wysłać zaufaną mu przez pannę Wierchowcew kwotę pod właściwy adres i skwitować dług. Lecz oskarżyciel żadną miarą nie chce uznać, że podsądny mógł tegoż dnia odłożyć połowę otrzymanej kwoty i zaszyć w woreczku: „Nie taki niby to człowiek, nie mógł tak odczuwać.” Ale przecież sam oskarżyciel wołał, że Karamazow to szeroka natura, sam wołał o dwóch przeciwległych otchłaniach, w które może spojrzeć Karamazow. Karamazow to właśnie taka dwustronna natura, o dwóch otchłaniach, co w najbardziej niepohamowanym popędzie do orgii może się naraz powściągać, jeśli coś ją uderzy z innej strony. A przecież ta inna strona to miłość - właśnie ta nowa, niedawno rozplomieniona miłość, a do tej miłości potrzebne są pieniądze, o wiele bardziej niż na hulankę z ukochaną. Powie mu ukochana: „Jestem twoja, nie chcę Fiodora Pawłowicza” - chwyci ją i wywiezie - więc musi mieć na to środki. To rzecz ważniejsza od hulanki. Czyżby Karamazow tego nie rozumiał? Przecież to właśnie było jego bolączką, jego frasunkiem, jego troską - cóż więc w tym niewiarygodnego, że odłożył część pieniędzy i schował na wszelki wypadek? Ale czas mija, Fiodor Pawłowicz nie wypłaca podsądnemu spodziewanych trzech tysięcy, przeciwnie, powiadają, że przeznaczył tę kwotę dla ukochanej podsądnego, byleby ją do siebie przynęcić. „Jeżeli Fiodor Pawłowicz nie da mi tych pieniędzy - myślał podsądny - będę wobec Katarzyny Iwanowny złodziejem.” I wówczas opanowała go myśl, żeby te półtora tysiąca, które schował w woreczku, odnieść z powrotem, położyć przed panną Wierchowcew i powiedzieć jej: „Jestem łajdakiem, ale nie jestem złodziejem.” I oto już mamy aż dwie przyczyny, dla których chciał strzec tych pieniędzy jak oka w głowie, dla których wzbraniał się rozpruć woreczek i wyjmować z niego po sto rubli. I dlatego odmawia się podsądnemu poczucia honoru? Nie, poczucie to nurtuje go, przypuśćmy, że jest cokolwiek spaczone, że nawet bardzo często fałszywe, ale jest, istnieje - przynajmniej tego nam dowiódł. Ale oto sprawa się komplikuje, męczarnie zazdrości stają się w najwyższym stopniu nieznośne, i wciąż te same, te same dwa pytania zarysowują się coraz bardziej męcząco w rozpalonym mózgu podsądnego: „Oddam te pieniądze Katarzynie Iwanownie, a za co wywiozę Gruszeńkę?” Jeżeli tak szalał, jeżeli pił i awanturował się po knajpach przez cały miesiąc, to może tylko dlatego, że było mu tak strasznie ciężko na duszy, że nie mógł już tego znieść. Te dwa pytania tak się wreszcie zaostrzyły, że wtrąciły go w desperację. Posłał młodszego brata do ojca z prośbą o te trzy tysiące, ale nie doczekał się odpowiedzi, wtargnął do domu i pobił starca przy świadkach. Po tym fakcie nie mógł już żadną miarą liczyć na ojca. Wieczorem zaś w rozmowie z bratem uderza się w pierś, właśnie tu pod szyją, gdzie wisi woreczek, i przysięga, że ma sposób na to, aby nie być łajdakiem, ale że jednak będzie łajdakiem, sam bowiem przeczuwa; że nie skorzysta z tego środka, gdyż nie starczy mu siły duchowej, nie starczy siły charakteru. Czemuż to oskarżyciel nie wierzy w zeznanie Aleksego Karamazowa, tak szczerze, tak prawdopodobnie, bezpośrednio, impulsywnie wypowiedziane? Czemu, na odwrót, każe mi wierzyć w pieniądze schowane w jakiejś szparze, w podziemiach zamku Udolfa? Tego samego wieczoru po rozmowie z bratem podsądny pisze ów fatalny list, i oto list jest głównym, najwyraźniejszym oskarżeniem podsądnego o grabież! „Będę się starał wydostać od ludzi, a jak nie dadzą, pójdę do ojca i rozwalę mu łeb i zabiorę spod poduszki, byleby tylko wyjechał Iwan” - kompletny program zabójstwa, jakże więc nie on? „Stało się, jak napisał!” - woła oskarżyciel. Ale, po pierwsze, list jest pijacki i napisany w okropnym rozdrażnieniu; po drugie, o kopercie powtarza za Smierdiakowem, bo przecież sam tej koperty nie widział, a po trzecie, napisał to, owszem, ale czy stało się tak, jak napisał? Jak tego dowieść? Czy znalazł pod poduszką kopertę, czy znalazł pieniądze, czy one istniały bodaj? I czy pobiegł po pieniądze? Przypomnijcie to sobie, przypomnijcie! Pobiegł do ojca nie po pieniądze, ale po to jedynie, aby się dowiedzieć, czy ona tam jest, ta ukochana kobieta - a zatem nie



według programu, nie tak jak napisał, czyli nie w celu dokonania planowanej grabieży, pobiegł nagle, mimo woli, w furii zazdrości! „Tak, powiedzą mi zapewne, ale już na miejscu po morderstwie zrabował pieniądze.” Ależ ustalmy wreszcie: on zabił czy nie on? Oskarżenie o grabież odrzucam z oburzeniem: nie można oskarżać o grabież, skoro nie można określić dokładnie, co zrabowano - przecież to pewnik! Ale czy podsądny zabił, czy zabił nie w celu grabieży? Czy to jest dowiedzione? Czy i to nie jest fantazją?

## XII MORDERSTWA TEŻ NIE BYŁO

- Zważcie, panowie przysięgli, że chodzi tu o życie ludzkie, a zatem wypada zalecić najwyższą ostrożność. Słyszeliśmy, jak oskarżyciel sam zaświadczył, że do ostatniej chwili, do dziś, do dnia sądu, wahał się, czy oskarżyć podsądnego o zabójstwo z premedytacją, wahał się aż do fatalnego „pijackiego” listu, który dziś nam przedstawiono. „Stało się, jak napisał!” Ale znowu powtarzam: podsądny pobiegł do niej, za nią, jedynie po to, aby się dowiedzieć, gdzie ona jest! Przecie to fakt nie podlegający żadnym wątpliwościom. Gdyby ona była w domu, nie pobiegłby nigdzie, zostałby przy niej i nie zrobiłby tego, co przyrzekł zrobić w liście. Pobiegł nagle i mimo woli, i o swym „pijackim” liście wcale może nie pamiętał. „Chwyciłem tłuczek” - pamiętacie, jak na temat tego tłuczka zbudowano cały wywód psychologiczny, że niby musiał chwycić ten tłuczek jako narzędzie zbrodni itd. Tu wpada mi do głowy pewna najzwyczajniejsza myśl: co by było, gdyby ten tłuczek nie leżał na widocznym miejscu, na półce, gdyby leżał na przykład w kredensie - przecież podsądny, nie zauważywszy go, pobiegłby bez narzędzia, z pustymi rękami, i wtedy nie byłby może nikogo zabił. Jakimże sposobem mogę uważać tłuczek za dowód premedytacji? Tak, ale podsądny krzyczał po knajpach, że zabije ojca, a dwa dni przed tym wieczorem, kiedy napisał ten „pijacki” list, był spokojny i tylko pokłócił się w knajpie z jakimś subiektem, „bo Karamazow nie mógł się nie pokłócić”. A ja na to odpowiem, że jeżeli już postanowił sobie, że dokona takiego morderstwa, i w dodatku ukartował je i uplanował, to nawet z subiektem by nie zadarł i w ogóle nie przyszedłby do knajpy, bo człowiek, który ma takie zamiary, szuka ciszy i spokoju, pragnie zniknąć, żeby nikt go nie widział i nie słyszał: „Zapomnijcie o mnie, jeśli możecie” - i to nie z wyrachowania, lecz z instynktu. Panowie przysięgli, psychologia ma dwa końce i my też potrafimy zrozumieć psychologię. Co się tyczy tych wszystkich krzyków i pogroźek po knajpach, to ileż razy grożą dzieci albo pijani hulaje, wychodząc z knajpy i kłócąc się ze sobą: „Zabiję cię!”, a przecież nie zabijają. I sam ów list fatalny - czy to nie pijacka irytacja, nie krzyk wychodzącego z knajpy hulaki: „Zabiję was wszystkich, zabiję!” Czemu nie tak, czemu nie mogło być tak? Dlaczego ów list jest fatalny, a nie na odwrót - śmieszny? A dlatego, że znaleziono zwłoki zabitego ojca, dlatego że świadek widział podsądnego w ogrodzie, uzbrojonego i uciekającego, i że sam został uderzony, a więc wszystko to się stało, jak podsądny napisał, i list ów nie jest śmieszny, lecz fatalny. Dzięki Bogu doszliśmy wreszcie do twierdzenia: „ponieważ był w ogrodzie, więc zabił.” W tych dwóch słowach: ponieważ był, więc zamyka się wszystko, cały sens oskarżenia: był, więc”. A jeżeli odrzucimy więc, chociaż był? O, godzę się, że okoliczności, zbieg faktów są istotnie dosyć wymowne. Ale zbadajcie, panowie, wszystkie te fakty pojedynczo, nie sugerujcie się ich zbiegiem: dlaczego na przykład oskarżyciel w żaden sposób nie chce przypuścić, że zeznania podsądnego są prawdziwe, że podsądny istotnie uciekł spod okna?

Przypomnijcie sobie sarkazm, z jakim oskarżyciel mówił o szacunku i „zbożnych” uczuciach, które nagle opanowały mordercę. A jeżeli istotnie coś takiego było? „Chyba matka modliła się za mnie w tej chwili” - rzekł w śledztwie wstępnym podsądny, i oto uciekł, ledwie się przekonał, że panny Swietłow nie ma u ojca. „Ale przecież nie mógł się przekonać przez okno” - powiada oskarżyciel. A dlaczego nie mógł? Przecież okno otworzyło się, skoro wystukał umówiony znak. Fiodor Pawłowicz mógł w owej chwili wypowiedzieć takie jedno słowo lub krzyknąć coś takiego, że podsądny od razu się przekonał, iż nie ma tam panny Swietłow. Dlaczego mamy tak przypuszczać, jak przypuszczamy, jak chcemy przypuszczać? W rzeczywistości może się krzyżować tysiąc wątków, których nie dostrzeże najsubtelniejszy powieściopisarz. „Tak, ale Grzegorz widział otwarte drzwi, a zatem podsądny na pewno wszedł do pokoju, a skoro wszedł, to i zabił.” A teraz o tych drzwiach, panowie Przysięgli... Widzicie, panowie, o otwartych drzwiach świadczy tu osoba, która jednak była wówczas w takim stanie, że... Ale przypuśćmy, przypuśćmy nawet, że drzwi były otwarte, przypuśćmy, że podsądny zapiera się, że skłamał wiedziony instynktem samozachowawczym, tak zrozumiałym w jego sytuacji, przypuśćmy, że wszedł do domu, że był w domu - i cóż, czy jeśli był, musiał koniecznie zabić? Mógł wtargnąć do domu, przebiec przez pokoje, odepchnąć ojca, mógł nawet uderzyć ojca, ale, upewniwszy się, że panny Swietłow tam nie ma, ucieka rad, że jej nie ma i że ucieka, nie zabiwszy ojca. Właśnie dlatego może zeskoczyć po chwili do przypadkowo uderzonego Grzegorza, że był w stanie doznać czystego uczucia, uczucia żalu i litości, że uciekł od pokusy, nie zabił ojca, że czuł w sobie serce czyste i radość, że nie zabił. Wymownie opisał nam oskarżyciel okropny stan podsądnego w Mokrem, gdy nagle objawiła mu się miłość, wzywając do nowego życia, i kiedy? - kiedy miłość ta była już niemożliwa, bo za nią był krwawy trup ojca, a za trupem - kara. A jednak oskarżyciel uznał miłość, którą tłumaczy po swojemu według praw psychologii: odurzenie pijackie, przestępcę wiozą na stracenie, jeszcze długo ma czekać itd., itd. Ale pytam raz jeszcze, czy bohater stworzony przez pana, panie prokuratorze, jest tą samą osobą, co podsądny? Czy aż tak brutalny i bezduszny jest podsądny, że mógłby w takiej chwili myśleć jeszcze o miłości, o wykrętach, o ile istotnie splamił się krwią ojca? Nie, nie, na pewno nie! Ledwo się okazało, że ona go kocha, że wzywa go do siebie, że obiecuje mu nowe szczęście - o, przysięgam, że powinien był poczuć o wiele mocniejszą potrzebę samobójstwa, powinien był bezwzględnie zabić siebie, o ile istotnie miał na sumieniu śmierć ojca! O, nie, nie zapomniałby, gdzie leżą pistolety! Znam podsądnego: nieprawdopodobna, drewniana bezduszność, której w nim dopatruje się oskarżyciel, jest obca jego naturze. Zabiłby się, to nie ulega wątpliwości: nie zabił się dlatego właśnie, że „matka modliła się” za niego i na jego sercu nie ciążyło ojcobójstwo. Męczył się, rozpaczał owej nocy w Mokrem z powodu starego Grzegorza i błagał Boga, aby stary ocknął się, aby uderzenie nie było śmiertelne, aby minęła go kara. Czemuż nie uznać takiej interpretacji faktów? Jaki mamy dowód, że podsądny kłamie? „A zwłoki ojca - powie mi ktoś - uciekł, nie zabił, któż więc zabił starca?” Powtarzam, tu ogniskuje się cała logika oskarżenia: któż zabił, jeśli nie on? Nie ma kogo postawić na jego miejscu. Panowie przysięgli, czy tak jest istotnie? Czy już istotnie nie ma kogo postawić na jego miejscu? Słyszeliśmy, jak oskarżyciel wyliczał na palcach wszystkich, którzy tej nocy byli w owym domu. Znalazło się pięć osób. Trzy, przyznają to, odpadają: zamordowany, stary Grzegorz i jego żona. Zostaje zatem podsądny i Smierdiakow, i oto oskarżyciel z patosem woła, że podsądny dlatego posądzał Smierdiakowa, że nie było innego kozła ofiarnego i że gdyby była jakaś szósta osoba, podsądny wstydziłby się posądzić Smierdiakowa i wskazałby ową szóstą osobę. Ale, panowie przysięgli, czyż nie mogę wnioskować przeciwnie? Stoją dwaj: podsądny i Smierdiakow - czyż nie mogę więc powiedzieć, że oskarżacie mego klienta tylko dlatego, że nie macie, kogo oskarżyć? A nie macie nikogo innego, ponieważ z góry wyłączyliście Smierdiakowa. Tak, prawda,

Smierdiakowa posądza jedynie sam podsądny, obaj jego bracia i panna Swietłow. Ale jest jeszcze coś, co świadczy przeciw niemu: jakieś niewyraźnie co prawda budzące się w opinii pytanie, jakieś podejrzenie, jakieś niewyraźne pogłoski, odczuwa się nastrój wyczekiwania. Na koniec świadczy o tym pewien zbieg faktów, bardzo charakterystyczny, chociaż, przyznaję, niewyraźny: po pierwsze, ów atak padaczki właśnie w dniu katastrofy, atak, którego prawdziwości tak usilnie musiał bronić pan prokurator. Następnie owo nieoczekiwane zeznanie starszego brata podsądnego dzisiaj w sądzie, człowieka, który dotychczas wierzył w winę podsądnego, ale naraz przybył z pieniędzmi i znowu wskazał Smierdiakowa jako mordercę. O, jestem aż nazbyt przeświadczony wraz z wysokim sądem i prokuraturą, że Iwan Karamazow jest chory i ma gorączkę, że zeznanie jego istotnie mogło być desperacką i w dodatku obmyśloną w gorączce próbą uratowania brata i zepchnięcia winy na zmarłego. Ale nazwisko Smierdiakowa było jednak wymienione, jednak znowu czujemy tu jakąś zagadkę. Czegoś jakby nie dopowiedziano, panowie przysięgli, czegoś nie zakończono. Może to będzie dopowiedziane. Ale porzućmy to chwilowo, do tego jeszcze wrócimy. Sąd postanowił nie przerywać sesji, ale mógłbym tymczasem zrobić na przykład kilka uwag co do charakterystyki nieboszczyka Smierdiakowa, tak subtelnie i z takim talentem nakreślonej przez oskarżyciela. Podziwiając ów talent, nie mogę się jednak zgodzić z tą charakterystyką. Byłem u Smierdiakowa, widziałem go i mówiłem z nim, wywarł na mnie zgoła inne wrażenie. Jeżeli chodzi o zdrowie - to prawda, był bardzo osłabiony; ale jako charakter, jako serce - o nie, to wcale nie był słaby człowiek, jak mniema o nim oskarżyciel! Zwłaszcza nie znalazłem w nim śladu nieśmiałości, owej nieśmiałości, którą tak charakterystycznie opisywał nam oskarżyciel. Nie miał też w sobie zmarły śladu łatwowierności, przeciwnie, stwierdziłem, że jest okropnie nieufny i tę nieufność skrywa pod pozorami naiwności, umysł zaś miał wcale spostrzegawczy! O! pan prokurator zbyt łatwowiernie uznał go za idiotę. Na mnie bowiem wywarł on zgoła inne wrażenie: wyszedłem od niego przekonany, że to stanowczo złośliwa, nad wyraz ambitna, mściwa i zawistna natura. Zebrałem o nim nieco informacji: nienawidził swojego pochodzenia, wstydił się go i zgrzytając zębami wspominał, że „urodził się ze Smierdiaszczej”. Bez szacunku odnosił się do służącego Grzegorza i jego żony, którzy opiekowali się nim w dzieciństwie. Rosję przeklinał i szydził z niej. Marzył o wyjeździe do Francji, chciał się przedzierać we Francuza. Często mówił, że na przeszkodzie stoi mu tylko brak środków. Zdaje mi się, że nikogo prócz siebie nie lubił i wprost niezwykle się cenił. Kulturę utożsamiał z elegancką odzieżą, czystym półkoszulkiem i oczyszczonymi butami. Uważając się (i na to są fakty) za naturalnego syna Fiodora Pawłowicza, z nienawistnym oburzeniem myślał o różnicy między sobą a legalnymi dziećmi swego pana: oni mają wszystko, a on nic, oni mają wszystkie prawa, oni dostaną spadek, a on jest tylko kucharzem. Powiedział mi, że sam wraz z Fiodorem Pawłowiczem włożył pieniądze do koperty. Przeznaczenie tej kwoty - kwoty, która mogłaby mu stworzyć karierę - było mu oczywiście nienawistne. W dodatku zobaczył trzy tysiące rubli jasnymi tęczowymi banknotami (specjalnie go o to pytałem). O, nie pokazujcie nigdy zawistnemu i ambitnemu człowiekowi dużej kwoty naraz - Smierdiakow zaś po raz pierwszy ujrzał taką kwotę. Ta tęczowa paczka mogła wyrzucić chorobliwe wrażenie na jego wyobraźni, zrazu bez wszelkich następstw. Wysoce utalentowany oskarżyciel z niezwykłą subtelnością nakreślił nam wszystkie *pro* i *contra* przypuszczenia o możliwości winy Smierdiakowa i specjalnie się pytał: po co Smierdiakow miałby symulować padaczkę? Ale przecież mógł nie symulować, mógł dostać ataku całkiem naturalnie, ale mógł też atak minąć całkiem naturalnie i chory mógł się ocknąć. Przypuśćmy: nie wydobrzeć, lecz ocknąć się, jak to bywa w padaczce. Oskarżenie pyta: gdzie jest moment, kiedy Smierdiakow mógł dokonać zbrodni? Ale przecież bardzo łatwo wskazać ten moment. Smierdiakow mógł się ocknąć z głębokiego snu (spał bowiem wówczas; po ataku padaczki zawsze wpada się w głęboki sen),

obudzić się właśnie w momencie, kiedy stary Grzegorz, chwyciwszy za nogę uciekającego przez parkan podsądnego, zawołał na całe gardło: „Ojcobójca!” Niezwykły ów krzyk, wśród ciszy i w ciemności, mógł właśnie obudzić Smierdiakowa, który wówczas może nie spał już tak mocno; naturalną kolejną rzeczą Smierdiakow mógł się zacząć budzić o godzinę wcześniej. Wstał i prawie nieświadomie, bez żadnych intencji, wyszedł zobaczyć, co się dzieje. W głowie czuje jakieś straszne oszołomienie, rozważa jego jest uśpiona, wchodzi do ogrodu, zbliża się do oświetlonych okien i słyszy okropną wiadomość od swego pana, który oczywiście bardzo się ucieszył z jego przyjścia. Od przerażonego pana dowiaduje się wszystkich szczegółów. I oto z wolna w jego rozstrojonym i chorym umyśle wylega się myśl - straszna, lecz kusząca i logiczna: zabić, zabrać trzy tysiące i zwalić całą winę na panicza; kogóż będą posądzać, jak nie panicza, kogo obwinia, jak nie jego, skoro tu był? Opętała go żądza pieniędzy i pewność, że wszystko ujdzie mu bezkarnie... O, te nagłe i nieodparte porywy często przychodzą, gdy pojawia się okazja, a zwłaszcza nawiedzają nagle takich morderców, którzy do ostatniej chwili nie wiedzą, że chcą zabić! I oto Smierdiakow mógł wejść do pokoju i wykonać swój zamiar - czym, jakim narzędziem? - a bodaj pierwszym lepszym kamieniem, znalezionym w ogrodzie. Lecz po co, w jakim celu? A trzy tysiące? Przecież to kariera! o! nie przeczę sobie: pieniądze mogły być. I może tylko Smierdiakow wiedział, gdzie je znaleźć, gdzie one rzeczywiście leżą. „No, a koperta, a podarta, leżąca na podłodze koperta?” - zapyta mnie kto. Pan prokurator, mówiąc o tej kopercie, wyłożył swój bardzo subtelny pogląd na tę sprawę, że niby zostawić na podłodze tę kopertę mógł tylko złodziej niezwykły, taki jak Karamazow, w każdym razie nie Smierdiakow, który by nie zostawił takiej poszlaki przeciw sobie - otóż, kiedy pan prokurator o tym mówił, wydało mi się, panowie przysięgli, że słyszę coś niezwykle znajomego. Bo wyobraźcie sobie, panowie przysięgli, ten domysł, jak by postąpił z kopertą Karamazow, słyszałem już dwa dni temu od samego Smierdiakowa. Co więcej, zastanowił mnie on wówczas: wydało mi się, że Smierdiakow umyślnie udaje naiwnego, że narzuca mi tę myśl, że stara się, abym ja sam ją powziął, że mi ją po prostu podpowiada. Czy aby nie podpowiedział tej myśli również prowadzącym śledztwo? Czy aby nie narzucił jej wysoce utalentowanemu oskarżycielowi? Powie mi kto może: a stara żona Grzegorza? Przecie słyszała, jak chory jęczał obok przez całą noc. Tak, słyszała, ale cóż to za dowód! Znałem pewną panią, która wciąż się żaliła, że pies ujada na dworze i całą noc nie daje jej spać. A wiadomo było, że biedny piesek czekał dwa czy trzy razy w ciągu nocy. To rzecz zupełnie naturalna: człowiek śpi i naraz słyszy jęk, budzi się, rozgniewany, że go zbudzono, i momentalnie znowu zasypia. Po dwóch godzinach znowu jęk, znowu się budzi i znowu zasypia. Wreszcie znowu po dwóch godzinach jęk i tak ze trzy razy w ciągu nocy. Nazajutrz skarży się, że ktoś całą noc jęczał i ciągle go budził. Tak mu się wydaje: o przerwach dwugodzinnych między jękami zapomniał, bo spał, pamięta zaś tylko chwile obudzenia i zdaje mu się, że go całą noc budzono. „Ale dlaczego - woła oskarżyciel - Smierdiakow nie przyznał się do winy w liście przedśmiertnym. Na tanto starczyło mu sumienia, a na to, nie?” Ale pozwólcie, panowie, sumienie to skrucha, samobójca zaś mógł nie odczuwać skruchy, tylko desperację. Desperacja a skrucha to dwie rzeczy najzupełniej odrębne. Desperacja może być złośliwa i niepojednawcza; samobójca może w chwili samobójstwa ze spotęgowaną siłą nienawidzić tych, którym całe życie zazdrościł. Panowie przysięgli, strzeżcie się sądowej pomyłki! Czy jest coś nieprawdopodobnego w moim wywodzie, w mojej interpretacji? Znajdźcie błąd w moim rozumowaniu, znajdźcie niemożliwość, nonsens! Ale jeśli jest bodaj cień możliwości, cień prawdopodobieństwa w moich przypuszczeniach, wstrzymajcie się od wyroku skazującego! A czy jest tylko cień? Przysięgam na wszystko, co święte, że wierzę absolutnie w dopiero co przedstawioną wam interpretację faktów. A rzecz najważniejsza, konfunduje mnie i wytrąca z równowagi wciąż ta myśl, że w tym mnóstwie faktów zebranych przez oskarżenie przeciw

podśladnemu ani jeden nie jest absolutnie dokładny i nieodparty i że ten nieszczęsny człowiek zginie wyłącznie z powodu zbiegu tych faktów. Tak, ów zbieg okoliczności jest straszliwy: ta krew, ta z palców ciekająca krew, skrwawiona koszula, ta ciemna noc, której ciszę zakłóca okrzyk: „Ojcobójca!” - i wierny sługa, padający z rozbitą głową, i to mnóstwo powiedzeń, słów, gestów, okrzyków! O, to tak działa, tak może wpłynąć na przekonanie - ale czy może wpłynąć na wasze przekonanie, panowie przysięgli? Pamiętajcie, że dano wam władzę nieograniczoną nad losem człowieka. Lecz im większa jest władza, tym straszliwsze jej zastosowanie! Ani na jotę nie odstąpię od mego przeświadczenia, ale przypuścimy, że i ja na chwilę godzę się z oskarżeniem, że nieszczęsny mój klient splamił ręce krwią ojca. To tylko przypuszczenie, powtarzam, ani na chwilę nie wątpię o niewinności podsądnego, lecz niech i tak będzie; przypuścimy, że podsądny winien jest ojcobójstwa, ale wysłuchajcie mego słowa, choćbym nawet przypuścił winę podsądnego. Serce mi każe powiedzieć wam jeszcze coś, bo czuję, że w waszych sercach i umysłach toczy się walka... Wybaczcie mi, panowie przysięgli, te słowa o waszych sercach i umysłach... Ale chcę być szczery i prawdomówny do końca. Bądźmy wszyscy szczerzy!... W tej chwili przerwały mu huczne oklaski. Rzeczywiście ostatnie słowa wypowiedział z takim akcentem szczerości, że wszyscy poczuli, iż naprawdę ma coś istotnego do powiedzenia, iż to, co zaraz powie, będzie może najważniejsze. Ale przewodniczący oburzył się i zagroził, że każe „opróżnić” salę, jeśli jeszcze raz powtórzy się „podobny incydent”. Wszystko ucichło i Fietułowicz podjął przerwana mowę jakimś innym, przenikliwym głosem, całkiem niepodobnym do tego, jakim dotychczas przemawiał.

### XIII PORUBCA MYŚLI

- Nie tylko ów zbieg obciążających faktów gubi mego klienta, panowie przysięgli - podjął obrońca - nie, w istocie klienta mego gubi jeden tylko fakt: trup ojca! Gdyby to było zwykłe zabójstwo, to wobec błahości, fantastyczności i wieloznaczności każdego z tych faktów z osobna, bylibyście, panowie, zapewne odrzucili oskarżenie, nie chcielibyście zgubić człowieka jedynie dlatego, że jesteście do niego uprzedzeni, na co on sobie zasłużył niestety! Ale tu mamy wypadek nie zwykłego zabójstwa, lecz ojcobójstwa! To działa, i to do takiego stopnia, że nawet nikłość i niepewność obciążających faktów wydaje się mniej nikłą i niepewną, a wydaje się mniej nikłą i niepewną nie tylko umysłom najbardziej nieuprzedzonym. I jak tu uniewinnić takiego podsądnego? A jeżeli naprawdę zabił i zbrodnia będzie nie ukarana - oto uczucie, które nurtuje w każdym sercu, przynajmniej instynktownie, mimo woli. Tak, straszna to rzecz przelać krew ojca, krew tego, który cię zrodził, który cię kochał, który życia swego dla ciebie nie żałował, który od najwcześniejszego dzieciństwa bolał nad twymi chorobami, który całe życie cierpiał dla twego szczęścia i żył twoimi radościami i sukcesami! O, zabić takiego ojca - przecież o tym nawet pomyśleć nie można! Panowie przysięgli, czymże jest ojciec, prawdziwy ojciec, cóż to za słowo tak wielkie, jak straszna wielka myśl jest w tym słowie? Wskazaliśmy mimochodem przed chwilą, czym jest i powinien być prawdziwy ojciec. Ale w wypadku, który nas wszystkich zajmuje, który budzi odzew bolesny w naszych duszach - w tej sprawie ojca, nieboszczyk Fiodor Pawłowicz Karamazow, przecież nie miał nic wspólnego z przed chwilą nakreślonym, z serca wydartym obrazem prawdziwego ojca. A to jest wielkie nieszczęście. Tak, i niejedyn ojciec jest takim nieszczęściem. Przyjrzyjmy się więc temu

nieszczęściu - nie trzeba się przecież niczego obawiać, panowie przysięgli, gdy chodzi o tak ważną decyzję. Szczególnie teraz nie powinniśmy się bać i opędzać pewnym myślom, jak dzieci lub lękliwe kobiety, jak to fortunnie określił wysoce utalentowany oskarżyciel. Lecz w swej gorącej przemowie szanowny mój adwersarz (adwersarz - zanim nawet wypowiedziałem swoje pierwsze słowo), szanowny mój adwersarz kilkakrotnie zawołał: „Nie, nikomu nie odstąpię obrony podsądnego, nie odstąpię tej obrony samemu obrońcy, który przyjechał z Petersburga - jestem zarazem oskarżycielem i obrońcą!” Tak kilkakrotnie zawołał, a jednak zapomniał napomknąć, że jeżeli nasz straszny podsądny dwadzieścia trzy lata podtrzymywał w sobie wdzięczność za jeden funt orzechów, otrzymany od jedyne go człowieka, który go w dzieciństwie w domu rodzicielskim popieścił, to przecież, rzecz jasna, nie mógł taki człowiek nie pamiętać, przez te dwadzieścia trzy lata, jak poniewierał się u ojca i „bez butów biegał, ze spodenkami na jednym guziku”, jak się wyraził wielce humanitarny pan doktor Herzenstube. O, panowie przysięgli, po cóż byśmy się mieli przyglądać z bliska temu nieszczęściu, powtarzać to, co już wszyscy znają! Kogóż to spotkał mój klient, gdy przyjechał do tego ojca? I po co określać go jako nieludzkiego egoistę, potwora! Jest niepowściągliwy, to prawda, jest dziki i nieokiełzany, i teraz właśnie sędzimy go za te wady, ale kto jest winien, że mając dobre popędy, że mając wrażliwe i wdzięczne serce, odebrał tak nedorzeczne wychowanie? Czy go kto uczył rozumu, czy kto kształcił jego umysł, czy lubił go kto w dzieciństwie? Mój klient rósł na łasce Bożej, czyli jak dziki zwierz. Może pragnął zobaczyć się z ojcem po tak długiej rozłące, może tysiąckrotnie przypominając sobie dzieciństwo, odpędzał szkaradne mary przeszłości i całą duszą pragnął usprawiedliwić i uścisnąć ojca! I cóż? Wita go ojciec z cynicznym szyderstwem, z podejrzliwością, z wykrętami w kwestii spornych pieniędzy; słyszy sentencje mądrości życiowej, która przejąc może obrzydzeniem, słyszy to co dzień przy „koniaczkach” i wreszcie jest świadkiem tej ohydy, że ojciec za jego synowskie pieniądze odbija mu kochankę - o, panowie przysięgli, to ohyda, okrutna ohyda! I tenże starzec skarży się przed wszystkimi na nieposłuszeństwo i okrucieństwo syna, oczernia go w towarzystwie, szkodzi mu, spotwarza, wykupuje jego weksle, aby go móc wtrącić do więzienia! Panowie przysięgli, takie dusze, tacy na pozór okrutni, rozpasani i niepohamowani ludzie jak mój klient mają najczęściej wrażliwe i czułe serca, tylko że tego nie objawiają. Nie śmiećcie się, nie śmiećcie się z mojej uwagi! Utalentowany oskarżyciel drwił z mego klienta bezlitośnie, powiadając, że ów lubi Schillera, kocha rzeczy piękne i wzniosłe. Nie kpiłbym z tego na jego miejscu, na miejscu oskarżyciela! Tak, te serca - o, pozwólcie mi wziąć w obronę te serca, tak rzadko i tak niesprawiedliwie rozumiane - bardzo często łakną one tkliwości, piękna i sprawiedliwości, i to właśnie niejako przez kontrast do siebie, do własnego okrucieństwa, niepowściągliwości, łakną może bezwiednie, ale przecież łakną. Namiętne i okrutne na zewnątrz, mogą do bólu ukochać na przykład kobietę, i ukochać duchową, wyższą miłością. Nie śmiećcie się znowu ze mnie: tak się najczęściej zdarza tym ludziom. Nie potrafią tylko maskować swej namiętności, czasem bardzo pospolitej - i to widać, to się spostrzega od razu, w głąb zaś ludzkiego serca nikt nie zagląda. Wszystkie ich namiętności prędko się zaspokajają, lecz u boku szlachetnej, pięknej istoty ów tak na pozór grubiański i okrutny człowiek szuka odnowy, szuka możliwości poprawy, chce zostać lepszym, uczciwszym i wyżej stojącym, „pięknym i wzniosłym”, jakkolwiek to słowo jest ośmieszona! Mówiłem poprzednio, że nie pozwolę sobie potrącić o romans mego klienta z panną Wierchowcew! Ale jednak pół słowa mogę dorzucić: słyszeliśmy poprzednio nie zeznanie, lecz nieprzytomny krzyk szukającej zemsty kobiety, i nie ona przecież, nie ona ma prawo zarzucić mu zdradę, bo sama zdradziła. Gdyby miała trochę czasu, aby się zastanowić i opamiętać, nie byłaby złożyła takiego zeznania! O, nie wiercie jej, nie, klient mój nie jest „potworem”, jak go nazwała! Ten, który ukochał ludzkość, idąc na Golgotę, mówił: „Jam jest pasterz dobry, pasterz dobry oddaje

duszę swą za owce, by żadna nie zginęła!” Nie gubmy więc duszy ludzkiej! Pytałem poprzednio, cóż to jest ojciec, i zawołałem, że to wielkie słowo. Ale ze słowem, panowie przysięgli, trzeba się obchodzić rzetelnie, więc pozwolę sobie nazwać rzecz po imieniu: taki ojciec jak zamordowany stary Karamazow nie może się nazywać ojcem i niegodny jest tej nazwy. Miłość syna do ojca nie usprawiedliwiona przez ojca jest niemożliwością i nonsensem. Niepodobna stworzyć miłości z niczego. Z niczego tylko Bóg stworzył. „Ojcowie, nie zasmucajcie dzieci swoich” - pisze w natchnieniu płomiennego swego serca apostoł. Nie gwoli mego klienta przytaczam te słowa, przypominam je wszystkim ojcom. Lecz któż mi dał prawo do pouczenia ojców? Nikt. Ale jako człowiek i obywatel wołam - *vivos voco!*[37] Niedługo żyjemy na ziemi, zostawiamy po sobie wiele złych uczynków i wiele złych słów. A przeto trzeba łowić sposobną chwilę naszego wzajemnego obcowania, żeby sobie powiedzieć dobre słowo. Tak więc i ja czynię: póki stoję na tym miejscu, korzystam z tej chwili. Nie na próżno trybunę tę darowała nam najwyższa wola - z tej trybuny słyszy nas cała Rosja. Nie tylko do tutejszych ojców, bo do wszystkich, do wszystkich ojców wołam: „Ojcowie, nie zasmucajcie swoich dzieci!” Tak, przede wszystkim czynmy sami zadość przykazaniom Chrystusa, a dopiero potem będziemy mogli tego samego wymagać od naszych dzieci! Bo inaczej nie jesteśmy ojcami, lecz wrogami naszych dzieci, a one nie są dziećmi, lecz naszymi wrogami, i to z naszej winy! „Jaką miarką mierzycie, taką wam będzie odmierzone” - to już nie ja mówię, tak nakazuje Ewangelia: mierzyć tą miarką, którą ci odmierzają. Jakże potępiać dzieci, które mierzą naszą miarką? Niedawno w Finlandii jakąś dziewczynę, służącą, posądzono o to, że potajemnie urodziła dziecko. Zaczęto ją śledzić i w końcu na strychu w kącie znaleziono jej kufer, o którego istnieniu nikt nie wiedział, w kufrze zaś leżał trupek zabitego noworodka. Ale nie ten jeden leżał, bo znaleziono jeszcze dwa szkieleciki dawniej urodzonych niemowląt, zamordowanych zaraz po położeniu. Panowie przysięgli, czyż godzi się ją nazywać matką jej dzieci? Tak, ona je powiła, ale czy jest matką? Czy ośmieli się kto nazwać ją świętym mianem matki? Bądźmy śmiali, panowie przysięgli, bądźmy zuchwali nawet, to nasz obowiązek w tej chwili, nie lękajmy się niektórych słów i myśli na podobieństwo moskiewskich straganiarek, które boją się „metalu” i „siary”. Nie, powinniśmy dowieść, że postęp lat ostatnich nie ominął nas, i powiedzieć wprost: ten, kto spłodził, nie jest jeszcze ojcem, ojcem jest ten, kto spłodził i zasłużył na miano ojca. O, rozumie się, jest jeszcze inne znaczenie, inna interpretacja słowa „ojciec”, która wymaga, aby ojciec, choćby był potworem, choćby był krzywdzicielem swoich dzieci, był mimo to ich ojcem, jedynie dlatego, że ich zrodził. Ale to znaczenie jest już, że tak powiem, mistyczne, którego pojąć nie potrafię, w które mogę tylko wierzyć, albo, wyrażając się ściślej, które mogę przyjąć na wiarę, na podobieństwo wielu innych rzeczy, których rozumem objąć nie mogę, w które religia każe mi jednak wierzyć. Ale w takim razie niechże to zostanie poza dziedziną rzeczywistego życia. Bo w dziedzinie rzeczywistego życia, które ma nie tylko swoje prawa, ale i samo nakłada wielkie obowiązki, w tej dziedzinie, jeżeli chcemy być humanitarni, jeśli chcemy wreszcie być chrześcijanami, powinniśmy i jesteśmy obowiązani urzeczywistniać tylko te twierdzenia, które są uprawnione przez rozum i doświadczenie, które przeszły przez próbę analizy, słowem, powinniśmy działać rozsądnie, nie jak we śnie, żeby nie uczynić szkody człowiekowi, żeby nie dręczyć i nie gubić człowieka. Będzie to wówczas prawdziwie chrześcijański czyn, nie mistyczny, lecz rozumny i już prawdziwie humanitarny...

W tym momencie zerwała się burza oklasków z wielu miejsc na sali, lecz Fietukowicz zachnął się i nawet zamachał rękoma, jakby błagając, aby mu nie przerywano. Znowu zaległa cisza. Mówca podjął:

- Czy myślicie, panowie przysięgli, że tego rodzaju pytania nie narzucają się naszym dzieciom, naszej młodzieży, która zaczyna już myśleć? Tak być musi i nie wymagajmy od nich tej niemożliwej powściągliwości! Ojciec niegodny, zwłaszcza gdy się go zestawia z innymi ojcami - godnymi, mimo woli nasuwa młodzieńcowi męczące pytanie. Zbývá się go papierową odpowiedzią: „On cię zrodził, jesteś krwią z jego krwi, a więc powinieneś go kochać.” Młodzieniec mimo woli zastanawia się. „Tak, ale czy mnie kochał, kiedy mnie zrodził - zadaje sobie pytanie, dziwiąc się coraz bardziej - nie znał mnie w owej chwili, w chwili namiętności, może podsyconej alkoholem, i co najwyżej przekazał mi w dziedzictwie alkoholizm, oto są wszystkie jego dobrodziejstwa... Dlaczegoż mam go kochać, czy za to, że mnie zrodził, a potem całe życie nie dbał o mnie?” O, może będziecie uważać te pytania za grubiańskie, okrutne, ale nie wymagajcie od młodego umysłu niemożliwej powściągliwości. Naturę wypędzisz oknem, a ona wróci drzwiami - a przede wszystkim nie bójmy się „metalu” i siary” i rozstrzygnijmy zagadnienie, jak nam nakazuje rozum i humanitaryzm, a nie jak każą mistyczne pojęcia. Lecz jak je rozstrzygnąć? A tak: niech syn stanie przed swym ojcem i zapyta go z całą świadomością: „Ojcze, powiedz mi, dlaczego powinieneś cię kochać?” - i jeżeli ów ojciec będzie mógł mu odpowiedzieć i udowodnić, będzie to prawdziwa, normalna rodzina, oparta nie tylko na mistycznym przesądzie, lecz na podstawach rozumnych, świadomych i humanitarnych. W przeciwnym razie, jeśli ojciec mu nie udowodni - wtedy źle z rodziną: ojciec nie jest ojcem, a syn ma prawo uważać ojca na przyszłość za obcego człowieka, a nawet wroga. Nasza trybuna, panowie przysięgli, powinna być szkołą prawdy i zdrowych pojęć!

Tu mówcy znowu przerwał niepowstrzymany wybuch prawie huraganowych oklasków. Oczywiście nie wszyscy oklaskiwali, ale bądź co bądź oklaskiwała połowa sali, zarówno ojcowie, jak i matki. Z galerii, gdzie siedziały kobiety, rozległy się okrzyki i piski. Machano chusteczkami. Przewodniczący zaczął bardzo energicznie dzwonić. Był widocznie mocno zirytowany, ale nie śmiał „opróżnić” sali, jak to zapowiedział, oklaskiwali bowiem mówcę nawet dygnitarze siedzący w głębi na specjalnie ustawionych krzesłach, staruszkowie z gwiazdami na frakach; toteż ledwo ucichło, przewodniczący przypomniał ponownie swoją groźbę, triumfujący zaś i podniecony Fietiułowicz znowu podjął przemówienie:

- Panowie przysięgli, pamiętacie ową straszliwą noc, o której tak wiele dziś się jeszcze mówiło, kiedy syn wtargnął do domu ojca i stanął oko w oko przed swoim rodzicem - wrogiem i krzywdzicielem. Powtarzam z całym naciskiem: przyszedł nie po pieniądze w owej chwili; oskarżać go o grabież to absurd, jak to już poprzednio wyjaśniłem. I wtargnął też nie po to, by zabić: gdyby to był nie jego ojciec, lecz ktoś obcy, obcy krzywdziciel, to gdyby miał ten zamiar, to by przynajmniej zawczasu uzbroił się w jakieś narzędzie, bo przecież tłuczek chwycił zgoła instynktownie. Przypuśćmy, że oszukał ojca umówionym znakiem; przypuśćmy, że wtargnął do niego - powiedziałem, że ani chwili nie wierzę w tę bajkę, ale niech i tak będzie, przypuśćmy to na chwilę! Panowie przysięgli, przysięgam na wszystko, co święte, podsądny tylko przeszukałby dom i stwierdziwszy, że ukochanej tam nie ma, wybiegłby natychmiast, nic złego nie czyniwszy swemu rywalowi, może by go uderzył, szturchnął, ale to wszystko, bo nie to go zajmowało, przede wszystkim musiał się dowiedzieć, gdzie jest ta kobieta. Ale ojciec, ojciec - o, wszystko to sprawił tylko widok ojca, nienawidzonego od dzieciństwa, wroga, krzywdziciela, a teraz w dodatku potwornego rywala. Mimo woli ogarnęła go niepohamowana nienawiść i nie było czasu do namysłu: wszystko pękło w jednej chwili! To był afekt, obłąkanie, ale afekt natury, która nieświadomie i niepowstrzymanie, jak wszystko w naturze, mści się za naruszenie swoich odwiecznych praw. Lecz



morderca i wtedy nie zabił - twierdzą to, krzyczę o tym - nie, tylko zamierzył się tłuczkiem pod wpływem oburzenia i obrzydzenia, nie chcąc zabić, nie wiedząc, że zabije. Gdyby nie miał w rękę tego fatalnego tłuczka, pobiłby tylko ojca, ale nie zabiłby go. Uciekłby nie wiedząc, czy zabił. Takie zabójstwo nie jest zabójstwem. Takie zabójstwo nie jest ojcobójstwem. Nie, zabicie takiego ojca nie może się nazywać ojcobójstwem. Nazywać takie zabójstwo ojcobójstwem to opierać się na przesądzie! Ale czy było, czy było to zabójstwo dokonane, wołam do was z głębi serca! Panowie przysięgli, potępimy go i on powie sobie: „Ci ludzie palcem nie kiwnęli, aby pokierować lepiej moim losem, aby mnie wychować, wykształcić, aby uczynić mnie godnym człowiekiem. Ci ludzie nie nasycili mego głodu i nie zaspokoiли mego pragnienia, i nie odwiedzili mnie nagiego w ciemnicy, i oto teraz zesłali mnie na katorgę. Skwitowałem się, nic im nie jestem już winien i nikomu nie jestem winien, na wieki wieczne. Są źli i ja będę zły. Są okrutni i ja będę okrutny.” Oto co powie podsądny, panowie przysięgli. I przysięgam: wyrokiem tylko ulżycie mu, ulżycie jego sumieniu, będzie przeklinał przelaną krew, ale nie będzie ubolewał nad nią. I zgubicie tego jeszcze możliwego, godnego człowieka, który tkwił w nim, a który może się stać w przyszłości zły i ślepy. Ale czy chcecie ukarać go strasznie, okrutnie, najstraszliwszą karą, jaką można sobie wyobrazić, ale i zarazem uratować i odrodzić duszę jego na wieki? Jeżeli tak, to zmiażdżcie go waszym miłosierdziem! Zobaczycie, usłyszycie, jak wzdrygnie się i przerazi jego dusza: „Dla mnie tyle miłosierdzia, dla mnie tyle miłości, czy zasłużyłem na to!” - oto co zawoła! O, znam je, znam to serce, to dzikie, lecz szlachetne serce, panowie przysięgli! Ukorzy się przed waszym czynem, bo łaknie wielkiego aktu miłości, rozplómi się i odrodzi na wieki. Są dusze, ograniczone duszyczki, które zawsze czują żal do całego świata. Ale zmiażdżcie tę duszę miłosierdziem, okażcie jej miłość, a przeklnie swoje czyny, albowiem kryje w sobie wiele dobrych zadatków. Rozplómi się i zobaczy, jak litościwy jest Bóg i jak piękni i sprawiedliwi są ludzie. Przerazi go, przytłoczy skrucha, i odtąd bezgraniczne poczucie powinności zapełni mu życie. I nie powie wówczas: „Skwitowałem się” - powie natomiast: „Jestem winien przed wszystkimi ludźmi, jestem najnikczemniejszy ze wszystkich ludzi.” We łzach skruchy i palącego, cierpiętniczego zachwycenia zawoła: „Ludzie są lepsi ode mnie, albowiem nie chcieli mnie zgubić - chcieli mnie ocalić!” O, tak łatwo wam zdobyć się na to, na ten akt miłosierdzia, albowiem wobec braku pewnych i bodaj zakrawających na prawdę poszlak trudno wam przecież będzie powiedzieć: „Tak, jest winien.” Lepiej uniewinnić dziesięciu winnych niż ukarać niewinnego - czy słyszycie, czy słyszycie ten wielki głos z zeszłego stulecia naszej wspaniałej historii? Czyż ja, maluczki, mam wam przypominać, że sąd rosyjski jest nie tylko karą, ale i ocaleniem zgubionego człowieka! Niech się inne narody trzymają litery prawa i kar, u nas jest duch i sens, ratunek i odrodzenie dla zgubionych. I jeżeli tak jest, jeżeli taką jest Rosja i jej sądy - to Rosja kroczy na czele, i nie straszcie nas waszymi oszalałymi trójkami, przed którymi z obrzydzeniem usuwają się inne narody! Nie oszalała trójka, lecz majestatyczny rosyjski rydwan triumfalnie i spokojnie dotrze do celu. W waszych rękach jest los mego klienta, w waszych rękach jest los naszej prawdy rosyjskiej. Ocalicie ją, obronicie ją, dowiedziecie nam, że ma jej kto strzec, że jest w dobrych rękach!

#### XIV

### KMIOTKOWIE POSTAWILI NA SWOIM

Tak zakończył Fietukowicz i zachwyty słuchaczy zerwał się niepowstrzymanie jak burza. Nie sposób zresztą byłoby powstrzymać go: kobiety szlochały, płakali też mężczyźni, płakali nawet dwaj poważni dostojnicy. Przewodniczący zrezygnował i nawet nie kwapił się sięgnąć po dzwonek. „Zakłócać taki entuzjazm to po prostu zakłócać nabożeństwo” - orzekały potem nasze panie. Sam mówca był szczerze rozczulony. I oto w takiej chwili znowu wstał nasz Hipolit Kiryłowicz, aby „zgłosić sprzeciw”. Spoglądano nań z nienawiścią: „Jak to? Cóż to? To on śmie jeszcze mówić?” - oburzały się panie. Ale gdyby się nawet oburzały wszystkie panie całego świata, z samą prokuratorową, małżonką Hipolita Kiryłowicza na czele, to i wtedy nie sposób byłoby go powstrzymać. Był blady, trząsł się ze wzburzenia; pierwsze jego słowa, pierwsze zdania były nawet niezrozumiałe; bełkotał coś zdyszonym głosem, niewyraźnie, plątał się. Rychło się jednak opanował. Z tej drugiej jego mowy przytoczę tylko kilka zdań:

- ...Zarzucają nam, żeśmy ułożyli powieść. A czymże jest wywód obrońcy, jak nie jedną wielką powieścią? Brakowało tylko wierszy. Fiodor Pawłowicz, niecierpliwie wypatrując ukochanej kobiety, rozrywa kopertę i rzuca ją na podłogę. Przytacza się nawet, co mówił do siebie w owym zadziwiającym wypadku. Czyż to nie poemat? I gdzie dowód, że Fiodor Pawłowicz wyjął pieniądze, kto słyszał, co on mówił? Idiota Smierdiakow, przyobleczony w jakiegoś bajronicznego bohatera, który mści się na społeczeństwie za to, że się urodził bękartem - czy to nie poemat w stylu Byrona? A syn włamujący się do ojca, zabijający go, a zarazem i nie zabijający, to już nie powieść, to nie poemat, to sfinks zadający zagadki, których sam oczywiście nie rozwiąże. Jeżeli zabił, to zabił, bo i jakże to: jeżeli zabił, to nie zabił - któż to zrozumie? Następnie oznajmiono nam, że nasza trybuna jest trybuną prawdy i zdrowych pojęć, i oto z tej trybuny „zdrowych pojęć” ogłasza się aksjomat, że nazywać zabójstwo ojca ojcobójstwem to wierutny przesąd! Ale jeżeli ojcobójstwo jest przesądem i jeżeli każde dziecko będzie badać swego ojca: „Ojczy, dlaczego powinienem cię kochać?” - to co, na Boga, stanie się z nami, co stanie się z podwalinami rodziny, co stanie się z rodziną? Ojcobójstwo, uważacie panowie, to przecie tylko „metal” i „siara”. Najdroższe, najświętsze przykazania, cel i przyszłość rosyjskiego sądu przedstawia się w spaczony i lekkomyślny postaci, byleby tylko osiągnąć swój cel, byleby uniewinnić tego, kogo nie można uniewinnić. „O, zmiażdżcie go miłosierdziem!” - woła obrońca - a przestępca tego tylko pragnie, jutro się przekonacie, jak będzie zmiażdżony! Czyż obrońca nie jest zbyt skromny, że żąda tylko uniewinnienia podsądnego? Czemuż nie żąda utworzenia stypendium imienia ojcobójcy w celu uwiecznienia jego czynu po wszystkie czasy na użytek wszystkich pokoleń? Poprawia się Ewangelię i religię: to wszystko niby mistyka, i tylko u nas jest prawdziwe chrześcijaństwo, już sprawdzone przez rozum i zdrowe pojęcia. I oto ukazują nam fałszywy obraz Chrystusa. „Jaką miarą mierzysz, taką ci będzie odmierzone” - woła obrońca, i natychmiast wywodzi z tego, że Chrystus kazał mierzyć tą miarą, jaką ci odmierzają - i to się wygłasza z trybuny prawdy i zdrowych pojęć! Zaglądamy do Ewangelii w przeddzień naszych popisów oratorskich, aby olśnić słuchaczy znajomością dosyć oryginalnego dzieła, które może się przydać, które może dodać pewnego efektu w miarę potrzeby! Ale przecież Chrystus każe inaczej czynić, każe strzec się takiego postępowania, bo cały zły świat tak czyni, my zaś powinniśmy przebaczać i nadstawiać policzek, i nie tą miarą mierzyć, którą nam odmierzają nasi wrogowie. Oto czego uczył nas Bóg nasz, nie tego bynajmniej, żeby zabraniać dzieciom zabijać ojców - to przesąd. I nie będziemy poprawiać z katedry prawdy i zdrowych pojęć Ewangelii Boga naszego, którego obrońca raczył nazwać tylko „Tym, który ukochał ludzkość”, w przeciwieństwie do całej prawosławnej Rosji, która woła ku Niemu: „Ty jesteś Bogiem naszym...” Tu wtrącił się przewodniczący i monitował prokuratora, aby nie przesadzał, aby się trzymał pewnych granic itd.,

jak to zwykle w takich wypadkach wyrażają się przewodniczący. Publiczność była niespokojna, rozlegały się okrzyki obrzydzenia. Fietiukowicz nie raczył nawet szczegółowo odpowiedzieć. Wstał i, przyłożywszy rękę do serca, obrażonym głosem wypowiedział kilka pełnych godności zdań. Z lekka tylko i ironicznie znowu napomknął o „powieściach” i „psychologii”. „Jowiszu, gniewasz się, zatem nie masz racji” - rzekł w pewnej chwili, co wywołało pełen uznania śmiech publiczności, bo Hipolit Kiryłowicz bynajmniej nie przypominał Jowisza. Następnie Fietiukowicz odparował posądzenie go o to, że zezwala młodzieży zabijać ojców: z wielką godnością zauważył, że na to nawet nie chce odpowiedzieć. Co się tyczy „fałszywego obrazu Chrystusa” i tego, że nie raczył nazwać Zbawiciela Bogiem, że to jest „sprzeczne z prawosławiem i nie może rozlegać się z trybuny prawdy i zdrowych pojęć” - Fietiukowicz napomknął o insynuacji i zauważył, że wybierając się tu, liczył przynajmniej na to, że tutejsza trybuna nie będzie narażona na oszczerstwa „niebezpieczne dla mnie osobiście, jako obywatela i poddanego”... Ale i tu wtrącił się przewodniczący, i Fietiukowicz z ukłonem zakończył swoją replikę, wywołując na sali powszechny szmer uznania. Hipolit Kiryłowicz zaś według opinii pań był „zgubiony na wieki”.

Następnie przyszła kolej na podsądnego. Mitią wstał, ale mówił niewiele. Był okropnie wyczerpany, fizycznie i duchowo. Ani śladu owej niezależnej i dziarskiej miny, z jaką przyszedł na rozprawę! Jak gdyby przeżył w ciągu tego dnia coś, co go nauczyło nie znanej dotychczas prawdy. Nie krzyczał już tak jak poprzednio. W głosie jego słychać było jakąś nową nutę, nutę pokory i rezygnacji.

- Cóż mogę powiedzieć, panowie przysięgli? Sąd nade mną nastąpił, czuję palec Boży na sobie. Kres zagubionemu człowiekowi! Ale jak przed Bogiem na spowiedzi mówię wam: krew mego ojca - nie, ja jej nie przelałem! Ostatni raz powtarzam: ja nie zabiłem. Byłem rozwydrzony, ale kochałem dobro. Każdej chwili dążyłem do poprawy, a żyłem jak dziki zwierz. Dziękuję panu prokuratorowi, dużo mi rzeczy o mnie powiedział, czego dotychczas nie wiedziałem, ale nieprawda, ja nie zabiłem ojca, pan prokurator się omylił! Dziękuję obrońcy, płakałem słuchając go, ale to nieprawda, że zabiłem ojca, nie trzeba było nawet przypuszczać! A doktorom nie wierzcie, jestem zupełnie zdrow na umyśle, tylko ciężko mi na duszy. Jak zlitujecie się, jak mnie puścicie - będę się za was modlił. Stanę się lepszym, daję słowo, przed Bogiem je daję. A jak ukarzecie - sam połamię nad głową moją szpadę i ucałuję kawałki! Lecz miejcie litość, nie pozbawiajcie mnie Boga mego, znam siebie: zbuntuję się! Ciężko mi na duszy, panowie... miejcie litość!

Niemal osunął się na swoje miejsce, głos mu się załamał, ostatnie zdanie ledwo wymówił! Następnie sąd sformułował pytania. Ale nie będę się wdawał w szczegóły. Wreszcie przysięgli wstali, aby udać się na naradę. Przewodniczący był bardzo zmęczony, wskutek czego zwrócił się do nich z bardzo słabym przemówieniem: „Bądźcie bezstronni, nie dajcie się wziąć na lep pięknych słów obrony, zważcie wszystko, uświadomcie sobie, że ciąży na was wielki obowiązek” itd. Przysięgli wyszli, nastąpiła przerwa. Można było wstać, przejść się, podzielić się wrażeniami, zjeść coś w bufecie. Było bardzo późno, pierwsza w nocy, ale wszyscy trwali na stanowiskach. Nikt nie myślał o spoczynku, tak naprężony był nastrój. Czekano na wyrok z truchlejącym sercem, co prawda nie wszyscy. Kobiety były histerycznie podniecone, ale w duszy spokojne. „Uniewinnienie jest bezwzględnie pewne.” Przygotowywały się do efektownej chwili powszechnego entuzjazmu. Przyznać muszę, że i wśród mężczyzn niejeden był pewny wyroku uniewinniającego. Jedni cieszyli się, inni byli zaszepieni, a niektórzy nawet pospuszczali nosy: nie chcieli uniewinnienia! Sam Fietiukowicz

nie wątpił o powodzeniu. Otoczono go, składano mu gratulacje, komplementowano go ze wszystkich stron.

- Istnieją - powiedział w jakiejś grupce, jak to sobie później opowiadano - istnieją jakieś niewidzialne nici, wiążące obrońcę z przysięgłymi. Nawiązują się i są wyczuwalne już podczas mowy. Wyczułem je niezawodnie. Nasza góra, bądźcie spokojni.

- Ale co teraz powiedzą nasi kmiotkowie? - zapytał jakiś zasępiony, tęgi i ospowaty jegomość, tutejszy ziemianin, zbliżając się do grupy rozprawiających mężczyzn.

- Nie tylko kmiotkowie decydują. Są między nimi czterej urzędnicy.

- Tak, urzędnicy - potwierdził ktoś.

- A znacie Nazariewa, Prochora Iwanowicza, tego kupca z medalem, przysięgłego?

- Bo co?

- Ministerialny łeb.

- Ale milczy.

- Milczy, bo milczy, ale tym lepiej. Cóż go tam adwokat z Petersburga będzie pouczał, on sam potrafi cały Petersburg pouczyć, ma dwanaścioro dzieci, pomyślcie tylko!

- Ale jak to, czy to możliwe, aby go nie uwolniono? - wołał w innej grupie jeden z naszych młodych urzędników.

- Uwolnią na pewno - rozległa się stanowcza odpowiedź.

- Wstyd, hańba byłaby wielka, gdyby nie uwolniono! - zawołał urzędnik. - Choćby nawet zabił, przecież ojciec, ojcu nierówny! I zresztą był nieprzytomny ze wściekłości... Istotnie mógł tylko machnąć tłuczkiem, a tamten upadł. Źle tylko, że tego lokaja w to wmieszali. Ja bym na miejscu obrońcy powiedział wręcz: zabił, ale nie jest winien, i niech was diabli!

- Ale przecie tak zrobił, tylko „niech was diabli” nie powiedział.

- Nie, Michale Siemionyczu, prawie że to powiedział - zawołał trzeci głosik.

- Ależ, panowie, przecież uniewinniono u nas aktorkę, która żonie swego kochanka poderżnęła gardło.

- Ale nie dorżnęła.

- Wszystko jedno, wszystko jedno, zaczęła rżnąć!

- A o dzieciach jak! Wspaniale.

- A o mistyce, o mistyce, co?

- Dostyc z tą mistyką - zawołał ktoś - pomyślcie o Hipolicie, o jego smutnym losie! Przecie jutro prokuratorowa oczy mu wydrapie za Mitię.

- I ona tu jest?

- Skądże! Gdyby tu była, to by mu na miejscu oczy wydrapała. W domu siedzi, zęby ją bolą. He, he, he!

- He, he, he!

W trzeciej grupie:

- A przecież Mitienkę może naprawdę uniewinnią.

- Jutro cały „Stołeczny Gród” zdemoluje, dziesięć dni będzie chłał.

- Ech, do diabła!

- Diabeł diabłem, bez diabła się nie obeszło, gdzież by miał być, jak nie tutaj?

- A rydwan, rydwan - pamiętacie, co?

- Tak, z chłopskiego wozu zrobił rydwan.

- A jutro z rydwanu zrobi chłopski wóz „w miarę potrzeby, wszystko w miarę potrzeby”.

- Spryciarzy nam teraz nie brak. A prawda, czy jest u nas w Rosji jaka prawda, panowie?

W tej chwili rozległ się dzwonek. Przysięgli naradzali się dokładnie godzinę, ani dłużej, ani krócej. Publiczność zajęła miejsca. Cicho było jak makiem zasiał. Pamiętam, jak przysięgli weszli. Nareszcie! Nie przytoczę pytań, bo je zapomniałem. Pamiętam tylko odpowiedź na pierwsze i główne pytanie: „Czy zabił z premedytacją w celach grabieży?” (tekstu nie pamiętam). Wszyscy zamarli. Jeden z przysięgłych, urzędnik, głośno i wyraźnie, wśród śmiertelnej ciszy, wyrzekł:

- Tak, jest winien!

Następnie na wszystkie pytania odpowiedź była ta sama: winien, tak, winien! Tego już się nikt nie spodziewał, przynajmniej wszyscy byli pewni jakichś względów łagodzących. Zalegała wciąż śmiertelna cisza, jak gdyby wszyscy skamienieli - i ci, co pragnęli wyroku, i ci, co pragnęli uniewinnienia. Ale trwało to tylko kilka chwil. Następnie wszystko zakotłowało się straszliwie. Wielu mężczyzn wyrażało głośno zadowolenie. Niektórzy nawet zacierali ręce, nie ukrywając swej radości. Niezadowoleni byli jak gdyby przygnębieni, wzruszali ramionami, szeptali, ale wciąż jeszcze jak gdyby nie mogli zdać sobie sprawy, jak się to mogło stać. Ale, mój Boże, co się stało z naszymi paniami! Myślałem, że się naprawdę zbuntują. Zrazu nie dowierzały własnym uszom. I nagle na całą salę rozległy się okrzyki: „Cóż to takiego? Co to jest?!” Zrywały się z miejsca. Wydawało się

im zapewne, że to wszystko można jeszcze zmienić i przerobić. W tej chwili nagle wstał Mitia i jakimś rozdzierającym głosem, wyciągając przed siebie ręce, zawołał:

- Przysięgam na Boga i straszny Jego sąd, że nie jestem winien krwi ojca mego! Katiu, przebaczam ci! Bracia, przyjaciele, zlitujcie się nad tą drugą!

Nie dokończył, zaszlochał na głos na całą salę, strasznie, jakimś nieswoim, dziwnym głosem. Z galerii, z góry, z samego rogu rozległ się przeraźliwy jęk kobiety: była to Gruszeńka. Kogoś tam ubłagała i znowu wpuszczono ją na salę przed rozpoczęciem posiedzenia. Mitię wyprowadzono. Ogłoszenie wyroku odłożono do następnego dnia. Wszyscy wstali, ale nie czekałem już i nie słuchałem. Zapamiętałem tylko kilka zdań, które mnie dobiegły już u podjazdu, kiedy wychodziłem.

- Dwadzieścia lat katorgi jak nic.
- Co najmniej.
- Tak, kmiotkowie postawili na swoim.
- I zgubili naszego Mitieńkę!

# EPILOG

## I

### PROJEKTY URATOWANIA MITI

W pięć dni po rozprawie, bardzo wcześnie, bo o dziewiątej rano, do Katarzyny Iwanowny przyszedł Alosza, aby ostatecznie omówić pewną ważną dla obojga sprawę. Poza tym miał dla niej specjalne zlecenie. Przyjęła go w tym samym salonie, w którym swego czasu przyjęła, Gruszeńkę; w sąsiednim pokoju leżał w gorączce Iwan Fiodorowicz. Katarzyna Iwanowna natychmiast po straszliwej scenie w sądzie kazała przenieść chorego i nieprzytomnego Iwana Fiodorowicza do swego domu, nie dbając o to, co będą o tym mówić w towarzystwie. Jedna z obu ciotek wyjechała do Moskwy od razu po skandalu w sądzie, lecz za to druga została. Ale gdyby nawet obie wyjechały, Katarzyna Iwanowna nie zachwiałaby się w swoim postanowieniu: sprowadziłaby do siebie chorego, pielęgnowałaby go i siedziała przy nim po całych dniach i nocach. Leczyli go Warwiński i Herzenstube; moskiewski doktor wrócił do Moskwy, żadną miarą nie chcąc wyrazić swojej ostatecznej opinii. I chociaż obaj pozostali lekarze uspokajali Katarzynę Iwanownę, widać było, że sami nie są pewni, jak się skończy choroba. Alosza odwiedzał chorego brata dwa razy dziennie. Tym razem miał do załatwienia sprawę specjalną, arcykłopotliwą, i zdawał sobie z tego sprawę, jak mu trudno będzie o niej mówić. Na domiar złego było mu bardzo pilno: tego samego rana miał jeszcze coś pilnego do załatwienia gdzie indziej i trzeba było się spieszyć. Rozmawiali już od kwadransa. Katarzyna była blada, bardzo wyczerpana, a jednocześnie niezwykle i chorobliwie podniecona: domyślała się jednego z celów obecnego przybycia Aloszy.

- Niech się pan nie martwi o jego decyzję - rzekła z naciskiem. - Tak czy owak, sam dojdzie do tego wniosku: powinien uciec! Ten nieszczęsny, ten bohater honoru i sumienia - nie tamten, nie Dymitr Fiodorowicz, lecz ten, co leży za drzwiami, co poświęcił się dla brata (dodała z błyskiem w oczach) - dawno już wtajemniczył mnie w plan ucieczki. Wie pan, on już nawiązał odpowiednie kontakty... Już panu coś o tym mówiłam... Widzi pan, stanie się to według wszelkiego prawdopodobieństwa na trzecim etapie, kiedy ich całą partią poprowadzą na Syberię. O, do tego jeszcze daleko. Iwan Fiodorowicz był już u naczelnika trzeciego etapu. Tylko że nie wiadomo, kto będzie naczelnikiem partii, i nie można się tego zawczasu dowiedzieć. Jutro może pokażę panu cały plan szczegółowo. Iwan Fiodorowicz zostawił mi go w przeddzień rozprawy, na wszelki wypadek... To było właśnie wtedy, kiedy, pamięta pan, pokłóciliśmy się: schodził już ze schodów, lecz na widok pana kazałam mu wrócić - pamięta pan? Czy wie pan, o cośmy się wtedy posprzecjali?

- Nie, nie wiem - odparł Alosza.

- Oczywiście on tego panu nie mówił: otóż właśnie o ten plan ucieczki. Najważniejsze dane podał mi trzy dni przedtem - wówczas to zaczęliśmy się kłócić i odtąd przez te trzy dni kłóciliśmy się nieustannie. Kłóciliśmy się dlatego, że rozzłościłam się, kiedy mi nagle oświadczył, że w razie wyroku skazującego Dymitr Fiodorowicz ucieknie z tą kreaturą za granicę. Nie wiem właściwie,

dlatego się rozgniewałam; sama nie wiem... O! oczywiście chodziło mi o tę kreaturę, ta kreatura mnie rozgniewała i to właśnie, że ucieknie z Dymitrem za granicę! - zawołała naraz Katarzyna Iwanowna z drżącymi z gniewu wargami. - Iwan Fiodorowicz, widząc, że to mnie złości, pomyślał od razu, że jestem zazdrosna o Dymitra i że zatem wciąż jeszcze go kocham. I wtedy wybuchła pierwsza kłótnia. Nie chciałam się usprawiedliwiać, nie mogłam zresztą; ciężko mi było, że taki człowiek mógł mnie podejrzewać o miłość do tego... I to wówczas, kiedy sama, już dawno przedtem, powiedziałam mu wprost, że nie kocham Dymitra, że kocham tylko jego! Ze złości na tę kreaturę rozgniewałam się i na niego! W trzy dni potem, tego wieczoru, kiedy pan przyszedł, Iwan przyniósł mi zapieczętowaną kopertę, abym ją otworzyła tylko w tym wypadku, jeżeli się coś z nim stanie. O, przeczuł swoją chorobę! Powiedział mi, że w kopercie jest plan ucieczki i że jeżeli on umrze lub rozchoruje się niebezpiecznie, to żebym ja ratowała Mitię. Zostawił mi jednocześnie pieniądze, prawie dziesięć tysięcy - te, o których prokurator, dowiedziawszy się od kogoś, że Iwan Fiodorowicz po nie posyłał, wspominał w przemówieniu. Strasznie mnie to uderzyło, że Iwan Fiodorowicz, zazdrosny i przekonany, iż wciąż jeszcze kocham Mitię, nie zaniechał zamiaru uratowania brata, i co więcej, mnie polecił go ratować! O, cóż to była za ofiara! Nie, pan takiego poświęcenia nie potrafi pojąć, Aleksy Fiodorowiczu! Chciałam mu się rzucić do nóg, ale kiedy nagle pomyślałam, że będzie to jedynie uważał za odruch radości z powodu uratowania Miti (na pewno by tak to zrozumiał!), byłam tak rozdrażniona, tak mnie oburzyła sama możliwość takiej niesprawiedliwej myśli z jego strony, że znowu wpadłam w gniew i zamiast całować go po nogach urządziłam mu scenę! O, ja nieszczęśliwa! Taki już mam charakter - okropny, nieszczęsny charakter! O, pan jeszcze zobaczy: tak zrobię, doprowadzę do tego, że i on mnie rzuci dla innej, z którą się łatwiej żyje, jak Dymitr, ale wtedy... nie, wtedy już tego nie zniosę, wtedy się zabiję! A kiedy pan wszedł i kiedy pana zawołałam, a jemu kazałam wrócić, spojrzał na mnie takim nienawistnym i pogardliwym wzrokiem, że gniew mnie porwał - pamięta pan - zawołałam, że to on i tylko on przekonywał mnie o winie Dymitra! Specjalnie rzuciłam to oszczerstwo, aby go zranić, bo przecież nigdy, ale to nigdy nie przekonywał mnie, że Dymitr jest mordercą, przeciwnie, to ja go przekonywałam! O, zawiniła tylko i wyłącznie moja wściekłość! To ja, ja sprowokowałam tę piekielną scenę w sądzie! Chciał mi dowieść swojej szlachetności i że nie zgubi Dymitra z zemsty i z zazdrości, chociaż kocham Dymitra. Dlatego mówił to w sądzie... To moja wina, to tylko moja wina!

Katia nigdy jeszcze nie zwierzała się tak Aloszy. Wyczuł, że cierpienie doprowadziło ją do takiego stanu, kiedy najdumniejsze nawet serce łamie swoją dumę i pada pokonane strąpieniem. O, Alosza znał jeszcze jedną przyczynę jej obecnej męki, jakkolwiek ukrywała ją przed nim starannie; ale i jemu byłoby zbyt ciężko, gdyby Katia aż tak się załamała, że zwierzyłaby się i z tego bólu. Cierpiała bowiem z powodu swej „zdrady” w sądzie. Alosza czuł, że sumienie każe się jej wypowiedzieć właśnie przed nim, przed Aloszą, ze łzami, ze spazmami, z biciem głową o podłogę. Ale lękał się tej chwili i litował się nad nieszczęśliwą. W dodatku utrudniało mu to misję, z którą przyszedł. Znowu wspominał o Miti.

- Nic, nic, niech się pan o niego nie lęka! - ostro rzekła Katia. - To wszystko u niego trwa tylko chwilę, znam go, zbyt dobrze znam to serce. Może pan być pewien, że zgodzi się na ucieczkę. Zresztą to nie kwestia godzin; ma jeszcze wiele czasu, aby się zdecydować. Może do tego czasu Iwan Fiodorowicz wyzdrowieje i sam wszystko urządzi, tak że ja będę zwolniona od tego obowiązku. Niech pan będzie spokojny, na pewno się zgodzi. Już się godzi: czyż potrafi rzucić swoją kreaturę? A na katorgę przecież jej nie puszcza, więc jak nie uciec? On się pana boi, boi się pana, że pan nie



pochwała ucieczki ze względów moralnych, ale pan powinien mu na to wspaniałomyślnie pozwolić, jeżeli już tak konieczna jest pańska sankcja - dodała zjadliwie.

Milczała chwilę i uśmiechnęła się.

- On tam rozprawia - podjęła znowu - o jakichś hymnach, o krzyżu, który powinien dźwigać, o jakiejś powinności, pamiętam, wiele mi o tym Iwan Fiodorowicz mówił, i gdyby pan wiedział, jak on o tym mówił! - zawołała nagle z niepohamowanym przejęciem - gdyby pan wiedział, jak on kochał nieszczęśliwego brata wtedy, gdy mówił o nim, i jak go może nienawidził zarazem! A ja, ja słuchałam wtedy jego opowiadań i jego łez z dumnym uśmiechem! O, ta kreatura! To ja jestem kreatura, ja! To ja jestem winna tej gorączki! A tamten skazany czy dojrzał do męki? - zakończyła z irytacją. - Czy potrafi cierpieć? Tacy jak on nigdy nie cierpią!

W słowach tych zabrzmiała jakby nienawiść i wgardliwe obrzydzenie. A przecież to ona go wydała. „Cóż, może dlatego nienawidzi go chwilami, że poczuwa się wobec niego do winy” - pomyślał Alosza. Chciał, żeby to było tylko „chwilami”. Ostatnie słowa Kati były wyzwaniem, lecz Alosza nie podjął tego wyzwania.

- Po to pana dzisiaj wezwałam, żeby pan przyrzekł, iż pan go namówi. A może pan również uważa, że ucieczka będzie nieuczciwością, tchórzostwem czy jak tam... nie po chrześcijańsku, co? - dodała Katia jeszcze bardziej wyzywająco.

- Nie, nie. Wszystko mu powiem - bąkał Alosza. - On panią dziś wzywa do siebie - wypalił naraz, patrząc jej twardo w oczy.

Wzdrygnęła się i nawet lekko odsunęła się od niego.

- Mnie... czy to możliwe? - rzekła wreszcie, bardzo blada.

- To możliwe i konieczne! - ozywając się rozpoczął z naciskiem Alosza. - Pani mu jest potrzebna, właśnie teraz. Nie byłbym zaczął mówić o tym i nie męczył pani, gdyby to nie było konieczne. Jest chory, po prostu nieprzytomny, wciąż prosi, aby panią sprowadzić. Nie po to, aby pogodzić się z panią, ale tylko żeby pani przyszła i pokazała się na progu. Bardzo się zmienił od owego dnia. Rozumie, jak bezgranicznie wobec pani zawinił. Nie pragnie przebaczenia pani. „Nie można mi przebaczyć” - sam to mówi, pragnie tylko, aby ukazała się pani na progu...

- Pan tak nagle... - szepnęła Katia. - Wciąż się spodziewałam, że pan po to przyjdzie... Wiedziałam, że on mnie wezwie!... To niemożliwe!

- Niech i tak będzie, ale niech pani to zrobi. Niech pani pamięta, dopiero teraz zrozumiał w całej pełni, jak panią skrzywdził. Powiedział: „Jeżeli nie zechce przyjść, to będę całe życie nieszczęśliwy!” Słyszysz pani: skazany na dwudziestoletnią katorgę zamierza jeszcze być szczęśliwy - czy nie czuje pani litości? Niechże pani pomyśli: odwiedzi pani niewinnie zgubionego człowieka - wyrwało się Aloszy z nutką wyzwania w głosie - jego ręce są czyste, nie splamione krwią! Dla jego niezliczonych przyszłych cierpień niechże pani go teraz odwiedzi! Niech pani tam idzie, wejdzie w mrok... niech pani stanie na progu i nic więcej... Pani powinna, powinna to zrobić! - zakończył

Alosza, z niezwykłą siłą akcentując słowo „powinna”.

- Powinnam... lecz... nie mogę - jak gdyby jęknęła Katia. - On będzie na mnie patrzył... nie mogę.

- Wasze spojrzenia powinny się spotkać. Jak pani będzie żyła w przyszłości, jeżeli się pani teraz nie zdecyduje?

- Lepiej cierpieć przez całe życie.

- Pani powinna pójść, pani powinna pójść - znowu nieubłaganie nalegał Alosza.

- Ale dlaczego dziś, dlaczego teraz?... Nie mogę zostawić chorego.

- Na chwilę może pani, przecież to tylko chwila. Jeśli pani nie przyjdzie, to on wieczorem na pewno się rozchoruje. Nie będę przecież kłamał, niech pani ma litość nad nim!

- Nade mną raczej powinien by się pan litować - rzekła z goryczą Katia i rozplakała się.

- A więc pani przyjdzie! - rzekł stanowczo Alosza na widok jej łez. - Pójdę mu powiedzieć, że pani zaraz przyjdzie.

- Nie, za nic, niech pan nie mówi! - zawołała z lękiem Katia. - Przyjdę, ale niech go pan nie uprzedza, bo przyjdę, ale może nie wejdę... Jeszcze nie wiem...

Głos jej się załamał. Oddychała z trudem. Alosza wstał.

- A jeżeli kogoś tam spotkam? - zapytała cichym głosem, blednąc gwałtownie.

- Dlatego trzeba iść zaraz, żeby pani nie spotkała. Nikogo nie będzie, na pewno. Będziemy czekać - zakończył stanowczo i wyszedł z pokoju.

## II

### NA CHWILĘ KŁAMSTWO STAŁO SIĘ PRAWDĄ

Pośpieszył do szpitala, gdzie teraz leżał Miti. Nazajutrz bowiem po wyroku Miti dostał nerwowej gorączki. Przeniesiono go do oddziału więziennego naszego miejskiego szpitala. Lecz dzięki staraniom Aloszy i wielu innych (pani Chochłakow, Lizy i in.) doktor Warwiński umieścił go w osobnej celce, w tej samej, w której poprzednio leżał Smierdiakow. Co prawda w końcu korytarza stał wartownik, a okno było zakratowane - doktor Warwiński mógł więc nie niepokoić się, iż okazał tu zupełnie zgodne z przepisami pobłażanie, lecz był to człowiek młody, zacny i litościwy. Zdawał sobie sprawę z tego, jak trudno będzie Miti znaleźć się nagle wśród morderców i oszustów i że Miti będzie musiał się do tego najpierw przyzwyczaić. Na wizyty zaś krewnych w obecności strażnika godził się i doktor, i naczelnik więzienia, i nawet sprawnik. Ale ostatnimi dniami odwiedzali Mitę

tylko Alosza i Gruszeńka. Przyszedł również dwukrotnie Rakitin, ale Mitya poprosił doktora, żeby go nie wpuszczano.

Kiedy wszedł Alosza, Mitya, który miał lekką gorączkę, siedział na łóżku w szpitalnym szlafroku, z głową owiazaną ręcznikiem, umaczanym w wodzie z octem. Z jakimś nieokreślonym wyrazem spoglądał na Aloszę - w spojrzeniu tym można było dostrzec jakby lęk.

Od czasu rozprawy sądowej zapadał często w zadumę. Czasem milczał przez pół godziny, zdawało się, że nad czymś medytował, z tępyim wejrzeniem, z męką na twarzy, zapominając o przybyłym. A gdy otrząsał się z zamyślenia i zaczynał mówić, robił to jakoś gwałtownie i mówił nie o tym, o czym powinien był mówić. Czasem spoglądał na brata cierpięciznym wzrokiem. Z Gruszeńką było mu lżej niż z Aloszą. Prawda, że prawie z nią wcale nie rozmawiał, lecz gdy tylko wchodziła, twarz jego rozpromieniała się radością. Alosza, nic nie mówiąc, usiadł na łóżku. Tym razem Mitya z lękiem wypatrywał brata, ale nie śmiał go zagadnąć. Sądził, że Katia za nic nie zgodzi się przyjść, a zarazem czuł, że jeżeli nie przyjdzie, stanie się coś strasznego. Alosza rozumiał jego uczucia.

- Powiadają, że Tryfon Borysycz - zaczął Mitya - cały swój dom rujnuje: deski zrywa, całą galerię porąbał - wciąż szuka skarbu, tych pieniędzy, tysiąca pięciuset rubli, które, według prokuratora, miałem tam schować. Jak tylko przyjechał, zaraz zaczął szukać. Dobrze tak łajdakowi! Tutejszy dozorca mówił mi o tym, on jest stamtąd.

- Słuchaj - rzekł Alosza - ona przyjdzie, ale nie wiem kiedy, może dzisiaj, może za parę dni, nie wiem, ale przyjdzie na pewno.

Mitya drgnął, chciał coś powiedzieć, ale milczał. Wiadomość ta zrobiła na nim wielkie wrażenie. Widać było, że bardzo chciałby się dowiedzieć szczegółów rozmowy brata z Katią, a jednak lękał się zapytać: okrutne i pogardliwe słowa Kati dźgnęłyby go teraz jak nożem.

- Oto co mi ona między innymi mówiła: żebym bezwzględnie uspokoił twoje sumienie w kwestii ucieczki. Jeśli do tego czasu Iwan nie wyzdrowieje, to sama to urządzi.

- Mówiłeś mi już o tym - odrzekł Mitya.

- A tyś już powiedział Gruszy.

- Tak - przyznał się Mitya. - Dziś rano nie przyjdzie - spoglądał nieśmiało na brata. - Przyjdzie dopiero wieczorem. Jak tylko jej wczoraj powiedziałem, że Katia działa, nic nie powiedziała, ale zagryzła wargi. Szepnęła tylko: „Niech tam!”, zrozumiała, że to ważna rzecz. Nie śmiałem jej dłużej dręczyć. Chyba już rozumie teraz, że tamta kocha nie mnie, lecz Iwana?

- Czy tak? - wyrwało się Aloszy.

- Może i nie. Ale dziś rano nie przyjdzie - skwapliwie powtórzył Mitya. - Dałem jej pewne zlecenie... Słuchaj, Iwan wszystkich prześcignie. Jemu żyć, nie nam. Wyzdrowieje.

- Wyobraź sobie, że Katia, chociaż drży o niego, jednak wcale nie wątpi, że on wyzdrowieje -

rzekł Alosza.

- To znaczy, jest pewna, że umrze. Ze strachu stara się siebie przekonać, że on wyzdrowieje.

- Iwan ma mocną kompleksję. I ja też mam nadzieję, że wyzdrowieje - zakończył Alosza trwożnie.

- Tak, wyzdrowieje. Ale ona jest pewna, że umrze. Wiele ma trosk...

Nastąpiło milczenie. Mitię coś jednak trapiło, jakaś ważna sprawa.

- Alosza, ja strasznie kocham Gruszę - rzekł nagle drżącym, łzami nabrzmiąłym głosem.

- Tam, do ciebie, jej nie puszczą.

- I jeszcze chciałem ci powiedzieć - dodał Miti z jakimś nagłym metalicznym podźwięciem w głosie. - Jeżeli zaczną mnie bić w drodze albo tam, to nie dam się, zabiję i rozstrzelają mnie. Przecie to dwadzieścia lat! Tu już zaczęli mówić mi ty. Dozorcy mnie tykają. Leżałem i całą noc zastanawiałem się nad sobą: nie jestem gotów! Nie mam siły, aby to przyjąć! Chciałem zaśpiewać „hymn”, a znieść nie mogę, że mi dozorca mówi ty! Za Gruszę wszystko bym zniósł, wszystko... prócz bicia... Ale jej tam nie puszczą.

Alosza uśmiechnął się łagodnie.

- Zapamiętaj, bracie, raz na zawsze - rzekł - oto co myślę o tym. Wiesz przecie, że cię nie okłamuję. Słuchaj więc: nie jesteś gotów i nie dla ciebie jest taki krzyż. To nic jeszcze: taki krzyż męczeński jest tobie, nieprzygotowanemu, zupełnie niepotrzebny. Gdybyś zabił ojca, ubolewałbym, że odtrącasz od siebie swój krzyż. Ale jesteś niewinny i krzyż taki jest dla ciebie za ciężki. Chciałeś przez mękę odrodzić w sobie nowego człowieka; moim zdaniem, pamiętaj tylko zawsze, całe życie i gdzie tylko będziesz, o tym nowym człowieku - to wystarczy. To, żeś nie przyjął wielkiej krzyżowej męki, sprawi, że poczujesz w sobie większą odpowiedzialność, a dzięki temu poczuciu będziesz się odradzał może nawet bardziej, niż gdybyś tam poszedł. Bo przecież nie ścierpisz i zbuntujesz się, i może naprawdę powiesz w końcu: „Skwitowałem się.” Adwokat w tym wypadku miał słuszość. Nie dla wszystkich to brzemie jest ciężkie, dla niektórych jest nie do zniesienia... Oto mój pogląd, jeśli ci się może przydać. Gdyby za twoją ucieczkę ktoś ponosił karę: oficerowie, żołnierze, to bym ci „nie pozwolił” uciec - uśmiechnął się Alosza. - Ale, powiadają (sam naczelnik etapu mówił Iwanowi) i zapewnijają, że można łatwo wykręcić się od kary. Rozumie się, nieuczciwie jest przekupywać ludzi, nawet w takim wypadku, ale o tym ja nie mogę i nie chcę sądzić, bo gdyby na przykład Iwan i Katia mnie zlecili tę sprawę, poszedłbym i przekupił - wiem o tym z pewnością; to muszę ci powiedzieć. Nie jestem więc twoim sędzią w tych sprawach. Ale wiedz, że nigdy cię nie potępię. I dziwne, jakże bym mógł być twoim sędzią w tej sprawie? No, teraz, zdaje się, wszystko już rozważyłem.

- Wobec tego ja siebie potępię! - zawołał Miti. - Ucieknę, i to bez ciebie postanowiłem: czyż Mitka Karamazow mógłby nie uciec? Ale za to siebie potępię i tam będę się starał okupić swój grzech! Zdaje się, że tak mówią jezuici, prawda?... Tak, jak my teraz, co?

- Tak - uśmiechnął się łagodnie Alosza.

- Kocham cię za to, że zawsze powiesz całą prawdę i nic nie ukryjesz! - zawołał Mitia, śmiejąc się radośnie. - A więc przyłapałem Aloszkę na jezuickim wykręcie! Wyczałowałbym cię za to! Słuchaj no, odsłonię ci drugą połowę swej duszy. Oto co postanowiłem: jeżeli ucieknę, nawet z pieniędzmi i paszportem, nawet do Ameryki, to mnie jeszcze i to zachęca, Aleksy, że nie jadę na radość i szczęście, lecz na długą katorgę, może nie lżejszą od tamtej! Nie lżejszą, Aleksy, naprawdę nie lżejszą! Ja tej Ameryki, niech ją diabli, już teraz nienawidzę. Niech Grusza jedzie ze mną, ale popatrz na nią: jakaż to Amerykanka? Jest rdzenną Rosjanką, od stóp do głów Rosjanką, zatęskni za krajem rodzinnym, a ja stale będę widział, jak ona tęskni z mego powodu, jak taki krzyż dźwiga dla mnie, a cóż ona zawiniła? I czy zniosę tamtejszych chamów, chociaż może każdy z nich jest lepszy ode mnie? Już teraz nienawidzę tej Ameryki! I choćby oni wszyscy byli jakimiś nadludzkimi mechanikami albo czymś w tym rodzaju - do diabła z nimi, to nie mego pokroju ludzie, nie z mojego ducha! Kocham Rosję, Aleksy, kocham rosyjskiego Boga, chociaż sam jestem podły! Przecież ja tam zdechnę! - zawołał i oczy mu zabłyły.

Głos jego nabrzmiał łzami.

- No więc posłuchaj, Aleksy, co postanowiłem - podjął, opanowując wzruszenie. - Pojedziemy tam z Gruszą i tam zaczniemy pracować na roli, żyć wśród dzikich niedźwiedzi na uboczu, daleko od ludzi. Przecie i tam znajdzie się chyba jakie ustronie! Tam, powiadają, żyją jeszcze czerwonoskórzy, gdzieś tam na krańcach ziemi, więc do ich kraju pojedziemy, do ostatnich Mohikanów. I zasiądziemy do gramatyki, ja i Grusza. Praca i gramatyka, i tak przez trzy lata. W trzy lata nauczymy się angielskiego niczym prawdziwi Anglicy. I skoro tylko się nauczymy - precz z Ameryką! Uciekamy tu do Rosji, jako obywatele amerykańscy. Bądź spokojny, do tej miejsciny nie przyjedziemy. Ukryjemy się gdzieś na północy albo na południu. Ja do tego czasu zmienię się bardzo, ona też, mnie doktor dorobi jakąś brodawkę, przecież tam u nich są mechanicy! A jeżeli nie, to wykłuję sobie jedno oko, zapuszczę brodę, długą, siwą (z tęsknoty do Rosji osiwieję) - może mnie nie poznają. A jak poznają, to niech ześlą, wszystko mi jedno, to znaczy, że tak być musiało! Tu także, gdzieś na pustkowiu, będziemy ziemię orać i ja całe życie będę udawał Amerykanina. Za to pomrzemy na ziemi ojczyściej. Oto mój plan, i to ostateczny. Pochwalasz?

- Pochwalam - odrzekł Alosza, nie chcąc mu przeczyć.

Mitia przez chwilę milczał i nagle rzekł:

- A jak mnie zręcznie obrobili w sądzie, co? Jak mnie obrobili.

- Wszystko jedno, i tak by cię skazano - westchnął Alosza.

- Tak, sprzykrzyłem się tutejszej publice! Bóg z nimi, ale ciężko mi - jęknął Mitia.

Znowu chwilę trwało milczenie.

- Alosza, zarznij mnie teraz! - zawołał nagle Mitia. - Przyjdzie ona teraz czy nie, powiedz! Co mówiła? Jak?

- Powiedziała, że przyjdzie, ale nie wiem, czy dzisiaj! Ciężko jej przecie - odrzekł Alosza, patrząc z niepokojem na brata.

- Pewno że ciężko, jeszcze jak! Alosza, ja zwariuję. Grusza na mnie wciąż patrzy. Rozumie. Boże, Panie wszechmogący, ukarż mnie: czego żądam? Kati! Czy rozumiem, czego żądam? Niepowściągliwość karamazowska, nikczemna! Nie, nie jestem zdolny do cierpienia! Łajdak jestem, i tyle!

- Otóż i ona! - zawołał Alosza.

W tej chwili na progu stanęła Katia, Zatrzymała się chwilę, patrząc na Mitię jakimś zmieszanym i roztargnionym wzrokiem. Mitią zerwał się na równe nogi, blady, z przerażeniem na twarzy, lecz po chwili nieśmiały, proszący uśmiech rozchylił jego wargi, i oto raptem niepowstrzymanie wyciągnął do Kati obie ręce. Widząc to, Katia podbiegła ku niemu. Chwyciła go za ręce i prawie siłą posadziła na łóżku, sama usiadła przy nim i mocno, kurczowo ścisnęła jego ręce. Kilkakrotnie oboje próbowali coś powiedzieć, ale powstrzymywali się i w milczeniu z dziwnym uśmiechem spoglądali na siebie. Tak minęły chyba ze dwie minuty.

- Przebaczyłaś czy nie? - wyszeptał wreszcie Mitią i, zwracając się do Aloszy z twarzą zmienioną z radości, zawołał:

- Słyszysz, o co pytam, słyszysz?!

- Za to cię właśnie kochałam, że serce masz wspaniałomyślne! - rzekła naraz Katia. - Nie potrzeba ci mojego przebaczenia ani mnie twojego, wszystko jedno, przebaczysz czy nie - całe życie będziesz raną w moim sercu, a ja w twoim, tak być powinno...

Umilkła, by nabrać tchu.

- Po co ja przyszedłam? - podjęła znowu pospiesznie i nieprzytomnie. - Nogi twoje objąć, ręce ścisnąć, o tak, do bólu, pamiętasz, jak w Moskwie ścisnęłam? - znowu ci powiedzieć, że jesteś moim Bogiem, moją radością, powiedzieć ci, że kocham cię obłędnie - jęczała w męce i naraz przycisnęła usta do jego dłoni. Łzy polały się jej z oczu.

Alosza stał, milczący i zmieszany: nie spodziewał się tego, co widział.

- Miłość przeszła, Mitią! - zaczęła znowu Katia - lecz drogie mi jest do bólu to, co przeszło. Pamiętaj o tym na wieki. Ale teraz, na jedną chwilkę, niech będzie to, co mogło być - wyszeptała z gorzkim uśmiechem, znowu radośnie patrząc mu w oczy. - I ty teraz kochasz inną, i ja kocham innego, a jednak wiecznie będę cię kochać, a ty mnie, wiedziałeś o tym? Słyszysz, kochaj mnie, całe życie kochaj! - zawołała prawie z groźbą w głosie.

- Będę kochał i... wiesz, Katia - dysząc ciężko przy każdym słowie, mówił Mitią - wiesz, ja cię pięć dni temu, tego wieczoru, kochałem... Kiedy upadłaś i wynieśli cię... Całe życie! Tak będzie, tak będzie wiecznie.

Szeptali oboje jakieś bezmyślne, nieprzytomne słowa, może nawet nieprawdziwe, ale w tej

chwili wszystko było prawdą i oni wierzyli sobie bezgranicznie.

- Katia - zawołał nagle Mitia - czy wierzysz, że to ja zabiłem? Wiem, że teraz nie wierzysz, ale wtedy... kiedy zeznawałaś... Czy naprawdę, powiedz, czy naprawdę wierzyłaś?

- I wtedy nie wierzyłam! Nigdy nie wierzyłam! Nienawidziłam ciebie i nagle sama siebie przekonałam, tylko na tę chwilę... kiedy zeznawałam.. przekonałam siebie i wierzyłam, a kiedy skończyłam, zeznanie, znowu przestałam wierzyć. Wiedz o tym. Zapomniałam, że przyszłam po to, aby siebie ukarać! - rzekła z jakimś nowym wyrazem, niepodobnym do niedawnego miłosnego szeptu.

- Ciężko ci, niewiasto! - jakoś bezwiednie wyrwało się Miti.

- Puść mnie - szepnęła - jeszcze przyjdę, teraz ciężko...

Podniosła się z miejsca, ale naraz głośno krzyknęła i cofnęła się. Do celi znienacka i bardzo cicho weszła Gruszeńka. Nikt się jej nie spodziewał. Katia porwała się ku drzwiom, lecz mijając Gruszeńkę, zatrzymała się nagle, zbladła jak kreda i cicho, prawie szeptem jęknęła:

- Niech mi pani przebaczy!

Gruszeńka popatrzyła na nią badawczo i po chwili odezwała się jadowitym, zatrutym złością głosem:

- Złe jesteśmy, jedna i druga! Obydwie złe! Gdzieżby nam przebaczać, tobie czy mnie? Ot, uratuj go, a całe życie będę się modlić za ciebie.

- A przebaczyć nie chcesz! - zawołał Mitia do Gruszeńki z obłądnym wyrzutem.

- Bądź spokojna, uratuję ci go! - szepnęła prędko Katia i wybiegła z celi.

- I tyś mogła jej nie przebaczyć, skoro ona sama powiedziała ci „przebacz”? - z goryczą wykrzyknął Mitia.

- Mitia, nie waż się jej robić wyrzutów, nie masz prawa! - zawołał Alosza.

- Usta jej harde mówiły, nie serce - rzekła Gruszeńka z jakimś wstrętem. - Uratuje cię, to wszystko jej przebaczę...

Umilkła, jakby znowu coś tłumiąc w głębi duszy. Nie mogła się jeszcze opamiętać. Przyszła, jak się później okazało, przypadkowo, nic nie podejrzewając i nie spodziewając się, że spotka ją to, co ją spotkało.

- Alosza, biegnij za nią! - zwrócił się Mitia porywczo do Aloszy - powiedz jej... nie wiem co... nie pozwól jej tak odejść!

- Przyjdę przed wieczorem! - zawołał Alosza i pobiegł za Katią.

Dogonił ją już za murem szpitalnym. Szła szybko, śpieszyła się; gdy Alosza zrównał się z nią, rzekła:

- Nie, wobec niej nie mogę siebie ukarać! Powiedziałam jej „przebacz”, ponieważ chciałam ukarać siebie do końca. Nie przebaczyła... Lubię ją za to! - dodała Katia zmienionym głosem, i oczy jej błysnęły niezwykłą złością.

- Brat nie spodziewał się tego - wybąkał Alosza - był pewny, że ona nie przyjdzie.

- Na pewno. Dajmy temu pokój - przerwała Katia. - Niech pan posłucha: nie mogę iść teraz z panem na pogrzeb. Posłałam im kwiaty na trumienkę. Pieniądze jeszcze mają, tak mi się zdaje. Jeśli trzeba będzie, niech pan powie, że w przyszłości nigdy ich nie zostawię bez pomocy... No, a teraz niech mnie pan zostawi, niech mnie pan zostawi samą, bardzo proszę. Spóźnił się już pan, dzwonią na nabożeństwo... Niech mnie pan zostawi, proszę!

### III

## POGRZEB ILIUSZECZKI. MOWA PRZY KAMIENIU

Alosza rzeczywiście się spóźnił. Czekano na niego i nawet zdecydowano się już zanieść ładną, kwiatami ozdobioną trumienkę do cerkwi. Była to trumienka biednego chłopczyka Iliuszczki. Umarł w dwa dni po skazaniu Miti. Aloszę już przy furtce przywitały okrzyki chłopców, kolegów Iliuszy. Wypatrywali go z niecierpliwością i ucieszyli się, że wreszcie nadszedł. Było ich dwunastu, wszyscy przyszli z tornistrami. „Tatusz będzie płakał, bądźcie przy tatusiu” - zalecił im Iliusza przed śmiercią, i chłopcy pamiętali o tym. Na czele ich był Kola Krasotkin.

- Jakże rad jestem, że pan przyszedł, panie Karamazow! - zawołał wyciągając do Aloszy rękę. - Tu jest strasznie. Doprawdy, ciężko patrzeć. Sniegirow nie jest pijany, wiemy to na pewno, że dziś nic nie pił, ale jest jak gdyby pijany... Ja jestem zawsze twardy, ale to okropne. Panie Karamazow, jeżeli nie zatrzymuję pana, jedno tylko pytanie, zanim pan wejdzie.

- Cóż takiego, Kola? - zatrzymał się Alosza.

- Czy brat pana jest winien? Czy on zabił ojca, czy lokaj? Jak pan powie, tak będzie. Cztery noce nie spałem, tak mnie to trapiło.

- Zabił lokaj, brat jest niewinny - odpowiedział Alosza.

- I ja to mówię! - zawołał naraz Smurow.

- A więc zginie jako niewinna ofiara za prawdę? - zawołał Kola. - Choćby zginął, jest szczęśliwy! Gotów jestem mu zazdrościć!

- Co też pan mówi, jak można! I dlaczego? - wykrzyknął zdumiony Alosza.



- O, gdybym i ja mógł poświęcić się za prawdę! - zawołał entuzjastycznie Kola.

- Ale nie w takiej sprawie, nie z taką hańbą, nie tak straszliwie! - rzekł Alosza.

- Naturalnie... chciałbym zginąć za całą ludzkość, a co się tyczy hańby, to wszystko mi jedno: niechaj wymażą nasze imiona z pamięci. Szanuję pańskiego brata!

- Ja też! - nieoczekiwanie zawołał ów chłopczyk, który wiedział, kto założył Troję, zawoławszy zaś, zarumienił się jak piwonia.

Alosza wszedł do pokoju. W błękitnej trumnie, przybranej białą riuszką, leżał Iliusza ze złożonymi rękoma i zamkniętymi oczyma. Rysy jego wychudłej twarzyczki nie zmieniły się prawie wcale i, rzecz dziwna, nie było też prawie czuć trupiego zapachu. Wyraz jego twarzyczki był poważny i jakby zamyślony. Szczególnie ładne były ręce, złożone na krzyż, niczym rzeźbione w marmurze. Włożono mu do ręki pęk kwiatów; cała zresztą trumienka wewnątrz i zewnątrz była przybrana kwiatami, które z samego rana przysłała Liza Chochłakow. Poza tym nadeszły kwiaty od Katarzyny Iwanowny i kiedy Alosza otworzył drzwi, sztabskapitan obsypywał nimi właśnie swego drogiego chłopca. Ledwo spojrzał na Aloszę, zresztą na nikogo nie patrzył, nawet na płaczącą „mamuśkę”, która usiłowała stanąć na sparaliżowanych nogach i popatrzeć z bliska na swojego martwego chłopczyka. Ninoczkę zaś chłopcy podnieśli wraz z fotelem i przysunęli do samej trumienki. Opierała o nią głowę i też zapewne cicho płakała. Twarz Sniegirowa była ożywiona, ale jakby roztargniona i zarazem zacięta. Gesty jego i poszczególne słowa były nieprzytomne, jak gdyby obłąkane. „Ojczulku, drogi ojczulku!” - wołał co chwila, patrząc na Iliuszę. Miał zwyczaj, i to już od dawna, nazywać swego syna pieszczotliwie „ojczulkiem, droгим ojczulkiem”.

- Tatusiu, i mnie daj kwiatuszków, wyjm mu z rączki ten bieluśki kwiatek i daj! - prosiła z płaczem obłąkana „mamuśka”. Spodobała się jej malutka biała różyczka w ręce Iliuszy, a może chciała wziąć pamiątkę z jego rąk - dość, że wyciągnęła ręce i poruszyła się niespokojnie.

- Nikomu nie dam, nic nie dam! - zawołał bezlitośnie Sniegirow. - Jego kwiatki, nie twoje. Wszystko jego, nie twoje!

- Ojczy, daj mamie kwiatek! - Ninoczka podniosła nagle swą twarz zalaną łzami.

- Nic nie dam, a jej na pewno nie dam. Ona go nie kochała. Ona mu wtedy zabrała armatkę, a on jej podarował - i sztabskapitan rozplakał się na głos, przypominając sobie, jak Iliusza oddał matce swoją armatkę. Biedna wariatka zaczęła cicho płakać, zasłoniwszy twarz rękoma. Ponieważ trzeba już było wynosić trumienkę, chłopcy otoczyli ją ze wszystkich stron i zaczęli podnosić.

- Nie chcę go chować na cmentarzu! - wykrzyknął nagle Sniegirow. - Pod kamieniem pochowam, pod naszym kamuszkiem! Tak Iliusza kazał. Nie pozwolę nieść!

Już od trzech dni twierdził, że pochowa go pod kamieniem; lecz tym razem wtrącił się Alosza, Krasotkin, właścicielka mieszkania, jej siostra i wszyscy chłopcy.

- Patrzajcie go, co wymyślił, pod pogańskim kamieniem chce chować, niby samobójcę - rzekła

surowo właścicielka mieszkania. - Na cmentarzu ziemia jest poświęcona, z krzyżem świętym. Tam będą się modlić za niego. Ze świątyni słyhać śpiew, a diakon tak wyraźnie czyta, że wszystko, niebożę, usłyszysz, jakby mu nad grobem czytano.

Sztabskapitan zamachał rękami: „Nieście, dokąd chcecie!” Chłopcy podnieśli trumienkę, lecz mijając matkę zatrzymali się i opuścili trumnę, aby i ona mogła się z Iliuszą pożegnać. Ujrzawszy z bliska to drogie liczko, na które przez trzy dni patrzyła z pewnej odległości, nagle zaczęła drżeć na całym ciele, histerycznie trząść siwą głową.

- Mamo, przeżegnaj go, pobłogosław, pocałuj go! - zawołała Ninoczka.

Lecz kapitanowa wciąż potrzasała głową i bez słowa, z grymasem straszliwego bólu biła się pięścią w pierś. Chłopcy unieśli trumnę i poszli dalej. Ninoczka po raz ostatni wargami przypadła do ust zmarłego brata. Alosza, wychodząc z domu, poprosił właścicielkę mieszkania, aby się zaopiekowała obiema kobietami, ale ta nawet nie pozwoliła mu dokończyć:

- To się wie, będę przy nich, i myśmy chrześcijanie. To mówiąc płakała. Do cerkwi było niedaleko, ze trzysta kroków, nie więcej. Dzień był jasny, cichy, trochę mroźny. Jeszcze słyhać było dźwięk dzwonu. Sniegiorow niespokojnie biegł za trumienką w swoim starym, króciutkim, letnim paltociku, z gołą głową i ze starym, miękkim, dużym kapeluszem w ręku. Był jakoś dziwnie zatroskany; to nagle wyciągał rękę, aby podtrzymać trumnę, i tylko przeszkadzał, to znowu zabiegał z boku i szukał, czym by się zająć. Jeden kwiatek upadł na śnieg; sztabskapitan niesłuchanie starannie podniósł go, jak gdyby od zguby tego kwiatka Bóg wie co zależało.

- A kromki, kromki zapomnieliśmy! - zawołał naraz z okropnym przestraczem. Lecz chłopcy przypomnieli mu, że kromkę chleba schował do kieszeni. Natychmiast wsunął rękę do kieszeni, wyjął kromkę i od razu się uspokoił.

- Iliuszczka kazał, Iliuszczka - wyjaśnił Aloszy - leżał w nocy, ja przy nim siedziałem i nagle powiedział: „Tatusiu, jak zasypią moją mogiłkę, weź kromkę chleba i nagrusz, żeby wróble przyleciały, jak usłyszysz, że przyleciały, to będzie mi wesoło, że nie leżę sam.”

- To bardzo dobrze - pochwalił Alosza - trzeba to często robić.

- Codziennie, codziennie! - bełkotał sztabskapitan, ożywiając się bardzo.

Weszli wreszcie do cerkwi i postawili pośrodku trumienkę. Chłopcy stanęli wokoło i stali tak z powagą przez całe nabożeństwo. Cerkiew była bardzo stara i dosyć uboga, wiele ikon było bez ram, ale w takich cerkwiach lepiej się jakoś modlić. W czasie nabożeństwa Sniegiorow jak gdyby trochę się uspokoił, chociaż chwilami objawiał jakieś bezwiedne, jakby nieśmiałe zatroskanie: to podchodził do trumienki i poprawiał kwiaty, to znowu, gdy z lichtarza wypadła świeczka, podniósł ją i bardzo długo wstawiał. Uspokoił się i stał spokojnie u wezgowia z tępym wyrazem na stroskanej i jakby zdziwionej twarzy. Po egzekwiach szepnął nagle stojącemu obok Aloszy, że czytano nie tak, jak należy, ale, jak należy czytać - nie wyjaśnił; gdy zaintonowano „I cherubiny...”, zaczął nawet przyśpiewywać, ale nie dokończył, padł na kolana, czołem przypadł do kamiennej podłogi i długo tak leżał. Na koniec rozdano świece. Nieprzytomny z bólu ojciec znowu się zakrzętał, lecz tkliwe pienia

ocuciły go i wstrząsnęły jego duszą. Nastroszył się jakoś i zaczął łkać, z początku cicho, a potem coraz głośniej, strasznym urywanym głosem. Kiedy zaś zaczęto nakrywać trumnę, objął ją rękoma, jakby nie pozwalał nakryć Iliuszczki. A potem zaczął pospiesznie, nie odrywając warg, całować swego chłopczyka w usta. Wreszcie namówiono go, by odszedł od trumny, i już miano go sprowadzić ze schodka, gdy nieoczekiwanie wyciągnął rękę i zerwał z trumny kilka kwiatków. Patrzył na nie, i jakby nowa myśl przyszła mu do głowy i tak go zajęła, że zapomniał na chwilę o wszystkim innym. Zamyślił się jakoś i już się nie sprzeciwiał, gdy podniesiono trumienkę i zanesiono nad mogiłę. Wykopano ją tuż koło cerkwi - Katarzyna Iwanowna drogo za to miejsce zapłaciła. Po zwykłym obrzędzie grabarze spuścili trumnę. Sniegirow tak się nachylił nad grobem, zaciskając kwiatki w rękę, że koledzy zmarłego przerazili się, chwycili go za paltó i poczęli ciągnąć do tyłu. Ale on już nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Pełen troski wskazał na spadającą ziemię; coś nawet powiedział, ale nikt tego nie zrozumiał. Zresztą prędko umilkł. Przypomniano mu, że trzeba nakruszyć chleba; strasznie się zdenerwował, wyciągnął kromkę i zaczął ją kruszyć, rzucając okruchy na mogiłę. „A teraz przylećcie, ptaszki, przylećcie, wróbelki!” - bełkotał nieprzytomnie. Któryś z chłopców powiedział mu, że chyba niewygodnie mu kruszyć chleb, gdy ma kwiaty w rękę, że lepiej dać je komu potrzymać. Lecz sztabkapitan nikomu nie dał, nawet zląkł się o swoje kwiatki, jak gdyby chciano mu je wydrzeć siłą; popatrzał na mogiłkę i jakby przekonawszy się, że wszystko w porządku - chleb już pokruszony - raptem, nieoczekiwanie i nawet spokojnie, odwrócił się i poszedł w kierunku domu. Kroki jego były coraz szybsze, w końcu nawet zaczął biec. Alosza i chłopcy podążyli za nim.

- Kwiaty dla mamuski, kwiaty dla mamuski! Skrzywdzili mamuszkę! - zaczął nagle wykrzykiwać. Ktoś zawołał, żeby włożył kapelusz, bo zimno; ale sztabkapitan w odpowiedzi ze złością cisnął kapelusz na śnieg, powtarzając kilkakrotnie: „Nie chcę kapelusza, nie chcę kapelusza!” Smurow podniósł kapelusz i niósł go za sztabkapitanem. Wszyscy chłopcy płakali, najbardziej zaś Kola i ów chłopczyk, który odkrył Troję; Smurow z kapeluszem kapitana w rękę zanosił się od płaczu, niemniej jednak zdążył podnieść kawałek cegły, czerwieniejący w śniegu na dróżce, i cisnąć go w przelatujące stado wróbli. Oczywiście chybił i biegł dalej, płacząc. W połowie drogi Sniegirow nagle się zatrzymał, stał pół minuty jakby czymś zaskoczony, nagle zawrócił w stronę cerkwi i pobiegł z powrotem do mogiłki. Ale chłopcy dogonili go i uczepili się go ze wszystkich stron. Stał jak gdyby pokonany, upadł na śnieg i tarzając się, krzycząc i łkając, począł wołać: „Ojczulku, Iliuszczka, drogi ojczulku!” Alosza i Kola usiłowali go podnieść i uspokoić.

- Kapitanie, już dosyć, mężny człowiek powinien umieć znieść wszystko - mruknął Kola.

- Kwiaty pan pogniecie - odezwał się Alosza - a „mamuska” czeka, siedzi, płacze, że nie chciał pan jej dać kwiatuszków Iliuszy. Tam pościel Iliuszki jeszcze leży...

- Tak, tak, do mamuski - przypomniał sobie znowu Sniegirow. - Pościel sprzątną, pościel sprzątną! - dodał jakby ze strachu, że istotnie sprzątną, zerwał się i pobiegł do domu.

Stąd było blisko i wszyscy przybiegli razem. Sniegirow otworzył drzwi i zawołał do żony, z którą się niedawno tak nielitościwie obszedł:

- Mamusko droga, Iliuszczka przysłał ci kwiatki, chore masz nóżki! - krzyknął, wyciągnął do niej pęczek zmarzniętych kwiatów, które połamał tarzając się w śniegu.

Ale w tej chwili zobaczył przed posłaniem Iliuszczki, w kąciku jego małe buciczki, ustawione przez właścicielkę mieszkania - stare, zrudziałe, zeschnięte buciczki z łatami. Ujrzawszy je, podniósł ręce, podbiegł, padł na kolana, chwycił jeden bucik, przycisnął doń wargi i zaczął go namiętnie całować, wołając:

- Kochany Iliuszczka, syneczku drogi, gdzie teraz twoje nóżki?

- Gdzieżeś ty go zaniósł? Gdzieżeś ty go zaniósł? - krzyknęła rozzwierającym głosem obłąkana.

Ninoczka zapłakała na głos. Kola wybiegł z pokoju, a za nim wyszli inni chłopcy. Wyszedł też wreszcie Alosza.

- Niech się wypłaczą - rzekł do Koli - nie można ich teraz pocieszyć. Poczekamy chwilę i wrócimy.

- Tak, nie można, to straszne - potwierdził Kola. - Wie pan, panie Karamazow - zniżył naraz głos, aby go nikt nie słyszał. - Bardzo mi smutno, gdyby go można było wskrzesić, oddałbym wszystko na świecie!

- Ach, i ja też. - rzekł Alosza.

- Jak pan myśli, panie Karamazow, czy mam tu przyjść dziś wieczorem? Przecież on się upije.

- Może się upije. Przyjdziemy tylko we dwóch, ja i pan, aby posiedzieć z nimi godzinę, z matką i Ninoczką, bo jeżeli przyjdziemy wszyscy razem, to znowu się im przypomni - poradził Alosza.

- Teraz właścicielka mieszkania nakrywa do stołu - będzie stypa, pop przyjdzie; mamy wrócić tam, panie Karamazow, czy nie?

- Stanowczo wrócić.

- Dziwne to wszystko, taki ból i naraz jakieś bliny, dziwna ta nasza religia!

- Będzie i łosoś - wyrwał się nagle chłopak, który odkrył Troję.

- Proszę was stanowczo, Kartaszow, abyście nie wtrącali się ze swymi głupstwami, zwłaszcza kiedy się do was nie mówi i kiedy się chce nawet zapomnieć o waszym istnieniu - skarcił go z irytacją Kola.

Kartaszow spiekł raka, ale nie śmiał odpowiedzieć. Tymczasem wszyscy szli dróżką. Naraz Smurow zawołał:

- To kamień Iliuszy, pod którym ojciec chciał go pogrzebać!

W milczeniu zatrzymano się przed wielkim kamieniem. Alosza popatrzał i naraz przypomniał sobie opowieść Sniegirowa o tym, jak Iliuszczka, płacząc i obejmując ojca, wołał: „Tatusiu, tatusiu, jak on ciebie poniżył!” Coś jakby przeszło mu serce. Ogarnął poważnym spojrzeniem miłe, pogodne

twarze tych chłopców i nagle rzekł:

- Panowie, chciałbym wam tu, na tym miejscu, powiedzieć parę słów.

Chłopcy otoczyli go i wlepili w niego badawcze i pełne oczekiwania spojrzenia.

- Panowie, wkrótce się rozstaniemy. Na razie jestem tu razem z moimi oboma braćmi, z których jeden skazany jest na katorgę, a drugi bliski śmierci. Ale wkrótce wyjadę z tego miasta, może nawet niedługo. Zatem rozstaniemy się, panowie. Umówmy się tu, przy kamieniu Iliuszy, że nigdy nie zapomnimy - po pierwsze, Iliuszczki, a po drugie, nawzajem o sobie. I cokolwiek się przytrafi nam później w życiu, choćbyśmy się nawet mieli dwadzieścia lat nie spotkać - zapamiętajmy wszyscy pogrzeb biednego chłopca, którego kiedyś obrzucaliśmy kamieniami - pamiętacie, tam nad mostkiem? - a potem tak wszyscy pokochali. Był to dobry chłopiec, dobry i odważny, ujął się za honor i gorzką krzywdę swego ojca. A zatem, po pierwsze, będziemy go pamiętać, panowie, przez całe nasze życie. I choćbyśmy byli zajęci najpoważniejszymi sprawami, choćbyśmy doszli do zaszczytów lub wpadli w wielkie nieszczęście - ale zapomnijmy nigdy, jak nam tu wszystkim było: dobrze, nam, których złączyło tak dobre i zacne uczucie, co nas uczyniło lepszymi, niż jesteśmy w istocie. Gołąbki moje, pozwólcie, że was tak nazwę, bo teraz, kiedy spoglądam na wasze dobre, miłe twarzyczki, jesteście tak do nich podobni, do tych szaroniebieskich ślicznych ptaszków - moje kochane dzieci, może nie zrozumiecie tego, co wam powiem, bo często mówię niezrozumiale, zapamiętajcie sobie jednak moje słowa i kiedyś zgodzicie się z nimi. Wiedźcie, że nie ma nic lepszego, silniejszego, zdrowszego i pożyteczniejszego dla życia nad jakieś dobre wspomnienie, zwłaszcza wyniesione z dzieciństwa, z domu rodzicielskiego. Dużo wam się prawi o waszym wychowaniu, ale przecież piękne, święte wspomnienie, zachowane z dzieciństwa, jest zarazem najlepszym wychowaniem. Jeżeli wiele się nabiera takich wspomnień, to człowiek jest zbawiony na całe życie. I jeżeli nawet bodaj jedno dobre wspomnienie zostanie w waszym sercu, to i ono może przyczynić się do waszego zbawienia. Może staniemy się złymi ludźmi, może nawet nie będziemy mogli oprzeć się złym pokusom, może będziemy śmiać się z ludzkich łez i z tych, co mówią tak, jak to Kola niedawno zawołał: „Chcę cierpieć za wszystkich ludzi” - może z tych ludzi będziemy drwić okrutnie. A jednak, jakkolwiek będziemy źli, co nie daj nam Boże, skoro przypomniemy sobie, jak odprowadzaliśmy Iliuszę, jak go kochaliśmy w ostatnich dniach i jak tu potem rozmawialiśmy ze sobą, tak zgodnie i tak przyjaźnie, przy tym kamieniu, to największy spośród nas okrutnik i szyderca - jeśli nawet któryś z nas takim się stanie - nie odważy się przecież drwić z tego, że był dobry i zacny w onej chwili! Co więcej, może to właśnie wspomnienie uchroni go od złego czynu, może się opamięta, może powie: „Taki byłem wtedy dobry, odważny i uczciwy.” Niech się uśmiechnie przy tym, to nic, człowiek często się śmieje z czegoś dobrego i zacnego; lecz to tylko przez lekkomyślność; zapewniam was, panowie, że jak się tylko uśmiechnie, od razu w głębi serca powie sobie: „Nie, źle zrobiłem, że się uśmiechnąłem, bo z tego nie można się śmiać!”

- Tak, na pewno tak będzie, panie Karamazow, ja pana rozumiem, panie Karamazow! - zawołał Kola z błyszczącymi oczyma.

Inni też chcieli coś dorzucić, ale powstrzymali się, patrząc ze wzruszeniem na mówiącego.

- Mówię to na wypadek, jeżeli staniemy się złymi ludźmi - ciągnął dalej Alosza. - Ale dlaczego byśmy mieli stać się złymi ludźmi, panowie? Bądźmy, po pierwsze i przede wszystkim, dobrzy,

potem uczciwi, a wreszcie - nie zapominajmy wzajemnie o sobie. Znowu to powtarzam. Słowo wam daję, panowie, że nie zapomnę nigdy żadnego z was; każdą twarz, która na mnie teraz spogląda, przypomnę sobie nawet za lat trzydzieści. Niedawno Kola powiedział Kartaszowowi, że nie chcemy wiedzieć o jego istnieniu. Czyż mogę zapomnieć o istnieniu Kartaszowa i o tym, że nie zalewa się teraz rumieńcem, jak wtedy, gdy odkrył Troję, lecz patrzy na mnie swymi pogodnymi, dobrymi, wesołymi oczkami! Panowie, moi drodzy panowie, bądźcie więc wszyscy wielkoduszni i mężni jak Iliuszka, mądrzy, odważni i wielkoduszni jak Kola (który zmądrzeje jeszcze bardziej, gdy podrośnie), i bądźmy tak wstydlivi, ale mądrzy i mili jak Kartaszow. Ale czemuż ja mówię tylko o nich! Wszyscy wy, panowie, jesteście mi drodzy, wszystkich was zachowam w swoim sercu i proszę, byście i mnie zachowali w waszych sercach! I któż nas połączył tym dobrym, zacnym uczuciem, kogo teraz i zawsze, całe życie wspominać będziemy i wspominać zamierzamy, któż, jeżeli nie Iliuszeczka, dobry chłopczyk, kochany chłopczyk, drogi nasz chłopczyk na wieki wieków! Nie zapomnijmy go więc nigdy, zachowajmy wieczystą o nim pamięć w naszych sercach, dziś i na wieki wieków!

- Tak, tak, na wieki wieków! - zawołali ze wzruszeniem wszyscy chłopcy dźwięcznymi głosikami.

- Będziemy pamiętać i jego twarz, i odzież, i ubogie jego bućki, i jego trumienkę, i nieszczęsnego grzesznego jego ojca, i nie zapomnimy, jak mężnie powstał przeciw całej klasie w obronie swego ojca!

- Nie zapomnimy, nie zapomnimy! - zawołali chłopcy. - Był odważny, był dobry!

- Ach, jak ja go kochałem! - zawołał Kola.

- Ach, dzieci moje, ach, drodzy przyjaciele, nic bójcie się życia! Jak dobre jest życie, gdy się robi co dobrego i sprawiedliwego!

- Tak, tak! - zawołali chłopcy z zachwytem.

- Panie Karamazow, my pana kochamy! - zawołał naraz jakiś głos; zdaje się, że był to Kartaszow.

- My pana kochamy, my pana kochamy! - podchwycili wszyscy. Niektórzy mieli łzy w oczach.

- Niech żyje Karamazow! - zawołał z entuzjazmem Kola.

- I wiecznie pamiętajmy zmarłego chłopczyka! - dodał z przejęciem Alosza.

- Wiecznie! - znowu zawołali chłopcy.

- Panie Karamazow! - zawołał Kola. - Czy słusznie religia twierdzi, że wszyscy zmartwychwstaniemy i zobaczymy się wszyscy, i zobaczymy Iliuszeczkę?

- Na pewno zmartwychwstaniemy, na pewno się zobaczymy i wesoło, radośnie opowiemy sobie nawzajem, co było - na poły z uśmiechem, na poły z zachwytem odpowiedział Alosza.

- Ach, jak to będzie dobrze! - wyrwało się Koli.

- A teraz dosyć przemówień, chodźmy na stypę. Niech was to nie dziwi, że będziemy jeść bliny. Przecie to stary, odwieczny zwyczaj i pod wieloma względami dobry - roześmiał się Alosza. - No, chodźmy! Oto już idziemy ręka w rękę.

- I wiecznie tak, przez całe życie, ręka w rękę! Niech żyje Karamazow! - jeszcze raz zawołał Kola z entuzjazmem, i jeszcze raz wszyscy chłopcy podchwycili jego okrzyk.

---

[1] Trzeba by je wynaleźć.

[2] Widziałem cień stangreta, który cieniem szczotki czyścił cień karety.

[3] Wspaniały rycerz.

[4] Więcej szlachetności niż szczeroci... więcej szczeroci niż szlachetności

[5] Wszystko to świństwo.

[6] Czuje się w nim Pirona.

[7] To tragiczne

[8] Pani, twych wdzięków nie trzeba mi wcale.

[9] Wyznania wiary

[10] Katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu

[11] Sąd miłosierny najświętszej i najlitościwszej Marii Panny

[12] miłosierny sąd

[13] Dla większej chwały Bożej.

[14] Przy wynoszeniu (z celi do cerkwi i, po nabożeństwie, z cerkwi na cmentarz) ciała mnicha oraz mnicha ostrej reguły śpiewają stychar *Jaka życia słodycz*. Jeśli zmarły był kapłanem, wówczas śpiewa się kanon *Pomocnik i opiekun*. (Przyp. aut.)

[15] zapomnijmy o tym

[16] skończone

[17] Tutaj

[18] Kobiety powinny robić na drutach

[19] ta czarująca osoba

[20] Rozumie pan, ta historia i okropna śmierć pańskiego papy

[21] pod pięćdziesiątkę

[22] To czarujące

[23] to szlachetnie, pięknie... to po rycersku.

[24] Jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce

[25] To coś nowego, prawda?

[26] Co za pomysł!

[27] Diabeł nie istnieje

[28] Myślę, więc jestem

[29] Ach, mój ojciec... Dla niego to taka przyjemność, a dla mnie tak mało trudu!

[30] Ach, ależ to doprawdy głupio!

[31] Mój panie, czy pan wie jaka pogoda? W taki czas psa szkoda wypędzić.

[32] Rozwiązanie zagadki

[33] Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty

[34] Diabeł nie istnieje!

[35] arcydzieło

[36] Po mnie choćby potop

[37] Przyzywam żywych